

ROBERT LUDLUM

MOZAIKA PARSIFALA

Warszawa 1993

MOZAIKA PARSIFALA

Warszawa 1993

CZEŚĆ PIERWSZA

Zimne promienie księżyca padały z nocnego nieba, odbijając się od rozkołysanego morza, które wybuchalo raz po raz i zastygało w powietrzu bryzgami bieli tam, gdzie pojedyncze fale rozbijały się o przybrzeżne skały. Odcinek plaży na Cos ta Brała, otoczony strzelistymi, kamiennymi ścianami stał się miejscem egzekucji. Musiało do tego dojść.

Widział ją teraz dokładnie. I słyszał poprzez szum morza i huk rozbryzgujących się fal.

Biegła na oślep, krzycząc rozpaczliwie: „Pro boha iv ho! Proc! Co to LED s! Prestan! Proc!

Proc! Jej jasne włosy pochwycił księżycowy blask, a wycelowany w nią z odległości pięćdziesięciu jardów snop mocnego światła zaostrzył jeszcze kontury biegnącej sylwetki.

Upadła i ciszę nocną rozerwało raptowne, brutalne staccato serii z broni maszynowej. Piasek i kępy trawy wokół niej wybuchaly pod gradem kul. Jeszcze kilka sekund i będzie po wszystkim. Taki będzie koniec jego miłości.

Stali wysoko na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na Wełtawę. Statki pruły wodę, zostawiając po sobie szerokie bruzdy. Kłęby dymu z fabrycznych kominów snuły się po jasnym, popołudniowym niebie, przysłaniając dalekie góry. Michael patrzył przed siebie i zastanawiał się, czy wiatr nad Pragą przepędzi wreszcie siwe smugi i odsłoni na powrót górskie szczyty. Położył głowę na kolanach Jenny i rozprostował długie nogi, dotykając stopami wiklinowego koszyka, do którego włożyła kanapki i schłodzone białe wino. Siedziała na trawie, oparta plecami o gładką korę brzoźowego pnia i gładziła go po włosach. Potem przesunęła palcami po jego twarzy, delikatnie obrysowując usta i kości policzkowe.

- Michaił, kochanie, tak sobie pomyślałam, że twoje tweedowe marynarki, ciemne spodnie i nienaganna angielszczyzna, której nauczyłeś się w ekskluzywnym uniwersytecie, i tak nie ukryją Havliczka pod Havelockiem.

- Bo wcale nie mają go ukrywać. Ten strój to mój mundurek, a perfekcja językowa daje mi większe poczucie bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się i pieszczotliwie musnął jej dłoń.

- A poza tym, uniwersytet był tak dawno.

- Tak wiele rzeczy było bardzo dawno, prawda? Tam, w dole, pod nami.

- Było, minęło.

- Ty też tam byłeś, mój kochany staruszk.

- To już historia. Najważniejsze, że przeżyłem.

- Wielu się to nie udało...

Jasnowłosa kobieta wijąc się w piachu i chwytając kępek trawy, próbowała wstać.

Nagle odskoczyła w bok i na kilka sekund umknęła snopowi światła. Rozpaczliwie przedzierała się w kierunku drogi nad plażą, pozostając momentami w ciemności. Czasami przysiadła, to znowu rzucała się przed siebie, tam gdzie mrok nocy i kępy bujnej zieleni mogły ją osłonić. Nic już jej nie pomoże, pomyślał wysoki mężczyzna w czarnym swetrze, dobrze ukryty między dwoma drzewami, ponad drogą, ponad tym całym niewymownym okrucieństwem, które rozgrywało się na jego oczach. Już raz, wcale nie tak dawno, patrzył na nią z góry. Wtedy nie była przerażona: była wspaniała.

W ciemnym gabinecie odchylił powoli zasłonę i nie odrywając pleców od ściany, zwrócił twarz ku oknu. Widział, jak przechodzi przez jasno oświetlony dziedziniec, a miarowy stukot wysokich obcasów po bruku odbija się marszowym echem od kamiennych ścian budynków praskiej tajnej policji. Strażnicy - sztywne marionetki w mundurach skrojonych na sowiecką modłę - stali w zacienionych miejscach. Po chwili, jak na komendę, odwrócili głowy i odprowadzali łakomymi spojrzeniami postać zmierzającą dumnym krokiem ku żelaznej bramie. Myśli towarzyszące tym spojrzeniom były oczywiste: to nie byle sekretarka zostająca po godzinach, ale uprzywilejowana kurwa, która pod dyktando komisarza pracuje na kanapie do białego rana. Inni, z innych zacienionych okien, też patrzyli.

Wystarczyło wówczas jedno zachwianie pewnego kroku, jedna sekunda wahania, a już podniesie się słuchawka i do bramy dotrze rozkaz zatrzymania. Należało, rzecz jasna, unikać kompromitacji, zwłaszcza gdy w grę wchodziło dobre imię komisarzy.

Na szczęście wszystko poszło gładko. Tylko pogratulować! Oby tak dalej. Udało się!

Nagle poczuł ból w piersiach i wiedział, że to strach. Prawdziwy, ludzki, obezwładniający strach. Pamięć nie dawała mu spokoju - wspomnienia we wspomnieniach. Patrząc na nią, przypominał sobie miasto w gruzach, straszliwe odgłosy masowej egzekucji. Lidice. I to dziecko - jedno z wielu przemykające pośród spopielonych, dymiących rumowisk z wiadomościami i materiałami wybuchowymi w kieszeniach. Jeden nierozważny krok, jedna chwila wahania... Historia.

Podeszła do bramy. Nie zareagowała na obleśne spojrzenie gorliwego strażnika. Była wspaniała. Tak, kochał ją!

Dotarła do pobocza drogi, czołgając się co sił w rękach i nogach, rozpaczliwie wczepiając palce w piach i ziemię. Skończyły się zbawienne kępy wysokiej trawy, zaraz znajdzie ją bezlitosne światło reflektora i to już będzie koniec.

Patrzył na nią, tłumiąc wzruszenie. Musiał... Taki już miał zawód. Wreszcie dowiedział się prawdy, a kawałek plaży na Costa Brava potwierdził jej winę, stał się dowodem jej zbrodni. Ta

rozhisteryzowana kobieta była zabójczynią, agentką osławionej Wojennej Kontrrazwiedki, oddziału sowieckiego KGB, uprawiającego terroryzm na całym świecie. Taka była niepodważalna prawda. Teraz zobaczył ją na własne oczy. Rozmawiał o tym z Waszyngtonem, dzwoniąc z Madrytu. Rendezvous zaplanowano na rozkaz Moskwy tej nocy, a oficer sztabowy WKR, Jenna Karas, miała na odosobnionej katalońskiej plaży Montebello, na północ od Blanes, przekazać odłamowi grupy Baader-Meinhof plan kolejnego zabójstwa. Taka była pierwsza prawda, prowadziła ona jednak nieuchronnie do drugiej prawdy, obowiązującej w jego zawodzie. Kto zdradzał żywych i spekulował śmiercią, sam musiał umrzeć! Wszystko jedno, kim był Michael Havelock podjął decyzję i nic już nie mogło go powstrzymać. Sam zastawił ostatnią pułapkę na życie kobiety, tej, która uczyniła go najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Jego ukochana była morderczynią. Pozwolić jej żyć, to zgodzić się na śmierć kolejnych setek, a może tysięcy ludzi. Nie! Nigdy! Jednego drobiazgu Moskwa nie wzięła pod uwagę, tego mianowicie, że w Langley złamano szyfry WKR. On sam nadał ostatnią wiadomość do łodzi zakotwiczonej pół mili od plaży na Costa Brava. „Potwierdzenie KGB. Oficer kontaktowy skompromitowany przez wywiad USA.

Plany fałszywe. Zlikwidować”. Szyfry były praktycznie nie do odczytania. Likwidacja gwarantowana. Podniosła się jeszcze na moment. To się musiało tak skończyć! Kobieta, która zaraz umrze, była jego wielką miłością. A jeszcze nie tak dawno, przytuleni, przyrzekali sobie, że będą zawsze razem, szeptali o dzieciach, o błogim spokoju i cudownej jedności we dwoje. Wierzył w to święcie, teraz wszystko nagle diabli wzięli.

Leżeli w łóżku. Oparła głowę na jego piersi, jasne włosy opadały jej na twarz.

Odgarnął na bok kosmyki, które zasłaniały jej oczy, i śmiejąc się, powiedział:

- Ukrywasz się.

- Cały czas to robimy. - Uśmiechnęła się gorzko. - Chyba że chcemy, żeby zobaczyli nas ci, którzy powinni nas widzieć. Nie robimy niczego, na co mamy ochotę. Wszystko musi być wyrachowane, Michał, i zaplanowane. Żyjemy w ruchomym więzieniu.

- Nie tak długo... I przecież nie na zawsze.

- Jasne, dopóki nie postanowią, że już nas nie potrzebują, że na nic więcej się im nie zdamy. Myślisz, że wtedy pozwolą nam odejść? Czy raczej znikniemy bez śladu?

- Waszyngton to nie Praga. Albo Moskwa. Wyjdziemy z tego naszego ruchomego więzienia, ja ze złotym zegarkiem, a ty z wręczonym podczas cichej ceremonii obywatelstwem.

- Jesteś pewien? Ja nie, bo dużo wiemy. Za dużo, być może.

- Chroni nas właśnie to, co wiemy. Zwłaszcza to, co ja wiem. Będą zachodzić w głowę: czy gdzieś tego nie zapisał? Uważajcie na niego, strzeżcie go, nie dajcie zrobić mu krzywdy... Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, naprawdę. Wyjdziemy.

- Gdzie się ruszysz, wszędzie ochrona - powiedziała, gładząc go po brwiach. - Nigdy nie zapomnisz, prawda? Tamtych dni, tego koszmaru.

- Już zapomniałem. To tylko przeszłość.

- Co będziemy robić?

- Życ. Kocham cię.

- Myślisz, że będziemy mieli dzieci? Wyglądali za nimi przez okno, jak idą do szkoły, tulili je, karcili. Chodzili razem na mecze hokeja.

- Nie hokeja. Koszykówki... albo siatkówki. Tak myślę, a dlaczego nie?

- A co ty będziesz robił, Michaił?

- Chyba zostanę nauczycielem w jakimś college'u. Mam parę szacownych dyplomów, które świadczą o moich kwalifikacjach. Będzie nam dobrze, wiem o tym. Liczę na to.

- A czego będziesz uczył? Popatrzył na nią, dotknął jej twarzy, a potem jego wzrok powędrował ku przybrudzonemu sufitowi w tanim pokoju hotelowym.

- Historii - powiedział. Objął ją i mocno przytulił do siebie. Snop reflektora przeszył

mrok. Złapał ją, ptaka gorejącego, co próbował się wznieść, ale wpadł w potrzask światła, które stało się dlań ciemnością. Seria z automatu - ogień terrorystów wycelowany w terrorystkę. Wyprężyła ciało w łuk, kaskada jasnych włosów spłynęła jej po plecach, pierwsze kule utkwily w podstawie kręgosłupa. Potem padły trzy pojedyncze strzały i to był już koniec.

Pociski trafiły w tył szyi i czaszkę, odrzucając ciało w przód, na kupkę piachu. Wpijała się jeszcze palcami w ziemię, oszczędzając mu litościwie widoku twarzy zalanej krwią. Jeszcze jeden spazm i zastygła w bezruchu. Jego miłość skonała - wszak pewna część miłości to część tego, czym żyli. Zrobił, co musiał zrobić, ona też. Każde z nich miało rację, każde popełniło błąd. Fatalny błąd. Zamknął oczy i poczuł pod powiekami nie chcianą wilgoć.

- A co ty będziesz robił, Michaił?

- Chyba zostanę nauczycielem w jakimś college'u...

- Czego będziesz uczył?

- Historii... Wszystko to już było historią. Wspomnienia zdarzeń zbyt bolesnych, pamięć tamtych pierwszych dni. Już dłużej nie mogą być częścią mnie. Ona też nie, jeśli w ogóle kiedyś była, nawet w swojej grze pozorów. Ale ja dotrzymam słowa, nie wobec niej, ale wobec samego siebie. Koniec z tym. Zniknę, by pojawić się w innym, nowym życiu.

Gdzieś pojedę, żeby uczyć, krzewić nauki daremności.

Usłyszał głosy i otworzył oczy. Zabójcy z grupy Baader Meinhof podbiegli do rozciągniętego, martwego ciała potępionej kobiety, leżącej z palcami zaciśniętymi na grudkach ziemi, która stała się miejscem jej egzekucji. Czy była aż tak genialnym blagierem?

Tak, bo przecież widział prawdę. Nawet w jej oczach widział prawdę. Dwóch katów schyliło się, by chwycić trupa i powlec go w jakieś bardziej ustronne miejsce, ofiarować to urodzive niegdyś ciało ogniu lub głębinom. Nie będzie się wtrącał. Nad poszlakami przyjdzie się zastanowić później... Silny podmuch wiatru przeszedł nagle nad nie osłoniętą plażą. Zabójcy, potykając się, brnęli z trudem przez piaski. Jeden z nich podniósł rękę, usiłując bezskutecznie przytrzymać wędkarską czapkę z daszkiem, która sfrunęła na ziemię i potoczyła się ku wydmie prowadzącej na pobocze drogi. Puścił zwłoki i pobiegł za nią. Havelock obserwował

zbliżającego się mordercę.

Coś nie dawało mu spokoju... Twarz tego człowieka? Nie, to włosy widoczne bardzo wyraźnie w świetle księżyca: faliste, ciemne, ale nie wszędzie ciemne, bo nad czołem widniało pasmo siwizny, niespodziewany akcent, którego nie sposób przeoczyć. Widział już gdzieś te włosy, tę twarz. Ale gdzie? Miał w czym wybierać. Tyle przeanalizowanych kartotek, fotografii, kontaktów, agentów, wrogów. Skąd był ten facet? Z KGB? Z

krwiożerczej WKR? Z jakiejś frakcji, co skwapliwie przechodzi na garnuszek Moskwy, jeśli akurat płaci więcej niż szef lizbońskiej placówki CIA? Zresztą wszystko jedno. Krwawe marionetki i bezwolne pionki już nie obchodziły Michaela Havelocka... ani Michaiła Havliczka, jak kto woli. Rano przez ambasadę w Madrycie, nada depezę do Waszyngtonu.

Skończył z tym, nie ma już nic do zaoferowania. Zgodzi się na wszystko, co zarządzi góra, żeby go tylko wyłączyli z siatki. Nawet na terapię w klinice. Niech robią, co chcą. Byle oddali mu jego własne życie. To już historia. Zakończyła się na odludnej plaży zwanej Montebello, położonej na spalonym słońcem południowym wybrzeżu Hiszpanii.

2

Czas skutecznie leczy rany. Ból albo sam mija, kiedy nadejdzie pora, albo człowiek uczy się z nim żyć. Havelock wiedział o tym, doświadczając obu możliwości naraz.

Wprawdzie uczucie to ustąpiło nie od razu, było jednak coraz słabsze, a zranione miejsca dawały o sobie znać tylko wówczas, gdy zostały podrażnione. Zbawiennie działały podróże.

W swym poprzednim wcieleniu nie miał okazji doznawać tych niezliczonych trudów, które pokonywać musi zwykły turysta.

- Na bilecie jest przecież wyraźnie napisane, proszę pana: „Zastrzega się możliwość zmian bez uprzedzenia”.

- Gdzie?

- O, tu.

- Nic nie widać.

- Ja widzę.

- Pan wykuł to na pamięć.

- Nie, ja po prostu wiem, co jest wydrukowane na bilecie, proszę pana. Albo kolejki do kontroli dokumentów na przejściach granicznych. A potem przeprawy z celnikami. Udręka poprzedzona niemożnością. Mężczyźni i kobiety, którzy walcząc z nudą, przybijają pieczętiki i z pianą na ustach atakują bezbronne zamki błyskawiczne walizek i toreb podróżnych. Był

bez wątpienia rozpieszczony. W jego poprzednim życiu nie brakowało kłopotów i ryzyka, ale za to udawało mu się unikać zasadzek, jakie na każdym kroku czyhają na przeciętnego podróżnika. W drugim życiu natomiast szamotał się jak w klatce. No, może niezupełnie tak.

Trzeba było przecież zdążyć na każde umówione spotkanie, nieustannie kontaktować się z bazą, płacić informatorom. Nierzadko nocą, w mrocznych zakamarkach, żeby nie tyle samemu nie widzieć, ile nie być widzianym. A teraz, od niespełna dwóch miesięcy, prawdziwie cudowna odmiana! Spacerował do woli w biały dzień, ot choćby dzisiaj szedł po Damrak w Amsterdamie do biura American Express. Ciekaw był, czy zostanie depeszę. Jeśli tak, będzie to oznaczało początek czegoś nowego... Konkretny początek. Nową pracę.

Całkiem jawną. Trzy miesiące upłynęły od tej nocy na Costa Brava, dwa miesiące i pięć dni od zakończenia służbowego „czyścica” i oficjalnego rozstania z rządem. Pojechał do Waszyngtonu prosto z kliniki w Wirginii, gdzie poddano go dwunastodniowej terapii.

Próbowali się czegoś u niego doszukać, ale zmarnowali tylko czas. Mogli oszczędzić sobie trudu. Po prostu przestało go to bawić. Czy nie mogli tego zrozumieć? Wyszedł z gmachu Departamentu Stanu jako człowiek wolny, a także... bezrobotny. Obywatel bez emerytury, z odprawą, która bynajmniej nie gwarantowała dożywotniego utrzymania. Pomyślał więc, że prędzej czy później trzeba będzie znaleźć pracę, taką pracę, gdzie mógłby krzewić naukę...

no, może na początek, powiedzmy nauczkę. Ale jeszcze miał czas. Na razie poprzestanie na minimum potrzebnym człowiekowi do przyzwoitej egzystencji. Będzie też podróżował, powróci do tych wszystkich miejsc, których nie miał okazji naprawdę zwiedzić... za dnia.

Przeczyta najzwyczajniej w świecie - zamiast mozolnego odczytywania szyfrów, studiowania planów, wertowania tajnych kartotek te wszystkie książki, których nie ruszył od czasów uniwersyteckich. Jeżeli już ma uczyć ludzi czegokolwiek, musi odświeżyć całą masę wiadomości, które przez ostatnie lata wyleciały mu z głowy. Ale tego dnia o czwartej po południu miał ochotę tylko na jedno - chciał zjeść porządny obiad. Po dwunastu dniach terapii, łykania kolorowych pigułek i przestrzegania ścisłej diety ślinka mu leciała na samą myśl o normalnym, ludzkim posiłku. Właśnie

zamierzał wrócić do hotelu, wziąć prysznic i przebrać się, gdy ulicą przejechała wolniutko taksówka. W jej szybach odbijało się słońce, nie było więc widać, czy jest zajęta. Zatrzymała się przy krawężniku, tuż przed Michaeliem - na jego znak. Tak przypuszczał. Z samochodu wysiadł jednak pośpiesznie jakiś urzędnik z dyplomatką w ręku i z roztargnieniem szukał portfela. Zrazu nie rozpoznali się. Michael myślał o restauracji, tamten o należności dla taksówkarza.

- Havelock? - wykrzyknął raptem pasażer, poprawiając okulary.

- Czy mnie wzrok nie myli, Michael?

- Harry? Harry Lewis?

- Zgadza się. Co słysząc, M.H.? Harry należał do tych nielicznych znajomych - a nie widywał go często - którzy zwracali się do niego w taki właśnie sposób. Było to drobne dziwactwo z czasów uniwersyteckich; obaj studiowali w Princeton. Michael wybrał pracę w rządzie, Harry karierę naukową. Dr Harry Lewis kierował katedrą nauk politycznych w małym, ale cenionym w kołach naukowych uniwersytecie w Nowej Anglii i bywał od czasu do czasu w Waszyngtonie jako konsultant Departamentu Stanu. Spotykali się przypadkowo, kiedy obaj akurat bawili w stolicy.

- W porządku. Wciąż pobierasz diety, Harry?

- Dużo rzadziej niż dawniej. Ktoś was musiał nauczyć, jak się czyta raporty personalne z naszych co bardziej ekskluzywnych uczelni.

- Mój Boże! Mnie to już nie dotyczy! Odpłynąłem z tej przystani! Profesora w okularach aż zatkało z wrażenia.

- Wolne żarty. Rozstajesz się z nimi? A ja sądziłem, że życia nie widzisz poza tą robotą.

- Wręcz przeciwnie, Harry. Życie zaczęło się dla mnie jakieś pięć, siedem minut temu, kiedy złożyłem decydujący podpis. A za dwie godziny pierwszy raz zapłacę za obiad z własnej kieszeni.

- I co zamierzasz dalej robić, Michael?

- Jeszcze się nie zastanawiałem i na razie nie będę sobie zawracał tym głowy.

Harry odwrócił się, zainkasował resztę od taksówkarza i powiedział w pośpiechu:

- Słuchaj, jestem już spóźniony. Muszę lecieć na górę, ale zostaję tu do jutra.

Wyplacili mi dietę, więc zapraszam cię na obiad. Gdzie się zatrzymałeś? Mam pewien pomysł i chciałbym z tobą pogadać.

Żadna, nawet najwyższa dieta rządowa nie pokryłaby rachunku za ten obiad, który zafundowali sobie

dwa miesiące i pięć dni temu. Niegdyś byli przyjaciółmi. Teraz przyjaźń odżyła, a Havelockowi łatwiej rozmawiało się z kimś, kto miał przynajmniej mgliste pojęcie, na czym polegała jego dotychczasowa praca, niż z kimś zupełnie nie wtajemniczonym.

Trudno bowiem wyjaśniać coś, czego w ogóle wyjaśniać nie należy. Lewis to rozumiał.

Słowo po słowie, doszli wreszcie do sedna sprawy.

- Nie korciło cię czasami, żeby wrócić na uczelnię? Michael uśmiechnął się.

- A jeśli powiem, że zawsze?

- Wiem, wiem - Lewis nie dawał za wygraną, podejrzewając ironię. - Tacy jak ty, mówi się o was chyba „duszki”, są zasypywani intratnymi propozycjami wielu międzynarodowych organizacji, dobrze o tym wiem. A ty, M.H., byłeś jednym z najlepszych.

Twoim doktoratem interesowało się kilkanaście uniwersyteckich wydawnictw. Prowadziłeś przecież nawet własne seminaria. Ze swoimi osiągnięciami naukowymi i latami późniejszej pracy w rządzie, w której szczególnie wolałbyś się, jak sądzę, nie wdawać, byłbyś bardzo mile widziany w mojej uczelni. Często się u nas słyszy: „Potrzebny nam ktoś, kto ma jakieś doświadczenie, a nie tylko teoretyk”. Niech ja skonam Michael, ale przecież właśnie ty...

Zgoda, kokosów u nas nie...

- Harry, nie musisz mnie dłużej przekonywać! Ja naprawdę myślę o powrocie. Tym razem Harry się uśmiechnął.

- W takim razie posłuchaj, co ci proponuję...

Tydzień później Havelock poleciał do Bostonu, a stamtąd samochodem dotarł do miasteczka uniwersyteckiego - zespołu porośniętych bluszczem budynków z cegły, otoczonych brzoźami - na przedmieściach Concord w stanie New Hampshire. Pierwsze cztery dni spędził u Harry'ego Lewisa i jego żony. Spacerował po okolicy, chodził na wykłady i seminaria, a także na spotkania z co ważniejszymi osobistościami z katedry naukowej i administracji, z których poparciem, jak twierdził Harry, należało się liczyć. Poglądy Michaela badano „nieoficjalnie” przy kawie, drinku lub proszonym obiedzie. Ludzie dawali mu do zrozumienia, że widzą w nim obiecującego kandydata. Lewis wypełnił swą misję bez zarzutu.

Wieczorem czwartego dnia Harry oznajmił podczas lunchu:

- Spodobałeś się im!

- Cóż w tym dziwnego? - wtrąciła jego żona. - Cholernie miły z niego chłop.

- Ba! Są zachwyceni. Tak, jak ci wtedy mówiłem, ważne jest, gdzie dotąd byłeś.

Szesnaście lat w Departamencie Stanu robi jak najlepsze wrażenie.

- No, i...

- Za osiem tygodni odbędzie się doroczne posiedzenie zarządu. Główny punkt programu to podaż i popyt na świeże kadry. Myślę, że zaproponują ci pracę. Gdzie cię szukać?

- Będę podróżował. Sam do ciebie zadzwonię.

Tak też się stało. Odezwał się do Harry'ego dwa dni temu. Niestety, obrady jeszcze trwały, ale Lewis był przekonany, że decyzja zapadnie lada chwila.

- Zadepesuj do Am Ex w Amsterdamie - powiedział Michael. I dziękuję za wszystko.

Szklane wahadłowe drzwi biura American Express otworzyły się i prosto na niego wyszła para rodaków. Mężczyzna przeliczał pieniądze, przytrzymując spadające mu wciąż z ramion paski dwóch aparatów fotograficznych. Havelock przystanął, namyślając się, czy naprawdę chce wejść do środka. Jeśli depesza już nadeszła, znajdzie w niej albo odmowę, albo propozycję angażu. Jeśli odmowę, będzie się dalej włóczył po świecie - co miało swoje dobre strony. Takie bierne unoszenie się z prądem, bez żadnych planów, stało się dlań w ostatnim czasie cenną wartością. Jeśli zaś przyjdzie oferta, co wtedy? Czy był już gotów? Czy nie za wcześnie na decyzję? Nie takie decyzje, jakie podejmował przez poprzednie lata -

dyktował je po prostu instynkt przeżycia - ale taką, która wymaga pewnego rodzaju poświęcenia. Czy będzie go na nie stać? I gdzie podziały się wczorajsze zobowiązania? Wziął

głęboki oddech i podeszedł do szklanych drzwi.

„Etat kontraktowego profesora na okres dwóch lat od zaraz. Stała profesura do uzgodnienia przez obie strony po wygaśnięciu kontraktu. Pensja na początek - dwadzieścia siedem. Muszę mieć Twoją odpowiedź do dziesięciu dni. Nie trzymaj mnie w niepewności.

Twój Harry” Michael złożył depeszę i wsadził ją do kieszeni. Nie wrócił już do okienka, by nadać odpowiedź. Przyjdzie jeszcze na to czas. Na razie wystarczyło mu, że go chcą, że zaczęło się coś nowego. Upłynie kilka dni, nim w pełni uświadomi sobie autentyczność swojego nowego wcielenia, a następnych kilka dni, nim się z tym oswoi. Wyszedł na Damrak, wdychając zimne powietrze Amsterdamu, czując powiewy wilgotnego chłodu znad kanału.

Słońce już zachodziło, pomarańczowa kula skryła się za niską chmurą, by wynurzyć się po chwili i przebić promieniami zasłone mgły. Havelockowi przypomniał się ów świt nad oceanem na Costa Brava. Przeczekał tam całą noc, aż słońce wytoczyło się nad horyzont i stopiło nadwodne opary. Podeszedł na pobocze drogi i patrzył na piasek, na ziemię... Stop! Nie myśl o tym. To było w innym życiu. Przed dwoma miesiącami i pięcioma dniami przez zwykły przypadek Harry Lewis wysiadł z taksówki i zapoczątkował nową epokę w życiu starego przyjaciela. Teraz trzeba było ostatecznie zdecydować się na tę zmianę. Michael już wiedział, że podejmie wyzwanie, ale czegoś mu brakowało. Takie przełomowe zmiany dobrze jest przeżywać wspólnie z kimś bliskim, a nikogo

bliskiego przy sobie nie miał.

Nikogo, kto zapytałby: „A czego ty będziesz uczył?”

Odziany w czarny frak kelner w „Dikker en Thijs” przetaił brzeg kieliszka. Teraz wleje składniki cafe Jamique i zapali zawartość. Był to idiotyczny kaprys, kończący się zmarnowaniem wykwiutnego likieru, ale owego pamiętnego wieczoru w Waszyngtonie Harry Lewis nalegał, żeby obaj spróbowali tego trunku. Teraz powtarzał ten rytuał w Amsterdamie.

- Dziękuję ci, Harry - powiedział do siebie szeptem, gdy kelner się oddalił, i trącił się kieliszkiem z niewidocznym kompanem. - Lepsze to, niż siedzieć zupełnie samemu...

W tej chwili poczuł czyjąś obecność, a jednocześnie kątem oka zauważył

powiększający się cień. Postać w tradycyjnym garniturze w cienkie prążki przemykała do jego stolika. Havelock odstawił kieliszek i podniósł wzrok. Facet miał na imię George.

Kierował placówką CIA w Amsterdamie. W swoim czasie pracowali razem, nie zawsze było miło, ale przynajmniej fachowo.

- Można i tak zapowiedzieć swój przyjazd - powiedział, spoglądając na kelnerski stolik na kółkach.

- Pozwolisz, że się przysiądę?

- Cała przyjemność po mojej stronie. Co u ciebie słychać, George?

- Bywało lepiej - odparł przybysz, zajmując miejsce naprzeciwko Michaela.

- Współczuję. Napijesz się?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak długo tu zostanę.

- Nie znam tego szyfru - powiedział Havelock. - Czy mam przez to rozumieć, że jeszcze pracujesz?

- Nie wiedziałem, że mam robotę przeliczaną na godziny...

- Zgoda. Jasne, że nie. A więc to z powodu mojej obecności?

- Może tak, może nie, choć prawdę mówiąc, nie sądziłem, że cię tu zastanę. Słyszałem tylko, że odszedłeś na emeryturę.

- Dobrze słyszałeś.

- To dlaczego tu jesteś?

- A dlaczego nie? Podróżuję sobie. A oprócz tego naprawdę lubię Amsterdam. Do tego stopnia, że całą odprawę wydam pewnie na zwiedzanie tych przyjemnych miejsc, które rzadko oglądałem w świetle dziennym.

- Powiedzieć można wszystko, co nie znaczy, że każdy zaraz musi w to uwierzyć.

- Uwierz, bo mówię prawdę.

- To nie jest twoja nowa bajeczka? - George zaciekawionymi oczyma wpatrywał się w Michaela. - Ale po co pytam, przecież i tak się dowiem.

- Koniec z bajeczkami, wypadłem z gry i jestem chwilowo bezrobotny. Sprawdź, to się dowiesz, ale szkoda czasu na połączenie z Langley. Przypuszczam, że szyfry związane z moją działalnością zostały zmienione, a wszyscy informatorzy ostrzeżeni przed kontaktami.

Posłuchaj, George, każdy, kto się ze mną zadaje, szybko pójdzie z torbami i to być może prosto na swój cichy pogrzeb. Nie zawracaj więc sobie głowy. I tak nic nie znajdziesz.

- Dobra. Powiedzmy, że ci wierzę. Jeździsz sobie po świecie i wydajesz forszę z odprawy - przerwał i nachylił się do Michaela.

- Ale ona już wkrótce się skończy.

- Co się skończy?

- Twoja gotówka.

- Niestety... więc wtedy poszukam sobie godziwej, płatnej roboty. Nawiasem mówiąc, właśnie ostatnio...

- Po co czekać? Już dzisiaj mogę ci w tym pomóc.

- Nie, George, nie możesz. Nie mam nic do sprzedania.

- Owszem, masz. Doświadczenie i wiedzę. Dostaniesz pensję konsultanta z funduszu specjalnego. Bez nazwiska, bez kartotek, żadnych śladów.

- Jeżeli to podpucha...

- Żadna tam podpucha. Zapłacę, choćby po to, żeby wyglądać na lepszego, niż jestem.

Nie mówiłbym ci tego, gdybym cię podpuszczał.

- Może i nie, bo byłbyś skończonym idiotą. To trzecioliigowa zagrywka. Tak partaczysz, że chyba mówisz serio. Nikt z nas nie ma ochoty zawracać sobie głowy drobiazgowym sprawdzaniem

funduszu specjalnego, prawda?

- Zgoda, nie gram w twojej lidze, ale też nie aż w trzeciej. Potrzebuję pomocy. Albo ściślej my potrzebujemy pomocy.

- No, teraz już lepiej. Połechtaliśmy moją próżność.

- Zastanów się, Michael. KGB panoszy się w Hadze. Nie wiemy, kogo już kupili i jak wysoko zaszli. NATO jest skompromitowane.

- Wszyscy jesteśmy skompromitowani, George, i ja naprawdę już nic na to nie poradzę. Tej gry w klasy i tak nikt nie wygra. Skaczymy na piąty kwadrat, spychając ich na czwarty, wtedy oni przeskakują na siódmy. Kupujemy sobie miejsce w kwadracie ósmym, a oni blokują nas na dziewiątym i nikt w końcu nie wskakuje na dziesiąty. Chłopcy drapią się w głowę, szukają nowej taktyki i gra zaczyna się od nowa. W przerwie oplakujemy nasze straty, wystawiamy laurki bohaterom, ale nikt jakoś nie zauważa, że nic się właściwie nie zmieniło.

- Gównu prawda! Nie damy się nikomu pogrzebać.

- Ależ damy, George. Wszyscy. Pogrzebią nas „dzieci jeszcze nie zrodzone i nie poczęte”. Chyba, że okażą się mądrzejsze od nas, co jest bardzo prawdopodobne. Mam nadzieję, że tak będzie.

- O co ci chodzi, do cholery?

- Purpurowy atomowy testament krwawej wojny”.

- Co?!

- To już historia, George. Napijmy się.

- Nie, dziękuję. - Szef miejscowej placówki CIA przesunął się na brzeg kanapy. - I zdaje mi się, że tobie też wystarczy dodał, zbierając się do wyjścia.

- Jeszcze nie.

- Mam cię gdzieś, Havelock! - Oficer wywiadu obrócił się na pięcie.

- George.

- Co?

- Spudłowałeś. Chciałem ci powiedzieć, co mnie dziś spotkało, ale nie dałeś mi dokończyć.

- No i co z tego?

- To, że wiedziałeś, co ci chcę powiedzieć. Kiedy przechyliłeś depeszę? Koło południa?

- Odwal się.

Michael patrzył, jak George wraca do swojego stolika. Siedział przy nim sam, ale Havelock dobrze wiedział, że nie sam tutaj przyszedł. Następne trzy minuty potwierdziły, że miał dobrego nosa. George podpisał rachunek - błąd w sztuce - i szybkim krokiem wyszedł do szatni. Po czterdziestu pięciu sekundach młody człowiek przy stoliku po prawej stronie sali podniósł się do wyjścia i wyprowadził pod rękę zdumioną damę. Ledwie upłynęła następna minuta, a od stolika po lewej wstało jak na komendę dwóch mężczyzn i skierowało się do drzwi. W słabym świetle świec Michael skupił wzrok na pozostawionych przez nich talerzach. Oba pełne były jedzenia. Znowu niewybaczalny błąd w sztuce! To jasne, że deptali mu po piętach, obserwowali, przechwytywali korespondencję. Ale po co to robili? Dlaczego nie dadzą mu spokoju? Jedno z tego wynikało niezbicie: Amsterdam miał już z głowy.

Południowe słońce w Paryżu było oślepiająco żółte. Drżące promienie odbijały się w lustrze Sekwany. Havelock doszedł do połowy Point Royal i miał jeszcze parę kroków do swojego hoteliku przy rue du Bac. Wybrał najzwyczajniejszą trasę z Luwru. Wiedział, że nie powinien zbaczać, aby ktokolwiek, kto za nim szedł, nie domyślił się, że podejrzewa czyjąś obecność. Już wcześniej zauważył taksówkę, tę samą, która dwukrotnie manewrowała w dużym tłoku, żeby nie stracić go z oczu. Ktokolwiek wydawał komendy kierowcy, znał się na rzeczy. Taksówka zatrzymała się na rogu na niespełna dwie lub trzy sekundy i zaraz pomknęła w przeciwnym kierunku. A to oznaczało, że ktoś, kto go śledził, szedł teraz za nim piechotą po zatłoczonym moście. Jeżeli chodziło o kontakt, w tłumie zawsze łatwiej, zwłaszcza na moście. Ludzie przystawali tam, by w zamyśleniu gapić się na leniwie płynące wody Sekwany. Robili to zresztą na wszystkich mostach świata. Można tu było prowadzić najdyskretniejsze rozmowy. Michael przystanął, pochylił się nad sięgającym do piersi murem, który spełniał rolę bariery, i zapalił papierosa. Postronny obserwator mógłby go wziąć za przechodnia, który gapi się na wpływający pod most bateau mouche i macha ręką do pasażerów na pokładzie. Ale to były tylko pozory. Michael udając, że przysłania ręką oczy przed słońcem - obserwował zbliżającą się z prawej strony wysoką postać. Już z daleka zauważył elegancki, szary kapelusz, palto z aksamitnym kołnierzem i lśniące, czarne, skórzane lakierki. To mu wystarczyło. Nadchodzący mężczyzna był samą kwintesencją paryskiego szyku, bogactwa i wytworności. O jego względy zabiegały bogate salony całej Europy. Nazywał się Gravet. Cieszył się przy tym opinią najlepszego krytyka sztuki klasycznej w Paryżu, a przeto i na całym kontynencie. Jedynie w ściśle wtajemniczonym gronie wiadomo było, że sprzedaje o wiele więcej niż swą wiedzę z zakresu historii sztuki.

Mężczyzna zatrzymał się przy murku siedem stóp na prawo od Havelocka i poprawił aksamitny kołnierz.

- Byłem prawie pewien, że to ty. Idę za tobą od rue Bernard - mówił na tyle głośno, żeby tylko Michael go słyszał.

- Wiem. O co ci chodzi?

- A ja pytam, o co tobie chodzi? Dlaczego kręcisz się po Paryżu? Dano nam do zrozumienia, że już nie działasz. Między nami mówiąc, mamy się trzymać od ciebie z daleka.
- I meldować o każdym kontakcie z mojej inicjatywy, czy tak? - Zgadza się.
- A ty podchodzisz do sprawy dokładnie odwrotnie i kontaktujesz się ze mną. To chyba niezbyt mądre posunięcie, prawda?
- Drobne ryzyko, a gra być może warta świeczki - powiedział wyprostowany jak struna Gravet, rozglądając się ostrożnie dookoła.
- Znamy się nie od dziś, Michael. Nikt mi nie wmówi, że przyjechałeś do Paryża tylko po to, żeby się kulturalnie odrodzić.
- I słusznie. Kto tu mówi, że po to?
- Byłeś w Luwrze dokładnie przez dwadzieścia siedem minut. Za krótko, żeby nasycić duszę sztuką, ale w sam raz, by spotkać się z kimś w ciemnej zatłoczonej sali wystawowej, powiedzmy ostatniej na trzecim piętrze. Havelock wybuchnął śmiechem.
- Posłuchaj, Gravet...
- Nie odwracaj się do mnie, błagam! Patrz na rzekę.
- Chciałem sobie obejrzeć kolekcję mezzotint, ale nie mogłem precyzyjnie się przez wycieczkę z Prowansji, więc wyszedłem.
- Zawsze byłeś bystry, podziwiałem cię za to. Skąd więc ten nagły ostrzegawczy alarm: „Już nie pracuje. Unikać kontaktów”.
- Wszystko się zgadza.
- Nie wiem, czemu służy ta twoja nowa zasłona - ciągnął Gravet, strzepując kurz z rękawów - ale po skali całego przedsięwzięcia mniemam, że pracujesz nadal, i to w doborowym towarzystwie. Ja zaś dysponuję nie byle jakim zasobem informacji. Im bardziej dystyngowani są moi klienci, tym cenniejsze moje usługi.
- Tracisz czas. Już nic nie kupuję. Unikaj mnie.
- Nie bądź śmieszny. Nawet nie wiesz, co mam do zaoferowania. Gdzie spojrzeć, dzieją się niesamowite rzeczy. Sprzymierzeńcy stają się wrogami, wrogowie sprzymierzeńcami. Płonie Zatoka Perska, a cała Afryka miota się między młotem a kowadłem. Układ Warszawski ma dziury, o jakich nawet ci się nie śniło, a Waszyngton realizuje dziesiątki bezskutecznych strategii, którym dorównuje jedynie bezmyślność Sowietów. Najświeższe dowody ich tępoty mógłbym cytować z pamięci. Nie pożalujesz, Michael. Płać, a znajdziesz jeszcze wyżej.

- Po co miałbym wchodzić jeszcze wyżej, skoro właśnie zdecydowałem się zejść?
- Nie kpij sobie ze mnie. Jesteś jeszcze młody, nie dadzą ci tak sobie odejść.
- Mam to gdzieś! Mogą mnie śledzić, ale nie mogą do niczego zmusić! I tak już zrezygnowałem z przyzwoitej emerytury.
- Nie rozśmieszaj mnie. Wszyscy przecież macie konta w odległych, ale dostępnych zakątkach świata, to żadna tajemnica. Lipne odpisy z funduszu specjalnego, ściśle tajne wypłaty dla nie istniejących informatorów, należności za nagłe wyjazdy albo pilnie potrzebne dokumenty. O emeryturę mogłeś być już spokojny, kiedy stuknęło ci trzydzieści pięć lat.
- Przeceniasz mój talent i finansowe zasoby - powiedział Havelock z uśmiechem.
- Albo trzymasz w zanadrzu pękata teczkę - mówił Francuz, puszczając słowa Michaela mimo uszu - zawierającą szczegóły, powiedzmy, rozwiązań strategicznych, które siłą rzeczy opisują konkretne akcje i personel. Teczka dobrze ukryta przed najbardziej zainteresowanymi. Havelockowi zgasł uśmiech na twarzy, ale Gravel nie dawał za wygraną.
- Rzecz jasna, to nie to samo, co pokaźna gotówka, ale - co równie ważne -
wzmocnienie poczucia bezpieczeństwa.
- Tracisz czas, człowieku. Wszedłem z gry. Jeśli masz coś cennego, dostaniesz godziwą zapłatę. Dobrze wiesz, z kim możesz dobić targu.
- To są tchórzliwi drugoligowcy. Żaden z nich nie ma, tak jak ty, bezpośredniego dojścia do... ośrodków determinacji, że tak powiem.
- Ja już nie mam.
- Nie wierzę. Jesteś jedynym człowiekiem w Europie, który rozmawia sam na sam w Anthonem Matthiasem.
- Jego w to nie mieszaj. A jeśli jesteś ciekaw, nie rozmawiałem z nim od wielu miesięcy. Havelock nagle się wyprostował.
- Łapiemy taksówkę i jedziemy do ambasady. Znam tam parę osób. Przedstawię cię wysokiemu rangą attach i powiem, że masz towar do sprzedania. Bo ja nie mam ani środków, ani ochoty, żeby go kupować. Zgoda?
- Przecież wiesz, że nie mogę na to pójść! I błagam... Gravel nie skończył prośby.
- Już dobrze, dobrze. - Michael znów oparł się na murku i patrzył w rzekę. - W takim razie podaj mi swój telefon albo miejsce kontaktowe. Podłączę cię na podsłuch.
- Co ty wyprawiasz? Po co te zagrywki?

- To nie żadne zagrywki. Sam powiedziałeś, że znamy się nie od dziś. Zrobię ci przysługę i może się wtedy przekonasz. Może przekonasz też innych, jeżeli będą pytać. Albo nawet jeżeli nie będą pytać. Co ty na to?

Francuz, opierając się wciąż o mur, wykręcił szyję i spojrzał na Havelocka.

- Nie dziękuję, Michael. Głowy bym nie dał, ale ci wierzę. Przecież nie sypnąłbyś takiego informatora jak ja, nawet pierwszemu attach . Siedzę w tym wszystkim za głęboko, jestem zbyt cenny. Mógłbym ci się przydać. Tak, jednak ci wierzę.

- Pomóż mi. Nie trzymaj tego w tajemnicy.

- A twoi odpowiednicy z KGB? Czy oni uwierzą?

- Z pewnością. Ich kapusie donieśli co trzeba na Plac Dzierżyńskiego w Moskwie, zanim jeszcze podpisałem wypowiedzenie.

- Będą podejrzewali, że to lipa.

- Tym bardziej dadzą mi spokój. Po co połykać zatrutą przynętę?

- Mają sposoby. Wy też zresztą.

- Nie powiem im nic, o czym nie wiedzą, a to, co wiem i tak już zostało zmienione.

Zabawna rzecz: naszym przeciwnikom nic z mojej strony nie grozi. Nie będę ryzykować dla tych paru nazwisk, które by ze mnie wycisnęli. Zaraz odplacono by im pięknym za nadobne.

- Ponieśli przez ciebie wielkie straty. A dodatkowo liczy się podrażniona duma. I zemsta. Ludzie są tylko ludźmi.

- Nie sądzę. Rachunki krzywd zostały już wyrównane, a poza tym, mówię ci, że nie jestem wart zachodu. Oni nic na tym nie zyskają. Nie zabija się przecież bez powodu. Nikt nie ma ochoty odpowiadać za skutki. Czyste wariactwo, prawda? Królowa Wiktorja się kłania.

Przestaniesz działać - idziesz w odstawkę. Może kiedyś spotkamy się wszyscy w wielkim czarnym gabinecie planów strategicznych w piekle i wypijemy wspólne zdrowie, ale póki jesteśmy tutaj, to tak, jakby nas w ogóle nie było. I to jest nasz paradoks, nasza daremność, Gravel. Wypadamy z gry i już nas nic nie obchodzi. Nie mamy już powodów do nienawiści, do zabijania.

- Zgrabnie to ująłeś, przyjacielu. Widać, że wszystko sobie dokładnie przemyślałeś.

- Ostatnio miałem więcej czasu.

- Są tacy, których nadzwyczaj interesują twoje nowe obserwacje, twoje wnioski. I trudno im się

dziwić. Wszak jest to maniakalno-depresyjnie nastawiony naród. Dziś osowiały, jutro szaleje z radości. Najpierw żądny krwi, za chwilę nuci pieśni o ziemi i żalu. Z częstymi objawami paranoi. Ciemniejsze strony mojego klasycyzmu, jak mniemam. Ostre przekątne Delacroix, przecinające wielorasową, zagmatwaną mentalność narodową, tak głęboko zakorzenioną, tak pełną sprzeczności. Tak nieufną... tak sowiecką. Havelock wstrzymał

oddech i spojrzał Gravetowi prosto w oczy.

- Dlaczego zdecydowałaś się na spotkanie ze mną?

- Jak dotąd nic się nie stało. Gdybym wiedział, że coś ci grozi, kto wie, co bym im powiedział? Ale właśnie dlatego, że ci wierzę, wyjaśniam po prostu, po co cię sprawdzam.

- Moskwa sądzi, że dalej działałam?

- Przekażę im własną opinię, że nie. Uwierzą czy nie, to już inna sprawa.

- Dlaczego nie mieliby uwierzyć? - spytał Havelock, nie odrywając oczu od wody.

- Nie mam pojęcia. Będzie mi ciebie brak, Michael. Zawsze byłeś kulturalnym człowiekiem. Trudnym, ale kulturalnym. Wszak nie jesteś rodowitym Amerykaninem, przyznaj. Prawdziwy z ciebie Europejczyk.

- Jestem Amerykaninem - powiedział cicho Havelock. Z krwi i kości.

- Dobrze przysłużyłeś się Ameryce, trzeba przyznać. Jeśli zmienisz zdanie albo zmienią je za ciebie, daj mi znać. Zawsze się dogadamy.

- Raczej nie, ale dziękuję.

- Nie jest to zdecydowana odmowa. Dobre i to.

- Jestem uprzejmy.

- Kulturalny. Au'voir, Michaił... Wolę nazywać cię tak, jak cię ochrzcili.

Havelock powoli odwrócił głowę i patrzył, jak Gravet z wystudiowaną gracją idzie trotuarem Point Royal ku wejściu na most. Ten wytworny Francuz dał się namówić na przesłuchanie ludziom, którymi się brzydził. Musieli mu bardzo dobrze zapłacić. Ale dlaczego? CIA była w Amsterdamie i nie uwierzyła mu. KGB było w Paryżu i też mu nie wierzyło. Dlaczego? Więc Paryż też z głowy. Dokąd za nim pójdą, by trzymać go pod mikroskopem niczym mikroba, z którym nie wiadomo co zrobić? Arethusa Delphi był

jednym z tych hotelików nie opodal Placu Syntagma w Atenach, które ani na chwilę nie pozwalają przybyszowi zapomnieć, że jest w Grecji. W pokojach biel na lśniącej bieli. Z

białymi ścianami, meblami i dzielącymi pokój kurtynkami z koralików kontrastowały jedynie oprawne w tandetne plastikowe ramki jaskrawe obrazki olejne. A na nich zabytki antyku: świątynie, agory i wyrocznia, wypacykowane przez pocztówkowych artystów. Każdy pokój miał parę wąskich, podwójnych drzwi, wychodzących na miniaturowy balkonik, na którym ledwie mieściły się dwa foteliki i lilipuci stolik, gdzie podawano gościom poranną kawę.

Korytarze i windy bezustannie dudniły pulsującym rytmem greckiej muzyki ludowej, z cymbałami na pierwszym planie. Havelock wyszedł z windy wraz z kobietą o oliwkowej karnacji i gdy drzwi się za nimi zasunęły, zastygli oboje w bezruchu, nasłuchując z udawanym napięciem. Muzyka ucichła, odetchnęli z ulgą.

- Zorba się zmęczył. - Michael wskazał drzwi swojego pokoju po lewej stronie.

- Świat chyba sądzi, że mamy doszczętnie zszargane nerwy powiedziała kobieta z rozbawieniem, dotykając czarnych włosów i wygładzając długą, białą suknię, która podkreślała kolor jej skóry, uwydatniała kształtne piersi i smukłą linię ciała. Mówiła po angielsku z mocnym akcentem, częstym na tych śródziemnomorskich wysepkach, gdzie używają życia śródziemnomorscy bogacze. Była wysoko cenioną kurtyzana, o której względy ubiegali się książęta i rekiny finansjery, a równocześnie pocziwą kurewką z niezłym poczuciem humoru i przebłyskami inteligencji. Kobieta, która wiedziała, że czas w jej zawodzie nie pracuje dla niej.

- Wybawiłeś mnie z opresji - szepnęła, ściskając rękę Havelocka, gdy szli do pokoju.

- Raczej brutalnie porwałem.

- Te słowa często znaczą to samo - odparła roześmiana. W jego wyczynie było coś z jednego i drugiego. Na Marathonos spotkał człowieka, z którym przed pięciu laty pracował w sektorze Thermaikós. Tego samego dnia wieczorem w kawiarni na Placu Syntagma odbywało się przyjęcie. Nie mając nic lepszego do roboty, Havelock przyjął zaproszenie. Tam też właśnie zobaczył tę kobietę w towarzystwie znacznie od niej starszego, nadzianego forszą gburowatego faceta. Ouzo i bazouki szumiały już dobrze w głowach. Havelocka i kobietę posadzono obok siebie. Ich ręce i nogi dotykały się, wymieniali spojrzenia... Dalszy ciąg nietrudno odgadnąć. Michael i wyspowa piękność wymknęli się niepostrzeżenie.

- Jutro pewnie natknę się na twojego wściekłego ateńczyka powiedział Havelock, otwierając drzwi i zapraszając kobietę do pokoju.

- Nie bądź śmieszny - zaprotestowała. - To nie jest żaden dżentelmen. Pochodzi z Epidauru, a w Epidaurze tacy nie mieszkają. Jest zwyczajnym nieokrzesanym wieśniakiem, który napchał sobie kieszenie za rządów pułkowników. To jeden z obrzydliwych skutków tego reżimu.

- W Atenach - rzekł Michael, podchodząc do kredensu po butelkę wybornej whisky i kieliszki - szanujący się turysta winien trzymać się z dala od epidaurejczyków. Napelnił

kieliszki.

- Byłeś już w Atenach?

- Kilka razy.

- W interesach? Czym się zajmujesz?

- Kupuję. Sprzedaję.

Havelock wrócił z drinkami. Zobaczył to, co chciał zobaczyć, choć nie spodziewał się, że aż tak szybko. Kobieta zdążyła już zrzucić jedwabną pelerynkę i starannie ułożyć ją na krześle. Rozpinała teraz suknię, odsłaniając powoli i zapraszająco krągłe piersi.

- Mnie jeszcze nie kupiłeś - powiedziała, biorąc drugą ręką kieliszek. - Przyszłam tu z własnej woli. Efharistó, Michaelu Havelock. Dobrze wymawiam twoje nazwisko?

- Cudownie.

Delikatnie trąciła się z nim kieliszkiem i unosząc rękę, położyła mu palce na ustach, potem na policzku, wreszcie objęła go za szyję i przyciągnęła jego twarz do swojej. Całował jej rozchylone usta, pobudzony wilgotnością warg i dotykiem miękkich wypukłości jej ciała.

Przytuliła go mocno do siebie, kładąc jego lewą rękę na piersi pod rozpiętą suknią.

Przechyliła się do tyłu, głęboko oddychając.

- Gdzie jest łazienka? Ubiorę coś mniej...

- Tam.

- A ty? Ty też włóż „coś mniej”. Spotkamy się w łóżku. Już nie mogę się doczekać.

Jesteś bardzo, ale to bardzo ponętny... Zdjęła pelerynkę z krzesła i przeszła lekkim, zmysłowym krokiem do drzwi. Weszła do łazienki, spoglądając na niego przez ramię. Jej oczy mówiły to, co nie było zapewne prawdą, ale co i tak zapowiadało niezłą noc.

Doświadczona kurewka odegra tu, nie wiedzieć z jakich powodów, swoje przedstawienie, a on pragnął poddać się tej grze. Rozebrał się do slipek, wziął drinka do łóżka, odrzucił kapę i koc. Wszedł pod koldrę i odwracając się do ściany, sięgnął po papierosa.

- Dobry wieczór, prijatelj. Na dźwięk niskiego, męskiego głosu Havelock przewrócił się na drugi bok i instynktownie sięgnął po broń - broń, której nie było na miejscu. W drzwiach łazienki stał łysawy osobnik. Michael znał jego twarz z niezliczonych fotografii.

Był to człowiek Moskwy, jeden z najmocniejszych w sowieckim KGB. Trzymał w ręku pistolet, czarną, automatyczną grazburię. Rozległ się metaliczny szczęk i broń była już odbezpieczona.

3

- Jesteś wolna - powiedział Rosjanin do kryjącej się za jego plecami kobiety.

Wymknęła się z łazienki i spojrzawszy przeciągle na Havelocka, podbiegła do drzwi i zniknęła za nimi.

- Nazywasz się Rostow. Piotr Rostow. Dyrektor Departamentu Strategii Międzynarodowej. KGB. Moskwa. - Twoja twarz i nazwisko też nie są mi obce. A także twoje akta osobowe.

- Zadałeś sobie wiele trudu, prijatiel - zauważył Michael, wypowiadając rosyjskie słowo tak chłodno, że przeczyło swemu znaczeniu.

Potrząsnął głową, żeby strzepnąć otumaniającą go jeszcze nieco mgiełkę, pozostałość po ouzo i whisky.

- Równie dobrze mogłeś złapać mnie za rękaw na ulicy i zaprosić na drinka. Nie wyciągnąłbyś ze mnie ani mniej, ani więcej, a już na pewno nic cennego. Chyba, że to dla ciebie niet gorja.

- Egzekucji nie będzie, Havliczek.

- Havelock.

- Syn Havliczka.

- Nie radzę ci przypominać mi o tym.

- To ja mam broń, a nie ty. - Rostow zabezpieczył pistolet, cały czas wycelowany jednak w głowę Michaela.

- Ale przecież to zamierzchłe czasy i ja z tym nie mam nic wspólnego. Bardzo interesują mnie natomiast twoje ostatnie posunięcia. Nas interesują.

- W takim razie twoi ludzie słabo się spisują.

- Przeciwnie! Gorliwie przesyłają meldunki z irytującą wprost częstotliwością, chociaż robią to może tylko po to, żeby mi się przypodobać. Kto wie, ile w nich prawdy.

- Jeżeli donoszą, że skończyłem zabawę w te klocki, to się zgadza.

- Skończyłeś? Słowo niby jednoznaczne, ale różnie można je interpretować. Z czym mianowicie skończyłeś? Może lepiej powiedz, że skończyłeś jeden etap, a zaczynasz drugi?

- Skończyłem ze wszystkim, co dotyczy ciebie.

- Sankcje dyscyplinarne? - zastanawiał się głośno oficer KGB.

Wszedł do pokoju i oparł się o ścianę, trzymając pistolet nadal wycelowany w Michaela, teraz w jego gardło.

- Zwolniono cię z oficjalnego stanowiska w rządzie? Trudno to zrozumieć. Swoją drogą twój przyjaciel Anthon Matthias musiał to ciężko przeżyć...

Michael przez chwilę obserwował twarz Rosjanina, a potem spojrzał na pistolet.

- Pewien Francuz też wspomniał Matthiasa, i to niedawno, więc powiem ci, co o tym myślę, choć właściwie nie wiem, po co. Zapłaciłeś mu, żeby w rozmowie padło to nazwisko.

- Gravet? On nami gardzi. Chyba że w wolny dzień zwiedza galerie Kremla albo Ermitaż w Leningradzie. Wtedy potrafi okazać nam nieco podziwu. A na co dzień można się po nim spodziewać wszystkiego najgorszego.

- To dlaczego się nim posłużyłeś?

- Bo darzy cię szacunkiem. Dużo łatwiej wykryć kłamstwo, gdy kłamca mówi o kimś, kogo lubi.

- Więc mu uwierzyłeś?

- To raczej ty go przekonałeś, a moi ludzie nie mieli już potem wyboru. Powiedz mi teraz, jak ten twój wspaniały i charyzmatyczny sekretarz stanu zareagował na rezygnację swojego krajana?

- Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że mnie zrozumiał. Dokładnie to samo powiedziałem Gravetowi. Z Matthiasem się nie widziałem, ani nie rozmawiałem od miesiący.

Ma dość zmartwień. Nie widzę powodu, żeby zawracać mu głowę sprawami jego dawnego studenta.

- Byłeś chyba dla niego kimś więcej niż tylko studentem. Jego rodzina przyjaźniła się z twoją rodziną w Pradze. Jesteś tym, kim jesteś...

- Byłem - wtrącił Havelock.

- Dzięki Anthonowi Matthiasowi - dokończył Rosjanin.

- To było dawno temu.

Rostow zamilkł. Opuścił nieco pistolet i po chwili milczenia powiedział:

- No dobrze, dawno temu. A teraz? Wprawdzie nie ma ludzi niezastąpionych, ty jednak jesteś bardzo

przydatnym facetem. Jesteś doświadczony i co jeszcze cenniejsze, skuteczny.

- Te zalety zazwyczaj wiążą się z osobistym zaangażowaniem. A tego już nie mam.

Powiedzmy, że ulotniło się.

- Czy mam rozumieć, że teraz już możesz ulec pokusie zaangażowania się w inną sprawę? - Agent KGB zniżył broń.

- Za dobrze mnie znasz, żeby tak myśleć. Pomijając moje osobiste urazy sprzed dwóch dziesiątek lat, mamy jeszcze wtyczkę lub dwie na Placu Dzierżyńskiego. Ani myślę być napiętnowany jako przypadek nie do uratowania.

- Co za obłuda! Czyżbyś zakładał współczucie swoich katów?

- Ni mniej, ni więcej...

- Błąd. - Rostow podniósł pistolet i zbliżył lufę do Havelocka. - Nam obce są takie słowne igraszki. Zdrajca jest zdrajcą. Przecież i tak mogę cię wziąć jak swego.

- To nie takie proste. - Michael ani drgnął. Patrzył Rosjaninowi prosto w oczy. -

Trzeba zjechać windą, przejść przez kilka korytarzy, potem przez ulicę. Za duże ryzyko.

Mógłbyś przegrać. Całą stawkę. Ja nie mam nic do stracenia, a w perspektywie najwyżej zaciszną celę na Łubiance.

- Pokój, nie celę. Nie jesteśmy barbarzyńcami.

- Przepraszam. Pokój. Taki sam, jaki zarezerwowaliśmy w Wirginii dla kogoś takiego jak ty. Ale jeśli takim, jak ty i ja uda się zdezerterować i nie stracić po drodze głowy, wszystko się zmienia. Szpikowanie amytalem czy innym pentotalem to tylko zastawianie na siebie pułapki.

- Są jeszcze wtyki. Nie wiem, kim są, tak jak ty nie wiedziałeś, kiedy jeszcze sam działałeś w terenie. Nikt ich nie zna po obu stronach tej barykady. Znamy tylko aktualne szyfry, hasła, które prowadzą nas tam, gdzie mamy dotrzeć. Te, które wyciągniecie ze mnie, są już bezwartościowe. Czy naprawdę chcesz mi wmówić, że człowiek z twoim doświadczeniem na nic już nie może się nam przydać?

- Tego nie powiedziałem - przerwał Havelock. - Mam tylko wątpliwości, czy gra warta jest ryzyka. Dobrze pamiętam ten numer, który wycięliście nam dwa lata temu.

Zdjęliśmy wtedy waszego człowieka i przemyciliśmy go przez Rygę do Finlandii, a stamtąd samolotem do pokoiku w Fairfax w stanie Wirginia. Tam wstrzyknięto mu wszystko, co trzeba, od skopolaminy po potrójną dawkę amytału, i powiedział nam bardzo dużo.

Zmieniono więc całą strategię, przebudowano wszystkie siatki, zrobiło się cholerne zamieszanie.

Dopiero później, zbyt późno, dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś: wszystko, co nam powiedział, było kłamstwem! Głowę miał zaprogramowaną jak dyskietka. Cenni ludzie poszli w odstawkę, zmarnowano masę czasu. Załóżmy, że uda się wam przerzucić mnie do Łubianki - w co wątpię - ale czy będziesz miał pewność, że nie jestem odpowiedzią na to, co wy nam wtedy zrobiliście?

- Nie chwaliłbyś się tym głośno. - Rostow cofnął nieco pistolet, ale cały czas trzymał go na tej samej wysokości.

- Tak sądzisz? A ja uważam, że to niezły pomysł. Poza tym, jeśli już o tym mowa, moi specje wynaleźli nową surowicę. Wiem tylko tyle, że wstrzykuje się ją w podstawę czaszki.

Od razu kasuje cały program. Podobno świetnie neutralizuje lobus occipitalis czy inną cholerę.

- Chcesz mnie zaskoczyć?

- Nie ma powodu. Może chcę oszczędzić naszym chlebodawcom niepotrzebnych rozczarowań. Czy to nie szlachetny cel? A może to wszystko lipa, może nie ma żadnej surowicy, żadnego zabezpieczenia i wszystko wymyśliłem na poczekaniu? To też jest możliwe.

Rosjanin uśmiechnął się.

- Chwatit! Rzeczywiście jesteś skończony! Zabawiasz nas tu wywodami, które mogą ci się fatalnie przysłużyć. Jesteś na dobrej drodze do farmy w waszym Grasnowie.

- Przecież to właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Czy wart jestem ryzyka?

- Przekonajmy się... Rostow błyskawicznie podrzucił broń lufą do góry, chwycił za kolbę i cisnął Havelockowi na łóżko. Michael złapał pistolet w powietrzu.

- Co mam zrobić z tym fantem?

- A co chciałbyś zrobić?

- Nic. Załóżmy, że pierwsze trzy naboje są z gumy wypełnionej farbą, poplamiałbym ci tylko ubranie.

Havelock zwolnił zatrząsk i magazynek wypadł na łóżko.

- Kiepski test. Powiedzmy, że iglica działa, maszynka narobi trochę hałasu i zaraz wpadnie tu z dwudziestu chrustików i zostanie ze mnie mokra plama.

- Iglica działa, a w hallu nikogo nie ma. Arethusa Delphi jest kontrolowana przez wasz obóz i dobrze strzeżona. Nie jestem taki głupi, żeby urządzić tu parady naszego personelu.

Dobrze o tym wiesz. I dlatego tu jesteś.

- Co chcesz sobie udowodnić?

Rosjanin znów się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

- Sam jeszcze dobrze nie wiem. Może chodziło mi o ten ledwie dostrzegalny błysk w oku. Kiedy wróg trzyma wycelowaną w ciebie spluwę i nagle ta spluwa znajdzie się w twoich rękach, instynkt nakazuje ci natychmiast wyeliminować przeciwnika, oczywiście zakładając, że wrogość jest odwzajemniona. A to widać w oczach. Tego nie da się ukryć nawet największym wysiłkiem woli.

- Co było w moich oczach?

- Całkowita obojętność. Może znużenie.

- Nie byłbym taki pewny, ale podziwiam twoją odwagę. Ja bym na to nie poszedł.

Iglica jest w porządku?

- W porządku.

- Nie ma ślepych naboii?

Rosjanin potrząsnął głową i uśmiechnął się z politowaniem.

- Magazynek jest pusty. Na ciebie miałem coś innego.

Podniósł lewą rękę, a prawą odwinął rękaw płaszcza. Do wewnętrznej strony nadgarstka przypiętą miał wąską, sięgającą łokcia lufę. Mechanizm spustowy działał przy zginaniu ręki.

- To narkotyczne strzałki. Przespałbyś jutro smacznie prawie cały boży dzień, a lekarz zaleciłby szpitalną obserwację twojego dziwnego osłabienia. Przerzucilibyśmy cię samolotem do Salonik, a stamtąd przez Dardanele do Sewastopola.

Mówiąc to, odpiął pasek nad nadgarstkiem i odłożył jadowitą broń. Havelock patrzył

na oficera KGB, wcale nie zbity z tropu.

- Rzeczywiście mogłeś mnie wziąć.

- Dopóki się nie spróbuje, nic nie wiadomo na pewno. Mogłem przecież spudłować za pierwszym razem, ty jesteś młodszy i silniejszy. Rzuciłbyś się na mnie i skreślił mi kark. Ale ja jednak miałem większe szanse.

- Dużo większe, więc dlaczego ich nie wykorzystałeś?

- Bo ty masz rację. Wcale cię nie chcę. Ryzyko istotnie jest zbyt duże, chociaż nie związane z tym, o

czym mówiłeś. Mamy inne powody. Musiałem po prostu poznać prawdę.

Teraz wiem na pewno, że nie pracujesz już dla swojego rządu.

- Więc o jakie ryzyko chodzi tym razem?

- Nie znam go do końca, ale wiem, że istnieje. Ostatecznie wszystko, czego się w tej robocie nie rozumie, może być ryzykowne, ale przecież o tym nie muszę ci chyba mówić.

- Może jednak należy mi się jakieś wyjaśnienie, skoro zostałem przez ciebie ułaskawiony. Mówiąc krótko: dlaczego to zrobili?

- Dobrze, powiem ci, posłuchaj uważnie.

Oficer sowieckiego wywiadu zawahał się. Podeszedł zamyślony do podwójnych drzwi prowadzących na miniaturowy balkon i uchylił jedno skrzydło. Zaraz je jednak zamknął.

- Zacznę od najważniejszego - powiedział. - Nie jestem tu z rozkazu, nie dostałem też błogosławieństwa z Placu Dzierżyńskiego. Jeśli mam być szczery, moi zgrzybiali przełożeni są przekonani, że przyjechałem do Aten w całkiem innej sprawie. Możesz mi wierzyć albo nie.

- Za mało mam podstaw, by wierzyć albo nie. Ktoś jeszcze przecież musi o tym wiedzieć. Wy, jako „przedstawiciele narodu”, nie występujecie nigdy solo...

- Wiedzą tylko dwie osoby. Mój partner w Moskwie i nasz człowiek - wtyczka, rzecz jasna - w Waszyngtonie.

- Nie w Langley?

Rosjanin potrząsnął głową i odpowiedział cicho:

- W Białym Domu.

- To mi się podoba. A więc dwóch wysokich kantraliorów z KGB i sowiecka wtyka parę kroków od gabinetu prezydenta postanawiają ze mną pogadać, ale nie chcą mnie brać.

Mogą przerzucić mnie do Sewastopola, a stamtąd do pokoju w Łubiance, gdzie rozmowa okazałaby się z pewnością o wiele bardziej interesująca - rzecz jasna z ich punktu widzenia -

ale wolą tego nie robić. Za to rzecznik tych trzech, człowiek, którego znam tylko z fotografii i z grozą wijących opowieści, mówi mi, że obawia się nieokreślonego, ale podobno całkiem realnego ryzyka, związanego z moją osobą. W tej sytuacji zostawia mi wybór: powiedzieć albo nie, nie wiadomo zresztą czego ta spowiedź miałaby dotyczyć. Czy coś może pominąłem?

- Masz typowo słowiańską zdolność trafiania w sedno.

- Nie widzę w tym zasługi moich pradziadków. To tylko zwykły, zdrowy rozsądek. Ty mówiłeś, ja słuchałem. Tyle właśnie powiedziałaś, ile chciałeś powiedzieć. Ot i cała logika.

Rostow odszedł od drzwi balkonowych z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Niestety, właśnie tego mi brakuje. Logiki.

- Widzę, że zmieniamy temat.

- Owszem.

- O co chodzi?

- O ciebie. I o Costa Brava.

Havelock milczał. Miał w oczach gniew, ale zdołał się opanować.

- Mów dalej.

- Ta kobieta. To przez nią zrezygnowałeś ze służby, tak?

- Koniec rozmowy - rzucił szorstko Havelock. - Wynoś się.

- Opanuj się! - Rosjanin uniósł obie ręce na znak pojednania, a może był to błagalny gest. - Powinieneś mnie wysłuchać.

- Nie widzę powodu. Nie masz mi absolutnie nic ciekawego do powiedzenia. Możesz tylko przekazać WKR moje gratulacje. Zrobili kawał dobrej roboty. Ta kobieta najpierw wygrała, a potem przegrała. Nie ma tu już nic do dodania.

- Jest. WKR to zgraja maniaków - powiedział cicho, ale stanowczo Rosjanin. - Nie muszę ci tego mówić. Ty i ja stoimy po przeciwnych stronach barykady i żaden z nas nie ma zamiaru udawać, że jest inaczej, ale trzymamy się pewnych reguł gry. Nie jesteśmy śliniącymi się buldogami, lecz zawodowcami. żywimy do siebie elementarny szacunek, który być może wynika ze strachu, chociaż niekoniecznie. Chyba się nie mylę, prijatiel?

Nie spuszczała z siebie wzroku. Havelock skinął głową.

- Znam cię z kartotek, tak jak ty mnie. Wiem, że nie maczałeś w tym palców.

- Daremna i prowokacyjna śmierć pozostanie zawsze śmiercią. Niebezpieczną stratą, która obróci się z dziesięciokroć silniejszą furią przeciwko sprawcy.

- Powiedz to kolegom z WKR. Dla nich nie było w tym żadnej straty, jedynie czysta konieczność.

- Bandyci! - warknął Rostow ochryple. - Im się nie da nic wytłumaczyć. Wywodzą się w prostej linii od dawnych rzeźników z OGPU, są spadkobiercami tego niepoczytalnego mordercy Jagody. Tkwią

po uszy w urojeniach sprzed półwiecza, kiedy to Jagoda wykańczał

spokojniejszych, rozsądniejszych ludzi, bo nie mógł znieść ich braku fanatyzmu. Traktował ten brak jako zdradę zasad rewolucji. Czy ty masz pojęcie, co to jest WKR?

- Na tyle, żeby trzymać się od niej z dala i żywić nadzieję, że sami potraficie tę zarazę opanować.

- Niestety, nie mogę ci z ręką na sercu tego obiecać. Bo to tak, jakby z rozwrzeszczanej zgrai waszych prawicowych fanatyków utworzono z dnia na dzień nowy departament Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- U nas jeszcze działają hamulce i równowaga... Przynajmniej czasami. Gdyby taki departament powstał, co nie jest wykluczone, byłby pod stałą obserwacją i obstrzałem krytyki. Kontrolowano by jego fundusze, uzgadniano metody działania, aż wreszcie któregoś dnia całą bandę przepędzono by w diabły.

- Zdarzały się wam przecież potknięcia, różne działające całkiem nie w amerykańskim stylu komitety. Mieliście swoich McCarthych, plany Hustona, czystki w nieodpowiedzialnej prasie, zrujnowane kariery, przekreślone życiorysy. Tak, i w waszej historii zdarzały się brzydkie wpadki.

- Ale wszystkie miały krótki żywot. Za to u nas nie ma gułagów ani programów rehabilitacyjnych na wzór Łubianki. A nasza nieodpowiedzialna prasa potrafi raz po raz popisać się odpowiedzialnością. Dzięki niej upadł reżim aroganckich ważniaków. A na Kremlu starzy awanturnicy dalej siedzą na swoich stołkach.

- W obu obozach zdarzają się potknięcia. Ale my na szczęście jesteśmy o wiele młodszy. A przecież grzechy młodości puszcza się w niepamięć.

- Nie ma też u nas niczego - wtrącił Michael - co można by porównać z operacją „pomieniatczik”. Czegoś takiego nie tolerowałyby, ani tym bardziej finansował, najgorszy nawet kongres lub administracja.

- Jeszcze jeden paranoidalny pomysł! - krzyknął oficer KGB. - Podrzutki! - dodał

szydlerczo. - Skompromitowana strategia sprzed lat! Nie wierzysz chyba, że dzisiaj jeszcze ją stosujemy?

- Nie wierzę może aż tak, jak WKR. Ale z pewnością bardziej niż ty. Jeżeli oczywiście nie kłamiesz.

- Daj spokój, Havelock! Rosyjskie niemowlęta wysyłane do Stanów Zjednoczonych i tam wychowywane przez ortodoksyjnych, godnych politowania zgrzybiałych marksistów?

Paranoja! Bądź rozsądny! Przecież to bzdura, która teraz bardziej by nam zaszkodziła, niż pomogła.

Większość wychowanków raz dwa nawróciłaby się na dzinsy, muzykę rockową i szybkie samochody. Nie jesteśmy idiotami.

- Znowu kłamiesz. Oni istnieją. Obaj o tym doskonale wiemy.

Rostow wzruszył ramionami.

- No więc dobrze, ale to kwestia liczb. I, co istotniejsze, wartości. Ilu ich mogło zostać? Pięćdziesięciu, stu, no, góra dwustu? Smętne, działające w amatorskiej konspiracji istoty, niepewne swojej wartości, nie znające powodu, dla którego są tam, gdzie są, które snują się po kilku miastach i spotykają w piwnicach, by wymienić się bredniami. Nikt już nie przykłada większej wagi do ich działalności, słowo daję.

- Ale przecież nie zostali wycofani!

- A co byśmy z nimi zrobili? Zaledwie kilku mówi po rosyjsku. Po co narażać się na kompromitację? Począć, aż się wykruszą - oto jedyny sposób, prijatelj. A na razie trzeba ich zbywać pięknymi słowami.

- WKR wcale ich nie zbywa.

- Mówiłem ci już, że ludzie z WKR są niewolnikami swoich obsesyjnych urojeń.

- Nie jestem pewien, czy sam w to wierzysz - powiedział Michael, wpatrując się w Rosjanina. - Nie wszystkie z tych opiekuńczych rodzin to zgrzybiali, politowania godni staruszkowie. Nie wszystkie podrzutki to amatorzy.

- Jeżeli w niedawnej przeszłości istniał lub obecnie istnieje jakikolwiek strategiczny, ważny ruch z udziałem „pomieniatczików”, nic nam o tym nie wiadomo - oświadczył

Rostow. - Lecz jeśli istnieje, to nie jest on dla was bez znaczenia?

Rosjanin zastygł w bezruchu. Dopiero po namyśle odpowiedział zmienionym, wyraźnie obniżonym głosem:

- Wiesz, że działalność WKR jest nieprawdopodobnie utajniona. No więc tak, miałyby to duże znaczenie...

- Czyżbym podsunął ci ciekawy pomysł? Potraktuj go jako pożegnalny prezent od przeciwnika w stanie spoczynku.

- Nie oczekuję żadnych prezentów - odparł Rosjanin oziębło. - Są one tak samo bezinteresowne, jak twój pobyt w Atenach.

- Skoro ci się nie podoba, wracaj do Moskwy i tam walcz w swojej słusznej sprawie.

Wasza struktura organizacyjna już mnie nie interesuje. I jeżeli nie masz innej komiksowej pukawki w drugim rękawie, radzę ci się wynosić.

- O to właśnie chodzi, pieszka. Tak, pieszka. Pionek. Jak sam to nazwałeś, chodzi o naszą strukturę. To oddzielne sekcje, ale jedna całość. Najpierw jest KGB, potem cała reszta.

Każdy nasz agent albo agentka może załapać się do WKR i nawet wyróżnić się w jej najtajniejszych operacjach, ale najpierw przechodzi przez KGB. Jedno jest pewne: gdzieś musi być pełna kartoteka z Dzierżyńskiego. W przypadku cudzoziemskich rekrutów jest to, jak wy mawiacie, podwójny imperatyw. Chodzi o bezpieczeństwo wewnętrzne, rzecz jasna.

Havelock usiadł na łóżku. W jego oczach gniew mieszał się z osłupieniem.

- Mów, co masz do powiedzenia, i to szybko. Śmierdzi od ciebie coraz bardziej, prijatiel!

- Od nas wszystkich śmierdzi, panie Michaile Havliczku. Nasze nozdrza, perwersyjnie wyczulone na najsubtelniejsze odmiany podstawowego smrodu, zawsze wywęszą ten zapasek. To jest tak, jak między zwierzętami.

- Więc mów.

- Żadna Jenna Karas nie jest notowana w KGB.

Havelock wbił wzrok w oficera, zerwał się z łóżka i podrzucił prześcieradło w taki sposób, że na ułamek sekundy zasłonił Rostowowi widok. Po czym rzucił się do przodu i przygwoździł Rosjanina do ściany przy drzwiach balkonowych. Chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę. Rostow uderzył głową w ramę tandetnego obrazu i nim się ocknął, Havelock zacisnął mu prawą dłoń na szyi.

- Mógłbym cię za to zabić - wyszeptał, ledwie dysząc, przycisnąwszy rozdygotaną z napięcia szczękę do jego łysiny.

- Owszem, mógłbyś - wykrztusił po chwili Rosjanin. - Ale marnie byś skończył. W tym pokoju albo na ulicy.

- Słyszałem, że w hotelu nie masz nikogo.

- Wiesz o mnie tyle, że nie powinieneś w to wierzyć. Oczywiście, że kłamałem. Mam trzech ludzi: dwóch przebranych za kelnerów w hallu przy windzie, jednego na schodach. Tu, w Atenach, nie ma dla ciebie bezpiecznego miejsca. Wszędzie są moi ludzie, wszystkie wyjścia zostały obstawione. Dałem im wyraźne instrukcje: mam stąd wyjść umówionymi drzwiami o umówionej godzinie. Odstępstwo od jednego lub drugiego skończy się dla ciebie śmiercią. Kordon wokół hotelu jest szczelny. Nie jestem idiotą.

- Tym bardziej szybko wracaj do Moskwy. Powiedz swoim, że przynęta nie dość, że śmierdzi na

kilometr, to jeszcze wystaje z niej haczyk. Nie biorę, prijatiel. Wynocha!

- To nie żadna przynęta - próbował jeszcze dyskutować Rostow, odzyskawszy nieco równowagę - ale twój własny argument. Cóż takiego możesz nam powiedzieć, żebyśmy mieli ryzykować i narażać się na ewentualne akcje odwetowe? Jesteś skończony. Bez wcześniejszego zaprogramowania, sam o tym nie wiedząc, możesz wpuścić nas w setki pułapek. Wyobrażasz sobie, że ty będziesz gadał bez oporów, a my zaplanujemy operacje na podstawie twoich zeznań, choć wiadomo, że to, co mówisz, jest już nieaktualne? Przez ciebie poznamy tylko wasze strategie, nie same przejściowe kody i szyfry, ale także dalekosiężne, kluczowe strategie. Tyle że takie, z których Waszyngton zrezygnował bez twojej wiedzy. A po drodze ujawnimy własny personel. Dobrze o tym wiesz. Mówisz o logice? Bądź konsekwentny!

Havelock, głośno oddychając, nie spuszczał wzroku z sowieckiego oficera.

Wściekłość i oszołomienie doprowadzały go do kresu wytrzymałości psychicznej. Nie mógł pogodzić się nawet z cieniem prawdopodobieństwa, że na Costa Brava popełniono błąd.

Przecież pomyłka nie wchodziła w rachubę! Sygnał od konfidenta z grupy Baader-Meinhof stanowił pierwsze ogniwo przejrzystego łańcucha wydarzeń. Informacje przekazano do Madrytu. Sam badał skrupulatnie każde słowo, cedził każdy fragment w poszukiwaniu najdrobniejszego dowodu fałszywości raportu. Wszystko na nic, wszystko się zgadzało. Sam Anthony Matthias, przyjaciel, mentor, przybrany ojciec, zażądał drobiazgowej weryfikacji. I przyszła odpowiedź twierdząca!

- Nie! Tam był dowód! Ona tam była! Sam widziałem! Powiedziałem im, że muszę to sprawdzić na własne oczy, i oni się zgodzili!

- Oni? Jacy „oni”?

- Dobrze wiesz, kogo mam na myśli! Tacy, jak ty!

Rosjanin, masując lewą ręką grdykę, odpowiedział spokojnie:

- Nie wykluczam takiej możliwości, zwłaszcza że, jak już wspomniałem, WKR działa z maniakalną wprost skrytością, szczególnie w Moskwie. Jednak prawdopodobieństwo, że mogło być tak, jak mówisz, jest znikome. Co mówią fakty? Nadzwyczaj operatywna, fałszywa łączniczka, celowo zostaje wciągnięta w pułapkę terrorystyczną przez swoich ludzi, którzy odpowiedzialnością za jej śmierć obciążają KGB, twierdząc, że pracowała dla nas. W

wyniku tej manipulacji neutralizuje się jej stałego towarzysza i kochanka, supertajnego, wielojęzycznego i niezwykle utalentowanego agenta terenowego. Ten, rozczarowany i zdeglustowany, porzuca pracę w wywiadzie. Jesteśmy zaszokowani, przeszukujemy nasze archiwa, nie wyłączając najbardziej poufnych. Gdzież tam! Nigdzie jej nie ma. Jenna Karas nie miała z nami nic wspólnego!

Rostow umilkł, czujnie obserwując przeciwnika. Michael Havelock wyglądał teraz jak niebezpiecznie rozdrażniona pantera, gotowa do skoku i rozszarpania ofiary. Kontynuował

jednak wywód bezbarwnym głosem:

- Ale równocześnie jesteśmy wniebowzięci. Twoje odejście ze służby to dla nas czysty zysk. Zadajemy tylko sobie pytanie, dlaczego się na to zgodzili? Czy to kolejny podstęp? Jeśli tak, to w jakim celu? Kto na tym miałby skorzystać? Pozornie my, ale pytam znów: jak?

- Zapytaj WKR! - krzyknął pogardliwie Michael. - Może nie tak sobie to zaplanowali, ale tak się stało. Ja jestem waszą premią! Ich zapytaj!

- Już to zrobiliśmy - odparł Rosjanin. - Rozmawialiśmy z dyrektorem jednego z departamentów, przytomniejszym od reszty towarzystwa, który właśnie dlatego, że zachował

jeszcze odrobinę rozsądku, boi się innych szefów w WKR. I on nam powiedział, że nic mu nie wiadomo o żadnej Karas, ani też nie zna szczegółów wydarzeń na Costa Brava. Wyszedł

jednak z założenia, że skoro personel terenowy nie miał żadnych wątpliwości, wobec tego i on nie powinien ich mieć. Tym bardziej, że rezultaty akcji są bardzo korzystne: dwa sępy zestrzelone, oba utalentowane, jeden wyjątkowo. WKR z radością przyjęła przypisywane jej zasługi.

- Trudno się im dziwić! Ja zostałem spalony, a jej śmierć usprawiedliwiona. Każda ofiara jest dobra dla sprawy. Liczy się cel, za wszelką cenę. I ten twój dyrektor tylko to potwierdził.

- Tego nie potwierdził. Powiedział coś zupełnie innego. Mówiłem ci, że ten człowiek się boi. Dopiero mój stopień rozplątał mu język.

- Zajdziesz jeszcze wyżej...

- Wysłuchałem tylko, co ma do powiedzenia. Tak jak przed chwilą ty mnie.

Powiedział wyraźnie, że nie ma zielonego pojęcia, co się stało i dlaczego.

- On sam nie wiedział?! - przerwał gniewnie Havelock. Ludzie z terenu wiedzieli. Ona wiedziała!

- Niezbyt przekonujące rozumowanie. Jego dział odpowiada za wszystkie operacje w południowo-zachodnim sektorze basenu Morza Śródziemnego, a więc i na Costa Brava. Tak wyjątkowo gwałtowne rendezvous, zwłaszcza z udziałem kogoś, kto z pozoru przynajmniej jest z Baader-Meinhof, nie odbyłoby się bez jego wiedzy. - Urwał i po chwili dodał cicho: -

W normalnych okolicznościach.

- I to ma być bardziej przekonujące rozumowanie? - spytał Michael.

- Dopuszczam bardzo wąski margines błędu. Inna wersja jest wysoce nieprawdopodobna.

- A dla mnie jest ona prawdziwa! - krzyknął znowu Havelock, zaniepokojony własnym wybuchem.

- Bo chcesz w nią wierzyć. Może po prostu nie masz innego wyjścia.

- WKR nieraz dostawała rozkazy prosto z gabinetów Kremla. To żadna tajemnica.

Jeżeli nie kłamiesz, zostałeś pominięty.

- Zgoda, i niepokoi mnie to bardziej, niż ci się wydaje. Ale z całym szacunkiem dla twoich nadzwyczajnych osiągnięć zawodowych, prijatiel, nie sędzę, by panowie na Kremlu zawracali sobie głowę takimi jak ty i ja. Oni zajmują się o wiele ważniejszymi sprawami, a także, co istotne, nie są ekspertami w naszej dziedzinie.

- Ale świetnie znają się na Baader-Meinhof? I na OWP, i na Brigade Rosse, i setce jeszcze innych czerwonych armii, które co zechcą wysadzają w powietrze, na tym całym zasranym świecie! To są problemy o zasięgu globalnym.

- Tylko dla maniaków.

- Przecież właśnie o nich mówimy!

Michael umilkł, zdumiony oczywistością biegu wydarzeń.

- Złamaliśmy szyfry WKR. Były autentyczne. Znałem za dużo wariantów, żeby się pomylić. Ja zaaranżowałem kontakt. Jenna wykonała polecenie. Nadałem ostatnią wiadomość do tych bandziorów na łodzi. Oni też wykonali polecenie. Wy tłumacz mi to!

- Nie potrafię.

- To wynoś się! Oficer KGB spojrział na zegarek.

- I tak muszę już iść. Zbliża się umówiona godzina.

- Całe szczęście.

- Jesteśmy w impasie - powiedział Rosjanin.

- Ja nie.

- Ty nie, owszem, i przez to powiększasz ryzyko. Ty wiesz swoje, ja wiem swoje.

Impas. Chcesz, czy nie chcesz.

- Mija twoja godzina...

- Tak. Nie mam zamiaru dostać rykoszetem. Idę sobie.

Rostow podszedł do drzwi, obrócił się i z ręką na klamce dodał:

- Kilka minut temu powiedziałeś, że przynęta śmierdzi i widać haczyk. Powtórz to swoim w

Waszyngtonie, przyjaciel. My też nie bierzemy.

- Wynoś się!

Gdy drzwi się zamknęły, Havelock stał nieruchomo prawie całą minutę, wciąż mając w pamięci oczy Rosjanina. Było w nich za dużo prawdy. Lata praktyki nauczyły go dostrzegać prawdę, zwłaszcza u wrogów. Rostow nie kłamał. Mówił to, w co sam wierzył. A to oznaczało, że ten potężny strateg KGB manipulowany był przez ludzi z Moskwy. Piotr Rostow, wpływowy oficer wywiadu, wysłany został z nieznanymi, jak sądził, jego przełożonymi informacjami w celu nawiązania kontaktu, a potem złamania amerykańskiego agenta i zwerbowania go dla Sowietów. Im wyższy oficer, tym wiarygodniejsza wersja zdarzeń - pod warunkiem, że jest to wersja, którą sam uważa za prawdziwą, a prawdę tę dostrzega także wróg.

Michael podszedł do stolika przy łóżku, gdzie pół godziny temu zostawił whisky.

Podniósł szklanekę, wypił do dna i spojrzał na rozgrzebaną pościel. Uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, jak nieoczekiwanie i gwałtownie wieczór ten zboczył z obranego kursu.

Kurewka dobrze odegrała swoją rolę, choć nie takiego przecież spektaklu oczekiwał.

Zmysłowa kurtyzana z lupanarów bogaczy była częścią drobiazgowo ułożonego spisku.

Kiedy wreszcie uwolni się od intryg? Amsterdam. Paryż. Ateny... Końca nie widać. Może nie odczepią się od niego dopóty, dopóki on sam się od tego wszystkiego definitywnie nie odczepi. Może przeskakując z miejsca na miejsce, tylko prowokuje podążających w ślad za nim naganiaczy, którzy nie spuszczają go z oka, zapędzają do rogu i czekają, aż popełni coś, czego oczekiwali. Już sam jego nieustanny ruch uzasadniał wszelkie podejrzenia. Przecież żaden człowiek nie zaczyna się nagle włóczyć bez celu po Europie, gdy przez całe życie nie zrobił ani kroku bez rozkazu. Jeżeli więc dalej się porusza, to znaczy, że wykonuje inne rozkazy, pracuje pod innym nadzorem. Inaczej siedziałby spokojnie. Kto wie, może już nadszedł czas, żeby się zatrzymać. Może jego odyseja dobiegła końca. Może należałoby wysłać wreszcie depezę, przyjmując zobowiązanie. Przecież dawny, prawie zapomniany przyjaciel znów stał się przyjacielem i zaproponował mu nowe życie w chwili, gdy stare można było pogrzebać... A czego będziesz uczył, Michaił? Idź precz! Nie jesteś częścią mnie i - nigdy nie byłeś!

Rano pośle wiadomość do Harry'ego Lewisa, wynajmie samochód i pojedzie na północny zachód, by tam wsiąść na prom do jońskiego portu Kerkira, skąd popłynie statkiem do Brindisi we Włoszech. Przebył już kiedyś tę trasę pod Bóg wie jakim nazwiskiem i w jakim celu. Teraz robi to jako Michael Havelock, kontraktowy profesor administracji. Z

Brindisi, koleją, okrężnymi trasami, dotrze do Rzymu, miasta, za którym przepadał. Zatrzyma się tam na tydzień lub dwa. Będzie to ostatni etap jego odysei, miejsce, w którym na zawsze pogrzebie myśli o swoim przeszłym życiu. W Concord podejmie obowiązki profesora za niespełna trzy miesiące. Tymczasem czekało na niego sporo praktycznych zadań: trzeba przygotować wykłady, korzystając z

pomocy doświadczonych kolegów, przeczytać i ocenić programy, zastanowić się, gdzie jego wiedza zostanie najlepiej spożytkowana. Planował też krótki pobyt u Matthiasa, który zapewne wesprze go cennymi radami. Choćby nawet Matthias nie miał wolnej chwili, dla niego gotów był znaleźć czas, bo ze wszystkich ludzi właśnie Anthon najlepiej go zrozumie. Jego dawny student wracał na uczelnię, gdzie przecież wszystko się zaczęło. Tyle rzeczy pozostało mu jeszcze do zrobienia. Musiał znaleźć sobie własny kąt: dom, meble, garnki, książki, fotel do siedzenia, łóżko do spania. Wedle własnego wyboru. Do tej pory nie zajmował się takimi sprawami. Teraz nie myślał o niczym innym i sprawiało mu to coraz większą radość. Podszedł do kredensu, odkręcił butelkę i nalał sobie whisky. - Prijatelj - szepnął bez żadnego powodu, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Raptem zerknął w swoje oczy i ogarnięty przerażeniem, postawił szklankę z taką siłą, że roztrzaskała się w drobny mak. Dłoń spłynęła krwią. Nie mógł oderwać się od odbicia swoich oczu! I wreszcie rozumiał. Czyżby widziała prawdę tej nocy na Costa Brava?

- Przestań! - krzyknął, nie wiedząc, czy robi to głośno, czy w duchu.

Dr Harry Lewis siedział przy biurku w swoim wypełnionym książkami gabinecie z depeszą w ręku. Czekał, aż odezwie się żona. Wreszcie usłyszał jej głos.

- Do zobaczenia, kochanie - zawołała z przedpokoju.

Frontowe drzwi otworzyły się, a potem zatrzasnęły. Wyszła z domu. Lewis podniósł

słuchawkę telefonu i wykręcił kierunkowy 202 do Waszyngtonu. Następne siedem cyfr zakodowane miał tylko w pamięci. Nie wykaże ich rachunek telefoniczny, bo elektroniczne impulsy tego numeru omijały komputery lokalnej centrali.

- Słucham - odezwał się w słuchawce męski głos.

- Tu Brzoza - powiedział Harry.

- Mów, Brzoza. Włączam magnetofon.

- Mam jego zgodę. Depesza przyszła z Aten.

- Termin bez zmian?

- Tak. Przyjeżdża miesiąc przed rozpoczęciem trimestru.

- Dał znać, dokąd jedzie z Aten?

- Nie.

- Będziemy obserwować lotniska. Dziękuję.

Rzym nie był już tym Rzymem, w którym Havelock chciałby zostać na dłużej. Miasto sparaliżowały strajki, a ogólny chaos potęgowała jeszcze wybuchowa natura Włochów, dająca o sobie znać na

każdym rogu ulicy, w każdej pikiecie, w parkach i pod fontannami.

Nie doręczone listy wały się w rynsztokach, powiększając tylko stosy nie wywiezionych śmieci. Taksówek jak na lekarstwo, praktycznie w ogóle nie kursowały, a większość restauracji zamknięto z powodu braku dostaw. Poliziotti, straciwszy panowanie nad sytuacją, zeszli z posterunków, co do niewyobrażalnych granic doprowadziło codzienny obłęd rzymskiego ruchu ulicznego. Telefony, będące częścią państwowej poczty, funkcjonowały poniżej krytyki, to znaczy prawie w ogóle nie funkcjonowały. Miasto ogarnęła histeria, a oliwy do ognia dołała kolejna surowa encyklika papieża - i to na dodatek cudzoziemca, Polacco - która rozprawiała się ze wszystkimi postępowymi krokami Watykanu od czasów II soboru. Giovanni Ventitre! Dove sei? Był to drugi wieczór Michaela w Rzymie. Wyszedł ze swojego pensjonatu na via Due Macelli przed ponad dwiema godzinami i przebył piechotą bez mała milę z nadzieją, że jego ulubiona restauracja będzie otwarta. Była oczywiście zamknięta i mimo nadludzkiej cierpliwości nie doczekał się taksówki, by wrócić na Schody Hiszpańskie. Doszedłszy do północnego końca via Veneto, skręcił w przecznicę, chcąc uciec przed rozwrzeszczanym tłumem ruchliwej handlowej ulicy, gdy wzrok jego zatrzymał się na wystawionym w oświetlonej witrynie biura podróży plakacie, wychwalającym uroki Wenecji.

Dlaczego by nie? Czemu nie, do diabła? Jego snucie się bez planu nie wykluczało przecież nagłych zmian. Spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. Za późno, żeby dojechać do lotniska i złapać samolot, lecz jeśli dobrze pamiętał - a pamięć miał dobrą pociągi z Rzymu odjeżdżały do północy. Dlaczego nie pociągiem? Leniwa, okrężna podróż koleją z Brindisi przez nie naruszony od wieków krajobraz wiejski zachwycała go kiedyś swym pięknem. Jedyłą walizkę spakuje w ciągu kilku minut, na dojście do dworca pozostaje dwadzieścia. Z pewnością za sumę, którą gotów był wyłożyć na samolot, wynajmie pokój. Jeśli nie, zawsze może wrócić na via Due Macelli, bo zapłacił z góry za cały tydzień. Czterdzieści pięć minut później minął

potężne portale monumentalnego dworca Ostia, wzniesionego przez Mussoliniego w czasach fanfar, werbli, triumfalnych marszów i kursujących punktualnie pociągów.

Włoski nie był najmocniejszym językiem Michaela, ale z czytaniem radził sobie nieźle.

- Biglietto per Venezia. Prima classe. Kolejka była krótka i szczęście mu dopisywało.

Słynny Freccia della Laguna odjeżdżał za osiem minut, i „jeśli signore sobie życzył, mógł za dopłatą dostać najlepsze miejsce w jednoosobowym przedziale”. Życzył sobie, toteż kasjer podstemplował mu ozdobny bilet, informując, że Freccia odjeżdża z binario trentasei, oddalonego o kilka długości podwójnego peronu, wielkości futbolowego boiska.

- Fate presto, signore! Non perdete tempo! Fate in fretta! Michael pośpiesznie dał

nurka w pędzącą ludzką masę, przedzierając się co tchu do peronu 36. Jak zwykle pod gigantyczną kopułą kłębił się tłum ludzi. Zgrzyt przyjazdów przeplatał się z jękiem odjazdów w kontrapunkcie. Przez ogłuszający tumult przebijały się donośne epitety, bo bagażowi też oczywiście strajkowali. Pięć minut przepychał się pod potężną kamienną arkadą, by wreszcie wyjść na peron. Panował tu, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze większy chaos niż w hali dworcowej. Przepelniony pociąg z północy wjechał tuż przed odjazdem Freccia della Laguna.

Wózki towarowe tarasowały przejście hordom wsiadających i wysiadających pasażerów. Była to scena z niższego kręgu dantejskiego piekła, istne wyjące pandemonium. Raptem, po drugiej stronie peronu, ponad przewalającym się kłębowiskiem dostrzegł tył głowy kobiety, której twarz zaciaśniało z boku rondo miękkiego kapelusza. Wysiadała z pociągu, który właśnie przyjechał z północy, i pytała o coś dyżurnego ruchu. Już wcześniej zaniepokoiły go skojarzenia: ten sam kolor włosów, fryzura, kształt szyi. Szal albo kapelusz czy płaszcz, jaki nosiła ona. Już mu się to wcześniej zdarzało. Za często. Gdy po chwili kobieta odwróciła się, ostry ból przeszył mu oczy i skronie, by niczym rozżarzony nóż spłynąć do klatki piersiowej.

Twarz po drugiej stronie peronu, którą raz po raz dostrzegał przez walący na oślep tłum, nie była przywidzeniem. To była ona. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, twarz zastygła. Nagle odwróciła głowę i rzuciła się przed siebie w ludzkie kłębowisko. Michael zaciskał i podnosił powieki, usiłując opanować ból, szok i obezwładniające drżenie. Rzucił walizkę. Musi działać, biec, gonić te żywe zwłoki z Costa Brava! Ona żyje! Ta kobieta, którą kochał, ta zjawą, która zdradziła tę miłość i za to zginęła, żyje! Jak oszalałe zwierzę roztrącał stojących mu na drodze ludzi, wykrzykiwał jej imię, kazał

się jej zatrzymać, apelował do tłumu, żeby nie pozwolił jej uciec. Pędził do końca peronu, nie zważając na ryki wściekłych, poturbowanych przez niego pasażerów, nie czując ciosów, kuksańców i kopniaków, nie widząc rąk rozdierających mu ubranie. Niestety, kobieta zniknęła w dworcowym tłumie.

4

Widok Jenny Karas przywołał w nim wspomnienia ze świata cieni. Żyła! Nie wolno mu stracić ani chwili, musi ją odnaleźć!

Biegł na oślep przez tłum, odpychając barykady ramion, gestykujące ręce, wygrażające pięści. Najpierw jedno wyjście, potem drugie, trzecie, czwarte... Rozpaczliwie szukając w pamięci włoskich słów, wypytywał nielicznych, napotkanych po drodze policjantów. Wykrzykiwał jej rysopis, kończąc każde nieudolnie sklecone zdanie zawołaniem

„Soccorro!”. Na próżno. Odpowiadały mu jedynie wzruszenia ramion albo oburzone spojrzenia. Havelock, nie zrażony niepowodzeniami biegł dalej. Schody, drzwi, winda.

Wcisnął 2000 lirów jakiejś kobiecie, która wchodziła do damskiej toalety. Dał 5000

robotnikowi. Błagał o pomoc trzech kolejarzy. Nic z tego. Nikt jej nie zauważył. Zniknęła bez śladu! Zmęczony i zrezygnowany, pochylił się nad kubłem na śmieci. Pot spływał mu po twarzy i szyi, ręce miał podrapane i zakrwawione. Wydawało mu się, że za chwilę zwymiotuje, wpadnie w ciężką histerię. Stop! Musi się pozbierać jak najszybciej musi dojść do siebie. Co robić. Iść dalej. Coraz wolniej, ale wciąż iść. Uspokoić dudnienie serca, znaleźć resztkę trzeźwego umysłu, pozbierać myśli. Nagle jak przez mgłę przypomniał sobie o walizce. Nie, nie miał żadnych złudzeń, że jeszcze leży tam, gdzie ją porzucił, ale warto było jej poszukać, coś zrobić, gdzieś iść, byle nie stać w miejscu. Wrócił więc z powrotem przez pełen cieni i hulających wiatrów ciemny tunel, cały obolały, otumaniony, posiniaczony od ciosów gestykujących rąk. Nie miał pojęcia, jak długo brnął przez

arkadę i pasaż na opustoszały już prawie peron. Freccia odjechała, a ekipa sprzątaczy pucowała teraz stojący na drugim torze pociąg z północy... Pociąg, którym przyjechała Jenna Karas. Walizka nie zginęła. Zgnieciona, z pękniętymi paskami i wystającą bielizną, lecz, o dziwo, nie wybebeszona na amen, tkwiła zaklinowana pomiędzy krawędzią peronu a brudną, płaską ścianą trzeciego wagonu. Havelock klęknął i z trudem wyciągnął ją z potrzasku, nie bacząc na chrzęst dartej skóry. W pewnej chwili stracił równowagę i upadł na beton. Walizka zsunęła się znowu w szczelinę. Podniósł się z kolan, mocnym szarpnięciem wyrwał ją do góry, pochwycił w ramiona i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia. Stojący obok robotnik obserwował jego wysiłki trochę rozbawionym, a trochę pogardliwym wzrokiem. Widocznie sądził, że Michael jest pijany. Kiedy i w jaki sposób znalazł się wreszcie na ulicy, tego dokładnie nie pamiętał. Czuł jedynie, że ludzie patrzą na niego jak na wariata. Pokazują palcami jego podarte ubranie i zgniecioną walizkę, której zawartość wyłaziła na wierzch. Na szczęście chłodny podmuch zimnego nocnego powietrza pozwalał szybko odzyskać przytomność umysłu. A więc postanowione: umyje sobie twarz, przebierze się, zapali papierosa kupi nową walizkę... „Emporio Per Viaggiatori”. Neonowe litery świeciły jaskrawą czerwienią nad szeroką wystawą magazynu, w którym można dostać wszystko, co niezbędne w podróży. Był to jeden z tych sklepów nie opodal dworca Ostia, gdzie zaopatrywali się zamożni cudzoziemcy i snobistyczni Włosi. Sprzedawano tu po wygórowanych cenach przedmioty codziennego użytku, które poprzez dodatki ze szczerego srebra i polerowanego mosiądzu nabierały odpowiedniej wartości. Havelock, ściskając kurczowo poszarpany bagaż, pchnął stanowczo drzwi i wszedł do środka. Na szczęście zbliżała się godzina zamknięcia i wewnątrz nie było już ani jednego klienta. Kierownik sklepu rzucił okiem na niecodziennego przybysza i z przerażeniem na twarzy cofnął się, jakby chciał uciekać. Havelock wybełkotał

szybko i nieporadnie:

- Utknąłem w dzikim tłumie na peronie. Niestety, upadłem. Muszę kupić sobie kilka...

a właściwie całkiem dużo nowych rzeczy. Mam niebawem spotkanie w Hasslerze.

Kierownik usłyszawszy nazwę najwytworniejszego w Rzymie hotelu, natychmiast okazał współczucie, a nawet braterstwo.

- Animalì! - wykrzyknął, wznosząc ręce do swojego Boga. Że też pana musiało spotkać coś tak okropnego, signore! Jestem do pańskich usług.

- Potrzebuję nową walizkę, z miękkiej, bardzo dobrej skóry, jeśli można.

- Naturalmente.

- Nie chciałbym nadużywać pańskiej uprzejmości, ale czy mógłbym się gdzieś tu umyć? Wolałbym, żeby contessa nie oglądała mnie w takim stanie.

- Proszę tedy, signore! Najmocniej przepraszam! W imieniu całego Rzymu! Tędy...

Myjąc się i przebierając, Michael próbował skupić rozbiegane myśli na krótkich, wspólnych pobytach w Rzymie z Jenną Karas. Byli tu razem dwukrotnie. Pierwsza wizyta trwała tylko jedną noc. Druga była znacznie dłuższa, bardzo oficjalna i - jeśli dobrze zapamiętał - trzy-albo czterodniowa. Przejechali wtedy jako jugosłowiańska para całe Bałkany, by zebrać informacje na temat nagłej koncentracji wojsk na granicach, a potem czekali na polecenia z Waszyngtonu. Tu spotkał się z łącznikiem, oficerem wywiadu wojskowego, którego niełatwo się zapomina. Był to bowiem jedyny Murzyn na stanowisku pierwszego attach ambasady. Ich pierwszy wspólny kontakt nie pozbawiony był humoru czarnego humoru. Michael i Jenna mieli spotkać się z nim w restauracji położonej po zachodniej stronie Palatynu. Stojąc krótką chwilę przy zatłoczonym barze, nie zwrócili uwagi na rozpartego obok wysokiego, czarnoskórego żołnierza, który właśnie zamawiał wódkę z martini. Po kilku minutach oficer uśmiechnął się i zagadał:

- Jestem Rastus w catasta di legna, signore Havelock. Może usiądziemy? Nazywał się Lawrence Brown. Podpułkownik Lawrence B. Brown. Środkowe „B” stanowiło inicjał jego prawdziwego nazwiska, Baylor.

- Bóg mi świadkiem - powiedział im przy poobiednim drinku - chłopcy z Drugiej Sekcji sądzili, że moje „brązowe” lipne nazwisko wywoła, jak to zgrabnie ujęli, „bardziej konkretne skojarzenia”. Nasi wojskowi fachowcy nazywają to psychoakceptacją. Lepiej nie można, prawda? Ale Bóg z nimi, wolę to, niż attach Bambo. Z Baylorem by się dogadał, jeżeli Baylor zgodzi się na rozmowę. Tylko gdzie się z nim spotkać? Na pewno nie w pobliżu ambasady, bo wtedy rząd Stanów Zjednoczonych musiałby wytłumaczyć się swojemu byłemu agentowi z paru okropnych posunięć. Dopiero po dwudziestu minutach, gdy kierownik sklepu zdążył już przepakować jego rzeczy do bajecznie drogiej, nowej walizki, Havelock zdołał dodzwonić się z zaplecza do centrali ambasady.

Starszy attach Brown miał właśnie ważne spotkanie na pierwszym piętrze.

- Proszę go zawiadomić, że dzwonię w bardzo pilnej sprawie powiedział Michael.

Moje nazwisko... Baylor. Lawrence Baylor nie miał ochoty na rozmowę i próbował spławić Havelocka. Kręcił, że jest bardzo zajęty, że może zobaczą się kiedy indziej.

- A gdybym ci powiedział, że wróciłem do roboty. Wprawdzie nie jestem ani na waszej liście płac, ani na żadnej innej, wracam jednak do gry. Na twoim miejscu, pułkowniku, nie lekceważyłbym tego oświadczenia.

- Trzeba było mówić tak od razu! Na via Pancrazio jest kawiarenka „La Routa del Pavone”. Wiesz, gdzie to jest?

- Trafię.

- Przyjadę tam za jakieś czterdzieści pięć minut.

- Okay. Będę czekał.

Ze stolika ustawionego w najciemniejszym rogu Havelock obserwował, jak oficer armii amerykańskiej zamawia przy barze karafkę wina i stanowczym krokiem przechodzi przez mroczną salkę. Na mahoniowej twarzy Baylora malowało się napięcie. Był skrępowany i kiedy doszedł do stolika, nie wyciągnął ręki na powitanie. Siadł naprzeciw Michaela, odetchnął nerwowo i dopiero wtedy wysilił się na uśmiech.

- Miło cię znowu widzieć - zagaił bez większego przekonania. - Wzajemnie.

- Jeżeli masz mi do powiedzenia nie to, co chcielibyśmy usłyszeć, stawiasz mnie w niezbyt przyjemnej sytuacji, kolego. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Mam coś takiego, że ci szczeka opadnie - powiedział Havelock, mimowolnie zniżając głos do szeptu. Chwycił się gwałtownie za nadgarstek, żeby opanować drzenie rąk. -

Sam w to nie mogłem uwierzyć. Pułkownik obserwował twarz Michaela, potem jego ręce.

- Widzę, że jesteś wstrząśnięty. Co się stało?

- Ona żyje! Widziałem ją! Baylor siedział nieruchomo, przebiegając wzrokiem po świeżych zadrapaniach i sińcach na twarzy Havelocka.

- Chodzi ci o Costa Brava? - spytał wreszcie.

- A o co, do cholery, może mi chodzić?! - warknął ze złością Michael. - Wiadomość o moim nagłym odejściu i okolicznościach tej decyzji błyskawicznie poszła do wszystkich naszych zasranych placówek i oddziałów. Dlatego właśnie powiedziałaś to, co powiedziałaś.

„Uważać na załamany talent”. Ostrzegali was z Waszyngtonu. Nie wiadomo, co może zrobić, co powiedzieć. Co mu nagle może strzelić do głowy.

- Zdarzały się różne przypadki.

- Ale ja się do nich nie zaliczam. Nie w głowie mi porachunki, myślę i działam racjonalnie. Widziałem, co widziałem. I ona mnie widziała! Rozpoznała mnie! Uciekła!

- Stres emocjonalny jest najbliższym kuzynem hysterii powiedział spokojnie pułkownik. - Człowiek w takim stanie widzi różne rzeczy. A ty byłeś w szoku.

- Myślisz, że mam źle w głowie. Przecież się w porę z tego wszystkiego wycofałem, z tyloma rzeczami pogodziłem...

- Dobra, dobra kolego - przerwał Baylor. - W tej branży nie da się tak z dnia na dzień zapomnieć szesnastu lat pracy.

- Mnie się udało.

- Byłeś z nią tu kiedyś w Rzymie i teraz powracają ci wspomnienia. Ale nie przejmuj się, to się niekiedy zdarza. Trzeba poczekać, aż minie.

- Nic z tych rzeczy. Nic mi nie minie. Widziałem ją na własne oczy!

- I natychmiast postanowiłeś podzielić się tą rewelacją ze mną! Lepiej powiedz to naszym specom z ambasady.

- W żadnym wypadku! Nie o ambasadę mi chodzi, ale o ciebie. Siedem miesięcy temu przekazywałeś mi rozkazy z Waszyngtonu, teraz tym samym ludziom pošlesz flagę alarmową. Powtórzysz im to, o czym ci opowiedziałem. Co widziałem na peronie dworca.

Nie masz innego wyjścia.

- Mam własne zdanie i powiadomię ich co były agent powiedział w stanie skrajnego wzruszenia.

- Świetnie! Kapitalnie! Dorzuc im jeszcze jedną historyjkę, jak pięć dni temu w Atenach omal nie zabiłem człowieka, którego obaj znamy z kartotek Placu Dzierżyńskiego.

Usiłował mi wmówić, że Sowieci nie maczali palców w akcji na Costa Brava. Że ta kobieta nigdy nie pracowała dla KGB, ani tym bardziej dla WKR. Nie zabiłem go, bo myślałem, że to sonda, ślepa sonda. Więc tylko przekazałem przez niego wiadomość do Moskwy. Ta przynęta śmierdzi, Baylor, a haczyk widać na kilometr. - Co za wspaniałomyślny gest z twojej strony...

- Niezupełnie z mojej. To on zaczął tę kurtuazyjną serię. Przecież mógł mnie wziąć i w krótkim czasie znalazłbym się na Placu Dzierżyńskiego, z przesiadką w Sewastopolu, nie wiedząc nawet, jakim cudem wyjechałem z Aten.

- Aż taką miał przewagę, takie powiązania?

- Do tego stopnia, że musiał udawać niedorajdę. Ale w ostateczności nie zarezerwowano mi lotu przez Dardanele. On mnie nie chciał.

- Dlaczego?

- Bo był przekonany, że to ja jestem przynętą. Niezły numer, co? Tym razem nie wynajął mi apartamentu na Łubiance, dał mi kosza. Za to przekazał wiadomość dla Waszyngtonu. Dzierżyński mnie nie ruszy. - A po chwili milczenia dodał:

- I po tym wszystkim widzę na dworcu ją! Baylor obracał szklankę w dłoniach.

- Nie mam twojego doświadczenia, ale powiedzmy, że rzeczywiście widziałeś to, o czym mówisz...

- Widziałem. To fakt.

- Nie jestem o tym święcie przekonany, ale powiedzmy, że to możliwe. Nie da się przecież wykluczyć, że cię wodzą za nos. Obserwują pod lupą, znają wszystkie twoje plany.

Reszta jest już dziecinnie prosta. Komputery wyszukują kobietę o zbliżonym wyglądzie i po drobnych poprawkach kosmetycznych chirurga mają gotowego sobowtóra, dobrego nawet na małą odległość. „Uważać na załamany talent”. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś mu strzeli do głowy, i przypomni sobie, że ma nie wyrównane rachunki. Zwłaszcza, kiedy dostanie trochę czasu, żeby dojrzał, odświeżył emocje i wspomnienia...

- Twoje rozumowanie jest kompletnie bez sensu! Jeszcze dwie godziny temu nie wiedziałem, że znajdę się na dworcu kolejowym. Zanim ją zobaczyłem, nie miałem pojęcia, że będę na tym właśnie peronie i nikt inny o tym też nie wiedział. Przyjechałem do Rzymu wczoraj i opłaciłem z góry pokój w pensjonacie na Due Macelli na cały tydzień. Dzisiaj o ósmej trzydzieści wieczorem ujrzałem w witrynie reklamę i nagle zmieniłem plany. Nikomu o tym nie mówiąc postanowiłem pojechać do Wenecji. Michael sięgnął do kieszeni, wyjął

bilet na Freccia della Laguna i położył go przed Lawrence'em Baylorem.

- Pociąg odjeżdżał o dziewiątej trzydzieści pięć. Na bilecie jest pieczętka z godziną sprzedaży. Przeczytaj! - Dwadzieścia jeden, dwadzieścia siedem - potwierdził na głos Baylor.

- Dwadzieścia siedem minut po dziewiątej. Osiem minut przed odjazdem.

- A teraz spójrz mi w oczy i powiedz, że kłamię. I jeśli potrafisz, wytłumacz, jakim cudem zorganizowano całą tę operację, biorąc pod uwagę czas i fakt, że Jenna wysiadła z pociągu, który akurat wjeżdżał na peron!

- Rzeczywiście... Nie potrafię.

- Zanim uciekła, rozmawiała z kolejjarzem. Żeby nie wiem co, muszę go odnaleźć!

Baylor znowu się zastanowił, spojrzął na Havelocka i powiedział przyciszonym głosem.

- Bądź spokojny, wyślę flagę alarmową. I zaraz dodał: Z potwierdzeniem wiarygodności. Widzę, że nie kłamiesz. Gdzie cię mogę szukać?

- Nigdzie. Ja się z tobą skontaktuję.

- A jeśli będą chcieli z tobą pilnie porozmawiać?

- Będę w kontakcie.

- Nie za wiele tej ostrożności?

- Wziąłem sobie do serca to, co mi powiedział Rostow w Atenach.

- Rostow? Piotr Rostow? - Pułkownik Baylor szeroko otworzył oczy. - Trudno mierzyć wyżej na Placu Dzierżyńskiego.

- Można i wyżej.

- Dziękuję, jego pozycja w zupełności mi wystarczy. Co on ci takiego powiedział? -Że nasze nosy zawsze wywęszą zły zapaszek. A po latach pracy robią się cholernie wyczulone na wszelkie odmiany podstawowego smrodu.

- Spodziewałem się czegoś mniej enigmatycznego - powiedział z irytacją Baylor.

- Doprawdy? W mojej sytuacji to konieczność. Pułapkę na Costa Brava zaplanowano w Waszyngtonie, a wszystkie dowody obciążające, zostały spreparowane przez strategów w jednym z tych białych, sterylnych gabinetów na najwyższym piętrze Departamentu Stanu.

- Sądziłem, że to ty kontrolowałaś całą operację.

- Tylko ostatnią fazę, na własne życzenie.

- W takim razie...

- Działalem na podstawie przekazanych mi informacji. Teraz chcę wiedzieć, dlaczego mi je przekazano. Dlaczego zobaczyłem to, co zobaczyłem dziś wieczorem.

- Jeżeli rzeczywiście zobaczyłeś...

- Ona żyje. Chcę wiedzieć dlaczego? Jakim cudem?

- Wciąż cię nie rozumiem!

- Operacja na Costa Brava była spiskiem przeciwko mnie. Ktoś chciał, żebym odszedł.

Nie zginął, ale odszedł. Żebym nie był wystawiony na pokusy, które z czasem dopadają ludzi z moją przeszłością.

- Nie wyrównane rachunki? - spytał pułkownik. - Syndrom Agee'ego? Kompleks Sneppa? Nie wiedziałem, że i ty się zaraziłeś. Przeżyłem parę rozczarowań, dręczyło mnie kilka pytań. Ktoś chciał te pytania wyeliminować, a razem z nimi wyeliminować i ją.

Dlaczego?

- Nie sądzisz, że są inne, skuteczniejsze metody, aby coś lub kogoś ostatecznie unicestwić?

- Chciałeś powiedzieć - zlikwidować? Wysłać na tamten świat? Czy ja powiedziałem, że zabilibyśmy cię? Żyjemy przecież w innym kraju. Chociaż, z drugiej strony - dlaczego nie?

- Z tych samych powodów, dla których ci inni nie zginęli w dziwnych wypadkach, zatuszowanych przez podstawionych lekarzy sądowych. W naszym zawodzie obrona własna sięga, bracie, daleko.

To jest jeszcze jeden syndrom, zwany Norymbergą. Oto dlaczego zalakowane koperty, zdeponowane u nieznanym z nazwiska adwokatów, z zastrzeżeniem otwarcia na wypadek tajemniczych okoliczności śmierci, ujawniają różne rewelacje.

- Chryste Panie, co ty wygadujesz? Posunąłeś się w swoich lękach aż tak daleko?

- Zdziwisz się, ale nie. Spokojna głowa. To tylko czysta spekulacja myślowa.

- Po jakim świecie wy chodzicie?

- Takim samym, jak ty - tylko że my chodzimy trochę dłużej i trochę głębiej. I dlatego właśnie nie powiem ci, jak i gdzie można się ze mną skontaktować. Moje nozdrza wyczuły od strony Potomacu zgniły zapaszek. Havelock pochylił się do przodu i mówił teraz chłodnym, cichym głosem.

- Znam tę dziewczynę. Nie zrobiłaby tego, co zrobiła, gdyby jej czegoś nie zrobiono, czegoś straszego, obrzydliwego. Chcę wiedzieć, co i dlaczego.

- Przypuśćmy - zaczął spokojnie Baylor. - Przypuśćmy, że masz rację, choć ja wcale nie jestem przekonany, że ci powiedzą.

- Wszystko stało się tak nagle - powiedział Michael, odchylając się w tył. - Był

wtorek, przed tygodniem przyjechaliśmy do Barcelony, coś się święciło w sektorze, nic więcej Waszyngton nam nie powiedział. Wreszcie z Madrytu nadeszła wiadomość: kurier przyleciał z komunikatem Cztery Zero, do wglądu tylko na miejscu w ambasadzie. Tylko na własne oczy. Moje oczy. W Madrycie nie ma oddziału operacji konsularnych, ani też nikogo upoważnionego do przekazywania informacji, więc w środę rano poleciałem tam osobiście.

Podpisałem odbiór tej cholernej stalowej skrzynki i otworzyłem ją w pokoju, dobrze pilnowanym przez trzech marines. W skrzynce były informacje, które przekazała Jenna.

Informacje, które mogła uzyskać tylko ode mnie. A więc pułapka już była gotowa, mogłem doprowadzić sprawę do końca, jeśli sobie tego życzyłem. Oczywiście, życzyłem sobie. W

piątek wróciłem do Barcelony, a w sobotę już było po wszystkim... Pięć dni i mury runęły.

Bez trąb jerychońskich, jedynie w blasku świateł, wśród krzyków i straszliwych hałasów, rozzierających ciszę wybrzeża

Costa Brava. Pięć dni... tak nagle, tak szybciutko, niczym rozłożone na pięć taktów crescendo. Lepiej nie dało się tego zrobić.

- Ciągle nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przerwał spokojnie Baylor. - Skąd wiesz, że ci to powiedzą? Havelock spojrzał oficerowi prosto w oczy.

- Bo się boją.

- O czym ty mówisz?

- Decyzji, żeby mnie usunąć, nie podejmowano stopniowo, pułkownika. Coś ich nagle do tego skłoniło. Nie usuwa się w taki sposób doświadczonego współpracownika, z powodu, dajmy na to, spornych kwestii nagromadzonych przez lata. W naszym fachu talent jest drogi, a talent sprawdzony w terenie, w szczególności. Dlatego zanim pozwolą sprawdzonemu człowiekowi wycofać się z tego interesu stosuje się perswazję, wyjaśnia różnice, by wreszcie dojść do rozsądnego kompromisu. Ze mną nie rozmawiał nikt.

- Czy możesz być bardziej konkretny?

- Chciałbym. Im chodzi o coś, co wiem, albo wydaje im się że wiem. Coś, co mogłem gdzieś zapisać. I jest to dla nich jak bomba.

- Czy istotnie - spytał Baylor chłodno - jesteś w posiadaniu takiej informacji?

- Dojdę i do tego - odparł Havelock, odsuwając raptownie krzesło. - Powtórz im to.

Oraz to, że ją znajdę. Nie będzie mi łatwo, bo już nie jest z nimi. Wyrwała się im i zeszła do podziemia. Widziałem to w jej oczach. Ale ja ją znajdę...

- Może... - przerwał niecierpliwie Baylor. - Może, jeśli to, co mówisz okaże się prawdą, będą chcieli ci pomóc.

- Lepiej niech zechcą - powiedział Michael wstając z krzesła i patrząc z góry na oficera-łącznika. - Będę potrzebował wszelkiej możliwej pomocy. Ale najpierw masz dokładnie przekazać całą tę śmierdzącą sprawę. Każdy rozdział i wiersz, jak mawiał jeden z moich starych informatorów. Bo jeżeli nie, to zacznę rozpowiadać naokoło różne historyjki.

Kiedy i skąd, nikt z was się nie dowie, ale będę mówił głośno i wyraźnie. I w tych moich słowach będzie gdzieś ukryta bomba.

- Nie wygłupiaj się!

- Zrozum mnie, człowieku! Ja wcale tego nie chcę! Ale ktoś tu wyrządził jej, mnie, nam, wielkie świństwo. Dlatego wracam do gry. Solo. I będę w kontakcie!

Havelock obrócił się i szybkim krokiem wyszedł z kawiarni. Postanowił wrócić na dworzec po nową walizkę, którą zostawił w przechowalni. Naraz uświadomił sobie, że kiedyś był już w podobnej sytuacji, a bagaż zamknięty w schowku na lotnisku w Barcelonie zawierał

dowody obciążające Jennę Karas. Zaprowadził go do niej zdeprawowany agent z Baader-Meinhof w zamian za ciche uchylenie wyroku śmierci, wydanego zaocznie. Terrorysta niemiecki doniósł do Madrytu, że Fr ulein Karas trzyma zawsze w zasięgu ręki tajne, wciąż uzupełniane informacje o działaniach w terenie. To stary zwyczaj Wojennej, wynikający z dziwnych powiązań brutalnej i

skrytej sekcji sowieckiego wywiadu z resztą KGB. Część personelu terenowego miała nawet w trakcie długotrwałych, głęboko zakonspirowanych operacji dostęp do własnych kartotek, na wypadek, gdyby centrum dowodzenia w Moskwie było nieosiągalne.

Obrona własna przybierała niekiedy przedziwne formy, ale do tej pory nikt tego jakoś nie kwestionował. Nikt. Nawet on. Ktoś się z nią spotyka, wręcza klucz i podaje punkt kontaktowy. Jest to pokój hotelowy, albo schowek na bagaż, albo nawet bank. Tam znajduje się materiał, łącznie z nowymi planami w trakcie realizacji. Pamięta, jak dwa dni przed wyjazdem do Madrytu w kawiarni na Paseo Isabel zaczepił ją jakiś nieznany osobnik. Był

pijany, ale uprzejmy, uściśnął dłoń Jenny i pocałował ją w rękę. Trzy dni później Michael znalazł w jej torebce klucz. A nazajutrz już nie żyła... Czyj to był klucz? Czyja walizka? Jeśli nie należała do niej, to jakim cudem znaleziono wewnątrz odciski jej palców. Dlaczego dała się tak łatwo zdekonspirować?

Co jej zrobili? Co zrobili jasnowęsiej kobiecie, która na Costa Brava krzyczała po czesku i której plecy, szyję i głowę podziurawiły kule? Co za kanalie trzymają ludzi na sznurkach i faszerują kulami, jak manekiny w tandetnym horrorze. Ta kobieta została brutalnie zabita. Był tego pewien. Zbyt dużo widział śmierci, żeby mógł się pomylić. To nie były zagrywki, jak by to powiedział wytworny Gravet. A jednak, wszyscy tu byli marionetkami. Tylko na jakiej scenie i ku czyjej uciechu odgrywali to przedstawienie?

Przyspieszył kroku, przed sobą miał via Memorata. Już tylko parę przecznic dzieliło go od monumentalnego budynku dworca. Postanowił najpierw powęszyć tam. Czy warto dalej iść tym tropem okaże się za następne pół godziny. Przechodził właśnie obok jaskrawo oświetlonego stoiska z gazetami, na którym codzienne brukowce konkurowały z lśniącymi magazynami, a sztuczne, białe zęby i obfite biusty walczyły o zainteresowanie z pokiereszowanymi zwłokami, opisami gwałtów i okaleczeń. Wtedy zobaczył dobrze znaną twarz, spoglądającą z okładki międzynarodowej edycji tygodnika „Time”. Skupione oczy błyszczały zza okularów w rogowych oprawkach, jak zawsze nadzwyczajną inteligencją. Z

pozoru wydawały się chłodne, jednak im dłużej na nie patrzeć, tym więcej dostrzegało się w nich ciepła i łagodności. Może dlatego, że ich właścicielowi mało kto na tym ziemskim padole dorównywał mądrością. Wysokie kości policzkowe, orli nos, wydatne usta, z których płynęły tylko ważne słowa, dopełniały szlachetnego wizerunku. „Człowiek na każdy sezon, dla każdego narodu” - głosił zwięzły podpis pod fotografią, bez nazwiska, bez tytułu. Cały świat znał amerykańskiego sekretarza stanu, słyszał i rozumiał jego rozsądny, opanowany głos. Byli tacy, a wśród nich także Michael, co wierzyli, że świat albo pójdzie za głosem Anthona Matthiasa, albo rozleci się z hukiem w postaci atomowego grzyba. Anthon Matthias.

Przybrany ojciec, mistrz, przyjaciel. W krwawym przedstawieniu na Costa Brava on chyba również był marionetką. Kiedy Havelock położył na ladzie kilka banknotów i wziął do ręki magazyn, przypomniał sobie napisaną odręcznie notatkę, którą Anthon kazał załączyć do kartoteki Cztery Zero, przerzuconej do Madrytu. Po krótkich rozmowach z Havelockiem w Georgetown, Matthias zorientował się, jak głębokim uczuciem Michael darzy współpracującą z nim od ośmiu miesięcy kobietę. Może wtedy pomyślał, że wreszcie nadeszła chwila, żeby agent usunął się i znalazł spokój,

którego nie zaznał przez te wszystkie lata. Pamięta nawet, że sekretarz stanu zażartował sobie niewinnie: gdy jego rodak, humanista po czterdziestce, postanawia związać się z jedną kobietą, słowiańska tradycja i literatura współczesna poniosą niepowetowane straty. Ale notatka Matthiasa nie była napisana w żartobliwym tonie. Mój miły synu To co znajdziesz w instrukcji dołączonej do mojego listu, jest dla mnie tak samo bolesne, jak i dla ciebie. Ty, który tyle wycierpiałeś na początku i tak wiele dałeś swojej przybranej ojczyźnie później, musisz znowu zaznać bólu. Na moje osobiste polecenie, wszystkie dane zostały dokładnie sprawdzone i potwierdzone. Jeżeli chcesz usunąć się ze sceny, możesz to uczynić zaraz. Nie czuj się zobowiązany do wykonania załączonych instrukcji. Naród nie może oczekiwać od ciebie niczego więcej. Być może gniew, o którym rozmawialiśmy przed laty i wściekłość, jaka doprowadziła cię do tak okrutnego życia, już wygasły, więc łatwiej będzie ci powrócić do innego świata. Świata, gdzie przydadzą się bezcenne walory twojego umysłu. Szczerze się modlę o to. Twój Anthon M.

Wymazał na siłę z pamięci list, który jeszcze bardziej zaciemniał tę niepojętą sprawę.

A teraz otworzył tygodnik na artykule o Matthiasie. Nic nowego, zwyczajne omówienie jego ostatnich osiągnięć w negocjacjach rozbrojeniowych. Artykuł kończył się doniesieniem, że sekretarz stanu właśnie udał się w nieznane miejsce na zasłużony odpoczynek. Michael uśmiechnął się do siebie. Wiedział, gdzie jest to „nieznane miejsce”. I całkiem możliwe, że jeszcze tej nocy za pomocą tuzina szyfrów, uda mu się połączyć z górską rezydencją w dolinie Shenandoah. Ale robi to dopiero wtedy, gdy dowie się, co naprawdę zaszło. Bo to coś dotyczyło również Anthona Matthiasa. Tłum pod potężną kopułą dworca Ostia przeredził się, bowiem ostatnie pociągi albo już odjechały, albo stały gotowe do podróży.

Havelock wyjął walizkę ze schowka i rozejrzał się za jakimś śladem. Może tracił cenny czas, ale nie widział innego wyjścia: od czegoś przecież trzeba było zacząć. Przypomniawszy sobie, że Jenna zanim uciekła, rozmawiała z kolejarzem. Musi go więc odszukać! Chociaż z drugiej strony, niepodobne, aby osoba, której grunt pali się pod nogami, wdawała się w towarzyskie pogawędki... Łatwo powiedzieć „odszukać”, kiedy wiadomo, że w każdym mieście są takie dzielnice, gdzie za odpowiednią cenę możesz kupić dyskrecję i milczenie. Gdzie w hotelowych rejestrach rzadko figurują prawdziwe personalia gości, a obsługa robi się głucha jak pień, gdy tylko padają dociekliwe pytania. Jenna Karas znała może nazwy takich dzielnic, a nawet ulic, ale nie znała przecież samego Rzymu. Miasto sparaliżowane strajkiem nakazywało uciekinierowi od razu pytać o adres albo drogę kogoś, kto poradzi najlepiej.

Michael zauważył na ścianie strzałkę, wskazującą pomieszczenia biurowe: „Amministratore della Stazione”. Trzydzieści pięć minut później, przekonawszy kierownika nocnej zmiany, że sprawa jest bardzo poważna i że zarówno w jego własnym interesie, jak i poszukiwanego kolejarza leży odszukanie tego ostatniego, dostał adres pracownika obsługującego trzeci, czwarty i piąty wagon pociągu, który wjechał owego wieczora na binario trentasei o ósmej trzydzieści. W ankiecie personalnej oprócz informacji, że władza biegle językiem angielskim, była nawet fotografia, bez trudu więc rozpoznał człowieka, rozmawiającego z Jenną Karas.

Wszedł na piąte piętro bloku mieszkalnego, po zniszczonych, kamiennych schodach, odnalazł wizytówkę z nazwiskiem „Mascolo” i zapukał. Otworzył mu ogorzały kolejarz w luźnych spodniach

na szerokich szelkach i nieświeżym podkoszulku. Cuchnęło od niego tanim winem, wzrok miał cokolwiek mętny. Havelock wyjął z kieszeni banknot 10000-lirowy.

- Kto by pamiętał jednego pasażera z wielotysięcznego tłumu? zarzekał się gospodarz, siedząc naprzeciwko Michaela przy kuchennym stole.

- Jestem pewien, że pan sobie przypomni - powiedział Havelock, sięgając po następny banknot. - Zastanów się, człowieku. Była chyba jednym z ostatnich pasażerów, z którymi rozmawiał pan w tym pociągu. Szczupła, średniego wzrostu, w kapeluszu z szerokim rondem.

Stał pan wtedy przy drzwiach.

- Si! Naturalmente. Una bella ragazza! Pamiętam! Kolejarz wziął pieniądze, napił się wina, beknął i przypominał sobie dalej.

- Pytała się o połączenia do Civitavecchia.

- Civitavecchia? Miasteczko na północ od Rzymu?

- Si. Port nad Morzem Tyrreńskim.

- I co jej pan powiedział?

- Że pomiędzy Rzymem a Civitavecchia kursuje bardzo mało pociągów, i na pewno nie o tej porze. Jest to przede wszystkim stacja towarowa, a nie pasażerska.

- A ona co na to?

- Wyglądała na zmartwioną. Ale była dobrze ubrana, więc poradziłem jej, żeby dogadała się z taksówkarzem o ile w ogóle udało by się złapać taksówkę. Rzym jest manicomio di pazzi! Havelock podziękował, położył na stole jeszcze jeden banknot i wyszedł. Spojrzał na zegarek: była noc, dwadzieścia po pierwszej. Ładna historia!

Civitavecchia. Port nad Morzem Tyrreńskim. Statki wychodzące w morze zawsze odpływały o świcie. W ciągu niespełna trzech godzin musiał dotrzeć na miejsce. Przeszukać nadbrzeże.

Znaleźć przystań. Znaleźć statek. Znaleźć trefnego pasażera.

5

Potrzebował natychmiastowej pomocy - musiał dojechać do Civitavecchia! Musiał ją odnaleźć. Nie wolno mu było jej stracić. Już nigdy, nigdy więcej! Musiał się z nią zobaczyć, przytulić i powiedzieć jej, że oboje padli ofiarą strasznego spisku. Powtarzać jej to w kółko, aż dojrzy prawdę w jego oczach, usłyszy prawdę w jego głosie, zobaczy jak głęboka jest jego miłość i zrozumie, że nie opuszcza go koszmarnie poczucie winy - bo to on przecież zabił tę miłość. Wybiegł z marmurowego hallu hotelu na Circo Bernini i pędził na oślep krętymi uliczkami Rzymu, aż dotarł na oświetlone jeszcze o tej porze via Veneto. Pchnął mocno pierwsze napotkane drzwi. Zachęcony grubym plikiem

banknotów recepcjonista daremnie walił w widełki telefonu i wykrzykiwał numery do zaspanego telefonisty w centrali. Nie udało się wynająć samochodu. A czas mijał. W hotelu Excelsior nie zgaszono jeszcze świateł, ale żadne pieniądze nie były w stanie przekonać upartego recepcjonisty.

- Pan mi nie może odmówić! Pan musi mi pomóc!

- Przykro mi signore - odpowiedział tamten, spoglądając na lewo - ale nic z tego. Nie jest pan naszym gościem. Michael dyskretnie podążył za wzrokiem recepcjonisty. Po drugiej stronie hallu stało dwóch gotowych do akcji policjantów. Spoglądali w jego stronę i naradzali się. Nie na darmo nocne godziny Excelsioru były pod ich szczególnym nadzorem.

Sprzedawcy kapsułek i pigułek, białych prochów i strzykawek, prowadzili ożywioną działalność właśnie o tej porze. Jeden z umundurowanych policjantów zrobił krok naprzód.

Havelock wolał nie ryzykować, więc obrócił się na pięcie i kolejny raz wybiegł na prawie opustoszałą ulicę. Znużony maitre d'hotel w „Cafe de Paris” powiedział mu, że jest capo zuccone. Kto przy zdrowych zmysłach pożyczycy o tej porze samochód? Nieznajomemu?

Amerykański właściciel trzeciorzędneho baru w stylu kowbojskim powiedział mu, żeby się czym prędzej zmył. Znów nieprzytomny rajd po krętych uliczkach, znów pot oblewał czoło, spływał po policzkach. Nagle olśnienie! Hassler Villa Medici! Już raz posłużył się nazwą tego wytwornego hotelu w sklepie koło dworca... Nocny concierge nie zdziwił się wizytą zdyszanego Havelocka już dawno przywykł do kaprysów najzamożniejszych w Rzymie gości. Po krótkich targach udało się wynająć samochód, należący do któregoś z pracowników Hasslera. Za tę uprzejmość Michael zapłacił zawrotną cenę, ale za to dostał mapę Rzymu i okolic, z zaznaczoną na czerwono najkrótszą trasą do Civitavecchia. Dojechał do miasta o trzeciej piętnaście, a do trzeciej czterdzieści pięć badał wzdłuż i wszerz dzielnicę portową, by wreszcie wybrać dogodne miejsce do zaparkowania auta. Ruch przy nadbrzeżu trwał przez całą noc. Grupki dokerów i marynarzy poruszały się jak automaty. Ładowano kontenery, sprawdzano każdy szczegół w maszynowniach jednostek, które miały niebawem wypłynąć na szerokie wody. Zaś w spowitych mgłą zaułkach, kipiały życiem bary i tawerny - podle speluny, serwujące obrzydliwą whisky i niejadalne potrawy. Po północnej i południowej stronie znajdowały się brudne przystanie dla kutrów rybackich i trawlerów controllori, które wypuszczały się w morze nie dalej, niż czterdzieści kilometrów. Lata doświadczenia i tradycji kazały im szukać w tej strefie najobfitszych połowów. Przystanie budziły się do życia dopiero przed samym brzaskiem, gdy blade strużki żółtawej bieli wyzierały zza południowo-wschodniego horyzontu, unosząc w górę czerń nocnego nieba. Dopiero wówczas mężczyźni o mętnym spojrzeniu stąpali niepewnie po deskach pomostu prowadzącego ku śliskim burtom.

Tu Jenny Karas na pewno nie znajdzie! Raczej powinien jej poszukać na jednej z większych przystani. Poczekać na ten moment, kiedy po inspekcji załadunku i wydaniu zgody na wypłynięcie w rejs, wyjdzie z cienia, by po nabrzeżu przemknąć się na pokład. Po którym nabrzeżu? Na który statek? Gdzie jesteś Jenna? Przy trzech spośród czterech głównych doków przeładunkowych, cumowały jeden przy drugim trzy średniotonażowe frachtowce.

Przy czwartym stały dwie mniejsze jednostki, z przenośnikami taśmowymi i systemem rurociągów, transportujących drobnicę do otwartych ładowni. Havelock był pewien, że Jennę przemycą na pokład

jednego z frachtowców, należało więc niezwłocznie dowiedzieć się, o której godzinie każdy z nich wypływa w morze. Zaparkował fiata w bocznej uliczce.

Przeszedł na drugą stronę szerokiej alei i przemykając się pomiędzy kilkoma furgonetkami i ciężarówkami, dotarł do bramy pierwszego nabrzeża, strzeżonej przez opryskliwego przedstawiciela władzy.

- Próbuję odnaleźć kogoś, kto chyba wykupił bilet na rejs -powiedział Michael z nadzieją, że klecone nieporadnie po włosku zdania, choć w przybliżeniu wyrażają jego intencje. - Passaggio? Biglietto? Kto u licha kupuje bilet na portugalski frachtowiec?

Havelock już wiedział, jak poprowadzić rozmowę. Nachylił się więc do strażnika i rozglądając się dokoła, ciągnął dalej.

- Właśnie o ten statek mi chodzi. Proszę wybaczyć słabą znajomość waszego języka, signor controllore, choć sam sobie tego wybaczyć nie mogę. Szczerze mówiąc, jestem pracownikiem ambasady Portugalii w Rzymie. No, powiedzmy... inspektorem, tak jak i pan.

Doszły nas słuchy, że na tym statku nie wszystko jest tak, jak być powinno. Jeśli udzieli nam pan pomocy, przekażemy stosowne wyrazy uznania pańskim przełożonym. Po tym dyskretnym oświadczeniu, strażnik zrazu wrogi, stał się raptem uprzejmy i odsunął się, by wpuścić straniero importante.

- Scusatemi, signore! Nie wiedziałem, ma się rozumieć, 'e musimy ze sobą współpracować! Liczę na słówko moim przełożonym... W Rzymie, rzecz jasna.

- Oczywiście! A dlaczego nie tutaj?

- Tu panoszy się straszne chamstwo. Proszę wejść dalej, proszę. Musiał pan porządnie zmarznąć... Miguel Cristobal miał wypłynąć o piątej rano. Kapitan frachtowca - szyper, o którym mawiano z uznaniem, że zna każdą wysepkę, każdą mieliznę zachodniego basenu Morza Śródziemnego, nazywał się Aliandro i dowodził Cristobalem od dwunastu lat. Dwa pozostałe frachtowce pływały pod włoską banderą. Strażnicy przy bramach okazywali mu powściągliwą zyczliwość i bez wahania odpowiadali na każde pytanie kaleczącego język cudzoziemca. Informacje, które go interesowały, można było zresztą przeczytać pod nagłówkiem „Navi Informazione Civitavecchia” we wszystkich gazetach, z których zazwyczaj wydzierano odpowiednie strony i rozwieszano je po knajpach w całej dzielnicy portowej. Korzystali z nich głównie marynarze, kiedy na bańce zapominali o której godzinie mają wejść na pokład. Isola d'Elba wypływała o piątej trzydzieści, a Santa Teresa dwadzieścia minut później, o piątej pięćdziesiąt. Havelock odszedł od trzeciej bramy. Popatrzył na zegarek: było osiem minut po czwartej. Miał cholernie mało czasu! Jenna! Gdzie jesteś?

Raptem usłyszał za sobą ostry, zwielokrotniony echem własnych drgań dźwięk dzwonka, umieszczonego na zewnątrz wartowni. Strażnik wszedł do szklanej budki i odebrał telefon.

Potok posłusznych „Si” wskazywał, że ktoś wydawał rozkazy, które należało dokładnie zrozumieć. Michael poważnie obawiał się telefonów i strażników na przejściach. Przez moment zastanawiał się

nawet czy nie wiać. Odpowiedź przysłała błyskawicznie. Strażnik odwiesił słuchawkę i wystawił głowę przez drzwi.

- Mam dla pana coś nowego! Ta śmierdząca łajba Teresa zostaje w porcie. Nie wyjdzie w morze, dopóki z Turynu nie przyjedzie sześć przeklętych ciężarówek. A to może potrwać dobre osiem godzin. Związki zawodowe każą gnojom za to zapłacić, a załodze wlepią grzywnę za chłanie na służbie! Mówię panu, to jedna wielka banda chamów! Jednym słowem z Teresą miał spokój, przynajmniej na razie. Mógł więc skupić się na Elbie i Cristobalu. Zwłaszcza, że teraz liczyła się dosłownie każda minuta. Musiał więc iść na całego.

Nie miał czasu na wyrafinowane podchody, okrężny wywiad, przezorne dobieranie informatorów, oglądanie się na postronnych słuchaczy. Zostawały tylko dwie metody: przekupstwo albo przemoc. Havelock szybkim krokiem wrócił do drugiej bramy, za którą cumowała Isola d'Elba, i tylko nieznacznie zmienił wymyśloną na użytek strażnika historyjkę.

Chciałby -ot, tak sobie porozmawiać z kilkoma członkami załogi, którzy zapewne szwendali się na ładzie do ostatniej chwili. Czy uczynny stróż prawa, uściskawszy mu rękę ze zwiłkiem banknotów, nie wie przypadkiem, który bar cieszy się wśród załogi Elby największą popularnością?

- Niech pan zajdzie do „Il Pinguino”, albo do „La Carrozza Mare”. W pierwszej knajpie dają tańszą whisky, ale za to żarcie mają takie, że porzygać się można na sam widok.

Chyba więc lepiej od razu iść do „La Carrozza”. Jest też taka spelunka na via Maggio, gdzie jak mówią, wiele rzeczy zmienia właściciela.

- Czy zastanę tam marynarzy z Cristobala?

- Może kilku. Ludzie nie zadają się z Portugalczykami. Im nikt nie ufa... Pan, to co innego! Ja mówię o morskim śmietniku. Wszędzie jest taki sam.

- Jak się nazywa ta knajpa?

- „Il Tritone”. Wystarczyło niespełna dwadzieścia minut, aby wyrobić sobie opinię o

„Il Tritone”. Za masywnymi drzwiami, pod płaskorzeźbą przedstawiającą nagą postać półludzką, półtrybią, Michael zobaczył całą nędzę portowego baru. W powietrzu unosiły się kłęby dymu i śmierdzące opary whisky. Dobrze podpici klienci przekrzykiwali się nawzajem lub kiwali się na miękkich nogach, a wcale niemało gości leżało na stołach w kałużach rozlanego alkoholu. Havelock wybrał najstarszego z wyglądu barmana i zapytał go obojętnym głosem:

- Czy jest tu ktoś z Cristobala?

- Portoghesi?

- Si.

- Jest kilku... chyba tam. Michael popatrzył przez ścianę dymu i kłębowisko ciał w stronę stolika po drugiej stronie sali. Siedziało tam czterech mężczyzn.

- A z Isola d'Elba? - spytał, obróciwszy się z powrotem do barmana.

- Maiali! - wykrzyknął tamten. - Jak tylko mi tu przyjdą, wywalę na zbity pysk hołotę!

Niech pan zajrzy raczej do „Il Pinguino”. Tam wpuszczają wszystkich. Michael wyjął dziesięć tysięcy lirów i położył przed barmanem.

- Zna pan portugalski na tyle dobrze, żeby pana zrozumieli? - Jeśli się chce zarobić na życie w tej dziurze, trzeba mówić w kilku językach. - I wsuwając banknot do kieszeni fartucha, dodał: - Oni na pewno mówią po włosku, chyba nawet lepiej niż pan signore.

Przejdźmy wobec tego na angielski. Czym mogę służyć?

- Tam z tyłu jest wolny stolik - powiedział Havelock, wskazując głową przeciwny róg sali. - Zaraz tam usiądę, a pan niech podejdzie do Portugalczyków i powie im, że chciałbym porozmawiać z każdym po kolei. Jeśli się okaże, że nie możemy się dogadać, będzie mi pan służyć za tłumacza.

- Interprete?

- Si.

- Bene. Okazało się, że pośrednictwo interprete potrzebne było tylko raz. Dwóch marynarzy mówiło płynnie po włosku, a jeden po angielsku. Każdemu z nich Michael odpałał

pięć tysięcy lirów i powtarzał tę samą opowieść.

- Szukam pewnej kobiety, szykownej blondynki średniego wzrostu, w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu z szerokim rondem. Właściwie to nic poważnego, ot, zwyczajne kłopoty sercowe. Dowiedziałem się, że ma przyjaciela na Cristobalu, i że za wszelką cenę będzie starała dostać się na pokład. Czy nie widziałeś przyjaciela kogoś podobnego do niej? Jeśli coś sobie przypominasz, będziesz miał w kieszeni dużo więcej forsy, niż teraz. Niestety, kamień w wodę! Nikt niczego nie widział, ani nie słyszał. Czterech Portugalczyków zainkasowawszy gotówkę, zabralo się z powrotem do picia. Havelock podziękował zdumionemu barmanowi i na odchodnym wcisnął mu do kieszeni fartucha jeszcze jeden banknot.

- Którędy do „Il Pinguino”? - spytał.

- Do załogi Elby?

- Tak.

- Pójdę z panem - powiedział barman i zdjął fartuch, wyciągnąwszy z kieszeni pieniądze.

- Po co?

- Bo uważam, że uczciwy z pana facet. A przy tym głupi jak cholera. Pójdzie pan do

„Il Pinguino” zacznie szastać forszą na prawo i lewo. To duża nieostrożność. Oni tylko czekają na takich frajerów.

- Dam sobie jakoś radę.

- Widziałem już paru takich waśniaków z nożem w plecach. Jestem właścicielem tej budy i w „Il Pinguino” mnie szanują. Ze mną będzie pan bezpieczny. Bar „Il Pinguino” położony pięć ulic dalej, przywodził wspomnienia z życia, do którego miał już nie wracać.

Był to istny ludzki rynsztok, miejsce skazane na zapomnienie. Kłębił się tu dym jeszcze gęstszy, wrzaski jeszcze dziksze, a mężczyźni rzucali się dosłownie na wszystko z niepohamowaną agresją. Jediną przyjemnością znajdowali w nagłym ujawnianiu słabości innych i w natychmiastowym ataku. W ten sposób walczyli z cieniami swych najgłębiej skrytych lęków. Nic innego już im przecież nie zostało... Właściciel baru wart był swojego lokalu. Cuchnący, nieogolony, z resztkami kilku marnych zębów i łapskami jak grabie, ustępował jedynie wzrostem nowemu przyjacielowi Michaela. Było w nim jednak coś groźnego, co przypominało wyglądem rozjuszonego dzika. Obaj barmani przywitali się szybko i przeszli do rzeczy bez zbędnych ceregieli.

- Ten Amerykanin szuka jakiejś kobiety. Zaszło malinteso, nie nasza sprawa - zaczął

właściciel „Il Tritone”. - Może dziewczyna chce płynąć na Elbie i widział ją któryś z tych złodziei? Gość dobrze płaci... - No to niech się spieszy - odparł ponury dzik. - Smarowacze wyszli jakąś godzinę temu, już zapieprzają, aż im nogi do dupy włożą. Drugi oficer będzie tu lada chwila, żeby pozbierać resztę załogi.

- Ilu ich tu jest?

- Ośmiu, dziesięciu, kto ich tam zresztą wie? Ja liczę liry, a nie gęby.

- Poślij więc szybko swojego człowieka, niech ich znajdzie i raz dwa przyprowadzi.

Musimy koniecznie pogadać. Pięciu członków załogi Elby słuchało pytań Havelocka, z obojętnością i wyraźnym znudzeniem. Dopiero szósty rozmówca sprawiał wrażenie, że coś wie.

- Widziałeś ją? - zapytał Michael po angielsku, niecierpliwym głosem.

- Ascolta - wtrącił właściciel „Il Tritone”. - In italiano, signore.

- Racja, in italiano. Havelock powtórzył pytanie, a raczej oskarżenie, po włosku.

Marynarz odpowiedział wzruszeniem ramion, obrócił się na krześle i zrobił ruch, jakby chciał

wstać. Michael szybko wyciągnął rękę i przytrzymał mocno jego ramię. Skończyły się żarty.

Marynarz zmrużył kaprawe oczy, rozchylił usta i jak wściekły pies, wyszczerzył poźółkłe zęby. Bijatyka wisiała w powietrzu.

- Rilassati - rozkazał właściciel „Il Tritone”, po czym rzucił szybko pod nosem po angielsku: - niech pan wyciąga forszę, zanim ten wieprz rzuci się do gardła. Jestem pewien, że on coś wie. On ją widział! Havelock zwolnił uścisk, sięgnął do kieszeni i wyjął gruby plik śmiesznie małych, włoskich banknotów. Oddzielił dwa i położył przed marynarzem, było tego w sumie 40000 lirów, całodzienna dola za harówkę na pokładzie.

- Jak widzisz - ciągnął spokojnie po włosku - jest tego więcej... Ty mi ich nie możesz zabrać, za to ja mogę ci je dać. Jest też taka możliwość, że nic mi nie mówisz i odchodzisz goły. Ale wtedy możesz mieć sporo kłopotów. Już ja się o to postaram. - Michael urwał, rozparł się wygodnie i obrzucił rozmówcę wrogim spojrzeniem.

- In che modo? - spytał marynarz, przeskakując wzrokiem z twarzy Havelocka na pieniądze i na właściciela „Il Tritone”, po którym znać było obawę, że Michael obrał niebezpieczną taktykę.

- Jak? - Havelock pochylił się nad stołem, przesuwając palcami liry ku marynarzowi, jakby pokazywał dwie wygrywające karty w partii bakarata. - Pójdę zaraz na Elbę i odszukam twojego kapitana. Z pewnością nie będzie zachwycony tym, co mu o tobie opowiem.

- Che cosa? Co... Co takiego masz mu do powiedzenia in riguardo a me, żeby on ascoltare? - rzucił wściekłym głosem, po czym rozpiął zamek znoszonej, wełnianej kurtki i pomacał rękojeść umocowanego u pasa noża. Zbliżała się decydująca chwila. Michael, rozparty na krześle, zaśmiał się cicho, lecz bez cienia wrogości czy prowokacji, co jeszcze bardziej speszyło marynarza.

- Bene! - powiedział w końcu stanowczo, pochylając się raptownie do przodu i wyciągając dwa kolejne banknoty po 5000 lirów, odliczone z grubego pliku. - Chciałem tylko sprawdzić, czy masz jaja, i nie zawiodłem się. Jesteś w porządku gość, bo tylko chłop bez jaj nie wie, co widzi na własne oczy. A wtedy zmyśla coś na poczekaniu, bo albo się boi, albo jest łasy na forszę. Havelock ścisnął marynarza za nadgarstek, zmuszając go do otwarcia dłoni.

Uścisk był mocny, choć przyjazny, i mimochodem pokazywał siłę, z którą przeciwnik musiałby się liczyć.

- Bierz! Pięćdziesiąt tysięcy lirów jest dla ciebie i między nami sztama. Gdzie ją widziałeś? Raptowne zmiany nastroju Amerykanina, kompletnie wytrąciły jego rozmówcę z równowagi. Spuścił więc z tonu i zapytał po angielsku łagodnym głosem:

- Czy pan... pójść do kapitana?

- A po co? On nie ma z tym nic wspólnego. Po diabła mieszać w nasze sprawy tego farabutto? Niech sam na siebie zarabia. Lepiej powiedz, gdzie ją widziałeś?

- Na ulicy. Bionda. Bella. Largo cappello.

- Blondynka, ładna... szeroki kapelusz! Gdzie? Z kim była? Z zastępcą kapitana, oficerem? Un ufficiale?

- To był ktoś z sąsiedniego statku. Barca mercantile. - Są tylko dwa. Cristobal i Teresa, więc z którego? Marynarz rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Rozmawiała z dwoma mężczyznami... Jeden z nich to capitano.

- Który?

- A destra - wymamrotał marynarz, przecierając grzbietem dłoni wilgotne usta.

- Ze statku zacumowanego po prawej stronie? - spytał szybko Michael. A więc z Santa Teresa? Marynarz podrapał się tym razem po brodzie i nerwowo zamrugał oczami. Wyraźnie się czegoś bał. Nagle spojrzał w bok, wzruszył ramionami i gniotąc pieniądze w dłoni, raptownie odsunął krzesło.

- Non conosco. Niente. Una prostituta di capitano.

- Mercantile italiana? - naciskał Havelock. - Jesteś pewien, że chodzi o włoski frachtowiec? O Santa Teresa? Marynarz wstał, blady jak ściana.

- Si... No! Destra... sinistra!

Jego wzrok zatrzymał się teraz na czymś po przeciwnej stronie sali. Michael ukradkiem spojrzał w tamtym kierunku. Trzech mężczyzn siedzących przy stoliku pod ścianą, najwyraźniej obserwowało kompana z pokładu Elby.

- Il capitano. Un marinaio superiore! Il migliore! krzyczał ochrypłym głosem marynarz. - Nic więcej nie wiem, signore! - dodał zataczając się, i wyszedł z baru na ulicę.

- Prowadzi pan niebezpieczną grę - zauważył właściciel „Il Tritone”. - Mało brakowało, a jej wynik byłby zupełnie inny.

- Na muła, pijanego czy trzeźwego, nic lepiej nie skutkuje od kija i marchewki -

powiedział Havelock z głową wciąż nieznacznie zwróconą w stronę trzech mężczyzn pod ścianą.

- Mało brakowało, a miałby pan dziurę w brzuchu zamiast informacji...

- Przecież w końcu je zdobyłem.

- Co to za informacja? O który frachtowiec w końcu mu chodziło?

- O ten po prawej...

- A od której strony patrząc?

- Od strony stolika, przy którym siedział, czyli miał na myśli Santa Teresa.

Dziewczyna zanim wejdzie na pokład Teresy, ukrywa się w miejscu, z którego widać nabrzeże.

- Wcale nie byłbym tego taki pewny - powiedział właściciel „Il Tritone”, potrząsając głową. - Nasz pijany muł raz wyraził się przecież jasno. Według niego, kapitan to un marinaio superiore. Il migliore. Najlepszy. Wielki marynarz. A kapitan Teresy to zmęczony życiem kupiec. Jego świat kończy się w Marsylii.

- Kim są ci trzej, tam pod ścianą? spytał Michael ledwie słyszalnym wśród knajpowego gwaru głosem. - Niech pan nie odwraca głowy, tylko spojrzij kątem oka. Co to za jedni?

- Nie znam ich z nazwiska.

- Co to znaczy?

- Italiano - powiedział właściciel „Il Tritone” bezbarwnym tonem.

- Santa Teresa - powtórzył Havelock, odliczył kilka banknotów i resztę schował do kieszeni. - Jestem wdzięczny za pomoc - powiedział. - To dla proprietario. Reszta dla pana.

- Grazie. - Prego.

- Chodźmy! Zaprowadzę pana uliczką do nadbrzeża. Nie jestem pewien czy ci ludzie są z Teresy. Coś mi się tu nie podoba. - Wszystkie znaki wskazują, że trop prowadzi jednak do Teresy. Wąska portowa ulica tonęła w ciszy. Tylko gdzieniegdzie z gołych żarówek sączyło się słabe, spowite mgłą światło, a wyslizgany przez wieki bruk, tłumiał odgłosy kroków. U wylotu uliczki, w świetle latarni, widać było szeroką aleję, od której odchodziły pasy nabrzeża. Ten krótki, nie oświetlony odcinek drogi należało przebyć szybko i ostrożnie, pilnie bacząc na zatoki czarnej ciszy.

- Ecco! - szepnął Włoch. - Ktoś czai się w bramie po lewej stronie. Ma pan broń?

- Nie. Nie miałem czasu o tym pomyśleć...

- No to biegiem!

W chwili, gdy byli na wysokości podejrzanego miejsca, wyskoczył na nich krępy mężczyzna z wyciągniętymi ramionami, i usiłował złapać Michaela. Na szczęście, prócz potężnych łap, nie miał przy sobie pistoletu, ani innej broni. Havelock zrobił szybki zwrot, złapał przeciwnika za sweter i

kopniakiem w podbrzusze zwałił go z nóg. Po czym obrócił się jeszcze raz, odrywając napastnika od bruku i uderzył nim o mur. Kiedy tamten znów upadł, Michael rzucił się na niego, przygniótł leżącego kolanem, zaś prawą ręką złapał za szczękę.

- Deter-se! Favor! Se Deus quizer! - wykrztusił intruz, śliniąc się i trzymając za krocze. Mówił po portugalsku i należał do załogi Cristobala. Michael dźwignął go i przycisnął do muru tam, gdzie padało blade światło był to ten sam marynarz, który mówił

łamaną angielszczyzną przy stoliku w „Il Tritone”.

- Jeżeli planowałeś napad rabunkowy z pobiciem, to się paskudnie naciąłeś!

- Nie, senhor! Muszę z panem porozmawiać, ale to będzie trochę kosztować, no i nikt nie może się o tym dowiedzieć! - Gadaj szybko!

- Najpierw forsa! Havelock przygwoździł przedramieniem szyję marynarza, wolną ręką sięgnął do kieszeni i wyjął dwa banknoty.

- Masz tu dwadzieścia tysięcy lirów - warknął. - A teraz mów, co wiesz!

- Moje wiadomości warte są więcej. Dużo więcej, senhor! Sam pan się o tym zaraz przekona...

- W porządku. Masz tu trzydzieści tysięcy, i ani lira więcej. I nie wyczerpuj mojej cierpliwości.

- W porządku. Twoja kobieta ma wejść na pokład Cristobala... sette... siedem minutos przed wyjściem w morze. Wszystko jest ukartowane. Ma wyjść drzwiami z wschodniego magazynu. Teraz siedzi tam pod strażą, nie może się pan z nią zobaczyć. Ale będzie musiała przejść czterdzieści metrów do trapu towarowego. Michael puścił Portugalczyka i dorzucił

jeszcze jeden banknot.

- Zwiewaj - powiedział. - Nigdy cię na oczy nie widziałem. - Musi pan przysiąc, senhor! - jęczał marynarz podnosząc się na nogi.

- Przysięgam. A teraz zmywaj się, ale już! W tym momencie w końcu uliczki rozległo się wołanie:

- Americano! Americano! To właściciel „Il Tritone” wracał Havelockowi z pomocą.

Portugalczyk, widząc co się święci, rzucił się do ucieczki, ale zaraz został schwytany.

- Niech go pan puści! - krzyknął Havelock. - Wszystko w porządku! Chwilę później Michael dzielił się najświeższą wiadomością z właścicielem „Il Tritone”.

- To jednak nie będzie Teresa, ale Cristobal.

- Tego mi tylko brakowało! - krzyknął Włoch. - Doświadczony capitano, wielki żeglarz. Że też wcześniej na to nie wpadłem! Aliandro. Juan Aliandro! Najlepszy kapitan na całym Morzu Śródziemnym. Potrafi zrzucić towar gdzie mu się żywnie podoba, a zwłaszcza tam gdzie skały i mielizny wykluczają obecność na lądzie niepożądanych obserwatorów.

Odnalazł pan swoją zgubę, signore.

Havelock przycupnął w cieniu nieruchomego dźwigu. Liczne prześwity w konstrukcji pozwalały mu bez przeszkód obserwować okolice z ukrycia. Skończył się już załadunek frachtowca i robotnicy portowi, klnąc na czym świat stoi, schodzili grupkami ze statku, by skierować swe kroki do barów. Na przystani nie było już żywej duszy, nie licząc czterech ludzi z załogi, gotowych do odcumowania, ale też ledwie widocznych, gdy stali nieruchomo przy ogromnych palach, po dwóch od dziobu i od rufy. W odległości stu jardów od kryjówki, za szybą oszklonej budki majaczyła w oparach porannej mgły szara sylwetka wartownika. Po lewej stronie, przed dźwigiem, w odległości około osiemdziesięciu kilku stóp, wisiał mocno zdezelowany żebrowany trap, prowadzący na przedni pokład Cristobala. Po prawej stronie zaś, nie dalej niż sześćdziesiąt stóp od dźwigu, znajdowało się biuro magazynu portowego.

Jego drzwi były zamknięte, a wszystkie światła pogaszone. Za tymi drzwiami kryła się Jenna Karas, uciekinierka przed swoją własną i cudzą zdradą. Jego ukochana, która zniszczyła ich miłość z sobie tylko wiadomych powodów... Miała do pokonania sto czterdzieści parę stóp, by skutecznie zniknąć. Tym razem miała ją zabrać nie śmierć, ale tajemnica. Michael spojrzał

na zegarek. Była czwarta pięćdziesiąt trzy. Za siedem minut Cristobal basową syreną ogłosił gotowość do wyjścia w morze, od tej chwili podlegając już tylko jego prawom. Wysoko na pokładzie, na rufie i śródokręciu, wałęsało się kilku bezrobotnych chwilowo marynarzy, znacząc swoją obecność ognikami papierosów. Wtem, z potężnego, czarnego kadłuba dobiegł

stłumiony warkot turbin, który zwiastował rychły rozkaz uruchomienia mamucich śrub na trzecim biegu. Thusta od ropy woda zakotłowała się wokół rufy Cristobala. Drzwi magazynu otworzyły się, serce Havelocka zaczęło bić jak oszalałe, nasilił się nieznośny ból oczu. Musiał

wytrzymać jeszcze kilka sekund. Dopiero, gdy Jenna znajdzie się pośrodku nabrzeża, skąd widać bramę i strażnika, który może wszczać alarm, Michael zastąpi jej drogę. Ani sekundy wcześniej. Doszła! Już. Wskoczył zza dźwigu i biegł co sił, nie zważając na hałas własnych kroków. Obchodziło go tylko jedno - jak najszybciej znaleźć się przy niej.

- Jenna! Na miłość boską, Jenna! Gwałtownym ruchem chwycił ją za ramiona, kobieta odwróciła się przerażona. Michael zawył jak raniony zwierzę. Twarz, która zwróciła się ku niemu, była twarzą starej kobiety, dziobatą twarzą portowej kurwy. Oczy, które na niego patrzyły - szerokie, ciemne oczy gryzonia, były podkreślone grubą, rozmazaną krechą tuszu.

Wargi miała krwistoczerwone i popękane, zęby brązowe i wyszczerbione. - Kim jesteś? -

wrzeszczał jak opętany. - Dlaczego tu jesteś? Dlaczego cię tu nie ma? Oszustka! Kłamczucha!

Mgła przesłoniła mu oczy. Jeszcze chwila, a straci rozum, rzuci się z pięściami i krzykiem do bicia. Drapać, bić - zabić gryzonia, zabić oszustkę! Zabić, zabić! Naraz poczuł spadające ze wszystkich stron ciosy. Wokół, a potem nad nim zebrało się pełno ludzi, którzy uderzali go i kopali ciężkimi butami. Bez przerwy. Gdzie popadło. W końcu zapadła ciemność i cisza. W

budynku biurowca magazynu, na piętrze stała przy oknie kobieta i obserwowała brutalną scenę rozgrywającą się na dole. Oddychała głęboko, przyciskając drżące palce do ust, a oczy napływały jej łzami. Po chwili bezwiednie, Jenna Karas odjęła dłonie od ust i przycisnęła je do skroni, do długich, jasnych włosów, opadających spod szerokiego kapelusza.

- Dlaczego to zrobiłeś, Michaił? - szepnęła do siebie. Dlaczego chcesz mnie zabić?

6

Kiedy wreszcie otworzył oczy, poczuł mdły odór podłej whisky i wilgoć w okolicy klatki piersiowej i gardła. Koszula, marynarka i spodnie były przemoczone do suchej nitki.

Przed sobą widział wszystkie odcienie mroku, szarości i czerni, przetykane gdzieniegdzie maleńkimi, tańczącymi punkcikami światła, które podskakiwały i wiły się w najdalszej ciemności. Na całym ciele czuł tępy ból, promieniujący od żołądka poprzez szyję, aż do głowy, spuchniętej i odrętwiałej. Ci którzy pobili go do utraty przytomności i zaciągnęli w kąt za magazynem, liczyli, że albo odzyska po jakimś czasie świadomość, albo bezwładnie stoczy się z nabrzeża w wodną przepaść. Havelock żył. I to było teraz najważniejsze. Powoli sięgnął

prawą ręką do lewego nadgarstka - zegarek był na miejscu. Potem rozprostował nogi i pomacał kieszeń - pieniędzy też mu nie zabrali. A więc to nie był napad rabunkowy. W takim razie, co u licha. Rozmawiał ze zbyt wieloma ludźmi, zbyt wielu ludzi widziało go tej nocy. I to go być może ocaliło. Gdyby go zamordowali, śledztwo byłoby nieuniknione. Policja zaraz by zaczęła węszyć po wszystkich dziurach i spelunach, przyciskać do muru, stawiać dużo pytań, a tego w porcie się nie lubi. Ktoś to musiał sprytnie obmyśleć. Poturbować i przestraszyć - owszem, ale nic poza tym, żadnych trupów, żadnej mokrej roboty. W razie czego łatwiej wykręcić kota ogonem. Wymyślić na poczekaniu jakąś bajeczkę. Nic takiego przecież się nie stało. Jakiś wścibski, bogaty cudzoziemiec dostał świra i 444zaatakował

jasnowłosą kurewkę na przystani, a miejscowi chłopcy dzielnie ją obronili. Śledztwo jest niepotrzebne, ricco americano maledetto nie stracił nic, oprócz zmysłów... A może to był

spisek? Profesjonalnie zastawiona pułapka, którą myśliwi o czystych rękach porzucili, gdy ofiara znalazła się w potrzasku? Może wszystko od wieczora do rana było ukartowane?

Spojrzał w lewo, morze na południowym wschodzie płonęło linią ognia. Światło, a Cristobal był już tylko jedną z tuzina sylwetek majaczących w oddali na wodzie. Havelock podniósł się na kolana,

przywarł mocno do śliskich desek i odpychając się rękami usiłował wstać. Kiedy mu się to wreszcie udało, powoli dotykał kostek i łydek, poruszał ramionami, wyprężał szyję, prostował i zginał plecy. Na szczęście obeszło się bez złamań, ale całe ciało ciężko potłuczone, nie będzie już tak szybkie i zwinne, jak dotąd. Strażnik. Czy ów funkcjonariusz państwowy miał w tej grze wyznaczoną rolę? Czy tajemniczy reżyser kazał mu przyjąć na początku wobec cudzoziemca wrogą postawę, a potem gorliwie mu pomagać i w ten sposób zagonić ofiarę do pułapki? Żaden ze strażników nie robił mu trudności, obydwaj bez wahania odpowiadali na wszystkie pytania, a ten przy bramie na przystani Teresy nie omieszkał nawet powiadomić go o znacznym opóźnieniu frachtowca. Całkiem skuteczna strategia, powinien był przejrzeć ją na wylot. Właściciel „Il Tritone”? Marynarz z Cristobala w ciemnej, wąskiej uliczce? Czyżby oni też brali w tym udział? Czyżby logiczne następstwo jego poczynań doprowadzało go po kolei do tych ludzi w porcie, którzy tylko na niego czekali? Ale jak mogli na niego czekać? Ledwie cztery godziny temu Civitavecchia była dla niego miejscem na mapie, bez żadnego znaczenia. Nie miał powodu żeby tam jechać. Nikomu nie wspomniał

o tym zamiarze ani słowem, nikt nie mógł nadać dalej tej informacji. A jednak wiadomość poszła! Musiał się z tym pogodzić, nie wiedząc jak i dlaczego. Już tyle faktów wymykało się rozumowi w tej szalonej mozaice, tak wielu elementów w niej brakowało... „Wszystko, czego się w tej robocie nie rozumie jest ryzykowne, ale przecież nie muszę ci o tym mówić”.

Przypomniały mu się słowa Rostowa, usłyszane w Atenach. W oparach przedświt wpuścili na wabia prostytutkę, żeby go wyciągnąć, złapać w pułapkę, zmusić do działania. Ale dlaczego? Czego od niego chcieli? Na co liczyli? Nie krył się przecież wcale ze swoimi zamiarami. Co więc im udowodnił, jakie wątpliwości wyjaśnił? Po co to wszystko? Czy to ona próbowała jego zabić? Czy o to chodziło na Costa Brava? Jenna, dlaczego to robisz? Co się stało z tobą? Co z nami? Szedł na chwiejnych nogach, zatrzymując się co parę kroków, żeby zebrać siły i odzyskać równowagę. Dowłókł się do krańca magazynu i przesunął się wzdłuż jego ściany po omacku, mijając zaciemnione okna i ogromne drzwi, aż wreszcie dotarł do rogu budynku. Za ścianą ujrzał opustoszałe nabrzeże i wiązki reflektorów krzyżujące się w porannej mgle. Wtem jego wzrok skupił się na oszklonej budce strażnika.

Jak przedtem, tak i teraz prawie nic nie zdradzało jego obecności w środku, ale był on na swoim posterunku! Michael poznał to po świecącym punkciku papierosa, migającym w połowie wysokości środkowej szyby. Punkcik przesunął się w prawo, strażnik otwierał komuś drzwi. Był nim średniego wzrostu mężczyzna w płaszczu i w kapeluszu z przekrzywionym rondem. Jego ubiór zupełnie nie pasował do portowej dzielnicy. Mężczyzna podszedł do oszklonej budki, zatrzymał się przy drzwiach i przez chwilę rozmawiał ze strażnikiem. Potem obaj spojrzeli na kraniec nabrzeża i na magazyn. Michael domyślił się, że rozmawiają o nim.

Przybysz skinął głową, obrócił się i podniósł rękę - w okamgnieniu umówiony sygnał

przyniósł odpowiedź. Zaraz bowiem pojawili się dwaj inni mężczyźni, obaj potężnie zbudowani, obaj też ubrani bardziej stosownie do portowej dzielnicy. Havelock oparł głowę na stalowej krawędzi, ogarnięty uczuciem rozpaczliwej bezradności, połączonej z fizycznym bólem. Czuł, że kompletnie opadł z sił. O pokonaniu tych dwóch nie miał co marzyć, ledwie mógł podnieść ramiona i

stopy. Nie miał też broni. Gdzie była Jenna? Czy weszła na pokład Cristobala po udanej inscenizacji? Byłoby to logiczne, chociaż z drugiej strony, zamieszanie zwróciło by uwagę na frachtowiec i wzbudziło podejrzenia nieprzychylnych i nie opłaconych kontrolerów. Sam statek też był fałszywym wabikiem. Jenna odpływała jednym z dwóch pozostałych! Michael odwrócił się od ściany i pokuśtykał po mokrych deskach do krawędzi nabrzeża. Przetarł oczy i tępym wzrokiem gapił się przez gęstą mgłę. W pewnej chwili mimowolnie zawył, czując ostry ból żołądka. Elba już odpłynęła. A więc zwabili go na inne nabrzeże, wpędzili w pułapkę bez wyjścia a tymczasem Jenna oddalała się na pokładzie Elby!

Czy jej kapitan był równie wytwornym nawigatorem jak szyper Cristobala? Czy potrafił

przeprowadzić swój statek przez nieprzewidziane przeszkody i dobić tak blisko nie patrolowanych brzegów, by mała łódź mogła przemycić na plażę kontrabandę.

Jeden człowiek znał odpowiedź na te pytania. Był nim mężczyzna w płaszczu i przekrzywionym kapeluszu. Ubraniu, które w porcie nosił nie ktoś, kto dźwigał i ładował, ale ktoś, kto kupował i sprzedawał. To on przemycił Jennę na pokład. Havelock począłapał z powrotem w kąt magazynu. Musiał wycisnąć coś z tego faceta, ale na przeszkodzie stało mu jeszcze dwóch osiłków. Gdyby tylko miał broń, byle jaką broń! Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu czegoś twardego. Nic! Nawet luźnej deski z pomostu, czy kawałka połamanej skrzynki. Woda. Odległość do niej była spora, ale z tym dałby sobie jakoś radę. Gdyby udało mu się przedostać na sam koniec nabrzeża, mogliby pomyśleć, że nieprzytomny stoczył się do wody... Nagle, gdzieś zza nieprzeniknionej mgły, rozległo się nieznośne dla ucha wycie okrętowej syreny. Za chwilę powtórzyło się jeszcze raz to samo, po czym zabrzmiał basowy akord, od którego zadrżał cały port. To Santa Teresa! Już miał odpowiedź! Tych dwóch osiłków sprowadzono nie po to, żeby mu dali w kość, ale po to, by go nie spuszczały z oka!

Teresa wcale nie miała opóźnienia: lecz była gotowa do wyjścia z portu, zgodnie z rozkładem i na jej pokładzie odpływała Jenna. Trzeba było więc dopilnować, by unieszkodliwiony pogromca nie wydostał się z pułapki za wcześnie. Havelock postanowił za wszelką cenę dotrzeć do nabrzeża Teresy, zatrzymać Jennę, zatrzymać frachtowiec, zanim zdąży odcumować, zanim potężne liny ześlizgną się z pali, bo wtedy będzie po wszystkim. Nigdy już nie zdoła jej pochwycić! Przepadnie w jednym z tuzina krajów, setek miast... Nic po niej nie zostanie. A bez niej nie chciało mu się żyć! Gdyby tylko wiedział, co oznaczały te przenikliwe sygnały! Ile czasu mu zostało? Na siedem minut przed wyjściem Cristobala w morze słyszał dwie wysokie syreny, potem z zakamarków magazynu wyszła podstawiona blondynka. Czy basowy akord oznaczał mniej, czy więcej czasu? Gorączkowo przerzucał w pamięci setki misji w portach całego świata. Wreszcie przypomniał sobie, a dokładniej

wydawało mu się, że sobie przypomniał, że wysokie, ostre dźwięki przeznaczone były dla statków znajdujących się w oddali, zaś niskie, rezonujące tony dla bliskich jednostek i doków.

W czasie tamtej szamotaniny, świdrujący dźwięk niskiego akordu stopił się z jego własnym krzykiem wściekłości i protestu. Basowa syrena nastąpiła wkrótce po wysokich dźwiękach i stanowiła zapowiedź rychłego wyjścia z portu. Siedem minut - minus jedna, albo dwie, a może trzy... Zostało mu kilka minut. Sześć, pięć... cztery. Mało. Cholernie mało. Nabrzeże Teresy oddalone było o kilkaset jardów. W tym stanie, przebycie ich zajmie mu co najmniej dwie minuty, i to pod warunkiem,

że jakoś wymknie się dwóm osiłkom w marynarkach, którzy są tu właśnie po to, żeby mu przeszkodzić. Chryste! Ale jak to zrobić? Jeszcze raz rozejrzał się, usiłując opanować nerwy, świadom, że każda sekunda wahania zmniejsza szanse powodzenia. Nagle, w odległości dziesięciu jardów, pomiędzy dwoma palami, dostrzegł zarys czarnego przedmiotu. Wcześniej, nie zwrócił na niego uwagi, bo wydawał mu się stałą częścią doku. Teraz przyjrzał mu się uważniej. Była to beczka, najzwyczajniejsza beczka, zapewne przedziurawiona podczas załadunku albo wyładunku statku, używana jako pojemnik na kubki do kawy, śmieci lub do rozpalania ognia przed świtem. Pełno ich było w porcie.

Podbiegł, chwycił ją mocno i zakołysał. Nie była przytwierdzona na stałe, przewrócił ją więc na bok i potoczył pod ścianę. Upłynęło trzydzieści, może czterdzieści sekund. Zostało od półtorej minuty do trzech z kawałkiem! Obrał taktykę wprawdzie desperacką, ale w tej sytuacji jedyną. Nie miał czasu na zastanawianie się, co zrobić ze strażnikiem i przybyszem w płaszczu, jak przechytrzyć dwóch osiłków, jeśli mgła przestanie mu sprzyjać. Przykucnął przy ścianie, opierając ręce na bokach lepkiej od brudu beczki. Wziął głęboki oddech i wrzasnął ile sił w płucach, licząc, że jego krzyk odbije się echem po opustoszałym nabrzeżu.

- Soccorso! Presto! Sanguino! Muoio! Urwał i nasłuchiwał. Z oddali dobiegły krzyki - pytania, potem komendy. Krzyknął jeszcze raz.

- Assistenza! Soccorso! Cisza. Po chwili rozległ się tupot nóg. Bliżej... coraz bliżej.

Dwóch zdyszanych osiłków pojawiło się za rogiem magazynu. Teraz! Pchnął beczkę z całych sił. Potoczyła się z łoskotem w kierunku krawędzi nabrzeża i uderzyła w pal cumowniczy!

Rany boskie! Odbiła się i z głośnym pluskiem wpadła do wody. Goryle, wrzeszcząc na siebie, podbiegli do krawędzi doku. Teraz! Havelock poderwał się z miejsca i wybiegł z ciemności, pędził jak pocisk z wyciągniętymi przed siebie ramionami, zmuszając odrętwiałe nogi do posłuszeństwa. Rozpędzony, natarł z tyłu na zaskoczonych goryli. Najpierw rąbnął pięścią tego z prawej, potem wbił w plecy ramię temu po lewej. Donośny ryk syren z kominów Teresy zagłuszył krzyki spadających do wody ciał. Tych dwóch miał już z głowy. Pozostał

mu jeszcze przychylny do niedawna strażnik i elegancki przybysz. Upłynęła kolejna minuta.

Zostały najwyżej trzy... Wybiegł niepewnie na rozległą przestrzeń nabrzeża, którą wypełniały jedynie światła portowych reflektorów i nieruchome maszyny. Krzyczał łamaną włoszczyzną, głosem na skraju hysterii.

- Ratunku! Tam giną ludzie! Tragedia! Jestem ranny! Dwoje ludzi pospieszyło mi na pomoc, ale kiedy podeszli bliżej z przystani obok padły strzały! Trzy strzały! Nie było ich prawie słychać, bo wyły syreny frachtowca, ale ja je słyszałem! Ktoś strzelał do nich z pistoletu! Szybko! Oni są ranni? Jeden chyba nie żyje! Na pomoc! Mężczyzna w płaszczu wymienił kilka zdań ze strażnikiem, który trzymał wycelowaną w Havelocka automat. Nie był to ten sam strażnik, z którym rozmawiał przedtem. Był

niższy, bardziej krępy, i starszy, a na jego szerokiej twarzy malowało się wściekłe obrzydzenie, w przeciwieństwie do cywila -

mężczyzny około trzydziestopięcioletniego, opalonego i zadbanego, o obliczu chłodnym i bez wyrazu. Cywil kazał strażnikowi zobaczyć co się dzieje, ale ten wrzeszczał, że nie opuści posterunku, choćby i za dwadzieścia tysięcy lirów! Niech capo-regime sam dba o swoje sprawy! Owszem, capo mógł kupić parę godzin jego pracy, zapłacić za chwilowe zniknięcie, ale nic poza tym! A więc spisek. Zmowa od samego początku!

- Andate voi stesso! - wrzasnął strażnik. Cywil, klnąc pod nosem, ruszył w kierunku magazynu, najpierw biegiem, a po chwili nagle zwolnił i ostrożnie podszedł do narożnika budynku. Strażnik stał teraz przed oszkloną budką, z bronią wycelowaną w Michaela.

- Hej, ty! Podejdz do ogrodzenia! - krzyknął po włosku. Podnieś ręce i nie odwracaj się! Bo strzelę prosto w łeb! Zostały dwie minuty. Marne dwie minuty... Jeśli cała akcja miała by się udać, musi działać natychmiast.

- O Boże! - krzyknął Havelock i padł chwytając się za serce. Strażnik wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

- Wstawaj! - rozkazał umundurowany służbista. - Wstawaj natychmiast! Michael tylko na to czekał. Poderwał się z desek, złapał przeciwnika mocno za nadgarstek, wykręcił mu rękę, wyrwał pistolet i powalił na ziemię. Strażnik stracił przytomność. Havelock zaciągnął

go do ciemnej budki i wybiegł przez otwartą bramę, chowając pistolet do kieszeni marynarki.

W oddali rozległ się przeciągły, ochrypły dźwięk syreny, a po nim nastąpiły cztery histerycznie wysokie, przenikliwe gwizdy. Teresa obwieszczała wyjście z portu! Michaela biegnącego bez tchu szeroką aleją i potykającego się o własne stopy, ogarnęło poczucie bezsilności. Kiedy wreszcie dopadł do nabrzeża, strażnik - ten sam strażnik - siedział w budce, znów przy telefonie, i skinieniem nieproporcjonalnie wielkiej głowy, z tępym wzrokiem przyjmował do wiadomości kolejne kłamstwa. Przejście przez otwartą bramę zagradzał

rozciągnięty łańcuch. Havelock jednym ruchem wyrwał hak, łańcuch węzowymi splotami poderwał się w powietrze i z hukiem grzmotnął o ziemię.

- Che cosa! Fermati! Michael biegł po długim nabrzeżu, mimo przejmującego bólu w nogach. Szybciej! Byłe bliżej frachtowca, którego sylwetka wyłaniała się z oparów mgły na samym końcu doku. Nagle skurcz w prawej nodze powalił go na mokre deski. Padł jak długi, ocierając sobie lewe ramię. Z trudem wstał i pokuśtykał do przodu, aż odzyskał rytm biegu.

Wreszcie dotarł do końca nabrzeża. Cały wysiłek na nic! Frachtowiec Santa Teresa dryfował trzydzieści stóp od pali cumowniczych, a potężne liny wiły się po ciemnej wodzie.

- Jenna! - zawołał rozpaczliwie. - Jenna! Jenna! Padł na mokre deski przystani. Ręce i nogi mu drżały, serce waliło jak młot, głowę rozrywał ból, jakby ktoś przerąbał mu ją na pół

siekierą. Stracił ją! Na zawsze!... Jakaś mała łódź wysadzi ją pewnie gdzieś na jednej z tysięcy nie patrolowanych plaż nad Morzem Śródziemnym. Jedyna na świecie osoba, na której naprawdę mu zależało, odeszła na zawsze. Nic już nie miał, i sam był niczym... Gdzie jest mężczyzna w płaszczu i kapeluszu, który innym ludziom kazał go napastować? Oni też biegli po opustoszałym nabrzeżu, przez połyskujące światła reflektorów i tumany mgły. Gdyby tylko udało mu się odnaleźć tego człowieka! Dopóty zdzierałby mu opaloną skórę z twarzy, dopóki nie dowiedziałaby się prawdy.

Wstał z trudem i pokuśtykał ku biegnącemu z wyciągniętą bronią strażnikowi.

- Fermati! Mani in alto.

- Un errore! - odkrzyknął Havelock tonem agresywnym i jednocześnie przeproszającym. Musiał ominąć strażnika, nie dać mu się zatrzymać. Szybko wyjął z kieszeni kilka banknotów i wyciągnął przed siebie, żeby były wyraźnie widoczne w świetle reflektora.

- Rozmawialiśmy przedtem ze sobą, pamięta pan? - wcisnął pieniądze strażnikowi do ręki i poklepał go po plecach. - Niech pan da spokój i schowa broń... Jestem pańskim przyjacielem, prawda? Nic się nie stało, tylko ja jestem trochę biedniejszy, a pan trochę bogatszy. A poza tym, wypilem o jedną szklaneczkę wina za dużo.

- Pan ma źle w głowie! - powiedział strażnik z wyrzutem i szybko wepchnął pieniądze do kieszeni, łypiąc niespokojnie oczami na wszystkie strony. - O mały włos nie dostał pan kuli w łeb. Po co tak ryzykować?

- Dlaczego powiedział mi pan, że Teresa ma wielogodzinne opóźnienie?

- Powtórzyłem tylko, co mi powiedzieli! To banda chamów, wszyscy bez wyjątku!

Oni też mają źle w głowie! Nie wiedzą co robią.

- Już oni dobrze wiedzą co robią - powiedział cicho Michael. - Muszę się spieszyć. I dziękuję za pomoc. Zanim zdezorientowany strażnik zdążył cokolwiek powiedzieć, Havelock rzucił się naprzód. Krzywiąc twarz z bólu, całym wysiłkiem woli próbował opanować drżenie nóg, stłumić klucie w klatce piersiowej. Szybciej! Na miłość boską, szybciej! Wreszcie dobiegł do ogrodzenia okalającego nabrzeże Cristobala, nie wyjmując ręki z kieszeni, wdzięczny losowi za broń. Nieprzytomny strażnik wciąż leżał w ciemnościach na podłodze szklanej budki. Nikt inny go nie ruszał od czasu, gdy Michael pozostawił go tam pięć, może sześć minut temu. Czy elegant w płaszczu wciąż jeszcze był na nabrzeżu? Wszystko na to wskazywało. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, poszukałby przecież niewidocznego w budce strażnika i po znalezieniu go, próbowałby się czegoś dowiedzieć. W trakcie tych prób pozycja ciała leżącego, zostałaby choć nieznacznie zmieniona. Tak się jednak nie stało. Ale po co capo de regime miałby tak długo zostawać na nabrzeżu? Odpowiedź przysła z wiatrem i mgłą od morza. Mężczyzna w płaszczu stał nad wrzeszczącymi, wynurzającymi się co chwila z wody dwoma goryłami. Michael zacisnął z bólu zęby i przemknął się wzdłuż bocznej ściany magazynu,

koło drzwi, którymi wyszła podstawiona blondynka. Mgła podnosiła się coraz wyżej, a wczesne promienie słońca zalewały bez przeszkód coraz większą powierzchnię doku, w którym jeszcze do niedawna stała Santa Teresa. W oddali widać było inny statek, zbliżający się powoli do portu w Civitavecchia. Kto wie czy nie płynął ku przystani zwolnionej niedawno przez Cristobala. Jeśli tak, zostało bardzo mało czasu, nim pojawi się obsługa portowa. Musiał ruszać się szybko, działać skutecznie, a nie miał wcale pewności, czy podoła tym zadaniom. Odcinek nie patrolowanego wybrzeża... Czy człowiek, który stał

teraz od niego zaledwie kilka jardów, wiedział, który to odcinek Morza Śródziemnego? Musi wydobyć z niego odpowiedź! Havelock przeszedł za róg, trzymając pod marynarką broń gotową do strzału. Wiedział, że nie może jej użyć, bo pozbyłby się jedyne źródła informacji i ściągnął na przystań ludzi. Ale przeciwnik nie powinien się tego domyślać.

Żadnych wątpliwości. Stanowczość, gniew i desperacja. Potrafi to odegrać! Mężczyzna w płaszczu stał na krawędzi nabrzeża, wydając polecenia przejętym, ściszym głosem. On też bał się ściągnąć na siebie uwagę postronnych dokerów, którzy mogli szwendać się po sąsiednim nabrzeżu. Scena rozgrywająca się w wodzie była naprawdę komiczna. Jeden z goryli uwiesił się kurczowo cumownicy i za nic w świecie nie chciał jej puścić, bo najprawdopodobniej nie umiał pływać. Elegant kazał wprawdzie drugiemu podtrzymać kolegę, ale ten się nie rwał do pomocy, w obawie, że niezdarny towarzysz wciągnie go pod wodę.

- Ani słowa więcej! - powiedział Havelock ostro, łamaną, ale zrozumiałą włoszczyzną.

Zaskoczony mężczyzna obrócił się, prawą ręką sięgając jednocześnie pod połę płaszcza.

- Niech tylko zobaczę spluwę - ciągnął stanowczo Michael - a zanim podniesiesz rękę, z dziurą w głowie wylądujesz w wodzie. Chodź tu do mnie! Teraz w lewo, pod ścianę!

Szybciej! Nie zatrzymuj się! Mężczyzna zrobił parę kroków.

- Mogłem rozkazać, żeby pana zabili, signore. Ale tego nie zrobiłem, więc chyba zasłużyłem sobie na wdzięczność.

- Oczywiście. Mam zamiar to docenić.

- Jak zdążył pan zapewne zauważyć, nic panu też nie zginęło. - Zauważyłem. A teraz mów, dlaczego nie pozwoliłeś mnie zabić ani okraść.

- Nie jestem ani mordercą, ani złodziejem, signore.

- To mi nie wystarcza. Ręce do góry! Stań w rozkroku! Havelock zaszedł go od tyłu, kopnął w łydkę i błyskawicznym ruchem wyszarpnął pistolet z pasa. Spojrzał na zdobycz z podziwem. Był to wysokiej klasy hiszpański automat, kaliber 38. Wsunął sobie broń za pas.

- Gadaj wszystko co wiesz o dziewczynie.

- To płatna usługa. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Mam ci odświeżyć pamięć? Michael złapał Włocha za lewą rękę - była miękka.

Elegant nie grzeszył siłą, a określenie capo-regime, którym posłużył się strażnik, było zdecydowanie na wyrost. Przeciwnik nie należał do mafii, mafioso w jego wieku nie miałby takich miękkich rąk i dawno już zaszedłby dużo wyżej.

- Signore... signore! Jest pan Amerykaninem, mówmy po angielsku, niech mi pan nie robi nic złego! Uratowałem przecież panu życie!

- Dojdziemy i do tego. Ale najpierw gadaj, co z dziewczyną! - Ja tylko świadczę ludziom przysługi. Wszyscy w porcie z tego mnie znają! Dziewczyna potrzebowała pomocy.

Zapłaciła!

- Żeby wydostać się z Włoch?

- Czego jeszcze można chcieć?

- Dała dużo więcej, nie tylko za sam wyjazd! Ilu ludzi musiałeś opłacić? Ile kosztowała ta cała intryga?

- Cosa dice? Intryga?

- To przedstawienie, którym dyrygowałeś!

- Jakie przedstawienie, nie wiem o czym pan mówi! Havelock chwycił eleganta za ramię, obrócił nim i popchnął gwałtownie na mur.

- Tam za rogiem - dodał, wskazując dokładnie miejsce. - Po co ta zgrywa? Za to też zapłaciła. Dlaczego? Gadaj!

- Zgadza się, signore. Zapłaciła. Spiegazioni... nie życzyła sobie... żadnych wyjaśnień.

Michael wyraźnie zirytowany, przystawił lufę pistoletu do brzucha.

- Co ci jeszcze powiedziała?

- ... że musi sprawdzić - wykrztusił zgięty w pół mężczyzna.

- Co sprawdzić? - Havelock strącił mu z głowy kapelusz i chwyciwszy za włosy, rąbnął głową o ścianę. - Co sprawdzić? - Co pan robi!

- Skąd wiedziała, że przyjadę tutaj za nią?

- Nie wiedziała!

- Więc po co to wszystko?

- Powiedziała, że może pan przyjechać! Że pan jest... inżyniero... zdolny do wszystkiego. Że już niejednego pan dopadł, bo ma pan do dyspozycji nieograniczone środki.

Kontakty, informatorów.

- Mów dokładniej! Skąd wiedziała? Michael zacisnął Włochowi pięść na włosach i omal go nie oskalpował.

- Signore... powiedziała, że nim znalazła taksówkę do Civitavecchia, rozmawiała z trzema kierowcami na piattaforma. Bała się! To by się zgadzało. Nie przyszło mu do głowy, żeby poszukać na dworcu postojowym taksówek. W Rzymie nie było ich zbyt wiele, a poza tym wtedy działał na oślep. Zrobiło się już całkiem widno. Statki w porcie wypełniły powietrze przenikliwym gwizdem i parą. Zostało mu bardzo mało czasu: niebawem zjawią się dokerzy, nabrzeże zaroi się od maszyn i ludzi. Musi dowiedzieć się gdzie jest Jenna.

- Jest na Teresie, tak?

- Si! Havelock przypomniał sobie słowa właściciela „Il Tritone”: -Teresa płynęła do Marsylii.

- Jakim sposobem zostanie przerzucona ze statku na ląd? Mężczyzna nie odpowiadał, Michael z całej siły ścisnął go za gardło.

- Zrozum, człowieku, zrozum mnie dobrze. Jeżeli nie powiesz, koniec z tobą. A jeżeli skłamiesz, i nie znajdę jej w Marsylii, możesz być pewny, że wrócę tu po ciebie. Dopadnę cię, nikt mi się jeszcze nie wymknie, jestem zdolny do wszystkiego. Włoch krztusił się spazmatycznie i otwierał usta, usiłując coś powiedzieć. Havelock zwolnił uścisk.

Nieszczęśnik dusił się chwilę od kaszlu i wreszcie wybełkotał:

- I tak nie mam nic do stracenia, więc panu powiem. Nie chcę afflizione z takimi jak pan, signore! Po co mi to?

- Więc, mów!

- To nie będzie Marsylia. Teresa zawija do San Remo. Jak i gdzie dziewczyna ma wyjść na brzeg, tego nie wiem -daję słowo! Wiem tylko, że ma przekroczyć granicę w Col des Moulinets, a stamtąd zostanie przerzucona do Paryża. Kiedy? Nie mam pojęcia, przysięgam! Mężczyzna nie musiał przysięgać. Bez wątpienia, mówił teraz prawdę. Był

szczerzy ze strachu, panicznego strachu. Co mu Jenna powiedziała? Dlaczego nie kazał zabić Michaela? Dlaczego nic mu nie ukradziono? Tego chciał się koniecznie dowiedzieć.

- Powiedziałeś, że mogli mnie zabić na twój rozkaz, ale ty nie wydałeś takiego rozkazu. Dlaczego?

- Nie, signore, nie powiem - wymamrotał Włoch. - Niech mnie Bóg skarże, nic nie mówiłem, nic nie wiem! Havelock podniósł powoli pistolet i przytknął mu koniec lufy do lewego oka.

- Mów, bo zastrzelę...

- Signore, prowadzę tu drobny, całkiem niezły interes, ale przysięgam na łzy Madonny, nigdy dotąd, powtarzam, nigdy, nie mieszałem się do polityki! Ani do niczego, co choć trochę pachniało polityką. Myślałem, że dziewczyna kłamie, że chce mnie przestraszyć.

Nie wierzyłem jej ani przez chwilę! - Sam przyznałeś, że to twoja zasługa, że nie zostałem zabity, ani obrabowany. Dlaczego to zrobiłeś? Przecież nie z miłości do bliźniego...

- Powiedziała, że pan jest Amerykaninem współpracującym z communistami! Z

Sowietami. Nie uwierzyłem jej! Nie znam się na tym! Ale wolałem zachować ostrożność, nie wtrącać się. W Civitavecchia daleko nam do takich wojen. Dla takich jak my, co ciułają kilka marnych lirów w porcie, są zbyt... internazionalni. Interesy wielkiego świata są nam obce, Bóg mi świadkiem! Nie chcemy się narażać, ani jednym, ani drugim! ... Signore, pan mnie zrozumie! Pan napastował kobietę. Zgoda, ona jest prostytutka, ale zawsze to kobieta. Ludzie pana powstrzymali, odciągnęli, ale jak zobaczyłem, czym to się może skończyć, tym razem ja ich powstrzymałem! Przerażony Włoch bełkotał dalej, ale Havelock już go nie słuchał. To, co już usłyszał i tak przeszło jego najśmielsze wyobrażenia! „Amerykanin współpracujący z Sowietami”. Jenna tak o nim powiedziała? Czyste szaleństwo! Czyżby wmawiała mu kłamstwo, żeby wzbudzić u tego drobnego kombinatora poczucie realnego zagrożenia po fackie? Czy sama w to wierzyła? Czy właśnie to zobaczył w jej oczach na peronie dworca Ostia? Tak jak on uwierzył bez cienia wątpliwości, że Jenna jest głęboko zakonspirowanym oficerem Wojennej? O Boże! Zwrócili się przeciwko sobie z identycznymi podejrzeniami!

Czy dowody przeciwko niemu były tak samo niepodważalne, jak dowody przeciwko niej? Z

pewnością tak! To też widział w jej oczach. Strach, żal... ból. Nikomu już nie mogła zaufać.

Ani teraz, ani w najbliższym czasie, a może nawet do końca życia. Została jej tylko ucieczka, tak, jak i jemu. Boże! Co oni zrobili? Dlaczego? Była w drodze do Paryża. Więc znajdzie ją w Paryżu! Polecą do San Remo lub Col des Moulinets i tu czy tam ją zatrzyma. Miał nad nią przewagę szybkiej komunikacji - ona wlokła się po morzu starym frachtowcem, on polecą samolotem. Miał czas. Postara się go wykorzystać bardzo dokładnie. W rzymskiej ambasadzie urzędował przecież pewien oficer, który niedługo na własne oczy zobaczy jego straszną złość. Podpułkownik Lawrence Baylor Brown albo wypowiada się przed nim dokładnie, albo wszystkie raporty z działalności tajnych służb Waszyngtonu staną się drobnymi przypisami do rewelacji, które on ujawni. Poda przykłady niekompetencji, bezprawia, kosztownych pomyłek i krótkowzroczności, które każdego roku kosztują życie tysiące ludzi na całym świecie. Zacznie od czarnego dyplomaty w Rzymie, który przekazuje tajne rozkazy amerykańskim agentom w całych Włoszech i zachodniej części Morza Śródziemnego.

- Capisce? Pan mnie rozumie, signore? Włoch łasił się, grał na zwłokę, spoglądając ukradkiem w prawo. Na sąsiednim nabrzeżu, trzech ludzi stąpiło w porannym świetle ku najdalszej cumownicy.

Wpływający do portu frachtowiec dobijał do przystani. Wkrótce nadejdzie więcej dokerów.

- Jesteśmy ostrożni... naturalmente, i nie znamy się na tych sprawach! Jesteśmy creature portu, nic więcej.

- Przypuśćmy, że ci wierzę, - rzekł Michael, biorąc Włocha za ramię i odwracając go plecami do siebie. - Idź w kierunku wody rozkazał cicho.

- Signore, błagam, nie!

- Rób co ci każę!

- Zaklinam na wszystkie świętości i najlitościwszego Pana! Na krew Chrystusa, na łzy Matki Przenajświętszej! Jestem Bogu ducha winnym kupcem, signore! Nic nie wiem! -

Włoch łkał coraz głośniej. Kiedy doszli do krawędzi nabrzeża, Havelock powiedział:

- Skacz! - i zepchnął eleganta do wody.

- Mio Dio! Assistenza! - wrzeszczał jak opętany jeden z goryli, gdy jego pracodawca dołączył do moczącego się w morzu towarzystwa. Michael odwrócił się i pokuśtykał z powrotem za róg magazynu. Nabrzeże świeciło jeszcze pustką, ale strażnik w ciemnej budce już się ocknął, potrząsał głową i próbował podnieść się z podłogi. Havelock opróżnił

magazynek pistoletu, naboje wysypały się na deski. Potem pospieszył w kierunku wartowni i gdy doszedł do drzwi oszklonej budki, wrzucił broń do środka. Ostatni odcinek drogi przebiegł najszybciej jak mógł i przez bramę dostał się do wynajętego samochodu. Szybko do Rzymu. W Rzymie znajdzie wiele odpowiedzi.

7

Czterej mężczyźni, zasiadający wokół stołu w białym pokoju na trzecim piętrze gmachu Departamentu Stanu, byli stosunkowo młodzi jak na średnią wieku waszyngtońskich urzędników wysokiego szczebla. Najmłodszy był po trzydziestce, a najstarszy nie przekroczył

pięćdziesiątki, ale bruzdy na twarzy i zapadnięte policzki sprawiały, że wyglądali dużo starzej. Ich praca wymagała bezsennych nocy i długich okresów wzmożonego napięcia, tym bardziej nieznośnego, że żyli w sterylnej izolacji. Żaden z nich nie mógł rozmawiać z nikim o problemach, z którymi borykali się w białym gabinecie, poza tym gabinetem. To oni ustalali strategie tajnych operacji, oni kontrolowali ruch misji specjalnych i wystarczył najdrobniejszy błąd w ich obliczeniach, aby padały od strzałów polujące sępy. Jedni - na wyższym szczeblu ustalali tylko ogólne cele, drudzy - na niższym, wyznaczali konkretne zadania i wykonawców. Lecz tylko oni znali wszelkie możliwe warianty, każdą prawdopodobną konsekwencję danej operacji. Do nich należały decyzje personalne, wszyscy byli wysokiej klasy specjalistami, każdy autorytetem w swojej dziedzinie. I tylko na ich decydujące skinienie wyszkolone sępy wyruszały do akcji. Nie korzystali

ani z radarów, ani z anten kierunkowych, kierowali się jedynie obserwacją ludzkiego zachowania. Pilnie badali akcje i reakcje, nie tylko obozu przeciwnika, ale także własnego personelu w terenie. Podejmowanie decyzji było nie kończąca się walką, rzadko rozegraną ku zadowoleniu wszystkich jej uczestników. Ilość wariantów „a-co-jeżeli”, rosła wraz z każdą nową wiadomością z terenu, z każdą ludzką reakcją na szybko zmieniające się okoliczności. Byli psychoanalitykami w gigantycznym labiryncie nienormalności, a ich pacjenci - ofiarami tego zamętu. Ich specjalnością było życie w wiecznym absurdzie, gdzie prawda najczęściej okazywała się kłamstwem, a kłamstwo jakże często dawało jedyną szansę przeżycia. Najbardziej obawiali się stresu, bowiem w krańcowym lub długotrwałym stresie, ludzie, tak z wrogiego, jak i własnego obozu, widzieli i robili rzeczy nie do pomyślenia w innych okolicznościach.

Nieprzewidywalność z nienormalnością tworzą groźną mieszankę wybuchową. Do takiego właśnie wniosku doprowadziła czterech ekspertów debata na temat kryzysu, do którego doszło późnym wieczorem. Podpułkownik Lawrence Baylor Brown przysłał bowiem depezę z zaszyfowaną klauzulą, zastrzeżoną dla spraw najpilniejszych. Treść depeży wymagała otwarcia przedawnionej kartoteki, każdy ze strategów musiał mieć dostęp do faktów. Fakty zaś były niepodważalne. Zdarzenia na odludnej plaży u wybrzeża Costa Brava, zostały potwierdzone przez dwóch zaufanych i naocznych świadków: oficera służby zagranicznej Michaela Havelocka we własnej osobie oraz człowieka Havelockowi nie znanego, o nazwisku Steven MacKenzie, jednego z najbardziej doświadczonych tajnych agentów CIA, działających w Europie. Ten ostatni, ryzykował życiem, aby dostarczyć dowody: podarte splamione krwią ubranie. Badania laboratoryjne ustaliły ponad wszelką wątpliwość, że należało ono do Jenny Karas. Powodów dodatkowego potwierdzenia nie ujawniono, ale też i nie było tu konieczne. O związku Havelocka z Karas dobrze wiedzieli ci, którzy musieli wiedzieć: pod tak mocnym obciążeniem emocjonalnym, mógł przecież nie sprostać zadaniu, które należało wykonać. Waszyngton musiał się upewnić. Agent MacKenzie znajdował się dwieście stóp na północ od Havelocka, widział wszystko dokładnie, i potwierdził z absolutnym przekonaniem, że Jenna Karas została zabita tamtej nocy. To, że MacKenzie zmarł na atak serca, żeglując po zatoce Chesapeake trzy tygodnie po powrocie z Barcelony, w żadnym razie nie podważa wiarygodności jego świadectwa. Wezwany przez patrol straży przybrzeżnej lekarz - znany chirurg nazwiskiem Randolph - miał na wschodnim wybrzeżu nieskazitelną opinię. Świadectwo zgonu było jednoznaczne: MacKenzie umarł śmiercią naturalną. Niezależnie od meldunku z Costa Brava, dowody przeciwko Jennie Karas poddano drobiazgowym badaniom. Sekretarz stanu Anthony Matthias wyraźnie tego zażądał, a stratedzy dobrze wiedzieli dlaczego. W grę wchodził tu jeszcze jeden bliski związek: ten, który łączył Matthiasa i Havelocka od niemal dwudziestu lat, kiedy to student poznał swojego profesora na Uniwersytecie Princeton. Obaj - Czesi z urodzenia: jeden zdobył sławę jako bodaj najznamienitszy umysł geopolityczny w świecie akademickim, drugi zaś - młody, zawzięty, imigrant, desperacko próbował odnaleźć się w nowej ojczyźnie. Dzieliły ich istotne różnice poglądów, ale więzy przyjaźni okazały się trwalsze. Anthony Matthias przybył do Ameryki przeszło czterdzieści lat temu, jako syn znanego lekarza z Pragi, który pospiesznie wywiózł rodzinę z Czechosłowacji opanowanej przez nazistów i spotkał się z życzliwym przyjęciem w środowisku medycznym. Emigracja Havelocka natomiast, była wspólnym przedsięwzięciem amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu. Jego pochodzenie utrzymywano w tajemnicy, początkowo przez wzgląd na bezpieczeństwo dziecka. I o ile do błyskotliwej kariery Matthiasa w rządzie przyczyniła się cała plejada wpływowych polityków, którzy otwarcie zgłaszali się do niego po radę i publicznie wychwalali jego mądrość, o tyle dużo młodszy prażanin udowadniał swoją wartość poprzez sukcesy, które nigdy nie

ujrzały światła dziennego. Pomimo różnic wieku, intelektu i temperamentu, przetrwała między nimi więź, utrzymywana konsekwentnie przez starszego, a w żadnym razie nie nadużywana przez młodszego. Ci, którzy potwierdzili dowody przeciwko Karas byli pewni, że pomyłka nie wchodzi w rachubę. Zaś czterej stratedzy z Departamentu Stanu rozumieli teraz, że depeszę z Rzymu trzeba zbadać nader wnikliwie. Przede wszystkim należało przez pewien czas nic nie mówić Matthiasowi. Albowiem, choć oficjalnie podawano, że ów wybitny sekretarz stanu udał się na bardzo zasłużony odpoczynek, prawda była zgoła inna. Matthias leżał chory, chodziły nawet słuchy, że stan jego zdrowia jest bardzo poważny. I choć przez swoich podwładnych pozostawał w stałym kontakcie z Departamentem, od niespełna pięciu tygodni przebywał poza Waszyngtonem. Nawet najbardziej wścibscy ludzie z korpusu prasowego, którzy podejrzewali, że wakacje to unik dyplomatyczny, nic nie mówili i nic na ten temat nie drukowali. W interesie świata należało zachować milczenie. Rzym nie mógł więc stać się dodatkowym obciążeniem dla Anthona Matthiasa.

- Ma przywidzenia, rzecz jasna - rzekł łysiejący mężczyzna nazwiskiem Miller, odkładając na stół kopię depeszy. Dr Paul Miller był psychiatrą, wybitnym diagnostyką wszelkich odchyleń w zachowaniu.

- Czy w jego życiorysie jest coś, co mogłoby nas wcześniej zaniepokoić? - spytał

rudowłosy, krępy mężczyzna w pomiętym garniturze, koszuli z rozpiętym kołnierzem i w rozwiązanym krawacie. Nazywał się Ogilvie, był ongiś agentem terenowym.

- Nic - odparł Daniel Stern, strateg siedzący na lewo obok Millera. Miał tytuł

dyrektora Operacji Konsularnych, a był innymi słowy mówiąc - szefem sekcji tajnych operacji Departamentu Stanu.

- Dlaczego? - zapytał czwarty strateg, konserwatywnie ubrany mężczyzna, jakby żywcem wzięty z reklamy koncernu IBM w „Wall Street Journal”. Siedział obok Ogilwiego.

Nazywał się Dawson i był ekspertem prawa międzynarodowego.

- Czy mam przez to rozumieć, że były... są luki w jego kartotece służbowej?

- Tak. Pozostałość po przezornych decyzjach z dawnych lat. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby uzupełnić dossier, więc pozostało niekompletne. Tu właśnie należy szukać odpowiedzi na pytanie Ogilwiego. Jest to znak ostrzegawczy, którego nie wzięliśmy pod uwagę.

- To znaczy? - spytał Miller znad okularów, gładząc ręką po łysinie.

- Można się było spodziewać, że kiedyś pęknie. Nie wytrzyma tego obciążenia.

- Wyrażaj się do cholery, jaśniej! - wtrącił Ogilvie z niezbyt przyjemną miną. - Oceny agenta dokonuje się na podstawie dostępnych danych.

- Nikt nie uważał, żeby to było konieczne. Ma nieskazitelne notowania służbowe.

Poza jednym czy dwoma nieporozumieniami, był nadzwyczaj skuteczny i rozsądny, nawet w skrajnie niepomyślnych warunkach.

- Tylko że teraz nagle widzi trupy na dworcach kolejowych -wtrącił Dawson.-

Dlaczego?

- Znasz Havelocka? - spytał Stern.

- Tylko z przesłuchań personelu terenowego, osiem czy dziewięć miesięcy temu -

odparł prawnik. - Wyglądał na bardzo sprawnego agenta.

- Takie jest nie tylko twoje wrażenie - dodał dyrektor Operacji Konsularnych.

Sprawny, skuteczny, rozsądny... bardzo odporny, bardzo opanowany, bardzo inteligentny.

Przeszedł niezłą szkołę w młodym wieku, i to w wyjątkowych okolicznościach. Może trzeba było zainteresować się tym okresem. Stern urwał, wziął do ręki dużą brązową kopertę i z niezwykłą ostrożnością wysunął tekturową, obramowaną na czerwono teczkę na akta.

- Proszę, oto pełne, szczegółowe dossier Havelocka. Do tej pory mieliśmy dostęp do danych podstawowych, nie budzących żadnych zastrzeżeń. A więc absolwent Princeton z doktoratem z historii europejskiej i magisterium z języków słowiańskich. Stały adres: Greenwich, Connecticut. Osierocony podczas wojny, przywieziony z Anglii i zaadoptowany przez małżeństwo Websterów, sprawdzone, czyste. Opieraliśmy się wszyscy, rzecz oczywista, na rekomendacji Matthiasa, którego zdanie już wówczas bardzo się liczyło. Dane, przedstawione przed szesnastoma laty komisji rekrutacyjnej Departamentu Stanu nie budziły żadnych wątpliwości. Bardzo inteligentny, wykształcony młody człowiek, gotów pracować w biurokratycznym młynie, doskonalić swoje zdolności językowe i działać w głębokiej konspiracji. Ale nikt nie wymagał od niego dalszej nauki języków. Swoim ojczystym czeskim władał lepiej, niż myśleliśmy. W tej tezcze mamy natomiast inne szczegóły życiorysu, które być może wyjaśnią powody jego obecnego załamania.

- Cholernie długi skok w przeszłość - powiedział Ogilvie. Możesz streścić nam tę historyjkę? Nie lubię niespodzianek, emerytowanych paranoików nie potrzebujemy. - Chyba jednak mamy z takim do czynienia - wtrącił Miller, biorąc do ręki depeszę. - Jeżeli oczywiście można polegać na opinii Browna.

- Można spokojnie - rzekł Stern. - To jeden z naszych najlepszych ludzi w Europie.

- Tak, ale to Pentagon - dodał Dawson. - Trzeźwa ocena faktów nie jest ich najmocniejszą stroną.

- Brownowi można ufać - rozwiął wątpliwości Stern. - Jest Murzynem, więc musiał

być dobry.

- Jeśli pozwolicie mi skończyć - ciągnął Miller. - Brown radzi nam stanowczo, żebyśmy potraktowali Havelocka poważnie. Rzeczywiście widział to, co widział.

- I co jest absolutnie niemożliwe - powiedział Ogilvie. - Krótko mówiąc, mamy wariatuńcia. Co masz w tej teczce, Dan? - Okrutne dzieciństwo - odparł Stern, odchylając okładkę i kilka pierwszych stron.

- Wiedzieliśmy, że jest Czechem, ale nic poza tym. Podczas wojny przybyły do Anglii tysiące czechosłowackich uchodźców i to był dla nas wystarczający powód, że się tam znalazł. Ale prawda przedstawia się inaczej. Havelock miał dwa życiorysy: jeden prawdziwy, a drugi to konspiracyjna legenda. Ani on, ani jego rodzice wcale nie byli podczas wojny w Anglii. Spędził te lata w Pradze i najbliższych okolicach. Był to jeden wielki koszmar, który go ciężko doświadczył na całe życie. Niestety, nie możemy zajrzeć mu do głowy, a to w tej chwili byłoby najlepsze rozwiązanie. Dyrektor zwrócił się do Millera.

- Pozostaje nam tylko twoja opinia, Paul. On może być bardzo niebezpieczny.

- Wobec tego postaw sprawę jasno - rzekł psychiatra. Jak głęboko sięgamy w przeszłość? I dlaczego?

- Zaczniemy może od „dlaczego” - powiedział Stern, przekładając kilka kartek z dossier. - Od dziecka wisiała nad nim groźba zdrady. Był wprawdzie okres w czasie dojrzewania i wczesnej dorosłości - w szkole i na uniwersytecie - kiedy nie odczuwał tak silnej presji, lecz niewątpliwie nękały go koszmarnie wspomnienia. Potem na następnych szesnaście lat - ostatnich szesnaście lat, wrócił do takiego samego świata. Może widział już za dużo duchów?

- Mów jaśniej, Daniel - naciskał psychiatra.

- Dobrze - rzekł dyrektor, przebiegając wzrokiem po pierwszej z odłożonych stron kartoteki. - Musimy wobec tego cofnąć się do czerwca 1942 roku i wojny w Czechosłowacji.

Gwoli ścisłości, nie nazywa się Havelock, ale Havliczek. Michaił Havliczek. Urodził się w Pradze, w połowie lat trzydziestych, dokładna data nie jest znana. Dokumenty zostały zniszczone przez gestapo.

- Gestapo? - Prawnik Dawson oparł się głęboko w krzesło, coś mu chyba świtało w pamięci. - Czerwiec 1942... Czy aby ta data nie pojawiła się w procesach norymberskich?

- Tej sprawie poświęcono w Norymberdze wiele uwagi - stwierdził Stern. - 27 maja Reinhard Heydrich, znany jako der Henker - kat Pragi, został zabity przez czeskich partyzantów. Dowodził nimi pewien profesor, wydany z Uniwersytetu Karola i współpracujący z brytyjskim wywiadem. Nazywał się Havliczek i mieszkał z żoną i synem w wiosce położonej około ośmiu mil od stolicy, gdzie zresztą zorganizował oddziały partyzanckie. Ta wieś to Lidice.

- O Boże - wycedził Miller odkładając depeszę na stół.

- Nie chciał rzucać się w oczy - ciągnął sucho Stern przerzucając kartki. - W obawie, że ktoś

rozpozna go w miejscu zabójstwa Heydricha, zniknął z domu na prawie dwa tygodnie i ukrywał się w podziemiach uniwersytetu. Rozwścieczeni Niemcy, w odwecie za śmierć Heydricha postanowili wszystkich dorosłych mężczyzn rozstrzelać, kobiety skierować do przymusowej, niewolniczej pracy w fabrykach, a co ładniejsze wysłać jako Feldhuren do koszar. Dzieci zaś... dzieci miały po prostu „zniknąć”. Jugendm glichkeiten. Te, które nadawały się do adopcji, miały być adoptowane, zaś reszta zagazowana w obwoźnych komorach.

- O nikim skurwiele nie zapomnieli - wycedził Ogilvie.

- Rozkazy z Berlina utrzymywano w tajemnicy, aż do rana 10 czerwca, dnia masowych egzekucji - ciągnął Stern, spoglądając na kartkę. - Tego też dnia profesor Havliczek postanowił wrócić do swoich najbliższych. Gdy wiadomość o tragedii już się rozeszła, bo rozwieszono obwieszczenia na słupach telegraficznych i podano komunikaty w radio, partyzanci powstrzymali go przed powrotem do domu. Trzymali pod kluczem, tumanili narkotykami, wiedząc, że swoim ujawnieniem niczego nie wskóra. Wreszcie powiedzieli mu o najgorszym. Jego żonę posłano w objęcia Niemców do koszar później przysła wiadomość, że odebrała życie sobie i oficerowi wermachtu. Jego syn zaś zaginął bez wieści.

- Ale nie został zabrany z innymi dziećmi - powiedział Dawson.

- Nie. Polował akurat na zające i wrócił w sam raz, żeby zobaczyć łapanki, egzekucje, trupy w rowach. Przeżył szok, uciekł do lasu i całe tygodnie żył jak zwierzę. Po wsiach krążyły opowieści: ktoś widział przemykające między drzewami dziecko, ktoś inny znalazł

ślady stóp koło stodoły. Wieści te dotarły do ojca, który ongiś powiedział synowi, że gdyby przypadkiem przyszli po nich Niemcy, ma uciekać do lasu. Po przeszło miesięcznych poszukiwaniach, profesor Havliczek wreszcie wytropił chłopca. Krył się w jaskiniach i na drzewach, przerażony, że ktoś go może zobaczyć. Jadł, co tylko dało się ukraść albo wyrwać z ziemi.

- Cudowne dzieciństwo - rzekł psychiatra, zapisując coś w notesie.

- To dopiero początek. - Dyrektor Operacji Konsularnych sięgnął po następną kartkę z dossier. - Havliczek pozostał z synem w praskiej dzielnicy Boleslav. Rozgorzała walka podziemna, a ojciec był nadal dowódcą grupy partyzantów. Parę miesięcy później chłopak został jednym z najmłodszych rekrutów Dziecięcej Brygady. Dzieci pomagały jako kurierzy, nierzadko przenosząc materiały wybuchowe, nitroglicerynę i plastik, zamiast meldunków.

Jeden fałszywy krok, jedna rewizja, jeden żołnierz spragniony małego chłopca, i koniec zabawy.

- Ojciec na to pozwolił? - spytał Miller z niedowierzaniem. - Nie mógł go powstrzymać. Chłopak dowiedział się, co Niemcy zrobili z jego matką. Kolejnych, makabrycznych trzech lat dzieciństwa nie da się opisać. Nocami, kiedy ojciec był w domu, chłopiec uczył się, jak i inne dzieci w wieku szkolnym. A za dnia, inni pokazywali mu jak uciekać i kryć się, jak kłamać. Jak zabijać.

- To właśnie ta szkoła, o której wspomniałeś wcześniej? - spytał cicho Ogilvie.

- Tak. Wiedział, jak się zabija i widział, jak ginęli jego koledzy, nim ukończył dziesięć lat życia. Przerazające.

- Tego się nie da wymazać z pamięci - dodał psychiatra. Bomba podłożona przeszło trzydzieści lat temu, tykała do tej pory.

- Czy Costa Brava mogła podziałać jako zapalnik po tylu latach? - spytał prawnik, patrząc na Millera.

- Owszem. Aż roi się tu od krwawych obrazów i dość ponurych symboli. Ale musiałbym dowiedzieć się znacznie więcej.

- Co się z nim działo później? - Miller zwrócił się do Sterna, trzymając ołówek w pogotowiu.

- Dla nich wszystkich - powiedział Stern - nastał wreszcie pokój, bo formalnie rzecz biorąc, wojna się skończyła. Ale Praga nie zaznała pokoju. Rosjanie mieli własne plany i zapanowało inne szaleństwo. Stary Havliczek nadal prowadził polityczną działalność i nie w smak mu było rezygnowanie z wolności, o którą walczył wraz z partyzantami. Wdał się w nową wojnę, równie skrytą i równie brutalną jak poprzednia. Z Rosjanami tym razem.

Skończyła się ona dla niego 10 marca 1948 roku zabójstwem Jana Masaryka i upadkiem socjaldemokratów.

- Dlaczego?

- Zniknął. Wywieziony do gułagu na Syberię, albo może do jakiegoś bliższego grobu.

Jego polityczni współpracownicy zareagowali bardzo szybko, Czesi i Rosjanie mają wspólne przysłowie: „Z małego wilczka jutro wyrośnie wilk”. Ukryli młodego Havliczka i nawiązali kontakt z brytyjską komórką MI6. Czyjeś sumienie zostało poruszone, chłopca przemycono przez granicę i przerzucono do Anglii.

- To przysłowie o wilczku, z którego jutro wyrośnie wilk, dobrze się sprawdziło, prawda? - wtrącił Ogilvie.

- Tak, i to w zgoła nieoczekiwany dla Rosjan sposób.

- Jaką rolę odegrali Websterowie? - spytał Miller. - Byli jego opiekunami tutaj, ale chłopak

przebywał w Anglii. - Czysty przypadek. Webster był podczas wojny pułkownikiem rezerwy, przydzielonym do służby w Centrali Naczelnego Dowództwa. W czterdziestym ósmym pojechał do Londynu w interesach wraz z żoną i pewnego dnia, podczas obiadu w towarzystwie przyjaciół z lat wojny, ktoś wspomniał o młodym Czechu z Pragi, przebywającym w sierocińcu w hrabstwie Kent. Od słowa do czynu - Websterowie nie mieli dzieci, a historia chłopca była intrygująca, jeśli nie niewiarygodna. Pojechali więc do Kentu i przeprowadzili z dzieckiem wywiad. Tak dokładnie jest tu napisane: „wywiad”. Bezdusznie, prawda?

- Ale przecież Websterowie nie byli bezduszni.

- Broń Boże! Webster wziął się do roboty. Wyrobił chłopcu lewe papiery, obszedł

bokiem parę przepisów, aż w końcu ciężko doświadczone dziecko przerzucił do Ameryki ze zmienionym życiorysem. Havliczek miał szczęście. Z angielskiego sierocińca przeniósł się do wygodnego, amerykańskiego domu w zamożnym regionie, ze świetną prywatną szkołą i uniwersytetem Princeton w sąsiedztwie. - Z nowym nazwiskiem - zauważył Dawson.

- Skoro już nasz pułkownik rezerwy z małżonką pogodzili się z koniecznością ukrycia prawdziwego życiorysu chłopca, tym bardziej uważali, że w Greenwich przyda się mu angielskie nazwisko. Wszyscy mamy swoje słabostki. - Daniel Stern uśmiechnął się.

- Dlaczego więc nie dali mu swojego nazwiska?

- Chłopiec nie posunąłby się tak daleko. Jak już wspomniałem, nie tak łatwo zapomnieć burzliwe przeżycia. Wymazać je z pamięci, jak ujął to Paul.

- Czy Websterowie jeszcze żyją?

- Nie. Zbliżaliby się teraz do setki. Zmarli oboje na początku lat sześćdziesiątych, gdy Havelock studiował w Princeton.

- Gdzie zresztą poznał Matthiasa, tak? - spytał retorycznie Ogilvie.

- Tak - odpowiedział dyrektor. - Matthias zainteresował się nim nie tylko z powodu akademickich zdolności ale, co może istotniejsze, dlatego, że jego rodzina znała Havliczków w Pradze. Należeli do praskiej elity intelektualnej, dopóki Niemcy jej nie rozbili, a Rosjanie ostatecznie nie pogrzebali niedobitków. - Czy Matthias znał prawdziwy życiorys chłopca?

- Najdrobniejsze szczegóły - odparł Stern.

- Teraz wiadomo, jaki sens miał ów list załączony do kartoteki Costa Brava -

powiedział prawnik. - Słowa, które Matthias skreślił do Havelocka przed akcją.

- Sekretarz sam domagał się włączenia listu do kartoteki wyjaśnił Stern - żebyśmy nie mieli żadnych

wątpliwości. Gdyby Havelock postanowił wtedy się wycofać, mieliśmy wyrazić zgodę.

- Wiem - ciągnął Dawson. - Ale sądziłem, że kiedy Matthias wspominał w liście o tym, ile Havelock wycierpiał... „we wczesnych latach”, chyba tak to sformułował dosłownie, chodziło mu po prostu o utratę obojga rodziców podczas wojny, a nie o aż taki koszmar.

- Teraz już wiesz. Wszyscy wiemy...

- Co radzisz w tej sytuacji, Paul? - Stern znowu zwrócił się do psychiatry.

- Jest tylko jedna rada. Ściągnąć go tutaj. Obiecać mu, co tylko zechce, ale za wszelką cenę mieć go pod ręką. Tylko bez żadnych wypadków po drodze! Ma tu przybyć żywy!

- Zgadzam się, że jest to optymalne rozwiązanie - wtrącił rudy Ogilvie. - Ale nie widzę powodu, żeby od razu wykluczać wszelkie inne warianty.

- Zastanów się - rzekł doktor. - Sam przecież mówiłeś o nim paranoik i wariatuńcio.

Costa Brava poruszyła u Havelocka najczulsze struny. Znow był świadkiem egzekucji. To właśnie mogło podzielać jak zapalnik podłożonej przed trzydziestu laty bomby. Częścią swojej jaźni wrócił do tamtych wojennych lat i ukrywa się przed prześladowaniami, buduje gęstą sieć szańców i okopów przed spodziewanym atakiem. Koczuje w lesie po egzekucji w Lidicach, działa w Dziecięcej Brygadzie z nitrogliceryną przypiętą do pasa.

- Baylor też o tym pisze - powiedział Dawson, biorąc depezę do ręki. - Cytuję:

„Zapieczerowane depozyty”, „szkolne historyjki”. To nie żarty, panowie.

- Jest gotów na wszystko - ciągnął psychiatrę. - Tu nie ma żadnych reguł. W czasie halucynacji człowiek przeskakuje z urojonego do rzeczywistego świata i w każdej fazie osiąga podwójny cel: z jednej strony przekonuje się o istniejącym zagrożeniu, z drugiej zaś, oddala od siebie to zagrożenie.

- Jak się ma do tego Rostow w Atenach? - spytał Stern.

- Wcale nie wiemy, czy w Atenach w ogóle pojawił się Rostow odrzekł Miller. - To mogło być przywidzenie, zobaczył na ulicy podobnego faceta i później uroił sobie spotkanie.

Przecież my wiemy, że Karas pracowała dla KGB. Po diabła ktoś taki jak Rostow miałby pojawić się ni stąd, ni zowąd i temu zaprzeczać?

- Baylor twierdzi, że Havelock nazwał to ślepią sondą. Rostow mógł go wziąć.

Wydostać z Grecji.

- To dlaczego tego nie zrobił? - spytał Miller. - Daj spokój, Rudy, pracowałeś przecież dziesięć lat w

terenie. Ślepa sonda czy inny diabeł... Gdybyś ty był na miejscu Rostowa i znał

Łubiankę od kuchni, nie zabrałbyś Havelocka przy takiej sposobności, jaką opisuje depesza?

Ogilvie zamyślił się, wpatrzony w psychiatrę.

- Tak - wydusił wreszcie. - Bo zawsze mógłbym go wypuścić, gdybym tylko chciał

nim ktoś by zauważył, że go przymknąłem. - No właśnie. To się nie trzyma kupy. Czy Rostow był w Atenach, czy raczej nasz pacjent sobie go uroił, widząc w nim kolejne zagrożenie, a zarazem i potrzebę obrony własnej? - Z tego co mówi ten pułkownik Baylor wynika, że relacja Havelocka była przekonująca - wtrącił prawnik Dawson.

- Schizofrenik z manią prześladowczą, jeśli z takim mamy do czynienia, zawsze bywa nadzwyczaj przekonujący, bowiem święcie wierzy w to, co mówi.

- Ale przecież nie możesz mieć pewności, Paul - nie dawał za wygraną Stern.

- Zgoda. Jednakowoż pewni jesteśmy jednej, a właściwie dwóch rzeczy. Karas była w KGB i została zastrzelona na plaży na Costa Brava. Mamy niezbite dowody w pierwszym przypadku i dwa naoczne potwierdzenia w drugim, w tym od samego Havelocka psychiatra spojrział na twarze trzech strategów. -Przyjmuję te dwa pewniki oraz nowe informacje z życiorysu Michała Havliczka. Tylko na tej podstawie mogę postawić diagnozę.

- „Obiecujecie mu, co tylko zechce...” - powtórzył Ogilvie. -

Jak z durnej reklamy wzięte.

- Ściągnijcie go tutaj - dokończył Miller. - I to jak najszybciej. Wsadźcie go do kliniki, na kurację, byle tylko dowiedzieć się, co już zrobił i gdzie ukrył swoje mechanizmy obronne.

„Zapieczone depozyty” i „szkolne historyjki”.

- Nie muszę chyba nikomu przypominać - przerwał spokojnie Dawson - iż Havelock posiada informacje, które jeśli ujrzą światło dzienne, mogą nam bardzo zaszkodzić, wystawi to na szwank naszą opinię tutaj i za granicą, nie mówiąc już o tym, czego dowiedzą się Sowietci, choć akurat tego się mniej obawiam. Szyfry, informatorzy, źródła - wszystko to można zmienić. Gorzej, że nie da się pominąć milczeniem pewnych faktów, kiedy nasi ludzie dopuszczali się pogwałcenia traktatów wywiadowczych, czy łamania prawa w krajach zaprzyjaźnionych.

- Że nie wspomnę o wewnętrznych ograniczeniach, którym przecież również podlegamy - dorzucił Stern. - Havelock świetnie zna takie przypadki, sam wszakże negocjował kilka wymian z tego właśnie powodu.

- Cokolwiek robiliśmy, było uzasadnione - powiedział bez ogródek Ogilvie. - Zechcą dowodów,

proszę bardzo, niech przejrzą ze dwie setki kartotek, które jak na dłoni pokazują, cośmy osiągnęli.

- I dwa tysiące innych, z których wynika cośmy spieprzyli - zachnął się prawnik. -

Poza tym, jest jeszcze konstytucja, panowie. W tej chwili bawię się rzeczą jasną, w adwokata diabła...

- O dupę potłuc takie gadanie! - odgryzł się Ogilvie. Havelock mógłby dobić targu, gdyby tylko w porę założył podsłuch, dał obstawę gdzie trzeba i dowiedział się, co w trawie piszczy. - To są śliskie sprawy, Rudy - tłumaczył Dawson nie bez wyrozumiałości. - Kiedy zabójstwo może być uzasadnione, naprawdę uzasadnione? Zawsze znajdą się tacy, którzy powiedzą, że nasze osiągnięcia nie usprawiedliwiają naszych porażek.

- Nieprawda! Jeden człowiek, który przechodzi na naszą stronę, usprawiedliwia wszystkie porażki - odparł Ogilvie ze sztywnym, chłodnym wzrokiem. - Jedna rodzina ocalona z obozu w Magyaorszag, Krakowie, Dannenwalde, albo w Libercu... Właśnie dlatego że żyją, panie mecenasie, a nie powinny w ogóle istnieć. Kto tu do diabła, naprawdę cierpi?

Garstka wrzaskliwych politycznych szaleńców z wybujałą ambicją?

- Prawo jest po ich stronie.

- W dupie mam takie prawo i chętnie zrobię parę dziurek w konstytucji. Rzygać mi się chce, kiedy się na nią powołuje ta banda zaplutyh, kudłatych mędrców od siedmiu boleści, którzy wszystko wymyślą, byle tylko związać nam ręce i zwrócić na siebie uwagę. Na własne oczy widziałem te obozy rehabilitacyjne, panie prawniku. Byłem tam...

- I dlatego jesteś tak cenny tutaj - wpadł mu w słowo Stern, uspakajając atmosferę. -

Każdy z nas ma swoją wartość, nawet jeśli wygłasza sądy, którymi publicznie nie powinien się chwalić. Dawsonowi chodzi o to, że nie pora teraz na dochodzenia Senatu i raporty sędziów z komisji Kongresu nadzorującej naszą działalność. Oni mogliby nam związać ręce o wiele skuteczniej niż ci podstarzali radykałowie albo żywiące się otrębami i kielkami wymoczki.

- Weź też pod uwagę - rzekł Dawson, spoglądając pobłaźliwie na Ogilwiego -

przedstawicieli rządów z pół tuzina krajów, którzy zaczną dobijać się do naszych ambasad i domagać się zakończenia pewnych operacji. Chyba nie chcesz do tego, Rudy, dopuścić.

- Obawiam się, że nasz pacjent może do tego doprowadzić wtrącił Miller. - I najprawdopodobniej doprowadzi, jeśli w porę go nie powstrzymamy. Im dłużej pozwoli mu się żyć halucynacjami, tym głębiej przeniesie się w świat fantazji i coraz szybciej będzie tracił

kontakt z rzeczywistością. Prześladowania zaczną się mnożyć, aż wreszcie nie wytrzyma i zdecyduje się na ripostę. A wtedy zacznie atakować.

- Jaką formę mogą przybrać jego mechanizmy obronne? - spytał dyrektor.

- Jest kilka możliwości - odrzekł psychiatra. - W najgorszym wypadku skontaktuje się z ludźmi z obcych służb wywiadowczych, których albo poznał, albo o których wie, i zaproponuje doręczenie tajnych informacji. Tu należy upatrywać źródła urojonego spotkania z Rostowem. Może też pisać listy, z kopiami dla nas, albo słać depeche - łatwo przez nas przechwytywane - z aluzjami do niegdysiejszych operacji, których odgrzebanie byłoby nam dziś nie na rękę. Cokolwiek zrobi, będzie działał ostrożnie, skrycie, wspierając swoim rzeczywistym doświadczeniem prześladowcze wizje. Podzielam twoje obawy, Daniel. Może być niebezpieczny. Ba! On jest niebezpieczny.

- „Zaproponuje doręczenie” - powtórzył słowa Millera prawnik. - Tylko coś zasugeruje... nie odkryje kart, nie wyłoży atutów?

- Nie od razu. Spróbuje na nas wymusić szantażem to, co chce usłyszeć. Że Jenna Karas żyje, i że to my uknuliśmy spisek, aby się go pozbyć.

- Ani jednego, ani drugiego nie możemy powiedzieć mu z przekonaniem, bo nie mamy najgłupszego nawet dowodu, aby w to uwierzył - zauważył Ogilvie. - A Havelock byle czego nie kupi, nie na darmo zęby zjadł w terenie, będzie przesiewał, przeżuwał, rozgryzał na drobne kawałki i wreszcie wypluje na kupę gnoju. Cóż więc mu powiemy?

- Nic mu nie powiecie - odparł Miller. - Obiecacie mu tylko, że się czegoś dowie.

Informacje te są zbyt tajne, żeby posyłać je przez kuriera, zbyt niebezpieczne, by wyszły poza ten pokój. Trzeba grać w jego grę, wessać go. Pamiętajcie, że on desperacko chce, potrzebuje, potwierdzenia swoich halucynacji. On rzeczywiście widział martwą kobietę i musi w to wierzyć. A dowody na to znajdzie tu, w tym pokoju. To go na pewno przyciągnie.

- Przykro mi szefie - przerwał rudowłosy były agent, unosząc dłonie. - Nie tędy droga.

Jego - jak to nazwałś? - „część jaźni osadzona w rzeczywistości” - nie przyjmie tego. To kupowanie kota w worku. Takie numery z nim nie przejdą. Będzie się domagał czegoś mocniejszego, znacznie mocniejszego.

- Matthias? - spytał cicho Dawson. - Optimum - przytaknął psychiatra.

- Jeszcze nie czas - rzekł Stern. - Dopiero, jak już nie będzie innego wyjścia. Chodzą słuchy, że dobrze wie o swoim stanie zdrowia i zbiera siły na SALT 3. Nie można go teraz obarczać tą sprawą.

- Niewykluczone, że jednak będziemy do tego zmuszeni nalegał Dawson.

- Może tak, może nie - odparł dyrektor i zwrócił się do Ogilviego. - Dlaczego Havelock kupi tylko coś konkretnego, Rudy?

- Inaczej nie podejmiemy go na tyle blisko, żeby skutecznie przyskrzynić.

- A czy nie da się zdobywać go stopniowo? Zacząć od jednej informacji, która zaprowadzi go do drugiej, ważniejszej od poprzedniej i tym sposobem go przyciągnąć, wessać, jak wyraził się Paul? Nie dostanie ostatniej, jeżeli się osobiście nie pojawi?

- Havelock na tropie skarbu? - spytał rozbawiony Ogilvie.

- Owszem. Przecież o to mu chodzi - powiedział spokojnie Miller.

- Nie, panowie - rudy ekspert pochylił się, opierając łokcie na stole. - Operacja wielostopniowa wymaga wiarygodności: im lepszy agent terenowy, tym wiarygodność musi być większa. Poza tym to niezwykle delikatna robota. Facet klasy Havelocka będzie wypuszczał podstawionych ludzi i ani się spostrzeżecie, jak odwróci całą zabawę.

Programując pośredników własnymi informacjami, da im pytania, na które zażądają odpowiedzi na miejscu i w ten sposób to on was wessie, kochani. Havelock wcale nie spodziewa się cudownych odpowiedzi - byłby cholernie podejrzliwy, gdyby takie dostał.

Przekona go dopiero to, co nazywaliśmy „zgodą brzucha”. A tego nie da się zapisać na kartce papieru, ani zanalizować na zimno. We flakach się czuje, czy sprawa jest czysta. Niewielu znam spryciarzy, którzy mogliby wykiwać Havelocka w podobnej operacji. Jedno poważniejsze potknięcie, a zamyka z trzaskiem książkę i idzie do domu.

- I uruchamia zapalniki bomb - dodał Miller. Wszyscy zasiadający wokół stołu mężczyźni doskonale rozumieli całą sytuację. Była to jedna z tych chwil, kiedy nieokrzesany Ogilvie po raz kolejny potwierdził swoje walory. Dobrze znał ten labirynt zwany „terenem”, a jego wnioski cechowała szczególna siła wyrazu i przenikliwość.

- Jest wszakże jeden sposób - ciągnął były agent. - Wątpię, byśmy wymyślili coś lepszego.

- Co to za sposób? - spytał dyrektor Operacji Konsularnych.

- Ja.

- Wykluczone.

- Zastanówcie się - mówił z ożywieniem Ogilvie.

- To ja zapewniam wiarygodność. Havelock mnie zna, co więcej, wie, że siedzę przy tym stole. Dla niego jestem nedorobionym strategiem, który może nie jest pewien, w co się miesza, ale dobrze wie dlaczego to robi. Poza tym ja byłem tam, gdzie oni byli, czego nie da się powiedzieć o żadnym z was. Jeśli więc z kimś w ogóle będzie chciał się spotkać i pogadać, to właśnie ze mną.

- Przykro mi, Rudy. Nawet gdybym się z tobą zgodził, a sądzę, że masz rację, i tak nie mogę na to pozwolić. Znasz reguły gry. Jeśli raz tylko wejdiesz do tego pokoju, nie wolno ci już wrócić w teren.

- Tę regułę wymyślono właśnie w tym pokoju, a to jest Pismo Święte.
- Wymyślono ją z ważnego powodu - ciągnął prawnik.
- Z tego samego powodu nasze domy są strzeżone okrągłą dobę, za naszymi autami jeździ obstawa, a nasze telefony są za naszą zgodą na podsłuchu. Gdyby choć jednego z nas zdjęła którakolwiek z zainteresowanych stron, od Pekinu poprzez Moskwę do Zatoki Perskiej, skutki byłyby nieobliczalne.
- Z całym szacunkiem, panie radco, jednakże wszystkie te środki bezpieczeństwa przedsięwzięto z myślą o takich jak ty, Daniel i Szefer. Ja jestem z trochę innej parafii. Mnie nie będą próbowali zdjąć, bo wiedzą, że nic im to nie da.
- Nikt z nas nie wątpi w twoje wyjątkowe zdolności - odparł Dawson. - Ale proponuję...
- Tu nie chodzi o zdolności - przerwał mu Ogilvie, kładąc rękę na klapie swojej znoszonej tweedowej marynarki. - Popatrz uważnie - odgiął klapę ku siedzącemu obok niego prawnikowi. - Tu, cał od rogu jest maleńkie wybrzuszenie. Dawson beznamiętnie skupił

wzrok na kawałku materiału.

- Cyjanek?

- Zgadza się.

- Wiesz, Rudy, czasami trudno mi cię zrozumieć.

- Nie bójcie się - rzekł krótko Ogilvie. - Wcale nie mam zamiaru połykać ani tej pigułki, ani innych, dobrze ukrytych w różnych miejscach. Nie udaję przed wami supermena i nie chcę wam imponować. Nie trzymam ręki nad ogniem, żeby pokazać jaki ze mnie zuch, tak jak nie zależy mi na tym, żeby kogoś zabić. Mam te prochy, bo jestem tchórzem. Zgoda, aniołki stróże nie odstępują nas na krok dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wspaniała sprawa, szkoda tylko, że strzegą nas przed niebezpieczeństwem, którego nie ma. Nie przypuszczam zacny przedstawicieli prawa, aby już otworzyli ci kartotekę na Placu Dzierżyńskiego. Doktorowi też nie. Stern, owszem, może i jest notowany, ale przechwycić go, to tyle samo, co kupić szyfry w petardach. Takich rzeczy się po prostu nie robi. Ja natomiast mam teczkę i nie jestem jeszcze na emeryturze. Moje informacje wciąż są jak najbardziej aktualne i odkąd wszedłem do tego pokoju, jeszcze cenniejsze. Dlatego noszę przy sobie te gówieńka. Dobrze wiem, w jakim stanie by mnie wzięli, a w jakim wypuścili.

Oni natomiast wiedzą, że ja wiem. Dziwne, ale te pigułki to moja jedyna obrona i w razie czego je połknę. Bo jestem tchórzem...

- Teraz jasno nam wytłumaczyłeś, dlaczego nie możesz wyjść w teren - powiedział

dyrektor.

- Czyżby? Wobec tego albo nie słuchałeś, co mówię, albo powinni cię wywalić na zbity pysk za brak inteligencji. Za to, że nie wzięłeś pod uwagę tego, czego jasno nie wytłumaczyłem. Czy uczeń ma

panu nauczycielowi przynieść zaświadczenie lekarskie, już wkrótce zwalniające go z wszelkiej działalności? Stratedzy spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

- Daj spokój, Rudy. Daruj sobie - odezwał się Stern. - Nie trzeba.

- Właśnie, że trzeba, Dan. Takie rzeczy również bierze się pod uwagę przy podejmowaniu decyzji. Wszyscy o tym wiemy, tylko nie rozmawiamy na ten temat. Chyba, że to taktyczne milczenie. Ile mi jeszcze zostało? Trzy, może cztery miesiące. Przecież dlatego tu jestem i to, przyznaję, była z waszej strony bardzo humanitarna decyzja.

- Nie był to wszak jedyny powód - zauważył dyskretnie Dawson.

- A powinien być zaważyć na waszej decyzji szanowny radco. Zawsze należy dobierać sobie z terenu ludzi, których dni - z takich, czy innych powodów - są policzone. Nasz doktorzek doskonale o tym wie - prawda, Paul?

- Nie jestem twoim lekarzem, Rudy - odrzekł spokojnie psychiatra.

- Nie musisz być moim lekarzem, czytać przecież potrafisz i znasz orzeczenia specjalistów. Mniej więcej za pięć tygodni bóle się nasilą. Nie będę cierpiał, rzecz jasna, bo do tego czasu wyląduję w szpitalnej izolatce, gdzie będą szpikować mnie uśmierzającymi ból zastrzykami i z fałszywym szczebiotem zapewniać, że jest mi coraz lepiej. Aż oczy zajdą mi mgłą i nie będę ich już ani widział, ani słyszał, i wtedy już nie będą musieli nic mówić. Eks-agent terenowy Ogilvie oparł się wygodnie na krześle, przerzucając wzrok na Sterna.

- Mamy tu do czynienia z tym, co nasz uczony w piśmie prawnik nazwałby zbieżnością korzystnych prerogatyw. Jest szansa, że Rosjanie mnie nie tkną, a jeśli nawet spróbują, dla mnie nic straconego, niech was o to głowa nie boli. Uwierzcie mi, do cholery, że tylko ja mogę wywabić Havelocka z nory, żeby można go było przechwycić. Stern nie spuszczał wzroku ze śmiertelnie chorego rudzielca. - Trudno ci się oprzeć - powiedział.

- Trudno mi się oprzeć, bo wiesz, że mam rację. A skoro mam rację, jadę natychmiast do domu spakować manatki i łapię taksówkę na Andrews. Załatwcie mi transport wojskowy do Włoch, nie widzę powodu, żeby reklamować moją przejażdżkę rejsowym samolotem.

Łebki z KGB znają na pamięć wszystkie paszporty i legendy w mojej karierze, a ja nie mam czasu na nowe pomysły. Niech mnie przerzucą przez Brukselę do bazy w Palombara.

Zadepesujcie do Baylora, żeby na mnie czekał... Jestem Apacz.

- Apacz? - zdziwił się Dawson. - Nie było lepszych traperów. - Powiedzmy, że Havelock się z tobą spotka, co mu powiesz? spytał psychiatra.

- Nie będę gadatliwy. Niech tylko podejdzie na odległość wyciągniętej ręki, będzie mój.

- To nie nowicjusz, Rudy - powiedział Stern, patrząc Ogilviemu prosto w oczy. -

Może i nie wszystko ma po kolei, ale to twarda sztuka.

- Biorę sprzęt - odparł agent, podchodząc do drzwi.

- Ja też nie jestem nowicjuszem i dlatego właśnie jestem tchórzem. Nie zbliżam się do niczego, od czego potem nie mogę odejść. No, z małym wyjątkiem. Ogilvie wstał otworzył

drzwi i wyszedł bez słowa. Wyjście było stanowcze i szybkie, a trzask zamykanych drzwi ostateczny.

- Już więcej go nie zobaczymy - rzekł Miller.

- Wiem - powiedział Stern. - On też to wie.

- Sądzisz, że dotrze do Havelocka? - spytał Dawson.

- Jestem tego pewien - odrzekł dyrektor. - Zdejmie go, odda w ręce Baylora i naszych rzymskich lekarzy, a potem zniknie. Powiedział wyraźnie. Nie chce leżeć w szpitalu i wysłuchiwać obłudnych słów pocieszenia. Pójdzie własnymi drogami.

- Jego prawo - powiedział psychiatra.

- Nie będę się sprzeczał - rzekł bez przekonania prawnik i zwrócił się do Sterna. - „Z

całym szacunkiem”, jak mawia Rudy, ale wiele bym dał, żeby upewnić się co do Havelocka.

Trzeba go unieszkodliwić za wszelką cenę. Będziemy wzywani na dywanik przez rządy w całej Europie, pójdziemy na żer dla fanatyków wszelkiej maści. Spłoną ambasady, siatki rozlecą się w drobny mak, stracimy czas, wezmą zakładników i - nie czarujmy się - zginie dużo ludzi. Wszystko dlatego, że jeden facet dostał świra. Już przecież doświadczyliśmy takich nieszczęść, i to sprowokowanych przez denuncjacje znacznie mniejszego kalibru, niż te, którymi grozi nam Havelock.

- Dlatego właśnie jestem pewien, że Ogilvie go sprowadzi powiedział Stern. - Nie chcę Paulowi odbierać chleba, ale wydaje mi się, że rozumiem, co kołacze się w głowie Rudego. Dla niego to obelga, straszna obelga. Widział, jak w terenie giną jego przyjaciele -

od Afryki po Sambuł - i nie mógł nic na to poradzić, żeby się nie zdekonspirować. Widział, jak odchodzi od niego żona z trojgiem dzieci, bo dość miała jego trybu życia. Teraz przyszło mu żyć z tym, co nosi w sobie i umierać od tego, co nosi w sobie. Jeśli on z takim bagażem może dalej robić swoje, to z jakiej racji Havelock miałby od razu wariować? Nasz Apacz wyruszył na ostatnie polowanie, zastawić ostatnie sidła. I wiem, że dopnie swego, bo wezbrał

w nim gniew.

- Jest jeszcze jedno - dodał psychiatra. - Nic innego mu w życiu nie pozostało. To dla niego jedyne zadośćuczynienie.

- Za co? - spytał prawnik.

- Za ból - odrzekł Miller. - Jego i Havelocka. Bo on kiedyś bardzo Havelocka szanował.

8

Nie oznakowany odrzutowiec sfrunął z nieba czterdzieści mil na północ od lotniska w Palombara Sabina. Leciał z Brukseli, omijając wszystkie wojskowe i pasażerskie korytarze powietrzne. Szybował nad Alpami, na wschód od sektora Lepontine na takiej wysokości, że prawdopodobieństwo namierzenia go sprowadzało się praktycznie do zera. Sygnał na ekranach radarowych był zresztą z góry umówiony z odpowiednią jednostką, miał się pojawić i zniknąć bez komentarzy i dochodzeń. Po lądowaniu w Palombara, z samolotu miał wysiąść człowiek, który wszedł na pokład w Brukseli o trzeciej nad ranem czasu lokalnego. Człowiek bez imienia i nazwiska, o którym mówiło się tylko Apacz, i który jak wielu jemu podobnych, nie mógł sobie pozwolić na ryzyko kontroli paszportowej i celnej. Dla Apacza ten sposób podróżowania był już od dawna bardziej regułą niż wyjątkiem. Pilot, dobrze wyszkolony w lotach transportowcami, manewrował maszyną nisko nad lasem i wydłużonym pasem, podejściem do lotniska. Był to milowej długości czarny, wykarczowany pas lasu, z nieco oddalonymi i zamaskowanymi hangarami, wieżami kontrolnymi i dziwacznymi, acz ledwie widocznymi intruzami w leśnym krajobrazie. Gdy samolot wylądował i huk silników rozbrzmiewał jeszcze echem po małej kabinie, młody pilot obrócił się do tyłu. I przekrzykując hałas zwrócił się do siedzącego za nim rudowłosego mężczyzny w średnim wieku.

- Jesteśmy na miejscu, indiański wojownik. Możesz wyciągać swój łuk i strzały.

- Dowcipny z ciebie chłopak - powiedział Ogilvie, rozpinając klamrę pasa bezpieczeństwa. - Która tu godzina? - Spojrzał na zegarek. - Wciąż mam waszyngtoński czas.

- Piąta pięćdziesiąt siedem, straciłeś sześć godzin, Apaczu. Dla ciebie jest jeszcze północ, a tu już biały dzień. Jeżeli jesteś umówiony na ważną rozmowę, mam nadzieję, że się zdrzemnąłeś.

- Dość! Transport załatwiony?

- Prosto do wigwamu wielkiego wodza na via Vittorio.

- Bystry chłopczyk. Do ambasady?

- Brawo! Piątka. Jesteś przesyłką wartościową, doręczenie za pokwitowaniem, prosto z Brukseli.

- Dwójka! Ambasada wykluczona!

- Takie mam rozkazy.

- Ja wydaję nowe!

Ogilvie wszedł do skromnego biura, przeznaczonego specjalnie dla takich jak on ludzi, w hangarze naprawczym nie widniejącego na żadnej mapie lotniska. Był to pokój bez okien, w którym znajdowało się tylko niezbędne wyposażenie, w tym dwa telefony podłączone na stałe do elektronicznej szyfrarki. Korytarza prowadzącego do biura strzegło dwóch mężczyzn niewinnie odzianych w kombinezony robocze. Jednak pod wybrzuszeniem drelichu każdy trzymał broń i w razie, gdyby jakiś niepowołany osobnik niepokoił pasażera, albo wzbudził podejrzenie, że ma ukryty aparat fotograficzny, broń została by ujawniona i w razie konieczności, natychmiast użyta. Taka była niepisana umowa, uzgodniona na nadzwyczajnych posiedzeniach występujących incognito przedstawicieli obu rządów, których zadania wykraczały poza granice tajnej współpracy ustalone na piśmie. Ogilvie podszedł do biurka, usiadł i podniósł słuchawkę telefonu po lewej stronie. Czarny kolor aparatu oznaczał, że służy do połączeń miejscowych. Wykręcił przechowywany tylko w pamięci numer i po dwunastu sekundach usłyszał zaspany głos podpułkownika Lawrence'a Browna.

- Brown. Słucham.

- Baylor Brown?

- Apacz.

- Tak. Jestem w Palombara. Masz dla mnie coś nowego?

- Nic. Rozstawiłem czujki po całym Rzymie, ale na razie nie mam o nim żadnej wiadomości.

- Co rozstawiłeś?

- Czujki. Wszystkich konfidentów, którym można zapłacić i którzy mają wobec nas zobowiązania.

- Do ciężkiej cholery, odwołaj ich natychmiast! Co ty do diabła wyprawiasz?

- Spokojnie, bracie. Coś mi się widzi, że nie będziemy dobraną parą.

- Zwisa mi, czy będziemy, czy nie! Nie masz do czynienia z byle dupkiem z Drugiego Oddziału! To szczywana sztuka! Kiedy się połapie, że węszą za nim twoje psy, zacnie gryźć.

Człowieku, czy ty myślisz, że to pierwsza obława na niego?

- Za kogo mnie masz, znam swoich kapusiów! - bronił się gniewnie Baylor.

- Musimy się spotkać.

- Zapraszam do siebie - rzekł pułkownik.

- Następna głupota. Ambasada wykluczona.

- Dlaczego?

- Między innymi dlatego, że on może siedzieć w oknie po przeciwnej stronie ulicy.
- No i co z tego?
- On wie, że nigdy nie pokazałbym się na naszym terytorium. Kamery KGB wycelowane są na każde wejście przez całą dobę.
- Przecież nie ma pojęcia, że przyjechałeś - oponował Baylor. - Ani kim jesteś.
- Dowie się, kiedy mu powiesz.
- W takim razie proszę o pańskie nazwisko? - odciął się zgryźliwie oficer.
- Apacz na razie wystarczy.
- Czy to mu coś powie?
- Tak.
- Bo mnie nie mówi nic.
- I bardzo dobrze.
- Z pewnością nie zostaniemy przyjaciółmi.
- Przykro mi.
- Skoro nie chcesz przyjść do mnie, gdzie się spotkamy?
- Villa Borghese. W ogrodach. Znajdę cię.
- Jasne. Łatwiej ty mnie znajdziesz, niż ja ciebie.
- Nie masz racji, Baylor.
- Że tobie będzie łatwiej?
- Nie. Myślę, że jednak polubimy się. A więc spotykamy się za dwie godziny. Może do tego czasu będziesz miał od niego wiadomość.
- Okay. Za dwie godziny.
- I pamiętaj, Baylor.
- O czym?

- Odwołaj bracie te swoje w dupę kopane czujki... Marzec nie rozpieszczał ogrodów Borghese. Chłód rzymskiej zimy, choć tego roku łagodnej, jeszcze dawał o sobie znać, opóźniając kwitnienie kwiatów i pełną eksplozję zieleni. Nieliczne alejki, prowadzące wśród strzelistych sosen do wspaniałego muzeum, pokrywał brud, zaś zieleń sosnowych igieł była jakby zmęczona i jeszcze uśpiona. Nawet ławki ustawione wzdłuż wąskich parkowych ścieżek zszarzały od kurzu. Przezroczysta zasłona zniknie dopiero wraz z kwietniowymi deszczami, ale póki co trwał marcowy letarg. Ogilvie przystanął przy grubym pniu dębu na skraju ogrodów, za gmachem muzeum. O tak wczesnej porze pojawiła się jedynie garstka studentów i jeszcze mniej turystów; spacerowali grupkami po alejkach, czekając aż strażnicy otworzą podwoje prowadzące do skarbów Casino Borghese. Były agent, z powrotem w terenie, spojrzął na zegarek i zniecierpliwiony zmarszczył poorly głębokimi bruzdami twarz.

Dochodziła ósma czterdzieści: oficer spóźniał się już ponad pół godziny! Ogilvie był

wściekły zarówno na siebie, jak i na Baylora. Wiedział, że odrzucając stanowczo spotkanie w ambasadzie i walcząc z Baylorem o prymat, wybrał w pośpiechu złe miejsce. Pułkownik, jeśli się zastanowi, też pewnie dojdzie do takiego wniosku. Może już się zorientował i dlatego się spóźniał. Borghese o tej porze było zbyt spokojne, nie uczęszczane i miało stanowczo za dużo osłoniętych zakamarków, z których swobodnie można było prowadzić wzrokowe albo elektroniczne obserwacje. Ogilvie zaklął na siebie pod nosem - w ten sposób nie zdobywa się autorytetu. Attach -łącznik zapewne wybrał okreśną drogę ze zmianami pojazdów i posługiwał się radiolokatorami, aby wykryć i tym samym zmylić spodziewaną inwigilację.

Kamery KGB istotnie celowały w ambasadę na okrągło i pułkownik znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, dzięki nasłanemu z Waszyngtonu, szorstkiemu wywiadowcy o tajemniczym pseudonimie Apacz, godnym reklamy na pudełku z płatkami owsianymi. Z

tajemniczością można by się jeszcze zgodzić, ale nie z dziecinadą, nie z pudełkiem płatków.

Przed siedmiu laty w Stambule dwóch tajnych agentów, pseudo Apacz i Nawaho omal nie straciło życia, usiłując zapobiec kolejnemu zabójstwu KGB na Mesrutiyet. Ponieśli wówczas klęskę, a w czasie akcji Nawaho wpadł w zasadzkę na opustoszałym o czwartej nad ranem Bulwarze Ataturka, zamkniętym z obu stron przez snajperów z KGB. Sytuacja wydawała się bez wyjścia, gdy Apacz niespodziewanie przemknął przez most skradzionym samochodem, zahamował z piskiem opon na chodniku i krzyknął do współnika, żeby wsiadał, zanim zrobią mu z głowy sito. Po chwili Ogilvie na pełnym gazie pędził pod gradem kul i przebił się wreszcie przez dudniącą poranną barykadę z płytką raną w skroni i dwoma kulami w prawej ręce. Wspólnik, zwany przed siedmiu laty Nawaho nie zapomni Apacza tak łatwo. Bez niego Michael Havelock pożegnałby się w Stambule z życiem. Ogilvie liczył teraz na pamięć byłego współnika. Szelest za plecami. Odwrócił się, ujrzał przed sobą uniesioną w górę czarną rękę, a za nią nieruchomą czarną twarz z szeroko otwartymi skupionymi oczyma.

Baylor potrząsnął raptownie dwa razy głową, kładąc palec na ustach i pociągnawszy Ogilwiego za drzewo, wskazał na południowy ogród, opodal tylnego wyjścia z kamiennego muzeum. W odległości około czterdziestu jardów zauważyli osobnika w ciemnym garniturze, który rozglądając się niepewnie na wszystkie strony, robił parę kroków to tu, to tam, nie wiedząc którą ścieżkę wybrać.

Nagle, z dala rozległy się trzy ostre dźwięki wysokiego klaksonu, a zaraz potem słychać było warkot zapalanego silnika. Mężczyzna na chwilę znieruchomiał, a potem pobiegł w stronę, z której dochodziły dźwięki.

- Niezbyt mądre miejsce - powiedział pułkownik patrząc na zegarek.

- To twój klakson? - spytał Ogilvie.

- Zaparkowany od strony wejścia na Veneto. Na tyle blisko, żeby go było słychać.

- Przepraszam - rzekł spokojnie Apacz. - Wyszedłem z wprawy. Nieczęsto zdarzają mi się takie pomyłki. W Borghese zawsze było tłoczno.

- Nie ma sprawy. I wcale nie jestem pewien, czy to błąd.

- Wał śmiało. Nie sil się na uprzejmości.

- Nie o to chodzi. Twoje uczucia mnie nie interesują. Do tej pory jakoś nie miałem do czynienia z inwigilacją KGB, a przynajmniej nic o tym nie wiem. Dlaczego więc raptem teraz? Ogilvie uśmiechnął się: jednak był górą.

- Rozesłałeś czujki. Rozmawialiśmy już chyba na ten temat.

- W takim razie jestem spalony w Rzymie - rzekł posępnie czarnoskóry oficer.

- Bardzo być może.

- Nie może, tylko na pewno. Tak czy owak, jestem skończony. Dlatego się spóźniłem.

- Havelock się odezwał - stwierdził cicho rudowłosy agent.

- Wiem. Wpadł na trop Jenny Karas i dotarł za nią do portu w Civitavecchia, skąd mu się wymknęła. Nie chce powiedzieć jak i na którym statku. Zastawili na niego pułapkę, ale wykaraskał się i przeszedł do kontrataku. Dopadł odpowiedzialnego za spisek faceta, żyjącego z drobnych szwindli w porcie. Złamał go i to, czego się dowiedział, albo zdaje mu się, że się dowiedział, zamieniło go w beczkę nitrogliceryny.

- Czego się niby dowiedział?

- Że ich podwójnie zaprogramowano, że dziewczyna została naszpikowana przez nas obciążającymi go kłamstwami.

- Jakimi?

- Ktoś wmówił jej, że on przeszedł na sowiecką stronę, że chce ją zabić.

- Pieprzenie w bambus.

- Ja tylko powtarzam, co on mi powiedział, a co z kolei powiedziano jemu. Z drugiej strony, wersja ta nie jest pozbawiona logiki. KGB ma do dyspozycji zdolnych aktorów, którzy bez trudu odegraliby dla niej takie przedstawienie. Całkiem roztropna strategia. On wyłączony, a ona się ulatnia. Zgrana, produktywna para - zneutralizowana!

- Przecież mówię, że od początku do końca to pieprzenie w bambus - zaperzył się Ogilvie. - Nie ma żadnej Jenny Karas, zginęła na plaży Montebello na Costa Brava. I wiadomo, że pracowała dla KGB jako głęboko zakonspirowany oficer terenowy WKR. Nie popełniono żadnej pomyłki, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest, że nie żyje.

- On w to nie wierzy! Kiedy się z nim rozmawia, samemu trudno uwierzyć. Ja też mam wątpliwości.

- Havelock wierzy w to, w co chce i musi uwierzyć. Słyszałem diagnozę biegłego lekarza. Po naszymu, po prostu mu odbiło. Przeskakuje od rzeczywistości do fantazji tam i z powrotem, ale ogólnie rzecz biorąc, jest nienormalny.

- Mówi przekonująco i do rzeczy.

- Bo nie kłamie. Na tym między innymi polega jego choroba. Widział to, co widział.

- Upiera się, że widział naprawdę.

- Ale my wiemy, że nie widział. To też zrozumiałe w jego stanie. Kiedy wpada w trans, nie patrzy oczami, tylko głową, a głowę ma chorą.

- Wiesz, że ty też mnie przekonujesz?

- Bo nie kłamię i mam zdrową głowę. Ogilvie sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wyjął jednego i przypalił starą, zaśniedziałą zapalniczką kupioną przed ćwierćwieczem.

- Takie są fakty, pułkowniku. Możesz sam wypełnić puste miejsca, ale pewników nie przeskoczysz. Havelocka trzeba zdjąć.

- To nie będzie proste. Może obija się po swoich mrocznych tunelach, ale nie jest amatorem. Jeżeli nawet coś sobie teraz ubzdurał, to przecież przetrwał w terenie szesnaście lat. Jest przebiegły, wie, jak się bronić.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. To właśnie ta jego połówka, która mocno tkwi w rzeczywistości. Powiedziałaś mi, że tu jestem? - Powiedziałem mi, że przyjechał Apacz.

- No i?

- Nie był zachwycony. Dlaczego właśnie ty?

- A dlaczego nie?

- Nie wiem. Może cię nie lubi.

- Ma wobec mnie dług.

- Być może to jest odpowiedź na twoje pytanie.

- Kim ty jesteś? Psychologiem, albo prawnikiem?

- Po trosze jednym i drugim - odrzekł pułkownik.

- Cały czas. A ty nie?

- W tej chwili jestem wkurzony. Do czego zmierzasz?

- Havelock zareagował na ciebie bardzo szybko i gwałtownie. „Więc przysłali Siepacza” - powiedział. Czy to twój drugi przydomek?

- Gadka dla gówniarzy. Głupi dowcip.

- Nie wyglądał na rozbawionego. Zadzwonili w południe z instrukcjami dla ciebie.

- Do ambasady?

- Nie. Kazał mi wynająć numer w hotelu Excelsior. Masz tam ze mną być i dogadać się z nim przez telefon.

- Skurwysyn! - wycedził przez zęby Ogilvie.

- Co w tym złego?

- To, że wie, gdzie ja jestem, a ja nie wiem, gdzie on jest! Może mnie obserwować, a ja jego nie.

- Co za różnica? Przecież chce się z tobą spotkać. Jeżeli masz go zdjąć, musisz się z nim spotkać.

- Bez obrazy, pułkowniku, ale jesteś nowym chłopcem na tym podwórku. On mnie zmusza do odkrycia kart.

- Jakim cudem?

- Potrzebuję dwóch ludzi, najlepiej Włochów, żeby jak najmniej rzucali się w oczy i szli za mną, kiedy wyjdę z hotelu.

- Po co?

- Bo on może mnie zdjąć - rzekł z namysłem były agent. - Od tyłu. Wystarczy zatłoczony chodnik. Ma wyćwiczone takie numery... Człowiek mdleje na ulicy, przyjaciel prowadzi go do zaparkowanego w

pobliżu samochodu. Obaj są Amerykanami, nic nadzwyczajnego się nie stało.

- Zakładasz, że mnie nie będzie przy tobie. Przecież jestem łącznikiem. Zawsze mogę uzasadnić swoją obecność.

- Gdybyś chciał utrzymać mnie w zasięgu wzroku, mam wrażenie, że szybko by cię zauważył. Bez...

- obraży - dokończył pułkownik. - Wszystko ma swoje wady... Dam ci obstawę. Ale nie dwóch mężczyzn. Lepsza będzie parka.

- Świetnie. Widzę, że masz szerokie możliwości, pułkowniku. - Mam też dla ciebie radę, do której się nie przyznam, jeśli mi ją ktoś przypisze. Biorąc jednak pod uwagę twój przydomek, Siepaczu, łatwo mi będzie przyznać tobie jej autorstwo.

- Umieram z ciekawości.

- Jestem odpowiedzialny za potężny obszar w tej strefie operacyjnej. Prace, które wykonuję dla Pentagonu i Departamentu Stanu nakładają się na siebie, i jest to nieuniknione.

Raz ja potrzebuję pomocy, raz ktoś potrzebuje naszej pomocy i w ten sposób krąg się rozszerza, nawet jeśli wzajemnie się nie znamy.

- Nie lubię się powtarzać - przerwał Ogilvie - ale do czego u diabła zmierzasz tym razem?

- Mam w swoim rewirze wielu przyjaciół, kobiet i mężczyzn, którzy ufają osobiście mnie i urzędowi, który sprawuję. Jeśli będę musiał odejść, nie chciałbym podważać autorytetu tego urzędu. Jest też coś jeszcze ważniejszego. Nie chcę, aby moim przyjaciółom -

znanym i nieznanym - stała się krzywda, a Havelock jest dla nich zagrożeniem. Działał we Włoszech, na Adriatyku, Morzu Liguryjskim, od Triestu, po obu stronach granicy, poprzez całe północne wybrzeże, aż po Gibraltar. Może sprowokować represje. Nie sądzę, by jeden wycofany i stuknięty agent był tego wart.

- Zgadza się.

- Więc usuń go. Wziąć go stąd, to za mało. Jego trzeba się pozbyć na dobre.

- Istotnie, mógłbyś usłyszeć tę radę z moich ust.

- Czy usłyszę ją teraz?

- Nie - odpowiedział po chwili milczenia strateg z Waszyngtonu.

- Dlaczego?

- Ponieważ czyn ten pociągnąłby za sobą konsekwencje, pod którymi nie chciałbyś się podpisać.
- Wykluczone. Miał niewiele czasu.
- Skąd wiesz? Ten smród ciągnie się od Costa Brava i nie wiadomo gdzie i jakie depozyty zdażył już złożyć. Miał wystarczająco dużo czasu na przechowanie dokumentów w kilku krajach wraz z dokładnymi instrukcjami, że mają zostać ujawnione, jeśli nie dojdzie do umówionych kontaktów. W ciągu ostatnich sześciu tygodni był w Londynie, Amsterdamie, Paryżu, Atenach i Rzymie. Jak myślisz, po co? Dlaczego właśnie w tych miastach? Mając do wyboru cały świat i kupę forsy w kieszeni, wraca tam gdzie prowadził tajną działalność na wielką skalę. To mi wygląda na przemyślany plan.
- Albo niewinny przypadek. Znał te miasta. Wyszedł z podziemia, czuł się w nich bezpiecznie.
- Może tak, może nie.
- Nie rozumiem twojej logiki. Jeśli go stąd weźmiesz, i tak nie dojdzie do umówionych kontaktów.
- Są sposoby.
- Kliniki, tak? Laboratoria, gdzie wstrzykują środki rozwiązujące język i rozmiękczające mózg.
- Zgadza się.
- Chyba się jednak grubo mylisz. Nie wiem, czy widział tę kobietę, czy nie, ale cokolwiek widział, cokolwiek się zdarzyło naprawdę, zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. A przez ten czas naprawdę nic nie zrobił. Nic. Będzie ci wmawiał pierdoły o depozytach, ale to bajki dla niegrzecznych dzieci.
- Czy to opinia, czy jasnowidztwo Baylor?
- Ani jedno, ani drugie. To fakt. Rozmawiałem z człowiekiem w szoku. Człowiekiem, któremu nagle świat się zawalił - sam się tak wyraził. To nie był rezultat postępujących zaburzeń umysłowych, ale nagły cios. Kiedy mówisz o tym, co mógł zrobić, o kompromitujących depozytach, powtarzasz dosłownie to, co wam przekazałem, bo są to słowa, których użył w rozmowie ze mną. Rozważał wówczas, co mógłby zrobić, a nie, co już zrobił. To ogromna różnica, wielki strategu z Waszyngtonu.
- I właśnie dlatego chcesz go zabić?
- Chcę, żeby wielu innych ludzi żyło.
- My też. Dlatego tu jestem.
- Więc zamierzasz porwać go żywcem - powiedział sardonicznie Baylor. - Jak Frank Buck.
- Sądzę, że to wystarczy.
- Nie, nie wystarczy. Co będzie, jeśli ci się nie uda? Jeśli ci się wymknie?

- Nie ma mowy.
- To pewność, czy życzenie?
- Fakt.
- Ale nie dla mnie. To czysta spekulacja, prawdopodobieństwo, na które nie chcę liczyć.
- Nie masz wyboru, żołnierzyku. Obowiązuje hierarchia rozkazów.
- Zaraz ci wyjaśnię, na czym ta hierarchia polega, cholerny cywilu. Nie mnie będziesz pouczał. Zdarłem swoją czarną dupę w tej białej armii - białej na górze, czarnej na dole - aż wreszcie postanowili zrobić ze mnie ważny tryb w wielkim białym kole. A teraz ty wpięprzasz mi się tu z miną supertajnego agenta i pseudem wziętym prosto z...
- Reklamy na pudełku płatków owsianych? - wtrącił Ogilvie.
- Właśnie. Bez imienia, na które mógłbym się powołać, za którym stoi ktoś ważny, kto pomógłby mi wyjść z tego bagna. Zamiast tego przysyłają mi balon z komiksu. Jeżeli ci się nie uda i Havelock zwieje, to ja idę na pierwszy ogień. Bambo zawałił sprawę, jego siatka spalona. Trzeba go natychmiast zdjąć z wielkiego białego koła.
- Ty obłudny bydlaku - warknął z obrzydzeniem Apacz. Boisz się tylko o własną skórę.
- Mam wiele powodów, zbyt subtelnych na twój nieskomplikowany rozum. Bierz go jak chcesz, mnie jest wszystko jedno. Odstawię was do Palombara, własnymi rękoma zapnę pasy w samolocie i dołączę list polecający po łacinie. Ale jeśli spartaczysz robotę i on ci się wyrwie, ja pierwszy od niego oberwę.
- Czy tak mówi facet, który uwierzył w historyjkę Havelocka i wstawiał się za nim na górze?
- Wcale się za nim nie wstawiałem, zdałem tylko uczciwy raport. I nie ma żadnej różnicy, czy mu uwierzyłem, czy nie. Ten człowiek stanowi poważne zagrożenie dla mnie, mojej działalności tu w Rzymie i dużej części siatki, którą stworzyłem na rozkaz mojego rządu i na koszt amerykańskiego podatnika. Pułkownik urwał i po chwili dodał z uśmiechem:
- To mi naprawdę wystarczy, żeby pociągnąć za spust.
- Daleko mierzysz.
- Wiem, co robię. Mam zobowiązania. Ogilvie odszedł od drzewa, rzucił okiem na żywopłot oddzielający uśpiony ogród od ulicy. Mówił cichym, beznamiętnym i opanowanym głosem.
- Mógłbym cię zgubić, gdybym chciał. Zabić, jeśli będzie trzeba.

- Jasne - zgodził się oficer. - Zapominam więc o Excelsiorze. Weźmiesz pokój na moje nazwisko i jak zadzwoni Havelock, udawaj, że to ja odbieram telefon. Postawił warunek, że muszę tam być i potwierdzić twoją obecność. On zresztą dobrze wie, że mam w tym swój interes. I jeszcze jedna dobra rada: jak będziesz udawał przez telefon mój głos, nie wysilaj się na zbyt murzyński akcent. Jestem stypendystą fundacji Rhodesa w Oksfordzie, rocznik siedemdziesiąt jeden.

- Jesteś też kim innym. Mogę cię oskarżyć o niepodporządkowanie się przełożonemu podczas operacji terenowej. Sąd wojenny gwarantowany.

- Za co? Za rozmowę, która nigdy się nie odbyła? A może się i odbyła, ale oskarżony nie zaakceptował kontaktu: spodziewałem się w Rzymie kogoś innego. Co ty na to Siepaczu?

Ogilvie nie odzywał się przez prawie minutę. Wreszcie rzucił papierosa, przydepnął go butem i wcisnął w ziemię.

- Jesteś zdolny facet, pułkownik Baylor - odezwał się wreszcie. - Potrzebuję cię.

- Bardzo ci na tym zależy, żeby go złapać, prawda?

- Cholernie.

- Tak myślałem. Wyczułem to już w twoim głosie przez telefon, musiałem się tylko upewnić. Traktuj mnie jak polisę ubezpieczeniową, której nie chcesz przy sobie nosić, ale musisz, bo tego domaga się twój agent. Jeśli ja zapłacę, nic na tym nie tracisz. Lepiej niż ktokolwiek uzasadnię tę decyzję przy stole konferencyjnym w Waszyngtonie. Tylko ja z nim rozmawiałem. Wiem, co zrobił, a czego nie zrobił.

- Już wkrótce się przekonasz, jak bardzo się mylisz.

- Zaryzykuję. Taką mam pewność.

- Nie musisz ryzykować. Nie będziesz za nic płacił, bo ja nie spartaczę i Havelock nie zwieje.

- Miło mi to słyszeć. Czy oprócz tej parki, która będzie cię miała na oku, kiedy wyjdiesz z hotelu, jeszcze czegoś potrzebujesz?

- Nie. Mam przy sobie sprzęt.

- Co mu powiesz?

- To, co chce usłyszeć.

- Czego użyjesz?

- Doświadczenia. Załatwiłeś mi pokój w hotelu?

- Czterdzieści pięć minut temu - powiedział Baylor. Ściślej mówiąc, nie pokój, tylko apartament. W ten sposób będziemy mieli dwa telefony. Na wypadek, gdyby cię diabeł skusił, byś mi podał lewe rendezvous. Chcę słyszeć każde jego słowo.

- Zapędzasz mnie do rogu, chłopcze.

- Mów sobie, co chcesz, dla mnie sprawa jest jasna. Dzień się skończy, ty polecisz sobie do Waszyngtonu, z nim albo bez niego, ale nie będziesz wisiał jak robak na haczyku.

Jeżeli go weźmiesz, dobrze. Jeżeli nie, ja przejdę do ataku. Pentagon liczy się z moim zdaniem, okoliczności uzasadniają użycie „środków ostatecznych”.

- Znasz tę instrukcję na pamięć.

- Łącznie z ponad stoma jej sprzecznościami. Wracaj do wygodnego życia, Apaczu.

Wszystkiego najlepszego w dobrym towarzystwie w Georgetown. Wygłaszaj swoje teorie z dystansu, a teren zostaw mnie. Tylko na tym zyskasz. Ogilvie opanował skurcz, który wykrzywił mu twarz. Poczł, jak ostry ból wystrzelił mu spod żeber i wdrapywał się szponami coraz wyżej, aż do gardła. Sygnały nieodwracalnego.

- Dzięki ci za radę - powiedział.

9

Palatyn, jedno z siedmiu wzgórz Rzymu, wznoszące się za łukiem Konstantyna, zdołały na stokach alabastrowe pomniki antyku. Tu wyznaczili sobie rendezvous. Ćwierć mili na północny zachód od bramy Gregorio, u kresu kamiennej ścieżki, biegnącej pośród marmurowych resztek postrzępionego muru, stała starożytna altana z popiersiem cesarza Domicjana na splekanym postumencie. Gałęzie dzikich drzew oliwnych spływały po obłupanym kamieniu, a dołem płożyły się brązy i zielenie winorośli, wypełniając szczeliny i rozpinając pajęczynę na popękanym lecz ponadczasowym marmurze. Na końcu ścieżki, za porysowanym, surowym obliczem Domicjana, uchowały się fragmenty wbudowanej we wzgórze fontanny. Altana nagle się kończyła. Nie było żadnego wyjścia. Ta zaciszna pozostałość z innej epoki była umówionym miejscem kontaktowym. Wyznaczony czas: trzydzieści minut między trzecią a wpół do czwartej, kiedy słońce znajdowało się w połowie drogi po zachodnim niebie. Tu spotkają się dwaj mężczyźni o różnych zamiarach, obaj świadomi, że te różnice spowodować mogą śmierć jednego albo drugiego, choć obaj też chcieli uniknąć tak ostatecznego rozwiązania. Tego dnia liczyła się tylko ostrożność i rozwaga. Do trzeciej pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Havelock skrył się za kępą krzaków na najbliższym pagórku z widokiem na altanę, kilkaset stóp nad popiersiem cesarza.

Z niepokojem i złością przebiegał wzrokiem po kamiennej ścieżce i rozległych polach za kamiennym murem. Pół godziny temu, z kawiarenki na via Veneto zobaczył to, czego obawiał się wcześniej. Ledwie za rudowłosym Ogilviem zdążyły się zamknąć szklane drzwi hotelu, a jego śladem ruszyło

dwoje ludzi, którzy wyszli jakby nigdy nic, może zbyt naturalnie i trochę za szybko, z sąsiedniego sklepu jubilera. Drzwi sklepu oddzielała od chodnika rozchodząca się na obie strony witryna, która dawała ukrytym wewnątrz obserwatorom dość szerokie pole widzenia. Strateg z Waszyngtonu obrócił się chyłkiem w prawo i stanął na moment, nim wszedł w strumień podążających w lewo przechodniów. Było to ukradkowe potwierdzenie, nieznaczny ruch ręki albo chwilowe spojrzenie na chodnik, gesty wyróżniające go z tłumu. Szkoda marzyć o podejściu Apacza z zaskoczenia, zanim dotrze na Palatyn. Ogilvie przewidział taką możliwość i ubezpieczył się. W rozmowie telefonicznej były agent, teraz nadęty strateg, zdradzał tylko dobre zamiary. Miał do przekazania osobiście wystarczające, acz ściśle tajne dane: Michael znajdzie w nich odpowiedzi, których szuka. Głowa do góry, Nawaho. Porozmawiamy. Ale jeśli Apacz przywoził przekonujące wyjaśnienia, nie potrzebował obstawy. I dlaczego Ogilvie przystał

tak ochoczo na rendezvous poza miastem? Dlaczego nie zaproponował po prostu spotkania na ulicy albo w kawiarni? Gdyby rzeczywiście miał pewne wiadomości, nie organizowałby sobie ochrony, a postępowanie stratega świadczyło o czymś zgoła odwrotnym.

Czy zamiast wyjaśnień, Waszyngton proponował inne rozwiązanie? Usunąć?

Zlikwidować? Jak to powiedział podpułkownik Baylor Brown, łącznik wywiadu wojskowego w ambasadzie USA w Rzymie? Nie mówiłem, że zabilibyśmy cię. Nie żyjemy w takim kraju... Z drugiej strony, dlaczego nie? Jeżeli Waszyngton doszedł do takiego wniosku, sztab wysłał wykwalifikowanego zabójcę. Havelock szanował talent Ogilwiego, ale nie pałał

sympatią do tego człowieka. Były agent należał do ludzi, którzy zbyt gładko usprawiedliwiają każdy swój akt przemocy, podpierając się stworzonymi na własny użytek skrawkami filozofii, głoszącej osobiste zaangażowanie w konieczną nawet przemoc. Współpracownicy z terenu wiedzieli swoje. Ogilvie był zabójcą z powołania, powodowany wewnętrznym przymusem odwetu na szarpiących go zmorach, o których nie wiedział nikt, prócz tych, którzy pracowali z nim w skrajnie napiętych sytuacjach. Ci, którzy go dobrze poznali, robili co mogli, żeby tylko z nim więcej nie pracować. Po wydarzeniach w Stambule, Michael zrobił coś, czego się wcześniej po sobie nie spodziewał. Skontaktował się z Matthiasem i poradził mu, żeby usunął

rudego Ogilwiego z terenu. Ten człowiek był niebezpieczny. Michael zgłosił gotowość wystąpienia na zamkniętym przesłuchaniu ze strategami, ale Matthias, jak zwykle, zaproponował lepsze, mniej konfliktowe wyjście. Ogilvie był ekspertem i mało kto dorównywał mu doświadczeniem w tajnych operacjach. Sekretarz stanu dał więc mu kopniaka w górę i zrobił z Ogilwiego stratega. Matthias przebywał teraz poza Waszyngtonem.

Nie była to pocieszająca wiadomość. Decyzje często podejmowano bez autoryzacji, z tej prostej przyczyny, że osoby, które winny być dokładnie poinformowane, były akurat nieosiągalne. Potrzeba pilnego rozwiązania kryzysu jakże często dawała zielone światło do podjęcia decyzji na niższym szczeblu. Wszystko jasne, pomyślał Havelock, ujrawszy w oddali postać, na zboczu wzgórza za prawym murem. Był to mężczyzna, który w towarzystwie dziewczyny wyszedł ze sklepu jubilera koło Excelsioru i szedł za Ogilviem.

Michael popatrzył w lewo, zauważył tam kobietę. Stała przy stopniach ruin łaźni ze szkicownikiem w

lewej ręce. Ale w prawej, skrytej pod połą gabardynowego płaszcza nie trzymała z pewnością ołówka. Havelock przerzucił wzrok na mężczyznę, który siedział teraz na ziemi z wyciągniętymi nogami i książką na kolanach, niczym Rzymianin szukający wytchnienia w lekturze. I nieprzypadkowo jego ręka także spoczywała przy klapie grubej, tweedowej marynarki. Oboje pozostawali w kontakcie i Michael wiedział, jaki jest ich wspólny język. Włoski. Włosi. Ani śladu personelu ambasady, żadnych ludzi z CIA, żadnego Baylora, żadnego Amerykanina na widoku. Gdy zjawi się Ogilvie, będzie jedynym. A więc wszystko się zgadzało: usunąć cały amerykański personel, wszelkie ślady, posługiwać się tylko lokalnym wsparciem, mężczyznami i kobietami, którzy sami przeznaczeni są na straty.

Zlikwidować. Dlaczego? Co im groziło z jego strony? Co takiego zrobił, co wiedział, że Waszyngton domagał się jego śmierci? Najpierw spisek z Jenną Karas, żeby wyłączyć go z gry. Teraz śmierć. Święty Boże, co się stało? Czy oprócz tej pary byli inni? Havelock wyteżył

wzrok pod słońce i obserwował każdy skrawek ziemi, dzieląc teren na sektory. Altana Domicjana nie należała do atrakcyjnych zabytków Palatynu: jako pośledni odłamek antyku, pozostawiona została swojemu losowi. Ponura marcową aurą jeszcze bardziej ograniczyła ilość zwiedzających. W oddali, na wzgórzu po wschodniej stronie, bawiła się gromadka dzieci pod czujnym okiem dwojga dorosłych, zapewne nauczycieli. W dole, od południa, na nie skoszonej trawie wznosiły się marmurowe kolumny z czasów wczesnego Imperium, jak stojące na baczność bezkrwiste trupy o wielce zróżnicowanym wzroście. Kilku turystów objuczonych sprzętem fotograficznym, z torbami na paskach i pękatymi futerałami robiło sobie nawzajem zdjęcia, pozując na tle poranych bliznami resztek antyku. Ale oprócz pary kontrolującej wejście do altany, w pobliżu pustelni Domicjana nie zauważył nikogo. Jeśli byli strzelcami wyborowymi, nie potrzebowali dodatkowego wsparcia. Prowadziła do niej tylko jedna droga, a człowiek usiłujący przejść przez mur, stanowił łatwy cel. Wejście w ten ślepy, korytarz było zarazem jedynym wyjściem. I to też zgadzało się ze zwykłą taktyką likwidacji.

Wykorzystać jak najmniejszą ilość tubylców, pamiętając jednocześnie, że mogą zrewanżować się szantażem. Dopiero teraz uświadomił sobie ironię swojego położenia. Chodził tego ranka po Palatynie, by wreszcie wybrać miejsce właśnie ze względu na te zalety, które mogły teraz być użyte przeciwko niemu. Spojrzał na zegarek: za czternaście trzecia. Musi działać szybko, ale dopiero jak zobaczy Ogilwiego. Apacz był sprytny, wiedział, że zwiększa swoje szanse, odwlekając jak najdłużej spotkanie, i tym samym zatrzymując uwagę przeciwnika na oczekiwanym nadejściu. Michael poznał się na tym, skupił się więc na własnym położeniu: na kobiecie ze szkicownikiem i siedzącym na trawie mężczyźnie. Nagle pojawił się! Za minutę trzecia Michael zobaczył najpierw rudą głowę i ramiona Ogilwiego, gdy ten wspinał

się po ścieżce od bramy Gregorio, przechodząc obok mężczyzny na trawie, jakby go w ogóle nie zauważył. Coś dziwnego, coś uderzającego było w samym Ogilviem. Może to ubranie, pomyślał Michael, jak zwykle pomięte, niedopasowane... ale za duże nawet jak na jego krępą budowę? Cokolwiek to było, wyglądał inaczej: nie, nie na twarzy, był jeszcze za daleko, aby Havelock mógł dojrzeć takie szczegóły. To raczej jego chód i sposób trzymania ramion, jakby łagodne zbocze wzgórza było o wiele bardziej strome. Apacz zmienił się od czasów Sztambułu, te dwa lata widać go nie oszczędziły. Wreszcie dotarł do ruin marmurowego łuku, prowadzącego do altany - będzie czekał

w środku. Była punkt trzecia, początek umówionego czasu. Michael wyczołgał się ze swojej kryjówki za kępą dzikich krzewów i szerokim łukiem skradał się szybko na północ przez opadające, porośnięte wysoką trawą pole, nie odrywając prawie ciała od ziemi, aż wreszcie dotarł do stóp wzgórza. Spojrzał na zegarek, upłynęły niecałe dwie minuty. Kobieta znajdowała się teraz nad nim, na oko sto jardów, pośrodku pola, ale poniżej i na prawo od altany Domicjana. Nie widział jej, ale miał pewność, że nie zmieniła stanowiska. Skrupulatnie dobrała linie widzenia, nawyk wspomagającego snajpera. Ruszył

pod górę na rękach i kolanach, rozgarniając przed sobą źdźbła trawy, nasłuchując niespodziewanych głosów. Głucha cisza. Dobrnął do wierzchołka. Kobietę miał teraz tuż nad sobą, nie więcej niż sześćdziesiąt stóp powyżej. Stała wciąż na pierwszym stopniu krętych, białych schodów, prowadzących w dół do antycznej, marmurowej łaźni. Trzymała przed sobą szkicownik, ale wzrokiem mierzyła gdzie indziej. Wpatrywała się w wejście do altany, była maksymalnie skoncentrowana, gotowa do natychmiastowej akcji. Michael zauważył to, co pragnął skrycie zobaczyć: prawa ręka korpulentnej kobiety nie spoczywała już na klapie.

Tkwiła teraz pod połą gabardynowego płaszcza, bez wątpienia na automacie, który mogła wydobyć szybko i wycelować dokładnie, nie skrępowana uciążliwością kieszeni. Michael bał

się tej broni, ale radia obawiał się jeszcze bardziej. W pewnych chwilach mogło okazać się sprzymierzeńcem, teraz jednak było śmiertelnym wrogiem, niczym najgroźniejsza spluwa.

Zerknął znów na zegarek, zły na widok tykającego sekundnika. Musiał działać szybko!

Ruszył, skradając się do kamiennego koryta, prowadzącego do studni rzymskiej łaźni.

Potężne chwasty zarastały brzegi i szczeliny koryta, pokrywając go gęstwiną i nadając mu wygląd kolosalnej gąsienicy. Havelock torował sobie drogę wśród lepkiego, brudnego zielska, pełzając brzuchem po ziemi wzdłuż spękanego marmurowego rowu. Po trzydziestu sekundach przedostał się z chaszczy do resztek starożytnego, okrągłego basenu, w którym przed wiekami pławiły się namaszczone olejkami próżne ciała cesarzy i kurtyzan. Siedem stóp nad nim, przy pamiętających lepsze czasy schodach, czatowała kobieta, której zadaniem było zabić go, gdyby jej obecny chlebowdawca sam sobie nie poradził. Stała obrócona do niego plecami, rozstawiając masywne nogi w rozkroku, niczym sierżant dowodzący plutonem egzekucyjnym. Havelock przyjrzał się zrujnowanym marmurowym schodom: były zmurszałe i przegrodzone na drugim stopniu żelazną barierką, żeby śmiali turyści nie schodzili niżej.

Pod ciężarem ciała każdy stopień mógł się obsunąć, a najłżejszy hałas miałby dla niego fatalne skutki. Chyba, że dźwięk ten zagłuszy mocnym, oszałamiającym ciosem. Wiedział, że trzeba podjąć szybką decyzję i działać natychmiast. Każda dodatkowa minuta wzmagała podejrzliwość zabójcy w altanie Domicjana. Bezszelestnie rozgarniał przy ziemi splątane łodygi, nagle palce natrafiły na twarde, kanciasty przedmiot. Był to kawałek marmuru, rzeźbiony odłamek dzieła jakiegoś mistrza sprzed dwóch tysięcy lat. Chwycił kamień prawą ręką, a lewą wydobył zza pasa automat llama, odebrany niedoszłemu mafioso w Civitavecchia. Już dawno temu nauczył się strzelać lewą ręką równie skutecznie jak prawą.

Teraz ta umiejętność dobrze mu się przysłuży. Jeśli jego taktyka zawiedzie, zastrzelili kobietę, wynajętą po to, by na pewno zginął na Palatynie. Ale to ostateczność, zabezpieczenie na wypadek, gdyby inaczej nie mógł ujść z życiem. Zależało mu na rendezvous w altanie Domicjana. Powoli, z pozycji leżącej, przeszedł do przysiadu i wysuwając jedno kolano do przodu przygotował się do skoku. Kobieta stała niecałe cztery stopy dalej, wprost nad nim.

Uniósł prawą rękę z ciężkim, ostrym kamieniem w dłoni i wyskoczył ciskając jednocześnie z całej siły masywny odłamek marmuru w rozległy kawał gabardyny pomiędzy ramiona kobiety. Szelest i instynkt. Kobieta zaniepokoiła się, ale uderzenie zrobiło swoje. Ostry kamień walnął ją w kark u podstawy czaszki i krew natychmiast splamiła jej czarne włosy.

Havelock długimi susami wbiegł po schodkach na górę i chwyciwszy ją w pasie za płaszcz przerzucił przez niską żelazną barierkę, zatykając jej przedramieniem usta i tłumiąc krzyk.

Oboje stoczyli się do marmurowej studni. Zanim upadli na kamienną powierzchnię, Michael wykręcił kobiecie rękę, wbił jej kolano między piersi i przycisnął mocno lufę lłamy do gardła.

- Teraz słuchaj! - szepnął ostro, zdając sobie sprawę, że ani ambasada, ani Ogilvie nie wynajęliby pomocnika bez płynnej znajomości angielskiego, bo mógłby przekreślać rozkazy. -

Włącz nadajnik i powiedz swojemu koleźce, żeby tu natychmiast przyszedł! Powiedz, że to alarm i żeby szedł przez lasek pod łukiem. W twoim interesie leży, żeby Amerykanin go nie zobaczył.

- Cosa dici?

- Dobrze słyszałaś i zrozumiałaś! Rób, co ci mówię! Powiedz mu, że chyba oboje zostaliście zdradzeni. Prudente! Io parlo italiano! Capirci! - dodał Havelock, mocniej naciskając kolanem i lufą automatu. - Presto! Kobieta wykrzywiła twarz z bólu, ciężko oddychając przez zaciśnięte zęby, a jej szeroka twarz o męskich rysach wyciągnęła się jak u kęsającej kobry, przytrzymanej widełkami. Gdy Michael zwolnił ucisk kolana, kobieta z ociąganiem prawą ręką odgięła klapę płaszcza, odsłaniając mikrofon tranzystorowy w kształcie grubego, przypiętego do materiału guzika. W środku był mały, płaski przełącznik nadajnika. Nacisnęła. Słysząc było krótki dźwięk, sygnał wysłany trzysta stóp na zachód Palatynu.

- Trifoglio, trifoglio - zaczęła umówionym hasłem. Ascolta! C' un' emergenza...!

Wypełniła rozkazy Michaela zduszonym, trwożnym szeptem, odzwierciedlającym jej śmiertelne przerażenie, gdy lufa lłamy wbijała się jej coraz głębiej w gardło. Zaraz z głośnika popłynęła dźwięczna, metaliczna odpowiedź zaskoczonego Włocha.

- Che avete?

- Sbrigatevi!

- Arrivo! Havelock podniósł kobietę na kolana, zdzierając z niej płaszcz. Nad talią, do szerokiego pasa przypiętą miała wydłużoną kaburę, z której wystawała rękojeść mocnego automatu magnum. Obszerny, skórzany futerał mieścił przymocowaną do lufy dodatkową część: perforowany cylinder -

tłumik, zabezpieczony na stałe i dokładnie wyzerowany na celność strzału. Kobieta była istotnie zawodowcem. Michael szybko odebrał jej pistolet i wsadził sobie za pas. Poderwał kobietę na nogi, pchnął ją mocno na kręte schody i przytrzymał na drugim stopniu, skąd, pomiędzy ostrymi zakończeniami żelaznej bariery, oboje mogli obserwować teren ponad najwyższym punktem antycznej łaźni. Stał za nią i całym ciężarem ciała przyciskał ją do bariery, z lłamą przy jej prawej skroni, a z lewym ramieniem wokół szyi. Po chwili zobaczył, jak jej towarzysz, nisko pochylony, biegnie przez zarośla pod altaną. Tylko na to czekał. Przydusił ją bez ostrzeżenia, zaciskając gwałtownym ruchem ramię na szyi i popychając jej głowę do przodu, w miążdzące imadło. Ciało kobiety osunęło się bezwładnie, do wieczora nie odzyska przytomności. Nie, nie chciał jej zabijać, niech opowie swoją przygodę patriotom, którzy ją zwербowali. Pozwolił jej zsunąć się po splekanym marmurze do zarośniętej zielskiej studni i czekał. Mężczyzna wyszedł ostrożnie na stok wzniesienia, trzymając rękę pod tweedową marynarką. Za dużo minut, uciekały zbyt szybko, upłynęła już połowa wyznaczonego czasu. Jeszcze trochę, a przysłany przez Waszyngton zabójca zacznie się niepokoić. Gdyby wyszedł poza altanę, szybko zorientowałby się, że jego stróżów nie ma na posterunku, że już nie panuje nad sytuacją, a wtedy wycofałby się. Nie wolno do tego dopuścić. Odpowiedzi, których Havelock szukał

były pięćdziesiąt jardów dalej, w ruinach antycznej altany. Kiedy już będzie górą, i tylko wtedy, odpowiedzi te uzyska. No, ruszaj się, najemniku, pomyślał Havelock, gdy Włoch podszedł bliżej.

- Trifoglio, trifoglio! - powiedział Michael ostrym szeptem, chwytając kawałki ziemi ze schodów i przerzucając je ponad marmurowym oknem po prawej stronie, tak żeby spadały przy przeciwległym końcu okrągłego ogrodzenia. Włoch poderwał się do biegu w kierunku głosu wypowiadającego hasło i spadających grudek ziemi. Havelock przesunął się na lewo i przykucnął na trzecim stopniu z ręką na szpikulcu żelaznej przegrody, badając wytrzymałość kamienia pod stopami, żeby tylko się nie zapadł! Kamień wytrzymał. Gdy tylko Włoch podszedł do marmurowego ogrodzenia, Michael wychylił się zniecierpliwiony, tak zaskakując przeciwnika, że ten jęknął przerażony i stanął jak wryty. Havelock rzucił się na niego i z całej siły uderzył go w twarz lłamą, roztrzaskując mu szczękę i zęby. Z ust Włocha na koszulę i marynarkę trysnęła krew, tracił przytomność. Havelock chwycił go mocno i z półobrotu przerzucił bezwładne już ciało przez brzeg Raźni. Włoch spikował w dół, trzepocząc rękami i nogami, po czym legł nieruchomo na dnie, z zakrwawioną głową, na brzuchu kobiety. On też opowie swoją przygodę, pomyślał Michael. Zależało mu, żeby usłyszeli ją stratedzy w Waszyngtonie, bo jeśli nie otrzyma odpowiedzi w ciągu najbliższych kilku minut, Pałacyn będzie dopiero początkiem. Havelock wepchnął lłamę do wewnętrznej kieszeni marynarki i poczuł dotkliwy ucisk potężnego magnum za pasem. Chciał zatrzymać przy sobie oba automaty: lłama była krótka i łatwa do ukrycia, a magnum z przytwierdzonym na stałe tłumikiem mógł okazać się przydatny w innych okolicznościach. Nagle zmroził go zimny powiew depresji. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu przysięgał sobie, że już nigdy w życiu, w swoim nowym życiu, nie weźmie do ręki pistoletu. W duchu zawsze czuł wstręt do broni, bał się jej i nienawidził, dlatego też nauczył się posługiwać nią bezbłędnie, aby przeżyć i niszczyć broń w innych rękach - prawdziwe pistolety z jego dzieciństwa. Wczesne dni, koszmarne dni, w pewnym sensie były one takie same, jak całe jego życie, z którym, jak sądził, ledwie udało mu się ostatecznie zerwać. Wytepić złoczyńców, żywym pozwolić żyć...

zniszczyć oprawców wszelkich Lidic, we wszelkich odmianach. Zostawił to życie za sobą, ale zabójcy wciąż czyhali, w innej skórce. Zapiął marynarkę i ruszył ku wejściu do altany, gdzie czekał człowiek który przyszedł, by go zabić. Podchodząc do zdewastowanej marmurowej arkady, badał wzrokiem grunt pod stopami, przezornie unikając gałęzi, które mogły trzaskiem zdradzić jego obecność. Dotarł do spękane go muru i bezszelestnie zakradł się do wejścia.

Odsunął delikatnie opadające kaskadami winorośle i zajrzał do środka. Ogilvie stał na końcu kamiennej ścieżki, przy piedestale posągu Domicjana. Palił papierosa, obserwując bacznie wzgórze po prawej stronie nad altaną, to samo wzgórze, tę samą kępę dzikich krzewów, gdzie Michael skrył się przed piętnastoma minutami. Apacz sam dokonał analizy terenu, z oceną trafił w dziesiątkę. Zrobiło się chłodniej i Havelock zauważył, że zmięta, niedopasowana marynarka Ogilwiego była zapięta. Ale zauważył też, że nie przeszkadzało to właścicielowi sięgnąć w każdej chwili po broń. Potem Michael skupił wzrok na twarzy stratega - zmiana była szokująca. Cerę miał bledszą niż kiedykolwiek za pamięci Havelocka. Bruzdy, które już wcześniej żłobiły tę twarz, pogłębiły się i wydłużyły, jak znamionujące rozkład szczeliny, w wyblakłym marmurze wiekowej altany. Nie trzeba było lekarza, żeby stwierdzić, że Ogilvie jest chorym człowiekiem i że choroba jego jest bardzo ciężka. Jeśli zostało mu jeszcze dużo sił, były tak dobrze ukryte, jak broń, którą miał przy sobie.

- Cześć, Rudy - powiedział Michael i wszedł do altany, wypatrując każdego nagłego ruchu ze strony byłego agenta. Ogilvie tylko nieznacznie odwrócił głowę, dając do zrozumienia, że widział go kątem oka przed powitaniem.

- Witaj, Nawaho.

- Podaruj sobie tego Nawaho. To nie Stambuł.

- Nie Stambuł, ale uratowałem ci tam dupę, zgoda?

- Tak, tylko że najpierw sam mnie wypuściłeś pod kule. Mówiłem ci, że most jest pułapką, ale ty, mój tak zwany przełożony, określenie, które przypisałeś sobie na wyrost, nie chciałeś mnie słuchać. Wróciłeś po mnie, bo powiedziałem, że to pułapka przy naszym łączniku w Mesrutiyet. Obsmarowałby cię w raporcie.

- Ważne, że wróciłem - nalegał Ogilvie szybko i gniewnie, a jego chorobliwie blada twarz nabrała koloru. Naraz opanował się, uśmiechnął półgębkiem i wzruszył ramionami. -

Do diabła, to nie ma znaczenia.

- Nie ma. Sądzę, że rozerwałbyś na strzępy siebie i swoje dzieci, żeby tylko się usprawiedliwić, ale fakt jest faktem, rzeczywiście wróciłeś. Był to szybszy, jeśli nie bezpieczniejszy ratunek, niż gdybym skoczył do Bosforu.

- Nie wyszedłbyś z tego.

- Może tak, może nie.

- Co do dzieci, to się mylisz, Havelock. Siebie tak, nie dzieci. - Ogilvie rzucił

papierosa na ziemię, zgasił niedopałek butem i postąpił krok naprzód. Na wzmiankę o dzieciach, nieumyślną, Havelock ugryzł się w język. Przypomniało mu się, że Ogilviemu odebrano dzieci. Ten starzejący się gwałtownie mężczyzna, został w swoim świecie cieni sam na sam z dręczącymi go zmorami.

- Porozmawiajmy - rzekł człowiek z Waszyngtonu, zmierzając ku marmurowej ławce na skraju kamiennej ścieżki. - Usiądź... Michael. Czy może Mike? Już nie pamiętam.

- Jak wolisz. Postoję.

- Ja sobie usiądę. Co tu ukrywać, ledwie zipię. Z Waszyngtonu kawał drogi, długie godziny w powietrzu. Nie sypiam dobrze w samolotach.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Ślicznie - powiedział Ogilvie i usiadł. - Powiedz mi, Michael, czy ty jesteś zmęczony?

- Tak - odparł Havelock. - Całym tym przeklętym kłamstwem. Wszystkim, co się stało. Jej. Mnie. Wam wszystkim w waszych sterylnych, białych gabinetach, w waszych chorych umysłach. Na miłość boską, byłem przecież jednym z was. O co wam chodziło?

Dlaczegoście to zrobili?

- To poważne oskarżenie, Nawaho.

- Mówiłem ci, podaruj sobie to pieprzone imię.

- Jak z pudełka płatków owsianych, tak?

- Jeszcze gorzej. Powinieneś wiedzieć, że Indianie Nawaho byli spokrewnieni z Apaczami, ale w przeciwieństwie do Apaczów, szczerp Nawaho miał w zasadzie usposobienie pokojowe, defensywne. Imię było niestosowne w Stambule, i jest niestosowne teraz.

- Ciekawostka, nie wiedziałem o tym. No, ale jest to wszak tego typu informacja, jaka zafascynuje przybysza nie urodzonego w danym kraju, lecz przywiezionego po ciężkich przeżyciach dzieciństwa skądś indziej. Krótko mówiąc, zainteresowanie historią jest swoistym wyrazem wdzięczności, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dobrze wiesz. Dziecko przeżywa masową rzeź, widzi, jak koledzy i sąsiedzi padają od kul karabinów maszynowych na polu i kończą w rowach, wie, że matkę zabierają Bóg wie gdzie, i że już nigdy jej więcej nie zobaczy. Dzieciak się nie poddaje. Kryje się w lesie, żywi tylko tym, co upoluje albo ukradnie, boi się wyjść z ukrycia. Potem się odnajduje i przez kilka następnych lat biega po

ulicach z materiałami wybuchowymi za pazuchą, zewsząd otoczony wrogami, z których każdy jest jego potencjalnym katem. To wszystko dzieje się, nim chłopak ukończył dziesięć lat, a kiedy dorósł do dwunastu, Sowieci wykończyli mu ojca... Rany boskie, taki dzieciak, kiedy już uda mu się przenieść do bezpiecznej przystani, będzie chciał

dowiedzieć się wszystkiego o nowym kraju. I dlatego mówi: „Dzięki, że pozwoliliście mi tu mieszkać”. Zgodzisz się ze mną... Havliczek? Tak więc nietykalne nie było całkiem niedostępne. Jasne, że stratedzy znali prawdę, powinien był się tego spodziewać, jego własne działanie do tego doprowadziło. Wszak zagwarantowano mu tylko tyle, że jego prawdziwa kartoteka udostępniona zostanie jedynie w zastrzeżonych okolicznościach, i to na najwyższym poziomie kontroli personelu. Tym niżej, miał wystarczyć sporządzony przez brytyjską komórkę M16 suplement. Słowacki sierota, rodzice zabici podczas bombardowania Brighton, sprawdzony, dozwolona adopcja i imigracja. To wszystko, co musieli wiedzieć, wszystko, co powinni wiedzieć. Przedtem. Nie teraz.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Może jednak ma - powiedział były terenowiec, zmieniając pozycję na ławce i sięgając niedbałym ruchem do kieszeni marynarki.

- Nie rób tego.

- O co chodzi?

- Ręka. Trzymaj ją z daleka od kieszeni.

- A, przepraszam... Jak mówiłem, twoje szczenięce lata mogą wiele wyjaśnić. Są granice wytrzymałości człowieka, przeżycia się nawarstwiają, wiesz chyba, o czym mówię? I pewnego pięknego dnia coś pęka i trzeźwy dotąd umysł zaczyna płatać właścicielowi figle.

Człowiek wraca do przeszłości, wiele lat wstecz, do wczesnych doświadczeń, okrutnych doświadczeń, i czasy oraz motywy ludzi, których znał wtedy, mieszają się z czasem i ludźmi, których zna teraz. Obwinia teraźniejszość za wszystkie wredne rzeczy, które przytrafiły mu się kiedyś. To się często zdarza ludziom, którzy żyją tak jak ty, i ja. Nie jesteś wcale wyjątkiem.

- Czy ty jesteś skończony? - spytał ostro Havelock. - Bo jeśli tak...

- Wróć ze mną, Michael - przerwał strateg z Waszyngtonu. Potrzebujesz pomocy. My ci możemy pomóc.

- Leciałeś pięć tysięcy mil, żeby mi to powiedzieć? krzyknął Havelock. - To są twoje dane, twoje wyjaśnienia?

- Uspokój się. Bez nerwów.

- Nie, to ty raczej się uspokój! Trzymaj nerwy na wodzy, bo będziesz potrzebował

każdej kropelki zimnej krwi! Ty, i cała wasza banda! Zacznę działać tu w Rzymie, a potem dalej,

przez Szwajcarię, Niemcy... Pragę, Kraków, Warszawę... aż po Moskwę, jeżeli będę musiał! Im więcej będę mówił, tym gorszy smród się będzie za wami ciągnął, wszystkimi razem i każdym z osobna. Kim ty do cholery jesteś, żeby mi tłumaczyć, co się dzieje w mojej głowie? Widziałem tę kobietę. Ona żyje! Pojechałem za nią do Civitavecchia, gdzie ją znów zgubiłem, ale przy okazji dowiedziałem się, coście jej nagadali, coście jej zrobili! Pójdę jej tropem, ale każdy dzień będzie was kosztował! Zaczynam od zaraz, jak tylko stąd wyjdę, i ty mnie nie powstrzymasz. Słuchaj dziś wieczornych wiadomości i czytaj poranne gazety. Jest tu w Rzymie łącznik, szanowany pierwszy attach, członek mniejszości rasowej - diabelnie sprytna legenda. Tylko, że zanim zajdzie słońce, ten facet już nic nie będzie wart razem ze swoją misterną siatką! Łajdaki! Za kogo się uważacie?

- Dobrze już, dobrze! - błagał Ogilvie z rękami uniesionymi w górę, potakując gwałtownie głową na znak pojednania. - Masz świętą rację, ale chyba mogłem spróbować.

Takie miałem rozkazy. „Przywieź go ze sobą, a dowie się na miejscu” - tak powiedzieli.

„Spróbuj, co się da, ale nic mu nie mów, nic, dopóki jest poza krajem.” Mówiłem im, że to nie przejdzie, nie z tobą. Chciałem, żeby mi pozwolili ujawnić fakty, zapierali się, ale w końcu udało mi się wydusić od nich zgodę.

- To mów!

- Dobra, dobra, usłyszysz zaraz, co chcesz - człowiek z Waszyngtonu odetchnął, kręcąc powoli głową.

- Chryste, sprawy się tak poplątały.

- To je rozplącz!

- Mogę zapalić? - Ogilvie spojrzał w górę na Michaela, unosząc rękę w okolice lewej kłapy zmiętej marynarki.

- Odwiń klapę. Strateg odwrócił klapę marynarki, odsłaniając w kieszeni koszuli paczkę papierosów. Havelock skinął głową, Ogilvie wyjął papierosy i pudełko zapalek założone za folię paczki. Wytrząsnął papierosa do prawej ręki i odgiął pokrywkę płaskiego pudełka zapalek. Było puste.

- A niech to szlag - mruknął. - Masz ogień?

- Tylko lepiej na tym wyjdiesz, jeśli nie przywiozłeś mi żadnych bajeczek... -

Michael sięgnął do kieszeni, wyjął zapalnik i podał Ogilwiemu.

- O Boże! Czy to był nieznaczny ruch rudowłosej głowy czy nienaturalna pozycja prawej ręki Ogilwiego, albo błysk słońca odbitego od folii pudełka papierosów, nigdy się nie dowie, ale ta zbieżność nieprzewidzianych okoliczności uświadomiła mu, że pułapka się zatrzasnęła. Havelock błyskawicznym kopniakiem z lewej nogi trafił w prawą dłoń stratega, odrzucając ją do tyłu. Siła uderzenia strąciła Ogilwiego z ławki. Raptem powietrze wypełniło się pęczniejącym tumanem mgiełki. Havelock zatykając nos, uskoczył na prawo, poza ścieżkę, przeturlał się po ziemi, aż uderzył

o resztki spękanego muru poza zasięgiem gazowej chmury. Fiolka ukryta była w paczce papierosów, a po gryzącym zapachu, który unosił się w altanie domyślił się, co zawierała. Był to gaz obezwładniający, skutecznie paraliżujący mięśnie, jeśli cel znalazł się w środku pola rażenia. Środek działał co najmniej godzinę i nie dłużej, niż trzy godziny. Gazu tego używano niemal wyłącznie przy porwaniach, rzadziej zaś, jeżeli już w ogóle, jako wstępu do likwidacji. Havelock otworzył oczy i podniósł się na kolana, opierając się o mur. Strateg z Waszyngtonu tarzał się w wysokiej trawie, krztusząc się, usiłując wstać i miotając się w konwulsjach. Dostał się w słabiej działające obrzeża gazowej chmury, wystarczające jednak, by go chwilowo oszołomić. Michael wstał, patrząc na rzadniejącą nad Palatynem niebieskawo-szarą mgiełkę, której gęstsze jądro było jeszcze przez chwilę widoczne, aż pierzchno z silniejszym podmuchem wiatru. Rozpiął marynarkę, czując ból zadrapań i sińców od ciężkiego magnum za pasem, spowodowanych jego gwałtownymi ruchami. Wydobyl pistolet z wstrętym perforowanym cylindrem na lufie i chwiejnym krokiem szedł po trawie do Ogilwiego. Rudzielec z trudem łapał oddech, ale patrzył bystrym wzrokiem. Przestał się miotać i spojrzał najpierw na Havelocka, a potem na broń w jego rękę.

- Nie zastanawiaj się, Nawaho - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Oszczędź mi kłopotów.

- Domyślałem się - odparł Havelock, patrząc na wychudzoną, pooraną bruzdami twarz byłego agenta, którego kredowoblada cera znamionowała śmierć.

- Nie wahaj się. Strzelaj.

- Dlaczego? Dlaczego niby mam ci ułatwiać sprawę. Albo raczej utrudniać. Nie przyjechałeś mnie zabić, przyjechałeś mnie zwinąć. I nie przywiozłeś żadnych odpowiedzi.

- Już ci je dałem.

- Kiedy?

- Parę minut temu... Havliczek. Wojna. Czechosłowacja, Praga. Twój ojciec i matka.

Lidice. Te wszystkie sprawy, które są bez znaczenia.

- O co ci chodzi, do cholery?

- Masz chorą głowę, Nawaho. Nie kłamie.

- Co?

- Nie widziałeś tej kobiety. Karas nie żyje.

- Nieprawda! Ona żyje! - krzyknął Michael, kucnął przy Ogilwie i chwycił go za klapę pomiętej marynarki. - Do diabła, ona mnie widziała! Uciekła przede mną!

- Niemożliwe - rzekł Ogilvie, kręcąc głową. - Nie tylko ty byłeś na Costa Brava, ale był jeszcze ktoś. Mamy jego raport, przywiózł dowody... strzępy ubrania, próbki krwi, wszystko, co trzeba. Zginęła na tej plaży.

- To perfidne kłamstwo! Byłem tam całą noc! Poszedłem na drogę, na plażę. Nie było żadnych strzępów ubrania, uciekała, nikt jej nie dotknął, dopóki nie umarła od kul.

Kimkolwiek była, jej zwłoki zabrano nietknięte, nic nie zostało po niej na plaży, żadnych ubrań, nic! Jak mogło coś zostać? Dlaczego? Ten wasz obserwator to kłamca! Strateg leżał

bez ruchu, wbijając wzrok w Havelocka. Oddech już mu się uspokajał. Widać było, że intensywnie myśli.

- Było ciemno - powiedział bezbarwnym tonem. - Nie widziałeś dokładnie.

- Kiedy zszedłem na plażę, słońce już wzeszło. Ogilvie skrzywił się i przyciskał głowę do lewego ramienia, usta miał napięte, jakby ostry ból przeszył mu klatkę piersiową i poraził rękę.

- Nasz obserwator został pochowany trzy tygodnie po złożeniu raportu - powiedział

strateg, wysilając się na szept. - Umarł na zasranym jachcie w zatoce Chesapeake... Jeżeli ty masz rację, jest jakiś problem w Waszyngtonie, o którym ani tobie, ani mnie nic nie wiadomo. Pomóż mi. Musimy dostać się do Palombara.

- Sam pojedziesz do Palombara. Ja nie wracam bez wyjaśnień. Już ci mówiłem.

- Musisz wrócić! Bo nie wyjedziesz stąd beze mnie, to ci gwarantuję.

- Nie masz już na co liczyć, Apaczu. Ten automat wziąłem sobie od twojej wynajętej ślicznotki. Żeby było śmieszniej, jej gumbar jest razem z nią i oboje spoczywają na dnie marmurowej łaźni.

- Nie oni! On! Nagle stratega z Waszyngtonu opanowało przerażenie. Podniósł się na łokciu, wykręcał szyję i mrużąc od słońca oczy, wypatrywał czegoś na wzgórzu nad altaną.

- Czeka, obserwuje nas - szepnął. - Opuść pistolet! Udawaj, że nie masz przewagi.

Szybko!

- Kto? Dlaczego? Po co?

- Na miłość boską, rób co ci mówię! Szybko!

- Masz bogaty repertuar sztuczek, Rudy, ale już dawno nie pracowałeś w terenie. Czuć od ciebie ten sam zapaszek, który snuje się od samego Potomaku. - Michael potrząsnął głową i wstał.

- Przestań! Nie! - wrzasnął były agent z szeroko otwartymi oczami, wpatrzonymi w wierzchołek wzgórza. Wtem, z nadludzkim zapasem cudem wykrzesanej siły podniósł się z ziemi, chwycił

Havelocka i odciągnął go z kamiennej ścieżki. Havelock zamachnął się lufą z ciężkim cylindrem i już miał uderzyć w czaszkę Ogilwiego, kiedy rozległy się strzały, dwie stłumione serie z góry. Ogilvie jęknął, wypuścił powietrze z głośnym, przeciągłym bulgotem i bez czucia legł na trawie. Gardło miał przedziurawione na wylot, umarł od kuli przeznaczonej dla Michaela. Havelock uskoczył pod mur, padły jeszcze trzy strzały, rozpryskując marmur i ziemię. Podbiegł do końca poszarpanego muru, trzymając magnum przy twarzy, i spojrział

przez wyrwę w kształcie litery V. Cisza. Ręka. Ramię, za kępą dzikich krzewów. Teraz!

Wycelował dokładnie i wystrzelił cztery pociski jeden po drugim. Po chwili zakrwawiony mężczyzna wynurzył się z krzaków i bezwładnie stoczył z wierzchołka wzgórza. Włosy na odkrytej głowie osobnika były krótko przycięte i czarne, skóra ciemnobrązowa. Mahoń.

Niedoszłym zabójcą na Palatynie okazał się rzymski łącznik tajnych operacji w północnym sektorze basenu Morza Śródziemnego. Czy nacisnął na spust z wściekłości, czy strachu. A może jednego i drugiego, zły i pełen obaw, że jego legenda i siatka zostanie skompromitowana? Czy też z zimną krwią wykonywał rozkazy? Jeszcze jedna niewiadoma, następny, brakujący fragment mozaiki. Havelock odwrócił się i oparł się o mur, wyczerpany, przerażony, z poczuciem niepewności, jak za dawnych dni, koszmarnych dni. Spuścił wzrok na Rudego Ogilwiego - Johna Philipa Ogilwiego, jeśli dobrze pamiętał. Przed kilkoma minutami był umierającym człowiekiem, teraz już nie żył. Zginął ratując życie innemu człowiekowi, którego śmierci nie chciał oglądać. Apacz nie przybył zlikwidować Nawaho, przybył go ocalić. Ale jego bezpieczeństwo nie martwiło strategów w Waszyngtonie; oni byli zaprogramowani przez kłamców. Kłamcy panowali nad sytuacją. Dlaczego? W jakim celu?

Czas uciekał. Musiał wyjechać z Rzymu, z Włoch. Do granicy w Col des Moulinets, a jeśli to nic nie da, do Paryża. Do Jenny. Tylko do Jenny, teraz bardziej, niż kiedykolwiek!

10

Czterdzieści siedem minut trwały, dwie rozmowy telefoniczne z dwóch osobnych budek na zatłoczonym lotnisku Leonarda da Vinci. Najpierw połączył się z gabinetem direttore rzymskiej Amministrazione di Sicurezza, włoskiego nadzoru nad działalnością zagranicznych służb tajnych. Havelock podał kilka zwięzłych szczegółów tajnych operacji sprzed lat i dzięki temu, nie ujawniając swoich danych, uzyskał połączenie z szefem.

Rozmawiał niecałą minutę i powiedziawszy co miał do powiedzenia, odwiesił słuchawkę.

Następnie z budki po przeciwnej stronie hallu zadzwonił do redattore stronnicego, politycznego dziennika, „Il Progresso Giornale”, o zdecydowanie antyamerykańskim nastawieniu. Radaktor, czując znakomity kęs, był o wiele bardziej przystępny. Na jego prośbę o podanie nazwiska i wyjaśnień, Havelock dał mu dwie rady: najpierw niech potwierdzi informacje u direttore w Amministrazione di Sicurezza, potem niech obserwuje ambasadę amerykańską przez następne siedemdziesiąt dwie godziny, a zwłaszcza wspomnianą osobistość.

- Mezzani! - fuknął naczelny.

- Addio! - powiedział Michael i odłożył słuchawkę. Podpułkownik Lawrence Baylor, dyplomata i wzorcowy przykład awansu mniejszości w Ameryce, stracił pracę. Łącznik był

skończony, a jego siatka bezużyteczna. Jej odbudowanie potrwa kilka miesięcy, a może nawet rok. I bez względu na to, jak ciężkie rany odniósł pułkownik, w ciągu najbliższych godzin odleci z Rzymu, by wyjaśnić śmierć rudowłosego stratega na Palatynie. Pierwsza tama runęła.

Wkrótce zawałą się następne. Każdy dzień będzie was kosztował. Havelock nie rzucał słów na wiatr.

- Cieszę się, że przyszliście - rzekł Daniel Stern, zatrzasnąwszy drzwi białego gabinetu bez okien na piątym piętrze gmachu Departamentu Stanu. Dwaj mężczyźni, których właśnie powitał, siedzieli przy stole konferencyjnym: Dr Paul Miller był zatopiony, w notatkach, a prawnik Dawson spoglądał bezmyślnie w ścianę, z ręką opartą na żółtym notesie prawniczym. - Przyszedłem prosto z przesłuchania Baylora w szpitalu Waltera Reeda.

Wszystko się zgadza. Słyszałem na własne uszy, sam zadawałem pytania. Jest załamany, fizycznie i psychicznie. Ale trzyma się dzielnie. To dobry człowiek.

- Żadnych rozbieżności z oryginalnym raportem? - spytał prawnik.

- Nic ważnego, pierwsze zeznania były bardzo dokładne. Ukryta w paczce papierosów fiolka, zawierała słaby związek difenylaminy, ulatniający się gwałtownie przez nacisk kapsułki z dwutlenkiem węgla.

- Dlatego Rudy mówił nam, że zwinie Havelocka, jeśli tylko podejdziesz go na odległość wyciągniętej ręki - przerwał spokojnie Miller.

- Prawie mu się to udało - rzekł Stern. Na stoliku przy swoim krześle miał czerwony telefon, nacisnął przełącznik w aparacie i usiadł.

- Co innego usłyszeć na żywo relację Baylora, a co innego czytać suchy raport - rzekł

dyrektor Operacji Konsularnych i umilkł. Dwaj stratedzy czekali.

- Zachowuje się spokojnie, niemal biernie - ciągnął Stern. Ale wystarczy spojrzeć na jego twarz, od razu widać, jak głęboko wszystko przeżywa.

- Czy pytałeś go, co spłoszyło Havelocka? Tego brakowało w raporcie. - Dawson pochylił się do przodu.

- Brakowało, bo Baylor nie wie. Aż do ostatniej sekundy Havelock zachowywał się, jakby nic nie podejrzewał. Tak, jak jest w raporcie. Rozmawiali, Ogilvie wyjął z kieszeni papierosy i prawdopodobnie poprosił o ogień. Havelock sięgnął po zapaliki, podał je Ogilviemu i wtedy stało się. Nagle kopnął Rudego w rękę, zwalając go z ławki, i kapsułka wybuchła. Kiedy dym już się rozwiął, Rudy leżał na ziemi, a Havelock stał nad nim z pistoletem.

- Dlaczego Baylor właśnie wtedy nie strzelił? Miał znakomitą okazję. - W głosie prawnika słychać

było zdenerwowanie.

- Z naszego powodu - odparł Stern. - Daliśmy wyraźne rozkazy. Havelock miał przybyć tu żywy. Tylko „najwyższa konieczność” usprawiedliwiała inne rozwiązanie.

- Jedno nie wyklucza drugiego - powiedział niecierpliwym tonem Dawson. - Czytałem kartotekę służbową Browna - a raczej Baylora. Jest wyborowym strzelcem, ze wskazaniem na broń krótką. Mało jest dziedzin, w których nie ma opinii „wyborowego”. Chodząca reklama Krajowego Stowarzyszenia Podniesienia Poziomu Kulturalnego Kolorowych i zarazem korpusu oficerskiego. Stypendysta Rhodessa, Oddziały Specjalne, taktyka walki partyzanckiej.

Dodajcie, co wam jeszcze przyjdzie do głowy, a w kartotece tego nie zabraknie.

- Jest Murzynem, musiał być dobry. Już ci to mówiłem. O co ci chodzi?

- Mógł zranić Havelocka. W nogi, ramiona, miednicę. Działając razem, on i Ogilvie; mogli go przecież zwinąć.

- Wymagasz diabelnej dokładności, jak na siedemdziesiąt pięć do stu stóp.

- Dwadzieścia pięć do trzydziestu jardów. To bez mała pole rażenia krótkiej broni, a Havelock stał spokojnie. Nie był ruchomym celem. Pytałeś o to Baylora?

- Szczerze mówiąc, nie widziałem powodu. Ma dość innych zmartwień, w tym przestreloną rękę, co może oznaczać koniec jego kariery wojskowej. W moim przekonaniu działał prawidłowo w tak trudnej sytuacji. Wyczekał, aż Havelock skieruje lufę na Ogilwiego, do chwili, kiedy Rudy nie miał już żadnych szans. Dopiero wtedy strzelił, dokładnie w momencie, gdy Ogilvie rzucił się na Havelocka i sam dostał. Wszystko dokładnie zgadza się z sekcją zwłok przeprowadzoną w Rzymie.

- To opóźnienie Rudy przypłacił życiem - powiedział nieustępliwie Dawson.

- Kula tylko mu skróciła życie, i to nie o wiele podpowiedział doktor.

- To też wykazała sekcja - dodał Stern.

- Być może zabrzmiało to w tym kontekście cynicznie - rzekł prawnik - ale te sprawy się chyba ze sobą wiążą. Przeceniliśmy go.

- Nie - zaprzeczył dyrektor. - Raczej nie doceniliśmy Havelocka. Czyż trzeba nam więcej dowodów? Upłynęły ledwie trzy dni od Palatynu, a Havelock już zdążył zniszczyć łącznika, spłoszył nam kapusiów w Rzymie - nikt już nie chce z nami współpracować, i zmarnował siatkę. Na dodatek przesłał przez Szwajcarię depeszę do komisji Kongresu, oskarżającą komórkę CIA w Amsterdamie o niekompetencję i korupcję. A dzisiaj rano dzwoni do nas szef ochrony Białego Domu, który nie bardzo wie, czy ma bić na alarm, czy się wściec. Też dostał depeszę, tym razem szyfrem Szesnaście

Zero Zero, która sugeruje, że w bliskim otoczeniu prezydenta jest sowiecka wtyka.

- To się wzięło z rzekomej konfrontacji Havelocka z Rostowem w Atenach -

powiedział Dawson, spoglądając do żółtego notatnika. - Baylor mówi o tym w raporcie.

- A Paul tu wątpi, czy w ogóle doszło do owego spotkania rzekł Stern, przerzucając wzrok na Millera.

- Fantazja i rzeczywistość - odezwał się psychiatra. - Jeśli zebrane przez nas dane są ściśle, przeskakuje od jednej do drugiej, nie zdając sobie z tego sprawy. Powtarzam: jeśli nasze dane są ściśle. Bardzo prawdopodobne, że istotnie można doszukać się niekompetencji, może i niegroźnych przypadków korupcji w Amsterdamie. Jednakowoż mam wrażenie, że istnieje znikome prawdopodobieństwo, by do otoczenia prezydenta przedostał się sowiecki agent.

- Pomyłek nie da się wykluczyć zarówno tutaj - podjął Stern - jak i w Pentagonie, a nawet, chroń nas, Panie Boże, w Langley. Ale tam prawdopodobieństwo tego rodzaju pomyłki jest bliskie zeru. Nie twierdzą bynajmniej, że nigdy się one nie zdarzyły, czy nie mogą się zdarzyć, lecz nie ma osoby z kręgów Owального Gabinetu, której każdego roku życia, każdego miesiąca, każdego tygodnia nie zbadano pod mikroskopem, nie wyłączając najbliższych przyjaciół prezydenta. Kandydaci o kryształowej reputacji traktowani są jak spadkobiercy Stalina. Procedura ta obowiązuje od „czterdziestego siódmego”. Dyrektor znów przerwał, znów nie dokończył. Jego uwagę zaprzętał plik luźnych notatek doktora Millera.

Ciągnął wolno, z namysłem.

- Havelock wie, które guziki naciskać, komu przekazywać informacje, jakich kodów używać. Nawet te przestarzałe wciąż robią swoje. Łatwo może wywołać panikę, bo jego informacje robią wrażenie autentycznych... Jak daleko się posunie, Paul?

- Nie oczekuj ode mnie jednoznacznej odpowiedzi, Daniel rzekł psychiatra, potrząsając głową. - Moje opinie nie wykraczają daleko poza czcze domysły.

- Oparte na latach praktyki - wtrącił prawnik.

- A ty poprowadziłbyś sprawę bez kontaktu z klientem? spytał Miller.

- Masz przecież zeznania świadków, dane statystyczne, wyniki wizji lokalnej i szczegółowe dossier. Wszak to solidne podstawy.

- Niezbyt szczęśliwa analogia. Przepraszam, sam ją sprowokowałem.

- Jeżeli go nie znajdziemy, jak daleko się posunie? - nie ustępował dyrektor. - Ile nam zostało czasu, zanim dowiemy się o pierwszych śmiertelnych ofiarach?

- Pierwszą już mamy - poprawił go Dawson.
- Nie z premedytacją - zaprzeczył Miller. - Działał w obronie własnego życia. To duża różnica.
- Wyrażaj się jaśniej, Paul.
- Jest to moje własne zdanie - rzekł psychiatra biorąc do ręki notatki i poprawiając okulary. - I, jak mawiał Ogilvie, nie jest to Pismo Świąte. Doszukałem się paru rzeczy, które rzucają nieco światła i które, nie będę ukrywał, nie dają mi spokoju. Sęk w tym, o czym rozmawiał Havelock z Ogilviem, ale jako że nigdy się tego nie dowiemy, możemy opierać się wyłącznie na szczegółowym opisie sytuacji - ruchów, gestów, ogólnej atmosfery i z zeznań Baylora. Czytałem raport wielokrotnie i aż do ostatnich momentów relacji, czyli całej szarpaniny, uderzył mnie ton, którego się najmniej spodziewałem. Brak wyraźnych oznak wrogiej postawy.
- Nie mam pojęcia, co to znaczy w psychologii, ale mam nadzieję, że nie chodzi tu o to, że się nie kłócili, bo doszło przecież do sprzeczki, co jasno wynika z zeznań Baylora.
- Jasne, że się kłócili. Była to przecież konfrontacja. Havelock przez dłuższy czas mówił podniesionym głosem, powtarzając swoje wcześniejsze pogroźki, ale potem sprzeczka ustała. Musieli dojść do porozumienia. Trudno przyjąć inną hipotezę w świetle tego, co zaszło później.
- W świetle tego, co zaszło później? - spytał zdumiony Stern.
- Później przecież Ogilvie nacisnął kapsułkę z difenylaminą i doszło do eksplozji.
- Niestety, mylisz się, Daniel. Pamiętaj, że od początku spotkania, aż do chwili, kiedy Havelock stracił Rudego z ławki, udaremniając pułapkę, nie doszło do rękoczynów ani groźby użycia broni. Spierali się, rozmawiali. Za dużo mi tu zdrowego rozsądku.
- Wyrażaj się jaśniej.
- Zastanów się, co byś robił na miejscu Havelocka. Masz poczucie ogromnej krzywdy, twoja złość graniczy z szaleństwem, a człowiek, którego uważasz za wroga, prosi cię o ogień.

Jak reagujesz?

- Przecież to głupie zapalki.
- Zgoda, głupie zapalki. Ale ty kłosisz ze złości, głowa ci pęka z napięcia, jesteś usposobiony agresywnie. Stoisz twarzą w twarz z facetem, który reprezentuje zdradę w najgorszym wydaniu, bo zbezczeszczył twoje najgłębsze, osobiste wartości. Takie właśnie uczucia są typowe dla schizofrenika z manią prześladowczą. I tenże człowiek, ten wróg, nawet jeżeli obiecał ci powiedzieć wszystko, co chcesz wiedzieć, prosi cię o ogień. Jaka jest twoja reakcja?
- Dałbym mu zapalki.

- Jak?

- Cóż, chyba... - szef oddziału umilkł, nie odrywając oczu od Millera. Po chwili dokończył odpowiedź niepewnym głosem: Rzuciłbym mu je.

- Albo powiedziałbyś, żeby się nie wygłupiał, albo cisnąłbyś pudełko pod nogi, albo mówił dalej, jakby nigdy nic. Wątpię jednak, czy wyjąłbyś spokojnie zapaliki z kieszeni, podszedł do niego i podał mu je, jakby to była chwilowa przerwa w dyskusji, a nie bezczelna zagrywka w kulminacyjnym, naładowanym emocjami momencie decydującego starcia. Nie, nie sądzę, żebyś ty, ani żaden z nas tak postąpił.

- Nie wiemy, co mu Ogilvie powiedział - zauważył Stern. Mógł przecież...

- To jest prawie bez znaczenia, nie rozumiesz? - przerwał psychiatra. - Chodzi o pewien wzorzec zachowania, do diabła.

- Wyczarowany z pudełka zapalek?

- Tak, bo to symptomatyczna sytuacja. W ciągu całej niemal konfrontacji, z wyjątkiem jednego wybuchu wściekłości, Havelock nie zdradzał oznak agresji. Jeśli Baylor opisał

zdarzenie tak dokładnie, jak sami twierdzicie, a uważam, że macie rację, bowiem w takich okolicznościach powinien raczej wyolbrzymiać każdy gwałtowniejszy ruch czy gest, to Havelock zachował nadspodziewane opanowanie i... rozsądek.

- Co ci to mówi? - spytał Dawson, włączając się do rozmowy z wzrokiem utkwionym w Millerze.

- Nie jestem pewien - odrzekł doktor, odwzajemniając prawnikowi badawcze spojrzenie. - Wiem jednak, że nie zgadza się to z takim portretem tego człowieka, jaki przyjęliśmy wcześniej bez zastrzeżeń. Parafrazując znany cytat, jest w tym za dużo metody, a za mało szaleństwa.

- Mimo przeskoków z rzeczywistości do fantazji? - ciągnął Dawson.

- To dwie oddzielne sprawy. Rzeczywistość dla niego jest sumą doświadczeń codziennego życia. Z przekonaniem nie ma nic wspólnego, bo przekonania wyrastają przeważnie z uczuć. W warunkach tej konfrontacji, powinny były się bardziej ujawnić, zniekształcić rzeczywistość, ograniczyć zdolność słuchania, szukać ujścia w agresywnej postawie... Havelock zbyt cierpliwie słuchał.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Paul - rzekł prawnik.

- Raczej z tego, co sugeruję na podstawie danych, których dokładności nie zamierzaliśmy podważać w żadnym szczególe... od samego początku.

- I twierdzisz, że człowiek z Palatynu nie przystaje do tego wizerunku? - nalegał

Dawson.

- Może nie przystaje. Nie mamy żadnej pewności, tylko uzasadnione praktyką domysły. Nie wiemy, o czym rozmawiali, ale Havelock zachowywał się zbyt racjonalnie jak na człowieka z naszego portretu.

- Sporządzonego na podstawie informacji, które uważaliśmy za niepodważalne -

skonstatował prawnik. - Jak twierdzisz, „od samego początku”. Od Costa Brava.

- Otóż to. A jeżeli nie były niepodważalne? Nie były i nie są?

- Wykluczone! - uniósł się dyrektor Operacji Konsularnych. Każdą informację przesiano przez tuzin sit, potem przez dwadzieścia następnych. Odpada najwęższy nawet margines błędu. Karas była w KGB i została zabita na Costa Brava.

- Takie było nasze założenie - przyznał psychiatra - i mam nadzieję, że jest nadal słuszne, a moje uwagi są bezwartościowymi, pochopnymi domysłami na podstawie niedokładnie opisanej sytuacji. W przeciwnym razie, jeżeli jest choć cień możliwości, że nie mamy do czynienia z psychopata, ale z człowiekiem, który mówi prawdę, bo nie ma powodu, żeby kłamać, to znaleźliśmy się w sytuacji, o jakiej nawet nie chcę myśleć. Zapadła głucha cisza. Każdy ze strategów usiłował w milczeniu pojąć groźbę tej sugestii. Pierwszy odezwał się Dawson. - Trzeba o tym pomyśleć.

- Strach nawet rozważać taką możliwość - powiedział Stern. Mieliśmy potwierdzenie naoczego świadka MacKenziego i podarte ubranie: kawałki bluzki, spódnicy. Przecież ustalono, że należały do niej. I do tego ta sama grupa krwi. A(-). Jej grupa.

- Steven MacKenzie zmarł na atak serca trzy tygodnie później - wtrącił Miller. -

Zastanawialiśmy się nad tym, ale szybko zapomnieliśmy.

- Daj spokój, Paul - zachnął się Stern. - Ten lekarz w Maryland jest jednym z najznakomitszych autorytetów na Wschodnim Wybrzeżu. Jak się nazywa?... Randolph.

Matthew Randolph. Uniwersytet Johns Hopkins, klinika Mayo, konsultant szpitala Massachusetts General i Mount Sinai w Nowym Jorku, prowadzi też własną klinikę. Był

dokładnie przesłuchiwany.

- Chciałbym z nim jeszcze raz porozmawiać - rzekł doktor. I żeby było jasne - nalegał

dyrektor - MacKenzie miał kryształową opinię, jaką rzadko wydaje CIA. Sugerujesz wprost niestworzone rzeczy.

- Koń trojański był również rzeczą niestworzoną - powiedział prawnik. - Wtedy, kiedy go stworzono.

- Poparte praktyką domysły, Paul. Idźmy tym tropem do końca, zawsze można się wycofać, ale załóżmy, że gdzieś nas doprowadzi. Jak myślisz, co on teraz zrobi? - zwrócił się Dawson do Millera.

- Powiem ci, czego nie zrobi - jeśli moje fachowe domysły mają jakiegokolwiek podstawy. Na pewno nie przyjedzie i nie da się nabrać na żadne sztuczki, bo rozumie, całkiem zresztą rozsądnie że cokolwiek się stało, albo myśmy maczali w tym palce, albo sami nic nie wiemy, albo decyzje zapadają poza nami. A ponieważ został zaatakowany, więc wykorzysta wszelkie środki samoobrony, jakich nauczył go szesnaście lat pracy w terenie. I będzie bezwzględny, albowiem rzeczywiście został zdradzony. Przez ludzi, których nie może zobaczyć i którzy są tam, gdzie nie powinni być. Psychiatra spojrzał na Sterna.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie, Daniel, jeśli moje domysły mają podstawy.

Dziwnie się składa, ale Havelock wrócił teraz do tamtych wczesnych dni: automaty, Lidice, zdrada. Przemyka ulicami zastanawiając się, kto z tłumu może być jego katem. Ostre, natrętne buczenie dobiegło z czerwonego telefonu stojącego na małym, niskim stoliku przy Sternie.

Dyrektor, nie odwracając wzroku od Millera, podniósł słuchawkę. Półminutową ciszę przerywały tylko zwięzłe potwierdzenia Sterna, który z uwagą przyjmował informacje przekazywane przez telefon, spoglądając jednocześnie w notatki psychiatry.

- Chwileczkę - powiedział w końcu, naciskając guzik i patrząc na dwóch strategów. -

Dzwoni Rzym. Znaleźli jakiegoś faceta w Civitavecchia, mają nazwę statku. To może być ta dziewczyna. Albo sowiecka figurantka. Taka była teoria Baylora, który nie zmienił zdania...

Rozkaz ten sam. Zwinąć Havelocka, ale nie likwidować, nie traktować go jako przypadku „na straty”... Panowie, muszę was o coś zapytać - zwłaszcza ciebie, Paul. Wiem, że nie dajesz pewności.

- Tak, to jedyny pewnik.

- Działaliśmy w przekonaniu, że mamy do czynienia z nie zrównoważonym osobnikiem, z człowiekiem, którego paranoja może skłonić do przekazania w niepożądane ręce dokumentów i oświadczeń ze szczegółami zakończonych operacji. Zgadza się?

- W zasadzie tak. To intryga typowa dla schizofrenika, który czerpie satysfakcję tyleż z możliwości odwetu, ile z samej groźby. Pamiętajcie też, że owe niepowołane osoby wywodząby się zapewne z podejrzanych kręgów. Poważni ludzie raczej nie zadają się z takimi osobnikami, i on też sobie z tego zdaje sprawę. Prowadzi instynktowną, bezwolną grę, której nie może wygrać, może tylko szukać zemsty. I tu właśnie kryje się niebezpieczeństwo.

- Czy człowiek zdrowy na umyśle prowadziłby taką grę? - Nie tak samo. - Psychiatra zabębnił palcami w okulary. - Co masz na myśli?

- A ty byś tak grał?

- Zlituj się, Paul.

- Mówię poważnie. Bardziej zależałoby ci na groźbie, niż na samym odwecie. Masz konkretny cel, zemsta może być ci po drodze, jednak nie sam odwet masz teraz w głowie.

Chcesz odpowiedzi. Groźby mogą cię do nich doprowadzić, ale ryzyko ujawnienia tajnych informacji przez pośredników podejrzanego autoramentu, mija się z twoim celem.

- Co więc zrobiłby rozsądny człowiek?

- Najpierw prawdopodobnie dałby, cynk tym, do których adresuje groźby, jakiego typu informacje ma zamiar ujawnić. Potem skontaktowałby się z szacownymi pośrednikami: redakcjami, albo organizacjami, które otwarcie i zgodnie z prawem przeciwstawiają się naszej działalności, i doszedłby z nimi do porozumienia. Oto taktyka postępowania rozsądnego faceta.

- Na razie oznak nie ma, by Havelock zrobił coś w tym kierunku.

- Od Palatynu minęły dopiero trzy dni, więc jeszcze nie zdążył. To wymaga trochę czasu.

- Co tylko potwierdza hipotezę zapalek. Jego normalności. Tak sędzę i dobrze rozumiem, czym to pachnie. Sam, na podstawie wcześniej przyjętych danych, przykleiłem mu etykietkę wariata, a teraz zastanawiam się, czy nie trzeba jej odkleić.

- Jeśli tak, zakładamy możliwość ataku ze strony racjonalnie myślącego faceta. Jak sam zauważyłeś, będzie bezwzględny, o wiele bardziej groźny niż schizofrenik.

- Tak - przyznał psychiatra. - Od wariata można się odciąć, poradzić sobie z szantażystami... a zwróćcie uwagę, że od czasu Costa Brava żaden taki maniak nie próbował

do nas dotrzeć. Natomiast człowiek przekonany, że walczy o swoje prawa, nawet jeśli nie ma racji, może wyrządzić niepowetowane szkody.

- Zniszczyć siatki, informatorów, źródła, całe lata pracy... Ręka dyrektora spoczęła na przycisku telefonu.

- ... I życie ludzkie.

- Ale jeśli rzeczywiście jest normalny, przerwał ostro Dawson, i jeśli to rzeczywiście ta dziewczyna, jesteśmy w lesie, panowie. Jej wina, jej śmierć, nic nie jest pewne. Wszystkie owe niepodważalne informacje, które precedzono przez te gęste sita na samym szczycie, nagle okazują się jednym wielkim oszustwem i to tam, gdzie oszustwo nie ma prawa się precysnąć. To właśnie są odpowiedzi, na które czeka Havelock.

- My znamy pytania - odparł ze spokojem Stern, nie odrywając ręki od telefonu, ale odpowiedzi dać mu nie możemy. Możemy jedynie powstrzymać go od wyrządzenia niepowetowanych szkód.

- Kiedy wchodziliśmy do tego pokoju, każdy z nas rozumiał sytuację. Jediną moralnością jest dla nas moralność pragmatyczna, jedyną filozofią, nasza własna odmiana utylitaryzmu. Największa korzyść dla wielu, przeważa nad korzyścią dla mniejszości, dla jednostki.

- Dyrektor Stern umilkł na chwilę, patrząc na telefon.

- Jeżeli spisziesz go na straty, Daniel - ciągnął spokojnie, ale dobitnie prawnik - nie mogę cię wesprzeć. I to nie z pobudek etycznych, ale z czysto praktycznych względów.

- Jakich mianowicie? - Stern spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Potrzebny jest nam do rozwiązania drugiego, poważniejszego problemu. Jeżeli on nie zwariował, jest sposób, któregośmy nie rozważali, argument, który go może przekonać.

Jak sami przyznaliście, działaliśmy dotychczas w przekonaniu, że jest psychopata, bo wszelkie dane na to wskazywały. Ale jeśli kieruje się zdrowym rozsądkiem, może zechce dowiedzieć się prawdy.

- Jakiej prawdy?

- Takiej mianowicie, że my sami nic nie wiemy. Przyznamy mu, że istotnie widział tę Karas, że ona żyje. Powiemy, że szukamy odpowiedzi, tak samo jak on, a może nawet jeszcze bardziej.

- Przypuśćmy więc, że uda nam się przekazać mu taką wiadomość, a on będzie nadal domagał się wyjaśnień, których mu nie możemy dać. Wtedy potraktuje nasze zabiegi jako następną sztuczkę, żeby go zwinąć. Z kolei, jeśli go zwiniemy, co wtedy? Przecież mamy kartoteki operacji na Costa Brava, z nazwiskami wszystkich zamieszanych w sprawę ludzi.

Co on nam da? Z drugiej strony, dobrze wiemy, jak nam może zaszkodzić, jaką panikę wywołać, ilu ludzi pozbawić życia.

- Tak oto ofiara staje się złoczyńcą - powiedział z goryczą Miller. - Jeszcze tego tylko brakowało!

- Musimy przestrzegać chronologii i priorytetów w rozwiązywaniu naszych problemów - rzekł Stern - a sądzę, że mamy tu do czynienia z dwoma osobnymi kwestiami.

Powiązany, ale na razie osobnymi. Zajmijmy się pierwszą z nich. Cóż więcej nam pozostało?

- Możemy się przyznać, że też czegoś nie rozumiemy! - odparł stanowczo Dawson.

- Zrobi się wszystko, żeby sprowadzić go żywego. Ale musimy dać im alternatywę.

- W ten sposób podpowiesz im jednoznacznie, że Havelock jest zdrajcą. A oni wybiorą alternatywne rozwiązanie przy pierwszej sposobności i zabiją go. Powtarzam, nie mogę cię poprzeć.

- Skoro nasze stanowiska są aż tak rozbieżne, nadszedł czas - powiedział dyrektor cicho i niechętnie, podnosząc na prawnika zmęczone oczy.

- Na co? - spytał Miller.

- Na przekazanie sprawy do biura Matthiasa. Niech decydują, czy powiadomić szefa, czy nie, wiedząc, że czas ucieka. Sam pójdę z tym na górę.

- Rzym? - Stern nacisnął przełącznik telefonu. Przepraszam, że tak długo, ale niestety będzie jeszcze gorzej. Obserwujcie statek z powietrza i wyślijcie ludzi do Col des Moulinets.

Niech utrzymują z wami łączność radiową tylko przez szyfrarkę, i niech czekają na instrukcje.

Jeżeli nie dostaną rozkazów przed wylądowaniem, niech łączą się z wami co piętnaście minut.

Ty zostań na tej linii i zamknij ją wyłącznie do twojego użytku. Połączymy się z tobą, jak tylko coś będziemy mieli, albo ja, albo góra. Jeżeli nie ja, zgłosi się ktoś pod kryptonimem...

Dylemat. Zrozumiałeś? Dylemat. To na razie wszystko. Dyrektor odwiesił słuchawkę, nacisnął przełącznik i wstał.

- Szlag mnie trafia, że muszę to robić w takim momencie - powiedział. - Przecież mamy być tarczą z tysiącem oczu, wszystko widzieć, wszystko wiedzieć. Inni są od planowania, jeszcze inni od wykonywania, ale to my podejmujemy decyzje. Wszystkie parszywe dylematy właśnie tu mają być rozstrzygnięte, za to nam płacą, do jasnej cholery.

- Nie pierwszy raz potrzebujemy pomocy - zauważył psychiatra.

- Tylko w sprawach taktycznych, którym nie mógł sprostać Ogilvie, nigdy w strategicznych ocenach. Pierwszy raz się nam to zdarza.

- Dan, nie gramy tu sobie w salonowca - dodał Dawson. Dostaliśmy w spadku sprawę Costa Brava. Nie była to nasza decyzja.

- Wiem - rzucił Stern wychodząc z pokoju. - Może to dla was pociecha.

- Chcesz, żebyśmy poszli z tobą? - spytał Miller.

- Nie. Przedstawię sprawę obiektywnie.

- Nigdy w to nie wątpiłem - zachnął się prawnik.

- Czas pracuje przeciwko nam w Rzymie - ciągnął dyrektor. Im nas mniej, tym mniej wątpliwości. Wszystko i tak sprowadza się do jednego dylematu. Normalny czy stuknięty.

„Na straty” czy nie. Stern otworzył drzwi i wyszedł. Dwaj stratedzy odprowadzili go spojrzeniami z wyrazem ulgi i zgnębienia na twarzach.

- Czy zauważyłeś - spytał Miller, obracając się na krześle że po raz pierwszy od trzech lat padło tu zdanie: „nie mogę cię poprzeć”? Nie: „nie sądzę” czy: „nie zgadzam się”, ale właśnie: „nie mogę cię poprzeć”.

- Bo istotnie nie mogłem - powiedział Dawson. - Daniel jest statystykiem. Widzi tylko liczby, ułamki, równania, sumy i na ich podstawie kalkuluje szanse powodzenia operacji. Nikt nie wątpi, że jest w tym bezkonkurencyjny. Tymi metodami ocalił życie tysiącom ludzi. Ale ja jestem prawnikiem, ja widzę komplikacje i konsekwencje uboczne. Widzę, jak rzecznicy jednej strony podkopują zwolenników drugiej. Jak oskarżyciele tkwią w martwym punkcie, bo jakiś kruczek prawny nie pozwala im powiązać jednego dowodu z drugim, choć te są ze sobą ewidentnie powiązane. Widzę zbrodniarzy, oburzonych drobnymi rozbieżnościami w zeznaniach świadków, choć godne oburzenia są jedynie popełnione przez nich zbrodnie.

Doświadczyłem tego aż nadto, Paul, i wiem, że o powodzeniu decydują nie zawsze liczby, ale czynniki, których w danej chwili się nie dostrzega.

- Dziwne, co? Jak bardzo się różnimy. Daniel widzi liczby, ty komplikacje, a ja snuję dalekosiężne domysły na podstawie niepozornych cząsteczek.

- Takich, jak pudełko zapalek?

- Na przykład.

- Wierzę w te zapalaki. Jestem przekonany o ich znaczeniu. Psychiatra spojrział

Dawsonowi prosto w oczy.

- Ja też. Przynajmniej co do możliwości, na jaką wskazują. Masz swoją komplikację, Głowologu, jak powiedziała by Ogilvie. Jeżeli Havelock jest zdrowy na umyśle, mówi prawdę.

Dziewczyna, której fałszywą winę spreparowano w naszych najtajniejszych laboratoriach, żyje i ucieka w popłochu. Rostow w Atenach, przynęta wypluta przez KGB z nieznanymi powodów, sowiecka wtyka w Owalnym Gabinetce... Komplikacje, doktorze. Potrzebny nam jest Michael Havelock do rozplątania tego węzła. Cokolwiek się stało, jeśli istotnie się stało, skóra mi cierpnie na samą myśl.

- Muszę wracać do biura. Zostawię Sternowi wiadomość, może zechce wpaść do mnie i pogadać. A ty? - Dawson gwałtownie odsunął krzesło i wstał.

- Co? Ach, nie, dziękuję - odpowiedział Miller, pogrążony w myślach. - O wpół do szóstej mam przebadać w Bethesda naszego żołnierza z ochrony ambasady w Teheranie.

Skóra cierpnie, mówisz? - Miller oderwał się od swoich notatek.

- Tak, Paul. Strach pomyśleć.

- Postąpiliśmy słusznie. Nikt w biurze Matthiasa nie spisze Michaiła Havliczka „na straty”.

- Wiem. Liczyłem na to.

Dyrektor Operacji Konsularnych wyszedł z gabinetu na piątym piętrze Departamentu Stanu, zamknąwszy cicho za sobą drzwi i zostawiwszy też za nimi część problemu. Nie dźwigał już całej odpowiedzialności na swoich barkach. Człowieka, któremu powierzył

niewdzięczną decyzję i który przekaże ją do Rzymu pod kryptonimem Dylemat, wybrał z całą świadomością. Należąc do najbliższego kręgu Matthiasa, cieszył się ogromnym zaufaniem sekretarza stanu. A ten rozważy wszelkie możliwe warianty, zanim podejmie decyzję... z pewnością nie samotnie. Kwestia była prosta. Jeżeli Havelock nie zwariował i mówił prawdę, mógł wyrządzić ogromne szkody, bo został zdradzony. Jeśli tak, zdrada stanu miała korzenie tu w Waszyngtonie, w niewyobrażalnych wprost miejscach. Powiązane, acz oddzielne sprawy. Czy należy go więc natychmiast przeznaczyć „na straty” i w ten sposób zapobiec stratom, jakie może zadać operacjom wywiadowczym w całej Europie? Czy raczej opóźnić egzekucję w nadziei, że coś skłoni niewinną ofiarę spisku do współpracy z tymi, którzy go nie zdradzili i nie zdradzą? Jedynym wyjściem było odnalezienie tej kobiety w Col des Moulins, i jeśli rzeczywiście okaże się, że to Jenna Karas, trzeba doprowadzić do jej spotkania z Havelockiem. Po to, żeby wspólnymi siłami starali się rozwikłać drugi, potencjalnie groźniejszy kryzys, tu, w Waszyngtonie. Ale jeżeli to nie była Jenna Karas, tylko sowiecki wabik? Jeżeli istniała tylko jako śmiertelna pułapka, podstawiona po to, by doprowadzić człowieka do szaleństwa i zdrady, co wtedy? Albo jeżeli żyła, a nie uda się jej odnaleźć, czy Havelock uwierzy? Czy Michaił Havliczek, człowiek, który przeżył Lidice i sowiecką okupację Pragi, zaufa im? Czy też będzie dopatrywał się zdrady nawet tam, gdzie jej nie było i zacznie zdradzać swoich? Czy wówczas odroczenie wyroku będzie uzasadnione? Wiadomo, że uzasadnienia takie nie trafią do przekonania rozbitym siatkom ani tajnym agentom na pokojach Łubianki. I jeśli ta odpowiedź była trafna, istniała możliwość, prawdopodobieństwo, że człowiek musi umrzeć, bo ma rację. „Jedyną moralnością jest dla nas moralność pragmatyczna, jedyną filozofią nasza własna odmiana utylitaryzmu.

Największa korzyść dla wielu, przeważa nad korzyścią dla mniejszości, dla jednostki”. Oto słuszna odpowiedź, statystycznie uzasadniona. Ale tu już wkraczał na terytorium zastrzeżone dla Matthiasa. Czy staną tam na wysokości zadania? Najprawdopodobniej nie, pomyślał

Stern. Strach przed odpowiedzialnością każe człowiekowi, z którym właśnie rozmawiał, skontaktować się z samym Matthiasem, a sędziwy sekretarz stanu nakaże odroczenie. Część Daniela Sterna, nie ta profesjonalna, ale czysto ludzka, nie sprzeciwiała się. Człowieka nie powinno się bowiem skazywać na śmierć dlatego, że ma rację, że nie zwariował. Ale Stern starał się jak najlepiej spełnić swój zawodowy obowiązek i zważyć wszystkie warianty, usprawiedliwić wyrok, jeśli takie rozwiązanie okaże się najkorzystniejsze. Jedno mu się przynajmniej udało, pomyślał, podchodząc do drzwi sekretariatu. Przekazał sprawę godnemu największego zaufania, obdarzonemu trzeźwym umysłem człowiekowi. Arthur Pierce piastował, jak wielu innych młodych ludzi w Departamencie, funkcję podsekretarza stanu, ale zdecydowanie górował nad licznymi rówieśnikami. Stern zastał w sekcji L na piątym piętrze około dwudziestu wysokich rangą członków personelu, lecz widząc nazwisko Pierce'a, nie wahał się ani chwili. Przede wszystkim Pierce był w Waszyngtonie tylko w niektóre dni, został bowiem oddelegowany do ONZ w Nowym Jorku, jako główny przedstawiciel do

spraw kontaktów pomiędzy ambasadorem a Departamentem Stanu. Stanowisko to utworzone było przez Anthona Matthiasa, który wiedział, co robi. W swoim czasie Arthur Pierce zostanie ambasadorem w ONZ i w ten sposób dobrego, uczciwego człowieka wynagrodzi się nie tylko za nieprzeciętną inteligencję, ale także za uczciwość. A jeden Bóg wiedział, że uczciwość była teraz potrzebna... Czy, aby na pewno? - zastanowił się Stern, zaskoczony tą nagłą wątpliwością, naciskając klamkę drzwi sekretariatu. „Jedyną moralnością jest dla nas moralność pragmatyczna...” W tej sentencji zamykała się uczciwość dla setek potencjalnych ofiar w terenie. Niech się dzieje, co chce, wszak pozbył się ciężaru odpowiedzialności, pomyślał, otwierając drzwi. Decyzję, która zostanie przekazana pod kryptonimem Dylemat, miał teraz na sumieniu Pierce. Spokojny, bystry, rozważny Arthur Pierce, po Michaile Havliczku najbliższy człowiek Matthiasa. Sam najpierw przemyśli wszystkie strony problemu, a potem skorzysta z rady innych. Ostateczną decyzję, w razie potrzeby, podejmie komitet. Dylemat to od tej chwili oni.

- Panie Stern? - zawołała sekretarka, gdy podchodził już do windy.

- Tak?

- Jest dla pana wiadomość. Przeczytał: „Daniel, będę jeszcze jakiś czas u siebie w gabinecie. Jeśli masz ochotę, wpadnij na drinka. Podrzucę cię do domu, kurczaczku.” Dawson się nie podpisał, ale też nie było takiej potrzeby. Zazwyczaj zamknięty w sobie, powściągliwy prawnik, zawsze wiedział, kiedy przydałaby się spokojna rozmowa i przy takich okazjach odkrywał bardziej ludzkie oblicze. Dwaj mężczyźni o chłodnych, analitycznych umysłach szukali niekiedy odprężenia w swoich, tak rzadko okazywanych, lżejszych rysach charakteru.

Dowcipna propozycja podrzucenia Sterna do domu była aluzją do jego pomstowania na waszyngtoński ruch uliczny. Wszędzie jeździł taksówkami, ku utrapieniu swej osobistej obstawy. Którakolwiek drużyna pełniła teraz służbę, mogła odetchnąć na pewien czas i przejąć go dopiero w domu w Wirginii. Na razie obu wystarczą goryle Dawsona. Ogilvie miał

rację. Bezustanna ochrona, pozostałość z czasów Angletona w Langley, to głupota. Stern spojrzął na zegarek, było już dwadzieścia po siódmej, ale wiedział, że prawnik siedzi jeszcze u siebie i czeka na spokojną rozmowę. Nim wsiedli do samochodu Dawsona, rozmawiali przeszło godzinę. Wałkowali na wszystkie strony wydarzenia z Costa Brava, dochodząc w końcu do wniosku, że nie ma wyjaśnienia, mieszczącego się w granicach rozsądku, odpowiedzi.

Zadzwonili wcześniej do swoich żon, obie przywykły do nie kończących się godzin pracy w Departamencie Stanu i twierdziły, że to rozumieją. Każda z nich kłamała, a obaj mężowie to rozumieli. Nie pierwszy i nie ostatni raz tajne rejony rządowe poddawały małżeńskie ślubowania ciężkiej próbie. Prędzej czy później musiał nadejść koniec. Poza Potomakiem istniał o wiele zdrowszy świat, którego żaden z obu strategów nie miał okazji zakosztować przez zbyt wiele lat.

- Pierce przekaże sprawę Matthiasowi, a ten nie podejmie sam decyzji, chyba się ze mną zgodzisz - powiedział Dawson, skręcając z autostrady na prowincjonalną szosę w Wirginii i mijając odblaskowe znaki z napisem „Roboty drogowe”. - Zażąda drobiazgowej ekspertyzy.

- Rozmawiałem z Piercem w cztery oczy - powiedział Stern, spoglądając w zamyśleniu na boczne

lusterko za oknem, wiedząc, że lada chwila pojawi się w nim para reflektorów. Goryle trzymali się z daleka.

- Byłem bezstronny, ale stanowczy, bo oba rozwiązania mają swoje zalety i wady.

Kiedy przedstawi rzecz komisji, mogą Matthiasa pominąć, żeby nie tracić cennego czasu.

Wyraźnie dałem mu to do zrozumienia. Za niecałe trzy godziny nasi ludzie będą w Col des Moulinets, Havelock także. Muszą wiedzieć, co mają robić.

- W każdym razie najpierw spróbują wziąć go żywego.

- To rozumiałe, nikt tu nie pragnie innego rozwiązania.

- Ale nie ma się co oszukiwać, miałeś rację. Jeśli zapadnie decyzja „na straty”, nie wyjdzie z tego żywy. Bo jest to pozwolenie na zabicie kogoś, kto sam zabije przy pierwszej sposobności.

- Niekoniecznie. Chyba trochę przesadziłem. Jeśli dostaną wyraźny rozkaz:

„likwidować tylko w ostateczności”, mogę się mylić.

- Niestety, już się mylisz. Sądysz, że Havelock da im wybór? Wszedł cało z Palatynu, zastosuje każdą sztuczkę ze swojej grubej książki. Nikt nie podejdzie go na tyle blisko, żeby go mieć żywego. Co innego wziąć go na cel automatu. To się da zrobić i zapewne się zrobi.

- Nie podzielam twojego przekonania.

- Lepsze to, niż odmówić mi poparcia.

- Łatwiejsze - rzekł Dawson z uśmiechem. - Ale Havelock przecież nie wie, że znaleźliśmy tego faceta w Civitavecchia, nie wie, że czyhamy na niego w Col des Moulinets.

- Domyśli się. Powiedział Baylorowi, że Karas mu się wymknęła i, według niego, uciekła. Weźmie pod uwagę, że będziemy mu deptać po piętach. Nastawimy się na nią, rzecz jasna. Jeśli to rzeczywiście Jenna Karas, ona jest odpowiedzią na wszystko, a wtedy wrócilibyśmy do domu z tarczą, bez jednego strzału. Potem już z udziałem Havelocka możemy zabrać się za bałagan, tu na miejscu. To byłoby optymalne rozwiązanie i modłę się, żeby tak się stało. Ale może się nie udać.

- I wtedy nie pozostaje nam nic innego, jak tylko trzymać faceta na muszce -

powiedział Dawson zdenerwowanym tonem, dodając gazu na płaskim odcinku bocznej drogi.

- Jeśli to jest Jenna Karas, musimy ją odnaleźć. Koniecznie.

- Kimkolwiek jest, zrobimy co się da - odrzekł Stern, spoglądając znów odruchowo w boczne

lusterko. Reflektorów ani śladu. - Dziwne. Chłopcy albo się pogubili, albo ty za mocno przyciskasz gaz.

- Na autostradzie był duży ruch. Jeżeli zjechali na prawy pas, mogli wyzionąć ducha, próbując się wydostać. Mamy piątek wieczór, porę drinka dla naszych „niedzielnymyśliwych”. W takie wieczory zaczynam rozumieć, dlaczego nie lubisz sam prowadzić auta.

- Kto dzisiaj ma dyżur, nawiasem mówiąc? Zamiast odpowiedzi, z gardła prawnika dobył się potworny krzyk, zagłuszony hukem zderzenia. Przednia szyba rozprysnęła się na tysiąc ostrych odłamków, wbijając się w ciało i oczy, żyły i tętnice. Metal zgrzytał o metal, wyginając się, skręcając, łamiąc na kawałki, szczękając, gdy lewy bok wraka uniósł się, a ciała zsunęły się w głęboką kałużę, do której spływały czerwone strugi. Stalowy potwór o żółtoczarnym ubarwieniu, połyskującym w świetle pojedynczego przedniego reflektora, ze złowrogim warkotem posuwał się do przodu na potężnych, kolczastych gąsienicach.

Gigantyczna maszyna, która równała z ziemią góry i lasy, pełzła teraz przed siebie, zgniatając rozbite auto i spychając je z drogi. Samochód prawnika stoczył się ze stromego zbocza płytkiego wąwozu. Ekspłodował zbiornik paliwa, ogień natychmiast się rozprzestrzenił, pochłaniając uwięzione w samochodzie ciała. Jaskrawo ubarwiona maszyna, z hydraulicznie uniesionym w górę, na znak triumfu, wieloczołowym narzędziem destrukcji, zatrzęsła się cała. W potężnej skrzyni przeskoczył bieg i warkot stał się jeszcze wyższy - bestia obwieszczała zwycięstwo. Wreszcie powoli, acz systematycznie wycofała się do swojej kryjówki na skraju lasu, po drugiej stronie szosy. W ciemnościach wysokiej kabiny, niewidzialny kierowca zgasił silnik i podniósł do ust mały aparat radiowy.

- Dylemat zlikwidowany - powiedział.

- Zmykaj stamtąd - usłyszał w odpowiedzi. Długa, szara limuzyna skręciła ostro z autostrady w małą, lokalną szosę. Z tablic wynikało, że pojazd zarejestrowany jest w stanie Północna Karolina, ale dociekliwy badacz dowiedziałby się w końcu, że osobnik z Raleigh, figurujący w rejestrach jako właściciel, w rzeczywistości jest jednym z dwudziestu czterech ludzi stacjonujących w Waszyngtonie. Stanowili specjalną grupę, każdy z nich legitymował

się doświadczeniem w policji wojskowej i kontrwywiadzie, podlegali Departamentowi Stanu.

Samochód, który mknął teraz w Wirginii ciemną, prowincjonalną szosą, był jednym z dwunastu, przypisanych również Departamentowi Stanu, Wydziałowi Operacji Konsularnych.

- Zawiadomcie towarzystwo ubezpieczeniowe w Raleigh - powiedział mężczyzna siedzący obok kierowcy do mikrofonu na dużej konsolce pod tablicą wskaźników. - Jakiś kretyn zajeżdżał nam drogę i rąbnęliśmy w tyłek kierowcę z Jersey. Nam się nic nie stało, oczywiście, ale z jego bagażnika niewiele zostało. Chcieliśmy jechać dalej i powiedzieliśmy mu...

- Graham!

- Co?

- Tam! Pali się!

- Rany boskie! Gazu! Szara limuzyna przyspieszyła gwałtownie a ryk silnika dudnił

echem po całej okolicy. Po dziewięciu sekundach dojechała do stromego spadku na skraju płytkiego wąwozu i zahamowała z piskiem opon. Obaj mężczyźni wyskoczyli z auta i podbiegli do krawędzi; ale natychmiast cofnęli się i zasłonili rękami oczy, oparzeni gorącym buchającym z dołu płomieni.

- O Boże! - jęknął kierowca. - To wóz Dawsona! Może jeszcze...

- Nie! - krzyknął ten, który miał na imię Graham, powstrzymując kolegę od zejścia do wąwozu. Uwagę jego przykuł żółtoczarny buldożer, stojący nieruchomo pod lasem na poboczu drogi. - Miller!
- zawołał. - Gdzie jest Miller?

- Według harmonogramu, chyba w Bethesda.

- Znajdź go! - polecił Graham, biegnąc na drugą stronę szosy i sięgając po broń. -

Połącz się z Bethesda! Natychmiast!

Przełożona pielęgniarek w dyżurce na szóstym piętrze szpitala marynarki wojennej w Bethesda była niewzruszona. Wcale nie podobał jej się agresywny ton męskiego głosu w słuchawce. Nie dość, że połączenie było kiepskie, to jego wrzaski tylko pogarszały sprawę.

- Powtarzam, doktor Miller ma pacjenta i nie wolno mu przeszkadzać.

- Proszę mnie z nim połączyć i to natychmiast! Alarm cztery zero, Departament Stanu, Operacje Konsularne. Jest to rozkaz przekazywany i szyfrowany przez centralę Departamentu Stanu. Proszę potwierdzić.

- Potwierdzam - odezwał się krótko trzeci głos. - Tu operator jeden siedem, Departament Stanu, można sprawdzić.

- Dobrze, panie jeden siedem. Na pewno sprawdzimy. Pielęgniarka ucięła rozmowę i uderzyła palcem wskazującym w guzik utrzymujący połączenie. Wstała z krzesła i wyszła z dyżurki. To właśnie dzięki takim histerykom jak ten, tak zwany agent specjalny, oddział

psychiatryczny nie narzekał na brak pacjentów - pomyślała idąc białym korytarzem do rzędu gabinetów terapeutycznych. Podnoszą alarm z byle powodu, najczęściej tylko po to, żeby zaimponować wszystkim swoją wątpliwą władzą. Ten agent z konsularnych czegoś tam, dostanie nauczkę, jak doktor nie zechce podejść do telefonu. Ale na pewno zechce. Geniusz doktora Millera bynajmniej nie przeszkadzał mu okazywać uprzejmości na każdym kroku, jeśli miał jedną wadę, to właśnie przesadną hojność. Powiedział, że ma badanie w dwudziestce. Podeszła do drzwi, obok których świeciła się czerwona lampka, co oznaczało, że gabinet jest zajęty. Przycisnęła guzik telefonu wewnętrznego.

- Doktorze Miller, przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwoni jakiś pan z Departamentu Stanu. Mówi, że w bardzo pilnej sprawie. Cisza. Może połączenie nie działało.

Pielęgniarka znowu nacisnęła guzik, tym razem mocniej, i mówiła głośniej.

- Doktorze Miller? Wiem, że jest pan zajęty, ale dzwoni ktoś z Departamentu Stanu.

Sprawa bardzo pilna, a operator potwierdził status rozmowy. Nic. Dalej cisza. Żadnego odgłosu kroków, ani nawet zdawkowego potwierdzenia. W takim razie doktor nie słyszał; a więc połączenie nie działało. Zapukała do drzwi.

- Doktorze Miller? Doktorze Miller? Przecież nie był głuchy. Co on tam robił? Jego pacjentem był żołnierz piechoty morskiej, jeden z zakładników z Teheranu. Nie agresywny, a nawet zbyt bierny. Może jego stan się pogorszył? Pielęgniarka przekręciła gałkę i otworzyła drzwi gabinetu numer dwadzieścia. Stając jak wryta wrzeszczała wniebogłosy. W rogu pokoju, skulony i roztrzęsiony, siedział młody żołnierz w szpitalnym szlafroku. Gapił się wytrzeszczonymi oczyma na postać leżącą bezwładnie w fotelu. Oczy Millera były szeroko otwarte, szklane, martwe. Na środku czoła widniała dziura od pocisku, z której na biały kołnierz koszuli spływała krew.

Człowiek w Rzymie spojrzął na zegarek. Było piętnaście po czwartej nad ranem, jego ludzie zajęli już pozycje w Col des Moulinets, a z Waszyngtonu wciąż ani słowa. Oprócz niego, w centralce szzyfrowej siedział tylko radiooperator. Znużony beczynnością, kręcił

bezmysłnie gałkami i słuchał przypadkowych sygnałów, głównie ze statków. Od czasu do czasu opierał się wygodnie i przerzucał kartki włoskiego magazynu, dukając obce słowa, które miały wzbogacić jego trzeci język, bo drugim było radio. Najpierw zaświeciła się lampka przy telefonie, potem odezwał się brzęczyk. Mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Tu Dylemat. Ten kryptonim daje mi prawo wydawania i weryfikowania wszystkich rozkazów dla waszej grupy w Col des Moulinets. Chyba dyrektor Stern nie pozostawił wam żadnych wątpliwości.

- Głos w słuchawce mówił wolno i wyraźnie.

- Absolutnie żadnych, sir.

- Czy nasza rozmowa idzie przez szyfrarkę?

- Tak jest, sir.

- Nie wolno nagrywać ani notować. Jasne?

- Tak jest. Nie nagrywać, nie notować. Jaka decyzja?

- „Na straty”. Bez zastrzeżeń.

- To wszystko, sir?

- Nie. Jeszcze jedno.

- Słucham.

- Dalsze szczegóły. Czy nie było kontaktu z frachtowcem?

- W żadnym wypadku. Inwigilacja małymi jednostkami z powietrza aż do zmierzchu, potem przechodzimy na równoczesne obserwacje z kilku punktów na lądzie.

- Świetnie. Wysadzą ją gdzieś przed San Remo, jak sądzę.

- Jesteśmy gotowi.

- Czy Korsykanin daje sobie tam radę? - spytał głos z Waszyngtonu.

- Ten, co wszedł na pokład trzy dni temu?

- Tak.

- Wszystko w porządku. Zorganizował grupę i trzeba przyznać, że dużo mu zawdzięczamy. Coraz mniej ostatnio mamy tu chętnych do roboty.

- Dobra.

- Wracając do szczegółów, zakładam, że rozkaz pułkownika obowiązuje. Mamy sprowadzić tę kobietę.

- Nieaktualne. Nie wiemy, co to za jedna, w każdym razie nie jest to Jenna Karas.

Karas została zabita na Costa Brava, wiemy to na pewno.

- Więc co mamy robić?

- Niech Moskwa sobie ją weźmie z powrotem. To sowiecka, zatruta przynęta, podstawiona, żeby doprowadzić cel do szaleństwa. I udało im się, już zaczął sypać. Jest...

- „Na straty” - dokończył Rzym.

- Dajcie jej się zmyć. Nie chcemy zostawiać żadnego śladu, który by do nas prowadził, ani żadnego powrotu do spekulacji na temat Costa Brava. Korsykanin będzie wiedział, co robić.

- Muszę się przyznać, że niezupełnie rozumiem.

- Nie musisz. Chcemy tylko dowodu likwidacji. Jego likwidacji.

- Będzie. Nasz człowiek z oczami jest na miejscu.

- Powodzenia, Rzym. I nie spieprzyć roboty.

- Nie spieprzyć, nie nagrywać, nie notować.

- Wyłącz się - powiedział głos, znany tylko jako Dylemat.

Za biurkiem majaczyła sylwetka mężczyzny. Siedział przy oknie, wychodzącym na teren pod gmachem Departamentu Stanu. Do ciemnego gabinetu wpadało, jedynie z dala, przyćmione światło lamp ulicznych. Siedział twarzą do okna, ze słuchawką przy ustach.

Obrócił się na krzesło, odłożył słuchawkę i pochylił się, opierając czoło na wyprostowanych palcach dłoni. Twarz miał skrytą w cieniu, ale mimo niemal całkowitej ciemności, na jego czarnych włosach zaśniło dziwne pasemko siwizny. Podsekretarz stanu Arthur Pierce, urodzony jako Mikołaj Pietrowicz Malekow w Ramienskoje, wiosce na południowy wschód od Moskwy, ale wychowany w stanie Iowa, oddychał równo i głęboko. Był to wypróbowany sposób na opanowanie nerwów, którego nauczył się stosować przez lata, ilekroć kryzysowa sytuacja wymagała szybkich, ryzykownych decyzji. Dobrze znał cenę niepowodzenia. To oczywiście stanowiło o sile takich ludzi, jak on: nie bali się klęski. Rozumieli, że przełomowe osiągnięcia w historii wymagały wielkiego ryzyka. I że, co więcej, historię jako taką tworzyła nie tylko odwaga jednostek, ale także całych zbiorowości. Ci, którzy trzęśli się ze strachu na myśl o klęsce, którzy nie potrafili działać rozsądnie i zdecydowanie w chwilach kryzysu, zasługiwali na ograniczenia wytyczone przez ich własne tchórzostwo. Została mu jeszcze jedna decyzja, równie niebezpieczna w każdym calu, jak ta, którą przekazał do Rzymu, ale nie miał innego wyjścia. Stratedzy z Operacji Konsularnych rozgrzebali wydarzenia z Costa Brava, odłupywali kolejne warstwy oszustwa, o którym nie wiedzieli dosłownie nic! Należało całą sprawę pogrzebać, i ich pogrzebać również. Za wszelką cenę, bez względu na ryzyko.

Costa Brava musiała pójść znowu w niepamięć i stać się zwykłym, drobnym oszustwem w pokracznym świecie kłamstw. Za kilka godzin nadejdzie meldunek z Col des Moulinets:

„Rozkaz „na straty” wykonano. Odpowiedzialność: Kryptonim Dylemat, ustalony i potwierdzony przez D.S. Sterna, dyrektora Operacji Konsularnych.” Ale tylko stratedzy wiedzieli, do kogo zwrócił się Stern ze swoim dylematem. Na szczęście Stern sam nie wiedział, komu przekazać sprawę, dopóki nie przeczytał na miejscu, kto urzęduje na piątym piętrze. Osobiście dopilnował, by tak się stało. I tak, myślał Arthur Pierce, patrząc na zawieszoną na ścianie fotografię Anthona Matthiasa z autografem, trafiłby do niego. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby pominięto go przy podejmowaniu tak poważnej decyzji. On tylko uprościł całą sprawę, siedząc u siebie, gdy stratedzy postanowili przekazać nierozstrzygalny dylemat na piąte piętro. Gdyby go nie było wtedy na miejscu, prędzej czy później dotarliby do niego i prosili o radę. Rezultat byłby ten sam: „na straty”. Tylko metoda inna: nie potwierdzony konsensus bezimiennej komisji. A tak, wszystko ułożyło się po jego myśli, ostatnie dwie godziny nie poszły na marne. Klęska, choć możliwa, nie zaprzętała mu głowy, bo już nie wchodziła w rachubę. Stratedzy zostali sprzątnięci, wszystkie nici prowadzące do kryptonimu Dylemat, zerwane. Potrzebowali czasu. Kilku dni, tygodnia, miesiąca. Musieli odnaleźć człowieka, który dokonał cudu - z ich pomocą. Znajdą go, bo zostawiał za sobą trop strachu. Nie, nie strachu, trwogi, i tym tropem można za nim pójść. A kiedy już go znajdą, świat nie będzie należał do mięczaków. Świat będzie w rękach Wojennej.

Tak niewielu już ich zostało po tej stronie świata. Tak niewielu, ale silnych, oddanych słusznej sprawie. Widzieli wszystko, wszystko przeżyli. Kłamstwa, korupcję, zgniliznę w najświętszych ośrodkach władzy. Sami zresztą tkwili w tym bagnie, bo przyświecał im wyższy cel. Nie zapomnieli, kim są, ani jaka jest ich rola. Ani dlaczego są. Byli pomieniatczikami i szczytniejszego powołania świat nie znał. Wyrastało z rzeczywistości, a nie romantycznych złudzeń. Byli mężczyznami i kobietami nowego świata, ale desperacko potrzebował ich jeszcze stary świat. Nie było ich wielu, chyba mniej niż stu, oddanych ponad życie, ale za to zorganizowanych we wzorowe oddziały, zdolne reagować na każdą sposobność czy zagrożenie. Mieli stanowiska, odpowiednie papiery, najlepsze wyposażenie.

Wojenna była hojna, a oni bezgranicznie lojalni wobec elitarnego korpusu KGB. Śmierć strategów miała decydujące znaczenie. Powstała próżnia, skutecznie sparaliżuje architektów Costa Brava i zamknie im usta. Nie będą mieli nic do powiedzenia, ślady zostaną doszczętnie zatarte. Bo wysoki urzędnik siedzący przy biurku w ciemnym gabinecie w rozmowie z Rzymem nie kłamał: sprawa Costa Brava miała być zamknięta na zawsze. Dla obu stron. Pod osłoną ciemności, Arthur Pierce, najpotężniejszy z pomieniatczików w Departamencie Stanu, wstał od biurka i bezszelestnie przeszedł do fotela pod ścianą. Usiadł i rozprostował nogi -

pozostanie tu do rana, aż na piątym piętrze pojawią się urzędnicy wysokiego i niskiego szczebla. Wtedy zmiesza się z tłumem i podpisze zapomnianą listę obecności. Nie zabawi długo, bo wzywały go obowiązki w Nowym Jorku. Wszak był głównym doradcą ambasadora amerykańskiego delegacji w ONZ. W rzeczywistości, to on reprezentował stanowisko Departamentu Stanu nad East River, a wkrótce zostanie ambasadorem. Taki był plan Anthona Matthiasa, wszyscy o tym wiedzieli. I będzie to kolejny wielki krok w jego błyskotliwej karierze. Nagle Malekow-Pierce poderwał się z fotela. Trzeba było jeszcze raz zadzwonić do Rzymu i uciszyć ostatni głos. Głos człowieka w centralce radiowej, który odebrał

zaszyfrowany telefon i przyjął nie nagrane, nie notowane instrukcje.

11

- Nie ma jej na pokładzie, przysięgam! - zaklinał się znękany kapitan frachtowca Santa Teresa, siedząc za swoim biurkiem w małej kajucie na rufie, tuż za pomostem sternika.

- Proszę szukać, jeśli pan sobie życzy, signore. Nikt panu nie będzie przeszkadzać.

Wysadziliśmy ją na brzeg trzy, trzy i pół godziny temu. Madre di Dio! Czyste szaleństwo!

- W jaki sposób? Gdzie? - nalegał Havelock.

- Tak samo, jak pan to zrobił. Dwanaście kilometrów na południe od Arma di Taggia podpłynęła do nas motorówka. Przysięgam, że nic nie wiedziałem. Zabiję tę świnię w Civitavecchia! Powiedział, że ta kobieta, to polityczny uchodźca z Bałkanów, nie ma wiele pieniędzy, ale ma przyjaciół we Francji. Tyłu ich tu teraz się najechało, to nie grzech pomóc jeszcze jednemu.

- Rzeczywiście, to nie grzech, jeżeli pan w to uwierzył. Michael pochylił się i zabrał

nieważny już identyfikator attach konsularnego z Departamentu Stanu w USA.

- Tak było, signore! Już prawie trzydzieści lat szwendam się po tych wodach starymi łajbami. Wkrótce zejść na ląd, kupiłem już sobie kawałek ziemi i odłożyłem trochę gotówki.

Założę winnice. Żadne tam narcotici! Żadne contrabbandi! Ale ludzie - czemu nie? Brałem od czasu do czasu ludzi i nie wstydę się tego. I takich, co uciekają z różnych miejsc, i takich, o których ani pan, ani ja nic nie wiemy. Pytam pana jeszcze raz, gdzie ten grzech?

- Pomylił się pan.

- Nie wierzę, żeby ta kobieta była przestępcą.

- Tego nie powiedziałem, musimy ją tylko znaleźć.

- Wystarczy mi, że złoży pan na mnie doniesienie. Zejść z morza prosto do więzienia.

Grazie, gran signor Americano. Kapitan z rezygnacją pokiwał głową.

- Che cosa?

- Nie przypuszczałem, że taki pan właśnie jest.

- Che dice?

- Zostawmy to. Są sytuacje, w których należy unikać upokorzenia. Jeżeli będzie pan ze mną współpracował, może nie trzeba będzie nic mówić.

- Jak pan sobie życzy! To cenny prezent, którego nie oczekiwałem.

- Niech mi pan powie wszystko, co panu mówiła. I to szybko.

- Dużo było błahych rzeczy...

- Tego z pewnością nie chcę słyszeć.

- Rozumiem. Zachowywała się bardzo spokojnie, wyglądała na bardzo inteligentną, ale w środku wyczuwało się ogromne przerażenie. Mieszkała w tej kajucie.

- O!

- Nie ze mną, zapewniam pana. Mam córki w jej wieku, signore. Zjedliśmy razem trzy posiłki, nie mogłem jej nigdzie indziej zaprowadzić, bo moja załoga nie jest towarzystwem, w którym kazałbym jeść swoim dziewczynom. A poza tym, miała przy sobie znaczną gotówkę.

Musiała być przygotowana na wydatki, bo transport, jaki wynajęła, nie był tani... Spodziewała się

dużych kłopotów. Dzisiejszej nocy.

- To znaczy?

- Pytała mnie, czy byłem kiedykolwiek we wsi Col des Moulinets w Górach Liguryjskich.

- Powiedziała panu o Col des Moulinets?

- Sądziła, że jestem częścią jej podróży i znam dalszy ciąg. Tak się złożyło, że byłem w Moulinets nawet kilka razy. Statki, którymi pływam, często wymagają napraw: tu w San Remo, w Savonie albo w Marsylii, która, zupełnie przypadkiem, jest ostatnim portem moich podróży. Nie jestem przecież tak zwanym capitano superiore...

- Proszę, niech pan dalej opowiada.

- Kilka razy siedziałem w suchym doku, tu w San Remo i wtedy jeździłem w góry do Col des Moulinets. To takie urocze miasteczko po drugiej stronie francuskiej granicy, na zachód od Monesi, przez które przepływają górskie strumienie i... jak to się nazywa? Ruote a pale?

- Koła łopatkowe. Moulinets po francusku ma i takie znaczenie.

- Si. To przełęcz o mniejszym znaczeniu w dolnych Alpach, niezbyt uczęszczana, ma słabe zaplecze, marną komunikację. Za to straż graniczna jest najłagodniejsza w całych liguryjskich czy nadmorskich Alpach: ledwo co patrzą w papiery, nawet nie wyjmując z ust gauloise'ów. Próbowałem uspokoić moją przerażoną uciekinierkę, że na pewno nie będzie miała kłopotów.

- Przypuszcza pan, że będą chcieli przejść przez punkt graniczny?

- A czemuż nie? Jest tylko ten jeden, krótki mostek nad górską rzeką i nie sądzę, żeby trzeba było przekupywać strażnika. Jedna kobieta w grupie dobrze ubranych ludzi, któż by na to zwrócił uwagę?

- Ludzi podobnych do mnie...

- Na to pytanie musi pan sobie sam odpowiedzieć, signore. Ale powiem panu, że jeśli nie przejdą przez most, to będą musieli przedrzeć się przez bardzo gęsty las, pokonać urwiska skalne i rzekę. Mężczyźni spojrzeli na siebie bez słowa. Kapitan pokiwał głową i ciągnął

dalej.

- Dzięki. Takich właśnie informacji potrzebuję. Czy mówiła, dlaczego wybiera taką drogę?

- To proste. Lotniska są pilnowane, tak samo dworce kolejowe, i główne drogi wiodące do Francji.

- Przez kogo pilnowane?

- Przez ludzi takich jak pan, signore.
- Czy to ona powiedziała?
- Ona niczego więcej nie musiała mówić, i ja nie pytałem. Taka jest prawda.
- Wierzę panu.
- Może pan odpowiedzieć na moje pytanie? Czy inni, o tym co zrobiłem, wiedzą?
- Nie jestem pewien - odparł Michael.
- Bo jeżeli wiedzą, to już jestem za kratkami. Schodzę z morza prosto do więzienia.
- Czy to by oznaczało, że informacja jest ogólnie dostępna?
- Z pewnością. Zarzuty przedstawiono by przed commissione.
- W takim razie nie przypuszczam, że dadzą panu spokój. Wydaje mi się, że ludzie, z którymi mam do czynienia, za żadne skarby nie chcieliby ujawnienia tej informacji. Jeżeli do tej pory pana nie odnaleźli: przez radio, motorówką, albo helikopterem, to mogą o panu nic nie wiedzieć, albo nie chcą pana ruszać.
- Ludzie, z którymi ma pan do czynienia - powiedział kapitan zawieszając głos.
- Nie rozumiem.
- Ma pan tylko do czynienia, a nie jest pan jednym z... czy dobrze rozumiem?
- Nieważne.
- Chciałby pan pomóc tej kobiecie, czy tak? Nie ściga pan jej, żeby... ją ukarać.
- Na pierwsze odpowiadam tak, na drugie nie.
- A więc powiem panu. Spytała mnie, czy wiem o lotnisku w pobliżu Col des Moulinets. Nic nie wiedziałem. Nigdy o nim nie słyszałem.
- Lotnisko? - Michael zrozumiał. Jeszcze dziesięć sekund temu nie otrzymałby tej dodatkowej informacji. A więc most nad górską rzeką i lotnisko. Dzisiaj w nocy...
- Tylko tyle mogę panu powiedzieć, signore.

Droga wiodąca z Monesi w kierunku francuskiej granicy była wystarczająco szeroka, ale zwałowiska skał i głazów oraz boczne betonowe umocnienia zdawały się ją zwężać, co czyniło ją bardziej przystępną dla terenowych jeepów i ciężarówek o szerokich kołach, niż dla zwykłego samochodu.

Takiego właśnie wytłumaczenia użył Michael, by przebyć ostatnie pół

mili pieszo, ku ogromnemu zadowoleniu taksówkarza z Monesi. Dowiedział się, iż tuż przed mostem znajdowała się wiejska gospoda, do której zaglądali na drinka strażnicy włoscy i francuscy, i w której małe garnizony z obydwu stron, nieliczni tubylcy i jeszcze rzadsi turyści, od czasu do czasu przekraczający granicę, wystarczająco rozumieli obydwaj języki. Z

tego, co do tej pory Havelock zdołał zobaczyć i usłyszeć, to kapitan z Santa Teresa miał rację.

Przejście graniczne w Col des Moulinets znajdowało się na małej przełęczy w dolnych Alpach, nie miało dobrego dojazdu i obstawy. Najwyraźniej utrzymywano je tylko dlatego, że istniało od dziesięcioleci i żadne biurokratyczne przepisy nie zostały dotąd wydane, aby je zlikwidować. Główny ruch samochodowy między obu państwami przebiegał albo szerokimi drogami wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, piętnaście mil na południe, względnie wygodniejszymi przełęczami na północy, takimi jak Col de Larche lub Col de la Madeleine, na zachód od Turynu. Późnopołudniowe, ciemnopomarańczowe i żółte słońce, rozpościerało się wachlarzowatym łukiem, rozświetlając niebo nad przybrzeżnymi górami.

Cienie na podrzędnej drodze wydłużały się i zaostrzały. Za kilka minut ich kontury zatrą się i staną się zwykłymi, szarymi cieniami, nierozróżnialnymi od bladej szarości wczesnego wieczoru. Michael posuwał się skrajem zarośli, gotowy schować się w pozycji na jakikolwiek odgłos, nie pochodzący z lasu. Wiedział, że każdy ruch musi być przemyślany, na wypadek, gdyby Rzym dowiedział się o Col des Moulinets. Nie skłamał kapitanowi z Santa Teresa: przyczyn, dla których pracujący dla ambasady omijali statek płynący po międzynarodowych wodach, było wiele. Co innego wysledzić i obserwować powolny frachtowiec, ale co innego oficjalnie wejść na pokład. Stosując taką taktykę, ryzykowało się zbyt dużo, włącznie ze śledztwem commissione. Czy Rzym odnalazł człowieka w Civitavecchia? Mógł jedynie założyć, że inni postąpili podobnie jak on. Nikt przecież nie był

tak wyjątkowy, ani nie miał tyle szczęścia. Wykrzyknął przecież w gniewie, albo raczej w oburzeniu - nazwę portu do telefonu i Baylor Brown powtórzył ją. Jeżeli zraniony na Wzgórzu Palatyńskim oficer wywiadu był zdolny do działania, to z pewnością nakazał

patrowanie nadbrzeża w Civitavecchia i odnalazł pośrednika, który załatwił nielegalny przerzut. Istniały jednak zawsze luki, miejsca, których nie dało się wypełnić. Czy człowiek w Civitavecchia wymieni nazwę statku, wiedząc, iż w ten sposób nikt mu już więcej na nadbrzeżu nie zaufa? Co tam, nie zaufa! Raczej rozstanie się z życiem w jednej z tuzina przyćmionych uliczek. A może zlekceważy to sprzedane przez nieznane mu osoby ogniwo ucieczki, ale wyjawi Col des Moulinets. Zechce przypodobać się wszechwładnym Amerykanom w Rzymie, którzy, jak powszechnie wiadomo, potrafią być nadzwyczaj hojni.

„Jeszcze jeden uciekinier z Bałkanów, to przecież nie grzech, signore.” Jak wiele luk, jak mało konkretów... Jak mało czasu na myślenie, jak wiele sprzeczności. Któż by się spodziewał, że znajdzie się zmęczony, starzejący się kapitan, przeciwny handlowi narkotyków i kontrabandzie, ale za to chętny do przemykania uciekinierów z Włoch, choć ryzyko i powód do skończenia w więzieniu nie mniejszy? Weźmy tego bezczelnego Ogilvie, faceta, który nieustannie próbował usprawiedliwić gwałt. Istniała pewna niejasność w jego wyjaśnieniach. Jakie były motywy postępowania Johna

Philipa Ogilvie'ego? Czemu człowiek przez całe życie próbuje uwolnić się od własnoręcznie nałożonych kajdanów? Kim był

naprawdę Apacz? Rewolwerowcem? Kimkolwiek był, zginął gwałtownie w tym samym momencie, w którym zrozumiał brutalną prawdę. Oszuści dorwali się do władzy w Waszyngtonie. A nade wszystko, Jenna. Jego miłość, która nie zdradziła tej miłości, ale sama została oszukana. Jakżeż mogła uwierzyć tym kłamcom? Co takiego jej powiedzieli, jaki niezbity dowód przedstawili, żeby go mogła bez wątpliwości zaakceptować? Ale co ważniejsze, kim są ci kłamcy? Jak się nazywają i skąd się pojawili? Czuł, że za każdym krokiem, stawianym po ciemniejącej górskiej drodze zbliża się do celu. Zanim zanikające słońce wzejdzie na drugiej półkuli, pozna odpowiedzi, odzyska swoją miłość. Wtedy zadzwoni do myśliwskiego domku w zupełnie innych górach, Błękitnych Górach, położonych o tysiące mil stąd, w Shenandoah w USA. Jego mentor, jego pritel, Anthon Matthias dowie się o spisku, który sięgał jądra tajnych operacji, niezaprzeczanym spisku o niewiadomym celu. Nagle zobaczył plamę światła przed sobą, prześwitującą przez listowie po lewej stronie drogi. Przycupnął i obserwował, próbując ją dokładniej określić. Nie poruszała się tkwiła w tym miejscu, w którym uprzednio było ciemno. Podczołgał się do przodu zafascynowany i przerażony; co to może być? Po chwili podniósł się z ulgą i zaczął normalnie oddychać.

Droga zakręcała i po jej wewnętrznej stronie zamajaczyły kontury budynku. Była to owa wiejska gospoda, w której ktoś właśnie zapalił przed domem światło. Wkrótce zabłysły i w oknach: trzy po jego stronie, więcej od frontu. Jak wiele, nie potrafił powiedzieć, ale co najmniej sześć, sądząc z rozlanego blasku, na trawie i żwirze przed wejściem. Michael wszedł

do lasu, żeby zbadać jakie są krzewy i poszycie. Dało się przejść, a zatem podszedł do trzech zapalonych okien. Nie należało dłużej pozostawać na drodze, bo jeżeli czekała na niego niespodzianka, to lepiej nie być jej odbiorcą. Doszedł do skraju lasu, od marnej drogi dojazdowej ze stwardniałego błota dzielił go gruby pień sosny. Rozjeżdżony trakt prowadził

wzdłuż boku gospody i zakręcał w stronę parkingu, sąsiadującego z wejściem dla dostawców.

Do okna, w linii prostej, było około dwudziestu pięciu stóp, Havelock wyszedł zza drzewa. W

tej samej chwili oślepiły go światła. Z bocznej drogi wytoczyła się z hukiem ciężarówka i skręciła w wąski podjazd. Michael wskoczył z powrotem w zarośla, schował się za pień sosny i sięgnął po przypięty do piersi hiszpański automat. Samochód przewalił się obok z hukiem, podskakując na wybojach, niczym mała barka na wzburzonych wodach. Ze środka dobiegały ostre protesty mężczyzn, narzekających na niedogodności jazdy. Nie był pewien, czy go dostrzeżono, czy nie. Pojazd zatrzymał się gwałtownie przy wjeździe na szeroki, płaski parking, kierowca otworzył drzwi i wyskoczył na ziemię. Michael gotów do ucieczki, odczołgał się kilka stóp. Nie było to jednak konieczne, kierowca rozprostowywał kości, przeklinając po włosku, a jego postać nagle rozświetlił reflektor, który ktoś włączył w budynku. Wyglądał zaskakująco, miał bowiem na sobie mundur włoskiej armii, ale epolety straży przygranicznej. Podszedł do tyłu ciężarówki i otworzył duże podwójne drzwi.

- Wskakiwać, skurwysyny! Macie tylko godzinę, żeby napełnić nerki przed służbą.

Pójdę na most powiedzieć im, że już jesteśmy - wrzasnął do środka ciężarówki.

- Sierzancie, jeździecie tak - skrzywił się wysiadający żołnierz - że od połowy drogi słyszeli was w Monesi.

- A mam cię gdzieś! Trzech innych, zupełnie połamanych mężczyzn, wygramoliło się po chwili i zaczęło rozprostowywać nogi i ciało. Wszyscy byli strażnikami.

- Paolo, zajmij się tym nowym. Naucz go, na czym to wszystko polega - podoficer przechodząc ociężale koło Havelocka, podrapał się w pachwinę i obciągnął bieliznę pod spodniami.

- Ty, Ricci! - wrzeszczał żołnierz, zaglądając do wnętrza ciężarówki. - Nazywasz się Ricci, nie?

- Tak - odpowiedział głos ze środka i piąta postać wynurzyła się z ciemności.

- Trafiła ci się najlepsza służba w całym wojsku, paesano! Posterunek jest na moście, ale my mamy swój własny system: prawie cały czas mieszkamy tutaj. Tam nie chodzimy przed zaczęciem służby. Ale jeśli już się tam idzie, to zaczyna się służbę, rozumiano?

- Zrozumiano - odpowiedział żołnierz o imieniu Ricci. Z pewnością nie było to jego prawdziwe imię, zastanawiał się Michael, obserwując blondyna, który uderzał w lewą dłoń furazerką. A jednocześnie, w myślach, wertował fotografie, szukając właściwej. Ten człowiek nie był żołnierzem włoskiej armii, a już z pewnością nie strażnikiem. Był Korsykaninem, wysoko wyspecjalizowanym najemnikiem, posługującym się strzelbą albo pistoletem, drutem albo nożem. Nieważne, jak się naprawdę nazywał, zbyt wiele miał nazwisk, by je można było zliczyć. Po prostu - wykwalifikowany „specjalista”, którego używa się tylko w sytuacji

„szczególnego zagrożenia”. Niezawodny kat, świetnie zorientowany w zachodniej części basenu śródziemnomorskiego, który na Balearach i w lasach Sycylii czuł się jak u siebie w domu. Jego zdjęcie, wraz z wykazem osiągnięć, dostarczył Michaelowi kilkanaście lat temu, w zaplombowanym pokoju w Palombara agent CIA. Havelock wytropił oddział Czerwonych Brygad i właśnie wkraczał do ostatecznej akcji. Wtedy odrzucił kandydaturę tego blondyna, który właśnie stał trzydzieści stóp od niego, na oświetlonym podjeździe. Nie zaufał mu wtedy, ale Rzym zrobił to teraz. Rzym zrobił to teraz! Ambasada znalazła człowieka w Civitavecchia i Rzym posłał zabójcę. Coś, albo ktoś, przekonał tych kłamców w Waszyngtonie, że dawny czynny oficer stanowi obecnie zagrożenie dlatego, że w ogóle żyje.

Wysunięto więc hasło „niedouratowania” i zlikwidowanie jego osoby stało się zadaniem numer jeden. Jak zwykle bezwarunkowo. Ci kłamcy nie chcieli go dopuścić do Jenny Karas, bo była częścią ich życia, a jej sfalszowana śmierć na hiszpańskim wybrzeżu Costa Brava, nierozzerwalną jego częścią. Ale Jenna również uciekła. Czy ją także przeznaczono na straty?

To bardziej niż pewne, przynęcie nie można było pozwolić żyć, a więc blondyn zabójca nie jest jedynym mordercą na moście w Col des Moulinets. Na moście, albo w pobliżu mostu.

Czterech żołnierzy, wraz z nowym rekrutem, udało się w kierunku tylnego wejścia do gospody.

- Jeżeli, skurwysyny, wydaliście w Monesi całe pieniądze, to radzę wam się stąd zmyć? - odezwał się głośno, otwierający im drzwi, przysadzisty mężczyzna.
- Uważaj, Gianni, bo będziemy musieli cię zamknąć za to, że sprzedajesz Francuzki drożej niż nasze!
- Spróbujcie nie zapłacić! - wrzeszczał grubas.
- Ricci, to Gianni, wiesz, ten złodziej. A ta główniana chałupa należy do niego. Uważaj na to, co jesz.
- Chciałbym pójść do ubikacji - powiedział nowy, spoglądając na zegarek.
- A komu się nie chce! - zawołał inny żołnierz, kiedy całą piątką wchodzili do środka.

W tym samym momencie, Havelock przebiegł przez drogę, pod pierwsze okno. Zobaczył

jadalnię. Stoły przykryto obrusami w czerwono-białą kratkę, ułożono tanie sztuce i kieliszki, ale biesiadników ani śladu. Albo było za wcześnie na tutejszą kuchnię, albo nie było chętnych tego wieczora. Za stołami, odgradzony dużym łukowym przejściem na całą szerokość sali, znajdował się główny bar. Michael zauważył, że przy małych okrągłych stolikach siedziało dziesięć do piętnastu osób, z czego większość, to byli mężczyźni. Jedyne dwie kobiety: jedna otyła, druga chuda, miały pod sześćdziesiątkę. Obie rozmawiały i piły piwo. Ot, zwykły wczesny wieczór w Liguryjskich Alpach. Havelock zastanawiał się, czy były tu jeszcze inne kobiety, czy Jenna nie siedzi przypadkiem skulona przy narożnym stoliku. Jeżeli to jest możliwe, musi obserwować drzwi prowadzące na tyły, być może do kuchni, przez które lada chwila wejdą do baru żołnierze. Musi ich widzieć. Kolejne minuty być może objawią mu to, co chciał wiedzieć: kogo z klienteli zabójca rozpozna, choćby tylko przelotnym spojrzeniem, ruchem warg, prawie niewidocznym skinieniem?

Michael pochylił się i przebiegł do drugiego okna, ale kąt widzenia zbyt się nie poszerzył. Pobiegł więc do trzeciego, ale i tu widok go nie zadowolił. Skręcił za róg domu i zajrzał do okna pierwszego od frontu. Teraz widział napis „cucina” i drzwi, przez które za kilka sekund wyjdzie pięciu żołnierzy. Nadal jednak nie widział wszystkich stołów. Pozostały jeszcze dwa okna, które umieszczone były na wprost kamiennej posadzki, prowadzącej do wyjścia. Drugie okno było zbyt blisko drzwi, żeby móc się ukryć, ale wstrzymując oddech, przesunął się do niego i wyprostował, korzystając z osłony szerokiej sosny. Przysunął twarz do szyby i to, co zobaczył, pozwoliło mu na głębszy oddech, który przedtem wstrzymywał. W

rogu nie było Jenny Karas, zwierzę wymknęło się obławie. Okno znajdowało się poza przegrodą w kształcie łuku, i teraz Havelock miał dobrą widoczność nie tylko na wejście kuchenne, ale również na wszystkie stoliki i całą klientelę. Następnie jego oczy przesunęły się w prawo na odległą ścianę i dostrzegł tam drugie wąskie drzwi do męskiej toalety. W wejściu z napisem „cucina” stało pięciu żołnierzy. Złodziejaszek Gianni opierał głowę na ramieniu blondyna, ale nie był to Ricci. Havelock skoncentrował się na zabójcy, całą siłę woli skupiając na jego oczach. Właściciel gospody wskazał na lewo, i morderca skierował się do toalety. Oczy. Patrz na oczy! Zgadł! Dojrzał za ledwie mrugnięcie powieki, był jednak pewien, że uchwycił spojrzenie. Rozpoznał! Havelock skierował oczy wzdłuż linii wzroku blondyna. Przy stoliku, pośrodku sali, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, podczas rozmowy spuścił wzrok na drinka, drugi - błąd w sztuce - postawił nogi w taki sposób, żeby

szybko móc się odwrócić w momencie zabójstwa. A więc ten drugi, to agent-obszwarator, który nie bierze udziału w akcji. Z pewnością Amerykanin, widać to po błędach. Ubrany w drogą szwajcarską wiatrówkę, absolutnie nie pasującą do miejsca i do pory roku. Na nogach miał

buty z miękkiej czarnej skóry, a na przegubie błyszczący elektroniczny chronometr. Wszystko na pokaz, wszystko za hojne diety zagraniczne, wszystko tak bardzo nie na miejscu, w porównaniu ze skromną odzieżą swojego współtowarzysza. Jakże to amerykańskie! Agent do sporządzania raportów - takich, które może z sześć osób zobaczy na oczy. Ale Havelockowi coś jeszcze się nie zgadzało! Jednostka składająca się z trzech osób, i tylko dwóch aktywnych strzelców, to stanowczo za mało, jeżeli wziąć pod uwagę, że trzeba było dokonać zabójstwa na oficerze zagranicznej służby wywiadowczej. Michael wpatrywał się w każdą twarz na sali, studiował każdą osobno, obserwował oczy, patrzył, czy ktoś nie podejdzie do tej niedobranej pary przy środkowym stoliku. Potem przypatrywał się odzieży, szczególnie u tych ludzi, którzy siedzieli do niego bokiem. Buty, spodnie i pasy, co tylko mógł dostrzec. Koszule, kurtki, czapki i wszelkiego rodzaju ozdoby. Szukał jeszcze jednego chronometru, albo alpejskiej wiatrówki, albo miękkich butów. Szukał sprzeczności. Ale jeżeli nawet istniały, to ich nie dostrzegł. Biesiadnicy w gospodzie, z wyjątkiem dwóch mężczyzn przy środkowym stole, przedstawiali przypadkową zbieraninę górali. Farmerzy, przewodnicy, sklepikarze -

najwyraźniej Francuzi z drugiej strony mostu, no, i oczywiście strażnicy.

- Ehi! Che avete? - niespodziewane słowa spadły na niego jak żołnierskie wyzwanie.

Sierzant z ciężarówki stał z ręką na kaburze rewolweru.

- Mia sposa - szybko zareagował Havelock, mówiąc przyciszonym, pospiesznym i unizonym głosem. - Noi siamo molto disturbati, signor Maggiore. Io vado ad aiutare una ragazza francese. L mia sposa mi seguir !

- To mężczyźni z Monesi nadal chodzą przez granicę na francuskie dupcie? Jeżeli tam w środku nie ma twojej żony, to pewno rżnie ją w twoim własnym łóżku jakiś Francuz!

Przyszło ci to kiedyś, chłopie, do głowy? - Sierzant uśmiechnął się i zdjął rękę z kabury.

- Tak już jest na tym świecie, majorze - odpowiedział Michael służalczo, błagając w duchu Boga, żeby ten wyszczekany głupek wszedł wreszcie do środka i zostawił go w spokoju.

- Ty nie jesteś z Monesi - nagle zaniepokoił się sierżant. - Nie mówisz jak ludzie stąd.

- Szwajcarska granica, majorze. Pochodzę z Lugano. Przeprowadziłem się w te okolice dwa lata temu. Żołnierz zamilkł na chwilę i zmrużył oczy. Havelock wolno przesunął

rękę w kierunku zatkniętego za pasem magnum z tłumikiem. Gdyby doszło co do czego, nikt nawet nie usłyszałby odgłosów strzelaniny.

- Szwajcar! Szwajcar włoskiego pochodzenia, bardziej Szwajcar niż Włoch! - Sierzant machnął rękami i potrząsnął z niesmakiem głową. - Tacy właśnie jesteście! Przewrotne skurwysyny. Nigdy nie

wziąłbym służby w batalionie na północ od Mediolanu, przysięgam.

Prędzej bym zrezygnował ze służby! Wracaj do swojego podglądania, ty smutny palancie! -

warknął, odwrócił się i wszedł do gospody. Wewnątrz otworzyły się inne wąskie drzwi do męskiej toalety. Wyszedł z niej mężczyzna, i Michael już wiedział nie tylko to, że właśnie zobaczył trzeciego strzelca z jednostki z Rzymu, ale i to, że musiał tu być też czwarty. Facet zawsze miał partnera, pracowali razem jako grupa pirotechniczna. Dwóch wysłużonych najemników, którzy spędzili kilkanaście lat w Afryce, wysadzając wszystko, od tam i lotnisk począwszy, a na luksusowych willach skończywszy. CIA znalazła ich w Angoli po niewłaściwej stronie, ale dolar amerykański stał wtedy lepiej i jego siła przekonywania była większa. Tych dwóch ekspertów zostało wciągniętych na listę otoczoną specjalną czarną ramką, i przechowywaną na samym dnie szuflad z dokumentami tajnych operacji. Ich obecność na moście w Col des Moulinets dostarczyła Havelockowi istotnej informacji: spodziewano się nie lada pojazdu. Wystarczyło, by któryś z pirotechników zatrzymał się przy samochodzie na dziesięć sekund, a dziesięć minut później z hukiem wylatywał on w powietrze, zabijając po drodze wszystkich w najbliższej okolicy. Przypuszczalnie Jenna Karas nadjedzie samochodem i w parę minut po przekroczeniu granicy, już nie będzie żyła. A więc zabójstwo bez śladów... Lotnisko. Rzym dowiedział się o lotnisku od faceta w Civitavecchia.

I w którymś miejscu, na drodze z Col des Moulinets, pojazd, jakim będzie jechała, wyleci w ciemne niebo. Michael padł na ziemię. Zobaczył bowiem przez okno, że pirotechnik idzie prosto w kierunku drzwi wyjściowych. Spojrzał na zegarek, podobnie jak blondyn parę minut wcześniej. Akcja trwa, ale na czym polega? Mężczyzna wyszedł na zewnątrz budynku. Jego śniada twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza, w przyćmionym świetle lampy, umieszczonej przy końcu dróżki. Przyspieszył, ale zwiększone tempo ledwo dało się wyczuć. Tak postępował profesjonalista, który znał cenę opanowania. Havelock podniósł się ostrożnie z ziemi, gotów pójść za nim. Rzucił jednak wzrokiem na okno i zaniepokoił się: w środku, przy barze, sierżant rozmawiał z Riccim, najwyraźniej wydając mu rozkaz. Zabójca usiłował

protestować i pokazując na kufel piwa, jak na niezbędne lekarstwo, usiłował się wywinąć. A więc trzymano się wcześniej uzgodnionego planu. Ktoś z mostu miał wezwać na służbę rekruta, jeszcze podczas trwania starej warty. Proceduralne zabiegi dostarczą alibi i nikt nie będzie mógł się do niego przyczepić. Ale to nie była procedura, to był plan. Wiedzieli.

Jednostka z Rzymu wiedziała, że Jenna Karas zbliżała się do mostu. Motorówkę przechwycono w Arma di Taggia, i odtąd już była pod stałą obserwacją. Pojazd, którym zdążyła w Góry Liguryjskie, zostanie zauważony na kilka minut przed pojawieniem się na granicy w Col des Moulinets. Jakże to wszystko logiczne: trudno szukać lepszego czasu na przekraczanie granicy, jak pod koniec służby, kiedy żołnierze są już zmęczeni, znudzeni monotonią, i nie uważają jak zwykle. Drzwi gospody otworzyły się i Michael przycupnął

ponownie, spoglądając na prawo przez gałęzie sosny przy drodze za lampą. Najemnik przeszedł teren w poprzek i skierował się w lewo w kierunku mostu, jak zwykły przechodzień, może Francuz, wracający do Col des Moulinets. Niedługo zniknie w lesie i zajmie wyznaczoną pozycję na wschód od wejścia na most, skąd z łatwością podczołga się do samochodu zatrzymanego przez strażników. Blond zabójca był już w połowie drogi do lampy, kiedy zatrzymał się i zapalił papierosa. Po chwili

usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i to go wyraźnie usatysfakcjonowało. Ruszył dalej, a dwaj mężczyźni ze środkowego stolika: agent-observator i jego niedbale ubrany towarzysz, drugi strzelec z rzymskiej jednostki, wyszli z gospody. Havelock zrozumiał. Pułapka opracowana została bardzo precyzyjnie, za minutę zacznie funkcjonować. Dwóch doświadczonych tropicieli wyłowi i zabije intruza, który będzie chciał dostać się do samochodu Jenny Karas. Załatwią to błyskawicznie, faszując serią z automatu w tym samym momencie, w którym tylko się pojawi. Natomiast dwaj pirotechnicy zagwarantują, że przepuszczony samochód eksploduje gdzieś na ulicach Col des Moulinets lub po drodze do nieoznakowanego lotniska. A więc machina poszła w ruch!

Jednostka z Rzymu wiedziała, że on tu jest, i że zbliży się do mostu na tyle, żeby dokładnie widzieć wszystkie poddawane kontroli samochody i ich pasażerów. Będą obserwować każdego mężczyznę, który się pojawi, i za każdym razem gotowi do strzału trzymać będą ręce na spluwach. Ich przewaga polegała na ilości, ale on też miał przewagę, i to nie byle jaką: wiedział, kim oni są. Dobrze ubrany Amerykanin i jego pracownik, drugi strzelec, rozdzielili się na drodze, agent-observator skrzył w prawo, żeby oddalić się od miejsca egzekucji, a zabójca poszedł w lewo na most. Dwie małe ciężarówki z Monesi, przetoczyły się z hukiem, mozolnie pnąc się pod górę. W jednej palił się tylko pojedynczy reflektor, druga miała co prawda światła, ale za to brakowało jej przedniej szyby. Ani Amerykanin, ani wynajęty strzelec nie zwrócili na nie uwagi: dobrze wiedzieli, na jaki pojazd czekają. „Jeżeli znasz strategię, możesz jej przeciwdziałać” - tak mawiał jego ojciec wiele lat temu. Havelock nagle przypomniał sobie tego wysokiego, elokwentnego mężczyznę, który cierpliwie tłumaczył

grupie partyzantów zdarzenia uspokajając ich obawy i prowokując ich gniew. Lidice stały się wtedy ich najważniejszą sprawą, a śmierć Niemców celem. Przypomniał sobie to wyraźnie, pełną z powrotem w stronę podjazdu i czmychając w las.

Po raz pierwszy zobaczył most z odległości trzystu jardów dokładnie na zakręcie drogi prowadzącej do gospody. Zakręt jednak ominął, kierując się w las. Z tego co mógł zauważyć, był wąski i niezbyt długi, a z pewnością, gdyby był dłuższy, to dwa mijające się na nim samochody otarłyby sobie błotniki. Dwa sznury gołych żarówek, rozwieszonych łukiem nad głównym przesłaniem i opadających po bokach, już się świeciły. Wiele z nich było przepalone.

Przeście graniczne składało się z dwóch budynków stojących po obu stronach drogi i stanowiących jakby bramę; wysokie i szerokie okna ukazywały wnętrza, które oświetlały jarzeniówki pod sufitem. Pomiędzy dwoma małymi kwadratowymi budynkami, opadała w poprzek drogi bariera, pomalowana na rażący odblaskowy pomarańcz. Zaś po jej prawej stronie, wysoka do ramion bramka, odgradzała przeście dla pieszych. Dwaj żołnierze w brązowych mundurach z czerwonymi i zielonymi dystynkcjami stali po obu stronach drugiej ciężarówki i zmęczonymi głosami, za to dużo gestykulując, rozmawiali z kierowcą. Trzeci strażnik stał z tyłu pojazdu, ale jego uwaga skupiała się nie na ciężarówce, tylko na lasach po drugiej stronie mostu. Przyglądał się terenowi dokładnie, jak myśliwy tropiący zranionego rysia, przeczesując okolice tylko oczami, bez szczególnego odwracania głowy. Był to blondyn zabójca. Któż by przypuszczał, że ten szeregowiec na górzystym przeście granicznym, jest mordercą kontrolującym cały basen Morza Śródziemnego? Właśnie przepuszczono przez bramkę czwartego mężczyznę, który wolno podchodził po lekkiej pochyłości na środek mostu. Nie zamierzał on jednak przejść na drugą stronę, nie zamierzał

spotkać się z francuskimi strażnikami w liguryjskim patois, ani zachwalać lepszego powietrza w la belle France oraz niezrównanych, szczupłych dziewczyn. Nie, pomyślał Michael, ten prostak w góralskim stroju, w opadających spodniach i obszernej kurtce zatrzyma się w cieniu na środku mostu i jeśli tylko będzie dostatecznie ciemno, poprawi broń, z pewnością pistolet automatyczny, który łatwo można ukryć pod ubraniem, przyciskając go do ciała. Odbezpieczy go i będzie czekał w pogotowiu, by przybiec z pomocą w odpowiednim momencie akcji, przygotowany na zastrzelenie włoskich strażników, gdyby przypadkiem chcieli się wtrącać.

Przygotowany na wpakowanie serii w człowieka, który wynurzy się z ciemności, by spotkać kobietę przechodzącą przez granicę. Ten człowiek, którego Havelock widział przy środkowym stoliku w gospodzie, zabezpieczał blondyna. Jakże prosta zasadzka, dobrze obstawiona ludźmi i wykorzystująca możliwość blokady dróg. Kiedy ofiara już się w niej znajdzie, zamyka się klapka z przodu i z tyłu. Dwóch mężczyzn czeka z materiałami wybuchowymi i bronią przy wejściu do pułapki, jeden w samym środku, a czwarty na końcu.

Bardzo dobrze pomyślane, bardzo profesjonalne zagranie.

12

Malutki ognek przysłoniętego papierosa pojawił się w krzewach po przeciwnej stronie ciemnej drogi. Błąd w sztuce. Agent-observator powinien pamiętać, że takich rzeczy nie wolno robić podczas akcji. Havelock ocenił kąt papierosa, jego odległość od ziemi. Wynikało z niego, że mężczyzna kuczał albo siedział, lecz na pewno nie stał. Gęste krzewy zasłaniały mu dokładnie drogę, a to oznaczało, że nie spodziewał się jeszcze samochodu z Jenną Karas.

Sierżant zresztą wyraźnie powiedział, że żołnierze mają na napełnienie nerek godzinę: minęło zaledwie dwadzieścia minut, pozostało czterdzieści. W rzeczywistości niecałe czterdzieści. W

czasie ostatnich dziesięciu minut nie będzie akcji, z powodu zmiany straży i przekazywania sobie informacji, choćby nie wiem jak nieważnych. Michaelowi zostało więc niewiele czasu na zastosowanie swojej kontrstrategii. Najpierw jak najwięcej musiał się dowiedzieć o planach Rzymu. Wycofał się ze swojego stanowiska wzdłuż brzegu lasu, aż drzewa zupełnie zasłoniły światła z mostu. Przebiegł przez drogę i skręcił w krzakach w lewo uważając, żeby przypadkowo nie spowodować hałasu. Przez krótką przerażającą chwilę znalazł się z powrotem w praskich lasach, w uszach dudniły mu echa dział z Lidic, i krzyki dobywające się z powykręcanych ciał. Po chwili wrócił do teraźniejszości, przypominając sobie kim jest, i po co tu przyjechał. To on jest rysiemy, któremu zapaskudżono jamę, w której założył legowisko, a zrobili to skorumpowani kłamcy, nie lepsi od tych, którzy dowodzili oddziałem w Lidicach... albo od tych, którzy, gdy działania wojenne ucichły, powodowali „samobójstwa” lub zsyłali do gułagów. Znajdował się w swoim żywiole, bo las go przygarnął, kiedy wszyscy zawiedli. Agent-observator siedział na skale i nonszalancko bawił się zegarkiem, naciskając w nim guziczki. Havelock sięgnął do kieszeni i wyciągnął jeden z przedmiotów, które nabył

w Monesi, a mianowicie długi na cztery cale nóż do sprawiania ryb, w skórzanej pochewce.

Rozchylił gałęzie przed sobą, przykucnął i rzucił się do przodu.

- Ty! Jezus Maria!... Nie! Co robisz! O mój Boże!

- Mów tylko szeptem, bo jak nie, to pożegnasz się z twarzą Michael przycisnął kolano do szyi agenta, przykładając mu ostre, ząbkowane ostrze noża do policzka. - Czymś takim skrobie się ryby, ty skurwysynu. Zedrę ci skórę, jak mi nie powiesz tego, co chcę wiedzieć. I to zaraz!

- Jesteś maniakiem!

- Jeżeli tak sądzisz, jesteś skończony. Jak długo tu siedzisz?

- Dwadzieścia cztery godziny.

- Kto wydał rozkaz?

- Skąd mam wiedzieć?

- Bo nawet taki dupek jak ty, jakoś by się osłaniał! To jest pierwsza rzecz, której się uczymy w akcji. Rozkaz! Kto go dał?

- Dylemat! Kryptonim Dylemat - zawył agent - obserwator, czując jak ostrze wbija mu się w twarz. - Przysięgam na Chrystusa, tylko tyle wiem! Ktokolwiek go użył, miał

pozwolenie z Operacji Konsularnych w Waszyngtonie. Tam wszystko się zaczęło! Jezu, wiem tylko, że rozkazy przyszły szyfrem! Takie było nasze hasło!

- W porządku. Teraz gadaj jakie są części planu. I to wszystkie! Przejęliście ją w Arma di Taggia i od tego czasu śledziliście ją. Jak?

- Zmieniliśmy samochody na wybrzeżu.

- Gdzie jest teraz? Kiedy przyjedzie? Jakim samochodem?

- Jedzie lancią. Typ ETA, jeszcze godzinę temu, ma...

- Dość! Kiedy?

- Przyjazd siódma czterdzieści. W samochodzie umieszczono nadajnik.

- Wiem, że nie masz radia, bo by cię zdradziło. Jak się z tobą kontaktowali?

- Telefonowali do gospody. Jezu! Weź to świństwo!

- Jeszcze nie, ty przytomniaczku. Jakie są plany, gadaj po kolei! Kto teraz śledzi samochód?

- Tacy dwaj w zdezelowanej ciężarówce, jakieś ćwierć mili stąd. Gdybyś się włączył, usłyszą cię i siądą ci na karku.

- A jeżeli się nie włączę, to co?
- Wzięliśmy i to pod uwagę. Od siódmej trzydzieści wszyscy przekraczający granicę muszą wysiąść z samochodu, ciężarówki, czy czegokolwiek, czym jadą. Pojazdy będą przeszukiwane, więc w ten czy w inny sposób ona się pokaże.
- A wtedy ja miałbym wkroczyć?
- Jeżeli my... oni... szybciej cię nie odnajdą. Sądzieli, że cię nakryją, zanim ona przyjedzie.
- A jeżeli nie?
- Nie wiem. To ich plan.
- To twój plan! - Havelock przeciął skórę na twarzy agenta, krew pociekła po policzku.
- Chryste! Nie!
- Mów!
- Ma to wyglądać tak, że niby ty zaatakowałeś. Wiedzą, że masz broń, i nieważne, czy ją wyciągniesz, czy nie. Oni na pewno zrobią z niej użytek po to, żeby zrobić większe zamieszanie. A potem uciekną, ciężarówka ma dobry silnik.
- Co z samochodem?
- Przepuści się. Chcemy, żeby stąd zniknął. Nie jedzie nim Karas, tylko jakaś sowiecka przynęta. Oddajemy ją Moskwie. Francuzi ją przepuszczają są przekupieni.
- Łiesz! Łiesz jak pies! Kłamców trzeba naznaczyć!
- Michael naciął skórę końcem noża. - A te dwa pajace od nitrogliceryny, które pracowały w Tanzanii, Mozambiku, Angoli? - Nie powiesz mi, że są tu na wczasach, ty cholerny oszuście!
- O Jezu, zabijesz mnie!
- Jeszcze nie, ale nie jest to wykluczone. Co oni mają tu do roboty?
- To tylko ochrona! Ricci ich przyprowadził!
- Ten z Korsyki?
- Nie wiem, może z Korsyki.
- Ten blondyn.

- Tak! Nie tnij mnie! Proszę, nie tnij!

- Mówisz, że ochrona? Jak ten, z którym siedziałeś przy stole?

- Przy stole? Chryste, kim ty jesteś?

- Obserwatorem, a ty głupcem. Dla ciebie to tylko dodatkowe spluwy? Gdzie oni są?

- Ja krwawię! Mam krew w ustach!

- Udławisz się nią, jak mi nie powiesz. Gdzie?

- Po każdej stronie jeden! Dwadzieścia, trzydzieści stóp przed bramą. Chryste, umieram!

- Nie, nie umierasz, bystry obserwatorze. Zostałeś tylko naznaczony. Koniec z tobą, nie warto wydawać pieniędzy na chirurga! Havelock przełożył nóż do lewej ręki, a prawą przygniół agentowi gardło, eliminując go z akcji na dobrą godzinę. Tyle czasu wystarczy, musi wystarczyć.

Czołgał się po poszyciu, pewny swoich ruchów w lesie czuł się jak u siebie w domu.

Znalazł go. Facet klęczał pochylony nad torbą czy plecakiem, a może małym workiem bosmańskim. Światła z mostu wystarczało na tyle, żeby zobaczyć zarysy postaci, ale nie pozwalało dokładnie się jej przyjrzeć. Nagle z tyłu dobiegł narastający warkot silnika, któremu towarzyszył łoskot rury wydechowej lub błotnika objającego się o kamienie na drodze. Michael odwrócił się gwałtownie i wstrzymał oddech, jednocześnie opuszczając rękę na pas. Nadjechała rozklekotana ciężarówka. Zrobiło mu się niedobrze. A może agent kłamał?

Popatrzył ponownie na pirotechnika i wolno wypuścił powietrze, facet pochylił się jeszcze niżej i nie poruszał się. Ciężarówka przejechała obok niego i zatrzymała się na moście.

Blondyn-zabójca stał przy strażniku - najwyraźniej kazano mu pilnować całej operacji, ale jego wzrok nieustannie przeczesywał las i drogę. Przy bramie wywiązała się głośna wymiana zdań: para jadąca ciężarówką protestowała przeciw wysiadaniu, najwyraźniej przejeżdżali przez granicę codziennie. Michael dobrze wiedział, że hałas go zagłuszy, więc podczołgał się jeszcze trochę i przycupnął jakieś siedem stóp za facetem. A kiedy tylne drzwi ciężarówki otwarły się z łomotem i złorzeczenia pasażerów aż dudniły po lesie, wypadł z ukrycia z wyciągniętymi ramionami.

- Che mai?... Agent nie miał ani chwili na reakcję. W ułamku sekundy jego głowa wylądowała na kamieniach, zaś prawa ręka napastnika zacisnęła się na gardle. Zacharczał

więc tylko krótko i osunął się bezwładnie. Havelock odwrócił wiotkie ciało i wyciągnął pasek z jego spodni. Przeciągnął go pod ramionami, zabezpieczył pętlą i zacisnął na plecach. Potem wyciągnął z kabury pistolet i trzasnął nim faceta w głowę, by za szybko nie odzyskał

przytomności. Na koniec dorwał się do torby. Znalazł w niej przenośne laboratorium specjalisty,

pełne sprasowanych paczek dynamitu i miękkich tulejek plastiku. Były tam urządzenia, wyglądem przypominające miniaturowe zegarki, z których wystawały druty, z biegunami złączonymi nad śmiertelnie proszkiem i przygotowane do uaktywnienia się przez naciśnięcie palcami. Oraz jeszcze jeden typ detonatora: małe, płaskie, okrągłe moduły, również nie większe od męskiego zegarka, które zamiast drutów zaopatrzone były w fosforyzujący czytnik. Tutaj czas nastawiało się przez naciśnięcie sztyftu wystającego po prawej stronie. Te cuda pirotechniki reagowały z dokładnością do pięciu sekund w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Havelock namacał jeszcze w worku pojedyncze opakowanie plastique. Na jego powierzchni był zrobiony samozamykający otwór, przez który wkładało się moduł, natomiast na spodzie wyczuł listewkę, którą należało oderwać na kilkanaście minut przed podłożeniem bomby. Dzięki warstwie epoksydowego kleju, ładunek natychmiast przywierał do każdej powierzchni zdolny przetrwać huragan i trzęsienie ziemi. Michael zabrał

trzy baterie z modułami i wsadził je do kieszeni. Następnie odczołgał się, wlokąc za sobą worek. Jakies dziesięć stóp dalej schował go pod gałąź sosny. Spojrzał na zegarek. Zostało mu dwanaście minut. Krzyki na moście ucichły. Rozgniewana para, przepaszana przez strażników za dziwaczne, tymczasowe zaostrenie przepisów, wsiadła do ciężarówki. Seria metalicznych zgrzytów poprzedziła warkot motoru, któremu nadał przyspieszenie pedał gazu wciśnięty do dechy. Reflektory ponownie rozbłysły i pomarańczowa bariera uniosła się, przepuszczając pojazd, który powoli wtaczał się na most, przy wtórze zgrzytających przeraźliwie biegów. Hałas, jaki wydawała ciężarówka przejeżdżająca przez metalowe przesła, był wprost niewyobrażalny. Odbijał się on echem w górze i w dole, dudniąc serią nierównomiernych odgłosów, aż jeden ze strażników wykrzywił z niesmakiem twarz i zatkał

uszy. Co prawda hałas ten skutecznie odwracał uwagę, światła jednak przeszkadzały. Jeśli Havelockowi udałooby się uzyskać dobre pole widzenia, to może poradziłby sobie z drugim czatującym na moście mordercą. Musi jednak znaleźć dogodny moment. Przysadzisty mężczyzna w za obszernej kurtce z pewnością będzie opierał się o poręcz, symulując w świetle przejeżdżającej ciężarówki faceta, który wlał w siebie jedną kolejkę wina za dużo.

Trudno było liczyć na pojedynczy strzał, nikt nie mógł być pewien swojej dokładności z dystansu osiemdziesięciu stóp, jak nie więcej. Magnum to jednak silna broń, strzelec miał

więc duże szanse, ale pod warunkiem, że odda pięć lub sześć szybkich strzałów jeden po drugim, tak jakby to był jeden. Każda dłuższa przerwa zwiększała margines błędu. Ramię snajpera nie mogło się poruszyć, najlepiej więc, żeby opierało się na sztywnej podstawie, i żeby widoku nie zniekształcało światło ani cienie. Dobrze by też było podejść bliżej celu. Z

uwagą równo podzieloną między krzewy, a blondyna, którego widział pomiędzy drzewami po prawej stronie, przedzierał się jak najciszej i jak najszybciej w stronę krawędzi wąwozu. Snop światła z latarki wystrzelił poza nim zniemacka. Havelock ukrył się za dużą skałą, obsuwając się po jej powierzchni i znajdując oparcie na wystającym kamieniu, tuż nad krawędzią przepaści, opadającej ku toczącym się w dole wodom. Miał stąd doskonałą widoczność, bez trudu zauważył więc blondyna przeczesującego latarką okolicę. Widocznie usłyszał on trzask łamanych gałązek, lecz nie zobaczywszy nikogo uspokoił się. W górze rozklekotana ciężarówka zbliżała się do środka mostu. Teraz! Miał go! Mężczyzna stał w odległości około siedemdziesięciu stóp i wtulając głowę w

postawiony kołnierz kurtki, opierał się o barierkę.

Hałas sięgnął szczytu, echo grzmiało, zabójca znalazł się w kręgu światła ciężarówki.

Havelock położył się i zaparł mocno nogami o wystające skały. Miał sekundę na podjęcie decyzji, a dwie lub może trzy, na oddanie serii strzałów w chwili, kiedy tył przejeżdżającej ciężarówki zasłaniał strażnikom na przejściu widok. Michael wyciągnął zza pasa ciężką broń i chwycił lewą ręką za prawy nadgarstek, żeby lufa mierząca ukośnie w górę, nie poruszyła się.

Musiał mieć tę pewność, nie mógł przegrać tej nocy i stracić wszystkiego, co ta noc dla niego oznaczała... Udało się! Mężczyzna, kiedy mijała go szoferka ciężarówki, wyprostował się, a jego postać wyraźnie zarysowana w świetle reflektorów, stanowiła nieruchomy cel. Havelock korzystając z ogłuszającego hałasu wypalił w oszalamiającym tempie cztery razy. Zabójca wygiął się do tyłu i opadł w cień za stalową barierkę, odgradzącą przejście dla pieszych.

Ciężarówka z wolna dojeżdżała do krańca mostu, warkot motoru powoli zanikał. Po francuskiej stronie szlaban pozostał w górze, znak, że tamci strażnicy zostali przekupieni.

Stali zresztą oparci o budkę i spokojnie palili papierosy. Po chwili pojawił się inny odgłos, gdzieś z tyłu, w oddali, na drodze z Monesi. Michael skrył się z powrotem do lasu, chowając za pas ciepłe jeszcze magnum. Przez dużą szybę posterunku widział dwóch żołnierzy kiwających głowami, jakby coś liczyli w dłoniach najwyraźniej liry dotarły do ich rąk.

Mężczyzna o włosach blond stał na zewnątrz, obojętny na transakcję, która odbywała się w środku i wpatrywał się w drogę, mrużąc oczy w słabym świetle lamp. Po czym uniósł rękę do piersi i potrząsnął dwa razy, nadgarstkiem jak ktoś, kto nosił duży ciężar i chciał odzyskać czucie w dłoni. Czyżby dawał znak? W pewnej chwili zabójca sięgnął ręką do pasa i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby domyślić się, iż odbezpiecza broń. Havelock przeczołgał

się szybko przez las, aż dotarł do miejsca, w którym leżał nieprzytomny pirotechnik. Odgłos silnika przybierał na sile, towarzyszył mu teraz warkot drugiego, trochę głębszy i bardziej oddalony, który jednak szybko się przybliżał. Michael rozchylił zwisające gałęzie sosny i spojrzał na lewo. Na drodze w odległości kilkuset jardów, błyszczał metalowy przód dużego samochodu, w którym odbijały się światła z mostu. Pojazd wyjechał zza zakrętu: to lancia.

Jenna! Havelock z trudem opanował umysł i ciało. W ciągu kilku następnych chwil musiał

zastosować wszystkie sztuczki, których się nauczył, a których - jako dziecko w Pradze - nie powinien poznać. Lancia zbliżyła się i Michael, kiedy spojrzał do środka, odczuł w piersiach gwałtowny ból. Jenny nie było! Na przednich siedzeniach siedziało natomiast dwóch mężczyzn: kierowca palił papierosa, pasażer o czymś rozprawiał, żywo gestykulując. Potem kierowca odwrócił się lekko bokiem, kierując uwagę na kogoś siedzącego na tylnym siedzeniu. Lancia zaczęła zwalniać, znajdowała się o jakieś dwieście stóp od przejścia granicznego. Agent o blond włosach odszedł od pomarańczowego szlabanu, szybko znalazł

się pod budką strażniczą i zapukał w okno, wskazując na zbliżający się pojazd i na siebie. Z

zapalem godnym gorliwego rekruta pokazywał swoim doświadczoneym kolegom, że da sobie radę sam z najbliższym zadaniem. Żołnierze podnieśli głowy wyraźnie niezadowoleni, że im ktoś przeszkadza, a może też i w obawie, że intruz widział, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Skinęli więc tylko, dając znak, żeby sobie poszedł. Ale ten nie miał wcale zamiaru odchodzić, lecz, posuwając się niezauważenie w stronę zamkniętych drzwi strażnicy, sięgnął

do kieszeni i wyciągnął z niej jakiś przedmiot. Potem schylił się i mocno, co widać było po napiętych ruchach ramion, wepchnął coś pod okno. Havelock nagle zrozumiał wszystko.

Ricci wcisnął cienką płytkę z zakrzywionymi ząbkami pomiędzy szybę a ramę: rozsuwane drzwi zostały zablokowane. Im bardziej będzie się je szarpać, tym głębiej zaklinują się ząbki, aż do całkowitego ich unieruchomienia. Żołnierze zostali uwięzieni w środku, a jak to na wszystkich przejściach granicznych bywa, budka została zbudowana solidnie, a w oknach wprawiono grube szyby. Wystarczyło jednak zatelefonować do baraków gdzieś po drugiej stronie, by sprowadzić pomoc. Michael przyjrzał się dobrze posterunkowi i stwierdził, że zawczasu pomyślano o wszystkim. Z konaru drzewa zwisał przecięty gruby drut, zabójcy z Rzymu kontrolowali przejście. Blondyn podszedł do tablicy odgradzającej drogę od mostu, przyjął postawę wartowniczą: stopy w lekkim rozkroku, lewa ręka na pasie, prawa w pozycji

„stop”, i gotów był przyjąć nadjeżdżający pojazd. Lancia zatrzymała się. Opuszczono przednie szyby i dwaj siedzący z przodu mężczyźni podali paszporty. Zabójca podszedł do okienka od strony kierowcy i mówił coś przyciszonym głosem, zaglądając do środka na tylne siedzenie. Kierowca tłumaczył coś, zwracając się do współtowarzysza o potwierdzenie swoich słów. Drugi mężczyzna kiwał twierdząco głową, a potem, potrząsnął nią, jakby na znak smutku. Fałszywy strażnik wyprostował się i, wykorzystując autorytet munduru, odezwał się słuźbiście.

- Przykro mi, signore i signora - powiedział po włosku. Dzisiejszej nocy wszyscy pasażerowie muszą opuścić swoje pojazdy podczas kontroli.

- Ale nam obiecywano, że będziemy mogli szybko znaleźć się w Col des Moulinets -

protestował kierowca, podnosząc nieco głos. Szanowna pani pochowała swojego męża nie więcej niż dwie godziny temu. Jest zrozpaczona... Oto jej papiery, jej paszport. A to nasze.

Wszystko jest w porządku, zapewniam. Oczekują nas na mszy o ósmej. Pani pochodzi z bardzo zacnej rodziny, nieszczęsny wypadek zakończył tak tragicznie to francusko-włoskie małżeństwo. Na pogrzebie byli burmistrzowie z Monesi i Moulinets...

- Przykro mi, signore - powtórzył zabójca. - Proszę wysiąść. Za państwem czeka ciężarówka i nieładnie byłoby przedłużać formalności. Havelock odwrócił głowę i spojrzał na grata z mocnym silnikiem. W środku nie było nikogo. Natomiast po dwóch stronach drogi stali, trzymając ręce w kieszeniach, dwaj mężczyźni, ubrani dla niepoznaki po miejscowemu i uważnie przeczesywali wzrokiem okolice. Ubezpieczenie dla ubezpieczenia, wsparcie dla wsparcia. Granica należała do jednostki z Rzymu, przekonanej o tym, że nikt nie może się przedostać, żeby nie być zauważonym. A jeżeli cel zostałby zauważony, to natychmiast będzie zlikwidowany. A jeżeli nie zostanie zauważony? Czy drugi rozkaz będzie wykonany?

Czy drugi cel, przynęta, zostanie wyeliminowana w Col des Moulinets? Michael z bólem musiał przyznać sam przed sobą, że okoliczności były aż nadto oczywiste. Musi zginąć. Jej obecność stanowiła bowiem zagrożenie dla kłamców, którzy wydawali rozkazy strategom i ambasadam. Jednostka wróci do Rzymu bez zlikwidowania głównego celu, a jedynym stratnym będzie agent-obszernik, który nawet nie wiedział o istnieniu drugiego celu, Jenny.

Wysoka, szczupła postać w głębokiej żałobie wysiadła z samochodu. Jej twarz zasłaniał

gęsty, koronkowy czarny welon, opadający z kapelusza o szerokim rondzie. Havelock patrzył, ból w piersiach zaczynał być nie do zniesienia. Stała o jakieś dwadzieścia stóp od niego, lecz przestrzeń wypełniała śmierć. Na nią czekał wkrótce, obojętne czy się pojawi, czy nie.

- Bardzo przepraszam, signora - odezwał się zabójca w mundurze. - Będzie musiała pani zdjąć kapelusz.

- Wielki Boże, dlaczego? - spytała Jenna Karas niskim głosem, który mógł oznaczać zarówno rozpacz, jak i strach.

- Po to, żeby sprawdzić pani twarz ze zdjęciem w paszporcie, signora. Z pewnością orientuje się pani w przepisach. Jenna wolno podniosła welon i zdjęła kapelusz. Skóra, która tak często brązowiła od słońca, wydawała się kredowobiała w przyćmionym, niesamowitym świetle mostu. Delikatne rysy były spięte, a wysokie kości policzkowe przypominały maskę wyrzeźbioną w marmurze, zupełnie jakby jej właścicielka należała do galerii figur z Palatynu.

Długie blond włosy miała spięte do tyłu i zaciśnięte w kok. Michael patrzył, oddychając cicho i powoli, choć chciało mu się krzyczeć, gdy desperacko i głupio wracał do wspomnień...

Kiedy przypominał sobie jak leżą nad rzeką na trawie, jak chodzą po Ringstrasse, trzymając się za ręce jak dzieci. Jak śmieją się z sytuacji, w której dwaj superagenci zachowują się jak zwykli ludzie. Jak tulą się do siebie w łóżku, obiecując sobie, że jakoś wyrwą się z tego nieznośnego więzienia.

- Pani ma ładne włosy, signora - uśmiechnął się blondyn. Moja matka też by je pochwaliła. My również pochodzimy z północy. - Dziękuję. Czy mogę nałożyć już welon, Caporale? Jestem w żałobie.

- Jeszcze jedną chwilę - odparł Ricci, podnosząc do oczu paszport, ale wcale na niego nie patrząc. Za to, bez poruszania głową, rozglądał się na wszystkie strony, z wyraźnie wzbierającą wściekłością. Eskorta Jenny nie ruszała się od samochodu, unikając spojrzeń żołnierza. Za lancia, z obu stron ciężarówki, stali zabójcy i w napięciu wpatrywali się to w pasażerów, to znowu w stronę gospody, a na ich twarzach malowało się wyraźne oczekiwanie. Wyglądało to tak, jakby liczyli, że cel spadnie im z nieba, że pojawi się nagle i spokojnym lub beztróskim krokiem nadejdzie ścieżką od strony gospody, lub wyjdzie zza grubego pnia sosny na skraju drogi i zawoła kobietę przy samochodzie. Jeżeli nie ujawnił się wcześniej, powinien zrobić to teraz. Tak właśnie musiało być z ich punktu widzenia.

Wszystko przecież grało, nigdzie nie zrobili błędu. Przez uprzednie dwadzieścia sześć godzin cel nie

przeszedł przez most, a wcześniejsze przedostanie się na drugą stronę byłoby najczystsza głupota. Havelock w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć jakim samochodem będzie podróżowała Jenna Karas, ani też jaką drogą przejedzie przez Col des Moulinets. Poza tym facet przeznaczony do likwidacji nie wiedział, że na przejściu będzie czekać jednostka specjalna z Rzymu. Jednym słowem wszystko odbędzie się teraz, albo nie odbędzie się w ogóle. Napięcie na granicy wzrastało do niepokojących rozmiarów. Wzmagały je przytłumione grubą szybą krzyki, zamkniętych w budce strażników, próbujących wydostać się na zewnątrz. Jenna Karas i jej płatna eskorta także nie tracili czasu: kierowca przysunął się do drzwi, jego towarzysz na skraj drogi i lasu. Havelock wiedział, że najważniejsze, to wybrać odpowiedni moment, tę chwilę gdy instynkt podpowiada, że to teraz. Nie mógł

odwrócić zagrożenia, ale mógł je zmniejszyć, żeby chronić siebie. I Jennę.

- Finir in niente - odezwał się zabójca w mundurze na tyle głośno, żeby dobrze go było słycać. Podniósł rękę do pasa i potrząsnął nadgarstkiem powtarzając wyraźnie umówiony sygnał. Michael sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę plastiku i moduł, fosforyzujący czytnik wskazywał 0000. Nacisnął delikatnie przycisk czasomierza, aż uzyskał pożądane wartości, potem całość wsadził do samozaciskającej koperty. Dwukrotnie sprawdził swoją pozycję w ciemności. Wszedł w głąb lasu na jakieś osiem stóp, spojrzał jak wyglądają zarysy drzew na tle nocnego nieba i rzucił plastik w powietrze. Z chwilą, gdy pozbył się pakietu, wycofał się do drogi bardziej na lewo, aż znalazł się koło ciężarówki i o jakieś dziesięć stóp od mordercy, ubranego po miejscowemu. W magnum zostały mu dwa naboje. Bardzo możliwe, że obydwa będzie musiał zużyć wcześniej, niżby sobie tego życzył, ale tłumione strzały były lepsze od serii z automatycznej lłamy. Zostały sekundy.

- Jeszcze raz przepraszam za opóźnienie - powiedział blondyn nasłany przez Rzym, odchodząc od lancii w kierunku mechanizmu podnoszącego pomarańczową barierkę. -

Musimy trzymać się poleceń. Możecie państwo wsiadać do samochodu, wszystko jest w porządku strażnik przeszedł pod oknami budki, ignorując gniewne krzyki zamkniętych wewnątrz żołnierzy. Nie mógł tracić czasu na płotki. Plan się nie udał, dogłębnie przemyślana strategia okazała się bezsensownym ćwiczeniem, a wściekłość i rozgoryczenie towarzyszyły jego zawodowym instynktom, które nakazywały mu natychmiastowe wycofanie się z miejsca akcji. Do wykonania zostało jeszcze jedno zadanie, o którym nie wiedział tylko agent obserwator. Pomarańczowa barierka poszła w górę, blondyn natychmiast wyszedł na środek, blokując przejazd. Po czym wyjął z kieszeni notes i ołówek i zaczął spisywać numer rejestracyjny. To także był sygnał. Jenna wraz z eskortą wsiedli do samochodu, twarze dwóch mężczyzn zdradzały zdziwienie i wyraz ostrożnej ulgi. Kiedy już zatrzaskiwali drzwi, z lasu wyszedł korpulentny mężczyzna i podszedł do bagażnika lancii. On również podniósł prawą rękę do pasa i potrząsnął dwa razy nadgarstkiem, zaskoczony brakiem reakcji na umówiony sygnał. Stał tak przez chwilę, a jego twarz wyrażała stan wyraźnego napięcia, ale jeszcze nie panikę. Ludzie z branży dobrze rozumieli kłopoty techniczne z aparaturą: zdarzały się nagle i kończyły zazwyczaj śmiertelnie, i dlatego też zawsze podróżowali parami. Po chwili odwrócił

głowę w kierunku przejścia, blondyn wyrażał zniecierpliwienie. Mężczyzna klęknął na szosie, wziął przedmiot z lewej ręki i prawą sięgnął pod samochód, dokładnie w okolice zbiornika paliwa. Czas płynął. Cel nie mógł czekać. Havelock namierzył faceta i wypalił. Pirotechnik zawył: kula utkwiała w

kręgosłupie i w potwornym bólu wykręciła całe jego ciało. Paczkę zaś odrzuciła w tył. Choć śmiertelnie ranny, zwrócił się jeszcze w kierunku strzału, wyciągnął z kieszeni pistolet automatyczny i wycelował w stronę Havelocka. Michael w popłochu rzucił

się w krzaki, oddając stamtąd ostatni strzał. Potem usłyszał już tylko głośne jęknięcie człowieka, leżącego bez ruchu przy ciężarówce.

- Dov'? Dov'? - krzyczał blondyn na przejściu granicznym, okrążając lancie. Powietrze wypełniła eksplozja, oślepiający blask wybuchającego plastiku skąpał ciemność lasu i zatętnił

echem po górach. Zabójca rzucił się na ziemię i zaczął strzelać bez celu. Rozległ się warkot silnika, koła nabrały obrotów i samochód wjechał na most. Jenna była wolna. Zostało jeszcze kilka sekund. Musiał to zrobić. Michael stanął na równe nogi i wybiegł z lasu, trzymając za pasem puste magnum, a w ręce lłamę. Zabójca dostrzegł go na tle trawiących drzewa płomieni i unosząc się na klęczkach gwałtownie wystrzelił w kierunku Havelocka kilka razy.

Kule odbiły się rykoszetem i śmignęły nad głową Michaela, próbującego ukryć się za ciężarówką. Ale marna to była kryjówka, zaraz usłyszał szurnięcie, potem kroki za sobą i zobaczył jak kierowca ciężarówki zbliżał się do niego skulony, niczym wytrawny myśliwy osaczający zwierzynę. Podniósł broń i wypalił. Havelock rzucił się natychmiast na ziemię i oddał dwa strzały. Ramię przeszywał mu przeraźliwy ból. Wiedział już, że dostał, ale jeszcze nie wiedział, czy poważnie. Kierowca w konwulsjach potoczył się na skraj drogi: jeżeli nie zmarł natychmiast, to wkrótce skona. Nagle ziemia eksplodowała przed Michaelem, blondyn podjął strzelaninę po śmierci swojego współnika. Havelock dał nurka w prawo, wszedł pod ciężarówkę i przeczołgał się w panice na drugą stronę. Sekundy. Zostało niewiele sekund.

Stanął na nogi i skoczył ku drzwiom. Tłum przerażonych ludzi rozbiegał się z krzykiem we wszystkich kierunkach. Zostało niewiele czasu! Żołnierze zaraz wybiegną z baraków, może nawet już biegną. Szarpnął za klamkę - co za ulga - nie zawiódł się! Kluczyki tkwiły w stacyjce, dokładnie tak, jak przypuszczał. Jednostka z Rzymu kontrolowała sytuację, a kontrola oznaczała możliwość wycofania się z miejsca egzekucji natychmiast. Wskoczył ze skuloną głową na siedzenie i zaczął gwałtownie manipulować palcami. Przekręcił kluczyk, mocny silnik zapalił od razu. W tym samym momencie padła seria z automatu lecz kule zatopiły się w metalu. Potem chwila ciszy, Michael zrozumiał: morderca ładował broń. Te sekundy znaczyły wszystko. Zapalił reflektory, podobnie jak motor, bardzo silne, nawet oślepiające. Tam w przodzie, gdzieś z boku drogi kucał blondyn i ładował automat. Havelock wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg i dał gaz do dechy. Solidną ciężarówką aż szarpnęło, opony zapiszczały na kamieniach i po ziemi. Michael skrzył gwałtownie w prawo. Silnik wyjął nabierał szybkości. Nagle przednia szyba pokryła się siateczką otworów, a wewnątrz świsnęły kule. Havelock podniósł głowę na tyle, żeby zobaczyć to, co musiał widzieć - zabójca znajdował się dokładnie pośrodku linii światła reflektorów. Michael trzymał kurs, aż poczuł i usłyszał mocne uderzenie, któremu towarzyszył wściekły, ucięty gwałtownie krzyk, gdyż morderca próbował odskoczyć w bok. Za późno! Ciężkie opony ciężarówki zmiążdżyły mu nogi. Havelock skrzył kierownicą w lewo i ruszył właściwą drogą. Minął dwie budki strażnicze i znalazł się na moście, a kiedy przejeżdżał obok nich, zauważył, że dwaj strażnicy leżeli plackiem na podłodze. Po francuskiej

stronie panował chaos, ale żadna barierka nie przegradzała drogi. Żołnierze biegali do przejścia, tam i z powrotem, wykrzykując rozkazy do wszystkich naraz i do nikogo. W środku oświetlonej budki stała czwórka stłoczonych obok siebie strażników, a jeden wrzeszczał coś do telefonu. Droga do Col des Moulinets skręcała za mostem w lewo, potem w prawo i prosto, w stronę mozaiki cieniów, jaką tworzyły małe drewniane domy, postawione ciasno jeden obok drugiego. Domy z opadającymi dachami, tak typowymi dla wszystkich wiosek w tym rejonie Alp. Michael wjechał na wąską, wybrukowaną ulicę. Kilku przechodniów uskoczyło na mały chodnik, przerażonych nie tyle dźwiękiem, ile raczej widokiem potężnej, włoskiej ciężarówki. Nagle zobaczył przed sobą czerwone światła, szerokie tylne światła lancii. Była daleko w przodzie i skręciła w jakąś ulicę, Bóg jeden raczy wiedzieć, w którą, tak ich było wiele. Col des Moulinets to jedna z tych wiosek, w której wszystkie dawne ścieżki i przejścia koło pastwisk zostały wybrukowane. Niektóre potem zamieniono w ulice, inne służyły jako boczne alejki - tędy przecisnąć mógł się tylko wóz z produktami. Ale on będzie wiedział, jak dojechać do tego miejsca. Musi wiedzieć! Przeznice stały się szersze, domy i sklepy bardziej cofnięte od ulicy, a koło oświetlonych sklepów pojawiło się więcej ludzi. Lancia zniknęła bez śladu!

- Pardon! O est l'a roport? - wrzasnął przez okno do starszej pary, która właśnie zamierzała przejść przez ulicę.

- Lotnisko? - powtórzył staruszek po francusku, wymawiając to słowo z silnym włoskim akcentem. - W Col des Moulinets nie ma lotniska, monsieur. Radzę panu pojechać na południe do Cap Martin.

- Koło tej wioski jest lotnisko, jestem pewien - krzyczał Havelock, z trudem panując nad strachem. - Przyjaciel, mój bardzo dobry przyjaciel zawiadomił mnie, że tu przylatuje.

Mam go odebrać, już jestem spóźniony.

- Pana przyjaciel myślał o Cap Martin, monsieur.

- Może jednak nie - odezwał się młodszy mężczyzna, opierający się o drzwi sklepu zamkniętego już na noc. - Nie ma tu prawdziwego lotniska, ale jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów na północ, przy drodze na Tende jest lądowisko. Korzystają z niego zamożni ludzie, którzy mają posiadłości w Roquebilli re i Breil.

- O to mi chodzi! Jak się tam dostać?

- Niech pan teraz skręci w prawo, potem znowu w prawo aż do rue Maritimes. Potem skręci pan w lewo i wyjedzie na górską szosę, jakieś piętnaście do dwudziestu kilometrów na północ.

- Dziękuję. Czas uciekał, jak zmieniające się w kalejdoskopie szybki. Raz były to cienie, raz światła, przepełnione ludźmi ulice, uskakujące postacie, nieduże samochody na drodze, oślepiające reflektory, a potem coraz mniej budynków, mniej ludzi, mniej lamp ulicznych. Koniec, wyjechał z wioski! Jeżeli spanikowani strażnicy zawiadomili policję, to ich wykiwał, bo działał w pojedynkę na dużym terenie. Kilka minut później, ile - tego już się nigdy nie dowie - gnał przez ciemny alpejski

krajobraz. Szczyty wokół drogi stanowiły jedynie przygrzywkę do prawdziwych gór, które będzie musiał pokonać, wykorzystując całą moc silnej ciężarówki. Kiedy tak zgrzytał biegami, a opony z piskiem pokonywały drogę, zobaczył obracające się wolno, w pełnym majestacie swojego wiecznego ruchu, cienie młyńskich kół. I domy, spokojnie stojące nad potokami i rzeczulkami. Był to jeszcze jeden dowód na to, że czas i natura są niezmiennie i nieważne, czy zwracamy na to uwagę, czy nie.

Michael potrzebował podobnego potwierdzenia tej starej prawdy. Czuł, że jeszcze chwila, a zwariuje. Na szosie nie było żadnych świateł, żadnych czerwonych punkcików w ciemności.

Lancia zniknęła. Nawet nie wiedział, czy jedzie w dobrym kierunku. Może niepokój pomieszał mu zmysły? Tak blisko, a jakże daleko, ledwie jedna przepaść pokonana, a już jest następna. Pokonać? Przejść? W Pradze mieliśmy na to lepsze powiedzenie. Prejezd. Miluji v s, m dr ha. Wiemy, co znaczą te słowa, Jenno. Nie potrzebujemy języka kłamców. Nigdy nie powinniśmy się go byli nauczyć. Nie słuchaj kłamców! Oni nas zniewolili, a teraz chcą nas zabić. Muszą, bo wiedzą, że o nich wiem. Ja wiem, a i ty będziesz wiedziała. Reflektor! Jego snop przeczesywał nocne niebo. Tuż po przekątnej na lewo, za najbliższymi szczytami. Teraz droga skręci, już za kilka minut będzie lotnisko, i samolot, i Jenna. Drugie wzgórze było jeszcze bardziej strome, a zajazd pełen zakrętów. Havelock, wchodząc w każdy zakręt, trzymał kierownicę oburącz z całych sił. Światła. Szerokie białe reflektory z przodu, dwa czerwone punkciki z tyłu. To lancia! O jakąś milę, dwie w dole - trudno dokładnie ocenić ile -

było lotnisko. Równoległe linie żółtego naziemnego światła przecinały się ze sobą pod kątem czterdziestu stopni. Wiatry sprzyjały nabieraniu prędkości. Lądowisko znajdowało się w dolinie, wystarczająco szerokiej i długiej, jak na małe odrzutowce i samoloty z turbinami, którymi przylatywali bogacze z posiadłości w Roquebilli re i Breil. Havelock przyciskał gaz do dechy, a tylko lewą nogą od czasu do czasu dotykał hamulca, gdy widział, że może stracić równowagę. Droga biegła teraz wzdłuż ogrodzenia lotniska. Wewnątrz olbrzymiego kompleksu błyskały lśniące skrzydła i kadłuby samolotów; może z tuzin maszyn stało w różnych pozycjach, tuż obok pasów startowych. Wczorajsze jachty zastąpiono srebrnymi kadłubami, żeglującymi po niebiosach. Wysokie na dziesięć stóp ogrodzenie ograniczało od góry drut kolczasty, który miał dodatkowe, zakrzywione do środka i szerokie na cztery stopy zabezpieczenie. Finansowa elita z Roquebilli re troszczyła się o swoje podniebne dobra. Takie ogrodzenie, długie na dwie mile, musiało kosztować dobre kilkanaście tysięcy dolarów.

Ciekawe, czy znajdują się tu pilniejsi strażnicy niż ci, na odległym przejściu granicznym między Francją i Włochami? A jakże! Z piskiem znalazł się na drodze wjazdowej. Ciężka, wysoka na dziesięć stóp brama, zamykała się trzysta stóp przed nim. A w środku lancia gnała przez pole. Nagle jej światła zgasły, widocznie gdzieś na poprzecinanym asfalcem lądowisku, kierowca dostrzegł samolot i nie chciał, by go zlokalizowano. Zostały już tylko sekundy, ułamki sekund, każde najmniejsze posunięcie wskazówki zegarka, zmniejszało lub powiększało przepaść. Chwycił oburącz kierownicę i z całych sił naciskał dłońmi klakson, dając jedyny znak, jaki mu przyszedł do głowy. SOS, SOS, SOS! Trąbił bez przerwy, pędząc jak szalony w kierunku zamykającej się bramy. Dwóch umundurowanych strażników znajdowało się po drugiej stronie ogrodzenia, jeden pchał grubą metalową sztabę, a drugi stał

przy objęciu i czekał aż sztaba zaskoczy, żeby móc ją zaklinować. W chwili, gdy brama zamknęła się już do jakichś trzech czwartych, obydwaj strażnicy zaalarmowani upiornymi dźwiękami, zaczęli przypatrywać się potężnej ciężarówce, która pędziła prosto na nich. Ich przerażone twarze nie zdradzały zamiaru pozostania na drodze szalonego pojazdu w charakterze żywej przeszkody. Jeden strażnik błyskawicznie puścił sztabę i uskoczył w lewo.

Mężczyzna z drugiej strony dał nura w trawę, szukając osłony pod ogrodzeniem. Nastąpiło uderzenie, ciężarówka wyrwała bramę, podniosła ją z zawiasów i pchnęła na budkę, miażdżąc szyby i przecinając kabel elektryczny, który zatrzeszczał i posypał iskrami. Michael wpadł na lądowisko, ostrymi zakrętami ledwo wymijając stojące w cieniu szerokiego hangaru dwa samoloty. Po czym skręcił gwałtownie w lewo, ścigając lanię, która wykonała ten sam manewr minutę temu. Nic! Zupełnie nic! Gdzie ona może być? Gdzie zniknęła? Błysk światła. Jakiś ruch na dalekim końcu pola, za liniami żółtych punktów północnego pasa startowego, za najdalszym rzędem samolotów. To kabina samolotu otworzyła się i na moment zrobiło się jasno. Havelock wykręcił kierownicę w prawo i pognął na przełaj po olbrzymim terenie. Solidne, odporne na kaprysy klimatu żarówki, strzelały pod oponami jak purchawki, kiedy pędził w stronę ciemnej przestrzeni, gdzie kilka sekund wcześniej dostrzegł jaśniejsze punkty. Ma go! To nie odrzutowiec, a dwusilnikowy jednopłat. Właśnie włączył silniki i buchnął płomieniami z rur. Samolot nie stał na pasie startowym, znajdował się jeszcze poza żółtymi liniami światła: pilot właśnie zamierzał kołować na pas. Ale nie ruszał, najwyraźniej na coś czekał! Lancia. Stała z tyłu, trochę po prawej stronie samolotu. I znowu światło! Tym razem nie z samolotu, a z lancii. Drzwi się otwierają, wypadają jakieś postacie i pędzą do jednopłatawca! Michael zastanawiał się, czy nie wpakować się w kadłub, albo w najbliższe skrzydło, ale dla wszystkich mogłoby się to skończyć fatalnie. Jeśli trafiłby w zbiornik paliwa, to samolot wyleciałby natychmiast w powietrze. Zakręcił więc ciężarówką w prawo, potem w lewo i zatrzymał się z piskiem o kilka jardów przed maszyną. Jenna! Jenna!

Posłuch m j ! Stuj! Posłuchaj mnie! Kobieta wchodziła na pokład, prowadzona przez kierowcę lancii, który zniknął za nią w kabynie, zamykając drzwi. Havelock biegł niepomyślnie na wszystko, myśląc tylko o niej. Musiał ją zatrzymać! Samolot obrócił się w miejscu, jak dziwaczny czarny kormoran. Lancia odjechała! Strzał padł z ciemności, przytłumiony i jednocześnie dziwacznie wzmocniony gwałtownym wiatrem, wydobywającym się ze śmigieł.

Nogi się pod nim ugięły, głowę odrzuciło mu w tył, a nad prawą skronią we włosach pojawiła się krew. Michael upadł na kolana, podparł się rękami i patrzył na samolot. W okno kołującego samolotu, i nie mógł się ruszyć! Kabina była przez chwilę oświetlona i przez kilka sekund widział jej twarz w szybie, jej oczy spoglądające na niego. Ten widok zapamięta do końca życia... jeżeli przeżyje. Drugie uderzenie tęym narzędziem dostał w kark. Nie mógł

już myśleć o tym strasznym widoku, o niej! Słyszał syreny wyjące na polu, widział reflektory przeczesujące pas startowy, przechwytyjące błyszczący metal samolotu, pędzącego między żółtymi światłami. Człowiek, który trafił go dwa razy biegł do lancii. Musi coś zrobić! Teraz, bo inaczej nie będzie żył i nie zobaczy jej więcej. Z wysiłkiem dźwignął się na nogi i wyciągnął spod kurtki automatyczną lłamę. Wypalił dwa razy ponad dachem samochodu; mężczyzna wskakujący do lancii o mało go przed chwilą nie zabił, a teraz on go nie może trafić. Ręce mu drżały, przy tych migoczących światłach mógłby człowieka jedynie ranić. Ale musi mieć ten samochód. Znowu wypalił, kula odbiła

się rykoszeterem od metalu.

- Wyłaź, bo jak nie, to cię rozpruję - krzyczał łapiąc za klamkę. - Słyszysz, co mówię?

Wyłaź! - Havelock szarpnął mężczyznę za kołnierz płaszcza i wyciągnął go na trawę. Nie miał czasu na tysiące pytań, które chciał mu zadać. Musiał uciekać! Wsunął się za kierownicę i zatrzasnął drzwiczki. Silnik pracował. Przez następne czterdzieści pięć sekund z olbrzymią prędkością kluczył po lotnisku, wymykając się policyjnym reflektorom penetrującym teren.

Tuzin razy, o włos tylko rozmijał się z stojącymi w ciemności samolotami, zanim dojechał do rozbitej bramy. Minął ją pędem, nie widząc dobrze drogi. Nie potrafił wymazać z pamięci okropnego widoku twarzy Jenny w oknie startującego jednopłatowca. W Rzymie jej twarz wyrażała zwykły strach i niepewność. Przed chwilą widział w niej jeszcze coś: zimną, wyrachowaną nienawiść. I to coś czaiło się w jej oczach.

Jechał na południowy zachód, do Prowansji, by potem skręcić na południe, do miasteczka Cagnes-sur-Mer na Riwierze. Przez długie lata działał w północnym basenie Morza Śródziemnego i między Cagnes i Antibes znał lekarza. Potrzebował pomocy. Zdarł

rękaw koszuli i przewiązał ranę na ramieniu, ale nie udało mu się zatamować upływu krwi.

Przesiąknięte ubranie lepiło się do ciała i czuł znany mu nazbyt dobrze słodkawocierpki zapach. Na szyi miał tylko zadrapania, ale rana na głowie wymagała szwów. Potrzebował też innej pomocy i liczył, że dr Henri Salanne na pewno mu jej udzieli. Musiał pilnie skontaktować się z Matthiasem, dalsza zwłoka była czystym szaleństwem. Dokładne personalia udało mu się ustalić na podstawie rozkazów i kryptonimu Dylemat, więcej danych nie potrzebował. Niezbitym dowodem szeroko zakrojonego spisku było choćby to, że Jenna Karas przeżyła Costa Brava, gdy oficjalnie potwierdzono jej śmierć oraz wydanie nań wyroku likwidacji. Co do pierwszego, Matthias zaufa pratele, a drugi znajdzie w obramowanych na czarno instrukcjach w aktach Operacji Konsularnych. Wprawdzie Havelock nie pojmował

motywów spisku, ale znał fakty i Matthias mógł działać na ich podstawie. A gdy już sekretarz stanu weźmie sprawę w swoje ręce, Michael musi jechać jak najprędzej do Paryża. Nie będzie to łatwe, każde lotnisko, główna droga, dworzec kolejowy w Prowansji i Kraju Nadmorskim będzie pod obserwacją, a na to Matthias nic nie poradzi. Czas i komunikacja pracowały dla kłamców. O niebo łatwiej wydać tajny rozkaz, niż go odwołać: rozchodził się na wszystkie strony, jak ciemny atrament na bibule. Posłuszni odbiorcy zacierali za sobą ślady i każdy chciał przypisać sobie udział w zabójstwie. W ciągu najbliższej godziny, jeśli nie już, Rzym będzie poinformowany o wydarzeniach w Col des Moulinets. Przez telefon i na mało używanych częstotliwościach radiowych popłynie wiadomość: „Cel jest na wolności, grożą nam ogromne straty w czasie i w ludziach. Cały personel postawić w stan pogotowia, wykorzystać każde źródło, każdą broń. Punkt zero: Col des Moulinets. Promień: maksimum dwie godziny jazdy. Cel ranny. Ostatnio widziane środki lokomocji: furgonetka rolnicza nieznanej marki i lancia limuzyna. Znaleźć go i zabić.” Ani chybi, kłamcy znad Potomaku zdążyli już skontaktować się z Salannem, ale dla doktora liczyły się też osobiste zaszłości.

Sprawki z dawnych czasów, o których ci, którzy pieczętowali listę płac w Waszyngtonie, Rzymie czy Paryżu, nie mieli zielonego pojęcia. Tylko ludzie z terenu, znali takich jeleni jak dr Henri Salanne i notowali w pamięci ich nazwiska na czarną godzinę. W tym procederze można było nawet doszukać się swoistej moralności, bo jakże często obciążająca informacja albo samo wydarzenie, wynikały z chwilowego załamania lub słabości i wcale nie wymagały, żeby delikwenta od razu zniszczyć... a tym bardziej zlikwidować. W przypadku Salanne'a, Havelock był na miejscu we właściwym czasie, a dokładniej, jednaście godzin po zdarzeniu.

Wystarczająco szybko, aby zapobiec przykrym następstwom. Pan doktor, kiedyś sprzedał był

amerykańskiego agenta w Cannes, który kierował małą flotą dalekomorską statków wycieczkowych, by tym sposobem kontrolować pozycje sowieckich okrętów na Morzu Śródziemnym. Salanne wydał go informatorowi z KGB za pieniądze, czego Michael nie mógł

absolutnie zrozumieć. Ale wystarczyła jedna prosta konfrontacja, by poznać prawdę, a była to prawda, czy raczej splot prawd, tak stara, jak groteskowy świat, w którym przyszło wszystkim żyć. Otóż pocziwy, jeśli nawet nieco cyniczny, lekarz miał słabość do hazardu i z tego właśnie powodu przed laty młody, zdolny chirurg z L'H pital de Paris, postarał się o praktykę w trójkącie Monte Carlo. Praca szła mu nawet nieźle, gorzej natomiast wiodło mu się w kasynie. I oto na horyzoncie pojawia się Amerykanin z legendą bywałego w świecie właściciela jachtów, który ostrożnie, acz bez skrupułów trwoni pieniądze podatników w przybytkach hazardu. Jego nikczemność nie kończyła się jednak na chemin de fer; był

kobieciarzem, ze szczególnym upodobaniem do młodych dziewcząt. Reputacja taka, jak sądził, wcale nie kłóciła się z jego konspiracyjną legendą. Jedną z dziewcząt, które przewinięły się przez jego ciepłe łóżko była córka Salanne'a, Claudie, wrażliwa dziewczynka, która wpadła w ciężką depresję, dowiedziawszy się, że łajdak nie żywi wobec niej poważniejszych zamiarów. Rosjanie byli w pobliżu, doktor mógł za jednym zamachem podreperować kasę i pozbyć się obmierzłego coureur. Pourquoi pas? No i stało się... Ale oto wchodzi Havelock, który wywęszył zdradę, wyciągnął z opresji Amerykanina, zanim zidentyfikowano jego trefne jednostki, i podszedł Salanne'a. Oczywiście nie powiadomił

centrali o niczym, bo i po co? Doktor zrozumiał warunki „ułaskawienia”, zapewnił, że już nigdy więcej... i dług wdzięczności pozostał. Michael znalazł budkę telefoniczną na pustym rogu w centrum Cagnessur-Mer. Zaciśnął z bólu zęby i z trudem wyszedł z samochodu, opatulając się szczelnie marynarką: krwawił i miał dreszcze. W cabine wyjął lłamę z futerału, rozbił świecą lampę i w ciemności wykręcił numer. Po trwającej całą wieczność chwili informacja w Antibes podała mu numer Salanne'a.

- Votre fille Claudie, comment va-t-elle? - spytał szeptem.

- Zastanawiałem się, czy da pan znać. Jeśli to z panem rozmawiam, mówią, że może pan być ranny - odezwał się doktor łamaną angielszczyzną.

- Jestem ranny.

- Bardzo poważnie?

- Trzeba wyczyścić rany i założyć szwy. To chyba wszystko.

- Żadnych wewnętrznych obrażeń?

- Raczej nie.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. Hospitalizacja nie będzie teraz chyba w dobrym tonie. Wszystkie pogotowia i ostre dyżury w szpitalach są, jak mniemam, pod obserwacją.

- A pan? - Michaela ogarnęło przerażenie.

- Nie narzekają na nadmiar personelu. Nie będą marnować czasu i ludzi na kogoś, kto w ich mniemaniu woli wykończyć dziesięciu pacjentów na stole operacyjnym, niż wycofać się z sownie opłacanej współpracy.

- I mają rację?

- Pół na pół - odrzekł Salanne z rozbawieniem. - Mimo moich licznych słabości, sumienie nie pozwoliłoby mi na więcej, niż pięciu. - Doktor przerwał, ale nie dał

Havelockowi się wtrącić. Mogą być jednak kłopoty. Mają wiadomość, że jedzie pan ciężarówką.

- Już nie.

- ... albo ciemnoszarą lanią - dokończył Salanne.

- Tak, to prawda.

- Niech pan zmieni auto, albo trzyma się od niego z daleka. Michael spojrział na swój pojazd przed budką. Silnik się przegrzał, z chłodnicy buchały kłęby pary i rozwiewały się w świetle ulicznej latarni, przez co samochód zwracał na siebie uwagę.

- Nie wiem, jak daleko jestem w stanie iść pieszo powiedział doktorowi.

- Upływ krwi?

- Tyle, że już czuję skutki.

- Merde! Gdzie pan jest?

- Już kiedyś tu byłem, ale niewiele pamiętam.

- Osłabienie orientacji czy percepcji?

- Co za różnica?

- Krew.

- Kręci mi się w głowie, jeśli o to chodzi.

- Właśnie. Chyba wiem, które to skrzyżowanie. Czy naprzeciwko jest bijouterie? Pod szyldem „ktoś tam-i-syn?”

- „Ariale et Fils”? - spytał Michael, z trudem odczytując wypukłe litery szyldu nad ciemną witryną po drugiej stronie ulicy. - „Wytworna biżuteria, zegarki, diamenty”.

- Ariale, jasne. W końcu nie zawsze przegrywam. Oni nie zdzierają tak skóry, jak złodzieje u Sp lugues. Ale do rzeczy: kilka sklepów na północ od tego jubilera, jest zjazd do małego parkingu.

Ruszam tam natychmiast i będę na miejscu najdalej za dwadzieścia minut.

Nie chcę jechać za szybko w tych okolicznościach.

- Słusznie.

- Panu też nie radzę się spieszyć. Proszę iść wolno i jeżeli na parkingu będą jakieś auta, niech pan wejdzie pod jedno z nich i położy się na plecach. Jak tylko mnie pan zobaczy, proszę zapalić zapałkę. Jak najmniej ruchu, jasne?

- Jasne. Havelock wyszedł z budki, ale zanim przeszedł przez ulicę, rozpiął

marynarkę, wyciągnął ze spodni zakrwawioną koszulę i wykręcił ją, aż na chodnik skapały ciemnoczerwone krople. Pochylony przeszedł kilkanaście szybkich kroków prosto przed siebie, obok narożnego domu w ciemności, rozcierając krew podeszwami butów i pozostawiając rozmazane ślady. Każdy, kto zauważył lancję i rozejrzył się po okolicy, będzie przekonany, że pobiegł ulicą za rogiem. Po chwili zatrzymał się, niezdarnie zdjął buty, ostrożnie wszedł na chodnik i mocno zacisnąwszy w pasie marynarkę pokuśtykał w odwrotnym kierunku, przez skrzyżowanie na tę stronę ulicy, gdzie mieścił się sklep jubilera

„Ariale et Fils”.

Leżał z zapałkami w ręku i wzrokiem utkwionym w czarne, oblepione smarem podwozie peugeota, zaparkowanego przodem do ogrodzenia parkingu. Zachowywał czujność, rozwiązując karkołomne ćwiczenie. Założenie: właściciel wraca z pasażerem i obaj wsiadają do auta. Co Michael powinien zrobić, i jak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi? Odpowiedź na pytanie pierwsze: rzecz jasna, wygramolić się spod samochodu, ale na którą stronę? Dwa strumienie reflektorów oświetliły wjazd na parking, nie pozwalając mu odpowiedzieć na pytanie drugie. Światła zgasły dziesięć stóp za nie pilnowaną bramą, samochód zatrzymał się, ale silnik nadal pracował. To Salanne oznajmił swoje przybycie. Havelock podczołgał się do skraju podwozia i zapalił zapałkę. Doktor w mgnieniu oka był przy nim, i po kilku minutach jechali już razem na południe, szosą na Antibes. Michael siedział skulony w rogu na tylnym siedzeniu, prawie niewidoczny.

- Jeśli pan pamięta - powiedział Salanne - do mojego domu jest boczne wejście z podjazdu. Wchodzi się nim prosto do gabinetu.

- Pamiętam. Kiedyś już z niego korzystałem.

- Ja wejdę pierwszy, na wszelki wypadek.

- Co pan robi, jeżeli przed domem będą samochody?

- Wolę o tym nawet nie myśleć.

- Może jednak trzeba.

- Już wiem. W Villefranche mam kolegę, poczciwego staruszka, który jest poza wszelkim podejrzeniem. Wolałbym oczywiście go w to nie mieszać.
- Doceniam pańskie poświęcenie - powiedział Havelock, patrząc na tył głowy doktora w bladym świetle. Włosy sprószone siwizną ledwie rok temu, teraz były całkiem białe.
- To ja doceniam, co pan dla mnie zrobił - odparł cicho Salanne. - Zaciągnąłem dług i wywiązuję się z naszej niepisanej umowy.
- Wiem wszystko robimy z wyrachowaniem.
- Niezupełnie. Spytał się pan o Claudię, więc panu odpowiem. Jest szczęśliwą matką, żoną młodego lekarza z Nicei. A ledwie dwa lata temu chciała odebrać sobie życie. Niech pan sam oceni, jaką to ma dla mnie wartość, przyjacielu.
- Bardzo się cieszę.
- Poza tym, to, co o panu wygadują, to stek bzdur.
- A co wygadują?
- Że jest pan wariatem, niebezpiecznym psychopata, który, jeśli zostawi się pana przy życiu, grozi nam wszystkim denuncjacją i wyda nas na pewną śmierć z rąk przyczajonych szakali z KGB.
- I to są dla pana bzdury?
- Od godziny, mon ami m chant. Pamięta pan tego gościa, przez którego popełniłem ongiś niedyskrecję?
- Konfidenta z KGB?
- Tak. Czy sądzi pan, że jest dobrze poinformowany?
- Nie gorzej, niż inni w tym sektorze - odparł Havelock.
- Przynajmniej do czasu, kiedy zostawiliśmy go w spokoju i próbowaliśmy karmić go fałszywymi informacjami. A dlaczego pan pyta?
- Kiedy rozeszła się wiadomość o panu, zadzwoniłem do niego, z budki telefonicznej, rzecz jasna. Chciałem potwierdzić tę niewiarygodną wręcz informację, więc spytałem się go o zapotrzebowanie i cenę za wydanie amerykańskiego attach rodem z Pragi. Jego odpowiedź była tyleż zdumiewająca, co dokładna.
- Jaka mianowicie? - spytał Michael, pochylając się do przodu w boleściach.
- Nie ma na pana żadnego zapotrzebowania, żadnej ceny wysokiej, niskiej, ani centa.

Jest pan trędowaty i Moskwa nie ma ochoty się zarażać. Nie wolno pana dotykać, ba!

przyznawać się nawet do pańskiej osoby. Komuż więc może pan zagrażać? Doktor pokręcił głową.

- Rzym skłamał, co oznacza, że ktoś z Waszyngtonu okłamał Rzym. Havelock na straty? Raczej trzeba to pomiędzy bajki włożyć.

- Czy powtórzyłby pan komuś te słowa?

- I tym samym poprosił o swoją własną egzekucję? Wybacz pan, ale moja wdzięczność też ma granice.

- Zapewniam całkowitą dyskrecję, z ręką na sercu.

- Kto panu uwierzy bez podania źródła do sprawdzenia?

- Anthon Matthias.

- Matthias? Salanne aż podskoczył z wrażenia i w ostatniej chwili, omal nie zjechał z drogi, chwycił kierownicę. - Dlaczegoż by on...?

- Bo pan jest ze mną. Moje słowo.

- Matthias jest za mądry, by zadowolić się słowem honoru, przyjacielu. Jeśli się zapyta, trzeba mu odpowiedzieć.

- Tylko w kontaktach służbowych.

- Dlaczego niby miałby uwierzyć panu? Albo mnie?

- Sam pan powiedział przed chwilą. Attach rodem z Pragi. Tak jak i on.

- Rozumiem - rzekł doktor z namysłem, obróciwszy głowę z powrotem w kierunku jazdy. - Nie wpadło mi to na myśl, nie kojarzyłem was dotychczas od tej strony.

- To skomplikowana historia i nie opowiadam jej nikomu. Znamy się od bardzo dawna. Nasze rodziny były zaprzyjaźnione.

- Muszę się zastanowić. Rozmowa z takim człowiekiem stawia wszystko w innym świetle. My jesteśmy szaraczkami, krzątającymi się wokół naszych błahych spraw. Co innego on. On żyje na innej płaszczyźnie. Amerykanie mają na to specjalne określenie.

- Inna gra?

- O, właśnie.

- Nie bardzo. Gra jest dokładnie ta sama i toczy się również przeciwko niemu.

Przeciwko nam wszystkim. W bezpiecznym promieniu od domu Salanne'a nie było obcych samochodów, odpadała więc jazda do Villefranche i starego lekarza „poza wszelkim podejrzeniem”. W gabinecie zabiegowym Havelocka rozebrano, umyto rany i założono szwy.

Doktorowi asystowała jego filigranowa, niezbyt rozmowna żona.

- Powinien pan odpocząć kilka dni - powiedział Francuz, gdy kobieta wyszła z rzeczami Havelocka, by część z nich wyprać, a pozostałą część spalić. - Jeżeli rany się nie otworzą, opatrunki starczą na pięć, może sześć dni, potem trzeba je zmienić. Ale musi pan odpocząć.

- Nie mogę - odrzekł Havelock, krzywiąc się z bólu i podnosząc do pozycji siedzącej, z nogami zwisającymi ze stołu.

- Boli nawet przy najmniejszym ruchu, prawda?

- Tylko ramię, jakoś wytrzymam.

- Stracił pan dużo krwi, wie pan o tym.

- Straciłem dużo więcej, o tym też wiem.

- Czy ma pan w domu dyktafon? - Michael w milczeniu spojrzał na doktora.

- Oczywiście. Z listami i sprawozdaniami: lekarskimi, rzecz jasna, muszę uporać się po godzinach pracy pielęgniarek i sekretarek.

- Chciałbym, żeby mi pan pokazał, jak się nim posługiwać i wysłuchał nagrania. To nie potrwa długo, na taśmie nie będzie pańskich danych. Potem chciałbym zamówić rozmowę do Stanów.

- Do Matthiasa?

- Tak. Ale powiem mu tyle, na ile pozwolą okoliczności. Nie wiem, czy jest sam, czy linia jest sterylna. On już zresztą będzie najlepiej wiedział, co robić. Chodzi tylko o to, że jak już pan usłyszy, co mam do powiedzenia i co jest na taśmie, może pan sam zdecydować, czy rozmawiać z nim, czy nie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas.

- Wystawia mnie pan na ciężką próbę.

- Przykro mi, nie będę żądał dużo więcej. Rano potrzebuję ubrania. Wszystkie moje rzeczy zostawiłem w Monesi.

- W moje rzeczy pan nie wejdzie, ale żona jutro zrobi zakupy dla pana.

- Jeśli już mówimy o kupowaniu, mam dosyć dużo forsy, ale potrzebuję jeszcze więcej. Mam konta w Paryżu. Zwrócę dług do grosza.

- Zawstydzają mnie pan, doprawdy.

- Nie chciałem pana urazić, ale sęk w tym, że abym mógł zwrócić pieniądze, jakoś muszę się dostać do Paryża.

- Z pewnością Matthias załatwi szybki, bezpieczny przerzut.

- Wątpię. Zrozumie pan to po moim nagraniu. Ci, którzy okłamali Rzym, siedzą bardzo wysoko w Waszyngtonie. Nie wiem, co to za ludzie, ani gdzie dokładnie są. Ale wiem, że przekażą tylko to, co uznają za stosowne. Jego polecenia trafią więc w próżnię, bo ich rozkazy już poszły w świat, a oni za nic nie pozwolą ich odwołać. A jeżeli tylko wspomnę, gdzie jestem, lub jak się można ze mną skontaktować, natychmiast naślą na mnie swoich ludzi. Tak czy inaczej, może im się to udać i dlatego właśnie chcę zostawić taśmę.

Czy możemy zabrać się do roboty? Trzydzieści cztery minuty później Havelock wyłączył

mikrofon i położył dyktafon na biurku doktora. Opowiedział wszystko od początku, od krzyków na Costa Brava po eksplozję w Col des Moulins. Nie odmówił sobie ostatniego sądu. Cywilizowany świat przeżyje, jeśli skompromitowana zostanie, choćby i cała dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana siatka wywiadowcza, bez względu na rasę, wiarę i narodowość. Ale nie ma szans, jeżeli jedną z ofiar padnie człowiek, któremu ten sam cywilizowany świat tyle zawdzięczał: Anthon Matthias, mąż stanu, którego poważali geopolityczni sojusznicy i przeciwnicy ze wszystkich zakątków globu. Systematycznie okłamywano go w sprawie, której poświęcił tak wiele uwagi. Ile fałszywych informacji jeszcze otrzymał? Salanne siedział nieruchomo w głębokim skórzanym fotelu, po drugiej stronie gabinetu, z napiętą twarzą obserwując Havelocka. Oszołomiony, nie mógł wydobyć z siebie słowa. Po kilku chwilach otrząsnął się i przerwał ciszę.

- Dlaczego? - spytał ledwie słyszalnym głosem. - Przecież to niewiarygodne, tak niewiarygodne, jak to, co wygadują o panu. Dlaczego?

- Wciąż zadaję sobie to samo pytanie i wracam do odpowiedzi, którą dałem Baylorowi w Rzymie. Podejrzewają, że wiem coś, o czym nie powinienem wiedzieć, i co im spędza sen z powiek.

- Czy to prawda?

- Też mnie o to pytał.

- Kto?

- Baylor. Odpowiedziałem mu uczciwie, może nawet zbyt uczciwie, ale po szoku, jaki przeżyłem na

jej widok, nie mogłem normalnie myśleć. Zwłaszcza po rewelacjach Rostowa w Atenach.

- Co mu powiedziałaś?

- Prawdę. Że istotnie coś wiem, ale zapomniałem o tym, albo może nie doceniłem wagi tej informacji.

- To do pana niepodobne. Ma pan opinię chodzącego banku danych, kogoś, kto pamięta nazwisko, twarz, błahe wydarzenie sprzed wielu lat.

- Jak większość podobnych opinii, ta również jest mitem. Przez dobrych parę lat byłem na studiach doktoranckich i wykształciłem w sobie żelazną dyscyplinę umysłową, ale do komputera mi daleko.

- Nie wątpię. Żaden komputer nie zrobiłby tego, co pan dla mnie zrobił. - Salanne umilkł i pochylił się w fotelu. - Czy odtworzył pan w pamięci miesiące poprzedzające Costa Brava?

- Miesiące, tygodnie, każdy dzień, najdrobniejsze szczegóły, każde miejsce naszego...

mojego pobytu. Belgrad, Praga, Kraków, Wiedeń, Waszyngton, Paryż. Nie przypominam sobie nic nadzwyczajnego, ale przecież to względny punkt widzenia. Z wyjątkiem operacji w Pradze, gdzie udało nam się wydostać pewne dokumenty z głównej kwatery tajnej policji, nic szczególnego się nie wydarzyło. Gromadziliśmy informacje, do których dostęp ma pierwszy lepszy turysta, to wszystko.

- Waszyngton?

- Mniej, niż nic. Poleciałem tam na kilka dni, na coroczną ocenę personelu terenowego, co zazwyczaj jest stratą czasu, ale może i raz na parę lat uda się wyłuskać jakiegoś szajbusa.

- Szajbusa?

- Kogoś, komu praca u nas pomieszała w głowie i wydaje mu się, że jest kim innym, niż jest. Z codziennej zawodowej rutyny robi sensacyjny film. Można to nazwać kompleksem bohatera płaszcza i szpady. Skutek ciągłego stresu, zbyt częstego udawania, że się rzeczywiście jest kim innym, niż naprawdę.

- Ciekawe - rzekł doktor, kiwając głową w zamyśleniu. - Czy coś jeszcze się tam wydarzyło?

- Zero. Pojechałem do Nowego Jorku, zobaczyć się z parą znajomych z lat młodości.

On jest właścicielem przystani jachtowej na Long Island, i jeśli choć raz zawrócił sobie głowę polityką, nic mi o tym nie wiadomo. Potem spędziłem dwa dni u Matthiasa. Był to z mojej strony kurtuazyjny obowiązek.

- Byliście... jesteście sobie bliscy.

- Mówiłem już panu, że to bardzo stare więzy. Nigdy nie zawiódł mnie w potrzebie.

- Co działo się przez te dwa dni?

- Mniej niż zero. Widywałem go tylko wieczorami, podczas wspólnych kolacji, dwóch kolacji. Nawet wtedy, mimo że byliśmy sami, co chwilę odrywał go od stołu albo telefon, albo nadgorliwcy z Departamentu Stanu: suplikanci, jak ich nazywał, którzy bezlitośnie obsypywali go bieżącymi raportami. Przyjmował ich w swoim gabinecie, a jadalnia jest po drugiej stronie domu, więc nikt mnie u niego nie widział. Postanowiliśmy nie obnosić się z naszą przyjaźnią. Bardziej dla mojego dobra. Kto lubi protegowanych wielkiego człowieka...

- Nigdy nawet nie pomyślałem o panu w ten sposób.

- Byłoby to nie do pomyślenia, gdyby towarzyszył nam pan przy kolacji - rzekł

Michael z rozbawieniem. - Przez większość czasu wspominaliśmy z rozrzewnieniem prace seminaryjne, które pisałem dla niego przed prawie dwudziestoma laty. On wciąż potrafił

znaleźć w nich słabe punkty. Jeśli już ktoś ma genialną pamięć, to właśnie Matthias. -

Havelock uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał i powiedział, sięgając po słuchawkę telefonu: - Już czas. Połączenie z myśliwskim domkiem w dolinie Shenandoah uzyskiwało się poprzez szereg kolejnych numerów telefonicznych, z których pierwszy uruchamiał zdalny mechanizm w rezydencji Matthiasa w Georgetown pod Waszyngtonem. Ten z kolei elektronicznie łączył się z oddaloną o sto czterdzieści mil stacją w Górach Błękitnych, gdzie już dzwonił prywatny aparat sekretarza stanu. Jeśli go nie było na miejscu, telefon po prostu nie odpowiadał. Jeśli zaś sekretarz był w domu, tylko on podnosił słuchawkę. Początkowy numer znało najwyżej około tuzina osób w całych Stanach, a w tym prezydent i wiceprezydent, przewodniczący Izby Reprezentantów, szef Sztabu Połączonych Sił

Zbrojnych, sekretarz Obrony, przewodniczący Rady Bezpieczeństwa ONZ, dwóch głównych doradców w Departamencie Stanu i Michał Havliczek. W tym ostatnim wypadku, Matthias sam nalegał, by obdarzyć tym przywilejem swojego krajana i współpracownika z uniwersytetu, którego ojciec był mu w Pradze bliski duchem i umysłem, acz nie dane im było podzielić się łaską losu. Michael skorzystał z tego przywileju tylko dwa razy w ciągu sześciu lat. Po raz pierwszy, gdy przyleciał do Waszyngtonu po nowe instrukcje, Matthias zostawił

wiadomość w hotelu, żeby do niego zadzwonił, ale rozmowa była czysto towarzyska. Drugiej okazji Havelock wolał nie wspominać. Chodziło wtedy o agenta nazwiskiem Ogilvie, którego według Michaela należało odwołać z pracy w terenie. Telefonistka z centrali w Antibes powiedziała, że zadzwoni, jak tylko połączy się z Waszyngtonem, ale doświadczenie nakazywało Havelockowi nie odkładać słuchawki. Nie było lepszego sposobu na koncentrację telefonistek i przyspieszenie połączenia, niż pozostawanie na linii. Gdy wsłuchiwał się w serię wysokich tonów sygnalizujących połączenie zagraniczne, odezwał się Salanne.

- Dlaczego wcześniej pan do niego nie zadzwonił?

- Bo nic z tego nie rozumiałem, a zależało mi na tym, żeby powiedzieć mu coś konkretnego. Nazwisko lub nazwiska, pozycję, tytuł, żeby było się czegoś uchwycić.

- Ale z tego, co usłyszałem, nadal nie ma pan takich konkretów.

- Mam. Rozkaz likwidacji miał swoje źródło. Kryptonim Dylemat, który mógł

pochodzić tylko z jednego z trzech lub czterech działów, a zgodę na sam rozkaz wydać musiał

ktoś bardzo wysoko w Departamencie. Ktoś, komu bezpośrednio podlegał Rzym. Matthias skontaktuje się z Rzymem, każe sprawdzić rejestry przyjętych poleceń, porozumie się z odbiorcą rozkazu i dowie się, kto autoryzował Dylemat. Jest jeszcze jedno nazwisko, ale nie wiem, na ile przydatne. Oprócz mnie, był jeszcze drugi naoczny świadek egzekucji na Costa Brava, który dostarczył rzekomych dowodów, w tym podartej i pokrwawionej garderoby. To wierutne kłamstwo, na plaży nie było żadnych ubrań.

- Należy znaleźć tego człowieka.

- Nie żyje. Ponoć zmarł na atak serca podczas rejsu jachtem, trzy tygodnie później.

Ale można przecież parę rzeczy wyjaśnić, jeśli ślady nie zostały skrzętnie zatarte. Skąd się wziął, kto go posłał na Costa Brava...

- I, jeżeli mogę dodać - wtrącił Francuz - dotrzeć do lekarza, który wydał świadectwo zgonu.

- Oczywiście. Po długiej serii wysokich dźwięków nastąpiły dwa krótkie, niskie tony i po chwili przerwy odezwał się normalny, nie zajęty sygnał. Elektronicznie sterowana przekładnia spisywała się bez zarzutu: telefon w Shenandoah dzwonił. Michael poczuł

pulsowanie w krtani i przyspieszony z napięcia oddech. Tyle miał do powiedzenia swojemu przyjacielowi! Modlił się, żeby mógł teraz wszystko powiedzieć i zrobić pierwszy krok w walce z nękającym go koszmarem. Sygnał się urwał, ktoś podnosił słuchawkę. Dzięki Bogu!

- Tak? - spytał głos w oddalonych o przeszło cztery tysiące mil Górach Błękitnych.

Był to wprawdzie męski głos, jednak nie głos Anthona Matthiasa. A może barwa była zniekształcona, jedno słowo za krótkie, by rozpoznać przyjaciela?

- Jak se v m dari?

- Co? Kto mówi? To na pewno nie Matthias. Czyżby zmieniono reguły? Jeśli tak, nie miało to najmniejszego sensu. Wszak była to linia alarmowa, prywatny telefon Matthiasa, dzień w dzień sprawdzana na wypadek podsłuchu i tylko on odbierał rozmowy. Po pięciu dzwonekch należało przerwać połączenie, wykręcić zwykły numer i zostawić nazwisko oraz ewentualną wiadomość, nie licząc już na całkowitą poufność. A może próżno się niepokoił, może Matthias po prostu kazał

znajomemu bliżej telefonu podnieść słuchawkę.

- Z sekretarzem stanu Matthiasem, proszę - powiedział Havelock.

- Kto mówi?

- Fakt, że wykręciłem ten numer, zwalnia mnie od obowiązku odpowiedzi na to pytanie. Z sekretarzem, jeśli można. Mam pilną i poufną wiadomość.

- Pan Matthias jest chwilowo zajęty i prosił, żebym odbierał wszystkie telefony i przekazywał informacje. Pańska godność?

- Przecież powiedziałem, do cholery, że sprawa jest poufna i bardzo pilna. Pan nie słucha!

- Pan Matthias również ma w tej chwili bardzo pilną rozmowę, sir.

- Niech pan go przeprosi i powtórzy mu następujące słowa. Krajan... i boure. Rozumie pan? Tylko dwa słowa! Krajan i boure. Natychmiast! Bo inaczej wywali pana na zbity łeb, jak mu się poskarzę. No już!

- Krajan - powtórzył niepewnie męski głos. - Boure. W słuchawce nastąpiła cisza, tylko raz przerwana dochodzącymi z oddali odgłosami rozmowy. Czekanie było torturą.

Michael słyszał tylko echo własnego nierównego oddechu. Wreszcie odezwał się ten sam głos.

- Przykro mi, ale musi pan wyrażać się jaśniej, sir.

- Co?

- Jeśli mógłby pan podać mi bliższe szczegóły sprawy i telefon, pod którym można pana zastać...

- Czy powtórzył mu pan wiadomość? Te dwa słowa?

- Pan sekretarz jest bardzo zajęty i prosił, żeby powiedzieć mu, w jakiej sprawie pan dzwoni.

- Jeszcze raz pytam. Czy przekazał mu pan te słowa?

- Powtarzam tylko to, co powiedział mi pan Matthias, sir. Nie wolno mu teraz przeszkadzać, ale jeśli powie pan, o co chodzi i zostawi numer telefonu, ktoś się z panem na pewno skontaktuje. - Ktoś? Co się tam dzieje, do diabła? Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

- Smith - odparł głos w słuchawce.

- Pańskie nazwisko! Chcę usłyszeć pańskie prawdziwe nazwisko!

- Właśnie je panu podałem.

- Poproś Matthiasa do telefonu...! Krótki trzask i połączenie zostało przerwane.

Havelock patrzył się na przedmiot, który trzymał w ręku i po chwili zamknął oczy. Jego mentor, jego krajan, jego przyjaciel nie chciał z nim rozmawiać. Co się stało? Musiał się dowiedzieć, przecież to wszystko nie miało sensu, żadnego sensu! Pamiętał jeszcze jeden numer telefonu w Górach Błękitnych, do domu starszego pana, z którym Matthias widywał

się często podczas swoich pobytów w Shenandoah, i którego zamiłowanie do szachów oraz wyborczego, starego wina pozwalało Anthonowi zapomnieć na chwilę o jego nadludzkich obowiązkach. Michael spotkał się z Leonem Żeleńskim kilkakrotnie i za każdym razem wzruszała go przyjacielska zażyłość obu naukowców. Cieszył się, że Matthias miał obok siebie bliską osobę, której korzenie nie sięgały wprawdzie Pragi, jednak tkwiły nie tak daleko, w Warszawie. Żeleński zdobył duże uznanie jako profesor historii europejskiej, zaproszony do Ameryki przed laty z Uniwersytetu Warszawskiego, by uczyć i wyklądać w Berkeley.

Anthon poznał Leona podczas jednej ze swych pierwszych podróży z wykładami po amerykańskich ośrodkach akademickich: Matthias nigdy nie narzekał na nadmiar gotówki.

Od tamtej pory rozwinęła się między nimi przyjaźń, podtrzymywana korespondencją i z rzadka przy partyjce szachów, a gdy Żeleński przeszedł na emeryturę i owdowiał, Anthon namówił sędziwego naukowca, żeby się przeniósł do Shenandoah. Telefonistka nieco dłużej męczyła się z drugim połączeniem, ale w końcu Havelock usłyszał znajomy głos.

- Dobry wieczór!

- Leon? Czy to ty, Leon?

- Kto mówi?

- Michael Havelock. Pamiętasz mnie jeszcze, Leon?

- Michail! Czy ja pamiętam? Nie, oczywiście że nie, tak jak nie pamiętam, co to znaczy „kiełbasa” i „dupa”! Co słyszeć? Kiedy odwiedzisz naszą dolinę? Chyba dzwonisz z bardzo daleka.

- Tak, jestem daleko i bardzo się denerwuję... Havelock wytłumaczył powody swojego zaniepokojenia: nie może się dodzwonić do ich drogiego wspólnego przyjaciela i czy Żeleński czasami nie zamierza odwiedzić Anthona podczas jego pobytu w Shenandoah?

- Jeśli tu jest, nic o tym nie wiem, Michail. Anthon jest, jak wiadomo, człowiekiem bardzo zajęтым. Czasami wydaje mi się, że najbardziej zajęтым człowiekiem na świecie...

Niekiedy podrzucam mu do domu liściki, ale niestety pozostają one bez odpowiedzi. Nie mam do niego pretensji, oczywiście. Przebywa wśród wielkich tego świata... sam jest jednak wielki, a ja nie sięgam mu nawet do pięt.

- Przykro mi... że nie ma dla ciebie czasu.

- Owszem, dzwonią do mnie jacyś ludzie i przepraszają w jego imieniu, twierdząc, że Anthon rzadko teraz bywa w naszej dolinie, na czym cierpią bardzo nasze pojedynki szachowe. Trzeba będzie chyba poprzestać na naszym innym, wspólnym znajomym Michail.

Przyjeżdżał tu dość często przed paroma miesiącami. Wiesz, ten dziennikarz, Raymond Alexander. Aleksander Wielki, jak go przezywam, ale znacznie lepszy z niego pisarz niż szachista.

- Raymond Alexander? - powtórzył Havelock, ledwie słuchając. - Pozdrów go serdecznie ode mnie. Wszystkiego dobrego, Leon. Havelock odłożył słuchawkę i spojrzął na Salanne'a.

- Już nie ma dla nas czasu - powiedział zdumiony.

Dotarł do Paryża przed ósmą, do dziewiątej zdążył nawiązać kontakt z Gravetem, i kwadrans po jedenastej szedł już na południe, zatłoczonym bulwarem Saint Germain.

Wybredny krytyk i sprzedawca sekretów miał podejść do niego gdzieś pomiędzy rue de Pontoise i Quai St. Bernard. Gravet potrzebował dwóch godzin na wyszukanie jak najliczniejszych źródeł, potrzebnej Havelockowi informacji. Michael zaś, korzystając z chwili wytchnienia, szedł powoli, odpoczywał opierając się o mury i, ani razu nie siadając, uzupełniał braki w garderobie. Żona Salanne'a nie zdążyła kupić mu rano ubrania, chciał

bowiem jak najwcześniej znaleźć się w Paryżu, bo z każdą straconą minutą powiększała się odległość pomiędzy nim a Jenną. W Paryżu bywała tylko razem z nim, toteż nie miała teraz większego wyboru kryjówek. Musiał więc pierwszy być na miejscu, aby skrzętnie wykorzystać tę przewagę. Salanne podwiózł go z niesłychaną prędkością w trzy i pół godziny do Avignonu, skąd o pierwszej odchodził pociąg dowożący wieśniaków na paryskie targowisko. Michael zdążył wsiąść w ostatniej chwili, ubrany w to, co udało się uratować z jego zniszczonych rzeczy, oraz w sweter i przyciasny, gabardynowy płaszcz Salanne'a.

Patrzył teraz w swoje odbicie w sklepowej witrynie: marynarka, spodnie, rozpięta pod szyją koszula i kapelusz, kupione trzy kwadransy temu w Raspail, znakomicie odpowiadały jego zamiarom. Były wygodne i nie wyróżniały go z tłumu, zaś rondo miękkiego kapelusza opadało na tyle nisko, by rzucić cień na twarz. W witrynie stała kolumnienka z polerowanego szkła. Mimowolnie podszedł bliżej i obejrzał sobie tę zacienioną kapeluszem twarz. Swoją twarz, wychudłą, z podkrążonymi oczami i szczeciną ciemnego zarostu. Nie pomyślał nawet o goleniu. Podczas zakupów w Raspail patrzył wyłącznie na ubrania, pogrążony we wspomnieniach z tego Paryża, w którym bawił razem z Jenną Karas, w towarzystwie jednego lub dwóch pracowników ambasady, kilku tajnych agentów i paru francuskich znajomych, głównie pracowników rządu, którzy z polecenia swoich ministres weszli na jego orbitę.

Wreszcie trzech, czterech przyjaciół, poznanych w nocnych kawiarniach, którzy nie mieli nic wspólnego z jego światem cieni. Dopiero teraz, na Saint Germain, popielata twarz, przypomniła mu o zmęczeniu i dotkliwym bólu. O tym, jak bardzo chciał się położyć i odzyskać siły. Jak to słusznie zauważył Salanne, bardzo potrzebował odpoczynku. Próbował

się zdrzemnąć w pociągu z Avignonu, ale częste postoje na wiejskich stacyjkach i ładowanie przez wieśniaków towaru, wrywały go ze snu. A kiedy się rozbudzał, głowa mu pękała od żalu, chaosu i gniewu. Jeden, jedyny człowiek, którego obdarzył bezgranicznym zaufaniem i miłością, wielki autorytet, który zastąpił mu ojca i pokierował jego życiem, odtrącił go, nie wiedzieć dlaczego. Przez długie lata, w najtrudniejszych i samotnych chwilach, nie był

przecież zupełnie sam, bo czuł przy sobie obecność Anthona Matthiasa. To on uczynił z niego lepszego człowieka, chronił go przed zmorami z wczesnych, okrutnych dni, ucząc do nich dystansu. I

szukania sensu w tym, co robił, życia w nienormalnym świecie, dopóki coś w środku nie podpowie mu, że już może powrócić do świata zwyczajnych ludzi. Walczył z koszmarem Lidic i oprawcami gułagów w każdej możliwej sytuacji. Te karabiny nie dadzą ci spokoju, przyjacielu. Proszę Boga, żebyś mógł od nich uciec, ale nie wierzę, że ci się to uda.

Rób więc to, co usmierza twój ból, co daje ci cel w życiu, osłabia poczucie winy, że przetrwałeś. Pośród książek i abstrakcyjnych teorii nie znajdziesz rozgrzeszenia, nie wystarczą ci zawile argumenty. Musisz zobaczyć praktyczne skutki... Nadejdzie wreszcie dzień, kiedy będziesz wolny, twój gniew się wypali, i wtedy wrócisz. Chciałbym z całego serca dożyć tego dnia. Zrobię wszystko, by tak się stało. Wolność była już tak blisko, gniew już dogorywał w abstrakcyjnym poczuciu daremności, powrót do normalnego świata stał się realny i zrozumiały. Najpierw z kobietą, którą kochał, która nadała jego życiu nowy wymiar...

a potem bez niej, kiedy już jej nie kochał i wyrzucił z pamięci, wierząc w oszczerstwa kłamców. O Boże! A teraz ten człowiek, który mógł spełnić własną przepowiednię, obietnicę daną przed laty swemu krajanowi, studentowi, synowi, wyrzucił go ze swojego życia. Ten wielki człowiek był wszakże śmiertelnikiem. Teraz też jego wrogiem.

- Mon Dieu, wyglądasz jak pensjonariusz Oświęcimia! szepnął wysoki Francuz w palcie z aksamitnym kołnierzem i lśniących, czarnych butach, stanąwszy przed wystawą kilka stóp na prawo od Havelocka. - Co ci się stało?... Nie, nic nie mów! Nie tutaj.

- A gdzie?

- Na Quai Bernard, za uniwersytetem, jest plac zabaw dla dzieci - ciągnął Gravat, podziwiając swoje odbicie w szybie. - Jeżeli nie znajdziesz wolnej ławki, stań sobie gdzieś pod parkanem, a zaraz tam dojdę. Kup po drodze torbę cukierków i staraj się wyglądać jak ojciec, a nie pedofil.

- Dziękuję za radę. Masz coś dla mnie?

- Powiedzmy, że masz u mnie spory dług. Dużo większy, niż jesteś w stanie zapłacić, sądząc po twojej mizernej prezencji.

- Coś o niej?

- Tego jeszcze nie rozpracowałem. To znaczy jej.

- W takim razie co?

- Do zobaczenia na Quai Bernard - rzekł Gravat, poprawiając szkarłatny krawat i szary kapelusz przed oknem wystawowym. Po czym obrócił się z gracją baletmistrza i odszedł. Na skwerku wiało chłodem znad Sekwany, co wcale nie powstrzymało przedszkolank, nianiek i młodych matek przed przyprawieniem na plac zabaw swoich rozwydrzonych podopiecznych. Wszędzie było pełno dzieci - na huśtawkach, drabinkach, zjeżdżalniach -

istne piekło. Szczęśliwie dla opadającego z sił Michaela, pod parkanem po drugiej stronie skweru była wolna ławka, oddalona od hałaśliwego epicentrum nad brzegiem rzeki. Usiadł

sobie i bezmyślnie wyjadał z białej, papierowej torebki barwione groszki miętowe, patrząc jak wyjątkowo złośliwy bachor kopie trójkołowy rowerek. Miał nadzieję, że postronny obserwator weźmie go za ojca tego dzieciaka, sądził bowiem, że prawdziwy opiekun chłopca wolał trzymać się jak najdalej. Dziecko przestało znęcać się nad rowerkiem i zauważywszy, że jest obserwowane, odwzajemniło się Havelockowi wyjątkowo złowrogim spojrzeniem.

Wytworny Gravet wszedł przez pomalowaną w czerwone pasy bramę na skwerek i tanecznym krokiem omijał żywe przeszkody na bocznej alejce placu zabaw, raz po raz pozdrawiając rozwrzeszczane dzieci miłym, łagodnym skinieniem głowy. Ot, starszy pan, pełen wyrozumiałości dla najmłodszych. Świetnie odgrywał tę rolę, pomyślał Havelock, dobrze wiedząc, iż ten wyrafinowany hermafrodyta nie znosi wybranej przez siebie okolicy.

Dotarł wreszcie do ławki i usiadłszy obok Havelocka, rozłożył głośno gazetę.

- Czy nie powinieneś pójść do lekarza? - spytał krytyk, nie odrywając oczu od gazety.

- Miałem tę przyjemność ledwie kilka godzin temu odpowiedział Michael, zakrywając usta papierową torebką. - Nic mi nie jest, po prostu zmęczenie.

- Kamień spadł mi z serca, lecz nie zaszkodziłoby ci, gdybyś się trochę ogarnął, zgoilił

brodę. W tej konfiguracji możemy ściągnąć na siebie gendarmes. Dwa przeciwne bieguny obscenicznego spektrum, tak nas podsumują.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Gravet. Co masz? Krytyk złożył gazetę, tak gwałtownie, jak ją otworzył.

- Sprzeczność, jeśli wierzyć moim źródłom, a mam wszelkie powody, żeby im ufać.

Przedziwną sprzeczność, doprawdy.

- O co chodzi?

- KGB nie wyraża najmniejszego zainteresowania twoją osobą. Mógłbym doprowadzić cię, chętnego, rozmownego uchodźcę, wyrwanego z paszczy imperialistycznego smoka, do ich paryskiej kwatery - firmy importowej na Beaumarchais, ale jak mniemam, adres ten jest ci dobrze znany i nie dostałbym złamanego sou.

- Nie widzę w tym żadnej sprzeczności. Powiedziałem ci dokładnie to samo kilka tygodni temu, na Point Royal.

- Bo to jeszcze nie jest sprzeczność. - Co w takim razie?

- Ktoś inny cię poszukuje. Przyleciał wczoraj wieczorem, ponieważ myśli, że już jesteś w Paryżu,

albo w drodze. Mam informację, że jest gotów zapłacić za twoje zwłoki fortunę. Nie jest z KGB w zwykłym sensie, ale żebyś nie miał żadnych wątpliwości, jest Rosjaninem.

- Nie... w zwykłym sensie? - zapytał Havelock, zdumiony, ale coś mu zaczęło świtać, złowieszcze wspomnienie z niedawnej przeszłości.

- Wpadłem na jego ślad po rozmowie z konfidentem w Etrangers Militaires. Rosjanin pracuje dla specjalnego oddziału sowieckiego wywiadu, elitarnego korpusu...

- Wojennaja Kontrrazwiedka - wtrącił oschle Michael.

- Jeśli to właśnie oznacza skrót WKR, wszystko się zgadza. - Tak.

- Poluje na ciebie. Zapłaci każdą sumę.

- Maniacy.

- Michail, to cię z pewnością zainteresuje. Przyleciał z Barcelony.

- Costa Brava! Po drugiej stronie alejki mały okrutnik wrzasnął wniebogłosy.

- Nie patrz na mnie! Przesuń się na skraj ławki!

- Czy zdajesz sobie sprawę, co mi przed chwilą powiedziałeś? - Jesteś zdenerwowany.

Muszę odejść.

- Nie!... Już dobrze, w porządku! Havelock zasłonił torebką usta, ręce mu się trzęsły i nie mógł złapać tchu, gdy chwycił go bolesny skurcz od klatki piersiowej, aż po skronie.

- Wiesz chyba, czego teraz od ciebie oczekuję. Masz, to więc daj mi.

- Nie w tym stanie.

- To już moja sprawa. Mów!

- Nie wiem, czy powinienem. Nie wspominając już o zapłacie, której pewnie nigdy nie zobaczę, mam opory moralne. Lubię cię, Michail. Jesteś kulturalnym człowiekiem, może nawet dobrym człowiekiem, jak na ten paskudny zawód. Ledwie udało ci się wyrwać, więc czy ja mam prawo zwracać cię z tej drogi?

- Sam wróciłem!

- Costa Brava?

- Tak!

- Idź do swojej ambasady.

- Przecież nie mogę! Czy ty tego nie rozumiesz? Gravel złamał swoją dotychczasową niezłomną zasadę: opuścił gazetę i spojrzął na Havelocka. - Mój Boże, oni chyba nie mogli...

- powiedział przyciszonym głosem.

- Mów.

- Nie mam wyboru.

- Mów wreszcie! Gdzie on jest? Krytyk składając gazetę, wstał z ławki.

- Na rue Etienne jest obskurny hotelik, La Couronne Nouvelle. Rosjanin mieszka na pierwszym piętrze, pokój dwadzieścia trzy, od frontu. Obserwuje każdego, kto wchodzi.

Zgarbiona sylwetka bezdomnego włóczęgi nie różniła się od wielu podobnych, spotykanych na ulicach wielkiego miasta. Miał na sobie brudne, obdarte ubranie, ale dość grube, by nie zmarznąć na wydmuchu pustych uliczek w nocy, i zniszczone buty na grubych podeszwach z wystrzępionymi, niezdarnie zawiązanymi na wielkie węzły sznurowadłami.

Wełnianą czapkę miał nasuniętą głęboko na czoło. Nie podnosił wzroku, unikając świata, w którym nie było dla niego miejsca i który drażniła jego obecność. Ale przez ramię przewieszoną miał, lepką od brudu, brezentową torbę, której paski dzierżył mocno w dłoni, jakby obwieszczał wszem i wobec dumę posiadania: oto wszystko, co mam, co mi zostało i co jest moje. Człowiek zbliżający się do hotelu La Couronne Nouvelle nie miał określonego wieku, czas odmierzał tylko tym, co utracił. W pewnej chwili przystanął przed drucianym koszem na śmieci i rozgrzebywał zawartość z metodycznym spokojem. Archeolog trotuarów.

Havelock odlepił podarty abażur od otłuszczonej torby z nie dojedzonym śniadaniem i przekrzywił między nimi małe, zmatowiałe lusterko, osłaniając ręce brudnym strzępem abażuru. Widział Rosjanina bezpośrednio przed sobą, w oknie na pierwszym piętrze. Stał

oparty o parapet i patrzył na ulicę, obserwując przechodniów. Czekał. Nie odejdzie od okna z prostej przyczyny: jego sfora ruszyła już do akcji. Czyżby spodziewał się kontrataku?

Michael go znał, nie z nazwiska, opisu, czy nawet fotografii w kartotece, ale znał go. Pamiętał

tę zaciętą twarz, to wejrzenie. Havelock był kiedyś tam, gdzie był ten człowiek teraz.

Machina została puszczona w ruch, słowo poszło w świat i słowo miało teraz powrócić do jednoosobowego punktu dowodzenia. Pozbawieni skrupułów likwidatorzy dostali komendę, nie uznając lojalności wobec nikogo i niczego prócz dolara, franka, funta i marki. Tajnymi kanałami popłynęła korzystna oferta nie do przebiccia, premie wedle zasług, najwyższa oczywiście dla tego, kto zabije i da dowód zabójstwa. Słówko o przybyciu celu, o tym skąd i jak przyjechał, warowanie na wyznaczonych posterunkach, samotnie lub ze znanymi czy nieznanymi współnikami, hotel, kawiarnia, pension, zajazd - wszystko miało swoją wartość i odpowiednią cenę. Wśród wykwalifikowanych

praktyków przemocy, kwitła konkurencja, a każdy zawodowiec dobrze wiedział, że okłamywanie punktu dowodzenia nie popłaca.

Dzisiejsza porażka to jutrzejszy mord. Prędzej czy później do człowieka w oknie zaczną docierać pierwsze meldunki. Niektóre z nich okażą się ledwie spekulacjami, opartymi na informacjach z drugiej ręki. Inne, popełnionymi w dobrej wierze pomyłkami, za które nikomu włos z głowy nie spadnie. Zostaną tylko poddane drobiazgowej analizie i odrzucone, jako mało prawdopodobne. Wreszcie nadejdzie wiadomość, której autentyczność potwierdzi opisany szczegół, gest bez pudła, identyfikujący cel, i w punkcie dowodzenia nastąpi pierwszy przełom. Ulica, kawiarnia, a może ławka na placu zabaw. Macki najemników sięgały szeroko i daleko. Łowy się rozpoczęły, nagrodą była wielokrotność rocznej pensji. A kiedy polowanie się zakończy, człowiek w oknie wyjdzie z ruchomego więzienia. Tak, pomyślał Michael, znał to dobrze. Najgorsze było czekanie. Spojrzał na zegarek, nie wyjmując ręki ze śmietnika. Po drugiej stronie wejścia do hotelu stał jeszcze jeden kosz.

Zastanawiał się czy powinien podejść do niego i dalej grzebać. Zanim odwiedził sklepy z używanym ubraniem w Severin, a także podejrzany sklepik nad Somą, gdzie zaopatrzył się w amunicję do lłamy i magnum, przejechał dwa razy obok hotelu taksówką, planując każdy krok i obliczając czas. Siedem minut temu zadzwonił do Graveta i dał mu znać, że zegar już tyka. Francuz miał zatelefonować z budki na zatłoczonym Place Vendôme; tłumy ludzi w tym miejscu gwarantowały mu całkowitą anonimowość. Dlaczego jeszcze nie dzwonił? Tyle było możliwości. Zajęte budki, zepsute telefony, gadatliwy znajomy, który zatrzymał go na rogu i koniecznie chciał porozmawiać, ze wszystkim należało się liczyć. Ale cokolwiek było powodem opóźnienia, Havelock wiedział, że nie może ani chwili dłużej pozostawać w tym samym miejscu. Nieporadnie, jak obolały starzec, wszak naprawdę był obolałym już-niemłodzieńcem, powoli zbierał się do odejścia. Zaraz ukradkiem podniesie umyślnie spuszczone wzrok, by zobaczyć to, czego widzieć nie powinien. Człowiek w oknie gwałtownie odwrócił głowę. Coś przeszkodziło mu w bacznej obserwacji ulicy, bo zniknął w ciemnościach pokoju. Gravet zadzwonił! Teraz. Michael podniósł z ziemi torbę, wrzucił ją do kosza i szybkim krokiem podszedł na ukos, do schodków prowadzących w stronę głównego wejścia. Z każdym krokiem stopniowo prostował zgarbione plecy, aż wreszcie powrócił do swej normalnej pozycji. Wchodząc po betonowych schodach, trzymał rękę na twarzy, z palcami zaciśniętymi na zsuniętej na bok czapce. Najwyżej osiem stóp dzieliło go od okna, w którym kilka sekund wcześniej stał oficer WKR i do którego za kilka sekund powróci.

Telefon Graveta będzie zwięzły, profesjonalny, w żadnym wypadku nie może wzbudzić cienia wątpliwości. Widziano kogoś podobnego na Montparnasse. Czy cel był ranny? Czy wyraźnie kulał? Bez względu na to, jakich odpowiedzi udzielił Rosjanin, rozmowa szybko się urwie, nawet w pół zdania. Jeśli to istotnie był cel, szedł w kierunku metra, informator zaraz da znać. W ciemnym, odrapanym hallu, z popękkanymi kafelkami na podłodze i pajęczynami rozpiętymi w czterech rogach pod sufitem, Havelock zdjął czapkę, wygładził klapy pomiętej marynarki i zerwał zwisający z płaszcza kawałek postrzępionej podszewki. Strój nadal pozostawiał wiele do życzenia, ale w przyćmionym świetle i na wyprostowanym ciele był

całkiem stosowny, jak na hotel, który gościł nocnych przybłądów i prostytutki. W tym przybytku nie liczył się wygląd klienta, tylko żywa gotówka. Havelock zamierzał zrobić wrażenie gościa, który zdrowo sobie gołnął i czym prędzej chce zwalić się na łóżko, by przetrwać najcięższą fazę męczarni.

Zbędny trud! Otyły portier, z miękkimi tłustymi rękami, założonymi na wylewającym się ze spodni brzuchu drzemał za splekaną, marmurową ladą w najlepsze. W hallu była jeszcze jedna osoba: siedzący na ławce, wychudły, starszy mężczyzna z papierosem przylepionym do wargi pod zaślinionymi węsami i pochylony nad rozłożoną gazetą. Nawet nie spojrzał na przybysza. Havelock rzucił czapkę na podłogę, kopnął ją pod ścianę i poszedł w lewo do wąskich schodów, wytartych przez dziesiątki lat użycia i niedbalstwa, z połamaną w kilku miejscach poręczą. Wszedł na skrzypiące stopnie, których na szczęście nie było wiele i nie zakręcały na żadnych półpiętrach. Prowadziły prosto, z jednej kondygnacji na drugą. Dotarł na pierwsze piętro i stał chwilę bez ruchu, nasłuchując.

Nic nie zakłócało ciszy, prócz dochodzącego z oddali szumu ulicy, akcentowanego raz po raz ostrymi dźwiękami klaksonów. Dziesięć stóp dzieliło go od drzwi z wyblakłym numerem 23.

Z pokoju nie dochodziły odgłosy jednostronnej rozmowy telefonicznej, nie trwała ona dłużej niż czterdzieści pięć sekund, i oficer WKR powrócił już do okna. Michael rozpiął zmiętą marynarkę i uchwycił kolbę magnum. Wyciągając automat zza pasa, mocował się chwilę z zaczepionym o skórę tłumikiem, po czym kciukiem odbezpieczył broń i ruszył ciemnym, wąskim korytarzem w kierunku drzwi. Skrzypnięcie podłogi! Nie jego, nie pod nim, za nim!

Havelock odwrócił się i zobaczył, jak powoli otwierają się pierwsze drzwi na lewo od schodów. Były cały czas uchylone i dlatego nie słyszał dźwięku przekręcanej gałki. Wąska szczelina pozwalała obserwować korytarz z pokoju. W drzwiach pojawił się niski, krępy mężczyzna, ramionami i plecami oparty o framugę, z ręką na pistolecie u boku. Podniósł

broń. Havelock nie miał czasu na ocenę sytuacji, tylko na natychmiastową reakcję. W innych okolicznościach może podniósłby rękę i szepnął choć słowo, dał znak, ostrzeżenie, by uniknąć tragicznej w skutkach pomyłki. Tym razem jednak nacisnął spust bez namysłu.

Mężczyzna stracił równowagę i bezwładnie osunął się na próg. Michael spojrzał na broń zaciśniętą jeszcze w rękę ofiary. Podjął słuszną decyzję, bronią tą okazała się graźburia, najmocniejszy i najdokładniejszy automat wytwarzany w Rosji. Oficer WKR nie był sam. A jeżeli był jeden... Dokładnie naprzeciwko numeru 23, ktoś przekręcił gałkę w drzwiach.

Havelock zaczął się pod ścianą po prawej stronie framugi. Gdy tylko drzwi się otworzyły, Michael odwrócił się i podniósł magnum, gotowy do strzału lub ciosu. Albo opuszczenia broni, gdyby z pokoju wyszedł Bogu ducha winien gość hotelowy. Ujrzał jednak mężczyznę w przysiadzie, z bronią w rękę. Havelock pewnie uderzył go lufą w głowę. Rosjanin zwałił

się na wznak do pokoju, Michael postąpił krok naprzód i chwycił drzwi, żeby się nie zatrzasnęły. Pozostawił wąziutką szczelinę, stał bez ruchu i czekał. W korytarzu panowała cisza, zmacona tylko odgłosami ulicy. Wszedł tyłem do pokoju, z magnum wycelowanym w drzwi i rozglądając się w poszukiwaniu broni Rosjanina. Leżała kilka stóp za rozciągniętym bezwładnie na podłodze mężczyzną. Przysunął pistolet nogą do ciała, ukląkł i przyjrzał mu się z bliska. Był to też automat graźburia. Personelowi przysłanemu do Paryża nie dawali byle czego! Wsadził pistolet do kieszeni marynarki, nachylił się i pociągnął Rosjanina ku sobie.

Nie dawał znaku życia. Ocknie się dopiero po kilku godzinach. Wstał i wyszedł z pokoju.

Gwałtowne ruchy wycisnęły zeń resztkę sił, oparł się więc o ścianę, oddychając głęboko, powoli. Całą siłą woli starał się zapomnieć o bólu i słabości ciała. Nie mógł się teraz wycofać.

W drzwiach obok schodów leżał pierwszy goryl, drzwi były otwarte. Ktoś, przechodząc obok pokoju, mógłby wszcząć alarm na widok ciała. Michael odepchnął się od ściany i bezszelestnie, na palcach usztywnionych grubymi podeszwami ciężkich kamaszy, wrócił

korytarzem do drzwi za schodami. Zamknął je cicho i ruszył z powrotem do numeru 23. Stał

na wprost ledwie czytelnych cyfr i wiedział, że musi wykrzesać z siebie wszystkie siły. Jego jedyną szansą było całkowite zaskoczenie przeciwnika. Napreżył mięśnie, cofnął się krok do tyłu i wystawiwszy do przodu zdrowe ramię uderzył całym ciężarem ciała. Drzwi otworzyły się z trzaskiem pękającego drewna. Oficer WKR odskoczył w popłochu od okna, sięgając do przypiętej u pasa kabury. Widząc, że już nie zdąży, wyrzucił przed siebie obie ręce i nie spuszczał oczu z ogromnej lufy wycelowanego w jego głowę magnum.

- Chyba mnie szukałeś - powiedział Havelock.

- Wygląda na to, że zaufałem nie tym ludziom, co trzeba odpowiedział spokojnie Rosjanin poprawną angielszczyzną.

- Ale nie swoim ludziom.

- Ty jesteś wyjątkowy.

- Przegrałeś.

- Ja nikomu nie kazałem cię zabijać.

- Teraz łżesz, ale to nie ma znaczenia. Powtarzam: przegrałeś.

- Należą ci się gratulacje - wymamrotał oficer WKR, spoglądając ponad ramionami Havelocka na wyważone drzwi.

- Nie wiem, czy dobrze słyszałeś. Przegrałeś. W pokoju naprzeciwko leży jakiś pan.

Nie będzie mógł ci pomóc.

- Rozumiem.

- Ani jego kolega tam za schodami. On nie żyje.

- Niet! Molnia! - Sowiecki agent zbladł.

- Możemy rozmawiać po rosyjsku, jeśli wolisz.
- Wszystko mi jedno - rzekł zaskoczony oficer. - Jestem absolwentem Massachusetts Institute of Technology.
- A może raczej amerykańskiego ośrodka w Nowgorodzie, z dyplomem KGB.
- Cambridge w stanie Massachusetts, w żadnym Nowgorodzie zachnął się Rosjanin.
- Zapomniałem. Przecież WKR to korpus elitarny. Dyplom organizacji macierzystej poczytywano by za obrazę. Jeszcze czego! Żeby nieuki i mięczaki honorowały dyplomami swoją niedościgłą elitę?
- Takie podziały nie istnieją w radzieckich władzach.
- Tere-fere kuku.
- Szkoda czasu.
- Owszem. Co się stało na Costa Brava?
- Nie wiem, o co ci chodzi?
- Jesteś w WKR w Barcelonie! Costa Brava to twój sektor! Co zaszło w nocy czwartego stycznia?
- Nic, co by nas interesowało.
- Ruszaj się!
- Co?
- Pod ścianę! Była to zewnętrzna ściana, wymurowana z solidnej cegły na cementowej zaprawie, gruba, twarda i nieprzenikniona. Rosjanin podszedł do niej z ociąganiem i wtedy Havelock podjął rozmowę.
- Jestem tak wyjątkowy, że dowódca twojego sektora w Moskwie nie zna prawdy. W przeciwieństwie do ciebie. Dlatego jesteś tu w Paryżu, dlatego wyznaczyłeś premię za moją głowę.
- Zostałeś źle poinformowany. Zatajanie informacji przed dowództwem, jest zbrodnią traktowaną na równi ze zdradą stanu. Co do mojego przyjazdu z Barcelony, świetnie rozumiesz, w czym rzecz. Tam była twoja ostatnia meta, a ja działałem jako twój ostatni odpowiednik. Miałem o tobie najświeższe informacje. Kogo więc mieli przysłać tu za tobą?
- Dobry z ciebie numer. Świetnie pływasz.
- Nie powiedziałem ci nic, czego już nie wiesz, albo czego nie mogłeś się sam dowiedzieć.

- Oprócz jednego drobiazgu. Dlaczego jestem wyjątkowy? Twoi kumple z KGB mają mnie w nosie. Ba! Nie wolno im mnie dotknąć, a ty mi mówisz, że jestem wyjątkowy.

Wojenna uganiania się za mną.

- Owszem, nie da się ukryć, że nasze komórki, a nawet wydziały, rywalizują ze sobą w dopuszczalnych granicach. Niewykluczone, że zaraziliśmy się od was, gdzie jest to na porządku dziennym.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Wiemy o paru rzeczach, o których nasi towarzysze nie mają pojęcia.

- Na przykład?

- Własny rząd przeznaczył cię na straty.

- Czy wiesz dlaczego?

- Powody w tym wypadku są drugorzędne. Proponujemy ucieczkę. - Powody nigdy nie są drugorzędne - poprawił Michael.

- No, dobrze - przyznał niechętnie sowiecki oficer.

- Wydano opinię, że jesteś chory psychicznie. - Na jakiej podstawie?

- Demonstrowana wrogość, poparta groźbami i szantażem, depesze z pogroźkami.

Paranoja, halucynacje.

- Po Costa Brava?

- Tak.

- Ot, tak, z dnia na dzień? Dziś jeszcze chodzę sobie z głową na karku, przesyłam raporty, dostaję emeryturę z honorami, a nazajutrz budzę się z kuku na muniu? Tracisz formę.

Już tak dobrze nie pływasz.

- Mówię ci to, co wiem - powtórzył Rosjanin. - Ja nie decyduję, tylko wypełniam polecenia. Premię, jak to określasz wyznaczono za spotkanie między nami. Cóż w tym dziwnego? Gdyby rzeczywiście chodziło tu o twoją głowę, nic prostszego, tylko zapłacić za informację o twoim miejscu pobytu, zadzwonić do waszej ambasady na Avenue Gabriel i poprosić o pewien numer wewnętrzny. Wiesz dobrze, że to żaden problem. Informacja dotarłaby do odpowiedniego personelu i my mamy czyste ręce, nie ma mowy o pomyłce ani późniejszych reperkusjach.

- Ale proponując mi ucieczkę i biorąc mnie, przywozisz trofeum, przed którym opędzali się twoi

mniej utalentowani towarzysze, albowiem podejrzewali, że jestem pułapką.

Zaprogramowaną, albo nie.

- W zasadzie tak. Możemy porozmawiać?

- Przecież rozmawiamy. Havelock przyglądał się oficerowi. Jego argumenty były przekonujące - być może przedstawiał własną wersję prawdy. Azyl czy kula w łeb? O co naprawdę chodziło? Dowie się, przyłapując Rosjanina na kłamstwach. Trzeba szukać kłamstw, a nie prawdy. Michael kątem oka dostrzegł odbicie w brudnym lustrze, nad odrapaną komodą pod ścianą. Mówił dalej.

- Chcecie wyciągnąć ze mnie informacje, które według was posiadam.

- Uratujemy ci życie. Dobrze wiesz, że rozkaz twojej likwidacji nie zostanie odwołany.

- Proponujesz mi azyl.

- Co ci innego pozostało? Jak długo jeszcze uda ci się ich zwodzić? Ile dni, czy tygodni upłynie, nim znajdą cię ich siatki i komputery?

- Jestem doświadczony. Mam swoje możliwości. Może opłaci mi się zaryzykować.

Niejednemu udało się zniknąć, nie w gułagach, ale w ciekawszych miejscach, i żyć szczęśliwie. Co jeszcze możesz mi zaproponować?

- Czego ci trzeba? Wygody, pieniędzy, przyjemności? To wszystko mieści się w naszej ofercie. Zaslugujesz na to.

- Nie w twoim kraju. Nie chcę żyć w Związku Radzieckim.

- Nie?

- A jeżeli upatrzyłem sobie wymarzone miejsce. Leży pośrodku Pacyfiku, na Wyspach Salomona. Byłem tam. Cywilizowana, acz daleka kraina, nikt mnie tam nie znajdzie. Mając dość pieniędzy, mógłbym sobie tam żyć całkiem wygodnie.

- To się da załatwić. Mam pełnomocnictwa, żeby ci to zagwarantować. Kłamstwo numer jeden. Żaden azylant nie opuścił jeszcze Związku Radzieckiego i oficer WKR dobrze o tym wiedział.

- Przyleciałeś do Paryża wczoraj wieczorem. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Od informatorów w Rzymie, jakże by inaczej?

- Skąd oni wiedzieli?

- Informatorów nie wypytuje się zbyt dokładnie.
 - Pytasz się zawsze o źródło. Nie zostawia się placówki i leci jak z piórem w dupie do oddalonego o setki mil miasta, bez wiarygodnego potwierdzenia źródła.
 - Prawda - rzekł oficer WKR, płynąc znów pewnie z prądem. - Wypytałiśmy jednego faceta z Civitavecchia. Powiedział, że jesteś w drodze do Paryża.
 - Kiedy się dowiedzieliście?
 - Wczoraj, oczywiście - odparł Rosjanin ze zniecierpliwieniem.
 - Kiedy wczoraj?
 - Późnym popołudniem. Około piątej trzydzieści. Dokładniej, o piątej trzydzieści pięć.
- Kłamstwo numer dwa, fałsz w dokładności. Decyzje o wyjeździe do Paryża podjął dopiero po wydarzeniach w Col des Moulinets. O ósmej wieczorem.
- Jesteście przekonani, że moje zwierzenia na temat operacji naszego wywiadu w Europie są aż tak cenne, żebyście pogodzili się z akcjami odwetowymi, które nieuchronnie następują po ucieczce człowieka na takim szczeblu?
 - Naturalnie.
 - Opinii tej nie podziela dyrektoriat KGB.
 - Głupcy. Tchórzliwe, zmęczone króliki wśród wilków. Wkrótce ich zastąpimy.
 - Nie boicie się, że jestem zaprogramowany? Że cokolwiek powiem, będzie trucizną, bezużytecznym śmieciem?
 - W żadnym razie. Nie na darmo spisali cię na straty.
 - Albo, że jestem paranoikiem?
 - Skądże znowu? Nie jesteś paranoikiem i nie masz halucynacji. Jesteś tym, kim zawsze byłeś. Nieprzeciętnie inteligentnym specjalistą w swoim fachu. Kłamstwo numer trzy.

Wiadomość o jego psychicznych odchyleniach rozeszła się szeroko. Waszyngton uwierzył, nieboszczyk Ogilvie potwierdził to na Palatynie.

- No cóż - powiedział Havelock, krzywiąc się, udając ból, co nie nastęrczyło mu wiele trudu. - Mam już wszystkiego dość powiedział opuszczając nieco automat i obracając się trochę w lewo, by mieć lustro ledwie milimetry poza zasięgiem wzroku. Jestem ranny, nie zmrużyłem oka. Masz rację, bez

przerwy tylko uciekam, biję się z myślami...

- Na co tu jeszcze czekać? - spytał Rosjanin, siłąc się na współczucie. - Szkoda tylko czasu i sił, prędzej czy później trzeba podjąć decyzję. Zamiast zmieniać szyfry, siatki i źródła, postanowili wyeliminować człowieka, który za dużo wie. Szesnaście lat służby w terenie i oto twoja odprawa emerytalna: „na straty”. Michael jeszcze niżej opuścił automat i pochylił

głowę, ukradkiem spoglądając w lustro. - Muszę się zastanowić - szepnął. - Głowa mi pęka, nie mogę pozbierać myśli. Kłamstwo numer cztery - najbardziej oczywiste kłamstwo!

Rosjanin sięgnął po broń! Havelock strzelił z półobrotu; kula wbiła się w ścianę. Oficer WKR złapał się za łokieć, z przesiąkniętej koszuli kapąła na podłogę krew.

- Ubliudok! - krzyknął Rosjanin.

- To dopiero początek! - oznajmił Michael zdławionym rykiem. Podeszedł do oficera, pchnął go pod ścianę, wyciągnął mu z kabury pistolet i rzucił na drugą stronę pokoju. - Jesteś zbyt pewny siebie, towarzyszu, zbyt pewny swoich faktów! Na przyszłość nie przedstawiaj ich z takim przekonaniem, zostaw miejsce na błąd, bo zawsze jeden może się przytrafić. U

ciebie było ich sporo. Rosjanin odpowiedział milczeniem. Z oczu patrzyła mu nienawiść i jednocześnie rezygnacja. Havelock znał te oczy, znał tę mieszaninę nienawiści i zgody na ludzką śmiertelność. Te cechy weszły w krew niektórym ludziom, trenowanym przez całe lata, by tylko nienawidzić i umierać. Działali pod różnym wezwaniem: Gestapo, Nippon Kai, Organizacja Wyzwolenia Palestyny, Wojennaja... I w pomniejszych ugrupowaniach, które w swym amatorskim zaślepieniu poprzestawały na arogancji i nienawiści, nie wpisując własnej śmierci w swoje dziecinne rachuby. Wrzaskliwi fanatycy, maszerujący w takt werbla świętego oburzenia. Michael odpowiedział milczeniem na milczenie, spojrzeniem na spojrzenie. Wreszcie przerwał ciszę.

- Nie trać adrenaliny - powiedział spokojnie. - Nie mam zamiaru cię zabijać. Jesteś na to przygotowany, szykowałeś się na śmierć długie lata. Ale z jakiej racji miałbym ci wyświadczyć tę przysługę? Nie towarzyszu. Najpierw przestrzelę ci oba kolana, potem ręce.

Nie jesteś przygotowany do życia z takim upośledzeniem. Nikt zresztą nie jest, a zwłaszcza tacy, jak ty. Nie dasz rady wykonać tylu rutynowych czynności. Prostyach rzeczy: podejść do drzwi, otworzyć zamkniętą kartotekę, wykręcić numer telefonu, pójść do klozetu, sięgnąć po broń, pociągnąć za spust.

- Niet - szepnął Rosjanin ochryple, pobladł, a dolna warga zaczęła mu drżeć.

- Da - odrzekł Havelock. - Tylko w jeden sposób możesz mnie powstrzymać. Powiedz mi, co się stało na Costa Brava.

- Już ci mówiłem! Nic! Michael opuścił magnum i strzelił mu w udo, krew trysnęła na ścianę. Rosjanin zaczął krzyczeć i osunął się na podłogę. Havelock zatkał mu lewą ręką usta.

- Nie wcelowałem w kolano. Tym razem już nie spudłuję. Wstał i jeszcze bardziej zniżył lufę.

- Nie przestań! - wrzasnął skulony na podłodze oficer WKR, trzymając się za nogę.

Złamał się, był przygotowany na śmierć, ale nie na to, co obiecał mu Michael. - Powiem ci wszystko, co wiem.

- Każde kłamstwo będzie cię drogo kosztowało. Mam palec na spuście, celuję w prawą dłoń. Jeśli skłamiesz, możesz się z nią pożegnać.

- Mówiłem prawdę. Nie było nas wtedy na Costa Brava.

- Wasz szyfr został złamany. Waszyngton go odcyfrował. Widziałem na własne oczy.

Sam wysyłałem!

- Waszyngton nic nie odcyfrował. Ten szyfr został skasowany na siedem dni przed czwartym stycznia. Nawet jeśli wysłaliście coś, a myśmy odebrali, to nie mogliśmy zareagować. Byłoby to fizycznie niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nie było nas w ogóle w pobliżu. Dostaliśmy rozkaz wycofania się z sektora - ciągnął

Rosjanin, krztusząc się i wykrzywiając z bólu. - Wszystkie operacje w tym czasie zostały wstrzymane do odwołania. Zabroniono nam pozostawać w promieniu dwudziestu mil od plaży Montebello na Costa Brava.

- Łżesz!

- Nie - powiedział oficer WKR, przyciskając do ciała zakrwawioną nogę i wpatrując się z napięciem w Michaela. - Nie, nie kłamię. Takie rozkazy dostaliśmy z Moskwy.

CZEŚĆ DRUGA

Tej nocy w Waszyngtonie lało. Ukośne strugi deszczu, wściekle miotane przez zmienny wiatr, utrudniały obserwację zarówno kierowcom jak i pieszym. Światła reflektorów rozszczepiały się i oślepiały w nieustannie zmieniających się kątach padania. Kierowca limuzyny zmierzającej Czternastą Ulicą w stronę Wschodniej Bramy Białego Domu, nadepnął na hamulec i raptownie skręcił, żeby uniknąć zderzenia z nacierającym z przeciwka małym samochodem, którego długie światła upodobniły do olbrzymiego, atakującego owada.

W rzeczywistości jednak jechał on w przepisowej odległości, swoim lewym pasem, manewr okazał się niepotrzebny. Szofer zastanowił się, czy błąd ten zauważył któryś z jego Bardzo Ważnych Pasażerów.

- Przepraszam panów - powiedział do interkomu, jednocześnie zerkając w wewnętrzne lusterko wsteczne, w którym mógł obserwować dwóch dżentelmenów za przezroczystą przegrodą. Ale żaden z nich nie zareagował, jak gdyby jego głos nie docierał na tylne siedzenie. Spojrzał na niebieską lampkę sygnalizacyjną - świeciła się, musieli go więc usłyszeć. Za to czerwone światełko było zgaszone. O czym tak zawzięcie rozmawiali przez całą drogę - nie wiedział. System sygnalizacji świetlnej sprawdzano w garażu dwa razy dziennie, zanim on lub inny kierowca opuścili dział spedycji. Mówiono, że był tam zainstalowany mały obwód antywłamaniowy, który włączał się podczas najmniejszej próby manipulowania przy mechanizmie interkomu. Limuzyna, którą jechali Bardzo Ważni Pasażerowie, została przydzielona im przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, zaś kierowcy, którzy ją prowadzili, byli obiektem nieustannej, niesłychanie surowej kontroli ze strony służb bezpieczeństwa. Nie mogli mieć żon ani dzieci. Każdy z nich był ponadto sprawdzonym w ogniu walki żołnierzem, znał reguły wojny partyzanckiej i taktyki dywersji. Pojazdy, zaprojektowano pod kątem maksymalnego bezpieczeństwa. Okna wytrzymywały uderzenie kuli kaliber 45. W podwoziu zamontowano wyrzutnie pocisków sterowanych, a na całej długości progów umieszczono małe dysze, wyrzucające po uruchomieniu przełącznika dwa rodzaje gazu: paraliżujący, używany w razie zamieszek dla uspokojenia demonstrantów oraz prawie śmiertelną mieszaninę na bazie herbicydów, przeznaczoną dla terrorystów. Kierowcy byli zobowiązani bronić swoich pasażerów nawet za cenę życia, ponieważ ludzie ci znali tajemnice państwowe i byli najbliższymi doradcami prezydenta w sytuacjach kryzysowych.

Szofer zerknął na zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej. Było dwadzieścia po dziewiątej, od wykonania poprzedniego zlecenia minęły prawie cztery godziny. Wtedy przypuszczał, że to już na dzisiaj koniec. Jak zwykle, odczekał, aż zakończy się sprawdzanie samochodu przy użyciu urządzeń elektronicznych i wyszedł z garażu. Trzydzieści minut potem popijał drinka w restauracji przy Street i właśnie miał zamówić obiad, kiedy usłyszał przenikliwy, jednotonowy dźwięk, dobiegający z sygnalizatora umieszczonego w pojemniku przy pasku od spodni. Zadzwoił pod zastrzeżony numer Ochrony Spedycji, skąd wezwano go niezwłocznie do garażu. „Wodnik Jeden. Stan gotowości. Schodzi Skorpion”. Nie brzmiało to zbyt sensownie, ale wiadomość była klarowna: w Owalnym Gabinetcie naciśnięto guzik, doświadczeni kierowcy od tej chwili znów byli na służbie, a wszystkie poprzednie rozkłady jazdy zostały unieważnione. Kiedy ponownie znalazł się w garażu, zdziwiły go tylko dwa przygotowane do wyjazdu wozy - spodziewał się co najmniej sześciu, siedmiu długich

czarnych abrahamów. Jeden zaraz skierowano pod adres w Berwyn Heights w Marylandzie, a drugi jego - na lotnisko Andrews, gdzie miał czekać na przylot dwóch wojskowych odrzutowców z różnych wysp Archipelagu Karaibskiego. Przewidywany czas przylotów mieścił się w przedziale piętnastu minut. Obaj zabrani z lotniska pasażerowie byli w starszym wieku. Młodszy z nich przyleciał pierwszy i kierowca rozpoznał go od razu. Nazywał się Halyard, tak jak jedna z lin takielunku, mimo że reputację zyskał na lądzie. Generał porucznik Malcolm Halyard miał życiorys jak należy. Najpierw druga wojna światowa, potem Korea, Wietnam. Łysy jak kolano żołnierz rozpoczął swą karierę od dowodzenia plutonami, kompaniami we Francji i podczas forsowania Renu. Potem batalionami w Kaesong i Inchon, aż wreszcie armiami w południowowschodniej Azji, gdzie kierowca widywał go wielokrotnie w Danang. „Linokoczek” Halyard wśród wyższych oficerów armii cieszył się opinią ekscentryka: nigdy nie zwoływał konferencji prasowych, ale fotoreporterzy - zarówno wojskowi jak i cywilni regularnie spotykali go w barach, gdziekolwiek by się nie znajdował.

Uważany za błyskotliwego taktyka, był jednym z pierwszych, którzy oświadczyli Congressional Record, że Wietnam był idiotyzmem, w którym nikt nie odniósł zwycięstwa.

Odżegnywał się przy tym od reklamy z wytrwałością równą tej, jaką wykazywał na polach bitewnych, zaś owo unikanie rozgłosu zjednywało mu sympatię samego prezydenta. Generał

w stanie spoczynku został odprowadzony do limuzyny i po przywitaniu przez kierowcę, bez słowa usiadł na tylnym siedzeniu. Drugi mężczyzna przybył dwanaście minut później. Różnił

się od Halyarda, zwanego Linokoczkiem, jak orzeł różni się od lwa; obaj panowie byli jednak wspaniałymi przedstawicielami swoich gatunków. Addison Brooks, z wykształcenia prawnik, został międzynarodowym bankierem, konsultantem mężów stanu, ambasadorem, wreszcie znaczącym politykiem i doradcą prezydentów. Reprezentował arystokrację Wschodniego Wybrzeża, był zdeklarowanym anglosaskim protestantem i ostatnim z absolwentów noszących krawaty prywatnej szkoły. Do tego wizerunku należy jeszcze dorzucić błyskotliwy umysł, którego - zależnie od potrzeb - używał do okazywania współczucia, lub do miażdżącej argumentacji. Przetrwał wszystkie polityczne kryzysy, wykazując takie samo opanowanie i inicjatywę, jakimi Halyard odznaczał się na polu bitewnym. Podsumowując, obaj mogli iść na kompromisy z realiami, ale nigdy z zasadami. Oczywiście nie był to własny osąd kierowcy, przeczytał o tym na politycznej kolumnie w „Washington Post”, gdzie analizowano sylwetki dwóch doradców prezydenta. Ambasadora wozili kilkakrotnie i zawsze pochlebiali mu, że Brooks pamiętał jego imię i wygłaszał osobiste uwagi w rodzaju: „Do diabła Jack, czy ty nigdy nie przybierasz na wadze? Moja żona każe mi pić dżin z jakimś okropnym dietetycznym sokiem owocowym”. Kryło się w tym powiedzeniu wiele przesady, bo ambasador był wysokim, szczupłym mężczyzną o srebrnych włosach, orlim profilu i starannie przystrzyżonych wąsach, które upodobiały go raczej do Anglika niż Amerykanina.

Jednakże tego wieczoru na Andrews Fields obyło się bez przyjacielskich pozdrowień i dowcipów. Kiedy kierowca otwierał przed nim tylne drzwi, ambasador ledwie skinął z roztargnieniem głową i zatrzymał się na chwilę. Po czym, gdy jego wzrok napotkał spojrzenie siedzącego w środku generała, padło tylko jedno słowo. - Parsifal - powiedział ambasador niskim, ponurym głosem. Po chwili Brooks zajął miejsce obok Halyarda i obaj mężczyźni wymienili kilka zdań, często na siebie spoglądając, jak gdyby chcieli zadać pytanie, na które żaden z nich nie znał odpowiedzi. Kierowcy

zerkającymemu we wsteczne lustерko, zdawało się, że zarówno dyplomata jak i żołnierз w milczeniu patrzą przed siebie. Bez względu na to jaki kryzys sprowadził ich z Wysp Karaibskich do Białego Domu, nie dyskutowali teraz na ten temat. Gdy samochód skręcił w krótką aleję prowadzącą do wartowni przy Wschodniej Bramie, szofer coś sobie nagle przypomniał. Jak wielu chłopaków, którzy w szkolnych czasach lepiej radzili sobie na boisku, niż w klasach czy laboratoriach, za namową swojego trenera brał udział w zajęciach umuzykalniających. I choć większość utworów do niego nie przemawiała, wciąż pamiętał... Parsifal to tytuł opery Wagnera. Kierowca Abrahama Siedem zjechał z Kenilworth Road w dzielnicę rezydencyjną Berwyn Heights w Marylandzie. Był tu już dwukrotnie, dlatego też dziś wieczorem przydzielono mu ten kurs, nie zwracając uwagi na jego prośbę, by nie musiał ponownie wozić podsekretarza stanu Emory'ego Bradforda. Kiedy w dyspozytorni ochrony zapytano go o powody, potrafił tylko odpowiedzieć, że go nie lubi.

- Nas chłopcze naprawdę nie interesuje, kogo lubisz, a kogo nie - brzmiała odpowiedź.

- Po prostu dobrze wykonuj swoją robotę.

Praca - właśnie o nią tu chodziło. Jeżeli w jej zakres wchodziła obrona życia Bradforda, nawet za cenę utraty własnego, nie był pewien czy spełniłby ten obowiązek.

Piętnaście lat temu zimny analityk Emory Bradford był jednym z najlepszych, błyskotliwych młodych pragmatyków nowego pokolenia, roztrącający przeciwników z prawa i lewa podczas wyścigu do władzy. Tragedia w Dallas w najmniejszym stopniu nie zwolniła tempa tego wyścigu, żałobę szybko zastąpiło przystosowanie się do zmienionej sytuacji. Naród amerykański był w niebezpieczeństwie i ludzie obdarzeni zdolnością do rozumienia agresywnej natury partyjnego komunizmu, musieli stawić mu czoła i zgromadzić wokół

siebie odpowiednie siły. Beznamiętny Bradford o zaciśniętych ustach, błyskawicznie przeistoczył się w gwałtownego jastrzębia. Wtedy on, krzepki chłopak z farmy w Idaho z entuzjazmem odpowiedział na wezwanie. Tak, to była jego osobista deklaracja, przeciw długowłosym wariatom, którzy palili flagi i karty powołania, którzy pluli na przyzwoitość i Amerykę. Osiem miesięcy później chłopak z farmy znalazł się w dżungli i widział jak rozwalają jego przyjaciół. Widział jak oddziały Arvina uciekają z pola walki, a ich dowódcy sprzedają karabiny, dzipy i całe wyposażenie batalionu. Wreszcie pojął to, co było jasne dla wszystkich, z wyjątkiem Waszyngtonu i Dowództwa w Sajgonie. Tak zwane ofiary, tak zwanych bezbożnych dzikusów, wszystko to miały dokładnie gdzieś, z wyjątkiem własnej skóry i forsy. To właśnie oni pluli na wszystko i palili to, czego nie udawało się wymienić lub sprzedać. I śmiali się. Jezu, jak oni się śmiali! A ich tak zwani wybawcy, dzieciaki o rumianych twarzach, z szeroko otwartymi oczami brały na siebie ogień, wpadały na miny, urywało im głowy, ramiona, nogi. A potem stało się. Emory Bradford - oszalały jastrząb z Waszyngtonu doznał nagłego olśnienia. Pojawił się przed komisją senacką i w błyskotliwym wystąpieniu publicznym, bijąc się w piersi, oznajmił narodowi, że coś poszło nie tak, że wspaniali eksperci - włączając w to również i siebie - pomylili się okropnie, i że konieczny jest natychmiastowy odwrót. W ten oto sposób gwałtowny jastrząb przeistoczył się w łagodnego gołębia. A na dodatek, po tych słowach otrzymał owację na stojąco! W tym samym czasie, gdy dżungla zasłana była porzucanymi głowami, ramionami, nogami, a chłopak z farmy w Idaho, wychodził ze skóry, bo nie chciał umierać

jako jeniec wojenny...

Owacja na stojąco, niech to szlag! Nie, panie Emory Bradford, nie oddam za pana swojego życia. Nie umrę dla pana - już nie. Za idealnie przystrzyżonym trawnikiem, który obiecywał

kryty basen i kort tenisowy, stał wielki, trzypiętrowy dom w kolonialnym stylu. Trzeba przyznać, że Bradford umiał korzystać z życia! Chłopiec z farmy w Idaho zastanawiał się jak podsekretarz stanu Emory Bradford zachowałby się w klatce na rzece rojącej się od szczurów wodnych, gdzieś w delcie Mekongu. Do diabła, zapewne nienagannie. Kierowca sięgnął pod tablicę rozdzielczą i wyciągnął schowany mikrofon. Nacisnął guzik i powiedział:

- Abraham Siedem do dyspozytora.

- Słucham cię, Abraham Siedem.

- Jestem na miejscu. Proszę powiadomić przesyłkę przez telefon.

- Już się robi, Siedem. Dobra koordynacja. Ty i Abraham Cztery powinniście dojechać do Wodnika w tym samym czasie. - Miło to słyszeć. Staramy się.

Trójka mężczyzn zjechała windą na dół. Dwaj starsi byli nieco zdziwieni, że konferencja odbędzie się w jednym z podziemnych pokoi sztabowych, a nie w Owalnym Gabinetcie. Wyglądało na to, że podsekretarz stanu, który trzymał w ręku teczkę, zna powód tej decyzji. Oczywiście chodziło o wyposażenie podziemi. Zainstalowano tam komputery, projektory wyświetlające tekst i przeźrocza na olbrzymim ściennym ekranie, oraz rozmaite skomplikowane urządzenia, które łączyły Biały Dom praktycznie z dowolnym punktem na świecie i maszyny obliczeniowe, odsiewające fakty spośród tomów bezużytecznych informacji. Jednak cały ten wyrafinowany sprzęt był - jak dotąd - nie wykorzystany. Chyba, żeby nastąpił zasadniczy przełom. Czyżby właśnie nastąpił? Zastanawiali się starsi doradcy, spoglądając po sobie. Wezwanie od prezydenta sugerowało raczej coś wręcz przeciwnego.

Tajemnicze „Skorpion schodzi na dół” oznaczało prawie katastrofę. Kiedy wreszcie winda osiągnęła dolny poziom, trzech mężczyźni zgodnie ruszyli do wskazanego pokoju, na spotkanie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prezydent Berquist krótko przywitał się z każdym, a to już coś znaczyło. Oziębłość nie leżała bowiem w naturze krępego mieszkańca Minnesoty. Był

twardy, tak, nawet bardzo - ale nie oziębły. Wyglądało na to, że prezydent bał się.

Niecierpliwym gestem wskazał na stół konferencyjny w kształcie podkowy, ustawiony na podwyższeniu w końcu pokoju, naprzeciwko oddalonego o dziesięć metrów ekranu ściennego, na którym wyświetlano przeźrocza. Trzej mężczyźni wraz z prezydentem zajęli miejsca, a przed każdym z nich zainstalowano lampkę na opuszczanym ramieniu, oświetlającą notes. Po prawej ręce Berquista siedział Addison Brooks, po lewej generał

Halyard, a najmłodszy z nich - Emory Bradford z tyłu, tak, by mógł zwracać się do całej trójki. W tej „kolejności dziobania” tkwiła cała logika: większość pytań skierowana będzie do Bradforda, on z

kolei może je zadawać każdemu, kto zostanie wezwany na przesłuchanie.

Między stołem w kształcie podkowy, a ekranem, stał mniejszy, prostokątny stół i dwa obrotowe fotele, umożliwiające nowo przybyłym obserwację zdjęć wyświetlanych na ekranie.

- Wygląda pan na zmęczonego, panie prezydencie - powiedział Brooks, kiedy wszyscy już usiedli i ustawili lampy.

- Jestem zmęczony - przyznał Berquist. - Przepraszam, że ściągnąłem ciebie i Mala w taką parszywą pogodę.

- Jeżeli już uważał pan za właściwe wezwać nas tutaj zauważył poważnym głosem Halyard - to powiedziałbym, że w tej sytuacji pogoda jest najmniejszym problemem.

- Masz rację - Berquist nacisnął guzik zainstalowany na stole po jego lewej stronie. -

Pierwsze przeźrocze, proszę. Górne oświetlenie zgasło, paliły się tylko lampki. Na ekranie pojawiły się fotografie czterech mężczyzn.

- Znacie któregoś z tych ludzi? - zapytał Berquist i pośpiesznie dodał: - tego pytania nie kieruję do Emory'ego. On zna ich wszystkich. Ambasador i generał zerknęli na Bradforda i przenieśli wzrok na fotografie. Zaczął Addison Brooks.

- Człowiek w prawym górnym rogu nazywa się Stern. Zdaje mi się, że David albo Daniel Stern. Pracuje dla rządu, prawda? To jeden ze specjalistów z Europy. Bystry, analityczny umysł i zarazem fajny gość.

- Tak - potwierdził cicho Berquist. - A ty, Mal? Rozpoznajesz kogoś?

- Nie jestem pewien - odparł emerytowany generał, zmrużonymi oczyma wpatrując się w ekran. - Ten, w prawym dolnym rogu, poniżej Sterna. Chyba już go gdzieś widziałem.

- Zgadza się, widział pan - potwierdził Bradford. - Pracował w Pentagonie.

- Nie mogę sobie tylko przypomnieć munduru ani stopnia. - Bo ich nie miał. Jest lekarzem, miał kilka referatów podczas dyskusji panelowych na temat zaburzeń psychicznych u jeńców wojennych. Brał pan chyba w kilku udział.

- Tak, oczywiście. Teraz sobie przypominam. Jest psychiatrą. - To jeden z czołowych autorytetów w dziedzinie zachowań w sytuacjach stresowych - powiedział Bradford patrząc na dwóch pozostałych mężczyzn.

- Co to takiego? - zapytał pośpiesznie ambasador zachowania w sytuacjach stresowych? Termin ten zdziwił doradców. Stary żołnierz pochylił się do przodu.

- Czy istnieje jakiś związek? - zażądał wyjaśnień od podsekretarza.

- Z Parsifalem?

- A kogo innego miałbym na myśli? Czy zatem istnieje związek?

- Istnieje, ale nie w tym rzecz.

- A w czym? - zapytał żywo Brooks.

- Istotna jest specjalizacja Millera, bo tak się ten facet nazywa. Dr Paul Miller. Nie sądzimy jednak, żeby jego powiązania z Parsifalem miały cokolwiek wspólnego z badaniami nad stresem. - Dzięki Bogu - wymamrotał generał.

- A więc o jaki związek chodzi? - naciskał niecierpliwie starszy dyplomata.

- Czy mogę, panie prezydencie - zapytał Bradford, wpatrując się w zwierzchnika sił

zbrojnych. Berquist skinął w milczeniu głową, a podsekretarz odwrócił się ku ekranowi i fotografiom. - Dwaj ludzie po lewej, z góry i u dołu, to John Philip Ogilvie i Victor Alan Dawson.

- Dawson jest prawnikiem - przerwał Addison Brooks. - Nigdy go nie widziałem, ale czytałem wiele jego raportów. Doskonale sprawdza się podczas międzynarodowych negocjacji i jak mało kto zna się na prawnych niuansach innych krajów.

- Doskonale - zgodził się cicho prezydent.

- Drugi z mężczyzn - ciągnął pośpiesznie Bradford - był nie gorszym ekspertem w swojej dziedzinie. Przez prawie dwadzieścia lat służby miał opinię jednego z bardziej znanych taktyków, jeżeli chodzi o tajne operacje. Użycie przez podsekretarza czasu przeszłego nie uszło uwagi obu doradców. Spojrzeli najpierw po sobie, a potem na prezydenta Berquista.

- Nie żyją - powiedział prezydent, podnosząc prawą dłoń do czoła i nerwowo pocierając brwi. - Wszyscy. Ogilvie zginął cztery dni temu w Rzymie od przypadkowej kuli.

Pozostali zostali zamordowani tutaj. Dawson i Stern razem, a Miller, w tym samym czasie dwadzieścia mil dalej. Ambasador pochylił się do przodu z oczyma wpatrzonymi w ekran.

- Czterech ludzi - powiedział zaniepokojony. - Ekspert od spraw europejskich i polityki, prawnik, którego praca niemal w całości poświęcona była prawu międzynarodowemu, tajny agent z wieloletnim doświadczeniem taktycznym oraz psychiatra -

czołowy specjalista od zachowań w sytuacjach stresowych.

- Dziwna kolekcja - podsumował stary żołnierz.

- Są ze sobą powiązani, Mal - powiedział Brooks. - Łączyło ich coś wcześniej, nim pojawił się Parsifal. Mam rację, panie prezydencie?
- Niech Emory to wytłumaczy, skoro to na nim spocznie cały ciężar odpowiedzialności - odparł Berquist. Po twarzy Bradforda widać było, że chętnie udzieli wyjaśnień, ale jeśli chodzi o odpowiedzialność, to winna zostać podzielona.
- Ci ludzie byli sztabowcami w Operacjach Konsularnych powiedział wolnym i spokojnym głosem.
- Costa Brava! - nazwa hiszpańskiego wybrzeża eksplodowała cichym szeptem w ustach ambasadora.
- Przeanalizowali całą akcję i dotarli do nas. Ale zapłacili za to. W oczach generała pojawił się wyraz gniewnej akceptacji. - Tak - zgodził się Bradford. - Nie wiemy tylko, jak do tego doszło.
- Jak zostali zabici? - zapytał Halyard.
- To wiemy - odparł podsekretarz. - W profesjonalny sposób. Decyzję podjęto błyskawicznie.
- A więc czego pan nie rozumie? - wtrącił zirytowany Brooks. - Związku z Parsifalem.
- Powiedział pan przecież, że był jakiś związek - naciskał doświadczony polityk. - Był więc, czy go nie było?
- Musi być. Po prostu nie możemy zrozumieć... - ciągnął Bradford.
- To ja pana nie mogę zrozumieć - przerwał generał Halyard. - Zacznijmy od początku, Emory - wtrącił się prezydent. - Od tego co uważasz za początek. Od Rzymu.
- Pięć dni temu sztabowcy odebrali depezę z symbolem pierwszeństwa nadaną przez naszego łącznika w Rzymie, pułkownika Baylora - nazwisko operacyjne Brown.
- Larry'ego Baylora?
- Tak, panie generale.
- Świetny oficer. Dajcie mi dwudziestu czarnuchów takich jak on i możecie rozwiązać Szkołę Wojenną.
- Pułkownik Baylor jest czarnoskóry, panie ambasadorze. - Udało mi się to pojąć, panie podsekretarzu.
- Na miłość boską, Emory - jęknął Berquist.
- Tak jest, panie prezydencie. Kontynuuję. Depesza pułkownika Baylora dotyczyła spotkania, które

niał - Bradford zawiesił głos i niechętnie wypowiedział nazwisko - z Michaelem Havelockiem.

- Costa Brava - mruknął cicho generał.

- Parsifal - dodał Brooks. - Ale Havelock był wyłączony z gry. Po badaniach w klinice, każdy jego ruch był dokładnie obserwowany, testowany. Nie znaleziono nic, absolutnie nic. - Nawet mniej niż nic - zgodził się członek rządu. - Przyjął posadę kontraktowego profesora na Concord University w New Hampshire i pod każdym względem był wyłączony z roli agenta. - Co się wobec tego zmieniło? - zapytał Halyard. - Co zmieniło status Havelocka? Bradford znów przerwał, a ponowna odpowiedź przyszła mu z trudem.

- Karas - powiedział półgłosem. - Pojawiła się. Zobaczył ją w Rzymie. Cisza, która zapadła przy stole, uwidoczniła rozmiary szoku zebranych. Rysy twarzy dwóch starszych mężczyzn stężały, dwie pary oczu wbiły się w podsekretarza, który przyjął spojrzenia z niewzruszonym spokojem. Wreszcie ambasador wykrztusił z siebie: - Kiedy to się stało?

- Dziesięć dni temu.

- Dlaczego nie zostaliśmy o tym powiadomieni, panie prezydencie? - zapytał Brooks, wciąż wpatrując się w Bradforda. - Z całkiem prostego powodu - odparł podsekretarz, zanim prezydent zdążył otworzyć usta. - Ja nie zostałem poinformowany. - To niepojęte!

- Tego nie można tolerować - dodał ostro emerytowany generał. - Czym wy tu, u diabła, kierujecie?

- Niesłychanie sprawną organizacją, która błyskawicznie zareagowała na impuls. W

tym przypadku możliwe, że zbyt gwałtownie.

- Proszę to wyjaśnić - rozkazał Halyard.

- Ci czterej ludzie - powiedział Bradford, wskazując sztabowców na ekranie - byli ponad wszelką wątpliwość przekonani, że Karas została zabita w Costa Brava. Czy mogli zresztą myśleć inaczej? Rozegraliśmy to do samego końca, dopilnowaliśmy najdrobniejszych szczegółów. Havelock był świadkiem jej śmierci, mieliśmy też inne dowody w postaci splamionego krwią ubrania. Chcieliśmy uniknąć jakichkolwiek wątpliwości: nikt ich nie miał, a już w najmniejszym stopniu agent Havelock.

- Ale Karas pojawiła się cała i żywa - upierał się Halyard. Twierdzi pan, że ją widział.

Przypuszczam, że depesza pułkownika Baylora zawierała właśnie tę informację.

- Tak, zgadza się!

- W takim razie, dlaczego natychmiast o tym nie zameldowano? - zapytał Brooks.

- Bo oni w to nie uwierzyli - odpowiedział Bradford. Pomyśleli, że Havelock zwariował, że ma

halucynacje. I dlatego wysłali Ogilwiego do Rzymu, co chyba najlepiej świadczyło o tym, jak serio potraktowali całą tę sytuację. Baylor zeznał, że Ogilvie mówił mu o załamaniu nerwowym Havelocka, o jego przywidzeniach, wywołanych przez głęboko ukrywaną w podświadomości wrogość i lata spędzone w stresie. Po prostu jego umysł nie wytrzymał i eksplodował.

- Tak też sądził Miller - przerwał prezydent. - To jedyne wytłumaczenie, które może przyjść do głowy.

- Stan Havelocka nagle się pogorszył, zagroził nawet, że ujawni dawne i aktualnie prowadzone tajne operacje, jeżeli nie otrzyma interesujących go wyjaśnień. To skompromitowałoby nas w całej Europie! I żeby uświadomić nam, do czego jest zdolny, wysłał już nawet niebezpieczne depeche. Sztabowcy potraktowali go bardzo serio. Ogilvie był

w Rzymie po to, by sprowadzić Havelocka z powrotem, albo... go zabić.

- Zamiast tego, sam zginął - powiedział generał.

- Bo doszło do tragicznego wypadku. Pułkownik Baylor ubezpieczał spotkanie Ogilwiego z Havelockiem na Wzgórzu Palatyńskim i wszystko dokładnie opisał w raporcie.

Kiedy obydwaj agenci zaczęli się kłócić, Ogilvie przedwcześnie użył miotacza gazu paraliżującego, a gdy ten zawiódł, Havelock sięgnął po broń. Baylor zeznaje, że czekał do ostatniej chwili. Ale ponieważ wszystko wskazywało na to, że Havelock chce zabić Ogilwiego, nacisnął spust. W tym samym momencie Ogilvie rzucił się na Havelocka i padł

trafiony kulą od Baylora.

- I to były te usprawiedliwione okoliczności, panie prezydencie? - zapytał Brooks.

- Tylko tytułem wyjaśnienia, Addisonie.

- Naturalnie - zgodził się Halyard i skinął głową, patrząc na Bradforda. - Jeśli tak napisał Larry Baylor, nie potrzebuję zaglądać do raportu. Jak on sam to przyjął? Ten czarnuch nie lubi przegrywać, ani partolić roboty.

- Został poważnie zraniony w prawą dłoń. Ma strzaskane kostki i chyba nigdy już nie będzie mógł nią władać tak sprawnie, jak przedtem. Naturalnie ograniczy to zakres jego działalności. - Nie spychajcie go na boczny tor - to byłoby okrutne. Dajcie mu robotę w dziale nadzoru operacyjnego.

- Przekażę pańską sugestię Pentagonowi, generale.

- Wróćmy do sztabowców z Operacji Konsularnych - powiedział Addison Brooks. -

Wciąż nie jest dla mnie jasne, dlaczego nie zameldowali o informacjach otrzymanych od pułkownika Baylora, a zwłaszcza o motywach kierujących Havelockiem. Chodzi mi o te

„niebezpieczne depesze” - chyba takiego określenia pan użył. A tak na marginesie, jak bardzo były one niebezpieczne?

- Określenie „alarmujące” byłoby lepsze; „fałszywie alarmujące” bardziej adekwatne.

Jedna z depesz dotarła aż tutaj, Havelock użył aktualnego szyfru o priorytecie 1600, donosząc, że w Białym Domu jest głęboko zakonspirowany agent radziecki. Inną nadesłał do Komisji Nadzoru Kongresu, a z jej treści wynikało, że w amsterdamskiej placówce CIA panuje korupcja. W obu przypadkach użycie szyfru i wymienione w Amsterdamie nazwiska pozwoliły władzom na zidentyfikowanie nadawcy.

- Czy znaleziono coś istotnego? - zapytał generał. - Nic. Ale reakcje nie były jednoznaczne. Sztabowcy doszli do wniosku, że mogło być gorzej.

- To jeszcze jeden powód, dla którego powinni zameldować o motywach takiego postępowania Havelocka - upierał się Brooks. - Może komuś zameldowali - cicho odpowiedział Bradford. Dojdziemy i do tego.

- Dlaczego wszyscy zostali zabici? Jaki mieli związek z Parsifalem? - Generał zniżył głos. - Z Costa Brava?

- To my wymyśliliśmy Costa Brava, Mal - oznajmił prezydent. - Ale o tym też powinniśmy opowiedzieć po kolei. Tylko w ten sposób znajdziemy może jakiś sens... O ile tu w ogóle jest jakiś sens.

- To się nie powinno wydarzyć - wtrącił siwowłoso Brooks. Nie mieliśmy prawa.

- Nie mieliśmy wyboru, panie ambasadorze - powiedział Bradford, nachylając się do przodu. - Sprawę przeciwko Jennie Karas zmontował sekretarz stanu Anthon Matthias. Jej celem było, o ile udało nam się ustalić, usunięcie Havelocka ze służby, ale tego nie możemy być do końca pewni. Obydwaj przecież przyjaźnili się od wielu lat, a ich powiązania rodzinne sięgały czasów Pragi. Czy Havelock odgrywał jakąś rolę w planie Matthiasa? Czy był

graczem, ochoczo wypełniającym rozkazy i celowo zachowującym się w ten sposób, czy może raczej nieświadomą niczego ofiarą strasznej manipulacji? Musimy się tego dowiedzieć.

- Dowiedzieliśmy się - zaprotestował z oburzeniem, nie podnosząc jednak głosu, Addison Brooks. - W klinice w Virginii. Wypróbowano na nim wszystkiego, co mają do zaoferowania w tej dziedzinie lekarze i laboratoria. On absolutnie niczego nie wiedział. Jak już pan to wcześniej powiedział, wróciliśmy do początkowego scenariusza, dosłownie macając w ciemności. Dlaczego Matthias chciał go wyeliminować? Na to pytanie nie znamy odpowiedzi i może już nigdy jej nie poznamy. Kiedy to sobie uświadomiliśmy, trzeba było powiedzieć Havelockowi prawdę. - Nie mogliśmy - podsekretarz odchylił się w fotelu do tyłu. - Jenna Karas zniknęła, nie mieliśmy pojęcia czy w ogóle żyje. W takiej sytuacji Havelock mógłby zadać pytania, które nie powinny paść poza Ovalnym

Gabinetem, lub pomieszczeniem takim jak to, w którym się znajdujemy.

- Gdyby te pytania dostały się do wiadomości publicznej dodał prezydent Stanów Zjednoczonych - w ciągu kilku godzin mogłyby doprowadzić świat do wojny atomowej.

Jeżeli Związek Radziecki i Chiny dowiedziałyby się, że nasz rząd nie panuje nad sytuacją, z obu półkul wystartowałyby międzykontynentalne rakiety balistyczne, a tysiące łodzi podwodnych przygotowywały się do drugiego taktycznego uderzenia. To byłoby unicestwienie. Zapadła cisza.

- Chciałbym, żeby panowie spotkali się z pewnym człowiekiem - odezwał się w końcu Bradford. - Kazałem sprowadzić go z przełęczy alpejskiej Col des Moulinets. Pracuje dla nas w Rzymie. -
Wojna atomowa - wyszeptał prezydent, naciskając guzik na wielkim półkolistym biurku i ekran zgasł.

Havelock przekreślił siedemnaste i osiemnaste nazwisko na liście, odwiesił słuchawkę wiszącego na ścianie aparatu telefonicznego i wyszedł z nędznej kafejki na Montmartrze.

Pozwalał sobie tylko na dwie rozmowy z jednego automatu. Nowoczesne wykrywacze elektroniczne są w stanie zlokalizować rozmówcę w ciągu kilku minut. Gdyby któryś z numerów był połączony z urządzeniami w amerykańskiej ambasadzie, z równym powodzeniem mógłby zadzwonić do paryskiej placówki Operacji Konsularnych i uzgodnić moment własnej egzekucji. A więc tylko dwa połączenia z każdego aparatu, oddalonego od swojego poprzednika o co najmniej sześć przecznic. Żadna z rozmów nie dłuższa, niż dziewięćdziesiąt sekund. Miał za sobą już połowę listy, ale teraz pozostałe nazwiska musiały poczekać. Dochodziła dziewiąta. Krzykliwe światła Montmartre'u zalewały ulice oszalałą eksplozją kolorów, współgrających z gwarem dobiegającym z knajpek. Havelock miał

spotkanie z Gravetem, wyznaczone w alejce przy rue Norvins. Całe popołudnie znany krytyk sztuki spędził w swoim dziwnym świecie, szukając kogoś, kto wiedziałby cokolwiek o Jennie Karas. Tym samym, ale na swój sposób zajął się Michael. Na początek odebrał swoje ubrania ze skrytki w metrze, kupił podstawowe przybory toaletowe, notes, pióro kulkowe i wynajął

pokój w tanim hotelu za rogiem, tuż obok La Couronne Nouvelle. Zakładał, że jeśli ranny oficer WKR wezwał pomoc, nie przyjdzie mu do głowy wysłać grupę pościgową na ulicę.

Havelock ogolił się, wykąpał i leżał teraz na zdezelowanym łóżku. Jego ciało wypoczywało, ale umysł pracował bez przerwy. Cofał się w czasie, porządkował wspomnienia i przywoływał każdą chwilę, którą spędził z Jenną w Paryżu. Do tego problemu podszedł w sposób akademicki, niczym absolwent uniwersytetu, który śledzi chronologiczny rozwój wydarzeń w burzliwym okresie historii. On i Jenna, Jenna i on. Gdzie byli, co widzieli, z kim rozmawiali - wszystko w kolejności zdarzeń. Wszystkie miejsca przyporządkował przyczynie, dla której tam się znaleźli. Każda znacząca twarz otrzymywała nazwisko, a jeśli go zabrakło, tożsamość osoby, znanej obojgu. Po dwóch godzinach i czterdziestu minutach rozmyślań usiadł, wziął do ręki notes i pióro, które położył na krześle obok łóżka i zabrał się do układania swojej listy. Po trzydziestu minutach była kompletna - na ile pozwoliła mu na to pamięć. Havelock rozluźnił się i ponownie ułożył na łóżku, wiedząc że nadejdzie tak potrzebny sen. Miał pewność, że nie zaśpi, bo budzik w jego głowie zadzwoni o zmroku.

Zadzwonił. Kilka minut potem był już na ulicy i rozpoczął wędrówkę od jednej budki telefonicznej do drugiej, od jednej kafejki z wywieszką t l phone do kolejnej, uważając, by każdy aparat telefoniczny był odległy od drugiego co najmniej o sześć przecznic. Podczas rozmów szybko, lecz jakby mimochodem przechodził do rzeczy. Nadstawiał czujnie ucha, by wyłowić u rozmówcy wymowną oznakę zaniepokojenia. Początek miał zawsze taki sam: w południe miał się spotkać z Jenną w barze Maurice'a - oboje przylecieli do Paryża z różnych miast - ale jego samolot spóźnił się kilka godzin. Jako że Jenna wielokrotnie wspominała o rozmówcy - w domyśle „z sympatią” - Michael pomyślał, że zadzwoniła, szukając na wieczór towarzystwa w mieście, którego prawie nie znała. Większość rozmówców była nieco zdziwiona telefonem od Havelocka, a zwłaszcza swobodą z jaką opowiadał swoją historię.

Ogarniało ich jeszcze większe zdumienie po uwadze, że Jenna Karas zapamiętała ich nazwiska, o wiele mniej dziwiła ich wspomniana sympatia, choć w większości przypadków były to przelotne znajomości. Nie pojawiła się jednak najmniejsza oznaka wahania, poza naturalną dozą rezerwy wobec nieoczekiwanego zdarzenia. Osiemnaście nazwisk. I nic. Gdzie jest? Co robi? Nie mogła ukryć się w półświatku Paryża, zawsze mógł ją tam znaleźć, musiała o tym wiedzieć. Chryste, Jenna, gdzie jesteś? Michael doszedł do rue Ravignan i zaczął

wspinać się na wzgórze Montmartre, mijając stare, ciemne domy, w których mieszkały niegdyś słynne postaci i po wyjściu na mały Place Clement, ruszył rue Norvins. Ulica była zatłoczona, knajpki wypełniali stali bywalcy, należący do podrabianej bohemy, która po zakończeniu przedstawienia dla turystów, wracała do domu, by przeliczyć utarg. Opisaną przez Graveta uliczkę znalazł tuż przed wąską rue des Saules. Kiedy wchodził w ciemną i pustą uliczkę między budynkami z cegły, jego prawa dłoń instynktownie wsunęła się w rozcięcie marynarki, w stronę pasa, gdzie wyczuwał toporny kształt magnum. Gravet spóźniał

się, choć nigdy nie tolerował u siebie takiej niegrzeczności. Co się stało? W mętym świetle ulicy, Michael dostrzegł mroczną sień, oparł się o mur, wyjął papierosa i zapalił zapałkę.

Trzymając w dłoniach płomyk, przypominał sobie Wzgórze Palatyńskie, kartonowe pudełko zapałek i człowieka, który nie chciał go zabić, lecz ocalić mu życie. Mężczyznę, który zmarł

dosłownie kilka chwil później, wiedząc, że zdrada zakradła się na najwyższe szczeble jego rządu. Na rue Norvins doszło do jakiejś scysji, spięcia między dwoma mężczyznami, którzy zderzyli się na chodniku. Wysoki szczupły człowiek wyprostował się na chwilę, wyrzucając z siebie potok francuskich przekleństw. Jego o wiele młodszy i bardziej krępy przeciwnik, poważnym tonem wygłosił opinię o przodkach rozmówcy i ruszył w swoją stronę. Obrażony wygładził klapy marynarki, skrzył w lewo i zagłębił się w uliczkę. To był Gravet, który pojawił się nie bez charakterystycznego dla siebie łan.

- Merde! - zaklął krytyk, na widok przechodzącego z cienia w mgliste światło Havelocka. - To przez te ich parszywe, łachmaniarskie kurtki wojskowe! Od razu widać, że ślinią się podczas jedzenia i mają żółte zęby. Jeden Bóg wie, kiedy po raz ostatni zażyli kąpieli albo odezwali się w kulturalny sposób. Przepraszam za spóźnienie.

- Tylko kilka minut. Właśnie przyszedłem.

- Spóźniłem się. Miałem zamiar być na rue Norvins pół godziny temu, żeby sprawdzić czy nikt za tobą nie idzie.

- Nie szedł.

- Racja, wiedziałbyś o tym, prawda?

- Wiedziałbym. Co cię zatrzymało?

- Mój młody przyjaciel, który pracuje w katakumbach Quai d'Orsay.

- Cóż za szczerłość.

- A ty sobie to opacznie tłumaczysz. - Gravet podszedł do ściany i rozejrzał się, spoglądając na oba wyloty uliczki. Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Dłonie złożył poniżej bioder, trzymając łokcie na zewnątrz, niczym teatralny ksiądz przed kazaniem.

- Kiedy zadzwoniłeś do mnie z La Couronne Nouvelle w sprawie twoich interesów, a tak na marginesie ci powiem, że nie byłem pewny, czy ci się to uda, skontaktowałem się z wszelkimi przychodzącymi mi na myśl źródłami, które wiedziałyby coś o samotnej kobiecie w Paryżu, szukającej dokumentów lub dyskretnego przerzutu. Niestety, nikt nie był w stanie mi pomóc. To niepojęte! Istnieje przecież niewiele środowisk zajmujących się takimi sprawami i prawie o wszystkich wiem. Zajrzałem nawet do włoskiej dzielnicy, przyjmując że obstawa kobiety z Col des Moulinets podała jej jakiś kontakt... i nic. Wtedy olśniło mnie.

Dlaczego to musi być nielegalnie? Może prowadziłem poszukiwania w niewłaściwych kręgach? Przecież mogła szukać pomocy u bardziej oficjalnych instytucji. Mimo wszystko była doświadczonym agentem operacyjnym. Musiała znać ludzi, lub przynajmniej wiedzieć o nich w zaprzyjaźnionych rządach. Choćby za twoim pośrednictwem. - W Quai d'Orsay.

- Naturellement. Ale raczej w podziemiach, katakumbach, gdzie dyskretnie działają pewnego rodzaju instytucje usługowe. - Jeżeli tak, to nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Spotykałem wielu ludzi z ministerstwa, ale nigdy nie słyszałem o katakumbach.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych nazywa je Centrum Wymiany. Twój własny Departament Stanu określa je mniej subtelnie Wydziałem Transferów Dyplomatycznych.

- Immunitety - powiedział Havelock. - Znalazłeś coś? - Mój młody przyjaciel spędził

ostatnie kilka godzin na poszukiwaniach. Poinformowałem go, że na szczęście chodzi o wąski wycinek czasowy. Jeżeli coś wydarzyło się, to dzisiaj. Tak więc pod jakimś pretekstem wrócił

po lunchu do swojej małej jaskini i przejrzał kopie dzisiejszych zleceń Wydziału Bezpieczeństwa. Chyba coś znalazł, ale nie jest całkiem pewny - ja zresztą też. Może to być jednak punkt zaczepienia.

- Co to takiego?

- Dziś rano o dziesiątej czterdzieści pięć z Minist re des Affaires Etrang res nadeszło polecenie sporządzenia nowej tożsamości. Obiekt: biała kobieta, tuż po trzydziestce, języki: czeski, rosyjski, serbo-chorwacki. Fałszywe nazwisko i nowe personalia potrzebne bez zwłoki. Zdaję sobie sprawę, że są tuziny...

- Jaka sekcja ministerstwa? - przerwał mu Havelock. - Czwarta.

- Regine Broussac - powiedział Havelock. - Madame Regine Broussac. Pierwszy sekretarz wicedyrektora Czwartej Sekcji. - Zgadza się. Na zleceniu widnieje jej nazwisko i podpis. - Na mojej liście zajmuje dwudzieste dziewiąte miejsce. Mam na niej trzydzieści jeden nazwisk. Prawie rok temu spotkał się ją, a właściwie ja ją spotkałem na ulicy.

Rozmawialiśmy przez jakieś kilkadziesiąt sekund. Ledwo zdążyłem jej przedstawić Jennę. To się nie trzyma kupy ona w ogóle jej nie zna.

- Czy istniał, jakiś godny uwagi powód do tamtego spotkania? - Tak sędzę. Jeden z ich ludzi w ambasadzie francuskiej w Bonn okazał się podwójnym agentem, i od czasu do czasu podróżował na wschód przez Luckenwalde. Znaleźliśmy go po niewłaściwej stronie muru berlińskiego. Na spotkaniu tajnych służb.

- Spadkobierca SS, a teraz „śpioch” Moskwy. Powiedziałbym, że to całkiem godny uwagi powód. - Gravet przerwał i rozłączył dłonie. - Ta Broussac to starsza dama, prawda?

Bohaterka Resistance?

- Tak. Wraz ze swoim mężem wpadła w ręce gestapo, a to nie należało do przyjemności.

- Ale ona przetrwała.

- Tak.

- Czy przypadkiem nie opowiedziałeś o tym swojej przyjaciółce? Havelock usiłował to sobie przypomnieć. Zaciągnął się papierosem, rzucił go na ziemię i rozgniół stopą.

Prawdopodobnie tak było. Regine nie zawsze jest łatwa w obejściu, potrafi być szorstka i zjadliwa. Są tacy co nazywają ją suką, ale to nieprawda. Ona musiała być twarda.

- Zadam ci teraz inne pytanie, na które częściowo już mam odpowiedź, opartą jednak przeważnie na pogłoskach, bo niczego oficjalnego nie czytałem - Gravet ponownie rozłożył

ręce. - Co skłoniło twoją przyjaciółkę do robienia tego, co robi, do prowadzenia takiego trybu życia, jaki prowadziła z tobą i jeszcze wcześniej?

- 1968 - odparł beznamiętnie Havelock.

- Inwazja Układu Warszawskiego.

- Czarne dni sierpnia. Jej rodzice zginęli, ona mieszkała w Ostrawie razem z dwoma starszymi braćmi. Jeden z nich był żonaty. Obaj byli aktywnymi zwolennikami Dubczeka.

Młodszy był studentem, a starszy inżynierem, któremu reżim Nowotnego zabronił

wykonywać jakąkolwiek znaczącą pracę. Kiedy wjechały czołgi, młodszy brat zginął na ulicy, starszego zgarnęły nadciągające wojska sowieckie - wzięto go na „przesłuchanie”, okaleczono ręce i nogi na całe życie. Później strzelił sobie w głowę, a jego żona zniknęła.

Jenna wyjechała do Pragi, gdzie nikt jej nie znał i zeszła do podziemia. Wiedziała do kogo dotrzeć i co robić.

- Ludzie, którzy robią to, co ty robisz, tak cicho i skutecznie, mają do opowiedzenia różne historie, ale przewijają się w nich te same wątki: przemoc, ból... strach. I prawdziwa zemsta.

- A czego ty się spodziewałaś? Tylko ideolodzy mogą sobie pozwolić na pokrzykiwanie, my zazwyczaj mamy inne sprawy na głowie. To dlatego nas w pierwszym rzędzie wysyła się do akcji. Niewiele potrzeba, żeby stać się efektywnym.

- I, jak sądzę, rozpoznawać się nawzajem.

- Tak, w pewnych okolicznościach. Nie przywiązujemy do tego zbyt wielkiej wagi. O

co ci chodzi?

- O Broussac. Twoja przyjaciółka z Costa Brava mogła ją zapamiętać. Mąż, bracia, ból, strata... samotna kobieta. Taka kobieta zapamiętałaby... inną kobietę... która nie poddała się. - Z pewnością. Nie pomyślałbym o tym - Havelock w milczeniu skinął głową. - Masz rację - powiedział cicho. - Dzięki ci, że spojrzaleś na to z dystansu. Oczywiście, że zapamiętałaby. - Bądź ostrożny, Michael.

- O co chodzi?

- O prawdziwą zemstę. Między nimi musi być sympathie. Może wydać cię twoim ludziom, złapać w pułapkę.

- Będę ostrożny, ona też. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym zleceniu?

Wspomniano o kierunku wyjazdu?

- Nie, może udać się wszędzie. To zostanie załatwione w Etrang res i utrzymane w tajemnicy.

- Jakie będzie miała nowe nazwisko?

- Dokumenty były jeszcze opracowywane, a więc niedostępne dla mojego młodego przyjaciela - przynajmniej dzisiaj wieczoru. Może jutro uda mi się zerknąć do akt, które dziś są już zamknięte.

- Za późno. Powiedziałaś, że w zleceniu żądano natychmiastowego działania. Ma już sfalszowany paszport i wyjeżdża z Francji. Muszę działać błyskawicznie.

- Cóż znaczy jeden dzień? Może za dwanaście godzin dowiem się jak brzmi to jej nowe nazwisko. Będziesz mógł zadzwonić do biura linii lotniczych i powołując się na sytuację zagrożenia, sprawdzić listy pasażerów. Dowiesz się, dokąd poleciała.

- Ale nie dowiem się, jak.

- Je ne comprends pas.

- Broussac. Jeśli zrobiła tyle dla Jenny, zrobi więcej. Nie zostawiłaby jej własnemu losowi na jakimś lotnisku. Na pewno poczyniła jakieś kroki. Muszę dowiedzieć się, jakie.

- I sądzisz, że ci powie?

- Będzie musiała. - Havelock zapiął luźno dopasowaną marynarkę i postawił kołnierz.

Uliczką ciągnął zimny, wilgotny podmuch od Sekwany. - Tak czy inaczej, będzie musiała powiedzieć. Dzięki, Gravet. Jestem twoim dłużnikiem.

- Tak, jesteś.

- Dziś wieczorem spotkam się z Broussac i jutro rano, tak czy inaczej wyjeżdżam. Ale zanim wyjadę... Jest w Paryżu bank, w którym mam skrytkę w sejfie; zabiorę z niej wszystko i zostawię dla ciebie kopertę. Nazwijmy to częściową spłatą. Chodzi o Banque Germaine na Avenue Georges Cinq.

- Bardzo ładnie z twojej strony, ale czy rozsądnie? Przy całej mojej skromności, jestem kimś w rodzaju publicznej postaci i muszę starannie dobierać sobie towarzystwo. Ktoś tam może cię znać.

- Na pewno nie pod nazwiskiem, które kiedykolwiek słyszałeś. - Jakie nazwisko mam więc wymienić?

- Żadnego. Powiedz po prostu: „Dżentelmen z Teksasu zostawił dla ciebie kopertę.” Jeżeli od tego poprawi się twoje samopoczucie, powiedz, że nigdy w życiu mnie nie widziałeś. W imieniu anonimowego nabywcy z Huston prowadzę negocjacje w sprawie kupna obrazu.

- A jeśli powstaną jakieś komplikacje?

- Nie powstaną. Wiesz, gdzie wybieram się dziś wieczorem, i gdzie będę jutro.

- A poza tym jesteśmy zawodowcami, prawda Michael? - Nie zrobiłbym tego w inny sposób. Tak jest czyściej. Havelock wyciągnął dłoń. - Jeszcze raz dzięki. Wiesz, jak mi pomogłeś. Nie muszę się nad tym rozwodzić.

- Nie zwracaj sobie głowy kopertą - powiedział Gravet, ściskając dłoń Michaela i badawczo przyglądając się jego ukrytej w cieniu twarzy. - Pieniądze mogą ci się przydać, a ja mam minimalne potrzeby. Zawsze możesz spłacić dług podczas następnej wizyty w Paryżu.

- Lepiej nie zmieniamy reguł gry, których trzymaliśmy się tak długo. Ale doceniam to wotum zaufania.

- Zawsze byłeś człowiekiem spokojnym i nie rozumiem nic z tej całej afery. Dlaczego ona? Dlaczego ty?

- Na Boga, sam chciałbym to wiedzieć.

- To chyba klucz do zagadki, prawda? Musisz o czymś wiedzieć.

- Nawet jeśli wiem, to nie mam najmniejszego pojęcia o czym. Do widzenia, Gravet.

- Au'voir. Naprawdę nie potrzebuję tej koperty, Michael. Wróć do Paryża! Jesteś moim dłużnikiem. - Wybitny krytyk odwrócił się i zniknął w uliczce. Z Broussac trzeba było grać uczciwie, natychmiast wyczuwała wszelkie kręactwa, zbieżność w czasie ostatnich wydarzeń była zbyt oczywista. Z drugiej strony głupotą byłoby umawianie się z nią w konkretnym miejscu, zaraz kazałaby je otoczyć ludźmi, o których Quai d'Orsay nie miało pojęcia, że są na liście płac ministerstwa. Broussac była twarda i wiedziała kiedy może angażować swój rząd, a kiedy nie. Opierając się na informacjach uzyskanych od Jenny, mogła dojść do wniosku, że z niezbyt zrównoważonym, emerytowanym amerykańskim agentem, lepiej będzie postępować metodami nieoficjalnymi, bez żadnych zabezpieczeń. Metodami ryzykownymi, bo nikt nie był personalnie odpowiedzialny za pieniądze z czarnej kasy, o których nikt nie chciał wiedzieć. Opłacani na lewo, kierowani z ukrycia ludzie, byli najbliższymi współpracownikami specjalistów od przemocy, bez względu na to czy wynajął

ich Rzym na Col des Moulinets czy oficer WKR w tanim hoteliku na rue Etienne. Havelock zdawał sobie sprawę, że spotkanie z Broussac musi się odbyć na osobności. Żeby do niego doszło, musi przekonać ją, że nie stanowi dla niej zagrożenia, a nawet może posiadać informacje nadzwyczajnej wagi. Dziwna myśl przyszła mu do głowy, kiedy schodził nie kończącymi się schodami Montmartre'u. Zastanawiał się, ile powiedzieć Broussac. Na pewno nie wszystko. Łgarze zniekształcili prawdę i Francuzka mogła uwierzyć w ich wersję, a nie jego. Jej nazwisko znalazł w paryskiej książce telefonicznej. Rue Lossenard.

- ... nigdy nie przekazywałem ci fałszywych informacji i nie zacznę tego robić dziś wieczorem. Nie mogę działać oficjalnie. Nie mam innego wyjścia. Żeby ocenić jak bardzo, powiedz komuś z Quai d'Orsay, żeby zadzwonił do ambasady. Zwróć się bezpośrednio do starszego attach Operacji Konsularnych i zapytaj o mój status. Powiedz, że dzwoniłem gdzieś z południa i chciałem umówić się na spotkanie. Odezwę się ponownie za dziesięć minut, oczywiście nie z tego automatu.

- Dobrze. Za dziesięć minut.

- R gine?

- Tak.

- Pamiętaj o Bonn.

- Za dziesięć minut. Havelock ruszył na południe w stronę Berlioz Square. Często spoglądał na zegarek, wiedząc, że do obiecanych dziesięciu minut doda pięć lub siedem.

Jeżeli rozmówca musiał w napięciu poczekać na ponowny telefon nieco dłużej, mógł

powiedzieć więcej, niż chciał. Budka stała na rogu, a wewnątrz młoda kobieta wrzeszczała do słuchawki, gestykulując jak oszalała. Jak można się było spodziewać po kimś o takim temperamencie, po chwili z trzaskiem odwiesiła słuchawkę i wyszła.

- Vach ! - wykrzyknęła gniewnie, mijając Havelocka. Po drodze z wściekłością poprawiła pasek wiszącej na ramieniu wielkiej torby. Michael otworzył drzwi i wszedł do środka. Przekroczył już umówiony czas o dziewięć minut. Wykręcił numer i słuchał. - Tak? -

głos Broussac przerwał pierwszy dzwonek. Była zaniepokojona, a więc skontaktowała się z ambasadą.

- Rozmawiałaś z attach ?

- Spóźniłeś się. Obiecałeś zadzwonić za dziesięć minut. - Rozmawiałaś z nim?

- Tak. Spotkajmy się. Przyjedź do mojego mieszkania, najszybciej jak to możliwe.

- Przepraszam. Za chwilę zadzwonię.

- Havelock. Odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki, rozglądając się po ulicy w poszukiwaniu wolnej taksówki. Dwadzieścia pięć minut później znalazł inny automat. Było ciemno, nie mógł odczytać numerów na tarczy. Zapalił zapalniczkę i wykręcił numer.

- Tak!

- Pojedź metrem do stacji Bercy i wyjdź na ulicę. Po prawej stronie, kilka przecznic dalej, jest rząd magazynów. Będę w pobliżu. Ale pamiętaj, żadnej obstawy! Jeśli nie przyjdiesz sama, będę o tym wiedział. Jeżeli kogoś zauważę, nie podejść. - To śmieszne!

Samotna kobieta w noc w Bercy!

- Jeżeli o tej porze ktoś tam będzie, ostrzegę go o twoim przyjściu.

- To niedorzeczne! Co ci przychodzi do głowy?

- Inna ulica rok temu - powiedział Michael. - W Bonn. - I odwiesił słuchawkę na widełki. W okolicy ciemnych magazynów było pusto. Światła latarni świeciły słabo, napięcie prądu obniżono na podstawie dekretu władz miejskich. Jeżeli komuś chodziłoby o coś więcej niż o przekazanie wiadomości lub wymianę towaru, nie znalazłby lepszej pory i okolicy.

Świetne miejsce na rozmowę: żadnego gwaru zatłoczonej ulicy i potracania przez niecierpliwych

przechodniów. W przeciwieństwie do kafejki i parku, gdzie nieznanymi obserwatorami nie bardzo mógłby się ukryć. Kilku mieszkańców dzielnicy, wychodzących z oświetlonego metra na ulicę, widać było jak na dłoni. Każde niezdecydowanie lub nagłe zniknięcie zostałyby zauważone, a zabłąkany samochód widoczny z odległości kilku przecznic. Żeby jednak zyskać całkowitą przewagę, należało stawić się wcześniej na spotkanie. Miał tę przewagę, wyszedł z budki i ruszył Boulevard de Bercy. Przed rampą stały zaparkowane, jedna za drugą, dwie wielkie ciężarówki. Ich otwarte, obite deskami ładownie, świadczyły o tym, że kierowcy rano odjeżdżają. Mógł zaczekać między nimi w przejściu, miał tam doskonałe pole widzenia na wszystkie strony. Zaniepokojona łowczyni - R gine Broussac na pewno przyjdzie. Po takim bodźcu, nie oprze się tajemnicy. Jedenaście razy dobiegało go przyciszone dudnienie podziemnych pociągów, czuł wibrację betonu i ziemi pod stopami. Po szóstym zaczął bacznie przyglądać się wyjściu z metra wcześniej nie mogła przyjechać. Łączność radiowa była jednak bardzo rozpowszechniona, dlatego już w kilka minut po ostatnim telefonie zaczął czujnie obserwować ulicę, z rzadka przejeżdżające samochody i jeszcze rzadsze rowery. Ale nie dostrzegł niczego alarmującego. Dwunaste dudnienie ustało, słabnące drgania wciąż wibrowały pod stopami i w chwili, kiedy rozpoczynał się kolejny podziemny grzmot, zobaczył jej niską, korpulentną postać, przechodzącą z jasnego światła w półmrok ulicy. Przed nią szła jakaś para, Michael wyteżył

wzrok. Byli to jacyś starsi ludzie, jeszcze bardziej posunięci w latach niż Broussac. Szli powoli i statecznie, nie przydaliby się więc jej na nic. Po chwili skręcili w lewo, w przeciwną niż ciężarówki i magazyny stronę, nie mogli należeć do jej nocnego zespołu. R gine szła przed siebie niepewnym, bojaźliwym krokiem starszej kobiety, która zdaje sobie sprawę z własnej słabości. Każdy niezwykle odgłos, wyimaginowany czy prawdziwy, powodował, że z wyraźną niechęcią odwracała głowę. Przeszła pod latarnią i Havelock przypomniał sobie, że cerę ma tak samo szarą, jak jej krótko obcięte włosy świadectwo lat udzięki w samotności.

Surową twarz łagodziły jednak wielkie, niebieskie oczy, równie często pełne wyrazu, co zamglone. Kiedy po wyjściu z kręgu światła latarni zanurzyła się w cień, Havelockowi przypomniały się słowa Graveta: „Przemoc, ból, strata”. R gine Broussac przeszła przez to wszystko i przetrwała - spokojna, ostrożna, twarda i zwycięska. Poświęciła się tajnej służbie, niewidzialnej mocy, którą rząd oddał jej we władanie i w ten sposób mogła wyrównać rachunki. Michael rozumiał to, w końcu była jedną z nich. Kimś, kto przetrwał. Właśnie mijała go, idąc po chodniku.

- R gine - zawołał przyciszonym głosem pomiędzy ciężarówkami. Zatrzymała się. Stała nieruchomo, nie odwracając głowy. Patrzyła prosto przed siebie.

- Czy musisz celować we mnie z pistoletu? - zapytała. - Nie celuję. Mam broń, ale nie w dłoni.

- Bien! - Broussac obróciła się błyskawicznie i podniosła torebkę. Wystrzał wyrwał

dziurę w materiale. Fragmenty betonu i kamienia rozprysnęły się pod stopami Havelocka, dziurawiąc mu spodnie i kalecząc nogi.

- To za to, co zrobiłeś Jennie Karas! - krzyknęła wykrzywiając szarą twarz. - Nie ruszaj się! Jeden krok, jeden ruch, a przestrzelę ci gardło!

- Co ty robisz?

- A co ty zrobiłaś? Dla kogo teraz pracujesz?

- Niech cię szlag, dla siebie! Dla siebie i Jenny! Havelock podniósł dłoń w instynktownym, niemniej błagalnym geście. Gest został jednak odrzucony. Z rozerwanej torebki wystrzelił drugi pocisk, musnął grzbiet jego dłoni, zarykoszetował o metal ciężarówki i z jękiem odleciał w ciemność.

- Arrêtez! Równie dobrze mogę dostarczyć cię żywego, jak i trupa. W twoim przypadku nawet chętniej trupa, cochon.

- Dostarczyć komu?

- Powiedziałaś, że zadzwonisz do mnie „za chwilę” - czy to nie twoje własne słowa?

No cóż, za chwilę będzie tu kilku moich kolegów. Do tego czasu zaryzykuję pozostanie z tobą. Za niecałe pół godziny poczujesz się bezpieczny i będziesz mógł się pokazać publicznie.

Pojedziemy razem do domku na wsi, gdzie odbędziemy sesję z twoim udziałem. A potem przekażemy cię na Gabriel. Nie mogą się tam ciebie doczekać. Mówią, że jesteś niebezpieczny - to wszystko, co muszę wiedzieć... oprócz tego co wiem.

- Nie dla ciebie! Jestem niebezpieczny dla nich, nie dla ciebie!

- Za kogo ty mnie bierzesz? Za kogo nas bierzesz?

- Widziałaś Jennę. Pomogłaś jej...

- Widziałam ją. Wysłuchałam jej. I usłyszałam prawdę.

- Prawdę, w którą ona wierzy! Posłuchaj! Wysłuchaj mnie!

- Będziesz mówił, ale w odpowiednich warunkach. Znasz je równie dobrze, jak ja.

- Nie potrzebuję żadnych zastrzyków, dziwko! Nie usłyszysz po nich niczego nowego!

- Będziemy się trzymać procedury - powiedziała Broussac, wyjmując pistolet z rozerwanej torebki. Wyjdź stamtąd ciągnęła, wykonując ponaglący ruch bronią. - Stoisz w cieniu. Nie podoba mi się to. Oczywiście, że jej się to nie podoba, pomyślał Havelock, widząc jak starsza pani mruga oczyma. Tak, jak u większości starzejących się ludzi, zmrok nie poprawiał jej wzroku. To by wyjaśniało jej bezustanne rozglądanie się, kiedy oddaliła się od oświetlonego wyjścia z metra, gdy koncentrowała się zarówno na nieoczekiwanych cieniach, jak i na odgłosach. Musi ją zachęcić do mówienia, by choć częściowo rozproszyć jej uwagę.

- Sądzisz, że ambasada amerykańska będzie tolerować to co robisz? - zapytał

wychodząc z pasiastego cienia, rzucanego przez światło latarni, przechodzące przez deski burty ciężarówki.

- Spokojna głowa. Nie dojdzie do międzynarodowego incydentu. Musieliśmy cię uspokoić, nie mieliśmy innego wyboru. Powiem to ich słowami: jesteś niebezpieczny.

- Dobrze wiesz, że nie przyjmą tego do wiadomości.

- Nie będą mieli wielkiego wyboru. Avenue Gabriel została w trybie alarmowym powiadomiona, że zaistniała wysoce nienormalna sytuacja: były pracownik amerykańskiego wywiadu, specjalista od tajnych operacji, może próbować dojść do porozumienia z urzędnikiem Quai d'Orsay. Przewidywane spotkanie będzie miało miejsce dwadzieścia mil od Paryża, niedaleko Argentuil. Poproszono więc Amerykanów, żeby przysłali w pobliże swój pojazd z uzbrojoną ekipą. Ustalono częstotliwość fal, na której będą się porozumiewać. Jak tylko poznamy charakter tej nielegalnej działalności, prześlemy amerykański problem Amerykanom. Bronimy interesów naszego rządu. Takie postępowanie jest absolutnie do zaakceptowania, a nawet wspaniałomyślne.

- Chryste, zadbałaś o każdy szczegół.

- Zgadza się, o każdy. Znałam takich mężczyzn jak ty. I kobiety. Goliliśmy im głowy.

Gardzę tobą.

- Z powodu tego, co ci powiedziała?

- Wiem, kiedy ktoś mówi prawdę, tak samo jak i ty. Ona nie kłamała.

- Zgoda. Bo wierzy w to wszystko - tak jak i ja wierzyłem. Ale myliłem się! Boże, jak ja się myliłem, tak jak ona myli się teraz. Manipulowano nami, obojgiem!

- Wasi ludzie? W jakim celu?

- Nie wiem! Słuchała uważnie tego, co mówił. Już nie była taka skoncentrowana. Nie mogła nic na to poradzić, tajemnica była zbyt pociągająca.

- Jak myślisz, dlaczego skontaktowałem się z tobą? zapytał. - Na miłość boską, jeśli znalazłem sposób, żeby cię znaleźć, bez trudu mógłbym uniknąć spotkania. Nie jesteś mi potrzebna, R gine. Mogłem dowiedzieć się tego, czego chciałem, bez twojej pomocy.

Zadzwoiłem do ciebie, bo ci ufałem! Broussac zamrugła oczyma, wokół których pokazały się zmarszczki zastanowienia.

- Będiesz miał okazję wszystko opowiedzieć... w odpowiednich warunkach.

- Nie rób tego! - krzyknął Michael, postępując nieznacznie w jej stronę. Nie strzeliła, pistolet w jej dłoni nawet się nie poruszył. - Wprawiłaś ten mechanizm w ruch, będziesz mnie musiała wydać! Oni wiedzą, że chodzi o mnie i zmuszą cię do tego. Twoi przyjaciele będą nalegać! Nie uwierzą ci, bez

względu na to co ode mnie usłyszysz, nawet w odpowiednich warunkach!

- Dlaczego mamy ci wierzyć?

- Bo ambasadę też okłamali. Cholernie wysoko postawieni ludzie! Starsza pani zastanawiała się. Zamrugała szybko powiekami. Teraz! Havelock rzucił się do przodu z wyciągniętą, sztywno wyprostowaną niczym żelazna sztaba prawą ręką. Odepchnął pistolet na bok, w chwili, kiedy trzeci wystrzał przerwał ciszę opustoszałej ulicy. Lewą ręką chwycił

lufę pistoletu, wyrwał go z dłoni i cisnął kobietą o ścianę magazynu.

- Cochon Traite! - wrzasnęła Broussac, z wykrzywioną w grymasie szarą twarzą. -

Zabij mnie! Niczego się ode mnie nie dowiesz! Havelock opierał przedramię na jej gardle, przyciskając głowę do ceglanego muru. W dłoni trzymał pistolet. Rana na plecach sprawiała mu okropny ból.

- Wiadomości, których potrzebuję, nie mogę wydobyć od ciebie na siłę, R gine -

powiedział łapiąc oddech. - Nie rozumiesz tego? Musisz mi to powiedzieć z własnej woli.

- Nie! Którzy traiteries cię kupili? Tchórze z Baader Meinhof? Arabskie śwynie?

Żydowscy fanatycy? Brigade Rosse? Kto chce kupić towar, który masz do zaofiarowania?...

Ona to wiedziała. Dowiedziała się! I dlatego ty musisz ją zabić! Wpierw mnie zabij, zdrajco!

Havelock powoli zwolnił nacisk ramienia i jeszcze wolniej odsunął się. Nie przyszło mu to łatwo, wiedział czym ryzykuje. Z drugiej strony znał R gine Broussac mimo wszystko była jedną z nich, kimś kto przetrwał. Cofnął ramię i stał przed nią nieruchomo, wpatrując się w jej oczy.

- Nie zdradziłem nikogo oprócz siebie - zaczął. - I osoby, którą bardzo kocham.

Mówię prawdę. Nie mogę cię zmusić do powiedzenia tego, o czym muszę się dowiedzieć.

Pomijając wszystko inne, zbyt łatwo możesz mnie oszukać, ze zbyt dobrym skutkiem, a wtedy powinienem cofnąć się w moich poszukiwaniach o dziesięć dni. Nie zrobię tego. Jeżeli nie zdołam jej odnaleźć... odzyskać, prawdopodobnie nie będzie miało to już znaczenia.

Wiem jak postąpiłem, i to mnie dręczy. Kocham ją... potrzebuję jej. Myślę, że właśnie teraz potrzebujemy siebie nawzajem bardziej, niż ktokolwiek inny na świecie... Nie mamy niczego oprócz siebie. Przez te lata dowiedziałem się czegoś o rzeczach, które nie mają znaczenia. -

Podniósł broń lewą dłonią, prawą chwycił za lufę i podał jej. Wystrzeliłaś trzy naboje, zostały jeszcze cztery.

Broussac stała nieruchomo, badawczo wpatrując się w jego twarz, w oczy. Wzięła do ręki broń i

wycelowała ją w głowę Havelocka. Jej pytające spojrzenie błąkało się po jego twarzy. Wreszcie wykrzywione rysy złagodniały, w miejsce wrogości pojawiło się zmieszanie. Powoli opuściła pistolet.

- C'est incroyable - wyszeptała. - A więc to prawda?

- Mówisz to w czasie przeszłym?

- Och, tak. Wszyscy uczymy się akceptować nowe okoliczności, prawda? W tym jesteśmy lepsi od większości ludzi, bo nagle zmiany są w takim samym stopniu naszymi starymi znajomymi, jak i wrogami. Bez przerwy doszukujemy się u innych zdrady - to stało się naszą regułą postępowania... Bez przerwy testujemy się nawzajem, a przeciwnicy dostarczają naszym umysłom pokus i starają się odgadnąć nasze zachcianki. Czasami my wygrywamy, czasami oni. Takie są fakty.

- To są rzeczy, które nie mają znaczenia - powiedział Havelock.

- Jak na tę profesję, zbyt wiele w tobie z filozofa.

- Dlatego ją rzuciłem. - Michael odwrócił wzrok. Widziałem jej twarz w oknie samolotu na Col des Moulins. Jej oczy, Chryste, to było straszne.

- Z pewnością. To się zdarza. W miejsce miłości przychodzi nienawiść, prawda? W

tych przypadkach to jedyna ochrona... Ona cię zabije, jeśli tylko będzie miała okazję.

- Och, Boże. - Havelock usiadł na ławce, pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, a podbródek złożył na dłoniach, wpatrując się w wyschlą fontannę. Tak ją kocham.

Kochałem ją podczas tej nocy, kiedy ją zabijałem, mając świadomość, że część mojej duszy pozostanie na tamtej plaży do końca mojego życia, moje oczy będą widzieć jak biegnie, pada na piasek, a moje uszy słyszą jej krzyki... Chciałbym do niej podbiec, powiedzieć jej, że cały świat jest wypełniony kłamstwem i oprócz nas nic się nie liczy! Tylko my się liczymy. Jakaś część mojej jaźni próbowała mi powiedzieć, że robią z nami coś strasznego, ale ja nie chciałem słuchać... Byłem zbyt urażony, żeby słuchać. Ja, ja, ja! Mnie! Nie mogłem wyeliminować tego „ja” i usłyszeć prawdę, którą ona wykrzyczała!

- Byłeś zawodowcem, który przechodził kryzys - cicho powiedziała R gine, dotykając ramienia Havelocka. - Postąpiłeś tak, jak postąpić musiałeś, zgodnie z całym twoim życiem, zgodnie z tym, czego się nauczyłeś. Postąpiłeś jak zawodowiec. Michael odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Dlaczego nie byłem sobą? - zapytał. - Dlaczego nie chciałem słuchać innych krzyków, które nie mogły wyrwać mi się z gardła?

- Nie zawsze możemy ufać temu, co nazywamy instynktem, Michael. Wiem o tym.

- Wiem, że ją kocham... kochałem ją, kiedy myślała, że ją nienawidzę, kiedy ten zawodowiec we mnie czekał na jej śmierć, bo wróg wpadł już w pułapkę. Nie czułem do niej nienawiści, kochałem ją. Wiesz dlaczego to sobie uświadomiłem?

- Dlaczego, mon cher! - Bo w zwycięstwie nie znalazłem najmniejszej satysfakcji.

Tylko gwałtowne odwrócenie uczuć, tylko smutek... tylko pragnienie, by wszystko było takie, jakie być już nie może.

- To wtedy wystąpiłeś ze służby? Tak słyszeliśmy, choć ja w to nie mogłam uwierzyć.

Teraz rozumiem. Musiałeś bardzo ją kochać. Tak mi przykro, Michael. Havelock pokręcił głową i zamknął oczy, a wewnętrzna ciemność pod powiekami na chwilę przyniosła mu ulgę.

- Barcelona - powiedział, ponownie je otwierając i wpatrując się w martwą fontannę. -

Co tam się z nią działo? Powtórz to, co ci powiedziała.

- Nie mogła zrozumieć tego, co się wtedy stało. Czy kupili cię Rosjanie, a może to Waszyngton nakazał jej egzekucję? Jest w tym dla niej jakaś niejasność - niejasność granicząca z pewnością. Przedostała się z Hiszpanii do Włoch, wędrowała z miasta do miasta w poszukiwaniu tych nielicznych zaufanych ludzi, którzy pomogą jej się ukryć. Ale zawsze wracało pytanie: gdzie ty byłeś? Dlaczego była sama, a nie z tobą? Z początku bała się opowiadać o tym, co ją spotkało, a kiedy odważyła się, nikt nie chciał jej uwierzyć. Za każdym razem, kiedy kończyła opowieść, która nie znajdowała wiary u słuchacza, czuła, że musi uciekać, bo ktoś może skontaktować się z tobą, a ty ruszysz w pościg. Musiała żyć w koszmarnym przekonaniu, że gdzieś tam jesteś ścigasz ją, gonisz. A kiedy na chwilę znalazła bezpieczne schronienie, pojawił się Rosjanin, ktoś kogo poznaliście razem w Pradze, rzeźnik z KGB. Przypadek? Któż mógł to wiedzieć? Znow uciekła, tym razem kradnąc swojemu pracodawcy dużą sumę pieniędzy.

- Zastanawiałem się, za co mogła kupić sobie wyjazd z Włoch, przedostać się przez granicę i dotrzeć do Paryża? Cały czas podróżowała pierwszą klasą, oczywiście w porównaniu z innymi trasami przerzutowymi. Broussac uśmiechnęła się, jej niebieskie oczy pojaśniały w mroku, zapowiadając przelotną chwilę rozbawienia.

- Śmiała się na samo wspomnienie - jeszcze po cichu - ale to był już dobry śmiech. Już sam fakt, że potrafiła się śmiać był pocieszający. Wiesz o co mi chodzi, Michael? Przez moment była małą dziewczynką, wspominającą splątany figiel.

- W moim śnie słyszałem jej śmiech... W chwilach kiedy nie krzyczała. Zawsze śmiała się cicho, ale w jakiś pełny sposób, całym swoim wnętrzem. Uwielbiała się śmiać, to przynosiło jej ulgę. Nie zawsze miała ku niemu powody, ale kiedy pojawiała się okazja, cieszyła się w dwójnasób. - Przerwał i po raz wtóry spojrzął na nieczynną fontannę. - W jaki sposób ukradła pieniądze? Gdzie?

- W Mediolanie.

- W Mediolanie roi się od Rosjan. Spotkanie z tamtym człowiekiem, to był zbieg okoliczności...
Przepraszam, jak to się stało?

- Znalazła pracę w wielkiej księgarni na Piazza del Duomo, gdzie można dostać książki, tygodniki i gazety z całego świata. Znasz ją?

- Widziałem.

- W zdobyciu pracy pomogła jej znajomość języków. Przebarbowała włosy, założyła okulary - normalna procedura. Ale jej figura przyciągnęła uwagę właściciela, wieprza z ośmiorgiem dzieci i wielką żoną, której się śmiertelnie bał. Bez przerwy wzywał ją do swego biura, wyciągał do niej swoje łapska i obiecywał Galleria Vittorio, jeśli będzie dla niego miła.

Pewnego razu w południe przyszedł Rosjanin, Jenna rozpoznała go i zrozumiała, że musi uciekać. Obawiała się, że jest z tobą w kontakcie, że przetrząsasza Europę w pościgu za nią...

W trakcie przerwy na lunch dosłownie zgwałciła swojego szefa, wyznając, że już dłużej nie może się powstrzymać, a na drodze do absolutnej ekstazy stoi tylko mała pożyczka. W tym momencie nie miała już na sobie bluzki, portfel biedaka leżał pod krzesłem, a ten idiota otwierał sejf, w którym leżał całotygodniowy utarg to był piątek, o ile sobie przypominasz.

- Dlaczego miałbym sobie przypominać? - przerwał Havelock.

- Dojdziemy do tego - powiedziała R gine, a słaby uśmiech zaigrał na jej ustach. -

Kiedy podstarzały, spocony Lothario uporał się już z sejfem i (nasza Jenna właśnie zabierała się do zdjęcia stanika) trzęsącymi się dłońmi odliczał kilka tysięcy lirów, uderzyła go w głowę budzikiem. Następnie rzuciła się do plądrowania sejfu, mile zaskoczona ilością gotówki wypełniającej woreczki bankowe. Wiedziała, że te pieniądze są jej paszportem.

- Równocześnie jednak, zaproszeniem policji do pościgu.

- Ten pościg mógł zostać opóźniony. Dzięki czemu mogła wydostać się z Mediolanu.

- W jaki sposób?

- Wykorzystała strach, zmieszanie i wstyd - odparła Broussac. - Jenna zamknęła sejf, rozebrała właściciela do naga i na całym ciele wysmarowała go szminką do ust. Potem zadzwoniła do jego domu i przekazała służącej, by żona przyjechała do sklepu dokładnie za godzinę.

- Strach, zmieszanie i wstyd - powtórzył Havelock i pokiwał głową. - Żeby zdobyć pewność, że nie ruszy się z miejsca, pewnie jeszcze raz stuknęła go w głowę. Zakładała też, że w obecności żony nie zajrzy do sejfu, bo w ten sposób mógłby wpakować się w jeszcze większe bagno... No i oczywiście zabrała ze sobą jego ubranie - z uśmiechem dodał

Havelock, przypominając sobie, jaką kobietą była Jenna Karas.

- Oczywiście. W ciągu następnych kilku godzin spakowała się i zdając sobie sprawę, że wcześniej czy później, zostanie wydany nakaz aresztowania, zmyła farbę z włosów i wmieszała się w tłum na dworcu kolejowym w Mediolanie.

- Dworcu...? - Michael wyprostował się na ławce i spojrzał na Reginę. - Pociąg. Do Rzymu pojechała pociągiem! To tam ją widziałem!

- Tej chwili nigdy nie zapomni. Widziała cię, jak stałeś tam i wpatrywałeś się w nią.

Widziała mężczyznę, który zmusił ją do ukrywania się, do ucieczki, zmiany wyglądu i posługiwania się innymi językami. Widziała jedyną osobę na ziemi, której tak strasznie się bała, człowieka, który mógł ją odnaleźć i zabić... I oto była tam, bez przebrania, rozpoznana przez tego, kogo bała się najbardziej.

- Gdyby szok nie był tak paraliżujący, gdybym był szybszy... wszystko mogłoby być inaczej! - Michael odchylił się do tyłu i ukrył twarz w dłoniach. Chryste, byliśmy tak blisko siebie! Wołałem do niej, wrzeszczałem, wciąż i wciąż, ale ona zniknęła. Zgubiłem ją w tłumie, nie słyszała mnie, nie chciała słyszeć - i straciłem ją. - Havelock opuścił dłonie i chwycił krawędź kamiennej ławki. - Potem była Civitavecchia. Czy opowiedziała ci o tym?

- Tak. Właśnie tam zobaczyła oszalone zwierzę, które chciało zabić ją na przystani...

- To nie była ona! Jak mogła pomyśleć, że pomyliłbym ją z tamtą? Jezu, z jakąś pieprzoną kurwą z doków! - Michael opanował się, utrata kontroli do niczego nie prowadziła.

- Zobaczyła to, co zobaczyła - spokojnie powiedziała Broussac. - Skąd mogła znać twoje myśli?

- W jaki sposób dowiedziała się, że jadę do Civitavecchia? Nie zaczepiałem przecież taksówkarzy. Strajkują, choć myślę, że kilku wciąż jeszcze jeździ.

- Wciąż jeździ, a ty jesteś najlepszym z myśliwych. Sam ją uczyłeś, że najpewniejszym miejscem do dyskretnego wydostania się z kraju jest ruchliwy port we wczesnych godzinach rannych. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma wolne miejsce na statku, choćby w ładowni. Wypytywała ludzi w pociągu, udając że jest Polką, żoną marynarza z frachtowca. Ludzie nie są głupi, zrozumieli, że jeszcze jednemu małżeństwu udało się wymknąć z uścisków Niedźwiedzia. „Civitavecchia. Spróbuj w Civitavecchia” poradzili.

Zakładała, że możesz dojść do takiego samego wniosku, opartego na naukach, których sam jej udzielałeś, poczyniła więc pewne przygotowania. I miała rację, przyjechałeś.

- Inną trasą - powiedział Havelock. - Pewien konduktor zapamiętał bella ragazza.

- W każdym razie zakładała taką możliwość i przystosowała się do sytuacji, znajdując sobie punkt obserwacyjny. Jak już powiedziałam, jest wspaniała. Takie napięcie, taka presja.

Żeby bez paniki zrobić to, co zrobiła, samotnie ułożyć całą szczegółową strategię...

Wspaniała. Sądzę, że byłeś doskonałym nauczycielem, Michael.

- Zanim mnie poznała, przeszła już dziesięcioletni trening. To od niej mógłbym się czegoś nauczyć... i nauczyłem się. Dałaś jej nową tożsamość i ułatwiłaś wyjazd kanałem dyplomatycznym. Gdzie pojechała? Jakie jeszcze kroki poczyniłaś?

- Skąd o tym wiesz?

- Nie każ mi tego wyjawiać, jestem dłużnikiem tego człowieka. Zamiast tego pozwól, że przyślę go do ciebie. Nie wydawaj go policji, wykorzystaj jego umiejętności dla swoich celów. Nie pożałujesz. Musisz mi jednak dać gwarancje.

- W porządku. Zdolnymi ludźmi trzeba się dzielić, a ja darzę szacunkiem rekomendującego. Pamiętam o Bonn.

- Gdzie pojechała Jenna?

- Do najbezpieczniejszego miejsca na świecie, pomijając kilka odległych wysp na Pacyfiku - do Stanów Zjednoczonych.

- Skąd taki pomysł? - Zdumiony Havelock wpatrywał się w starszą panią.

- Zapoznałam się z zastrzeżonymi depeszami z twojego Departamentu Stanu, szukając wszelkich wzmianek o Jennie Karas. Rzeczywiście, było ich kilka. Pojedyncza notatka, datowana dziesiątego stycznia, opisywała pobieżnie wydarzenia w Costa Brava. Podano, że była wtyczką złapaną w zasadzkę, podczas której straciła życie. Jej śmierć została potwierdzona przez dwóch niezależnych świadków i laboratoryjne analizy krwi na odzieży.

Sprawa została zamknięta ku zadowoleniu Operacji Konsularnych.

- Wpadła w tryby rutynowej roboty - powiedział Michael.

- „Tak jest, sir. Następna sprawa, proszę.”

- Było jasne, że coś tu nie gra. Świadkowie mogą się mylić, ale laboratoria mają do czynienia z rzeczowymi dowodami. Jednak stało się inaczej. Jenna Karas nie tylko, że miała się doskonale i siedziała w moim biurze, ale nigdy nie była na tej plaży w Costa Brava!

Wyniki badań laboratoryjnych były sfałszowane i ktoś o tym musiał wiedzieć, ktoś, kto chciał

by kłamstwo uchodziło za prawdę. Broussac przerwała. Zakładałam, że to ty. Wyrok wykonany, a egzekucja odbyła się zgodnie z planem. Jeżeli kupili cię Rosjanie, skąd mieliby lepszy dowód, jak nie z Departamentu Stanu? A jeśli postępowałaś według instrukcji Waszyngtonu, nie mogłaś dopuścić do tego, by pomyśleli, że zawiodłeś.

- W świetle tego co ci powiedziała, mogę to zrozumieć.

- Ale ja nie byłam usatysfakcjonowana, wyjaśnienie było zbyt proste, szukałam więc dalej. W komputerowej sekcji obróbki danych wrzuciłam jej nazwisko do skanera bezpieczeństwa. I wyszło mi coś nadzwyczajnego... Komputer wyrzucił je co najmniej dwukrotnie, ale nigdy w komunikatach Departamentu Stanu. Zawsze w depe szach CIA, sformułowanych w bardzo dziwny sposób, w każdej depe szy tak samo: rząd Stanów Zjednoczonych wszczyna pościg za kobietą, pasującą do opisu Jenny, która może posługiwać się nazwiskiem Karas, jednak to nazwisko było trzecie lub czwarte na liście, obejmującej tuzin fałszywych. Chodziło o utajnione poszukiwania, ale najwyraźniej intensywne, proszono bowiem o najdalej posuniętą współpracę. To było dziwne, prawie amatorskie postępowanie.

Tak, jakby jeden wydział waszego wywiadu nie chciał, by inny dowiedział się o jego działalności.

- Czy to nie oczyszczało mnie z zarzutów?

- Przeciwnie. Sądziłam, że właśnie cię dopadłam, że kłamstwo wreszcie wyszło na jaw.

- To dlaczego za mną nie ogłoszono pościgu?

- Ogłoszono i wciąż trwa. Zaczął się pięć dni temu. Pięć dni, pomyślał Havelock.

Wzgórze Palatyńskie.

- Ale ty o tym nie wiedziałaś?

- Wiedzieli ludzie z Quai d'Orsay, którzy znali cię jako amerykańskiego oficera łącznikowego i później ta informacja rutynowo znalazłaby się na moim biurku. Jednak ani ty, ani ja nie wymienialiśmy w raportach naszych nazwisk.

- To pomogło całej sprawie. Czy w liście gończym podano jakieś konkrety?

- Nie. Podkreślono tylko, że najważniejszą sprawą jest ustalenie miejsca twojego pobytu, że to kwestia bezpieczeństwa wewnętrznego. I znów moje przypuszczenia poszły tym tropem: oto zostałeś zdemaskowany, albo jako zdrajca, albo ktoś nakłamał przełożonym i zniknął. Nie miało znaczenia, o którą możliwość chodziło. Przez Jennę Karas stałeś się wrogiem w obu przypadkach. Po telefonie do ambasady utwierdziłam się w tym przekonaniu.

- Zapomniałem. Jestem przecież niebezpieczny.

- Jesteś. Dla kogoś. Sprawdziłam w Londynie, Brukseli, Amsterdamie i Bonn. Oba listy gończe zostały rozesłane, oba otrzymały absolutne pierwszeństwo, ale nie powiązано ze sobą waszych osób.

- Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie: dlaczego wysłałaś ją do Stanów?

- Właśnie ci odpowiedziałam, tylko ty nie uważałeś. Pościg za nią, a teraz też i za tobą
 - skoncentrował się na Europie. Rzym, Morze Śródziemne, Paryż, Londyn... Bonn. Łuk zatacza krąg na północ, a punkt docelowy przypuszczalnie leży w Bloku Wschodnim. Na tej trasie się skoncentrują, tam ruszą do akcji agenci, w tych miejscach uruchomią swoje źródła i kontakty. Nie będą zaglądać na swój plac.
 - Podwórko - machinalnie poprawił Michael.
 - Qu'est-ce que c'est?
 - C'est americain. Peu importe. Kiedy odleciała?
 - Dziś po południu, o trzeciej trzydzieści... A właściwie wczoraj. Air France do Nowego Jorku, dyplomatyczny status, nowa tożsamość wyciągnięta z zastrzeżonego archiwum, oczywiście nieskazitelna.
 - I nikomu nieznana.
 - Tak, ale to nie ma żadnego znaczenia. Na miejscu otrzyma nowe personalia.
 - Jaki jest kontakt?
 - Ma się spotkać z pewnym człowiekiem, bez wątpienia już się z nim spotkała. On się nią zajmie. Przyjęliśmy zasadę, że nie interesujemy się, co dalej się stanie. Wy macie takich samych ludzi tutaj - w Paryżu, Londynie, Amsterdamie, wszędzie. Nie kontaktują się z nami bezpośrednio.
 - Gospodarze „etapów” - powiedział Havelock. - Służą za przewodników dla ludzi, których wysyłamy w bezpieczne miejsca. To oni dostarczają starannie dobranych personaliów, dokumentów, nowych rodzin, miasteczek i miast. Zapłaty przekazujemy im przez pośredników. Nigdy o nich nie słyszeliśmy, bo niewiedza jest konieczna. Ale istnieje też druga strona medalu, prawda? Tak naprawdę nie wiemy, co w rzeczywistości dzieje się z tymi ludźmi.
 - Oni nic więcej nie chcą, a my niczego więcej nie ofiarujemy, zawsze istniało między nami takie porozumienie.
 - Jeżeli chodzi o mnie, nigdy nie byłam ciekawa. - Ale ja jestem ciekawy! Ja wariuję!
- Jenna jest na wyciągnięcie ręki, mogę ją wreszcie odnaleźć! Mogę ją odnaleźć! Na miłość boską, pomóż mi! Do kogo ją wysłałaś?
- Prosisz o bardzo wiele, Michael. Prosisz mnie, bym nadużyła zaufania, a przysięgam, że nigdy tego nie zrobię. Mogę stracić cennego człowieka.
 - A ja mogę stracić ją! Spójrz na mnie! Powiedz, że nie zrobiłbym tego samego dla ciebie, gdyby twój mąż wpadł w ręce gestapo... Spójrz na mnie i powiedz, że bym ci nie pomógł.

- Porównanie nie jest najdelikatniejsze, ale jest w nim trochę prawdy. Jesteście do siebie podobni... Tak, pomógłbyś.

- Więc pomóż mi wydostać się z Paryża. Już, zaraz. Proszę!

- Wolalabym, żebyś sam to załatwił. Wiem, że potrafisz. - Stracę na to wiele dni!

Musiałbym dostać się do Stanów tylnym wejściem przez Meksyk lub Montreal, a ja nie mam chwili czasu do stracenia. Z każdą godziną Jenna się oddala. Wiesz, co może się wydarzyć!

Może rozpląnąć się, przechodząc z jednego kręgu w drugi, a pośrednicy przekazywać ją będą sobie bez słowa. Zniknie i już nigdy jej nie odnajdę!

- Dobrze. Lecisz jutro w południe concordem. Jesteś Francuzem, członkiem delegacji ONZ. Natychmiast po wylądowaniu na lotnisku Kennedy'ego spuścisz paszport w muszli klozetowej.

- Dziękuję. Teraz pośrednik. Kto to jest?

- Prześlę mu wiadomość, ale on może ci nic nie powiedzieć.

- Prześlij. Kto to jest?

- Człowiek nazwiskiem Handelman. Jacob Handelman. Uniwersytet Columbia.

17

W podziemnej sali sztabowej Białego Domu przy małym stole ustawionym poniżej zaokrąglonego podium, usiadł mężczyzna z plastrem na obu policzkach. Skórę jego kanciastej twarzy ściągały szwy osłonięte opatrunkiem - nadawało mu to makabryczny, podobny do robota wygląd. Jego monotonne, ściszone odpowiedzi na pytania wskazywały, że jest to człowiek, może nie do końca, ale jednak panujący nad sobą. W rzeczywistości tajny agent z Col des Moulins bał się. Trzydzieści minut temu, kiedy zespół przyglądających mu się ludzi był w komplecie, bałby się jeszcze bardziej. Teraz w pokoju pozostało tylko trzech mężczyzn.

Prezydent Berquist wyszedł. Obserwował postępy w przesłuchaniu z niewidocznej kabiny za podwyższeniem, przez doskonale zamaskowaną w ścianie szybę. W tym pokoju będą padać słowa, których nie wolno było wymówić w jego obecności. Nie mógł zaświadczać o wydawaniu rozkazów zabójstwa na przełęczy alpejskiej i przekazywaniu informacji zawierających zwrot „nie-do-uratowania”. Przesłuchanie dobiegało półmetka. Podsekretarz stanu Emory Bradford poruszał co bardziej istotne aspekty sprawy, podczas gdy ambasador Brooks i generał Halyard notowali coś w ostrym świetle lamp.

- Chciałbym być precyzyjny - powiedział Bradford. Był pan tajnym oficerem operacyjnym i jako jedyny miał kontakt z Rzymem. Czy to ścisłe?

- Tak, proszę pana.
- I jest pan absolutnie pewny, że żaden inny członek zespołu nie był w kontakcie z ambasadą?
- Jestem pewien. Używamy jednego kanału łączności. To standardowa procedura, stosowana nie tylko ze względu na zachowanie tajemnicy. W ten sposób uzyskuje się też pewność, że nie ma przekłamań. Jeden człowiek przekazuje rozkazy i jeden odbiera.
- Twierdzi pan jednak, że Havelock uważał dwóch członków grupy za specjalistów od materiałów wybuchowych, o czym pan nie wiedział.
- Nie wiedziałem.
- Ale jako tajny oficer operacyjny...
- Tajny agent, proszę pana.
- Przepraszam. Jako tajny agent, czy nie powinien pan wiedzieć?
- W normalnych warunkach, wiedziałbym.
- Ale tak się nie stało i jedynym wyjaśnieniem, którego może nam pan dostarczyć jest fakt, że to nowy rekrut, Korsykanin o nazwisku Ricci, wynajął tych dwóch ludzi, niewiele o nich wiedząc.
- To jedyne wytłumaczenie, które przychodzi mi do głowy. Jeżeli oczywiście Havelock miał rację, o ile nie kłamał. - Raporty z Col des Moulinets donoszą, że w pobliżu wjazdu na most doszło do licznych eksplozji. - Bradford uważnie przyjrzał się stronie maszynopisu. - Włączając w to potężną detonację, w wyniku której zginęło trzech włoskich żołnierzy i czterech cywili, a która nastąpiła mniej więcej dwanaście minut po konfrontacji.

Havelock najwyraźniej wiedział o czym mówi, nie okłamał pana.

- Byłem nieprzytomny, proszę pana, krwawiłem. Ten sukin... Havelock ciął mnie nożem.
- Czy ma pan odpowiednią opiekę lekarską? - przerwał ambasador Brooks, podnosząc wzrok znad oświetlonego przez lampę, żółtego notesu.
- Tak sądzę - odparł agent, prawą ręką dotykając lewego przegubu i pocierając palcami błyszczącą kopertę zegarka z nierdzewnej stali. - Choć lekarze nie są pewni, czy potrzebna będzie operacja plastyczna. Uważam, że powinni ją przeprowadzić.
- To już jest ich decyzja - powiedział polityk.
- Jestem... wiele wart, proszę pana. Bez operacji plastycznej będę naznaczony.

- Nie wątpię, że podsekretarz Bradford przekaże pańskie odczucia do szpitala Waltera Reeda - powiedział generał, przeglądając notatki.

- Powiedział pan, że po raz pierwszy zobaczył Ricciego ciągnął Bradford - podczas odprawy w Rzymie, tuż przed odlotem grupy na Col des Moulinets. Zgadza się?

- Tak, proszę pana. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Był nowy.

- I po wydarzeniach na moście, kiedy odzyskał już pan przytomność, jego tam nie było?

- Nie.

- I nie wie pan, dokąd odjechał?

- Nie, proszę pana.

- Rzym też nie wie - dodał cicho, znaczącym tonem, podsekretarz.

- Dowiedziałem się, że jakaś ciężarówka bardzo pokiereszowała włoskiego żołnierza.

Wrzeszczał jak opętany. Ktoś zauważył, że miał blond włosy, sądzę więc, że to był Ricci.

- I co jeszcze?

- Z lasu wyszedł jakiś człowiek z ciętą raną na głowie, wsadził żołnierza do samochodu i razem odjechali.

- W jaki sposób dowiedział się pan tego?

- Po otrzymaniu pierwszej pomocy zadawałem pytania, mnóstwo pytań. To należało do moich obowiązków, proszę pana. Włosi i Francuzi wrzeszczeli jak opętani istny dom wariatów! Ja jednak zostałem na miejscu, aż dowiedziałem się wszystkiego co możliwe, nie pozwalając, aby to mnie ktoś zadawał pytania.

- Udzielał panu pochwały - powiedział ambasador.

- Dziękuję.

- Założmy, że ma pan rację. - Bradford pochylił się nad stołem. - Tym blondynem był

Ricci, a wy dostał go stamtąd człowiek z raną głowy. Czy przychodzi panu na myśl, kto to mógł być?

- Chyba tak. Jeden z tych, których Ricci wziął ze sobą. Drugi zginął.

- A więc Ricci odjechał wraz z jednym ze swoich ludzi. Ale Rzym nie otrzymał od niego żadnych wiadomości. Czy uważa pan, że to normalne?

- Absolutnie nie, proszę pana. W przypadku, gdy ci ludzie doznają jakiegoś uszczerbku, natychmiast wyciągają z nas tyle forsy, ile się da. Podczas nielegalnych operacji kierujemy się klarownymi zasadami. Jeśli nie można ewakuować rannego...

- Rozumiemy - przerwał mu Halyard.

- W takim razie, według pana, gdyby Ricciemu i jego ekspertowi od materiałów wybuchowych udało wymknąć się bez uszczerbku, nawiązaliby kontakt z ambasadą w Rzymie, tak szybko jak to możliwe.

- Tak, proszę pana. Wyciągaliby natychmiast ręce, wrzeszcząc bez przerwy.

Domagaliby się ekstra gotówki, a gdyby jej nie dostali, zaczęliby nam grozić.

- W takim razie, co się stało?

- Dla mnie to całkiem jasne. Nie powiodło im się.

- O co chodzi? - zapytał Brooks, podnosząc wzrok znad żółtego notesu.

- Nie ma innego wytłumaczenia. Znam tych ludzi, proszę pana. To śmiecie, za odpowiednią opłatą zabiliby własną matkę. Może mi pan wierzyć, że skontaktowaliby się z Rzymem.

- Nie udało im się - powtórzył Halyard, przyglądając się człowiekowi z Col des Moulins. - Co pan ma na myśli?

- Drogi, proszę pana. W tych górach wznoszą się i opadają jak korkociągi, czasami przez wiele mil prowadzą w ciemności. Kierowca był ranny, a pasażer rzucał się i wrzeszczał.

Sądzę, że samochód odbył długi lot na ziemię.

- Rany głowy mogą być zwodnicze - skomentował Halyard. Krwawiący nos wygląda o wiele gorzej.

- Zastanawiające, że pośród tego chaosu znalazł się człowiek, który zachował zimną krew - zauważył Brooks. Działał...

- Proszę wybaczyć, panie ambasadorze - przerwał mu z szacunkiem Bradford, nieznacznie podnosząc głos. - Sądzę, że tajny agent ma rację. Dokładne przeszukanie tych dróg, pozwoli znaleźć samochód gdzieś na dnie przepaści.

- Tak, oczywiście. Trzeba będzie to zrobić.

- Brooks wymienił spojrzenia z Bradfordem.

- Jeszcze jeden lub dwa punkty i kończymy - powiedział podsekretarz porządkując dokumenty.

- Jak panu wiadomo, wszystko o czym w tej chwili mówimy, jest tajne. Nie ma tu ukrytych mikrofonów, ani urządzeń nagrywających, słowa zostaną jedynie w naszej pamięci.

Tak jest bezpieczniej dla nas wszystkich, nie tylko dla pana. Możemy więc rozmawiać swobodnie. Niech pan nie retuszuje prawdy, jedziemy na tym samym wózku.

- Rozumiem, proszę pana.

- Otrzymał pan niedwuznaczne rozkazy odnośnie Havelocka. Określono go oficjalnie jako „niedouratowania”, a instrukcja z Rzymu nakazywała zakończyć sprawę „z maksymalnym skutkiem”. Zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- Innymi słowy, mieliście go zabić na Col des Moulinets. - Taki był sens przekazanych informacji.

- A te instrukcje otrzymał pan od starszego attach Operacji Konsularnych w Rzymie.

Od człowieka o nazwisku Warren. Harry Warren.

- Tak, proszę pana. Byłem z nim w stałym kontakcie, czekałem na ustalenia...

czekałem, aż Waszyngton prześle rozkaz. - Skąd miał pan pewność, że człowiek, z którym pan rozmawiał był Harrym Warrenem? - Agent wyglądał na zakłopotanego. Pytanie wyglądało na idiotyczne, a przecież człowiek, który je zadał wcale nie był idiotą.

- Choćby stąd, że pracowałem z Harrym ponad dwa lata. Znałem jego głos.

- Tylko jego głos?

- I numer telefonu w Rzymie. To bezpośrednia linia z łącznościowym w ambasadzie.

Numer jest zastrzeżony i znają go tylko nieliczni. To też brałem pod uwagę.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że Warren wydając ostateczne instrukcje, mógł znajdować się w sytuacji przymusowej? Że działał wbrew swojej woli?

- Nie, proszę pana.

- Nigdy nawet nie przemknęło to panu przez myśl?

- Jeżeli coś podobnego miałyby miejsce dałby mi znać.

- Z lufą przy skroni? - zapytał Halyard. - W jaki sposób?

- Obowiązywał ustalony kod i on go użył. Nie zrobiłby tego, gdyby coś było nie w porządku.
- Proszę to wyjaśnić bliżej - powiedział Brooks. Co to za kod?
- Słowo lub kilka słów przesłanych wprost z Waszyngtonu. Dotyczą przekazywanej decyzji, w ten sposób można potwierdzić jej uprawomocnienie, bez wymieniania nazwisk.
- Jaki kod obowiązywał w przypadku Col des Moulinets? zapytał Emory Bradford.
- Dylemat, proszę pana. Przyszedł wprost z Operacji Konsularnych w Waszyngtonie i jest zapisany w rejestrze telefonicznym ambasady, w tajnym archiwum. Są tam daty, czas i źródło potwierdzenia. Bradford wziął do ręki fotografię o wymiarach osiem cali na dziesięć, przedstawiającą mężczyznę. Ramię lampki ustawił tak, by zdjęcie było dobrze oświetlone.
- Czy to jest Harry Warren?
- Tak, proszę pana. To Harry.
- Dziękuję. - Podsekretarz odłożył fotografię i postawił znaczek na marginesie swoich notatek. Pozwoli pan, że nieco cofnę się w czasie, chciałbym bowiem do końca wyjaśnić pewną sprawę. Ta kobieta miała być przewieziona przez granicę w miarę możliwości bez szwanku. Zgadza się?
- W instrukcji użyto określenia „jeśli to możliwe”. Nikt nie miał zamiaru dla niej ryzykować. Była po prostu wtyczką.
- Wtyczką?
- Sowiecką wtyczką. Moskwa miała się dowiedzieć, że nie połknęliśmy haczyka.
- Co by znaczyło, że wymyślili ją Rosjanie. Była podobna być może poddano ją operacji plastycznej - a Rosjanie kilka razy pokazali ją na użytek Havelocka w wybranych miejscach. Pozwolili mu się do niej zbliżyć, ale nie na tyle, aby mógł ją dopaść. To pan miał na myśli?
- Tak, proszę pana.
- Chodziło o zaszokowanie Havelocka, wytrącenie go ze stanu równowagi psychicznej, aż posunie się do dezercji.
- Zgadza się. Miał zwariować. I chyba się to udało: z Waszyngtonu nadeszło hasło „nie-do uratowania”.
- Dylemat.

- Dylemat, proszę pana.

- A więc ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Jenna Karas nie była kobietą na moście.

- Ponad wszelką wątpliwość. Karas została zabita na Costa Brava, wszyscy o tym wiedzieli. Sam Havelock był na plaży jako tajny agent. Właśnie tam oszalał. Ambasador Brooks z trzaskiem odłożył ołówek i nachylił się do przodu, badawczo wpatrując się w człowieka z Col des Moulins. Ostre, odbijające się od ścian dźwięki i ruch ciała, miały oznaczać coś więcej niż przerwanie wypowiedzi, wyrażały sprzeciw.

- Czy cała ta operacja nie sprawiła na panu wrażenia, delikatnie rzecz ujmując dziwacznej? Żeby być całkiem szczerym, czy egzekucja była jedynym rozwiązaniem? Czy wiedząc to, o czym wiedzieliście a przypuszczam, że pan również był o tym poinformowany -

nie mogliście spróbować go schwytać i przywieźć tu na leczenie?

- Z całym szacunkiem, proszę pana, łatwiej powiedzieć niż wykonać. Jack Ogilvie spróbował w Rzymie i na zawsze pozostał na Wzgórzu Palatyńskim. Na tamtym moście Havelock zabił trzech ludzi. To znaczy, o tylu wiemy, bo prawdopodobnie zginęło jeszcze dwóch. Mnie ciął nożem po twarzy... To wariat. - Agent przerwał na chwilę, ale jeszcze nie skończył.

- Tak, proszę pana. Biorąc to wszystko pod uwagę - trzeba go zabić. Jest „niedouratowania” i nie moją sprawą jest nad tym się zastanawiać. Ja tylko wykonuję rozkazy.

- To mi brzmi aż nazbyt znajomo, proszę pana - powiedział Brooks.

- Ale zgadzam się, że w aktualnej sytuacji takie rozumowanie jest usprawiedliwione -

pośpiesznie wtrącił Bradford, zapisując na leżącej przed nim kartce słowo Dylemat i kontynuował, zanim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić. - Co stało się z Havelockiem?

Dowiedział się pan?

- Powiedziano mi, że uccisore pazzo... szaleniec, morderca, nie oglądając się na nic, przejechał ciężarówką przez most i zniknął z pola widzenia. Wszczęto alarm we wszystkich prowincjach - w miastach i miasteczkach wzdłuż całego wybrzeża Morza Śródziemnego. To był jego teren, więc prędzej czy później skontaktuje się z kimś i wpadnie. Mówią, że został

ranny, dlatego daleko nie ucieknie. Sądzę, że najdalej za kilka dni wypłynie na powierzchnię.

Chciałbym tam wtedy być i dopaść go osobiście.

- To całkiem zrozumiałe - powiedział Bradford.

- Chcemy podziękować za współpracę dzisiejszego wieczoru. Był pan zwięzły i bardzo nam

pomocny. Może pan już wyjść i życzyć wszystkiego najlepszego. Mężczyzna wstał z krzesła, powoli skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się, dotknął opatrunku na lewym policzku i zwrócił się do trzech mężczyzn na podium.

- Zasluguje na operację - powiedział z przekonaniem.

- Z pewnością - zgodził się podsekretarz. Tajny agent z Col des Moulins otworzył

drzwi i wyszedł na korytarz o białych ścianach. W momencie, kiedy zamknęły się za nim drzwi, Halyard krzyknął do Bradforda:

- Dzwonź pan do Rzymu! Zabierz te rejestry i znajdź Dylemat! O tym chciał nam pan powiedzieć, co? To jest trop prowadzący do Parsifala.

- Tak, generale - odpowiedział Bradford. - Kod Dylemat został wprowadzony przez Daniela Sterna, dyrektora Operacji Konsularnych. Jego nazwisko widnieje w rejestrach ambasady, zapisane tam przez starszego attach Operacji Konsularnych Harry'ego Warrena.

Zapis jest całkiem jasny. Warren napisał co następuje: Kod: Dylemat. Obiekt: Havelock.

Decyzja zawieszona.

- Zawieszona? - zapytał Brooks. - Kiedy to zapisano?

- Zgodnie z rejestrami ambasady, nie zostało to zapisane. Nie było dalszych wpisów tej nocy, w jakikolwiek sposób odnoszących się do Dylemat, Havelocka lub grupy na Col des Moulins.

- Niemożliwe - zaprotestował generał. - Słyszał pan reakcję tego człowieka. Zgoda została wydana, kod zatwierdzający przekazany. Agent niczego nie owijał w bawełnę. Ten telefon musiał zostać odebrany.

- I był.

- Uważa pan, że wpis został wykreślony? - zapytał Brooks.

- Nie, nigdy go tam nie było - powiedział Bradford. Warren niczego nie zapisał.

- A więc dobierzcie się do niego - powiedział Halyard. Przyciśnijcie go. On wie, najlepiej, kto z nim rozmawiał. Do diabła, Emory, łap pan za słuchawkę. To Parsifal! -

Obrócił się na krześle do ściany. - Panie prezydencie? Ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Podsekretarz pogrzebał w leżących przed nim papierach i wyjął cienką brunatną kopertę. Z jej wnętrza wydobył kolejną fotografię i podał byłemu ambasadorowi. Brooks przyjrzał się jej uważnie i gwałtownie zaczerpnął powietrza. W milczeniu przekazał zdjęcie Halyardowi.

- Jezusie... - Halyard ustawił fotografię pod lampą. Jej powierzchnia była ziarnista, usiana drobnymi liniami - skazy powstały widocznie podczas przekazywania, ale zdjęcie było wyraźne. Przedstawiało ciało, rozciągnięte na białym stole. Ubranie mężczyzny było poszarpane i zakrwawione, twarz okropnie posiniaczona, lecz wytarta z krwi, żeby umożliwić identyfikację. Zarówno to zdjęcie jak i poprzednie, które zaledwie kilka minut wcześniej Bradford pokazał agentowi z Col des Moulinets, przedstawiało tego samego mężczyznę: Harry'ego Warrena, starszego attach Operacji Konsularnych w Rzymie.

- Dostaliśmy je dziś telefaksem o pierwszej po południu. To jest Warren. Dwa dni temu, we wczesnych godzinach rannych, został przejechany na via Frascati. Świadkowie niewiele mogli pomóc naszym ludziom. Powiedzieli tylko, że wielka furgonetka z silnikiem o dużej mocy z rykiem przeleciała ulicą, najwyraźniej przyśpieszając przed samym uderzeniem.

Człowiek za kierownicą nie miał zamiaru chybić: dopadł Warrena, kiedy ten wchodził na krawężnik i przygniótł go do słupa sygnalizacji świetlnej. Samochód został uszkodzony, policja go poszukuje, ale nie ma wielkiej nadziei na efekt. Prawdopodobnie leży już gdzieś za miastem na dnie rzeki.

- A więc trop został zatarty. - Halyard przesunął fotografię po stole do Addisona Brooksa.

- Żal mi tego człowieka - powiedział podsekretarz ale nie jestem pewien do jakiego stopnia stanowił on trop.

- Ktoś tak widocznie pomyślał - powiedział generał.

- Albo ubezpieczył flankę.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Brooks.

- Ktokolwiek wykonał ten ostatni telefon, nie mógł wiedzieć, co Stern powiedział

Warrenowi. Wiemy tylko tyle, że decyzja nie została podjęta.

- Proszę jaśniej - nalegał polityk.

- Przypuśćmy, że sztabowcy z Operacji Konsularnych doszli do wniosku, że nie mogą podjąć decyzji. Na pierwszy rzut oka nie powinno być to takie trudne. Havelock - psychopata, agent samotnik, zdolny do wyrządzenia nieobliczalnych szkód, potencjalny zdrajca i morderca - taka decyzja nie obciążałaby niczyjego sumienia. Załóżmy jednak, że czegoś się dowiedzieli, albo coś wzbudziło ich podejrzenia. Coś co ich ostateczną decyzję postawiło pod znakiem zapytania.

- Karas - powiedział Halyard.

- Być może. Albo jakiś dokument lub sygnał od Havelocka, wskazujący, że nie jest maniakiem i nigdy nim nie był. Że jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach, który stoi przed okropnym dylematem stworzonym przez kogoś innego.

- Co oczywiście jest prawdą - cicho wtrącił Brooks.

- Zgadza się - potwierdził Bradford. - Co sztabowcy mogli zrobić w takiej sytuacji?

- Poszukać pomocy - powiedział Halyard. - Rady.

- Wskazówek - dodał polityk.

- Oni tymczasem chcieli rozłożyć odpowiedzialność za podjęcie decyzji zwłaszcza, że niedokładnie znali fakty. Po kilku godzinach decyzja została podjęta, ale wtedy już nie żyli...

My zaś nie mamy pojęcia, kto to zrobił, kto zadzwonił jako ostatni. Wiemy tylko, że był to ktoś uprawniony, komu ufano do tego stopnia, by zapoznać go z kodem Dylemat. Ten ktoś podjął decyzję i zadzwonił do Rzymu.

- Ale dlaczego Warren tego nie zarejestrował? - zapytał Brooks. - Jak to się mogło stać?

- Tak, jak to już wcześniej się zdarzało, panie ambasadorze. Ktoś skorzystał z bezpośredniej linii, prowadzącej do łącznicy telefonicznej gdzieś w Arlington. Uprawnienia zostały potwierdzone przez podanie kodu, zaś prośba poparta wymogami bezpieczeństwa wewnętrznego, właściwie oznacza rozkaz. Odbiorca czuje się wyróżniony, że został wybrany spośród tylu innych ludzi, doceniony przez człowieka, który podejmuje ważne decyzje. A poza tym, cóż to za różnica? Człowieka, który autoryzował decyzję, zawsze można zidentyfikować przez podany kod - w tym przypadku kod ustalony przez dyrektora Operacji Konsularnych Daniela Sterna. Tylko, że on nie żyje.

- To przerażające - powiedział Brooks, spoglądając w swoje notatki. - Przeprowadza się egzekucję na człowieku, ponieważ ma on rację, a kiedy ta się nie udaje, przypina mu się etykietkę mordercy i obwinia odpowiedzialnością za śmierć tych, którzy usiłowali go zabić.

My zaś do tej pory nie wiemy, kto oficjalnie wydał rozkaz. Nie możemy go znaleźć. Cóż z nas za ludzie?

- Ludzie, którzy dochowują tajemnic dobiegł zza podwyższenia głos. Na progu białych drzwi zjawił się prezydent Stanów Zjednoczonych. Wybaczcie mi. Przyglądałem się wam, słuchałem.

- Naszych sekretów, panie prezydencie?

- Tak, Mal - powiedział Berquist, kierując się w stronę fotela. - Chodzi właśnie o te słowa, prawda? „Ścisłe tajne”, „Tylko dla twoich oczu”, „Poufne”, „Wymagane maksymalne wtajemniczenie”, „Autoryzacja tylko z kodem dostępu”... Przeszukujemy pokoje i sprawdzamy linie telefoniczne przyrządami, wykazującymi czy zainstalowano blokady.

Używamy wyrafinowanych urządzeń, które starają się wykryć identyczne przyrządy w sytuacji, kiedy to my zakładamy podsłuch. Zakłócamy transmisje, włączając w to przekazy satelitarne i równocześnie przebijamy się wiązkami laserowymi przez zakłócenia, by przesłać informacje, na których nam zależy. Wszystkie sygnały chowamy w korcu bezpieczeństwa narodowego: wybieramy tylko te, które nam odpowiadają. Jakiejś agencji lub sekcji podajemy jedną wersję, drugiej - coś

zupełnie innego, tylko po to, by ukryć trzecią wersję -

prawdę, która może nas zniszczyć. W dobie najbardziej zaawansowanej techniki łączności, robimy wszystko co w naszej mocy, żeby ją ograniczyć, albo raczej użyć w celu dezinformacji. Prezydent usiadł, spojrział na fotografię martwego mężczyzny i odwrócił ją do góry nogami.

Pierwszoplanowymi celami naszej doskonalącej się bez przerwy łączności, stało się zachowanie tajemnic i zmiana kierunku przepływu prawdziwych informacji. Czy nie widzicie w tym panowie paradoksu naszych czasów?

- Niestety, często jest to zasada - przyznał Bradford.

- Nieraz późno w nocy zastanawiam się, czy stałby przed nami ten problem, gdybyśmy trzy miesiące temu nie usiłowali dochować sekretu.

- Mielibyśmy niesłychanie ograniczony wybór, panie prezydencie - powiedział

niewzruszonym tonem podsekretarz. Moglibyśmy stanąć przed jeszcze trudniejszym problemem.

- Trudniejszym, Emory?

- W każdym razie wcześniej byśmy się z nim zetknęli. Teraz już tylko czas jest po naszej stronie.

- I musimy wykorzystać każdą cholerną minutę - zgodził się Berquist, spoglądając najpierw na generała, a potem na Brooksa. Teraz już wiecie, co stało się w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin i dlaczego musiałem was wezwać do Waszyngtonu.

- Nie wiemy jeszcze o najistotniejszym czynniku - powiedział polityk. - Nie znamy reakcji Parsifala.

- Nie ma żadnej - odparł prezydent.

- A więc on o tym nie wie - powiedział szybko i dobitnie Halyard.

- Gdybyś był tego pewien, mógłbym spokojnie spać w nocy odparł Berquist.

- Kiedy skontaktował się z wami po raz ostatni? zapytał Brooks.

- Szesnaście dni temu. Nie było sensu was zawiadamiać, przekazał jeszcze jedno żądanie, równie bezczelne jak poprzednie.

- Czy później były z jego strony jakieś reakcje?

- Żadnych. Piętnaście dni temu przez Wyspy Bahama, Kajmany i Amerykę Środkową przekazaliśmy na konta bankowe osiemset milionów dolarów. Dostarczyliśmy mu szyfry i hasła bankowe, tak jak sobie tego życzył. Mógł więc z dowolnego punktu świata sprawdzić depozyty i przelać pieniądze na zastrzeżone konta w Zurichu i Bernie. Nie podjął ani centa!

Sprawdził tylko trzy konta, do innych banków nawet nie zadzwonił. Pieniądze go więc nie interesują. Są jedynie środkiem, za pomocą którego utwierdza się w przekonaniu, że zna nasze słabe punkty. Wie, że zrobimy wszystko, czego od nas zażąda. - Berquist znów przerwał i po chwili odezwał się szeptem: - I Bóg mi świadkiem, że się nie myli. Na podium zapadła cisza, coś co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, zostało przyjęte do wiadomości... Milczenie przerwał rzeczowy komentarz generała:

- Widzę tu jeszcze kilka luk - powiedział przeglądając swoje notatki, a następnie podniósł wzrok na podsekretarza. - Może pan je wypełnić?

- Mogę tylko spekulować - odparł Bradford. - Ale nawet jeśli ograniczę się do spekulacji, musimy cofnąć się do samego początku. Jeszcze przed Rzymem.

- Do Costa Brava? - pogardliwie zapytał Brooks.

- Jeszcze wcześniej, panie ambasadorze. Do tego momentu, w którym uzgodniliśmy, że musi dojść do Costa Brava.

- Nagana została przyjęta - lodowato powiedział polityk. Proszę kontynuować.

- Musimy cofnąć się do tej chwili, kiedy zrozumieliśmy, że to Matthias osobiście zainicjował śledztwo w sprawie Jenny Karas. To nie jego współpracownicy, lecz wielki człowiek we własnej osobie, przekazywał wiadomości od naszych informatorów, tak głęboko zakonspirowanych w sowieckim wywiadzie, że wszelkie spekulacje na temat ich tożsamości, byłyby równoznaczne z ujawnieniem naszych własnych operacji.

- Nie bądź taki skromny, Emory - wtrącił prezydent.

- To nie my dowiedzieliśmy się o Matthiasie, lecz ty sam do tego doszedłeś.

- Tak, ale to panu, panie prezydencie jeden ze współpracowników wyznał w Owalnym Gabinetcie, że nikt nie wiedział skąd pochodziły te informacje, bo Matthias przynosił je osobiście. Mnie nigdy by tego nie wyznał.

- Może to zasługa tego gabinetu, a nie szacunku do mnie powiedział Berquist. - Nie kłamie się człowiekowi, który siedzi w tym pokoju... Chyba, że się jest Anthony Matthiasem.

- Prawdę mówiąc, panie prezydencie - powiedział cicho Brooks - on nie miał zamiaru wprowadzić pana w błąd. Wierzył, że postępuje słusznie.

- Wierzył w to, że jego miejsce jest w moim fotelu, w moim gabinecie! Dobry Boże, on wciąż w to wierzy. Nawet teraz! Jego cholerna megalomania nie zna granic! Kontynuuj, Emory.

- Tak, proszę pana. - Bradford podniósł wzrok. - Doszliśmy do wniosku, że Matthias chciał zmusić Havelocka do przejścia na emeryturę i w ten sposób pozbyć się swojego byłego studenta i jednego z

naszych najlepszych ludzi w Operacjach Konsularnych. Wtedy nie wiedzieliśmy dlaczego chciał to zrobić, i teraz też nie wiemy.

- Ale współpracowaliśmy z nim - powiedział Berquist ponieważ nie mieliśmy pojęcia, o co tu chodzi. Czy mamy do czynienia ze zdegradowanym agentem wywiadu, który ma już tego wszystkiego dosyć, czy z oszustem, - a nawet gorzej niż z oszustem sługusem Matthiasa, który chce zabić kobietę, żeby reprezentować na zewnątrz wielkiego człowieka. Trzeba przyznać, że miałby nielichą posadę! Międzynarodowy emisariusz świętego Matthiasa! A może cesarza Matthiasa, władcy wszystkich stanów i terytoriów republiki?

- Daj spokój, Charley - Halyard dotknął ramienia prezydenta. Nikt z obecnych w pokoju nie zaryzykowałby tak intymnego gestu.

- Gdyby nie ten sukinsyn Matthias, nie byłoby nas tutaj! Nie mogę o tym zapomnieć. I świat też nie będzie mógł... O ile ktoś jeszcze pozostanie, by pamiętać.

- W takim razie wróćmy do zasadniczego tematu - zaproponował łagodnie Brooks.

Prezydent Berquist odchylił się w tył, spojrzął na dostojnego polityka, a potem przeniósł wzrok na generała.

- Poprosiłem was do siebie, bo Bradford powiedział mi, że na najwyższym szczeblu w rządzie, nie wyłączając wielkiego Anthony'ego Matthiasa, zaistniał przypadek zdrady. Nie wiemy również, dlaczego Matthias chciał wyeliminować Havelocka. Emory dostarczył nam jednak prawdopodobnego scenariusza.

- Niewiarygodnego scenariusza - przyznał podsekretarz, kładąc dłoń na stercie dokumentów. Sprawa, którą Matthias zmontował przeciwko Karas, była studium precyzji i pomysłowości. Oto nawrócony terrorysta z grupy Baader-Meinhof szuka nagle rozgrzeszenia: ma zamiar sprzedać informacje, w zamian za przeniesienie i uchylenie wyroku śmierci. Bonn niechętnie się zgadza, a my kupujemy bajeczkę: kobieta, która pracuje wspólnie z oficerem operacyjnym Operacji Konsularnych w Barcelonie, w rzeczywistości jest z KGB. Opisano metody przekazywania rozkazów oraz klucza, a na lotnisku pojawia się jej walizeczka, wypełniona obciążającymi ją dowodami. Znajdujemy tam analizę działalności jej i Havelocka w ciągu ostatnich pięciu tygodni, streszczenia tajnych informacji, które Havelock przesłał do Departamentu Stanu, oraz spis obowiązujących szyfrów operacyjnych i częstotliwości przez nas używanych. W teczce były też instrukcje z Moskwy, nie wyłączając szyfru KGB, którego agentka miała użyć, gdyby zaistniała potrzeba nawiązania łączności z północno-wschodnim sektorem KGB. Sprawdziliśmy ten szyfr i otrzymaliśmy odzew. Kod był autentyczny!

- Generał Halyard i ja znamy większość z tych faktów. Zakładam więc, że istnieje specjalny powód, dla którego omawia je pan tak dokładnie - przerwał mu ambasador Brooks.

- Istnieje, panie ambasadorze - potwierdził Bradford. Dotyczy to Daniela Sterna.

Proszę o cierpliwość.

- Jeżeli już przy tym jesteśmy, to w jaki sposób sprawdził pan ten kod? - zapytał

generał.

- Używając trzech podstawowych częstotliwości morskich dla akwenu Morza Śródziemnego. To standardowa procedura sowiecka.

- Cholernie proste, jak na nich, prawda?

- Nie wiem, nie jestem ekspertem, ale raczej powiedziałbym, że to cholernie sprytne.

Ich sposób nadawania jest chyba skuteczniejszy. My zazwyczaj używamy gorszych długości fal, które często nakładają się, i w razie wykrycia, łatwo je zagłuszyć. Natomiast w łączności na częstotliwościach morskich nie ma problemu zakłóceń: bez względu na tłok w eterze, informacje dochodzą w rozsądnym czasie.

- Pana wiedza robi wrażenie - powiedział Brooks.

- W ciągu ostatnich czterech miesięcy odbyłem całą serię błyskawicznych kursów dokształcających. Dzięki rozkazowi prezydenta, mogłem też korzystać z pomocy najlepszych umysłów w wywiadzie.

- Oczywiście żaden z nich nie zna powodów wydania rozkazu zlikwidowania Havelocka - przerwał Berquist, wpatrując się w starszego mężczyznę. Potem zwrócił się do Bradforda. - A więc sprawdziłeś, że szyfr jest autentyczny.

- To był najbardziej obciążający dowód w jej walizeczce, nie dało się go podrobić.

Tak więc jej nazwisko zostało sprawdzone i przekazane do Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Bradford przerwał. - Może panowie o tym nie wiedzą, ale w tym właśnie momencie pojawiłem się na scenie. Nie pchałem się do tej roboty, zostałem odszukany przez ludzi, z którymi pracowałem za czasów administracji Johnsona i w południowoschodniej Azji.

- Prośba starych, dobrych znajomych z Międzynarodowej Agencji Rozwoju w Vientianie, którzy pozostali w CIA? - z sarkazmem zapytał Halyard.

- Tak. Dwójki ludzi, których rozległa wiedza o tajnych operacjach, zarówno tych pożytecznych, jak i szkodliwych sprawiła, że zajmują się tak zwanym nadzorowaniem informacji, pochodzących od ludzi usytuowanych głęboko wewnątrz sowieckiego aparatu.

Którejś nocy zadzwonili do mnie i zaprosili na drinka w miejscowym barze w Berwyn.

Chcieli pogadać o starych czasach. Powiedziałem, że jest dosyć późno. Ten, z którym rozmawiałem zauważył, że dla nich też, a z McLean i Langley do Berwyn Heights jest długa droga. Zrozumiałem o co chodzi i przyłączyłem się do nich.

- Jeszcze o czymś takim nie słyszałem - przerwał były ambasador. - Mam rozumieć, że ci ludzie zamiast przesłać raport normalnym kanałem, udali się z nim wprost do pana?

- Tak, dokładnie tak. Byli zaniepokojeni.

- Niech Bogu będą dzięki, że starzy galernicy czują jeszcze więź duchową -

powiedział prezydent. - Potem wrócili na drogę służbową, ale zrobili to w końcu tak, jak chcieliśmy. Zameldowali, gdzie trzeba, że sprawa przekracza ich kompetencje, wycofali się i całość przekazali Bradfordowi.

- Przesłanie informacji o Karas to rutynowe działania w pracy wywiadu - powiedział

Halyard. - Co ich tak mogło zaniepokoić?

- Oświadczone im a priori, że cel jest zbyt głęboko ukryty dla ludzi z CIA. Miała zostać uznana za winną, bez względu na wyniki dochodzenia Agencji.

- Więc ta arogancja ich zdenerwowała? - zasugerował Brooks.

- Nie, rząd ich już do niej przyzwyczał. Zaniepokoiło ich to, że oskarżenie mogło być nieprawdziwe. Dotarli do pięciu niezależnych źródeł w Moskwie - „śpiochów”, którzy nie mieli nawzajem o sobie pojęcia, za to mieli dostęp do wszelkich tajnych akt KGB. I wszystkie próby dały negatywny wynik! Karas była czysta, ale ktoś w rządzie chciał, by uznano ją za zdrajczynię. Kiedy jeden z moich znajomych rutynowo zadzwonił do współpracownika Matthiasa, żeby uzyskać więcej danych z Operacji Konsularnych, kazano mu po prostu odesłać bezużyteczny raport oświadczając, że rząd zgromadził już wszystkie potrzebne informacje. Innymi słowy Jenna została skazana, bez względu na to co powiedziałyby Agencja. Moi starzy, dobrzy znajomi odnieśli wrażenie, że wszystkie przesłane rządowi raporty wędrują ad acta. - A jak twoi przyjaciele tłumaczą sprawę szyfru KGB? - zapytał generał.

- Dostarczył go ktoś z Moskwy - odparł Bradford. Ktoś, kto współpracuje z Matthiasem.

- To już wykluczaliśmy! - krzyknął Halyard, przerywając ciszę pełną niewiarygodnych sugestii.

- Chciałbym jednak do tego powrócić - powiedział spokojnie Bradford.

- Zbadaliśmy już wszystkie możliwości - zauważył Brooks, wpatrując się w Bradforda.

- Ta teza nie sprawdza się ani w praktyce, ani w teorii. Matthias musi być powiązany z Parsifalem, bez siebie nie istnieją. Gdyby Związek Radziecki wiedział coś o Parsifalu, dziesięć tysięcy głów bojowych wszelkich rodzajów byłoby gotowych do zniszczenia połowy naszych miast i wszystkich obiektów militarnych. Rosjanie nie mieliby innego wyboru jak odpalić rakiety, zadając ostatnie pytanie po pierwszym uderzeniu. Gdyby rakiety stały już na wyrzutniach, wywiad natychmiast by nas

zaalarmował. Nic takiego jednak się nie stało. Powtarzając pańskie słowa, Bradford, tylko czas jest po naszej stronie.

- W dalszym ciągu tak uważam, panie ambasadorze. Jednak ciągle nie wiem w jaki sposób szyfr KGB znalazł się w sfabrykowanych dowodach przeciwko Karas mimo, że była czysta. Nie możemy zakładać, że wystawiono go na sprzedaż.

- Dlaczego nie? - zapytał generał. - A co nie jest na sprzedaż?

- Nie taki szyfr. Nie można kupić szyfru, który zmienia się losowo.

- Co pan ma na myśli? - przerwał Halyard.

- Musiał go dostarczyć ktoś z Moskwy - powiedział podniesionym głosem Bradford. -

Możemy być bliżej Parsifala niż sądzimy.

- Jakie są pańskie wnioski, panie podsekretarzu? - Brooks pochylił się nad stołem.

- Ktoś usiłuje odnaleźć Parsifala równie rozpaczliwie jak my, i dla takich samych powodów. Kimkolwiek ten ktoś jest, znajduje się w Waszyngtonie - być może widzimy go codziennie, nie zdając sobie z tego sprawy. Wiemy tylko, że pracuje dla Moskwy i wcześniej od nas rozpoczął poszukiwania. A to oznacza, że i w Moskwie ktoś wie. - Bradford przerwał.

- To dlatego ten kraj... Cały świat wpakował się w najbardziej przekłętą kryzys. Tu, w Waszyngtonie jest „śpioch” mogący zachwiać równowagą sił politycznych, podważyć powszechne przekonanie o naszym realnym i duchowym przywództwie, o ile jako pierwszy dotrze do Parsifala. Obawiam się, że może go znaleźć, bo zna Parsifala, a my, nie.

18

Mężczyzna miał na sobie ciemny płaszcz i nisko nasunięty na czoło kapelusz, który częściowo skrywał jego twarz. Po wyjściu z dwutonowego coupe, z trudem uniknął

wdepnięcia w kałużę przy drzwiach kierowcy. Zewsząd dobiegały odgłosy nocnego deszczu.

Krople uderzały w maskę samochodu, z pluskiem zderzały się z przednią szybą, głucho dudniły o winylowy dach i tonęły w niezliczonych kałużach wyludnionego parkingu nad Potomakiem. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, wyjął złotą zapalniczkę gazową i zapalił ją.

Płomyk jeszcze nie zdążył na dobre zabłysnąć, kiedy zgasił go i ponownie schował

zapalniczkę do kieszeni. Podeszedł do balustrady, spojrzął na przemoczone zarośla i gęste błoto graniczące z czarną wodą. Podniósł głowę i bacznie przyjrzał się przeciwległemu brzegowi: w ulewie mrugały światła Waszyngtonu. Usłyszał za sobą kroki - chrzęst skórzanych butów na mokrym żwirze i odwrócił się. Z ciemności wyłonił się człowiek w poncho ufarbowanym na ochronne wojskowe barwy. Na głowie miał ciężki, skórzany kapelusz z szerokim rondem, pod którym widać

było zarośniętą twarz trzydziestolatka o szeroko rozstawionych oczach. Był pijany, powitalny grymas wyglądał równie groteskowo, jak cała reszta.

- Hej! Nieźle było, co? - krzyknął mężczyzna w poncho. Buch! Bęc! Buum!... Łubu-du! Jakby czołg pieprzył w riksę żółtków! Buch! Czegoś takiego jeszcze pan nie widział!

- Bardzo dobra robota - przyznał mężczyzna w płaszczu.

- No chyba! Dopadłem ich na pasach i łubu-du! Kurczę, ledwo pana widać. To pan, prawda?

- To ja. Rozczarowałeś mnie.

- Dlaczego? Przecież nie nawaliłem?

- Ale piłeś. Chyba uzgodniliśmy, że nie będziesz.

- Tylko kilka drinków. Nawet nie w knajpie, tylko w moim pokoju... Może być pan spokojny!

- Rozmawiałeś z kimś?

- Na Boga, nie!

- Jak tu się dostałeś?

- Tak jak pan kazał, autobusem... trzema autobusami... a parę ostatnich kilometrów przeszedłem na piechotę.

- Szosą?

- Nie, bocznymi drogami. Tak, jak to robiliśmy w Danang. - Dobrze. Zasłużyłeś na odpoczynek.

- Hej, majorze...? Przepraszam, chciałem powiedzieć... proszę pana.

- Słucham?

- Jak to możliwe, że w gazetach nie było nawet wzmianki? Przecież rąbnęło jak cholera. Musiało się palić godzinami, a ogień był widoczny z daleka. Jak to możliwe?

- To były płotki, sierżancie. Tak jak panu powiedziałem. Byli złymi ludźmi, którzy zdradzili facetów, takich, jak ty i ja. Zostali sobie tu na miejscu i pozwolili, żebyśmy my tam ginęli.

- No to wyrównałem kilka rachunków. Chyba już muszę wracać do szpitala, co?

- Nie musisz. - Człowiek nazwany majorem wyjął z kieszeni dłoń w rękawicze.

Trzymał w niej pistolet kaliber 22, niewidoczny w ciemnościach i padającym deszczu.

Podniósł go do góry, wycelował i wystrzelił. Mężczyzna przewrócił się, a jego zakrwawiona głowa opadła na mokre poncho. Człowiek w płaszczu zrobił krok do przodu i wytarł broń o swoje ubranie. Po czym uklęknął i rozwarł palce prawej dłoni zabitego. Dwutonowe coupe zawróciło na bocznej wiejskiej drodze. Światła reflektorów omiotły marylandzkie kamieniste pole i wysoką trawę, uginającą się pod wiatrem i nocnym deszczem. Kierowca w ciemnym płaszczu i nisko nasadzonym na oczy kapeluszu dostrzegł to, czego się spodziewał. Zwolnił

więc i wyłączył światła, jeszcze przed zatrzymaniem samochodu. Na poboczu, obok ogrodzenia z drutu kolczastego, stała błyszcząca białą karetką, z rządowymi tablicami rejestracyjnymi i czarnymi napisami na drzwiach: Szpital Marynarki Wojennej Bethesda, Sanitarka numer 14. Kierowca zaparkował samochód obok białego pojazdu. Wyjął

zapalniczkę i zapalił ją, przez chwilę trzymając płomyk przy oknie. Drzwi ambulansu otworzyły się i w deszcz wyskoczył młody mężczyzna. Nie miał jeszcze trzydziestu lat. Jego służbowa peleryna rozchyliła się na moment, ukazując pod spodem biały strój sanitariusza.

Kierowca nacisnął guzik umieszczony nad podłokietnikiem i prawe okno opuściło się w dół.

- Wskakuj do środka! - zawołał przekrzykując szum ulewy. Przemokniesz do suchej nitki!

- Mężczyzna wsiadł do wnętrza coupe, zatrzasnął za sobą drzwi i prawą dłonią wytarł

twarz. Był Latynosem. Oczy błyszczały mu, niczym dwa wielkie węgle, a splątane krucze włosy opadały na śniade czoło.

- Jesteś mi coś winien, mamusiu - powiedział południowiec. Wielka mama jest mi winna jedno wielkie lio grande.

- Otrzymasz swoją zapłatę, choć szczerze mówiąc, po prostu wyrównałeś wobec mnie swój stary dług.

- Żadnych dados, majorze.

- Gdyby nie ja, zostałbyś rozstrzelany, albo wciąż przenosiłbyś kamienie pod Leavenworth. Nie zapominajcie o tym, kapralu.

- Załatwiłem dla ciebie tego psychiatrę! Płać!

- Załatwiłeś - jak to ujmujesz - dwóch żandarmów w Pleiku, którzy przyłapali cię na kradzieży narkotyków z ciężarówki szpitala polowego. Dwóch zaginionych w akcji, odnalezionych w rzece, więcej. Czy nie miałeś szczęścia, że byłem w pobliżu?

- Jasne mamusiu, naprawdę miałem szczęście. Tylko kto był tym puerco, który dał mi cynk o ciężarówce? Ty, majorze!

- Wiedziałem, że dajesz sobie radę. Przez te wszystkie lata miałem cię na oku, choć nie miałeś o tym zielonego pojęcia. W każdej chwili mogłem cię odszukać, bo stare długi należy spłacać.

- W takim razie jest pan w błędzie, majorze. Widziałem kiedyś w wieczornym dzienniku, jak wychodził pan z wielkiej limuzyny, obok budynku Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. To był pan, nie mylę się?

- Wątpię!

- A ja nie! Zawsze poznam wielką mamusię. Musi być pan teraz niezłą szycią!

Zapłacisz mamusiu. I to dużo.

- Uważaj, irytujesz mnie.

- Zapłacisz.

- Najpierw broń - powiedział mężczyzna w płaszczu. Dostałeś ją ode mnie i chcę ją mieć z powrotem. W ten sposób jesteś bezpieczny, nikt nie będzie mógł poddać jej testom balistycznym. Sanitariusz sięgnął do kieszeni peleryny i wyjął mały pistolet, identyczny jak ten, którego kierowca coupe użył godzinę temu na parkingu nad Potomakiem.

- Magazynek jest pusty - powiedział Latynos, wyciągając w ciemnościach pistolet.

- Podaj mi go!

- Bierz pan! Chryste, nic tu nie widać. Auu! Cholera jasna! Co u diabła...? Dłoń kierowcy minęła krótką lufę pistoletu i podwinęła szeroki rękaw sanitariusza, skrywający przedramię.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna w płaszczu. Przekręcił mi się sygnet.

Podrapałem cię?

- Nieważne mamusiu. Pieniądze. Dawaj prędzej te pieprzone dinero!

- Spokojnie! - Mężczyzna wziął pistolet i wsunął go do kieszeni. Potem podniósł

leżącą na kolanach zapalniczkę i oświetlił nią spoczywający na siedzeniu plik banknotów owiniętych elastyczną taśmą. - Proszę. Pięćdziesiąt setek - oczywiście nigdzie nie notowanych. Chcesz przeliczyć?

- Po co? Gdybym czegoś jeszcze potrzebował, już wiem, gdzie cię znaleźć -

powiedział sanitariusz i otworzył drzwi. - Nie raz mnie jeszcze zobaczysz, wielka mamusiu.

- Nie mogę się doczekać - odparł kierowca. Kiedy sanitariusz po zatrzaśnięciu drzwi ruszył w stronę ambulansu, wiatr ponownie rozwiął poły peleryny, odsłaniając jego biały kitel. Mężczyzna w coupe oparł dłoń na klamce i spoglądając przez okno, przygotowywał się do błyskawicznego wyjścia z samochodu na widok, który spodziewał się zobaczyć.

- Sanitariusz zachwiał się, wyciągnął ramiona i gwałtownie tracąc równowagę, starał się uczepić boku karetki. Zaczął krzyczeć. O twarz rozbijały mu się krople deszczu. W trzy sekundy potem runął na mokrą trawę. Mężczyzna w płaszczu wyskoczył z coupe i obszedł samochód od tyłu, wyjmując po drodze z lewej kieszeni szklany przedmiot w kształcie walca.

Zbliżył się do sanitariusza, przyklęknął i podciągnął szeroki rękaw na bezwładnym ramieniu.

Po założeniu igły do podskórnych zastrzyków, wciągnął strzykawką biały płyn ze szklanej ampułki i wbił igłę w zwiotczone ciało. Nacisnął tłok i po chwili cała dawka płynu znalazła się w ramieniu. Długa igła pozostała na miejscu, mocno osadzona w skórze. Jeszcze tylko sięgnął

przez nieruchome ciało sanitariusza i zamknął jego bezwładne palce na szklanym walcu, z kciukiem przy tłoku. Ręka opadła na trawę. Wstał i przyjrzał się porozrzucanym banknotom.

Wiele z nich spoczywało pod ciałem sanitariusza. Odwrócił je więc i otworzył drzwi ambulansu: jak przystało na karetkę szanowanego pracownika Szpitala Marynarki w Bethesda, wewnątrz było schludne, a wyposażenie na swoim miejscu. Z kieszeni płaszcza wyjął

mały pistolet i rzucił go na siedzenie. Następnie sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął jej zawartość: cztery dodatkowe ampułki, w tym dwie puste. Sprawdził nalepki, wszystkie były takie same: „Szpital Marynarki Wojennej w Bethesda Lekki ścisłego zarachowania Zawartość: C₂₁H₂₃N₃O₇ NO: H₂O. Morfina. „Upuścił ampułki na podłogę ambulansu. Nagły podmuch wiatru, zaciął strugami wody. Mężczyzna chciał przytrzymać nakrycie głowy, ale było już za późno. Wiatr zerwał kapelusz i rzucił go o ściankę coupe. Przeszedł więc kilka kroków i podniósł go. Ale nawet w tych ciemnościach widoczne było białe pasmo włosów na falistej czarnej czuprynie, przyklejonej do mokrego czoła. Nikołaj Pietrowicz Malekow był

rozdrażniony, a przemoczone włosy stanowiły tylko jedną z przyczyn jego irytacji. Był

spóźniony, a przecież musiał jeszcze zmienić ubranie. Jako Arthur Pierce, podsekretarz stanu, nie mógł pokazać się w takim stanie. Człowiek zajmujący takie stanowisko w rządzie, nie tapla się w błocie podczas ulewy, tylko po dotarciu do domu wzywa swoją służbową limuzynę. Umówił się wieczorem z brytyjskim ambasadorem na kilka drinków. W OPEC

pojawiły się kolejne problemy i sprawy wagi państwowej, których trzeba dopilnować.

Wprawdzie nie o to chodziło jego ludziom w Moskwie, ale informacja o nowej strategii angloamerykańskiej, była nie do pogardzenia. Tego rodzaju wiedza przesuwiała WKR bliżej upragnionej władzy. Zainicjował tę drogę ponad pół wieku temu Jagoda. Jednak tylko człowiek, którego nie można było znaleźć, a który zna sekrety Anthona Matthiasa, może poprowadzić Wojenną

ku jej przeznaczeniu - dla dobra świata. Arthur Pierce jako chłopiec wychował się na farmie w Iowa, ale w rzeczywistości urodził się w rosyjskiej wiosce Ramenskoje. Teraz, w padającym deszczu, wracał do samochodu. Jeżeli brało się udział w tego rodzaju nie kończącej się „zabawie”, nie było miejsca na zmęczenie. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Ambasador Addison Brooks spoglądał przez podium na Bradforda.

- Mówi pan, że ten „śpioch” wie kim jest Parsifal, wiedział, zanim my wiedzieliśmy -

krzyknął. - Na jakich dowodach opiera pan to swoje niezwykle twierdzenie?

- Costa Brava - odparł podsekretarz. - I na podstawie siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Opowiedz po kolei - nakazał prezydent.

- W decydujących godzinach Havelock odebrał transmisję radiową na częstotliwości zmienionej przez madryckich techników CIA. Nikt im nie wyjaśniał powodu, dla którego mają to zrobić, nie mieli więc pojęcia do czego i komu ma służyć odbiornik. Jak panom wiadomo, cała operacja na Costa Brava była nadzorowana przez człowieka o nazwisku Steve MacKenzie, najlepszego fachowca od nielegalnych akcji w Wydziale. Nie było zatem żadnego ryzyka.

- Absolutnie żadnego - przerwał Berquist.

- Trzy tygodnie temu MacKenzie zmarł na wieńcówkę, już po tym, jak wycofaliśmy go z Barcelony. W okolicznościach śmierci nie było niczego podejrzanego. Lekarz, który podpisał akt zgonu jest powszechnie znany i szanowany. Został też poddany wszechstronnemu przesłuchaniu: MacKenzie zmarł z przyczyn naturalnych.

- Tylko on znał wszystkie szczegóły - ciągnął Bradford. Wynajął łódź, dwóch mężczyzn i blondynkę, która mówiła po czesku i miała wrzeszczeć w ciemnościach, z oddali -

podczas okropnej sceny na plaży. Cała trójka rekrutowała się spośród mętów drobni pośrednicy w handlu narkotykami i prostytutka. Otrzymali niezłą zapłatę i nie zadawali pytań.

Havelock, posługując się szyfrem KGB, nadał swoją depezę i adresował ją do łodzi przy brzegu myśląc, że są w niej ludzie z grupy Baader-Meinhof. MacKenzie złapał to na skanerze i dał znać, by łódź przybiła do brzegu. Kilka minut później Havelock zobaczył to, co chciano by zobaczyć. Operacja Costa Brava została zakończona.

- Po raz kolejny muszę przypomnieć - przerwał niecierpliwie ambasador - że generał

Halyard i ja orientujemy się w podstawowych faktach... - Została zakończona i poza prezydentem oraz naszą trójką, nikt inny o tym nie wie - ciągnął energicznie podsekretarz. -

MacKenzie tak rozdzielił zadania, żeby jedna grupa nie wiedziała, co robi druga.

Rozgłosiliśmy tylko wersję o podwójnej agentce złapanej w pułapkę. Nie było żadnych tajnych raportów ani akt, które by temu przeczyły. A wraz ze śmiercią MacKenzie zniknął

ostatni człowiek, który znał prawdę.

- Jenna Karas wiedziała - stwierdził Halyard. - Uciekła wam, ale wiedziała.

- Tylko o tym, co jej powiedziano. To ja rozmawiałem z nią w hotelu w Barcelonie.

Opowiedziałem jej bajeczkę, żeby osiągnąć dwa cele. Po pierwsze chcieliśmy ją przestraszyć, a przez to podporządkować sobie, niby dla ratowania jej życia. A po drugie, mieliśmy zamiar wprowadzić ją w nastrój, który zaniepokoiłby Havelocka i pomógł przekonać go, że była agentką KGB, o ile miał co do tego jeszcze jakieś wątpliwości. Gdyby postępowała zgodnie z naszymi instrukcjami, nic by się jej nie stało. Gdybyśmy ją odnaleźli, nie uciekałaby teraz przed człowiekiem, który żeby ukryć prawdę o Costa Brava, musi zabić ją i Havelocka.

Ambasador Brooks cicho zagwizdał. Był to niski dźwięk, który wydaje błyskotliwy człowiek, kiedy jest naprawdę zdumiony.

- Doszliśmy do ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin w Rzymie - powiedział. -

Godzin, które rozpoczęły się od telefonu z nie ustalonego źródła, podającego zatwierdzający kod autoryzacji, ustalony przez Daniela Sterna.

- Tak, proszę pana. Col des Moulins. Czytałem nasłuchy łączności, zapoznając się z raportem tajnego agenta, ale niewiele to wyjaśniło. Dostrzegłem tylko zarysy, cienie. Po dzisiejszej rozmowie kontury stały się wyraźniejsze.

- Pojawia się człowiek o nazwisku Ricci, którego nigdy przedtem nie spotkał -

powiedział Brooks - oraz dwóch ekspertów od ładunków wybuchowych, o których nic nie wiedział.

- No i sprawa tej eksplozji w dwanaście minut po strzelaninie na moście - dodał

Bradford. - Oraz opis kobiety, rzekomej radzieckiej „wtyczki”, którą Moskwa mogła sobie odebrać i w ten sposób otrzymać nauczkę.

- Co oczywiście było kłamstwem - zauważył Halyard. - Bomba była przeznaczona dla samochodu, w którym jechała. Ilu ludzi zabiła na drodze do mostu? Siedmiu. Chryste, ładunek był na tyle silny, żeby rozerwać ten pojazd wraz z pasażerami na strzępy.

- A wszystko to przez człowieka o nazwisku Ricci powiedział Bradford. - Nieznanego nikomu Korsykanina i dwóch wspierających go ludzi, którzy w rzeczywistości byli fachowcami od materiałów wybuchowych. To Rzym ich wysłał, ale ci dwaj, którzy się uratowali nie nawiązali już kontaktu z ambasadą. Używając słów naszego agenta - to nie było normalne. Oni bali się tam wrócić.

- Nasi ludzie ich wysłali - zauważył Berquist - ale oni nie mieli z nimi nic wspólnego.

Zawarli osobne porozumienie z człowiekiem, który wykonał ostatni telefon z Waszyngtonu do Rzymu. Z Dylematem.

- Z tym samym człowiekiem, panie prezydencie, który mógł wydostać z Moskwy autentyczny szyfr KGB, bo Havelock zaakceptowałby tylko autentyk. Z kimś, kto znał

prawdę o Costa Brava, przestraszył się i być może tak jak my, chciał ukryć całą aferę.

- Dlaczego? - zapytał generał.

- Ponieważ, gdybyśmy zaczęli na nowo rozgrzebywać całą tę sprawę, moglibyśmy się dowiedzieć, że i on tam był. Prezydent i generał zareagowali niczym ktoś, kto dowiedział się o niespodziewanej śmierci. Jedyne Brooks pozostał niewzruszony i bacznie przyglądał się Bradfordowi - w ten sposób błyskotliwy umysł przyjął do wiadomości fakt o istnieniu równorzędnego partnera.

- To cholernie pochopny wniosek, synu - powiedział Halyard.

- Nie przychodzi mi na myśl żadne inne rozwiązanie - odparł Bradford. - Egzekucja Havelocka została zatwierdzona. Zrozumieli to nawet ci, którzy doceniali jego zasługi.

Zrobiono go wariatem, niebezpiecznym dla wszystkich ludzi w terenie. Ale dlaczego ta kobieta miała być przewieziona przez granicę na Col des Moulinets? Dlaczego podkreślano, że była „wtyczką”? Dlaczego jej ucieczka miała być nauką dla Rosjan, jeżeli bomba nastawiona na kilka minut później i tak rozerwałaby ją na strzępy i uniemożliwiła identyfikację?

- Żeby podkreślić przekonanie o jej śmierci na Costa Brava powiedział Brooks. -

Gdyby pozostała przy życiu, poprosiłaby o azyl i opowiedziała swoją historię. Nie miałyby przecież nic do stracenia.

- I zmusiłaby władze do ponownego zbadania wydarzeń tamtej nocy na plaży -

uzupełnił prezydent. Nie mogła być zabita na moście, bo wydało by się kłamstwo o jej śmierci na Costa Brava.

- A ten człowiek, który zadzwonił, zatwierdzając egzekucję Havelocka - zapytał

Halyard, marszcząc brwi. W jego głosie pojawiła się niepewność. - Ten, który użył kodu Dylemat i poprzez Rzym wysłał na Col des Moulinets Ricci'ego i dwóch ludzi od nitrogliceryny... Twierdzi pan, że była tamtej nocy na plaży?

- Wszystko na to wskazuje, panie generale.

- Na miłość boską, dlaczego?

- Ponieważ on wie, że Jenna Karas żyje - odparł ambasador Brooks, wciąż obserwując Bradforda. - A przynajmniej wie, że nie została zabita na Costa Brava. Nikt inny nie wiedział.

- To spekulacje. Jeśli nawet utrzymywaliśmy to w tajemnicy, szukaliśmy jej przecież przez prawie cztery miesiące.

- Nie przyjmując jednak do wiadomości, że to była ona wyjaśnił podsekretarz - nie przyznając, że żyje. List gończy dotyczył kobiety, której doświadczenie tajnego agenta mogło doprowadzić ją do ludzi, z którymi pracowała pod różnymi nazwiskami. Nacisk położono na rysopis i języki, jakimi się posługiwała.

- Nie mogę zaakceptować pańskiego karkołomnego wywodu Halyard pokręcił głową, niczym wojskowy strateg, który dostrzegł lukę w planach manewrów na poligonie. - Costa Brava przygotował MacKenzie i raport składał tylko panu. CIA w Langley nie wiedziała o Madrycie, a o Barcelonie nie miało pojęcia ani Langley, ani MacKenzie. Jak można w takich okolicznościach spenetrować coś, czego nie ma? Chyba, że zdaniem pana, MacKenzie zdradził lub spartaczył robotę.

- Ani to, ani to - sprzeciwił się podsekretarz. - Sądzę, że człowiek, który wszedł w posiadanie kodu Dylemat, już trzy miesiące temu kontaktował się z Parsifalem. Wiedział na czym się skoncentrować i zaniepokoił się, kiedy Havelock został wysłany do Madrytu przy zastosowaniu procedury bezpieczeństwa Cztery Zero.

- To musi być ktoś dobrze wtajemniczony z Departamentu Stanu - wtrącił ambasador.

- Ktoś z dostępem do tajnych akt.

- Zgadza się. Obserwował Havelocka i zauważył, że coś się dzieje. Poleciał więc do Hiszpanii, w Madrycie złapał jego trop i pojechał za nim do Barcelony. Ja i MacKenzie też tam byliśmy. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że mnie rozpoznał. Z

MacKenziem spotkałem się dwukrotnie, więc przyjmijmy, że widział nas razem.

- Jeśli istotnie tak było, to Moskwa dysponuje wystarczająco obfitym dossier MacKenziego, żeby zaalarmować radziecki wywiad Brooks nachylił się i po raz kolejny spojrzął na Bradforda. Fotografia została przesłana do KGB i człowiek, którego szukamy, a który widział was w Barcelonie, uświadomił sobie, że tajna operacja rozwija się.

- Racja, to mogło tak wyglądać.

- Za dużo tu jednak domysłów z pańskiej strony zauważył Halyard.

- To chyba jeszcze nie wszystko, co podsekretarz ma do powiedzenia - ambasador wskazał głową dokumenty, które Bradford właśnie wyjmował ze stosu papierów. - Nie uwierzę, żeby pozwolił powędrować swojej wyobraźni w tak egzotyczne rejony, chyba, że coś go do tego zmusiło. Mam rację.

- Zasadniczo tak.

- Nie wystarczy zwykle „tak”? - przerwał prezydent.

- Tak - powiedział członek rządu. - Moje postępowanie dzisiejszego popołudnia może być odebrane jako naganne, ale uważałem, że to sprawa o podstawowym znaczeniu.

Musiałem odizolować się od telefonów i bieżących spraw, musiałem ponownie przejrzeć materiały i sprowokować resztki wyobraźni, które mi pozostały. Poszedłem do tajnego archiwum Operacji Konsularnych i wziąłem do domu akta Havelocka, dotyczące jego zeznań na temat Costa Brava, złożonych pod wpływem leków stymulujących. Studiowałem je od trzeciej, nie zapominając o ustnym raporcie MacKenziego, po jego powrocie z Barcelony. I pojawiły mi się sprzeczności.

- Jakie? - zapytał Brooks.

- Co innego zaplanował MacKenzie, a zupełnie co innego widział Havelock.

- Zobaczył to, co chcieliśmy, żeby zobaczył - powiedział prezydent. - Podkreśliłeś to już kilka minut temu.

- Mógł zobaczyć więcej niż nam się zdaje, więcej niż zaaranżował MacKenzie.

- MacKenzie tam był? - zaprotestował Halyard. - O czym pan, u diabła, mówi?

- Owszem, był, ale mniej więcej siedemdziesiąt metrów od Havelocka i miał

ograniczoną obserwację. Bardziej interesowały go reakcje Havelocka, niż to, co działo się poniżej, bo wcześniej już wielokrotnie przeprowadził próby z dwoma mężczyznami i kobietą.

Według scenariusza wszystko miało rozegrać się tuż nad wodą, kule miały trafić w falę rozbijającą się o brzeg, kobieta miała upaść na mokry piasek, a morze miało obmywać jej ciało.

Łódź powinna znajdować się w zasięgu ręki. Dla osiągnięcia lepszego efektu, wykorzystano wszystkie czynniki, w tym odległość i ciemność.

- Miało to być przekonujące wizualnie widowisko wtrącił Brooks.

- Istotnie - zgodził się Bradford. - Ale Havelock zobaczył zupełnie inny obraz, nieskończenie bardziej przekonujący. W klinice w Virginii, pod wpływem środków psychotropowych, jeszcze raz dosłownie przeżył to wszystko, nie pomijając zaburzeń emocjonalnych. Opisał kule wzbijające piasek w górę i kobietę biegnącą w kierunku drogi, a nie w stronę wody. Widział też dwóch mężczyzn, niosących jej ciało. Dwóch mężczyzn.

- Tylu zostało wynajętych - powiedział zdezorientowany Halyard. - W czym problem?

- Jeden powinien być w łodzi oddalonej od brzegu o dwadzieścia stóp. Silnik cały czas pracował. Drugi miał strzelać i wciągać kobietę do wody, żeby wrzucić jej „zwłoki” do łodzi.

Odległość, ciemność i światło latarki to były elementy scenografii, wcześniej wypróbowane z udziałem wynajętych ludzi. Jednak przedstawienie MacKenziego i to, co zobaczył Havelock miało tylko jedną wspólną cechę: oświetlenie. On nie był świadkiem wyreżyserowanego drobiazgowo spektaklu, widział naprawdę zabita kobietę.

- O Chryste! - generał odchylił się w krześle.

- Czy MacKenzie nie wspominał o tym? - zapytał Brooks. - Chyba tego nie widział.

Powiedział tylko: „Moi ludzie musieli odstawić niezłe widowisko”. Przez kilka godzin obserwował Havelocka ze swojego stanowiska ponad drogą. Odszedł, kiedy zaczęło się rozjaśniać, nie mógł przecież ryzykować z nim spotkania.

- Wniosek z tego, że człowiek, którego szukamy, a który pociągnął za spust na plaży w Costa Brava, podał kod Dylemat, otrzymany od Sterna i sklasyfikował Havelocka jako

„nie-do uratowania”, jest radzieckim agentem w Departamencie Stanu podsumował Addison Brooks.

- Tak - zgodził się podsekretarz.

- I podobnie jak my, za wszelką cenę chce odnaleźć Parsifala - podsumował prezydent.

- Zgadza się, proszę pana.

- Jednak, o ile zrozumiałem - szybko wtrącił Brooks - to pojawia się tu pewna sprzeczność. Ten człowiek nie przekazał swoich zdumiewających informacji oficjalnym zwierzchnikom w KGB. W przeciwnym wypadku wiedzielibyśmy o tym.

- On nie tylko zachował je dla siebie, ale celowo wprowadził w błąd szefa KGB. -

Bradford wziął do ręki kartkę z wierzchu i podał ją ambasadorowi. Pozostawiłem to na koniec. Notabene, nie po to, żeby panów zdziwić czy zaszokować, ale dlatego, że wszystko to brzmi nonsensownie. Chyba, że spojrzymy na całość po uwzględnieniu informacji zapisanych na tej kartce. Prawdę mówiąc, nie jestem do końca pewien, że wszystko z tego rozumiem. To jest depesza od dyrektora Operacji Zagranicznych KGB Piotra Rostowa z Moskwy.

- Depesza od sowieckiego wywiadu? - zapytał zdumiony Brooks, biorąc papier do ręki.

- Wbrew temu co sądzi większość ludzi - ciągnął podsekretarz - sztabowcy z wrogich służb często kontaktują się ze sobą. Oni są bardzo praktyczni i pracują w śmiertelnie praktycznym zawodzie. Nie mogą sobie pozwolić na fałszywe sygnały... Według Rostowa, KGB nie ma nic wspólnego z Costa Brava i chce, żebyśmy o tym wiedzieli. Nawiasem mówiąc, pułkownik Baylor w swoim raporcie

wspomniął, że Rostow schwytał w Atenach Havelocka w pułapkę i choć mógł go przemyścić do Rosji przez Dardanele - nie zrobił tego.

- Kiedy otrzymał pan tę depezę? - zapytał polityk. - Dwadzieścia cztery godziny temu

- odpowiedział prezydent. - Bardzo uważnie ją analizowaliśmy. Z treści wyraźnie wynika, że nie oczekują odpowiedzi.

- Przeczytaj ją, Addison - powiedział Halyard.

- Adresatem jest D.S. Stern, dyrektor Operacji Konsularnych w Departamencie Stanu...

- Brooks spojrzął na Bradforda. - Stern został zabity trzy dni temu. Czy Rostow mógł o tym nie wiedzieć?

- Gdyby wiedział, nie wysyłałby depezy. Nie dopuściłby przecież do rozważań czy KGB jest zamieszana w śmierć Sterna. Wysłał ją, ponieważ nic o tym nie wiedział. O

zamordowaniu innych również.

- Do wiadomości publicznej przeniknęła tylko wiadomość o śmierci Millera -

powiedział Berquist. Nie mogliśmy jej ukryć, całe Bethesda o tym mówiło. Wyciszyliśmy zgony Sterna i Dawsona, przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie wyjaśnimy okoliczności w jakich to się stało. Ich rodziny przenieśliśmy do strzeżonego ośrodka w Colorado Springs.

- Przeczytaj to - powiedział generał. Brooks trzymając depezę w świetle lampy, czytał powoli, monotonnym głosem. „To nie my zdradziliśmy w Costa Brava. Przynęta w Atenach to też nie nasza sprawa. Osławione Operacje Konsularne nie zaprzestają swojej prowokacyjnej działalności, wbrew nieustannym protestom Związku Radzieckiego przeciw brakowi szacunku dla życia ludzkiego. Zbrodnie i akty terroryzmu Operacji Konsularnych wymierzone są zarówno przeciwko niewinnym ludziom, jak i całym narodom. A jeżeli powszechnie znany wydział amerykańskiego Departamentu Stanu uważa, że w obrębie murów na Placu Dzierżyńskiego są ludzie mający z tym coś wspólnego, to zapewniam, że ich wyplenimy i poniosą zasłużoną karę. Powtarzam: to nie my zorganizowaliśmy Costa Brava.”

- Dobry Boże - wyszeptał ambasador, a ręka z kartką, wciąż trzymaną między kciukiem i palcem wskazującym, opadła ku podłodze.

- Rozumiem poszczególne zdania, ale nie wiem, co on chce nam przekazać -

powiedział Halyard.

- Tu jest coś więcej niż zaprzeczenie - odparł Brooks. Plac Dzierżyńskiego nie jest otoczony,

murami. - Chodzi o to - powiedział Bradford, zwracając się do prezydenta - czego w depeszy nie ma. Mury otaczają Kreml.

- Rostow chce nam powiedzieć - ciągnął ambasador - że operacja Costa Brava była niemożliwa bez współpracownika lub współpracowników w Moskwie...

- To wiemy - przerwał Berquist. - Ale co z tymi murami? Jak to rozumiesz?

- To jest ostrzeżenie. On nie wie o kogo chodzi, a jeśli nie wie, to znaczy, że ci ludzie są poza jego zasięgiem.

- Bo nie posługują się normalnym kanałem łączności? zapytał prezydent.

- Nie posługują się nawet tajnymi - powiedział Brooks.

- A więc normalna walka o władzę. - Berquist zwrócił się do podsekretarza stanu. -

Czy od któregoś z naszych wydziałów wywiadu mamy informacje na ten temat?

- Są doniesienia o zwyczajnych tarciach. Stara gwardia wymiera, a młodzi komisarze są ambitni i niecierpliwi.

- A generalicja? - dopytywał się Halyard.

- Połowa chce rozwalić Omaha, połowa rozmowy SALT 3.

- Parsifal może ich zjednoczyć - powiedział polityk. - A wtedy wszystkie palce spoczną na startowych guzikach rakiet.

- Rostow nie wie o Parsifalu - zaprotestował Bradford. - Nie ma jasnej koncepcji.

- Ale zaczyna coś wyczuwać - przerwał ambasador. Wie, że operacja w Costa Brava została w jakiś sposób wspólnie zorganizowana przez Departament Stanu i pewnych ludzi z Moskwy. Próbował ich odnaleźć i nie udało mu się. To go bardzo niepokoi. Taka sytuacja może spowodować brak równowagi na najwyższym szczeblu.

- Dlaczego tak sądzisz? - Prezydent wziął depeszę od Brooksa i uważnie ją przestudiował, jakby próbując dopatrzeć się w niej czegoś, czego wcześniej nie dostrzegł.

- Nie znajdzie pan tam tego - powiedział Bradford, wskazując głową na Brooksa - z wyjątkiem słowa „przynęta”, które odnosi się do Havelocka. Pamiętajmy, że w Atenach go nie złapano. Rostow zdaje sobie sprawę z niezwykłych stosunków, łączących Michaela Havelocka i Anthona Matthiasa. Obaj są Czechami, obaj rozbitkami, nauczyciel i uczeń... Na wielu płaszczyznach, jak ojciec i syn. Gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie? Czy obaj współpracują z Moskwą, czy tylko jeden? W jakim celu? Unikanie normalnych kanałów łączności wskazywałoby na coś szalenie nierozważnego. Nie tak

dawno staliśmy przed tym samym dylematem: o co chodzi Matthiasowi i jaki udział ma w tym Havelock? Żeby to wyjaśnić, zorganizowaliśmy Costa Brava.

- A wtedy Parsifal skontaktował się z nami i nie miało to już znaczenia - wtrącił

Berquist. Znaleźliśmy się pod ścianą. Wciąż pod nią stoimy - tylko, że ona urosła i podzieliła się na dwie. My znaleźliśmy się w środku i nie mamy teraz wyjścia. Poszukiwanie Parsifala połączyliśmy z pościgiem za innym człowiekiem, za kimś, kto jest tu na miejscu i obserwuje każdy nasz ruch: radzieckim „śpiochem”, który może wydostać z Moskwy tajny kod i jest wystarczająco głęboko zakonspirowany, żeby zmienić przebieg operacji w Costa Brava. Na Boga, musimy z tym skończyć! Jeżeli on znajdzie Parsifala przed nami, wraz ze swoim szalonym partnerem na Kremlu, mogą temu krajowi dyktować wszelkie warunki.

- Wiecie gdzie jest - powiedział generał - no to go znajdźcie! Zajmuje wysokie stanowisko w Departamencie, bo ma dostęp do łączności z ambasadami i musi być gdzieś cholernie blisko Matthiasa. O ile rozumiem, to on wystawił Karas, dostarczył kod i umieścił

go w jej walizeczce. On ją wystawił!

- Myślę, że dostarczył wszystko. - Bradford powoli pokręcił głową w zdziwieniu, jakby przypominając sobie coś, co jest niemożliwe. - Walizkę, informatora z Baader-Meinhof, nasze własne szyfry i instrukcje z Moskwy. Wszystko to pojawiło się w Barcelonie... znikąd.

I nikt nie wie, jak do tego doszło.

- Chyba nie ma sensu dalej naciskać Matthiasa? zapytał Brooks.

- Nie ma - odparł Bradford. - Powtarza tylko to, co powiedział na początku: „Dowody już tam były, nie podrobione. Zostały mi przesłane”.

- Święty Antoni usłyszał dzwony! - wybuchnął prezydent. - „Śpioch” w Departamencie - upierał się Halyard. - Na Boga! Odszukanie go nie może przecież być takie trudne! Z iloma ludźmi mógł rozmawiać Stern? O jaki wycinek czasu może chodzić? Kilka minut? Godzina? Jeszcze raz zabierzmy się do tego i prześledźmy każdy jego ruch.

- Sztabowcy Operacji Konsularnych pracują w całkowitej konspiracji - powiedział

Bradford.

- Nie prowadzą kalendarza spotkań, ani terminarza konferencji. Jeżeli któryś z nich czegoś potrzebuje, po prostu dzwoni do kogoś na piętrze, w Agencji lub w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa. Nawet w tym przypadku nie dokonuje się nigdy zapisków. Znowu chodzi o wewnętrzne bezpieczeństwo: ktoś niepowołany, a mający dostęp do akt lub notatek, mógłby wydedukować z nich bardzo dużo...

- Za wszelką cenę skierować strumień informacji w niewłaściwą stronę - powiedział

cicho prezydent.

- Według naszych danych Stern mógł rozmawiać z każdym spośród sześćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu osób - ciągnął Bradford. - I te szacunki mogą być zaniżone. W

specjalistycznych zespołach działają szefowie, między nimi zaś kręcą się różni specjaliści.

Lista nie ma końca, a ci wszyscy ludzie mają wszelkie uprawnienia.

- Mówimy o Departamencie Stanu - powiedział z naciskiem srebrnowłosy Brooks. -

Chodzi o czas jaki upłynął między ostatnią rozmową Sterna z Rzymem, i o cztery godziny późniejszym zatwierdzeniem operacji na Col des Moulinets. To znacznie ogranicza krąg podejrzanych.

- Ktokolwiek nim jest, zdaje sobie z tego sprawę powiedział podsekretarz. - O jego dalszych ruchach nic nie wiemy. Nawet książka wyjść i powrotów nie powie nam, gdzie był.

- Czy nikt nie widział Sterna? - dopytywał się Brooks. - Na pewno pan o to pytał.

- Najdyskretniej, jak to możliwe, ale żaden z przesłuchiwanym nie potwierdził

kontakty z nim w ciągu tych dwudziestu czterech godzin. Z drugiej strony, nie spodziewaliśmy się, że ten, kto go spotkał, przyzna się do tego.

- I na pewno nikt go nie widział? - zapytał niedowierzająco generał.

- No cóż, z wyjątkiem recepcjonisty sekcji L, na piątym piętrze - przyznał, skinąwszy głową Bradford. - Stern odebrał od niego pozostawioną przez Dawsona wiadomość i poszedł

do windy. Mógł wstąpić do każdego z pięciu sąsiednich pokoi, niewidocznych z recepcji.

- Kto był w tym czasie w budynku? - Już w momencie zadawania tego pytania, ambasador pokręcił głową, jakby mówiąc: „przepraszam, nieważne”.

- Właśnie - powiedział Bradford, potwierdzając nie wypowiedzianą przez Brooksa myśl. - To na nic. Według rejestru wyjść, dwadzieścia trzy osoby nie opuszczały budynku.

Odbywały się konferencje, sekretarki przyjmowały od pracowników wydziałów służbowe notki i raporty. Nie ma żadnych punktów zaczepienia. Nikt nie opuścił spotkania na wystarczająco długo, żeby zadzwonić.

- Do jasnej cholery, chodzi przecież o jedno piętro! wykrzyknął generał. -

Siedemdziesiąt pięć pokoi, siedemdziesięciu pięciu ludzi. To nie stu pięćdziesięciu ani tysięcy, lecz

dokładnie siedemdziesięciu pięciu i jeden z nich jest waszym „śpiochem”! Zaczynjcie od tych najbliższej Matthiasa. Zamknijcie ich, zapakujcie wszystkich do kliniki, jeśli będzie trzeba!

- Wybuchnie panika! Niech pan sobie wyobrazi nastroje w Departamencie Stanu -

zaprotestował Brooks. - Chyba, że... czy jest jakaś grupa szczególnie silnie związana z Matthiasem?

- Pan nie rozumie jego pozycji. - Bradford oparł podbródek na złożonych dłoniach, szukając właściwych słów. - On jest alfą i omegą, jedynym doktorem Matthiasem, mistrzem, guru oraz inspiratorem myśli. Jest współczesnym Sokratesem znad Potomaku, „człowiekiem na wszystkie pory roku”, mającym wielbicieli we wszystkich środowiskach.

Wynagradzającym pojętnych, niszczącym niedowiarków najbardziej okrutnymi słowami, jakie słyszałem. Okrutnymi, ale zawsze ubranymi w błyskotliwe lecz spokojne zdania. I jak w przypadku większości samowładnych arbitrów elity, jego arogancja dorównuje niestałości upodobań. Wystarczyło, iż zwrócił uwagę na jakąś sekcję i od razu jej personel staje się ukochanymi dziatkami oczywiście do czasu pojawienia się innej grupki, która w odpowiedniej chwili wygłosi pochlebstwo i tym samym zmieni się w kolejne grono ulubieńców. Zawsze tak było, ale w ciągu ostatnich lat ten stan bardzo się u niego pogarszał.

Bradford pozwolił sobie na napięty uśmiezek. Oczywiście mogę być uprzedzony - nigdy nie dopuszczono mnie do tych czarujących kręgów.

- Czy wie pan, dlaczego tak się stało? - zapytał ambasador.

- Miałem już wcześniej swoją niezłą reputację, może to mu się nie podobało. Ale chyba raczej dlatego, że przyglądałem mu się bardzo uważnie, a on nie czuł się w takich chwilach najwygodniej... Widzicie, panowie, „najlepsi i najbystrzejsi” wędrują wieloma dziwnymi ścieżkami, prowadzeni przez ludzi takich jak on. Niektórzy po drodze dorastają i nie sądzę, żeby Matthias był tym zachwycony, bo wraz z dorastaniem pojawia się krytycyzm.

Nie wystarczy już toministyczny przełom, a ślepa wiara może zniekształcić pogląd i perspektywę.

- Bradford nachylił się nad stołem i utkwiał wzrok w Halyardzie. - Przepraszam za dygresję, generale. Żadnej grupie Matthias nie poświęcił całej uwagi i nie ma żadnej gwarancji, że nasz „śpioch” zostanie złapany, chyba że ogarnie go panika i ucieknie. A do tego nie możemy dopuścić. Jestem tego pewny. Gdyby udało nam się go dopaść, mógłby zaprowadzić nas do człowieka, którego nazywamy Parsifalem. Starsi mężczyźni, siedząc w milczeniu zerknęli na siebie, a potem odwrócili się do Bradforda. Generał zmarszczył brwi, a w jego wzroku pojawiło się pytanie. Prezydent powoli skinął głową, podniósł prawą dłoń do policzka i wpatrywał się w człowieka z rządu. Po chwili głos zabrał ambasador, prostując swoją szczupłą sylwetkę w fotelu.

- Udzielam panu pochwały, panie podsekretarzu. Czy mogę przedstawić nowy scenariusz?... Z nieznanych nam powodów, Matthiasowi potrzebne było zmontowanie sprawy przeciwko Karas, co w konsekwencji doprowadziłoby do przejścia Havelocka na emeryturę.

Z tego też powodu Matthias staje się kukielką w rękach Parsifala - a właściwie jego więźniem. Ten zdaje sobie jednak sprawę z faktu, że w jego interesie leży podtrzymywanie obsesji Matthiasa. Kontaktuje się z doskonale zakonspirowanym na najwyższych szczeblach Departamentu Stanu sowieckim agentem, żeby uzyskać dowody obciążające Karas.

Departament Stanu przyjmuje je i akceptuje - ale nie dwaj agenci kontroli źródeł z CIA, którzy pana informują, że dowody muszą być sfalszowane... I wtedy pojawia się na scenie Emory Bradford. A tak naprawdę to prezydent, zaniepokojony prawdopodobnym spiskiem w administracji, zwołuje nas wszystkich, a my wynajmujemy oficera od nielegalnych operacji, żeby zmontował test w Costa Brava. Niestety, przedstawienie to zmienia się w morderstwo i w tym krytycznym momencie pojawia się pańska teza, że „śpioch” zgubił Parsifala.

- Zgadza się. Kimkolwiek jest Parsifal, wykorzystał „śpiocha”, a potem go porzucił.

„Śpioch” jest oszołomiony, może nawet zdesperowany. Bez wątpienia obiecał Moskwie, że przy poparciu Parsifala spowoduje poważne zachwianie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, a w konsekwencji może nawet jej załamanie.

- Każdą z tych możliwości - przerwał monotonnym, cichym głosem prezydent -

przyjęlibyśmy teraz jako łaskę boską.

- Ktokolwiek jest w posiadaniu informacji zawartych w dokumentach Parsifala, będzie sprawował kontrolę nad Kremlem Brooks wciąż siedział sztywno, a jego arystokratyczna i wymizerowana twarz przybladła. - No i mamy wojnę - dodał cicho.

- Powtarzam raz jeszcze - powiedział Halyard. - Weźmy się za tych siedemdziesięciu pięciu w Departamencie. Przeprowadźmy czystkę, możemy ją nazwać kwarantanną lekarską: to proste, ale skuteczne. I nawet do przyjęcia. Weźcie się do tego wczesnym wieczorem, kiedy już wyjdą z pracy. Trzeba wygarnąć ich z własnych domów lub restauracji i sprowadzić do waszych laboratoriów. W ten sposób znajdziecie „śpiocha”. - Moc, z jaką generał

wygłaszał swoją radę, wywarła wrażenie na cywilach. Siedzieli w milczeniu. Halyard dokończył spokojniejszym tonem. Wiem, że to cuchnie, ale chyba nie mamy wyboru.

- Potrzebujemy dwustu ludzi, którzy udawaliby sanitariuszy i kierowców - powiedział

Bradford. - I około trzydziestu, czterdziestu rządowych karet. Żaden z tych ludzi nie może się o niczym dowiedzieć.

- Pomyślmy jeszcze o rodzinach i sąsiadach, kiedy „sanitariusze” będą stukać w nocy do drzwi - wtrącił Berquist.

- Chryste, cóż to za sukinsyn! Genialny Matthias! Prezydent przerwał, zaczerpnął

głęboko powietrza. - Nie da się tego ukryć w tajemnicy. Plotki rozejdą się jak pożar buszu w suchym lipcu. Prasa to wyniucha i zażąda wyjaśnień. Skąd nagle te masowe aresztowania bez podania powodu - a nie mamy żadnego. Skąd bezprawne przesłuchania, oddziały szturmowe i środki psychotropowe. Ukrzyżują nas na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju, w każdym miasteczku akademickim spalą nasze kukły, oskarżą z każdej ambony i skrzynki na mydło, że o naszych braciach z legislatury nie wspomnę. Kongres postawi mnie w stan oskarżenia.

- I co istotniejsze, panie prezydencie - wtrącił ambasador choć przykro mi mówić, ale tak jest w istocie, tego rodzaju akcja bez wątpienia wpędzi Parsifala w panikę. Zauważy co się święci, zorientuje się, kogo mamy zamiar wydobyć na powierzchnię, żeby trafić do niego.

Może spełnić swoją groźbę, zrobić to, co jest niepojęte.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Z jednej strony, wszyscy nas przeklną, jeśli zrobimy jakiś ruch, z drugiej - będziemy bezradni, jeżeli go nie uczynimy.

- To mogłoby się udać - upierał się generał.

- Gdybyśmy zorganizowali to we właściwy sposób, panie prezydencie - poparł go Bradford.

- Na miłość boską, jak?

- Naszym człowiekiem będzie ktoś, kto zgłasza energiczne protesty, odmawia zeznań, lub się wykręca wyjaśnił Bradford.

- Albo ktoś, kto ma coś innego do ukrycia - oświadczył delikatnie Brooks. - Żyjemy w epoce strachu, panie podsekretarzu, a w tym mieście sfera prywatności prawie nie istnieje.

Równie dobrze może pan zagnać do kąta osobę, która ma do ukrycia tylko jakiś intymny sekret, niechęć do szefa, niepopularne poglądy lub zwykły romans biurowy. Parsifal zobaczy tylko to, do czego zmusi go jego chory umysł. Bradford słuchał, niechętnie akceptując opinię Brooksa. - Możemy spróbować jeszcze jednej rzeczy, na którą nie pozwolił nam brak czasu.

Weryfikacja podróży. Możemy prześledzić miejsce pobytu każdej osoby na tym piętrze podczas trwania operacji w Costa Brava. Jeżeli nasze rozumowanie jest poprawne... jeżeli ja się nie mylę... nie było go tutaj. Był w Madrycie i w Barcelonie.

- Mógł siedzieć w ukryciu - zaprotestował Halyard.

- Jeżeli nawet, to musiał się liczyć z koniecznością wyjazdu z Waszyngtonu, generale.

Jak wiele może być tego rodzaju nieobecności?

- Kiedy możesz zacząć? - zapytał Berquist.

- Zaraz z samego rana...

- Dlaczego nie w nocy? - przerwał generał.

- Gdyby te archiwa były otwarte w nocy, mógłbym. Ale nie są, więc jeśli bym wezwał kogoś do ich otwarcia, pojawiłyby się komentarze. A na to nie możemy sobie pozwolić.

- Rano też nie będzie łatwo. Jak uda się to panu zrobić bez rozgłosu, bez wzbudzania podejrzeń? zapytał ambasador.

- Pracownikom archiwum powiemy, że chodzi o rutynowe badania czasu pracy. Robi się je bez przerwy odparł spokojnie Bradford.

- To do zaakceptowania - zgodził się Brooks. - Banalne, ale do zaakceptowania.

- Nic nie jest do zaakceptowania - powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych, wpatrując się w ścianę, na której godzinę temu wyświetlano fotografie czterech martwych mężczyzn. Nazywają go, „geniuszem”, „człowiekiem na wszystkie pory roku”. Wcześniej był

nauczycielem, politykiem, twórcą utopii... i palił heretyków - o tym wygodnie jest zapomnieć, prawda? „Potępcie niedowiarków, bo nie dostrzegają tego co ja, a ja jestem opoką...” Do diabła z tym! Gdybym mógł, postąpiłbym z nim, jak tłuścioch Henryk z Tomaszem Morusem: obciąłbym Matthiasowi głowę i zatkał ją na szczycie Iglicy Waszyngtona jako memento. Heretycy też są obywatelami Republiki, a więc święty człowieku, herezja nie istnieje!

- Wie pan, co wtedy by się stało, panie prezydencie?

- Tak, panie ambasadorze, wiem. Ludzie z zadartymi głowami gapiliby się na ten krwawiący kark i - jak zawsze - dobrotliwą twarz. Założę się, że nawet nie spadłyby mu okulary w oprawie z szylkretu. A potem, w swojej nieskończonej mądrości uznaliby, że

„wielki geniusz” przez cały czas miał rację. Obywatele, nie wyłączając heretyków, kanonizowałiby go i w tym tkwi okrutna ironia losu.

- Myślę, że „wielki mistrz i inspirator myśli” wyszedłby do nich i wrzawa zaczęłaby się od początku. Tłum zaoferowałby mu koronę, on by odmówił, więc ludzie by nalegali - aż wreszcie stałoby się. Kolejna ironia losu. Niech żyje Antoniusz, a nie Cezar - pozostałaby tylko koronacja. Przez Senat i Kongres przepchnięto by poprawkę do konstytucji i w Owalnym Gabinetcie zasiadłby prezydent Matthias. To brzmi niewiarygodnie, ale on byłby zdolny tego dokonać. Nawet teraz.

- Może powinniśmy mu na to pozwolić - powiedział cichym, gorzkim tonem Berquist.

- Może ludzie, w ich nieskończonej mądrości, mają mimo wszystko rację. Może przez cały czas on miał rację. Czasem sam już nie wiem. Może on widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają. Nawet teraz.

Polityk o manierach arystokraty i nie rzucający się w oczy generał, opuścili salę odpraw w podziemiach. Cała czwórka umówiła się na ponowne spotkanie następnego dnia.

Mieli przyjeżdżać osobno, południową bramą, z dala od wścibskich oczu dziennikarzy akredytowanych w Białym Domu. Gdyby Bradford dokonał rano jakiegoś odkrycia w Departamencie, spotkaliby się wcześniej, a prezydent zmieniłby rozkład dnia. Sprawa

„śpiocha” miała absolutne pierwszeństwo. Tylko on mógł doprowadzić ich do szaleńca, którego prezydent i jego doradcy nazywali Parsifalem. „Udzielam panu pochwały, panie podsekretarzu” powtórzył Berquist, naśladując niski tembr głosu ambasadora i płynną, pełną wdzięku wymowę. W pełnym szacunku naśladownictwie dało się wyczuć jedynie szczyptę zjadliwości. - To ostatni z oryginałów, prawda?

- Tak, proszę pana. Nie pozostało ich wielu i żadnemu z tych, o których wiem, nie zależy tak bardzo na pozycji. Podatki i totalna demokratyzacja usunęły ich w cień albo wyeliminowały. Nie czują się najlepiej i moim zdaniem, nie przynosi to korzyści krajowi.

- Nie wpadaj w grobowy nastrój, Emory, to do ciebie nie pasuje. Brooks jest nam potrzebny, szafarze władzy na Wzgórzu wciąż się go boją. Jeżeli jest jakaś alternatywa wobec Matthiasa, to jest nią Addison Brooks. Mayflower i Plymouth Rock, Czterystu Najbogatszych z Nowego Jorku i fortuny zbudowane na plecach imigrantów - to jest jakiś powód do poczucia winy pośród ich spadkobierców. Dobrodusznymi liberałowie, którzy płaczą na widok wzdętych z głodu czarnych brzuchów w delcie Missisipi... Tylko na miłość boską, nie zabierajcie Chateau d'Yguem!

- Tak, panie prezydencie.

- Chciałeś powiedzieć: „nie, panie prezydencie”. To widzę w twoich oczach, to się zawsze widzi w oczach. Nie zrozum mnie źle. Czuję podziw do tego starego, eleganckiego osła, szanuję go za to, co ma w głowie. Tak samo uważam, że Linoskoczek Halyard jest jednym z nielicznych relikwów w wojsku, tych którzy naprawdę czytali konstytucję i rozumieją co naprawdę znaczą słowa: „władza cywilna”. To nieprawda, że wojna jest zbyt poważną sprawą, żeby zostawić ją generałom. To bzdura. Obaj bylibyśmy do kitu, gdyby przyszło nam dowodzić manewrem oskrzydającym w Nadrenii. Istota tkwi w zakończeniu wojny, w wynikach. Generałowie nie chcą przyjąć do wiadomości pierwszego i nie mają koncepcji co do drugiego. Halyard jest inny i Pentagon zdaje sobie z tego sprawę. Pół sztabu go słucha, bo wiedzą, że jest od nich mądrzejszy. On jest nam potrzebny.

- Ja też tak uważam.

- I o to właśnie chodzi w tym całym interesie. O to, kto może być nam przydatny.

Nieważne są sympatie lub antypatie. Jeżeli kiedyś cały i zdrowy wrócę do Mountain Iron w Minnesocie, to będę zastanawiać się kogo lubię, a kogo nie. Ale teraz na to nie pora. Teraz najważniejsze jest to, co muszę zrobić. A muszę zatrzymać Parsifala, odkręcić to, co zrobił w ogóle,

zaś Anthonowi Matthiasowi w szczególności. - Prezydent przerwał na chwilę. - W tym co powiedziałem ja i ambasador nie było gładkich słówek. Naprawdę udzielam ci pochwały, Bradford. Odwaliłeś kawał diabelnie dobrej roboty.

- Dziękuję panu.

- Nie mówiąc już o tym, co zamilczałeś. Co z Havelockiem? Gdzie on jest?

- Prawie na pewno siedzi teraz w Paryżu, tam jechała Jenna Karas. Dziś po południu znalazłem chwilę, by zadzwonić do znajomych w Zgromadzeniu Narodowym, w Senacie, kilku ministerstwach, Quai d'Orsay, i w naszej ambasadzie. Starłem się wywrzeć lekki nacisk, dając do zrozumienia, że moje rozkazy pochodzą z Białego Domu, ale nie wymieniłem pana nazwiska.

- Mogłeś to zrobić.

- Jeszcze nie teraz, panie prezydencie.

- A więc rozumiemy się - powiedział Berquist.

- Tak, proszę pana. To konieczne.

- Halyard mógłby to zrozumieć, jest żołnierzem-pragmatykiem. Brooks na pewno nie rozumiałby, bo pod tą jego dyplomatyczną powierzchownością kryje się czystej wody moralista.

- Tak też uważałem. Dlatego nie określiłem statusu Havelocka.

- Pozostaje taki sam jak na Col des Moulinets. Gdyby zaczął wyciągać Costa Brava na światło dzienne, szybciej wpędziłby Parsifala w panikę, niż nasze działania w Departamencie Stanu. Havelock siedzi w tym po uszy - od samego początku.

- Rozumiem, panie prezydencie. Oczy Berquista zabłądziły na białą ścianę w przeciwległym końcu sali.

- Podczas drugiej wojny światowej Churchill musiał podjąć decyzję, która rozdzierała mu duszę na dwoje. Wywiad Sprzymierzonych złamał kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, a to oznaczało, że wysyłane z Berlina plany wojskowe mogły być przechwycone i setki tysięcy, a nawet miliony istnień ludzkich, ocalone. Kiedyś z takiego pojedynczego, zaszyfrowanego przekazu dowiedziano się, że na Coventry szykuje się potężny nalot bombowy. Ale wykorzystanie tej wiadomości, ewakuowanie miasta lub błyskawiczne zorganizowanie wykraczającej poza rutynowe działania obrony powietrznej, świadczyło by o tym, że szyfry Enigmy zostały złamane... Aby ten fakt zachować w ścisłej tajemnicy, pozwolono, by nalot zmiotł z powierzchni ziemi połowę Coventry. Tajemnica Costa Brava nie może być wyjaśniona z tego samego powodu, gra idzie o miliony istnień. Trzeba jak najszybciej odnaleźć Havelocka, panie podsekretarzu. Każ go znaleźć i ponownie zarządzić egzekucję.

Havelock wiedział, że go zauważono. Kiedy wyszedł poza liny przeciągnięte między słupkami w sekcji przylotów Air France na Lotnisku Kennedy'ego i skręcił na korytarz prowadzący do odpraw paszportowych, ktoś energicznie opuścił czytana gazetę. Korzystał ze statusu dyplomaty. Broussac dostarczyła mu dokumenty gwarantujące błyskawiczną odprawę na stanowisku dla służb imigracyjnych Stanów Zjednoczonych, ale wiedział, że ze względu na ich źródło pochodzenia musi je zniszczyć jak najszybciej. W ręku trzymał małą walizkę -

urzędowo opieczętowaną w Paryżu taśmą ze stemplem Diplomatique. Po okazaniu paszportu ONZ i złożeniu deklaracji, że stanowi ona jego jedyny bagaż, przejdzie przez ciężkie, metalowe drzwi, a jego fałszywe nazwisko dyplomatyczne zostanie odszukane na liście pasażerów. Potem będzie mógł już swobodnie prowadzić swoje poszukiwania w całych Stanach. Albo zostanie zabity. Prawda, jakie to proste. Najpierw, żeby ochronić Broussac, i w ostatecznym rozrachunku również siebie, jednak musi pozbyć się fałszywych dokumentów, które doprowadziły go aż tutaj. Musi też się dowiedzieć, kim jest ten człowiek, o zniszczonej twarzy. Mężczyzna właśnie wstał ze swojego miejsca, włożył gazetę pod pachę i ruszył w stronę zatłoczonej sali wyjściowej, wzdłuż której biegł korytarz prowadzący Havelocka ku wątpliwej wolności. Kim do diabła jest ten człowiek? Jeżeli się tego nie dowie, bardzo możliwe, że zanim odszuka człowieka o nazwisku Jacob Handelman zostanie zabity. A do tego nie mógł przecież dopuścić. Stał przed bystrym, uprzejmym oficerem imigracyjnym.

Urzędnik zadawał właściwe pytania, patrząc Havelockowi prosto w oczy.

- Nie ma pan bagażu?

- Non, monsieur. Tylko tę walizeczkę.

- A więc nie zamierza pan długo zabawić na Pierwszej Alei?

- Może dzień, może czterdzieści osiem godzin - odparł Michael z galijskim wzruszeniem ramionami.

- Une conference.

- Nie wątpię, że pański rząd zapewnił panu transport do miasta. Czy zechciałby pan poczekać na resztę delegacji?

- Proszę mi wybaczyć, monsieur. Zmusza mnie pan do szczerości. - Michael uśmiechnął się z zakłopotaniem, tak jakby jego godność doznała lekkiego uszczerbku. -

Czeka na mnie pewna dama, a tak rzadko mamy okazję się spotykać. Macie to z pewnością w swoich aktach - byłem na liście... Pierwszej Alei przez kilka miesięcy w zeszłym roku.

Pośpiech, mon ami, bardzo zależy mi na pośpiechu.

- Życzę miłego dnia, proszę pana. - Urzędnik powoli odwzajemnił uśmiech, określił

nazwisko w spisie pasażerów i sięgnął do przycisku.

- Bardzo dziękuję - odparł Havelock i pośpiesznie przeszedł przez stalową bramkę.

Vivent les amours des gentilhommes fran ais - pomyślał. Mężczyzna o zniszczonej twarzy zajmował drugie miejsce w kolejce do trzeciego aparatu telefonicznego. Niestety wszystkie były zajęte. Na widok Havelocka natychmiast wyjął spod pachy gazetę i rozłożył ją przed sobą. Zważywszy na okoliczności był to zabawny widok dla Havelocka, który ruszył szybko w stronę nieznanego i nie odwracając głowy szybko przeszedł obok niego. Potem energicznie skręcił w lewo, w szeroki poprzeczny korytarz, wypełniony tłumem odlatujących pasażerów, którzy zmierzali do stanowisk odpraw. Następnie wszedł w węższy hall po prawej: tu było o wiele mniej ludzi, a większość z nich nosiła mundury linii lotniczych. Po czym jeszcze raz skręcił w lewo, w zupełnie wąski korytarz, po którym przechadzali się nieliczni pracownicy lotniska w białych kombinezonach i takich samych koszulach z krótkimi rękawami. Najwidoczniej znalazł się w sekcji towarowej portu. Zniknęli pasażerowie, garnitury, dyplomatki, podróżne bagaże. Nigdzie też nie było widać aparatów telefonicznych.

Szerokie, przeszklone drzwi przecinały ściany o surowym wystroju. Najbliższy telefon pozostał za rogiem w głównym hallu, daleko z tyłu poza zasięgiem wzroku. Michael odnalazł

toaletę z napisem: „Tylko dla personelu lotniska”. Pchnął drzwi, wszedł do środka i znalazł

się w dużym, pozbawionym okien i wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, z dwoma pracującymi wentylatorami. Po lewej stronie stał rząd kabin, po prawej umywalki i pisuary.

Przed czwartym stał mężczyzna w kombinezonie z napisem „Excelsior Airline Caterers”. Z

jednej z kabin dobiegł odgłos spuszczonej wody. Havelock podszedł do umywalki i postawił

pod nią walizeczkę. Mężczyzna odsunął się od pisuaru i podciągnął błyskawiczny zamek kombinezonu. Następnie zerknął na Michaela, taksując wzrokiem kosztowny garnitur, kupiony dzisiaj rano w Paryżu. A potem jakby mówiąc: „W porządku, panie dyrektorze, umyję tylko ręce”, nieśpiesznie podszedł do najbliższej umywalki i odkręcił kran.

Z kabiny wyszedł drugi mężczyzna, zacisnął pasek i przeklinając pod nosem ruszył w stronę drzwi. Do koszuli miał przypiętą plastikową kartę identyfikacyjną, z której wynikało, że piastuje odpowiedzialne stanowisko kierownicze. Mężczyzna w kombinezonie wyciągnął ze stalowego bębna papierowy ręcznik, pobieżnie wytarł dłonie, wyrzucił szorstki, brązowy papier do pojemnika, a potem popchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Kiedy już prawie wracały do pierwotnego położenia, Havelock przytrzymał je i przez jednocalową szczelinę wyjrzał na korytarz. Nieznany obserwator stał w odległości około pięćdziesięciu stóp i obojętnie opierając się o ścianę czytał złożoną gazetę. Po chwili nieśpiesznie spojrział na zegarek i na matowe, szklane drzwi. Wyglądał jak ktoś, kto czeka, aż z biura wyjdzie przyjaciółka, z którą zje razem lunch, wypije drinka lub pojedzie do motelu niedaleko lotniska. W jego wyglądzie nie było niczego złowieszczonego, ale w tym opanowaniu Michael dostrzegł groźną zapowiedź profesjonalizmu. Obydwaj jednak zachowywali zimną krew, obaj czekali i obaj byli zawodowcami. Michael miał niewielką przewagę: mógł obserwować korytarz z ukrycia, mężczyzna na korytarzu nie wiedział, co dzieje się wewnątrz toalety. Nie mógł też sobie pozwolić na odejście, na przykład do telefonu, bo gdyby zwierzyzna znalazła się poza zasięgiem wzroku, mogłaby

uciec. Nie śpiesz się. Zachowaj zimną krew. I koniecznie zniszcz swoje lewe papiery, bo one mogą zaprowadzić do R gine Broussac i pośrednika Jacoba Handelmana. Fałszywe nazwisko na liście pasażerów nie miało znaczenia, bo wrzucono je do pamięci bezmyślnego komputera, który nie może powiedzieć, kto nacisnął

klawisz, ale dokumenty to zupełnie inna sprawa. Havelock porwał paszport na strzępki i spuścił go w kiblu. Scyzorykiem przeciął taśmę z napisem Diplomatique, która gwarantowała brak kontroli na cle i po wejściu do ostatniej z rzędu kabiny, otworzył walizeczkę. Spod złożonych ubrań wyjął pistolet llama o krótkiej lufie i okładkę zawierającą jego własne, jak najbardziej autentyczne dokumenty. Zamierzał jednak nie pokazywać ich w ogóle. W jego przybranej ojczyźnie rzadko kiedy sprawdzano dokumenty na ulicy, było to jedno z dobrodziejstw, za które był głęboko wdzięczny amerykańskim stróżom porządku i prawa.

Kiedy Havelock niszczył podrabiane dokumenty, wkładał paszport w okładki i chował broń w odpowiednie miejsce, do służbowej toalety weszło jeszcze dwóch ludzi. Sądząc z rozmowy, byli to kapitan Air France i jego drugi pilot, którzy stojąc przed pisuarami, przeklinali biurokratyczną pisaninę przed odlotem i zastanawiali się za ile ich kubańskie cygara Monte Christo pójdą w „L'Auberge au Coin”, restauracji na środkowym Manhattanie. Havelock zdjął

marynarkę, zwinął ją w rulon i nadal tkwił w kabynie. Zerknął na zegarek - siedział tu już prawie piętnaście minut. Niedługo na pewno coś się stanie. Stało się. Białe stalowe drzwi uchyliły się powoli, a do środka wsunęła się krawędź złożonej gazety i część ramienia.

Nieznajomy rzeczywiście był zawodowcem! Nie przyszło mu nawet do głowy chowanie broni pod marynarką lub płaszczem, za które przeciwnik mógł chwycić i użyć pistoletu przeciwko właścicielowi. Tylko gazeta, którą w każdej chwili bez trudu można odrzucić i oddać czysty strzał. Mężczyzna pośpiesznie wyszedł zza drzwi i oparł się plecami o metalową płytę. Omiótł wzrokiem ściany, wywietrzniki i rząd kabin. Po czym, usatysfakcjonowany, zgiął kolana i schylił się, ale najwyraźniej nie po to, żeby zajrzeć w prześwit pod drzwiami kilku pierwszych kabin, bo był odwrócony do Michaela tyłem. Co on u diabła robi?

- I wtedy pojawiło się wspomnienie innego jasnowłosego zawodowca na moście w Col des Moulinets, przebranego w mundur włoskiego policjanta. Zabójca Ricci był doskonale przygotowany, znał teren i wiedział, że musi zablokować drzwi do stróżówki. Natomiast zawodowiec o zniszczonej twarzy improwizował, zdając egzamin z pomysłowości. Właśnie odłamał kawałek drewna z opakowań, które walają się po korytarzach na każdym lotnisku i zaklinował nim drzwi. Po czym wyprostował się, oparł stopę na klinie i przyciągnął do siebie metalową klamkę: drzwi zostały zablokowane. Teraz byli sami. Mężczyzna odwrócił się.

Havelock przyglądał mu się z kabiny. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic groźnego.

Miał nieco ponad pięćdziesiąt lat, nie więcej niż pięć stóp i osiem cali wzrostu. Ponad płaską twarzą z krzaczastymi brwiami i wystającymi kośćmi policzkowymi, Havelock dostrzegł

mocno przerzedzone włosy. Miał wąskie, lecz silne ramiona. Michael zobaczył też, jego lewą dłoń, mocną dłoń wieśniaka, wyrobioną przez lata pracy ciężkimi narzędziami. Mężczyzna ruszył wzdłuż rzędu kabin. Między krawędzią drzwi a posadzką, pozostała szczelina nie szersza niż dwa cale, żeby więc sprawdzić, czy ktoś jest wewnątrz, musiał odsunąć się od kabin na trzy stopy. Nagle zbliżając się do trzech ostatnich kabin, gwałtownym ruchem prawej ręki zrzucił gazetę na posadzkę. Havelock zobaczył pistolet, automatyczną grazburię.

Rosjanin pochylił się... Teraz! Michael podrzucił w górę zwiniętą marynarkę. Na odgłos upadającego ubrania Rosjanin podskoczył, obrócił się w lewo i podniósł pistolet. Havelock chwycił rączkę walizki i równocześnie kopnął drzwi kabiny, ciskając ciężkim bagażem w nieznanego. I błyskawicznie z wyciągniętymi rękoma, rzucił się całym ciałem w ślad za walizką, nie spuszczać wzroku z grazburii. Lewą dłonią chwycił pistolet i szarpnął go w górę. Rosjanin obrócił się, chwytając Havelocka mocnymi ramionami. Michael tylko na to czekał. Prawą ręką założył dźwignię na lewe ramię Rosjanina, aż twarz mężczyzny wykrzywiła się z bólu. Wyrwanym z ręki pistoletem Havelock uderzył go w głowę. Rosjanin o zniszczonej twarzy stracił równowagę i runął na kolana. Lewą ręką chwycił się za pierś, a prawą opierał o posadzkę. Dyszał gwałtownie i potrząsał głową:

- Niet! Niet! - wyrzucił z siebie zduszonym głosem. - Tylko porozmawiać! Tylko porozmawiać.

- Za zamkniętymi drzwiami i z bronią w ręku?

- Zgodziłbyś się na pogawędkę, gdybym podszedł i przedstawił się? Może jeszcze po rosyjsku?

- Powinieneś spróbować.

- Nie dałeś mi szansy... Mogę? - klęczący Rosjanin wyprostował się i trzymając się za ramię, podniósł nogę w górę.

- Możesz wstać - powiedział Michael, ściskając w nieruchomej dłoni grazburię. -

Chciałeś gdzieś zadzwonić.

- Oczywiście. Musiałem dać znać, że się odnalazłeś. A co ty byś na moim miejscu zrobił? Może nie powinienem o to pytać.

- Co ty wiesz? Jak mnie znalazłeś? - Michael podniósł broń, celując w głowę mężczyzny. - Radzę mówić prawdę. Nie mam nic do stracenia, jeśli ktoś znajdzie tu twojego trupa. Rosjanin przez chwilę wpatrywał się w lufę i podniósł wzrok na Havelocka.

- Ty rzeczywiście nie masz nic do stracenia, nie zawahałbyś się. Powinni przysłać tu kogoś młodszego.

- Skąd wiedziałeś, że przylecę tym samolotem?

- Nie wiedziałem. Nikt nie wiedział... W Paryżu postrzelono oficera WKR, mógł się zwrócić tylko do nas.

- Do firmy importowej na Beaumarchais? - zapytał Michael. Do sztabu KGB w Paryżu?
- Wiemy, że miałeś doskonałe układy we francuskim rządzie. Rosjanin puścił mimo uszu to pytanie. Wojskowy wywiad, Quai d'Orsay, Parlament. Gdybyś chciał opuścić Francję, miałbyś tylko jedno wyjście. Podszyć się pod dyplomatę. Wszystkie rejsy Air France z dyplomatami na listach pasażerów, były obserwowane. Wszędzie. W Londynie, Rzymie, Bonn, Atenach, w Holandii i Ameryce Północnej. Mam pecha, że postanowiłeś tu wrócić, nikt się tu ciebie nie spodziewał. Jesteś przecież „nie-do-uratowania”.
- Widzę, że ta informacja jest powszechnie znana.
- Mówi się o tym w pewnych kręgach.
- Czy o tym chciałeś pogadać? Bo jeśli tak, to Moskwa traci mnóstwo roboczogodzin na tych wszystkich lotniskach.
- Mam ci przekazać wiadomość od Piotra Rostowa. Sądzi, że po tym, co wydarzyło się w Rzymie, możesz go wysłuchać.
- A co się stało w Rzymie?
- Historia na Wzgórzu Palatyńskim. To cię powinno przekonać. Tam właśnie miałeś zginąć.
- Miałem? - Havelock wpatrywał się w oczy mężczyzny, w jego zaciśnięte usta. A więc, jak można się było tego spodziewać, Rostow wiedział o Palatynie. Znalaziono tam ciała: zwłoki byłego amerykańskiego agenta, znanego z upodobań do duszenia oraz dwóch jego rannych włoskich próżniaków, którzy nie mieli nic do stracenia. Gdyby powiedzieli prawdę, mogli by coś utargować. Rostow jednak nic nie wiedział o Jennie Karas i Col des Moulinets. Gdyby było inaczej, użyłby tej informacji jako przynęty. W krytycznej sytuacji posłaniec krzyknąłby: „Jenna Karas żyje! Col des Moulinets!” To by go o wiele szybciej przekonało.
- No więc co to za wiadomość?
- Mam ci przekazać, że Rostow przemyślał ponownie sprawę przynęty. On teraz nie jest już twoim wrogiem, ale są inni, którzy mogą być również jego wrogami.
- Co to znaczy?
- Nie wiem - odparł mężczyzna, patrząc oczami wieśniaka spod krzaczastych brwi. - Jestem tylko posłańcem. Ty powinieneś wiedzieć, co to oznacza, nie ja.
- Wiesz o Palatynie.
- Wieści o śmierci maniaka szybko się rozchodzą. Zwłaszcza, gdy pochodzi z przeciwnego obozu i

zabił kilku twoich przyjaciół... Jaki pseudonim dostał od swoich ludzi?

Chyba Rewolwerowiec, tak jak romantyczne postacie z waszych westernów, które zresztą ubóstwiam. Tylko, że taki facet bywał nieodmiennie parszywą świnią bez zasad, pozbawioną wszelkiej moralności, bo chodziło mu tylko o zyski i patologiczną brutalność. W dzisiejszych czasach mógłby zostać prezesem korporacji, prawda?

- Możesz sobie darować, takie teksty opowiadają dzieciom w stanowych szkołach.

- Rostow czeka na odpowiedź, ale nie musisz udzielać jej od razu. Mogę się z tobą skontaktować. Za dzień, dwa, czy nawet za kilka godzin. Powiedz tylko, gdzie. Możemy cię stąd wydostać, umieścić w bezpiecznym miejscu. Michael jeszcze raz przyjrzał się uważnie twarzy Rosjanina. Podobnie jak Rostow w Atenach, mężczyzna mówił prawdę - a przynajmniej to, co za prawdę uważał. Nie wiadomo tylko, jakich informacji udzielono mu z Moskwy.

- Co oferuje Rostow?

- Już powiedziałem: bezpieczeństwo. Dobrze wiesz co cię tu czeka. Wzgórze Palatyńskie.

- Bezpieczeństwo w zamian za co?

- O tym porozmawiasz z Rostowem. Dlaczego ja miałbym stawiać ci warunki? I tak byś mi nie uwierzył.

- Powiedz Rostowowi, że się myli.

- Jeżeli chodzi o Rzym? O Wzgórze Palatyńskie?

- O Wzgórze - odparł Havelock, zastanawiając się, czy odległy o dziesięć tysięcy mil dyrektor KGB dostrzeże podstawową prawdę zawartą w większym kłamstwie. - Nie potrzebuję bezpieczeństwa w Łubiance. - Odmawiasz więc?

- Odrzucam przynętę. Nagle, przy akompaniamencie stłumionych przekleństw, rozległo się walenie w drzwi toalety. Kawałek drewnianego klina przesunął się nie więcej niż cal po posadzce, ale to pozwoliło intruzowi krzyknąć przez szparę:

- Hej, co się tam u diabła dzieje? Otwierać! Ale już! Rosjanin zerknął na drzwi, Havelock nie.

- Gdybyś zmienił zdanie - pośpiesznie powiedział mężczyzna to za Biblioteką Publiczną w Bryant Park stoi rząd kubłów na śmiecie. Pozostaw na jednym z nich czerwony znaczek, możesz użyć flamastra, albo jeszcze lepiej lakieru do paznokci. Tego samego dnia spaceruj po Broadway'u o dziesiątej wieczorem, między Czterdziestą Drugą a Pięćdziesiątą Trzecią Ulicą, po wschodniej stronie. Ktoś do ciebie podejdzie i da ci adres kontaktowy.

Oczywiście spotkacie się na otwartej przestrzeni. Żadnych pułapek.

- Co tam się dzieje?! Na miłość boską, otwórzcie te cholerne drzwi!

- Myślałem, że sam będę mógł wybrać miejsce kontaktu...

- Możesz. Po prostu człowiekowi, który do ciebie podejdzie, powiedz gdzie chcesz się spotkać. Daj nam tylko trzy godziny wyprzedzenia.

- Żeby obstawić teren?.

- Sukinsynu! Otwieraj! - Popychane z furją metalowe drzwi uchyliły się znów na kilka cali. Kawałek drewna przesunął się, rysując terakotę.

- W porządku, o co ten szum? - Do rozgniewanego intruza dołączył inny, spokojny głos.

- Ktoś zablokował te pieprzone drzwi! Nie mogę wejść do środka, ale słyszę jak rozmawiają!

- My stosujemy środki ostrożności, tak jak i ty - powiedział Rosjanin. - To co jest między tobą a Rostowem... jest między tobą a Moskwą. Kiedy w Nowym Jorku wpadam w tarapaty, nie dzwonię na policję.

- Słuchajcie no, wy tam, w środku! - krzyknął drugi, stanowczy głos. - Utrudnianie normalnego funkcjonowania urządzeń na międzynarodowych lotniskach jest przestępstwem i dotyczy to również toalet! Ostrzegam was, gnojki, że zaraz wezwę straż!

- Surowy głos zwrócił się do intruza. - Na twoim miejscu poszukałbym innego kibla.

Te dzieciaki używają igieł, mogą być naćpani i niebezpieczni.

- Muszę się odlać, człowieku! A oni nie gadają jak dzieciaki... O, tam idzie glina! Hej, chodź pan tutaj!

- Nie słyszy! Idzie dalej. Pójdę zadzwonić.

- Cholera jasna!

- Wychodzimy - powiedział Havelock, schylając się po marynarkę i przekładając broń z ręki do ręki.

- Darujesz mi więc życie? - zapytał Rosjanin. - Nie będzie zwłok w męskiej toalecie?

- Musisz dostarczyć mi odpowiedź. Ale z lakierem na kubłach od śmieci, możesz sobie dać spokój.

- Czy w takim razie mogę dostać swoją broń?

- Taki wielkoduszny to już nie jestem. Zrozum, jesteś moim wrogiem i byłeś nim przez długi czas.

- Trudno mi będzie wytłumaczyć się ze zgubionej broni. Chyba to rozumiesz.

- Powiedz im, że sprzedałeś ją na bazarze, to będzie twój pierwszy krok do kapitalizmu. Kupić tanio - a jeszcze lepiej dostać za darmo - i sprzedać drogo. Buria to dobry pistolet, możesz dużo zarobić.

- Oddaj, proszę!

- Nie rozumiesz, comrade. Zdziwiłbyś się jak wielu oszustów w Moskwie darzyłoby cię szacunkiem. Idziemy! Havelock chwycił mężczyznę o zniszczonej twarzy za ramię i popchnął w stronę wyjścia. - Wybierz drewno spod drzwi - rozkazał, wkładając broń za pasek i podnosząc walizkę. Rosjanin usłuchał. Nacisnął butem sterujący klin, poruszył nim w prawo i lewo i domknął drzwi. Kopnął uwolniony, kawałek drewna na bok i otworzył drzwi.

- Jezu Chryste! - krzyknął otyły człowiek w błękitnym kombinezonie. - Para pieprzonych pedałów!

- Już idą! - krzyknął mężczyzna w koszuli, wybiegając z biura po drugiej stronie korytarza.

- Chyba się pan spóźnił, panie kierowniku powiedział pracownik działu cargo, szeroko wytrzeszczonymi oczyma wpatrując się w Havelocka i Rosjanina. - Ma pan swoich pieprzonych gnojków. Dwie królowny, którym było za zimno na parkingu.

- Idziemy! - szepnął Havelock, chwytając Rosjanina za łokieć.

- Ohydne! Odrażające! - wykrzykiwał kierownik. - W waszym wieku! Nie macie wstydu za grosz! Wszędzie roi się od zboczeńców!

- Nie zmienisz zdania, jeżeli chodzi o broń? wystękał Rosjanin. - Zostanę surowo ukarany. Lata całe jej nie używałem. Wiesz, że to właściwie część ubrania.

- Zboczeńcy! Wasze miejsce jest w więzieniu, a nie w publicznej toalecie. Jesteście groźni dla otoczenia!

- Zapewniam cię, że dostaniesz awans, jeżeli odpowiedni ludzie pomyślą, że na tym zarobiłeś.

- Cioty!

- Puść moją rękę! Ten idiota nas widzi.

- Dlaczego? Wyglądasz cudownie. Rosjanin i Havelock doszli do drugiego hallu i skręcili w lewo, w stronę środkowego terminalu. Tak jak poprzednio, kręcili się tu ludzie w kombinezonach i białych koszulach, którzy od czasu do czasu spoglądali na pokazujące się w drzwiach biur sekretarki. Potem była już główna hala, gdzie falujący tłum zmierzał do stanowisk odlotowych i taśm z bagażami. Obydwaj mężczyźni w jednej chwili zanurzyli się w strumieniu przylatujących pasażerów. W sekundę potem w tłumie tych, co sposobili się do odlotu, dostrzegli trzech umundurowanych policjantów, rozpychających się między ramionami, aktówkami i plastikowymi torbami podróżnych. Havelock szarpnął Rosjanina w lewo i zamienił się z nim stronami. W chwili, kiedy policjanci znaleźli się w równoległym przejściu, Michael gwałtownie napał na swojego towarzysza i popchnął

go na człowieka w niebieskim mundurze.

- Cholera jasna! - zawołał potrącony policjant, wpadając na drugiego. Ten z kolei zwałił z nóg starszą, siwowłosą kobietę. Havelock przyśpieszył kroku, przepychając się przez tłum zdumionych pasażerów, zmierzających do ruchomych schodów, które prowadziły do transporterów z bagażami. Po lewej stronie widniała czyjaś architektoniczna wizja niebiańskiego łuku, pod którym przechodziło się do centralnego terminalu. Pośpieszył więc w tamtą stronę, wśród rzednącego tłumu i cały czas, rozglądając się wokół, ruszył w stronę wyjściowych drzwi z napisem „Taxi”. Minął automaty żywnościowe otoczone kupującymi, tablice z rozkładami lotów i stojące pośrodku sklepionej sali okrągłe budki, gdzie sprzedawano świecidełka i drobne smakołyki. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy automatów telefonicznych i półki z książkami telefonicznymi. Skręcił w stronę najbliższej. Trzydzieści sekund później znalazł to, czego szukał: Handelman J. mieszkał na górnym Manhattanie, na Sto Szesnastej Ulicy w Morningside Heights. Jacob Handelman - pośrednik i handlarz azyłami dla uciekinierów i wygnańców. Człowiek, który ukrył Jennę Karas.

- Proszę się tu zatrzymać - powiedział Havelock, wskazując błękitną markizę z adamaszku, ozdobioną złotą koroną, herbem i napisem „The King's Arms Hotel”. Miał

nadzieję, że nie będzie musiał tu nocować, każda godzina zwiększała przecież dystans między nim, a Jenną Karas, ale z drugiej strony, nie mógł szukać Jacoba Handelmana na Uniwersytecie Columbia, trzymając w ręku nawet tak małą walizkę. Taksówkarzowi kazał

jechać przez Triborough Bridge, na zachód w stronę rzeki Hudson i na południe od Morningside Heights - chciał ominąć dom na Sto Szesnastej Ulicy. Zanim tam pójdzie, musi znaleźć bezpieczne miejsce, w którym zostawi bagaż. Było wczesne popołudnie, a Handelman mógł być wszędzie na terenie rozległego miasteczka akademickiego. W Columbii Michael, jako absolwent Princeton, był już dwukrotnie. Raz na wykładzie jakiegoś nudziarza z Oxfordu, poświęconym Europie po upadku Napoleona, a drugi raz na seminarium wyjazdowym. Obie krótkie wizyty nie wyróżniły się niczym szczególnym i w rezultacie jego wiadomości na temat uniwersytetu równe były zeru. Nie miałyoby, to prawdopodobnie większego znaczenia, gdyby nie fakt, że wiedza o Jacobie Handelmanie była na podobnym poziomie. „King's Arms” znajdował się tuż za rogiem, niedaleko mieszkania Handelmana.

Był to jeden z tych małych hoteli, którym udało się w jakiś sposób przetrwać w okolicy nowojorskiego uniwersytetu. Stanowił on manhattański odpowiednik starego „Tafta” w New Haven lub, sięgając nieco dalej, „Inn” w Princeton. W istocie hotel był częścią akademickiego kampusu, lecz raczej tymczasową kwaterą zaproszonych wykładowców, niż miejscem spotkań przy kieliszku studentów ostatniego roku. Zawierał w sobie staroświecki czar angielskiego komfortu i atmosferę przybytku wiedzy. Ponieważ hotel stał niedaleko mieszkania Handelmana, istniała niewielka wprawdzie, ale jednak szansa, że ktoś go może znać.

- Oczywiście, panie Hereford - powiedział recepcjonista, przeglądając karty meldunkowe. - Doktor Handelman wpada do nas od czasu do czasu na kieliszek wina lub obiad z przyjaciółmi. To zachwycający dżentelmen, o wspaniałym poczuciu humoru.

Mówimy na niego Rabin. Prawie wszyscy tu go tak nazywają.

- Nie wiedziałem o tym. Czy to znaczy, że jest rabinem?

- Nie jestem pewien, czy formalnie, ale nie sędzę, by ktokolwiek mógł kwestionować jego wiedzę. Jest profesorem filozofii w Jarmaine i o ile się orientuję często wykłada teologię żydowską. Na pewno będzie pan zadowolony z rozmowy.

- Mam nadzieję, że tak będzie i dziękuję.

- Boy - zawołał recepcjonista, trącając dzwonek na ladzie.

Mieszkanie Handelmana znajdowało się między Broadwayem i Riverside Drive, przy stromej uliczce z widokiem na Riverside Park i Hudson. Był to solidnie zbudowany, obłożony białym piaskowcem dom, niegdyś duma drapieżnej nowojorskiej socjety, któremu po krótkotrwałych okresach powrotu do świetności pozwolono zestarzeć się z godnością.

Dawniej przed przeszkloną, ozdobioną żelaznymi ornamentami fasadą, stał odźwierny, dziś zastępował go domofon i podwójne zamki w wewnętrznych drzwiach. Havelock nacisnął

guzik, chcąc się tylko upewnić czy Handelman jest w domu, ale głośnik domofonu milczał.

Zadzwoił więc ponownie. Znów nic. Przeszedł na przeciwległą stronę ulicy i zatrzymał się na chwilę, żeby rozważyć wszystkie możliwości. Wcześniej rozmawiał w centrum informacyjnym uniwersytetu, gdzie otrzymał adres i telefon do gabinetu Handelmana. Drugi telefon, wykonany przez anonimowego pracownika administracji, który zbierał dane do czwartkowego raportu statystycznego, pozwolił mu zorientować się, że Handelman będzie zajęty z doktorantami do czwartej po południu. Dochodziła piąta, więc Michael zaczął się denerwować. Gdzie on może być? Oczywiście nie było gwarancji, że z uczelni wróci prosto do domu, ale pośrednik udzielający schronienia, który załatwił, albo był w trakcie załatwiania, dalszego transferu uciekinierki z Paryża, miał przecież pewne zobowiązania.

Wcześniej Havelock zastanawiał się czy pójść do gabinetu Handelmana lub zaczepić go na ulicy, teraz ponownie rozważał tę możliwość. Istniała co prawda ewentualność, że spotkanie z doktorantami przedłużyło się albo, że został zaproszony na obiad, może ktoś jednak pozostał

w domu, i ten ktoś mógłby okazać się Havelockowi pomocny. Zawsze doskonale potrafił

znosić napięcie oczekiwania, teraz sprawiało mu ono dosłownie fizyczny ból brzucha.

Odetchnął głęboko. Nie, nie może rozmawiać z pośrednikiem na uczelni, na ulicy lub w innym miejscu publicznym. Spotkanie musiało się odbyć tam, gdzie są kartoteki, numery telefoniczne, mapy i szyfry - narzędzia pracy pośrednika. Dobrze ukryte, a równocześnie w zasięgu ręki: pod podłogą, głęboko w ścianie lub, zmniejszone do mikroskopijnych rozmiarów, w czubku buta lub guzikach koszuli. Nigdy nie widział Handelmana na zdjęciu, ale miał jego rysopis. Rumiany barman z „King's Arms” (sam najwyraźniej malowniczy i stały element otoczenia), opisał mu Rabina z rozwlekłością i talentem pięciorzędnego poety z Dublina. A więc Jacob Handelman, mężczyzna średniego wzrostu, z

lekką skłonnością do nadwagi i nieco większą do brzuszka, miał długie białe włosy i krótko przyciętą siwą brodę.

Według barmana: „jego chód był powolny i majestatyczny, tak jakby wywodził się z żydowskich królów, proszę pana, którzy rozdzielają wody lub budują arki dla zwierząt. Ach...

ale jakie żywe ma spojrzenie i szczerzłote serce, proszę pana”. Havelock zamówił podwójną whisky i przysłuchiwał się opowieści barmana. Były trzy minuty po piątej. Oddychaj głęboko, oddychaj i myśl o Jennie, myśl o tym, co masz jej powiedzieć. To może być za godzinę, dwie lub za pół nocy. Powoli zapadał zmrok, opóźniany przez pomarańczowe promienie słońca, które odbijały się we frontonach wieżowców New Jersey po drugiej stronie rzeki Hudson. Autostradę West Side zablokował korek, a sytuacja na Riverside Drive wyglądała niewiele lepiej. Zrobiło się zimniej i na ciemniejącym marcowym niebie pojawiły się szare chmury, prószące płatkami śniegu. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy kroczył

brzuchaty mężczyzna średniego wzrostu, w długim czarnym płaszczu. Wyglądał rzeczywiście majestatycznie, a jego godny szacunku wizerunek podkreślały mlecznobiałe włosy, opadające kilka cali poniżej runda czarnego kapelusza. W świetle latarni Michael dostrzegł siwą brodę.

Tak, to był pośrednik. Jacob Handelman podszedł do zewnętrznych, przeszklonych drzwi swojego domu. Wielkie lampy wyraźnie oświetlały wejście. Nagle Havelocka coś zaniepokoiło w jego wyglądzie, bo wpatrywał się w mężczyznę, niczym zahipnotyzowany.

Czyżby go znał? Czyżby Rabin brał udział w jakiejś operacji osiem... dziesięć lat temu?

Bliski Wschód, Tel Awiw, Liban? Michael odnosił wyraźne wrażenie, że gdzieś już go spotkał. Czy była to może tylko sprawa chodu? Rozważny, prawie anachroniczny krok, do którego pasowałyby raczej średniowieczne szaty? A może zwróciły jego uwagę szkła w stalowych oprawkach, tak pewnie umieszczone pośrodku wielkiej twarzy? Handelman wszedł

do sieni i po przejściu kilku stopni zatrzymał się przed skrzynkami na listy. Stojący po drugiej stronie ulicy Michael z trudem powstrzymał się, żeby do niego nie podbiec. Chyba jednak lepiej będzie chwilę poczekać. Bo jeśli stary człowiek, zaczepiony na ulicy przez nieznanego wezwie pomoc i zabarykaduje się w swoim mieszkaniu, nie tak łatwo będzie nawiązać z nim kontakt. Lepiej go nie płoszyć, lecz poczekać aż Jacob Handelman bezpiecznie znajdzie się w swoim domu. Wtedy pukanie do drzwi i słowa: „Quai d'Orsay” powinny wystarczyć. Tak właśnie zachowałby się ktoś, kto wie, że człowiek w środku jest pośrednikiem. Handelman na pewno zobaczy się z nim, nie będzie w stanie mu odmówić.

Białowłosy człowiek zniknął za wewnętrznymi drzwiami, a ciężka tafla szkła, oprawiona w żelazo, powoli wróciła na swoje miejsce. Havelock odczekał trzy minuty, w kilku oknach na trzecim piętrze zapaliły się światła. Logicznie rzecz biorąc, Handelman musiał mieszkać w 4A, gdyż jako pośrednik, powiązany z tajnymi służbami i WKR, powinien mieć możliwość obserwowania ulicy. Teraz jednak nie poświęcał się tej czynności, za firanką nie rysowała się żadna sylwetka. Michael przeszedł przez ulicę i stanął przed solidnym budynkiem. Po czym zapalił zapałkę i trzymając ją na wysokości bioder, chwilę przyglądał się rzędowni nazwisk. R.

Charles. Gospodarz 1D. Havelock nacisnął guzik i przybliżył usta do mikrofonu za metalową siatką.

- Kto tam? - odezwał się męski głos czystą, nienaganną angielszczyzną.

- Pan Charles? - zapytał Havelock.

- Tak, Charles. Kto mówi?

- Rząd Stanów Zjednoczonych, Departament Stanu.

- Co?

- Nie ma powodu do niepokoju, panie Charles. Jeżeli podejdzie pan do drzwi, może pan sprawdzić przez szybę moje dokumenty. Potem albo pan mnie wpuści albo podam panu numer, pod który można zadzwonić.

- To brzmi rozsądnie - odparł Charles po krótkiej pauzie. Trzydzieści sekund później, olbrzymi muskularny młody, człowiek pojawił się w hallu za drzwiami. Miał na sobie spodenki gimnastyczne i koszulkę z wielkim napisem 20, co mogło oznaczać albo wiek, albo pozycję na boisku futbolowym jednego z większych graczy Columbii. A więc to taką ochronę sprawili sobie mieszkańcy Morningside Heights... I znów było to logiczne: dbając o innych, zadbasz o siebie. Darmowe mieszkanie za imponującą sylwetkę. Michael wyjął swoją starą kartę identyfikacyjną w czarnej plastikowej oprawce. Data ważności była oczywiście zamazana. R. Charles mrużąc oczy spojrzał przez szybę. Wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

- Co to u diabła jest? - zapytał. W jego głosie bardziej wyczuwało się zdziwienie niż wrogość. Mężczyzna o takim wyglądzie nie musi być agresywny. Jego muskularne nogi, ramiona i kark były wystarczająco groźne. No i był na dodatek młody.
- Mieszka tu pewien człowiek, z którym chciałbym oficjalnie spotkać się w sprawach Departamentu Stanu, ale teraz go nie ma. Oczywiście dzwoniłem do niego. To nasz przyjaciel.
- O kogo chodzi?
- O doktora Jacoba Handelmana. Pracuje dla nas jako konsultant, ale się z tym nie afiszuje.
- Handelman. Miły starszy gość.
- Bardzo miły, panie Charles. Jednak czułby się zaniepokojony na samą myśl, że mogę zostać rozpoznany. Havelock wykrzywił twarz w uśmiechu. - A poza tym tu jest cholernie zimno.
- Nie mogę pana wpuścić do jego mieszkania. I nie wpuszczę. - Ależ ja wcale nie chcę! Poczekam tu na dole, jeżeli to panu nie będzie przeszkadzać. R. Charles zawahał się, a jego wzrok powędrował w stronę otwartej legitymacji, którą Michael wciąż trzymał w dłoni.
- Okay. Zaprosiłbym pana do siebie, ale razem z kumplem ryjemy się przed jutrzejszym egzaminem semestralnym.
- Naprawdę nie chciałbym... - Havelock przerwał na widok jeszcze potężniejszego młodego mężczyzny w dresie, który pojawił się w drzwiach na końcu hallu. W jednej ręce trzymał książkę, w drugiej okulary.
- Hej, człowieku, co tam się dzieje?
- Nic. Wszystko w porządku. Ktoś się chce zobaczyć z Rabinem.
- Znowu? Daj spokój, marnujemy czas! To ty jesteś od myślenia, ja chciałbym jakoś przetrzymać jutrzejszy dzień.
- Gra pan ze swoim kolegą w jednej drużynie? zapytał Havelock, starając się sprawiać wrażenie, że jest na bieżąco.
- Nie. On uprawia zapasy. W krótkich przerwach, kiedy go nie dyskwalifikują za brudne chwytty.
- Okay, Mastiff, już idę. - Współlokator wrócił do pokoju.
- Jeszcze raz dziękuję.
- Nie ma sprawy. Nawet pan mówi jak jakiś oficjel. Rabin powinien pojawić się lada chwila.

- Bardzo punktualny, co?
- Jak szwajcarski zegarek. - Numer Dwadzieścia odwrócił się, a potem jeszcze raz obejrzał się za siebie.
- Wie pan, spodziewałem się czegoś takiego. Znaczy, kogoś takiego jak pan.
- Dlaczego?
- Nie wiem... to chyba przez tych ludzi, którzy ciągle go odwiedzają. Czasami późno w nocy, a nie za bardzo wyglądają na kogoś z kampusu. Michaelowi przyszło do głowy, że niczym nie ryzykując może zadać to najważniejsze pytanie, młody człowiek sam w końcu rozpoczął ten temat.
- Mogę panu powiedzieć, że nas najbardziej interesuje kobieta. Mam nadzieję, że tutaj dotarła. Czy przypadkiem pan jej nie widział? Blondynka, około pięciu stóp i pięciu cali wzrostu, prawdopodobnie w płaszczu, może w kapeluszu. Wczoraj? Dziś?
- Zeszłego wieczoru - odparł młody człowiek. - Mastiff ją widział, nie ja. Powiedział, że ślicznotka. Ale nerwowa. Nacisnęła niewłaściwy guzik i połączyła się ze starym Weinbergiem, który mieszka w 4B i jest jeszcze bardziej nerwowy.
- Ulżyło nam, że dotarła. Która to mogła być godzina?
- Chyba ta, co teraz. Rozmawiałem przez telefon, kiedy wściekły Weinberg zadzwonił do nas przez interkom.
- Dziękuję i proszę pamiętać, że na zasadzie czystego przypadku udzieliłem panu poufnej informacji. Zechce pan to wziąć pod uwagę.
- Człowieku, coś ty taki oficjalny. Umówmy się, że nigdy pana nie widziałem, panie Havalatch. Ale jeżeli ktoś się będzie do mnie przyczepiał, odszukam pana.
- Proszę tak zrobić. Jeszcze raz dziękuję.
- Niech pan na siebie uważa - olbrzymi student ruszył korytarzem w stronę swoich drzwi. Kiedy zamknął je za sobą, Havelock pośpiesznie poszedł w kierunku szerokich kamiennych schodów, wyłożonych dywanem, który wytarł się przez lata użytkowania. Nie chciał skorzystać z windy, bo mogłoby to zaalarmować ufną, masywną Dwudziestkę! W Paryżu Michael wykazał się przytomnością umysłu i kupił dobrane do garnituru, czarne buty na gumowej podeszwie. Teraz bardzo mu się przydały. Wchodził po schodach na górę biorąc po trzy stopnie na raz, niemal bezszelestnie. Nie upłynęło nawet trzydzieści sekund, kiedy znalazł się na czwartym piętrze, przed mieszkaniem 4A na końcu słabo oświetlonego, wykładanego kafelkami korytarza. Zatrzymał się na chwilę, uspokoił oddech, podszedł do drzwi i nacisnął mały guzik, umieszczony wewnątrz krążka.

Zza drzwi dobiegło ciche dzwonięcie, do którego po kilku sekundach dołączyły odgłosy kroków.

- Tak? - zapytał dziwnie wysoki głos w potocznej europejskiej wymowie.

- Doktor Jacob Handelman?

- Kto tam? - w tonie doktora dało się wyłowić akcenty jidysz.

- Mam wiadomość z Quai d'Orsay. Możemy porozmawiać?

- Was? - Po krótkiej przerwie popłynął strumień słów. - Pan się pomylił. Nie mam pojęcia o czym pan mówi. Nie znam nikogo w... jak pan powiedział?... Quai d'Orsay.

- W takim razie będę musiał skontaktować się z Paryżem i powiedzieć mojej łączniczce, że popełniła straszną pomyłkę. Oczywiście, Jacob Handelman zostanie wymazany z pamięci komputera w katakumbach.

- Proszę zaczekać minutę. Pamięć starego człowieka wymaga jakiegoś impulsu.

Havelock ponownie usłyszał, tym razem szybsze, oddalające się kroki. Nie minęła jeszcze zapowiedziana minuta, kiedy zza grubych, drewnianych drzwi dobiegł metaliczny szcęk kilku zamków. Kiedy otworzyły się, pośrednik spojrzął na Havelocka i ruchem głowy zaprosił go do środka. O co tu chodziło? Skąd miał pewność, że znał tego człowieka, tego staruszka z siwą brodą i długimi białymi włosami? Szeroka, pomarszczona twarz promieniowała łagodnością, ale oczy za grubymi szklami były... budziły w nim uczucie, którego nie potrafił precyzyjnie zdefiniować.

- Jest pan teraz w moim domu - powiedział Handelman, zamykając drzwi i szcękając zamkami. Wiele podróżowałem, oczywiście nie zawsze z własnej woli, jak wiele tysięcy ludzi w podobnej sytuacji. Być może mamy w Quai d'Orsay wspólnych znajomych, których teraz nie mogę sobie przypomnieć. Naturalnie znam wielu profesorów na Sorbonie. Czy to ten sam wysoki, śpiewny głos? Sposób trzymania głowy podczas zadawania pytań? A może zaokrąglona, a jednak w pewien sposób sztywna sylwetka? Mocno postawione na podłodze stopy? Nie, tu nie chodziło o pojedynczą cechę, lecz o całość.

- „Wspólny znajomy” jest może nie do końca precyzyjnym określeniem, ale chyba zna pan nazwisko Broussac. Czwarty Wydział Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Miała się dziś z panem skontaktować, a ta kobieta dotrzymuje słowa. Sądzę więc, że to zrobiła.

- Och, moje biuro jest zawałone różnymi wiadomościami, w których orientuje się tylko moja sekretarka, panie... panie...?

- Havelock.

- Tak, panie Havellacht. Proszę dalej, bardzo proszę. Znałem kiedyś w Berlinie Habernichta. Friedricha Habernichta. Całkiem podobnie to brzmi prawda?

- Też tak mi się zdaje. Czy chodziło o sposób poruszenia się? Ten sam rozważny krok, który widział na ulicy. Majestatyczny... arogancki krok, który pasował do średniowiecznych szat lub sutanny wysokiego dostojnika Kościoła.

- Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? - Michael musiał wreszcie zadać to pytanie.

- My? - Brwi pośrednika wygięły się w zdziwiony łuk. - Nie mam pojęcia gdzie.

Chyba że był pan kiedyś moim studentem, ale to musiało być wiele lat temu... Tak, tylko to mi w tej chwili przychodzi na myśl. Panu więc łatwiej było mnie zapamiętać. Zresztą, rozumie pan, wiek i codzienna masa informacji. Wiele lat temu. Jak wiele?

- Twierdzi więc pan, że Broussac niczego panu nie przekazała?

- Niczego nie twierdzę... Proszę, niech pan siada... Mówię tylko, że nie wiem.

Powiedział pan, że Broussac przysłała mi dziś wiadomość, a ja powtarzam, że każdego dnia otrzymuję dziesiątki wiadomości, z którymi często nie zapoznaję się przez wiele dni. Z

powodu wieku i nawału zajęć.

- Już pan o tym mówił - przerwał Havelock. Nie usiadł, oczami omiatał pokój. Regały z książkami, stare meble, wyściełane krzesła, abażury lamp ozdobione frędzlami, podnózek -

nic spartańskiego. No i atmosfera przybytku. - Jenna Karas! powiedział niespodziewanie podniesionym głosem.

- Jeszcze jedna wiadomość? - niewinnie zapytał Handelman, niczym stary człowiek wprawiony w oszołomienie przez energicznego adwersarza. - Tak wiele wiadomości.

Konieczmie muszę porozmawiać z moją sekretarką. Za bardzo mnie izoluje od wielu spraw.

- Wiem, że wczoraj była tu u pana Jenna Karas.

- Troje... nie, czworo ludzi było u mnie wczoraj wieczorem. Wszyscy są moimi studentami. Mam tu nawet ich nazwiska i szkice dwóch prac magisterskich. Handelman podszedł do zarzuconego papierami biurka przy ścianie.

- Przestań wreszcie udawać! - krzyknął Havelock. Wiem, że ukryłeś ją, a ja muszę ją odnaleźć! Taką wiadomość przekazała Broussac.

- Tak wiele wiadomości - zaintonował pośrednik, jakby recytował wersety z Talmudu.

Acha, oto i nazwiska wraz z konspektami prac magisterskich - ciągnął, pochylając się nad stosem papierów. - Tak wielu gości... tak wiele wiadomości. Kto by za tym nadążył?

- Posłuchaj! Fakt, że Broussac dała mi twoje nazwisko i adres, świadczy o tym że nie kłamię! Muszę

się z nią zobaczyć! Wyrządzono jej straszną krzywdę, nam wyrządzono, a ona nie rozumie dlaczego! - Zaprzeczenie Filioque'a podczas Rady Ariusa - intonował

wyprostowany Handelman, trzymając kartkę w świetle stojącej lampy. - Nicejskie odrzucenie Wschodniego Kościoła, gdzieś w piątym stuleciu. Bardzo niejasne, jeżeli mam być szczerzy.

- A żeby cię cholera wzięła, gdzie ją wysłałeś? Przestań się ze mną bawić! Bo jeśli nie, jeśli będę musiał, to...

- Tak? - Jacob Handelman odwrócił głowę oświetlaną przez lampę i ponownie przyjrzał się Havelockowi przez stalowe okulary. Przeszedł kilka kroków w lewo i odłożył

papiery na biurko. To stało się tam, wtedy. Wszystko było tam. Oczy za srebrnymi, cienkimi oprawkami, sztywno wyprostowana pulchna sylwetka... chód. Nie były to kroki prałata w kościele, ani średniowiecznego barona w sali zamkowej, ale majestatyczne kroki mężczyzny w mundurze. W czarnym mundurze! Przed oczami Havelocka przebiegła błyskawica i eksplodowała w jego mózgu... wtedy i dziś, dziś i wtedy! Nie osiem lub dziesięć lat temu, ale w tamtych strasznych latach! On był jednym z nich! Pamięć to potwierdzała! Widział tego człowieka przed sobą, tak jak i wtedy. Szeroka twarz, bez brody. Proste długie włosy, nie białe, lecz jasne, aryjskie. Szedł... kroczył... w stronę rzędów wykopanych rowów. Strzelanina z broni maszynowej. Krzyki. Lidice! Michael, napięty niczym zwierzę, które szykuje się do ataku na przeciwnika, stojącego na niższym szczeblu rozwoju, ruszył w stronę pośrednika.

- Was? - zaskomlał Handelman, przeciągając syczące „s”. - Co się z tobą dzieje?

Oszalałeś? Spójrz na siebie... jesteś chory? Odejdź ode mnie!

- Rabin...? Ty, skurwysynu! Niewiarygodny skurwysynu! Kim byłeś? Standartenführerem? Sturmabführerem? Nie, byłeś Obergruppenführerem! To byłeś ty! Tam w Lidicach!

- Jesteś szalony, kompletnie szalony! Wynoś się z mojego domu! Nikt cię tu nie chce!

Nie mam zamiaru słuchać bredni szaleńca zważywszy na ból jakiego doświadczyłem! -

Starszy człowiek wyglądał potwornie z szeroko rozwartymi oczami, dodatkowo powiększonymi przez grube szkła. Nagle jego prawa ręka przesunęła się po blacie biurka w stronę stosu papierów. Havelock rzucił się do przodu, w chwili gdy w dłoni Handelmana zobaczył broń. Musiał ją tam schować trzy minuty temu, a zrobił to dlatego, że nie mógł

zapomnieć o swojej przeszłości. Pośrednik był mordercą Czechów, Polaków, Żydów człowiekiem, który przywłaszczył sobie tożsamość jakiegoś więźnia w łachmanach, wysłanego do komory gazowej lub pieca. Havelock chwycił dłoń z pistoletem, środkowym palcem zablokował spust i kilkakrotnie uderzył nią o krawędź biurka. Ale broń nie chciała wypaść z ręki! Handelman, wygięty w nienaturalnej pozycji uchwycił się prawego ramienia napastnika, a jego miękkie ciało nabrało niespodziewanej sprężystości i mocy. Nagle jego lewa ręka poszybowała w górę i z całej siły uderzyła Michaela w twarz i po oczach. Havelock szarpnął się gwałtownie, pośrednik wyslizgnął się

spod niego. Opierali się teraz o krawędź

biurka, wykręcając do granic wytrzymałości nawzajem unieruchomione ramiona. Nagle Michael wyswobodził prawą dłoń, zwinął ją w pięść i niczym młotem uderzył w miejsce, w którym dostrzegł plamę twarzy Handelmana. Szkła w stalowych oprawkach rozleciały się na kawałki. Niemiec wrzasnął i podniósł w górę obie ręce. Broń upadła na podłogę. Havelock odskoczył, poderwał Niemca na nogi i zacisnął dłoń na jego ustach. Oczy pulsowały mu bólem, łzy i plamki krwi zamazywały widok, jednak w przeciwieństwie do hitlerowca, zachował zdolność widzenia.

- Spróbuj tylko pisnąć słowem, a natychmiast cię zabiję. A teraz siadaj! Odciągnął

Niemca od biurka i popchnął go na najbliższe krzesło z taką siłą, że głowa pośrednika odskoczyła do tyłu.

- Oślepiłeś mnie! - zaskomlał żołnierz z Lidic. - Jakiś wariat napada mnie we własnym domu...

- Uspokój się! - przerwał Michael. - Ja tam byłem!

- Ależ to szaleństwo! - Handelman podniósł dłonie, by zdjąć okulary, łapiąc oddech przez otwarte usta.

- Zostaw! - rozkazał Havelock. - Niech pozostaną na miejscu. - Młody człowieku, jesteś...

- Zamknij się i słuchaj! Mógłbym wszcząć poszukiwania człowieka o nazwisku Jacob Handelman, sięgając jakieś pięćdziesiąt lat wstecz. Odnaleźć jego zdjęcia i wciąż żyjących Niemców, którzy go znali - o ile w ogóle istniał. Potem mógłbym pokazać twoją fotografię, oczywiście bez brody, w niektórych dzielnicach Pragi. Byłeś tam wtedy i ja ciebie widziałem, gdy dziewięć albo dziesięcioletni chłopak chciał ci wbić nóż w plecy na ulicy. Nawet dziś, w Pradze, Rudnie lub Kladnie żyją ludzie, którzy chcieliby zrobić to samo. To już koniec, ty bydlaku! Nie mów mi więc kogo wczoraj wieczorem tu u ciebie nie było, tylko o tej która była. Gdzie ona jest?

- Jestem bardzo wiele wart...

- Jasne, że jesteś. Któż byłby lepszym specjalistą w znajdowaniu bezpiecznych miejsc, od kogoś, kto sam ukrył się tak doskonale? Któż chroniłby siebie lepiej, niż ktoś, kto odszukał gdzie indziej tak wielu? Schowałeś się, Merder, ale nie przede mną, rozumiesz? Bo mnie na tobie nie zależy! A teraz gadaj, gdzie jest Jenna Karas?

- Nie mam zamiaru tłumaczyć się z tych nedorzecznych oskarżeń - zaskomlał

Niemiec - możemy jednak porozmawiać o warunkach wymiany.

- Daruję ci twoje parszywe życie - powiedział Havelock. Teraz już wiesz, że gdzieś tam jestem i w każdej chwili mogę je odebrać. To są moje warunki wymiany. A więc gdzie ona jest?

- Zajrzyj do górnej szuflady biurka - pośrednik wskazał miejsce drżącą dłonią.

Strzaskane szkła zasłaniały mu niewidzące oczy. - Podnieś podstawkę na pióra. Wyjmij złożony zielony papier. Michael znalazł go bez trudu. Była to strona z notatnika z nagłówkiem wydziału filozofii Uniwersytetu Columbia. Duże, ręcznie pisane litery, układały się w informacje, za zdobycie których Havelock posunąłby się nawet do zabójstwa. Było tam wszystko. „Broussac. Aplikacja kandydata na studia doktoranckie. Nazwisko: Arvidas Corescu. Opieka naukowa: Kohoutek. Skrzynka pocztowa 3, Mason Falls, Pensylwania.”

- Posługuje się nazwiskiem Corescu? - ostro zapytał Havelock.

- Tymczasowo. Dokumenty musiały zostać sfabrykowane w ciągu kilku godzin.

Później zrobi się inne... o ile się zrobi.

- Co to znaczy?

- Trzeba za nie zapłacić. Nie ma nic za darmo.

- Oczywiście. Zarzuca się przynętę, ale żyłka jest przez cały czas napięta. Musisz mieć tam bardzo imponującą rybę.

- Powiedzmy, że mam wpływowych przyjaciół. W różnych miejscach.

- Kim jest ten Kohoutek?

- To Słowianin - odparł pośrednik, drwiąco wzruszając ramionami. - Ma farmę.

- Kiedy wyjechała?

- Odebrano ją dziś rano.

- Pod jaką przykrywką?

- Nie wiem, nie znam człowieka, pewnie jeszcze jeden nędzny uciekinier. Może bratanica, która wy dostała się z Bałkanów lub innego rejonu naszego wspaniałego świata.

Byle dalej od Niedźwiedzia, jak to oni określają. Kohoutek załatwi jej pracę, ma przyjaciół w związkach zawodowych przemysłu włókienniczego.

- A zarobionymi tam pieniędzmi opłaci jego i ciebie, bo inaczej nie nadejdą dokumenty.

- Będzie ich potrzebowała - tłumaczył Handelman - do prowadzenia samochodu, do otworzenia konta w banku...

- I żeby Urząd Imigracyjny się nie czepiał przerwał Havelock. - Taka groźba zawsze istnieje, co?

- To jest praworządny kraj, proszę pana.

- Niedobrze mi się robi na twój widok - powiedział Havelock, podchodząc do krzesła.

- Z uczuciem czystej radości mógłbym cię teraz zabić - dodał cicho. - Możesz to zrozumieć, filozofie? Ale nie zrobię tego, bo chcę żebyś wiedział, jak się czuje człowiek, który w każdej chwili, każdego dnia, każdej nocy nasłuchuje, czy ktoś nie zapuka do jego drzwi. Będiesz z tym żył, padalcu. Heil Hitler! Po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Nagle coś trzasnęło z tyłu! Havelock odkręcił się i zobaczył długie ostrze, szybujące, niczym błyskawica, dokładnie w sam środek jego piersi. Handelman musiał zerwać szkła z twarzy i chwycić sztylet ukryty w wyściełanym krześle. Zatęchła atmosfera przybytku nauki zmieniła się nagle we wstrętny odór ziemi niczyjej, na odległym polu bitewnym. Havelock odskoczył, ale nie zdołał uniknąć ciosu, który rozpruł mu marynarkę. Ostra jak brzytwa klinga rozcięła ciało, znacząc białą koszulę krechą krwi. Prawa dłoń Michaela sięgnęła pod marynarkę, po pistolet llama. Wystrzelił dwa razy. Pośrednik runął na podłogę. Krew zalała mu głowę.

Jednego oka nie było. Strzał z broni unieruchomił strzelca z Lidic. Havelock nie odczuwał

jednak radości, to już nie miało żadnego znaczenia. Liczyła się tylko Jenna. Odnalazł ją!

Teraz już mu nie przeszkodzi w spotkaniu. Może go zabić, ale wpierv będzie musiała mu spojrzeć w oczy. A o to przecież chodziło. Wepchnął lamę za pasek, schował zieloną kartkę do kieszeni i szybko wybiegł z mieszkania.

20

- Nazywa się Broussac, panie prezydencie powiedział do słuchawki Emory Bradford, siedząc przy swoim biurku w Departamencie Stanu. - Pani R gine Broussac. Wydział

Czwarty, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Quai d'Orsay. Skontaktowała się z naszą ambasadą przedwczoraj wieczorem i poprosiła o wysłanie samochodu z radiotelefonem w okolice Argenteuil, w celu przechwycenia byłego oficera wywiadu amerykańskiego. Właśnie tam miał się z nią spotkać w, jak to określiła, wysoce nienormalnych okolicznościach.

- Havelock?

- Tak. Potwierdziła to.

- I co dalej?

- Samochód jeździł całą noc ulicami Argenteuil. Nikt się nie zgłosił.

- Co powiedziała ta Broussac? Zakładam, że ją przesłuchano.

- Dość obcesowo. Utrzymuje, że się nie pojawił.

- No i?

- Nasi ludzie uważają, że kłamie.

- Dlaczego?

- Jeden z nich pojechał do jej mieszkania i zadał kilka pytań. Dowiedział się, że wróciła do domu o pierwszej w nocy. Jeżeli to prawda, a potwierdziło to dwoje sąsiadów, dlaczego nie zadzwoniła do ambasady, żeby odwołać samochód?

- Czy pytano ją o to?

- Nie, proszę pana. Nasi ludzie czekają na instrukcje. Nie jest przyjęte, by personel ambasady kręcił się wokół mieszkania urzędnika Quai d'Orsay i ukradkiem zadawał pytania.

- Poproś ambasadora Richardsona, żeby zadzwonił do Madame Broussac i z całym szacunkiem zaprosił ją do ambasady. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby udało się jej tam dotrzeć jak najszybciej, najchętniej w ciągu godziny. Oczywiście wyślemy po nią samochód.

Prezydent Stanów Zjednoczonych chciałby z nią rozmawiać o pewnej poufnej sprawie -
powiedział zdecydowanym głosem Berquist.

- Panie prezydencie...

- Panie podsekretarzu, niech pan robi to, o czym mówię.

- Tak, proszę pana. - Co jeszcze, Emory?

- Słucham, panie prezydencie?

- Jak twoje inne zadanie? Co z tymi ponad siedemdziesięcioma dyplomatami, którzy mogli być poza miastem, kiedy my mieliśmy problemy w Hiszpanii?

- Jak do tej pory mam pięciu podejrzanych. - Bradford z trudem panował nad głosem.

- Co?

- Rano, przed otrzymaniem wszystkich informacji, nie chciałem o tym mówić, ale ostatnie raporty wskazują, że poza budynkiem było dziewiętnaście osób. Czternaście może wyliczyć się z czasu, pięcioro nie.

- I zgromadź wszystkie informacje!

- Postaram się.

- Do południa. Dowiedz się!

Zimny deszcz, który rozpadał się poprzedniej nocy, wyraźnie słabł. Niebo za oknami Ovalnego

Gabinetu było czarne. Temperatura opadnie jeszcze stopień lub dwa i na trawniku przed Białym Domem pojawią się nieregularnie rozrzucone plamy śniegu. Berquist stał obok okna i przelotnie zastanawiał się, na jaką wysokość mogły urosnąć zasy w Mountain Iron w Minnesocie. Jakże pragnął znaleźć się tam teraz! Z konsoly telefonicznej dobiegło brzęczenie. Podszedł do biurka, zerkając po drodze na zegarek. Była jedenasta piętnaście.

- Tak?

- Pańskie połączenie z Paryżem, sir.

- Dziękuję. - Berquist wcisnął odpowiedni czerwony guzik. -

Madame Broussac?

- Oui, Monsieur le Pr sident. Czuję się zaszczycona, że zostałam wezwana, by rozmawiać z panem. Głos starszej pani brzmiał mocno, ale dawało się w nim wyczuć domieszkę zdziwienia i lęku.

- To ja jestem bardzo wdzięczny, madame. Czy jest pani sama, tak jak poleciłem?

- Tak, Monsieur le President. Ambasador Richardson był tak łaskaw, że użyczył mi swego gabinetu. Szczerze mówiąc, jestem oszołomiona.

- Ma pani słowo prezydenta Stanów Zjednoczonych, że jesteśmy sami, Madame Broussac. Ta linia jest wolna od podsłuchu, nie ma też mechanicznych urządzeń do nagrywania. Czy mi pani wierzy?

- Oczywiście. Dlaczego tak dostojna osoba miałaby zwodzić zwykłego urzędnika Quai d'Orsay?

- Dla wielu powodów. Ale w tym przypadku tak nie jest.

- Mais oui. Przekonał mnie pan.

- Dobrze. Potrzebuję pani współpracy w sprawie najwyższej wagi i niezwyklej delikatności. Sprawa ta w żadnym stopniu nie dotyczy rządu Francji, a każda pomoc, której może nam pani udzielić, leży w żywotnym jego interesie. Po raz kolejny daję pani na to moje słowo, słowo prezydenta.

- To mi wystarczy, Monsieur le President.

- Musimy koniecznie skontaktować się z oficerem naszych służb zagranicznych w stanie spoczynku, który niedawno zerwał więzy z Departamentem Stanu. Nazywa się Michael Havelock.

- S'il vous plait. Monsieur le...

- Nie, proszę - przerwał jej Berquist. - Proszę mi pozwolić dokończyć. Ten urząd jest zaangażowany w zbyt wiele dziwnych spraw, które łączą się z pani pracą lub działalnością Havelocka. Proszę tylko o pomoc w ustaleniu jego miejsca pobytu. Kierunku, w którym się porusza, trasy, nazwiska, którym

się posługuje. Cokolwiek mi pani powie, zostanie utrzymane w najściślejszej tajemnicy. Żaden szczegół nie narazi pani lub operacji, które pani prowadzi.

Obiecuję.

- Monsieur...

- Wreszcie - ciągnął prezydent, nie zwracając uwagi na jej głos - chcę oznajmić, że niezależnie od tego, co on pani powiedział, jego rząd nigdy nie miał zamiaru wyrządzić mu krzywdy. Mamy zbyt wiele szacunku dla jego osiągnięć zawodowych i odczuwamy zbyt wiele wdzięczności za jego zasługi. Mogę pani tylko powiedzieć, że tragedia która go spotkała, jest tragedią dla nas wszystkich. Mam nadzieję, że weźmie pani pod uwagę źródło tej informacji, urząd który reprezentuję. Czy pomoże nam pani, pomoże mi Madame Broussac? Berquist słyszał zarówno oddech kobiety w Paryżu, jak i łomot własnego serca w klatce piersiowej. Wyjrzał przez okno; między kropelkami mżawki pojawiły się delikatne płatki śniegu. Na polach Mountain Iron dziewicze zasy najpiękniejsze są o zachodzie słońca.

Chciałoby się, żeby ten obraz trwał wiecznie.

- Tak jak pan chce go znaleźć - zaczęła Broussac - on chce odnaleźć kogoś innego.

- Wiemy o tym. Jej też szukaliśmy, żeby ocalić jej życie. I jego też. - Prezydent zamknął oczy, to było kłamstwo, o którym będzie pamiętał na wzgórzach krainy Mesabi. Ale będzie też pamiętał o Churchill, Coventry, Enigmie... Costa Brava.

- W Nowym Jorku mieszka pewien człowiek.

- W Nowym Jorku? - zdziwiony Berquist wyprostował się w krześle. - On jest tutaj?

Ona jest...?

- To pana dziwi, Monsieur le Pr sident?

- Ogromnie.

- Taki też był zamiar. Ja ją tam wysłałam. I jego.

- A ten człowiek w Nowym Jorku?

- Trzeba do niego podejść z wielką dozą, jak to pan powiedział, delikatności. Nie możemy go zdekonspirować. Wy macie takich samych ludzi w Europie, wszyscy ich potrzebujemy. Nawet jeżeli dowiadujemy się o istnieniu przedstawicieli innych... firm, zostawiamy ich w spokoju.

- Doskonale to rozumiem. - Do Berquista dotarła wymowa ostrzeżenia. - Czy ten człowiek może nam powiedzieć, gdzie on jest?

- On może wam powiedzieć, gdzie jest ona. To wam wystarczy. Ale ten człowiek musi być pewny, że go nie zdekonspirujecie.

- Wyślę do niego tylko jednego agenta, nikt więcej nie będzie o tym wiedział. Daję na to moje słowo.

- Je le respecte. Nie znam go osobiście, mam tylko jego dossier. To wspaniały człowiek, ocalony z holocaustu, a jednak zachował pokłady współczucia, monsieur. W

kwietniu 1945 roku wyszedł z niemieckiego obozu w BergenBelsen.

- Będzie potraktowany z całym szacunkiem, jaki może okazać ten urząd. Z wszelką dyskrecją, tak jak pani obiecałem. Proszę o jego nazwisko.

- Jacob Handelman. Uniwersytet Columbia.

W sztabowym pokoju, w podziemiach Białego Domu, trzech ludzi uważnie słuchało, jak Emory Bradford powoli, metodycznie zdaje sprawę z wyników śledztwa. Monotonnym tonem opisał potwierdzone miejsca pobytu wszystkich dziewiętnastu członków personelu Departamentu Stanu z sekcji L piątego piętra, którzy podczas operacji Costa Brava przebywali poza Waszyngtonem. Kiedy skończył, na twarzach zebranych malował się wyraz bólu i frustracji. Siedzący na podwyższeniu prezydent pochylił się do przodu. Jego toporną, skandynawską twarz naznaczyło bruzdami zmęczenie, w inteligentnych oczach pojawił się gniew.

- Dziś rano byłeś taki pewny - powiedział. Twierdziłeś, że pięciu ludziom brakuje alibi, nie mogą rozliczyć się z czasu. Co się stało?

- Myliłem się, panie prezydencie.

- Nie to, u diabła, chciałem usłyszeć!... Idźmy dalej, kto należał do tej piątki?

- Pierwsza osoba - kobieta, była w szpitalu. Usunięcie ciąży. Jej mąż jest prawnikiem i przez kilka miesięcy brał udział w przeciągającym się procesie przed Trybunałem Haskim.

Nie spotykali się w tym czasie. Sprawa jest jasna.

- Jak w ogóle mógł pan wziąć pod uwagę kobietę? - zapytał Halyard. Nie chciałbym być posądzony o antyfeminizm, ale kobieta pozostawiłaby jakiś ślad.

- Nie musiała, jeżeli przyjmiemy, że przez Moskwę kontrolowała mężczyznę.

Szczerze mówiąc, byłem bardzo podekscytowany kiedy wypłynęło jej nazwisko.

Pomyślałem: „Dobry Boże, to idealnie pasuje”. Nie pasuje.

- Podczas wszelkich rozmów określaj to w dalszym ciągu operacją. Kim byli inni?

- Dwóch attach naszej ambasady w Meksyku. Zostali odwołani na odprawę, w celu umówienia zmiany polityki, ale nie wrócili do Mexico City przed piątym.

- Powód? - zapytał prezydent.

- Wakacje. Rozjechali się w dwa różne miejsca. Dołączyły do nich rodziny. Jeden był

w ośrodku narciarskim w Vermont drugi na Karaibach. Potwierdziły to opłaty, dokonane przez nich przy użyciu kart kredytowych.

- Kto jeszcze? - naciskał Berquist.

- Arthur Pierce.

- Pierce? - przerwał zdziwiony generał. - Ten gość, który teraz jest w ONZ?

- Tak, generale.

- W tym przypadku tak samo jak obecny tu Addison Brooks, mógłbym pana od razu uspokoić.

- Matthias pewnie też - zgodził się Bradford. - Nie wiem, czy ktoś w rządzie miał do Matthiasa przez dłuższy czas dostęp, niż Pierce. To przecież Matthias wprowadził Pierce'a do ONZ, z oczywistą intencją mianowania go ambasadorem.

- Jeżeli pozwolisz na poprawkę - przerwał Berquist. - To ja go mianowałem, już po tym, jak Matthias wpierw nam go podesłał, a potem odebrał. W zeszłym roku przez kilka miesięcy pracował w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, zanim „wielki człowiek”, nie doszedł do wniosku, że potrzebuje go w Nowym Jorku.

- Z powodu tego gościa, podsunąłem Pentagonowi pomysł, by go przekupić -

wykrzyknął generał. - Chciałem by został w armii, był zbyt dobry by go stracić. Tak, jak i ja nie lubił tego burdelu w południowoschodniej Azji, a jego osiągnięcia są równie znaczące jak moje... Szczerze mówiąc, o wiele lepsze.

- Znam Pierce'a. Zwrócił mi na niego uwagę pewien dyplomata ze starej szkoły.

Uważam, że jestem równie odpowiedzialny za ściągnięcie go do Departamentu Stanu, jak ktokolwiek inny. W tamtych czasach był jednym z nielicznych młodych ludzi, którzy naprawdę sami się wszystkiego dorobili... Powiedzmy nawet, że uzyskał wpływy w większym stopniu, niż bogactwo. Jednak to drugie też mogło stać się jego udziałem. Chłopak z farmy w Iowa, początki raczej skromne, potem wspaniałe wyniki na uczelni: nie musiał

płacić czesnego, przez cały czas uzyskiwał stypendia. Po studiach około tuzina największych korporacji chciało go ściągnąć do siebie, nie wspominając już o Instytucie Randa i Brookinga.

Odłożyłem na bok patriotyzm i użyłem przekonującej pragmatycznej argumentacji, wykazując, że

pełnienie służby w Departamencie Stanu może tylko podbić jego cenę na rynku. Wciąż jest stosunkowo młody i jeżeli będzie chciał odejść z administracji, to z jego osiągnięciami, wszędzie zapłacą mu tyle, ile zażąda. Jest ucieleśnieniem typowego mitu amerykańskiego - skąd panu mogło w ogóle przyjść do głowy powiązanie z Moskwą?

Ambasador odchylił się na krześle do tyłu.

- Nigdy niczego nie zakładam z góry, a zwłaszcza w tym przypadku - powiedział

Bradford. - Arthur Pierce jest moim przyjacielem, a zbyt wielu ich nie mam. Uważam go za jednego z najlepszych ludzi w administracji. Ale mimo naszej przyjaźni, musiałem przestudiować dostarczone mi raporty. Na marginesie, trafiły tylko do mnie. Nie widziały ich ani moja sekretarka, ani asystent. Tylko ja.

- Co takiego w tych raportach skłoniło cię do myśli, że Pierce może w ogóle mieć coś wspólnego z sowieckim wywiadem? Chryste, on przecież jest uosobieniem matki, Boga, amerykańskiej szarlotki i flagi narodowej.

- Błąd w rejestrach przesyłanych wiadomości. Początkowo wykazały one, że w ciągu ostatnich dni grudnia i pierwszych trzech stycznia, podczas trwania operacji Costa Brava, Pierce nie odpowiedział na cztery różne pytania, nadesłane z Sekcji Bliskiego Wschodu.

Oczywiście potem je odnaleziono: cztery odpowiedzi, niczym z podręcznika analiz dyplomatycznych wzięte. Ściśle łączyły się ze szczegółową procedurą w Radzie Bezpieczeństwa i nie czytałem jeszcze czegoś tak przenikliwego, odnośnie tego obszaru.

Jeżeli chodzi o ścisłość, zostały one użyte do zablokowania bardzo agresywnej propozycji radzieckiej.

- A więc chodziło tylko o błąd w rejestrach? - zapytał Brooks.

- To zwariowana historia. Zawsze znajdzie się jakieś wytłumaczenie, a potem jego potwierdzenie. Przepływ informacji jest tak obfity, że dwadzieścia procent z nich wędruje pod niewłaściwy adres. Odpowiedzi Pierce'a były tam przez cały czas.

- Kto jest ostatnim podejrzanym? - Berquist nie miał zamiaru poddać się. Z jego oczu widać było wyraźnie, że z trudnością przyjmie do wiadomości wyniki nieudanego śledztwa.

- Co do tego ostatniego człowieka, tak byłem przekonany, że jest „śpiochem”, że o mało nie poleciłem zaarrestować go tajnej służbie Białego Domu. Bogu dzięki, że tego nie zrobiłem. To strasznie nerwowy człowiek.

- Kto?

- Nikołaj Sitmarin. Urodzony i wychowany w Leningradzie. Syn dysydentów, którzy wyemigrowali

dwanaście lat temu. Jest najwyższej klasy specjalistą od spraw wewnętrznych ZSRR, jego analizy sprawdzają się w siedemdziesięciu procentach. To prawie cud i od razu sobie pomyślałem: „czy Moskwa może znaleźć lepszy sposób na wprowadzenie „špiocha?” Osiemnastoletni syn dysydentów, którzy otrzymali rodzinną wizę wyjazdową, w cholernie niesprzyjającym momencie.

- To Żyd? - zapytał generał.

- Nie, ale sądzę, że większość ludzi tak myśli, co stanowiło dla mnie tylko uwiarygodnienie jego przykrywki. Wbrew powszechnemu pogładowi dysydenci rekrutują się nie tylko ze środowisk żydowskich. Pokazywano go również często w środkach masowego przekazu - trzydziestoletni wunderkind, ogarnięty poczuciem osobistej zemsty. Wszystkie te fakty układały się w tak logiczny, tak prawdziwy splot.

- Dlaczego znalazł się na liście? - zapytał prezydent przez zaciśnięte usta.

- Ponownie z powodu nieusprawiedliwionej nieobecności. Wyjechał w środku świątecznego tygodnia i wrócił dopiero ósmego stycznia. Nie było go w Waszyngtonie i nie przydzielono mu zadania, które wymagałoby wyjazdu. Kazałem specjaliście od czasu pracy połączyć się z szefem sekcji i otrzymaliśmy wyjaśnienie.

- Jakie? - naciskał Berquist.

- Udzielono mu urlopu z przyczyn osobistych. Mieszkająca w Chicago matka Sitmarina, ciężko zachorowała.

- Cholernie wygodna wymówka, prawda?

- Owszem, omal nie umarła. Potwierdził to Szpital Stanowy w Cook County.

- Ale nie umarła - wtrącił Brooks.

- Osobiście rozmawiałem z lekarzem dyżurnym, któremu uświadomiłem wagę prowadzonego przeze mnie dochodzenia. Przeczytał mi dane z karty chorobowej.

- Niech ci ją przyślą - rozkazał prezydent. - Mamy tu zbyt wiele osobistych wyjaśnień.

Jedno z nich musi być kłamstwem.

- Zgadzam się, ale które? - zapytał Bradford.

- To odnosi się nie tylko do tej piątki, lecz do całej dziewiętnastki. Ktoś ukrywa Dylemat przed nami, sądząc, że czyni przełożonemu przysługę. Cóż znaczy kilka dodatkowych dni na nartach, wycieczka na Karaiby lub pójście do łóżka... przepraszam.

- Och, na litość boską! Jeszcze raz się tym zajmij, przeanalizuj każde wyjaśnienie i znajdź to

falszywe. - Takie, w którym zawarta będzie sprzeczność - dodał ambasador. -

Spotkanie, które się nie odbyło, odwołaną konferencję, budzący wątpliwość podpis na karcie kredytowej... ciężko chorą kobietę z zamienionym nazwiskiem.

- To potrwa - powiedział podsekretarz.

- Udało się panu dokonać bardzo wiele, w nieco ponad dwanaście godzin - ciągnął

Brooks. - Ponownie udzielam panu pochwały.

- Udzielam ci też wszelkich upoważnień tego urzędu, otrzymasz wszystko, co będzie ci potrzebne. Użyj ich! Znajdź „śpiocha”! - Berquist pokręcił głową w rozdrażnieniu. - I on, i my, ścigamy szaleńca zwanego Parsifalem. Jeżeli Rosjanie dopadną go pierwsi, ten kraj przestanie się liczyć jako siła polityczna. Jeżeli jednak Parsifal wpadnie w panikę, nie będzie to miało już żadnego znaczenia. - Prezydent oparł dłonie na biurku. - Coś jeszcze? Nie mam czasu, czeka na mnie dwóch zaintrygowanych senatorów z Komitetu Stosunków Międzynarodowych. Chyba zwąchali coś w sprawie Matthiasa. - Berquist wstał i spojrzał na Bradforda. - Jeszcze raz mnie upewnij. Czy wszyscy ludzie na Poole's Island są pewni?

- Tak, proszę pana. Prześwietliliśmy wszystkich na wylot i przez jakiś czas nikt nie opuści wyspy.

- To będzie również miało konsekwencje - zauważył Brooks. Co to znaczy „przez jakiś czas”? To nienaturalna sytuacja.

- I nienaturalne okoliczności - wtrącił gniewnie generał Halyard. - Patrole są uzbrojone, a wyspa zamieniona w fortecę.

- Uzbrojone? - zapytał cicho prezydent z udręką w głosie. Oczywiście, że są uzbrojone. Co za szaleństwo!

- A co z Havelockiem? - zapytał polityk. Pojawiło się coś nowego?

- Nie - odparł zwierzchnik sił zbrojnych, po czym zszedł z podwyższenia i ruszył w stronę drzwi. - Panie podsekretarzu, niech pan do mnie później zadzwoni - rzucił w stronę Bradforda, nie udzielając dalszych wyjaśnień. - O trzeciej.

Niezbyt obfity śnieg zacinał ostro. Malutkie białe płatki, odbijały się od przedniej szyby by odskoczyć na bok, niczym tysiące miniaturowych asteroidów. Wynajęty samochód, którym jechał Havelock, kilka minut wcześniej minął drogowskaz z błyszczącym w świetle reflektorów napisem: „Mason Falls 3 mile.” Wymeldowując się z hotelu „King's Arms” Michael z ulgą zauważył, że za ladą dyżuruje już inny recepcjonista. Na lotnisko La Guardia pojechał taksówką. Kupił w pośpiechu mapę i odnalazł na niej mały punkt: Mason Falls w Pensylwanii i uznał, że najlepiej będzie polecieć do Pittsburga. Chwilowo nie rozglądał się w poszukiwaniu sowieckich agentów. Rosjanin, którego złapał w pułapkę, bez wątplenia złożył

raport o jego przylocie, a jeżeli nawet nie, to La Guardia nie była międzynarodowym lotniskiem. Tu nie pojawiali się dyplomaci z atlantyckich rejsów. W ostatniej chwili dostał

miejsce w samolocie US Air o dziewiętnastej pięćdziesiąt sześć i w Pittsburgu wylądował o dwudziestej pierwszej piętnaście. Na lotnisku wynajął samochód i podpisał formularz, upoważniający go do pozostawienia pojazdu w dowolnej stacji Hertza. O dziewiętej czterdzieści pięć jechał już na południe, przez pogrążoną w ciemnościach wiejską drogę numer 51. Mason Falls. Założone w 1858. Po prawej stronie, poprzez wirujące kłęby coraz bardziej gęstego śniegu, Michael zobaczył czerwony neon. Podjechał bliżej, zwolnił i podczas odczytywania napisu „Harry's Bar”, ogarnęło go uczucie absurdu. Albo jakiś mieszkaniec dorzecza Monangahela wykazywał niezwykle poczucie humoru, albo był tu ktoś o imieniu Harry, który nie miał pojęcia, jaki dystans dzieli go od Paryża lub Wenecji. A może i miał

pojęcie... Na pewno miał. Wewnątrz wisiały powiększone fotografie z czasów drugiej wojny światowej, przedstawiające sceny z Paryża. Kilka z nich ukazywało żołnierza, stojącego przed wejściem do paryskiego „Harry's Bar”, na lewym nabrzeżu Sekwany. Sam lokal urządzony był po prostaku - ciężkie wytarte drewniane stoły, które nigdy nie oglądały forniru, ciężkie szklanki i barowe stołki z wysokimi oparciami. Grająca szafa w kącie beczała muzyką country dla kilku znudzonych bywalców. Mężczyźni ubrani we flanelowe koszule w czerwoną kratę, grubo prążkowane, sztruksowe spodnie i wysokie buty, zniszczone w polu lub w stodole, jak ulał pasowali do wnętrza. Byli to farmerzy wraz ze swoimi pracownikami, tyle zdołał wywnioskować z zaparkowanych na zewnątrz półciężarówek, ale kąśliwy wiatr rozpraszał jego uwagę. Przyczyniał się też do tego fakt, że był w Mason Falls w Pensylwanii.

Havelock rozejrzał się w poszukiwaniu telefonu. Ktoś zainstalował go bezsensownie na ścianie, sześć stóp od szafy grającej. Nie to mu jednak przeszkadzało, lecz brak książki telefonicznej - potrzebował bowiem adresu. Na La Guardia brakło mu czasu, by znaleźć właściwą dla Mason Falls książkę telefoniczną, a z kolei w Pittsburgu, na lotnisku międzynarodowym, chciał opuścić salę przylotów możliwie jak najprędzej. Podeszedł do baru, stanął między dwoma pustymi stołkami i czekał, aż obsłuży go starzejący się Harry o ponurym obliczu.

- Taaaak, co ma być?

- Szkocką z lodem i książkę telefoniczną, jeżeli takową macie.

- Tu mało kto zamawia szkocką. Nie mam najlepszej. Właściciel przez chwilę przyglądał się Havelockowi.

- Prawdopodobnie najlepszej bym nie rozpoznał.

- Gardło należy do pana. - Harry prawą ręką sięgnął pod ladę, ale zamiast szklanki i lodu, w jego dłoni pojawiła się cienka książka telefoniczna. Położył ją przed Michaeliem.

Potem odszedł na lewo, w stronę rzędu butelek, stojących na podświetlonej półce. Havelock pośpiesznie przerzucił kartki, a jego wskazujący palec przesunął się w dół rzędu nazwisk zaczynających się na K. Jest! Kohoutek Janos, trasa pocztowa numer 3, skrzynka 12. Do diabła! Trasa

pocztowa numer trzy mogła być w dowolnym miejscu Mason Falls, które choć niezbyt zaludnione, zajmowało jednak rozległy obszar. Wszędzie akry uprawnej ziemi i wiejskie kręte drogi, przecinające krajobraz. Telefon na farmę oznaczał wszczęcie alarmu, o ile nie użyłby specjalnych słów, których przecież nie znał. Hasło musiało więc być stosowane. Wzmianka o Jacobie Handelmanie oznaczałaby sprawdzający telefon do Nowego Jorku. I aż do czasu, gdy ktoś odkryje zwłoki pośrednika, nikt nie podniesie słuchawki. To może stać się rano, a może dopiero za kilka dni.

- Proszę - powiedział Harry, stawiając whisky na ladzie. - Zna pan człowieka o nazwisku Kohoutek?
- zapytał Havelock po cichu. - Janos Kohoutek?

- Nazwisko jest mi znajome, ale człowiek nie. Właściciel zmrużył oczy i przez chwilę zastanawiał się. To jeden z tych cudzoziemców, którzy mają ziemię po zachodniej stronie.

- Wie pan, w którym miejscu po zachodniej stronie?

- Nie. Tam tego nie ma? - Harry wskazał na książkę telefoniczną.

- Nie. Tylko numer trasy pocztowej i skrzynki.

- Na miłość boską, w takim razie zadzwoń pan do niego! - Wolałbym nie. Tak jak pan powiedział, jest cudzoziemcem. Przez telefon mógłby mnie nie zrozumieć.

- Hej! - wrzasnął Harry, przekrzykując muzykę country. - Czy ktoś z was, osły, zna człowieka o nazwisku Kohoutek?

- To cudzoziemiec - odparła flanelowa koszula w czerwoną kratę.

- Ma ponad czterdzieści akrów na zachodzie - dodała siedząca dalej czapka myśliwska. - Tych pieprzonych uchodźców z rządowymi zapomogami stać na taki kawał ziemi. Nas nie.

- Wie pan, gdzie to jest? - zapytał Havelock.

- Albo w Chamberlain, albo w Youngfield. A może w Fourforks. Nie wiem. Nie ma tego w książce?

- Nie. Tylko trasa pocztowa numer trzy. I dwunasta skrzynka pocztowa.

- Droga numer trzy - powiedział inny bywalec z brodą i kaprawymi oczami. - To rejon Davey'a Hookera. Ten sukinsyn rozwozi tam pocztę i ciągnie z tego pieniądze. Robotę załatwił mu wujek, pieprzony sadownik.

- Wie pan gdzie jest ta droga?

- Jasne. Autostrada Fourforks. Prowadzi prosto na zachód od stacji kolejowej. Wpierw trzeba

pojechać jakąś milę Pięćdziesiątą Pierwszą.

- Bardzo dziękuję. - Michael podniósł szklankę do ust i wypił. Trunek nie był dobrej jakości, to nawet nie była szkocka. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął pieniądze i zostawił na kontuarze dwa dolary. Jeszcze raz dziękuję zwrócił się do właściciela.

- Należy się sześćdziesiąt centów - powiedział Harry.

- To za dawne czasy - odparł Havelock. - Za inne miejsce, w Paryżu.

- Hej, był pan tam?!

- Kilka razy.

- Trzeba było od razu mówić! Dostałby pan prawdziwą whisky! Powiem panu, że w czterdziestym piątym ja, razem z...

- Naprawdę przykro mi, ale nie mam czasu. Michael odwrócił się od baru i ruszył w stronę drzwi. Nie widział człowieka w przeciwległym kącie, który wstał od stołu i podszedł do telefonu.

Niecałą milę na zachód od starej stacji kolejowej, za rogatkami w Fourforks, zaczęła się nudna wiejska droga. Mimo padającego śniegu Havelock nie miał trudności z zauważeniem, sterczącej po prawej stronie, skrzynki pocztowej numer pięć. Gdyby jednak nie nagła przerwa w zaroślach, nie zauważyłby niewidocznej z drogi stojącej na końcu ścieżki, kolejnej skrzynki. Nosiła ona numer siedem i przeczyła teorii, że poczta znakuje parzystymi i nieparzystymi numerami przeciwległe strony drogi. Musiał jechać wolniej i rozglądać się bardziej uważnie. Na przestrzeni następnej pół mili pojawiły się trzy kolejne skrzynki: ostatnia z nich nosiła numer dziesięć. Dwieście jardów dalej, droga rozwidlała się. To było prawdopodobnie pierwsze z czterech rozgałęzień. Skręcił w prawo, numer jedenaście pojawił

się dopiero po półtorej mili. Na chwilę zamknął oczy z ulgą, bo przez moment miał wrażenie, że wybrał niewłaściwą trasę. Nacisnął pedał gazu. W ustach czuł suchość, z napiętą twarzą rozglądał się bacznie dookoła. Droga wydawała się nie mieć końca, a widoczność pogarszał

jeszcze wirujący przed szybami śnieg. Najgorsze było jednak męczące oczekiwanie. Wjechał

na rozległą, wyglądającą na nieskończenie wielką równinę, podzieloną na pola uprawne i pastwiska. Nigdzie ani śladu domów czy świąteł. Czyżby pojechał za daleko? Czy w monotonnie sypiącym śniegu nie zauważył skrzynki pocztowej numer dwanaście i minął ją?

Czy pojechał niewidoczną drogą z prawej lub lewej? Czy tam, za skarpą, jest metalowy zbiornik przysypany śniegiem? Niemożliwe! Wiatr wiał zbyt porywisty, a opady nie były tak obfite, żeby mógł się uleżeć. To było tam! Po prawej stronie stała wielka czarna skrzynka pocztowa w kształcie

wojskowego namiotu, z zamykanym otworem na tyle szerokim, żeby umożliwiał chowanie do środka małych paczek. Błyszcząca w świetle reflektorów liczbę dwanaście wypisano białą emalią przy pomocy szablonu. Havelock zwolnił i wyjrzał przez okno, z oddali nie widać było żadnych świateł, żadnego śladu życia. Tylko długą drogę, która zdawała się niknąć w gąszczu drzew i ciemnościach. Jechał dalej, wyężając wzrok w poszukiwaniu jakiegoś punktu orientacyjnego, który później łatwo będzie mógł odnaleźć.

Miał tylko nadzieję, że nie będzie go szukał zbyt długo. Kilkaset jardów za skrzynką, znalazł

wreszcie odpowiedni obiekt. Nie był co prawda idealny dla jego potrzeb, ale nadawał się. To była kępa zarośli na poboczu, oznaczająca prawdopodobnie granicę prywatnej własności.

Zjechał z drogi w płataninę krzaków i wysokich traw. Zgasił reflektory i otworzył walizkę leżącą na siedzeniu pasażera. Wyjął z niej wszystkie dokumenty i wsunął do tylnej, elastycznej kieszeni. Potem sięgnął po nieprzeniknioną dla promieni Roentgena torbę z ołowiowej folii, z rodzaju tych, jakich używa się do przechowywania naświetlonych filmów.

Otworzył ją i wyjął pistolet. Magazynek był pełny. Na zakończenie sięgnął po komandoski nóż, schowany w pochwie z cienkiej skóry. Ostatnio użył go na Col des Moulins. Podwinął połę płaszcza i z trudem wcisnął je do spodni, zapinając całość paskiem.

Miał nadzieję, że żadna z broni nie będzie potrzebna, o wiele lepiej było posługiwać się słowami i często w ten sposób osiągało się lepsze efekty. Michael wyszedł z samochodu, zamknął drzwi, zamaskował boki pojazdu gałęziami krzewów i ruszył drogą w stronę skrzynki pocztowej numer dwanaście, przy trasie pocztowej numer trzy w Mason Falls w Pensylwanii. Nie uszedł więcej niż trzydzieści stóp wąską drogą, która zdawała się ginąć w ścianie ciemności, kiedy nagle zatrzymał się. Czy sprawiły to lata spędzone na instynktownym badaniu obcego terenu, czy wiedza o nieznanych ścieżkach, które w nocy mogą skrywać śmiertelne pułapki, czy wiejący z pól wiatr, który zmusił go do opuszczenia głowy - nie wiedział. Był jednak zadowolony, że dostrzegł mały zielonkawy punkcik po prawej stronie, około dwóch stóp ponad ośnieżoną ziemią. Wyglądał jak zawieszony w powietrzu, ale Havelock wiedział, że tak nie jest. Od zielonej kropeczki odchodził przewód, prowadzący do metalowej rurki, wbitej w ziemię co najmniej na dwie stopy. Była to fotokomórka, jej siostrę zainstalowano po drugiej stronie drogi, i oba urządzenia łączył

przebiegający w ciemności, niewidzialny promień. Przerwanie go przez czas dłuższy niż sekunda, lub nacisk na drogę większy niż pięćdziesiąt funtów, włączało gdzieś alarm. Małe zwierzęta nie były w stanie go uruchomić, ale ludziom i samochodom nie udało się tego uniknąć. Michael ostrożnie zszedł na prawo, w mokre, zimne trawy, i wyminął urządzenie.

Kiedy dotarł do skraju splątanych krzaków, zauważył drgającą białą linię na wysokości ramion. Zrozumiał, że pojawiła się nowa przeszkoda. Było to ogrodzenie z drutu kolczastego, oddzielającego sąsiednie pola, oblepione drobinami śniegu. Nie zauważył go po wejściu na boczną drogę, oznaczoną skrzynką pocztową numer dwanaście. Teraz obejrzał się za siebie i zrozumiał: ogrodzenie zaczynało się dopiero wtedy, gdy zarośla były wystarczająco wysokie, by je ukryć. A to oznaczało jeszcze coś innego: czujnik ciężaru. Silny nacisk na gęsto rozwieszony druty, uruchamiał alarm. Janos Kohoutek bardzo dbał o swoje bezpieczeństwo.

Zważywszy na okolicę, w której mieszkał, zaopatrzył się we wszystko, co najlepsze.

Havelock mógł więc iść tylko ścieżką między zieloną fotokomórką, a ogrodzeniem z drutu, sięgającym mu ramion. Na pewno przy drodze pojawią się kolejne fotokomórki, kilkakrotne zabezpieczenia należały do podstaw technologii bezpieczeństwa.

Zastanawiał się, jak długo prowadzi ten szlak. Nie widział dosłownie nic, oprócz listowia, ciemności i wirującego śniegu. Brnął jednak przed siebie, odpychając rękami splątane poszycie i gałęzie, bez przerwy wpatrując się w ziemię, w poszukiwaniu punkcików dziwnego, zielonego światła. Minął trawy, potem cztery pułapki, rozmieszczone z grubsza co dwieście pięćdziesiąt do trzystu jardów, i znalazł się pod ścianą wysokiego lasu. Natura poszła na rękę ostrożnemu osadnikowi... Michael był przemoczony, twarz mu przemarzła, a brwi zlodowaciały. Jednak między grubymi pniami drzew mógł poruszać się z większą swobodą. W pewnej chwili teren zaczął się obniżać. Spojrzał na drogę, tam nachylenie było bardziej strome. Na ziemi nie było już widać plam śniegu. W ścianie drzew pojawiła się wyrwa. Wąska, stroma ścieżka, po której się poruszał, w dalszym ciągu porośnięta była krzewami. Wysoka trawa i rozrośnięte krzaki chwiały się na wietrze, połyskując bielą. Wtem, poniżej rozpostarł się przed nim widok, który nappełnił go hipnotycznym niepokojem. Było to wrażenie przypominające jego pierwszą reakcję na widok Jacoba Handelman. Biegł na dół, poprzez gęstwiny, dwukrotnie padając w zimne, kłujące zarośla i nie mógł oderwać wzroku od oszałamiającego obrazu w dole. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na farmę, zagubioną gdzieś na głębokiej wsi, którą od przodu osłaniały stromo opadające pola, a z tyłu nie kończące się lasy. Na farmę składały się solidne, proste budynki z ciężkiego drewna, przystosowane do surowych zim. W licznych oknach błyszczały światła. Havelock dostrzegł

główny budynek, kilka szop, silos, pomieszczenie na narzędzia rolnicze i ustawione pod wiatami traktory, pługi i maszyny żniwne. Całość bez wątpienia wyglądała na gospodarstwo rolne, ale Michael miał świadomość, że nie jest to tylko farma. Po pierwsze: brama, do której prowadziła opadająca droga. Zbudowano ją z żelaznych prętów, i jeżeli chodzi o formę, bez większych ambicji. Siatka była wprawdzie zwyczajną siatką, ale wyższą ponad potrzeby zwyczajnego wejścia na farmę, tak jakby budowniczy popełnił w projekcie mały błąd i zdecydował się go już nie poprawiać. Po drugie: ogrodzenie, rozciągające się po obu stronach odstraszaającej bramy, dziwne, jakby pochylone i zbyt wysokie dla powstrzymania zwierząt, pasących się na okolicznych, stromych pastwiskach. Czy była to tylko kwestia wysokości?

Według jego oceny, nie miało ono więcej niż siedem stóp. Z góry na pewno wydawało się o wiele niższe, ale coś tu było nie w porządku... Nagle zorientował się w czym rzecz, dlaczego przez głowę przemknęło mu słowo „pochylone”. Górna część ogrodzenia z drutu kolczastego była wygięta do wewnątrz. Nie chodziło tu więc o powstrzymanie zwierząt przed wejściem do środka, lecz o uniemożliwienie ucieczki ludziom! Nagle w jego stronę wystrzelił

oślepiający promień reflektora, zainstalowanego na wierzchołku silosa. Były lata osiemdziesiąte, ale Havelock czuł, że znalazł się w scenerii sięgającej czterdzieści lat wstecz.

To był obóz koncentracyjny!

- Zastanawialiśmy się, jak dużo czasu ci to zajmie powiedział głos z tyłu. Michael okręcił się i

sięgnął po broń. Za późno. Mocne ramiona szarpnęły go, wyginając do tyłu, a w tym czasie inna para dłoni przycisnęła mu do twarzy miękkie, mokre płótno, wydzielające gryzący zapach. Czuł że nozdrza zaczynają mu płonąć. Snop światła reflektora celował

dokładnie w niego. Potem zapadła ciemność. Niczego już nie widział. Niczego nie czuł.

21

Na początku poczuł ciepło, ale nie było to jakieś szczególnie przyjemne uczucie.

Otworzył oczy. Nie widział zbyt dobrze, dopiero po chwili jego spojrzenie zogniskowało się.

Równocześnie poczuł mdłości i pieczenie w twarz. W nozdrzach wciąż jeszcze pozostał

gryzący zapach. A więc uspili go czystym eterem... Kątem oka dostrzegł płomienie. W

wielkim ceglany kominku, za czarnym ekranem, paliły się kłody drewna. Leżał na podłodze przed wykładanym łupkiem paleniskiem. Ktoś zdjął mu płaszcz i jego przemoczone ubranie nagrzewało się nieprzyjemnie. Komandoski nóż w skórzanej pochwie, drażniący skórę na lędźwiach, też nie sprawiał mu przyjemności. Ale za to niemiłe wrażenie żywił raczej uczucie wdzięczności. Michael powoli, cal po calu, zaczął się przewracać na bok. Przez na wpół

otwarte oczy przyglądał się teraz temu, co mógł dostrzec w świetle płomieni i kilku lamp stołowych. Wnętrze pomieszczenia współgrało z topornym wyglądem budynków: solidne, funkcjonalne meble, dywan z grubo plecionych, zszywanych kawałków, położony na podłodze z szerokich desek, a w oknach zasłony w czerwonej kratę, niczym z katalogu Sears Roebucka. Słowem klasyczny wiejski salon o standardowym wyposażeniu. Urządzony po spartańsku i w wybitnie męskim stylu. Jeżeli już czegoś w nim brakowało, to kobiecej ręki.

Nagle Havelock usłyszał w korytarzu przytłumione głosy. Powoli przesunął rękę z zegarkiem w pole widzenia. Była pierwsza w nocy! Stracił przytomność na czterdzieści pięć minut.

- Hej, obudził się! - zawołał jeden z mężczyzn.

- Sprowadź pana Kohoutka - powiedział drugi, idąc przez pokój w kierunku Havelocka. Obszedł sofę i spod skórzanej kurtki wyciągnął broń. Była to hiszpańska llama, która odbyła podróż od zamglonej przystani w Civitavecchia, przez Wzgórze Palatyńskie, Col des Moulinets, by trafić do Mason Falls w Pensylwanii.

- To dobra spluwa, panie Nieznajomy. Nie widziałem takiej od lat. Wielkie dzięki.

Michael już miał coś powiedzieć, ale przeszkodziły mu pośpieszne, ciężkie kroki mężczyzny, który wyłonił się z korytarza, trzymając w dłoni szklankę z parującym płynem.

- Bardzo swobodnie wszedł pan do mojego małego interesiku zagrział Janos Kohoutek. - Uważaj,

bo będziesz chodził po śniegu na bosaka. Ni shodz sniegu bez butow.

Mężczyzna mówił karpackim dialektem z rejonu na południe od Otrokowic, a słowa odnoszące się do gołych stóp, były częścią czesko-morawskiego przysłowia: „Poznasz co to zimno, chodząc po śniegu na bosaka”. Przysłowia kierowanego do przybłędów, których nie było stać na ubranie i jedzenie. Kohoutek wysunął się przed strażnika, był teraz widoczny w całej okazałości. Rozpięta koszula podkreślała zwalistą budowę: barczyste ramiona, krępy kark i wielką klatkę piersiową. Dojrzały wiek nie nadszarpnął jego kondycji fizycznej. Był

raczej niedźwiedziowatej postury, a jedyną oznaką mijających lat była twarz, a raczej gęba, z głęboko osadzonymi oczami i pomarszczoną skórą, zniszczoną przez ponad sześćdziesiąt lat twardego życia. Gorący, czarnobrazowy płyn w szklance był herbatą. Popijał ją mężczyzna, Czech z urodzenia, Morawianin z przekonania.

- A więc to jest nasz intruz - ryknął, patrząc na Havelocka z góry. - Człowiek, który ma pistolet, ale nie ma dokumentów. Nawet prawa jazdy i karty kredytowej. Nie ma też portfela do ich przechowywania. I atakuje moją farmę jak komandos! Kto tak się podkrada w nocy? Jak się nazywa?

- Havliczek - powiedział Michael niskim, poważnym głosem, wymawiając nazwisko z akcentem zbliżonym do morawskiego. Michail Havliczek.

- Cesky?

- Ano.

- Obchodni?! - wrzasnął Kohoutek, dopytując się Havelocka, o co mu chodzi.

- Mezena - odparł Michael. - Chodzi o kobietę.

- Co, zena? - dopytywało się zwaliste chłopisko.

- Ta, którą przywieziono tu dziś rano - odparł, wciąż po czesku, Havelock.

- Dziś rano przywieziono dwie! O którą ci chodzi? - O blondynkę... takie przynajmniej miała włosy, kiedy ją widzieliśmy po raz ostatni.

- Chlipny - powiedział Kohoutek, lubieżnie łypiąc okiem i wykrzywiając twarz w uśmiechu. Nie był jednak rozbawiony.

- Nie interesuje mnie jej ciało, tylko informacje, które posiada. - Michael zaczął się podnosić. - Mogę wstać?

- Wzadnim pripad ! - gospodarz ryknął, skoczył do przodu i prawym butem trafił

Havelocka w gardło, zmuszając go do leżenia na podłodze.

- Proklat ! - krzyknął Havelock, łapiąc się za szyję. Nadszedł moment, by zareagować gniewem, użyć słów, które coś znaczyły. - Zapłaciłem! - wrzasnął po czesku. Co ty sobie u diabła myślisz!

- Za co zapłaciłeś? Za informacje na mój temat, które zbierałeś w barze przy autostradzie? Za podkradanie się do mojego domu w środku nocy? Za wchodzenie z bronią na moją farmę? To raczej ja ci zaraz zapłacę!

- Zrobiłem to, co mi kazano?

- Kto ci kazał?

- Jacob Handelman.

- Handelman? - Kohoutek wykrzywił się zdezorientowany. Zapłaciłeś Handelmanowi?

On cię tu przysłał?

- Obiecał mi, że się z tobą skontaktuje powiedział pośpiesznie Michael, posługując się informacjami z Paryża, którym pośrednik z Nowego Jorku zaprzeczył dla zysku. - Zabronił

mi do ciebie dzwonić, bez względu na okoliczności, kazał zostawić samochód przy autostradzie za skrzynką pocztową i dalej iść do twojej farmy pieszo.

- Przy autostradzie? Pytałeś o mnie w barze!

- Nie wiedziałem gdzie są rogatki. Skąd miałem wiedzieć? A co, masz tam swojego człowieka? Czy to on do ciebie dzwonił?

- To nie ma znaczenia. Zadzwoił Włoch, który czasem przywozi mi towary swoją ciężarówką.

- Kohoutek przerwał. W jego oczach znów pojawiła się groźba. - Ale ty nie szedłeś moją drogą.

Zakradałeś się jak złodziej, jak uzbrojony złodziej!

- Nie jestem idiotą, priteli. Wiem, co tu masz i spodziewałem się pułapek. Byłem w partyzantce. Zauważyłem fotokomórki i stałem się ostrożniejszy. Nie lubię psów, a jeszcze bardziej ludzi, którzy do mnie strzelają. Jak myślisz dlaczego tak dużo czasu zajęło mi dostanie się tutaj?

- Zapłaciłeś Handelmanowi?

- Bardzo hojnie. Mogę wstać?

- Wstawaj! I siadaj tam! - rozkazał, wskazując na krótką ławkę na lewo od kominka.

Był jeszcze bardziej oszołomiony, niż przed chwilą. - Dałeś mu pieniądze?

- Dużą sumę. Powiedział, że drogą dojdę do miejsca, z którego w dole zobaczę farmę.

Ktoś przy bramie miał na mnie czekać i pomachać latarką. Nikogo takiego jednak nie dostrzegłem. A że była paskudna pogoda, więc zszedłem na dół. Kohoutek ze szklanką parującej herbaty w dłoni, przeszedł przez pokój i stanął przy stole pod przeciwległą ścianą.

Podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wykręcać numer.

- Jeżeli dzwonisz do Handelmana...

- Nie dzwonię do Handelmana - przerwał mu Zwalisty. Nigdy tego nie robię. Dzwonię do człowieka, który z kolei zadzwoni do kogoś innego, a dopiero ten do Niemca.

- Znaczy do Rabina?

- Tak, do Rabina - powiedział Kohoutek bez dodatkowych komentarzy.

- Chciałem tylko powiedzieć, że obojętnie kto to będzie robić, w jego mieszkaniu i tak nikt nie podniesie słuchawki.

- Dlaczego?

- Bo wyjechał do Bostonu. Wykłada tam na czymś, co nazywa się Brandese lub Brandeis.

- Żydowska szkoła - odparł mężczyzna i odezwał się do słuchawki: - Mówi Janos.

Zadzwoń do Nowego Jorku. Podasz nazwisko Havliczek, zrozumiałeś? Zażądaj wyjaśnień.

Skończył rozmowę, wziął do ręki herbatę i ruszył z powrotem do kominka. Odłóż to! rozkazał strażnikowi w skórzanej kurtce, który pocierał łamę o rękaw - i wyjdź na korytarz! -

Kohoutek podszedł do kominka i usiadł naprzeciw Michaela w topornym bujanym fotelu. - A teraz poczekamy, Michaile Havliczku. To długo nie potrwa, najwyżej kilka minut. Dziesięć...

może piętnaście.

- Jeżeli nie będzie go w domu, to nie moja wina - odparł Havelock, wzruszając ramionami. - Gdybym nie zawarł z Handelmanem umowy, jakim cudem bym się tu znalazł?

Tylko on mógł mi podać twoje nazwisko i miejsce pobytu.

- Zobaczymy.

- Gdzie jest ta kobieta?

- Na miejscu. Mamy tu kilka budynków odpowiedział Zwalisty, bujając się w fotelu i siorbiąc herbatę. - Oczywiście jest zdenerwowana. Nie tego się spodziewała, ale zrozumie pewne konieczności. Oni wszyscy po jakimś czasie je rozumieją. A my stanowimy ich jedyną nadzieję.

- Jak bardzo jest zdenerwowana?

- Interesuje cię to? - Kohoutek zmrużył oczy.

- Tylko zawodowo. Muszę ją stąd wydostać i nie chcę kłopotów.

- Zobaczymy.

- Nic jej nie jest? - zapytał Michael, panując nad lękiem.

- Tak jak wszyscy ludzie z wykształceniem, przez moment straciła rozsądek. -

Kohoutek wykrzywił twarz w uśmiechu i zaniósł się ohydny rechotem, nie przestając przy tym popijać herbaty. Wy tłumaczyliśmy jej regulamin, a ona oznajmiła, że jest nie do zaakceptowania. Możesz sobie wyobrazić? Nie do zaakceptowania! - ryknął jak byk i dodał

normalnym już głosem: Będzie pod baczną obserwacją i zanim wyślemy ją do pracy na zewnątrz - wiele zrozumie.

- Nie musisz już się tym martwić. Zabieram ją ze sobą.

- To ci się tylko tak wydaje.

- Przecież zapłaciłem...

- Ile? - Kohoutek przestał się bujać i nachylił się do przodu. To pytanie miał ochotę zadać już kilka minut temu, ale mieszkańcy Karpat uznawali tylko pokrętne drogi do celu. Z

kolei Michael wiedział że balansuje po linie, bo w Nowym Jorku nikt nie odbierze telefonu.

Musiał więc rozpocząć negocjacje.

- Nie wolałbyś usłyszeć tego od Handelmana? O ile oczywiście jest w domu.

- Może wolałbym usłyszeć to od ciebie, priteli.

- Skąd wiesz, że można mi zaufać?

- A skąd mam wiedzieć, czy ufać Rabinowi? Skąd ty wiesz, że możesz jemu zaufać?

- Dlaczego miałbym tego nie robić? Przecież cię znalazłem, jestem tutaj. Wprawdzie nie w taki sposób, w jaki bym chciał, ale jestem.

- Musisz reprezentować wpływowe kręgi - powiedział Kohoutek, nagle zmieniając temat, tak jak mają zwyczaj robić górale podczas dobijania targu.
- Na tyle wpływowe, że nie noszę dokumentów. Ale ty o tym doskonale wiesz.
- W takich sytuacjach wpływom zawsze towarzyszą pieniądze. Zwalisty znów zaczął bujać się w fotelu.
- Nie będę zaprzeczał.
- Ile zapłaciłeś Handelmanowi?
- Dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich.
- Dwadzieścia...? - Zniszczona twarz Kohoutka pobladła, a jego głęboko osadzone oczy zmieniły się w dwie szczeliny.
- To znaczna suma, priteli.
- On uważał ją za rozsądną. - Havelock skrzyżował nogi, ogień rozgrzewał jego przemoczone spodnie. - Byliśmy na nią przygotowani.
- A czy jesteś przygotowany do wyjaśnienia, dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną?
- Przy tak skomplikowanym łańcuchu wzajemnych kontaktów, nie widzę w tym niczego dziwnego. Wybierał się do Bostonu, i jeżeli kogoś akurat nie było przy telefonie...
- Ktoś zawsze jest przy telefonie, to kaleka. A ty wlałeś w pułapkę, która mogła cię kosztować życie.
- Chodzi ci o fotokomórki? - Michael ponownie skrzyżował nogi i spojrzał na Kohoutka.
- Nie, myślę o psach. Atakują tylko na rozkaz, ale intruz o tym nie wie. Otaczają go kręgiem i szczekają jak oszalałe. Co byś zrobił w takiej sytuacji?
- Oczywiście, użyłbym broni.
- Sam zostałbyś za to natychmiast zastrzelony.
- I Rabinowi dostałoby się dwadzieścia tysięcy, o których ty nie miałbyś pojęcia. Ja z kolei nie mógłbym ci o nich powiedzieć, bo bym nie żył - dorzucił Havelock. - Myślisz, że Handelman zrobiłby ci taki numer?
- Mogły również zaistnieć inne okoliczności, które warto by wziąć pod rozwagę.

Miałem tu pewne kłopoty, nic takiego, czego nie byłbym w stanie kontrolować, ale w okolicy

sytuacja ekonomiczna nie jest akurat najlepsza. A jeżeli twoja farma dobrze prosperuje, u sąsiadów rodzi się zazdrość. Handelmanowi mogła przyjść ochota, żeby mnie wyłączyć i zaczął szukać powodu.

- Nie rozumiem.

- Miałbym tu trupa, który za życia mógł jeszcze zdążyć zadzwonić do kogoś i powiedzieć mu, gdzie się wybiera.

- Ale ty przecież broniłbyś tylko swojej własności. Zastrzeliłeś uzbrojonego intruza i nikt nie może obarczać cię za to winą!

- Nikt - zgodził się Kohoutek, nie przerywając bujania w fotelu. - Ale to mogłoby wystarczyć. Facet sprawia kłopoty, nie możemy sobie na to pozwolić. Trzeba go wyłączyć.

- Wyłączyć z czego?

- Wydałeś dwadzieścia tysięcy dolarów. Jesteś przygotowany na większe wydatki? -

Zwalisty siorbnął łyk herbaty.

- To zależy, ale mogę dać się przekonać. Kobieta jest nam potrzebna, pracowała z naszymi wrogami.

- Kto to jest „my”?

- Tego ci nie powiem, zresztą i tak nie miałoby to dla ciebie znaczenia... No więc wyłączyć cię z czego?

- Dla tych ludzi to tylko pierwszy przystanek... dla ludzi takich jak Corescu. -

Kohoutek wzruszył ramionami.

- To nie jest jej prawdziwe nazwisko.

- Jestem tego pewien, ale to mnie nie obchodzi. Tak, jak inni zostanie najpierw spacyfikowana i popracuje tu miesiąc albo dwa. Potem wyślemy ją gdzie indziej. Na południe, południowy zachód, czy do środkowych Stanów - mężczyzna uśmiechnął się. Przez cały ten czas nowe dokumenty właśnie będą nadchodziły. Jeszcze jeden miesiąc, jeszcze jeden kongresman do opłacenia, trzeba dotrzeć do jeszcze jednego senatora... Po jakimś czasie, tacy ludzie zmieniają się w potulne stado baranów.

- Nawet one mogą się w końcu zbuntować.

- I co przez to zyskają? Powrotny bilet do miejsca, z którego uciekli? Przed pluton egzekucyjny, do gułagu lub garroty w ciemnym zaułku? Zrozum, ci ludzie są przerażeni. To naprawdę fantastyczny interes!

- Czy te dokumenty kiedykolwiek nadchodzą?

- O, tak. Nawet często. Zwłaszcza dla tych najbardziej utalentowanych i wydajnych.

Splacają je potem przez całe lata.

- Uważam, że to nieco ryzykowne. Ktoś może odmówić, ktoś wam zagrozi, że wszystko wyciągnie na światło dzienne.

- Wtedy dostanie od nas inne papiery, priteli. Wyrok śmierci.

- Teraz moja kolej, żeby zapytać. Kto to jest „my”?

- A moja, żeby odmówić odpowiedzi.

- Ale Rabin chce cię wyłączyć z tego fantastycznego interesu.

- Możliwe - przenikliwy dzwonek telefonu przerwał rozmowę. Kohoutek podniósł się z bujanego fotela i szybko przemierzył pokój. - Zaraz się wszystkiego dowiemy. Tak?

powiedział do słuchawki. Havelock mimowolnie wstrzymał oddech, istniało przecież tyle możliwości... Student-atleta, który odpowiadał za bezpieczeństwo swoich lokatorów, mógł

nagle wyrzucić na korytarz. Albo jakiś doktorant przyszedł właśnie na spotkanie. Tak wiele możliwości... Cały czas próbuj - powiedział Zwalisty. Michael znów zaczął oddychać, równomiernie i spokojnie.

- U Handelmana nikt nie podnosi. - Kohoutek wrócił na fotel, herbatę pozostawił na stole.

- Jest w Bostonie.

- No więc do jakiej sumy dałbyś się przekonać?

- Nie mam przy sobie dużych pieniędzy - odparł Havelock, szacując w myślach zasoby gotówki w walizce. Z tego, co wywiózł z Paryża, pozostało prawie sześć tysięcy.

- Dla Rabina znalazłeś dwadzieścia.

- Tak, ale to było wcześniej uzgodnione. Mogę ci dać zaliczkę. Pięć tysięcy.

- Zaliczkę w poczet jakiej sumy?

- Będę szczery - powiedział Michael, nachylając się na ławce. - Ta kobieta jest dla nas warta trzydzieści pięć tysięcy dolarów i taką sumę przeznaczono. Wydałem już dwadzieścia.

- W takim razie, wraz z twoimi pięcioma, pozostało jeszcze dziesięć - zauważył

Kohoutek.

- Pieniądze są w Nowym Jorku. Możesz je mieć jutro, ale jeszcze dziś w nocy muszę zobaczyć się z tą kobietą i zabrać ją stąd.

- A potem odleciś samolotem z moimi dziesięcioma tysiącami dolarów?

- Dlaczego miałbym tak zrobić? Ta pozycja mieści się w budżecie? Finanse nic mnie nie obchodzą. Mam nawet niejasne przeczucia, że uda ci się coś uszczknąć Handelmanowi.

Złodziejowi, przyłapanemu na okradaniu innego złodzieja. Masz go w ręku i teraz ty możesz go wyłączyć.

- Chyba jesteś góralem Cechu! - Kohoutek zaniósł się swoim dudniącym śmiechem. -

Ale jakie dajesz mi gwarancje?

- Wyślij z nami swojego najlepszego człowieka. Ja nie mam przy sobie broni, on niech trzyma swoją przy mojej głowie.

- Przez lotnisko? Za kogo mnie uważasz? Ja nie jestem kozłem!

- Pojedziemy samochodem.

- Dlaczego akurat dziś w nocy?

- Oczekują jej wczesnym rankiem. Mam ją przekazać jednemu człowiekowi na rogu Sześćdziesiątej Drugiej i York Avenue, przy wjeździe na East River Drive. On ma resztę pieniędzy. Zabierze ją na lotnisko Kennedy'ego, gdzie będzie już czekał samolot Aeroflotu. A twój człowiek dopilnuje, żeby wypłacono wszystkie pieniądze, zanim ona wsiądzie do samochodu. Czego więcej jeszcze chcesz?

- Rabin jest złodziejem. Czy Cech też? - Kohoutek bujał się w fotelu, mrużąc oczy.

- Gdzie tu widzisz podstęp? Nie możesz zaufać swojemu najlepszemu człowiekowi?

- Najlepszy to jestem ja. Przypuśćmy, że wybiorę się sam.

- Dlaczego nie?

- W porządku! Pojedziemy razem, kobieta ze mną na tylnym siedzeniu. Jeden pistolet przy jej głowie, drugi przy twojej. Razem dwa pistolety, priteli! Gdzie jest te pięć tysięcy dolarów?

- W moim samochodzie, przy drodze. Wyślij kogoś ze mną, ale ze środka wyciągnę je sam. On będzie musiał zostać na zewnątrz. Jeśli nie zgodzisz się na ten warunek, to nie mamy o czym gadać.

- Ech, wy komuniści! Jesteście tacy podejrzliwi!

- Nauczyliśmy się tego w górach.

- Cechu!

- Gdzie jest ta kobieta?

- W budynku z tyłu. Nie chce nic jeść, rzuciła tacą w naszego Kubańczyka. Dostanie więc nauczkę. Może nie zawsze jest to przyjemne, ale w sumie przynosi jednak zysk. Na początek musi zostać złamana, możliwe, że Kubańczyk już zaczął. Temu ognystemu macho jajka aż dzwonią o podłogę. On bardzo gustuje w tego rodzaju kobietach... Michael uśmiechnął się. To był najtrudniejszy uśmiech w jego życiu.

- Czy w pomieszczeniach jest podsłuch?

- Po co? Gdzie oni mogą się wybierać? Co knuć samotnie? A poza tym, przy instalowaniu takich urządzeń i zatrudnieniu kogoś do ich obsługi, mogłyby powstać plotki.

Wystarczająco wiele kłopotów mam już z alarmem przy drodze: konserwuje go pewien człowiek z Cleveland.

- Chcę ją zobaczyć. A potem wynieść się stąd, jak najszybciej.

- Gdy tylko dostanę moje pięć tysięcy dolarów, nie będę cię trzymać ani chwili dłużej

- Kohoutek przestał się bujać odwrócił głowę w lewo i zawołał po angielsku: - Hej, ty!

Zaprowadź naszego gościa do jego samochodu. Niech idzie przodem, a ty trzymaj mu lufę przy skroni! Szesnaście minut potem Havelock odliczył Zwalistemu pieniądze na rękę.

- W porządku, priteli. Idź do kobiety - powiedział Kohoutek.

Michael szedł przez otoczony drutami obóz. Po minięciu silosu, skręcił w lewo. Za nim podążała obstawa z hiszpańską llamą.

- Tam, na prawo - powiedział strażnik. Stodoła stała na skraju lasu. Budynek był

jednak czymś więcej niż tylko stodołą. W kilku oknach na piętrze paliły się światła.

Rozjaśnione prostokąty przecinały proste czarne linie. Kraty. Ktokolwiek był za tymi oknami, nie mógł wydostać się na zewnątrz. To były koszary. Ein Konzentrationslager. Michael czuł

na lędźwiach przyjemny ucisk skórzanej pochwy, komandoski nóż wciąż był na swoim miejscu. Wiedział, że w każdej chwili może obezwładnić strażnika i odebrać mu llamę, wystarczyło

poślizgnięcie na śniegu lub oblodzonej trawie, by mężczyzna w skórzanej kurtce stał się trupem. Na to jednak będzie czas później, kiedy Jenna zrozumie. Kiedy, i jeśli, potrafi ją przekonać. Jeżeli mu się to nie uda, zginą oboje. On zostanie zabity, ona pozostanie w piekle, którego nie przetrzyma. Wysłuchaj mnie! Wysłuchaj, bo tylko my dwoje pozostaliśmy przy zdrowych zmysłach! Co z nami się stało? Co oni nam zrobili?

- Zapukaj do drzwi - powiedział mężczyzna z tyłu.

- Tak? O co chodzi? - odezwał się głos z latynoskim akcentem.

- Otwieraj! To ja, Ryan. Rozkaz od pana K. Pośpiesz się! Drzwi uchyliły się na dwa lub trzy cale. W szczelinie stał krępy mężczyzna w podkoszulku i roboczych spodniach.

Wpierw obrzucił spojrzeniem Michaela, potem dostrzegł strażnika i dopiero otworzył drzwi na oścież.

- Nikt do mnie nie dzwonił - powiedział z przekonaniem.

- Sądziłeś, że możesz być zajęty - mężczyzna stojący za Havelockiem roześmiał się dwuznacznie.

- Czym? Dwoma świniami i jedną wariatką?

- Właśnie z nią chcemy się zobaczyć. To znaczy on chce się zobaczyć.

- Lepiej, żeby jego pene był z żelaza. Nie bujam! Kiedy zaglądałem do niej jakieś dziesięć minut temu, spała. Musiała chyba nie zmrużyć oka od kilku dni.

- On ją podniesie na nogi - powiedział strażnik, popychając Michaela przed sobą.

Weszli po schodach i znaleźli się w wąskim korytarzu z rzędem metalowych drzwi po obu stronach. Każde z nich miało pośrodku judasza. Więc znajdujemy się w naszym ruchomym więzieniu? Gdzie to było? W Pradze? Trieście? W Barcelonie?

- Jest w tym pomieszczeniu - powiedział Latynos, zatrzymując się przy trzecich drzwiach. - Chcesz do niej zajrzeć?

- Otwórz tylko drzwi - powiedział Havelock. - I poczekaj na dole.

- Ojal !

- To rozkaz pana K. - wtrącił się mężczyzna w skórzanej kurtce. - Rób, co ci każe.

Kubańczyk odczepił od pasa klucz, przekręcił go w zamku i stanął obok.

- Wynoś się stąd - warknął do niego Michael. Dwaj mężczyźni odeszli korytarzem.

Havelock otworzył drzwi. W małym pokoju panowała ciemność, tylko przez okno sączyła się skąpa nocna poświata, a od szyb i krat odbijały się białe płatki śniegu. Kobieta leżała na łóżku, a raczej na pryczy, twarzą do dołu. Miała potargane ubranie, blond włosy spływały jej kaskadami na ramiona. Jedno ramię zwisało bezwładnie, dłoń dotykała podłogi. O

wyczerpaniu kobiety świadczyła jej pozycja i głęboki oddech. Na ten widok Michael poczuł

ból w piersi. Zdał sobie bowiem sprawę, ile musiała wycierpieć przez niego. Jej zaufanie zniknęło, instynkty zostały odrzucone, a miłość odrażona. Niczym nie różnił się od tych zwierząt, które jej to zrobiły. Ogarnęło go uczucie wstydu. I miłości. Obok łóżka stała lampa.

Wystarczyło ją tylko zapalić... Ale Havelock poczuł lodowaty strach, coś ścisnęło go za gardło. Nigdy jeszcze nie stawiał czoła takiemu niebezpieczeństwu; nigdy nie przeżywał

chwili, która tak wiele dla niego znaczyła. Gdyby stracił tę kobietę, a łączące ich więzy przepadły na zawsze, wszystko straciłoby swój sens. Wszystko, oprócz śmierci kłamców. Z

chęcią oddałby kilka lat życia, za to, żeby nie musiał włączać lampy, tylko po cichu zawołać jej imię, tak, jak to robił setki razy. Poczuć, jak jej dłoń zaciska się w jego dłoni, stanąć twarzą w twarz. Ale czekanie też było torturą. Jakich słów użyć? Czas między tamtym okropnym uczynkiem, a tą chwilą był niczym ohydny koszmar. Gdy zapali lampę, ten stan może się zakończyć lub trwać dalej. Po cichu podszedł do łóżka. Z ciemności wystrzeliło ramię. Jasna skóra zaślniła w przyćmionym świetle i dłoń wbiła mu się w podbrzusze. Poczuł

cios zadany ostrym przedmiotem, nie był to jednak nóż. Michael odskoczył i unieruchomił

rękę. Nie wykręcił jej jednak, nie był w stanie ponownie zadać jej bólu. Nie potrafił jej skrzywdzić. „Zabije cię, jeżeli będzie mogła” - przypomniały mu się słowa Broussac. Jenna stoczyła się z łóżka, ugięła lewą nogę i kopnęła go w nerki. Ostre paznokcie wbiły się w jego skórę na karku. Nie był w stanie jej uderzyć, to było niemożliwe. Chwyciła go za włosy, szarpnęła głową w dół i z całej siły trzasnęła w nos prawym kolaniem. Ciemne plamy zawirowały mu przed oczami.

- Cune - wydała z siebie gardłowy, pełen wściekłości krzyk. Jednak dobrze ją wyszkolił! Pamiętała jego rady: „Wykorzystaj wroga. Zabij go tylko wtedy, kiedy musisz.

Ale wpierw wykorzystaj!” Najprawdopodobniej miała zamiar uciec, liczyła na swoje potargane ubranie, na podciągniętą spódnicę, która odsłaniała uda. Początkowo przypisał to wyczerpaniu, ale był w błędzie - ten widok przygotowała dla prase, który zaglądał do celi przez judasza.

- Stój! - wyszeptał ochryple. Trzymał ją mocno, ale nie robił krzywdy, nie wykręcał

ręk. - T si m ! - Uwolnił swoją lewą rękę i przeciągnął jej wijące się ciało przez mały pokój, do lampy. Znalazł przełącznik i zapalił światło. Wpatrywała się w niego. Jej wielkie, wytrzeszczone brązowe oczy wyrażały dziwną mieszaninę strachu i wstrętu, jaką już raz widział w oknie małego samolotu na Col des Moulins. Z jej gardła wydobył się nieludzki krzyk. Krzyk z samego środka

duszy; narastający, przeciągły, straszny. Krzyk dziecka w sali tortur; krzyk kobiety, która znów miała przeżywać nie kończący się koszmar i ból. Kopnęła dziko, szarpnęła się i wyrwała z jego uchwytu, by rzucić się na łóżko pod ścianą. Jak oszalała wymachiwała rękoma, zadając ciosy na oślep. Jej szeroko otwarte oczy były oczami walczącego resztką sił, zapędzonego w śmiertelną pułapkę zwierzęcia. W dłoni ścisnęła ostatnią nadzieję na wolność, poplamiony krwią widelec.

- Wysłuchaj mnie! - zasyczał ponownie ostrym tonem. Tę krzywdę wyrządzono nam obojgu! Przyszedłem po to, żeby ci o tym powiedzieć. To samo chciałem zrobić na Col des Moulinets!

- Tę krzywdę wyrządzono mnie! Chciałeś mnie zabić... Ile razy? Jeżeli mam umrzeć, to ty...

- Broussac uwierzyła najpierw tobie, ale potem uwierzyła mnie! Postaraj się to zrozumieć. Ona wiedziała, że nie kłamię! Havelock rzucił się do przodu i przycisnął ją do ściany, tak, że nie mogła się poruszyć.

- Ty nie wiesz, co to prawda! Kłamco, ty cholerny kłamco! Jenna splunęła mu w twarz, wymierzyła kopniaka i nie przestając wić się, wbiła paznokcie uwięzionej dłoni w grzbiet jego ręki.

- Ci dranie chcieli mnie wyłączyć z gry i zrobili to przy twojej pomocy! Nie wiem dlaczego, ale zginęło kilku mężczyzn... i kobieta, która miała ciebie udawać! Oni chcą zabić nas oboje!

- Kłamca!

- Przestań, ja nie jestem jednym z nich!

- Jesteś, jesteś! Sprzedałeś się im jak pierwsza lepsza kurwa!

- Nieprawda! - Havelock wykręcił jej rękę z zakrwawionym widelcem. Drgnęła z bólu, kiedy gwałtownie szarpnął ją za przegub. Potem powoli zwolnił ucisk. W jej oczach, wciąż przestraszonych, wciąż pełnych nienawiści, pojawiło się zmieszanie. Wtedy przytknął

widelec do swojego gardła i wyszeptał:

- Jeżeli przebijesz mi tchawicę, koniec ze mną... Ale nie z tobą. Udawaj, że z nimi współpracujesz, uważaj tylko na strażnika, to buhaj. Im wcześniej się z nimi dogadasz, tym szybciej znajdą ci pracę na zewnątrz. Pamiętaj, że potrzebujesz dokumentów, one są dla ciebie wszystkim. Kiedy już pozwolą ci stąd wyjść, postaraj się dotrzeć do telefonu i zadzwonić do Broussac w Paryżu. Powinno ci się udać. Ona ci pomoże, bo zna prawdę. -

Michael przerwał i odsunął swoją dłoń. - A teraz rób co chcesz. Możesz mnie zabić, albo mi uwierzyć. W spojrzeniu Jenny widział krzyk, który odbijał się w ciemnościach jego myśli, tyle razy powracających do tysiąca pełnych horroru wspomnień. Jej usta drżały, ale powoli następował przełom. W oczach czaił się jeszcze strach i oszołomienie, ale nienawiść powoli zniknęła. Wreszcie pojawiły się łzy, cudowny balsam, który oznaczał początek kuracji. Jenna opuściła rękę, a on ujął jej dłoń w swoją. Z rozluźnionych palców wypadł widelec, a zwiotczającym ciałem zaczęło wstrząsać głębokie, straszne łkanie. Obejmował ją. Tylko tyle mógł zrobić i tylko tego chciał. Łkanie ustawało.

Minuty mijały w ciszy. Słyszeli tylko swoje oddechy, czuli tylko przytulone ciała.

- Wydostaniemy się stąd, ale nie będzie to łatwe. Spotkałaś Kohoutka? - wyszeptał Havelock.

- Tak, to straszny człowiek.

- On z nami pojedzie. Liczy, że weźmie za ciebie resztę pieniędzy.

- A żadnej reszty nie będzie - powiedziała Jenna, odchylając głowę i zachłannie przyglądając się Michaelowi. - Pozwól mi popatrzeć na ciebie, tylko popatrzeć.

- Nie ma na to czasu...

- Cii... - Położyła palce na jego ustach. - Musimy na to znaleźć czas, bo nic innego nam nie pozostało.

- O tym samym pomyślałem, kiedy tu szedłem, i kiedy ci się przyglądałem. -

Uśmiechnął się, spoglądając na jej włosy. Jego dłoń delikatnie pieściła ukochaną twarz. -

Dobrze to zagrałaś, pr kr sn .

- Zraniłam cię.

- Nie obraż się, ale to tylko mała ranka i kilka głębszych zadrapań.

- A jednak krwawisz. Twój kark...

- I jeszcze plecy, i pchnięcie widelcem w brzuch - dodał Michael. - Będę ci wdzięczny, jeżeli zaopiekujesz się mną później. Teraz zabieram cię Aeroflotem.

- Czy mam walczyć?

- Nie, bądź tylko wrogo nastawiona. Poddałaś się i zdajesz sobie sprawę, że nie wygrasz. Walka może tylko pogorszyć twoją sytuację.

- A Kohoutek?

- Powiedział, że zostaniesz z nim na tylnym siedzeniu. Będzie nas trzymał na muszce.

- W takim razie zacznę dużo palić. W końcu zdrętwieje mu ręka.

- Właśnie o coś takiego chodzi. To długa droga i wiele może się wydarzyć: jakaś awaria samochodu, albo brak oświetlenia. Co prawda, nie da się ukryć, że zbliża się już do siedemdziesiątki, ale jest z niego jeszcze kawał zwalistego byka. Może będzie chciał ci wstrzyknąć narkotyk. Postaram się go

powstrzymać. - Nic złego mi nie zrobi, zależy mu przecież na pieniądzach. Nie przejmuj się mną, wystarczy mi, że jesteś obok mnie i wiem na co cię stać.

- No to idziemy.

- Michaił! - Jenna ścisnęła go za rękę. - Co się stało? Ze mną?

- Z tobą? Powiedzieli mi o tobie takie straszne rzeczy, takie okropne rzeczy! Nie mogłam im uwierzyć, ale jednak musiałam! Wszystko się zgadzało!

- Tak wszystko się zgadzało, aż do momentu, w którym zobaczyłem twoją śmierć.

- Och, Boże...

- Od tej chwili przez cały czas byłem w biegu, aż do tamtej nocy w Rzymie. Wtedy zacząłem biec, ale w inną stronę; za tobą i za kłamcami, którzy nam to zrobili.

- Oszukali nas. Jak im się to udało?

- Wszystko co wiem, opowiem ci później. Teraz nie ma czasu. Chciałbym też wysłuchać ciebie. Znasz przecież różnych ludzi... Wstali i na moment przytulili się do siebie, przekazując sobie ciepło i nadzieję. Michael wyjął z kieszeni chusteczkę i przyłożył ją do karku. Jenna delikatnie odsunęła jego rękę i własną dłonią przytrzymała chustkę na głębokich zadrapaniach. Potem dotknęła nosa, w który trafiła go kolanem i przygładziła włosy na skroniach.

- Pamiętaj, kochanie, żebyś traktował mnie surowo - wyszeptała. - Popychaj mnie i mocno trzymaj za ramię. Mężczyzna, skopany i podrapany przez kobietę, bez względu na to, czy jest ona jego wrogiem, będzie wściekły. Zwłaszcza w obecności innych facetów, jego urażona duma cierpi bardziej, niż ciało.

- Dziękuję, panie Zygmuncie Freud. Chodźmy już. Na widok zakrwawionego karku Havelocka, strażnik w czarnej skórzanej kurtce uśmiechnął się, a Kubańczyk, jakby znajdując potwierdzenie swojej opinii, pokiwał tylko głową. Zgodnie z ustaleniami, Michael trzymał

Jennę za ramię w policyjnym uchwycie i popychał ją do przodu z zaciśniętymi ustami i oczyma wypełnionymi zimną nienawiścią.

- Wracamy do Kohoutka i wynosimy się stąd! - warknął. Nie mam więcej ochoty na żadne dyskusje, rozumiano?

- Czy ten duży, silny chłopiec został skrzywdzony przez tę małą blond dziewczynkę? - zapytał strażnik i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Zamknij się, przeklęty idioto!

- Właściwie, to ona wcale nie jest taka mała. Janos Kohoutek ubrany był w ciężką przeciwdeszczową kurtkę i futrzaną czapkę. On też uśmiechnął się na widok zakrwawionej chusteczki, przyciśniętej do karku Havelocka.
- Może to jest czarownica z Karpat - powiedział po angielsku, szczerząc w uśmiechu żółte zęby. Stare baby powiadają, że mają one zwinność żbików i przebiegłość demonów.
- Tu raczej pasuje inne określenie, priteli. To zwykła dziwka. - Michael popchnął Jennę w stronę drzwi. Jedźmy już, przez ten śnieg i tak droga się wydłuży.
- Nie jest tak źle, więcej tu wiatru niż śniegu - powiedział Zwalisty i ruszył w stronę Jenny, wyjmując z kieszeni postronek. Autostrada będzie odśnieżona.
- Co to jest? - zapytał Havelock, wskazując na sznur.
- Zwiąż jej ręce - rozkazał strażnikowi Kohoutek. - Może ty masz do tego kotka cierpliwość, bo ja nie.
- Przecież palę - zaprotestowała Jenna. - Pozwól mi palić. Jestem bardzo zdenerwowana. Co wam mogę zrobić?
- A może wolałabyś zastrzyk? Nie będziesz wtedy myśleć o papierosach.
- Żadnych narkotyków. Moi ludzie nie akceptują takich metod wtrącił zdecydowanym tonem Michael.
- Lotniska, a zwłaszcza nasze stanowiska odpraw, są pod obserwacją.
- W takim razie zwiążemy ją. No już, bierz ją za ręce. - Strażnik w skórzanej kurtce podszedł do Jenny, która posłusznie wysunęła je przed siebie.
- Czy była w ubikacji? - zapytał Kohoutek ochryple, nie kierując jednak pytania do nikogo konkretnego. - Mów kobieto, czy byłaś w toalecie?
- Nie muszę - odparła Jenna.
- I nie będziesz potrzebować przez tyle godzin? Nie mam zamiaru zatrzymywać się później po drodze, jasne? Żadnych postojów na poboczu, nawet z lufą przy głowie. Rozumiś?
- Powiedziałam już, że nie muszę.
- Wiąż ją i ruszajmy! - Havelock zrobił kilka niecierpliwych kroków w stronę drzwi, minął Zwalistego i obrzucił Jennę spojrzeniem. Wzrok miała szklany i obojętny, była wspaniała. Mam nadzieję, że ten zbir zabierze nas ciężarówką.
- Nie pomyliłeś się Havliczek. On już kilka razy siedział za brutalny napad. -

Kohoutek uśmiechnął się szeroko. - No zbieraj się! Jedziemy - krzyknął donośnie i owinął

mocno sznur wokół dłoni Jenny.

- Axel!

- On ma moją broń - powiedział Michael, wskazując na mężczyznę w skórzanej kurtce. - Chcę ją dostać z powrotem. - Dostaniesz. Na rogu Sześćdziesiątej Drugiej i York Avenue. Jestem, panie Kohoutek - do pokoju wszedł drugi strażnik.

- Ty jutro masz dyżur, co?

- Tak, proszę pana.

- Nawiąż łączność radiową z ciężarówkami na północnej granicy i każ jednej z nich podjechać po mnie do Monongahela. Zadzwoń z lotniska i powiem ci, o której wylądje mój samolot.

- Tak jest.

- Idziemy - powiedział Zwalisty i ruszył do drzwi. Michael chwycił Jennę za ramię, wiatr na zewnątrz był jeszcze silniejszy, a śnieg jeszcze bardziej wirujący i dokuczliwy. Cała czwórka podbiegła w stronę stojącego już przy podjeździe samochodu. Była to kryta ciężarówka. Wewnątrz niej naprzeciw siebie umocowano dwie drewniane ławki, mogące pomieścić pięć lub sześć osób. Nad siedzeniami zwisały pęki sznurów. Na widok pozbawionej okien budy, Jenna wyraźnie się wzdrygnęła. Havelock wiedział dlaczego. W jej rodzinnym kraju, przez lata widywało się nazbyt wiele takich pojazdów. Szeptem opowiadano zbyt wiele historii o konwojach, pełnych mężczyzn, kobiet i dzieci, których już nigdy więcej nie oglądano. Byli wprawdzie w Stanach Zjednoczonych, w Mason Falls w Pensylwanii, ale kierowcy i właściciele tych pojazdów niczym nie różnili się od swoich braci w Pradze, Warszawie, ostatnio w Moskwie, a nieco wcześniej w Berlinie.

- Wsiadać, wsiadać! - krzyczał Kohoutek, wymachując wielkim pistoletem kaliber 45, podczas gdy drugi strażnik przytrzymywał tylne drzwi.

- Nie jestem twoim więźniem! - wrzasnął Havelock. - Przecież doszliśmy do porozumienia!

- W tym porozumieniu, priteli, jest mowa o tym, że do czasu aż znajdziemy się w Nowym Jorku, jesteś zarówno moim gościem, jak i zakładnikiem. Kiedy obie strony dostarczą towar, z radością schowam broń i zaproszę cię na obiad. - Zwalisty zaśmiał się donośnie. Jenna i Michael weszli do środka, i usiedli obok siebie, ale nie spodobało się to Kohoutkowi.

- Ona zostanie tu przy mnie - powiedział. - Ty przesiądź się na drugą stronę. Szybko!

- Jesteś maniacko podejrzliwy - powiedział Havelock i zajął miejsce w kącie po przeciwległej stronie. Strażnik zamknął drzwi na zamek i rygiel. Przez przednią szybę wpadało nieco światła. Za kilka sekund kierowca włączy reflektory, a odbity blask częściowo oświetli wnętrze ciężarówki. Michael podwinął w ciemnościach płaszcz i prawą ręką sięgnął

do tyłu, powoli przesuwając dłoń w stronę umocowanego na plecach noża. Jeżeli teraz nie uda mu się go wyjąć, to później za kierownicą własnego samochodu, czeka go o wiele trudniejsze zadanie.

- Co jest? - krzyknął Zwalisty, podnosząc ukrytą w mroku broń i celując w głowę Havelocka. - Co tam robisz?

- Ta pieprzona kocica rozorała mi plecy i koszula przylepiła mi się do grzbietu -

odpowiedział spokojnie Michael. A potem wrzasnął. - Chcesz zobaczyć, dotknąć?!

- Ćarod jka z Karpat. Teraz jest chyba pełnia księżycy, choć nie możemy tego sprawdzić. - Kohoutek uśmiechnął się i zerknął na Jennę. - Mam nadzieję, że Łubianka jest, jak zawsze, dobrze strzeżona. Ale wasi strażnicy będą musieli mieć się na baczności.

- Boże, mój Boże! - na dźwięk słowa „Łubianka”, Jenna wzdrygnęła się i wstrzymała oddech. Kohoutek spojrzał na nią ponownie, a Havelock po raz kolejny zrozumiał, że Jenna stara się odwrócić jego uwagę. Szybko wyciągnął nóż z pochwy i płasko ułożył go w prawej dłoni. Zajął mu to nie więcej niż dwanaście sekund. Nagle drzwi szoferki otworzyły się, do środka wsiadł kierowca i zapalił reflektory. Po czym obejrzał się za siebie, a kiedy Zwalisty skinął głową, przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik ciężarówki miał dużą moc; minutę potem byli już za bramą i wspinali się po stromym wzgórzu. Opony o głębokiej rzeźbie bieżnika, rozgniatyły pokrytą śniegiem miękką ziemię, buksując i podskakując na wybojach. Kiedy dojechali do ściany drzew, droga wyrównała się. Do rogatek autostrady Fourforks pozostało niecałe pół mili. Prowadzona przez strażnika ciężarówka właśnie nabierała prędkości, kiedy mocno wdepnięty pedał hamulca gwałtownie zatrzymał pojazd. Na tablicy rozdzielczej zaczęło migotać czerwone światelko. Kierowca wcisnął dwa przełączniki. Rozległy się trzaski radiowych zakłóceń, przez które przebił się podniesiony głos:

- Panie Kohoutek! Panie Kohoutek!

- Co się dzieje? - zapytał strażnik, biorąc do ręki mikrofon i wciskając guzik. - Jesteś na częstotliwości zapasowej.

- Przy telefonie łącznik z Nowego Jorku... Handelman nie żyje! Podawali przez radio!

Został zastrzelony we własnym mieszkaniu i policja szuka mężczyzny... Havelock rzucił się do przodu, obracając w dłoni uchwyt noża, tak aby ostrze skierowane było w dół. Lewą ręką chwycił lufę czterdziestki piątki i uderzył nią o ławkę. Nożem zaś przygwoździł dłoń Kohoutka do siedzenia. Zwalisty zawył z bólu. Strażnik w szoferce odwrócił się w tył. Wtedy Jenna rzuciła się na niego i uderzyła w kark związanymi rękami. Wyrwała mu mikrofon i przerwała łączność. Havelock zamachowym ciosem od dołu, rąbnął Kohoutka w głowę. Ten odbił się od ściany i runął na podłogę ciężarówki. Komandoski nóż wciąż tkwił w jego ręce.

- Michael! - krzyknęła Jenna, widząc, co się święci. Strażnik otrząsnął się z zamroczenia i z kieszeni skórzanej kurtki wyciągał właśnie lłamę. Havelock rzucił się w jego stronę i przycisnął ciężką lufę

do skroni mężczyzny. Wolną ręką sięgnął mu przez ramię i wytrącił broń na podłogę.

- Panie Kohoutek? Słyszysz mnie pan? - przebijał się przez zakłócenia głosu. - Łącznik czeka na decyzję! Pyta, co ma robić!

- Powiedz mu, że zrozumiałeś - rozkazał Havelock, oddychając ciężko. - Niech nic nie robi. Będziemy w kontakcie.

- Tak jest, zrozumiałem - wymamrotał strażnik.

- A teraz podaj mi to powoli - powiedział Michael, wskazując na lłamę. - Weź ją w palce, tylko w dwa palce ciągnął. - W końcu pistolet należy do mnie, prawda?

- Właśnie chciałem go zwrócić - powiedział przestraszony strażnik. Usta mu drżały.

- A ile lat możesz zwrócić ludziom, których wiozłeś w tej ciężarówce?

- Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam! Po prostu zarabiam na życie. Robię, co mi każą.

- Wszyscy tak mówicie - Havelock wziął lłamę i przystawił wylot lufy do potylicy. -

A teraz zjeżdżaj stąd! rozkazał.

22

Szczupły mężczyzna w średnim wieku, o prostych ciemnych włosach, otworzył drzwi budki telefonicznej na rogu Sto Szesnastej Ulicy i Riverside Drive. Mokry miejski śnieg przywierał do szyby, zalepiając czerwone światła obracające się na dachach stojących opodal samochodów policyjnych. Wrzucił monetę, wykręcił zero, a potem pięć cyfr. Poczekał na drugi sygnał i nakręcił kolejny numer. Po chwili, w mieszkalnej części Białego Domu, zadzwonił telefon.

- Tak?

- Pan prezydent?

- Emory? Jak poszło?

- Marnie. On nie żyje. Został zastrzelony.

- Powiedz, co się stało. - Ciszę w Waszyngtonie zakłócał jedynie oddech Berquista.

- To był Havelock, ale jego nazwiska nie przekazano poprawnie. Możemy zaprzeczyć istnieniu takiej osoby w Departamencie Stanu.

- Havelock?... Mój Boże!

- Nie znam wszystkich szczegółów, ale to co wiem, wystarczy. Opady śniegu opóźniły przylot, przez godzinę krążyliśmy nad La Guardia. Kiedy dotarłem na miejsce, zastałem już tłum gapiów, samochody policyjne, kilku dziennikarzy i karetkę pogotowia.

- Dziennikarzy?

- Tak, panie prezydencie. Handelman był tu powszechnie znany. Nie tylko dlatego, że był Żydem, który przeżył Bergen Belsen, ale głównie ze względu na jego pozycję na uniwersytecie. Szanowano go, a nawet otaczano czcią.

- Och, Chryste... Czego się dowiedziałeś? I w jaki sposób? Mam nadzieję, że nie podałeś swojego nazwiska?

- Nie. Wykorzystałem swoje stanowisko w Departamencie i skontaktowałem się z miejscowym komendantem policji. Nawet chętnie zgodził się na współpracę. Handelman miał

wyznaczone spotkanie z doktorantką, która dwukrotnie wracała do mieszkania, nim postanowiła zadzwonić do gospodarza domu. Razem weszli na górę, zobaczyli, że drzwi nie były zamknięte na klucz, i po wejściu do środka, znaleźli go. Gospodarz R. Charles natychmiast zadzwonił po policję, a kiedy ta się zjawiała przyznał, że wpuścił do środka mężczyznę posługującego się legitymacją Departamentu Stanu. Przypomniawszy sobie, że nazywał się Havelock, imienia nie pamiętał, upierał się jednak, że dokumenty były w porządku. W mieszkaniu Handelmana wciąż jeszcze jest ekipa dochodzeniowa, szukają odcisków palców, pobierają próbki ubrań i krwi.

- Czy te szczegóły dostały się do wiadomości publicznej?

- W tym mieście nie może być inaczej. Dwadzieścia minut temu wszystko poszło w eter. Nie mógłbym temu przeszkodzić, nawet gdybym chciał. Jednak Departament nie musi się tłumaczyć. Wszystkiemu możemy zaprzeczyć.

- W odpowiedniej chwili Departament Stanu będzie w pełnym zakresie współpracować z właściwymi władzami. Teraz jednak chcę, żeby opracowano raport omawiający działalność Havelocka, od momentu jego odejścia z administracji. Opracowanie to ma być rozprawiane w ściśle określonych kręgach, a zawierać będzie informacje o zaniepokojeniu rządu jego stanem psychicznym, najwyraźniej morderczymi skłonnościami i...

brakiem lojalności. Jednak ze względu na interesy bezpieczeństwa narodowego, raport nie będzie opublikowany - zrozumiałeś, Emory?

- Nie jestem pewien panie prezydencie.

- Fakty zostaną podane do wiadomości, kiedy Havelock przestanie stanowić zagrożenie dla interesów tego kraju. - Panie prezydencie?...

- Jeden człowiek nic nie znaczy - powiedział cicho prezydent. - Coventry, panie podsekretarzu. Enigma... Parsifal.

- Akceptuję ten tok rozumowania, ale nie wnioski. Skąd mamy pewność, że go odnajdziemy?

- To on nas odnajdzie. Odnajdzie ciebie. O ile nasza wiedza o Havelocku jest ścisła, to nie zabiłby Jacoba Handelmana bez nadzwyczajnych powodów. Nie uśmierciłby go, gdyby wcześniej nie dowiedział się, gdzie Handelman wysłał Karas. A kiedy już ją odnajdzie dowie się o tobie.

- Tak oczywiście, panie prezydencie - obłoczek pary na chwilę przestał wydobywać się z ust Bradforda.

- Wracaj do Waszyngtonu najszybciej jak możesz. Musimy się przygotować... Ty musisz się przygotować. Z Poole's Island wyślę do ciebie dwóch ludzi. Przylecą na National.

Czekaj na nich w lotniskowym komisariacie.

- Tak, proszę pana.

- A teraz posłuchaj uważnie, Emory. Udzielam ci bezpośrednich, klarownych instrukcji. Rozkazem prezydenta przydzielam ci całodobową ochronę, która będzie odpowiadać za twoje życie. Poluje na ciebie zabójca, który sprzedał wrogowi tajemnice państwowe. Takich słów użyję ja. Ty powiesz tak, jak to ujmują Operacje Konsularne: Havelock jest „nie-do-uratowania”. Każda dodatkowa godzina jego życia, stanowi niebezpieczeństwo dla naszych ludzi w terenie.

- Rozumiem.

- Emory?

- Tak?

- Zanim to wszystko się rozpoczęło, właściwie nie znałem cię od prywatnej strony - powiedział Berquist. Jak wygląda twoja sytuacja domowa?

- Domowa?

- Tam też będzie cię szukał. Czy są u ciebie w domu dzieci?

- Dzieci? Nie, nie ma. Starszy syn jest w college'u, a młodszy w internacie.

- Ktoś mi mówił, że również masz córki.

- Dwie. Są w Wisconsin, ze swoją matką.

- Rozumiem. Nie wiedziałem. Czy masz teraz inną żonę?

- Miałem. Dwie. Obie nie żyją.

- A więc w twoim domu nie ma kobiet?

- Bywają tam często, ale nie teraz. W ciągu ostatnich czterech miesięcy, tylko sporadycznie.

- Rozumiem.

- Mieszkam samotnie. Taki układ jest najlepszy, panie prezydencie.

- Też tak sędzę.

Za pomocą lin zwiniętych na burcie ciężarówki, przywiązali strażnika do kierownicy, a Kohoutka do ławki.

- Znajdź jakąś szmatę i obwiąż mu rękę - powiedział Michael. - Chcę, żeby przeżył i odpowiedział na kilka pytań. W schowku na rękawiczki Jenna znalazła chustę farmera. Z

olbrzymiej dłoni Zwalistego wyciągnęła nóż i zręcznymi ruchami opatrzyła ranę, zakładając opaskę uciskową na przegubie i opatrunek na cięciu.

- To wystarczy na jakieś trzy, może cztery godziny powiedziała. - Po tym czasie za nic nie mogę ręczyć. Jeżeli ocknie się i zerwie opaskę może wykrwawić się na śmierć... Jednak moim zdaniem nie ma sensu modlić się za jego duszę.

- Za około godzinę rozwidni się i ktoś ich tu znajdzie w tej ciężarówce. Fourforks jest drogą okręgową. Posiedź tu przez chwilę. - Havelock uruchomił silnik i wkładając stopę pod nogę strażnika, wcisnął sprzęgło i wrzucił bieg. Następnie poruszając ramionami mężczyzny w prawo i lewo, wyprowadził ciężarówkę na drogę i ustawił w poprzek. - Dobra, zabieramy się stąd.

- Nie możecie zostawić mnie tutaj! - zaskomlał strażnik. Jezu!

- Byłeś w ubikacji?

- Co?

- Mam nadzieję, że tak. Dla twojego dobra.

- Michaił?

- Tak?

- A radiostacja? Może jej użyć, a wtedy ktoś nadjedzie i uwolni go. Każda minuta jest dla nas cenna. Havelock podniósł z siedzenia czterdziestkę piątkę i grubą, tępą rękojeścią kilkakrotnie uderzył w przełączniki i wskaźniki. Po chwili z urządzenia została tylko garść rozbitego szkła i plastiku. Na koniec wyrwał mikrofon z gniazda i porozrywał przewody.

- Zostawimy zapalone światła, żeby nikt nie wpadł na ciężarówkę - dodał, wychodząc z szoferki i przechylając do przodu oparcie, tak, by Jenna mogła swobodnie przejść. - Chodź, musimy jeszcze coś zrobić. Autostrada Fourforks pokryta była warstwą śniegu nie grubszą niż cal, pomijając sporadyczne zasy, utworzone przez kępy traw na poboczu. Michael podał

Jennie czterdziestkę piątkę i przełożył llamę do prawej ręki.

- Tamten zbyt hałasuje - powiedział. - Odgłosy wystrzałów mogłyby dolecieć z wiatrem do farmy. Zostań tu na chwilę. Pobiegł na tył ciężarówki i dwukrotnie wystrzelił, dziurawiąc obie opony. Po chwili zrobił to samo z przednimi. W miarę jak powietrze schodziło z opon samochód pochylał się do przodu i do tyłu, aż wreszcie na dobre osiadł na drodze. Żeby przywrócić ruch na autostradzie, trzeba go było ściągnąć na bok. Sam nie nadawał się już do dalszej jazdy.

- Daj mi czterdziestkę piątkę - powiedział do Jenny, chowając llamę do kieszeni i wyciągając równocześnie koszulę ze spodni.

- Co masz zamiar zrobić?

- Wytrzeć go. Nie na wiele to się przyda, nasze odciski palców są wszędzie wewnątrz ciężarówki, ale tam mogą dokładnie nie sprawdzać. Broń zbadają z pewnością.

- Więc?

- Zaryzykuję twierdzenie, że nasz kierowca, w dobrze pojętym własnym interesie, jak szalony będzie wypierał się pistoletu i oświadczy, że jest on własnością Kohoutka, jego pracodawcy, a twojego gospodarza.

- Zrobią badania balistyczne - stwierdziła kiwając głową Jenna. - Porównają ekspertyzy z rejestrem zabójstw.

- Nie tylko. Policja rozbierze farmę na kawałki, a kiedy już się z tym upora, z pewnością pokopie na polach. Tam mogą spoczywać ofiary zabójstw, których nie ma w rejestrach. Havelock otworzył drzwi ciężarówki i trzymając pistolet przez brzeg koszuli, wrzucił go ponad przednim siedzeniem do środka.

- Hej, co robisz?! Na miłość boską! - krzyknął kierowca, gwałtownie mocując się ze sznurem. - Wypuście mnie stąd! Nic wam nie zrobiłem! Jak nic, zapuszczają mnie na dziesięć lat!

- Policja o wiele łagodniej traktuje tych, którzy zeznają przeciwko współuczestnikom przestępstwa. Pomyśl o tym. - Havelock zamknął drzwi i pośpiesznie podszedł do Jenny. -

Mój samochód stoi około ćwierć mili za drogą do farmy Kohoutka. Dobrze się czujesz?

- Tak, kochanie. Czuję się dobrze... Bez względu na to, gdzie teraz jesteśmy, jestem w domu. - Jej jasne, poruszone przez wiatr włosy i twarz, oblepiły drobiny śniegu ale oczy błyszczały żywo.

- Idź środkiem drogi, wiatr zawieje nasze ślady. Wziął ją za rękę i ruszyli przed siebie.

Michael prowadził, a Jenna przytulała się, obejmowała go, i od czasu do czasu kładła mu głowę na ramieniu. Mówili niewiele. Byli zbyt zmęczeni, zbyt przestraszeni, żeby mówić rozsądnie przynajmniej na razie. Przechodzili już przez to wcześniej. Wiedzieli, że kiedy zniknie zagrożenie i jakiś czas pobędą ze sobą, spokój wróci. Mając w pamięci słowa Kohoutka, Havelock kierował się na północ, do Pensylwania Turnpike, a potem na wschód w stronę Harrisburga. Stary Morawianin miał rację: prawie na całej długości wiatr dosłownie wymiół autostradę, a niska temperatura sprawiła, że śnieg był zbity w grudę. Mimo słabej widoczności, jechali szybko.

- Czy to główna droga? - zapytała Jenna.

- Tak, to autostrada stanowa.

- A czy mądrze robimy, że nią jedziemy? Jeżeli odnajdą Kohoutka przed świtem, mogą kontrolować roгатki.

- Przypuszczam, że Kohoutkowi nie będzie zależeć na tym, żeby złapała nas policja.

Wiemy, co kryje się na jego farmie. Oczywiście będzie kręcił. Opowie bajeczkę o jakimś intruzie, poskarży się, że to on był ofiarą, zakładnikiem. Strażnik raczej nie puści pary z ust, chyba że nie będzie miał wyboru, albo jeżeli znajdzie go w kartotece. Wtedy pójdzie na ugodę.

Nam nic nie grozi.

- Ale tylko ze strony policji, kochanie powiedziała Jenna, delikatnie dotykając dłonią jego przedramienia. - A jeżeli to nie będzie policja? Wiem, że chciałbyś, żeby tak było i dlatego sam siebie przekonujesz. A jeśli znajdzie ich ktoś inny? Jakiś farmer lub kierowca ciężarówki z mlekiem? Kohoutek zapłaci mnóstwo pieniędzy, żeby bezpiecznie dostać się do swojego domu. Michael spojrzał na jej twarz, oświetloną blaskiem z tablicy rozdzielczej. Pod zmęczonymi oczami rysowały się obwódki, we wzroku wciąż czaił się strach. A jednak, mimo wyczerpania i przerażenia rozumowała jaśniej niż on. To prawda, że uciekała przed pościgiem o wiele częściej od niego. I to wcale nie tak dawno. Przede wszystkim jednak nie wpadła w panikę. Wiedziała jak cenna jest samokontrola, nawet w sytuacji, kiedy ból i strach stają się nie do wytrzymania. Nachylił się i musnął jej twarz wargami.

- Jesteś wspaniała - powiedział.

- Boję się - odparła.

- I w dodatku masz rację. Pamiętasz, jest taka dziecięca piosenka: „jak się bardzo tego chce, to życzenia spełnią się”. I wcale nieprawda, że wierzą w to tylko dzieci. A że Kohoutka znajdzie policja albo jakiś obywatel zamelduje na komisariacie o swoim znalezisku, istnieją szanse jak trzy do siedmiu. Na najbliższej krzyżówce zjedziemy z autostrady i skierujemy się na południe.

- Gdzie? Dokąd pojedziemy?

- Najpierw tam, gdzie znajdziemy odpoczynek i trochę odosobnienia. I gdzie przez chwilę nie będziemy musieli uciekać.

Siedziała na krześle, ustawionym przy motelowym oknie. Wschodzące słońce oświetlało odległe góry Allegheny, a żółte promienie światła podkreślały złoty kolor włosów, które opadały na jej ramiona. Spoglądała na Michaela i co jakiś czas, zamykając oczy, odwracała głowę, jakby jego słowa zbyt raniły ją w dziennym świetle. Skończył

opowiadać, ale jego udręka nie zakończyła się. Przyznał, że był jej katem. Zabił swoją miłość i niczego już nie czuł.

- Co oni nam zrobili? - wyszeptała Jenna, wstając z krzesła i wyglądając przez okno.

Havelock przyglądał się jej z drugiej strony pokoju. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Dryfował znów w strumieniu nieokreślonego czasu, błądził w obsesyjnym, koszmarnym śnie, wśród kłębiących się myśli, z którego nigdy się nie przebudził. Pojawiały się w nim obrazy i sytuacje, tylko po to wyparte z życia, by wrócić i dręczyć go ponownie, podczas każdej chwili wytchnienia. „Co panu pozostanie, jeżeli zniknie pamięć, panie Smith?” Oczywiście nic, ale jakże często marzył o dniu bez powracających scen i wspomnień. O zamianie bólu w nicość...

Z oczu Jenny popłynęły łzy i zmyły nienawiść, Michael przeszedł przez koszmarny sen i wrócił do życia. Jednak rzeczywistość była wciąż krucha, a jej fragmenty czekały na poskładanie.

- Musimy dowiedzieć się, dlaczego to wszystko się stało powiedział Michael. -

Broussac powiedziała mi co ci się przydarzyło, ale pozostały luki, których nie potrafiłem zapełnić.

- Nie powiedziałam jej wszystkiego - odparła Jenna, wpatrując się w leżący za oknem śnieg. - Bałam się, że mi nie pomoże.

- Co opuściłaś?

- Nazwisko człowieka, który przyszedł zobaczyć się ze mną. Przez wiele lat był

członkiem twojego rządu. W dawnych czasach wzbudzał spore kontrowersje, ale myślę, że nadal jest postacią szanowaną. Jego nazwisko obito mi się kiedyś o uszy.

- Kto to był?

- Emory Bradford.

- Dobry Boże... - Havelock czuł się oszołomiony. Nazwisko Bradforda wyłoniło się z przeszłości, z

niepokojącej przeszłości. W czasach Kennedy'ego uważano go za jedną z politycznych komet, a za Johnsona zdobył wątpliwe ostrogi. Kiedy jedna po drugiej zaczęły znikać z waszyngtońskiego firmamentu, by wylądować w międzynarodowych bankach, fundacjach, prestiżowych kancelariach adwokackich i salach konferencyjnych korporacji -

Bradford pozostał tam, gdzie prowadzono polityczne wojny. Jednak darzono go wyraźnie mniejszymi względami i nie miał już tak wielkich wpływów. Nikt nie znał motywów takiego postępowania. Pomijając już osobisty majątek, mógł zająć się tysiącem innych spraw. On jednak wolał tego nie robić. Bradford, pomyślał Michael, a nazwisko to odbiło się echem w jego głowie. Czy przez te wszystkie lata Emory Bradford tylko pozorował działanie, czekając na odpowiedni moment, by zabłysnąć ponownie w blasku samozwańczej chwały? Tylko takie rozwiązanie wchodziło w grę. Jeżeli skontaktował się z Jenną w Barcelonie, musiał być w ośrodku kierowania operacją na Costa Brava. Operacją, która swoim zasięgiem obejmowała z pewnością nie tylko jego i Jennę; dwoje kochanków, napuszczonych nawzajem na siebie. W

operacji tej musieli brać też udział nieznani mu ludzie w Moskwie i wszechmocni członkowie rządu Stanów Zjednoczonych.

- Znasz go? - zapytała Jenna, wciąż wpatrując się w okno.

- Nie osobiście. Nigdy go nie spotkałem. Ale masz rację, wzbudzał kontrowersje i prawie wszyscy go znają. Ostatnio, kiedy o nim słyszałem, był skromnym podsekretarzem stanu, ale podobno darzono go sporym szacunkiem. Można by powiedzieć: odstawiony na boczny tor, lecz cenny. Czy mówił ci, że wraz z ludźmi z Operacji Konsularnych był poza Madrytem?

- Powiedział, że współdziałał z OPKON-em w nagłym przypadku, dotyczącym bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Chodziło oczywiście o mnie?

- Tak. Pokazał mi kopie dokumentów, znalezionych w bankowym sejfie w Ramblas. -

Jenna odwróciła się od okna. - Pamiętasz, jak wielokrotnie wspominałeś, że musisz wyjechać do Ramblas?

- Powiedziałem ci też, że była to skrzynka kontaktowa na Lizbonę. Zresztą, nieważne, i tak było to zaaranżowane.

- Zrozum, Ramblas miało utrwalić mi się w pamięci.

- No i postarali się o to, żeby tak się stało. Jakie to były dokumenty?

- Instrukcje z Moskwy, które mogły być przeznaczone tylko dla ciebie, a więc daty, trasy... Wszystko pasowało do tych miejsc, gdzie już byliśmy, i do tych, gdzie się dopiero wybieraliśmy. No i oczywiście szyfry. Jeżeli nie były one autentyczne, to znaczy, że ja nigdy w życiu nie widziałam

rosyjskich szyfrów! - Ja dostałem takie same materiały - powiedział

Havelock, a w jego głosie dało się wyczuć gniew.

- Tak, znałam je już, kiedy mówiłeś mi co ci dali w Madrycie. Oczywiście nie wszystkie, ale wiele dokumentów, które pokazali tobie, pokazali również i mnie. Nawet radio w pokoju hotelowym.

- Nastawione na częstotliwość morską. Pomyślałem, że byłaś nieostrożna, nigdy z niego nie korzystaliśmy.

- Kiedy to zobaczyłam, coś we mnie umarło - powiedziała Jenna.

- A gdy ja znalazłem w twojej torbie klucz do skrytki na lotnisku, nie mogłem zostać z tobą w jednym pokoju ani chwili dłużej.

- O to im w końcu chodziło, prawda? O ostateczne potwierdzenie naszych wspólnych wątpliwości. Zmieniłam się i nic na to nie mogłam poradzić. A i ty po powrocie z Madrytu, byłeś innym człowiekiem. Sprawiałeś wrażenie człowieka szarpanego w różne strony, choć wiadomo było, że musiałeś pójść tylko w jedną stronę: nie w moją, nie w naszą. Z

niezrozumiałych powodów sprzedałeś się Rosjanom... Nawet starałam się to sobie wytłumaczyć. Być może, po trzydziestu latach dowiedziałeś się jakichś wiadomości o twoim ojcu. Zdarzają się przecież różne dziwne rzeczy... Albo też schodziłeś do głębokiej konspiracji beze mnie: oto zdrajca przeistacza się w podwójnego agenta. Zdałam sobie sprawę, że w tej przemianie, jaka by nie była, nie ma miejsca dla mnie. - Jenna odwróciła się od okna i ciągnęła ledwo słyszalnym głosem. - Wtedy ponownie nawiązał ze mną kontakt Bradford. Tym razem był przerażony, prawie tracił panowanie nad sobą. Powiedział, że przechwycono informację, z której wynikało, że Moskwa wydała na mnie wyrok. Ty miałeś mnie wciągnąć w pułapkę i to się miało stać tej nocy.

- Na Costa Brava?

- Nie, nigdy nie wspominał o Costa Brava. Powiedział, że około szóstej zadzwoni do mnie pewien człowiek i użyje zwrotu lub opisu, który mógłby pochodzić wyłącznie od ciebie.

Oświadczy, że nie możesz podejść do telefonu i przekaże mi instrukcje. Mam wsiąść do samochodu i jechać drogą wzdłuż wybrzeża do Villanueva, a ty już będziesz czekać na mnie przy fontannach na placu. Ale tak naprawdę, to nigdy tam nie dotrę, bo zgarną mnie po drodze.

- Istotnie, mówiłem ci, że mam jechać do Villanueva potwierdził Michael. - To było częścią strategii OPKON-u. Kiedy ja rzekomo miałem być dwadzieścia mil na południe w interesach, ty przez ten czas miałaś dostać się na plażę Montebello na wybrzeżu Costa Brava.

To był ostateczny dowód przeciwko tobie. Miałem się o tym przekonać na własne oczy.

Chciałem tego, cały czas modląc się do Chrystusa, żebyś się tam nie zjawiała.

- Wszystko pasowało, bo tak zostało zaaranżowane! krzyknęła Jenna. - Gdyby telefon zadzwonił, po rozmowie telefonicznej powinnam uciekać. Bradford, razem z jednym Amerykaninem będą czekać w korytarzu, wypatrując agentów KGB, a potem zabiorą mnie do konsulatu.

- Ale nie wyjechałaś z nimi. To nie twoją śmierć oglądałem na plaży.

- Nie mogłam. Nagle nie byłam już w stanie uwierzyć nikomu... Przypominasz sobie incydent tamtej nocy w Paseo Isabel w kawiarni? Tuż przed twoim wyjazdem do Madrytu?

- Chodzi ci o tego pijaka? - zapytał Havelock, pamiętając aż za dobrze. - Potracił cię, a właściwie przewrócił się na ciebie. Potem wylewnie cię przeproszał i upierał się, by ucałować twoją dłoń.

- Śmialiśmy się z tego oboje. Ty nawet bardziej, niż ja. - Za to kilka dni później już się nie śmiałem. Byłem przekonany, że właśnie wtedy otrzymałaś klucz od skrytki na lotnisku.

- O którym zresztą nie miałam pojęcia.

- A który znalazłem w twojej torbie, bo go tam włożył Bradford. Zrobił to podczas mojej bytności w Madrycie, kiedy przyszedł do twojego pokoju. Założę się, że przez chwilę zostawiłaś go samego.

- Byłam w szoku, zrobiło mi się niedobrze i na moment wyszłam z pokoju.

- To by tłumaczyło radio, nastawione na częstotliwość morską... A co z pijakiem?

- On był tym drugim Amerykaninem w korytarzu hotelowym. Dlaczego tam się pojawił? Kim był? Uciekłam tak szybko, jak to możliwe.

- Nie widział cię?

- Nie, wybiegłam na klatkę schodową. Przeraziła mnie jego twarz. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Być może dlatego, że wcześniej udawał kogoś tak całkowicie innego.

Wiem, że zaniepokoiły mnie jego oczy, były gniewne, nie rozglądały się jednak po korytarzu.

On wcale nie wypatrywał agentów KGB, ale bez przerwy zerkał na zegarek. Wtedy wpadłam w panikę... byłam dezorientowana, zraniona bardziej, niż kiedykolwiek w życiu. Ty pozwoliłeś na to, żebym umarła, im też nie mogłam zaufać.

- Wróciłaś do pokoju?

- Na Boga, nie! Zostałabym zapędzona w ślepy zaułek. Weszłam na górę i stojąc na klatce schodowej, usiłowałam przemyśleć całą sprawę. Doszłam do wniosku, że zareagowałam może zbyt histerycznie, ale byłam zbyt przerażona, żeby zachowywać się rozsądnie. Dlaczego nie ufałam Amerykanom? Właśnie podjęłam decyzję, żeby zejść na dół, kiedy usłyszałam na korytarzu odgłosy. Uchyliłam, nieco drzwi klatki schodowej... i okazało się, że słusznie zrobiłam, nie wracając na dół.

- Przyszli po ciebie?

- Przyjechali windą. Bradford kilkakrotnie zapukał do drzwi, podczas gdy ten drugi, pijak z caf , wyciągnął broń. Kiedy nikt nie odpowiedział, rozejrzeli się po korytarzu, a potem mężczyzna z pistoletem jednym kopnięciem otworzył pokój. Tak nie zachowuje się człowiek, który przychodzi kogoś ratować. Więc uciekłam. Havelock wpatrywał się w Jenę i usiłował

zebrać myśli. Wszystko to było takie zagadkowe... Tyle niejasności, tyle wątpliwości. Gdzie tu szukać śladów człowieka, który używał kryptonimu Dylemat.

- A skąd mieli twoją walizkę? - zapytał.

- To była jedna z moich starych walizek, dokładnie taka jaką opisałeś. Przypominam sobie, że zostawiłam ją w piwnicy mieszkania, które wynajmowałam w Pradze. Chyba nawet ty sam ją tam wyniosłeś.

- Mogło ją znaleźć KGB.

- KGB?

- Ktoś z KGB.

- Wspomniałeś o tym, prawda?... Taki ktoś musi istnieć.

- Co powiedział przez telefon tamten człowiek? Jakich słów użył, żeby upewnić cię, że pochodzą ode mnie?

- Znow dotyczyły Pragi. Powiedział, że „w centrum miasta jest brukowany dziedziniec”.

- Verejn mistnost - powiedział Michael, kiwając głową. Tam jest siedziba tajnej policji. Musieli o tym wiedzieć. W raporcie, który wysłałem do Waszyngtonu, opisałem jak się stamtąd wydostałaś i jaka byłaś wspaniała. I że omal nie umarłem, obserwując cię z okna trzy piętra wyżej.

- Dziękuję za pochwałę.

- Pamiętasz, jak razem uzgadnialiśmy szczegóły? Mieliśmy uciec z naszego ruchomego więzienia.

- A ty miałaś uczyć.

- Historii.

- Mieliśmy mieć dzieci... - Posyłać je do szkoły... - Kochać je i besztać...

- Chodzić na mecze hokejowe...

- A ty powiedziałaś, że nie ma czegoś takiego...

- Kocham cię...

- Michaił? To były pierwsze, próbne kroki, lecz nagle zakończył się ten dworski taniec. W jednej chwili podbiegli i przywarli do siebie, odpychając na bok czas, krzywdy i niezliczone chwile udręki. Łzy płynące z jej oczu, przełamały ostatnie bariery, zbudowane przez kłamców oraz ich sojuszników. Ramiona zacisnęły się jeszcze mocniej, a ich nabrzmiałe usta gwałtownie szukały się nawzajem, przez moment byli wolni. Obydwoje nagle zrozumieli, że oto znaleźli się w pułapce, w jakiej nigdy dotąd nie byli, w tym swoim ruchomym więzieniu. Ale wiedzieli również, że przez moment poczuli się także wolni.

Sen skończył się i ustąpił miejsca jawie. Rzeczywistość nie była już tak delikatna.

Jenna spała obok Michaela, dotykając policzkiem jego ramienia. Jej głęboki, miarowy oddech, ogrzewał mu skórę. Tak, jak to często bywało w przeszłości, pasma jej włosów leżały na jego piersi, niczym przypomnienie, że nawet podczas snu, jest częścią Michaela. Poruszył

się ostrożnie, tak, żeby jej nie obudzić i patrzył na nią. Ciemne obwódki pod oczami jeszcze nie zniknęły, ale szybko jaśniały, w miarę, jak kolory wracały na twarz. Trzeba dni, może tygodni, żeby z jej oczu zniknął strach, ale mimo to, była już silna. Właśnie dzięki tej sile poradziła sobie z napięciem nie do wytrzymania. Jenna poruszyła się i przeciągnęła, a padające z okien słoneczne światło, zalało jej twarz. Gdy się tak jej przyglądał, myślał o tym, przez co przeszła, do jakich ukrytych rezerw musiała sięgać, żeby przetrwać. Gdzie była?

Kim byli ludzie, którzy jej pomogli? Kim są ci, którzy ją zranili? Chciał zadać tak wiele pytań, o tylu rzeczach wiedzieć... Po części był jak świeżo upieczony mężczyzna, zazdrosny o sytuacje, których nawet nie chciał sobie wyobrażać. Ale jednocześnie druga część jego świadomości należała do kogoś, kto przetrwał, kto zbyt dobrze wiedział jaką cenę trzeba zapłacić, by pozostać przy życiu na tym chaotycznym, jakże często brutalnym świecie.

Odpowiedź nadejdzie z czasem, odkrywana powoli lub w eksplozjach pamięci i urazów. On nie chciał jednak tego prowokować. Procesu uzdrawiania nie można przyspieszać: Jenna zbyt łatwo może cofnąć się do wspomnień i na dłuższy czas ożywić ich groźbę. Poruszyła się ponownie i odwróciła głowę w jego stronę. Jej oddech był taki ciepły. Nagle uderzyła go absurdalność rozmyślań. Co on sobie wyobrażał? Gdzie był!? Gdzie byli oboje? Na co mogą sobie pozwolić? Jacob Handelman nie żył. Jego zabójca był właściwie zidentyfikowany, a ci z Waszyngtonu z pewnością znają już jego tożsamość. Pościg za mordercą uzyska powszechne poparcie. Już widział te artykuły w gazetach: ukochany profesor, brutalnie zamordowany przez umysłowo chorego byłego agenta służb zagranicznych, usilnie poszukiwanego przez własny rząd. Kto uwierzy w prawdę? Kto da wiarę, że ten miły starszy pan, który przeżył horror obozów, w rzeczywistości był potworem w ludzkiej skórze i dawno temu dowodząc egzekucją w Lidicach przechadzał się majestatycznym krokiem? Obłąd!

Broussac odwróci się od niego, tak jak i wszyscy, na których mogli liczyć. Nie było czasu na rozmyślanie, potrzebował każdej godziny. Szybkość z jaką uderzą, a właściwie on uderzy, miała

zasadnicze znaczenie. Zerknął na zegarek, była druga czterdzieści pięć. Minęła już większość dnia. Trzeba rozważyć strategię, błyskawicznie coś zaplanować... dotrzeć w nocy do tych drani. Coś jeszcze jednak musiało się stać. Coś ważnego, tylko dla nich. Musieli ukoić ból, wymazać ślady słabości. Jeżeli tego nie zrobią, wszystko pójdzie na marne. Zrobił

to, o czym często śnił, a za każdym razem, kiedy ten sen się powtarzał, budził się mokry od potu. Nie miał nadziei, że kiedyś może się ziścić. Teraz miał szansę. Przez otchłań snu wymówił jej imię, a ona, tak jakby chwile rozłąki nigdy nie istniały, dotknęła swoją dłoń jego dłoni. Otworzyła oczy i przez chwilę błędziła wzrokiem po jego twarzy. A potem bez słowa uniosła kołdrę, przycisnęła do niego, swoje nagie ciało, objęła go ramionami i ustami dotknęła jego ust. Oboje czuli jak narasta podniecenie. Nie mówili nic. Dali się ponieść pożądaniu, ale nie musieli już się bać. Kochali się jeszcze dwukrotnie, ale za trzecim razem początek był lepszy niż zakończenie. Przez okno nie przebijały już promienie słoneczne, zastąpił je pomarańczowy blask zachodzącego słońca. Usiedli na łóżku i Michael przypalił jej papierosa. Oboje śmiali się cicho z ich chwilowego wyczerpania i źle ukierunkowanej energii.

- Porzucisz mnie dla jakiegoś gorącego byczka z Ankary. - Nie masz o co być zazdrosny, mój Michaile. Poza tym, naprawdę nie smakuje mi ich kawa.

- Co za ulga.

- Jesteś kochany - powiedziała, dotykając bandaża na jego ramieniu.

- Jestem zakochany. Muszę ci wynagrodzić tyle krzywd...

- Oboje musimy, nie tylko ty. Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Ja przyjąłam do wiadomości te kłamstwa tak samo, jak i ty. Niewiarygodne kłamstwa, i w dodatku niewiarygodnie przedstawione. Nie wiem, dlaczego tak się stało.

- Znamy cel tych kłamstw, a to je częściowo tłumaczy. Chcieli mnie wyłączyć, nie przestając jednak kontrolować, obserwować pod mikroskopem.

- Czy potrzebna była im do tego moja zdrada, moja śmierć? Są przecież inne sposoby wykończenia człowieka, którego już się nie potrzebuje.

- Zabicie? - powiedział Havelock i pokiwał głową. - Oczywiście, to może być rozwiązanie, ale w ten sposób traci się kontrolę nad dokumentami, które gdzieś mogły pozostać. Obawa, że ktoś taki mógł zostawić informacje, często ocala mu życie.

- Ale teraz oni chcą cię zabić. Jesteś „nie-do-uratowania”.

- Ktoś musiał zmienić zamiar.

- Ktoś, kogo nazywamy Dylematem - powiedziała Jenna.

- Tak. Wydarzyło się coś, co stanowi dla nich o wiele większą groźbę, niż to, co nieświadomie odkryłem.

- Nie rozumiem.

- Chodzi o ciebie - powiedział Havelock. - I o Costa Brava. Trzeba to ukryć.

- Sowiecki łącznik?

- Nie wiem. Kim była kobieta na plaży? Czy wiedziała, w jakim charakterze występuje? Dzięki Bogu, to nie byłeś ty, ale dlaczego nie ty? Zmienili zamiar? Gdzie cię mieli zabrać? - Myślę, że do grobu.

- Jeżeli tak, to dlaczego nie wysłali cię na plażę? Dlaczego wtedy cię nie zabili?

- Może obawiali się, że nie pojedę. Przecież nie wyszłam z nimi z hotelu.

- Wtedy nie mogli jeszcze o tym wiedzieć. Uważali, że jesteś w ich rękach, przestraszona, zszokowana, szukająca schronienia. Rzecz w tym, że nigdy nie wspomnieli o Costa Brava, nawet nie próbowali cię poinformować.

- Wystarczyło, żebyś do mnie zatelefonował, a pojechałabym tamtej nocy na plażę.

Oni mieliby swoją egzekucję, ty zobaczyłbyś, to co chcieli, żebyś zobaczył.

- To nie ma sensu - Michael zapalił papierosa. W takim rozumowaniu jest podstawowa sprzeczność, ponieważ człowiek który przygotował Costa Brava, był doskonałym zawodowcem, ekspertem od nielegalnych operacji. Wszystko błyskotliwie zorganizował, skoordynował w czasie aż do ułamków sekund... Nie, to nie ma sensu!

- Michaił - powiedziała cicho Jenna. Siedziała pochylona na krześle, skupiona, z nieobecny spojrzeniem. - To były dwie operacje - wyszeptała.

- Co?

- Przypuśćmy, że to były dwie operacje, a nie jedna. Odwróciła się w jego stronę, oczy jej błyszczały. - Pierwsza rozpoczęła się w Madrycie, gdzie dostarczono dowody przeciwko mnie, a potem przeniesiono ją do Barcelony, tam dostarczono dowody przeciwko tobie.

- To wciąż jest jedna akcja - zauważył Havelock.

- Która wtedy podzieliła się na dwie - upierała się Jenna. Na dwa odrębne wątki.

- W jaki sposób?

- Początkowa operacja została przechwycona przez kogoś, kto nie brał w niej udziału.
- A potem zmieniono jej cel. - Havelock zaczął rozumieć. Płótno pozostało to samo, ale ktoś zamienił ściegi. I w rezultacie otrzymaliśmy zupełnie inny kobierzec.
- Ale po co to wszystko? - zapytała.
- Żeby mieć kontrolę - odpowiedział. - Gdy uciekłaś, to ją stracili. Od Broussac dowiedziałem się, że zaszyfrowany list gończy rozesłano za tobą zaraz po Costa Brava.
- Dostępny tylko dla nielicznych - wtrąciła Jenna, rozgniatając papierosa. - Co oznaczało, że człowiek, który przechwycił operację, mógł nie wiedzieć, że z Barcelony wydostałam się żywa.
- I tak było aż do chwili, kiedy cię zobaczyłem i zawiadomiłem o tym fakcie wszystkim, którzy się liczą. W tym momencie oboje musieliśmy zginąć. - Jedno, zgodnie z regułami nielegalnych operacji. I to byłem ja. Drugie, w myśl zasad strategii, podczas wybuchu bomby w samochodzie, po wyjeździe z Col des Moulinets. I to miałaś być ty.
- Czyżby znów kłaniał się Dylemat?
- Tylko człowiek, który znał szyfr, mógł dotrzeć do informacji, co się ma wydarzyć na tamtym moście.
- Pozostało tu jednak zbyt wiele niejasności, zbyt wiele luk.
- Wypełnimy niektóre, a może nawet wszystkie.
- Oczywiście pozostał Emory Bradford.
- I jeszcze ktoś - dodał Havelock. - Matthias. Cztery dni temu usiłowałem połączyć się z nim z Cagnessur-Mer. Tylko mała garstka ludzi zna ten numer. To niepojęte, ale mój mistrz i nauczyciel nie chciał podejść do telefonu, nie chciał ze mną rozmawiać! Wtedy przyszło mi do głowy najgorsze: oto odtrącił mnie najbliższy mi człowiek. Teraz, kiedy powiedziałaś o Bradfordzie podejrzewam, że się wtedy myliłem.
- Co masz na myśli.
- Przypuśćmy, że Anthona tam nie było. Przypuśćmy, że ktoś inny tam mieszkał i podniósł słuchawkę prywatnego telefonu...
- Bradford?
- Tak, do spółki z resztkami swoich politycznych rówieśników. Stare komety wracają i chcą odzyskać dawny blask. Tygodnik „Time” napisał, że Matthias przebywa na długich wakacjach, ale to niekoniecznie musi być prawdą. Może obdarzony największymi w historii względami sekretarz stanu, jest trzymany w odosobnieniu? Zamknięty w jakiejś klinice, bez możliwości przekazania znaku życia?

- Ale to niemożliwe, Michaił. Człowiek na takim stanowisku musi pozostawać w kontakcie ze swoim biurem. Codziennie przecież odbywają się odprawy, podejmuje się decyzje...
- To mogą załatwić współpracownicy, doradcy znani personelowi Departamentu.
- To zbyt niewiarygodne...
- Dlaczego? Kiedy oświadczone, że Anthon nie będzie ze mną rozmawiać; nie mogłem się z tym pogodzić. Zadzwoiłem ponownie, tym razem do pewnego staruszka, sąsiada Matthiasa w Shenandoah. Nazywa się Żeleński i jest emerytowanym profesorem, kilka lat temu zaproszonym do Berkeley z Warszawy. Obydwaj panowie mieli zwyczaj grać w szachy i gawędzić o starych czasach. Matthias doskonale wypoczywał w obecności profesora. I wiesz, co się okazało? Żeleński powiedział mi, że ostatnio Anthon nie ma dla niego czasu. Wyobrażasz sobie? Nie ma czasu!
- To całkiem możliwe, Michaił.
- Ale niekonsekwentne. Matthias znalazłby czas, nie zostawiłby zarówno starego przyjaciela, jak i mnie, bez żadnego wyjaśnienia. To do niego nie pasuje.
- Co masz na myśli?
- Pamiętam słowa Żeleńskiego. Powiedział, że kiedyś zostawił dla Anthona wiadomość, ale oddzwonił nie on, tylko jakiś człowiek i powiedział, że Matthias bardzo żałuje, ale rzadko przyjeżdża do doliny. Teraz kiedy do niego dzwoiłem, podobno był w domu. Ja jednak myślę, że go tam nie było.
- Jesteś niekonsekwentny - przerwała Jenna. - Jeżeli podejrzewasz, że go nie było, to dlaczego ci o tym nie powiedzieli wprost?
- Nie mogli. Korzystałem przecież z prywatnej linii, słuchawkę podnosił tylko on sam, osobiście. Tamtego dnia, ktoś inny odebrał telefon i starał się to zatuszować.
- Ktoś, kto pracuje dla Bradforda.
- I bierze udział w spisku przeciwko Matthiasowi. Nie wykluczyłbym tu samego Bradforda. Ktoś w Waszyngtonie potajemnie kontaktuje się z ludźmi w Moskwie. To oni wspólnie zmontowali Costa Brava, przekonując Matthiasa, że jesteś agentem sowieckim.

Przecież notatka, którą do mnie przysłał, mówi to jednoznacznie. Nie wiemy, czy wszystko poszło zgodnie z planem, ale wiemy, że w przeciwieństwie do Bradforda, Matthias nie ma z tym nic wspólnego. Anthon nie ufał ani jemu, ani jego ludziom, i uważał ich za najgorszy rodzaj oportunistów. Trzymał ich z daleka od wszystkich ważniejszych negocjacji, bo przypuszczał, że wykorzystaliby je do własnych celów. Sądził tak nie bez racji, bo przecież oni dawniej tak postępowali, przekazując opinii publicznej tylko wyselekcjonowane informacje, na prawo i lewo przybijając pieczęć „tajne”, aż stała się ich podpisem. Michael przerwał i zaciągnął się

papierosem. Jenna nie odrywała od niego wzroku. - Możliwe, że postępuje tak znowu, Bóg jeden wie, dla jakich celów. Niedługo się ściemni i będziemy mogli wyruszyć. Najpierw pojedziemy do Marylandu, a potem już prosto do Waszyngtonu.

- Do Bradforda? Przecież natychmiast skojarzą cię z Handelmanem, i przyjmą logiczne założenie, że postarasz się do mnie dotrzeć. A skoro tak, to wiadomo, że pierwszym nazwiskiem, które ci podam, będzie nazwisko Bradforda. Dostanie ochronę.

- Wiem o tym - odparł Michael. - Ubieraj się. Musimy coś zjeść i kupić gazety z serwisem agencji telegraficznych. Porozmawiamy w samochodzie. - Ruszył w stronę swojej walizki i zatrzymał się w pół kroku. - Mój Boże, twoje rzeczy. Przecież ty nie masz swoich ubrań.

- Ludzie Kohoutka zabrali mi wszystko. Powiedzieli, że dla naszego dobra muszą zatrzeć wszelkie ślady, prowadzące do miejsca poprzedniego pobytu. Skonfiskować rzeczy z zagranicznymi metkami, bagaże z Europy, pamiątki. Obiecali później dostarczyć coś odpowiedniego.

- Do czego odpowiedniego?

- Byłam zbyt przestraszona, żeby o tym pomyśleć.

- Zabrali wszystko co miałaś i zostawili cię samą w celi. Tak wiele krzywd trzeba ci wynagrodzić. Jedźmy - powiedział.

- Powinniśmy zatrzymać się gdzieś po drodze i kupić apteczkę pierwszej pomocy -

dodała Jenna. - Muszę zmienić ci opatrunek na ramieniu. Tak wiele krzywd trzeba wynagrodzić!

23

Na przedmieściach Hagerstown, przy wejściu do restauracji, gdzie jedli kolację, dostrzegli automat z gazetami. Zostały tylko dwa egzemplarze popołudniowego wydania

„Baltimore Sun”. Kupili oba, żeby sprawdzić, czy zamieszczono w nich zdjęcia, na których mógłby ich ktoś rozpoznać. Przewidywanie niebezpieczeństw stało się już instynktowne.

Usiedli w rogu restauracji naprzeciwko siebie, pośpiesznie przerzucili strony i odetchnęli z ulgą. Nie było zdjęć. Mogli więc spokojnie wrócić do artykułu, który wydrukowano na trzeciej stronie.

- Pewnie umierasz z głodu - powiedział Havelock.

- Prawdę mówiąc, napiłabym się, jeżeli podają tu alkohol.

- Podają. Zamówię coś. - Zerknął w stronę baru i podniósł rękę.

- Nawet nie pomyślałam o jedzeniu.

- To dziwne. Kohoutek powiedział, że wczoraj wieczorem nie chciałaś nic jeść i rzuciłaś tacą w tego Kubańczyka.

- Rzuciłam tacą z resztkami. Sam mi powtarzałeś, żeby nie odmawiać jedzenia, kiedy jest się w opresji. W takich sytuacjach nigdy nie wiadomo, kiedy można liczyć na następny posiłek.

- Trzeba zawsze słuchać mamy...

- Usłuchałam dziecka, które uciekało przez las, żeby ratować życie.

- To stara historia. Dlaczego rzuciłaś tacą? Żeby trzymać go od siebie z dala?

- Żeby zdobyć widelec. Nie było noża.

- Jesteś niesamowita, moja lady.

- Byłam zdesperowana. Przestań mi prawić komplementy. Do ich stolika podeszła pulchna, przesadnie umalowana kelnerka. Obrzuciła Jennę wzrokiem pełnym smutku i zazdrości. Michael zrozumiał to spojrzenie, jednak nie odczuwał satysfakcji, ani zadowolenia.

Zamówił drinki.

- Przejdźmy do złych wiadomości - powiedział otwierając gazetę.

- Są na trzeciej stronie.

- Wiem. Przeczytałaś cały artykuł?

- Tylko wiersz na końcu, gdzie napisano: „Ciąg dalszy na jedenastej stronie”.

Sądziłam, że mogą zamieścić tam fotografie.

- Ja też. - Havelock zaczął czytać, a Jenna mu się przyglądała. - Za chwilę zamówimy coś do jedzenia powiedział nie odrywając się od popołudniówki. Kelnerka postawiła na stole drinki i odeszła. Havelock pośpiesznie przerzucał strony i po znalezieniu właściwej, złożył

gazetę na pół. Początkowo doznał uczucia ulgi, potem zainteresowania, wreszcie niepokoju.

Skończył i odchylił się na oparcie. Spojrzał na Jennę.

- Co tam wyczytałaś?

- Tuszują sprawę - powiedział cicho.

- Co to znaczy?

- Ochraniają mnie... dosłownie mnie ochraniają.

- Musiałeś to niewłaściwie odczytać.

- Chyba nie. - Nachylił się nad gazetę i palcami wodził po wierszach na kolumnie.

Tylko posłuchaj: „Zgodnie z informacjami uzyskanymi w Departamencie Stanu, osoba o takim nazwisku, rysopisie i odciskach palców, nie jest i nigdy nie była zatrudniona w Departamencie. Następnie rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że spekulacje opierające się na podobieństwie nazwiska zabójcy z kimkolwiek z obecnych lub byłych pracowników są nieuczciwe i całkowicie bezpodstawne. Koroner sprawdził dane dostarczone przez policję Manhattanu i podał wynik negatywny. Jednak z doniesień Departamentu Stanu wynika, że zabity profesor Handelman współpracował z Departamentem jako konsultant do spraw uchodźców z Europy, ze szczególnym uwzględnieniem osób, które prześladowano w okresie władzy nazistów. Policja Manhattanu uważa, że zabójca może być człowiekiem organizacji terrorystycznej, szczególnie wrogo nastawionej do społeczności żydowskiej. Departament Stanu zaznacza jednocześnie, że podszywanie się pod tożsamość pracowników administracji nie należy do rzadkości”. - No i widzisz? Wyparli się wszystkiego!

- Czy mogli uwierzyć w taką wersję?

- Niemożliwe. Po pierwsze, setka ludzi w Departamencie i nie tylko tam wie, że pracowałem w OPKON-nie. Zestawiliby te dane razem i wyskoczyłoby moje nazwisko. Po drugie, wszędzie w mieszkaniu Handelmana muszą być moje odciski palców, a te są przecież w kartotece. I wreszcie Handelman nie miał nic wspólnego z jakąkolwiek agencją rządową, na tym właśnie polegała jego pozycja. Był pośrednikiem dla Quai d'Orsay, a oni nigdy by go nie zatrudnili, gdyby przyszło im go głowy, że ludzie z rządu dokładnie zbadają jego przeszłość.

- Wobec tego jakie są twoje wnioski?

- To zbyt nachalne - powiedział Michael w zadumie, nie odrywając szklanki od ust.

- W takim razie to pułapka - powiedziała Jenna. Chcą cię zwabić, prawdopodobnie do Bradforda, i złapać.

- Jestem dla nich niewygodny, aż do chwili, kiedy będę „niedouratowania”, że posłużę się tym terminem. Po śmierci nic już nie powiem, a oni będą mogli oświadczyć, że złapali zabójcę. Dotarcie do Bradforda nie byłoby trudne, ale ucieczka z nim raczej niemożliwa...

Chyba, że spróbowałbym go jakoś wywabić, zmusić, aby to on przyszedł do mnie.

- Nigdy do tego nie dopuszczą. Jego obstawa będzie na ciebie czekać. Zastrzelą cię bez uprzedzenia.

- Będą na mnie czekać - powtórzył, odstawiając szklankę na stół. - Szukać mnie... Ale szukają mnie tylko ludzie, którzy to wszystko przygotowali. Havelock znów wypił łyk whisky. W jego umyśle pojawiały się różne, na razie niejasne koncepcje.

- Kłamcy, jak ich nazywasz - dodała Jenna.

- Tak. Potrzebujemy pomocy, ale wszyscy, którzy mogliby jej nam udzielić, odwróca się od nas. Teraz to jednak nie ma znaczenia: polowanie zostało odwołane.

- Nie bądź naiwny, Michaił - przerwała mu Jenna. - To jest tylko część zasadzki.

Przecież wciąż obowiązują rozesłane za nami listy gończe. Twój nie jest tajny, tu nie ma żadnych wątpliwości. Każda licząca się w świecie agencja ma cię na swojej liście. Czy jest w rządzie ktoś, komu mógłbyś zaufać?

- Nie ma - przyznał Havelock. - Ktoś, kto zaryzykowałby współpracę z człowiekiem spisanim na straty, nie przeżyłby.

- Co więc proponujesz?

- Cagnessur-Mer - powiedział, mrużąc oczy Michael. Kiedy z domu Salanne'a nie mogłem dodzwonić się do Anthona, skontaktowałem się ze starym Żeleńskim wspomniałem ci o tym, pamiętasz? W rozmowie padło wtedy nazwisko kogoś, kogo profesor nazwał

Aleksandrem Wielkim. Chodziło o Raymonda Alexandra. To nie jakiś tam wspólny znajomy, ale bardzo dobry przyjaciel - mój i Matthiasa. Jemu może się udać.

- Jak?

- Alexander pracuje poza rządem, choć w pewien sposób jest z nim bardzo związany.

Waszyngton go potrzebuje, a on potrzebuje Waszyngtonu. Jest felietonistą w „Potomac Review” i nie znam nikogo lepiej zorientowanego w działalności rządu. Jego praca polega jednak na osobistych kontaktach i wiem, że nigdy nie pozwoliliby mi się do siebie zbliżyć, gdyby ludzie z prasy mnie rozpoznali.

- W jaki sposób może nam pomóc?

- Jeszcze nie wiem. Może wyciągnie dla mnie Bradforda. Specjalizuje się w wywiadach-rzekach, bardzo cenionych w sferach rządowych. Nikt więc nie będzie go o nic podejrzewał. Bradforda mogą wozic nawet w czołgu, ale do domu Alexandra pozwolą mu wejść bez obstawy. Mógłbym dać mu do zrozumienia, że coś się kroi, że dojdzie do zasadniczych zmian w Departamencie Stanu i centralną rolę w tym wszystkim odegra właśnie Bradford. Potem zaaranżuje wywiad, a ja będę w tym czasie u niego w domu, żeby przysłuchiwać się rozmowie i weryfikować jego wypowiedzi.

- Jak to w domu?

- On pracuje w domu, taki ma styl. Podobnie jak Reston z „Timesa”. Jeżeli jakiś polityk chwali się, że był w Fiery Run, każdy wie, że ukaże się artykuł Scotty'ego Restona.

Jeżeli stwierdzi natomiast, że był w Fox Hollow, to sami ludzie będą wiedzieli, że wywiad

przeprowadzał Raymond Alexander. Fox Hollow leży w Wirginii, tuż na zachód od Waszyngtonu. Dojazd na miejsce zajmie nam półtorej godziny, w najgorszym przypadku dwie.

- Zrobi to?

- Może... Jesteśmy przyjaciółmi.

- Z uniwersytetu?

- Nie, ale jest pewien związek z kręgami akademickimi. Poznałem go przez Matthiasa.

Kiedy rozpoczynałem pracę w Departamencie, Matthias miał zwyczaj wpadać do Waszyngtonu, żeby rozbudowywać kontakty i prawić dusery wpływowym osłom. W takich razach często odbierałem od niego ponaglący telefon: prosił, bym dołączył do nich podczas obiadu. Nigdy nie odmawiałem, nie tylko ze względu na towarzystwo, ale i fakt, że restauracje były dla mnie, przy moich „wczesnych dochodach” zbyt drogie.

- To ładnie ze strony twojego pritele.

- Wziąwszy pod uwagę rodzaj moich studiów, raczej niezbyt przemyślane, Matthias był учителеm, wychwalającym niezbyt zdolnego ucznia z Pragi, podczas gdy mnie zależało, żeby nie wystawiać się na publiczny widok. Wytlumaczyłem to kiedyś na stronie Alexandrowi. Obaj roześmialiśmy się i w rezultacie od czasu do czasu, wspólnie jadałmy obiady, Anthon zaś bezpiecznie siedział w swojej wieży w Princeton, gdzie doglądał swoich akademickich ogrodów na chwilę odkładając pielęgnację drzewek w Waszyngtonie.

Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiała; wielki Matthias był ponad to, żeby użyźniać ziemię, w której zasadził swoje nasiona.

- Jadaliście obiady w domu Alexandra?

- Zawsze. Miał świadomość, że ja też nie jestem osobą, z którą chciałby pokazywać się publicznie.

- Jesteście dobrymi przyjaciółmi?

- W granicach rozsądku.

- A on jest wpływowy?

- Oczywiście.

- Michał, dlaczego nie powiedzieć mu w takim razie wszystkiego? - Jenna wyciągnęła dłoń i dotknęła jego przedramienia.

- Nie sądzę, żeby chciał o tym słuchać. On trzyma się z dala od takich spraw. -

Havelock zmarszczył brwi i położył na jej dłoni swoją.

- Jest felietonistą. W Waszyngtonie. Jak możesz tak mówić?

- Jest komentatorem, kocha analizy. To nie wścibiński reporter, nie lubi grzebać się w gnoju. Uwielbia napadać na poglądy, a nie na ludzi.

- Ale ty masz dla niego sensacyjną wiadomość.

- Na pewno poradziłby mi, żebym udał się prosto do ludzi z ochrony Departamentu Stanu, w przekonaniu, że tam wysłuchają mnie w skupieniu. A oni nie wysłuchaliby i dostałbym kulę w łeb. Alexander jest gburowatym sześćdziesięcioletnim, który słyszał

już wszystko, od Dallas po Watergate, i uważa, że w stu dziesięciu procentach te opowieści to zwykłe bzdury. Gdyby dowiedział się co zrobiłem, pominąwszy nawet Handelmana, to sam zadzwoniłby po ludzi z ochrony Departamentu.

- W takim razie marny z niego przyjaciel.

- On tak nie uważa, po prostu nie łamie prawa. Michael przerwał i odwrócił dłoń Jenny grzbietem do góry. - On może nie tylko ściągnąć Bradforda do Fox Hollow, ale też wyjaśnić inną sprawę. Sprawę mojego pritele. Poproszę go, żeby dowiedział się, gdzie jest Matthias. Powiem mu, że nie chcę do niego osobiście dzwonić, i umawiać się, bo brak mi czasu na odwiedziny, a to mogłoby Anthona zdenerwować. Z jego koneksjami może się to udać.

- A jeżeli mu się nie uda?

- To też jest jakaś informacja, prawda? W takiej sytuacji zmuszę go, żeby ściągnął

Bradforda na miejsce, nawet gdybym musiał przyłożyć mu lufę do skroni. A jeżeli skontaktuje się z Matthiasem w jego domku myśliwskim w Shenandoah, dowiemy się czegoś więcej. Strasznie się tego boję, bo to by znaczyło, że sekretarz stanu ma swojego moskiewskiego łącznika w KGB.

Fox Hollow było małą wioską z ulicami oświetlanymi przez gazowe latarnie i zabudowaniami, utrzymanymi zgodnie z zarządzeniem władz, w kolonialnym stylu. Sklepy zwano tu salonami sprzedaży, a ich klientela zaliczała się do najbogatszej, pomiędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Ostentacyjny urok osady nie powstał na użytek turystów: tych raczej zniechęcano do odwiedzin, o ile nawet nie przepędzano. Niezbyt liczne siły policyjne, wyposażone w różnorodne rodzaje uzbrojenia i błyskawicznej łączności, mogły rywalizować, oczywiście uwzględniając proporcje, ze swoimi odpowiednikami w Pentagonie, gdzie prawdopodobnie zostały opracowane. Fox Hollow było enklawą na terytorium Wirginii, tak doskonale odizolowaną od reszty stanu, jakby otaczało ją nieprzebyte morze. Sąsiedztwo Potomaku podnosiło temperaturę powietrza, a na przedmieściach Harpers Ferry śnieg nie padał już tak intensywnie, by w Leesburgu zmienić się w marznącą mżawkę. Havelock przygotowywał dla Raymonda Alexandra swój scenariusz, którego powodzenie opierało się na autentycznym lęku dziennikarza przed byłymi lub aktualnie prowadzonymi tajnymi operacjami. Powie, że w Nowym Jorku doszło do zabójstwa. Jeżeli Alexander o tym jeszcze nie wiedział, dowie

się rano, bo był żarłocznym czytelnikiem gazet. Zabójca wcielił się w postać bardzo niemile przypominającą Michaela, dotyczyło to również dokumentów i rysopisu. Departament Stanu ściągnął go więc z Londynu wojskowym samolotem: wszelka pomoc ze strony agenta służby zagranicznej w stanie spoczynku była mile widziana. Zaś całej tej historii dużego prawdopodobieństwa dodawał fakt, że Havelock naprawdę był w Londynie. Podczas rozmowy z Alexandrem, Michael główny nacisk położył na to, że niegdyś kontrowersyjny podsekretarz stanu ma być zrehabilitowany i ponownie wprowadzony w światło reflektorów. Powie również, że w Londynie otrzymał szczegółowy raport, dotyczący szeroko zakrojonych, lecz tajnych negocjacji, omawiających delikatną kwestię rozlokowania rakiet NATO. To będzie zdecydowany zwrot w dotychczasowej polityce. Taka sensacja przyspieszy z pewnością krążenie krwi w żyłach Alexandra, który w swojej pracy opierał się na tego rodzaju przeciekach. Dzięki nim zyskiwał czas na wyczerpującą analizę argumentów za i przeciw. Jeżeli więc weteran dziennikarstwa chce zrobić wywiad z Emorym Bradfordem, musi przekonać go, żeby przyjechał do Fox Hollow rano. Havelock ma co prawda rezerwację na popołudniowy lot do Londynu, ale jeżeli czas i rozkład zajęć mu pozwoli, chciałby wpaść choćby na kilka minut do swojego starego mistrza Anthona Matthiasa. O ile oczywiście Alexander wie, gdzie mógłby go znaleźć. Bradford nie będzie miał wyboru. Podporządkuje się wezwaniu tak wpływowego dziennikarza. Jeżeli ma zamiar skutecznie zajmować się sprawami najwyższej wagi, takimi jak Costa Brava, musi pozostać w cieniu, zaś odmowa udzielenia wywiadu Raymondowi Alexandrowi narobiłaby sporego zamieszania. A gdy już pojawi się u niego w Fox Hollow i obstawa pozostanie na zewnątrz w samochodzie, wtedy Michael go dopadnie. Wokół wielkiego domu dziennikarza rozciągały się gęste lasy, zarośnięte pola i strome parowy. Nikt lepiej niż Michał Havliczek nie poruszał się w takim terenie. Tam zaciągnie Bradforda: na wiejskiej drodze już będzie stał samochód, a w nim kobieta, którą podsekretarz stanu posłużył się w Barcelonie. Całą noc będą mieli na przestudiowanie mapy i objechanie dróg. Gdyby zatrzymała ich policja, będą mieli pod ręką gotowe wyjaśnienie. To mogło im się udać. To musiało im się udać!

- Jak tu cudownie! - wykrzyknęła Jenna, oczarowana ulicami oświetlonymi latarniami gazowymi, małymi autobusami i alabastrowymi kolumnkami w sklepowych frontonach.

- I jak bezpiecznie - dodał Michael, dostrzegając białoniebieski wóz patrolowy stojący przy krawężniku między przecznicami. Kładź się - rozkazał. - I nie pokazuj się!

- Co?

- Zrób o co cię proszę. Havelock zwolnił, przejechał obok wozu policyjnego, zauważył wewnątrz policjanta, zjechał na prawo i zaparkował dokładnie przed radiowozem.

- Co ty robisz?

- Idę mu pokazać swoje listy uwierzytelniające, zanim ktoś o nie poprosi.

- Bardzo dobrze, Michał. Policjant opuścił szybę, bacznie przyglądając się tablicy rejestracyjnej wynajętego samochodu Havelocka, tak jak tego sobie w duchu życzył jego kierowca. Przyda się to później, gdyby nadeszły raporty o „podejrzanym samochodzie”.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie tu jest w pobliżu automat telefoniczny? Kiedyś stał

na rogu, ale teraz wszystko się zmieniło. Nie było mnie tu kilka lat.

- Przyjeżdżał pan do nas? - zapytał przyjacielskim tonem policjant. W jego oczach nie malowały się jednak przyjazne uczucia.

- Jasne. Spędziłem tu wiele weekendów.

- A teraz zjawił się pan w Fox Hollow w interesach?

- No cóż... - Michael na chwilę zawiesił głos, jakby uważał pytanie za graniczące z impertynencją. Potem wzruszył ramionami, niczym ktoś, kto mówi: „Ostatecznie policja musi wykonywać swoją robotę” - W porządku, rozumiem. Mam tu sprawę do starego przyjaciela, Raymonda Alexandra. Chcę do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że tu jestem... To na wypadek, gdyby ktoś u niego był, z kim wolałby, żebym się nie spotkał. W kontaktach z panem Alexandrem to standardowa procedura. Ale pan pewnie musi o tym wiedzieć.

Chciałbym przez chwilę pokręcić się po okolicy. I tak będę musiał trochę poczekać... Kiedy padło nazwisko Alexandra, nastawienie policjanta wyraźnie się poprawiło. Limuzyny i prowadzone przez wojskowych samochody, należały do codziennych elementów krajobrazu na trasie do siedziby szanowanego komentatora politycznego. Teraz policjant nie miał do czynienia z takim pojazdem, ale najwyraźniej wiedział, jak postępować w podobnych sytuacjach... „Stary przyjaciel. Spędza tu weekendy...”

- Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana. Pięć przecznic dalej jest restauracja z telefonem w hallu.

- „Latarnik”? - przypomniał sobie Havelock.

- Tak jest.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Wieczorem pewnie jest tam bardzo tłoczno.

Czy nie ma jakiejś budki na ulicy?

- Jest jedna tu w pobliżu na Akacyjowej.

- Jeżeli mi pan jeszcze powie, jak się tam do niej dostać, razem z RA będziemy panu niewymownie wdzięczni.

- Niech pan jedzie za mną.

- Nie, bardzo dziękuję. - Michael ruszył w stronę swojego samochodu, zatrzymał się i wrócił do okna. Wiem, że może to zabrzmieć głupio, ale zwykle dowożono mnie tutaj. Chyba sobie przypominam, jak trafić do jego domu. Z Webster powinienem skręcić w lewo, w Underhill Road, a potem prosto, przez jakieś dwie lub trzy mile, tak?

- Prawie sześć, proszę pana.
- Naprawdę? Dziękuję.
- Kiedy już się pan dodzwoni, mogę pana tam zaprowadzić. Dziś wieczorem w mieście panuje spokój.
- To bardzo uprzejmie z pana strony. Ale naprawdę nie powinienem pana o to prosić.
- Żaden kłopot. Po to w końcu tu jesteśmy.
- Jeszcze raz dziękuję.

Telefon

do Alexandra, zgodnie z oczekiwaniami Havelocka, przyniósł

natychmiastowy efekt. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby Michael wpadł choćby tylko na drinka. On sam ucieszył się, że Raymond nie jest zajęty, nie tylko dlatego, że pojawiła się okazja odnowienia starej przyjaźni. Chciałby mu też przekazać wiadomość z Londynu, która prawdopodobnie bardzo go zainteresuje. Sądzi, że w ten sposób, choćby częściowo, zrekompensuje wiele wystawnych obiadów, którymi podejmował go Raymond...

- Pan Alexander chciałby poznać pańskie nazwisko. Jest panu bardzo wdzięczny -

powiedział Michael, przechodząc z powrotem koło policyjnego wozu.

- To nic takiego, proszę pana. Nazywam się Lewis, posterunkowy Lewis. Tylko jeden jest o takim nazwisku. Lewis, pomyślał. Harry Lewis, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Concord. Nie miał teraz czasu myśleć o Harrym, ale wkrótce pewnie znajdzie.

Lewis musi być przekonany, że Michael wypadł z cywilizowanych kręgów. Żeby mógł do nich powrócić, najpierw trzeba odnaleźć kłamców i wyciągnąć ich na światło dzienne.

- Czy coś się stało, proszę pana?

- Nie, nic. Znam pewnego człowieka o tym samym nazwisku. Właśnie przypomniałem sobie, że muszę do niego zadzwonić. Jeszcze raz dziękuję, pojedę za panem.

- No, jak tam? - Havelock usiadł za kierownicą wynajętego samochodu i zerknął na Jenę.

- Jest mi niewygodnie i boję się jak cholera! Co by było, gdyby policjant podszedł do samochodu?

- To mało prawdopodobne, ale jeśli nawet, to zawołałbym go z budki telefonicznej.

Policjanci w Fox Hollow trzymają się blisko swoich radiotelefonów. Nie chciałem, żeby cię tu widziano. Nie tutaj, i nie ze mną. Dojazd do domu Alexandra zajął prawie dwanaście minut. Posiadłość dziennikarza otaczało białe ogrodzenie, świecące w blasku reflektorów obu samochodów. Dom okazał się gustowną kombinacją kamienia i drewna, z okrągłym oświetlonym podjazdem i szerokimi, wykładanymi łupkiem schodami, które prowadziły do ciężkich dębowych drzwi wejściowych. Od frontu Havelock nie dostrzegł zarośli ani krzaków, jedynie na krótko wystrzyżonym trawniku strzelały w górę smukłe, nieregularnie rozrzucone drzewa. Jednak po obu stronach domu, trawnik nagle przechodził w gęsty las.

Michael w pamięci odtworzył widok na patio z tyłu. Tam też drzewa podchodziły blisko do posiadłości. Wykorzysta ten las, Bradford wejdzie do niego wraz z nim.

- Kiedy usłyszysz, że radiowóz odjechał, możesz rozprostować kości - powiedział do Jenny Havelock. Ale nie wysiadaj z samochodu. Nie wiem, jaki alarm zainstalował tu Alexander.

- Jak na ten twój wolny kraj, to niezłe powitanie, Michał.

- Poza tym nie pal.

- D kuji.

- Proszę bardzo. Wysiadając z samochodu, Havelock, niby nieumyślnie, dotknął

klaksonu. Krótki dźwięk rozległ się niespodziewanie i łatwo można go było wytłumaczyć. W

porządku! Nie ma psów! Podszedł do wozu patrolowego, mając nadzieję, że zanim tam dojdzie, klakson spełni swoje zadanie. I tak też się stało: frontowe drzwi otworzyły się i na progu stanęła służąca w fartuszkach.

- Cześć, Margaret - krzyknął Michael ponad maską radiowozu. Już idę! -

Posterunkowy obejrzał się w stronę drzwi. Scenka została zauważona. - Jeszcze raz dziękuję, panie Lewis powiedział, wyciągając z kieszeni banknot. - Chciałbym...

- Och, nie. Nie mogę tego przyjąć, ale dziękuję. Życzę panu miłego wieczoru. -

Policjant skinął z uśmiechem głową, wrzucił bieg i odjechał. Havelock pomachał mu dłonią.

A więc nie ma policji i psów, pozostaje jeszcze tylko nieznan system alarmowy. Jenna będzie bezpieczna, tak długo, dopóki nie opuści samochodu. Podszedł do kamiennych stopni i stojącej w progu służącej.

- Dobry wieczór, panu - powitała go kobieta z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Mam na imię Enid, nie Margaret.

- Bardzo przepraszam.

- Pan Alexander oczekuje pana. Nigdy nie słyszałam o Margaret, dziewczyna, która służyła tu przede mną, miała na imię Greta. Zmarła cztery lata temu, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Raymond Alexander wstał z wygodnego fotela, w swojej wyłożonej boazerią bibliotece, i z wyciągniętą dłonią ruszył na powitanie Michaela. Poruszał się zwawiej, niż można tego było oczekiwać po jego otyłej sylwetce. Głowę przykrywała mu strzecha potarganych włosów, które mimo upływu lat nie straciły swojego ciemnego koloru. Zgodnie z anachronicznym stylem życia, nosił bordową bonzurkę. Czegoś podobnego Havelock nie widział od czasów Greenwich w Connecticut.

- Jak się masz, Michael! Mój Boże, to już cztery... nie, pięć lat - wykrzyknął

dziennikarz mocnym, wysokim głosem.

- Nie widać ich po tobie, Raymond. Wyglądasz wspaniale.

- Ty, niestety nie! Wybacz mi młody człowieku, ale przypominasz mi coś, co jeden z moich kotów

pozostawił przed domem. Chyba nie służy ci ta emerytura. - Alexander uściśnął

dłoń Havelocka i podniósł obie ręce do góry. - Tak, tak, oczywiście. Wiem, co czują przyjaciele, kiedy odpowiadają na pytania. Zrób sobie drinka, znasz tutejsze obyczaje i wygląda na to, że przyda ci się kropla alkoholu.

- Dziękuję, chętnie się napiję. - powiedział Michael, kierując się w stronę znajomego, obitego miedzią barku przy ścianie.

- Wyglądałbyś chyba lepiej, gdybyś trochę się wyspał... To był dobry moment na rozpoczęcie rozmowy. Havelock usiadł naprzeciwko dziennikarza i opowiedział mu o morderstwie w Nowym Jorku oraz o tym, jak Departament Stanu ściągnął go z Londynu o czwartej rano czasu brytyjskiego.

- Czytałem o tym w porannej prasie - powiedział, kręcąc głową Alexander. Naturalnie zaraz pomyślałem o tobie, oczywiście ze względu na nazwisko, ale też od razu wiedziałem, że to śmieszne podejrzenie. Ty? Z takim życiorysem? Ktoś może ukraść ci legitymację?

- Nie, była podrobiona, a przynajmniej tak uważamy. Muszę przyznać, że były to dwa długie dni. Przez chwilę nawet myślałem, że jestem więźniem.

- Cóż, nigdy by cię tak nie potraktowali, gdyby Anthon o tym wiedział. Tylko najbliżsi przyjaciele Matthiasa używali jego czeskiego imienia, Havelock o tym wiedział i zaniepokoiła go ta uwaga Raymonda. Musi zmienić scenariusz rozmowy, numer z Bradfordem pozostawi na koniec. Teraz trzeba zająć się Matthiasem, byłoby nienaturalne, gdyby nie okazał zainteresowania.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział obojętnym tonem, obracając szklanekę w palcach. - I doszedłem do wniosku, że musi być bardzo zajęty. Prawdę mówiąc, chciałem cię zapytać, czy w ogóle jest w Waszyngtonie. Z chęcią wpadłbym do niego na chwilę, ale nie mam za wiele czasu - muszę wracać do Londynu. Gdybym osobiście do niego zadzwonił...

wiesz jaki jest Anthon. Nalegałby, żebyśmy został na kilka dni.

- A więc ty nic nie wiesz? - Alexander pochylił się w swoim grubo wyściełanym krześle. Na jego inteligentnej twarzy pojawił się wyraz zaintrygowania.

- O czym nie wiem?

- Do diabła, tak to jest, kiedy rządowa paranoja posuwa się za daleko! W końcu jest dla ciebie najbliższą, poza ojcem, osobą. A ty jesteś mu prawie tak bliski jak syn! Znasz sekrety tysięcy tajnych operacji, a oni nic ci nie powiedzieli.

- Czego mi nie powiedzieli?

- Anthon jest chory. Przykro mi Michael, że dowiadujesz się tego ode mnie.

- To coś poważnego?

- Sądząc z pogłosek, jego stan można określić nawet jako krytyczny. Najwyraźniej zdaje sobie z tego sprawę i, jak to ma w zwyczaju, o sobie myśli na końcu. Kiedy Departament zorientował się, że wiem o tym, wysłał do mnie osobistą notkę, w której pod przysięgą zobowiązuje mnie do zachowania tajemnicy.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Przez jeden z tych dziwnych przypadków, o których myślimy, że się nie zdarzają, dopóki się nie zdarzą... Kilka tygodni temu wyciągnięto mnie na przyjęcie w Arlington, wiesz jak nie cierpię tych wyczerpujących ćwiczeń w odporności na słowa, ale gospodyni była bliską przyjaciółką mojej zmarłej żony.

- Bardzo mi przykro - powiedział Havelock, jak przez mgłę przypominając sobie żonę dziennikarza, smukłą istotę, która najlepiej czuła się uprawiając ogródek i zajmując się kwiatami. Nie wiedziałem.

- Nic się nie stało. Od jej śmierci minęły już ponad dwa lata.

- A to przyjęcie w Arlington?

- A tak... no cóż, ku mojemu zmieszaniu, pewna zupełnie pijana młoda kobieta, dosłownie zaczęła dobierać się do mnie. Gdyby to był jakiś wamp, który ma ochotę na romans, zrozumiałbym, że ciągnie ją do najbardziej pożądanego w okolicy faceta, ale obawiam się, że nie o to jej chodziło. Najwyraźniej miała kłopoty bardzo niezwykłej natury.

Jej mąż służy w armii jako oficer i przebywa poza domem, czytaj: „poza małżeńskim łóżem”, już ponad trzy miesiące, ale w Pentagonie nikt nie chciał jej powiedzieć, gdzie go odkomenderowano. Zaczęła więc symulować chorobę, według mnie nie musiała się bardzo zmuszać, i mężowi udzielono urlopu z nagłych powodów rodzinnych. Kiedy nieszczęśnik wpadł już w jej sieci, zażądała dokładnego sprawozdania, gdzie był, co robił, czytaj: „czy spotykał się z innymi kobietami”. Oczywiście odmówił wyjaśnień. Żona poczekała więc, aż nasz żołnierz uśnie, przeszukała jego rzeczy i znalazła przepustkę do jednostki, o której nigdy nie słyszała. Prawdę mówiąc, ja też. Przypuszczam, że kiedy się obudził, urządziła mu awanturę, a on w obronie własnej wypaplał, że chodzi o tajemnicę najwyższej wagi. Właśnie w tej jednostce przetrzymują bardzo ważnego człowieka i naprawdę nic więcej nie może powiedzieć.

- Anthona?

- Aż do następnego ranka nie poskładałem tego do kupy. Pamiętam tylko, że zanim odstawił ją do domu jakiś miłosierny lub napalony gość, powiedział, że kraj powinien dowiedzieć się o czymś takim, a rząd zachowuje się jak Matka Rosja. Rano zadzwoniła do mnie. Była absolutnie trzeźwa i najwyraźniej przerażona. Przepraszyła za, jak to określiła,

„koszmarne zachowanie” i błagała, żebym zapomniał o wszystkim, co mi mówiła.

Współczułem jej z całego serca, ale dodałem, że może instynkt podpowiedział jej właściwą drogę,

choć nie ja jestem chyba odpowiednią do tego osobą. Są inni, o wiele bardziej przydatni. Odpowiedziała, że jej mąż może być zrujnowany, a jego wspaniała kariera wojskowa zniszczona. To wszystko.

- To wszystko? Skąd wiesz, że chodziło o Matthiasa? - Ponieważ tego samego ranka przeczytałem w „Washington Post”, że Anthon przedłużył swoje krótkie wakacje i nie pojawi się przed senacką Komisją Spraw Zagranicznych. Wciąż myślałem o tej kobiecie, i o tym co powiedziała... No i o tym, że Anthon rzadko przepuszcza okazje spotkania się w Senacie z dziennikarzami telewizji. A potem pomyślałem: „dlaczego nie?” Tak jak i ty, wiem, gdzie spędza każdą wolną chwilę.

- W domku myśliwskim w Shenandoah - powiedział Havelock, wyczuwając déjà vu.

- Właśnie. Zakładałem, że jeżeli gazeta nie myliła się i Anthon wziął sobie kilka dodatkowych dni, mógłbym spotkać się z nim, żeby powędkować w dolinie albo zagrać w jego ukochane szachy. Tak jak i ty, mam jego prywatny numer, więc zadzwoniłem.

- Nie było go tam - powiedział Michael.

- Tego mi nie powiedzieli - poprawił dziennikarz. Usłyszałem tylko, że nie może podejść do telefonu.

- Do tego telefonu?

- Tak... tego. Podłączonego do prywatnej linii.

- Telefonu, którego nikt nie ma prawa odbierać, kiedy gospodarza nie ma w pobliżu?

- Tak. - Alexander podniósł szklankę z brandy i wypił. Havelock o mało nie krzyknął.

Miał ochotę rzucić się na felietonistę i potrząsnąć nim z całej siły. Zamiast tego zauważył spokojnie:

- To musiał być dla ciebie szok.

- A dla ciebie by nie był?

- Oczywiście, był. Nie widać tego w moich oczach? I co wtedy zrobiłeś?

- Najpierw zadzwoniłem do Żeleńskiego. Przypominasz sobie starego Leona?

Kiedykolwiek Matthias pojawiał się w myśliwskim domku, zawsze zapraszano Żeleńskiego na obiad, to był już wieloletni zwyczaj.

- Skontaktowałeś się z nim?

- Owszem. I dowiedziałem się, czegoś bardzo dziwnego. Profesor powiedział, że nie widział Anthona już od miesiący i w dodatku Matthias nie odbiera osobiście jego telefonów.

Stary Leon uważa, że nasz wielki człowiek nie ma już czasu na przyjazdy do doliny.

- Jesteś przyjacielem Żeleńskiego, prawda? - Michael nagle sobie coś przypomniał.

- Przez Anthona. Spotykaliśmy się głównie u niego. Od czasu do czasu wpadał na lunch i szachy. Nigdy nie zostawał na kolację, nie jeździł po zmroku. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Matthias nie wybrał się do jedyne miejsce, gdzie mógłby spędzić swoje wakacje. Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, że może unikać starego Leona. A ty? Poza tym Żeleński pozwalał mu wygrywać. - A ja nie potrafię sobie też wyobrazić, że pozostawiłeś tę sprawę własnemu losowi.

- Nie zostawiłem. Zadzwoiłem do sekretariatu Anthona i poprosiłem do telefonu jego zastępcę, zaznaczając, żeby był to ktoś, kto reprezentuje sekretarza stanu podczas jego nieobecności, bo chcę poruszyć bardzo istotny temat. Zgadnij kto, podszedł?

- Nie mam pojęcia!

- Emory Bradford. Pamiętasz go? Ten bumerang, bicz boży na wojskowych, a uprzednio ich rzecznik. Kiedyś byłem nim zafascynowany! Naprawdę, podziwiałem go za umiejętność i odwagę zmiany poglądów, ale zawsze sądziłem, że Matthias nie cierpi tego całego stada. Raczej bardziej już współczuł tym, którzy spadali w płomieniach, bo nie chcieli zmienić swoich przekonań.

- Co odpowiedział ci Bradford? - Michael ścisnął szklanekę w dłoni. Nagle, z przerażeniem uświadomił sobie, że może ją zgnieść.

- Chodzi ci o to, co powiedział, kiedy przedstawiłem mu swoją wersję zdarzeń?

Oczywiście, ani słowem nie wspomniałem o kobiecie. Bóg mi świadkiem, nie było to potrzebne. Bradford był zaszokowany. Błagał, żebym nic nie mówił, ani nie pisał. Obiecał, że Matthias osobiście się ze mną skontaktuje. Zgodziłem się i nazajutrz wczesnym popołudniem, posłaniec przyniósł liścik od Anthona. Aż do tej pory wytrwałem w przyrzeczeniu dochowania tajemnicy. Nawet przez chwilę nie uwierzę, że Anthon sam by ci o tym nie powiedział.

- Nie wiem co ci odpowiedzieć. - Havelock już nie ścisnął tak mocno szklanki. Za to oddychał głęboko. Dziennikarz mógł to interpretować na różne sposoby. Dla Michaela było to preludium do zadania być może najważniejszego pytania w swoim życiu. Pamiętasz jak nazywała się jednostka wojskowa, dokąd odkomenderowano męża tej kobiety? Ta, o której nigdy nie słyszałeś?

- Tak - odparł Alexander, bacznie przyglądając się Havelockowi. - Nikt jednak nie wie, że wiem. Ani też skąd wiem.

- Powiesz mi? Nikt nigdy się nie dowie, skąd wiem. Masz na to moje słowo.

- Po co ci to, Michael?

- Chyba tylko po to, żeby wysłać mu koszyk z owocami. No i list, oczywiście.

- To miejsce nazywa się Poole's Island, niedaleko wybrzeża morskiego w Georgii. -

Dziennikarz pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Dziękuję ci. - Michael podniósł się z krzesła.

- Obaj już nic nie mamy do picia. - Alexander zerknął na swoją pustą szklankę. - Jak już idziesz do barku, nalej i mnie. To też należy do miejscowych zwyczajów, pamiętasz?

- Z chęcią ci naleję, ale naprawdę będę musiał jechać. Już godzinę temu powinienem być w McLean.

- Już idziesz? - zawołał felietonista zawiedzionym głosem, unosząc brwi do góry. -

Młody człowieku, a co z informacją z Londynu, którą miałeś spłacić najlepsze obiady w twoim życiu? Havelock stał przy miedzianym barze i nalewał brandy.

- Myślałem o tym, kiedy do ciebie jechałem. - powiedział Havelock w zamyśleniu, stojąc przy miedzianym barze i napełniając szkło. - Może nieco się pośpieszyłem.

- Lubisz psuć zabawę! - zachichotał Alexander.

- No, dobrze! Sam podejmiesz decyzję. Chodzi o bardzo skomplikowaną i głęboko zakonspirowaną operację wywiadowczą, która według mojej opinii do niczego dobrego nas nie zaprowadzi. Chcesz tego wysłuchać?

- Stop, drogi chłopcze! Mówisz do niewłaściwego pismaka. Nawet tego nie dotknę.

Podpisuję się pod maksymą Anthona, który mówi, że osiemdziesiąt procent działalności wywiadów, to gra w szachy między idiotami, na użytek paranoidalnych kretynów!

- Paliałś - powiedział Michael, wsiadając do samochodu.

- Czując się jak nastolatek na cmentarzu - odparła skulona na podłodze Jenna. - Co z Bradfordem? Czy twój przyjaciel ściągnie go tutaj? Havelock uruchomił silnik, wrzucił bieg i gwałtownie przyśpieszając na podjeździe, ruszył w stronę bramy.

- Teraz możesz się już podnieść.

- Co z Bradfordem?!

- Pozwolimy mu pocić się przez chwilę, niech popracuje po godzinach.

- Co ty mówisz, Michaił? - Jenna usadowiła się na siedzeniu i spojrzała na Havelocka.

- Będziemy jechali całą noc, rano trochę odpoczniemy, a potem znów w drogę. Chcę być na miejscu jutro wieczorem.

- Na Boga, gdzie?

- W miejscu zwanym Poole's Island, gdziekolwiek by to nie było.

24

Wyspa leżała na wschód od Savannah, niezbyt daleko od brzegu. Miała nie więcej niż dwie mile kwadratowe powierzchni i zamieszkiwała ją garstka mieszkańców. Tak przynajmniej było do czasu, kiedy pięć lat temu rząd przejął ten teren, zamierzając urządzić tu ośrodek badań oceanograficznych. Rybacy mówili, że kilka razy w tygodniu, helikopter startujący z bazy lotniczej w Hunter, przelatywał z łoskotem w stronę niewidocznego lądowiska na wyspie, ukrytego za wysokimi sosnami, porastającymi skalistą linię wybrzeża.

Do Savannah dotarli o piętnastej trzydzieści, a o szesnastej znaleźli niczym nie wyróżniający się motel przy autostradzie biegnącej wzdłuż oceanu. O szesnastej dwadzieścia stanęli na nabrzeżu, gdzie rybacy cumowali swoje łodzie: akurat, żeby zobaczyć jak około tuzina łódek wraca z codziennym połowem. Kwadrans po siedemnastej wymienili kilka słów z rybakami, a w piętnaście minut później Havelock przeprowadził ciche negocjacje z właścicielem łódki. Po dalszych dwudziestu minutach, dwieście dolarów przeszło z rąk do rąk, a pięciometrowy skif, z doczepionym dwunastokonnym silnikiem, przez całą dobę był do jego dyspozycji. Rybak zobowiązał się też powiadomić o układzie nocnego stróża. Pojechali autostradą do centrum handlowego w Fort Pulaski, gdzie w sklepie z artykułami sportowymi Michael kupił wełnianą czapkę, obcisły sweter, spodnie i wysokie buty na gumowej podeszwie: wszystko w czarnym kolorze. Jako dodatek do ubrania, nabył jeszcze wodoodporną latarkę, pakiet z gumowanego materiału, nóż myśliwski i pięć pęków siedemdziesięciodwucalowych sznurowadeł z niegarbowanej skóry.

- Sweter, czapka z włóczki, latarka, nóż - pośpiesznie i gniewnym tonem wykrzykiwała Jenna. Kupiłeś tylko po jednej sztuce. Potrzebny będzie jeszcze drugi komplet.

Idę z tobą.

- Nie idziesz.

- Zapomniałeś o Pradze i Warszawie? O Trieście i Bałkanach?

- Nie, to ty zapomniałaś. W każdym z tych miejsc był zawsze rezerwowy człowiek, na którym mogliśmy polegać, nawet jeżeli sprowadzałoby się to tylko do zyskania na czasie.

Ktoś w ambasadzie lub konsulacie, kto stanowi zabezpieczenie, dysponuje kartą przetargową.

- Nigdy nie korzystaliśmy z tych ludzi.

- Bo nigdy nas nie złapano.

- Co będzie kartą przetargową? Jaka wiadomość?

- Zapiszę ci. Po drugiej stronie deptaka jest sklep papierniczy. Kupimy notes i kalkę biurową. Chodźmy. W pokoju hotelowym Jenna usiadła na fotelu obok biurka, przy którym Havelock pisał. Po wypełnieniu kolejnej żółtej strony, odbierała od niego kopie i sprawdzała czytelność niebieskiej odbitki. Michael zapisał dziewięć kartek, precyzyjnym blokowym pismem. Każdy podpunkt był numerowany, każdy szczegół precyzyjnie opisany, każde nazwisko podane w pełnym brzmieniu. Był to spis wybranych supertajnych operacji wywiadowczych i infiltracji, przeprowadzonych na terenie całej Europy przez rząd Stanów Zjednoczonych: źródła, informatorzy, głęboko zakonspirowani i podwójni agenci, oraz lista dyplomatów i attach w trzech ambasadach, którzy w rzeczywistości nadzorowali pracę placówki Centralnej Agencji Wywiadowczej. Na dziesiątej kartce zamieścił wyjaśnienie operacji na Costa Brava, wymieniając nazwisko Emory'ego Bradforda oraz ludzi, którzy potwierdzili, że użyte dowody mogły zostać dostarczone tylko przy współpracy z KGB i oficerem WKR w Paryżu. Ten ostatni przyznał, że Rosjanie wiedzieli o podstępie. Na jedenastej stronie opisał fatalne w skutkach spotkanie na Wzgórzu Palatyńskim i śmierć agenta wywiadu amerykańskiego, który zginął, ratując mu życie, a na moment przed śmiercią zdołał jeszcze krzyknąć, że kłamstwa pochodziły od wysoko postawionego człowieka w Waszyngtonie. Na dwunastej stronie zwięźle przedstawił wydarzenia na Col des Moulinets i wyrok śmierci wydany przez człowieka o pseudonimie operacyjnym Dylemat. Na trzynastej, i zarazem ostatniej, wyznał prawdę o mordercy z Lidic, który przybrał nazwisko Jacoba Handelmana, oraz o przeznaczeniu farmy w Mason Falls w Pensylwanii, gdzie handlowano niewolniczą pracą, równie efektywnie, jak w obozach Alberta Speera. Ostatnie zdanie było zwięzłe: „Sekretarz stanu Anthony Matthias jest więziony w rządowym obiekcie, zwanym Poole's Island, w stanie Georgia”.

- Masz swoją kartę przetargową - powiedział, wstał od stołu i podał Jennie ostatnią stronę. Przeciągnął się. Czuł się obolały, pisał prawie dwie godziny. Jenna czytała, a on zapalił papierosa i podszedł do okna wychodzącego na autostradę i ocean po jej drugiej stronie. Księżyc sporadycznie przeświecał przez chmury rozrzucone po nocnym niebie.

Morze było spokojne, pogoda ładna. Miał nadzieję, że pod tym względem nic się nie zmieni.

- To mocne słowa, Michaił - powiedziała Jenna, odkładając ostatnią kartkę na biurko.

- To przecież prawda.

- Wybacz, ale nie mogę tego zaaprobować. Za pomocą tych kartek mógłbyś pozbawić życia wielu ludzi, wielu przyjaciół.

- Nie przy pomocy ostatnich czterech. Tam nie ma przyjaciół... poza Apaczem, a on nie żyje.

- W takim razie użyj tylko czterech ostatnich. - powiedziała Jenna.

- Nie. - Havelock odwrócił się od okna. - Musimy pójść na całość albo nie robić nic.

Nie możemy sobie pozwolić na rozwiązania pośrednie, oni muszą uwierzyć, że spełnię groźby. I co bardziej istotne, muszą uwierzyć, że ty to zrobisz. Gdyby pojawiła się najmniejsza wątpliwość, zabiją mnie i ciebie prawdopodobnie też. To musi być prawdziwa groźba, a nie czcza pogroźka.

- Zakładasz, że cię złapią...

- Jeżeli znajdę to, czego się spodziewam, sam oddam się w ich ręce.

- To szaleństwo! - krzyknęła Jenna, zrywając się na nogi.

- Nie. Zazwyczaj się nie mylisz, ale tym razem tak. Ta wyspa jest skrótem, którego szukaliśmy. - Havelock podszedł do krzesła, na które rzucił zakupy ze sklepu sportowego. -

Przebiorę się i omówimy sposób łączności telefonicznej.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

- Tak.

- W takim razie będę korzystać z budek telefonicznych powiedziała niechętnie. -

Rozmowy nie dłuższe niż dwanaście sekund.

- Ale tylko jeden numer - Michael podszedł do biurka, wziął do ręki ołówek, zapisał cyfry na bloczku, wyrwał kartkę i podał ją Jennie. - To jest numer dyżurnego OPKON-u.

Pokażę ci, jak połączyć się bezpośrednio. Musisz mieć kieszeń pełną monet.

- Nie mam kieszeni.

- Ani pieniędzy, ani ubrań - dodał Havelock, przytulając ją do siebie. - Musisz to naprawić. Zakupy trochę cię oderwą od całej tej sprawy.

- Zwariowałeś.

- Nie, naprawdę tak myślę. Nie pozostało ci dużo czasu, ale większość sklepów w centrum handlowym jest otwarta do dziesiątej trzydzięci. Jest jeszcze kręgielnia, kilka restauracji i supermarket czynny całą dobę.

- Nie wierzę ci - krzyknęła. Odsunęła twarz do tyłu i przyjrzała mu się uważnie.

- Uwierz - powiedział. - Stamtąd jest bezpieczniej dzwonić, niż z budek telefonicznych przy autostradzie. - Zerknął na zegarek. Jest teraz dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt, a Poole's Island leży półtorej mili od lądu. Powinienem tam dotrzeć w ciągu dwudziestu minut, powiedzmy o dziesiątej.

Od jedenastej zacznij dzwonić pod ten numer i pytać: „bilard czy piramidka”. Rozumiesz?

- Oczywiście. „Bilard czy piramidka”.

- Dobrze. Jeżeli nie padnie natychmiastowa odpowiedź, odwieś słuchawkę i przejdź do następnego aparatu. Dzwon co kwadrans.

- Jaka ma być odpowiedź?

- „Wolimy piramidkę”.

- „Wolimy piramidkę”. Co dalej?

- Jeżeli padnie taka odpowiedź, odwieś słuchawkę i zadzwoń po piętnastu minutach.

Do rozmowy z dyżurnym telefonistą linii alarmowej włączy się ktoś inny. Nie przedstawi się, ale poda prawidłową odpowiedź. Kiedy to zrobi, natychmiast przeczytaj dwie pierwsze linijki z pierwszej strony. Zabiorę ze sobą kopie, więc słowa będą się zgadzać. Jak skończysz, odwieś słuchawkę.

- A potem zaczniesz się czekać - powiedziała przytulona Jenna, z policzkiem przy jego policzku. - Nasze nieruchome więzienie.

- Bardzo nieruchome, właściwie stacjonarne. Kup w supermarkecie jedzenie i nie wychodź z hotelu. Skontaktuję się z tobą.

- Według ciebie jak długo to potrwa?

- Dzień, dwa. - Havelock delikatnie odsunął twarz od jej policzka. - Mam nadzieję, że nie aż tak długo, ale tyle to może trwać.

- A jeżeli... - Jenna nie mogła dokończyć zdania. Do oczu napłynęły jej łzy, a piękna blada twarz nosiła oznaki zmęczenia.

- Po trzech dniach zadzwoń do Alexandra w Fox Hollow i powiedz mu, że, podobnie jak Anthon Matthias, zostałem zabity lub uwięziony. Jako dowód przedstawiś moje własnoręczne zapiski i taśmy z nagraniami dokonanymi w domu Salanne'a w Cagnessur-Mer. W takich okolicznościach nie będzie mógł się ciebie pozbyć, bo jego ukochana republika jest w niebezpieczeństwie. - Michael przerwał na chwilę. - Daj mu tylko cztery ostatnie strony - dodał cicho. Pierwsze dziewięć spal. Masz rację, oni nie zasługują na śmierć.

- Nie mogę ci tego obiecać - powiedziała Jenna zamykając oczy. - Tak bardzo cię kocham. Jeżeli cię stracę, żaden z nich nie będzie się liczył. Żaden.

Prądy przybrzeżne były zmienne, tak jak to się często zdarza, kiedy nadciągające znad lądu masy powietrza zakłócają cyrkulację morskiej wody. Michael znajdował się ćwierć mili od najeżonej

skalami linii brzegowej wyspy. Podpływał od zawietrznej, żeby wiatr znosił

przytłumione odgłosy silnika na pełne morze. Wkrótce wyłączy go i zacznie wiosłować, kierując się w stronę najciemniejszej części nabrzeżnych sosen, zza których spływała delikatna poświata. Wcześniej zawarł oddzielny układ z nocnym stróżem w porcie. Tak postąpiłby każdy doświadczony agent operacyjny, który wiedział, że będzie musiał porzucić wynajętą łódź. Nie wolno palić za sobą mostów, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Warto zapewnić sobie jakąś korzyść z układu, choćby tylko po to, żeby zyskać na czasie. A pięć minut zamieszania często stanowi różnicę między schwytem a ucieczką. Jak do tej pory, wyprawa odbywała się bez przeszkód. Havelock miał zamiar skierować skifa w najciemniejszą zatoczkę i wyciągnąć go na brzeg. Nadeszła pora. Zamknął przepustnicę, silnik cicho kichnął i zgasł. Przesiadł się na ławeczkę pośrodku łodzi i zamocował wiosła w dulkach. Prąd od lądu był silniejszy niż się spodziewał, zaczął walczyć z odpływem, mając nadzieję, że zmieni się, zanim osłabną mu ręce. Rana z Col des Moulinets zaczęła mu dokuczać, w większym stopniu musiał wykorzystywać balans ciała. Nagle coś usłyszał. Nie było to szorstkie skrzywienie dulek, ani plusk fal o dziób. To był przytłumiony odgłos...

silnika. Jakies pół mili po prawej, błysnęło światło reflektora i omiotło morze. Była to łódź

patrolowa, która okrążała przeciwległy brzeg wyspy, zmieniła kierunek na sterburtę i płynęła wprost na niego. Havelock zastanawiał się czy w skład systemu bezpieczeństwa wyspy wchodził też sonar... dźwiękowe fale wysyłane ponad wodą, które wznosiły się i opadały wraz z odpływami i były w stanie wykryć małe jednostki pływające, które zbliżały się do wyspy. Czy może to tylko rutynowy patrol? Nie było czasu do namysłu. Havelock pochylił

się, wyjął z dulek wiosła i ułożył je na dnie łódki, wsuwając pod ławki. Sięgnął do przodu po linę kotwiczną, wyrzucił ją przez dziób i zanurzył się w wodzie, mimowolnie wstrzymując oddech i napinając mięśnie. Przesunął się w kierunku rufy i jedną ręką przytrzymując się śruby, drugą ochlapał silnik, ochładzając w ten sposób jego pokrywę. Do tej pory płynął na niskich obrotach, a za kilka minut tylko wrażliwa dłoń będzie w stanie wyczuć, czy silnik pracował, o ile w ogóle przyjdzie to komuś do głowy. Nagle oślepił go blask reflektora. Skif został zauważony. Przez wiatr przebił się odległy ryk silnika, do którego dołączyło zawodzenie syreny. Kuter patrolowy przyspieszył, płynąc w jego kierunku. Michael zanurzył

się pod wodę i znoszony przez prąd odpłynął od łodzi, w przeciwną niż wyspa stronę. Skif wciąż był prawie ćwierć mili od brzegu, w tych wodach była to zbyt duża odległość dla pływaka, ale po odkryciu łodzi, ten fakt mógł mu tylko sprzyjać. Kuter patrolowy ustawił się równolegle do skifa i wyłączył silnik. Michael utrzymywał się na wodzie dwadzieścia jardów za rufą, nie wychylając się zbyt wysoko ponad powierzchnię. Mokną wełnianą czapkę ściągnął na twarz. Reflektor omiatał wodę na wszystkie strony, a Havelock dwukrotnie musiał zanurzyć się z otwartymi oczami, by ponownie wynurzyć się, kiedy snop światła powędrował dalej.

Wciąż przeszukiwano akwen, ale tylko od strony dziobu i burt. Dwaj ludzie z bosakami przyciągnęli skifa do siebie.

- To łódź Leo, poruczniku! Z Savannah! Numer GAzero-osiem- dwa! - zawołał ten od strony dziobu.

- Przekaż bazie, żeby połączyli się z portem w Savannah! wrzasnął oficer do niewidocznego radiooperatora. - Numer GA zero-osiem-dwa! I czekaj na odpowiedź!

- Tak jest!

- Powiadom bazę o naszej pozycji. Niech patrole sprawdzą czwarty sektor.

- Ta łódź nie mogła dobić do brzegu, panie poruczniku - powiedział mężczyzna z bosakiem. - Wpadłaby w sieci pławne. Są rozciągnięte w każdej przerwie między skałami.

- W takim razie, co ona, u diabła, tu robi? Jest tam jakieś ubranie, sprzęt? Cokolwiek?

- Nie ma nic, panie poruczniku! - wrzasnął marynarz, który wszedł na skifa. - Tylko śmierdzi rybami. Havelock przyglądał się postaciom, utrzymując w wodzie pionową pozycję.

Był zaskoczony: załoga kutra patrolowego, miała na sobie mundury armii w kolorze khaki, a oficer, kurtkę polową. Nie byli z marynarki, mimo że na to wskazywały oznakowania łodzi.

- Panie poruczniku! - dobiegł z kabiny głos. W łukowatym przejściu pojawiła się głowa w słuchawkach.

- Dozorca w przystani Leo powiedział, że łódkę wypożyczyło dwóch pijanych facetów, którzy wrócili po zmroku. Chyba nie zacamowali jej właściwie i porwał ją przyływ. Będzie nam bardzo wdzięczny, gdybyśmy ją odholowali. Dostanie po uszach, jeżeli ktoś się dowie. Sama łódź jest gównie warta, ale doczepiony silnik kosztuje parę dolców.

- Nie podoba mi się to - powiedział oficer.

- Panie poruczniku, co pan? Kto w tych wodach będzie pływał pół mili? Rybacy widzieli w pobliżu rekiny.

- A jeżeli łódź dobiła do brzegu?

- Przez sieci pławne? - zapytał żołnierz z bosakiem. - Nie ma jak.

- A niech to szlag! Bierzemy łódź na hol i pokrećmy się przy sieciach i skałach. Ten Leo jest nam coś winien. Havelock pomyślał, że zawdzięcza nocnemu dozorczy o wiele więcej, niż mógłby oczekiwać za te sto dolarów, które mu wręczył. Ryknął uruchomiony silnik. Jeden z żołnierzy wspiął się na pokład, a drugi przywiązał linę kotwiczną do knagi na rufie kutra. Po chwili patrolowiec ruszył, płynąc zygzakami w stronę brzegu. W ciemnościach błyskało światło reflektora. Sieci pławne. Płachty lekkiej tkaniny, utrzymywane na powierzchni przez korkowe lub styropianowe boje, splecione razem przy pomocy strun fortepianowych. Ryby nie były w stanie ich przerwać, w przeciwieństwie do śrub łodzi. A to z kolei uruchamiało alarm. Skały. Fragmenty linii brzegowej, niedostępne dla jednostek pływających wszelkich rozmiarów. Musiał cały czas obserwować łódź patrolową, jak się do nich zbliża. Rekiny. Nie było sensu o nich myśleć. To i tak nie miało już

znaczenia. Musiał

skoncentrować się na dotarciu do wyspy. Prąd był prawie nie do pokonania. Płynął zabką i posuwał się do przodu, jedynie w przerwach między falami. Wiedział, że zbliża się do celu, kiedy dostrzegł tuzin latarek przesuających się między sosnami. Czas jakby się zatrzymał, a jego upływ wyznaczał jedynie narastający ból rąk i nóg. Nie miał innego wyjścia: musi dotrzeć do sieci, skał lub innego oparcia pod stopami. Najpierw dotarł do sieci. Przesuwał się w prawo, chwytając dłońmi grubą nylonową linę, aż wyczuł pod palcami olbrzymią styropianową boję. Okrążył ją, wyciągnął się na linę i uderzył kolanami o coś twardego: dotarł do skał. Uchwycił się sieci. Napływające fale biły w jego ciało. Czekał, łapiąc oddech.

Światła latarek oddalały się wśród sosen, przeczesanie czwartego sektora okazało się bezowocne. Kiedy między pniami drzew zniknął ostatni promień, zaczął cał po calu przesuwać się w stronę brzegu. Przez cały czas kurczowo trzymał się sieci, fale waliły w niego bez przerwy. Nie może zbliżyć się do skał! Nad nim majaczyły groźne, białe, zębate, kamienne ostrza, które tysiącletnia walka z morskim żywiołem wyostrzyła jak brzytwę. Jedna duża fala i zostanie wbity na pal. Przesunął się w lewo, rozciągając na sieciach, kiedy nagle wszystko skończyło się. Wreszcie! Poczł pod stopami piasek. Pokonał stworzoną przez ludzi barierę i znalazł się na brzegu. Podnosząc z trudem ramiona, wy dostał się z wody, podczas, gdy jego nogi w dalszym ciągu leżały w mokrym piasku. Na niebie pojawił się na chwilę księżyc i oświecił, odległe o dwadzieścia jardów wydmy, porośnięte trawą. Czołgał się dalej, każdy metr przybliżał go do miejsca, gdzie będzie mógł odpocząć. Wreszcie wdrapał się na suchy piasek wydmy, przewrócił na plecy i wpatrywał w czarne niebo. Leżał w bezruchu, prawie przez pół godziny, aż do chwili, kiedy poczuł, że w ramionach zaczyna krążyć krew, a w nogach powróciło czucie. Pomyślał, że dziesięć, a nawet pięć lat temu, po przejściu takiej próby potrzebowałby na dojście do siebie najwyżej piętnastu minut. Teraz b łogostawiłby kilka godzin odpoczynku, nie wspominając już o ciepłej kąpieli i nocy w łóżku. Podniósł rękę i spojrział na świecące na zegarku cyfry. Była dwudziesta druga czterdzieści trzy. Za siedemnaście minut Jenna po raz pierwszy zadzwoni do dyżurnego z Operacji Konsularnych.

Według jego obliczeń potrzebował na wyspie godziny przed pierwszym telefonem. Chciał

z badać teren i spokojnie podjąć decyzję. Nie miał jednak tej godziny. Był spóźniony o czterdzieści trzy minuty w stosunku do rozkładu. Z drugiej strony, gdyby nie udało mu się pokonać raf, nie musiałby przestrzegać żadnego rozkładu. Wstał, poruszył nogami i ramionami, zrobił skłon, i odchylił się do tyłu. Na całym ciele, pod przemoczonym ubraniem, czuł drażniące drapanie piasku, ale prawie nie zwracał na to uwagi. Był zadowolony, że w ogóle może funkcjonować, że impulsy wysyłane z mózgu do mięśni przechodziły przez odpowiednie ośrodki motoryczne. Mógł się poruszać, jeżeli będzie to konieczne, nawet szybko. I logicznie myśleć. Niczego więcej nie potrzebował. Sprawdził ekwipunek. Do rzemienia, którym przepasał się wokół bioder, przymocował na lewym boku, obok pakietu z gumowego materiału wodoodporną latarkę. Na prawym miał nóż myśliwski w pochwie.

Otworzył wodoszczelny pakiet i palcami dotknął zawartości. Trzynaście złożonych kartek zostało nietknięte przez wodę. Tak, jak i mały hiszpański pistolet. Wyjął broń, wepchnął ją za pasek i ponownie przyczepił pakiet do rzemienia. Potem zajął się kieszeniami w spodniach.

Sznurowadła z nie garbowanej skóry były mokre, ale były. Każde zawinięte w osobną kulkę, pięć w

prawej kieszeni, pięć w lewej. Jeżeli będzie mu potrzeba więcej niż dziesięć, przestanie ich w ogóle potrzebować. Nie przydadzą się już na nic. Był gotów. Kroki... Czyżby słyszał kroki? Jeżeli tak, to ten odgłos nie pasował do piasku i miękkiej ziemi pośród sosen.

To był powolny rytm ostrych uderzeń skórzanych obcasów o twardą nawierzchnię. Havelock skulił się, podbiegł w stronę wysokich drzew i wpatrywał się w prawo. Po chwili dołączyły do nich drugie rytmiczne skrzypnięcia, nieco dalej, tym razem po lewej. Zbliżały się w jego stronę. Były identyczne jak pierwsze, powolne, ostrożne. Wczołgał się głębiej między sosny, aż znalazł się kilka stóp od krawędzi lasu. Przypadł do ziemi i natychmiast podniósł głowę, by skorzystać z nieoczekiwanej poświaty księżyca. To co zobaczył, wyjaśniało mu jedynie pochodzenie dźwięków. Na wprost przed nim, rozciągała się szeroka, gładka, betonowa droga, a tuż za nią, palisada o wysokości co najmniej dwunastu stóp. Ogrodzenie biegło w obie strony, tak daleko, jak mógł sięgnąć wzrokiem. Ponad nim dostrzegł światło, lunę widoczną na całej przestrzeni. Tę poświatę dostrzegł już z morza, teraz była o wiele jaśniejsza, ale wciąż dziwnie matowa: brakowało jej ostrości. Pierwszy żołnierz nadszedł

powoli z prawej strony. Podobnie jak załoga łodzi patrolowej, miał na sobie połowy mundur armii, ale z biodra zwisał mu rządowy colt 45. Znudzona twarz młodego wartownika wyrażała poczucie straty czasu i energii. Jakieś pięćdziesiąt jardów po lewej, wyłonił się z cienia jego towarzyszy. Szedł jeszcze wolniej, o ile było to w ogóle możliwe. Żołnierze, niczym dwa roboty w kieracie, zbliżyli się do siebie. Miejsce spotkania wypadło nie dalej niż trzydzieści stóp od Havelocka.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej? - zapytał ten z prawej.

- Tak. Przypływ porwał z Savannah jakąś łódź wiosłową. Nie było w niej nikogo.

- Czy ktoś sprawdził silnik?

- O co ci chodzi?

- O olej. Zachowuje ciepło jeszcze po skończeniu pracy silnika.

- Daj spokój. Kto u diabła mógłby się tu dostać? - Nie powiedziałem, że mógłby.

Powiedziałem tylko, że to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć.

- Nieważne. Wciąż przeszukują wyspę dookoła, może myślą, że komuś urosły skrzydła. Chyba wszystkie tutejsze szarże mają źle w głowie.

- A ty byś nie miał?

- Masz rację, zobaczymy się w środku. - Wartownik po lewej zerknął na zegarek.

- O ile zluzuje cię Jackson. Zeszłej nocy spóźnił się pół godziny. Uwierzyłbyś?!

Powiedział, że musiał obejrzeć do końca jakiś parszywy film w telewizji.

- Bez przerwy robi takie numery. Kiedyś Willis powiedział, że pewnego razu zejdzie z posterunku i zamelduje, że Jackson objął wartę. Machnij na niego ręką.

- I tak by się wykręcił. Obaj mężczyźni odwrócili się od siebie i rozpoczęli znajomy, monotony marsz. Michael przemyślał podsłuchaną rozmowę. Teren wyspy przeczesywał

oddział żołnierzy, a wartownicy za chwilę zakończą służbę. Ich obowiązki najwyraźniej nie były zbyt rygorystycznie przestrzegane, jeśli zmiana o północy mogła spóźnić się o pół

godziny. Była w tym wszystkim jakaś sprzeczność. Wyspa została zamieniona w fortecę, a wartownicy traktowali swoje zadania tak, jakby to była nonsensowna, o ile w ogóle potrzebna, działalność. Dlaczego? Odpowiedź podsunęły mu wspomnienia z dawnych lat.

Jeżeli jakiś obowiązek nie miał sensu, zwykły żołnierz dostrzegał to pierwszy. A to mogło oznaczać, że system alarmowy wewnątrz palisady, dorównuje zabezpieczeniom na brzegu.

Michael uważnie przyjrzał się wysokiemu ogrodzeniu. Zbudowano je niedawno, drewno nie zdążyło jeszcze ściemnieć. I nie trzeba było wcale dużej wyobraźni, żeby przewidzieć zainstalowane pułapki: podwójne wiązki światła, reagujące alarmem na masę, ciężar i ciepłość ludzkiego ciała. Nie można ich było przeskoczyć, użyć tunelu lub przedrzeć się. Potem dostrzegł to, co wcześniej umknęło jego uwadze: palisada zakręcała w obu kierunkach, trzymając się dokładnie krzywizny betonowej drogi. Obsadzona przez wartowników brama musiała być poza zasięgiem wzroku, tylko w tych miejscach można było dostać się do środka.

To było niezwykle. Żołnierze z latarkami przeciskali się między pniami drzew i brnęli w piasku plaży, sprawdzając wszystko z perfekcyjną dokładnością. Zaczęli dokładnie tuż za nim, na odcinku wybrzeża zwanym czwartym sektorem i szybko poruszali się naprzód. Było ich tuzin, może trzynastu. Bez względu na to gdzie zaczęli, wrócą do punktu wyjścia i zamkną krąg... Noc była ciemna, a księżyc coraz rzadziej przeświecał przez chmury.

Wykorzystanie oddziału patrolowego do swoich celów było prawie niemożliwe, ale tylko takie rozwiązanie przyszło mu do głowy. Jeżeli jednak jego plan ma mieć szanse powodzenia, musi zacząć działać. I to już. Żołnierz po prawej był najbliżej. Zgodnie z logiką, należało zająć się nim w pierwszej kolejności. Już prawie zniknął z pola widzenia, kryjąc się za krzywizną palisady. Havelock przeskoczył przez drogę i pobiegł dalej po piaszczystym nasypie, przeklinając chlupot w przemoczonych butach. Przed sobą miał odległą o jakieś sześćset stóp, oświetloną bramę. Przyspieszył więc biegu, skracając dystans do poruszającego się ospale wartownika. Miał nadzieję, że wiatr szeleszczący w gałęziach drzew, zagłuszy gąbczaste odgłosy jego butów. Dzieliło go od niego dwanaście stóp, kiedy ten zatrzymał się i zaniepokojony, gwałtownie obrócił się w bok. Havelock skoczył, pokonując ostatnie sześć stóp w powietrzu. Prawą dłoń zacisnął na ustach żołnierza, a lewą oparł na podstawie jego czaszki. Po kontrolowanym upadku na ziemię, trzymał go w mocnym uchwycie. Wygięte w łuk ciało wartownika spoczywało na kolanie Havelocka.

- Nie próbuj krzyknąć! - wyszeptał. - To tylko ćwiczenia, rozumiesz? Sprawdzamy zabezpieczenia. Wie o tym połowa garnizonu, a druga nie ma o niczym pojęcia. Zabiorę cię teraz na drugą stronę drogi, zwiążę i zaknebluję, ale nie za mocno. Po prostu wyłączyłem cię z ćwiczeń. Okay? Wartownik

był zbyt zszokowany, żeby cokolwiek powiedzieć. Mrugał

tylko co jakiś czas wielkimi, przestraszonymi oczami. Michael nie mógł mu zaufać, a ściślej mówiąc, nie mógł zakładać, że ten nie wpadnie w panikę. Sięgnął po czapkę żołnierza, wstał i nie zwalniając uchwytu, przebiegł razem z nim przez drogę i skręcił w prawo, w stronę sosen.

Kiedy skryła ich ciemność pod gałęziami, Havelock zatrzymał się i przewrócił żołnierza na ziemię; już wystarczająco głęboko zanurzyli się w czwartym sektorze.

- Teraz zabiorę rękę - powiedział Michael, klęcząc obok. Ale jeśli piśniesz słowo, będę musiał cię ogłuszyć, kapujesz? Jeżeli tego nie zrobię, dostanę punkty karne. Okay?

Młody człowiek skinął głową i Havelock powoli zabrał rękę, przez cały czas gotów zacisnąć ją ponownie na ustach żołnierza, gdyby ten spróbował odezwać się głośniej. Wartownik potarł policzki i cicho powiedział:

- Przestraszyłeś mnie jak cholera. Co tu się, u diabła, dzieje?

- Już ci powiedziałem - odparł Michael, rozpinając pas z bronią żołnierza i zdejmując mu kurtkę. - Sprawdzamy zabezpieczenia - wyjaśnił, i sięgnął do własnej kieszeni po sznurowadło z nie garbowanej skóry. Odgiął wartownikowi ręce za plecy. - Nasza grupa ma za zadanie dostać się do środka. Związał przeguby i przedramię wartownika, owijając je sznurowadłem aż do łokci. - Do obozu?

- Zgadza się.

- Człowieku, nie dacie rady. Przegracie!

- System alarmowy?

- Do Memphis jest siedem wyjść i wejść. Którejś nocy pelikan usiadł na palisadzie i skwierczał sukinsyn przez pieprzone pół godziny, tak jak gdyby następnego dnia nie było kurczaków na obiad!

- A w środku? - Co w środku?

- Czy są w środku alarmy?

- Tylko w Georgetown.

- Gdzie? Co to jest Georgetown?

- Hej, znam regulamin. Mogę ci podać tylko nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.

- Brama - groźnie powiedział Havelock. - Kto jest na bramie? - Warta, a niby kto inny? Tylu wraca, ilu wychodzi.

- A teraz powiesz mi... Michael dostrzegł słaby błysk latarki. Daleko, gdzieś między drzewami, zespół przeczesujący okrążał wyspę. Nie było czasu na dalszą rozmowę. Oderwał

więc kawałek koszuli żołnierza, zwinął w kłębek i wepchnął w usta protestującego wartownika. Następnie obwiązał mu twarz sznurowadłem, przytrzymując w ten sposób knebel. Trzecim sznurowadłem związał nogi w kostkach. Włożył na siebie kurtkę polową, zapiął pas z bronią wokół bioder, zdjął wełnianą czapkę i schował ją do kieszeni. Na głowę nacisnął głęboko wojskową czapkę, i sięgnąwszy pod przemoczony sweter, odczepił

wodoszczelną latarkę. Przyjrzał się drodze między drzewami, oszacował odległość od mrugających promyków światła i zaczął biec poprzez sosny na ukos w prawo, nie wiedząc, czy biegnie w stronę skał, czy plaży. Przyłgął do skały. Pod nim rozbijały się fale oceanu.

Wiał silny wiatr. Michael czekał, aż minie go ostatni żołnierz. Wtedy podniósł się i pobiegł za znikającą sylwetką. Z rutyną, zdobytą w setkach podobnych sytuacji; chwycił go za szyję i tłumiąc wszelkie próby krzyku, przewrócił na ziemię. Trzydzieści sekund później żołnierz był

już związany i zakneblowany. Havelock pobiegł do przodu, żeby dołączyć do reszty.

- Dobra, chłopaki! - wrzasnął władczy głos. - Koniec tego pieprzenia! Wracamy do budy!

- W mordę, panie kapitanie - odkrzyknął żołnierz. Myśleliśmy, że załatwił pan łódkę z panienkami i braliśmy udział w biegu po nagrody!

- Potraktuj to jak zawody, chłopaczku. Strzelisz sobie gola następnym razem.

- On nawet nie trafi kulką we flipery! krzyknął inny żołnierz. - Co by zrobił z panienką? Havelock szedł między sosnami, kierując się promykami latarek. Pojawiła się droga, jasna betonowa nawierzchnia, od której odbijały się światła bramy. Oddział bezładną grupą przeszedł na jej drugą stronę. Michael przesunął się do przodu, żeby nie iść na samym końcu. Właśnie przechodzili pod stalową konstrukcją bramy, gdy wartownik głośno odliczał

każdego przechodzącego.

- Jeden, dwa, trzy, cztery... Havelock był ósmy. Opuścił głowę i pięściami przetarł oczy.

- Siedem, osiem, dziewięć... Był wewnątrz. Oddział wszedł na dziwnie gładką nawierzchnię. Michael odjął dłonie od oczu i podniósł wzrok. Zaparło mu dech w piersiach, a nogi zeszywniały. Ledwo mógł iść przed siebie, bo oto znalazł się w innym czasie i miejscu.

Dookoła zobaczył surrealistyczną wizję, oderwane fragmenty nieziemskiej scenerii. Nie był

już na małym skrawku lądu, niedaleko wybrzeży Georgii, zwanym Poole's Island. Był w Waszyngtonie, w dystrykcie Columbia.

Znajdował się w świecie z makabrycznego snu, abstrakcyjnie wykrzywionej rzeczywistości, tak zdeformowanej, by pasowała do czyjejs demonicznej fantazji. Obok fotografii miejsc, które znał aż za dobrze, wysokich na sześć stóp, stały miniatury równie znajomych obiektów. Były też wąskie, wysadzone drzewami uliczki, które nagle gdzieś zaczynały się, by równie niespodziewanie przechodzić w polne drogi. Na uliczkach ustawiono pomniejszone znaki drogowe i latarnie. Łagodne światło lamp padało na masywne bramy i budynki naturalnej wielkości, które w rzeczywistości były tylko fasadami. Zauważył

przeszklone drzwi Departamentu Stanu, a nieco dalej, kamienne wejście do nowej siedziby FBI. Po drugiej stronie ulicy, za malutkim skwerkiem z rozrzuconymi białymi ławkami, spostrzegł brązowe stopnie, prowadzące do Pentagonu. Zaś nieco dalej, po lewej, wysokie, czarne ogrodzenie z kutego żelaza i dwie przeszklone miniaturowe wartownie południowego wejścia do Białego Domu. Niewiarygodne! Zobaczył też błyszczące samochody naturalnych rozmiarów, taksówkę, dwa pojazdy wojskowe, dwie długie limuzyny, będące nieodłącznymi symbolami innego miasta, no i dwa elementy, których nie można było nie rozpoznać: nie większe niż cztery stopy modele Jefferson Memorial i Iglicy Waszyngtona, przed repliką fontann na promenadzie. Chyba jakiś szaleniec przeniósł tu wszystkie te przedmioty! Urządził

sobie wielki plan zdjęciowy, uzupełniony olbrzymimi, ziarnistymi fotografiami, miniaturowymi modelami i fragmentami budynków. Cała ta sceneria mogła być owocem wyobraźni reżysera wariata, który chciał nakręcić osobistą, koszmarną wizję Waszyngtonu w dystrykcie Columbia. Niesamowite! Dziwaczny, fałszywy świat, stworzony na podobieństwo zdeformowanej wersji tego prawdziwego, oddalonego o setki mil! Zmysły Havelocka nie były w stanie przyjąć więcej, musiał choćby na kilka chwil spokojnie pomyśleć i spróbować zrozumieć cel tego makabrycznego spektaklu. Musiał znaleźć Anthona Matthiasa. Oddział

zaczął się rozchodzić, kilku żołnierzy odeszło w lewo, reszta na prawo. Na granicy światła, obok fasady fałszywego budynku Departamentu Stanu, rosły na rozległym trawniku wierzby płaczące. Nagle z tyłu, od bramy wejściowej, dobiegł wybuch przeciągłej wiązki przekleństw.

Michael zastygł w napięciu.

- Gdzie jest ten w mordę kopany, pieprzony sukinsyn?!

- O kogo chodzi, sierzancie?

- O Jacksona, panie poruczniku! Znów się spóźnił!

- Sierzancie, ma się stawić do raportu. Dyscyplina zbyt tu się tutaj rozluźniła. Chcę, żeby to się zmieniło. Od strony oddziału, który właśnie skończył przeczesywanie terenu, dobiegły rozbawione głosy. Kilku żołnierzy obejrzało się, słychać było stłumione chichoty.

Havelock wykorzystał tę chwilę, żeby po prześlizgnięciu się przez ulicę i po okrążeniu narożnika, znaleźć się na ocienionym trawniku. Oparł się o mur, przynajmniej ten był

prawdziwy, i próbował zebrać myśli. Na tym jednak polegał problem: tego nie można było zrozumieć! Wiedział oczywiście o sowieckim ośrodku treningowym w Nowgorodzie, zwanym amerykańską farmą,

olbrzymim

kompleksie,

gdzie

wszystko

było

„zamerykanizowane”. Zbudowano tam sklepy, supermarkety, motele, stacje benzynowe, wszyscy płacili amerykańskimi pieniędzmi i posługiwali się amerykańską odmianą angielskiego, zarówno slangiem, jak i różnymi dialektami. Słyszał też o kolejnych eksperymentach sowieckich na Uralu, gdzie zbudowano kompletny obóz Armii Stanów Zjednoczonych. Mówiono tam tylko po amerykańsku, i nadzwyczaj drobiazgowo przestrzegano obyczajów i regulaminu wojsk amerykańskich. Każdy szczegół był

autentyczny. No i pomieniatcziki. Głęboko zakonspirowani agenci, wyśmiewani w Atenach przez Rostowa jako owoc paranoi. Byli to zarówno kobiety, jak i mężczyźni, przywiezieni do Stanów, by dorastać tu w amerykańskich warunkach. Ale których misją, już jako dorosłych ludzi, miała być służba Związkowi Radzieckiemu. Mówiło się, i Rostow to potwierdził, że instytucja pomieniatczików została podporządkowana Wojennej, tej maniakalnie utajnionej grupie fanatyków, z kontrolowaniem której, nawet KGB miało trudności. Krążyły pogłoski, że niektórzy z pomieniatczików znaleźli się na eksponowanych szczeblach władzy i osiągnęli znaczne wpływy. Gdzie kończyły się plotki, a zaczynała rzeczywistość? I co w tym miejscu było rzeczywistością? Czy to możliwe? Czy w ogóle było do pomyślenia, że Poole's Island zamieszkiwali absolwenci z Nowgorodu i Uralu? Że podoficerowie są młodymi pomieniatczikami, a wyższe szczeble obsadzali inni, sięgający nawet do Departamentu Stanu, którzy mogli uprowadzić Anthona Matthiasa? Czy Emory Bradford też nim był...? A może to były tylko plotki? Wystarczająco dużo szaleństwa mieściło się we współpracy ludzi z Waszyngtonu z ludźmi w Moskwie. Jeżeli tak będzie kulił się w cieniu, nie dowie się niczego.

Musi zacząć działać, i przede wszystkim, nie dać się złapać. Havelock przesunął się pod ścianą do rogu budynku, wyrzwał na łagodnie oświetloną zadrzewioną ulicę i otaczające ją, miniaturowe konstrukcje. Od wartowni przy bramie, przez lilipuci park, szło w stronę widniejących w oddali alabastrowych pomników, trzech oficerów. Czterech szeregowców śpieszyło do wielkiego namiotu wojskowego, rozbitego między dwoma nieznanymi Havelockowi konstrukcjami z cegły, które wyglądały jak partery eleganckich domków.

Wtem, ku zdziwieniu Havelocka, z drzwi ceglanego budynku po lewej, wyszło dwóch ludzi po cywilnemu. Jeden z nich był w białym laboratoryjnym fartuchu. Mężczyzna w kitlu mówił

coś do swojego towarzysza, cicho, lecz z naciskiem. Michael zastanawiał się przez moment, czy mówili po rosyjsku. Cywile skręcili w prawo, w stronę sztucznego skrzyżowania, z nieczynną jednak sygnalizacją, i wciąż rozmawiając, ponownie skręcili w prawo. Pierwszy cywil udzielał właśnie koledze w fartuchu przyciszonym głosem reprimendy. Scenie tej nie towarzyszyły żadne odgłosy. Ciszę zakłócały jedynie cykady. Obojętnie jakie sekrety skrywała Poole's Island, były one ukryte pod pozorami spokoju... Oszustwo stworzone przez łgarzy. Po zniknięciu ich z pola widzenia, Havelock zauważył metalową tabliczkę, przymocowaną do słupa po przeciwległej stronie ulicy. Chyba widział ją już wcześniej... Tak oczywiście! Za każdym razem, kiedy jechał swoim samochodem lub taksówką do domu Matthiasa w Georgetown. To była niebieska strzała ze słowami „Chesapeake i Kanał Ohio”.

Tak nazywał się malowniczy szlak wodny, oddzielający zatłoczony Waszyngton od zacisznej dzielnicy w Georgetown, gdzie przy spokojnych ulicach usadowiły się domy najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi stolicy. Georgetown. „Czy w środku są alarmy?” „Tylko w Georgetown”. Anthon Matthias gdzieś tam był! Gdzieś w fałszywym domu przy tej ulicy, za mostem, pod którym wcale nie musiała płynąć woda. Czy zbudowali jego dom, żeby przeciwiczyć porwanie? To było całkiem możliwe, bo zgodnie z rozkazami prezydenta, rezydencja Anthona była pod ochroną. Strażnicy czuwali przez całą dobę, w końcu chodziło o bezpieczeństwo najcenniejszych żywych aktywów państwa. Matthiasa musiano porwać z domu. Ktoś unieszkodliwił system alarmowy, odesłał strażników i na rozkaz kłamców z Departamentu Stanu, zastąpił ich kimś innym. Havelock szedł spokojnie ulicą, niczym szeregowiec, który chce zaczerpnąć trochę świeżego powietrza lub na chwilę odseparować się od kolegów. Dotarł do budynku z cegły po lewej i przeszedł przez trawę na chodnik. Ulica była ciemna: ponad rzędem niskich drzew nie paliła się ani jedna lampa. Ruszył więc szybciej, w cieniu czuł się bardziej bezpiecznie. Po prawej stronie zauważył ścieżki odchodzące w stronę trzech, ustawionych w szereg, namiotów wojskowych. W kilku okienkach paliły się światła i widać było poświatę telewizyjną. Domyślił się, że był to rejon zakwaterowania oficerów, obojętnie jakiej byli narodowości, i ich cywilnych odpowiedników.

Absolwentów Nowgorodu i Uralu? Nagle miasto skończyło się. Ulica i chodniki urwały się i przeszły w polną drogę wśród ukrytych w ciemnościach, wysokich zarośli. Ta droga gdzieś musiała prowadzić! Havelock przeszedł w lekki trucht. Gdyby ktoś go zatrzymał, mógłby wytłumaczyć się bieganiami dla zdrowia i w ten sposób łatwiej wywabić go na drogę. Nagle pomyślał, że pięć mil dalej, na lądzie, Jenna chodzi od automatu do automatu, dzwoni do dyżurnego OPKON-u i wygłasza słowa, na które nie pada odzew, i może już nigdy nie paść.

To spostrzeżenie niespodziewanie rozwścieczyło Michaela. W jego zawodzie można zaakceptować ryzyko i podchodzić do niego z szacunkiem, bo w ten sposób wyrabiało się ostrożność i lęk. Nie można jednak zaakceptować zdrady własnych ludzi. To byłby końcowy akt bezsensownego cyklu, dowód całkowitej fikcji... I symbol zmarnowanego życia. Światło.

Zobaczył je daleko z przodu, po lewej stronie drogi. Zaczął biec. Po chwili zorientował się, że jest to zarys domu, którego budowę zakończono na poziomie parteru. Michael nie mógł się mylić: miał przed sobą fronton domu Anthona w Georgetown i drobniawo odtworzony fragment ulicy. Zatrzymał się na końcu polnej drogi, tam gdzie po lewej stronie zaczynała się asfaltowa powierzchnia i ogarnęło go zdumienie. Ceglane schody były tymi samymi schodami, które prowadziły do ozdobionego portykiem wejścia z białymi drzwiami, mosiężnymi wykończeniami i przymocowanymi do frontonu latarniami od powozu.

Wszystko, nawet koronkowe zasłony w oknach, było takie samo, jak oryginał setki mil stąd.

W wyobraźni widział wnętrza pokoi i był pewny, że one też są identyczne. Lekcje z Nowgorodu nie poszły na marne, a ich owoce wyrosły na małej wyspie, oddalonej od Stanów Zjednoczonych o minuty, sekundy dla samolotu! Mój Boże, co się dzieje?

- Nie ruszajcie się z miejsca, szeregowy! - padł rozkaz z tyłu. - Co tu robicie, do cholery?! Havelock odwrócił się, ukrywając czterdziestkę piątkę najlepiej jak potrafił. Z

zarośli wyszedł strażnik z bronią. Miał na sobie cywilne ubranie.

- Co jest? Nie można już wyjść na spacer?

- Nie spacerowałeś, lecz biegałeś.

- To był jogging, kolego. Słyszałeś kiedyś o tym?

- Bawię się w to codziennie rano, kolego, kiedy w nocy nie zajmuję się tymi bzdurami.

Ale na drodze, razem ze wszystkimi, a nie tu. Znasz regulamin. Nikt nie ma prawa iść dalej, niż do szóstego sektora i zejść z utwardzonej drogi. Nagle od strony domu popłynęły takty muzyki wypełniając nocną ciszę i zagłuszając cykady. Michael dobrze ją znał. Była to

„Muzyka na wodzie”, Haendla, jeden z ulubionych utworów Matthiasa. A więc jego pritel tu był!

- Ten cholerny koncert słyszać każdej nocy - powiedział cywil.

- Dlaczego?

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć? Wychodzi do ogrodu i puszcza to przez godzinę, albo dwie.

„Muzyka sprzyja rozmyślaniom, Michaił. Im jest lepsza, tym klarowniej można myśleć. To naturalna implikacja”.

- To miło z waszej strony, że mu na to pozwalacie.

- A dlaczego nie? Co mu pozostało? Gdzie ma się podziać? Ale ty zaraz dostaniesz kopa w tę żołnierską dupę, jeżeli się stąd nie wyniesiesz. - Strażnik wsunął broń do kabury pod marynarką. Masz szczęście, że... hej, chwileczkę! Ty masz broń! Havelock rzucił się na niego, złapał za gardło i podstawiając lewą nogę, przewrócił na ziemię. Kolanem przygniótł

pierś mężczyzny, rozpiął swoją kurtkę i wyciągnął nóż myśliwski.

- Natomiast ty nie masz szczęścia! - syknął. - Skąd jesteś, skotina? Nowgorod? Ural?

Pomieniatczik? - Michael wsunął ostrze noża między wargi a nozdrza strażnika. Jeżeli mi nie powiesz, potnę ci głowę na kawałki. Po pierwsze, ilu jest tu ludzi? Tylko spokojnie. Zwolnił

ucisk na gardło mężczyzny. Strażnik zakaszłał.

- Nigdy... się stąd nie wydostaniesz - wykrztusił. Havelock lekko pchnął ostrze. Na usta spłynęły krople krwi. - Nie zmuszaj mnie do tego, rzeźniku! Mam wiele wspomnień, panimajesz? Ilu ludzi?

- Tylko jeden.

- Kłamiesz?

- Nie, tylko jeden! Aż do czwartej jesteśmy we dwójkę. Jeden na zewnątrz, drugi w środku!
- Gdzie są alarmy? Jaki system?
- W drzwiach. Fotokomórki od kolan do ramion.
- To wszystko?
- Tylko te są włączone. Żeby trzymać go wewnątrz. - Ogród?
- Zamknięty murem, zbyt wysokim dla niego. Na miłość boską, gdzie go zabierzesz?

Gdzie?

- Zobaczymy. - Michael podciągnął głowę strażnika do góry za włosy, a potem trzonkiem noża zadał mu za prawym uchem mocny cios. Mężczyzna stracił przytomność.

Następnie Havelock wyjął sznurowadła z nie garbowanej skóry przeciął je na pół i skrępował mu ręce i nogi. Wreszcie zakneblował strażnika jego własną chustką, owijając twarz jednym z trzech pozostałych sznurowadeł. Zaciągnął nieprzytomnego mężczyznę w zarośla i ruszył w stronę domu. „Muzyka na wodzie” przeszła w marszowy temat, dookoła rozchodziły się dźwięki wymieszanych instrumentów smyczkowych i dętych. Havelock wspiał się na małe wzniesienie obok ceglanych stopni i pochylił się w odległości dziesięciu stóp od pierwszego okna z koronkowymi zasłonami. Przesunął się pod parapetem i po wyprostowaniu zbliżył twarz do szyby. pokój był identyczny jak ten, który zapamiętał z innego czasu i miejsca.

Wytarte orientalne dywany, ciężkie wygodne fotele i mosiężna lampa: to był salon Matthiasa, tak Anthon nazywał ten pokój. Właśnie tutaj przyjmował znaczniejszych gości. Tu Michael spędził wiele miłych chwil, ale to nie był ten sam pokój. Schylił się ponownie i przesunął

wzdłuż dziwnego budynku, obszedł róg i ruszył w stronę muru, który otaczał ogród od tyłu. Po drodze musiał przemknąć się pod trzema oknami. W drugim dostrzegł to, czego szukał. Na tapczanie siedział potężny mężczyzna. Palił papierosa, i z nogą opartą o stolik od kawy, oglądał telewizję. Telewizor głośno grał, najwyraźniej by zagłuszyć stereofoniczną muzykę Haendla. Havelock podbiegł do muru i podskoczył do góry, łapiąc obiema rękami jego szczyt. Ostry ból zakłuł go w piersiach. Podciągnął się, czując, że za chwilę otworzy mu się rana. Położył się na murze i łapał oddech, czekając, aż ból się uspokoi. Poniżej dostrzegł

dziwnie oświetlony ogród, dokładnie taki, jakim go zapamiętał. Z domu sączyło się łagodne światło, a obok stolika szachowego, najważniejszego dla gospodarza sprzętu, między dwoma wiklinowymi krzesłami, a innymi meblami z białej łożyny, stała pojedyncza lampa.

Wykładana łupkiem ścieżka wiła się między rabatami. Był tu jego ukochany pritel. Siedział w krześle

po drugiej stronie ogrodu. Oczy miał zamknięte. W wyobraźni widział sceny, które wywoływała w jego mózgu muzyka. Na nosie miał okulary w oprawkach z szylkretu.

Zaczesał do tyłu, srebrne włosy, opadały falami. Havelock po cichu przełożył nogę na drugą stronę muru, przesunął się i opuścił na ziemię. Przez kilka chwil pozostawał w cieniu.

Muzyka przeszła w pianissimo, a z oddali dobiegały odgłosy telewizora. Strażnika zostawił na razie w spokoju. Gdyby mu zawadzał, wtedy go obezwładni, zabije lub wykorzysta w ten, czy inny sposób. Powoli odsunął się od muru i ruszył krętą ścieżką w stronę Matthiasa. Polityk niespodziewanie otworzył oczy. Michael rzucił się do przodu podniósł obie ręce do góry, w geście nakazującym milczenie. Matthias zignorował jego polecenia.

- To je dobr srovn ni, Michaił - powiedział swoim głębokim, wznoszącym się ponad muzyką głosem.
- Ładnie z twojej strony, że wpadłeś. Niedawno myślałem o tobie, o tym artykule, który napisałeś kilka tygodni temu. Cóż to było takiego? „Skutki heglowskiego rewizjonizmu” lub podobnie nieskromny i niewłaściwy tytuł. Mimo wszystko, mój darebek akademik, Hegel sam w sobie jest najlepszym rewizjonistą, prawda? Revisionist maximus!

Jak ci się to podoba?

- Anthon...? Nagle Matthias zerwał się z krzesła, szeroko otworzył oczy i wykrzywił twarz w grymasie. Skrzyżował ręce na piersiach i zaczął niepewnie się cofać.

- Nie... nie możesz... nie wolno ci... do mnie podejść wyszeptał przerażony. - Nie rozumiesz, nigdy nie zrozumiesz! Odejdź ode mnie! Oślepiały Havelock wpatrywał się w Matthiasa. Szok był równie trudny do zniesienia, jak prawda, którą właśnie poznał. Anthon Matthias był obłąkany.

CZEŚĆ TRZECIA

- Ręce do góry! Podejdź do ściany, oprzyj się o mur! Rozstaw nogi! Dłonie szeroko!

Ruszaj się!... Już! Havelock nie odrywał wzroku od Matthiasa, który kulił się obok krzaka róży, klęcząc na jednym kolanie. Wypełnił polecenie strażnika. Był w szoku, nie potrafił

jasno myśleć. Jego pritel, jego mistrz... jego ojciec... był obłąkany. Z człowieka, który zadziwiał świat swoją błyskotliwością i zdolnością postrzegania, pozostała pusta skorupka.

Głowa mu teraz drżała, a w oczach za okularami czaił się strach i przerażenie. Havelock usłyszał kroki strażnika na kamiennej ścieżce i wiedział, że zaraz padnie cios. W pewnym sensie nie miało to znaczenia. Nic już nie miało znaczenia... Promieniujący ból eksplodował

w jego mózgu. Zapadła ciemność.

Leżał na dywanie w salonie. Przed oczyma wirowały mu oślepiająco białe światła, skronie pulsowały. Słyszał głosy mężczyzn wbiegających na zewnętrzne schody, którzy w panice wykrzykiwali jakieś rozkazy. Kiedy zniknęli mu na chwilę z oczu, pomacał kurtkę i pas przy biodrze. Odebrano mu pistolet, ale nie zrewidowano. Widocznie to zajęcie, tak jak i przesłuchanie, strażnik pozostawił swoim zwierzchnikom. Zbliżyli się dwaj mężczyźni: wojskowy i cywil. Tego drugiego znał, był agentem Operacji Konsularnych w Departamencie Stanu. Pracował z nim w Londynie lub Bejrucie... A może w Paryżu. Nie mógł sobie przypomnieć.

- To on - powiedział cywil. - Bradford ostrzegł mnie, że to się może zdarzyć. Nie wiedział tylko, w jaki sposób. Otrzymałem od niego instrukcje, które pana nie dotyczą.

- Niech go pan stąd zabierze - odparł żołnierz. To nie moja sprawa, co z nim zrobicie.

- Cześć, Havelock. - Cywil z Departamentu Stanu pogardliwie spojrział w dół. - Miałeś ostatnio sporo zajęć. Musiałeś się nieźle zabawić, mordując tego staruszka w Nowym Jorku.

Po co to zrobiłeś? Zabrakło ci funduszy na nieprzewidziane wydatki? Wstawaj, sukinsynu!

Michael powoli przewrócił się na brzuch. Głowa pękała mu z bólu, podobnie jak reszta ciała.

Wstał z wysiłkiem. Co mu się stało? Co się stało?

- Nie odpowiadam na pytania.

- A może jeszcze mam cię puścić wolno, co? Nic z tego, sukinsynu! - Cywil zwrócił

się do strażnika stojącego w głębi pokoju. - Przeszukałeś go?

- Nie, proszę pana. Odebrałem mu tylko broń i włączyłem alarm. Przy pasie ma latarkę i jakiś pakunek.

- Pomogę ci, Charley - powiedział Havelock. Rozchylił poły kurtki wojskowej i sięgnął po wodoszczelny pakiet. - Masz na imię Charley, prawda? Charley Loring... To było w Bejrucie?

- Tak. Trzymaj te swoje cholerne łapy nieruchomo. - To, czego szukasz, jest w środku.

No, bierz! Nie wybuchnie. Pracownik Departamentu skinął na majora. Ten podszedł i chwycił rękę Michaela, podczas gdy Charley Loring oderwał pakiet od parcianego pasa.

- Możesz go otworzyć - powiedział Havelock. - W środku mam dla ciebie prezent. Dla was wszystkich. Agent OPKON-u otworzył zawiniątko i wyjął złożone żółte kartki. Major zwolnił uchwyt, a cywil podszedł do lampy i zaczął czytać. Po chwili przerwał, zerknął na Michaela i zwrócił się do majora:

- Niech pan wyjdzie stąd, majorze. Ty też dodał, spoglądając na strażnika. - Zostań w drugim pokoju.

- Jest pan tego pewien? - zapytał oficer.

- Jak najbardziej - odparł Charley. - On nigdzie się nie wybiera, a jeśli was będę potrzebował, to zawołam. Jesteś najgorszym śmieciem, jaki kiedykolwiek widziałem -

wycodził przez zęby cywil, kiedy obydwaj mężczyźni wyszli.

- To są kopie, Charley.

- Widzę.

- Zadzwoń do Operacji Konsularnych. Co piętnaście minut, począwszy od jedenastej wieczorem, ktoś łączy się z dyżurnym i zadaje pytanie: „Bilard czy piramidka?” Każ mu odpowiedzieć: „Wolimy piramidkę”.

- A potem co?

- Włącz się do następnej rozmowy, podaj odzew i słuchaj.

- Tego, co mi przeczyta jakiś inny śmieć...

- Och, nie! Rozmowa potrwa tylko dwanaście sekund. Nie ma więc mowy o zlokalizowaniu aparatu. Możesz też dać sobie spokój z pomysłami o zastrzyku. Byłem już wcześniej na kuracji, przedsięwzięłem więc środki ostrożności. Możesz mi wierzyć na słowo, że nie wiem, skąd będzie dzwonił.

- Nie uwierzyłbym w ani jedno słowo takiego śmiecia! - Będzie lepiej, jak uwierzysz.

Bo jeśli nie, to kopie tych kartek zostaną rozesłane pod odpowiednie adresy w całej Europie.

Od Moskwy do Aten, od Londynu do Pragi, od Paryża do Berlina. Radzę ci zadzwonić.

Dwadzieścia minut potem, wpatrując się w ścianę, podawał odzew Jennie Karas. Jedenaście sekund później agent odłożył słuchawkę i spojrzął na Havelocka.

- Wszystko co o tobie powiedzieli, to prawda. Jesteś największym plugastwem.

- Spisanym na straty?

- Zgadza się.

- A więc ty też, bo zostałeś zaprogramowany, Charley. Jesteś do niczego.

Zapomniałeś, zdaje się, pytania.

- Co?

- Po prostu przyjąłeś do wiadomości wydany na mnie wyrok. A to, że znałeś mój przebieg służby, nie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Polecenie zostało wydane i dobra mała owieczka powiedziała: „dlaczego nie?”

- Mógłbym cię teraz zabić.

- I ponieść konsekwencje? Nie rób tego. Lepiej zadzwoń do Białego Domu.

Kiedy usłyszał ogłuszający łoskot obracających się śmigieł olbrzymiego helikoptera, wiedział, że na Poole's Island wylądował prezydent Stanów Zjednoczonych. Było wczesne przedpołudnie i słońce Georgii przypiekało chodniki pod otwartym oknem. Havelock ze swojego pokoju na drugim piętrze czy raczej celi, choć nie było tutaj krat, widział czterech żołnierzy, a za nimi niesamowite fasady i fotografie znajomych budynków. Sztuczny, zakłamany świat. Przeszczepiona, zwichrowana rzeczywistość. Usiadł na łóżku, a właściwie wojskowej pryczy. Myślał o Jennie, o tym co teraz musi przeżywać, do jakich rezerw ponownie musi sięgać, by wytrzymać niewiarygodne napięcie. Myślał też o Matthiasie.

Dobry Boże, co się stało? Przypomniawszy sobie straszną scenę w ogrodzie, starając się doszukać w niej choćby cienia sensu.

- „Nie zbliżaj się. Nie rozumiesz. Nigdy tego nie zrozumiesz”.

- Czego nie rozumiem? Nie miał pojęcia jak długo siedział zatopiony w rozmyślaniach. W szklanej tafli drzwi pojawiła się twarz pod czapką z daszkiem, ozdobioną złotą plecionką. Po chwili do środka wszedł barczysty pułkownik w średnim wieku. W dłoni trzymał kajdanki.

- Odwróć się - rozkazał. - I wyciągnij ręce.

- A nogi? - zapytał krótko Michael. - Nie traktujesz ich jak niebezpiecznej broni?

- W ręku mam o wiele bardziej skuteczną - odparł oficer. Nawet na sekundę nie spuszczę z ciebie oka. Jeden fałszywy ruch, który mogę mylnie zinterpretować, i jestem wewnątrz, a ty nie żyjesz.

- A więc rozmowa będzie w cztery oczy. Jestem zaszczycony.

- Nie wiem kim jesteś, czym się zajmujesz i co zrobiłeś, ale zapamiętaj sobie jedno, kowboju, odpowiadam za bezpieczeństwo prezydenta i zanim się zorientujesz, mogę cię skutecznie załatwić.

- I kto jest tu kowbojem?

- Zostań tu - rozkazał oficer, popchnął Michaela pod ścianę i wyszedł z pokoju. Po trzydziestu sekundach drzwi otworzyły się ponownie i do środka wszedł Charles Berquist. W

ręku trzymał trzynaście stron kopii. Prezydent zatrzymał się i podniósł do góry żółte kartki.

- To nadzwyczajny dokument, panie Havelock. - Sama prawda.

- Wierzę panu. Oczywiście większość z tego, co pan tu napisał, uważam za niegodne mojej fatygi, ale po zastanowieniu pomyślałem sobie, że człowiek z pańską przeszłością, na pewno nie chciałby doprowadzić do zdemaskowania i śmierci tak wielu ludzi. Dlatego, jak sądzę, uciekając się do pogroźek, domaga się pan wysłuchania.

- W takim razie znów się pan okłamuje - powiedział Havelock, nieruchomo stojąc pod ścianą. - Jestem przecież „nie-do uratowania”. Po cóż więc miałbym troszczyć się o kogokolwiek?

- Ponieważ jest pan inteligentnym człowiekiem, który wie, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie.

- Chciał pan powiedzieć: kłamstwo?

- Niektóre z wyjaśnień są kłamstwami i pozostaną nimi dla dobra tego kraju. Havelock milczał przez chwilę, badawczo wpatrując się w twardą, skandynawską twarz prezydenta, w jego nieruchome oczy, które na swój sposób, przypominały oczy myśliwego.

- Matthias?

- Tak.

- Jak długo zamierza go pan tu ukrywać?

- Jak długo się da.

- On potrzebuje pomocy.

- Tak samo, jak i my.

- Co mu zrobiliście?

- Do jego stanu przyczyniłem się tylko częściowo, tak zresztą jak i pan. Wszyscy do tego się przyczyniliśmy. Zrobiliśmy z niego cesarza, a nie mamy cesarstwa, które należałoby do niego z bożej łaski, nie mówiąc już o naszej. Uczyniliśmy z niego Boga, choć nie mamy mu do zaoferowania nieba. W dzisiejszych skomplikowanych czasach są granice pojemności i sprawności mózgu. Matthias żył w niekończącej się iluzji, że jest unikalny, lepszy od innych.

Wymagaliśmy od niego zbyt wiele. I dlatego oszalał. A kiedy nie był już w stanie sam siebie kontrolować, poszukał kontroli gdzie indziej. Być może, żeby zrekompensować upadek, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że jest tym, za kogo go uważaliśmy. Chociaż jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że to nieprawda. Że to już jest nieprawda.

- Co ma pan na myśli mówiąc: „poszukał kontroli gdzie indziej”? Jak mógł to zrobić?

- Podpisując serię zobowiązań będących, delikatnie mówiąc, nie do przyjęcia dla tego narodu. Niech pan zrozumie, on był ze szlachetnego kruszcu, a nie z gliny, tak jak pan czy ja.

Tak, nawet ja, o którym mówi się, że posiada największą władzę na świecie. To nieprawda.

Jestem niewolnikiem partii, która mnie wybrała, przedmiotem oceny cholernych sondaży publicznych. Przez cały czas muszę działać zgodnie z tak zwanymi pryncypiami ideologii i trzymać głowę na katowskim pieńku Kongresu. System wzajemnej kontroli i równowagi, panie Havelock. Jego to jednak nie dotyczyło. Zrobiliśmy z niego supergwiazdę. Niczym nie był skrupowany, przed nikim nie odpowiadał. Jego słowo stawało się prawem, a wszyscy dookoła musieli podporządkować się błyskotliwemu umysłowi. Jak również czarowi osobistememu.

- Banały - powiedział Havelock. - Abstrakcje.

- Kłamstwa? - zapytał Berquist.

- Nie wiem. Ma pan jakieś konkrety?

- Pokażę je panu. A jeżeli potem, w dalszym ciągu będzie miał pan zamiar spełnić swoje pogroźki, to niech obciąży to pańskie sumienie, a nie moje.

- Ja nie mam sumienia. Jestem spisany na straty.

- Już panu powiedziałem, że przeczytałem te kartki. Wszystkie. Rozkazy zostały odwołane. Ma pan na to słowo prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Dlaczego miałbym przyjąć je za dobrą monetę?

- Na pańskim miejscu prawdopodobnie postąpiłbym tak samo. Może mi pan uwierzyć lub nie. Wiele kłamstw pozostanie kłamstwami, ale w tym przypadku jest inaczej... Każę panu zdjąć kajdanki.

Wyposażenie wielkiego, ciemnego i pozbawionego okien pokoju, przypominało nieziemski obraz koszmaru sennego, utrzymanego w scenerii science fiction. Na ścianie zainstalowano tuzin ekranów telewizyjnych, do których przekazywano obrazy z licznych kamer. Olbrzymią konsolę, umieszczoną poniżej ekranów, obsługiwało czterech techników.

Po pokoju kręciło się kilku lekarzy w białych kitlach. Przyglądali się oni ekranom lub uważnie przesłuchiwali taśmy, niektórzy robili notatki, pośpiesznie wychodzili lub konferowali z kolegami. Celem tej wyrafinowanej operacji było nagrywanie i analizowanie każdego gestu i słowa Anthona Matthiasa. Jego sylwetka i zbliżenia twarzy pojawiały się równocześnie na siedmiu monitorach, a pod każdym z nich zielone cyfry wyświetlacza podawały dokładny czas filmowanej sekwencji. Pierwszy ekran po lewej opatrzony był

napisem „stan aktualny”. Dla Matthiasa pojęcie dnia było iluzją, począwszy od porannej kawy, w ogrodzie identycznym jak jego własny, w Georgetown.

- Jeszcze przed obudzeniem dostaje dwa zastrzyki powiedział prezydent, siadając obok Havelocka przy drugiej, mniejszej konsoli pod tylną ścianą. - Pierwszy z nich redukuje fizyczne i psychiczne napięcie, drugi stymuluje akcję serca, zwiększa ciśnienie tętnicze, nie zakłócając jednocześnie działania pierwszego narkotyku. Niech pan nie pyta mnie o terminy medyczne, bo nie mam o nich pojęcia, wiem tylko, że to działa. On do pewnego stopnia posiada zdolność utożsamiania się ze stymulowanym ego i w ten sposób kontaktuje się z repliką swojej dawnej osobowości.

- A więc tak zaczyna się jego dzień? Jego... stymulowany dzień?

- Dokładnie. Niech pan przyjrzy się monitorom od prawego do lewego. Najpierw śniadanie w ogrodzie. Matthias otrzymuje wówczas raporty i gazety, o treści łączącej się z zagadnieniami nad którymi właśnie pracujemy. Na następnym ekranie widać, jak wychodzi ze swojego domu i wraz ze swoim osobistym sekretarzem schodzi po swoich schodach.

Sekretarz rozbudowuje kontekst wydarzenia i zajmuje się jego niuansami. Na marginesie dodam, że wszystkie dane pochodzą z jego dzienników, dotyczy to również rozkładu całego dnia. - Berquist przerwał i dłonią wskazał na monitor po prawej. - Teraz widzimy go w limuzynie, sekretarz wciąż mówi do niego i ponownie skupia jego uwagę. Przez jakiś czas obwozi się go dookoła, a potem stopniowo pokazuje znajome mu miejsca: pomnik Jeffersona, niektóre ulice, przejazd przez południową bramę Białego Domu... kolejność nie ma znaczenia.

- Ale to są tylko fragmenty budynków! - upierał się Michael. - On tego nie dostrzega, odbiera tylko ogólne wrażenia. A nawet gdyby tak nie było, to lekarze zapewnili mnie, że jego mózg odrzuci prawdziwe obserwacje i zaakceptuje złudzenia, jako rzeczywistość.

Podobnie, jak w przypadku odmowy akceptacji pogorszenia stanu własnej psychiki, kiedy wciąż i

wciąż domagał się większej odpowiedzialności, aż w końcu po nią po prostu sięgnął.

Proszę przyjrzeć się czwartemu ekranowi. Właśnie wysiada z samochodu przed Departamentem Stanu, wchodzi do środka i mówi coś do swojego sekretarza: później to zostanie przeanalizowane. Na piątym widzi pan, jak wchodzi do swojego gabinetu, pod każdym względem identycznego jak oryginał na ósmym piętrze, by od razu przejrzeć depesze i zapoznać się z rozkładem spotkań w ciągu dnia, wiernie przepisany z jego dzienników.

Szósty monitor pokazuje, jak prowadzi serię rozmów telefonicznych, przy czym dane rozmówców wzięte są z rejestrów. Często odpowiada bez sensu, bo jakaś część jego mózgu odrzuca głos lub brak autentycznej riposty, ale czasem dowiadujemy się czegoś niesamowitego. Matthias jest tu prawie sześć tygodni i bywają takie momenty, kiedy wydaje nam się, że tylko poskrobaliśmy powierzchnię. Dopiero zaczynamy poznawać, do jakiego stopnia przekroczył wszelkie dopuszczalne granice.

- Ma pan na uwadze to, co zrobił? - zapytał Havelock, wzdrygając się na myśl o przerażającym rozwoju wypadków.

- Tak, panie Havelock. Jeżeli kiedykolwiek jakiś reprezentant rządu przekroczył

uprawnienia wynikające ze swojego stanowiska, to na pewno był nim Anthon Matthias. Jego obietnice, gwarancje udzielone w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych, nie były niczym ograniczone. Weźmy dzień dzisiejszy. Rząd uzgodnił pewną politykę i zaczął już ją realizować, ale sekretarz stanu akurat w tym momencie wpadł w zły humor, postanowił ją więc sabotować... Proszę spojrzeć na siódmy ekran, ten z napisem: „czas bieżący”. Matthias siedzi przy biurku, ale w swoim świecie iluzji cofnął się o pięć miesięcy, kiedy to zarówno demokraci jak i republikanie zdecydowali, że rząd powinien zamknąć swoją ambasadę w pewnym nowo powstałym państwie afrykańskim. Jego władze napełniają odrazą cały świat, przeprowadzając masowe egzekucje i sprawując rządy przy pomocy szwadronów śmierci.

Asystent właśnie tłumaczy Matthiasowi: „Panie sekretarzu, zarówno prezydent, połączone sztaby jak i Senat uzgodniły jednomyślnie, że zrywamy dalsze kontakty...” „A więc im o tym nie powiemy, dobrze? Ahistoryczne reakcje nie mogą być myślą przewodnią spójnej polityki zagranicznej. Osobiście nawiążę kontakt, przedstawiając zwarty i rozsądny plan. Siłą napędową w świecie polityki międzynarodowej jest broń i pochlebstwa, a tego im właśnie dostarczymy.”

- Czy to możliwe, żeby on to powiedział? Zrobił to? Michael był oszołomiony.

- Teraz przeżywa to po raz drugi - odparł Berquist. - Za kilka minut zadzwoni do misji w Genewie i po raz kolejny zobowiąże się do czegoś niewiarygodnego... Na marginesie dodam, że oglądaliśmy tylko jeden z mniej znaczących przykładów jego działań tego ranka.

Szczerze mówiąc, w porównaniu z innymi, mimo skandalicznego aspektu tej sprawy, to błahostka. Takich spraw było wiele... Tak niebezpiecznych... Tak niewiarygodnych...

- Niebezpiecznych?

- A jak inaczej nazwać jeden głos, który nie zwracając uwagi na inne, na własną rękę rozpoczyna negocjacje, zaprzeczające wszelkim podstawom prawnym tego kraju? Gdyby mnie przyszło na myśl postąpić w podobny sposób, rozwścieczony Kongres postawiłby mnie w stan oskarżenia. Dlatego nie możemy dopuścić, by świat dowiedział się o jego wyczynach.

Ameryka, ten gigant na klęczkach, który błaga o wybaczenie, będzie upokorzona. A jeśli tego nie uczyni, spadną bomby. Rozumie pan? Te wszystkie porozumienia zostały zapisane.

- Czy miał do tego prawo?

- Nie. Konstytucja zabrania. Ale on był supergwiazdą! Oto przemówił nie koronowany król republiki, Bóg zstąpił na ziemię! Któż ośmielił się zadawać pytania królom i bogom? Już samo istnienie takich dokumentów jest idealnym materiałem do międzynarodowego szantażu.

Jeżeli nie uda nam się po cichu unieważnić tych negocjacji, posługując się dyplomatycznym wykrętem, że Kongres je odrzuci, wówczas zostaną ujawnione. Gdyby do tego doszło, to każdy układ, każde porozumienie, zawarte przez nas w ciągu ostatniej dekady, wszystkie te subtelne sojusze, które właśnie zawieramy na całym świecie, staną pod znakiem zapytania.

Polityka zagraniczna Stanów legnie w gruzach i nikt już nam nie uwierzy. A jeśli, panie Havelock, taki kraj jak nasz, nie ma polityki zagranicznej to ma wojnę. Michael oparł się o konsolę, wpatrując w monitor „czasu bieżącego”. Podniósł dłoń do czoła. Czuł jak na skórze perli mu się pot.

- Posunął się aż tak daleko?

- Posunął się dalej. Proszę pamiętać, że był sekretarzem stanu przez sześć lat, a wcześniej, zanim objął urząd, przez dwie poprzednie kadencje prezydenckie posiadał

znaczące wpływy. Może nawet zbyt znaczące. Nigdy nie schodził poniżej szczebla ambasadora. Był pełnomocnikiem obu administracji, włóczył się po całym świecie i budował

podwaliny swojej władzy.

- Ale wtedy czynił to dla naszego dobra!

- Zgadza się. Nikt lepiej ode mnie tego nie wie. To ja przekonałem go, żeby dał sobie spokój z firmami consultingowymi i przejął władzę. Mówiłem mu, że świat czeka na jego imprimatur i nadszedł po temu właściwy czas. Widzi pan, apelowałem do jego ego, a wszyscy wielcy ludzie mają je niebywale rozbudowane. De Gaulle miał rację: człowiek wybrany przez przeznaczenie, zdaje sobie sprawę z tego przed wszystkimi innymi. Nie zdaje sobie tylko sprawy, gdzie leżą granice własnych możliwości. Bóg świadkiem, że tak właśnie było z Matthiasem.

- Powiedział już to pan kilka minut temu, panie prezydencie. Zrobiliśmy z niego Boga.

Wymagaliśmy od niego zbyt wiele. Przybity Havelock powoli pokręcił głową.

- Chwileczkę - odpowiedział chłodnym tonem Berquist, wpatrując się uważnie w Havelocka. Użyłem zbyt prostego wytłumaczenia. Nie można zrobić z kogoś Boga, o ile on sam tego nie chce. Na rany Chrystusa, Matthias przez całe życie dążył do tego stanowiska!

Całymi latami smakował święconą wodę, a w swojej wyobraźni, nawet się w niej kąpał... Wie pan, jak go ktoś kiedyś nazwał? Rozpychający się Sokrates znad Potomaku. On kimś, takim właśnie był, panie Havelock. Wykształcenie, wysoki iloraz inteligencji, błyskotliwy taktik, idealny do wielkiej dyplomacji. Był najlepszym z możliwych kandydatów, do czasu aż jego osoba znajdowała się w centrum światowej uwagi. Miał wszelkie podstawy do wielkości, i tak jak już powiedziałem, nikt o tym nie wiedział lepiej ode mnie. Korzystałem często z jego talentów. Ale on bezwzględnie rozpychał się łokciami. Ten wszechwiedzący Anthon Matthias nawet na chwilę nie zatrzymał się na swojej drodze po władzę.

- I wiedząc o tym - powiedział Michael, nie zrażony spojrzeniem Berquista - wciąż korzystał pan z jego usług. To pan popędzał go do przodu, w równym stopniu, jak on poganiał siebie. Stale apelowaliście do „człowieka-przeznaczenia”, prawda?

- Tak - przyznał cicho prezydent i opuścił wzrok na wskaźniki na konsoli. - Aż do chwili, kiedy jego mózg eksplodował. A wszystko to przez moje zaślepienie: podziwiałem popis aktorski, nie widziałem człowieka. Nie miałem pojęcia, co naprawdę się dzieje.

- Jezu! - wykrzyknął stłumionym głosem Havelock. - To wszystko jest niewiarygodne!

- Zakładałem, że tak pan będzie uważał - przerwał Berquist, odzyskując spokój. -

Kazałem więc przygotować kilka taśm na pański użytek. To są rekonstrukcje rozmów, prowadzonych w jego gabinecie pięć miesięcy temu. Psychologowie uważają, że są wiarygodne i ich opinie potwierdzają dokumenty, które udało nam się wygrzebać. Proszę założyć słuchawki, a ja nacisnę odpowiednie guziki... Obraz pojawi się na ostatnim ekranie po prawej. Przez następne dwanaście minut Havelock oglądał człowieka, którego wcześniej nie znał. Taśmy ukazywały Matthiasa w symulowanych, skrajnych stanach emocjonalnych, spowodowanych przez mieszankę środków psychotropowych, wizje i słowa osobistego sekretarza, który posługiwał się jego własnym językiem. Mistrz w jednej chwili płakał, za moment wrzeszczał, a potem z pokorą przymilał się dyplomatom przez telefon, rozsiewając osobisty czar i błyskotliwe pochlebstwa, by po zakończeniu rozmowy nazwać swojego rozmówcę idiotą. Wszędzie tam, gdzie była kiedyś prawda, pojawiała się kłamstwo.

Narzędziem pracy Matthiasa stał się telefon i jego głęboki głos z europejską kadencją.

- Na pierwszej taśmie - rozpoczął Berquist, gniewnie wciskając guzik - nagrana jest rozmowa ze mną. Właśnie powiedziałem mu, że chcę wstrzymać pomoc dla San Miguel.

„Pańska stanowcza polityka, panie prezydencie, stanowi jasne wezwanie do przyzwoitości i ochrony praw człowieka. Gratuluję panu sir. Do widzenia...” „Idiota! Imbecyl! Nie potrzeba nam braterskiej miłości, tylko zaakceptowania geopolitycznych racji! Proszę mnie połączyć z generałem Sendozą i bardzo dyskretnie zorganizować spotkanie z jego ambasadorem.

Pułkownicy rozumieją, że ich popieramy.”

- Ta mała scenka nastąpiła po wspólnej uchwale obu izb, którą w całej rozciągłości poparłem, żeby zapobiec uznaniu rządu... „Rozumie się, panie premierze, że obowiązujące nas układy w pańskiej części świata, uniemożliwiają nam kroki, które pan sugeruje, ale chciałbym, żeby wiedział pan, że się z nim zgadzam. Spotkam się z prezydentem... nie, nie, zapewniam pana, że to człowiek o otwartym umyśle... udało mi się już przekonać przewodniczącego senackiej Komisji do spraw Stosunków Międzynarodowych. Sojusz między naszymi krajami to krok we właściwym kierunku... No cóż, precyzyjne uświadomienie sobie własnych interesów, było podstawą panowania Bismarcka...”

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział osłupiały Havelock.

- Ja też nie mogłem, ale to prawda. - Prezydent nacisnął trzeci klawisz. - Teraz przeniesiemy się do Zatoki Perskiej... „Mówi pan, oczywiście nieoficjalnie, nie jako minister finansów pańskiego kraju, lecz jako przyjaciel, że oczekuje pan gwarancji na dodatkowe osiemset pięćdziesiąt milionów w bieżącym roku budżetowym i miliard dwieście w następnym... W przeciwieństwie do tego, co może pan myśleć, drogi przyjacielu, są to całkowicie rozsądne sumy. W zaufaniu mogę powiedzieć, że nasza polityka w pańskim rejonie nie jest taką, na jaką wygląda. Przygotuję poufny list intencyjny...”

- A teraz przechodzimy do bałkańskiego satelity Moskwy, naszego zdeklarowanego wroga... Niech pan posłucha! Przecież to istne szaleństwo! „Panie premierze, o ile od razu nie uda nam się znieść zakazu sprzedaży broni do pańskiego kraju, to będziemy się temu przyglądać przez palce. Dostrzegam konkretne i znaczące korzyści naszej współpracy.

Wyposażenie może i będzie przekazane za pośrednictwem pewnego północnoafrykańskiego państwa, powszechnie uważanego za należące do wrogiego obozu, ale z którego przywódcą spotykałem się, powiedzmy, ex-et non officio, w ostatnim czasie dość często. W zaufaniu powiem, że przygotowuje się nowa geopolityczna oś...

- Przygotowuje się! - wybuchnął Berquist. - To samobójstwo! No i mamy zamach stanu w Jemenie. Od razu totalna niestabilność i gwarancja powszechnego przelewu krwi!

„Powstawanie nowego wielkiego narodu, Sirah Bal Sharar, mimo że jego rząd nie został

uznany przez nas, będzie cieszyć się cichym poparciem tej administracji. Rozumiemy pilną potrzebę rozprawienia się z wewnętrznym ruchem wywrotowym. Może być pan pewny, że fundusze, o które pan prosi, zostaną rozdysponowane. Trzysta milionów dolarów, które panu przekazemy, będzie dla legislatury dowodem wiary, którą w panu pokładamy.”

- I wreszcie... - powiedział napiętym szeptem prezydent, naciskając ostatni klawisz.

Na jego pomarszczonej twarzy malowało się zmęczenie. - Nowy szaleniec w Afryce.

„Mówiąc szczerze i w absolutnym zaufaniu, generale Halafi, aprobujemy pańskie zamiary wtargnięcia w głąb cieśniny. Nasi, tak zwani sojusznicy, w tym rejonie okazali się słabi i nieefektywni, ale naturalnie musimy stopniowo rozluźnić łączące nas z nimi więzy. Proces nauki jest

zawsze trudny, a reedukacja ludzi znajdujących się w stanie obłądzenia, przypomina, niestety, zwariowaną grę w szachy. Na szczęście jednak biorą w niej udział ci, co rozumieją jej tajniki. Będzie miał pan swoją broń, Saalam, mój wojowniczy przyjacielu.” To, co usłyszał

Havelock, było paraliżujące. Za cichą zgodą zawierano sojusze, sprzeciwiające się żywotnym interesom Stanów Zjednoczonych. Wynegocjowane lub dopiero proponowane układy, gwałciły obowiązujące porozumienia. Udzielano gwarancji na miliony, których Kongres nigdy nie zatwierdzi, a amerykański podatnik nie będzie tolerował. Zobowiązania militarne, niemoralne już w zarodku, obrażały poczucie narodowego honoru i w dodatku były bezsensownie prowokujące. Tak widział rzeczywistość błyskotliwy umysł, i kawałkował ją w mnogość globalnych sojuszy, śmiertelnych niczym głowica bojowa. Michael powoli otrząsnął

się z szoku. Nagle dostrzegł lukę, którą musiał zapełnić. Zdjął słuchawki i zwrócił się do prezydenta.

- Costa Brava - wyszeptał powoli. - Dlaczego? Dlaczego „nie-do-uratowania”?

- Uczestniczyłem w pierwszej operacji, ale z tymi następnymi wydarzeniami nie miałem nic wspólnego. O ile udało nam się to precyzyjnie ustalić, wyrok nigdy nie został

oficjalnie zatwierdzony.

- A więc kłania się Dylemat?

- Tak. Nie wiemy kim jest. Jednak powinienem panu wyznać, że potem osobiście zatwierdziłem ten rozkaz.

- Dlaczego?

- Ponieważ w tekście pańskiej przysięgi jest pewien paragraf...

- Jaki?

- Oddać życie w służbie kraju, o ile znajdzie się on w takiej sytuacji, że będzie to konieczne. Każdy z nas by tak zrobił, wie pan o tym równie dobrze, jak ja. Nie muszę też panu przypominać, że postąpiły tak nieprzeliczone tysiące, nawet jeżeli taka potrzeba wydawała się wątpliwa.

- Mam rozumieć, że poświęcenie mojego życia, moja śmierć, była konieczna?

- Tak było, kiedy wydawałem ten rozkaz.

- A Czeszka? Jenna Karas? - Michael wstrzymał oddech.

- Nikt nie chciał jej śmierci.

- Chciał!

- My jej nie chcieliśmy.

- A więc znów Dylemat?

- Najwyraźniej.

- Mój Boże! I tego nie wiecie... Ale to pan zatwierdził moją egzekucję.

Prezydent skinął głową. Nordycka twarz złagodniała, oczy pozostały uważne, nieruchome, lecz już nie były to oczy myśliwego.

- Czy skazaniec może zapytać dlaczego?

- Proszę ze mną - powiedział Berquist, wstając od konsoli w świetle przyćmionych, mrugających lampek. Przyszła pora na ostatni etap pańskiej edukacji, panie Havelock. Mam nadzieję, że jest pan do niego przygotowany. Wyszli z sali monitorów i znaleźli się w krótkim, białym korytarzu, gdzie stał starszy sierżant o posturze olbrzyma. Jego twarz i baretki wskazywały na lata służby i wiele przebytych kampanii. Na widok prezydenta błyskawicznie stanął na baczność. Jego zwierzchnik skinął mu głową i ruszył w stronę szerokich, czarnych drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia. Kiedy jednak Havelock podszedł bliżej, zorientował się, że nie są to drzwi, lecz wejście do skarbcza. Na środku płyty czołowej wbudowano koło mechanizmu ryglującego, a na drzwiach po prawej stronie, płytkę czujnika reagującego na dotyk dłoni. Prezydent przyłożył do niego rękę i ponad płytką zamigotał, od lewej do prawej, rząd kolorowych światełek. Po chwili pozostały tylko białe i zielone. Berquist lewą ręką dotknął koła. Światełka ponownie zamigotały i tym razem pozostały same zielone. Jestem pewien, że orientuje się pan lepiej w tych urządzeniach niż ja

- powiedział. - Dodam więc tylko, że oprócz mnie nikt nie może otworzyć tego skarbcza... Z

wyjątkiem jednej osoby, w razie mojej śmierci. Znaczenie tej uwagi było oczywiste i nie wymagało komentarza. Prezydent popchnął masywne drzwi sejfu do tyłu i wyciągniętą ręką dotknął niewidocznej płytki, umieszczonej na wewnętrznym obramowaniu. Gdzieś w środku zgasty fotokomórki, Berquist skinął żołnierzowi i gestem zaprosił Havelocka do wewnątrz.

Weszli do środka, a starszy sierżant zbliżył się do stalowej płyty, zamknął ją i zakręcił kołem mechanizmu ryglującego. To było niezwykle pomieszczenie. Żadnych okien, żadnych sztychów na ścianach, żadnych zbędnych mebli i ozdóbek, tylko cichy szum urządzeń wentylacyjnych. Środek pomieszczenia zajmował prostokątny stół konferencyjny z ustawionymi dookoła pięcioma krzesłami. Na blacie przed każdym krzesłem leżały notatniki, ołówki i popielniczki. W przeciwległym lewym rogu stała maszynka do niszczenia dokumentów. W przeciwieństwie do sali z dwunastoma ekranami telewizyjnymi, z której niedawno wyszli, ta wyposażona była w jeden wielki ekran i projektor o niecodziennym kształcie, wbudowany w przeciwległą ścianę, tuż obok tablicy z okrągłymi przełącznikami.

Berquist bez słowa podszedł do tablicy, przyciemnił górne światła i włączył projektor. Ekran po przeciwległej stronie pokoju momentalnie wypełniły dwa obrazy. Czarna pionowa linia na środku oddzielała fotokopie dwóch dokumentów. Oba w oczywisty sposób były ze sobą związane i

posiadały niemal identyczne brzmienie. Havelock wpatrywał się w ekran i czuł, jak ogarnia go groza.

- Widzi pan tu esencję tego, co nazywamy Parsifalem powiedział spokojnie prezydent.

- Pamięta pan ostatnią operę Wagnera?

- Niezbyt dobrze - odparł Havelock. Mówienie przychodziło mu z trudnością.

- To nie ma znaczenia. Najistotniejszy jest fakt, że kiedy Parsifal brał do ręki włócznie użytą przy ukrzyżowaniu Chrystusa i dotykał nią ran, uzyskiwał moc leczenia. I na odwrót: ktokolwiek inny wziął ją do ręki, miał moc ich otwierania. Na całym świecie.

- Nie... mogę w to uwierzyć - wyszeptał Havelock.

- Bóg mi świadkiem, że wolałbym nie musieć w to wierzyć - powiedział Berquist i dłonią wskazał na dokument wyświetlony po lewej stronie. - To pierwsze porozumienie mówi o nuklearnym ataku na Chińską Republikę Ludową, dokonany przez połączone siły Stanów Zjednoczonych Ameryki i Związku Radzieckiego. Celem ataku jest zniszczenie wszelkich instalacji militarnych, centrów rządowych, hydroelektrowni, systemów komunikacyjnych i siedmiu głównych miast od granicy mandżurskiej po Morze Chińskie. Prezydent przerwał i wskazał na dokument po prawej. - To drugie porozumienie odnosi się do prawie identycznego ataku na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, przy użyciu połączonych sił

Stanów Zjednoczonych i Chińskiej Republiki Ludowej. Różnice są znikome i mają znaczenie jedynie dla kilku milionów ludzi, którzy spłoną w atomowym ogniu. Wymieniono tu pięć miast, włączając w to Moskwę, Leningrad i Kijów, choć wiadomo, że zniszczenie byłoby całkowite, i w sumie dwanaście miast wymazanych zostałoby z powierzchni ziemi... Nasz kraj wszedł w dwa oddzielne porozumienia: jedno ze Związkiem Radzieckim, a drugie z Chińską Republiką Ludową. W każdym z przypadków zaoferowaliśmy cały arsenał broni atomowej do połączonego ataku na wspólnego wroga. Dwa diametralnie różne zobowiązania, a sytuację Stanów Zjednoczonych można porównać do dziwki, która sprzedaje się dwóm oszalałym ogierom. Dojdzie do masowej anihilacji: świat będzie miał swoją wojnę nuklearną, którą z błyskotliwą precyzją zaprogramowała nasza supergwiazda - Anthon Matthias.

27

- To są... to jakiś obłąd! - wyszeptał wpatrzony w ekran Havelock. - I my bierzemy udział w obu porozumieniach? A każde z nich zobowiązuje nas do przeprowadzenia inicjującego ataku atomowego?

- Również do drugiego, a jeśli to będzie konieczne, do trzeciego, z łodzi podwodnych, rozlokowanych wzdłuż wybrzeży Chin, a potem Rosji. Oba te dokumenty są owocem szaleństwa, panie Havelock. I my naprawdę bierzemy udział w tych porozumieniach. To jest zapisane czarno na białym.

- Mój Boże... - Michael badawczo wczytywał się w linijki obu dokumentów, tak jakby studiował

objaśnienia koszmarnego porozumienia. - Jeżeli to wyjdzie na światło dzienne, to już koniec.

- Teraz pan rozumie - powiedział Berquist, również wpatrując się w przezrocza, które wypełniały obie części ekranu. Twarz miał wymizerowaną, a w oczach pustkę. Musimy żyć, akceptując ten niewyobrażalny szantaż. O ile nie wypełnimy co do joty przekazanych rządowi poleceń, staniemy przed globalną katastrofą i to w najbardziej dosłownym sensie. Idea jest prosta: pakt nuklearny z Rosją zostanie przedstawiony przywódcom Chin, a pakt z ChRL -

Moskwie. Oba państwa będą wiedziały, że zostały zdradzone, i to w dodatku przez najbogatszą kurwę w historii. Będą o tym absolutnie przekonane, i świat wyleci w powietrze w tysiącu eksplozji atomowych. Ostatnie słyszalne słowa będą brzmiały: „To nie są ćwiczenia!”... Tak wygląda prawda, panie Havelock. Michael czuł drżenie dłoni i pulsowanie w skroniach. Słowa, które przed chwilą wypowiedział Berquist, wywołały w jego umyśle uczucie nagłego niepokoju, ale nie potrafił skoncentrować się na jego przyczynach. Mógł

tylko wpatrywać się w dwa wyświetlone na ekranie dokumenty.

- Nie ma tu słowa o terminach akcji - zauważył Michael.

- Są na osobnej stronie. To są tylko listy intencyjne. Konferencje, podczas których zostaną ustalone dokładne daty uderzeń, mają się odbyć w kwietniu i maju. Rosjanie są zaplanowani na kwiecień, a Chiny na maj. Teraz mamy marzec. Uderzenia mają nastąpić w ciągu czterdziestu pięciu dni po każdej z konferencji.

- To jest... nie do wiary! - Havelock przytłoczony tym, czego się dowiedział, poczuł

nagle, że ogarnia go stupor. Nie odrywał wzroku od Berquista. - I wy mnie powiązaliście z tym? Z tym?

- Był pan powiązany. W niebezpieczny sposób, choć Bóg świadkiem, że nie przez swoją działalność. Wiemy jak, ale nie wiemy dlaczego. Ale to wystarczyło, żeby przeznaczyć pana na straty.

- Na miłość boską, jak?

- Zaczniemy od tego, że Matthias sfabrykował sprawę przeciwko pańskiej przyjaciółce, Jennie Karas.

- Matthias?

- To on chciał pana wyłączyć. Nie byliśmy pewni, czy przeszedł pan w stan spoczynku, czy po prostu wybrał inną pracę? Zamienił rząd Stanów Zjednoczonych na święte cesarstwo Matthiasa Wielkiego?

- To dlatego byłem pod obserwacją. W Londynie, Amsterdamie, Paryżu... Bóg jeden wie, gdzie jeszcze.

- Wszędzie, gdzie się pan wybrał. Ale niczego nie odkryliśmy.

- I to było podstawą do spisania mnie na straty?

- Jak już powiedziałem, z pierwszym rozkazem nie mam nic wspólnego.

- Rozumiem. Kryje się za nim Dylemat. Ale później pan go ponownie zatwierdził.

- To było później, znacznie później, kiedy dowiedzieliśmy się, co on wie. Oba rozkazy zostały wydane z tego samego powodu, z tym że jeden formalnie, a drugi nie. Badał pan manipulacje i schemat organizacyjny, który prowadził do tych dokumentów oraz powiązania ludzi z Waszyngtonu z ich nieznanymi partnerami w KGB. To był wyścig. Jeden błąd z pańskiej strony, jedno ujawnienie skazy w tym schemacie, i mamy wszelkie powody by wierzyć, że te porozumienia, te zaproszenia do Armageddonu, zostaną przedstawione przywódcom w Moskwie i Pekinie.

- Chwileczkę! - krzyknął Havelock. Był oszołomiony i czuł, że ogarnia go wściekłość.

- Powiedział pan to już wcześniej! Do diabła, te porozumienia ktoś negocjował z Moskwą i Pekinem! Prezydent Stanów Zjednoczonych nie odpowiedział nic. Zamiast tego, usiadł na najbliższym krześle przy stole. Potylicą jego majestatycznej głowy i przerzedzone blond włosy, lśniły w świetle projektora.

- Nie, nikt ich nie negocjował, panie Havelock - powiedział wreszcie, wpatrując się w ekran. - To dopracowane w najdrobniejszych szczegółach fantazje błyskotliwego, lecz obłąkanego umysłu. Zdania podyktowane przez genialnego negocjatora.

- Dobry Boże, w takim razie zaprzeczcie im! Przecież to wszystko nieprawda!!

- Proszę zwrócić uwagę na słownictwo! powiedział ostro Berquist i pokręcił głową. -

Temu po prostu nie da się zaprzeczyć. Mamy tu szczegółowe odwołania do najbardziej tajnych broni w naszych arsenałach. Dyslokacje, szyfry startowe, precyzyjne opisy, dane logistyczne. Za przekazanie takich informacji człowiek zostaje ogłoszony zdrajcą i kończy życie w więzieniu, z wyrokiem nie niższym niż trzydzieści lat! W Moskwie czy Pekinie, przekazanie informacji nawet w najbardziej odległy sposób związanej z danymi o uzbrojeniu, spowodowałyby natychmiastowe rozstrzelanie bez procesu. Wystarczyłoby samo przypuszczenie, że ktoś, świadomie lub nie, mógłby rozgłosić ich fragmenty. - Prezydent przerwał i wciąż wpatrując się w ekran, nieznacznie odwrócił głowę w lewo. - Musi pan mieć świadomość, że gdyby przywódcy Moskwy i Pekinu otrzymali dokumenty wymierzone przeciwko nim, byłiby przekonani o ich autentyczności ponad wszelką wątpliwość. Każda strategiczna pozycja, każdy zasięg rakiet, każdy przydzielony obszar zniszczenia, zostały rozpracowane w najdrobniejszych szczegółach. Niczego nie pozostawiono wątpliwościom...

Nawet godziny pracy bezzałogowych pojazdów, okupujących podbite terytoria.

- Rozpracowane? - zapytał prowokująco Havelock.

- Tak, panie Havelock. Rozpracowane. - Berquist odwrócił się, a jego oczy znów były oczami myśliwego, ale też ostrożne, jakby przestraszone. - Tu dochodzimy do istoty sprawy Parsifala. Te porozumienia zostały wynegocjowane przez dwa błyskotliwe i doskonale poinformowane umysły.

Dwóch ludzi rozpracowało każdy szczegół, każdy krok, każdy punkt, jakby ich znaczenie dla historii zależało od tego zadania. To atomowa partia szachów, w której nagrodą dla zwycięzcy byłby świat, cokolwiek by z niego pozostało...

- Skąd to wiecie?

- Ponownie wraca sprawa słownictwa. To wytwór dwóch umysłów. Nie potrzeba psychiatrów ani patologów, żeby dostrzec różne ujęcia zagadnienia. Co istotniejsze Matthias nie mógł sam do tego wszystkiego dojść, nie miał pod ręką naprawdę tajnych informacji. Ale wspólnie z kimś innym, Rosjaninem, który zna możliwości Chin w takim samym stopniu jak my, mógł tego dokonać. I dokonali tego. We dwójkę.

- Tym drugim jest Parsifal? - Havelock wpatrywał się w prezydenta.

- Tak. On ma oryginał tych porozumień. Utrzymuje, że nie ma drugiej kopii. Musimy mu wierzyć, bo przy naszej, a właściwie mojej skroni trzyma atomowy pistolet.

- W takim razie kontaktował się z wami - powiedział Havelock, przerzucając spojrzenie na ekran. Otrzymaliście to od niego, a nie do Anthona.

- Tak. Z początku jego żądania dotyczyły finansów. Sumy rosły przy każdym kontakcie, aż stały się niesłychane wręcz, astronomiczne. Miliony milionów... i jeszcze miliony. Zakładaliśmy, że kieruje się motywami politycznymi i teraz dysponuje funduszami wystarczającymi na kupno pomniejszych rządów, przeprowadzenie rewolucji w całym Trzecim Świecie i popieranie terroryzmu. Trzymaliśmy pod najściślejszą kontrolą tuziny niestabilnych krajów, przy pomocy najlepszych ludzi penetrowaliśmy ich najbardziej ekstremistyczne środowiska, szukając jakichś istotnych zmian. Uważaliśmy, że możemy go wyśledzić i złapać. Ale potem dowiedzieliśmy się, że Parsifal nawet nie zbliżył się do pieniędzy. One były tylko środkiem, przy pomocy którego uzyskał pewność, że zrobimy wszystko, co rozkaże. Jego nie interesują pieniądze i nigdy go nie interesowały. Chce władzy.

Chce dyktować warunki najsilniejszemu narodowi na ziemi.

- Już je podyktował. I to była wasza pierwsza pomyłka.

- Chcieliśmy zyskać na czasie. Wciąż chcemy.

- Ryzykując anihilację?

- Żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że jej zapobiegniemy. Havelock, pan wciąż nie rozumie. Możemy pokazać światu Anthona Matthiasa jako szaleńca i prawdopodobnie tak zrobimy, niszcząc w ten sposób wiarygodność dziesięcioletnich negocjacji i zawartych sojuszy, ale nie uzyskamy w ten sposób odpowiedzi na podstawowe pytanie. Jak, na miłość boską, ktoś uzyskał dane zawarte w tych porozumieniach? Czy zostały przekazane człowiekowi oficjalnie uznanemu za szaleńca? Jeżeli tak, to komu z kolei on je przekazał?

Czy powierzymy potencjalnemu przeciwnikowi nasze najskrytsze sekrety, dotyczące zdolności do ataku i obrony? A może pozwolimy im dowiedzieć się, w jakim stopniu spenetrowaliśmy ich system obrony? Nie mamy monopolu na atomowych szaleńców. W

Moskwie i Pekinie są ludzie, którzy po pierwszej lekturze tych dokumentów naciśną guzik i wystrzelą rakiety. Wie pan dlaczego?

- Nie jestem pewien... Niczego nie jestem pewien.

- A więc witamy w naszym elitarnym klubie... Powiem panu dlaczego. Ponieważ poświęciliśmy czterdzieści lat i wydaliśmy niezliczone miliardy na to, żeby znaleźć się tu, gdzie jesteśmy. Trzymamy atomowe noże na gardle przeciwników, a oni robią to samo z naszym. Nie ma czasu i brakuje pieniędzy, żeby to zacząć od początku. Podsumowując, panie Havelock, rozpaczliwie próbując uniknąć ryzyka światowej zagłady atomowej, możemy do niej doprowadzić.

- Proste założenia nie liczą się - powiedział Michael, przełykając ślinę.

- Nie są nawet już modne - zgodził się Berquist.

- Kim jest Parsifal?

- Nie wiemy. Nie wiemy też, kim jest Dylemat.

- Nie wiecie?

- Możemy tylko założyć, że są ze sobą powiązani.

- Chwileczkę!

- Wciąż pan to powtarza.

- Macie Matthiasa! Badacie go przy pomocy komputerów! Wedrzyjcie się do jego głowy! Znacie przecież setki terapii! Użyjcie ich. Dowiedźcie się!

- Myśli pan, że nie próbowaliśmy? Nie znajdzie pan w annałach medycznych niczego, czego byśmy nie wypróbowali... Czego wciąż nie próbujemy. Usunęliśmy z jego mózgu rzeczywistość i teraz jest on przekonany, że osobiście negocjuje z wojskowymi w Pekinie i Moskwie. Jego fantazje muszą być dla niego światem realnym, bo mózg Matthiasa nie uznaje innej. W ten sposób broni się.

- Ale Parsifal żyje! Nie jest fantazją! Ma twarz, oczy, nos i uszy! Anthon musi coś wam przekazać!

- Ale nie przekazał. Zamiast tego opisuje, tak dokładnie, że nie ma wątpliwości, znanych ekstremistów w sowieckim Prezydium i Komitecie Centralnym Chin. Tych ludzi ma stale przed oczami... Nawet bez środków psychotropowych. Jego umysł, ten niewiarygodny instrument, jest równie twórczy teraz, kiedy go ochrania, jak i wcześniej, kiedy pouczał

zwyczajnych śmiertelników.

- To abstrakcja! - krzyknął Havelock.

- To też już pan powiedział.

- Ten Parsifal istnieje naprawdę! I trzyma was na muszce!

- A to już chyba moje słowa...

- Nie mogę w to uwierzyć! - Michael podbiegł do stołu i uderzył w blat pięściami.

- Wierzy pan czy nie - zauważył prezydent - lepiej niech pan tego nie robi ponownie.

Zainstalowano tu urządzenia, rejestrujące wszystkie bardziej intensywne dźwięki, których nie wydało ludzkie gardło. Gdybym się teraz nie odezwał, sejf zostałby otworzony, a pan mógłby stracić życie.

- Och, mój Boże!

- Nie potrzebuję pańskiego głosu w następnych wyborach. Konstytucja zabrania trzeciej kadencji prezydenckiej, o ile oczywiście jeszcze będzie jakaś kadencja.

- Usiłuje pan być zabawny panie prezydencie?

- Być może. W takich chwilach pewną ulgę można znaleźć w sporadycznych próbach dowcipów, oczywiście jeżeli okoliczności pozwolą nam na dłuższe życie. Ale nie jestem pewien... Niczego już nie jestem pewien. Wydaliśmy miliony, żeby zbudować to miejsce w niesłychanej tajemnicy. Zaangażowaliśmy najlepszych psychiatrów w kraju. Czy za to kupiliśmy tylko złudzenia? Nie wiem. Wiem tylko, że nic innego nie mogę zrobić. Havelock osunął się na krzesło przy drugim końcu stołu i w tym momencie zdał sobie niejasno sprawę, że nie zapytał Berquista o pozwolenie.

- Niech pan da spokój - powiedział Berquist. Proszę nie zapominać, że to ja wydałem komendę pańskiemu plutonowi egzekucyjnemu.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego. Twierdzi pan, że do czegoś się dokopałem, że odkryłem skazę w jakimś schemacie organizacyjnym. I jeżeli nie zaprzestałbym swojej działalności, to te porozumienia...

- Michael spojrział na ekran i wzdrygnął się - zostałyby przekazane Moskwie lub Pekinowi.

- Mogłyby zostać przekazane. Nie mogliśmy podjąć najmniejszego ryzyka, że Parsifal wpadnie w panikę. Gdyby do tego doszło, bez wątplenia skierowałyby się do Moskwy. Chyba wie pan, dlaczego.

- Ma swojego łącznika u Sowieców. Bez udziału wywiadu rosyjskiego nie doszłoby do wydarzeń w Barcelonie i nie dostarczono by dowodów przeciwko Jennie.

- KGB temu zaprzecza, mówiąc ściślej, pewien człowiek oficjalnie temu zaprzecza.

Według danych OPKON-u i pułkownika Lawrence'a Baylora, spotkał się pan z tym człowiekiem w Atenach.

- Rostow?

- Tak. Oczywiście nie wiedział, czemu zaprzecza, ale dał do zrozumienia, że wszelkie powiązania z KGB z pewnością nie miały oficjalnego statusu. Sądzę, że martwi się. Nie ma pojęcia, jak bardzo to uczucie jest uzasadnione.

- Może mieć pojęcie - powiedział Havelock. - Dał wam do zrozumienia, że może tu chodzić o WKR.

- Co to, u diabła jest? Nie jestem specjalistą w pańskiej dziedzinie.

- Wojenną Kontrrazwiedką. Elitarny korpus KGB, który napełnia przerażeniem każdego, komu pozostała odrobina zdrowego rozsądku. Czy się do tego dokopałem? -

Michael przerwał i pokręcił przecząco głową. - Nie, to nie o to chodzi. Przeszkodziłem im w Paryżu, już po Col des Moulinets, zaś na straty spisano mnie w Rzymie, nie w Paryżu.

- To była decyzja Dylemata - powiedział Berquist. - Nie moja.

- Ale z tych samych powodów. To pańskie słowa... panie prezydencie.

- Tak. - Prezydent pochylił się nad stołem. - To przez Costa Brava. Przez tamtą noc na Costa Brava.

- Costa Brava była fikcją! Oszustwem! Wykorzystano mnie, i w dodatku wydano na mnie wyrok! Pan o tym wiedział! Powiedział pan zresztą, że ma w tym swój udział!

- Widział pan kobietę zabitą na plaży.

- Jeżeli to jeszcze jedna próba dowcipu... panie prezydencie! - Havelock zerwał się i chwycił oparcie krzesła.

- Jestem jak najdalszy od żartów. Tamtej nocy na Costa Brava nikt nie miał zginąć.

- Nikt... Chryste! Wyście to zrobili! Pan, Bradford i te sukinsyny z Langley, z którymi rozmawiałem z Madrytu! Niech mi pan nie opowiada o Costa Brava, bo ja tam byłem! Wy wszyscy odpowiadacie za to, co tam się stało!

- Rzeczywiście, zainicjowaliśmy operację i wprawiliśmy ją w ruch, ale nie my ją zakończyliśmy. I taka jest prawda panie Havelock. Michael chciał podbiec do ekranu i trzasnąć dłońmi o koszarne repliki dokumentów. W tym momencie przypomniał sobie słowa Jenny. „Nie jedna operacja, lecz dwie”.

- Chwileczkę, a więc została przechwycona, zmieniona...

- Niech pan znajdzie jakiś inny wyraz.
- Nie, proszę. Zaczęliście operację, a ktoś bez waszej wiedzy zapoznał się z jej scenariuszem, potem przejął dowodzenie i nitki dywanu zostały zamienione, przeszły w kolejny splot.
- W moim słowniku nie ma takich określeń.
- Są bardzo obrazowe. Tka pan dywan z motywem łabędzi, które nagle zamieniają się w sępy. Ma pan rację. Tak właśnie się stało.
- Gówno! Przepraszam.
- Nic nie szkodzi - jestem z Minnesoty i przerzuciłem go więcej, niż pan w życiu widział. Spora część z tego przypada na okres w Waszyngtonie. Berquist odchylił się w fotelu do tyłu. Teraz pan rozumie?
- Tak sądzę. To jest ta skaza, która może doprowadzić do Parsifala. On był na Costa Brava.
- On, albo jego sowiecki łącznik - poprawił prezydent. Kiedy trzy miesiące później zobaczył pan Karas, zaczął pan analizować tamtą noc. Gdyby swoimi odkryciami podzielił się pan z kimś innym, mogłoby to zaalarmować Parsifala. Nie wiedzieliśmy, czy pan to zrobi, a jak długo istniała taka możliwość, nie można było ryzykować konsekwencji.
- Dlaczego nikt mi nie powiedział? Dlaczego nikt nie skontaktował się ze mną i w szczegółach wyjaśnił o co chodzi?
- Nie chciał pan kontaktu. Sztabowcy w Operacjach Konsularnych robili wszystko, co w ich mocy, żeby włączyć pana do sprawy, ale pan się im wymykał.
- Nie z powodu tego. - Havelock w bezsilnym gniewie wskazał na ekran. - Mogliście mi powiedzieć, a nie usiłować zabić!
- Nie było czasu. Nie wolno nam też było wysłać kuriera z taką informacją lub z najmniejszymi nawet aluzjami do stanu psychiki Matthiasa. Nie mieliśmy pojęcia co robi pan w danym momencie, nie wiedzieliśmy, co i komu może pan przekazać odnośnie tamtej nocy.

W naszej i mojej ocenie, jeżeli człowiek którego nazywamy Parsifalem był na Costa Brava lub brał udział w przechwyceniu operacji, domyśliłby się, że tamtej nocy został

zidentyfikowany, to bardzo prawdopodobne, że sprowokowany, posunąłby się do niewyobrażalnego czynu. A do tego nie mogliśmy dopuścić.

- Tak wiele pytań... - Michael zmrużył oczy w ostrym blasku światła. - Tak wiele, że nie mogę tego wszystkiego poskładać w całość.

- Będzie pan mógł, kiedy zadecydujemy, że oboje zostaniecie wciągnięci do operacji.
- Apacz - powiedział Havelock, prześlizgując się nad uwagą Berquista. - Wzgórze Palatyńskie... Jack Ogilvie. Czy to był wypadek? Czy ta kula była przeznaczona pozornie dla mnie, a w rzeczywistości dla niego, bo wiedział za dużo o czymś tu, na miejscu? Wspomniał o kimś, kto na Chesapeake zmarł na atak serca.
- Śmierć Ogilviego nie budzi żadnych wątpliwości. To była pomyłka. Trafiła go kula przeznaczona dla pana... Inni jednak nie zginęli w wypadkach.
- Jacy inni?
- Pozostali trzej sztabowcy z Operacji Konsularnych zostali zamordowani w Waszyngtonie.
- Z mojego powodu? - zapytał Havelock głucho.
- Nie bezpośrednio. Ale to właśnie wtedy stał się pan osiłą całej sprawy z powodu jednego, pozornie nieistotnego pytania. Dlaczego Matthias to panu zrobił?
- Niech mi pan opowie o sztabowcach.
- Wiedzieli, kim był sowiecki łącznik Parsifala - powiedział prezydent. - Lub dowiedzieliby się tego następnej nocy, gdyby zginął pan na Col des Moulinets.
- Dylemat? Czy on tu jest?
- Tak. Stern przekazał mu szyfr wtajemniczenia. Wiemy gdzie jest, ale nie wiemy, kto to.
- Gdzie?
- Jeszcze nie wiem czy otrzyma pan tę informację.
- Na miłość boską! Przy całym dla pana szacunku, panie prezydencie, czy nie wpadło panu do głowy wykorzystać mnie? Nie zabijać, a wykorzystać?
- W jakim celu? Czy może mi pan pomóc? Pomóc nam wszystkim?
- Pracowałem jako agent w terenie szesnaście lat, ścigałem i byłem ścigany. Płynnie mówię pięcioma językami, biernie trzema i tyloma dialektami, że nie potrafię zliczyć. Znam Anthona Matthiasa od jednej strony, lepiej niż ktokolwiek z żyjących: znam jego uczucia.

Przechodząc do bardziej konkretnych aspektów, wykryłem więcej podwójnych agentów, niż ktokolwiek inny w Europie. Tak, uważam, że mogę panu pomóc.

- W takim razie musi pan odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy ma pan zamiar spełnić swoje groźby? Chodzi mi o te trzynaście kartek, które...
- Może pan je spalić - przerwał Havelock, wpatrując się w oczy prezydenta.
- To są kopie - zauważył Berquist.
- Skontaktuję się z nią. Jest kilka mil stąd, w Savannah.
- Bardzo dobrze. Człowiek o pseudonimie Dylemat siedzi na piątym piętrze w Departamencie Stanu. To może być jeden lub jedna z sześćdziesięciu pięciu, może siedemdziesięciu osób. Ktoś taki nazywa się chyba „spiochem”.
- Aż do tego stopnia udało wam się zawęzić krąg podejrzanych? - zapytał Michael i usiadł na krześle.
- Zrobił to Emory Bradford. To lepszy człowiek, niż pan myśli. Nigdy nie chciał skrzywdzić Karas.
- A więc był niekompetentny.
- On pierwszy zgodziłby się z taką opinią. Z drugiej strony, gdyby ona zastosowała się do przekazanych instrukcji, dowiedziałyby się w końcu prawdy i oboje zostalibyście włączeni do operacji.
- A tymczasem zostałem przeznaczony na straty.
- Proszę mi coś powiedzieć, panie Havelock - powiedział prezydent, po raz kolejny pochylając się w krześle. - Gdyby pan był na moim miejscu i dysponował taką wiedzą, jaką ja posiadałem, jak by pan postąpił?
- Tak samo, jak pan. Na moje miejsce można było znaleźć kogoś innego.
- Dziękuję. - Prezydent wstał. - Tak na marginesie, nikt tu na Poole's Island nie ma pojęcia o tych porozumieniach. Ani lekarze, ani technicy, ani wojskowi. O tych dokumentach wie tylko pięć innych osób. O Parsifalu też. Jednym z nich jest psychiatra z Bethesda, specjalista od zaburzeń halucynogennych, który przylatuje tu raz w tygodniu na sesje z Matthiasem. Odbywają się one tylko w tym pomieszczeniu.
- Rozumiem.
- No dobrze. Wyośmy się stąd, póki wciąż jeszcze jesteśmy przy zdrowych zmysłach
- powiedział Berquist i podszedł do projektora. Ekran zgasł i włączyło się górne oświetlenie. -

Wydam rozkazy, żeby jeszcze dziś po południu przewieziono was do bazy lotnictwa w Andrews. Znajdziemy wam jakieś schronienie poza Waszyngtonem. Nie możemy ryzykować, że ktoś was

zobaczy.

- Jeżeli mam działać efektywnie, muszę mieć dostęp do archiwów, dzienników, akt.

Ich nie można przenieść na wieś, panie prezydencie.

- Kiedy nie będzie innego wyjścia, dopuszczę was do archiwów w warunkach ścisłej kontroli... Dostawimy do stołu dwa dodatkowe krzesła. A Bradford wprowadzi was w sprawę najszybciej jak się da.

- Zanim stąd odleczę, chciałbym porozmawiać z lekarzami i zobaczyć się z Anthonem, ale rozumiem, że może to potrwać tylko kilka minut.

- Nie jestem pewny, czy się zgodzą.

- A więc niech pan im rozkaże. Chcę z nim pomówić po czesku, w jego ojczystym języku. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tych kilku słowach, które mi powiedział. „Nie rozumiesz. Nigdy nie zrozumiesz”. To coś głęboko w nim tkwi, coś, co jest między nim a mną. Być może jestem jedynym człowiekiem, który może z niego to wydobyć. To może być cokolwiek: odpowiedź na pytanie dlaczego tak postąpił? Nie tylko wobec mnie, ale i wobec siebie. Gdzieś w mojej głowie tyka bomba zegarowa. Wiedziałem o tym od samego początku.

- Lekarzy biorę na siebie. Ale chciałbym przypomnieć, że spędził pan dwanaście dni w klinice, przez pełne osiemdziesiąt pięć godzin poddawaliśmy pana terapii psychotropowej i nie był nam pan w stanie pomóc.

- Nie wiedzieliście, gdzie szukać. I klnę się na Boga, że ja też tego nie wiem.

Trzej lekarze nie byli w stanie powiedzieć mu niczego, czego nie domyśliłby się na podstawie opisu Berquista, i w gruncie rzeczy terminologia psychiatryczna tylko zaciemniała obraz.

Scharakteryzowanie psychiki Matthiasa przez prezydenta było o wiele bardziej obrazowe, niż suche wyjaśnienia dotyczące odporności na stresy. Nagle wywody te przerwał

jeden ze specjalistów, tak się złożyło, że najmłodszy.

- Dla niego nie istnieje rzeczywistość w takim rozumieniu słowa, które moglibyśmy przyjąć do wiadomości. On selekcjonuje wrażenia i dopuszcza do siebie tylko te, które potwierdzają pożądane obrazy wizualne i akustyczne. One są dla niego rzeczywistością, być może bardziej realną, niż ta przed załamaniem. Iluzje teraz go osłaniają. Nie pozostało mu nic innego, poza fragmentami wspomnień.

- Czy możliwe jest polepszenie jego stanu? zapytał Havelock.

- Nie - odparł inny psychiatra. - Struktura komórkowa uległa degeneracji. To są nieodwracalne zmiany.

- Jest zbyt stary - dodał młodszy lekarz.

- Chciałbym się z nim zobaczyć. Na krótko.

- Zgłosiliśmy nasz sprzeciw - powiedział trzeci lekarz - ale prezydent jest innego zdania. Proszę nas zrozumieć, pracujemy tu w niesłychanie trudnych warunkach, z pacjentem, którego stan pogarsza się. Nie wiemy jak szybko ten proces postępuje. Żeby w ogóle osiągnąć jakieś rezultaty, musimy go sztucznie tłumić i zarazem stymulować. To bardzo delikatna terapia, a nawrót traumy może nas cofnąć o wiele dni. Mamy bardzo mało czasu, panie Havelock.

- Będę się śpieszył. Tylko dziesięć minut.

- Pięć. Proszę.

- Zgoda. Pięć minut.

- Zawiozę pana - powiedział młodszy psychiatra. Może pan spotkać się z nim tam, gdzie widział go pan wczoraj w nocy. W ogrodzie. Wyszli na ulicę i lekarz w białym kitlu zaprowadził Michaela do wojskowego dżipa, zaparkowanego za budynkiem z czerwonej cegły.

- Tam w środku wyglądał pan na rozczarowanego zauważył psychiatra. - Ale nie powinien pan być. Bez przesady można powiedzieć, że to dwaj najlepsi specjaliści w kraju.

Choć w pewnych momentach to miejsce można nazwać Daremnogrodem.

- Daremno... co?

- Rezultaty nie przychodzą wystarczająco szybko. Nigdy nie zorientujemy się w całości.

- W całości czego? - Tego, co zrobił.

- Rozumiem. Coś mi mówi, że nie jest pan tu za pomagiera powiedział Havelock.

- Mam kilka publikacji i jestem niezły w statystyce, ale praca z tymi facetami w roli

„przynieś-podaj-pozamiataj” jest dla mnie zaszczytem.

- Skąd pana wyciągnęli?

- Z doktorem Schrammem, tym, co nalegał na pięć minut, pracowałem u Menningera.

Uchodzi on za najlepszego neuropsychiatrę w branży. Obsługiwałem dla niego urządzenia medyczne: encefalografy, elektrospektrografy i wiele innych. Dalej zresztą tym się zajmuję.

- Macie tu całą masę maszynarii, prawda?

- Nie liczone się z groszem.

- Nie mogę się nadziwić - powiedział podniesionym głosem Michael, rozglądając się dookoła. Patrzył na makabryczne fasady budynków, alabastrowe modele, miniaturowe ulice z latarniami i dziwnie wyglądające powiększone fotografie, ustawione na pieczołowicie przystrzyżonych trawnikach. Niewiarygodne. To wygląda jak plan zdjęciowy do obłąkanego filmu! Kto wam to, u diabła, zbudował? Jak wam się udało zmusić do milczenia ekipę budowlaną? Cała południowa Georgia trzęsie się chyba od plotek.

- Na pewno nie narobili ich ludzie, którzy to wszystko postawili.

- Jak wam udało się powstrzymać ich od mówienia?

- Nie było ich tutaj. Pracowali setki mil stąd nad innymi projektami.

- Co?

- Sam pan to powiedział - wyjaśnił, uśmiechając się, młody lekarz. - Film. Cały ten kompleks zbudowała kanadyjska wytwórnia filmowa, która sądzi, że została wynajęta przez oszczędnego producenta na Zachodnim Wybrzeżu. Zaczęli stawiać konstrukcje sceniczne, dwadzieścia cztery godziny po tym, jak wojska inżynieryjne postawiły prowizoryczną palisadę i zaadaptowały istniejące już budynki dla naszych potrzeb. - A co z helikopterami, które przylatują z Savannah?

- Kierujemy je dokładnie określonym korytarzem na lądowisko, poza palisadą, więc załogi nie mogą niczego zobaczyć. Poza tym, z wyjątkiem prezydenta i kilku innych osób, wszyscy są z korpusu kwatermistrzostwa. Powiedziano im, że to ośrodek badań oceanograficznych i nie mają powodu uważać inaczej.

- A co z personelem?

- Są lekarze, technicy, którzy obsługują cały sprzęt, kilku strażników, pluton szeregowców i pięciu oficerów. Wszyscy, również ci ostatni, łącznie z załogą łodzi patrolowej, są z armii lądowej.

- Co im powiedziano?

- Możliwie jak najmniej. Poza nami, więcej wiedzą technicy i asystenci, jednak zostali tak dokładnie prześwietleni, jakbyśmy wysyłali ich do Moskwy. Podobnie jak i strażnicy, ale o tym chyba już pan wie. Słyszałem, że zapoznał się pan z nimi.

- Przynajmniej z jednym. - Dżip wjechał na wiejską drogę z koleinami, ciągnąc za sobą kłęby kurzu. - Nie potrafię jeszcze zrozumieć, jak wam się udało zmusić żołnierzy do milczenia.

- Po pierwsze, nigdzie nie wyjeżdżają. Oficjalna wersja głosi, że to dotyczy wszystkich. O oficerów też bym się nie martwił: są z Pentagonu i każdy z nich widzi się w przyszłości jako Szef Sztabów Połączonych Sił Zbrojnych. Nie pisną ani słówka, bo milczenie jest dla nich gwarancją szybkiego awansu.

- A szeregowcy? Tam musi być niezły gąszcz plotek.

- Taki jest stereotypowy pogląd, prawda? Ci młodzi chłopcy walczyli w wielu dżunglach i lądowali na wielu plażach.

- Miałem na myśli krążące wśród nich niesamowite opowieści, dotyczące tego miejsca. W jaki sposób nad tym panujecie?

- Po pierwsze, nie widzą zbyt wiele, a przynajmniej nic takiego, co się liczy.

Powiedziano im, że na Poole's Island przeprowadza się symulowany eksperyment, dotyczący przetrwania w trudnych warunkach i wszystko opatrzone klauzulą najwyższej tajności. Za złamanie nakazu milczenia można dostać dziesięć lat. Ich również prześwietlano na wszystkie sposoby, a w dodatku są zawodowymi żołnierzami i tu jest ich dom. Dlaczego mieliby wygadać się?

- Wciąż wygląda mi to nazbyt relaksowo.

- No cóż... zawsze istnieje jeszcze jedno ostateczne zabezpieczenie. Niedługo cała sprawa nie będzie przecież miała żadnego znaczenia, prawda? Havelock gwałtownie odwrócił

głowę w stronę psychiatry. „Tak na marginesie, tu na Poole's Island nikt o niczym nie wie.

Ani lekarze, ani technicy...” - to były słowa Berquista. Czyżby ktoś dostał się do skarbcza, do tego dziwnego pomieszczenia?

- Co pan ma na myśli?

- Pewnego, niezbyt odległego dnia Matthias po cichu umrze. Kiedy go już nie będzie, pogłoski nie będą miały żadnego znaczenia. O wszystkich wielkich ludziach opowiada się po ich śmierci niestworzone historie, a w tym wypadku to zagra na naszą korzyść. O ile to jest gra, doktorze...

- Dobro poledne, priteli - powiedział po cichu Michael, wychodząc z domu na zalany słońcem ogród. Matthias siedział w krześle na końcu wyłożonej łupkiem ścieżki, podobnie jak wczorajszej nocy. Przed promieniami słońca chronił go cień chwiejącej się na wietrze palmy pod murem. Havelock mówił po czesku, pośpiesznie, ale zarazem łagodnie.

- Zdaję sobie sprawę, że zdenerwowałeś się z mojego powodu, mój drogi przyjacielu.

Jedynym moim życzeniem jest rozwikłanie nieporozumień, które między nami narosły. Mimo wszystko jesteś moim ukochanym nauczycielem, jedynym ojcem, który mi pozostał. A ojciec i syn nie powinni ze sobą zrywać. Z początku, siedzący w krześle Matthias, wzdrygnął się i głębiej przesunął w cień palmy. Przeświecające przez liście promienie słoneczne, wędrowały po jego wykrzywionej w grymasie lęku twarzy. Jednak po chwili, szeroko otwarte oczy, za szklami w oprawkach z szylkretu, zaczęły zachodzić mgłą i pojawił się ślad niepewności. Być może spowodowały to zapamiętane słowa z odległej przeszłości: słowa wypowiedziane przez ojca w Pradze lub dziecinne zachcianki. W tej chwili zresztą to nie było istotne.

Najważniejsze, że ojczysty język, cicha, spokojna kadencja, przyniosły efekt. Teraz decydujące znaczenie będzie miał dotyk. Dotyk był bardzo ważny, symbolizował tak wiele rzeczy związanych z tamtym językiem, tamtym krajem, i zapamiętanym poczuciem bezpieczeństwa. Michael zbliżył się. Słowa płynęły miękko, a rytmiczna intonacja przywoływała wspomnienia z innych czasów, innego miejsca. Przypominały wielką Wełtawę, i jej piękne mosty i Plac Wacława, kiedy pada śnieg... Jezioro Srebrne podczas lata, Nitrę i dolinę Wagu. Dotknęli się: dłoń nauczyciela i ucznia. Matthias zadrżał, z wahaniem podniósł

dłoń z kolan i przykrył nią rękę Havelocka.

- Powiedziałeś mi, że nie rozumiałem, że nigdy nie zrozumiem. To nieprawda, nauczycielu... ojcze... Mogę zrozumieć. Muszę zrozumieć, obojętnie, co się wydarzy. Nigdy nic nie powinno stanąć między nami. Zawdzięczam ci wszystko. Przymglone oczy Matthiasa zaczęły się klarować, powracało w nich skupienie, a wraz z nim... coś dzikiego, coś szalonego.

- Nie, Anthon. Proszę - pośpiesznie powiedział Michael. Powiedz mi, o co chodzi.

Pomóż mi. Pomóż mi zrozumieć.

Havelock usłyszał głuchy szept, jak wtedy, kiedy ogród tonął w ciemności. Teraz jednak znajdowali się w oślepiającym słońcu, pojawił się inny język, inne słowa.

- Najstraszniejszymi porozumieniami na świecie są ostateczne rozwiązania. Właśnie tego nigdy nie będziesz w stanie zrozumieć. Ty widziałeś ich wszystkich... jak wchodzili i wychodzili... Widziałeś negocjatorów świata! Przychodzili do mnie! Prosilili mnie o pomoc!

Cały świat wiedział, że mogę to zrobić i zwrócił się do mnie! - Matthias przerwał i niespodziewanie, tak jak poprzedniej nocy, w miejsce głuchego szepotu pojawił się wrzask, który zdawał się przesłaniać światło słoneczne. Jakby w samym środku popołudnia pojawiła się zjawa z koszmarne snu. - Odejdź ode mnie! Zdradzisz mnie! Wszystkich nas zdradzisz!

- W jaki sposób?

- Ponieważ wiesz!

- Nie wiem!

- Zdrajca! Zdrajca swoich rodaków! Swojego ojca! Zdradziłeś cały świat!

- Dlaczego więc mnie nie zabijesz? - ryknął Michael. Nic innego mu już nie pozostało, w żaden inny sposób nie mógł nawiązać kontaktu z Matthiasem. - Dlaczego nie kazałeś mnie zabić?

- Havelock, dość tego! - krzyknął, stojący w drzwiach młody lekarz.

- Nie teraz! - wrzasnął po angielsku Michael.

- Do cholery, właśnie, że teraz!

- J słyším! - ryknął Havelock Matthiasowi w twarz po czesku. - Mogłeś mnie zabić, ale tego nie zrobiłeś? Dlaczego? Jestem niczym w porównaniu ze światem. W porównaniu z twoimi rozwiązaniami dla świata! Co cię powstrzymało?

- Dość tego, mój panie!

- Daj mi spokój! On musi mi powiedzieć!

- Co powiedzieć?

- Ted', stary pane? - Michael chwycił oparcie krzesła i unieruchomił w nim Matthiasa.

- Co cię powstrzymało?

- Wyszedłeś z konferencji i straciliśmy cię z oczu, nie mogliśmy cię znaleźć.

Musielśmy wiedzieć, co zrobiłeś, komu powiedziałeś.

- Koniec tego, Havelock! - powiedział psychiatra, chwytając ramię Michaela i ciągnąc go od krzesła.

- O czym rozmawialiście? Wiem tylko, że po czesku. Co on panu powiedział?

Proszę powtórzyć dosłownie!

- Na nic się panu to nie przyda. Powrócił do dzieciństwa. To była bezsensowna paplanina... rozniewanego, przestraszonego dziecka. Miałem nadzieję, że coś mi powie, ale niestety, niczego się nie dowiedziałem.

- Często tak robi - przyznał lekarz, spoglądając oczyma doświadczonego człowieka. Z

jego twarzy i głosu zniknęło napięcie.

- To syndrom degeneracji mózgu u starych ludzi, którzy urodzili się w innym kraju, mówili innym językiem. Nie ma wielkiego znaczenia, czy są zdrowi na umyśle, czy nie. W

końcu mają też jakieś prawo do przyjemności... Przykro mi. Chciał pan dobrze. Muszę pana już stąd zabrać. Na lądowisku czeka helikopter.

- Dzięki. - Michael wracając kamienną ścieżką obejrzał się na Anthona Matthiasa...

pratele, mistrza, ojca. Wiedział, że widzi go po raz ostatni. Wielki niegdyś człowiek znów kulił się, szukając schronienia w cieniu palmy. Szaleństwo. A może...? Czy to możliwe? Czy on, Michał Havliczek, znał odpowiedź?

Czy znał Parsifala?

Nazywano go Czystym Domem Numer Pięć, w skrócie: Czyściec Piąty. Znajdował się dziesięć mil na południe od Alexandrii, w okolicach Fairfax. Kiedyś była to rezydencja hodowcy koni, który sprzedał ją pewnemu starszemu, bogatemu małżeństwu na emeryturze.

W rzeczywistości małżonkowie byli podstawionymi kupcami pracującymi dla rządu Stanów Zjednoczonych i świetnie nadawali się na właścicieli, ponieważ większość życia spędzili w służbie dyplomatycznej. Przydzielano ich do różnych ambasad, gdzie piastowali rozmaite stanowiska, ale tak naprawdę stanowili parę najlepszych specjalistów od tajnych analiz wywiadu Stanów Zjednoczonych. Posłużyli się prostą przykrywką: on był bankierem, który spędził w Europie kilka dekad. To zaspokajało ciekawość mieszkających w okolicy bogaczy i tłumaczyło częsty widok limuzyn, zjeżdżających z szosy na wiejską drogę długości pół mili, która prowadziła do domu. Właściciele rzadko osobiście witali kolejnych gości, o ile ich pojawienie nie było wcześniej zaplanowane. Mieszkali w północnym skrzydle, w oddzielnej części domu z osobnym wejściem i niezależnym wyposażeniem gospodarczym. Czyściec Piąty był nieco innym rodzajem domu pośrednika. Obsługiwano tu klientów, którzy mieli nieco więcej do zaoferowania rządowi Stanów Zjednoczonych, niż bezdomni więźniowie Mason Falls w Pensylwanii. W ciągu wielu lat przez dom ten przewinęła się procesja wysoko postawionych zdrajców, których tu przesłuchiowano. Naukowcy, dyplomaci, agenci wywiadu, wojskowi, wszyscy w swoim czasie byli rezydentami Czyścica. Piątka była zarezerwowana dla tych, których Waszyngton uważał za cennych dla dobra bieżących interesów kraju, w razie kryzysu. Havelock i Jenna Karas przybyli na miejsce w nie oznakowanym samochodzie dwadzieścia minut po czwartej. Oczekiwał ich podsekretarz stanu Emory Bradford.

Wzajemne wyrzuty nie trwały długo, nie było sensu rozwodzić się nad dawnymi błędami.

Bradford rozmawiał już z prezydentem i przyjął do wiadomości, że przybyły „dwa nowe krzesła”. Siedzieli w małym pokoju, urządzonej w ziemiańskim stylu: kanapa i grube fotele ze skóry, mosiądz i kosztowne gatunki drewna, komponowały się w harmonijną całość. Na ścianach wisiały pamiątki, z których niewiele można było wywnioskować o historii domu. Na ciężkim sosnowym stole za kanapą, stała srebrna taca z butelkami, szklankami i pojemnikiem na lód. Havelock przyrządził drinki dla Jenny i dla siebie, Bradford odmówił.

- Co pan powiedział panie Karas? - zapytał podsekretarz.

- Wszystko, czego dowiedziałem się na Poole's Island. - Nie wiem co powiedzieć... Co o tym myśleć - wyznała Jenna. - Chyba jestem jednocześnie przerażona i przejęta lękiem.

- Ta kombinacja dobrze oddaje naszą sytuację - zgodził się Bradford.

- Potrzebne mi będzie właściwie wszystko co macie powiedział Havelock, okrążając kanapę z drinkami w rękę i siadając przy Jennie. - Nazwiska wszystkich osób, obojętnie w jak odległy sposób, zaangażowanych w sprawę od samego początku. Nieważne, ile czasu to zajmie, możemy tu spędzić całą noc.

Podczas pańskiego sprawdzania będę zadawał pytania i robił notatki, a kiedy pan już skończy,

przedstawię swoją listę potrzeb. Pierwsze pytanie padło po niecałych czterech minutach i dotyczyło agenta MacKenziego, jednego z najlepszych w Langley specjalistów od nielegalnych operacji.

- Powiedziano mi, że jest świetnym fachowcem zauważył Bradford.

- A więc to on zmontował Costa Brava?

- Tak.

- I on był drugim obserwatorem, tym który przywiózł do analizy poplamione krwią ubranie?

- Właśnie miałem...

- Proszę mi powiedzieć - przerwał Havelock - to on umarł na wieńcówkę na Chesapeake?

- Tak. We własnej łodzi.

- Było dochodzenie? Autopsja?

- Przeprowadzono śledztwo, ale nieoficjalne.

- Co to znaczy?

- W przypadku człowieka takiej profesji, nie ma miejsca na jakieś spekulacje. Lekarz, cieszący się w środowisku bardzo dobrą opinią, chętnie z nami współpracował.

Przesłuchaliśmy go bardzo dokładnie. Wraz z naszymi ludźmi przeanalizował zdjęcia rentgenowskie i diagnoza była jednomyślna: „obfity wylew aortalny”. - Bradford zniżył głos.

- Po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci, do głowy przysły nam takie same podejrzenia.

Niczego więc nie przegapiliśmy.

- Dzięki - powiedział Havelock i coś zanotował.

- Proszę kontynuować.

- Czy to ten człowiek był razem z panem w sali recepcyjnej hotelu w Barcelonie? -

Jenna postawiła drinka na stoliku do kawy.

- Tak. To była jego operacja.

- Wyglądał na wściekłego. W jego wzroku nie było zaniepokojenia, tylko gniew.

- Był w trakcie bardzo wyczerpującej nerwowo akcji. - Rozwalił moje drzwi, a w rękę trzymał

pistolet.

- Martwił się, obaj się martwiliśmy. Panno Karas, gdyby zeszła pani po schodach na dół lub choćby pozostała w swoim pokoju...

- Proszę, niech pan nie zatrzymuje się - przerwał mu Havelock. Podsekretarz kontynuował, a Jenna i Havelock uważnie słuchali. Przerywali mu za każdym razem, kiedy chcieli zadać pytanie lub odnosili wrażenie, że szczegóły poruszanej sprawy nie zostały dostatecznie wyjaśnione. W ciągu godziny Bradford zorientował się, że z umysłem i doświadczeniem Jenny Karas trzeba się liczyć. Zadawała prawie tyle samo pytań, co Michael.

Często tak konsekwentnie ciągnęła tok rozumowania, aż pojawiły się rozwiązania wcześniej nie dostrzegane. Bradford przeszedł do referowania wypadków podczas nocy, kiedy zginęli trzej sztabowcy. Tej nocy, kiedy nieznanemu Dylemat osobiście zlecił przez telefon egzekucję Havelocka. Podsekretarz stanu był dokładny i szczegółowo omówił akcję sprawdzania alibi personelu sekcji L na piątym piętrze. Był pewny, że żaden z nich nie może być Dylematem.

- Dlatego, że konferencje i odprawy, w których brali udział zostały... jak to nazywacie? - Jenna spojrzała na Michaela. Potvrdit?

- Potwierdzone - odpowiedział Havelock. - Zarejestrowane w oficjalnych sprawozdaniach.

- Zgadza się... w oficjalnych. - Karas ponownie zwróciła się do Bradforda. - Czy właśnie z tego powodu wykluczył pan tych ludzi?

- Żaden z nich nie opuścił swojego zebrania na czas wystarczający, aby przy pomocy szyfrowych łączy skontaktować się z Rzymem.

- Proszę mi wybaczyć - ciągnęła Jenna - ale czy wyeliminował pan możliwość, że Dylemat mógł mieć współników? Ludzi, którzy zapewnili mu fałszywe alibi?

- Nawet nie chcę o tym myśleć - odparł podsekretarz. Biorąc jednak pod uwagę tak różnorodny zestaw uczestników zebrań, naprawdę myślę, że to statystycznie nie możliwe.

Zbyt wielu spośród nich znam od wielu lat, niektórych od prawie dwudziestu.

- A jednak...

- Pomieniatcziki? - zapytał Havelock, przyglądając się Jennie.

- Proć ne? To je možn .

- Nemluv o tom.

- Vy nem te pravdu.

- O czym mówicie? - zapytał Bradford.

- Przepraszam, to było niegrzeczne z naszej strony powiedziała Jenna. - Pomyślałam...

- Myślała, że coś jest tu do rozważenia - przerwał Michael. - Wy tłumaczyłem jej, że to nie pasuje do całości. Proszę, niech pan kontynuuje. Podsekretarz stanu mówił przez prawie cztery godziny, z czego połowę czasu poświęcił na odpowiedzi i tak dogłębne wyjaśnianie niezliczonych szczegółów, że elegancki, zaciszny gabinet zaczął przypominać salę sądową.

Miejsce, w którym Bradfordowi przypadła rola niechętnego, a nawet wrogiego świadka, przesłuchiwanego przez dwóch obrotnych i bezlitosnych prokuratorów.

- Jak załatwiliście sprawę Jacoba Handelmana?

- Nie wyjaśnione zabójstwo. Prezydent powiedział mi przez telefon, co pan napisał.

To niewiarygodne... Myślę tu o Handelmanie. Jest pan pewien, że nie zaszła pomyłka?

- Pistolet należał do niego, tak samo jak i nóż. Nie było żadnej pomyłki.

- Berquist powiedział, że musiał pan mieć nadzwyczajny powód, żeby go zabić.

- Może to zabrzmieć dziwnie, ale w ogóle nie miałem takiego zamiaru. Chciałem, żeby pocił się ze strachu przez całe lata, jeżeli to możliwe. To on mnie zaatakował. Ogłoscie kim był naprawdę?

- Prezydent uważa, że nie należy tego robić. Czemu miałoby to służyć? Powiedział, że Żydzi doznali wystarczająco wielu nieszczęść, lepiej zostawmy to tak, jak jest.

- A więc jeszcze jedno konieczne kłamstwo?

- Sądzę, że niekonieczne, lecz spowodowane współczuciem.

- A farma w Mason Falls? I Janos Kohoutek?

- Jest w areszcie.

- Co z jego gośćmi?

- Każdy przypadek zostanie indywidualnie zbadany i podjęte zostaną decyzje, znów podyktowane współczuciem. Havelock przekartkował notatnik, odłożył go na stolik do kawy i sięgnął po pustą szklankę. Zerknął na Jennę, która pokręciła przecząco głową. Wstał więc, obszedł kanapę i tylko sobie nalał drinka.

- Postaram się zebrać to w całość - zaczął cicho. - Dylemat siedzi gdzieś na piątym piętrze w Departamencie Stanu i prawdopodobnie od lat przekazuje Moskwie wszystko, co mu wpadnie w

ręce. - Michael przerwał i podszedł w zamyśleniu do okna o grubych szybach.

- Matthias spotkał Parsifala i razem stworzyli te niewiarygodne, a nawet gorzej, nie mieszczące się w głowie porozumienie. - Zamilkł, raptownie odwrócił się od okna i twardo spojrział na Bradforda. - Jak mogło do tego dojść? Na miłość boską, gdzie wyście wtedy byli?

Przecież codziennie go widzieliście, rozmawialiście z nim. Cały czas był na waszych oczach!

Nie zauważyliście tego, co się z nim dzieje?

- Nawet przez moment nie mieliśmy pojęcia, jaką rolę odgrywał - odparł gniewnie podsekretarz stanu. - Charyzma ma wiele płaszczyzn, niczym brylant widziany w różnym oświetleniu pod różnymi kątami. Był więc dzielny Matthias, zasiadający w senacie akademickim, był też doktor Matthias przemawiający zza katedry do zachwyconego audytorium. Czy był tylko panem Chips nad kieliszkiem sherry, który słuchał Haendla, przy okazji pouczając aktualnych faworytów? W tym był doskonały! On, ten bon vivant, pieśczołch Georgetown, Chevy Chase i całego Wschodniego Wybrzeża. Mój Boże, cóż to za zdobycz dla pani domu! I jak wspaniale się prezentował... Co za wdzięk! Co za głowa!

Brzuchaty facet, którego osobowość nagle emanowała władzą! Gdyby starczyło mu sił, miałby każdą kobietę. Był też oczywiście tyranem w biurze. Wymagający, opryskliwy, samolubny, zazdrosny... Do tego stopnia dbający o swój wizerunek, że starannie przeczesywał strony gazet w poszukiwaniu najmniejszej wzmianki na swój temat. Napawał

się tytułami, wściekał na najmniejszą oznakę krytyki. A jeżeli już mówimy o krytycyzmie, czy pamięta pan, co zrobił rok temu, kiedy nikczemny senator zakwestionował jego intencje podczas konferencji genewskiej? Wystąpił w telewizji, i bliski łez, zdławionym głosem oznajmił, że wycofuje się z życia publicznego. Boże, cóż to była za wrzawa! Dziś ten senator jest pariasem! Bradford przerwał i zawstydzony swym wybuchem, pokręcił głową. Zналиśmy też Anthona Matthiasa, jako najbardziej błyskotliwego w historii tego narodu sekretarza stanu... Nie, panie Havelock... Patrzyliśmy na niego, ale go nie widzieliśmy. Nie znaliśmy go, bo mieszkało w nim zbyt wielu ludzi.

- Czepia się pan słabostek próżnego człowieka - powiedział Michael, idąc w stronę kanapy. - To są zwykłe wady i pan może jest od nich wolny, w przeciwieństwie do całej reszty. On jednak był wieloma osobami, musiał być. Pański problem polegał na tym, że go pan nienawidził.

- Myli się pan - Bradford ponownie pokręcił głową. - Nie można nienawidzić takiego człowieka jak Matthias - kontynuował, zerkając na Jenę. - Można być przejętym podziwem, przerażonym lub zafascynowanym, ale nie można go nienawidzić.

- Wróćmy do Parsifala - powiedział Havelock, siadając na oparciu kanapy. - Jak pan myśli, skąd się pojawił?

- Pojawił się znikąd, i tam też się rozplątał.

- To drugie jest możliwe, pierwsze nie. Musiał się skądś pojawić. Regularnie spotykał

Matthiasa, na pewno od tygodni, a prawdopodobnie od miesięcy.

- Bez końca wertowaliśmy jego dziennik, rejestry, kalendarzyk z telefonami, umówione tajne spotkania, każdą trasę podróży: gdzie wyjechał, z kim się spotkał.

Sprawdziliśmy wszystkich: od dyplomatów do portierów. Ale nic nie powtórzyło się w znaczący sposób. Dosłownie nic.

- Te dokumenty będą mi potrzebne. Może pan to załatwić?

- To już załatwione.

- Czy badano kiedy powstały te porozumienia?

- Tak, analizy spektralne wykazują świeże odbicia czcionek na kopiach. Nie mają więcej niż sześć miesięcy.

- Bardzo dobrze.

- Mogliśmy założyć, że tak będzie.

- Proszę mi zrobić przysługę - powiedział Michael, siadając na krześle.

- O co chodzi?

- Niech pan nigdy nie robi założeń. - Havelock zapisał coś w notesie i dodał: - właśnie teraz mam zamiar postąpić tak, jak pan. Zakładam, że Parsifal jest Rosjaninem.

Najprawdopodobniej głęboko zakonspirowanym, nie znanym nikomu zdrajcą. - My to też założyliśmy. To musi być ktoś z rozległą wiedzą o strategicznym uzbrojeniu Związku Radzieckiego. - Dlaczego tak pan uważa? - zapytała Jenna Karas. - Dowodzą tego teksty porozumień, zawierające dane, dotyczące działań ofensywnych i defensywnych w razie ataku nuklearnego. Zostały one potwierdzone przez nasze najbardziej poufne i dokładne informacje na temat ich systemu.

- Równie ważny jest fakt, że Parsifal wiedział gdzie szukać Dylemata. Została nawiązana łączność, „śpioch” skontaktował się z Moskwą i dostarczył materiałów przeciwko tobie, Jenno, na mój użytek. Wtedy Dylemat przeniósł się na Costa Brava i zmienił scenariusz operacji na plaży. - Michael odwrócił się do podsekretarza stanu. - Czy według pana wtedy nastąpił przełom?

- Tak. Sądzę, że ma pan rację. Uważam, że wtedy na plaży był właśnie Dylemat, a nie Parsifal. Idąc dalej tym tokiem rozumowania zakładam, że Dylemat wrócił do Waszyngtonu i zorientował się, że Parsifal zniknął. - Ogarnęła go panika, że został wykorzystany, a potem odrzucony.

- Ponieważ, by nawiązać współpracę z KGB, na pewno musiał obiecać im coś nadzwyczajnego? - zapytał Havelock. - Tak. Ale wtedy nadchodzi depecha od Rostowa i mamy problem. Rostow daje do zrozumienia, że o ile istniało powiązanie z Moskwą, to nie było ono oficjalnie zatwierdzone lub nawet kontrolowane.

- Miał rację. Wy tłumaczyłem to Berquistowi, bo to pasuje... od samego początku.

Depesza była odpowiedzią na to, co stało się w Atenach. Rostow miał na myśli wydział KGB, spadkobiercę dawnego OGPU, w którym siedzi stado wilków i krwiożerczych maniaków.

- Wojennaja Kontrrazwiedka - powiedziała Jenna i po cichu dodała: - WKR.

- Dylemat nie jest byle majorem lub pułkownikiem KGB, on należy do stada wilków.

Z takimi właśnie ludźmi mamy do czynienia i to najgorsza wiadomość, jaką mogliśmy usłyszeć, panie Bradford. KGB wraz z całą swoją paranoją, wydaje się spokojną organizacją w porównaniu z tymi fanatykami z Wojennej.

- Fanatycy i bomby atomowe to mieszanka, na którą świat nie może sobie pozwolić.

- Jeżeli Wojennaja pierwsza odnajdzie Parsifala, to właśnie będziemy mieli taką mieszankę. - Michael wypił nieco większy łyk, niż zamierzał. Czuł, że ogarnia go strach.

Wziął do ręki notes. A więc mamy „śpiocha” zwanego Dylematem, który współpracuje z Rosjaninem zwanym Parsifalem. Partnerem Matthiasa w tworzeniu tych szalonych porozumień, które mogą wysadzić świat w powietrze. Matthias wypada z gry, zostaje uwięziony i poddany terapii na Poole's Island, a Parsifal dalej działa już samotnie. Teraz już naprawdę na własną rękę, ponieważ pozbył się „śpiocha”.

- Zgadza się więc pan ze mną - powiedział Bradford. - Jeżeli był pan w błędzie, to dowiemy się o tym. Havelock podniósł wzrok znad notesu. - Jest też inne rozwiązanie: możemy zmienić się w kupkę popiołu... lub patrząc na sytuację z mniej romantycznego, choć według mnie, nie mniej tragicznego punktu widzenia, Związek Radziecki będzie rządzić tym krajem, po otrzymaniu błogosławieństwa od reszty świata. W tej sytuacji nawet nasi obywatele mogą wyrazić wobec Moskwy wotum zaufania. A hasło „Lepszy martwy niż czerwony” nie jest wcale eufemizmem, który zamierzam poddać weryfikacji w praktyce.

Kiedy nacisk staje się zbyt silny, ludzie zdecydowanie głosują za życiem.

- Ale i ty, i ja, wiemy co byłoby to za życie, Michaił wtrąciła Jenna. - Głosowałby pan za takim życiem? - Oczywiście - powiedział podsekretarz stanu, zaskakując nieco pozostałą dwójkę. - Niczego nie można zmienić umierając, chyba że ktoś jest męczennikiem lub samobójcą. Zwłaszcza, kiedy widziało się już to najgorsze.

- Przypuszczam, że sąd zmienił swoją opinię o panu, panie podsekretarzu. To dlatego został pan w tym mieście? Bo widział pan przecież najgorsze. Havelock ponownie spojrział na Bradforda.

- Moja osoba nie jest tu ważna.

- Była dla nas przez chwilę. Miło jest dowiedzieć się, że grunt stał się stabilniejszy.

Proszę mówić do mnie Havelock, lub Michael, lub jak pan chce, albo może pominiemy tego

„pana”?

- Dzięki. Mów mi Emory, albo jak ci wygodnie. - Jestem Jenna i umieram z głodu.

- Mamy tu obficie zaopatrzoną kuchnię wraz z kucharzem, który równocześnie jest strażnikiem. Kiedy skończymy, przedstawię was sobie.

- Jeszcze tylko kilka minut. - Havelock wyrwał kartkę z notesu. - Wspomniałeś, że sprawdziliście miejsca pobytu każdego pracownika piątego piętra w trakcie trwania operacji na Costa Brava.

- Dwa razy - przerwał Bradford. - Za pierwszym razem niczego nie wykryliśmy.

Wszyscy wyliczyli się z czasu. - Ale my wiemy, że to niemożliwe - powiedział Michael. -

Jedna z tych osób była na Costa Brava. Trafiliście na zasłonę dymną, z której ktoś skorzystał: wyjechał i wrócił, podczas gdy wszyscy sądzili, że nie ruszył się z miejsca.

- Tak? - Teraz z kolei podsekretarz zapisał coś na odwrocie jednej ze swoich niezliczonych kartek. - Nie spojrzałem na to z tej strony. Szukałem nieobecnych, którzy nie mogliby się wytłumaczyć w zadowalający sposób. Ty natomiast mówisz o czymś zupełnie innym.

- Zgadza się. Nie szukaj kogoś, kogo nie było w Departamencie. Szukaj tego, kogo nie było tam, gdzie być powinien.

- W takim razie, mógłby to być ktoś wysłany z misją.

- Od tego możesz zacząć - zgodził się Havelock, wrywając drugą kartkę. - Na marginesie, im wyżej ten ktoś będzie postawiony, tym lepiej. Pamiętaj, że szukamy człowieka, który należy do najbardziej wtajemniczonych, a im większe ma wpływy, tym zasłona dymna działa lepiej. Nie zapominaj o bieguncie, którą w Tokio miał rzekomo Kissinger, w rzeczywistości zaś poleciał do Pekinu.

- Zaczynam teraz rozumieć, skąd wzięły się twoje osiągnięcia.

- Wziąwszy pod uwagę błędy, które popełniłem - odparł Michael, pisząc na odwrocie wyrwanej przed chwilą z notesu kartki - nie kwalifikuję się do otwarcia zameczka od skrzynki na śniadanie. - Wstał, obszedł stolik i podał Bradfordowi dwie kartki. Masz tu listę. Mógłbyś ją przejrzeć i sprawdzić, czy nie będzie jakichś problemów?

- Jasne. - Podsekretarz stanu wziął papiery do ręki i usadowił się w fotelu. - Przy okazji, napiłbym się czegoś, o ile nie masz nic przeciwko temu. Poproszę o burbona z lodem.

- Myślałem, że nigdy już nie poprosisz. - Havelock spojrzał pytająco na Jennę, ta zaś skinęła głową.

- Kilka rzeczy mnie tu zaskakuje. - Bradford podniósł wzrok i zmarszczył brwi. - Z

materiałami Matthiasa nie ma problemu, mamy jego kalendarz spotkań, notatki, dzienniki podróże, ale na co ci ten doktor z Marylandu? Zbadaliśmy jego środowisko, zeznania podatkowe, podwładnych, laboratoria. Byliśmy dokładni, możesz nam wierzyć.

- Naprawdę ci wierzę. Możesz to po prostu uważać za powrót do źródeł. Znałem kiedyś lekarza na południu Francji. Był wyśmienitym chirurgiem, ale tracił głowę, kiedy zbliżał się w kasynie do stołu gry. Kilka razy splukał się doszczętnie i trzeba było za niego wpłacać kaucję.

- Tu nie ma takiej analogii. Od momentu, kiedy jego matka po raz pierwszy zobaczyła go w szpitalu po porodzie, Randolph nie musiał zarabiać na życie. Jego rodzina ma na własność połowę Wschodniego Wybrzeża, i to tę bogatszą.

- Ale ludzie, którzy dla niego pracują - zauważył Michael, nalewając drinki - mogą nie mieć na własność nawet żaglówki.

- Rozumiem - powiedział Bradford i opuścił wzrok na kartkę. W jego głosie bardziej dało się wyczuć dezorientację niż przekonanie. - Nie jestem pewny, czy dobrze rozumiem ten punkt, ale domagasz się nazwisk ludzi w Pentagonie, którzy zasiadają w Radzie Bezpieczeństwa Nuklearnego.

- Czytałem gdzieś, że są trzy takie - dodał Havelock, wracając z drinkami. - Ich członkowie urządzają sobie gry wojenne, zamieniając się stronami i starając się nawzajem przechytrzyć. Podał Bradfordowi jego burbona i usiadł obok Jenny. Wzięła od niego szklankę i przyglądała mu się uważnie.

- Sądzisz, że Matthias mógł posłużyć się nimi? - zapytał podsekretarz.

- Nie wiem. Kimś musiał.

- W jakim celu? W naszym arsenale nie mamy niczego, o czym by nie wiedział.

Każdy rodzaj uzbrojenia jest opisany w jakimś archiwum. On to musiał wiedzieć, prowadził przecież negocjacje.

- Po prostu chcę być dokładny.

- Okay. Gdzieś to już słyszałem - Bradford skinął głową, uśmiechając się z zawstydzaniem i wrócił do kartki, czytając na głos. - „Lista negatywnych możliwości za ostatnie dziesięć lat. Prognoza rozwoju. Źródła: CIA, OPKON, wywiad armii.” Nie wiem co to znaczy.

- Oni będą wiedzieli. Są ich tuziny.

- Co za „oni”?

- Ludzie, którzy byli głównymi obiektami działalności wywiadów, ale nigdy nie przeszli na drugą stronę.

- Jeżeli nie przeszli...

- Moskwa nie ogłasza listy tych, którzy zrobili to na własną rękę - przerwał Havelock.

- Komputer badający prognozy rozwoju wypadków, wyjaśni ich aktualny status.

Bradford zamilkł i jeszcze raz skinął głową. Teraz czytał po cichu.

- Proć ne pomieniatcziki? - powiedziała cicho Jenna, a w jej oczach pojawiło się pytanie.

- No Ted'.

- Przepraszam? - Podsekretarz zerknął na nich i podniósł wzrok znad kartki.

- Nic takiego - odparł Michael. - Powiedziała tylko, że jest głodna.

- Jeszcze chwila, już kończymy. Zaraz zostawię was w spokoju, muszę wracać do Waszyngtonu. Reszta to już naprawdę rutynowa działalność. Do uzyskania raportów waszyngtońskich psychiatrów w sprawie Matthiasa, potrzebny będzie podpis prezydenta i dodatkowe zabezpieczenia, tu na miejscu. To się da zrobić. Z prezydentem będę widział się dziś wieczorem.

- Dlaczego po prostu nie zabierzecie mnie do Bethesda?

- Tam nie ma tych materiałów. Są na Poole's Island, zamknięte w specjalnym stalowym pojemniku wraz z innymi raportami psychiatrów. Nie można ich przenosić bez zezwolenia prezydenta. Jutro tam po nie polecę. Bradford przerwał lekturę i podniósł wzrok.

Był zdumiony. - Co do ostatniego punktu... jesteś tego pewny? Cóż one będą mogły ci powiedzieć? Nam niczego nie powiedziały.

- Potraktuj to jako moje obywatelskie prawa, wynikające z aktu o swobodzie informacji.

- To może być dla ciebie bardzo bolesne.

- O czym mówicie? - zapytała Jenna.

- Chce mieć wyniki dwunastu dni swojej terapii przy użyciu środków medycznych -

powiedział Bradford.

Jedli przy świecach w eleganckiej, utrzymanej w ziemiańskim stylu jadalni, a sceneria posiłku zawierała zarówno elementy śmiertelnej powagi, jak i niemal śmieszności. ów kontrast dodatkowo

powiększał wielki, małowówny mężczyzna, który okazał się zadziwiająco utalentowanym kucharzem, choć kabura z pistoletem, schowana pod opiętą białą marynarką, w niewielkim stopniu podkreślała jego kulinarne zdolności. W jego oczach nie było nic zabawnego. Uzbrojony ochroniarz, równie dobrze potrafił władać bronią, jak i przyrządzić befsztyk la Wellington. Kiedy jednak po sprzątnięciu ze stołu wyszedł z pokoju, Jenna i Michael wymienili spojrzenia, bezskutecznie usiłując opanować śmiech. Nie śmiali się jednak długo: to, czego nie ogarniała wyobraźnia, bez przerwy czaiło się w ich umysłach.

- Ufasz Bradfordowi - powiedziała przy kawie Jenna. - Wiem o tym. Wyczuwam, kiedy komuś ufasz.

- I nie mylisz się. Ten człowiek drogo zapłacił za spokój sumienia. Komuś takiemu można zaufać.

- W takim razie dlaczego powstrzymałeś mnie przed poruszeniem sprawy pomieniatczików?

- To nie przydałoby mi się na nic. Słyszałaś w jaki sposób czytał raport? Emory jest człowiekiem systematycznym. Postępuje krok po kroku i dogłębnie analizuje każdy aspekt.

To stanowi o jego wartości. Gdyby dowiedział się o pomieniatczikach, zacząłby podejrzliwie patrzeć na wszystko.

- Nie rozumiem. Dlaczego na wszystko?

- Jego uwaga rozproszyłaby się na wszystkie strony. Każdy stałby się podejrzany, nie szukałby jednego człowieka, lecz badał całe grupy. A ja chcę, żeby skoncentrował się na zasłonie dymnej, wgryzł się w każde zadanie zlecone na piątym piętrze, obojętnie czy miało to miejsce osiem przecznic, czy osiemset mil od Departamentu Stanu. By szukał, aż znajdzie kogoś, kto nie był tam, gdzie być powinien.

- Wy tłumaczyłeś mi to bardzo jasno.

- Dzięki.

- Mogłeś mi też wspomnieć jeszcze o „śpiochu”.

- Wiesz co? Masz absolutną rację - powiedział Havelock, popatrzył na nią w blasku świec i uśmiechnął się nieznacznie.

- To ty sporządziłeś listę, nie ja. Nie możesz przecież myśleć o wszystkim. - Jenna odwzajemniła jego spojrzenie i uśmiech.

- Dziękuję za wyrozumiałość. Powiem mu o tym rano. A tak na marginesie, dlaczego nie powiedziałaś mu o tym sama? Nie odniosłem wrażenia, żebyś się wstydziła.

- Bo zajęłam się zadawaniem pytań, a nie wydawaniem poleceń lub udzielaniem rad.

To zupełnie co innego. I nie będę tego robić, do chwili, aż mnie zaakceptuje. Jeżeli nie będę miała innego wyjścia, ubiorę to w formę pytań, prowadzących do sugestii.

- Zdziwiasz mnie. Jesteś już zaakceptowana, Bradford usłyszał o tym od Berquista.

Nie ma już wyższej władzy od prezydenta.

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o jego osobowość. Sądzę, że nie czuje się najlepiej w towarzystwie kobiet i to może objawiać się zniecierpliwieniem. Nie zazdrozczę jego życiowym partnerkom, ten człowiek ma kłopoty ze sobą.

- Nie może mieć już ich więcej.

- Ale to trwa już od dawna, Michaił! Bradford przypomina mi błyskotliwego i utalentowanego mężczyznę, w którym te dwie cechy nie tworzą najlepszej mieszanki. Sądzę, że uważa się za impotentą, i jego kobiety to czują... Tak, naprawdę czują to wszystkie kobiety.

- Zygmunt Freud się kłania?

- Limburski syr! - roześmiała się Jenna.

- Wiesz, że mam zwyczaj obserwować ludzi. Przypominasz sobie jubilera w Trieście, tego łysielca, którego sklep służył za skrzynkę kontaktową MI6? Powiedziałeś, że jest to...

użyłeś jakiegoś dziwnego słowa. Houkačka?

- Napaleniec. Powiedziałem, że to samiec, który obsługuje w swoim sklepie klientki, trzymając w nogawce pięciocalowy gwóźdź.

- A ja powiedziałam, że to pedał.

- I miałaś rację. Ten sukinsyn bez przerwy chodził za mną, nawet jak rozpiętaś bluzkę.

Oboje roześmiali się. Jenna dotknęła ręką jego dłoni.

- Dobrze jest znów się śmiać, Michaił.

- Dobrze jest śmiać się razem z tobą. Nie wiem, jak często będziemy mieli po temu okazję.

- Musimy na to znaleźć czas. To bardzo ważne.

- Kocham cię, Jenno.

- W takim razie dlaczego nie zapytasz naszego uzbrojonego kucharza, gdzie śpimy?

Nie chcę wydać ci się niewyspany, kochanie, ale też cię kocham. I chcę być blisko ciebie, a nie po drugiej stronie stołu.

- Wnioskuje z tego, że nie uważasz mnie za pedała.

- Kto to wie? Może dobrze się maskujesz. Wezmę to, co jest.
- Zawsze uważałem, że jesteś szalenie bezpośrednia.
- Może jeszcze kawy? - zapytał kucharz, który właśnie wszedł do jadalni.
- Nie, dziękujemy - odparł Havelock.
- No, to kieliszek brandy? - ciągnął dalej małomówny.
- Chyba nie - powiedziała Jenna.
- A może telewizor? - ochrona nie dawała za wygraną.
- A może sypialnia? - rzuciła Jenna.
- Tam jest fatalna obsługa - zauważył kucharz.
- Jakoś damy sobie radę - powiedział Michael.

Siedział w sypialni na zabytkowej ławie przed przygasającym ogniem na kominku.

Zgodnie z poleceniem Jenny, napiął mięśnie karku i poruszał barkami. W razie nieposłuszeństwa groziło mu siedem lat celibatu lub jakiś inny nonsens. W tym czasie Karas zeszła na dół, żeby znaleźć bandaż, środki antyseptyczne i wszystko, co mogło okazać się przydatne przy udzielaniu pierwszej pomocy. Dziesięć minut temu, ze splecionymi dłońmi, weszli do sypialni, chichocząc cicho. Kiedy Jenna przytuliła się do niego, Michael nagle wzdrygnął się, czując ból w ramieniu. Wtedy spojrzała mu w oczy, a potem rozpięła mu koszulę i w świetle stojącej na stole lampy, zbadala opatrunek na ramieniu. Ochroniarz, który opiekował się sypialnią, ponad godzinę temu rozpałił ogień na kominku. I choć teraz prawie już zgasł, kamienne palenisko promieniowało ciepłem.

- Siedź tu i wygrzewaj się - poleciła Jenna, prowadząc go do ławy. - Nie wzięliśmy ze sobą apteczki, ale oni muszą mieć coś takiego na dole.
- Lepiej nazwij to środkami pierwszej pomocy, bo inaczej gotowi pomyśleć, że jesteś kolekcjonerem.
- Nie ruszaj się, kochanie. Twoje ramię to jedna wielka rana.

- W ogóle o niej nie myślałem, niczego nie czułem - rzucił za wychodzącą Jenną. To była prawda. Nie myślał o ranie z Col des Moulins i poza nielicznymi momentami, niczego nie odczuwał, bo brakło mu na to czasu. Ból nie był wystarczająco ważny, żeby się nad nim zastanawiać. W zbyt krótkim czasie wydarzyło się tak wiele. Spojrzał na wielkie okna sypialni z grubymi, ukośnie ciętymi przy krawędziach szybami, identycznymi jak te poniżej, w gabinecie. Zauważył przez nie poświatę reflektorów, załamującą się w szkło i przez moment zastanowił się, ilu ludzi kręci się po terenie, pilnując spokoju Czyścica Piątego.

Potem jego wzrok wrócił w stronę dogasającego ognia. Tak wiele zdarzeń... W tak krótkim czasie. Umysł musiał nadążyć za zmianami, zanim utonie w nacierającej fali sensacyjnych wydarzeń, przelewających się przez śluzę, która już nie była w stanie zatrzymać niewiarygodnej, niemożliwej do zniesienia prawdy. Jeżeli nie chciał zwariować, musiał

znaleźć chwilę czasu na myślenie. „Dobrze jest śmiać się z tobą. Nie wiem jak często będziemy mieli po temu okazję.” „Musimy na to znaleźć czas. To bardzo ważne.” Jenna miała rację. Śmiech był ważny. Jej śmiech. Nagle poczuł pragnienie, by go usłyszeć. Gdzie ona się podziewa? Ile czasu potrzeba na znalezienie rolki przylepca i kilku bandaży? Każdy Czyściec musiał być obficie wyposażony we wszelkie środki medyczne. Gdzie ona jest? Zerwał się z zabytkowej ławy: nagle ogarnął go niepokój. Może poza personelem Czyścica Piątego ktoś inny kręci się po terenie? W zalesionej okolicy łatwiej przekraść się do wewnątrz, a Czyściec Piąty był wiejskim domem, otoczonym drzewami z gęstym poszyciem. To była naturalna, wymarzona osłona dla bezwzględnych zawodowców, zdecydowanych wtargnąć do środka.

On mógłby bez trudu tego dokonać, a jeżeli on mógłby, to inni też. Gdzie ona jest?

Pośpiesznie podszedł do okna, spostrzegając po drodze, że jego grube szyby, będące ochroną przed pociskami, mogły równocześnie zniekształcić wszelkie ruchy na zewnątrz. Havelock błyskawicznie ruszył do wyjścia z sypialni. Wtem uświadomił sobie coś jeszcze: był bez broni! Nie zdążył jeszcze dojść do drzwi, kiedy te otworzyły się. Staął i wstrzymał oddech.

Na widok Jenny, która w jednej dłoni trzymała klamkę, a w drugiej plastikową tacę z bandażami, nożyczkami, przyplepcami i środkami dezynfekcyjnymi, doznał niewyobrażalnego uczucia ulgi.

- Michaił, co to znaczy? Co się stało?

- Nic. Chciałem... miałem ochotę wstać.

- Kochanie, cały jesteś mokry - powiedziała Jenna. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do niego i ręką dotknęła najpierw czoła, a potem prawej skroni. - Co się stało? O co chodzi?

- Przepraszam. Mam nieco rozbuchaną wyobraźnię. Zdawało mi się, że zajęło ci to więcej czasu, niż się spodziewałem. Przepraszam.

- To ja nie sądziłam, że to tyle potrwa.

- Jenna wzięła go za ramię i poprowadziła do ławy. - Teraz zdejmuj koszulę powiedziała. Odstawiła tacę i pomogła Michaelowi się rozebrać.

- To wszystko? - zapytał Havelock, na siedząco wyjmując ręce z rękawów. Nie odrywał od niej wzroku. Po prostu nie sądziłaś, że zajmie ci to tyle czasu? To wszystko?

- No cóż, to ci powinno wystarczyć. Były oczywiście dwa krótkie romanse pod schodami i przelotny flirt w kuchni... No, dobrze, teraz się nie ruszaj, bo mam zamiar ci to zdjąć. - Jenna ostrożnie, z

wprawą rozcięła krawędź opatrunku, odwinęła go i zdjęła bandażę.

- Właściwie to goi się całkiem przyzwoicie, jeżeli wziąć pod uwagę przez co przeszedłeś -

dodała, usuwając plaster. Następnie sięgnęła po spirytus i watę. - Taka rana bardziej drażni niż boli. Wygląda na to, że morska woda zapobiegła infekcji... Teraz trochę zapiecze.

- Zapiekło - powiedział Michael i drgnął, kiedy Jenna przemyła wacikiem skórę obok rany i usunęła pozostałości elastoplastu. - Jeżeli pominiemy twoją aktywność pod schodami, to co u diabła jeszcze robiłaś? - zapytał dociekliwie, podczas gdy ona kładła na ranę płaty gazy.

- Skoncentrowałam się na przelotnym flircie - odpowiedziała, odwijając z krążka przyłepiec, by umocować świeży opatrunek. - No już. Nie poczujesz się od tego zdrowszy, ale będziesz lepiej wyglądał.

- Wymigujesz się od odpowiedzi.

- Nie lubisz niespodzianek?

- Nigdy ich nie lubiłem.

- Kolce! - wykrzyknęła, przeciągając głoski. Roześmiała się i wylała spirytus na jego skórę. - Rano będziemy mieli kolce dodała masując mu plecy.

- Słodkie bułki?... Oszalałaś. Zupełnie zwariowałaś! W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przeszliśmy przez cholernie piekło, a ty mówisz o ciepłych wielkanocnych drożdżówkach!

- Musimy zachować pozory normalnego życia, Michael powiedziała Jenna. Jej głos za plecami Havelocka złagodniał, zwolniła ruchy dłoni, by po chwili przerwać masaż. -

Rozmawiałam z uzbrojonym po zęby kucharzem i jestem pewna, że podbiłam jego serce.

Rano dopilnuje, żebyśmy mieli morele i suche drożdże. Gałkę muszkatołową już ma... Dziś wieczorem złożę zamówienie. A rano będą kolce.

- Nie wierzę ci.

- Jak spróbujesz, to uwierzysz - Jenna znów roześmiała się, trzymając w dłoniach jego twarz. Pamiętasz? W Pradze znalazłeś piekarnię, gdzie właśnie wypiekano kolce. Bardzo ci smakowały i prosiłeś, żebym ci kiedyś takie zrobiła.

- W Pradze mieliśmy inne problemy. Teraz stoimy przed czymś zupełnie nowym.

- Ale chodzi o nas, jeszcze raz o nas! Musimy mieć trochę czasu dla siebie. Już cię prawie straciłam i oto znów jesteś ze mną. Pozwól mi cieszyć się tymi chwilami, pozwól nam obojgu się nimi cieszyć...

Mimo tego, co wiemy.

- Przecież się nimi cieszysz. Razem się cieszymy. Havelock wyciągnął dłoń i przyciągnął ją do siebie.

- Dziękuję ci, kochanie.

- Mówiłem ci już, że kocham twój śmiech?

- Wiele razy. Mówiłeś, że śmieję się jak małe dziecko podczas przedstawienia kukielkowego. Pamiętasz?

- Pamiętam i miałem rację. - Michael przechylił jej głowę do tyłu. - To pasuje do ciebie: nagły wybuch śmiechu i dziecko... Czasami nerwowe dziecko. Broussac też to zauważyła. Opowiedziała mi, jak w Mediolanie rozebrałaś tego biedaka do naga, pomalowałaś go na czerwono i ukradłaś mu ubranie.

- No i pokażną sumkę! - wtrąciła Jenna.

- To był okropny facet.

- R gine mówiła, że śmiałaś się niczym małe dziecko, które przypomniało sobie dowcip lub splątany figiel.

- Chyba tak. - Jenna zerknęła na kominek. Byłam taka przerażona. Miałam wielką nadzieję, że mi pomoże i równocześnie obawiałam się, że może tego nie zrobić. Myślę, że przywoływałam różne zabawne wspomnienia, bo tylko w ten sposób mogłam się uspokoić.

Nie jestem pewna, ale chyba już wcześniej postępowałam w podobny sposób.

- Co masz na myśli? - zapytał Michael. Jenna odwróciła się do niego. Mimo, że ich twarze dzieliło nie więcej niż kilka cali, nie widziała go, patrzyła gdzieś obok, wywołując wspomnienia z przeszłości.

- Po ucieczce z Ostrawy, śmierci moich braci i wciągnięciu na czarną listę przez przeciwników Dubczeka, kiedy skończyło się moje dotychczasowe życie, wkroczyłam w świat Pragi i strachu. Świat wypełniony nienawiścią, świat tak brutalny, że czasami myślałam, że już nie wytrzymam. Ale wiedziałam jasno: nie mogę wrócić do tamtego mojego świata, bo go już nie było... W takich momentach przypominałam sobie dawne zdarzenia, ożywiałam wspomnienia. Znowu byłam w Ostrawie. Uwielbiani przeze mnie bracia zabierali mnie na wycieczki i opowiadali bezwstydne historie, żeby zmusić mnie do śmiechu. W takich chwilach byłam wolna, nie bałam się. Spojrzała na Michaela. - Jakże to inne wspomnienia, niż te z Mediolanu, prawda? Ale dzięki nim, znowu mogłam się śmiać, i śmiałam się... Dość tego! Mówię bez sensu.

- Nieprawda - zaprotestował Michael. Przyciągnął ją do siebie. Ich twarze prawie się dotykały. - Dzięki tobie to wszystko ma sens. Dziś tak mało co jest sensowne.

- Jesteś zmęczony, kochanie. A właściwie wyczerpany. Chodź do łóżka.

- Zawsze słucham mojego lekarza...

- Musisz wypocząć, Michaił.

- Zawsze słucham mojego lekarza do pewnego stopnia.

- Złomeny - roześmiała się cicho Jenna, tuż przy jego uchu. Pasma blond włosów przykrywały jego twarz, a jej ramię spoczywało na piersi Michaela. Oboje nie spali.

Wspaniałe, ciepłe odprężenie, które przyniosła uprawiana miłość, nie przyniosło zarazem snu.

To, co było nie do pomyślenia, wciąż czaiło się tuż obok. Zza przymkniętych drzwi od łazienki, wpływała miękka smuga światła.

- Chyba nie powiedziałeś mi o wszystkim, co wydarzyło się na Poole's Island? -

zapytała Jenna, opierając głowę na poduszce tuż obok jego głowy. - Tak powiedziałeś Bradfordowi, ale to przecież nieprawda.

- Prawie o wszystkim - odparł Havelock, wpatrując się w sufit. - Wciąż staram się to uporządkować w myślach.

- Mogę ci jakoś pomóc? - Jenna oparła się na łokciu i spojrzała na jego twarz.

- Nikt chyba nie jest w stanie mi pomóc. W mojej głowie tyka bomba.

- O co chodzi, kochanie?

- Znam Parsifala.

- Co?

- Tak powiedział Matthias. Stwierdził, że widziałem w przelocie, jak to określił,

„negocjatorów świata”. Ale jest tylko jeden, i ja muszę go znać.

- I z tego powodu wyrządził ci tyle krzywd? Nam? To dlatego chciał cię wyeliminować?

- Powiedział, że nigdy nie będę mógł zrozumieć... Że jedynym rozwiązaniem są te zabójcze porozumienia.

- A ja miałam być ofiarą na tym ołtarzu.

- Tak. Cóż mogę ci powiedzieć? To chory człowiek. Kiedy kazał zmontować sprawę przeciwko

tobie, nie był przy zdrowych zmysłach. Ty miałaś zginąć, a ja miałem żyć, ale pod obserwacją. - Michael pokręcił głową. - Tego właśnie nie mogę zrozumieć.

- Tego, że miałam umrzeć?

- Nie, tego, że ja miałem żyć.

- Kochał cię, nawet jeżeli oszalał.

- Nie chodzi o niego, lecz o Parsifala. Dlaczego Parsifal mnie nie zabił, jeżeli stanowiłem zagrożenie? Dlaczego zostawił to do wykonania „špiochowi”, trzy miesiące później?

- Bradford już to przecież wyjaśnił - powiedziała Jenna. Zobaczyłeś mnie, i w ten sposób wróciła sprawa Costa Brava. To mogło doprowadzić cię do „špiocha”.

- To wciąż nie tłumaczy postępowania Parsifala. Mógł mnie załatwić ze dwadzieścia razy, ale tego nie zrobił. Tu jest jakaś niejasność. Z jakim typem człowieka mamy do czynienia?

- Jedno wiemy, że nie postępuje w racjonalny sposób. I to jest najbardziej przerażające.

Ostry, niespodziewany dźwięk wypełnił cały pokój. Michael zerwał się z głębokiego snu i odruchowo sięgnął po nie istniejący pistolet. To dzwonił telefon na stoliku obok łóżka.

Podniósł słuchawkę i spojrzał na zegarek. Była czwarta czterdzieści pięć rano.

- Tak?

- Havelock? Mówi Bradford.

- O co chodzi? Gdzie jesteś?

- W moim biurze. Jestem tu od jedenastej. A tak na marginesie, moi ludzie też pracowali całą noc. Wszystko czego potrzebujesz, będzie w Czyścucu Piątym o ósmej, z wyjątkiem akt z Poole's Island. Te nadejdą kilka godzin później.

- I dzwonisz o tej porze, tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

- Oczywiście, że nie. - Bradford przerwał i głęboko odetchnął. - Chyba go znalazłem -

powiedział pośpiesznie. Zrobiłem tak, jak radziłeś. Szukałem kogoś, kogo nie było tam, gdzie być powinien. Dopiero rano uzyskam pewność i stąd ta zwłoka z aktami z Poole's Island.

Jeżeli się nie mylę, to niewiarygodne... Jego akta są nieskazitelne, jego służba w armii...

- Ani słowa więcej - rozkazał Michael.

- Twój telefon jest równie czysty jak reszta domu.

- Mój może tak, ale twój może nie. Tak, jak i twój gabinet. Teraz posłuchaj.

- O co chodzi?

- Szukaj „śpiocha”. Ten ktoś może już nie żyć.

- Czego?

- Kogoś, kto zastępował naszego człowieka i może nas do niego doprowadzić.

Rozumiesz?

- Tak, chyba tak. Szczerze mówiąc, rozumiem doskonale. To by pasowało do tego, co znalazłem.

- Zadzwoń do mnie, kiedy dowiesz się czegoś. Telefonuj z automatu na ulicy. Tylko nie zbliżaj się do tego człowieka, niczego nie rób. - Havelock odłożył słuchawkę i spojrzał na Jennę. - Być może Bradford trafił na Dylemata. Jeżeli znalazł, to miałaś rację.

- Pomieniatczik?

- Zgadza się!

29

Takiego poranka Czyściec Piąty nigdy jeszcze nie oglądał i prawdopodobnie już nie zobaczy: ponurym azylem zawładnął rezydent o wielkim darze przekonywania. Pomimo napięcia, mimo spodziewanego telefonu od Bradforda, o ósmej trzydzieści Jenna przejęła władzę w kuchni i zdegradowała uzbrojonego escoffiera do roli kuchcika. Już przy odmierzaniu składników i ich mieszaniu, kuchcik zaczął rzucać pełne aprobaty spojrzenia, a po stopniowym przełamaniu barier kulinarnych, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Wybrano odpowiednie patelnie, a w dużym piecu zapłonął ogień. Po chwili pojawili się dwaj inni ochroniarze, zwabieni zapachami, niczym myśliwskie psy, a kuchnia zamieniła się w gwarne targowisko. Wywiązała się bowiem głośna, ożywiona rozmowa, wszyscy zaczęli mówić sobie po imieniu, w powietrzu krzyżowały się szerokie uśmiechy. Porównywano rodzinne miasta, koncentrując się na piekarniach. Atmosfera kuchenna Czyścica Piątego robiła się nieco frywolna. Chyba nikt wcześniej nie odważył się rozjaśnić przygnębiającego nastroju czujnie strzeżonego obiektu. Dziś jednak w Czyścicu pojaśniało, a pochodnię radości niosła Jenna. Wszyscy świetnie się bawili. Niebawem świat miał się rozpaść na kawałki, a Jenna Karas piekła kol će. O dziewiątej pięćdziesiąt pięć, kiedy znaczne ilości słodkich bułeczek zjedzono już w kuchni i rozproszono po terenie, do Czyścica wróciła poważna atmosfera.

Kiedy uruchomiono wewnętrzny system alarmowy i monitory telewizyjne, zatrzeszczało kilkanaście krótkofalówek. Na strzeżony podjazd zjechała z szosy opancerzona furgonetka Departamentu Stanu. Właśnie oczekiwano jej przybycia. O dziesiątej trzydzieści Havelock i Jenna wrócili do wytwornego

gabinetu, gdzie leżały już przywiezione dokumenty i zdjęcia.

Posortowano je na sześć nierównych kupek. Cztery leżały na biurku przed Michaeliem, a dwie na stoliku do kawy: Jenna czytała je siedząc na kanapie. Trzeba było przyznać, że Bradford lubił dokładną robotę, a jeżeli już popełnił jakiś błąd, to wynikał on raczej z nadmiaru dokładności. Po godzinie i dwudziestu minutach, w okna pokoju zajrzało przedpołudniowe słońce. Rozszczepione w kuloodpornych szybach promienie, upstrzyły przeciwległą ścianę.

W panującej ciszy słyhać było tylko przewracanie kartek. Pracowali zgodnie ze standardowym systemem, stosowanym przy takiej masie różnorodnego materiału. Z początku czytali pobieżnie, koncentrując się raczej na ogólnym wrażeniu, a nie na szczegółach.

Najpierw musieli wciągnąć się w temat, w detalach, które wymagają starannego przeanalizowania, będą grzebać się później. Mimo koniecznej przy czytaniu koncentracji, od czasu do czasu wymieniali uwagi.

- Ambasador Addison Brooks i generał Malcolm Halyard powiedział Havelock.

Właśnie czytał stronę, na której umieszczono listę osób zaangażowanych, obojętnie czy świadomie, i w jak odległy sposób, w mozaikę Parsifala. - To na nich oprze się prezydent, jeżeli będzie zmuszony do wyciągnięcia Matthiasa na światło dzienne.

- W jakim sensie? - zapytała Jenna.

- Jeżeli nie liczyć Anthona, są to najbardziej poważani ludzie w kraju. Będą potrzebni Berquistowi.

- Jest tu również twoje nazwisko - odezwała się Jenna.

- Gdzie?

- To notatka w jednym ze starych kalendarzy Matthiasa.

- Kiedy ją zrobił?

- Osiem, nie... dziewięć miesięcy temu. Mieszkałeś wówczas w jego domu. To było chyba wtedy, kiedy zaliczałeś kursy dokształcające dla personelu Operacji Konsularnych.

Znaliśmy się wtedy krótko.

- Wystarczająco długo, żebym chciał wrócić do Pragi, tak szybko, jak to możliwe. Te sesje były najczęściej koszmarną stratą czasu.

- Kiedyś powiedziałeś, że jednak czemuś służyły. Mówiłeś, że praca w terenie wpływa na niektórych ludzi w dziwny sposób i dlatego trzeba ich okresowo badać.

- Ja do nich nie należałem. A poza tym powiedziałem: „zazwyczaj”, a nie zawsze.

Czasami podczas tych sesji można wyselekcjonować... strzelca.

- Michaił, czy to mogło być wtedy? Podczas tej wizyty u Matthiasa? Czy wtedy mogłeś spotkać Parsifala?

- Jenna odłożyła kartkę na kolana.

- Dziewięć miesięcy temu Anthon był przy zdrowych zmysłach. Nie kontaktował się z Parsifalem.

- Powiedziałeś, że był zmęczony. Użyłeś słów „potwornie zmęczony”. Martwiłeś się o niego.

- Martwiłem się o jego zdrowie, a nie o zmysły. Jego psychika była bez zarzutu.

- A jednak...

- Myślisz, że nie przeanalizowałem w głowie każdej minuty? przerwał jej Havelock. -

To było w Georgetown. Spędziłem u niego dwa dni, cały czas trwania kursu. Dwukrotnie jedliśmy obiad i za każdym razem byliśmy sami. Nie spotkałem tam nikogo.

- Jacyś ludzie na pewno przychodzili do domu...

- Z pewnością. Nawet na moment nie dawali mu spokoju, obojętnie: w dzień, czy w nocy.

- A więc widziałeś ich.

- Obawiam się, że nie. Nie znasz tego starego domu. Od frontu to istny labirynt małych pokoi. Z hallu na prawo wchodzi się do salonu. Po lewej stronie jest biblioteka, przez którą trzeba przejść, żeby dostać się do jego gabinetu. To chyba było celowe posunięcie Anthona, w ten sposób czekający na audiencję goście nie widzieli się nawzajem. W kolejnych odsłonach spektaklu, interesanci przenosili się z jednego pomieszczenia do drugiego. Witał

ich w salonie, potem przechodzili do biblioteki i wreszcie wkraczali do sanktuarium: do gabinetu.

- Ciebie oczywiście nigdy tam nie było.

- Nie wtedy, kiedy był tam ktoś inny. Jeżeli przerwano Matthiasowi podczas obiadu, pozostawałem w jadalni z drugiej strony domu. Było tam nawet osobne wyjście. Nigdy nie korzystałem z drzwi frontowych. Taki mieliśmy układ.

- Pamiętam. Zależało ci na tym, by nikt was razem nie widział.

- Ująłbym to w inny sposób. Czułbym się zaszczycony, naprawdę zaszczycony, gdyby widywano nas razem. Ale dla żadnego z nas nie było to dobre rozwiązanie.

- W takim razie, jeżeli nie stało się to w ciągu tych dwóch dni, to kiedy? Kiedy mogłeś spotkać Parsifala?

- Nie, wiem! Musiałbym przebadać ponad połowę swojego życia i to doprowadza mnie do szaleństwa. W swoich wizjach Matthias widzi jak wychodzę z jakiegoś zebrania.

Może to być cokolwiek począwszy od klasy szkolnej, przez seminaria, a na wykładach kończąc. Ile ich było? pięćdziesiąt, sto, może tysiąc. Studia doktoranckie trwają dość długo. A ile sytuacji zapomniałem? Co wtedy się stało? Czy gdzieś w tej przeszłości jest Parsifal?

Michael patrzył bezradnie na Jennę.

- Jeżeli nawet jest, to teraz nie może traktować cię jako zagrożenie. - Jenna wyprostowała się. - Mógł cię sprzątnąć ze dwadzieścia razy, ale tego nie zrobił - powtórzyła. -

Parsifal nie chciał cię zabić.

- No, właśnie!

- Może więc być kimś, kogo znałeś kilka lat temu.

- Istnieje jeszcze inna możliwość. Powiedziałaś, że mógł mnie zabić, i to jest prawda.

Jednak bez względu na przedsięwzięte środki ostrożności, zabijanie zawsze niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Nawet, jeżeli ten ktoś posłuży się wynajętym człowiekiem, ryzyko zawsze będzie istnieć, choćby nawet minimalne. Może ten ktoś nie chce pozwolić sobie nawet na najmniejszy ślad ryzyka? Może jest w tłumie twarzy, które mam przed oczami? Gdybym wiedział kim jest, lub znałbym jego rysopis, łatwiej byłoby mi go szukać.

- „Śpioch” mógłby dostarczyć ci zarówno tożsamości, jak i opisu.

- Masz coś tam jeszcze? - dodał Havelock, wracając do teczki lekarza z Marylandu.

- W przeglądaniu kalendarzy nie posunęłam się jeszcze tak daleko, ale w trasach jego wyjazdów coś się powtarza. Nie jestem pewna, czy to dobrze rozumiem. Dlaczego tak często pojawia się nazwa Shenandoah? Havelock podniósł wzrok znad kartki, a w jego mózgu odbił

się echem chaotyczny chór wspomnień.

Emory Bradford z trudem walczył z opadającymi powiekami. Nie spał już prawie od trzydziestu sześciu godzin, pominąwszy kilka drzemek, kiedy już nie mógł funkcjonować normalnie. Musiał czuwać! Minęło już południe i w każdej chwili powinny nadejść filmy i zdjęcia z Nowego Jorku. Obiecała je przysłać uczynna stacja telewizyjna, która zadowolona się niezbyt jasnym wytłumaczeniem, w zamian za uzyskanie nowego i zaufanego źródła informacji w Departamencie Stanu. Podsekretarz zamówił już do swojego gabinetu sprzęt odtwarzający, mógł więc obejrzeć taśmy w kilka minut po ich otrzymaniu. Wtedy dowie się, kim jest Dylemat. Niewiarygodne! Arthur Pierce! Czy to naprawdę był Arthur Pierce?

Wyższy urzędnik Departamentu Stanu, członek delegacji USA w ONZ, główny asystent ambasadora, pracownik o wspaniałych osiągnięciach, których zazdrościli mu wszyscy w wyższych sferach administracji. Jego życiorys dałoby się streścić w jednym krótkim słowie:

„kariera”! Zanim jeszcze przybył do Waszyngtonu, miał za sobą chlubną służbę wojskową.

Gdyby pozostał w armii, zmierzałby prostą drogą do Szefostwa Sztabu Połączonych Sił

Zbrojnych. Absolwent Uniwersytetu Michigan, summa cum laude, jako podporucznik został

wysłany do południowoschodniej Azji. Wcześniej ukończył szkołę podchorążych w Bennings.

Podczas pięciu nieprzerwanych ochotniczych tur wojennych, awansował do stopnia majora.

Ukoronowaniem służby były odznaczenia za odwagę, pochwały w rozkazach za dowodzenie i rekomendacja na dalsze studia sztabowe. W młodości, jeszcze przed Wietnamem, był uosobieniem amerykańskiego chłopca z prowincji: ministrant w kościele, orli skaut, najlepszy uczeń w gimnazjum i stypendysta uniwersytetu, zgarniający wszelkie możliwe honory, włączając w to nawet członkostwo klubu 4-H. Zgodnie z tym, co powiedział

generał Halyard, Arthur Pierce był symbolem amerykańskiej flagi, szarlotki i Boga. Gdzie tu, u diabła, powiązania z Moskwą? A jednak coś takiego musiało istnieć, jeżeli Havelock miał

rację używając terminu „zasłona dymna” i ostrzegając go słowami: „Szukaj „śpiocha”. Ten człowiek może już nie żyć”. W pierwszym rzędzie uwagę Bradforda przyciągnęła sugestia Michaela: „Szukaj człowieka, którego nie było w Departamencie. Którego nie było tam, gdzie być powinien”. Do tej pory rutynowo badał wszelkie zalecenia i stanowiska, zajęte przez amerykańską delegację podczas spotkań Rady Bezpieczeństwa w trakcie trwania operacji na Costa Brava. Może nawet zbyt rutynowo, bo taki pomysł wydał mu się niedorzeczny. Brał też pod uwagę poufne dyskusje, których streszczeń dokonał attach o nazwisku Carpenter, podwładny Arthura Pierce'a. Ale dopiero teraz w tekście sprawozdania z czwartkowego posiedzenia Bradford zauważył skrót i inicjały ujęte w nawias: (Przed./F.C.). Skrót ten widniał pod dosadnym i nieco rozwlekłym zaleceniem, przedłożonym ambasadorowi przez Pierce'a. Bradford wcześniej go nie zauważył, prawdopodobnie ze względu na niepotrzebnie skomplikowany żargon dyplomatyczny. Jednak kilka godzin temu przyjrzał mu się uważniej.

„(Przed.F.C.)”. Przedstawione przez Franklina Carpentera. Oznaczało to, że referatu nie wygłosił pierwszy asystent ambasadora, Arthur Pierce, lecz jego słowa w zastępstwie przekazał podwładny. Wniosek: Pierce'a nie było tam, gdzie być powinien. Następnie Bradford przestudiował każdy pozostały wiersz w sprawozdaniu delegacji. W czwartkowym raporcie jeszcze dwa razy znalazł F.C. w nawiasie, i dodatkowe trzy, w piątkowym. Piątek!

Podsekretarz nagle przypomniał sobie o czymś oczywistym i cofnął się do początku tygodnia.

To było w końcu roku. W środę Rada Bezpieczeństwa nie zebrała się, ponieważ większość delegacji brała udział w przyjęciach sylwestrowych. W czwartek, w Nowy Rok, zwołano posiedzenie jakby chcąc pokazać światu, że Rada ma zamiar poważnie potraktować rozpoczynające się dwanaście miesięcy. Podobnie było w piątek, ale w sobotę i niedzielę już nie. Jeżeli Arthur Pierce kazał

swojemu podwładnemu przekazać jego słowa na zebraniach, mógł opuścić kraj we wtorek wieczorem, co dawało mu pięć dni na operację Costa Brava, która miała miejsce w nocy, czwartego stycznia, podczas weekendu. Jeżeli, jeżeli... jeżeli.

Dylemat... Późna pora nie miała znaczenia. Bradford połączył się z całodobową służbą informacyjną i polecił dyżurnemu odnaleźć Franklina Carpentera, obojętnie, gdzie mógłby się teraz znajdować. Osiem minut potem, dyżurny telefonista oddzwonił i powiedział, że Franklin Carpenter prawie cztery miesiące temu zwolnił się ze służby w Departamencie Stanu. Jego numer, zapisany w archiwum Departamentu, był bezużyteczny: telefon został odłączony. W

tej sytuacji Bradford podał nazwisko jedynej osoby, wymienionej w sprawozdaniu delegacji Stanów Zjednoczonych podczas czwartkowego spotkania Rady Bezpieczeństwa, niższego stopniem attach, który bez wątplenia wciąż był w Nowym Jorku. Telefonista połączył go o piątej piętnaście.

- Mówi podsekretarz stanu Bradford... Z początku po drugiej stronie słuchawki dało się wyczuć zaskoczenie, połączone z pozostałościami snu i doprawione sporą dawką strachu.

Przez kilka minut Bradford musiał uspokajać attach i starał się nakierować jego pamięć na te kilka dni sprzed prawie czterech miesięcy.

- Pamięta je pan?

- Chyba tak, oczywiście w rozsądnych granicach.

- Czy według pana pod koniec tamtego tygodnia wydarzyło się coś niezwykłego?

- Nic mi nie przychodzi na myśl, sir.

- W skład amerykańskiej delegacji podczas tamtych posiedzeń, głównie chodzi mi o czwartek i piątek, wchodził: ambasador, wysoki urzędnik Departamentu Stanu Arthur Pierce, pan i człowiek o nazwisku Carpenter. Zgadza się?

- W tej hierarchii odwróciłbym kolejność ostatnich dwóch nazwisk.

- Czy cała wasza czwórka była tam każdego dnia?

- No cóż... chyba tak. Trudno jest przypomnieć sobie każdy dzień sprzed czterech miesięcy. Wszystko znajdzie pan w listach obecności.

- W czwartek wypadał Nowy Rok. Czy to panu pomoże?

- Tak - odpowiedział attach po krótkiej przerwie. Bradford zamknął oczy. - Pamiętam.

Moje nazwisko może widnieć na liście obecności, ale mnie tam nie było. Białe Pasemko kazał... Przepraszam pana.

- Wiem, kogo ma pan na myśli. Co zrobił podsekretarz Pierce? - Kazał mi polecieć do Waszyngtonu i

zestawić analizy dotyczące całego naszego stanowiska wobec kwestii bliskowschodniej. Zmarnowałem na to prawie cały cholerny weekend. A potem, nie uwierzy pan, w ogóle z tego nie skorzystał!

- I ostatnie już pytanie - powiedział spokojnie Bradford, starając się zapanować nad głosem. - Gdy zalecenia członka delegacji zostają przekazane ambasadorowi przez kogoś innego z ekipy, co to dokładnie oznacza.

- Prosta sprawa. Starszy członek delegacji stara się przewidzieć propozycje przeciwnika i opisuje strategię postępowania lub kontrpropozycje, służące do ich zablokowania. Kiedy padnie kontrowersyjna propozycja z drugiej strony, a ten ktoś jest poza salą obrad, ambasador ma pod ręką gotową odpowiedź.

- Czy nie jest to zbyt ryzykowne? Nie lepiej po prostu zapisać propozycję oficjalnie i wręczyć ją członkowi delegacji?

- Och, nie. To nie dzieje się w ten sposób. Podczas debaty nie można się oddalać.

Członek delegacji musi być gdzieś w pobliżu, to absolutnie konieczne. Może zdarzyć się bowiem taka sytuacja, że ambasadorowi spodoba się argumentacja użyta w sugestii, skorzysta z niej i zostanie trafiony kontrpropozycją, z którą nie może sobie poradzić. W takim przypadku wzywa na sesję odpowiedzialnego doradcę, żeby wyciągnął go z opresji.

- Podczas posiedzeń w czwartek i piątek, podsekretarz Pierce przygotował wiele propozycji.

- To u niego normalne. Spędza tyle samo czasu poza salą obrad, co wewnątrz. W

salonie dyplomatycznym jest niezrównany, trzeba mu to przyznać. Przesiaduje tam godzinami, zagadując Bóg wie kogo, ale to daje dobre wyniki. W tym jest chyba najlepszy, naprawdę robi wrażenie. Nawet Sowieci go lubią. „Z pewnością, panie attach. Tak bardzo, że na jego polecenie wycofują kontrowersyjne propozycje”, powiedział w duchu Bradford.

- Wiem, że to miało być ostatnie pytanie. Czy mogę zadać jeszcze jedno?

- Nie będę drobiazgowy, proszę pytać.

- Co się stało z Carpenterem?

- Sam chciałbym to wiedzieć... i odnaleźć go. Sądzę, że po prostu kompletnie się załamał.

- Co pan ma na myśli?

- Kilka dni przed świętami, jego żona i dzieci zginęli w wypadku samochodowym. Jak by się pan czuł, gdyby pod choinką leżały trzy trumny i nie rozpakowane prezenty?

- Bardzo mi przykro.

- Naprawdę wykazał wielką siłę woli, wracając tak szybko do służbowych zajęć.

Oczywiście wszyscy byli zgodni, że to będzie dla niego najlepsze rozwiązanie. W pracy przynajmniej nie był sam.

- Sądzę, że podsekretarz stanu Pierce zgodził się bez zastrzeżeń.

- Tak, proszę pana. To właśnie on nakłaniał go do powrotu.

- Rozumiem.

- Ale pewnego ranka Carpenter nie pojawił się już w pracy. Następnego dnia nadszedł telegram, w którym składał wymówienie.

- To dziwne, prawda? Właściwie chyba niezgodne z przepisami. - Po tym, co go spotkało, nie sądzę, by ktokolwiek miał ochotę na przestrzeganie formalności.

- I podsekretarz ponownie wyraził zgodę?

- Tak, proszę pana. To był jego pomysł. Carpenter po prostu zniknął. Mam nadzieję, że ma się dobrze. „On nie żyje, panie attach. „Śpioch” nie żyje.” Bradford pracował aż do wschodu słońca i bólu w oczach. Sprawdzał zapisy w rejestrach obecności podczas nocy, kiedy przyjęto kryptonim Dylemat, a rozkaz „na straty”, został przekazany do Rzymu. Tak, jak się spodziewał, Arthura Pierce'a nie było w Nowym Jorku. Był natomiast w swoim biurze na piątym piętrze w Waszyngtonie i oczywiście wpisał się do księgi wyjść tuż po siedemnastej. Obok jego autografu widniało kilkanaście innych podpisów. Jakie to musiało być proste: wyjść w tłumie innych, podpisać się u strażnika w księdze i wrócić do biura, gdzie mógł zostać całą noc. Rano mógł wpisać się raz jeszcze, i nikt niczego by nie zauważył. Dziś rano podobnie mógł postąpić on, podsekretarz stanu, Emory Bradford. Teraz jednak zabrał się do studiowania opisu wyśmienitego przebiegu służby wojskowej, dossier Departamentu Stanu i rejestru osiągnięć z okresu młodości, które czytało się niczym list pochwalny Jacka Armstronga - Wzorowego Chłopca Ameryki. Gdzie, na miłość boską, było tu powiązanie z Moskwą? O ósmej rano podsekretarz nie był już w stanie pracować dalej: odchylił się na oparcie krzesła i zasnął. O ósmej trzydzieści pięć obudził go gwar za drzwiami. Zaczął się kolejny dzień pracy w Departamencie Stanu. Sekretarki przyrządzały sobie kawę i oczekując nadejścia rześkich, wykrochmalonych szefów, sprawdzały ich rozkład zajęć na dzień dzisiejszy. Aktualnie w Departamencie Stanu obowiązywał niepisany regulamin dotyczący ubioru; fryzury w stylu afro, krzykliwe krawaty i zmierzwione brody nie były mile widziane.

Bradford wstał i wyszedł z gabinetu, żeby przywitać się ze swoją sekretarką, która zdumiała się na jego widok. Wtedy dopiero uświadomił sobie, jak musi wyglądać: bez krawata i marynarki, z podkrążonymi oczami, potarganymi włosami i czarną szczecinę zarostu.

Poprosił o kawę i poszedł do umywalni, żeby umyć się odświeżyć i w miarę możliwości doprowadzić do porządku. Czuł na sobie spojrzenia obecnych, kiedy przechodził przez wielką salę, mijając biurka, sekretarki i przychodzących do pracy urzędników. Gdyby wiedzieli, pomyślał... O dziesiątej, pamiętając o przestrodze Havelocka, wyszedł do aparatu telefonicznego na ulicę, zapytał w Nowym Jorku o kasety magnetowidowe i zdjęcia. Czuł

pokusę zatelefonowania do prezydenta. Ale nie zadzwonił do nikogo. Spojrzał na zegarek.

Była dwunasta dwadzieścia dwie, minęły trzy minuty od chwili, kiedy po raz ostatni sprawdzał czas. Wahadłowiec z Nowego Jorku przylatywał co godzina. Którym rejsem dotrze przesyłka?

Rozmyślania przerwało ciche stukanie do drzwi. Serce забиło mu mocniej. To była jego sekretarka. Spojrzała na niego w podobny sposób jak rano. W jej głęboko osadzonych oczach dostrzegł troskę.

- Mogę wyjść na lunch?

- Jasne, Liz.

- Coś panu przynieść?

- Nie, dziękuję.

- Dobrze się pan czuje, panie Bradford?

- Tak.

- Czy mogę jakoś panu pomóc?

- Przestań się o mnie martwić i idź na lunch - powiedział, usiłując się uśmiechnąć.

- W takim razie idę. Gdyby wiedziała, pomyślał... Zadzwonił telefon. Ochrona z hallu zawiadomiła, że nadeszła nie oznakowana przesyłka z Nowego Jorku. Poleciał pokwitować odbiór i przesłać ją na górę ze strażnikiem. Siedem minut potem, kasetka znalazła się już w magnetowidzie, a na monitorze pojawiła się sala Rady Bezpieczeństwa w gmachu ONZ. U

dołu ekranu wyświetlono napis: Wtor. Grudzień 30, czternasta pięćdziesiąt sześć. Powodem zwołania Rady było przemówienie ambasadora Arabii Saudyjskiej. Po kilku minutach, z ostrą repliką wystąpiła delegacja Izraela, potem głos zabrała delegacja Egiptu, a wreszcie Stanów Zjednoczonych. Bradford przy pomocy pilota zatrzymał taśmę i z uwagą przyjrzał się ekranowi. Zauważył czterech członków delegacji: ambasador i jego pierwszy asystent Arthur Pierce siedzieli z przodu, dwóch pozostałych, z tyłu. Nie było sensu przesłuchiwać taśm z wtorku, trzydziestego grudnia. Bradford włączył przewijanie do przodu i obraz na ekranie zmienił się w drgającą smugę. Zwolnił przycisk, Saudyjczyk wciąż przemawiał. Już miał

ponownie wcisnąć guzik, kiedy krótka przebitka ukazała delegację amerykańską. Arthura Pierce'a nie było na sali. Bradford kilkakrotnie wcisnął guzik cofania, aż znalazł miejsce, którego szukał.

Wiedział, że taka scena musiała się rozegrać. W trakcie przemówienia delegata zaprzyjaźnionego kraju, żaden urzędnik Departamentu Stanu nie może wyjść bez wytłumaczenia. Znalazł ten moment.

Pierce zerknął na zegarek, nachylił się do ambasadora i wyszeptał kilka słów. Następnie odwrócił się do attach z tyłu, który skinął głową. Z głośnika dobiegł głos komentatorki: „Wygląda na to, że delegacja Stanów Zjednoczonych otrzymała telefon. Bardzo prawdopodobne, że od sekretarza stanu, któremu może zależeć, by zapisano jego uwagi, odnoszące się do najbardziej pochlebnych fragmentów wystąpienia Ibn Kashaniego”. Bradford ponownie wcisnął guzik przewijania, potem jeszcze raz i jeszcze.

Przemówienia skończyły się, wielu członków delegacji klaskało na stojąco. Arthur Pierce nie powrócił na swoje miejsce. Czwart. Styczeń 1, dziesiąta czterdzieści trzy. Powitanie Nowego Roku przez przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa. W delegacji amerykańskiej brakowało Arthura Pierce'a. Jego miejsce zajął jakiś człowiek, prawdopodobnie Franklin Carpenter. Ten sam, który wcześniej siedział z tyłu za ambasadorem. W rękach trzymał plik papierów. Piąt.

Styczeń 2, szesnasta dziesięć. Prowokacyjne wystąpienie delegata ChRL, zebrani musieli użyć słuchawek z głosem tłumaczy kabinowych. Wśród delegatów amerykańskich nie było Arthura Pierce'a. Pon. Styczeń 5, jedenasta czterdzieści trzy. Arthur Pierce nieobecny. Pon.

Styczeń 5, czternasta szesnaście. Arthur Pierce nieobecny. Pon. Styczeń 5, szesnasta czterdzieści pięć. Arthur Pierce siedzi na swoim miejscu i kręci głową, przysłuchując się uwagom ambasadora Jemenu. Bradford wyłączył kasetę i spojrzał na brunatną kopertę zawierającą zdjęcia z przyjęcia sylwestrowego. Tak naprawdę nie były mu już potrzebne.

Wiedział, że podsekretarz z amerykańskiej delegacji nie pojawi się na żadnym z nich. Był na Costa Brava. Pozostało jeszcze tylko ostateczne potwierdzenie; przy użyciu komputera nie zajmie to więcej niż minutę. Bradford sięgnął po słuchawkę i poprosił telefonistę o połączenie z informacją lotniczą. Wyłuszczył swoją prośbę i czekał, trąc zmęczone oczy. Zdawał sobie sprawę z tego, że drży mu głos. Czterdzieści siedem sekund później nadeszła odpowiedź:

„We wtorek, trzydziestego grudnia z Nowego Jorku do Madrytu było pięć połączeń: o dziesiątej, dwunastej, trzynastej piętnaście, czternastej trzydzieści i siedemnastej dziesięć. W

poniedziałek, piątego stycznia z Barcelony do Nowego Jorku przez Madryt były cztery rejsy: o siódmej trzydzieści czasu hiszpańskiego, przylot na lotnisko Kennedy'ego o dwunastej dwadzieścia czasu wschodnioamerykańskiego, o dziewiątej piętnaście: przylot na Kennedy'ego o trzeciej czasu wschodnioamerykańskiego.

- Dziękuję - przerwał Bradford. - To mi wystarczy. Tak też było w istocie. Pierce odleciał rejssem we wtorek o siedemnastej dziesięć do Madrytu i wrócił z Barcelony w poniedziałek rejssem o dziewiątej piętnaście, dzięki czemu mógł pojawić się w ONZ o szesnastej czterdzieści pięć czasu wschodnioamerykańskiego. Gdzieś na listach pasażerów widnieje fałszywe nazwisko podsekretarza z amerykańskiej delegacji. Bradford obrócił się w krześle i głęboko odetchnął, wyglądając przez wielkie okno na wysadzone drzewami ulice Waszyngtonu. Nadszedł czas, żeby wyjść na jedną z nich i znaleźć inną budkę telefoniczną.

Havelock musiał dowiedzieć się o jego odkryciu. Wstał, obszedł biurko, wziął płaszcz i marynarkę, niedbale przerzucone przez oparcie krzesła stojącego pod ścianą. Ktoś otworzył

drzwi bez pukania. Podsekretarz stanu zamarł, czując jak paraliż ogarnia wszystkie jego mięśnie. Do gabinetu wszedł inny podsekretarz stanu, zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. W jego ciemnych włosach dostrzec można było białe pasmo. To był Pierce. Stał

wyprostowany, a jego zmęczone oczy patrzyły spokojnie i zimno.

- Wyglądasz na wyczerpanego, Emory - powiedział beznamiętnym tonem. - Brakuje ci doświadczenia, a wyczerpanie i brak doświadczenia, to zła kombinacja. Taka mieszanka może doprowadzić do błędów. Jeżeli wypytujesz czyjś podwładnego, powinieneś nakazać mu milczenie. Ten młody człowiek, który zajął miejsce Carpentera, był dziś rano bardzo podekscytowany.

- Zabiłeś Carpentera - wyszeptał Bradford, częściowo odzyskując głos. - On się wcale nie zwołał, ty go zabiłeś.

- Przeżywał katusze psychiczne.

- Chryste... Jego żona i dzieci, to też twoja robota!

- Trzeba umieć planować, stwarzać okoliczności, stymulować potrzeby i mieć wpływ na przebieg wypadków. To dla ciebie nic nowego, prawda? Dobry Boże, w dawnych czasach nie poświęciłbyś takiemu incydentowi ani jednej myśli. A ilu ty zabiłeś, zanim zmieniłeś poglądy? Ja tam byłem, Emory. Widziałem owoce twojej pracy.

- Ale jednak byłeś...

- I nienawidziłem każdej spędzonej tam minuty. Niedobrze mi się robiło na widok takiego marnotrawstwa, stosów trupów po obu stronach, i kłamstw. Zawsze kłamstw: z Sajgonu i Waszyngtonu. To była hekatomba dzieciaków, z waszej strony i z ich.

- Ale dlaczego ty? Nigdzie nie znalazłem przekonywającego motywu. Dlaczego ty?

- Ponieważ taką rolę mi przydzielono. Jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, Emory. A ja wierzę w moich ludzi bardziej, niż ty w swoich. To zrozumiałe: ty wiesz jak jest tutaj i nic nie możesz na to poradzić. Ja mogę, i nie cofnę się przed tym. Ten świat ma do wyboru lepszą drogę, niż ta, którą proponujecie. I my zajmiemy się tym.

- Jak? Wyszadźcie go w powietrze? Wpędźcie nas w wojnę atomową, której nigdy miało nie być?

- A więc to prawda - powiedział cicho Pierce, nie spuszczać wzroku z oczu Bradforda. - Zrobili to.

- Ty nie wiedziałeś... O, mój Boże!

- Nie przejmuj się tak, byliśmy już blisko. Powiedziano nam, mnie powiedziano, że on oszalał, że

stworzył niesłychaną strategię, w wyniku której świat ogarnie rewolta i nikt już nie uwierzy Stanom Zjednoczonym. Po zakończeniu operacji, kiedy dokumenty znajdą się w naszych rękach, będziemy mogli dyktować warunki, lub was zniszczyć. Obojętnie co wybieriecie, wasz system będzie skończony, starty z powierzchni ziemi, którą zhańbiliście.

- Tak bardzo się mylisz... Ktoś aż do tego stopnia wywiódł cię w pole - wyszeptał

Bradford. - Zdarzały nam się wielkie pomyłki. Owszem! Skrajnie niesłuszne oceny sytuacji, owszem!... Ale stawialiśmy im czoła. W końcu zawsze stawiamy im czoła!

- Tylko wtedy, jeżeli zostaniecie przyłapani. Nie macie odwagi przegrać, a bez tego niemożliwe jest zwycięstwo.

- Uważasz, że zniewolenie jest właściwym rozwiązaniem? ryknął Bradford. - Myślisz, że jeśli uciszycie ludzi, to nie będzie ich słychać?

- Nie będzie ich słychać, wtedy, kiedy to się liczy. A zresztą nigdy nas nie rozumieliście. Czytaliście nasze książki, ale nie uchwyciliście znaczenia zawartych w nich myśli. Doszliście do wniosku, że nie ma co zajmować się konkretnymi. Marks coś powiedział, Lenin to potwierdził, ale wy nie słuchaliście. Nasz system jest w ciągłym procesie przemian, musi przejść przez kolejne fazy, aż wreszcie żadne zmiany nie będą potrzebne. Pewnego dnia nasza wolność będzie całkowita, a nie taka fasadowa jak wasza.

- Jesteście ubezwłasnowolnieni! Żadnych zmian? Ludzie muszą się zmieniać.

Każdego dnia! Tak, jak zmienia się pogoda, ktoś umiera i rodzi się, jak zmieniają się potrzeby! Z ludzi nie można zrobić automatów, to się wam nie uda! Tego właśnie nie możecie zrozumieć! To wy boicie się porażki. To wy nie pozwalacie na dyskusje!

- Na pewno nie tym, którzy chcą zniszczyć ponad sześćdziesiąt lat nadziei i postępu.

Nasi wielcy uczeni, lekarze, inżynierowie... Ich rodzicami w olbrzymiej większości byli analfabeci.

- Wyształciliście więc dzieci i zakazaliście im czytać książki!

- Sądziłem, że stać cię na coś lepszego. - Pierce odszedł od drzwi kilka kroków. - Nie możecie go znaleźć, prawda? Przesłał kopie porozumień atomowych i ukrył się. Nie wiecie komu je przesłał lub sprzedał. Ogarnęła was panika.

- Wy też nie możecie znaleźć Parsifala. Straciliście go.

- Wiemy jednak, kim jest. Znamy jego sposób zachowania, potrzeby i wiedzę.

Podobnie jak wszyscy ludzie o wybitnej umysłowości, ma skomplikowaną naturę, ale można przewidzieć jego ruchy. Znajdziemy go. Wiemy kogo szukać, a wy nie.

- Zdradził was, prawda?

- To chwilowe. Pokłócił się z biurokratami, przywódcami bez wyobraźni, ale wciąż uznaje cele naszego państwa. Kiedy pojawił się u mnie, mogłem go zabić. Wolałem jednak tego nie robić, bo cena była zbyt wysoka. Widzisz... on nam wierzy, w przeciwieństwie do was, a już na pewno nie wierzy tobie. Nigdy ci nie wierzył. Jego dziadek był chłopem pańszczyźnianym we włościach księcia Woroszyña, ale ten szlachetny arystokrata kazał go powiesić, bo dziadek ośmielił się upolować w zimie dzika, żeby nakarmić swoją rodzinę. On nas nie zdradzi.

- Kim są ci „my”? Moskwa się do was nie przyznaje, tego dowiedzieliśmy się po Costa Brava. Z tamtą operacją KGB nie ma nic wspólnego: nigdy nie została oficjalnie zatwierdzona.

- Nie przez tych, z którymi rozmawialiście. Ci są starzy i zmęczeni, poszli więc na kompromis. Stracili z oczu naszą ziemię obiecaną, lub jeśli wolisz, nasze przeznaczenie. My nie straciliśmy. Pierce spojrział na telewizor i umieszczony poniżej magnetowid, potem przeniósł wzrok na przesyłkę leżącą na biurku Bradforda. - To z wideoteki stacji telewizyjnej, czy z waszego archiwum? Te nagrania można wykorzystać zarówno do przeanalizowania niuansów debaty, jak i do wyjaśnienia okoliczności śmierci denata. Dobra robota, Emory. -

„Śpioch” podniósł wzrok. - A może do tych dwóch „d” powinniśmy dodać jeszcze jedno? Na przykład definitywne zniknięcie. Tak, z tych kaset mogłeś się tego dowiedzieć, ile słów prawdy mieści się w marnych wykrętach dyplomaty, którego nazywamy ambasadorem. On w swoich zapiskach znalazłby informację, że podałem mu na tę sesję świetną argumentację.

Przysiągłby, że byłem na miejscu. Ubawiłbyś się, gdybym powiedział ci, jak często rozmawiałem z moimi prawdziwymi partnerami w saloniku dyplomatycznym i prosiłem o wyrozumiałość dla niego. Od czasu do czasu musiał przecież zbierać trochę punktów. Był

dla mnie prawdziwym darem niebios...

- Nie ubawiłem się.

- Havliczek wrócił do was, co? - Pierce podszedł do Bradforda.

- Kto?

- Wolimy używać jego prawdziwego nazwiska. Michaił Havliczek, syn Waclawa -

wroga państwa. Imię otrzymał po dziadku z Równego. Wiesz, że Michaił to rosyjskie imię, a nie czeskie. Z drugiej strony, pochodzenie dla was tak mało znaczy, że prawdopodobnie o tym nie wiecie. Gdyby okoliczności inaczej się ułożyły, mógłby stać teraz na moim miejscu.

To utalentowany człowiek, przykro mi, że tak źle nim pokierowano. On jest tutaj, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Daj spokój, Emory. Ta wydrukowana w gazecie bajka o zabójstwie na Morningside Heights, to

mętne wyciszenie sprawy, w prostackim wykonaniu Departamentu. Ten stary Żyd Handelman coś wiedział, prawda? Dlatego maniak Havliczek rozwalił mu głowę, kiedy już to

„coś” z niego wyciągnął. A potem go ukryliście, bo znalazł ciebie, i bez wątpienia też dziewczynę. Teraz go potrzebujecie, bo ma was w ręku. Doszliście więc z nim do porozumienia. Powiedzieliście mu prawdę; nie mieliście innego wyjścia. To wszystko prowadzi do Costa Brava, prawda?

- Costa Brava to twoja robota?

- Oczywiście. Zmierzałiśmy do całkowitego porozumienia z jednym spośród obdarzonych największą władzą ludzi na Zachodzie. Chcieliśmy mieć pewność, że sprawa jest czysta. Wam zabrakło do tego odwagi. Nam nie.

- Ale nie wiedzieliście dlaczego. Wciąż tego nie wiecie! - Nie rozumiesz, że to nigdy nie miało znaczenia? On tracił zmysły. Przez wasze rosnące oczekiwania, wpędziliście go w obłąd. Był zdolnym człowiekiem, który wykonywał pracę dwudziestu ludzi. To się nazywa gruziński syndrom, Emory. Kiedy Stalin został zabity, był już tylko bełkoczącym idiotą. Więc my musieliśmy tylko zapewnić Matthiasowi pożywkę dla jego fantazji, zaspokoić każdą jego zachciankę, wysłuchiwać utyskiwań i rozbudzać podejrzenia, a wszystko po to, żeby popchnąć go do szaleństwa. Ponieważ te szaleńcze porozumienia wpędzą w obłąd ten kraj.

- Tu nie ma już mowy o porozumieniach. Pozostała tylko anihilacja. Zagłada.

- Oczywiście ryzyko istnieje, ale nie wolno obawiać się porażki. - Pierce powoli skinął głową.

- Teraz ty mówisz jak szaleniec!

- Wcale nie. Unicestwienie będzie waszym udziałem. Już o to zadba opinia publiczna, do której tak często się odwołujecie. Teraz liczy się tylko odnalezienie człowieka, który w pojedynkę doprowadził Anthona Matthiasa do obłądu. Chcemy również tych dokumentów. O

Havliczka możesz być spokojny, to wy mieliście zamiar spisać go „na straty”, nie my!

- Ty to zrobiłeś. Ty! Ty przyznałeś mu status człowieka „nie-do-uratowania”!

- Wtedy było to właściwe posunięcie. Teraz, już nie. Teraz on nam pomoże. Nie żartowałem mówiąc, że to utalentowany człowiek i doskonały, myśliwy. Z jego doświadczeniem i naszą wiedzą odnajdziemy człowieka, który rzuci ten rząd na kolana.

- Powiedziałem już ludziom kim jesteś! - wydusił z siebie Bradford.

- Gdyby tak było, śledzono by mnie na lotnisku, zwłaszcza na lotnisku, a tam nie było nikogo! Sam przecież dowiedziałeś się o tym kilka minut temu. Jestem zbyt ważną postacią, żeby wystarczyły tylko spekulacje. Popeliłeś już zbyt wiele pomyłek i nie stać cię na jeszcze jedną. W tym mieście nie jest pan zbyt lubiany, panie podsekretarzu.

- Havelock zabije cię przy pierwszej lepszej okazji. - Na pewno, o ile mnie zobaczy.

Ale to już jego zmartwienie. My znamy Havliczka, ale on nas nie zna! Nie zna mnie. To daje nam całkiem wyraźną przewagę. Wystarczy, że będziemy go obserwować.

- Nigdy go nie znajdziecie! - Bradford rzucił się w lewo, ale na jego drodze natychmiast stanął Pierce i popchnął go na ścianę.

- Nie próbuj tego, Emory. Jesteś zmęczony i bardzo słaby. Mogę cię zabić, zanim zdążysz krzyknąć. A jeżeli już mowa o odnalezieniu Havliczka, to ile jest w naszym kraju Czyściców? Siedemnaście. Kto odmówi odpowiedzi człowiekowi takiemu jak ja; człowiekowi wprowadzonemu w liczne dyplomatyczne „zdrady”, na pytanie, który z nich jest wolny?

Przecież to ja ściągnąłem tu kilka godnych pozazdroszczenia okazji. - Pierce ponownie stanął przed Bradfordem. - No, tylko nie umieraj. Lepiej powiedz mi, gdzie jest ten apokaliptyczny dokument. Zakładam, że dysponujecie tylko kopią. Oryginał, niczym atomowy miecz, wisi na bardzo cienkim włosku nad waszymi głowami.

- Jest tam, gdzie nigdy go nie znajdziesz.

- Wierzę ci - powiedział pomieniatczik. - Ale ty mógłbyś. - Nie da rady... Nawet gdybym chciał.

- Niestety, w to również wierzę. Pierce nagłym ruchem wyrzucił prawą dłoń do przodu, złapał nagie ramię Bradforda i ścisnął je mocno. Równocześnie lewą ręką zacisnął

usta podsekretarza i wygiął jego ciało w łuk. Oczy Bradforda momentalnie otworzyły się szeroko, a potem zamknęły. Dłoń stłumiła okrzyk agonii. Pierce wyciągnął z ciała ukrytą w dłoni igłę i Bradford upadł na podłogę. „Śpioch” podbiegł do biurka i podniósł pakiet na kasety, do którego przyklejono firmową nalepkę. Sięgnął po słuchawkę, wcisnął guzik wyjścia na miasto i wykręcił numer.

- Federalne Biuro Śledcze, oddział w Nowym Jorku odezwał się głos w słuchawce.

- Poproszę z agentem Abramsem z Wewnętrznego Bezpieczeństwa. - Abrams -

odezwał się kilka sekund później męski głos.

- Mam nadzieję, że podróż się udała.

- Lot odbył się bez przeszkód - padła odpowiedź. - O co chodzi?

- O pewnego dyrektora sieci telewizyjnej powiedział Pierce, odczytując nazwisko na nalepce. R.B. Denninga z Trans America News Division. Udostępnił taśmy komuś niewłaściwemu w Departamencie. Działalność tego nieźrównoważonego człowieka o nazwisku Bradford zagraża interesom rządu Stanów Zjednoczonych. Podczas napadu wściekłości Bradford zniszczył kasety, ale dla dobra działu informacji Trans AM, i oczywiście również całej sieci, przedstawiciel rządu

oficjalnie prosi Denninga o zachowanie dyskrecji. Departament Stanu czuje się zobowiązany do wyrażenia swojego żalu, itd., itd.

Zajmij się tym bez zwłoki.

- Złapię go, nawet jeżeli właśnie zabiera się do swojego drugiego martini.

- Możesz jeszcze dodać, że Departament w przyszłości niechętnie będzie zadawać się z Trans AM, o ile jego pracownicy będą udostępniać materiały, bez sprawdzenia źródła zamówienia. Oczywiście, jeżeli ktoś współpracuje dla dobra kraju...

- Przedstawię to w jasny sposób - przerwał pomieniatczik z Nowego Jorku. - Zabieram się do roboty. Pierce odłożył słuchawkę, podszedł do stolika z telewizorem i ostrożnie przesunął go pod ścianę. Magnetowid zabierze do innego biura. Nie będzie śladu po kasetach i nikogo, kto chciałby ich szukać.

Nie agonalny przeciągły krzyk protestu, przeklinający bogów lub ludzi, lecz brzęk rozbijanej przez ciało, olbrzymiej szyby okiennej na siódmym piętrze budynku Departamentu Stanu, zakończył rozmowę tego dnia. Ci, którzy widzieli go rankiem, mówili, że musiał

odejść w ten sposób: w przystępie szaleństwa, całkowitej rozpacz i chęci skończenia z tym wszystkim, by wreszcie uwolnić się od myślenia. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie wyleczył

się z tych dni samoanalizy w późnych latach sześćdziesiątych, a teraz presja ta stała się nie do wytrzymania. Jego czas nadszedł i przeminął, choć on sam nigdy nie potrafił wyjaśnić sobie własnej roli w tym procesie. To, co najważniejsze w życiu, wymknęło mu się bezpowrotnie.

Wielu go lekceważyło, bo nie mógł już zrobić niczego, a jego głos przypominał wołanie na puszczy... Wszystkie te informacje wydrukowała popołudniowa prasa. Nastrój nekrologów wahał się od sympatii po niechęć, w zależności od zestawu nazwisk, które pojawiały się w stopce redakcyjnej. Znamienne było, że żaden z nekrologów nie był zbyt obszerny, tak naprawdę mało kto się tym faktem przejął. Brak równowagi nie pasował do tego najbardziej pożądanego z politycznych grzechów: dostosowania granej roli do życia. Zmiana poglądów oznaczała słabość. Albo chcemy Jezusa, albo kowboja z kamienną szczęką. Kto u diabła może wcielić się w obu naraz? Zmarł podsekretarz stanu Emory Bradford, zaciekły jastrząb, który zmienił się w namiętnego gołębia. Oczywiście, popełnił samobójstwo. W jego gabinecie nie znaleziono naturalnie żadnego dziwnego wyposażenia, jak na przykład magnetowidu na stoliku pod telewizorem. Pomyłkowo przyniesiono go do niewłaściwego gabinetu, a strażnik na trzecim piętrze potwierdził, gdzie naprawdę miał trafić. Telewizor odstawiono zaś pod ścianę, najwyraźniej nikt go nie używał.

30

- Nie mogłeś temu zapobiec - stanowczo powiedziała Jenna. Stała przed biurkiem, przy którym siedział Havelock. - Nie pozwolono ci iść do Departamentu Stanu i zgodziłeś się na ten warunek.

Gdyby „spioch” cię zauważył, zabiłby cię dyskretnie i pozostał na swoim miejscu, albo uciekł do Moskwy. A ty przecież chcesz go złapać. Nigdy ci się to nie uda, jeżeli będziesz się pokazywał.

- Może nie mogłem temu zapobiec, ale mogłem przynajmniej sprawić, że jego śmierć, jego życie, znaczyłoby coś więcej. Chciał mi powiedzieć, a ja mu tego zabroniłem. Zapewnił

mnie, że ten telefon jest równie czysty jak cały dom, a ja nie przyjąłem tego do wiadomości.

- Tego nie powiedziałaś. Ostrzegłeś go tylko, że jego telefon i gabinet mogą być na podsłuchu. Powzięłaś logiczną decyzję, która wynikała z twoich wieloletnich doświadczeń i obserwacji. Wciąż jestem przekonana, że w Departamencie Stanu siedzą pomieniatcziki, którzy zapewnią temu człowiekowi fałszywe alibi lub zakładać będą podsłuch.

- Chciałbym zwrócić ci uwagę, że podobne opinie wygłaszał pewien maniak o nazwisku McCarthy i trzydzieści lat temu, posługując się strachem i szaleństwem, podzielił

ten kraj na walczące ze sobą obozy.

- Może sam był jednym z nich. Kto lepiej nadaje się do takiej roboty?

- Możliwe. Pomieniatczik jest nieprzejednanym patriotą. Bez przerwy wzywa do składania przysięgi lojalności, bo sam nie ma przy tym żadnych oporów.

- Kogoś takiego musisz teraz szukać, Michaił. Nieprzejednanego patrioty, człowieka o nieskalanym życiorysie. On będzie naszym „spiochem”.

- Gdybym mógł się dowiedzieć, na co czekał wczoraj Bradford, miałbym ich obu.

Powiedział tylko, że uzyska pewność dopiero wczesnym przedpołudniem. Czyli spodziewał

się dowodu na to, że ktoś na piątym piętrze nie był tam, gdzie być powinien. Strażnik w recepcji zeznał, że Bradford otrzymał przesyłkę o dwunastej dwadzieścia pięć, ale nie wie, co zawierała, a później już jej oczywiście nie było.

- Czy na opakowaniu był adres zwrotny lub nazwa firmy?

- A jeżeli nawet, to i tak nikt nie zwrócił na to uwagi. Dostarczył ją posłaniec.

- Sprawdź firmy, które zajmują się usługami kurierskimi. Ktoś z pewnością przypomni sobie kolor uniformu i w ten sposób zawężymy krąg poszukiwań.

- To nie był posłaniec z firmy kurierskiej, lecz kobieta w tweedowym płaszczu z futrzanym kołnierzem. Strażnicy zauważyli tylko, że jak na dostawcy przesyłek, była bardzo światowa.

- Światowa?

- Atrakcyjna, bezpośrednia. Używała wyszukanego języka. Chyba wszystko jasne.

- Sekretarka?

- Tak, ale czyja? Do kogo mógł się zwrócić Bradford, jakiego dowodu szukać?

- Jakie były wymiary przesyłki?

- Strażnik zeznał, że była to gruba koperta. Z jednej strony wypychał ją jakiś przedmiot. W środku były papiery i coś jeszcze.

- Papiery? - zapytała Jenna. - Gazety? Może zwrócił się do jakiejś redakcji?

- Możliwe, że były to wycinki sprzed czterech miesięcy, opisujące jakieś zdarzenie z tamtego okresu. Mógł też ściągnąć akta z CIA, miał tam przecież przyjaciół. Może chodziło o fakty odnoszące się do materiału dowodowego przeciwko tobie, a może o coś w związku z Costa Brava... Coś, co przeoczyliśmy. Mógł sprawdzać szpitale, ośrodki narciarskie, miejsca urodzenia, sąsiadów w małych miasteczkach, rejestry rozwodów przeprowadzanych przez pełnomocnika, rezerwacje hotelowe na Karaibach, podpisy na rachunkach restauracyjnych lub czekach bankowych. Mógł kontaktować się z jakimś maitre d'hotel lub instruktorem surfingu, którym zazwyczaj za pieniądze wraca pamięć. Wszystkie źródła, które wymieniłem, są prawdopodobne, bo odnoszą się do kogoś wymienionego w dokumentach - Michael dotknął

pliku papierów na biurku i przeciągnął kciukiem po jego krawędzi. - Istnieje jeszcze tuzin innych możliwości, o których nawet nie pomyślałem. - Havelock odchylił się do tyłu na oparciu i złożył dłonie pod brodą. - Nasz człowiek musi być niezły, Jenno. Ukrył się pod warstwą niewidzialnej farby.

- W takim razie zabierzmy się za coś innego.

- Właśnie to robię. Zaczniemy od doktora w Marylandzie. Najbardziej szanowanego lekarza w okręgu Talbot.

- Michaił?

- Tak?

- Wcześniej przeglądałeś raporty, dotyczące twojej terapii w klinice. Po Costa Brava.

- Skąd wiesz?

- Co jakiś czas przymykałeś oczy. Przeczytanie tych kartek nie przyszło ci łatwo.

- To prawda.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Nie. Dowiedziałem się tylko, jak opisałem twoją egzekucję, i jak na nią zareagowałem.

- Mogę to zobaczyć?

- Bóg mi świadkiem, że chciałbym znaleźć jakiś powód, by cię odwieść od tego zamiaru, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

- Wystarczy mi, że nie chcesz bym to czytała.

- Nie, to nie o to chodzi. Musisz się o tym dowiedzieć, w końcu to ciebie zabijano. -

Otworzył szufladę po prawej stronie i wyjął grubą brunatną kopertę z czarnymi obrzeżami.

Podał ją Jennie, a ich spojrzenia na chwilę się spotkały. - Nie jestem z tego dumny -

powiedział. - I będę musiał sobie z tym radzić do końca życia. Teraz już wiem, co to oznacza.

- Będziemy sobie nawzajem pomagać - przez resztę naszego życia. Ja też im uwierzyłam. Usiadła na kanapie z kopertą w rękę i wyjęła ze środka ułożone w kolejności teczki. Wzięła do ręki pierwszą i powoli oparła się plecami, spoglądając na trzymane w rękę dokumenty jak na coś strasznego, a równocześnie świętego. Otworzyła i zaczęła czytać.

Havelock nie był w stanie poruszyć się, ani zebrać myśli. Siedział sztywno na krześle, a leżące przed nim strony zmieniły się w zamazane linijki nie mające żadnego sensu. Jenna czytała, a w jego umyśle rozbłysły wspomnienia z tamtej koszmarnej nocy. Wtedy on obserwował jej śmierć, a teraz ona zapoznawała się z jego obnażonymi myślami, pobudzonymi środkami psychotropowymi. Z jego umysłem, z jego najgłębszymi emocjami. I też przyglądała się, jak umiera. Znów powróciły wykrzyczane zdania. Musiało tak zresztą być, bo teraz z kolei ona zamykała oczy i wstrzymywała oddech. Kiedy skończyła trzecią teczkę, wyczuł, że patrzy na niego. Nie był jednak w stanie spojrzeć jej w oczy. W jego uszach ciągle rozbrzmiewały wrzaski, dramatyczni świadkowie jego niewybaczalnych oskarżeń o zdradę. Odejdź natychmiast! Umrzyj natychmiast! Zostaw mnie! Nigdy nie należałaś do mnie! Byłaś kłamstwem, które pokochałem. Nigdy nie stanowiliśmy jedności...

Jak możesz być tym, kim jesteś, a zarazem kimś tak zupełnie innym? Dlaczego to nam zrobiłaś? Dlaczego mnie? Miałem tylko ciebie, a teraz zmieniłaś się w moje własne piekło...

Teraz umrzyj, odejdź!... Nie! Na miłość boską, pozwól mi umrzeć wraz z tobą! Chcę umrzeć... ale nie dla ciebie! Tylko dla siebie... przeciw sobie! Nigdy dla ciebie. Ofiarowałaś mi się, ale tak, jak oddaje się kurwa. Wziąłem kurwę, i kurwie uwierzyłem. Parszywa ściera!... Chryste, trafili ją! Jeszcze raz! Biegnij do niej! Na miłość boską, biegnij do niej!

Obejmuj ją!... Nie, nigdy do niej. To już koniec! Już po wszystkim, to już historia... więcej nie będę słuchał tych kłamstw. Jezu... ona czołga się po piachu jak ranne, krwawiące zwierzę.

Ona żyje! Biegnij do niej! Obejmij ją! Skróć jej agonię... kula, jeżeli będzie trzeba! Nie!...

Umarła! Już się nie rusza, widać tylko krew na jej rękach i włosach. Umarła, a wraz z nią odeszła część mojej duszy. A jednak to musi być historią, tak jak są historią odległe czasy... O

mój Boże, odciągają ją... odciągają przebite lancą martwe zwierzę. Kim oni są? Czy widziałem... fotografie, akta... to nie ma znaczenia. Czy zdają sobie sprawę z tego, co zrobili?

Czy ona wiedziała? Zabójczyni, ścierka, kurwa!... Moja jedyna miłość. To już historia, nie ma innego wyjścia. Zabójczyni odeszła... miłość odeszła. Przy życiu został tylko przeklęty głupiec. Skończyła czytać. Odłożyła ostatnią teczkę na stojący przed nią stolik do kawy i zwróciła się w stronę Michaela, płacząc bezgłośnie.

- Tak wiele tu miłości, i tak wiele nienawiści. Do mnie, i do siebie. Ja nie musiałam przez to przejść, przez co ty przeszedłeś. Mogło to być łatwiejsze, choć rola ofiary może dostarczyć bardziej oszałamiających wrażeń. Ale kiedy oszołomienie przerodziło się w gniew, czułam to samo, co ty. Tak bardzo cię nienawidziałam i przeklinałam siebie za tę nienawiść. Nawet na moment nie zapominałam o naszej miłości. Jej nie można było udawać, nie do tego stopnia, nie do końca. Wtedy, na granicy i jeszcze później, na Col des Moulinets, zwyciężył we mnie gniew, bo myślałam, że przyszedłeś by mnie wreszcie zabić. Z tą samą brutalnością, z jaką omal nie zabiłeś kobiety na nabrzeżu w Civitavecchia. Widziałam twoją twarz przez okno samolotu, i jeśli jest Bóg, to niech mi wybaczy, ale wtedy byłeś moim wrogiem. Tak, człowiek, którego kochałam, był moim wrogiem.

- Pamiętam - powiedział Michael. - Widziałem twoje oczy i zapamiętałem nienawiść.

Chciałem krzyknąć, powiedzieć ci, ale mnie nie słyszałaś. W ryku silników sam siebie nie słyszałem. Tamtej nocy w twoich oczach czaiła się śmierć, wierz mi, nigdy jeszcze nie widziałem czegoś tak przerażającego. Nie miałbym odwagi jeszcze raz w nie popatrzeć, choć w pewien sposób spojrzenie to towarzyszyć mi będzie do końca życia.

- Tylko w twojej pamięci. Zadzwoił telefon. Havelock pozwolił, by dzwonek rozległ się ponownie. Nie był w stanie oderwać wzroku od Jenny. W końcu podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Havelock?

- Słucham, panie prezydencie.

- Dowiedziałeś się czegoś o Emorym? - zapytał Berquist. Choć w jego głosie był tylko smutek i wyczerpanie, starał się jednak stwarzać wrażenie siły.

- Niewiele.

- Potrzebujesz łącznika. Wybiorę kogoś z personelu Białego Domu, kogoś wtajemniczonego, komu mógłbym zaufać. Będę musiał dopuścić go do obrad, ale na to nic nie poradzimy. Bradforda nie ma, a

ty naprawdę potrzebujesz kanału łączności.

- Jeszcze nie teraz, panie prezydencie. I od razu zaznaczam, że w grę nie wchodzi nikt z Białego Domu.

- Ze względu na to, co powiedział ci w Atenach Rostow?

- Możliwe. Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale teraz wolałbym nie eksperymentować.

- Uwierzyłeś mu?

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale był jedynym człowiekiem, który powiedział mi prawdę.

- Dlaczego miałby mówić ci coś takiego?

- Nie jestem pewien. Z drugiej strony dlaczego wysłał do Operacji Konsularnych tę depezę? W obu przypadkach przekazana informacja była wystarczająco zaskakująca, by zmusić nas do przyjrzenia się jej uważnie. Od tego rozpoczyna się przesyłanie sygnału.

- Addison Brooks wygłosił bardzo podobną opinię.

- Miał rację, choć posługiwał się językiem dyplomatów. Wojennaja nie reprezentuje Moskwy.

- Rozumiem. Bradford... - Berquist przerwał, jakby nagle przypomniał sobie, że mówi o martwym człowieku. - Bradford wytłumaczył mi to ostatniej nocy. Naprawdę jesteś przekonany, że wewnątrz Białego Domu działa sowiecki agent?

- Jak już powiedziałem, nie jestem pewny. Ale może działać, lub co bardziej prawdopodobne, działał. Nie sądzę, żeby Rostow o tym wspomniał, gdyby nie było to prawdą, teraz lub w przeszłości. Chciał nas przetestować i czekał na odpowiedź. W tej branży prawda prowokuje najbardziej szczerze odpowiedzi. Przekonał się o tym, kiedy poruszył

sprawę Costa Brava. Dlatego w tym przypadku wolę nie podejmować takiego ryzyka.

- W porządku, ale w takim razie jak masz zamiar działać? Nie możemy dopuścić do tego, żeby ktoś widział jak przesłuchujesz ludzi.

- Nie. Ale mogę ich przepytować, nie pokazując się im na oczy. Mogę korzystać z telefonu, jeżeli zorganizuje się to w odpowiedni sposób. Wiem o co chcę spytać, i wiem czego będę słuchał. Po tych wstępnych rozmowach wyselekcjonuję kandydatów na osobiste spotkania. Mam doświadczenie w tych sprawach, panie prezydencie.

- Wierzę na słowo. Jak to zorganizować w odpowiedni sposób?

- Proszę przydzielić mi jakieś nazwisko i mianować doradcą prezydenta, lub kimś w tym rodzaju. Nie

ma chyba nic nadzwyczajnego w fakcie, że Owalny Gabinet przeprowadza w pewnych sytuacjach dyskretne śledztwo na własną rękę?

- Oczywiście, że nie. Zatrudniamy w tym celu konkretnych ludzi i nie musi to być koniecznie dyskretne. Każdego tygodnia do Białego Domu nadchodzą setki raportów. Trzeba je sprawdzić; skontaktować się z ekspertami i podsumować liczby. Bez tego, nie można podejmować odpowiednich decyzji. W czasach Lincolna dwóch młodych ludzi zajmowało się tą działalnością, włączając w to selekcjonowanie listów. Teraz mamy tłum asystentów, sekretarki asystentów, i nie dajemy sobie rady.

- Co się dzieje, gdy asystent lub jego współpracownik dzwoni do kogoś, a ta osoba wątpi w jego uprawnienia?

- Często mamy z tym do czynienia, zwłaszcza jeżeli chodzi o ludzi z Pentagonu. Jest na to prosty sposób. Prosimy, by ten ktoś zadzwonił do Białego Domu, gdzie połączą go z gabinetem asystenta.

- To będzie skuteczne - powiedział Michael. Czy do istniejących linii może pan dodać jeszcze jedną, wpisać mnie na listę abonentów Białego Domu i połączyć z Czyścem?

- Havelock, jedną z nielicznych przyjemności związanych ze stanowiskiem prezydenta lub jego współpracownika, jest dostęp do elektronicznych sztuczek, o każdej porze dnia i nocy. W ciągu godziny znajdziesz się w spisie, a telefon Piątki zostanie podłączony do centrali Białego Domu. Jakim nazwiskiem chciałbyś się posłużyć?

- To pan będzie musiał mi je wybrać. Mogę przypadkowo użyć nazwiska kogoś, kto już tam pracuje.

- Oddzwonię.

- Panie prezydencie, zanim pan odłoży słuchawkę...

- Tak?

- Potrzebuję jeszcze czegoś, co może nie figurować w pańskim słowniku. Wsparcia kontekstem.

- Takie słowo na pewno w nim nie figuruje. Co to jest? - Jeżeli ktoś zadzwoni do Białego Domu i będzie chciał dowiedzieć się, czym tak właściwie się zajmuję, telefon powinien odebrać człowiek, który udzieli mu właściwych informacji.

- Tam na Poole's Island, miał pan rację powiedział w zamyśleniu Berquist. - Słowa przekazują dokładnie tyle treści, ile znaczą. - Potrzebuje pan kogoś, kto w zależności od sytuacji, na wypadek pytań o pańską osobę, udzieli panu wsparcia.

- Zgadza się.

- Oddzwonię.

- Mogę coś zasugerować? - pośpiesznie zapytał Michael.

- Słucham?

- Podczas najbliższych kilku dni, o ile będą nam one dane ktoś pojawi się u człowieka-wsparcia i zapyta, gdzie jest moje biuro. Wtedy musimy go zatrzymać, bo kimkolwiek jest, przybliży nas do rozwiązania.

- Jeżeli do tego dojdzie - powiedział gniewnie Berquist. Tego kogoś, obojętnie kobietę czy mężczyznę, może udusić facet z farmy w Minnesocie, zanim pan będzie miał szansę z nim porozmawiać.

- Jestem pewien, że tak pan nie myśli, panie prezydencie.

- Nie mam też zamiaru rzucać bomby atomowej na Leningrad.

- Zadzwoń później. Havelock odłożył słuchawkę i spojrzał na Jennę.

- Możemy zacząć ograniczanie kręgu podejrzanych. Za godzinę zaczynamy telefoniczne przesłuchania.

- Nazywa się pan Cross. Robert Cross. Obejmuje pan stanowisko specjalnego asystenta przy prezydencie. Wszystkie pytania dotyczące pańskiego statusu i działalności, będą kierowane do panny Howell, naszego radcy prawnego, zajmującego się wewnętrznymi sprawami Białego Domu. Jest już powiadomiona.

- A co z moim biurem?

- Już je pan ma.

- Słucham?

- Ma pan nawet pomocnika w dziale bezpieczeństwa. Żeby dostać się tam na główny korytarz, trzeba podać hasło. Pański człowiek z tajnej służby otrzymał polecenie aresztowania każdego, kto będzie się kręcił w pobliżu i pytał o pana Crossa. A potem powiadomi pana i przewiezie podejrzanego pod strażą do Fairfax. Chyba właśnie o to panu chodziło?

- Dokładnie. A co z pracownikami innych biur w tym dziale? Nie będą zaintrygowani?

- Wątpię. Zazwyczaj ich zlecenia są tymczasowe i każdy po cichu zajmuje się swoją robotą. Zbyt ciekawość nie jest mile widziana. Jeżeli ktoś okaże się za bardzo wścibski, wtedy mamy naszego „śpiocha”.

- Wygląda to nieźle.

- Też tak sędzę. Od czego masz zamiar zacząć?... Emory przedstawił mi listę zamówionych

materiałów i zapewnił, że wszystkie nadejdą rano. Dostałeś wszystko?

- Tak. Na pierwszy ogień pójdzie sekretarka Bradforda, a potem lekarz z Marylandu.

Ten, który podpisał akt zgonu MacKenziego.

- W jego przypadku byliśmy bardzo dokładni zapewnił Berquist. - Wziąwszy pod uwagę okoliczności śmierci, mieliśmy prawo wciągnąć w to ludzi z CIA, a oni nie mają zwyczaju pracować w rękawiczkach. Czego będziesz szukać?

- Nie jestem pewny. Prawdopodobnie kogoś, kogo już nie ma w pobliżu.

- Nawet nie będę próbował domyślić się, o co ci chodzi. - Mogę potrzebować pańskiego dyskretnego działania w pewnej sprawie. Wspomniał pan wcześniej, że Pentagon niechętnie pozwala przesłuchiwać się ludziom z Białego Domu.

- Tak zawsze reagują wojskowi, a w Białym Domu chodzi się po cywilnemu.

Domyślam się, że chodzi o Radę Bezpieczeństwa Nuklearnego. Widziałem tę nazwę na twojej liście.

- Tak.

- To bardzo wrażliwi ludzie. I nie bez powodu.

- Muszę porozmawiać z każdym członkiem tych trzech zespołów, a to w sumie daje piętnastu wyższych oficerów. Czy może pan przekazać przewodniczącemu, że oczekuje pan pełnej współpracy z panem Crossem? Rozmowa nie będzie dotyczyła najtajniejszych informacji, lecz dziedziny... oceny rozwoju.

- Znów jeden z tych terminów.

- Jest bardzo precyzyjny, panie prezydencie. Dobrze by było, gdyby mógł pan wykorzystać Matthiasa.

- Dobrze - po namyśle zgodził się Berguist. - Zwałę to na wielkiego człowieka. Taki tryb postępowania nie bardzo do niego pasuje, ale trudno będzie mu zaprzeczyć. Mojemu wojskowemu adiutantowi przekażę polecenie: „sekretarz stanu życzy sobie, by zespoły dostarczyły Owalnemu Gabinetowi wyczerpujący raport odnośnie prognoz rozwoju.

Wystarczy zwykła notatka nakazująca współpracę w granicach maksymalnej tajności”...

Oczywiście odpowiedzą, że jednego z drugim nie da się pogodzić.

- W razie wątpliwości niech im pan poleci naruszyć tajemnicę państwową. Końcowy raport będzie przecież tylko dla pańskich oczu.

- Coś jeszcze?
- Diagnozy psychiatrów dotyczące Matthiasa. Bradford miał mi je przekazać.
- Jutro lecę do Camp David. Zboczę na Poole's Island i zabiorę je.
- I jeszcze jedno. Co powiedziano panie Howell, oprócz tego, że ma powiadomić tajną służbę, gdyby ktoś o mnie pytał? Co wie o mnie i mojej działalności?
- Tylko tyle, że jesteś specjalnym asystentem przy prezydencie.
- Może pan zmienić ten tytuł?
- Na jaki?
- Nazwijmy to rutynowym oddelegowaniem w celu uzupełnienia tajnego archiwum Białego Domu.
- Zatrudniamy już ludzi, którzy tym się zajmują. Głównie chodzi o sprawy polityki i oceny stopnia poparcia propozycji rządowych. Zbieramy też dane na przykład o senatorach, którzy nas nie popierają, wraz z zaleceniem, co trzeba zrobić, żeby w przyszłości zmienili zdanie.
- Chciałbym pracować na takiej samej zasadzie.
- Już pracujesz. Życzę szczęścia... choć będziesz potrzebował czegoś więcej. Cały ten świat potrzebuje szczęścia. Czasami odnoszę wrażenie, że tylko cud może sprawić, że przetrwamy kolejny tydzień... Informuj mnie na bieżąco, wydałem polecenie, żeby natychmiast mnie zawiadamiać, kiedy dzwoni pan Cross.

Elizabeth Andrews, sekretarka Bradforda, była w swoim domu. Śmierć podsekretarza wywarła olbrzymi wpływ na stan jej psychiki. Telefonowało już do niej wielu dziennikarzy prasowych. Smutnym, choć spokojnym głosem przekazała im relację o wydarzeniach wczorajszego ranka, aż do chwili, kiedy jakaś łowczyni plotek, poczyniwszy aluzję do rejestru jego małżeństw, przypisała Bradfordowi romans, z którego nie mógł się wyplątać.

- Ty chora suko - warknęła Elizabeth i trzasnęła słuchawką. Dwadzieścia minut potem zadzwonił Havelock i Elizabeth Andrews nie miała ochoty raz jeszcze opowiadać całej historii. Poradził jej, by oddzwoniła do Białego Domu, kiedy poczuje się lepiej. To poskutkowało. Telefon w gabinecie odezwał się sześć minut potem.
- Bardzo przepraszam, panie Cross. To był bardzo nerwowy dzień, i jestem po kilku jeszcze bardziej męczących rozmowach z reporterami.
- Będę się streszczał w miarę możliwości. Sekretarka jeszcze raz opowiedziała o tym, co wydarzyło się rano, począwszy od zaskoczenia na widok Bradforda, niespodziewanie wychodzącego ze swojego gabinetu.
- Wyglądał okropnie. Na pewno pracował przez całą noc, był bardzo wyczerpany, ale dostrzegłam w

nim coś jeszcze: jakąś szaloną energię i podekscytowanie. Oczywiście już wcześniej widywałam go w takim stanie, ale tym razem to było coś innego. Mówił głośniejszym głosem, niż zazwyczaj.

- To mogła być reakcja na wyczerpanie - zauważył Havelock. Często pojawiają się takie objawy. Osłabiony człowiek podniesionym głosem stara się zrekompensować ten stan.

- Możliwe, choć nie sądzę, żeby wczoraj rano o to chodziło. Wiem, że brzmi to okropnie, ale sądzę, że wtedy właśnie podjął decyzję... tak uważam. Wydawał się taki ożywiony, jakby czekał, kiedy to się wreszcie stanie. Wyszedł z biura tuż przed dziewiątą.

Powiedział, że wróci za kilka minut... wciąż mam przed oczami ten straszny widok, jak stoi na ulicy i spogląda w górę na okno... i myśli: „tak, to jest to”.

- Czy może być jeszcze inne wytłumaczenie? Może wybierał się na jakieś spotkanie?

- Nie sądzę. Zapytałam go, czy będzie w innym biurze, na wypadek, gdyby ktoś do niego dzwonił. Odparł, że idzie tylko na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Nie wspominał, dlaczego siedział przez całą noc?

- Powiedział tylko, że pracuje nad zaległą sprawą. Ostatnio bardzo wiele podróżował...

- Czy rezerwowała pani dla niego jakieś bilety? przerwał jej Havelock.

- Nie. Zazwyczaj sam się tym zajmował. Jak panu zapewne wiadomo, często...

zabierał kogoś ze sobą. Kilkakrotnie rozwiódł się. Był bardzo skrytym i nieszczęśliwym człowiekiem, panie Cross.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Emory Bradford był wybitnie uzdolniony, a nie zwracano na niego uwagi. Miał w tym mieście wielkie wpływy, aż do chwili, kiedy odważył się powiedzieć prawdę, a przynajmniej to, co uważał za prawdę. Kiedy tylko ucichły brawa, wszyscy się od niego odwrócili.

- Pracowała z nim pani od dawna.

- Od dawna. Wszystko widziałam.

- Może pani podać jakiś przykład takiego „odwracania się”?

- Oczywiście. Począwszy od tego, że ustawicznie pomijano go w sytuacjach, w których przydałoby się jego doświadczenie i wiedza. Często robił notatki, w których poprawiał wpływowych ludzi: senatorów, kongresmanów, nawet ich sekretarzy, jeśli podczas wywiadów lub konferencji dopuścili się głupich pomyłek. Nigdy jednak nie słyszałam, by choć jedna osoba na dziesięć odezwała się lub

podziękowała. A o czymś takim musiałabym wiedzieć. Oglądał poranne programy telewizyjne, bo w nich popełniano największe gafy.

Wczoraj rano też to robił. Notatki z tych programów nazywał sprostowaniami. Zawsze utrzymywał je w kulturalnym, a nawet miłym tonie, bez cienia agresji.

- Wczoraj rano oglądał telewizję?

- Przez chwilę..., zanim to się stało. A przynajmniej przesunął przed swoje biurko telewizor. Potem odstawił go pod ścianę. Zanim to zrobił... Aż do końca nie potrafił zmienić przyzwyczajzeń. Chciał, żeby ludzie byli lepsi niż są, i tego samego oczekiwał od rządu.

- Czy na biurku pozostawił jakieś notatki, z których wynikałoby kogo widział w telewizji?

- Nie. To był jego pożegnalny gest, chęć pozostawienia świata w lepszym porządku, niż go zastał. Nigdy nie widziałam jego biurka tak wysprzątanego, tak czystego...

- Z pewnością pani nie widziała.

- Przepraszam?

- Nic takiego. Przyznałem pani rację... Wiem, że wyszła pani na lunch, ale czy w okolicach jego gabinetu byli może jacyś inni ludzie, którzy mogli dostrzec kogoś wchodzącego lub wychodzącego?

- Tym zajęła się już policja, panie Cross. Zawsze kręci się tam mnóstwo ludzi: pracownicy Departamentu mają przerwy obiadowe o różnych porach, w zależności od tego, co dzieje się w poszczególnych strefach czasowych. Jednak nikt nie zauważył czegoś niezwykłego. Właściwie to nasza sekcja była wtedy raczej wyludniona. Na trzynastą zwołano zebranie sekretarek, więc większość z nas...

- Kto zwołał zebranie, panno Andrews?

- Wybrany na ten miesiąc przewodniczący. Potem oczywiście wyparł się tego, siedziałyśmy więc i popijałyśmy kawę. - Czy ma pani notatkę zawiadamiającą o zebraniu?

- Nie, po prostu ktoś mi o tym wspomniał rano. Tak często się dzieje.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

- To taka straszna strata, panie Cross. Taka cholernie niepotrzebna śmierć.

- Wiem. Do widzenia. - Havelock odłożył słuchawkę i nie odrywając wzroku od telefonu szepnął do Jenny. - Nasz człowiek naprawdę jest niezły. Używa niewidzialnej farby.

- Powiedziała ci coś?

- Tak. Bradford zrobił tak, jak mu poleciłem. Wyszedł do budki telefonicznej na zewnątrz i stamtąd

zamówił to, co było mu potrzebne. Numeru pod który dzwonił nie znajdziemy w rejestrach telefonicznych centrali Departamentu. Te kilka cyfr zginęło wśród milionów innych, w podziemnych łączach telefonicznych.

- Nic więcej?

- Może jeszcze coś - Michael spojrzał zamyślony na Jennę i zmarszczył brwi. -

Zobacz, czy mamy tu gdzieś wczorajszą gazetę i sprawdź, czy w porannym programie telewizyjnym brał udział jakiś wyższy urzędnik Departamentu Stanu. To mi się nie trzyma kupy, telewizja była chyba ostatnią rzeczą, na którą Bradford miał czas.. Jenna znalazła gazetę. Tego ranka w telewizji nie emitowano żadnego wywiadu z udziałem pracowników Departamentu Stanu.

31

Jeżeli okręg Talbot w stanie Maryland zyskał w osobie doktora Matthew Randolpha powszechnie szanowanego lekarza, to odziedziczył również wyjątkowo nieprzyjemną osobowość. Urodzony w bogatej rodzinie na Wschodnim Wybrzeżu, ukończył najlepsze szkoły, należał do najlepszych klubów i dysponował nieograniczonymi funduszami. Jednakże doktor, nie zwracając uwagi na te przywileje, wykorzystywał dla dobra medycyny kogo się dało z kręgów miejscowej elity. Kiedy ukończył trzydzieści lat i Wydział Medycyny Uniwersytetu im. Johna Hopkinsa oraz specjalizacje w dziedzinie patologii i chirurgii w szpitalach w Massachusetts i w stanie Nowy Jork, doszedł do wniosku, że nie będzie rozmieniać swojego talentu na drobne w ogłupiającej, przepełnionej intrygami atmosferze normalnego szpitala. Wybrał więc bardzo proste rozwiązanie: z bogaczy znad Chesapeake dosłownie wydusił pieniądze, dorzucił dwa miliony na początek i otworzył własne pięćdziesięciółżkowe Centrum Medyczne. Jego oryginalny sposób prowadzenia szpitala można było przyrównać do niezbyt dobrodusznej dyktatury. Przyjmowano tu pacjentów wszelkiego rodzaju, ale kryteria ich doboru były najzupełniej przypadkowe. Bogaczy niemiłosiernie oskubywano, a biedaków leczono za darmo. Musieli oni jednak wytrzymać upokarzającą procedurę przedstawienia niezbitych dowodów nędzy i wysłuchać wykładu na temat lenistwa. Zarówno bogaci, jak i biedni, przystawali na takie traktowanie, ponieważ w miarę upływu lat Centrum Medyczne Randolpha zyskało reputację, z którą nie mógł się mierzyć żaden inny szpital. Laboratoria wyposażono we wszelkie możliwe sprzęty. Szczodrze opłacani lekarze rekrutowali się spośród najlepszych absolwentów uczelni i z najtrudniejszych specjalizacji. Patologów i chirurgów ściągano dosłownie z całego świata, umiejętności przepłacanych techników i pielęgniarek zdecydowanie wykraczały poza zwykły poziom szpitalny. Jednym słowem, opieka w szpitalu Randolpha zarówno pod względem medycznym, jak i kontaktów międzyludzkich, była wspaniała. Ktoś zauważył, że jedynym sposobem na

jej

polepszenie,

byłoby pozbycie

się

szorstkiej

osobowości

sześciodziesięcioośmioletniego Matthew Randolpha. Inni jednak dodawali, że przypominałoby to rozwalenie silnika napędzającego gładko płynący po wzburzonym morzu statek, tylko dlatego, że jego hałas kogoś denerwuje. Randolpha można było się pozbyć, pomijając już fakt, że jego śmierć przez najbliższe kilka stuleci wydawała się nieprawdopodobna, tylko na drodze fizycznego unicestwienia. A poza tym, któż inny potrafiłby tuż przed operacją spojrzeć z góry na bratanka Emile du Pont i zapytać: „Na ile cenisz swoje życie?” W

przypadku du Ponta chodziło o głupi milion dolarów i komputer połączony z czterema wiodącymi ośrodkami medycznymi kraju. Wszystkiego tego Havelock dowiedział się z akt CIA, podczas badania okoliczności śmierci Stevena MacKenziego, agenta zajmującego się nielegalnymi operacjami na Costa Brava. W Cagnes sur-Mer, Henri Salanne z założenia wątpił w prawdziwość lekarza, który podpisał akt zgonu MacKenziego. Michael w swym rozumowaniu posunął się jeszcze dalej, biorąc pod uwagę zamianę analiz laboratoryjnych, niezgodność wyników autopsji ze stanem zwłok i po tym, jak prezydent wspomniał o prześwietleniu promieniami Roentgena, zwykłą podmianę klisz. Jednak w świetle uzyskanych informacji na temat Randolpha i jego Centrum Medycznego, trudno było brać pod uwagę którąś z tych możliwości. Wszystkie oficjalne czynności, związane z przypadkiem śmierci, prowadzono przy osobistym udziale Randolpha i w jego własnym laboratorium. Szorstkiego lekarza można było obdarzyć epitetem opryskliwego dyktatora i nieprzyjemnego uparciucha, ale jeśli ktoś zasługiwał na miano człowieka prawego, to na pewno był nim Matthew Randolph. Jego Centrum Medyczne cieszyło się nieskazitelną opinią. Biorąc pod uwagę wszystkie te fakty, nie było powodu, żeby sądzić inaczej. I to właśnie Havelockowi wydawało się podejrzane: zbyt było piękne, aby mogło być prawdziwe. W rzeczywistości nic nie jest tylko czarne, lub tylko białe. Podczas poszukiwania prawdy zawsze ukazywały się jakieś zakamarki, które wносиły do śledztwa nowe elementy. Obojętnie, czy były istotne dla sprawy, czy nie, ale jednak istniały. W tym przypadku nie było żadnych. Pierwszym sygnałem potwierdzającym wątpliwości Michaela był fakt, że Matthew Randolph nie odpowiedział na telefon. We wszystkich pozostałych przypadkach, nie wyłączając ośmiu wyższych oficerów Rady Bezpieczeństwa Nuklearnego, sekretarki Bradforda, CIA i personelu Narodowej Rady Bezpieczeństwa, telefon w Fairfax dzwonił w kilka minut po wstępnej rozmowie. Nikt, ot tak sobie, nie odrzucał prośby o skontaktowanie się ze współpracownikiem prezydenta w Białym Domu. Doktor Matthew Randolph najwyraźniej nie czuł takiego przymusu. W tej sytuacji Havelock zadzwonił raz jeszcze, tylko po to, żeby usłyszeć: „Doktor jest niezwykle zajęty, panie Cross. Kazał przekazać, że oddzwoni w wolnej chwili”.

- Czy wytłumaczyła mu pani, że ma skontaktować się z Białym Domem?

- Tak, proszę pana. - Sekretarka zamilkła na chwilę, i w tej krótkiej przerwie dało się wyczuć zakłopotanie. - Kazał panu powiedzieć, że jego Centrum też jest pomalowane na białe

- dodała niepewnie. - On tak powiedział, panie Cross. Nie ja.

- W takim razie niech pani przekaże temu Dzyngis-chanowi, że jeśli w ciągu godziny nie zadzwoni, to szeryf okręgu Talbot odwiezie go do granicy między stanem Maryland, a dystryktem Kolumbii, gdzie

przejmą go ludzie z Białego Domu i dostarczą na miejsce. Po pięćdziesięciu ośmiu minutach w słuchawce odezwał się głos Matthew Randolpha.

- Za kogo, u diabła, pan się uważa, panie Cross?

- Za bardzo przepracowanego, nic nie znaczącego człowieka, doktorze Randolph.

- Pan mi groził! Nie cierpię pogrózek, obojętnie czy pochodzą z Białego Domu, z niebieskiego, czy szopy na podwórzu! Mam nadzieję, że mnie pan zrozumiał.

- Przekażę pańskie odczucia prezydentowi.

- Niech pan to zrobi. Nie jest najgorszy, ale mógłbym znaleźć lepszego.

- Mógłby go pan nawet poprzeć.

- Wątpię. Poważni politycy nudzą mnie. Polityka i powaga to dwie diametralnie różne rzeczy. Czego pan chce? Jeżeli chodzi wam o moje poparcie w wyborach, to moglibyście zacząć od dotacji na badania medyczne.

- Sądzę, że prezydent Berquist zaakceptowałby ten pomysł tylko wtedy, gdyby otwarcie zadeklarował się pan jako jego przeciwnik.

- Nieźle - zauważył Randolph i zamilkł na chwilę. - Czego pan chce? Mamy tu dużo pracy.

- Chciałbym zadać kilka pytań, dotyczących człowieka, nieżyjącego już człowieka, o nazwisku Steven MacKenzie. Lekarz ponownie zamilkł, ale tym razem była to już inna cisza.

Kiedy wznowił ponownie rozmowę, użył zupełnie innego tonu. Upřednio jego wrogość była autentyczna, teraz najwyraźniej zmuszał się do jej okazywania.

- A niech to szlag! Ile razy będziemy to jeszcze wałkować? MacKenzie zmarł na zawał, rozległy wylew aortalny, a mówiąc dokładniej zator. Przekazałem już przecież wyniki sekcji, a z waszymi szpiegowskimi lekarzami rozmawiałem przez całą wieczność.

Dowiedzieli się wszystkiego.

- Szpiegowskimi lekarzami?

- To pewne jak cholera, że nie byli ze szpitala Marii Panny lub szpitala pod wezwaniem Matki Miłosierdzia z Baltimore, o tym mogę pana zapewnić! Zresztą oni też tak nie twierdzili.

Znów zapadła cisza, ale Havelock jej nie przerwał. Korzystał właśnie ze swojego wyćwiczonego słuchu. Z tych krótkich przerw i oddechu w słuchawce, konstruował w wyobraźni wizerunek człowieka. Doktor podjął rozmowę. Wypowiadał jednak zdania zbyt pośpiesznie, ostrym tembrem

głosu. Początkowa pewność siebie rozplywała się powoli, pozostał tylko podniesiony ton.

- Jeżeli potrzebuje pan informacji o MacKenziem, to niech je pan wyciągnie od nich.

Wszyscy lekarze postawili identyczną diagnozę, nawet przez moment nie pojawiły się wątpliwości. To był czysty, klasyczny wylew i nie mam czasu na odgrzewanie tego rodzaju spraw. Czy wyraziłem się jasno?

- Jaśniej niż się panu zdaje, doktorze Randolph. - Teraz przyszła kolej na pauzę w wykonaniu Havelocka. Milczał, a w wyobraźni widział otwarte usta lekarza i słyszał

agresywny oddech człowieka, który coś ukrywa. - Na pana miejscu znalazłbym czas. Tu, u nas, sprawa nie jest jeszcze zamknięta i ze względu na pewne zewnętrzne naciski, nie możemy jej zakończyć, choć bardzo tego chcemy. Niech pan zrozumie: chętnie zakończylibyśmy ją, opierając się dokładnie na pańskich ustaleniach, ale w takim przypadku konieczna jest współpraca. Czy jasno się wyraziłem?

- Wyniki sekcji nie pozostawiają wątpliwości, z tym chyba wszyscy się zgadzacie?

- Chcemy się zgodzić. Próbuje właśnie pana o tym przekonać.

- Co pan rozumie przez „zewnętrzne naciski”? - Lekarz odzyskał pewność siebie.

Naprawdę był zainteresowany odpowiedzią.

- Powiedzmy, że chodzi o pewnych ludzi w wywiadzie, którzy mają zamiar narobić kłopotów. Chcielibyśmy im zamknąć usta. Ludzie, którzy zmontowali Costa Brava, też oszukiwali. Ostatnia pauza Randolpha była krótka.

- Proszę przyjechać jutro w południe - powiedział.

Havelock siedział na tylnym siedzeniu opancerzonej, lecz niczym zewnętrznie nie wyróżniającej się limuzyny. Jego towarzyszami podróży byli trzej agenci tajnej służby.

Konwersację ograniczono do minimum. Dwóm mężczyznom z przodu i miłemu, lecz małomównemu mężczyźnie obok Michaela, najwyraźniej polecono, by nie zadawali pytań.

Centrum Medyczne Randolpha naprawdę pomalowano na biały kolor. Kompleks szpitalny składał się z trzech budynków, połączonych krytymi przejściami. Usytuowano go w środku rozległego terenu, z trawnikami poprzecinanymi ścieżkami. Do głównego wejścia prowadziła kręta droga. Zaparkowali najbliżej jak się dało drzwi, pod tablicą z napisem: „Izba przyjęć i administracja.” Michael wyszedł z samochodu i gładką betonową ścieżką ruszył w stronę przeszklonych podwójnych drzwi frontowych. W środku już go oczekiwano.

- Panie Cross, doktor Randolph jest w swoim gabinecie powiedziała pielęgniarka siedząca za

marmurową ladą recepcji. Proszę skrócić w pierwszy korytarz na prawo, drzwi do gabinetu doktora są na samym końcu. Zawiadomię sekretarkę, że pan już jest.

- Dziękuję. Idąc nieskazitelnie białym korytarzem, Havelock zastanawiał się nad wyborem wariantów. Ile z ich rozmowy telefonicznej wynioskował doktor Randolph, zależało od tego, co już wcześniej wiedział o Stevenie MacKenziem. Jeżeli wiedział niewiele, Michael powinien posłużyć się ostrożnymi aluzjami. Jeżeli wiedział sporo, nic się nie stanie, gdy wykorzysta w rozmowie prawdziwe elementy swojej bajeczki. Najbardziej jednak zastanawiały Havelocka powody niecodziennego zachowania doktora, który praktycznie przyznał, że zmienił lub pominął jakiś szczegół związany ze śmiercią MacKenziego.

Obojętnie czy uważał go za istotny, czy nie, było to poważne wykroczenie. Zatajenie przyczyny zgonu lub innych ważnych informacji, było przestępstwem. Co takiego zrobił

lekarz i dlaczego? Nawet sama myśl, że Matthew Randolph mógł być zamieszany w sprawy wywiadowcze, zakrawała na absurd. To nie miało sensu. Co on takiego zrobił? Surowa sekretarka, o włosach związanych w kok z tyłu głowy, wstała z krzesła. Jednak jej głos nie korespondował z wyglądem: był to ten sam głos, który przekazał przez telefon uwagę doktora, że jego Medyczne Centrum jest pomalowane na ten sam kolor, co Biały Dom. Żeby móc współpracować z tak wybuchową osobowością jak Randolph, musiała niezłe się opancerzyć.

- Jest dziś bardzo zdenerwowany, panie Cross - powiedziała cichym, wysokim głosem.

- Radzę od razu przejść do sedna sprawy. Doktor nienawidzi marnowania czasu.

- To tak samo, jak ja - odparł Havelock, idąc za sekretarką w stronę ozdobnych drzwi.

Zapukała dwukrotnie, nie raz lub trzy, lecz dokładnie dwa razy i stanęła dumnie wyprostowana obok drzwi, jakby za chwilę miała odmówić założenia opaski na oczy.

Przyczyna jej niewzruszonego zachowania wkrótce się wyjaśniła. Otworzyły się bowiem drzwi, ukazując wysokiego, szczupłego mężczyznę z wianuszkami siwych włosów, okalających łysą głowę. Zza szkielec w stalowych oprawkach spoglądały bystre i niecierpliwe oczy. Doktor Matthew Randolph, mieszanka bogatego Amerykanina niemieckiego pochodzenia, z Savonarolą. Jego długie, kształtne dłonie pasowały zarówno do wideł, pochodni, jak i do skalpela. Spojrzał badawczo na Havelocka, nie zwracając uwagi na sekretarkę.

- Pan jest Cross? - zapytał, a właściwie mruknął.

- Tak.

- Spóźnił się pan osiem minut.

- Pański zegarek się śpieszy.

- Możliwe. Proszę wejść. - Dopiero teraz ofiarował swojej sekretarce spojrzenie: odsunęła się na bok, przepuszczając Michaela. - Niech nikt mi nie przeszkadza - zaznaczył

surowo.

- Tak jest, doktorze Randolph.

- Proszę siadać - powiedział lekarz, wskazując na krzesło, stojące przed zawalonym papierami biurkiem. Zanim jednak pan to zrobi, muszę się upewnić, że nie ma pan przy sobie jednej z tych nagrywających maszynek.

- Daję na to moje słowo. - Ile ono może być warte? - A pańskie?

- To nie ja dzwoniłem do pana, lecz pan do mnie.

- Nie mam przy sobie ukrytego magnetofonu - Havelock pokręcił głową. - Z bardzo prostego powodu: ujawnienie naszej rozmowy może przynieść o wiele większą szkodę nam, niż panu.

- Może tak - mruknął Randolph, okrążając biurko. Michael usiadł na krześle. - A może nie. Zobaczymy.

- Obiecujący początek.

- Niech no pan nie będzie za sprytny, młody człowieku.

- Przepraszam, jeżeli pan to tak odebrał. Naprawdę stoimy przed problemem, który pan mógłby rozwiązać.

- Wynikałoby z tego, że za pierwszym razem tego nie uczyniłem.

- Powiedzmy, że pojawiły się nowe istotne pytania. Mogą nam sprawić nieco kłopotu, rzucając nie tylko na politykę rządu, ale na morale pewnych kręgów wywiadowczych. Któryś z tych ludzi mógłby nawet zwrócić się do gazet. Ale to już nasz problem.

- To właśnie chciałem usłyszeć. - Lekarz skinął głową i zsunął okulary nieco w dół, tak że spoglądał na Havelocka ponad stalowymi oprawkami. - To wasz problem. Niech pan pyta. Havelock zrozumiał. Randolph właśnie dał mu do zrozumienia, że przed rozmową na temat domniemanej bezprawnej działalności lekarza, Biały Dom weźmie całą winę na siebie.

Oczywiście im większy będzie jej zakres, tym szersza samokrytyka doktora. Kiedy dwóch złodziei dzieli łup, kto pobiegnie do sędziego?

- Czy orientuje się pan, w jaki rodzaj działalności zaangażowany był MacKenzie?

- Znałem Maca i jego rodzinę od ponad czterdziestu lat. Przyjaźniłem się z jego rodzicami, a trójka jego dzieciaków urodziła się tu, w Centrum. Sam je odbierałem. Jego żonę, Midge, prawdopodobnie też.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- To powinno panu wystarczyć. Opiekowałem się członkami tej rodziny przez większą część ich życia, nie wyłączając młodego Stevena, nawet wtedy, kiedy już dorósł. Żeby być bardziej precyzyjnym, w ciągu minionych lat miałem okazję oglądać robotę lekarzy ze szpitala Waltera Reeda, w większości przypadków była doskonała. Po obejrzeniu blizn, z trudem można było wywnioskować, że cztery spośród nich były po kulach.

- A więc wiedział pan - powiedział Michael i skinął głową.

- Kazałem mu dać sobie z tym spokój. Mój Boże, powtarzałem mu to bez końca przez ostatnie pięć lat. Teraz już będzie sześć. Żył pod niesłychaną presją, a Midge chyba pod jeszcze większą. Włóczył się po całym świecie, a ona nigdy nie wiedziała, kiedy wróci do domu. Nie znaczy to, że jej wiele mówił. Nie, tego by nie zrobił... Tak panie Cross, wiedziałem czym zajmuje się Steven. Nie mam tu na myśli szczegółów, jego stopnia lub czegoś w tym rodzaju, ale zdawałem sobie sprawę, że nie jest to zwykła biurowa dłubanina.

- To dziwne - powiedział w zamyśleniu Havelock, naprawdę odczuwając coś niezwykłego. - Nigdy nie pomyślałem o MacKenziem jak o kimś, kto ma żonę i dzieci, kto pochodzi z względnie normalnego środowiska. Przecież nie był rozbitkiem. Dlaczego się tym zajmował?

- Może właśnie dlatego był taki dobry. Wyglądał po prostu na jeszcze jednego biznesmena, któremu się powiodło. Właściwie, pan też tak wygląda. Ale pod tą powłoką trawiła go gorączka, bo wy, sukinsyny zatruliście go. Niespodziewane oskarżenie, jego szorstki ton i fakt, że zostało wygłoszone niczym zwykła kwestia w konwersacji, wyprowadziły Havelocka z równowagi.

- To niecodzienne stwierdzenie - powiedział, uważnie przyglądając się twarzy lekarza.

- Mógłby pan być nieco precyzyjniejszy? Zgodnie z moją najlepszą wiedzą, nikt nie trzymał

MacKenziem u lufy przy skroni i nie kazał zajmować się tym, czym się zajmował.

- Ma pan rację, nie musieliście tego robić. Zaraz to wytłumaczę. Wypracowaliście taki system uzależnienia człowieka, który powoduje, że porzuca on swoje zwykłe, pożyteczne, rozsądne życie. W rezultacie budzi się w środku nocy zlany potem, ponieważ prawdopodobnie przez ostatnie kilka tygodni odmówiono mu luksusu spania. Nawet jeżeli uda mu się już zasnąć, to przy pierwszym ostrzejszym dźwięku zrywa się, szukając opieki...

lub broni.

- Maluje pan bardzo dramatyczny wizerunek.

- Tak właśnie postępowaliście.

- To znaczy jak?

- Karmiliście go napięciem, podnieceniem, a nawet szaleństwem... i sporą dawką krwi.

- Teraz to już melodramat.

- Wie pan, jak to się zaczęło? - Randolph mówił dalej, jakby Havelock nic nie powiedział. - Trzyście, czterysta lat temu Mac był jednym z najlepszych żeglarzy na Wschodnim Wybrzeżu, prawdopodobnie też nad Atlantykiem i na Karaibach. Potrafił wyczuć zmianę wiatru i prądy morskie. Widział gwiazdy nawet na pochmurnym niebie. A po całej nocy żeglowania, posługując się tylko sterem i żaglami, o świcie docierał tam, gdzie obiecał.

To nazywa się dar boży... Potem zaczęła się wojna w Wietnamie i Mac został oficerem marynarki. Szyszkom z marynarki nie potrzeba było wiele czasu, żeby zorientować się w jego talentach. Zanim ktokolwiek zdołał wymówić jedną z tych miejscowych nazw nie do wymówienia, on dawno był już na miejscu. Rozwoził ludzi i sprzęt po całym wybrzeżu i rzekami w głąb lądu. Tak to się zaczęło. Był najlepszy. Potrafił czytać mapy żółtków i wszędzie dotrzeć.

- Nie jestem pewny, czy rozumiem.

- A więc jest pan tępy. Przewoził za linię frontu grupy speców od zabójstw i dywersantów. Pod jego dowództwo oddano flotyllę małych statków, z których stworzył

własną tajną flotę. Wtedy to się stało.

- Co takiego?

- Pewnego razu nie ograniczył się do przewożenia ludzi, ale stał się też jednym z nich.

- Rozumiem.

- Wątpię. Właśnie tam po raz pierwszy zetknął się z tą chorobą. Ludzie, których do tej pory traktował tylko jako ładunek, stali się jego przyjaciółmi. Snuł z nimi wspólne plany, walczył u ich boku... a oni umierali na jego oczach. Zajmował się tym przez dwadzieścia osiem miesięcy. Wreszcie został ranny i odesłano go do domu. Midge czekała na niego.

Pobrali się i Steven wrócił na studia prawnicze. Tylko, że to już nie było dla niego. Nie minął

rok, jak zrezygnował z uczelni i rozpoczął rozmowy z ludźmi w Waszyngtonie. Coś w nim tęskniło za tym szalonym... Chryste, nie mam pojęcia jak to nazywacie.

- To nie ma znaczenia - powiedział cicho Havelock. - Wiem, co pan ma na myśli.

- Może i wie pan. Może dlatego pan tu jest.

- Doktor spojrzał twardo na Michaela. - Podobnie jak wielu mężczyzn, MacKenzie wrócił z wojny odmieniony. Nie mam tu na myśli jego wyglądu, lecz psychikę. Był w nim jakiś gniew, którego

wcześniej nie dostrzegałem, jakaś zaciekle potrzeba walki o najwyższą stawkę. Nie był w stanie usiedzieć na miejscu bezczynnie przez dwadzieścia minut, że o analizowaniu precedensów prawniczych już nawet nie wspomnę.

- Tak, wiem - mimowolnie wtrącił Michael.

- A wy, sukinsyny z Waszyngtonu, wiedzieliście jak go karmić. Ponownie wciągnęliście go w życie pełne podniecenia i napięcia. Obiecaliście mu to, co było dla niego najlepsze, lub najgorsze: wyzwanie, które wy znajdziecie, grę o tak wysoką stawkę, że normalny człowiek nawet by o niej nie pomyślał. I przez cały czas wmawialiście mu, że jest najlepszy, najlepszy, najlepszy! Dzięki temu mógł żyć... I to go równocześnie zabijało.

Havelock zacisnął pięści, czując że ogarnia go gniew, a jednocześnie rozumie lekarza. Jednak jeszcze nie nadszedł czas, by pokazać to po sobie, potrzebował informacji.

- A co my, sukinsyny z Waszyngtonu, powinniśmy zrobić? zapytał spokojnie.

- Takie głupie pytanie mógłby zadać tylko jeden z tych sukinsynów.

- Może pan jednak na nie odpowie?

- Otoczyć go opieką lekarską! Psychiatryczną!

- Dlaczego pan tym się nie zajął? Przecież był pan jego lekarzem.

- Do cholery, próbowałem! Chciałem was nawet powstrzymać!

- Słucham?

- Gdzieś w starych archiwach leżą moje listy do CIA, w których opisywałem, do diabła, stawiałem diagnozę, dotyczącą tego nieszczęśliwego człowieka. Mac wracał do domu i przez kilka tygodni jakoś dawał sobie radę, regularnie jeżdżąc do Langley. Ale potem widać było jak na dłoni, co się z nim dzieje. Wpadał w depresję, rzadko odzywał się, a kiedy już to robił, to na pewno nie słuchał. Potem ogarniał go niepokój, zniecierpliwienie, a jego myśli zawsze błądziły gdzieś indziej. Rozumie pan? On czekał, czekał na swoje następne zadanie!

- I my go dostarczaliśmy - powiedział Michael.

- Jak w zegarku! Doskonale wiedzieliście, jak długo może pociągnąć.

Podpuszczaliście go, dosypywaliście prochu do panewki, aż pozostał mu tylko jeden wybór: załamać się, albo wrócić w... cholera, obojętne jak to nazywacie.

- W teren - podpowiedział Havelock.

- Tak jest, w ten wasz cholerny teren! Midge przychodziła do mnie i mówiła, że Mac jest ruiną człowieka, nie może spać, nie rozumie co się do niego mówi, a wtedy ja zabierałem się do pisania

następnego listu. I wie pan co przychodziło z Waszyngtonu? „Dziękujemy panu za pańskie zainteresowanie”, tak jakbym proponował wam, sukinsyny, żebyście zmienili pralnię! Midge i jej dzieciaki przechodzili przez piekło, a was interesowało, czy koszule są dobrze wykrochmalone! Oczywiście Michaela powędrowały na białe ściany za plecami Randolpha.

Ile jeszcze takich zapomnianych listów leżało w nie otwartych teczkach? Jak wielu było takich MacKenziech... Ogilviech czy Havelocków? Na co komu dziś facet, który kocha strzelać? Bez żadnego celu podpuszczano ludzi, szkolono do wykonywania bezużytecznych zadań. Ludzie o śmiertelnych umiejętnościach przebywali w terenie, ponieważ gdzieś było zapisane, że wykonują swoją robotę bez względu na stan umysłu i liczbę trupów...

Obojętnie po czyjej stronie. Kto na tym korzystał?

- Przykro mi - powiedział Havelock. - Jeżeli pozwoli pan, to przekażę treść naszej rozmowy tam, gdzie na pewno zwrócą na nią uwagę.

- Na razie udzielam panu takiego pozwolenia.

- Dobrze. Na razie. - zgodził się Michael.

- Przedstawiłem panu swoją wersję. - Lekarz odchylił się do tyłu na krześle. - Nie jest ona może przyjemna, ale mam swoje powody, by tak uważać. Teraz niech pan opowie, jak to wygląda z pańskiej strony i okaże się, na czym stoimy.

- Dobrze. - Havelock skrzyżował nogi i starannie dobierając słowa, rozpoczął: -

Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę z tego, że większość działań wywiadu sprowadza się do nudnej krzątaniny. To rutynowe grzebanie w danych, czytanie gazet, raportów, periodyków naukowych i kontaktowanie się z różnymi informatorami. Większość z nich, to rozsądni ludzie, którzy chętnie dzielą się swoją wiedzą, ponieważ nie widzą powodu, by cokolwiek ukrywać. Są też oczywiście inni, którzy żyją ze sprzedawania za duże pieniądze informacji, które tanio kupili. Z tego rodzaju ludźmi kontaktuje się oficer wywiadu, wyszkolony do rozróżniania prawdy od fikcji, bo handlarze informacjami miewają czasami wspaniałą wyobraźnię. - Michael zawiesił głos, zdając sobie sprawę z tego, że najważniejszy jest sposób przekazania treści. - Zazwyczaj - ciągnął - zestawienie tych źródeł i masa dostarczanych informacji wystarcza specjalistom na ułożenie właściwego obrazu rzeczywistości, czegoś na kształt układanki. Tego określenia używa się zbyt często, ale oddaje ono najlepiej sens. - Havelock znów przerwał. Informacja na którą czekał lekarz, której chciał

wysłuchać, wymagała spokojnego wprowadzenia. Wystarczyły trzy sekundy. - Istnieje jeszcze ostatnia kategoria informacji. Ludzie, którzy są w ich posiadaniu wiedzą, że za ich ujawnienie czeka ich wyrok śmierci. Tego rodzaju kontakty wymagają udziału oficerów wywiadu o specyficznych umiejętnościach. Wyszkolono ich w kierunku manipulowania i aranżowania sytuacji, konsekwencją których jest przekonanie informatorów, że muszą zdradzić tajemnice lub zrobić coś, o czym wcześniej nawet by nie pomyśleli. Steven MacKenzie był tego rodzaju specjalistą, był jednym z najlepszych, nikt nie musiał go przekonywać! Ale w trakcie jego ostatniej operacji, ktoś zmienił jej zaplanowany

przebieg. I żeby to się nie wydało, musieli zrobić go „na wynos”.

- O czym pan do cholery mówi? O pizzie w pudełku?

- MacKenzie został zabity.

- Został co? - Randolph zerwał się z krzesła.

- Zamordowany. Mogliśmy temu zapobiec, gdyby przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności. To nasza wina, i coraz większa liczba osób zdaje sobie z tego sprawę. Mac, tak jak go pan nazywał, nie umarł na wylew, podczas rejsu żaglówką. On został zabity. Wiemy o tym doskonale, ale nie możemy się do tego przyznać... Teraz pan już rozumie, dlaczego nie mam żadnych urządzeń nagrywających. Z mojego punktu widzenia, sytuacja wygląda jeszcze mniej przyjemnie.

- Na pewno, gdyby to była prawda. Ale obawiam się, że tak nie jest. Będziemy trzymać się wersji wylewu, bo ona przynajmniej pasuje do okoliczności. Nie mogliście już bardziej się pomylić, sukinsyny. Spieprzyliście robotę.

- Co to ma znaczyć?

- Steven MacKenzie popełnił samobójstwo.

32

- To niemożliwe - krzyknął Havelock, zrywając się na równe nogi. - Myli się pan!

- Doprawdy? Jest pan też lekarzem, panie Cross?

- Nie muszę nim być. Znam takich ludzi jak MacKenzie. Jestem jednym z nich!

- Wziąłem to pod uwagę, i pańskie oświadczenie potwierdza moją opinię o waszej bandzie.

- Nie. Źle mnie pan zrozumiał - pospieszenie powiedział Havelock, kręcąc gwałtownie głową. - To nie są ogólniki studenta drugiego roku. Oczywiście przyznaję, że taka myśl może powtarzać się obsesyjnie, aż staje się fiksacją... ale nie w ten sposób! Nie samotnie na łodzi.

To się nie trzyma kupy!

- Przykro mi. Wyniki sekcji wskazują na coś innego. Na Boga, chciałbym, żeby tak nie było, ale jest!

- Widziałem dowody przeciwko bliskiej mi kobiecie, które okazały się fałszywe! -

Havelock nachylił się nad biurkiem Randolpha i wrzasnął.

- Nie mam pojęcia, jaki to ma związek z ceną perfum na Alasce, ale to niczego nie zmienia.

- W tym przypadku zmienia. Istnieje powiązanie!
- Pańskie rozumowanie, młody człowieku, jest całkowicie niespójne.
- Proszę mnie wysłuchać. Nie jestem „młodym człowiekiem” i nie jestem też bełkoczącym idiotą. Cokolwiek pan odkrył, miał pan odkryć.
- Pan nawet nie wie, co odkryłem.
- Nie muszę! Niech pan spróbuje mnie zrozumieć, doktorze. Taki czarny agent jak MacKenzie...
- Co? Mac był biały!
- O Boże! Specjalista od czarnych operacji. Człowiek upoważniony do aranżowania zdarzeń, w trakcie których mogą zginąć ludzie, i zazwyczaj giną, bo tak trzeba. Tacy agenci, o wiele częściej niż to się panu zdaje, mają wyrzuty sumienia, poczucie strasznej winy, poczucie, do diabła, daremności! Oczywiście, że może pojawić się depresja! Jasne, że mogą zrodzić się myśli o strzale w skroń, ale nie w ten sposób! Oni znają inne sposoby, ponieważ w swojej psychice mają zakorzeniony nakaz działania, działania, i jeszcze raz działania! Na miłość boską, jeżeli już musisz się zabić, to coś przez to załatw! I zrób to dobrze!
- To bełkot psychiatry z przedszkola - zaprotestował Randolph.
- Może pan to nazywać jak chce, ale to prawda. Właśnie takiej cechy szuka się u kandydata, bo motywacja do działania jest najistotniejszym czynnikiem... Sam pan to powiedział. Przyznał, że MacKenzie musiał szukać wyzwania o najwyższą stawkę.
- I w końcu ją znalazł. Było nią własne życie.
- Nie, to byłoby marnotrawstwo... Proszę posłuchać, nie jestem lekarzem, ani psychiatrą i prawdopodobnie nie uda mi się pana przekonać, ale wiem, że mam rację, dajmy więc temu spokój! Niech mi pan po prostu powie, co pan znalazł i zataił.
- Mac zaaplikował sobie zastrzyk i skończył z tym wszystkim. - Nigdy w życiu w to nie uwierzę!
- Przykro mi. W dodatku zrobił to w cholernie sprytny sposób. Użył roztworu sterydowego digitoksyny, zmieszanej z dawką alkoholu, która uspiłaby słonia. Stężenie alkoholu we krwi przesłoniło inne wyniki, a digitoksyna załatwiła serce. To mordercza kombinacja.
- A więc rentgen był autentyczny?
- Nie!
- Zamienił pan klisze.

- Tak.

- Dlaczego?

- Żeby wypełnić wolę Maca. Żeby upewnić się...

- Niech pan zacznie od początku.

- Steven zdawał sobie sprawę z tego, co przeżyła Midge wraz z dziećmi przez te wszystkie lata, i to był jego pomysł na wynagrodzenie krzywd. Midge przeszła już przez wszystkie kręgi piekła, przestała go nawet prosić. Postawiła tylko warunek: albo zrezygnuje z Agencji, albo z domu. - Randolph zamilkł na chwilę i pokręcił głową. - Mac wiedział, że nie zrezygnuje ani z tego, ani z tego. Postanowił więc zrezygnować ze wszystkiego.

- Pomiął pan coś.

- Ubezpieczył się na pokaźną sumę, co, wzięwszy pod uwagę jego zajęcie, było zrozumiałe. Agencja ubezpieczeniowa nie miała oczywiście o niczym pojęcia. Tego rodzaju polisa nie zostaje zrealizowana w przypadku samobójczej śmierci. Postanowiłem sobie, że prędzej mnie szlag trafi, niż ktoś odbierze pieniądze Midge i jej dzieciakom... To już wszystko, panie Cross. Wy zrobiliście z niego tego kim był, ja zaś przy jego udziale, zrobiłem z niego kogoś nieco lepszego.

- Nawet gdyby miał pan rację - zaczął Havelock zmęczonym głosem, - a niech mi pan wierzy, że jej pan nie ma, trzeba było powiedzieć wszystko ludziom z Agencji.

Współpracowaliby z panem chętnie, bo zabójstwo, które może pojawić się w gazetach, jest ostatnią rzeczą na której im zależy. A tak, wyprowadził pan wszystkich w pole i zmarnował

cenny czas. Narobił pan szkód nie do odrobienia.

- Co u diabła? Dwadzieścia minut temu powiedział pan, że chcecie by wszystko zostało, tak jak jest! Wczoraj przez telefon zapewnił mnie pan, że chcecie tylko zamknąć usta krzykaczom!

- Kłamałem. Tak samo, jak pan. Ale ja przynajmniej wiedziałem co robię. Pan nie wiedział. Gdyby powiedział pan prawdę, choćby tylko jednej osobie, zbadano by każdą minutę rozkładu zajęć MacKenziego. Może coś udałoby się odkryć, znaleźć jakiś związek... A tak, nawet nikt nie przeszukał żagłówki! Chryste!

- Chyba mnie pan nie słuchał! - wrzasnął lekarz. Jego wykrzywiona w grymasie wściekłości twarz nabiegła krwią. - Midge wręczyła mu ultimatum! Znalazł się między młotem a kowadłem. Nie mógł już dłużej działać. Załamał się.

- To by tłumaczyło alkohol.

- Kiedy był już pijany, podjął ostateczną decyzję. To wszystko przecież pasuje!

- Nie pasuje - powiedział Michael, czując się o wiele starszej niż siedzący przed nim lekarz. - Nie spodziewam się, że pan to zaakceptuje, ale ostatnią rzeczą, którą mógł zrobić człowiek pokroju MacKenziego, było podjęcie takiej decyzji po pijanemu.

- Brednie!

- Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie. Zakładam, że kiedy wypije pan kilka kieliszków, orientuje się pan, kiedy jest na rauszu?

- Oczywiście.

- Czy operowałby pan w takim stanie?

- Oczywiście, że nie. Ale to żadna analogia!

- To jest analogia, doktorze Randolph. Ponieważ kiedy ludzie tacy jak MacKenzie lub ja, a mógłbym wymienić jeszcze dwudziestu lub trzydziestu innych, znajdują się w terenie, to stają się chirurgami. Nawet większość z zadań, które wykonujemy nazywamy „operacjami”.

Od pierwszego dnia szkolenia wbijano nam do głowy, że każda reakcja, każda obserwacja i spowodowane nią działanie, muszą być szybkie i precyzyjne. Jesteśmy gotowi do natychmiastowego działania.

- Bawi się pan swoimi i moimi słowami. Mac wtedy nie był w terenie.

- Był, jeżeli to w co pan wierzy jest prawdą, a jego życie było stawką.

- Do diabła, przeinacza pan wszystko, co powiedziałem. - Nieprawda. Wiele z pańskich spostrzeżeń jest bardzo przekonujących. Szanuję to... Czy pan nie rozumie?

MacKenzie nie zabiłby się w ten sposób, bo pomijając wszystko inne, digitoksyna mogłaby nie zadziałać! A do tego nie mógł przecież dopuścić! Zbyt głęboko był w nim zakorzeniony nakaz rzetelnej roboty. Jeżeli miała to być jego ostateczna decyzja, to nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę! Pan tego nie widzi?

- Boże wszechmogący - wyszeptał Randolph w ciszy pokoju, wyglądając, jakby cisnął

w niego grom. Potem miękko, niespodziewanie podniósł się z krzesła i zastygł

wyprostowany: bezradny stary człowiek, który uświadomił sobie swój straszny błąd, a równocześnie nie chce stawić mu czoła. - O mój Boże dodał, zdejmując okulary.

- Z pańskiego punktu widzenia postąpił pan słusznie. Na pana miejscu zrobiłbym to samo. Ale wybrał pan zły czas i sposób. Wciąż jednak możemy wszystko zbadać i może coś jeszcze znajdziemy!

- Zamknij się!

- Co? - Michaela kompletnie замуrowało.
 - Powiedziałem: zamknij się!
 - Jest pan człowiekiem pełnym niespodzianek.
 - Mam dla pana prawdziwą.
 - MacKenzie? Randolph nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł pośpiesznie do szafki stojącej pod ścianą. Wyjął z kieszeni klucze na kółku, wybrał jeden z nich i dosłownie wepchnął go w górny zamek.
 - To moje prywatne archiwum, bardzo prywatne. Gdyby ukryte tu tajemnice ujrzały światło dzienne, rozpadłoby się wiele małżeństw i zmieniono by wiele testamentów. Mac też ma tu swoją teczkę.
 - Jakie ma pan o nim informacje?
 - Nie chodzi o niego, lecz o patologa, który brał udział w sekcji i który razem ze mną przekonał tych facetów z Langley, że mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem cardiovascular.
 - Jedno pytanie - przerwał Havelock. - Z raportów CIA wynika, że nie przeoczono niczego. Zbadano pańskie laboratoria, wyposażenie i personel. Jakim cudem nie przewieziono zwłok do Bethesda lub Waltera Reeda?
 - Użyłem kilku naprawdę mocnych słów i obiecałem, że od Midge usłyszą jeszcze mocniejsze, jeżeli tylko spróbują go zabrać. Zapewniłem ich, że narobi takiego zamieszania, jakiego nie widzieli od czasów inwazji w Zatoce Świń. Dodałem też, że nie cierpi ich bezczelności. I w dodatku jest przekonana, że to presja zabiła Maca, więc przynajmniej teraz mogliby zostawić go w spokoju.
 - Rozmawiali z nią?
 - Próbowali. Dała im pięć minut, odpowiedziała na ich pytania i kazała się wynosić.
- Zrozumieli. Nie mieli ochoty na rozgłos wokół tej całej sprawy.
- To oczywiste.
 - Poza tym - powiedział Randolph, wracając do kartoteki cieszymy się wyśmienitą opinią i leczymy wiele spośród najbardziej szanowanych osób w kraju. Kto ośmieliłby się nazwać nas kłamcami?
 - Liczył pan na to, prawda?
 - Jasne... No, jest!
 - Co takiego znalazł pański patolog, co pana zdaniem mogłoby nam jakoś pomóc?

- Nie chodzi o to, co znalazł. Tak, jak już powiedziałem, chodzi o niego. Był tu tymczasowo.
- Słucham? - Michael poczuł nagły, gwałtowny ucisk w piersiach. Wstrzymał oddech.
- Słyszał pan - ciągnął Randolph, wracając wraz z teczką do biurka. Usiadł. - Był na czasowym zastępstwie, w miejsce naszego stałego lekarza, który zachorował na mono.
- Mononukleozą?
- Herpesvirus. Cholernie łatwo tym się zarazić, jeśli ktoś się postara.
- Nie nadążam.
- To skup się pan - powiedział chirurg, przekładając kartki w teczkę. - Na kilka dni przed śmiercią Maca, nasz patolog położył się na mono. Nagle, Bogu dzięki, pojawił się wysoko wykwalifikowany lekarz, który właśnie zmieniał pracę. Miał miesiąc wolnego i zatrzymał się u swojej siostry w Easton. Potraktowałem go jak dar niebios.
- I co dalej?
- Przywieziono zwłoki Maca. Nowy przeprowadził wstępne oględziny i poprosił o rozmowę w moim gabinecie. Nigdy tego nie zapomnę. Pierwsze pytanie, które zadał, brzmiało: „Jak dobrze znał pan tego MacKenziego?”
- Jedna kwestia wynikała z drugiej i w końcu okazało się, że przy prawidłowo przeprowadzonej sekcji wszystko się wyda.
- Znalazł śladowe ilości digitoksyny - powiedział Randolph.
- I kłutą ranę, z której usytuowania i kąta wprowadzenia igły wynikało, że zastrzyku prawdopodobnie dokonał sam zmarły.
- Nie myli się pan.
- Założę się, że wypytywał również o pracę MacKenziego, jego stan psychiczny, rodzinę, i gdzieś, między wierszami, poruszył sprawę ubezpieczenia.
- Tak było. Och, Boże!
- Niech pan tak nie rozpacza, doktorze. Ci ludzie w swojej dziedzinie są najlepszymi specjalistami na świecie.
- Jacy ludzie?
- O ile się nie mylę, to nazywają ich pomieniatcznikami.

- Kim?

- Nieważne. Niech pan nie zawraca sobie głowy szukaniem w ich działalności ja kichś błędów. Ten człowiek dysponuje świetną przykrywką, nie musiał panu ani razu skłamać. Po prostu o wszystkim wiedział już wcześniej. Nic mu pan nie zrobi, chyba że chce pan oskarżyć siebie i zniszczyć doskonałą opinię o Centrum.

- Nie szukam błędów - odparł lekarz, pospiesznie przekładając kartki. - Siostra w Easton? Niech pan da spokój. Jej nigdy nie było, a on zniknął i nigdy go pan nie znajdzie.

Właśnie o to chodzi, że wiem gdzie on jest.

- Co? - Michael podskoczył na krześle.

- Jego nazwisko wypłynęło kilka tygodni temu, podczas rozmowy z dostawcą sprzętu chirurgicznego. Wspominał, że musi sprawdzić nasze zamówienia, ponieważ jakiś patolog chciał kupić dokładnie taką samą część wyposażenia, którą tu mamy. Oczywiście rozpoznałem nazwisko, ale nie nazwę szpitala. To nie był ten gdzie miał być przeniesiony. -

Randolph przerwał i podniósł wzrok znad teczki. - Zrobiłem coś bardzo dziwnego - ciągnął. -

Coś dziecinnego. Tak, jakbym nie chciał przyjąć do wiadomości jego istnienia, ani tego, co razem zrobiliśmy... Chciałem tylko mieć go na oku. Nie kazałem swojej sekretarce, tak jak to zazwyczaj robię, zapisać jego aktualnego miejsca pracy w naszej kartotece osobowej, ale umieściłem je w teczce Maca. Gdzieś tu ona musi być. Doktor wrócił do swoich kartek.

Sparaliżowany Michael siedział sztywno na brzegu krzesła. Lata spędzone w tym mrocznym świecie nauczyły go, że sprawy które przybierają najbardziej niewiarygodny obrót, mają swoje bardzo racjonalne przyczyny. Z trudem rozpoznał swój głos, kiedy tłumaczył

lekarzowi:

- Pański patolog nie zmienił nazwiska, ponieważ wiedział, że kto jak kto, ale pan nie będzie go szukał. Pozostając przy swoim nazwisku, miał na pana haka. Niech mi pan wierzy, doktorze, że wcześniej czy później wsadziłby pana do więzienia w bardzo skuteczny i złośliwy sposób.

- Mam - powiedział Randolph, spoglądając na Michaela. Wciąż mnie tam może wsadzić.

- Ja też mogę, ale nie zrobię tego, chyba, że zniszczy pan tę kartkę z informacjami.

Jednak się na to nie zanosz. Nie dam panu takiej szansy. Z drugiej strony, on też nigdy się do pana nie zbliży, bo jemu również nie dam na to szansy. Popęlnił pomyłkę, na którą nigdy nie powinien sobie pozwolić, podczas swojego niesamowitego życia. To była fatalna pomyłka.

Proszę o jego nazwisko.

- Colin Shippers. Szef patologów w Fundacji Regency. To prywatny ośrodek badawczy. To coś o

wiele więcej niż ośrodek, doktorze. Tam przebywają pomieniatcziki. To pierwszy konkretny krok w kierunku Dylemata. I Parsifala.

- Chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił - powiedział Havelock. - I obawiam się, że nie może mi pan odmówić.

Nie miał wyboru: musiał kierować akcją nie tylko na odległość, ale również niemal na oślep, i to było niezwykle trudne. Obawiał się skutków powierzenia innym skrupulatnej inwigilacji, skoro powołany zespół ludzi nie mógł być w nic wtajemniczony. Mieli tylko wypełniać instrukcje, o nic nie pytając, i nie otrzymując żadnych wyjaśnień. Z taką metodą pracy nieuchronnie wiązało się ryzyko. Duża odpowiedzialność, przy jednoczesnym braku wiedzy o celu podejmowanych działań oraz świadomość, że nie ma się żadnej władzy, często prowadziły do goryczy, a gorycz od nieuwagi dzielił tylko jeden krok. Tymczasem o żadnym potknięciu nie mogło być mowy. Niestety, możliwość zasięgnięcia informacji na temat nawyków podejrzanego, jego przyjaciół, środowiska zawodowego, miejsc, które lubi odwiedzać, czyli zebranie tych wszystkich tak bardzo potrzebnych szczegółów, w ogóle nie wchodziło w grę. Ponieważ doktor Colin Shippers maczał palce w próbie zatuszowania prawdziwej przyczyny śmierci MacKenziego, a więc pośrednio także i wydarzeń na Costa Brava, w próbie, z którą Biały Dom nie miał nic wspólnego, oznaczało to, że przybył do kliniki na polecenie „spiocha” z Departamentu Stanu, pomieniatczika noszącego kryptonim Dylemat. A pomieniatczik na tak wysokim stanowisku, jedynie komuś ze swoich zaufanych ludzi powierzyłby tak delikatną misję, jak zatarcie śladów zabójstwa agenta CIA, specjalisty od czarnych operacji. Musieli zatem przyjąć, że Shippers jest także pomieniatczikiem, i że gdyby w jego głowie powstał choć cień podejrzenia, natychmiast ukryłby się, zrywając wszelkie kontakty z Dylematem, a co za tym idzie, uniemożliwiłby dotarcie do niego.

Wszelkie źródła informacji były przez nich dokładnie obstawione. Mniej lub bardziej chętni informatorzy, zarówno szantażowani urzędnicy, jak i wtyczki KGB, przez których ręce przechodziły różne akta personale, referencje bankowe, ankiety zawodowe, a nawet wyniki wywiadów środowiskowych FBI, zawsze w porę ostrzegali owych zamerykanizowanych agentów sowieckich, jeśli ktoś się nimi interesował. Dobra organizacja pracy, w połączeniu z czwartą, piątą oraz szóstą poprawką do konstytucji sprawiała, że przyłapanie pomieniatczika stawało się właściwie niemożliwe. Był on obywatelem Stanów Zjednoczonych, w pełni chronionym przez prawo. Zanim, nie mając wystarczających dowodów, otrzymano by zgodę na przeprowadzenie rewizji, zanim z sądu nadeszłaby decyzja wielkiej ławy przysięgłych o postawieniu podejrzanego w stan oskarżenia, zanim poinformowano by go, jaki czyn przestępczy jest mu zarzucany, on by się dawno ulotnił, aby po kilku tygodniach czy miesiącach pojawić się znów. Tyle, że z nowym nazwiskiem, nowym życiorysem i, dzięki uprzejmości chirurgów w Moskwie, na ogół z nową twarzą. Jednakże, jak zauważył Rostow w Atenach, paradoks tego przedsięwzięcia, tej długotrwałej penetracji przez rosyjskich agentów polegał na tym, że amerykańska rzeczywistość osłabiała ich przywiązanie do ojczyzny. Podczas rzadkich, lecz koniecznych wyjazdów do Moskwy na Plac Dzierżyńskiego, pomieniatcziki siłą rzeczy dostrzegali różnice między oboma krajami.

Rezultat tych obserwacji był taki, że pracowali znacznie mniej wydajnie, niż KGB by sobie tego życzyło, zważywszy na koszty i ogromny wysiłek włożony w zorganizowanie akcji.

Groźby oczywiście nie wchodziły w rachubę i mogłyby jedynie doprowadzić do ujawnienia całego

programu. Na szczęście wysiłki sprzymierzeńców diabła też bywają daremne, pomyślał Havelock. Z drugiej strony zdarzały się wyjątki od reguły: lojalni agenci, którzy nigdy by nie zdradzili swoich mocodawców. Do takich należał Dylemat, który przemierzał

korytarze szacownego gmachu Departamentu Stanu, oraz zdolny patolog o niezwyklej sile przekonywania, niejaki Colin Shippers, który co rusz przenosił się z jednego szpitala do drugiego. Swoją drogą, pomyślał Michael, ciekawe, ilu z nich podlega wywiadowi amerykańskiemu? W każdym razie, ci dwaj stanowili najlepszy dowód, że Moskwie opłacało się zainwestować środki w postaci ludzi i pieniędzy w operację pomieniatczik. Nie ulegało wątpliwości, że Dylemat jest zwierzchnikiem Shippersa, dowódcą operacji na Stany Zjednoczone, cenionym graczem drużyny KGB. Ale tym razem, jakoś nie poinformował

zwierzchników o zaistniałym kryzysie. Plac Dzierżyńskiego stanowczo wyparł się całego obłędu związanego z Costa Brava, i choć KGB niewiele wiedziało na ten temat, informacje, jakie posiadało, wystarczyły, żeby przerazić ludzi pokroju Piotra Rostowa. Ale dość rozważań! Jedno było pewne: wypadki, które miały miejsce, nie mogłyby się zdarzyć bez współudziału kogoś w Moskwie. Główny uczestnik zająć na Costa Brava przechrzył w Paryżu i postrzelił oficera WKR. Jak nietrudno się domyślić, polecenia, które officer wypełniał, zostały tak zaszyfrowane, żeby nie sposób było dojść, kto je wydał w wielkim, rozbudowanym aparacie rosyjskiego wywiadu. Nic dziwnego, że Rostow był przerażony: widmo fanatycznej WKR zdołałoby przerazić nawet najbardziej oddanego marksistę, tak, jak wystraszyło Havelocka. Tajemniczy Dylemat systematycznie wysyłał raporty zwierzchnikom w KGB, jednakże wszystkie najcenniejsze informacje zachowywał dla mocodawców z Wojennej. Rostow podejrzewał, że coś takiego się dzieje, ale ponieważ nie dysponował

dowodami, nie miał z czym iść do swoich szefów. Dlatego zwrócił się o pomoc do dawnego wroga, agenta z Operacji Konsularnych. Twierdzi, że już nie jest twoim wrogiem, ale masz innych wrogów, którzy być może są również jego wrogami. Gdyby Rostow zawierzył

przecuciom, zaryzykowałby spotkanie z plutonem egzekucyjnym, byleby tylko nawiązać kontakt, pomyślał Havelock. Ale Rosjanin mylił się co do jednego: wciąż byli wrogami. Nie mogli sobie wzajemnie zaufać, ponieważ ani Waszyngton, ani Moskwa nigdy nie wyraziłyby na to zgody, i nic nie było w stanie zmienić ich stanowiska. Nawet poczynania Parsifala.

Daremny trud w świecie, który oszalał... Tak, jak jego niedawny zbawca, Anthon Matthias.

Największa gwiazda na politycznym firmamencie.

- Jak myślisz, ile to potrwa? - spytała Jenna.

Siedzieli naprzeciwko siebie w małej, słonecznej wnęce obok kuchni, pijąc poranną kawę.

- Trudno przewidzieć. Zależy od tego, jak przekonująco wypadnie Randolph i kiedy Shippers zacznie podejrzewać, że za firmą ubezpieczeniową kryje się coś innego, coś czego się wystraszy. Może to być dziś po południu, wieczorem, jutro, a nawet pojutrze.

- A nie lepiej, żeby Randolph sprowokował go do natychmiastowego działania?

Możesz sobie pozwolić na czekanie?

- Jedno, na co nie mogę sobie pozwolić, to żeby go stracić. On jest naszym jedynym ogniwem. Nazwisko Shippersa nie figuruje przy wyniku sekcji zwłok. Naturalnie, sam tego zażądał, a Randolph, myśląc, że MacKenzie popełnił samobójstwo, i chcąc to jakoś zatuszować, oczywiście się zgodził. Shippers wie, że zanim jego nazwisko mogłoby wypłynąć, Randolph wpierw musiałby obciążyć siebie, czego nigdy nie uczyni. Pomijając wszystkie inne względy, nie pozwoli mu na to jego wybujałe ego.

- Przecież liczy się każda sekunda, Michaił. Nie rozumiem twojej strategii.

- Ja też nie. - Havelock popatrzył na Jennę, a w jego oczach kryła się niepewność.

- Zawsze wiedziałem, że jeśli chce się odnieść sukces w naszym fachu, trzeba myśleć tak, jak wróg. Utożsamić się z nim, a potem zaskoczyć go, wybierając taki wariant, którego się nie spodziewa. Ale tym razem mam do czynienia z człowiekiem, z którym nie potrafię się identyfikować, bo jest on właściwie dwoma osobami naraz. - Pociągnął łyk kawy i utkwiał

wzrok w filiżance. Pomyśl tylko. Dzieciństwo spędzone tu, w Stanach, potem młodość, koszykówka, hokej, książki, muzyka, przyjaciele w szkole, w college'u, randki, rozmowy, zwierzenia. W tym wieku zdradza się najbliższym osobom różne tajemnice. To wbrew ludzkiej naturze, żeby trzymać wszystko w sobie... Na tym polega dorastanie, że się człowiek odsłania przed innymi. Nie mogę tego pojąć! Jak to możliwe, żeby ktoś żył obciążony tak wielką tajemnicą i nigdy jej nikomu nie wyjawiał?

- Nie wiem, ale przed chwilą opisałeś kogoś, kogo dobrze znam.

- Kogo?

- Siebie, kochany.

- Nonsens - Havelock wyraźnie zmieszany, odstawił filiżankę. - Czyżby? - Jenna wyciągnęła rękę i na moment położyła ją na jego dłoni. - Ilu przyjaciółom w szkole i college'u, ilu dziewczynom, ilu ludziom, z którymi byłeś blisko, opowiedziałeś o Michaile Havliczku i o wsi Lidice? Ile osób wie o koszmarze, jaki przeżyłeś w Pradze, i o chłopcu, który ukrywał się w lesie, przynosił tajne rozkazy i schowane pod ubraniem środki wybuchowe? No powiedz, ile?

- Po co miałem o tym mówić? To stare dzieje.

- Nie dowiedziałabym się o tym wszystkim, nikt by nic nie wiedział, gdyby nasi przywódcy nie nalegali na dokładne zbadanie twojej przeszłości. Wasz wywiad nie zawsze przysyłał najlepszych fachowców do Wschodniej Europy i często drogo musieliśmy za to płacić. Akta Havliczka i jego rodziny, które dokładnie sprawdziliśmy, przywiózł nam do wglądu specjalny posłaniec z najwyższych kręgów Departamentu Stanu. Wynikało z nich jasno, że twoi bezpośredni zwierzchnicy, z którymi myśmy się zwykle kontaktowali, nie mają pojęcia o twoim dzieciństwie. Z jakiegoś powodu ten epizod został wymazany z twojego życiorysu. Też byłeś dwiema różnymi osobami naraz. Dlaczego, Michaił?

- Mówiłem ci już. Matthias i ja uznaliśmy, że tak będzie lepiej. To stare dzieje.
- Chciałeś się wyprzeć tego koszmaru. Chciałeś, żeby ten okres twojego życia pozostał okryty wieczną tajemnicą, żeby nigdy nie wyszedł na jaw.
- Wystarczy, Jenna.
- Tyle razy byłam przy tobie, kiedy starzy ludzie wspominali lata wojny. A ty zawsze milczałeś, nigdy nie dając po sobie poznać, że też tam byłeś. Bo gdybyś się przyznał, mogliby w końcu domyślić się prawdy, o której nie chciałeś nikomu mówić.
- To chyba logiczne.
- Tak, jak Shippers, byłeś tam i się do tego nie przyznawałeś. Byłeś tam, ale twój podpis nigdzie nie figurował.
- To dość dziwne porównanie.
- Dziwne? Może, ale trafne. Boisz się zasięgnąć jakichkolwiek informacji o Shippersie, bo ktoś mógłby go ostrzec i wtedy zapadłby się pod ziemię, zabierając z sobą swoją tajemnicę. Czekasz więc, aż przemyśli sobie to, co Randolph mu powie, i postanowi sprawdzić, czy firma ubezpieczeniowa naprawdę... Coście wykombinowali? Że zwleka?
- Że chce otrzymać jakieś dodatkowe wyjaśnienia, zanim wypłaci sumę, na jaką MacKenzie był ubezpieczony. Normalka. Z reguły płacą niechętnie.
- Więc sądzisz, że Shippers zadzwoni do tej firmy. I kiedy przekona się, że nikt nie żądał żadnych wyjaśnień, wpadnie w panikę i skontaktuje się ze swoim zwierzchnikiem, którym, masz nadzieję, okaże się Dylemat?
- Jestem pewien, że tak postąpi. Obmyśliłem najlepszą i najbardziej bezpieczną taktykę. Gdybyśmy podeszli go w inny sposób, zwiąłby.
- Każda godzina, kiedy tak siedzi i... - urwała, potrząsnęła głową, szukając właściwego słowa.
- Roztrząsa co robić - odpowiedział Havelock. - Deliberuje. - No właśnie. Każda chwila jest bezpowrotnie stracona, I pamiętaj, że kiedy tak siedzi i deliberuje, może nagle spostrzec, że jest inwigilowany, może zauważyć tych ludzi, którymi się tak bardzo przejmujesz, bo po pierwsze ich nie znasz, a po drugie nie możesz wtajemniczyć ich w szczegóły akcji.
- Też mi się to nie podoba, ale czasami trzeba stosować tego rodzaju metody.
- Lecz nie w sytuacji, kiedy najmniejszy błąd może pociągnąć za sobą tak groźne konsekwencje! Wierz mi, Michaił, czas jest tu najistotniejszy.
- Próbujesz mi powiedzieć coś, czego nie chwytam.

- Boisz się, że Shippers się wystraszy, boisz się, że zniknie.

- Boję się jak diabli.

- To zostaw go w spokoju! Ścigaj człowieka, który wolał pozostać w cieniu, weź się za faceta, który był w klinice, kiedy MacKenzie umarł, a którego podpis nigdzie nie figuruje.

Tak, jak ty w Pradze, tak on tutaj, jest dwoma różnymi osobami naraz. Przyprzyj do muru gościa, za którego on się podaje, zupełnie jakbyś nie wiedział, że prowadzi podwójną grę albo, że ma coś do ukrycia.

- Czyli zająć się patologiem... - powiedział cicho Havelock, nie spuszczać oczu z Jenny. - Wyjść z założenia, że ktoś musiał towarzyszyć Randolphowi przy sekcji. Powiedzieć mu, że konieczne jest potwierdzenie wyników, że firma ubezpieczeniowa nalega na podpis drugiego lekarza.

- W moim kraju każdy urzędowy świstek musi mieć co najmniej pięć podpisów.

- Shippers oczywiście odmówi.

- A może? Przecież był obecny.

- Oświadczy Randolphowi, że nie może potwierdzić, iż przyczyną zgonu było pęknięcie aorty, bo to nieprawda.

- Randolph powinien się uprzeć. Skoro takie jest jego stanowisko, dlaczego wcześniej nie oponował? Michael uśmiechnął się. Wreszcie zrozumiał, co Jenna ma na myśli.

- To dobre! Zaszantażować szantażystę. Pokazać mu, że każda broń ma dwa ostrza.

- No pewnie. Wszystko przemawia na korzyść Randolpha. Jego wiek, reputacja, majątek. I taki Shippers miałby mu odmówić?

- Odmówi, nie odmówi, to bez różnicy. Ważne jest, że zmusimy go do działania. Dla własnego dobra, już nie jako pomieniatczik, ale jako lekarz, będzie musiał sprawdzić o co chodzi tym facetom od ubezpieczeń. Czy jest to tylko zwykła formalność, czy doszukali się czegoś. A kiedy dowie się, że firma ubezpieczeniowa z niczym nie występowała, wtedy wykona kolejny krok.

- Jak wygląda harmonogram na dziś?

- Pierwsza grupa ma śledzić Shippersa od momentu, gdy wyjdzie z domu. Druga od chwili, gdy znajdzie się w gmachu Regency.

- W Regency? Ale jak... bo nie słuchałam cię wczoraj, kiedy rozmawiałeś przez telefon.

- Wiem. Przyglądałem ci się. Znalazłaś coś w tych dokumentach?

- Jeszcze nie. Ale powiedz, jak dostaną się do budynku?

- Fundacja Regency należy do prywatnej firmy, z którą rząd podpisał sporo tajnych umów. Sądzę, że dlatego Shippers podjął tam pracę: duża część tych umów dotyczy obronności kraju. Właśnie ci w Regency pierwsi określili promień działania napalnu.

Przedstawiciele rządowych kół technicznych i inspektorzy finansowi z Głównej Izby Kontroli często kręcą się po gmachu, przerzucając papiery i sprawiając wrażenie bardzo zaaferowanych. Od dziś jest ich o dwóch więcej.

- A jeśli ktoś ich o coś zapyta?

- Nie odpowiedzą. Tam się nie mówi o swojej pracy. Zresztą nie będą się wyróżniać: mają takie same aktówki jak wszyscy i plastikowe plakietki w klapach. Jeśli ktoś zechce sprawdzić ich tożsamość, będą kryci. - Havelock wstał od stołu i zerknął na zegarek.

- Randolph ma dzwonić do Shippersa między dziesiątą, a dziesiątą trzydzieści. Muszę go złapać i przekazać nowe instrukcje.

- Jeśli Shippers zareaguje, nie będzie korzystał ze swojego telefonu - powiedziała Jenna ruszając za Michaeliem w stronę obitego boazerią gabinetu.

- Wiem, ale mamy na ulicy, rozstawione kilkadziesiąt metrów od siebie, trzy zmotoryzowane jednostki. Wszyscy w stałym kontakcie radiowym, na przegubach miniaturowe aparaty fotograficzne, uruchamiane ruchem ręki... Shippers będzie stale śledzony. Trzema wozami można niepostrzeżenie lawirować w ruchu ulicznym. Jeśli ci ludzie są cokolwiek warci, nie zgubią go.

- Martwisz się, prawda?

- Owszem. - Otworzył drzwi do gabinetu, przepuszczając Jennę przodem. - Ale martwiłbym się znacznie bardziej, gdyby nie facet o imieniu Charley, który chciał mnie kropnąć na Poole's Island.

- Ten z Operacji Konsularnych.

- Tak. Przyleciał wczoraj wieczorem. Specjalnie o niego wystąpiłem, z czego wcale się nie ucieszył. Ale to dobry fachowiec, bardzo dokładny, a poza tym wie, że Shippers zamieszany jest w sprawę Matthiasa. To wystarczy, żeby sprężył się, jak nigdy w życiu.

Dowodzi akcją i jeśli tylko nie udławi się radiotelefonem, będzie mnie o wszystkim na bieżąco informował. Da znać, kiedy tylko coś się zacznie. Jenna skierowała się w stronę swojego miejsca pracy, czyli do stojącego przed kanapą niskiego stolika, na którym leżały równe stosy papierów i kilkanaście ręcznie zapisanych kartek. Usiadła, wzięła z lewego stosu oprawiony raport, wypełniony pismem maszynowym, i zaczęła czytać.

- Kontaktowałeś się z firmą ubezpieczeniową? - spytała obojętnie, nie przerywając czytania. Uwagę

miała podzieloną.

- Nie, nie chciałem ryzykować - odparł Michael. Siedział przy biurku wpatrując się w Jenę, ale myślał o czymś innym. Polisa MacKenziego może być namierzona.

- Słusznie.

- Co czytasz? To samo, co wczoraj?

- Tak, raport z CIA. Zawiera listę potencjalnych sowieckich uciekinierów z ostatnich dziesięciu lat, którzy jakby zapadli się pod ziemię.

- Szukaj fizyka nuklearnego albo specja od zbrojeń strategicznych.

- Inni też poznawali, Michaił - rzekła Jenna, i nie odrywając oczu od tekstu, sięgnęła po ołówek. Havelock jeszcze przez chwilę się jej przyglądał, po czym przeniósł wzrok na kartkę papieru pełną różnych numerów telefonów. Odnalazł ten, o który mu chodziło, podniósł

słuchawkę i zaczął kręcić.

- To zimny, wyrachowany sukinsyn! - warknął doktor Matthew Randolph. - Kiedy wyjaśniłem mu w czym rzecz, stał się nagle bardzo powściągliwy. Zadał mi kilka pytań tonem właściciela zakładu pogrzebowego, który wystawia rachunek adwokatowi rodziny, po czym oświadczył, że wkrótce do mnie zadzwoni.

- O co pytał? I co mu pan powiedział?

- spytał Michael. Odłożył kartkę z nagłówkiem Pentagonu, na której widniały nazwiska starszych rangą oficerów należących do Rady Bezpieczeństwa Nuklearnego. Jedno nazwisko już wcześniej zakreślił. - Proszę starać się w miarę dokładnie...

- Mogę nawet bardzo dokładnie - oświadczył z rozdrażnieniem lekarz.

- Chodzi mi o słowa i zwroty, jakich użył.

- Służę panu. Mówił mało i był cholernie rzeczowy. Tak, jak pan przewidział, oznajmił, że nie mam prawa go do tego mieszać, bo taka była między nami niepisana umowa.

Po prostu wtedy podzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami, a co ja zrobiłem, to już moja sprawa. Ja na to, że nie jestem prawnikiem, ale na mój rozum odpowiedzialność spada również na niego i nie wymiga się od niej, bo prędzej skonam, niż pozwolę, żeby pozbawiono Midge MacKenzie i jej dzieciaki tego, co im się należy.

- Bardzo dobrze. Jak wtedy zareagował?

- Wcale nie zareagował, więc piekliłem się dalej. Powiedziałem, że jest głupcem, jeśli sądzi, że był niewidoczny, kiedy kręcił się po klinice cztery miesiące temu i głupcem do potęgi, jeśli myśli, że

ktokolwiek z personelu uwierzy, że sam jeden spędziłem w prosektorium kilka godzin na oględzinach zwłok swojego przyjaciela.

- Doskonale.

- W tym miejscu mi przerwał. Tonem zimniejszym od lodu spytał, kto go konkretnie widział.

- No i co? Czy wymienił pan jakieś nazwisko? Havelock poczuł nagły skurecz w sercu, widmo czyjejś niepotrzebnej śmierci stanęło mu przed oczami.

- Nie, powiedziałem, że wszyscy go widzieli. Michael odetchnął z ulgą.

- Nie chce pan zmienić zawodu, doktorze, i przejść do nas?

- Nie stać was na mnie, chłopcze!

- Co było dalej?

- Trochę mu odpuściłem. Powiedziałem, że niepotrzebnie się denerwuje, że facet z ubezpieczeń, który zjawił się u mnie, powiedział, że to zwykła formalność, że po prostu muszą mieć drugi podpis, zanim wyślą czek. Poradziłem mu nawet, że jeśli ma jakieś wątpliwości, niech zadzwoni do Bena Jacksona z firmy Talbot Insurance, że Ben to mój stary znajomy...

- Podał mu pan nazwisko?!

- Jasne. Ben to naprawdę mój stary znajomy, i to on sporządził polisę MacKenziego.

Pomyślałem sobie, że jeśli ktoś do niego zadzwoni, Ben natychmiast skontaktuje się ze mną i spyta, co do diabła się dzieje!

- I co mu pan wtedy powie?

- Że facet zrozumiał wszystko na opak. Że to ja potrzebuję drugiego podpisu, żeby nasze dokumenty się zgadzały.

- Co na to Shippers?

- Spytał chłodno, głosem pozbawionym emocji, jakby był gadającą maszyną, czy wspomniałem jego nazwisko Benowi, albo temu gościowi z ubezpieczeń.

- I?

- Powiedziałem, że nie. Że najlepiej całą sprawę załatwić cicho i bez szumu. Niech się więc nie ceregieli, tylko przyjdzie tu do kliniki i podpisze dokument.

- A on na to?

- Tym samym chłodnym, pozbawionym emocji głosem zadał jedno krótkie pytanie. -

Randolph zamilkł na moment, po czym naśladowując ton Shippersa ciągnął dalej: „Czy nic pan przede mną nie ukrywa?” Jak Boga kocham, to nie człowiek, to robot!

- Jaka była pańska odpowiedź?

- Że nic nie ukrywam, bo niby co miałbym ukrywać? Wtedy oznajmił sucho, tym nieludzkim głosem, że oddzwoni do mnie. Tak właśnie powiedział: „Oddzwonię do pana”.

Michael oddychając ciężko skierował wzrok na kartkę z nagłówkiem Pentagonu: jedno spośród nazwisk nie dawało mu spokoju.

- Doktorze, albo spisał się pan na medal, albo osobiście pana uduszę.

- O co panu, do diabła, chodzi?

- Gdyby pan zrobił tak, jak kazałem i powołał się na firmę ubezpieczeniową, nie podając żadnych nazwisk, Shippers uznalby, że ktoś, o kim pan nic nie wie, ponownie bada przyczynę śmierci MacKenziego. A teraz, jeśli zadzwoni do tego Jacksona, zorientuje się, że pan kłamał.

- I co z tego? Wyjdzie na to samo.

- Ale nie dla pana, doktorze. Niestety, nie możemy wtajemniczyć pańskiego przyjaciela w tę sprawę, to zbyt ryzykowne. Mam nadzieję, że dla własnego dobra wybrał się na ryby. Przysięgam, jeśli pańskie zadufanie i pewność siebie przysporzą mi dodatkowych kłopotów, przypilnuję, żeby skrócono pana o głowę!

- Hola, hola, młody człowieku. Ja to sobie wszystko dokładnie przemyślałem. I wie pan co? Ja też mogę pana skrócić! Przychodzi do mnie jakiś ważniak z Białego Domu i oznajmia, że rządowi zależy na tym, by zatrzeć ślady brutalnego zabójstwa bohatera z Wietnamu, pracownika CIA. A ja, szary, prowincjonalny lekarz, usiłuję jedynie chronić interesy biednej wdowy i osieroconych dzieci, którym nikt nie miał prawa zadawać tyle cierpienia. Radzę ci ze mną nie zadzierać, gnojku!

- Jeśli się pan czegoś dowie, proszę do mnie zadzwonić, doktorze Randolph.

Charley Loring z Operacji Konsularnych, dowódca oddziału specjalnego, świeżo przybyły z Poole's Island, przetarł oczy i podniósł do ust termos z czarną kawą. Siedział w szarym wozie, na przednim siedzeniu, tuż obok kierowcy, człowieka właściwie całkiem mu obcego, gdyż ujrzał go po raz pierwszy w życiu wczoraj o dziesiątej wieczorem. Wtedy to Havelock przedstawił mu zespół ludzi, jakich wybrał na podstawie trzydziestu kilku akt personalnych, z dokładnym przebiegiem służby, przysyłanych przez FBI na polecenie Departamentu Sprawiedliwości. Odtąd Loring za nich odpowiadał. Przydzielone im zadanie było jasne: ciągła inwigilacja podejrzanego. Ale to, że nie otrzymali żadnych wyjaśnień co do celu prowadzonej akcji, nie było zbyt mądrym posunięciem. Tak, jak wszyscy wybitni fachowcy, mieli prawo czuć się urażeni. Mimo drobnej, bardzo drobnej próby,

jaką Havelock wykonał, żeby mu pochlebić, Charley Loring podejrzewał, że były pracownik OPKON-u po prostu odgrywa się na nim, utajniając cel akcji. Ale zdradził mu jedno: że sprawa Shippersa ma bezpośredni związek z Poole's Island i to wystarczyło, żeby Charley przewyciężył niechęć i zgodził się przyjechać. W oczach Loringa Havelock był skończonym draniem, zrobił pośmiewisko ze wszystkich w Savannah, ale jeśli z ramienia Waszyngtonu zajmował się sprawą Matthiasa, nie miał łatwego zadania. Dlatego Loring postanowił mu pomóc.

Czasem są sytuacje, kiedy trzeba zapomnieć o prywatnych uprzedzeniach czy antypatiach, a katastrofa, czy raczej tragedia związana z Poole's Island, właśnie tego wymagała. Spotkali się o dziesiątej wieczorem w Czyścicu Jedenastym w Quantico i siedzieli do czwartej rano, uzgadniając sposób prowadzenia całodobowej inwigilacji. Na temat podejrzanego nie wiedzieli absolutnie nic. Mieli jedynie jego zdjęcie, powiększone tu na miejscu w Jedenastce, oraz pobieżny rysopis, sporządzony przez Randolpha. To było jednak stanowczo za mało.

Zdjęcie, znalezione przez agentów filadelfijskiego oddziału FBI, pochodziło z 1971 roku, z albumu absolwentów Jefferson Medical School. Agentom, którzy je odszukali, polecono, nie podając im oczywiście żadnych powodów, zachować ten fakt w ścisłej tajemnicy. W

rzeczywistości album został skradziony z biblioteki uczelnianej przez agenta, który wyniósł

go pod płaszczem. Oglądając zdjęcie w dużym powiększeniu, ludzie Loringa musieli sobie wyobrazić, jak wyglądała ta sama twarz, postarzała o ileś tam lat. A ponieważ nikt nie widział

Shippersa od czterech miesięcy, nie można było wykluczyć, że zapuścił brodę lub wąsy.

Zespół nie miał prawa zasięgać informacji o doktorze Colinie Shippersie u nikogo. Taki był

rozkaz Havelocka. Pierwsza grupa obserwacyjna rozwiała wątpliwości dotyczące owłosienia: podejrzany nie zapuścił ani brody ani wąsów, a od człowieka na zdjęciu różniły go tylko ciemne szkła i kilka dodatkowych kilogramów wagi. Z gmachu Regency nadeszły dwa meldunki radiowe: obaj agenci zauważyli Shippersa. Jeden z nich kręcił się po hallu naprzeciw laboratorium, w którym patolog pracował, drugi znajdował się piętro niżej, gdzie mieścił się gabinet Shippersa. Zaczęło się czekanie, pomyślał Loring. Ale czekanie na co?

Wiedział, że to się okaże dopiero po kilku godzinach, a może dniach. Wiedział również, że uczynił wszystko co mógł, żeby jak najlepiej porozmieszczać swoich ludzi. Byli prawie niewidoczni, rozstawieni w różnych punktach, ale mieli ze sobą stały kontakt radiowy.

Samochody stały zaparkowane przy skrzyżowaniach z jednokierunkowymi drogami, zaś on sam czekał w wozie po drugiej stronie ulicy, kilkanaście metrów od gmachu Regency, skąd miał idealny widok na drzwi wejściowe i sąsiadujący z nimi garaż dla pracowników firmy.

Ostry, świdrujący dźwięk wydobył się z urządzenia na tablicy rozdzielczej, to ktoś z gmachu usiłował

się połączyć. Loring podniósł mikrofon i wcisnął przycisk.

- Piątka. Co tam?

- Tu Trójka. Shippers w pośpiechu opuścił laboratorium.

- Coś jeszcze?

- Kilka minut temu dzwonił u niego telefon. Był sam w pokoju, więc mógł swobodnie rozmawiać. Nie słyszałem, co mówił.

- W porządku. Zostań na miejscu i staraj się nie rzucać w oczy. Odłożył mikrofon, lecz zanim zdążył oprzeć się o siedzenie, rozległ się kolejny świdrujący sygnał.

- Piątka.

- Tu Dwójka. Podejrzany wszedł do gabinetu. Sądząc po jego chodzie i ruchach, jest wyraźnie podekscytowany.

- Dobrze, pasuje do tego, co mówiła góra. Może będziemy zmuszeni działać szybciej, niż...

- Chwila! Nie rozłączaj się! Loring usłyszał szum w głośniku. Agent z posterunku numer dwa ukrył nadajnik pod marynarką, nie przerywając połączenia. Po chwili znów się odezwał.

- Przepraszam. Musiałem się szybko odwrócić, podejrzany wyszedł z gabinetu. Zdjął

fartuch lekarski, ubrał się do wyjścia. Ma na sobie ten sam beżowy prochowiec i miękki filcowy kapelusz. Teraz chyba kolej na was.

- Na to wygląda. Wyłączam się. - Loring, wciąż trzymając w ręce mikrofon, zwrócił

się do kierowcy: - Przygotuj się, podejrzany wychodzi. Gdybym musiał ruszyć za nim pieszo, zastąp mnie. Będę w kontakcie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął mały, przenośny nadajnik i z przyzwyczajenia sprawdził, czy baterie działają. Następnie podciągnął lewy rękaw: do przegubu dłoni miał przymocowany płaski, miniaturowy aparat fotograficzny.

Poruszył ręką i usłyszał stłumiony trzask. Był gotów.

- Ciekawe co to za jeden, ten Shippers - powiedział, obserwując uważnie wejście do gmachu Regency Foundation.

Havelock siedział skupiony nad dokumentami z Pentagonu, kiedy nagle zadzwonił telefon.

- Słucham?

- Cross?

- Słucham, panie doktorze.

- Może obaj wyjdziemy z tego cało. Przed chwilą dzwonił do mnie Ben Jackson, był wściekły jak diabli.

- Co się stało?

- Otóż zadzwonił do niego jakiś prawnik z pytaniem, dlaczego firma wstrzymuje wypłatę ostatniej raty, jaka należy się rodzinie MacKenziego.

- Shippers...

- Zgadza się. Ben o mało nie dostał szału. Nie było żadnej ostatniej raty! Osiem tygodni temu cała suma została przesłana na ręce adwokata Midge.

- Dlaczego Jackson zadzwonił do pana, a nie do adwokata pani MacKenzie?

- Bo Shippers... sądzę, że to on dzwonił, albo ktoś w jego imieniu... najwyraźniej się zdenerwował. Powiedział, że powstało jakieś nieporozumienie w związku z podpisami i spytał, czy Ben wie coś o tym. Naturalnie Ben nic nie wiedział, bo jego agencja załatwiła wszystko już dawno temu, pieniądze zostały wypłacone i cała sprawa jest zamknięta.

Powiedział swojemu rozmówcy, że nie życzy sobie, aby ktoś oczerniał jego...

- Niech pan posłucha - przerwał mu Havelock. Mnie z pewnością nic nie będzie, ale pan może przyplącić to życiem. Proszę nie wychodzić z gabinetu i z nikim nie rozmawiać, dopóki nie przyślę tam kilku moich ludzi. Gdyby ktoś się chciał z panem widzieć, niech dyżurna w recepcji powie, że jest pan na sali operacyjnej.

- Nic z tego! - oburzył się Randolph. - Nie boję się tego nędznego skurwysyna! Jeśli się zjawi, każę strażnikowi zamknąć go w izolatce.

- Gdyby się zjawił i pan by go zamknął, padłbym panu do nóg z wdzięczności, ale obawiam się, że nie taki będzie scenariusz.

Może Shippers do pana zadzwoni i oby tylko na tym się skończyło. W każdym razie, gdyby się odezwał, proszę go przeprosić za swoje drobne kłamstwo, powiedzieć, że po dłuższym namyśle uznał pan, że warto się zabezpieczyć i dlatego chciał pan mieć jego podpis.

- Nie uwierzy.

- I słusznie, ale to nam da chwilę czasu na działanie. Moi ludzie będą u pana najdalej za godzinę.

- Stanowczo protestuję!

- Nie ma pan wyjścia, doktorze. Havelock rozłączył się i położył przed sobą kartkę z numerami telefonów.

- Myślisz, że pojedzie wykończyć Randolpha? - spytała Jenna, stojąc przy oknie z raportem CIA w ręce.

- Nie osobiście, ale przyśle innych. I poleci im, żeby nie zabijali doktora od razu, tylko zaciągnęli go w ustronne miejsce i wydusili z niego, kto za nim stoi, kto kazał mu kłamać.

Kula w łeb na pewno byłaby przyjemniejsza. - Havelock nie odrywając oczu od kartki, sięgnął po słuchawkę.

- Jak tylko się zorientował, że Randolph go oszukał, że coś jest grane, z miejsca przystąpił do działania. Szybciej niż się spodziewaliśmy. Ile czasu minęło od telefonu Loringa?

- Niewiele ponad godzinę. Po wyjściu z Regency, złapał taksówkę i pojechał do centrum. Teraz ludzie Loringa śledzą go na piechotę. Wkrótce powinien się ze mną skontaktować.

- Michael wykręcił numer, na drugim końcu linii odebrano telefon po pierwszym dzwonku.

- Czyściec Pięc w Fairfax. Pod tym kryptonimem przywieziono mnie wczoraj do kliniki imienia Randolpha w hrabstwie Talbot, stan Maryland. Proszę potwierdzić. -

Czekając, zakrył ręką mikrofon i zwrócił się do Jenny: - Wiesz co mi przyszło do głowy? Że przy odrobinie szczęścia wszystko może obrócić się na naszą korzyść... Tak - powiedział do słuchawki. Zgadza się. Trzyosobowa obstawa, wyjazd o jedenastej. W porządku. Teraz mam dalsze instrukcje... Sprawa priorytetowa: natychmiast wysłać tam dwóch ludzi. Doktor Matthew Randolph ma otrzymać pełną ochronę, najlepiej nie spuszczać go z oczu. Ale jest pewien haczyk. Obstawa musi się idealnie wtopić w tło, udawać sanitariuszy czy pielęgniarzy, jeszcze się w tej kwestii porozumiem z Randolphem. Niech od razu ruszają i połączą się ze mną przez radiotelefon za dwadzieścia minut. Proszę wydać odpowiednie polecenia. - Kiedy dyspozytor z centrali wywiadu sprawdzał harmonogram, Havelock znów spojrzał na Jennę.

- Być może Randolph nam się przysłuży, nawet nie zdając sobie sprawy, na jak wielkie naraża się niebezpieczeństwo.

- O ile zgodzi się współpracować.

- Musi się zgodzić, nie ma innego wyjścia. W słuchawce ponownie rozległ się głos dyspozytora. Michael wysłuchał go uważnie.

- Nic nie szkodzi - odparł. - Prawdę mówiąc, nawet wolę, żeby to nie byli ci sami ludzie, co wczoraj. Aha, niech używają kryptonimu...

- Na moment zawahał się, wrócił myślami do nieżyjącego już człowieka, którego słowa sprawiły, że udał się do Marylandu. - Apacze. To byli dobrzy łowcy. Niech zadzwonią do mnie za dwadzieścia minut. Doktor Randolph na próżno krzyczał i protestował. Albo wyrazi zgodę na obstawę i będzie współpracował, oznajmił mu Havelock, albo rzeczywiście zadrą ze sobą, ale wtedy wszyscy poniosą tego konsekwencje. Cross zagroził, że nie ustąpi, posunie się nawet do tego, żeby ujawnić fakt zabójstwa oficera CIA, niejakiego Stevena MacKenziego. Randolph, świadom, że znalazł się między młotem a kowadłem, nie tylko przystąpił do niebezpiecznej gry, ale również wykazał pewną pomysłowość. Apacze mieli otrzymać białe fartuchy lekarskie oraz stetoskopy i wystąpić w roli dwóch kardiologów świeżo przybyłych z Kalifornii. Polecenia wydane przez Havelocka były jasno sprecyzowane, nie dopuszczały możliwości błędu. Człowieka, który pojawi się i spyta o Randolpha, a że pojawi się, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, należy obezwładnić i dostarczyć żywego.

Strzały były dozwolone, ale tylko w nogi. Powyżej bioder, absolutnie nie. Na koniec podkreślił jeszcze, że ma uprawnienia Fairfax 4-0, czyli najwyższe w hierarchii służby wywiadowczej, a to oznaczało, że jego rozkaz musi być bezbłędnie wykonany.

- Havelock? Tu Loring.

- Co tam?

- Kierowca mówił, że nie mógł się z tobą połączyć.

- Rozmawiałem z pewnym wściekłym doktorem. Ale jeśli miał pilną wiadomość, mógł mi w każdej chwili przerwać. Tak się umawialiśmy.

- Wiem, ale nie miał nic pilnego. Po prostu mam takie dziwne... - Nie dokończył

zdania. Cisza stawała się coraz bardziej brzemienna.

- Co się stało, Charley?

- O to chodzi, że nic. Shippers wysiadł z taksówki przed domem towarowym

„Garfinkle's”, wszedł do środka, skorzystał z aparatu telefonicznego na parterze i od godziny krąży po dziale męskim na piątym piętrze. Właśnie stamtąd dzwonię. Cały czas mam go na oku.

- Pewnie czeka na kogoś.

- Jeśli tak, to bardzo cudacznie się zachowuje.

- To znaczy?

- Wykupił chyba pół sklepu! Ciągłe coś przymierza, śmieje się, żartuje z personelem.

Podejrzewam, że dzięki niemu mają już w kasie całodzienny utarg.

- Rzeczywiście dziwne, ale uzbrój się w cierpliwość. Ważne, że wykonał pierwszy krok, że do kogoś zadzwonił. Dobra robota, Charley.
- Kim u diabła jest ten Shippers? Havelock zamyślił się. Loring zasługiwał na to, żeby wiedzieć nieco więcej o całej sprawie. Tak, nadszedł właściwy moment, żeby wyjawić mu przynajmniej część prawdy. Powodzenie akcji w dużym stopniu zależało od refleksu tego bystrego, uczciwego oficera Operacji Konsularnych.
- Jest dobrze zakonspirowanym agentem, czeka na gościa, który może zrobić użytek z Poole's Island, żeby rozpętać piekło. Cieszę się, że jesteś z nami, Charley. Musimy odkryć jego tożsamość.
- W porządku. I dziękuję. Obstawiliśmy wszystkie piętra i wyjścia, jesteśmy ze sobą w stałym kontakcie radiowym i mamy w pogotowiu aparaty, więc... Aha, gdyby do czegoś doszło, czy mamy zostać z Shippersem, czy śledzić tego drugiego?
- Może nie będzie takiej potrzeby. Jest szansa, że rozpoznasz faceta. Inni pewnie nie, ale ty tak.
- Cholera! Ktoś z Departamentu Stanu?
- Tak. Pewnie ktoś koło pięćdziesiątki, zajmujący dość wysokie stanowisko, dobry fachowiec w swojej branży. Jeśli go rozpoznasz, trzymaj się z daleka, dopóki nie rozstanie się z Shippersem, potem zatrzymajcie Shippersa i przywieźcie go do mnie. Tylko pamiętaj, kiedy przystąpicie do akcji, musicie działać szybko i sprawnie. Aha, i sprawdźcie czy nie ma kapsulek.
- Aż taki fanatyk? Chryste, jak oni to robią? - Nie robią, a robili, Charley.

Programowali ludzi, ale to było dawno temu.

Czekanie byłoby dla Havelocka torturą wprost nie do wytrzymania, gdyby nie jego rosnąca fascynacja osobą komandora porucznika Thomasa Deckera. Decker, absolwent Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, którą ukończył w 1961 roku, był kapitan łodzi podwodnej „Starfire”, członek Rady Bezpieczeństwa Nuklearnego okłamał go, choć nie miał

ku temu żadnych powodów. Pod pretekstem, że przygotowuje dla prezydenta raport o aktualnym stanie badań, Michael rozmawiał z wszystkimi piętnastoma oficerami, zajmującymi w Radzie wysokie stanowiska. Z niektórymi nawet po dwa albo trzy razy. Z

początku większość rozmówców miała się na baczności: naturalnie każdy dzwonił do Białego Domu, żeby potwierdzić tożsamość Havelocka, ale po wymianie kilku zdań, kiedy orientowali się, że człowiek na drugim końcu linii zna się na rzeczy, ich podejrzliwość zniknęła i mówili coraz swobodniej, oczywiście nie zdradzając żadnych tajemnic służbowych.

Na pytania o hipotetyczne zdarzenia, dawali konkretne, rzeczowe odpowiedzi i Michael, nie zapominając oczywiście o tym, w jakim celu przeprowadza te rozmowy, był pełen najwyższego uznania. Trzecia zasada dynamiki Newtona głosi, że każdemu działaniu towarzyszy równe mu przeciwdziałanie, lecz zasada opracowana przez Radę była nieporównywalnie lepsza. Głosiła bowiem, że każde działanie nuklearne wroga, spotka się z przeciwdziałaniem nie tylko mu

nierównym, ale wręcz miażdżącym cały jego potencjał.

Również wyjaśnienia komandora zdecydowanie to potwierdzały. Poinformował Havelocka, że rozmieszczone pod wodą specjalne ładunki atomowe mogą w ciągu zaledwie kilku minut zniszczyć wszystkie ważne instalacje wroga od północnego Atlantyku po Morze Czarne. W

tej kwestii komandor nie kłamał. Kłamał za to w innej. Powiedział mianowicie, że nigdy nie spotkał sekretarza stanu, Anthona Matthiasa. Tymczasem z dokumentów, jakie Havelock posiadał, wynikało, że na przestrzeni ostatnich sześciu miesięcy Decker trzykrotnie dzwonił

do biura Matthiasa. Niewykluczone, oczywiście, że Decker mówił prawdę. Może rzeczywiście nigdy nie spotkał Matthiasa, a jedynie rozmawiał z nim przez telefon. Ale w takim razie, dlaczego od razu się do tego nie przyznał? Kiedy chodzi o tak ważnego polityka, każdy inny człowiek z miejsca by się pochwalił, że miał przyjemność odbyć z Matthiasem kilka telefonicznych rozmów. Dziwne, żeby ambitny oficer marynarki wojennej, pnący się szybko po szczeblach kariery w Pentagonie, wypierał się znajomości z Anthonem Matthiasem. Bardziej naturalne byłoby, gdyby podkreślał ją na każdym kroku. Thomas Decker, oficer marynarki wojennej Stańów Zjednoczonych, kłamał. Znał Matthiasa, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu, wolał się do tego nie przyznawać. Nadszedł czas, żeby po raz czwarty zadzwonił do komandora. - Zapewniam pana, panie Cross, że powiedziałem panu to, co mogłem. Zdaje pan sobie na pewno sprawę, że podlegam przepisom o tajemnicy służbowej, które mogę złamać tylko na polecenie prezydenta, i tylko w jego obecności.

- Owszem, komandorze, zdaję sobie sprawę, lecz jedna rzecz nie daje mi spokoju.

Niby nic ważnego, ale... Otóż zreferowałem wszystko sekretarzowi stanu i w pewnym momencie on się bardzo dziwił. Wspomniał pan bowiem, że go pan nie zna, że nigdy go nie spotkał. Milczenie, które nastąpiło, było równie wymowne jak sam Decker, kiedy opowiadał

Havelockowi o rozmieszczeniu ładunków nuklearnych.

- Tak sobie tego życzył Matthias - odparł cicho. To było jego wyraźne życzenie.

- Dziękuję, komandorze. Jeszcze jedno, sekretarz stanu nie pamiętał pewnego drobnego szczegółu. Gdzie i kiedy rozmawiali panowie ostatnio?

- W domku myśliwskim, oczywiście. Chyba w sierpniu albo we wrześniu.

- Naturalnie, w domku. W Shenandoah.

- Tak, to było nasze stałe miejsce. Nikt nie wiedział o moich wizytach. Zawsze byliśmy tylko we dwóch. Jak to możliwe, że zapomniał?

- Dziękuję, komandorze. Żegnam pana. A więc w Shenandoah. Rozległ się świdrujący, nieprzerwany odgłos dzwonka. Taki ciągły sygnał oznaczał, że zdarzyło się coś bardzo ważnego. Havelock, który chodził zamyślony tam i z powrotem po pokoju, pędem rzucił się do biurka. Dzwonił Loring.

- Możesz mnie obedrzeć ze skóry, sam ci dopomogę! Chryste, tak mi przykro!

Spartoliłem robotę!

- Zgubiliście go - stwierdził Michael i poczuł, że w gardle mu całkiem zaschło.

- Złożę rezygnację! Przysięgam!

- Uspokój się, Charley. Co się stało?

- Podmianka! Do kurwy nędzy, zwykła podmiana! Nie spodziewałem się tego! A powinienem był!

- Opowiedz - poprosił Michael i usiadł. Jenna wstała z kanapy i zbliżyła się do biurka.

- Shippers uregulował rachunek, prosząc, aby większość rzeczy, oprócz kilku pudeł

które odłożył na bok, została mu dostarczona do domu. Znikł na moment w przymierzalni, a potem wyszedł ubrany w ten sam beżowy prochowiec co przedtem, w ten sam filcowy kapelusz, i ruszył z pudłami do wyjścia.

- Pudła oczywiście niósł na wysokości twarzy?

- Jakżeby inaczej? Zachowując bezpieczną odległość, szedłem za nim do windy. Cały czas rozglądałem się uważnie po sklepie myśląc, że pewnie gdzieś tu się kręci ten skurwysyn, o którego ci chodzi. Że pewnie otarł się w przejściu o Shippersa, niby to niechcący, i wziął od niego, co miał wziąć. Drzwi windy zasunęły się. Szybko skontaktowałem się z ludźmi, kazałem każdemu czekać, aż winda minie jego piętro, a potem natychmiast przyłączyć się do grupy na dole obstawiającej wyjścia na ulicę. Wkrótce Dziewiątka zauważyła, że Shippers opuszcza budynek od strony Czternastej Ulicy. Ruszył za nim, zawiadamiając po drodze pozostałych. Skierowaliśmy się tam wszyscy: jedni w wozach, inni na piechotę. Cholera!

- Kiedy się zorientowaliście?

- Dokładnie cztery minuty po tym, gdy wyszedłem ze sklepu, a wychodziłem jako ostatni. Na rogu Jedenastej Ulicy facet, którego braliśmy za Shippersa, złapał taksówkę, wrzucił do środka pudła i zanim wsiadł, zdjął kapelusz. Okazało się, że to wcale nie on, tylko ktoś o dziesięć, piętnaście lat starszy i w dodatku prawie łysy.

- Co zrobiła Dziewiątka?

- Próbowwała zatrzymać taksówkę, ale niestety nie udało się! Pojazd szybko włączył się w ruch uliczny i odjechał. Mój człowiek ponownie skontaktował się z nami, opowiedział co się stało, podał opis i numer taksówki. Pięciu z nas pognało czym prędzej do sklepu, jeszcze raz obstawiliśmy wyjścia, ale właściwie byliśmy pewni, że Shippersa już tam nie ma.

Jedenastka i Dwunastka pojechali wozami za taksówką. Kazałem im ją dogonić, nawet gdyby mieli złamać wszystkie przepisy drogowe. Pomyślałem sobie, że skoro Shippers się wymknął, warto przynajmniej dopaść tego podstawionego faceta. Odnaleźli taksówkę sześć przecznic dalej w kierunku zachodnim, ale pasażera już nie było. Jedynie na podłodze leżał beżowy prochowiec,

kapelusze oraz dwa pudła ze sklepu.

- A kierowca taksówki?

- Powiedział, że wsiadł jakiś wariat, ściągnął płaszcz, dał mu pięć dolarów i wyskoczył na najbliższych światłach. Wzięliśmy pudła, żeby sprawdzić odciski palców. -

Jeśli nawet są, komputery FBI na pewno ich nie zidentyfikują.

- Przepraszam, Havelock. Spieprzyłem robotę. Cały ten cyrk w sklepie był po to, żeby uspić naszą czujność, a ja jak kretyn dałem się nabrać! W różnych akcjach brałem udział, ale że też, cholera, akurat teraz musiała zawieść mnie intuicja! - Nie raz musiała zawieść mnie intuicja! - Nie zawiodła cię, Charley. Michael potrząsał głową. - To była moja wina.

Zauważyłeś, że Shippers zachowuje się inaczej, dziwnie, a ja ci powiedziałem, żebyś się tym nie przejmował. Kazałem ci uzbroić się w cierpliwość i wypatrywać człowieka, który wcale nie miał zamiaru się tam pojawić.

- Nie musisz być taki wyrozumiały, Havelock. Ja na twoim miejscu na pewno bym taki nie był.

- Nie wiadomo, Charley, nie wiadomo. A poza tym, jesteś mi potrzebny, ty i twoja intuicja. Pracuje w Pentagonie pewien oficer marynarki wojennej, komandor porucznik Thomas Decker. Bardzo dyskretnie i w największej tajemnicy dowiedz się o nim wszystkiego, co można.

- Kolejny agent.

- Nie. Po prostu kłamca.

Jenna Karas stała wsparta o biurko Michaela i spoglądała mu przez ramię na kartkę papieru, którą uważnie studiował. Na kartce wypisała nazwiska oraz krótką charakterystykę osób, które wybrała na podstawie raportów CIA, OPKON-u i wywiadu wojskowego. Z

ogólnej liczby stu trzydziestu pięciu potencjalnych uciekinierów z Rosji, którzy nie pojawili się na Zachodzie i których aktualne miejsce pobytu nie było znane, uznała, że ośmiu zasługuje na szczególną uwagę. Michael przeczytał listę, odłożył na bok kartkę i wolno odwrócił się do Jenny.

- Miałem parszywy dzień. Nie jestem w nastroju do żartów.

- To nie żarty, Michaił.

- Nie ma tu ani jednego specjalisty od zbrojeń ofensywnych, ani jednego wyższego oficera, ani jednego fizyka nuklearnego. Widzę same nazwiska ludzi w bardzo podeszłym wieku, naukowców, humanistów, którzy nigdy nie zajmowali się strategią czy bronią atomową.

- Takich ludzi Parsifal nie potrzebuje.

- Tak uważasz? Więc może nie dość jasno przedstawiłem ci, co te dokumenty zawierają! Wynika z nich jednoznacznie, że chodzi o serię posunięć nuklearnych - uderzenie, przeciwwuderzenie, kolejny atak, zagłada przeciwnika, usuwanie skutków wybuchu... Tylko eksperci mogli opracować tak dokładne strategie.

- Sam mówiłeś, że Matthias nie znał wszystkich danych.

- Dlatego właśnie sprawdzam ludzi z Rady Bezpieczeństwa Nuklearnego, bo jest wśród nich ten jeden, którego szukam. Parsifal niewątpliwie miał dostęp do danych. Ktoś musiał mu dostarczać dokumenty. To były jego atuty, jego siła przetargowa w tej szalonej grze.

- W takim razie kogoś nam brakuje. - Jenna obesła biurko i nagle odwróciła się twarzą do Havelocka. Kto reprezentował Chiny? Kto negocjował w ich imieniu? Kto przedstawiał ich zamierzenia, ich szczegółową strategię? Według twojej teorii powinien być trzeci negocjator.

- Nie, wystarczyłoby dwóch. Wspólnymi siłami zdołaliby stworzyć w pełni przekonującą strategię chińską. Nie jest żadną tajemnicą w kołach wywiadowczych, że gdyby Stany Zjednoczone i Związek Radziecki wymieniły między sobą informacje na temat uzbrojenia Chin, wiedzielibyśmy więcej o możliwościach nuklearnych Chińczyków, niż ktokolwiek w Pekinie.

- Przekonującą, powiadasz?

- W pełni przekonującą.

- Ale dlaczego wspólnymi siłami, Michaił?

- W pojedynkę? - zadumał się Havelock. - Dlaczego nie? Wtem zaterkotał telefon.

Michael, słysząc jego ostry, przeraźliwy dźwięk, poczuł nagle klucie w sercu. Sięgnął po słuchawkę. Na drugim końcu linii rozległ się głos prezydenta Stanów Zjednoczonych, którego już pierwsze słowa zabrzmiały złowieszczo.

- Rosjanie wiedzą o Matthiasie. Trudno przewidzieć, co teraz zrobią.

- Parsifal? - spytał Michael.

- Zwietrzyli go i zapach, który wydziela, razi ich w nozdrza. Są bliscy paniki.

- Jak się pan dowiedział?

- Skontaktowali się z jednym z naszych dyplomatów, zajmującym bardzo wysokie stanowisko. Powiedzieli mu, że zamierzają zdemaskować Matthiasa. Na szczęście, człowiek do którego się zwrócili, jest wybitnym fachowcem i w nim cała nasza nadzieja. Rosjanie go szanują, więc może uda mu się ich powstrzymać. W każdym razie trzeba go dokooptować na miejsce Bradforda. Musi być we wszystko wtajemniczony, musi wszystko dokładnie rozumieć. - Kto to jest, panie prezydencie?

Pomieniatczik siedział w podziemnej sali Białego Domu, w której zwykle odbywały się narady strategiczne, i słuchał jak prezydent Stanów Zjednoczonych oraz dwóch z najbardziej wpływowych ludzi w Ameryce wtajemniczają go w sprawę Matthiasa. Dla Charlesa Berquista rozmowa ta miała priorytetowe znaczenie: dla niej zrezygnował z innych obowiązków oraz wcześniej umówionych spotkań. Trwała już prawie trzy godziny.

Podsekretarz stanu reprezentujący Stany Zjednoczone w ONZ, pośpiesznie robił krótkie notatki, jakby nie dowierzając własnym uszom; a jego szare, inteligentne oczy zdradzały świadomość zbliżającej się katastrofy. Potrafił jednak zachować trzeźwy umysł i szukać rozwiązań, nie wpadając w panikę. Napiętą atmosferę spotkania tylko od czasu do czasu przerywały słowa pełne szacunku i kurtuazji. Ani prezydent, ani Addison Brooks nie uważali Pierce'a za bliskiego przyjaciela, ale znali go dobrze. Był świetnym fachowcem, z którym nieraz współpracowali, i obaj pokładali w nim zaufanie. Zachowali bowiem w pamięci jego przenikliwe analizy z poprzednich kryzysów. Natomiast generał Malcolm Halyard, zwany Linoskoczkiem, poznał majora Pierce'a przed laty w Sajgonie i był wówczas pod tak dużym wrażeniem osiągnięć swojego młodszego kolegi, że wysłał depezę do Pentagonu pisząc, by Rada Wojenna poważnie zastanowiła się nad tym, czy zamiast przynosić Pierce'a do rezerwy, nie warto zaproponować mu w wojsku stałego etatu. Ale choć Rada wydała mu niezwykle pochlebną ocenę, młody, wyróżniający się żołnierz wołał jednak po powrocie do Stanów przyjąć, ku niezadowoleniu wojska, status cywila i podjąć starania o pracę w jednej z agencji państwowych. Ponieważ najwyższe czynniki wojskowe i sfery rządowe miały liczne wzajemne kontakty, wiadomość o tym, że wybitnie inteligentny człowiek szuka ciekawej pracy, w której mógłby się wykazać, rozeszła się bardzo szybko.

Należało mu coś zaproponować, zanim porwą go łowcy talentów ze świata biznesu.

Waszyngton potrzebował ludzi autentycznie uzdolnionych. To było dziecinnie łatwe! Po prostu jeden kontakt prowadził do drugiego, drugi do trzeciego, trzeci do czwartego. Ludzie stawali się schodami, po których Pierce pisał się coraz wyżej. Pewien starszy wiekiem wojskowy z Departamentu Stanu opowiedział komuś, jak na przyjęciu w Aleksandrii pan domu, również związany z wojskiem, polecił jego uwadze młodego człowieka o nazwisku Pierce. Ten sam wojskowy nie omieszkał wspomnieć Pierce'a podczas narady, w której uczestniczył Addison Brooks. Ponieważ Departament Stanu stale szukał zdolnych ludzi, którzy wykazali się już na jakimś polu, ale wciąż mieli ogromny potencjał intelektualny, Brooks wezwał Pierce'a na rozmowę. Rozmowa przerodziła się w długą dyskusję, toczoną podczas obiadu i zaowocowała propozycją pracy. Zważywszy na biografię Pierce'a, decyzja o zatrudnieniu go była jak najbardziej słuszna. Tak więc wtyczka została zainstalowana. W

rzeczywistości nie było żadnego przyjęcia w Aleksandrii i żaden pan domu nie wychwalał

pod niebiosa nadzwyczajnych zalet żołnierza z Sajgonu. Ale to nie miało znaczenia. Teraz wszyscy o nim mówili. Addison Brooks słyszał to na własne uszy! Słyszał też, że kilkanaście wielkich przedsiębiorstw zamierza złożyć temu zdolnemu, młodemu człowiekowi oferty pracy, więc postanowił dopaść go pierwszy. W miarę jak mijały lata, można było tylko pogratulować Brookswi

świetnej decyzji. Pierce istotnie okazał się znakomity: coraz bardziej rzucała się w oczy jego umiejętność właściwego interpretowania posunięć Moskwy i reagowania na nie, zwłaszcza podczas bezpośrednich konfrontacji. Departament Stanu zatrudniał oczywiście specjalistów, którzy uważnie czytali komunikaty TASS, prasę rosyjską oraz różne biuletyny rządowe i starali się odgadnąć stanowisko Moskwy, które często bywało niejasne. Pierce zaś najlepsze efekty osiągał w czasie konferencji, czy to w Helsinkach, czy to w Wiedniu, czy w Genewie. Niekiedy jego spostrzeżenia były wprost niewiarygodne!

Sprawiał wrażenie, jakby wręcz czytał w myślach wroga i wielokrotnie zdarzało się, że zanim Rosjanie przedstawili do końca propozycję swojego rządu, Pierce miał już przygotowaną kontrpropozycję, dzięki czemu delegacja amerykańska mogła wystąpić z natychmiastową odpowiedzią. Coraz częściej dyplomaci na wysokich stanowiskach zabiegali o towarzystwo Pierce'a, aż wreszcie nastąpiło to, co prędzej czy później musiało się stać: znalazł się w otoczeniu Matthiasa, który nie tracąc czasu, wciągnął go na najwyższe szczeble kariery dyplomatycznej. Pomieniatczik dotarł do celu. Niemowlę, genetycznie wyselekcjonowane i wysłane potajemnie za ocean, dorastało w sercu Ameryki, by wreszcie, po latach przygotowań, osiągnąć upatrzony cel. Podrzutek z Moskwy siedział teraz w Białym Domu, słuchając słów prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Tak więc, panie podsekretarzu, ma pan teraz pełny obraz całej koszmarnej sytuacji. -

Berquist umilkł na moment, zalała go fala bolesnych wspomnień. Dziwnie się czuję, zwracając się do pana, „panie podsekretarzu” - powiedział cicho. - Zaledwie parę dni temu, na tym samym miejscu siedział inny podsekretarz stanu.

- Mam nadzieję, że choć w minimalnym stopniu zdołam mu dorównać - odparł Pierce, spoglądając w notatki.

- To przerażające, że ktoś mógł go zabić. Emory był moim przyjacielem... Nie miał wielu przyjaciół.

- Tak, mówił mi o tym - rzekł Addison Brooks. O panu również.

- O mnie?

- Tak, że jest pan jego przyjacielem.

- Miło mi to słyszeć.

- Wtedy, gdy to mówił, nie byłoby panu tak miło wtrącił generał. - Był pan na liście dziewiętnastu podejrzanych osób, które sprawdzał.

- Nie rozumiem.

- Usiłował znaleźć człowieka z czwartego piętra Departamentu Stanu, którego nie było w kraju w czasie wydarzeń na Costa Brava - wyjaśnił prezydent.

- Człowieka, który posługuje się kryptonimem Dylemat? spytał Pierce marszcząc czoło.

- Zgadza się.

- A skąd moje nazwisko wzięło się na liście? Emory nigdy mi o tym nie mówił, nie dzwonił do mnie w tej sprawie.

- Zważywszy na okoliczności, nie za bardzo mógł - powiedział ambasador. - Gdzieś się zawieruszyły papiery z owego tygodnia, zawierające pańskie odpowiedzi na pytania Sekcji Bliskowschodniej. Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo Emory to przeżył. Później się oczywiście znalazły.

- Denerwuje mnie ten ustawiczny bałagan w archiwum - mruknął Pierce, po czym wrócił do notatek i połączonym długopisem skreślił z kartki kilka punktów.

- Ale pewnie nie ma na to rady. Ilość dokumentów jest ogromna, za to pracowników, którym można powierzyć tak tajne materiały, za mała. - Pierce wziął jeden punkt w kółko, na moment się zamyślił, po czym dodał: Z drugiej strony, wolę się wściekać na bałagan, niż żyć w ciągłej obawie, że któryś z tajnych dokumentów dostanie się w niepowołane ręce.

- Jak pan sądzi, ile z tego, co pan tu usłyszał, wiedzą Rosjanie? - Nordyckie rysy Berquista wyrażały skupienie, wzrok miał chłodny, przenikliwy, jedynie szczęka lekko mu drżała.

- Zapewne mniej, niż się od panów dzisiaj dowiedziałem, ale więcej, niż podejrzewamy. Są pokrętni i cholernie podejrzliwi. I co gorsza, szybko wpadają w popłoch.

Nie chcę nic wyrokować, dopóki nie obejrzę... tych niezwykłych dokumentów.

- Fałszywych dokumentów - poprawił go z naciskiem Halyard. To są umowy zawarte między dwoma szaleńcami.

- Nie jestem pewien, czy Moskwa lub Pekin w to uwierzą, panie generale. Jeden z szaleńców to Anthon Matthias, a tego że postradał zmysły, świat łatwo nie zaakceptuje.

- Nie będzie chciał zaakceptować. Będzie się bał wtrącił Brooks.

- To prawda. Lecz pomijając Matthiasa... te tak zwane pakt o agresji nuklearnej, o których wspominał pan prezydent, zawierają szereg ściśle strzeżonych informacji: lokalizacje, wielkości ładunków w megatonach, szczegółowe dane o mocy rażenia, szyfry uruchamiające odpalenie rakiet, a nawet mogące je zniszczyć w pierwszej fazie lotu... Z tego co rozumiem, bramy do arsenałów dwóch supermocarstw i Chin stoją otworem i każdy, komu wpadną w ręce te dokumenty, zdobędzie informacje o najbardziej tajnym sprzęcie w tych obozach.

Ciekaw jestem, panie generale, jaka byłaby reakcja Pentagonu, gdyby amerykańskie służby wywiadowcze odkryły istnienie identycznego paktu pomiędzy Rosją i Chinami, skierowanego przeciwko nam?

- Zaatakowalibyśmy pierwsi - odparł sucho Halyard. - Nie byłoby innego wyjścia.

- To znaczy nie byłoby, gdybyśmy uwierzyli, że dokumenty te są autentyczne - dodał

Brooks.

- Ja już jakbym uwierzył - oświadczył generał. Ty też. Tylko ludzie z dostępem do tajnych akt posiadają takie informacje. Poza tym w dokumentach wymienione są daty.

Cholera, nie miałbym cienia wątpliwości.

- Powiedział pan, że Rosjanie są pokrętni. W pełni podzielam pańskie zdanie. Ale jak to się objawiało w tym konkretnym przypadku? - zainteresował się Brooks.

- Rzucali jakieś półsłówka, aluzje i uważnie obserwowali, jak na nie zareaguję.

Spotykamy się od lat, w Wiedniu, w Bernie, w Nowym Jorku. Po takim czasie obie strony potrafią dostrzec nawet te reakcje, które przeciwnik bardzo stara się ukryć.

- Ale najpierw dali panu do zrozumienia, że wiedzą o obłędzie Matthiasa? Od tego zaczęli, prawda?
- upewnił się prezydent.

- Tak. Chyba nie miałem dotąd okazji, więc może teraz streszczę panom przebieg rozmowy. Otóż na prośbę, a raczej wezwanie ambasadora Związku Radzieckiego, stawiłem się u niego w gabinecie. Oprócz nas był jeszcze jeden pracownik ambasady. Prawdę mówiąc myślałem, że zaproszono mnie po to, żebyśmy wspólnie wypracowali kompromisowe stanowisko w sprawie rezolucji panarabskiej. Ambasador jednak przywitał mnie stwierdzeniem, które mogło odnosić się tylko do Matthiasa: „Dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła, że pewnej osobie przedłużono urlop, ponieważ jej zdrowie psychiczne pogorszyło się do tego stopnia, że nie ma co liczyć na polepszenie”.

- Co pan odpowiedział? - zapytał Brooks. - Proszę powtórzyć bardzo dokładnie.

- Powtórzę co do słowa. „Chorobliwa skłonność Rosjan do ponurych spekulacji i egotycznych mrzonek, jest taka sama dziś, jak w czasach Dostojewskiego”.

- Świetna riposta. Prowokująca, ale zarazem z humorem.

- I wtedy rozpętało się piekło. „To szalenie!” krzyknął ambasador. „Matthias oszalał!

Tylko wariat chciałby zniszczyć proces odprężenia!” Potem doszedł do głosu ten drugi i zażądał, by mu powiedzcie, kiedy mają się odbyć następne spotkania. Z którymi niestabilnymi rządami kontaktował się Matthias. Czy partnerzy wiedzą o tym, że zwariował, czy też wysyłał tajne komunikaty, udając przed wszystkimi, że jest przy zdrowych zmysłach.

Najbardziej, panowie, przeraża mnie to, że ich relacja dokładnie pokrywała się z tym, co przed

chwilą tutaj usłyszałem. Jeśli dobrze rozumiem, Matthias rzeczywiście od pół roku robił to, o co oni go oskarżają! Kontaktował się z niestabilnymi reżimami, z juntami rewolucyjnymi, z dyktatorami, słowem z osobami, z którymi w ogóle nie powinniśmy mieć do czynienia.

- I właśnie od nich Rosjanie mają dokładne informacje stwierdził Berquist. - Sądzę, że obłąkany Matthias wprowadza w życie swoje ogólnie znane poglądy na „rzeczywistość geopolityczną”... Że zaczyna im zagrażać.

- Podejrzewają znacznie więcej, panie prezydencie wtrącił Pierce. - Są przekonani, że przekazał broń nuklearną różnym ekstremistycznym reżimom i fanatykom islamskim, afgańskim, wrogo nastawionym do Rosji odłamom arabskim, czyli tym wszystkim, którzy w naszym wspólnym mniemaniu nie powinni mieć do niej dostępu. Rosjanie panicznie się tego boją. Wiedzą, że Moskwę i Waszyngton chroni przed popełnieniem nierozważnego kroku świadomość potęgi militarnej wroga, ale że ani oni, ani my, nie mamy jak się zabezpieczyć przed juntą czy sektą szaleńców, która posiada środki do przeprowadzenia ataku nuklearnego.

Prawdę mówiąc, jesteśmy w lepszej sytuacji. Od wszystkich fanatyków dzielą nas dwa oceany. A Związek Radziecki leży na kontynencie eurazjatyckim i jest bardziej narażony, choćby ze względu na to, że graniczy z potencjalnymi wrogami. Chyba ten fakt sprawia, że są bliscy zdemaskowania Matthiasa.

- Czyli nie Parsifal - rzekł Brooks. - Pańskim zdaniem człowiek, którego nazywamy Parsifalem, nie kontaktował się z Moskwą.

- Niczego nie mogę definitywnie wykluczyć - odparł Pierce. Usłyszałem tyle różnych gróźb i, jak już mówiłem, półsłówek i aluzji, że sam nie wiem co sądzić. Padały zwroty:

„następne spotkania”, „niestabilne rządy”, „broń nuklearna”... Jeśli dobrze zrozumiałem, słowa te również pojawiają się w dokumentach Matthiasa. Dopiero po uważnym przestudiowaniu papierów, będę mógł stwierdzić, czy faktycznie je cytowali. - Pierce zamilkł

na moment, po czym dodał cicho, choć stanowczo: - Możliwe, że Parsifal się z nimi kontaktował, że rzucił im garść prowokacyjnych sformułowań, i to wszystko. Uważam, że musimy to bardzo pilnie zbadać.

- Chce nas wszystkich wysadzić w powietrze oznajmił prezydent. - Mój Boże, tylko o to mu chodzi.

- Panie prezydencie, im szybciej znajdę się na Poole's... Nagle zabrzęczał biały telefon, przerywając Pierce'owi wypowiedź, jednocześnie na zminiaturyzowanej tablicy rozdzielczej zamrugało czerwone światelko. Berquist podniósł słuchawkę.

- Tak? - Przez pół minuty słuchał w milczeniu, po czym skinął głową i odparł: -

Rozumiem. Proszę mnie natychmiast o wszystkim zawiadomić. - Odłożył słuchawkę i wyjaśnił zebranym: To Havelock. Nie przyjedzie.

- Dlaczego? - spytał Halyard.
- Zbyt dużo się dzieje, żeby mógł teraz odejść od telefonu.
- Szkoda. Chciałem go poznać - powiedział Pierce. - To bardzo ważne, żebyśmy byli ze sobą w kontakcie. Żebym mógł go na bieżąco informować o moich rozmowach z Rosjanami, a on mnie o swoich postępach. Muszę wiedzieć, kiedy mam ich naciskać, a kiedy lekko popuszczać.
- Ręczę, że będzie pan o wszystkim informowany, Havelock otrzymuje polecenia ode mnie... Niestety, zgubili patologa.
- Psiakrew! - zdenerwował się generał.
- Albo zauważył, że jest śledzony, albo uznał, że sprawy wymykają mu się spod kontroli i postanowił zniknąć.
- Lub kazano mu zniknąć - wtrącił Brooks.
- Właśnie tego nie rozumiem - powiedział prezydent do podsekretarza stanu, który przysłuchiwał się tej rozmowie w milczeniu. - Czy Rosjanie nic nie wspomnieli o tym, że ktoś od nich zamieszany jest w tę aferę? Nie napomknęli o Costa Brava, ani o telegramie, który Rostow do nas wysłał?
- Nie, panie prezydencie. Być może to nasza jedyna przewaga nad nimi. Wiemy coś, czego oni nie wiedzą.
- Rostow wie - zauważył prezydent.
- Ale pewnie za bardzo się boi, żeby cokolwiek zrobić odparł Pierce. - To dość typowe jeśli chodzi o starych wyjadaczy KGB: wołają się nie ruszać, byleby tylko komuś nie nadepnąć na odcisk. Ale jeśli próbuje działać, to na razie szczęście mu nie dopisuje.
- Mówi pan tak, jakby w Moskwie istniały dwie różne siły - zaprotestował Halyard.
- Bo istnieją! Tu zgadzam się z Havelockiem - odparł Pierce. - I dopóki ta, która chce zdobyć dokumenty Matthiasa, ich nie dostanie, to ta, z którą ja rozmawiam, mówi w imieniu Kremla. Później już tak nie będzie. Tym bardziej więc muszę być na bieżąco o wszystkim informowany. Gdyby Havelock złapał chociaż jednego człowieka, który miałby powiązania z tą drugą siłą, dowiedzielibyśmy się czegoś więcej i mógłbym to wykorzystać.
- Havelock wie co to za siła - wtrącił Brooks.
- Sekcja sowieckiego wywiadu, znana pod nazwą WKR. Rostow niemal mu się do tego przyznał.
- Nic mi panowie o tym wcześniej nie mówili. - Na twarzy Pierce'a pojawił się wyraz zdumienia.

- Musiało mi wylecieć z głowy - odparł prezydent.

- Zresztą WKR to zbyt ogólne stwierdzenie. WKR składa się z wielu działów.

Musiałbym znać więcej szczegółów: który dział, jacy dyrektorzy, i tak dalej...

- Może już wkrótce się pan dowie.

- Jak to? Nie rozumiem - zdziwił się Pierce, a ręka z połączonym długopisem zawisała nad kartką papieru.

- To jedna ze spraw, którymi Havelock się teraz zajmuje. Właśnie dlatego nie mógł opuścić Piątki, żeby tu przyjechać.

- Czyścica Numer Pięć...

- Zgubili wprawdzie Shippersa, ale Havelock sądzi, że człowiek, któremu Shippers podlega, wyśle kogoś do Marylandu, żeby wydusić z Randolpha, na czyje polecenie działał.

Nasi ludzie już tam są i mają przykazane, żeby tego osobnika dostarczyć nam żywego.

Mówiłem już panu, że Randolph skłamał, podając przyczynę śmierci MacKenziego, ale wynikło to z nieporozumienia.

- Tak, wiem - Pierce zerknął w zapiski, po czym wsunął długopis do wewnętrznej kieszeni ciemnej, prążkowanej marynarki.

- Lepiej mi się myśli, kiedy robię notatki. Nie zamierzałem ich oczywiście stąd wynosić.

- To dobrze - rzekł prezydent. - Bo nie pozwoliłbym panu na to... Ma pan wiele spraw do przemyślenia, panie podsekretarzu, a czasu zostało niewiele. Jaką pan przyjmie taktykę z Rosjanami?

- Ostrożną. Panie prezydencie, jeśli pan pozwoli, chciałbym częściowo przyznać im rację.

- Zwariował pan? - zezłościł się Halyard.

- Chodzi mi tylko o kilka drobnych szczegółów, panie generale. Ponieważ mają w miarę dokładne informacje, to gdybyśmy zaprzeczyli wszystkiemu od początku do końca, byłiby jeszcze bardziej podejrzliwi i wrogo do nas nastawieni. A na to nie możemy sobie teraz pozwolić. Jak powiedział pan prezydent, musimy ich powstrzymać tak długo, jak tylko się da.

- W jaki sposób zamierza pan to osiągnąć? zapytał Berquist, patrząc z niepokojem spod zmrużonych powiek.

- Przyznając, że Matthias poważnie podupadł na zdrowiu w wyniku przepracowania.

Że informacje, które do nich dotarły, są mocno przesadzone i nijak się nie mają do orzeczenia lekarzy. Prawda jest taka, że Matthiasowi zalecono kilka tygodni pełnego wypoczynku, reszta to złośliwe plotki i kłamstwa, które nieodłącznie towarzyszą ludziom na tak eksponowanych stanowiskach. Proszę pamiętać, że oni mieli podobną sytuację ze Stalinem. Zanim jeszcze umarł, większość Moskwy wierzyła, że był umyślowo chory.

- Świetnie - stwierdził ambasador Brooks. Widać było, że generał również chce przyznać Pierce'owi rację, jednakże wieloletnie doświadczenie stratega wzięło w nim górę.

- Ale przecież nie zignorują swoich wcześniejszych źródeł informacji - powiedział.

Mieli przecieki od niestabilnych rządów i dyktatorów, z którymi Matthias się kontaktował.

- W takim razie, w rozmowie ze mną będą musieli operować konkretami, a z tymi łatwiej sobie poradzę. Najpierw oczywiście będą porozumiewać się z Moskwą, sprawdzać ponownie przecieki, my natomiast zyskamy na czasie. - Pierce zamilkł na moment, po czym zwrócił się do Charlesa Berquista. - Liczy się każda minuta, panie prezydencie. Sądzę, że, im szybciej wrócę do Nowego Jorku i poproszę o spotkanie, a raczej zażądam spotkania z ambasadorem rosyjskim, tym większą będę miał szansę, by odwieść ich od podjęcia pochopnej decyzji. Wierzę, że mi się uda. Nie wiem tylko, jak długo zdołam ich powstrzymać... dzień, dwa czy tydzień.

- Pan wybaczy, ale nasuwa mi się oczywiste pytanie powiedział Brooks. - Dlaczego zwrócili się akurat do pana, a nie skorzystali ze zwykłych kanałów w Waszyngtonie, stosowanych w sytuacjach awaryjnych?

- Ja również chciałbym to wiedzieć - oświadczył prezydent. Zawsze, najdalej piętnaście metrów ode mnie, stoi telefon na wypadek takich właśnie nagłych, nieprzewidzianych kryzysów. Przez chwilę Arthur Pierce milczał, przenosząc spojrzenie z prezydenta na ambasadora, i z powrotem na prezydenta.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, nie wydając się panom człowiekiem aroganckim lub o zbyt wygórowanych ambicjach. A chyba taki nie jestem.

- Przyjmujemy to do wiadomości, proszę mówić.

- Otóż z całym szacunkiem dla naszego ambasadora przy ONZ, jest to człowiek o niezwykle przyjemnym usposobieniu, a to rzecz bardzo istotna, w dodatku ma za sobą wiele lat oddanej służby...

- Oddanej służby? - zdziwił się prezydent. - Ten facet po prostu gnę się jak mu każą, choć korzenie faktycznie zapuścił głęboko. Jest w Nowym Jorku właśnie ze względu na swoje przyjemne usposobienie i na fakt, że nigdy w życiu nie podjął żadnej samodzielnej decyzji!

No dobrze, słuchamy dalej.

- Rosjanie wiedzą, że na prośbę Matthiasa wyznaczył mnie pan na stanowisko rzecznika

Departamentu Stanu. Na pańskiego rzecznika, panie prezydencie.

- I rzecznika Anthona Matthiasa. - Brooks pokiwał głową. Zakładają więc, że jest pan w bliskich stosunkach z sekretarzem stanu.

- Słusznie zakładają, bo jeszcze kilka miesięcy temu łączyła nas pewna zażyłość.

Później, z powodu choroby, Matthias przestał widywać się z kimkolwiek.

- Tak, ale Rosjanie o tym nie wiedzą, bo skąd niby mają wiedzieć? - powiedział

Halyard.

- Skoro Matthias nie może z nimi rozmawiać, pan jest najbardziej odpowiednią do tego osobą.

- Dziękuję, panie generale. W każdym razie zwrócili się akurat do mnie, bo myśleli, że będę w stanie powiedzieć im, ile jest prawdy w plotkach o szaleństwie Matthiasa.

- A gdyby sądzili, że pan wie, ale kłamie, jaka byłaby ich reakcja?

- Nie zawracaliby sobie głowy telefonem do pana, panie prezydencie. Ostrzegliby świat i ogłosili pogotowie nuklearne.

- Niech pan wraca do Nowego Jorku i stara się załagodzić sytuację. Ja tymczasem wydam polecenie, żeby zawieziono pana na Poole's Island. A te dokumenty... proszę je dokładnie przestudiować, nauczyć się ich na pamięć. Pomieniatczik podniósł się do wyjścia, zostawiając na stole zbędne notatki. Kiedy limuzyna minęła bramę Białego Domu, Arthur Pierce, przytrzymując się skózanego uchwyty, gwałtownie pochylił się do przodu i ostrym tonem zwrócił się do kierowcy, przydzielonego mu przez Departament Stanu.

- Proszę stanąć przy najbliższej budce telefonicznej.

- Telefon w samochodzie działa, proszę pana. Znajduje się w skrzynce na środku podłogi. - Mężczyzna zdjął z kierownicy prawą rękę i wskazał za siebie na czarną skrzynkę. -

Wystarczy podnieść przykrywą.

- Nie życzę sobie korzystać z tego automatu! Proszę stanąć przy budce!

- Dobrze. Przepraszam. Staralem się jedynie pomóc.

- To ja przepraszam. - Pierce opanował się. - Nie lubię dzwonić przez centralę, bo za długo to trwa, a mnie się bardzo śpieszy.

- Tak, wszyscy narzekają na centralę - odparł kierowca i dodał gazu, lecz już po chwili nacisnął na

hamulec. - Jest budka, proszę pana. Tu na rogu. Pierce wysiadł z wozu i ściskając w dłoni kilka monet szybkim krokiem skierował się do oszklonej kabiny. Zamknął za sobą drzwi, wsunął w otwór dwudziestopięciocentówkę i wykręcił numer.

- Podróż? - spytał krótko.

- Spokojny lot. Mów.

- Czy nasi wyruszyli już do Marylandu?

- Piętnaście minut temu.

- Zatrzymaj ich.

- Jak? Pomieniatczik przygryzł wargę. Nie mogli korzystać z telefonów w samochodach, bo centrala automatycznie rejestrowała każdy numer i ryzyko, że ktoś wpadnie na ich trop, było zbyt duże. Zanim wydał rozkaz, chciał otrzymać odpowiedź na jedno pytanie.

- Czy, kiedy dotrą na miejsce, można się będzie z nimi porozumieć w jakikolwiek sposób?

- Niestety, nie. Tak to zaplanowaliśmy.

- Natychmiast wyślij drugą grupę. Samochód policyjny, pistolety, tłumiki. Muszą ich zabić, muszą ich wszystkich zabić! Nikt nie może ostać się przy życiu.

- Przecież ty sam wysłałeś pierwszą grupę!

- To pułapka.

- Chryste... jesteś pewien?

- Właśnie wracam z Białego Domu.

- No, wreszcie trud się opłacił - rozległ się niski, przeciągły gwizd.

- Nie mieli wyboru. Wszystko przemawiało na moją korzyść i tylko należało dobrze rozegrać sprawę. Aha, jeszcze coś...

- Co?

- Skontaktuj się z Matką. Rostow jest na tropie Wiktora. Dowiedz się, ile wie. Może trzeba go będzie wyeliminować.

Loring szedł po schodach Pentagonu, rozmyślając o komandorze poruczniku Thomasie Deckerze. Nie był pewien czego Havelock szukał, ale wiedział, że on sam na nic nie trafił. Po zapoznaniu się z

wszystkimi aktami dotyczącymi Deckera, jakie znajdowały się w Ministerstwie Marynarki Wojennej, włącznie z dziesiątkami pochlebnych opinii na temat jego pracy oraz wyników badań zdrowia, postanowił zwrócić się o pomoc do kilku osób w Pentagonie, które miały wobec niego dług wdzięczności. Pod pretekstem, że potrzebuje informacji o człowieku, który jest kandydatem na ważne stanowisko dyplomatyczne wymagające taktu oraz silnej osobowości, zadzwonił do paru przyjaciół z wywiadu wojskowego mówiąc im, że chciałby porozmawiać prywatnie z dawnymi współpracownikami Deckera. Czy mogliby mu w tym pomóc i czy pamiętają, jak on im kiedyś pomógł? Pamiętali i zgodzili się. Przesłano mu po kolei pięć osób, z których każda była uprzedzona o zachowaniu spotkania w ścisłej tajemnicy. Rozmowy miały charakter poufny i bardzo nieformalny. Wśród indagowanych znalazło się trzech oficerów marynarki wojennej, którzy służyli pod Deckerem na „Starfire”, sekretarka, która przez pół roku pracowała u niego w biurze, oraz major piechoty morskiej, członek komisji Deckera w Radzie Bezpieczeństwa Nuklearnego. Havelock uważał, że Decker to kłamca. Jeśli był nim w istocie, Loring nie znalazł na to żadnego potwierdzenia. Z uzyskanych informacji wynikało raczej, że to moralizator:

sprawnie

dowodził

statkiem,

bazując

surowych

zasadach

judeochrześcijańskich, które propagował do tego stopnia, że co tydzień podczas międzywyznaniowych nabożeństw, odprawianych na jego polecenie, czytał fragmenty z Biblii. Cieszył się opinią stanowczego, ale sprawiedliwego kapitana, który, zanim powziął

decyzję, niczym Salomon ważył wszystkie racje, po czym wyjaśniał innym, w jaki sposób do niej doszedł. Jak powiedział pierwszy z oficerów, z Deckerem można się było nie zgadzać, ale przynajmniej człowiek rozumiał, dlaczego coś postanowił tak, a nie inaczej.

„Matematyczny umysł” powiedział o nim drugi z oficerów: Decker szybciej od innych dostrzegał plusy i minusy w różnych skomplikowanych sytuacjach oraz nieścisłości w wywodach podwładnych. Nigdy jednak, zdaniem trzeciego z oficerów, nie wywyższał się, kiedy ktoś się pomylił. Jeśli człowiek uczciwie się starał, a coś mu nie wyszło, Decker zawsze okazywał wyrozumiałość. Tak nie postępuje kłamca, pomyślał Loring. Kłamca wykorzystuje potknięcia innych i zaciera z uciechy ręce. Dopiero sekretarka rzuciła światło na pewną drobną cechę Deckera, której trudno się było domyślić na podstawie akt personalnych oraz wypowiedzi trzech oficerów. Otóż komandor Decker niemal stawał na głowie, żeby tylko zadowolić swoich zwierzchników i wyrazić im swoje poparcie. „Zawsze był uprzejmy aż do przesady i nigdy nie szczędził innym pochwał, nawet wówczas, gdy uważał, że na nie nie zasługują, tak jak ten admirał... Kiedyś Biały Dom opracował dyrektywę, która wydała mu się niedorzeczna, ale gdzie by się tam stawiał... Wyraził też pełne poparcie dla stanowiska Dowództwa Sztabu Połączonych Sił Zbrojnych, choć, jak mi wyznał, uważał je za całkowicie mylne. Pyta pan o takt... no cóż, w życiu nie widziałam lepszego dyplomaty od komandora Deckera.” Ostatnią osobą, z którą Loring rozmawiał, był major piechoty morskiej, członek komisji Deckera w Radzie Bezpieczeństwa Nuklearnego. Swój punkt widzenia przedstawił w sposób bardzo treściwy: „Podlizuje się wszystkim jak cholera, ale co tam! Jest świetny w tym, co robi. Zresztą włożenie w dupę szefom nie jest tu czymś wyjątkowym. Lojalny? Tak, ale nie do tego stopnia, żeby nadstawiać karku za błędne decyzje przełożonego. Jeśli każą mu wdepnąć w gówno, wdepnie tak umiejętnie, żeby rozbryzgać je na wszystkie strony.” Innymi słowy: odpowiedzialność za niepowodzenia spychał na jak największą liczbę osób, najchętniej tych na górze. Jeżeli jednak, pomyślał Loring, takie zachowanie oznacza, że ktoś jest niebezpiecznym kłamcą, to w Pentagonie, i nie tylko tam, mało było szczerych, prawdomównych ludzi. Wrócił do wozu, który zostawił na bocznym parkingu, usiadł

wygodnie w fotelu kierowcy, następnie sięgnął pod tablicę rozdzielczą i podniósł mikrofon.

Uruchomił nadajnik, po czym nacisnął przycisk, łącząc się z centralą w Białym Domu.

- Z Czyścćem Piątym, proszę. Chciał przekazać Havelockowi wiadomości, póki miał

je na świeżo w głowie. Ale czy na cokolwiek się zdadzą?

Apacze krążyli po korytarzach kliniki i gdziekolwiek Randolph się ruszył, zawsze któryś z nich miał go na oku. Nie pochwalali sposobu, w jaki kazano im prowadzić tę akcję, o czym zresztą

powiadomili Piątkę. Przedsięwzięte środki bezpieczeństwa były niewystarczające. Randolph zachowywał się jak nieznośny bachor: z uporem maniaka uganiał

się po korytarzach, znikał w drzwiach, wypadał z powrotem, wybiegał na zewnątrz, wracał.

Jego początkowa ochota do współpracy, ni stąd ni zowąd wyparowała, a jej miejsce zajęła przekora. Miało się niemal wrażenie, że specjalnie stara się zwrócić na siebie uwagę, wywołać wilka z lasu, sprowokować do działania osobę, która być może czai się w jakimś pustym gabinecie lub gdzieś na korytarzu. Pomijając oczywisty fakt, że trudno takiemu człowiekowi zapewnić skuteczną ochronę, Apacze uważali, że zmuszeni do ustawicznej bieganiny za doktorem, sami się niepotrzebnie narażają. Z racji wykonywanego zawodu oraz wrodzonych cech charakteru, agenci wywiadu byli ludźmi ostrożnymi, a przy Randolphie zachowanie ostrożności było po prostu niemożliwe. Nie uśmiechała im się myśl, że jakiś strzelec wyborowy może ich namierzyć z odległości stu metrów, kiedy będą pędzić za kłótliwym doktorkiem po żwirowanym podjeździe albo przez trawnik. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, wcale nie była zabawna. Dwóch ludzi do ochrony Randolpha to stanowczo za mało!

Przydałby się chociaż jeszcze jeden człowiek do pilnowania na zewnątrz. Rozumieli, że ściągnięcie większej ilości osób mijałoby się z celem, bo duża grupa za bardzo rzucałaby się w oczy. Ale jeszcze jeden człowiek był absolutnie niezbędny. Piątka zgodziła się. Pilna wiadomość od Apaczów nadeszła w chwili, gdy Havelock słuchał relacji Loringa. Ponieważ Loring był akurat wolny, uzgodnili, że polecą do nich helikopterem Pentagonu. Helikopter wylądował kilka kilometrów od kliniki, a resztę drogi Loring pokona samochodem, który będzie tam na niego czekał. Na miejsce powinien dotrzeć za trzydzieści pięć, góra czterdzieści minut.

- Skąd będziemy wiedzieli, że już jest?

- Zadzwońcie z wewnętrznego numeru do recepcji. Loring wejdzie do środka i spyta o drogę do Easton. Potem odjedzie kawałek i wróci na piechotę.

- W porządku. Dziękujemy. Chylące się ku zachodowi słońce powoli sięgało wierzchołków drzew, zalewając łagodnym, żółtozłocistym blaskiem wiejski krajobraz Wirginii. Havelock wstał zmęczony od biurka, rękę miał zeszywniałą od ciągłego trzymania słuchawki przy uchu.

- Agencja będzie szukać całą noc, wspólnie z OPKON-em i wywiadem wojskowym.

Znaleźli już dwie fotografie, ale wciąż brakuje sześciu.

- Wydawałoby się, że zdjęcia to pierwsza i podstawowa rzecz - powiedziała Jenna.

Stała przy srebrnej tacy, nalewając Michaelowi drinka. - Nie sprowadza się takich ludzi, nie wiedząc nawet, jak wyglądają. - Powtórzyła te same słowa, które słyszał wcześniej przez telefon.

- Tych, których wybrałaś, nie uważano za szczególnie ważnych. Byli jakby na marginesie, przedstawiali sobą znikomą wartość.

- Przecież to specjaliści.
- Tak, psychiatrzy, psychologowie, kilku profesorów fizyki. Starcy, którym łaskawie pozwalano wygłaszać własne poglądy. Często mieli krytyczne opinie, ale żadna z nich nie zatrzęsła Kremlem.
- A jednak kwestionowali teorie lansowane przez rosyjskich strategów. I ich poglądy miały w pracy Anthona Matthiasa duże znaczenie.
- Wiem. Dlatego będziemy szukać pozostałych zdjęć. Jenna wzięła szklaneczkę whisky i zaniósła ją do biurka.
- Napij się, dobrze ci zrobi.
- Dzięki. - Havelock ze szklanką w ręce, wolny krokiem podszedł do okna. - Muszę ściągnąć tu Deckera. Nie dogadam się z nim przez telefon. Nie powie mi wszystkiego.
- Jesteś pewien, że to on?
- Całkowicie. Tylko dotąd nie rozumiałem jego pobudek.
- Loring ci to wyjaśnił. Płaszczy się przed zwierzchnikami, twierdzi, że się z nimi zgadza, nawet wtedy, gdy uważa, że nie mają racji. Taki człowiek spełniłby każde żądanie Matthiasa.
- A jednak nie na tym to polega. - Michael potrząsnął głową. Napił się whisky i ciągnął dalej. Większość ambitnych ludzi podlizuje się swoim szefom. Wyjątki zdarzają się rzadko, za rzadko.
- A więc?
- Decker ma zwyczaj wyjaśniać każdą swoją decyzję. Czytał Biblię na nabożeństwach, które kazał odprawiać. Uważa się za

Salomona. Założę się, że pod otoczką obłudnej uprzejmości kryje się zagorzały fanatyk. Tylko fanatyk popełniłby zbrodnię, za którą, jak powiada Berquist, w większości krajów zostałby z miejsca stracony, a nawet tutaj dostałby karę trzydziestu lat więzienia...

Tak, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że winę za wszystko ponosi komandor porucznik Thomas Decker. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym go rozstrzelać. Choć diabli wiedzą, co by to dało.

Słońce opadło za wierzchołki drzew. Czerwonawe promienie przedzierały się przez gałęzie, znacząc cętkami trawniki i odbijając się od alabastrowych ścian budynku. Charley Loring, z krótkofalówką w ręce, stał przycupnięty za pniem wysokiego dębu, rosnącego na skraju parkingu. Miał stąd widok zarówno na główne wejście do kliniki, jak i na mieszczący się z tyłu podjazd z rampą. Właśnie przed chwilą przyjechała karetka z rannym mężczyzną i jego żoną, którzy ulegli wypadkowi na szosie U.S.50. Rannym zajmował się doktor Randolph, dwaj Apacze warowali na korytarzu, tuż za drzwiami gabinetu zabiegowego.

Agent OPKON-u spojrział na zegarek. Trwał na swoim posterunku niemal od trzech kwadransów. Najpierw, pośpiesznie zaaranżowany lot helikopterem Pentagonu. Później, lądowanie na małym prywatnym lotnisku na przedmieściach Denton, przesiadka w czekający tam samochód i równo osiem minut jazdy do kliniki. Rozumiał obawy Apaczów. Człowiek, którego mieli ochraniać, rzeczywiście bardzo utrudniał im pracę, jednakże on, Loring, postąpiłby z nim inaczej. Dopadłby Randolpha i powiedział mu, że głównie go to obchodzi, czy pan doktor będzie żył czy nie, bo celem tej akcji jest schwytanie chociaż jednego z bandytów, którzy przyjdą go zabić i życie tego bandyty jest w tym wszystkim najważniejsze.

Może takie wyjaśnienie sprawiłoby, że Randolph zacząłby współpracować z obstawą.

Zamiast tkwić na zimnym, mokrym trawniku gdzieś w Marylandzie i czekać nie wiadomo na co, pomyślał Loring, mógłbym teraz jeść porządną kolację. Nagle spojrział przed siebie, bo jakiś hałas zakłócił panującą wokół ciszę. Czarno-biały wóz policyjny wjechał na parking na tyłach kliniki, wykonał ostry zakręt i zahamował gwałtownie przy rampie. Dwaj policjanci wyskoczyli ze środka i, dziwnie skuleni, biegiem ruszyli w stronę drzwi. Loring podniósł do ust krótkofalówkę.

- Apacze, tu Dzedziniec. Przed chwilą z piskiem opon zajechał wóz policyjny. Stoi przy rampie. Dwaj gliniarze wchodzą do budynku.

- Widzę ich - odparł jeden z mężczyzn, a jego słowom towarzyszyły trzaski. -

Będziemy cię informować. Charley Loring ponownie spojrział na samochód policyjny i to, co zobaczył, wydało mu się dziwne. Na ogół policjanci nie zostawiali za sobą drzwi otwartych, chyba że kręcili się w pobliżu wozu. Istniało przecież niebezpieczeństwo, że ktoś uszkodzi radiostację, ukradnie szyfry albo ukrytą broń. Znowu rozległy się trzaski, a po chwili usłyszał

słowa:

- Drobna ciekawostka - powiedział jeden z Apaczów, których agent OPKON-u dotąd nie widział. - Okazuje się, że kraksę na szosie spowodował członek ważnej rodziny mafijnej z Baltimore. Gangster całą gębą, poszukiwany od dawna. Gliniarze weszli do gabinetu zidentyfikować faceta i ewentualnie wziąć od niego przedśmiertne zeznanie.

- W porządku. Dzięki. Loring opuścił rękę z krótkofalówką, miał ochotę zapalić, powstrzymał się jednak z obawy, że ognik może zdradzić jego obecność. Ponownie powiódł

wzrokiem po stojącym nie opodal wozie. Różne myśli snuły mu się po głowie, gdy wtem coś sobie uświadomił, coś bardzo ważnego. Jadąc do kliniki, niecałe pięć minut drogi stąd, minął

posterunek policji. Zanim zauważył napis na budynku, spostrzegł trzy lub cztery, wozy zaparkowane na przyległym placu... I wcale nie były one czarno-białe, lecz czerwono-białe, bo takie właśnie jaskrawe zestawy kolorów policja zwykle stosuje w miejscowościach nadbrzeżnych. Poza tym, jeśli kilka minut po kraksie przywieziono do szpitala groźnego, poszukiwanego członka mafii, to powinno

się tu aż kłębić od funkcjonariuszy. Otwarte drzwi, pośpiech, skulone ciała - ukryta broń! O Chryste!

- Apacze! Tu Dziedziniec! Zgłoście się natychmiast!

- Co się stało?

- Czy gliniarze wciąż są w środku?

- Tak, ale minęła dopiero chwila.

- Właźcie za nimi! Natychmiast!

- Co?

- Nie pytaj, tylko wchodźcie! Z bronią w ręce! Zanim wsunął do kieszeni krótkofalówkę i wyciągnął pistolet, był już w połowie parkingu i gnał przed siebie, ile sił w nogach. Podpierając się ręką wskoczył na rampę, zachwiał się, po czym całym ciałem pchnął

w szerokie metalowe drzwi. Otworzyły się z hukiem. Minał pędem zaskoczona pielęgniarkę, która siedziała za szybą w recepcji. Rozglądając się na wszystkie strony, wybrał korytarz na wprost. Był pewien, że tam musieli stać Apacze, skoro od razu dojrzeliby wbiegających gliniarzy. Dotarłszy do zbiegu dwóch korytarzy, najpierw popatrzył w lewo, potem w prawo.

Wreszcie! Trzy metry dalej zobaczył tabliczkę: „Gabinet zabiegowy”. Drzwi były zamknięte!

Tego się nie spodziewał! Szybko, bezszelestnie i bardzo czujnie, niemal ocierając się plecami o ścianę, długimi krokami zbliżał się do celu. Nagle zza ciężkich, metalowych drzwi doleciały go dwa przytłumione świsty a po chwili przeraźliwy, gardłowy krzyk i w tym momencie, choć szczerze pragnął się mylić, zdał sobie sprawę, że jednak przeczucie go nie zawiodło.

Przyczaił się tuż za framugą, tak, żeby lewą ręką mieć swobodny dostęp do metalowej klamki, po czym nacisnął ją z całej siły, mocno walnął barkiem drzwi i szybko odskoczył, ponownie kryjąc się za framugą. Rozległy się strzały, nie z bliska, lecz z głębi pokoju i wysoko ze ściany posypał się tynk. Charley przykucnął i po chwili rzucił się w przód, koziołkując po podłodze i strzelając raz po raz w niebieski mundur. Celował nisko i słyszał

jak kule odbijają się rykoszetem od metalowych sprzętów. Nogi, kostki, stopy! Od biedy ramiona, ale uwaga na klatkę piersiową, na głowę! Nie wolno go zabić! Nagle dojrzał ciemną pędzącą masę, to drugi niebieski mundur wyskoczył zza stołu zabiegowego i Loring nie miał

wyjścia. Strzelił prosto w atakującą postać, uzbrojoną w winczestera dużego kalibru. Kula rozerwała napastnikowi gardło. Osunął się na stół i martwy zwałił się na podłogę. „Tylko nie zabij drugiego, nie zabij drugiego!”. Słowa te drażyły Loringowi mózg. Silnym kopnięciem zatrzaskał drzwi i, turlając się po podłodze, raz po raz strzelał w górę, w jaskrawe światła jarzeniówek zawieszonych u sufitu, oszczędzając jedynie małą, intensywnie świecącą lampkę na biurku, które stało w kącie pokoju. Z cienia grzmotnęły trzy przytłumione strzały, kule wbiły się w tynk i boazerię tuż nad Loringiem. Przekoziołkował na lewo i nagle zderzył się z dwoma martwymi ciałami. Czyżby

Apaczów? Nie wiedział. Myślał tylko o jednym, żeby nie pozwolić uciec temu, który ostał się przy życiu! W pokoju tylko ich dwóch jeszcze żyło, wszędzie dookoła widać było krew, rozerwane szczątki, trupy. Dokonano istnej masakry.

Kolejne kule świsnęły nisko nad podłogą i Loring poczuł piekący żar w brzuchu. Ból jednak wywołał w nim dziwne ożywienie, nad którym ranny nawet nie miał czasu się zastanawiać.

Ogarnęła go straszliwa wściekłość, ale była to wściekłość kontrolowana i wymierzona w konkretną osobę. Raz przegrał, ale teraz wygra. Musi wygrać! Podnosząc się z podłogi, rzucił

się w prawo, w stronę łóżka na kółkach, które pchnął w zaciemnioną część pokoju, skąd przed chwilą padały strzały, a słysząc łoskot zderzenia, wstał szybko i przytrzymując pistolet obiema rękami, wycelował go w ramię, które nagle wyłoniło się z cienia. Strzelił, nie bacząc na krzyki, które wznęgały się za drzwiami. Została mu jedna ostatnia rzecz do zrobienia. Jeśli ją wykona, wówczas nie przegra.

34

Komandor porucznik Thomas Decker wszedł do gabinetu, eskortowany przez dwóch agentów służby wywiadowczej. Jego kanciasta twarz była nieprzenikniona, zaś on sam sprawiał wrażenie osoby zdecydowanej, a zarazem lekko zaniepokojonej. Świetnie zbudowany, szeroki w ramionach, ubrany w doskonale skrojony garnitur, prezentował się bez zarzutu. Widać jednak było, że jest to człowiek, który dba o sylwetkę nie dlatego, że chce, ale dlatego że czuje wewnętrzny przymus. Świadczyła o tym sztywność ciała oraz brak płynności w ruchach. Ale Havelocka fascynowała jego twarz. Była to maska, lecz na jej twardej skorupie zaczęły się już pojawiać drobne rysy i wystarczyło prawdopodobnie kilka razy mocniej puknąć, żeby pękła i odpadła. Abstrahując od siły, zdecydowania, czy nawet lekkiego zaniepokojenia, Decker po prostu był przerażony i choć bardzo się starał, nie potrafił

ukryć strachu, który drażył go od środka.

- Dziękuję, panowie - powiedział Michael zwracając się do agentów. - Kuchnia jest na prawo, na końcu korytarza. Kucharz coś wam przygotowuje, a poza tym częstujcie się czym chcecie, piwem, kawą... Wiem, że straciliście przeze mnie przerwę obiadową, a nie umiem powiedzieć, jak długo będziecie musieli tu czekać. Oczywiście, śmiało korzystajcie z telefonu...

- Dziękujemy - rzekł mężczyzna stojący po lewej stronie Deckera. Skinął głową na kolegę i obaj ruszyli ku drzwiom.

- Ja również byłem w trakcie obiadu i oczekuję...

- Niech pan milczy, komandorze - powiedział cicho Havelock, nie pozwalając mu dokończyć zdania. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Decker gniewnym krokiem podszedł do biurka, był to jednak gniew udawany, wymuszony, na który silił się, żeby ukryć strach.

- Wieczorem jestem umówiony z admirałem Jamesem z Piątego Okręgu Marynarki Wojennej.

- Admirał został już powiadomiony, że pilne obowiązki służbowe uniemożliwiają panu przybycie na to spotkanie.

- To skandal! Żądam wyjaśnień!

- Powinien pan stanąć przed plutonem egzekucyjnym oznajmił Havelock. - Myślę, że wie pan dlaczego.

- To pan! - Decker wytrzeszczył oczy, z trudem łapiąc oddech a krew odpłynęła mu z twarzy. - To pan ciągle wydzwaniał i zamęczał mnie pytaniami, mówiąc, że wielki Matthias nic nie pamięta! Co za wierutne kłamstwo!

- Niestety, to prawda. Ale pan tego nie rozumie i dlatego cała ta sytuacja nie daje panu spokoju. Odkąd rozmawialiśmy po raz pierwszy, o niczym innym pan nie myśli. Bo zdaje pan sobie sprawę, co ma na sumieniu. Decker opanował się, stał sztywno wyprostowany, brwi miał ściągnięte, oczy chmurne. Przedstawiał widok wojskowego, który podał swój stopień, lecz stanowczo odmawia jakichkolwiek dalszych odpowiedzi, mimo że świadom jest czekających go tortur.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, panie Cross. Czy to pana prawdziwe nazwisko?

- Na pański użytek, tak. Ale jest pan w błędzie! Ma pan mi bardzo wiele do powiedzenia i powie pan wszystko. W przeciwnym razie, z rozkazu prezydenta, trafi pan do najgłębiej położonej celi w Leavenworth, a klucz do niej zostanie wyrzucony. Bo postawienie pana przed sądem byłoby dla kraju zbyt niebezpieczne.

- Nie! Nie możecie! Nie zrobiłem nic złego! Miałem rację, obaj ją mieliśmy!

- Stanowisko Dowództwa Sztabu Połączonych Sił Zbrojnych oraz przedstawiciele Izby Reprezentantów i Senatu będzie całkowicie zgodne - ciągnął dalej Havelock. - Nieczęsto się zdarza tak uzasadniony przypadek, kiedy w grę wchodzi bezpieczeństwo kraju.

- Co mi się zarzuca? - spytał szeptem komandor. Skorupa pękła, odsłaniając twarz.

Strach przeszedł w desperację. - Łamiąc przysięgę oficera oraz ślubowanie przestrzegania tajemnicy państwowej, skopiował pan dziesiątki najbardziej tajnych w historii wojska dokumentów i wyniósł je z Pentagonu.

- A komu je dałem? No, proszę powiedzieć!

- To nie ma znaczenia.

- Właśnie że ma! Kolosalne!

- Działał pan bez upoważnienia.

- Ten człowiek nie potrzebuje żadnych upoważnień! - Decker próbował się opanować, ale głos wciąż mu drżał. - Żądam, by natychmiast połączył się pan z sekretarzem stanu Matthiasem! Havelock odsunął się od biurka i stojącego na nim telefonu, jakby chciał dać Deckerowi do zrozumienia, że może trochę się za bardzo zagalopował.
- Otrzymałem polecenie, komandorze - oznajmił, pozwalając sobie na odrobinę wahania w głosie - od prezydenta i kilku jego najbliższych doradców. Otóż pod żadnym pozorem nikomu nie wolno porozumiewać się w tej sprawie z sekretarzem stanu. Ma nie być o niczym informowany. Nie wiem dlaczego, ale taki jest rozkaz. Wolno, niepewnie, Decker postąpił dwa kroki naprzód i w jego wytrzeszczonych strachem oczach, oprócz desperacji pojawiła się gorliwość. Pierwsze słowa wypowiedział niemal szeptem, potem mówił coraz głośniej, z zapalem fanatyka.
- Prezydent? Jego doradcy? Na miłość boską, czy pan nie rozumie? Nic dziwnego, że zabronili informować Matthiasa, bo to on ma rację, a nie oni! W przeciwieństwie do niego, boją się! Pan myśli, że gdybym nagle znikł, to on by nie wiedział, co się stało? Ręczę, że spotkałby się z prezydentem i jego doradcami, i doszłoby do decydującego starcia. Pan mówi o Dowództwie Sztabu, o członkach Izby Reprezentantów i Senatu. Mój Boże, gdyby tylko Matthias chciał, mógłby zebrać ich wszystkich razem i pokazać społeczeństwu, jaki naprawdę mamy rząd: słaby, nieudolny i niemoralny! Wkrótce ten rząd przestałby istnieć! Obalilibyśmy go, przepędzili i odebrali mu władzę!
- Kto by obalił, komandorze? Decker wyprostował masywne ramiona, wyglądał jak skazaniec, który wie, że uzyska przebaczenie, bo w końcu sprawiedliwość zwycięży.
- Ludzie, panie Cross! Nasz naród potrafi docenić geniusza. Ludzie nie odwrócą się od Matthiasa dlatego, że tak każe skorumpowany polityk i zgraja pozbawionych charakteru doradców. Naród się sprzeciwi. Od dziesiątków lat świat cierpi na brak wielkich przywódców. Myśmy wreszcie dochowali się takiego i świat o tym wie. Radzę panu, niech pan dzwoni do Matthiasa. Nie musi pan nic mówić, ja z nim porozmawiam. Havelock stał bez ruchu, a kiedy odezwał się, w jego głosie oprócz nuty wahania słychać było coś jeszcze.
- Naprawdę wierzy pan, że mogłoby dojść do decydującego starcia? Że prezydent mógłby zostać zmuszony do ustąpienia?
- Jak można wątpić w wielkość Matthiasa? Po raz pierwszy od trzydziestu lat pojawił się taki geniusz! Michael wolno podszedł do biurka, usiadł w fotelu i popatrzył na Deckera.
- Proszę usiąść, komandorze. Decker pośpiesznie zajął miejsce na krześle, które Havelock specjalnie ustawił przed biurkiem.
- Obaj nie przebieraliśmy w słowach, panie Cross. Przepraszam za swój wybuch. Ale musi pan zrozumieć. My naprawdę mamy rację.
- Potrzebuję więcej informacji. Wiemy, że wynosił pan dokumenty zawierające szczegółową strategię opracowaną przez Radę Bezpieczeństwa Nuklearnego, dokumenty, w których był dokładnie przedstawiony stan naszego uzbrojenia, jak również zdobyte przez służby wywiadowcze dane na

temat uzbrojenia Związku Radzieckiego i Chin. Przez kilka miesięcy dostarczał pan te dokumenty Matthiasowi. Proszę mi powiedzieć: dlaczego? Co panem kierowało?

- Najprostsza rzecz pod słońcem! Odpowiedź sprowadza się do jednego słówka, które widnieje w nazwie Rady. Bezpieczeństwo! Bezpieczeństwo, panie Cross, ciągle bezpieczeństwo, ciągle obrona! Reakcja na to, reakcja na tamto! Zawsze reagujemy, nigdy nic nie inicjujemy. Po co nam te wszystkie plany defensywne? Nie możemy pozwolić na to, by wróg myślał, że tylko potrafimy się bronić. Musimy mieć genialny plan ataku! Niech przeciwnik wie, że jeśli pogwałci prawo, zmieciemy go z powierzchni ziemi. Nasza siła i przetrwanie nie mogą zależeć tylko od zdolności obronnych. Muszą polegać na gotowości ofensywnej! Anthon Matthias zdaje sobie z tego sprawę, a inni boją się spojrzeć prawdzie w oczy.

- I pan pomógł mu opracować ten genialny plan ataku?

- Jestem dumny, że mogłem wnieść tu swój wkład - odparł szybko, pewien, że przebaczenie jest już w zasięgu ręki. Siedzieliśmy i całymi godzinami rozważaliśmy wszystkie możliwe warianty uderzenia nuklearnego, wszystkie możliwe reakcje Rosjan i Chińczyków. Nie przeoczyliśmy żadnej ewentualności.

- Kiedy się spotykaliście?

- W każdą niedzielę, przez wiele tygodni pod rząd. - Decker zniżył głos i, coraz bardziej skłonny do zwierzeń, ciągnął dalej z tą samą desperacją i fanatyczną gorliwością. -

Matthias wytłumaczył mi, że nasze spotkania muszą mieć ściśle tajny charakter, więc nigdy nie jeździłem tam własnym samochodem, tylko zawsze wynajętym. Miał w zachodniej Wirginii taki domek z dala od głównej szosy, w którym spotykaliśmy się bez świadków.

- Wiem, domek myśliwski - słowa same wymknęły się Michaelowi z ust.

- Zna pan to miejsce?

- Bywałem tam. - Przymknął na moment oczy: tak, świetnie znał ten mały domek, położony z dala od cywilizacji, do którego Anthon wyjeżdżał, by w samotności spisywać swoje wspomnienia. Właśnie tam wracał myślami do przeszłości, a każde jego słowo rejestrował magnetofon, który włączał się automatycznie na dźwięk głosu. - Czy coś jeszcze chciałby pan dodać? Proszę mi wierzyć, komandorze, słucham pana z dużym zainteresowaniem. Wszystko, co pan mówi, jest niezwykle frapujące.

- Matthias to naprawdę wielki, wybitny człowiek oznajmił Decker. Mówił prawie szeptem, z niesamowitym przejściem w głosie, i z takim blaskiem w oczach, jakby patrzył na niewidoczny święty płomień. - Co za umysł, co za trafność i głębia spostrzeżeń, co za zdolność pojmwania rzeczywistości globalnej! Taki polityk jak Matthias może doprowadzić nasz kraj do szczytu potęgi, dzięki niemu możemy osiągnąć to, co w oczach ludzi i Boga nam się należy. Tak, przekazywałem mu dokumenty i nie wstydzę się tego, bo jestem patriotą.

Kocham mój kraj, tak jak kocham Biblię, i gotów bym był oddać za niego życie, wiedząc, że nie splamiłem swojego honoru. Panie Cross, naprawdę nie było innego wyjścia. Racja jest po naszej stronie. Niech pan podniesie słuchawkę, zadzwoni do Matthiasa i pozwoli mi z nim porozmawiać. Powiem mu całą prawdę. Że mali, nędzni ludzie, którzy czczą pogańskie bożki, wyleźli z ziemi jak glisty i próbują go zniszczyć. On ich rozgromi... z naszą pomocą. Michael osunął się w fotelu. Ogarnęło go znużenie i uczucie potwornej beznadziejności.

- Z naszą pomocą? - powtórzył cicho, niemal nieświadom tego, że się w ogóle odezwał.

- Tak, oczywiście!

- Ty świętoszkowaty skurwysynu! - Michael potrząsnął wolno głową.

- Co takiego?

- Powiedziałem: ty świętoszkowaty skurwysynu! ryknął. Wciągnął głęboko powietrze i po chwili ciągnął dalej ściszym głosem, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Chce pan, żebym zadzwonił do Matthiasa? Gdybym mógł, zrobiłbym to z największą rozkoszą, choćby po to, żeby zobaczyć, jak się zmieni pańska twarz, jak w tym hardym, dumnym spojrzeniu pojawi się dziki, nieprzytomny blask, kiedy wreszcie dowie się pan prawdy.

- O czym pan, u diabła, mówi?

- Matthias nie miałby najmniejszego pojęcia, kim pan jest! On nikogo nie poznaje, ani prezydenta i jego doradców, ani podsekretarzy i dyplomatów, z którymi stykał się na co dzień! Ani nawet mnie, mimo że znam go od ponad dwudziestu lat i jestem z nim bliżej związany, niż ktokolwiek inny.

- Nie! Pan się myli! To niemożliwe!

- A jednak, komandorze. Matthias się wykończył. A raczej myśmy go wykończyli.

Jego umysł już nie funkcjonuje. Wypalił się. Anthon Matthias popadł w obłąd. Nie mógł

dłużej wytrzymać. A pan, na Boga, przyczynił się do jego szaleństwa. Pan go obdarzył

najwyższą władzą i najwyższą odpowiedzialnością. Wykradał pan tajemnice świata, tak, proszę pana, całego świata, i wmówił Matthiasowi, że jego geniusz sobie z nimi poradzi.

Tysiące faktów i setki planów strategicznych... Pan je wrzucił do jednego tygła, wymieszał i stworzył najstraszliwszą broń, jaka kiedykolwiek istniała. Broń, która może doprowadzić do totalnej zagłady.

- Nie! Ja nic takiego nie zrobiłem!

- Zgoda, nie pan ją wymyślił, ale stworzył pan... jak to się nazywa w tym waszym cholernym żargonie? Konstrukcja szkieletowa? No więc pan stworzył konstrukcję szkieletową dla fikcji, która

tak bardzo przypomina prawdę, że nabrałby się na nią każdy bez wyjątku ekspert od spraw nuklearnych.

- Myśmy tylko dyskutowali, analizowali warianty, roztrząsali różne idee. To Matthias miał opracować ostateczny plan. Do pana nic nie dociera! Jego zdolność pojmowania świata była zdumiewająca. Nie istniało nic, czego by nie rozumiał. To geniusz!

- Umysł tego geniusza umierał, rozpadał się, zostawała pusta, wyschnięta skorupa!

Matthiasowi zależało na tym, żeby pan mu uwierzył i był jeszcze na tyle sprawny, by przekonać pana o swojej racji. Jak widać, udało mu się! Bo pan chciał w niego wierzyć.

- Chciałem i wierzyłem! Pan też by uwierzył.

- To samo powiedział mi człowiek, któremu nie dorasta pan nawet do pięt.

- Nie ma powodu mnie obrażać. Matthias chciał tego, w co i ja głęboko wierzę.

Uważał, że musimy być silni.

- Nikt przy zdrowych zmysłach temu nie przeczy, ale pojęcie siły jest względne.

Można być silnym na wiele sposobów, tyle, że jedne sposoby zdają egzamin i sprawdzają się w życiu, inne zaś nie, bo wyrażają się jedynie poprzez agresję. Dzikus ugina się pod ciężarem napięcia, nie potrafi opanować emocji, więc je rozładowuje wybuchem. A tym samym wyzwala agresywne reakcje u innych.

- Kim pan jest, do diabła?

- Ja? Studentem historii, który przed laty zboczył z obranej drogi. Ale nie o mnie rozmawiamy, tylko o panu. Wszystko, co pan dostarczył Matthiasowi, komandorze, jest w zasięgu ręki Rosjan. Ten genialny plan strategiczny, o którego istnieniu chciał pan, żeby cały świat się dowiedział, prawdopodobnie znajduje się teraz w drodze do Moskwy. Bo człowiek, któremu pan przekazywał dokumenty, to szaleniec. Był bliski obłądu już wówczas, gdy się z panem spotykał!

- Nie wierzę - powiedział Decker ochryple i wolno podniósł się z krzesła.

- Po co miałbym kłamać? Po co bym z panem rozmawiał? Pomijając już względy osobiste, to czy jakikolwiek człowiek, który ma choć odrobinę oleju w głowie, wypowiadałby takie opinie, gdyby nie były prawdziwe? Czy wyobraża pan sobie, co to znaczy dla naszego kraju, że tak wybitny polityk jak Anthon Matthias postradał zmysły? Chciałbym panu przypomnieć, komandorze, że patriotyzm nie jest wyłącznie pańską domeną. Inni też do niego mają prawo. Decker długo patrzył Havelockowi w oczy, aż wreszcie nie wytrzymał

spojrzenia. Odwrócił się, a jego barczysta postać jakby skurczyła się pod mundurem.

- Pan mnie oszukał. Podstępem zmusił do wyznania rzeczy, których nigdy bym nikomu nie ujawnił.

- Na tym polega moja praca.

- Wszystko przepadło. Jestem skończony.

- Może nie. Uważam, że akurat w tym momencie jest pan ostatnią osobą w Pentagonie, która mogłaby się dopuścić zdrady. Już raz się pan sparzył ufając człowiekowi-legendzie, a taki ból zostaje w pamięci na zawsze. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak bardzo przekonujący potrafił być Matthias... Panie komandorze, potrzebujemy pomocy, a nie wyroków skazujących. Wysłanie pana do Leavenworth wywołałoby jedynie niepotrzebną nikomu falę komentarzy i pytań. Znaleźliśmy się w ślepych zaułku... może pan zdoła nam pomóc.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Decker popatrzył na Havelocka, twarz miał trupio bladą.

- Po pierwsze, treść naszej rozmowy absolutnie nie może przedostać się na zewnątrz. -

Michael wstał z krzesła, obszedł biurko i stanął przed komandorem.

- Mój Boże, oczywiście że nie!

- Oczywiście. Sam by pan sobie zarzucił pętlę na szyję.

- Nie tylko sobie. Również ojczyźnie... Nie mam, jak pan powiedział, wyłącznego prawa do patriotyzmu, ale jednak jestem patriotą, panie Cross. Mijając niski stolik oraz pustą kanapę, Havelock przypomniał sobie o Jennie. Ponieważ uznali, że jej obecność może być krępująca dla Deckera, Jenna przeniosła się z pracą na górę. Właściwie nawet to ona nalegała, żeby zostawić ich samych.

- Będę zgadywał, komandorze. Nastal czas, kiedy Matthias nie chciał się z panem więcej widywać, czy tak?

- Tak, dzwoniłem do niego, oczywiście do domu, a nie do Departamentu Stanu, ale nie odpowiadał na moje telefony.

- Nie do Departamentu Stanu? - spytał Michael. Przecież kontaktował się pan z biurem Matthiasa. Dzięki temu do pana dotarłem.

- Dzwoniłem tam tylko trzy razy. Dwa razy, żeby powiadomić go o niedzielnej konferencji w Pentagonie i raz, by powiedzieć, że w piątek idę do szpitala na drobny zabieg i nie będzie mnie przez najbliższe pięć lub sześć dni. Matthias bardzo się przejął, ale właśnie w trakcie tej rozmowy poprosił mnie, żebym więcej do niego do pracy nie dzwonił.

- Więc zaczął pan dzwonić do domku myśliwskiego?

- I do domu w Georgetown.

- To było później?

- Tak. Dzwoniłem codziennie, lecz Matthias nie podchodził do telefonu. Proszę mnie zrozumieć, panie Cross. Zdawałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem, z wagi przestępstwa, jakie popełniłem. Oczywiście nie miałem wyrzutów sumienia, bo postępowałem zgodnie ze swoimi najgłębszymi przekonaniem. Dopiero dzisiaj pan mi uzmysłowił grozę całej sytuacji.

Wtedy, pięć czy sześć miesięcy temu, kiedy Matthias nie podchodził do telefonu, byłem zdziwiony jego zachowaniem, może bałem się, nie wiem. Czuję się nagle porzucony...

- Typowe symptomy odwykowe - przerwał mu Havelock. Przez wiele miesięcy znajdował się pan pod wpływem jednego z najsilniej działających narkotyków na świecie: Anthona Matthiasa. I raptem go pana pozbawiono.

- Tak. Tamten okres mojego życia... to były wspaniałe dni, obfitujące w niezapomniane wrażenia. A potem, nie wiadomo czemu, łączące nas stosunki, moje z wielkim Matthiasem, przestały istnieć. Myślałem, że może w jakiś sposób mu się naraziłem, że może jakieś informacje, które mu przekazałem, okazały się niepełne, niedokładne. Nie wiedziałem, czym zawiniłem, wiedziałem tylko, że bez żadnego wyjaśnienia całkowicie się ode mnie odciął.

- Rozumiem, co pan czuł - powiedział Michael. Wciąż miał żywo w pamięci wieczór w Cagnessur-Mer, kiedy połączył się ze Stanami odległymi o osiem tysięcy kilometrów, a jego pritel nie chciał podejść do telefonu.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego nie starał się pan dojść przyczyny, nie nalegał na spotkanie. Należało się przecież panu jakieś wyjaśnienie.

- I w końcu je otrzymałem.

- Naprawdę?

- Tak, pewnego wieczoru, kiedy po raz kolejny bez skutku próbowałem skontaktować się z Matthiasem, zadzwonił do mnie bardzo dziwny człowiek... Przeciągly, natarczywy terkot dzwonka wdarł się w pełną napięcia atmosferę, panującą w pokoju. Skupienie przyszło.

Michael rzucił się do telefonu, wiedząc, że taki długi, nieprzerwany sygnał oznacza pilną wiadomość.

- Tu Loring. - Agent mówił szeptem, z wyraźnym wysiłkiem. Trafił mnie drań. Ale nie martw się, nic mi nie jest.

- Skąd dzwonisz?

- Z motelu „Pod Bażantem” przy autostradzie trzysta siedemnaście, niedaleko Harrington. Jestem w

domku numer dwanaście.

- Przyślę lekarza.
- Przyślij dobrego specja. Niech przyleci helikopterem.
- Nie rozumiem.
- Musiałem szybko odjechać z kliniki. Pożyczonym wozem policyjnym...
- Policyjnym? Jak to?
- Później ci wyjaśnię. Potrzebny nam będzie dobry specjalista z torbą pełną zastrzyków.
- Do diabła, Charley, powiedz o co chodzi!
- Mam sukinsyna, Havelock! Leży przywiązany do łóżka, nagi, bez żadnych kapsułek z cyjankiem, bez żyłek... Mam go!

Havelock dosłownie wisiał na telefonie, wykręcając kolejne numery i wydając nowe polecenia, podczas gdy komandor porucznik Thomas Decker obserwował go z drugiego końca pokoju, gdzie stał bez ruchu, bezradny jak wojownik, który nagle nie ma o co walczyć.

Prezydent Stanów Zjednoczonych został już powiadomiony o zaistniałej sytuacji. Specjalny lekarz miał być szybko odnaleziony i wraz z grupą agentów wysłany helikopterem do Marylandu. Drugi helikopter miał być gotowy do drogi i czekać na lotnisku w Quantico, położonym dziesięć kilometrów od Czyścica Piątego. Z Piątki mieli Michaela przewieźć na lotnisko agencji wywiadu, którzy eskortowali Deckera. Ostatni numer, jaki Havelock wykręcił, był na górę, do pokoju Jenny Karas.

- Muszę wyjechać. Loring w Marylandzie jest ranny, ale chyba dopadł pomieniatczika.

Opowiem ci resztę później. I miałaś rację. Było jedno źródło przecieków. Decker jest tu w gabinecie. Jeszcze nie skończyliśmy, więc zejdz na dół i zastąp mnie. Muszę już lecieć...

Dzięki.

- Zaraz przyjdzie tu pewna kobieta. - Havelock wstał od biurka i zwrócił się do przerażonego oficera marynarki wojennej. Rozkazuję panu, komandorze, tak jest, rozkazuję!, powiedz jej wszystko, co pan zamierzał powiedzieć mnie, a także udzielić wyczerpujących odpowiedzi, jeśli będzie miała jakiegokolwiek pytania. Pańska eskorta wróci mniej więcej za dwadzieścia minut. Kiedy skończy pan składać zeznania, i gdy tylko ona wyrazi zgodę, może pan odjechać. Ale pod żadnym warunkiem nie wolno panu opuszczać domu. Będzie pan pod obserwacją.

- Rozumiem panie Cross. Havelock chwycił marynarkę, która wisiała na oparciu krzesła i ruszył w

stronę drzwi. Już miał rękę na klamce, gdy nagle sobie coś przypomniał.

- Ta kobieta, komandorze, nazywa się pani Cross.

Wszystkie awionetki, które znajdowały się w pobliżu, skierowano gdzie indziej, więc małe, prywatne lotnisko w Denton w stanie Maryland było puste, kiedy w odstępie jedenastu minut nadleciały dwa helikoptery wojskowe - jeden ze szpitala w Bethesda, drugi, późniejszy, z Quantico. Havelock szybko przebiegł płytę lotniska i wskoczył do przysłanego z Annapolis samochodu. Prowadził młody chorąży, który znał na pamięć wszystkie drogi na wschodnim wybrzeżu Chesapeake. O sprawie nie wiedział nic. Zresztą nikt nic nie wiedział, nawet lekarz, któremu polecono jedynie, żeby udzielił pomocy Charleyowi Loringowi, a niczego nie dawał

więźniowi Loringa, dopóki nie zjawi się ktoś z Czyścica Piątego. Do motelu „Pod Bazantem” wysłano policję stanową; funkcjonariusze mieli otrzymać instrukcje na miejscu, od agentów wywiadu. Nazwa „Pod Bazantem” przywodziła na myśl sielski obraz dworów i polowań, lecz całkiem nie pasowała do obskurnego motelu, na który składało się kilkanaście zniszczonych domków, ustawionych w szeregu niemal przy głównej szosie. Dyrekcja niespecjalnie dbała o wygodę klientów, ale też, co wielu gościom bardzo odpowiadało, nie interesowała się nimi.

Tym właśnie kierował się Loring, kiedy postanowił się tu zatrzymać. Człowiek zdjęty bólem, kryjący swoje rany, bez bagażu, ale za to z więźniem, którego cichcem musi gdzieś ulokować, niewielkie ma szanse, by dostać pokój w jaskrawo oświetlonym zajeździe Howarda Johnsona.

Havelock podziękował kierowcy i odprawił go z powrotem do Annapolis, przypominając mu o obowiązku zachowania wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Waszyngton, powiedział, zna jego nazwisko i na pewno nie zapomni mu jego postawy. Młody chorąży, choć wyraźnie przejęty widokiem reflektorów przebijających ciemność nocy, helikopterów wojskowych oraz rolę, jaką sam odegrał, odparł głosem pozbawionym emocji.

- Może pan liczyć na moją dyskrecję.

- Proszę powiedzieć kolegom, że pojechał pan na piwo. To powinno wystarczyć.

Michael ruszył biegiem wzdłuż stojących rzędem domów, szukając drzwi z numerem dwunastym, kiedy nagle zastąpił mu drogę mężczyzna ze srebrną odznaką agenta federalnego w dłoni.

- Czyściec Piąty - przedstawił się Havelock. Dopiero teraz zauważył dwa wozy policji stanowej, zaparkowane nieco na lewo, w odległości sześciu metrów od siebie. Domek z numerem dwunastym musiał być gdzieś niedaleko.

- Tędy, proszę pana - rzekł mężczyzna. Schował odznakę do kieszeni i zaprowadził

Michaęla na tyły motelu. Stał tam kolejny rząd domków, niewidocznych od strony szosy.

Mimo bólu i napięcia Loring poświęcił kilka cennych chwil na to, by zorientować się w topografii, co świadczyło, że panował nad sytuacją. Nieco dalej, za jednym z domków stał

samochód... ale nie był to zwyczajny wóz. Środkiem czarnej karoserii biegł biały pas zakończony strzałą. Wóz policyjny, którym Loring się posłużył był jedynym dowodem na to, że w pewnym momencie agent stracił głowę. Teraz ktoś w Waszyngtonie będzie musiał

skontaktować się z komendą policji i powiadomić spanikowanych funkcjonariuszy, że samochód się odnalazł.

- To tutaj - oznajmił agent wskazując na drzwi. Otwierały się na werandę, na którą wchodziło się po trzech schodkach. Poczekam na zewnątrz. Niech pan uważa na schody, chyboczą się.

- Dzięki. Michael podszedł ostrożnie do drzwi i położył rękę na klamce. Były zamknięte. W odpowiedzi na pukanie usłyszał:

- Kto tam?

- Piątka. W drzwiach ukazał się krępy gość pochodzenia irlandzkiego, w wieku trzydziestu kilku lat, o piegowatej twarzy i ryżych włosach. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, spojrzenie czujne.

- Havelock?

- Zgadza się.

- Jestem Taylor. Niech pan wejdzie. Musimy porozmawiać. Michael wszedł do pokoju o ścianach wyłożonych brudną, zatłuszczoną tapetą. Doktor pośpiesznie zamknął drzwi. Na łóżku leżał rozpostarty nagi człowiek, z zakrwawionymi rękami i nogami, przywiązany do poręczy za pomocą skórzanych pasków oraz podartej na strzępy pościeli. Żeby zdławić jego krzyki, Loring zaciągnął mu mocno na ustach prążkowany krawat. Mężczyzna patrzył z wściekłością wybałuszonymi oczami, w których czaił się strach.

- A gdzie... Taylor wskazał w kąt pokoju. Tam, na podłodze, z głową na poduszce, leżał przykryty kocem Charley Loring. Powieki miał na wpół przymknięte, prawdopodobnie był na granicy przytomności, albo w szoku. Havelock ruszył w jego stronę po brudnym, szarym dywanie, ale zanim doszedł, lekarz ścisnął go za ramię.

- Właśnie o nim musimy porozmawiać. Nie wiem, co się tu dzieje, natomiast z całą pewnością wiem, że nie mogę odpowiadać za życie tego człowieka. Już godzinę temu powinien był się znaleźć w szpitalu. Czy wyrażam się jasno?

- Wkrótce się tam znajdzie, ale na razie muszę mu zadać kilka pytań. Tylko on może nam przekazać informacje, których potrzebujemy. Wszyscy inni nie żyją.

- Pan mnie chyba nie dosłyszał. Powiedziałem, że od godziny powinien być w szpitalu.

- Słyszałem pana, doktorze, ale muszę wykonać, co do mnie należy. Przykro mi.

- Nie lubię takich jak pan - stwierdził Taylor i nie odrywając wzroku od Havelocka, puścił jego ramię z niesmakiem, jakby niechcący dotknął czegoś oślizłego.

- Niewiele mnie to obchodzi, doktorze. Ale ponieważ ja lubię Charleya, postaram się załatwić to szybko, tak żeby go nie męczyć. On życzyłby sobie tej rozmowy, proszę mi wierzyć.

- Muszę, nie mam wyboru. Dziesięć minut temu próbowałem go namówić, żeby pojechał ze mną do szpitala. Odmówił.

- Charley, to ja, Havelock. Słyszysz mnie? Michael podszedł do Loringa i kucnął, pochylając się nisko nad rannym mężczyzną.

- Tak... Słyszę... - szepnął z wysiłkiem.

- Powiem ci, czego się dowiedziałem, w sumie jest tego piekielnie mało, a ty mi tylko dawaj znaki głową: skinij, jeśli będę na dobrym tropie, potrząśnij, jeśli na złym. Nie trać siły na mówienie. W porządku? Rozmawiałem z policjantami, którzy usiłują odtworzyć przebieg wydarzeń. Twierdzą, że karetka pogotowia przywiozła mężczyznę rannego w wypadku drogowym oraz jego żonę. Randolph wraz z drugim lekarzem i pielęgniarką zajęli się nim, badając obrażenia... Loring potrząsnął głową, Havelock jednak ciągnął dalej.

- Daj mi skończyć, potem cofniemy się do początku. Zanim minęło pięć minut, do kliniki wbiegli dwaj funkcjonariusze policji stanowej. Zamienili kilka słów z naszymi kardiologami. Nie wiadomo, co powiedzieli, ale wpuszczono ich do gabinetu zabiegowego.

Loring znów potrząsnął głową.

- Po kilku minutach jakiś facet, zakładam, że to byłeś ty, wpadł tylnymi drzwiami i wtedy się wszystko zaczęło. Ranny skinął głową, Havelock wziął głęboki oddech i kontynuował monolog; mówił cicho, pośpiesznie.

- Personel usłyszał strzały, pięć albo sześć, nikt nie jest pewien. Większość pracowników uciekła z budynku, reszta skryła się na korytarzach, część w pokojach pacjentów, zamykając drzwi na klucz. Wszyscy próbowali dotrzeć do telefonu. Kiedy strzały ucichły, ktoś na zewnątrz zobaczył ciebie i jednego z funkcjonariuszy: biegliscie po rampie, ty byłeś pochylony, miałeś broń w ręku, on ociekał krwią, utykał i trzymał się za ramię.

Wepchnąłeś go do wozu policyjnego i odjechałeś. Policja usiłuje się dowiedzieć, kim był ten drugi funkcjonariusz, na niektórych zwłokach nie ma niczego, co by umożliwiałoby identyfikację. Loring potrząsnął gwałtownie głową. Michael położył rękę na jego ramieniu.

- Spokojnie, Charley, potem do tego wrócimy. Jak się pewnie domyślasz, wszyscy zginęli. Randolph, ten drugi lekarz, pielęgniarka, facet ranny w wypadku, jego żona, Apacze.

Znaleziono pistolet z tłumikiem, winczestera i garść łusek. Słysząc było tylko twoje strzały.

Policja sprawdza teraz broń i odciski palców. To wszystko, co wiadomo o tej masakrze, ale nikt nie jest pewien, co się dokładnie wydarzyło. A teraz cofnijmy się do... Zmrużył oczy, usiłując sobie

przypomnieć pierwszą nieścisłość. - Do wypadku drogowego. Loring potrząsnął głową.

- Nie było... żadnego wypadku - szepnął.

- Co?

- To... nie byli gliniarze. Michael przeniósł wzrok na nagą postać przywiązaną do łóżka i na zmięty mundur rzucony na podłogę.

- No jasne! To nie był prawdziwy wóz policyjny! Mają pełno forsy, stać ich na takie rzeczy. Powinienem być się domyślić, inaczej przecież nie wchodziłbyś do budynku. Loring skinął głową i wysunął rękę spod koca dając Havelockowi znać, żeby pochylił się niżej.

- Facet i kobieta... ci z wypadku... przywiezieni karetką... mają dokumenty?

- Nie.

- Funkcjonariusze też nie, prawda?

- Zgadza się.

- Wypadek... - Umilkł na moment i wciągnął w płuca powietrze. - Takie proste...

ranny mężczyzna... kobieta wciąż przy jego boku... dostają się do środka... do gabinetu...

lekarz, pielęgniarka, Randolph... Dorwali go.

- Skąd wiedzieli, że akurat Randolph się nimi zajmie?

- Nie robiło im różnicy... Grożąc temu drugiemu lekarzowi... albo pielęgniarce...

kazaliby im wezwać Randolpha. Pewnie tak było. Dorwali go... To takie proste...

- A policjanci?

- Śpieszyli się... biegli co tchu. Przesłano ich, żeby się rozprawili... ze wszystkimi...

szybko...

- Jak na to wpadłeś?

- Zostawili otwarte drzwi wozu... biegli dziwnie... żeby nie widać było broni... Coś mi się nie zgadzało, nie pasowało do schematu. Apacze powiedzieli, że facet z wypadku to ważny mafioso, że policja chciała go przepytąć. Gdyby tak było, zjechałoby dziesięć wozów, nie jeden. Nagle Loring zakrztusił się i krew pociekła mu z kącików ust. Po chwili udało mu się zaczerpnąć tchu i zaczął oddychać normalnie. Lekarz stanął nad Havelockiem.

- Na miłość boską! - powiedział cicho, głosem drżącym z gniewu. - Równie dobrze mógłby mu pan od razu strzelić w łeb!

- Równie dobrze mógłbym panu strzelić w łeb! - Michael znów pochylił się nad Loringiem - Dlaczego, Charley? Jak myślisz, dlaczego kazano im rozprawić się ze wszystkimi?

- Nie wiem. Może ktoś mnie zauważył... może po raz kolejny nawaliłem.

- Nie wierzę, Charley.

- Nie bądź tak cholernie wyrozumiały, nie mogę tego znieść... znów spieprzyłem robotę... Starzeję się.

- Nie wymkniesz się nam, Matuzalemie, potrzebny jest nam twój szósty zmysł. Poza tym nie tylko nie spieprzyłeś roboty, ale złapałeś drania! Mamy go, Charley! Loring usiłował

podnieść głowę z poduszki, ale Michael delikatnie go powstrzymał.

- Zdradź mi coś, Havelock. Powiedziałeś rano o Shippersie... że został

zaprogramowany dawno temu. Czy on... ten skurwysyn co tu leży... to pomieniatczik?

- Chyba tak.

- O, kurwa... może wcale nie jestem taki stary. Michael podniósł się z klęczek i zwrócił do lekarza.

- W porządku, Taylor, może się pan nim zająć. Niech pan każe go przewieźć na lotnisko, a stamtąd helikopterem do Bethesda. I niech pan uprzedzi telefonicznie szpital, że Biały Dom żąda, aby czekał na Loringa najlepszy zespół chirurgów, jakich macie.

- Rozkaz, proszę pana - odparł z nie skrywaną ironią lekarz. - Czy coś jeszcze?

- Tak. Niech pan przygotuje swoją torbę z czarami. Bierzymy się do roboty. Dwaj sanitariusze, którzy czekali w pobliżu, umieścili postrzelonego agenta OPKONU-u na noszach. Taylor towarzyszył im do karetki, przekazując po drodze szczegółowe instrukcje. Po chwili wrócił do Havelocka.

- Zaczynamy?

- Co z jego ranami? - spytał Michael, spoglądając na przesiąknięte krwią bandaże na prawym ramieniu i lewej nodze więźnia.

- Pański przyjaciel założył mu opaski zaciskające, a ja opatrzyłem rany. Krwawienie już ustało. Muszę przyznać, że strzały były cholernie precyzyjne. Roztrzaskane kości, co się oczywiście wiąże z dużym bólem, ale tętnice nie uszkodzone. Zrobiłem facetowi miejscowe znieczulenie, żeby mu trochę ulżyć, no i żeby zachował jasność umysłu.

- Mam nadzieję, że te środki przeciwbólowe nie wpłyną na...

- Gdyby miały wpłynąć, nie zaaplikowałbym ich.

- W porządku, doktorze, niech pan wstrzykuje. Szkoda czasu. Taylor podszedł do czarnej, skórzanej torby, która stała otwarta na stole przy oknie. W świetle padającym z lampy, przez kilka sekund oglądał jej zawartość, po czym wyjął trzy ampułki i trzy jednorazowe strzykawki. Położył wszystko na łóżku, obok uda nagiego mężczyzny. Więzień uniósł głowę. Twarz miał straszliwie wykrzywioną, oczy szkliste, spojrzenie dzikie, jakby był

na skraju hysterii. Wtem zaczął się gwałtownie szamotać, wydając z siebie stłumione, niemal zwierzęce jęki. Po chwili zastygł w bezruchu, zdjęty dotkliwym bólem, i leżał sapiąc, z wzrokiem utkwionym w sufit. A potem ni stąd ni zowąd, przestał oddychać: jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona, oczy wychodziły z orbit.

- Co on do diabła...

- Niech się pan odsunie! - wrzasnął Havelock, odpychając doktora od łóżka i z całej siły waląc pięścią w nagi brzuch. Z przewiązanych krawatem ust więźnia uciekło z charkotem powietrze. Po chwili wytrzeszcz oczu minął, a kolor skóry zaczął wracać do normy.

- Chryste! - Taylor skoczył do łóżka, żeby przytrzymać fiolki, które za moment spadłyby na podłogę. - Co on wyprawia?

- Ma pan tu do czynienia, doktorze, z wyjątkowym, rzadko spotykanym typem człowieka. Są zaprogramowani jak roboty, wykonują wszystkie polecenia, zabijają z zimną krwią, bez najmniejszych oporów. Nawet siebie, jeśli muszą.

- Czyli perswazją nic nie wskóramy. Myślałem, że jeśli zobaczy te przybory, może się wystraszy.

- Nic z tego, doktorze. Zwodziłby nas, kręciłby, łgał w żywe oczy. Każdy z nich dysponuje niewyczerpanym repertuarem kłamstw, to są mistrzowie w swoim fachu. Do roboty, doktorze.

- Chwileczkę, co pan woli? Mogę dozować środek i wtedy postęp następuje etapami, albo mogę jednorazowo wstrzyknąć maksymalną dawkę, wówczas działanie jest natychmiastowe, ale istnieje pewne niebezpieczeństwo.

- Jakie?

- Odpowiedzi będą niespójne, chaotyczne, pozbawione logicznego związku.

- Pozbawione logicznego... Świetnie. Wolę brak spójności niż z góry zaprogramowane reakcje.

- Trochę to na czym innym polega. Następuje bezładny potok mowy. Pierwszym objawem jest całkowita dezorientacja. Trzeba trafić na właściwe słowo...

- Mówi pan to, co chciałby usłyszeć, doktorze, i jednocześnie traci pan czas.

- Tak pan myśli? - Taylor otworzył niewielkie szklane opakowanie, zanurzył igłę, wyciągnął nieco zawartości i wbił w udo rannego, nim związany mężczyzna pojął, co się dzieje. Zabójca zaczął się gwałtownie rzucać i przewracać z boku na bok, starając się rozerwać pasy i więzy z podartych prześcieradeł, wydając z siebie stłumione okrzyki.

- Im bardziej się rzuca, tym szybciej będą efekty - dodał Taylor, przyciskając dłoń do napiętej, wyprężonej szyi. - Jeszcze minuta, może dwie. Michael przypatrywał się z zafascynowaniem i obrzydzeniem, jak zawsze, gdy obserwował działanie środków farmakologicznych. A przecież musiał pamiętać, że ten morderca, niespełna trzy godziny wcześniej pozbawił w brutalny sposób życia wielu ludzi, zarówno swoich własnych, jak i innych: winnych i całkowicie niewinnych. Iluż będzie ich opłakiwać, niczego nie rozumiejąc?

A ilu rzucono pod nogi niejakiego Michaela Havelocka, dzięki Anthonowi Matthiasowi?

Dwóch zawodowych oficerów, młodego doktora, jeszcze młodszą pielęgniarkę, człowieka o nazwisku Randolph, którego jedynym przestępstwem była próba naprawienia straszliwej krzywdy... Beznadziejne.

- Jest już prawie gotów - powiedział Taylor, obserwując zamglone, na pół przymknięte oczy więźnia, którego ruchy stały się powolne i wijące.

- Musi pan lubić swoją pracę, co, doktorze?

- Zawsze byłem wścibskim dzieciakiem - odparł rudy mężczyzna, delikatnie odsuwając krawat w paski od ust rannego mężczyzny. - Poza tym ktoś to musi robić, a dobry wuj Sam opłacił moje medyczne wykształcenie. Mojego starego nie stać nawet było na kubeł

pomyj w barze Paddy'ego O'Rourke. Spłacę więc dług i się zmywam.

- Czy mogę zaczynać? - spytał Havelock i pochylił się nad łóżkiem.

- Niech pan mówi, to pańska krzyżówka.

- Rozkazy - zaczął Michael, z ręką na wezglówiu, z ustami przy uchu pomieniatczika, mówiąc głosem stanowczym, opanowanym, cichym. - Rozkazy, rozkazy, rozkazy. Nikt z nas nie może nic zrobić bez rozkazów. Ale musimy być pewni, nie możemy popełnić błędu. Kto może wydać nam rozkaz, wydać nam rozkaz teraz? Głowa więźnia poruszała się w przód i w tył, usta z trudem otwierały się i zamykały. Nie wydostał się z nich jednak żaden dźwięk.

- To wyjątkowa sytuacja - mówił dalej Havelock. - Każdy wie, że jest wyjątkowa...

wyjątkowa. Musimy się śpieszyć, śpieszyć... śpieszyć.

- Śpieszyć... tak. - Pojawił się szept, nieśmiały, jakby na próbę.

- Ale jak możemy być pewni? - ponaglał Michael.

- Musimy przecież mieć pewność.

- Lot... lot był spokojny. Słyszeliśmy to dwukrotnie. To wszystko, co musimy wiedzieć. Lot... spokojny.

- Oczywiście. Spokojny lot. Już wszystko w porządku. Możemy się pośpieszyć...

Teraz podryfujemy z powrotem... do czasu sprzed sytuacji wyjątkowej. Rozluźnij się, śpij.

- Bardzo dobrze - powiedział doktor z drugiego końca słabo oświetlonego, nędznego pokoju. - Nigdy w życiu nie widziałem tak szybkiego działania. To dopiero reakcja!

- Nie było to zbyt trudne - odpowiedział Havelock, podnosząc się z łóżka i przyglądając uważnie pomieniatczikowi.

- Odkąd wydano mu rozkaz, myślał tylko o trzech rzeczach: o wyjątkowej sytuacji, prędkości i o potwierdzeniu rozkazu. Kazano mu zabić, co było rozkazem ostatecznym i w dodatku niebezpiecznym, więc najważniejsze było potwierdzenie. Słyszał pan, musiałem powtarzać dwa razy.

- „Spokojny lot” to hasło. Powiedział je panu, teraz kolej na pański odzew. Jest pan bliżej.

- A pan nie jest amatorem, doktorze. Proszę mi podać krzesło, dobrze? Ja też mam na głowie szybkość i sytuację wyjątkową. Może się zrobić gorąco. Taylor postawił przy łóżku krzesło z twardym oparciem, Michael usiadł. Mebel się chybotął, ale nadawał się do użytku.

Havelock pochylił się do przodu, oparł łokcie na brzegu łóżka i znowu się odezwał do związanego mężczyzny:

- Mamy spokojny lot... spokojny lot... bardzo spokojny lot! Zabij swego partnera!

Ranny pokręcił głową w prawo, zamrugał przymglonymi oczyma, poruszył wargami - w niemym proteście.

- Słyszałeś! - krzyknął Havelock. - Mamy spokojny lot, więc go zabij!

- Co? Dlaczego? - Szeptane słowa brzmiały gardłowo.

- Czy jesteś żonaty? Powiedz, skoro mamy spokojny lot, czy jesteś żonaty?

- Tak... tak, żonaty.

- Zabij swoją żonę.

- Dlaczego?

- Mamy spokojny lot! Nie możesz odmówić.

- Dlaczego... dlaczego?

- Zabij swojego partnera! Zabij swoją żonę! Czy masz dzieci? - Nie! - Oczy leżącego mężczyzny rozszerzyły się, mgła na oczach rozpalila. - Nie mógłbyś nigdy mi kazać... nigdy!

- Mogę! Spokojny lot! Czego więcej potrzebujesz?

- Potwierdzenia. Domagam się potwierdzenia! Muszę... je mieć!

- Skąd? Od kogo? Już ci powiedziałem. Mamy spokojny lot! To jest to!

- Proszę...! Mnie, zabij mnie. Wszystko mi się myli...

- Dlaczego ci się myli? Słyszałeś mój rozkaz, tak samo, jak słyszałeś rozkaz na dzisiaj.

Czy to ja wydałem ci ten rozkaz?

- Nie.

- Nie? Nie pamiętasz? Skoro nie ja, to kto?

- Wycieczka... spokojny lot. Kontrola...

- Kontrola?

- Początek.

- Kontrola początkowa! Twoja kontrola początkowa. Ja jestem twoją kontrolą początkową! Zabij swojego partnera! Zabij żonę! Zabij dzieci! Wszystkie dzieci!

- Ja... ja... Nie możesz mnie prosić... proszę, nie...

- Ja nie proszę. Ja żądam, wydaję rozkaz! Chcesz spać?

- Tak.

- Nie możesz spać! - Michael odwrócił głowę i odezwał się do Taylora cichym, ledwie słyszalnym głosem.

- Na ile wystarczy dawka?

- Działa pan tak energicznie, że wystarczy na połowę zwykłego czasu. Jeszcze góra dziesięć minut. - Proszę przygotować następną. Zabieram go.

- Rozerwie go na strzępy.

- Uspokoi się.

- To pan jest lekarzem? - zdziwił się doktor.

- Ja jestem twoim głównym kontrolerem! - krzyknął Havelock, podnosząc się z krzesła i pochylając nad twarzą podróżnego. - Nie ma nikogo innego, pomieniatczik! Zrobisz to, co ci każe i tylko to, co ci każe! A teraz: twój partner, twoja żona, dzieci...

- Ahhhhhh...! - Zabrział długi okrzyk, wołanie pozbawione nadziei.

- Dopiero zacząłem... Związany, otumaniony narkotykiem morderca znów zaatakował skórzane i bawełniane pasy. Rysy twarzy i członki miał potwornie wykręcone, a umysł całkowicie sterroryzowany przez wymagane od niego poświęcenie oraz kolejne ataki bólu - nie widział wyjścia ze straszego labiryntu.

- Teraz - powiedział Havelock do lekarza obok. Taylor wbił igłę w ramię, reakcja nastąpiła natychmiast, poprzednia dawka przyspieszyła działanie następnej. Krzyki zmieniły się w zwierzęcy skrzek, z ust zabójcy popłynęła ślina.

- Daj mi! - krzyknął Michael. - Udowodnij! Albo zgiń razem ze wszystkimi! Partner, żona, dzieci... Wszyscy zginiecie, jeśli mnie nie przekonasz. Teraz, natychmiast! Jaki jest kod twojej kontroli początkowej?

- Hammer Zero Dwa! Znasz go!

- Tak, znam. Powiedz mi, gdzie można mnie znaleźć - tylko nie kłam!

- Nie wiem... Nie wiem! Jestem wzywany... Wszyscy jesteśmy wzywani.

- Kiedy chcesz zezwolenia, kiedy masz informacje, jak mnie znajdujesz? Kiedy chcesz potwierdzenia, kiedy masz do przekazania wiadomości?

- Mówię im... że potrzebuję. Wszyscy. Każdy.

- Komu?

- Orphan. Szukać... Orphana.

- Orphana?

- Dziewięć Sześć.

- Orphan Dziewięć Sześć? Gdzie on jest? Gdzie?

- O...er...pe...ha... - Końcowy okrzyk zabrzmiał wstrząsająco. Morderca rzucił się z całą siłą i zerwał jeden z pasów, uwalniając lewą rękę. Uniósł się w górę, później jego kręgosłup wygiął się w paroksyzmie bólu i mężczyzna upadł nieprzytomny po drugiej stronie łóżka.

- Skończone - powiedział Taylor, biorąc w palce przegub ręki więźnia. - Jego tętno przypomina pneumatyczną wiertarkę udarową, następną dawkę przetrzyma najwcześniej za osiem godzin. Przykro mi!

- Nic nie szkodzi, doktorze - powiedział Michael, odchodząc od łóżka i sięgając do kieszeni po papierosa. - Nieźle nam poszło. Jest pan cholernie zdolnym chemikiem.

- Nie uważam tego za moje życiowe powołanie.

- Gdyby teraz się nie udało, mógłby pan nie - Havelock przerwał, żeby zapalić papierosa.

- Co?

- Nic. Chciałem powiedzieć, że może pan nie ma czasu, aby się czegoś napić, ale ja mam.

- Ja też. Poślę Borysa do kliniki.

- Borysa? Pan wie?

- Dość dużo, aby go nie uważać za harcerza.

- To zabawne, ale kiedyś pewno nim był.

- Proszę mi powiedzieć - zaczął rudy lekarz - czy kontrola początkowa wydałaby mu taki rozkaz? Żeby zabił żonę i dzieci, ludzi tak mu bliskich?

- Nigdy. Moskwa nie ryzykowałaby. Ci ludzie działają jak roboty, lecz płynie w nich krew, nie olej. Są stale obserwowani i jeśli KGB chce ich wyeliminować, posyła w tym celu oddział egzekucyjny. Normalna rodzina jest częścią kamuflażu i również potężnym hakiem pomocniczym. Jeżeli człowieka coś kusi, wie, czym to grozi.

- Pan też to zastosował, prawda? Tylko na odwrót.

- Nie jestem wprawdzie dziko zadowolony z rezultatów, ale ma pan rację.

- Jezus Maria i Paddy O'Rourke! - mruknął lekarz.

Michael przyglądał się, jak Taylor sięga po telefon, żeby podać instrukcje przez centralę Bethesda.

- Chwileczkę! - zawołał nagle Michael.
- Co się stało?
- Niech mi pan da ten telefon! - Havelock rzucił się do stołu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer, mówiąc do siebie na głos:
- O, er, pe, ha, a, en... Dziewięć Sześć.
- Słucham - odezwał się kobiecy głos.
- Co?
- Dzwoni pan na erkę, na kartę kredytową czy pod inny numer? - Na kartę kredytową.
- Michael wpatrywał się w ścianę, starając się przypomnieć sobie swój niemożliwy do wykrycia, urzędowy numer. Podał go telefonistce i po chwili usłyszał dzwonek: „Dobry wieczór, dziękujemy za telefon do naszej firmy Voyagers Emporium czyli bagaże dla eleganckich globtroterów. Jeżeli mają państwo przygotowany numer czy też numery wybranych z naszego katalogu przedmiotów, które zamierzają państwo kupić, przełączymy tę rozmowę do odpowiedniego przedstawiciela w naszym sklepie, czynnym całą dobę.” Havelock odłożył słuchawkę. Potrzebował innego kodu, a ten znajdzie w klinice. Musi znaleźć... Wszyscy tak robimy. Każdy z nas... Koniec tego kodu był dwuznaczny.
- I co? - zapytał zdumiony Taylor.
- To zależy od pana, doktorze. Słyszał pan kiedyś o Firmie Voyagers Emporium? Ja jej nie znam, ale przez całe lata kupowałem swoje rzeczy w Europie.
- Voyagers? Jasne. Mają swoje sklepy dosłownie wszędzie. Odpowiednik Tiffany'ego w handlu walizkami. Moja żona kupiła kiedyś u nich torbę i przysięgam, że kiedy dostałem rachunek, myślałem, że kupiła samochód. Firma pierwsza klasa.
- Są również przykrywką dla KGB. Musi pan nad tym popracować. Proszę odłożyć inne sprawy. Chcę, żeby był pan w klinice razem z naszym globtroterem. Potrzebna nam następna seria liczb. Jeszcze tylko jeden zestaw. Na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki, a potem mocne stukanie do drzwi.
- Co tam? - spytał Havelock, na tyle głośno, aby go było słychać za drzwiami.
- Jesteś potrzebny, Czyściciel Piąty. Pilne wezwanie przez radio wozów policyjnych. Mają cię zawieźć na lotnisko, ale już.
- Idę. - Havelock odwrócił się do Taylora: - Niech pan załatwi, co trzeba. I zostanie z tym człowiekiem. Będę w kontakcie. Przykro mi, że się nie zdążyliśmy napić.
- Paddy'emu O'Rourke też przykro.

- Kto to taki?

- Mały facet, który siedzi na moim ramieniu i mówi, żebym za dużo o nie myślał.

Michael wspinał się do wojskowego helikoptera, którego wielkie śmigło z hukiem przesywało powietrze, pilot gestem zaprosił go na pokład.

- Mamy tu radiotelefon - zawołał. - Jak zamkniemy klapę, będzie trochę ciszej. Wtedy się połączymy.

- Kto to jest?

- Tego się nie dowiemy - krzyknął telegrafista, odwracając się od konsoli przy bocznej ścianie. - Nasze ogniwo jest spalone. Jesteśmy pomijani. Ciężkie metalowe drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając smugi lotniskowych reflektorów i zmieniając grzmot rotorów w przytłumiony ryk. Havelock przykucnął w ciemności i złapał za słuchawkę. Jedną ręką przyciskał ją do prawego ucha, drugą zaś zasłaniał lewe. Głos, który zabrzmiał w telefonie na końcu, był głosem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Zawiozą pana wprost do bazy lotniczej w Andrews na spotkanie z Arthurem Pierce.

- Co się stało, proszę pana?

- Pierce jest w drodze na Poole's Island ze specjalistą od sejfów, ale chce najpierw z panem porozmawiać. Boi się czegoś, a jego nie łatwo przestraszyć.

- Rosjanie?

- Tak. Pierce nie wie, czy przyjęli jego opowieść, czy nie. Wysłuchali go, kiwnęli głowami i kazali mu wyjść. Wydaje mu się, że w ciągu ostatnich osiemnastu godzin dowiedzieli się czegoś ważnego, czegoś, o czym nie chcą mówić, ale czegoś, co może wszystko rozwalić. Przestrzegł ich, aby nie robili żadnych gwałtownych posunięć bez porozumienia się z najwyższymi władzami.

- Jaka była ich odpowiedź?

- Groźna. „Pilnujcie siebie”, tak powiedzieli.

- Coś mają. Pierce dobrze zna swoich wrogów.

- W ostatecznej sytuacji będziemy zmuszeni ujawnić Matthiasa... w nadziei powstrzymania ataku, choć bez żadnej gwarancji, że to poskutkuje. Nie muszę panu mówić, czym to się skończy! Będziemy trędotatym rządem, któremu nikt już nigdy nie zaufa.

Oczywiście, o ile zostaniemy na mapie...

- Co mam zrobić? Co chce Pierce?

- Wszystko, co pan ma, czego się pan dowiedział. Usiłuje znaleźć coś, cokolwiek, co mógłby wykorzystać jako narzędzie nacisku. Każda godzina, kiedy może przedstawić kontrpropozycję i zapobiec eskalacji, każdy dzień, który dla nas kupi, jest dniem dla pana.

Pan robi postępy, prawda?

- Tak. Znamy kontakt Dylemata, wiemy gdzie posyła i odbiera. W południe powinniśmy się dowiedzieć, jak to robi, i przez kogo. Wtedy go znajdziemy.

- Może jest pan więc o krok od Parsifala?

- Tak sędzę.

- Nie to chcę usłyszeć! Chcę usłyszeć „tak”.

- Tak, panie prezydencie. - Hawelock urwał, myśląc o kilku krótkich słowach, jakich potrzebowali, aby złamać szyfr Voyagers Emporium. Zostaną nagrane w klinice. - Na pewno.

- Wierzę panu, i dziękuję Bogu. Niech pan leci do Pierce'a. Niech mu pan powie wszystko, co pan wie. Niech mu pan pomoże!

35

Bursztynowe światła oświetlały przecinające się pasy.

Promienie reflektorów krzyżowały się w powietrzu i omiały gęstą warstwę chmur, gdy rutynowe patrole i loty kontrolne wzbijały się w nocne niebo, a potem spadały w ciemności na oświetlone lotnisko. Andrews było rozległym, samowystarczalnym, dobrze strzeżonym miastem wojskowym. Zarówno na lotnisku, jak i poza nim, panowała ożywiona działalność. Tutaj znajdowała się siedziba dowództwa sieci Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Dla wielu tysięcy pracujących tu ludzi nie było czegoś takiego, jak noc czy dzień, były tylko godziny dyżuru i zadania do wykonania. Banki komputerowych danych zainstalowane w kilkunastu budynkach, przekazywały informacje do Dowództwa Obrony Powietrznej oraz stacji liniowych DEW i SAC. Baza zajmowała ponad półtora tysiąca hektarów na wschód od Potomaku i na zachód od zatoki Chesapeake, jednakże jej zainteresowania obejmowały cały świat, a celem była obrona północnoamerykańskiego kontynentu. Wojskowy helikopter dostał pozwolenie na wejście w obszar niskich wysokości i lądowanie na kawałku terenu na północ od głównego pola. Reflektory złapały ich na pół

kilometra od ziemi, kiedy radar, radio i ostry wzrok pilota ustawiały ich w miejscu, z którego mogli pionowo zejść na ziemię. Pośród instrukcji, przekazanych przez radio z wieży kontrolnej, była wiadomość dla Czyśca Piątego. Podstawiony łazik przewiezie Hawelocka na pas położony na południowym obwodzie, poczeka, aż załatwi on sprawę i odwiezie go z powrotem do helikoptera. Havelock wy dostał się z kabiny i zeskoczył na ziemię. Ruch zwalniających rotorów wzmacniał wilgotny chłód powietrza i Michael, odchodząc pośpiesznie od helikoptera wtulił głowę w kłapy płaszcza, żałując, że nie ma kapelusza. Dopiero po chwili przypomniał sobie, iż jedynym nakryciem głowy jakie aktualnie posiadał, była wystrzępiona wełniana czapka, którą zostawił gdzieś na Poole's

Island.

- Proszę pana! Proszę pana! - dobiegł go krzyk z lewej strony, zza ogona helikoptera.

Był to kierowca łazika, ledwie widocznego w cieniu między oślepiającymi łukowymi światłami lotniska. Gdy Havelock podbiegł do samochodu, sierżant za kierownicą zaczął

wysiadać w geście szacunku.

- Daj pan spokój - powiedział Michael, podchodząc z boku i chwytając za ramę okienną. - Nie zauważyłem pana - dodał, wskazując do samochodu i opuszczając się na siedzenie.

- Takie dostałem polecenie, proszę pana - wyjaśnił podoficer lotnictwa. - Żeby się jak najbardziej zamaskować.

- Dlaczego?

- O to musi pan spytać faceta, który wydaje rozkazy. Myślę, że był ostrożny, a ponieważ nikt tu nie zna żadnych nazwisk, to ja też się o nic nie pytam. Łazik skoczył do przodu, umiejętnie wprowadzony na wąską asfaltową drogę, biegnącą pięćdziesiąt metrów od lądowiska helikoptera. Kierowca skręcił w lewo i dodał gazu. Droga okrążała łukiem ogromne pole z oświetlonymi budynkami i ogromnymi parkingami: migoczące czarne budowle i ciemne przestrzenne plamy, przetykane blaskiem nadjeżdżających reflektorów.

Najwidoczniej wszystko w Andrews działo się zawsze w przyśpieszonym tempie. Zimny wiatr wiał ze wszystkich stron, a chłodne powietrze przenikało przez płaszcz Michaela, napinając mu mięśnie w obronie przed zimnem.

- Dla mnie może się nawet nazywać Little Bo Beep powiedział Havelock dla podtrzymania konwersacji. - Byleby tam, dokąd jedziemy, było ciepło.

- Bardzo żałuję - sierżant rzucił okiem na Michaela - ale nic z tego. Ja mam pana zawieźć na pas startowy na południowej obwodnicy. Obawiam się, że tylko tam. Havelock założył ręce i wpatrywał się przed siebie, zastanawiając się, dlaczego podsekretarz stanu zachowuje się z taką ostrożnością na wojskowym terenie. Potem przypomniał sobie samego człowieka i znalazł częściową odpowiedź, wprawdzie niepełną, ale istotną: powód musi być!

To, co przeczytał w aktach Arthura Pierce'a w Departamencie Stanu, pasowało do tego, co wiedział z obserwacji. Podsekretarz był inteligentnym, przekonywającym rzecznikiem interesów amerykańskich w ONZ, a także na różnych międzynarodowych konferencjach, nie ukrywającym swego absolutnego braku zaufania do Rosjan. Ów brak zaufania wyrażał on ciętym, agresywnym dowcipem i powierzchownie uprzejmymi atakami wprost, co flegmatycznych Rosjan doprowadzało do szału, ponieważ nie umieli odpłacić mu się tym samym. Potrafili się tylko przechwalać i lekceważąco zachowywać. Być może najważniejszym wyróżnikiem Pierce'a było to, że został on osobiście wybrany przez Matthiasa w czasie, kiedy Anthon był u szczytu swych możliwości intelektualnych. Jednakże cechą charakterystyczną, o jakiej myślał teraz Havelock, jadąc po ciemnej drodze lotniska,

była wysoko oceniana samodyscyplina przypisywana Arthurowi Pierce'owi przez prawie każdą osobę, której opinie znajdowały się w jego służbowych aktach. Odzywał się wyłącznie wtedy, kiedy miał coś do powiedzenia. Idąc tym tropem, pomyślał Michael, należy przyjąć, że nie robiłby niczego bez powodu. A wybrał spotkanie na pasie startowym. Kierowca skręcił

w lewo w krzyżującą się drogę, która biegła wzdłuż wielkiego hangaru naprawczego, a potem skręcała w prawo, tuż przy granicy opuszczonego lądowiska. Z daleka w świetle reflektorów widać było samotną postać mężczyzny. Za nim, jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej, z boku pasa startowego stał mały turbośmigłowiec, z zapalonymi wewnętrznymi i zewnętrznymi światłami, a obok znajdował się wóz z paliwem.

- Tam jest ten facet - powiedział kierowca, zwalniając. Wyrzucę tu pana i zaczekam przy składzie rupieci.

- Przy czym?

- Przy hangarze naprawczym. Niech pan zawoła, to podjadę. Łazik zatrzymał się dziesięć metrów od Arthura Pierce'a. Havelock wysiadł i zobaczył, jak wysoki, szczupły mężczyzna w ciemnym płaszczu i kapeluszu, idzie długim, energicznym krokiem w jego kierunku. Najwyraźniej Pierce nie przejmował się protokołem, choć w Departamencie Stanu było wielu na tym samym stanowisku, którzy, niezależnie od kryzysowej sytuacji, oczekiwali aż zwykły urzędnik służby zagranicznej pofatyguje się do nich. Michael ruszył

w jego stronę, spostrzegając, że po drodze Pierce ściąga z prawej dłoni rękawiczkę.

- Pan Havelock? - spytał dyplomata, wyciągając rękę, kiedy łazik już odjeżdżał.

- Pan podsekretarz?

- Oczywiście, że to pan - Pierce, uściśnął mu dłoń mocno i zdecydowanie. -

Widziałem pańską fotografię. Prawdę mówiąc, czytałem o panu wszystko, co udało mi się dostać. Przypuszczam, że powinienem przejść do rzeczy.

- To znaczy?

- Cóż, jestem trochę wstrząśnięty, co brzmi dość głupio u dorosłego człowieka. Ale pańskie osiągnięcia w dziedzinie, o której zresztą nie mam pojęcia, są bardzo imponujące. -

Podsekretarz przerwał, wydawał się zakłopotany. Wyobrażam sobie, że egzotyczna natura pańskiej pracy często powoduje tego rodzaju reakcję.

- Chciałbym, żeby tak było, poprawia mi pan samopoczucie. Zwłaszcza w kontekście błędów, jakie popełniłem, szczególnie podczas ostatnich miesięcy.

- To nie były pańskie błędy.

- Powinienem również powiedzieć panu ciągnął dalej Michael, nie reagując na komentarz że ja także dużo o panu czytałem. W kraju nie ma wielu ludzi pańskiego pokroju.

Anthon Matthias wiedział, co robi, kiedy jeszcze wiedział, co robi, gdy wyciągnął pana z grupy i ustawił tu, gdzie pan teraz jest.

- To jest coś, co nas łączy, prawda? Anthon Matthias. Pan siedział w tym znacznie głębiej i nie mógłbym udawać, że tak nie było. Ale przywilej, cholerny przywilej, nie umiem tego inaczej określić, poznania go w taki sposób, jak ja go znałem sprawia, że te lata, napięcie, trud, są czegoś warte. Wtedy w moim życiu wszystko się rozpadało, a on znów to dla mnie scalił.

- Myślę, że obaj mamy podobne odczucia.

- Nie ma pan pojęcia, jak panu zazdrościłem, kiedy czytałem pańskie akta. Byłem z nim blisko związany, lecz nigdy nie mogłem być dla niego tym, kim pan był. Te lata musiały być dla pana niesamowitym doświadczeniem.

- Owszem, były. Ale teraz już nie ma niczego dla żadnego z nas.

- To niewiarygodne.

- Niech pan lepiej uwierzy. Ja go widziałem.

- Ciekaw jestem, czy pozwolą mi go zobaczyć. Wie pan, że jestem w drodze na Poole's Island?

- Niech pan zrobi sobie tę przysługę i go nie ogląda. To brzmi jak komunał, ale niech go pan zachowa w pamięci takim, jakim był kiedyś, a nie, jakim jest teraz.

- No, właśnie, teraz. - Pierce potrząsnął głową, wpatrując się w Havelocka w migocącym świetle lądowiska. - Jest kiepsko. Chyba nawet nie powiedziałem wyraźnie prezydentowi, jak blisko stoimy przepaści.

- Zrozumiał. Powtórzył mi, co panu powiedzieli, kiedy ich pan ostrzegł. „Pilnujcie siebie”, tak?

- Tak. Kiedy oni mówią prosto i bezpośrednio, zaczynam się bać. Uderzają na oślep; a wtedy jedno gwałtowne pchnięcie i jesteśmy skończeni. Niezłe dają sobie zazwyczaj radę w negocjacjach, pan jednak zna Rosjan lepiej niż ja. Jak pan to rozumie?

- Tak samo jak pan. Nie posługują się niedomówieniami, lecz stylem napuszonym.

Kiedy przestają grozić, stają się groźni. Przechodzą od słów do czynów.

- To właśnie mnie przeraża. Jedyne rzecz, którą się pocieszam to to, że nie wierzę do końca, aby

wprowadzili do rozmów facetów od naciskania guzików. Jeszcze nie. Wiedzą, że muszą być absolutnie dokładni. Jeżeli zdobędą konkretne dowody, nie tylko poszlaki, że Matthias zaangażował się w pakt o agresji nuklearnej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jeżeli wywęszą najskromniejszy choćby udział Chin, bez wahania popchną tę decyzję wyżej, żeby nie ponosić za nią odpowiedzialności. A wtedy możemy się zabrać za kopanie schronów.

- Agresja nuklearna...? - Havelock zawahał się, przerażony bardziej, niżby się tego spodziewał. - Sądzi pan, że posuną się aż do tego?

- Już im niewiele brakuje. Dlatego działają tak chaotycznie. Paktowanie wariatów... z innymi wariatami. - Ale teraz przycichli i pokazują nam drzwi. A kiedy się ich ostrzeża, to oni mówią, że powinniśmy pilnować swoich interesów. To też budzi moje obawy, panie podsekretarzu.

- Domyśla się pan zatem, o czym myślę?

- O Parsifalu.

- Tak.

- Berquist mi mówił, że pańskim zdaniem Rosjanie dowiedzieli się czegoś w ciągu ostatnich osiemnastu godzin. Czy to prawda?

- Nie jestem pewien - odparł Pierce. - Nie jestem nawet całkiem pewien, czy zmierzam we właściwym kierunku, ale niewątpliwie coś się stało. Dlatego chciałem z panem rozmawiać. Tylko pan jeden wie dokładnie, co się dzieje, godzina po godzinie. Gdyby pan zwrócił na coś uwagę, połączył to z czymś, co oni powiedzieli albo jak zareagowali, wtedy może mógłbym wychwycić związek. Szukam osoby albo wydarzenia, czegoś, co mógłbym im przeciwstawić, co mógłbym wyciągnąć z rękawa, zanim oni to zrobią, i w ten sposób ich zagiąć. Wszystko jedno co, byle nie zdążyli zaalarmować swoich generałów w Prezydium.

- Oni nie są głupi, dobrze znają tych facetów. Będą wiedzieli, z czym przychodzą.

- Nie sądzę, aby mogło ich to powstrzymać.

- Pierce zawahał się, jakby debatował sam z sobą, czy przytoczyć ten przykład, potem postanowił mówić. - Zna pan generała Halyarda?

- Nigdy go nie widziałem. Ani ambasadora Brooksa. Miałem ich poznać dziś po południu. A czemu pan pyta?

- Uważam go za jednego z najbardziej myślących i sceptycznych wojskowych w tym kraju.

- Zgadza się. Znam tę opinię o nim, a poza tym czytałem także jego akta. Więc?

- Zapytałem go dziś po południu, jaka byłaby reakcja, również jego, gdyby nasze tajne służby

wygrzebały chińsko sowiecki pakt przeciwko nam, w którym zaplanowano by atak w ciągu najbliższych czterdziestu pięciu dni i zawarto informacje podobne do tych, z dokumentów na Poole's Island. Jego odpowiedź składała się z jednego słowa: „nacisnąć”.

Jeśli on tak mówi, to czego się spodziewać po ludziach mniejszego kalibru, znacznie mniej pewnych siebie? Arthur Pierce nie dramatyzował, lecz pytał spokojnie, a jednak chłód, jaki odczuwał Michael, tylko po części spowodowany był wilgotnym, zimnym powietrzem. Siły zwierały szeregi, czas uciekał.

- Prezydent powiedział, żeby panu pomógł - zaczął. - Nie wiem, czy potrafię, ale spróbuję. Mówi pan, że szuka czegoś, co by ich zaszachowało, może mam coś takiego. Wiem o długotrwałej operacji KGB, która zaczęła się jeszcze za czasów NKWD w latach trzydziestych. Nazywa się Pomieniatczik.

- Moja znajomość rosyjskiego wymaga obecności tłumacza przerwał mu podsekretarz.

- Nic ważnego, to tylko taka nazwa. Oznacza specjalną strategię, polegającą na wybieraniu przez lekarzy małych rosyjskich dzieci, nawet niemowląt, i przywożeniu ich tutaj.

Umieszcza się je w bardzo specyficznych rodzinach głęboko zakamuflowanych komunistów, gdzie dorastają jako na pozór najzwyczajni Amerykanie, choć im więcej potrafią osiągnąć, tym lepiej. Przez cały czas są specjalnie trenowani, programowani, jeśli pan woli, do specjalnych zadań w dorosłym życiu, które zależą od ich umiejętności i stopnia rozwoju.

Sprowadza się to do infiltracji, i znów: im wyżej, tym lepiej.

- Wielki Boże! - powiedział cicho Pierce. - Przecież takie postępowanie musi być szalenie ryzykowne. Ci ludzie muszą mieć wpojona nadzwyczajną wiarę!

- Naturalnie, to zasadnicza sprawa w ich programowaniu. Ponadto są nieustannie śledzeni i przy najlżejszym odchyleniu eliminuje się ich lub odsyła do Matki Rosji, gdzie się ich reedukuje a oni w tym samym czasie uczą innych w „amerykańskich” dzielnicach na Uralu czy w Nowgorodzie. Najważniejsze jest to, że nigdy nie udało nam się naprawdę dotrzeć do źródeł. Te parę osób które złapaliśmy, niewiele wiedziało, znajdowały się na samym dole drabiny i nie potrafiły niczego konkretnego powiedzieć. Być może teraz mieliśmy szczęście. Złapaliśmy najprawdziwszego pomieniatczika zaprogramowanego na zabijanie w jednostce egzekucyjnej. Tacy jak on mają dostęp, muszą mieć dostęp do centrów dowodzenia i kontroli źródłowej. Istnieje bowiem zbyt wielkie ryzyko, zbyt wiele możliwości nieprzewidzianych reakcji, nie mówiąc już o tym, że można wpaść. Rozkazy muszą być sprawdzane, uprawnienia potwierdzane.

- Ma pan takiego człowieka? Gdzie, na Boga?

- Teraz przewożą go samolotem do Bethesda, jest ranny, a dziś wieczorem przetransportują go do kliniki w Wirginii.

- Żeby mu się tylko nic nie stało! Czy jest z nim jakiś dobry lekarz?

- Chyba tak. Specjalista kliniczny nazwiskiem Taylor, będzie przy nim cały czas.

- Sądzi pan więc, że rano dostarczy mi czegoś, co będę mógł wykorzystać w negocjacjach z Rosjanami? To może być właśnie to, czego potrzebuję. Odpieram ich atak własnym atakiem. Oskarżam...

- Mogę dać to panu teraz - przerwał mu Havelock ale nie będzie pan mógł tego wykorzystać bez mojego zezwolenia. Najwcześniej jutro wieczorem. Może pan tak długo przeciągać?

- Chyba tak. Co to jest?

- Godzinę temu poddaliśmy go działaniu środków farmakologicznych. Nie wiem, jak dotrzeć do właściwych ludzi, ale znam parawan, za którym ukrywa się ich centrum sprawdzania. Znamy też zaszyfowaną nazwę źródła kontroli tego pomieniatczika dla naszego terenu, co, jak mniemam, obejmuje także operację waszyngtońską, najbardziej istotną w Stanach.

- Pan jest po prostu niesamowity! - powiedział Pierce z podziwem i szacunkiem. -

Przedtem mówiłem, że jestem trochę wstrząśnięty. Cofam to. Jestem ogromnie wstrząśnięty.

Co z tego mogę wykorzystać?

- Co pan zechce. I tak pojutrze wszystko będę wiedział.

- Kilka minut temu prezydent powiedział mi... Dzwonił już po rozmowie z panem.

Myśli pan, że jest tak blisko Parsifala?

- Będziemy jeszcze bliżej, kiedy położymy pacjenta doktora Taylora w klinice. Jego kilka słów może nas przybliżyć na odległość wyciągniętej ręki do człowieka, którego nazywamy Dylematem. Jeżeli wszystko, co zaprojektowaliśmy, co Bradford zaprojektował, się zgadza, a moim zdaniem tak musi być, to kiedy dotrzemy do Dylemata, dowiemy się, kim jest Parsifal. Ja się dowiem.

- O Boże, jak?

- Matthias właściwie powiedział mi, że go znam. Czy słyszał pan o firmie z siecią sklepów, która nazywa się Voyagers Emporium?

- Od nich pochodzi większość moich walizek, przyznaję ze smutkiem. A w każdym razie, z tego powodu smutne jest moje konto w banku...

- Gdzieś w środku firmy, w jakimś dziale czy sekcji, znajduje się ośrodek kontroli KGB. Dylemat musi być z nimi w kontakcie, stamtąd otrzymuje rozkazy, przekazuje informacje. Złamiemy ich po cichu, rozwalimy wszystko i znajdziemy go. Dużo nam nie trzeba, wiemy gdzie jest ulokowany.

- Tam, gdzie go pan codziennie widuje - powiedział Pierce, kiwając głową. - A zaszyfowana nazwa

głównego kontrolera?

- Hammer Zero Dwa. Nic nam to nie mówi i może być zmienione w ciągu kilku godzin, ale fakt, że odkryliśmy to, że przerwaliśmy zamknięty krąg pomieniatczika, musi kogoś na Kremlu kosztować dużo zdrowia. Kiedy przekażę panu sygnał, może pan wykorzystać to, co się panu przyda, zarówno całość, jak i poszczególne części. Jest to w gruncie rzeczy odwrócenie uwagi, zboczenie z kursu, jak pan to nazywa, lecz dość znaczące.

Niech pan spowoduje dyplomatyczny zamęt, burzliwą wymianę telegramów między Moskwą i Nowym Jorkiem. Niech nam pan kupi trochę czasu.

- Jest pan pewien?

- Jestem pewien, że nie mamy wyboru. Potrzeba nam czasu. - Może pan zgubić głównego kontrolera.

- To trudno. Z czymś takim da się żyć, ostatecznie istnieją w ponad sześćdziesięciu krajach. Nie da się jednak żyć z Parsifalem. Nikomu z nas.

- Będę czekał na pański telefon. Podsekretarz stanu zerknął na zegarek, mrużąc oczy, aby odczytać w słabym świetle godzinę.

- Mam jeszcze parę minut do odlotu. Specjalista od sejfów musiał przylecieć z Los Alamos, ma spotkanie z jednym z ludzi ze swojej firmy, który przywiózł mu wewnętrzne wykresy... Jest wiele rzeczy, o które chciałbym zapytać, wiele spraw, o których muszę coś wiedzieć.

- Jestem tu tak długo, jak i pan. Kiedy pan odleci, ja też odlatuję. Tak mi powiedział

prezydent. - Lubię go. Nie wszystkich prezydentów lubiłem.

- Ponieważ wie pan, że dopóki pełni swój urząd, zupełnie go nie interesuje, czy pan go lubi, czy nie. Tak ja go wyczuwam. I też go lubię, chociaż mam mnóstwo powodów, aby, było odwrotnie.

- Costa Brava? Słyszałem o wszystkim.

- To już przeszłość. Zajmijmy się teraźniejszością. Co jeszcze mógłbym panu powiedzieć?

- To, co najważniejsze - odparł Pierce głucho brzmiącym głosem. - Jeśli Parsifal dotarł

do Rosjan, co mogę im powiedzieć, zakładając, że w ogóle będę miał szansę, aby coś powiedzieć? Jeśli napomknął o czynniku chińskim lub o słabych punktach ich własnych możliwości kontraktacji, jak mogę to wyjaśnić? Skąd on to wszystko wie? Ujawnienie Matthiasa to tylko część odpowiedzi. Szczerze mówiąc, to za mało, i pan przecież o tym doskonale wie!

- Wiem. - Havelock usiłował zebrać myśli, żeby wyrażać się jak najjaśniej i najbardziej precyzyjnie. - W tych umowach jest mieszanina tysiąca ruchów, jak w trójstronnej partii szachów, w której my

jesteśmy niemy kibicem. Nasza znajomość rosyjskiego i chińskiego systemu jest dużo większa, niż kiedykolwiek dawaliśmy to do zrozumienia, i istnieją strategiczne komitety powołane do zbadania i oceny każdej możliwej kombinacji na wypadek, gdyby jakiś głupek, wszystko jedno z której strony, wydał rozkaz naciśnięcia guzika.

- Jestem pewien, że takie komitety istnieją także w Moskwie i w Pekinie.

- Ale ani Moskwa, ani Pekin nie miały Anthona Matthiasa, człowieka, który na każde schorzenie miał geopolityczne lekarstwo, człowieka szanowanego, nawet czczonego...

Drugiego takiego nie ma nigdzie na świecie.

- Sowieci traktują go jako cennego pośrednika, nie przeciwnika. Chińczycy wydają dla niego bankiety i nazywają go wizjonerem potwierdził Pierce.

- A kiedy zaczął się załamywać, miał jeszcze w sobie tyle wyobraźni, że wymyślił ostateczną grę w nuklearne szachy.

- Jak?

- Znalazł pewnego gorliwca. Oficera marynarki w jednym z komitetów w Pentagonie, który siedzi po uszy w teoriach zabijania. Podał Matthiasowi wszystko. Skopiował wszystkie strategie i kontrstrategie, jakie te trzy komitety wymieniły między sobą. Zawierały one autentyczne dane - musiały takie zawierać, te gry wojenne są na papierze bardzo prawdziwe.

Każdy szczegół można sprawdzić w komputerze: zasięg zniszczeń wyrządzonych przez każdą megatonę, szkody długotrwałe, granice wykorzystania terenów, zanim ziemia stanie się bezużyteczna. Wszystko tam było i Matthias po prostu złożył to do kupy. Matthias i facet, który nas trzyma za gardło: Parsifal.

- Przypuszczam, że ten oficer marynarki rozpocznie niebawem długi okres odosobnienia.

- Nie jestem pewien, czy coś byśmy przez to osiągnęli. Swoją drogą jeszcze z nim nie skończyłem, wciąż ma pewne rzeczy do przekazania, może nawet już to zrobił.

- Chwileczkę - powiedział podsekretarz stanu, z nagle ożywioną twarzą. - Czy on mógłby być Parsifalem?

- Nie, to niemożliwe.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że na swój niefortunny sposób wierzył w to, co robił. Jest niezmiennie zakochany w swym mundurze i w swym kraju. Nie pozwoliłby na najmniejszy nawet kompromis, nie dałby Rosjanom

grama amunicji. Decker nie jest oryginałem, ale jest szczery.

Wątpię, czy by się załamał na Łubiance.

- Decker... Zamknął go pan, prawda?

- Nigdzie nie ucieknie. Siedzi w dobrze pilnowanym domu. - To wszystko jest całkowicie bezsensowne! - zawołał Pierce, sięgając do kieszeni, wyciągając paczkę papierosów i zapalniczki. Zapali pan? - zaproponował.

- Nie, dziękuję. Wypaliłem już swoją dzienną normę pięciuset sztuk. Mężczyzna zapalił zapalniczkę, trzymając płomyk pod papierosem bez osłony drugiej ręki. Wiatr zdmuchnął

ogień. Zapalił więc następną, z uniesioną lewą dłonią, i zaciągnął się: dym wydobywający się z jego ust zmieszał się z parą oddechu.

- Na spotkaniu dziś po południu, ambasador Brooks poruszył coś, czego nie zrozumiałem. Powiedział, że oficer wywiadu z KGB nawiązał z panem kontakt i zastanawiał

się nad tożsamością moskiewskiej frakcji, która współpracowała z Matthiasem na Costa Brava.

- Miał na myśli Parsifala, Matthias już się wtedy nie liczył. Poza tym Rostow, bo ten oficer nazywa się Rostow, nie zastanawiał się. Wiedział. To grupa fanatyków w oddziale nazywanym Wojennaja. Przy nich nasi Deckerowie przypominają dzieciaki. Rostow stara się ich rozgryźć i życzy mu powodzenia. Wiem, że to idiotyczne, ale tego rodzaju wróg może być naszą nadzieją.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „rozgryźć”?

- Poznać nazwiska, dowiedzieć się, co kto zrobił i dopuścić bardziej normalnych ludzi, żeby się nimi zajęli. Rostow jest dobry, może mu się udać, a wtedy jakoś da mi znać.

- Naprawdę?

- Na lotnisku Kennedy'ego, kiedy przyleciałem z Paryża, zaproponował mi kontakt. Z

oddali dobiegł warkot silnika. Pierce rzucił niedopałek i przydeptał go obcasem.

- Co jeszcze może pan dostać od Deckera? - spytał.

- Mógł, nieświadomie, rozmawiać z Parsifalem lub z kimś od niego. W każdym razie zgłoszono się do jego domu, co oznacza, że pośród kilkuset tysięcy zamiejscowych rozmów, znajduje się konkretna rozmowa, do konkretnego numeru, o konkretnej porze.

- Dlaczego kilkaset, a nie na przykład kilka milionów rozmów?

- Być może zdobędziemy bliższe dane co do terenu. - Tak?

- Coś więcej będę wiedział jutro. Kiedy pan wróci...

- Panie podsekretarzu! Panie podsekretarzu! Okrzykom towarzyszyły jęk silnika łazika i pisk opon, gdy samochód zatrzymał się tuż przy nich.

- Podsekretarz Pierce? - zapytał kierowca.

- Kto panu podał moje nazwisko? - spytał lodowatym tonem Pierce.

- Jest do pana pilna rozmowa. Powiedzieli, że dzwonią z pańskiego biura w ONZ i że muszą z panem koniecznie porozmawiać.

- Rosjanie - mruknął pod nosem Pierce do Havelocka, wyraźnie przejęty. - Niech pan na mnie zaczeka. Podsekretarz stanu szybko wskoczył do łazika Sił

Powietrznych i kiwnął głową kierowcy. Spoglądał na światła hangaru naprawczego.

Michael ciaśniej owinał się płaszczem. W pewnej chwili uwagę jego zwrócił mały turbośmigłowiec, stojący kilkadziesiąt metrów dalej, z dziobem w przeciwnym kierunku.

Lewy silnik pracował i pilot przyśpieszał jego obroty. W chwilę później zaskoczył drugi silnik. Potem Havelock zobaczył inny pojazd, który zajął przy samolocie miejsce ciężarówki z paliwem. Przyjechał specjalista od sejfów, odlot na Poole's Island miał zaraz nastąpić.

Arthur Pierce wrócił sześć minut później, wyskoczył z łazika i odprawił kierowcę.

- To byli Rosjanie - powiedział, podchodząc do Michaela. Zażądali nie rejestrowanego i nie stenografowanego spotkania jutro rano, a to oznacza sytuację wyjątkową. Poprosiłem do telefonu starszego doradcę delegacji i powiedziałem mu, że w związku z ich reakcją dzisiejszego popołudnia, zwołałem moją własną konferencję na jutro. Zasugerowałem także, że może będę miał dla nich informacje, które spowodują burzę telegramów, tu użyłem pańskiego określenia, między Nowym Jorkiem, ich ambasadą w Waszyngtonie i Moskwą.

Dałem im do zrozumienia, że może but do walenia w pulpit znajduje się w innej ręce.

Podsekretarz przerwał na odgłos rozgrzewających się silników samolotu, drugi łazik właśnie odjeżdżał. - To mój sygnał, specjalista od sejfów już jest. Czy wie pan, że włamanie się do tego pokoju zajmie przynajmniej trzy godziny? Proszę mnie odprowadzić do samolotu, dobrze?

- Jasne. Jak zareagowali Rosjanie?

- Oczywiście bardzo niekorzystnie. Znają mnie, wyczuwają moją chęć do odwrócenia ich uwagi, jak to pan nazwał. Ustaliliśmy, że spotkamy się jutro wieczorem. - Pierce przerwał

i zwrócił się do Havelocka: - Na litość boską, musi mi pan wtedy dać zielone światło. Będzie mi potrzebny każdy argument, każda broń, jaką mógłbym dysponować. Między innymi lekarskie zaświadczenie o wyczerpaniu Matthiasa... A nie sprawozdanie psychiatryczne, które mam panu przywieźć.

- Zapomniałem o tym. Prezydent miał mi je dostarczyć wczoraj... dziś.

- Przywiozę je. - Pierce znów dotrzymywał kroku Havelockowi. - Widzę, skąd się to bierze.

- Co się bierze?

- Dni przechodzące jeden w drugi. Wczoraj, dziś... jutro, jeśli będzie jakieś jutro.

Jedna, długa, nie kończąca się bezsenna noc.

- Tak - zgodził się Michael, nie czując potrzeby rozwodzenia się nad tematem.

- Ile tygodni pan tym żyje?

- Więcej niż kilka.

- Boże! - Grzmot obu silników był coraz głośniejszy, w miarę jak zbliżali się do samolotu. - Sądzę, że to jest najbezpieczniejsze miejsce do rozmowy - zawołał Pierce. - Żadne urządzenie nie przebije się przez ten hałas.

- Dlatego chciał się pan spotkać na pasie startowym?

- Pewno ma mnie pan za paranoika, ale tak. Nawet gdybyśmy mieli się spotkać w Dowództwie Obrony Powietrznej, przed rozmową taką jak nasza, musieliby sprawdzić wszystkie ściany. Pan uważa mnie za paranoika! W końcu jesteśmy w bazie Andrews...

- Wcale tak o panu nie myślę - przerwał mu Havelock. - Sam powinienem o tym pomyśleć. Drzwi do małego samolotu były otwarte, metalowe schodki przygotowane. Pilot dał znak ze swego oświetlonego okna, Pierce machnął mu ręką i pokiwał głową. Michael doszedł z podsekretarzem na jakieś trzy metry od drzwi, gdzie śmigło coraz mocniej przeszywało powietrze.

- Mówił pan coś o zlokalizowaniu miejsca w związku z telefonem do Deckera -
zawołał Pierce. Gdzie to jest?

- Gdzieś w Shenandoah - krzyknął Havelock. - To tylko spekulacje, ale Decker dostarczał tam materiały.

- Rozumiem. Silniki zagrzmiały gwałtownym przyspieszeniem, a wiatr wywołany wirowaniem śmigła przeszedł w huragan, zrywając Arthurowi Pierce'owi kapelusz z głowy.

Michael przykucnął, starając się go złapać w szalejącej wichurze. Wreszcie przytrzymał go nogą i oddał podsekretarzowi.

- Bardzo dziękuję! - zawołał Pierce. Havelock zobaczył wyraźnie jego twarz i białe pasmo przechodzące od czoła przez całą długość kręconych, ciemnych włosów.

36

Minęła godzina i czterdzieści pięć minut, nim zobaczył reflektory oznaczające początek podjazdu do Czyśca Piątego. Lot z Andrews do Quantico i jazda samochodem do Fairfax charakteryzowały się dziwnym niepokojem, którego Havelock nie umiał sobie wytłumaczyć. Zupełnie, jakby część jego umysłu przestała funkcjonować! Zdawał sobie sprawę z luki we własnym procesie myślowym, ale jakiś impuls zabraniał mu zajęcia się tym problemem. To było tak, jakby pijany odmówił przyjęcia do wiadomości tego wszystkiego, co wyczyniał poprzedniego wieczoru, bo to, czego się nie pamięta, nie istnieje. Nie był w stanie zrobić czegokolwiek. Nie wiedział, co to było, wiedział tylko, że czegoś nie ma, a więc musiało być. Jedna, długa, nie kończąca się bezsenność. Może potrzebował snu...

Potrzebował Jenny. Nie było jednak czasu na sen, nie było czasu na to, aby byli razem w taki sposób, w jaki chcieli być razem. Nie było czasu na nic, ani dla nikogo, oprócz Parsifala. Co to było? Dlaczego jakaś jego część nagle umarła? Wojskowy samochód zatrzymał się przed wejściem do budynku. Havelock wysiadł, podziękował kierowcy i uzbrojonemu strażnikowi, i podszedł do drzwi. Stojąc z palcem na przycisku dzwonka pomyślał, że i tutaj, podobnie jak przy wielu innych drzwiach do wielu innych domów, do których wchodził, nie miał klucza.

Czy kiedyś będzie miał klucz do jakiegoś domu, który będzie jego, ich, i będzie mógł, jak miliony ludzi, otwierać doń drzwi własnym kluczem? Głupia myśl, bezsensowne roztrząsania. Jakie znaczenie ma dom i klucz? A jednak myśl, a może potrzeba, nie ustępowała. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Jenna Karas, z boleśnie ściągniętymi rysami swej pięknej twarzy, przywołała go do rzeczywistości, patrząc mu w oczy palącym wzrokiem.

- Dzięki Bogu! - zawołała, wyciągając ręce, obejmując go i wciągając do środka. -

Wróciłeś! Myślałam, że zwariuję!

- Co się stało?

- Michaił, chodź ze mną. Szybko! Mocno ścisnęła go za rękę, gdy szli prędko korytarzem, obok schodów, do gabinetu, którego drzwi zostawiła otwarte. Podeszła do biurka, wzięła do ręki kartkę i powiedziała:

- Musisz zadzwonić do szpitala w Bethesda. Wewnętrzny sześć siedem jeden. Ale najpierw musisz usłyszeć, co się stało!

- Co...

- Pomieniatczik nie żyje.

- Jezu Chryste! - Michael złapał za słuchawkę telefonu, który trzymała Jenna. Drżącą ręką wykręcił numer. - Kiedy? krzyknął. - Jak?

- Egzekucja - odparła, kiedy czekał na połączenie z Bethesda. - Niecałą godzinę temu.

Dwóch mężczyzn. Załatwili strażnika nożem, weszli do pokoju i zabili rannego, kiedy był pod wpływem środków odurzających. Dostał cztery strzały w głowę. Doktor szaleje.

- Sześć siedem jeden! Szybko!

- Nie mogłam tego wytrzymać - szeptała Jenna, przyglądając mu się i dotykając jego twarzy. Myślałam, że tam jesteś... gdzieś na zewnątrz... może rozpoznany. Mówili mi, że cię tam nie ma, sama jednak nie wiedziałam już, czy im wierzyć, czy nie.

- Taylor! Jak to się stało? Kiedy Havelock słuchał lekarza, ciało jego ogarnął tępy ból tamujący oddech. Taylor był w szoku i mówił chaotycznie. Krótki opis Jenny był jaśniejszy.

Niczego więcej się nie dowiedział. Dwaj zabójcy w mundurach oficerów marynarki weszli na piąte piętro, znaleźli pacjenta Taylora i zawodowo wykonali egzekucję, zabijając w jej trakcie wojskowego strażnika. - Straciliśmy Dylemata - powiedział Michael, odkładając słuchawkę tak ciężko, że z hukiem opadła na widełki. - Jak? Nie mogę tego zrozumieć!... Mieliśmy maksymalne zabezpieczenie, wojskowy transport, powzięliśmy wszystkie środki ostrożności.

Spojrzał bezradnie na Jenę.

- Czy to wszystko było bardzo widoczne? spytała. - Czy środki ostrożności i transport mogły zwrócić na siebie uwagę?

- Tak. Tak, naturalnie. - Havelock przytaknął ze znużeniem. - Zarekwirowaliśmy lotnisko, lataliśmy tam i z powrotem jak komandosi, zakłócając normalne loty.

- I to niezbyt daleko od Centrum Medycznego - dodała Jenna. - Ktoś zainteresowany łatwo mógł się zorientować, zobaczyć to, co chcieliście ukryć. W tym wypadku wystarczały nosze.

- To jednak nie wyjaśnia tego, co się zdarzyło w samym Centrum Medycznym. -

Michael zsunął płaszcz i obojętnie rzucił go na krzesło. - Wysłano grupę egzekucyjną, aby udaremnić pułapkę, zabić ich własnych ludzi, uniemożliwić schwytanie kogokolwiek żywego.

- Zdarzały się takie przypadki.

- Ale skąd ich kontrola wiedziała, że to pułapka? Rozmawiałem tylko z oddziałem Apaczów i z

Loringiem. Z nikim więcej! Jak mogli? Jak mogli być tak pewni, żeby posłać zabójców? To ogromne ryzyko! Havelock obszedł biurko, przyglądając się porozrzucanym papierom, nienawidząc ich, nienawidząc terroru, jaki powodowały. - Loring powiedział mi, że go najprawdopodobniej zauważono, i że to była jego wina, ale nie wierzę w to. Ten fałszywy samochód patrolowy nie pojawił się ot tak, zza rogu, lecz został skądś przysłany przez kogoś ważnego, kto podjął najbardziej niebezpieczną decyzję. A nie zaryzykowałby jej, widząc jednego człowieka na parkingu! Człowieka, który w dodatku ma zbyt dużo doświadczenia, aby się pokazywać.

- To nie jest logiczne - zgodziła się Jenna. - Chyba, że innych zauważono wcześniej.

- Nawet jeśli rozgryźli zasłonę kardiologiczną, można by ich w najlepszym przypadku uważać za ochronę. Nie, kontrola wiedziała, że to pułapka, wiedziała, że głównym celem, jedynym celem, powiedzmy to sobie otwarcie, było pochwylenie choćby jednego z nich żywego... Do cholery, w jaki sposób? Michael pochylił się nad biurkiem, zaciskając dłonie na krawędzi blatu. W głowie mu waliło. Odepchnął się rękami od biurka i podszedł do szerokich ciemnych okien z grubym szkłem. I wtedy Jenna Karas powiedziała cicho:

- Michaił, rozmawiałeś jeszcze z kimś. Rozmawiałeś z prezydentem.

- Oczywiście, ale... - Przerwał, wpatrując się w zniekształcony wizerunek swojej twarzy w oknie, po czym powoli jego twarz zaczęła się zmieniać w bezkształtne zarysy innej.

Wtedy mgła wisząca nad drzwiami i nad trawnikami na zewnątrz stała się inną mgłą, z innego czasu. Nagle w uszach posłyszał huczące, ogłuszające, nie do zniesienia uderzenia fal.

Błyskawica przecięła oświetlony, niewidzialny ekran w jego umyśle i pojawiły się ostre trzaski, jeden po drugim, aż przerodziły się w przeraźliwe eksplozje wyrzucające go w oszalałą galaktykę błyskających światła... i przerażenia. Costa Brava. Był z powrotem na Costa Brava! A twarz w oknie przybrała formę... formę odległą... formę znaną. Pasma białych włosów przy tej twarzy, otoczone falami czerni, obramowane, odosobnione... Obraz sam w sobie...

- Nie... nie! - usłyszał swój krzyk, poczuł dłonie Jenny na ramionach, na swojej twarzy... Nie swojej twarzy! Twarzy w oknie! Twarzy z wyraźną ścieżką białych włosów...

Jego włosów, lecz nie jego. Jego twarzy, lecz nie jego! A przecież obie były twarzami zabójców: jego twarz i ta, którą widział tamtej nocy na Costa Brava! Rybakowi zerwał czapkę z nienacka morski wiatr. Kapelusz z głowy mężczyzny zerwało nagle wirowanie śmigła. Na pasie startowym... w kiepskim świetle... dwie godziny temu! Ten sam człowiek? Czy to możliwe? Czy to jest w ogóle możliwe?

- Michaił! - Jenna trzymała jego twarz w dłoniach. Michaił, co się dzieje? Co się stało?

- To niemożliwe! - krzyknął. - To nie może być możliwe!

- Co, kochanie? Co jest niemożliwe?

- Jezu Chryste! Wariuję!

- Najdroższy, uspokój się! - zawołała Jenna, potrząsając nim.

- Nie... nie, już dobrze. Zostaw mnie. Daj mi spokój! Wyrwał się jej i podbiegł do biurka. - Gdzie to jest? Gdzie to, do diabła, jest?

- Gdzie co jest? - zapytała spokojnie Jenna, która tymczasem podeszła do niego.

- Akta.

- Jakie akta?

- Moje akta! - Szarpnięciem wysunął prawą górną szufladę, rozgarniając z furją papiery, dopóki nie znalazł teczek z czarnym obramowaniem. Wyciągnął ją, rzucił na biurko i otworzył. Oddychając z trudem przerzucał strony, maniacko błędząc po nich palcami i oczyma.

- Co się stało, Michaił? Powiedz mi. Chcę ci pomóc. Od czego to się zaczęło?

Dlaczego wracasz do tego, co było?... Postanowiliśmy, że nie będziemy siebie więcej ranić.

- To nie ja. To on!

- Kto?

- Nie mogę popełnić błędu! Nie mogę! - Havelock znalazł stronę, której szukał.

Przeleciał wzrokiem linijki, przesuając z góry na dół strony palcem wskazującym. Odczytał

drewnianym głosem: „Zabijają ją. Och, mój Boże, zabił ją, a ja nie zniosę tych krzyków. Idź

do niej, zatrzymaj ich... zatrzymaj ich. Nie, nie ja, ja nigdy. Och, Chryste, odciągają ją...

strasznie krwawi, ale już nie czuje bólu. Odeszła. Och, mój Boże, odeszła, moja miłość odeszła...

Wieje mocny wiatr, zerwał mu z głowy czapkę... Twarz? Czy znam tę twarz? Jakaś fotografia? Akta! Akta zabójcy... Nie, to te włosy. Białe pasmo we włosach.”

- Białe... pasmo - powiedział powoli Michael i spojrzał na Jenę. - To mógł być on!

- Musisz wziąć się w garść, kochanie. Nie zachowujesz się normalnie, jesteś w jakimś szoku. Rozumiesz mnie?

- Nie ma czasu - odrzekł, odsuwając jej rękę i sięgając po telefon. - Nic mi nie jest, a ty masz rację. Jestem w szoku, lecz wyłącznie dlatego, że jest to niewiarygodne!

Niewiarygodne! Chcę dostać połączenie z główną centralą telefoniczną w bazie S ił

Powietrznych w Andrews - powiedział do słuchawki. - I chcę, aby poinstruował pan oficera na służbie, aby udzielił mi tych wszystkich informacji, o jakie go zapytam.

- Jesteś blady - powiedziała Jenna i naląła mu kieliszek koniaku. - Nigdy cię nie widziałam takiego bladego. Havelock czekał, słuchając jak szef tajnych służb Białego Domu przekazał instrukcje do Andrews i pułkownik odpowiedzialny za telefoniczne połączenia polowe sprawdził stosowne przyrzady. To, co niewiarygodne zawsze ma swoje korzenie w tym, co wiarygodne, pomyślał Michael. Z najbardziej wiarygodnych przyczyn był tamtej nocy na plaży na Costa Brava, obserwując coś niezwykłego: powiew wiatru, zwykle zjawisko przyrodnicze, zerwał człowiekowi czapkę z głowy. Teraz on, Havelock, musi się dowiedzieć, czy spostrzeżenie zawierało jakąś treść. Obydwa spostrzeżenia.

- Z Nowego Jorku dzwonią stale - poinformował pułkownik. Chodzi mi o te trwające od pięciu do dziesięciu minut. Została przełączona do hangaru naprawczego na południowej obwodnicy. Niecałe dwie godziny temu, ktoś to musi pamiętać. Niech pan spyta każdego telefonistę. I to już!

- O rany, ale z pana nerwus.

- Pośpiesz się pan.

Żaden telefonista w bazie sił powietrznych w Andrews nie łączył rozmowy do hangaru naprawczego na południowej obwodnicy.

- Był tam sierżant, kierowca łazika, który miał odebrać towar oznaczony Czyściec Piąty, z przeznaczeniem dla marynarki.

- Wiem, co znaczy kryptonim Czyściec, i wiem o tym locie. Helikopter, północne lądowisko.

- Jak się nazywa?

- Kierowca?

- Tak.

- Pierwotnie wyznaczony kierowca został zastąpiony przez innego. Na podstawie rozkazu ustnego.

- Czyjego?

- Nie wiemy.

- Nazwisko drugiego kierowcy?

- Nie znamy.

- Dziękuję, pułkowniku. Pomieniatczik!

- Znajdź mi akta Pierce'a - powiedział Havelock, podnosząc wzrok na Jennę, z ręką na telefonie.

- Arthura Pierce'a? - spytała zdumiona Jenna.

- Jak najszybciej. - Michael znów wystukał numer. Nie mogę popełnić błędu. Nie mogę popełnić błędu. Nie tu, i nie teraz. - I do telefonu: - Pan prezydent? Mówi Havelock.

Spotkałem się z Pierce'm i starałem się mu pomóc... Tak, proszę pana, jest bystry, bardzo bystry i bardzo dobry. Chcielibyśmy ustalić pewien punkt, to drobnostka, ale wyjaśni pewną sprawę dla nas obydwu. Pierce miał dużo na głowie i dużo do zapamiętania. Czy na spotkaniu dziś po południu, po moim telefonie wspominał pan może o operacji Apacz w Centrum Medycznym Randolpha?... Wobec tego wszyscy są na bieżąco. Dziękuję panu, panie prezydencie.

- Tu masz akta Pierce'a. - Jenna wręczyła mu ciemnobrązową teczkę. Havelock otworzył ją i od razu przeszedł do streszczenia opisującego cechy osobiste. „Pije niewiele przy okazjach towarzyskich i nigdy nie nadużywa alkoholu. Nie pali tytoniu.” Zapałka, nieosłonięty płomień zgaszony przez wiatr... Drugi płomyk, błysk światła przedłużony, wyraźnie do zauważenia. Ciąg wydarzeń równie dziwny i łatwy do rozpoznania, jak dym papierosowy wychodzący tylko z ust i mieszający się z parą oddechu. Wydechu osoby, która nie pali. Sygnał. I parę minut później nieznany kierowca przywozi pilną wiadomość, używa nazwiska, którego nie powinien był znać, co gniewa człowieka, do którego się zwraca. Każdy ruch został szczegółowo przygotowany, określony w czasie, rozpatrzony pod kątem reakcji.

Arthur Pierce nie był wzywany do telefonu, to on dzwonił. Na pewno? Teraz już nie można się pomylić. Czy telefonista przełączający szybko liczne rozmowy na ogromnym terenie bazy lotniczej zapomniał o jednej z nich? I jak często żołnierze zastępowali kolegów w niewinnych zadaniach bez informowania swoich przełożonych? Jak często ludzie na wysokich stanowiskach popierali nawoływania lekarzy i nie pokazywali się publicznie z papierosem, lecz w kryzysowej sytuacji wyciągali schowaną paczkę, niby to starając się zerwać z nałogiem, a nie umiając się zaciągnąć?... Ilu ludzi ma we włosach pasmo przedwczesnej siwizny?

Żadnych błędów. Jeśli się przedstawi oskarżenie, nie będzie się można z niego wycofać. Jeżeli zaś nie uda się go potwierdzić, zaufanie na najwyższym szczeblu będzie maleć. Ludzie, którzy muszą się stale porozumiewać, będą się mieli na baczności, staną się nadmiernie ostrożni, powstanie konflikt bez słów. Gdzie jest ostateczny dowód? W Moskwie?

„Najpierw jest KGB, dopiero potem wszystko inne. Człowiek może być w WKR, ale musi się wywodzić z KGB. Rostow. Ateny.” „Mówi, że nie jest twoim wrogiem... Ale inni tak, i w dodatku są także jego wrogami. Agent sowiecki. Lotnisko Kennedy'ego.”

- Widzę to w twoich oczach, Michaił. - Jenna dotknęła jego ramienia, zmuszając go, aby na nią spojrzał. - Zadzwoń do prezydenta.

- Muszę mieć całkowitą pewność. Pierce powiedział, że otwarcie skarbca zajmie im przynajmniej trzy godziny, a przejrzanie dokumentów - następne dwie. Mam trochę czasu.

Jeśli on jest Dylematem, to wpadł.

- Jak możesz być absolutnie pewnym w przypadku pomieniatczika?

- Przy pomocy źródła. Moskwy.

- Rostow?

- Spróbuję z nim porozmawiać. On może się znajdować w równie rozpaczliwym położeniu, ale jeżeli nie, to go przekonam, żeby się wczuł w naszą sytuację. My mamy naszych maniaków, a on ma swoich. Havelock podniósł słuchawkę i wystukał trzy cyfry centrali Białego Domu.

- Proszę mnie połączyć z konsulem radzieckim w Nowym Jorku. Nie, nie znam numeru... Nie, poczekam. - Michael zakrył dłonią słuchawkę i powiedział do Jenny: -

Przejrzyj akta Pierce'a. Poszukaj czegoś, co mogłoby posłużyć nam za trop. Rodzice, jeśli żyją...

- Żona - podsunęła Jenna.

- Nie jest żonaty.

- Wygodne. A więc kochanki?

- Jest dyskretny.

- Oczywiście! - Jenna wzięła teczkę z biurka.

- Dobry wieczór - powiedział Havelock do telefonu. Chciałbym rozmawiać z dyrektorem Bezpieczeństwa Publicznego. Każda telefonistka w każdej ambasadzie radzieckiej, i w każdym konsulacie rozumiała, o co chodzi, kiedy ktoś prosił o połączenie z dyrektorem Bezpieczeństwa Publicznego. Głęboki męski głos odezwał się już po chwili.

Michael kontynuował po rosyjsku:

- Nazywam się Havelock i muszę założyć, że rozmawiam z właściwym człowiekiem, mogącym mnie skontaktować z osobą, której poszukuję.

- Kto to taki, proszę pana?

- Obawiam się, że nie znam jego nazwiska, lecz on zna moje. Tak samo, jak i pan.

- To mi niewiele mówi.

- Myślę, że powinno wystarczyć. Ten człowiek spotkał się ze mną na lotnisku Kennedy'ego, gdzie długo rozmawialiśmy, także o sposobach ponownego do niego dotarcia.

Między innymi padło tam określenie o czterdziestośmiogodzinnym odstępie czasu i nazwa biblioteki

publicznej w Nowym Jorku. Dyskutowaliśmy również o zaginionym pistolecie automatycznym graźburia. To wspaniała broń, zgodzi się pan ze mną, prawda? Muszę bardzo pilnie porozmawiać z tym człowiekiem, tak pilnie, jak pilna była jego sprawa do mnie.

- Pomógłby mi pan, gdyby mi przypomniał, jaka to była sprawa.

- Propozycja azylu od dyrektora Działu Planowania Operacji Zagranicznych Piotra Rostowa z KGB w Moskwie. I nie powiedziałbym tego, gdybym nagrywał naszą rozmowę.

Pan może, ale ja nie mogę ryzykować.

- Istnieje zawsze możliwość odwrotnego porządku wydarzeń.

- Niech pan skorzysta z tej szansy, towarzyszu. Nie może sobie pan na to pozwolić, aby tego nie zrobić. - Więc dlaczego nie porozmawia pan ze mną... towarzyszu?

- Ponieważ pana nie znam. Michael spojrzął na listę bezpośrednich, zastrzeżonych numerów, jakie mu przydzielono i podał jeden z nich Rosjaninowi. - Będę pod tym numerem jeszcze przez pięć minut. Odłożył słuchawkę i sięgnął po koniak.

- Myślisz, że oddzwoni? - spytała Jenna, siedząca na krześle przed biurkiem z teczką Pierce'a w ręce.

- Dlaczego nie? Nie musi nic mówić, tylko posłuchać... Znalazłaś coś?

- Matka zmarła w 1968. Ojciec znikł osiem miesięcy później i nikt go od tej pory nie widział. Napisał do syna w Wietnamie, że „nie zależy mu na życiu bez żony i że połączy się z nią przed Bogiem”.

- Naturalnie. Ale nie było samobójstwa, nie znaleziono ciała. Takie chrześcijańskie zniknięcie.

- Naturalnie! Pomieniatczik! Miał zbyt dużo do zaoferowania w Nowgorodzie.

Zadzwoił telefon. Oświetlony guzik wskazywał mu numer, który podał w radzieckim konsulacie w Nowym Jorku. - Sam pan rozumie - zaczął śpiewny głos po angielsku, i był to niewątpliwie głos agenta z lotniska Kennedy'ego, że przekazana panu propozycja wynikała z ducha współczucia wobec ogromnej niesprawiedliwości, okazanej przez tych z pańskiego rządu, którzy żądali wyeliminowania człowieka pokoju...

- Jeśli mówi pan to ze względu na magnetofon z tej strony, to niech pan da sobie spokój. Natomiast jeśli nagrywa pan próbę głosu dla ambasady, niech pan to zrobi później, ja nie mam czasu. Przyjmuję część oferty Rostowa.

- Nie wiedziałem, że składała się z kilku części. - Proponuję wcześniejszą komunikację.

- Zakładam, że to możliwe - powiedział Rosjanin - w szalenie ograniczonych warunkach.

- Jakie pan chce warunki, tylko niech mu pan poda ten numer telefonu, żeby mógł do mnie zadzwonić

w ciągu godziny. - Michael spojrział na zegarek. - W Moskwie nie ma jeszcze siódmej. Niech go pan złapie!

- Nie sędzę, aby te warunki były do przyjęcia.

- Muszą być. Niech mu pan powie, że być może znalazłem wroga. Naszego wroga, przy czym słowo „naszego” jest użyte oczywiście tymczasowo, zakładając znów, że mamy przed sobą przyszłość.

- Naprawdę nie myślę...

- Niech pan nie myśli. Niech go pan złapie. Ponieważ jeśli pan tego nie zrobi, sam spróbuję, a to mogłoby być szalenie kłopotliwe. Dla pana, towarzyszu, nie dla mnie. Mnie już nie zależy. To ja jestem główną wygraną. - Havelock odłożył słuchawkę i poczuł na czole krople potu.

- Co Rostow może ci w gruncie rzeczy powiedzieć? - Jenna wstała z krzesła i położyła teczkę z aktami Pierce'a na biurku. Niestety, nic tu nie ma. Fantastyczny, skromny bohater narodu. - Naturalnie.

- Michael wytarł czoło wierzchem dłoni i pochylił się do przodu, podpierając się łokciami. - W Atenach Rostow mi powiedział, że jednym z jego źródeł

sprawy na Costa Brava był „śpioch” w Białym Domu. Nie uwierzyłem mu, bo myślałem, że to taka strategia, żeby pilniej słuchać. Przypuśćmy jednak, że mówił prawdę, przesłał prawdę, bo wiedział, że „śpiocha” nie można już znaleźć.

- Pierce był przydzielony do Rady Bezpieczeństwa. - Jenna podniosła rękę i wskazała na akta. - Przez kilka miesięcy miał biuro w Białym Domu.

- Tak. Rostow wiedział, co mówi. Czegoś nie rozumiał, a w tym interesie jeśli czegoś nie rozumiesz, to jest to powód do alarmu. Wszystko, czego się dowiedział o Costa Brava, a co ja mu potwierdziłem, przekonało go, że nie mogło się to zdarzyć bez współpracy kogoś z Moskwy. Ale kogo? Takie działania są pod jego bezpośrednią kontrolą, on jednak nie miał z tym nic wspólnego, o niczym nie wiedział. Wobec tego sprawdził mnie, sądząc, iż mogę mu coś powiedzieć, a informację o „śpiochu” dodał w celu uwiarygodnienia całej sprawy, wiedząc, że obaj przyjęliśmy informacje przekazane przez „śpiocha” za wiarygodne. Za prawdę, taką, jaką jemu podano. Tyle, że to było kłamstwo.

- Powtórzone przez oficera KGB, „śpiocha” pomieniatczika, który przeniósł swe posłuszeństwo i wierność z KGB do Wojennej - powiedziała Jenna. Porzucił byłych szefów, dla nowych.

- A potem przechwycił operację Costa Brava. Jeśli to on był na Costa Brava. Jeśli...

jeśli.

- Jak sobie poradzisz z Rostowem? Będzie kontrolowany. - W niewielkim stopniu, w końcu jest przecież dyrektorem Działu Planowania Operacji Zagranicznych. Zagram na walkę dwóch sił: KGB contra WKR. Rostow zrozumie.

- Nie może rozmawiać przez telefon o operacji Pomieniatczik. Wiesz przecież o tym dobrze.

- Nie będę go o nią pytał. Wymienię nazwisko i posłucham. Jakoś mi powie. Obaj tkwimy w tym interesie bardzo długo, za długo, i słowa, których używamy, nigdy nie były w normalnym języku używane w tym znaczeniu, jakie mają one dla nas. Chwile ciszy między nami może zrozumieć tylko ktoś taki, jak my. On chce tego, co ja mam (jeśli to mam), tak bardzo, jak ja chcę od niego potwierdzenia. Uda się! Musi! Powie mi czy Arthur Pierce jest

„śpiochem”...

- Czy chcesz teraz porozmawiać o komandorze Deckerze? Jenna podeszła do małego stolika, wzięła notes i usiadła w skórzanym fotelu.

- O rany! - Prawa ręka Havelocka gwałtownym ruchem sięgnęła po telefon, lewą złapał za spis numerów telefonicznych.

Wystukiwał numer, mówiąc jednocześnie zdenerwowanym głosem:

- Wspomniałem o nim Pierce'owi. Dobry Boże, ileż mu nagadałem. - I do telefonu: - Z

ochroną Deckera proszę. Szybko!

- Ochrona Marynarki Wojennej. Na miejscu. - Słowa w radiotelefonie zabrzmiały wyraźnie i nagłe pulsowanie skroni Michaela lekko ustąpiło.

- Tu Czyściec Piąty. Mamy, powody, aby przypuszczać, że na waszym terenie można się spodziewać wrogich działań.

- Nic o tym nie świadczy - padło w odpowiedzi.

- Panuje spokój a ulica jest dobrze oświetlona.

- Tym niemniej chciałbym mieć dodatkowych ludzi.

- Mamy tutaj, w Białym Domu, niemało kłopotów z ludźmi, Czyściec Piąty. Może byśmy wezwali na pomoc miejscowych? Nie muszą wiedzieć więcej niż my wiemy, a my nie wiemy nic.

- Może pan to zrobić?

- Jasne. Określimy to jako zadanie dyplomatyczne i dostaną za godziny nadliczbowe.

A tak przy okazji, jakie to mają być działania?

- Urowadzenie. Najpierw likwidacja was, a potem zabranie Deckera.

- Dzięki za ostrzeżenie. Będziemy uważać.

- Dobrze, teraz wiemy, że komandor Decker jeszcze jest. Havelock rozparł się wygodniej na krześle i spojrzał w sufit. Co on ci powiedział?

- Gdzie przerwaliśmy ostatnim razem? Przejrzałam wszystko ponownie.

- Rozmowa telefoniczna - powiedział Michael wolno. Później, po ich niedzielnym spotkaniu w domku myśliwskim. Usiłował przez całe tygodnie skontaktować się z Matthiasem, ale Anthon nie chciał z nim rozmawiać. I ktoś do niego zadzwonił... z wyjaśnieniem. Tak, zgadza się, użył słowa „wyjaśnienie”. Jenna przerzuciła swoje notatki, zatrzymując się od czasu do czasu na jakiejś stronie, czasem cofając o kilka kartek.

- To był mężczyzna z dziwnym głosem, z osobliwym akcentem, „szybkim i łykającym końcówki”, tak to określił Decker. Poprosiłam, aby przypomnieli sobie jak najdokładniej każde słowo tamtego człowieka. Na szczęście ten telefon był dla niego ważny i zapamiętał

prawie wszystko. Zapisałam to.

- Przeczytaj mi, dobrze?

- Mężczyzna przedstawił się jako kolega sekretarza stanu i zadał Deckerowi kilka pytań dotyczących jego kariery w marynarce, najwyraźniej po to, żeby się upewnić, że rozmawia z Deckerem.. I teraz tu się zaczyna - starałam się zapisać to tak, jakbym sama słyszała: „Sekretarz Matthias docenia wszystko, co pan zrobił i chce, aby pan wiedział, iż napisze o panu dużo i dobrze w swoich wspomnieniach. Ale musi pan zrozumieć pewne zasady, których nie wolno łamać. Aby globalna strategia sekretarza powiodła się, musi być rozwijana w całkowitej tajemnicy. Najważniejszy jest element zaskoczenia, nikt w rządzie czy poza nim” Jenna przerwała, Ten nacisk pochodzi od Deckera dodała. - „W rządzie lub poza nim nie może wiedzieć, że powstał mistrzowski plan.” - Jenna znów urwała i spojrzała na Michaela. - Tutaj Decker nie umiał powtórzyć dokładnie. Przyczyny, dla których ten człowiek wykluczał członków rządu wynikały najwidoczniej z założenia, że jest zbyt wielu ludzi, którym nie można zaufać, którzy mogą zdradzić tajemnicę, mimo iż teoretycznie są sprawdzeni.

- Oczywiście, że nie powtórzył dokładnie. Mówił o sobie, i to go bolało.

- Zgadza się... Natomiast jestem pewna, że ostatnią część powtórzył słowo w słowo.

„Sekretarz stanu chce, aby pan wiedział, że kiedy nadejdzie właściwa pora, zostanie pan wezwany i powołany na stanowisko głównego oficera sztabowego, kontrolującego całość.

Jednakże z powodu pańskiej fantastycznej reputacji w dziedzinie taktyki nuklearnej, nie może istnieć nawet cień powiązań między wami. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek zapyta pana, czy zna pan sekretarza stanu, musi pan powiedzieć, że nie. To też jedna z zasad.” To tyle. - Jenna odłożyła notes na kolana. - Ego Deckera zostało całkowicie dopieszczone i we własnym mniemaniu miał już zapewnione miejsce w historii.

- Niczego więcej nie potrzebował - skwitował Havelock, prostując się na krześle.

- Czy przepisałaś wszystko, żebyśmy mogli sam przeczytać?
- Piszę wyraźniej po angielsku niż po czesku. A dlaczego?
- Ponieważ chcę to przestudiować, czytać, i czytać, i czytać. Człowiek, który wypowiedział te słowa jest Parsifalem i kiedyś w przeszłości już go słyszałem.
- Wróc do minionych lat, Michaił powiedziała Jenna, siadając prosto, biorąc notes i przerzucając strony. - Ja zrobię to z tobą. Teraz! To jest możliwe. Rosjanin, który mówi po angielsku szybko, połykając końcówki. Tak tam jest, Decker tak powiedział. „Szybko i połykając końcówki”. To jego słowa. Ilu możesz znać takich ludzi?
- Dobrze. - Havelock wstał od biurka, Jenna wyrwała z notesu dwie kartki z notatkami z rozmowy z Thomasem Deckerem. Michael wziął je od niej. - Ludzie, których znam i którzy poznali Matthiasa. Zaczniemy od bieżącego roku i będziemy się cofać. Zapisuj każde nazwisko, jakie powiem.
- A może zrobimy to geograficznie? Miasto po mieście. Jedne wyeliminujesz szybko, nad innymi się zastanowisz.
- Skojarzenia - dodał Havelock. - Skreślamy Barcelonę i Madryt, nie ruszaliśmy tam Rosjan... Belgrad, magazyn rzeczny nad Sawą, attach z konsulatu radzieckiego, Wasilij Jankowicz. Był z Anthonem w Paryżu.
- Jankowicz - powtórzyła Jenna, zapisując.
- I Ilicz Borin, profesor zaproszony na wykłady przez uniwersytet w Belgradzie.

Wypiliśmy razem kilka drinków, zjedliśmy obiad. Znał Matthiasa z konferencji w ramach wymiany kulturalnej. - Borin.

- W Belgradzie nikt więcej... Praga. W Pradze jest przynajmniej kilkunastu. Rosjanie zaleli Pragę.
- Nazwiska? Podawaj alfabetycznie. Wymieniał nazwiska, jedno szybko, inne wolniej, jedno wydawały się możliwe, inne, całkowicie nieprawdopodobne w tym kontekście.

Jednakże Jenna zapisała wszystkie, poganiając Michaela, zmuszając go, aby głębiej poszukał w pamięci, bo jedno nazwisko prowadziło do drugiego. Kraków. Wiedeń. Paryż. Londyn.

Nowy Jork. Waszyngton. Miesiące przeszły w rok, w dwa lata, wreszcie w trzy lata.

Lista nazwisk rosła, w miarę jak Havelock grzebał w pamięci, naciskał na świadomość, zezwalał na luźne skojarzenia podświadomości, kopiąc, zmuszając umysł do funkcjonowania, tak jakby to był precyzyjnie nastrojony instrument. Znow pot mu wystąpił

na czoło, a uderzenia tętna wzrosły.

- Boże, ależ jestem zmęczony - powiedział Michael cicho, patrząc na szybę okienną, w której ponad godzinę wcześniej zobaczył jedną po drugiej dwie twarze, twarze zabójców, twarze z Costa Brava. Czyżby?

- Masz trzydzieści dziewięć nazwisk - poinformowała go Jenna. Podeszła do niego i dotknęła jego karku, po czym go lekko rozmasowała. - Teraz usiądź i zastanów się nad nimi, nad tą rozmową telefoniczną. I znajdź Parsifala, Michaił.

- Czy któreś z nazwisk powtarza się na twojej liście? Pomyślałem o tym, kiedy wspomniałem o Iliczu Borinie, on jest doktorem filozofii. Czy istnieje ktoś, kto by się powtarzał?

- Nie.

- Szkoda.

- Ja też żałuję.

- Nie dzwoni. Rostow nie dzwoni.

- Wiem.

- Powiedziałem: godzina. To była nieprzekraczalna granica. Havelock spojrzął na zegarek. - Czas minął trzydzieści cztery minuty temu.

- Mogą być kłopoty z połączeniem. Nie byłoby to nic nowego. - On nie ma kłopotów.

Po prostu zerwał kontakt i nie chce się przyznać.

- Jak często ty sam odzywałeś się po upływie określonego czasu? Ile razy czekałeś, aż ten, kto się spodziewał twojego telefonu zdenerwuje się, straci czujność?

- Rostow za dobrze zna moje akta. - Michael odwrócił się do niej. - Muszę podjąć decyzję. Jeżeli mam rację, Pierce nie może opuścić wyspy. Jeżeli się mylę, pomyślą, że się załamalem, zwariowałem. Berquist nie będzie miał wyboru, będzie musiał mnie wycofać.

- Niekoniecznie.

- Owszem, koniecznie. Zaczynam widzieć potwory w ciemnych zakamarkach, tracę cenny czas na rozważanie przywidzeń. Taki człowiek nie może wydawać rozkazów. Mój Boże, Arthur Pierce! Najcenniejszy nabytek, jaki mamy. Jeśli go mamy!

- Tylko ty wiesz, co sam widziałeś.

- Była noc, noc która mnie doprowadzała do szaleństwa. Przypomnij sobie materiały z mojego pobytu w szpitalu. Czy tak mówi i myśli ktoś przytomny? Co taki ktoś mógł widzieć?

Potrzebne mi jest jedno słowo, jedna chwila milczenia od Rostowa. - Poczekaj, Michaił -

powiedziała Jenna, biorąc go za ramię i prowadząc z powrotem na fotel. - Masz jeszcze czas.

Przestudiuj listę nazwisk, słowa skierowane do Deckera. Może coś ci się przypomni: jakieś nazwisko, głos, zwrot językowy. Naukowcy. Żołnierze. Prawnicy. Lekarze. Attach .

Dyplomaci... Zdrajcy. Wszyscy Rosjanie, którzy mieli bezpośredni kontakt z Anthonem Matthiasem. Havelock wyobrażał sobie każdego z nich, każdą twarz, słyszał swym wewnętrznym uchem tuziny głosów mówiące po angielsku, przypasowywał głosy do twarzy, nasłuchując zwrotów wymawianych szybko, połykanych końcówek, zgrzytliwych spółgłosek.

Doprowadzało go to do szaleństwa, twarze i głosy mieszały się, wargi poruszały, zapadała cisza, a po niej okrzyki. „Napisze o panu dużo i dobrze.” Czy on to powiedział? Czy mógłby tak powiedzieć? „Zostanie pan wezwany...” Ile razy wypowiedano ten zwrot? Bardzo dużo.

Ale kto tak powiedział do Deckera? Kto? Minęła godzina, prawie cała następna, razem z nimi skończyła się druga paczka papierosów. Zbliżał się czas, w którym Pierce miał opuścić Poole's Island. Lada chwila trzeba będzie podjąć jakąś decyzję. Tę decyzję. Pamiętał o wszystkim, co znajdowało się głębiej w podświadomości, oczyma błędził od czasu do czasu w stronę zegarów. Poszukiwania Parsifala osiągnęły przerażający poziom intensywności.

- Nie mogę go znaleźć! - zawołał Michael, waląc pięścią w stół. - Jest tutaj, słowa są tutaj, ale nie mogę go znaleźć! Zadzwoił telefon. Rostow? Havelock zerwał się z krzesła, a potem znieruchomiał i wpatrywał się w aparat. Był wyczerpany, a myśl o znalezieniu sił do słownej walki z radzieckim oficerem wywiadu, oddalonym o jedenaście tysięcy kilometrów, osłabiała go jeszcze bardziej. Ostry dźwięk zabrzmiał znów. Podszedł i podniósł słuchawkę.

Jenna przyglądała mu się uważnie.

- Tak? - odezwał się cicho, porządkując myśli przed rozmową. - Mówi przyjaciel z lotniska Kennedy'ego, który nie ma już swojej broni...

- Gdzie jest Rostow? Wyzaczyłem limit czasu.

- Dotrzymano go. Niech pan posłucha uważnie. Dzwonię z budki przy Eighth Avenue i muszę pilnować ulicy. Telefon zadzwonił pół godziny temu. Na szczęście ja go odebrałem, bo mój szef wyszedł. Nim on przyjdzie, muszę być z powrotem.

- O czym pan mówi?

- Rostow nie żyje. Znalezione go o pół do dziesiątej rano czasu moskiewskiego, po tym jak jego

telefon nie odpowiadał.

- W jaki sposób zginął?

- Cztery kule w głowę.

- Och, Boże! Czy domyślają się, czyja to robota?

- Krążą pogłoski, że Wojennej Kontrrazwiedki i ja osobiście w to wierzę. Ostatnio dużo było takich pogłosek i jeżeli można załatwić takiego człowieka jak Rostow, to ja tym bardziej jestem za stary i muszę dzwonić z budki. Wy, Amerykanie jesteście głupcami, ale lepiej żyć pośród głupców, niż wśród szakali, które przegryzą ci gardło, jeśli się im nie spodoba twój uśmiech lub sposób picia. „Na spotkaniu dziś po południu... Coś, czego nie zrozumiałem... Oficer wywiadu z KGB nawiązał kontakt... Zastanawiał się nad tożsamością...” - słowa Arthura Pierce'a, wypowiedziane wtedy, kiedy nieudolnie palił

papierosa na pasie startowym. Rostow, nie zastanawiał się. Wiedział. To grupa fanatyków w wydziale nazywanym Wojennaja... Starał się ich rozgryźć... Kolega-zabójca z Costa Brava.

Czy telefon Pierce'a oznaczał więcej niż śmierć pomieniatczika? Czy zażądał egzekucji człowieka w Moskwie? Cztery kule w głowę! Rostow stracił życie, ale to właśnie mogło stanowić dowód, którego Havelock potrzebował. Czy był to jednak dowód ostateczny? Czy w ogóle cokolwiek mogło być ostateczne?

- Zaszyfrowany kod, Hammer Zero Dwa - powiedział Michael, zastanawiając się, szukając. - Znaczy coś dla pana?

- Część chyba tak, nie wszystko.

- Która część?

- Słowo „Hammer”. Było używane bardzo dawno temu i w bardzo ograniczonym zakresie. Wydaje mi się, że później go zaniechano. To od Hammarskjlda, Daga Hammarskjlda, sekretarza generalnego ONZ.

- Chryste! zero, zero... dwa. Zero jest kołem... koło. Rada! Dwa... podwójne, dwa razy, drugi! Drugi głos w delegacji! O to chodzi!

- Jak się pan zapewne domyśla - przerwał mu Rosjanin - muszę się przenieść.

- Niech pan zadzwoni do nowojorskiego biura FBI. Niech pan tam idzie. Ja ich zawiadomię.

- To jest jedyne miejsce, dokąd na pewno nie pójdę. To jedna z rzeczy, które mogę panu powiedzieć.

- Więc niech pan będzie w ruchu i zadzwoni do mnie za pół godziny. Muszę się śpieszyć.

- Głupcy czy szakale. Gdzie tu wybór? Havelock nacisnął guzik i przerwał połączenie.

Spojrzał na Jennę.

- To Pierce. Hammer Zero Dwa. Powiedziałem mu, wszyscyśmy mu powiedzieli o Rostowie, o tym, że rozpracował wydział Wojennej. Dlatego kazał go zabić.

- Jest w potrzasku - stwierdziła Jenna. - Masz go.

- Mam go. Mam Dylemata, człowieka, który w Col des Moulinets powiedział, że jesteśmy martwi... A kiedy sprowadzę go do kliniki, już sobie z nim poradzę. Wszystko, co on wie, ja też będę wiedział.

- Michael szybko wystukał numer. - Proszę z prezydentem. Dzwoni Cross.

- Musisz być bardzo spokojny, Michaił powiedziała Jenna, podchodząc do biurka. -

Bardzo spokojny i bardzo dokładny. Pamiętaj, że będzie to dla niego ogromny szok, a poza tym on musi ci uwierzyć.

- To jest najtrudniejsze. - Havelock kiwnął głową.

- Dzięki. Miałem zamiar zacząć od razu od konkluzji, ale masz rację. Trzeba powoli...

Pan prezydent?

- Słucham - odezwał się z niepokojem Berquist. Co się stało?

- Muszę panu coś powiedzieć. Zabierze to kilka minut i chcę, żeby pan tego uważnie wysłuchał.

- Dobrze. Przejdę do innego aparatu, w pokoju obok są ludzie... A propos, czy Pierce się do pana dodzwonił?

- Co?

- Arthur Pierce. Odezwał się do pana?

- W jakiej sprawie?

- Zadzwoił do mnie godzinę temu, potrzebował drugiego potwierdzenia.

Powiedziałem mu o pańskim telefonie do mnie, o tym, że oboje chcieliście wiedzieć, czy to ja mówiłem o Ośrodku Medycznym Randolpha, co za przekłety wypadek, i powiedziałem, że tak, że wszyscy o tym wiedzieliśmy.

- Panie prezydencie, błagam, niech mi pan powtórzy, słowo w słowo, to, co pan mu powiedział.

- Co się z panem dzieje?

- Co on mówił?
- O czym?
- Niech mi pan powie! Najpierw to, co pan mówił jemu!
- Zaraz, chwileczkę Havelock...
- Niech pan powie! Nie ma pan czasu, nikt z nas nie ma czasu! Co pan powiedział?

Berquist pojął znaczenie prośby, zrobił krótką pauzę, po czym odparł spokojnie, jak przystało na przywódcę w obliczu trwogi podwładnego, której nie rozumie, lecz szanuje jej źródło.

- Powiedziałem, że zadzwonił pan do mnie, specjalnie po to, żeby się spytać, czy to ja mówiłem o Ośrodku Randolpha na spotkaniu dziś po południu. Odparłem, że tak i że pan najwyraźniej odczuł ulgę na wieść, iż wszyscy o tym wiedzieliśmy. - Co on na to?
- Szczerze mówiąc, zdawał się zaskoczony. Chyba powiedział: „Rozumiem”, a potem zapytał, czy podał pan powód, dla którego chciał pan to wiedzieć?
- Co wiedzieć?
- O Ośrodku... Co się z panem dzieje?
- Co pan mu odpowiedział?
- Że zrozumiałem, że obaj się tym martwicie, choć nie wiedziałem dlaczego.
- Jaka była jego odpowiedź?
- Chyba żadna... Ach, tak. Zapytał, czy robi pan postępy z człowiekiem, który jest w Bethesda.
- To miało być dopiero jutro, i on o tym wiedział.
- Co?
- Panie prezydencie, nie mam czasu na wyjaśnienia i pan także nie może stracić ani chwili. Czy Pierce dostał się do skarbca?
- Nie wiem.
- Niech go pan zatrzyma. On jest „špiochem”.
- Pan oszalał!
- Berquist, do jasnej cholery, może mnie pan potem kazać zastrzelić, ale w tej chwili ja mówię. Ma

kamery fotograficzne, o których nie ma pan pojęcia. W pierścionkach, w zegarkach, w spinkach do mankietów! Zatrzymajcie go! Zrewidujcie i szukajcie kapsułek cyjanku! Ja nie mogę wydać takiego rozkazu, lecz pan może! Musi pan! I to już!

- Proszę nie odchodzić od telefonu - powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych. -

Być może każe pana zastrzelić.

- Pierce mnie przejrzał. Ja jego, a on mnie. Havelock wstał z krzesła, potrzebował ruchu. Ciemna mgła znów się nad nim gromadziła, musi przed nią uciekać. Spojrzał na Jenę i w jej oczach zobaczył zrozumienie.
- Jest w pułapce.
- Mogłem go zabić na Costa Brava. Chciałem go zabić, ale się nie posłuchałem. Nie posłuchałem samego siebie.
- Nie wracaj do tego. Masz go. Zmieściłeś się w czasie.
- Nie modlę się - szepnął. - Nie wierzę w Boga. Ale teraz się modlę, chociaż nie wiem do czego. Zadzwoił telefon i Havelock rzucił się do niego.
- Tak?
- Nie ma go tam. Kazał dowódcy łodzi patrolowej zawieźć się do Savannah.
- Czy dostał się do tego pomieszczenia?
- Nie.
- Dzięki Bogu!
- Ma za to coś innego - powiedział prezydent ledwo słyszalnym głosem.
- Co takiego?
- Psychiatryczne diagnozy Matthiasa. Wie teraz wszystko.

37

Policja wyległa na ulice Savannah, samochody patrolowe pilnowały lotniska, kontrolowały dworzec autobusowy i kolejowy. Sprawdzone wszystkie agencje wypożyczające samochody i zablokowano zarówno główne drogi szybkiego ruchu, jak i wiejskie dróżki: na północ w kierunku Augusty, na południe do Saint Marys, na zachód do Macon i Valdosty. Opis mężczyzny przekazano drogą radiową wszystkim jednostkom: gminom, hrabstwom i policji stanowej, a z najwyższego szczebla dowodzenia podano następującą wiadomość: „Szukajcie. Odnajdźcie mężczyznę z pasmem białych włosów.

Zachowajcie maksymalną ostrożność przy próbie pojmania. Jeśli będzie się zachowywać w podejrzany sposób, strzelajcie. Strzelajcie tak, aby zabić”. Poszukiwań Pierce'a, jeżeli chodzi o liczbę uczestniczących osób i intensywność działania, nie dałoby się porównać z żadnymi innymi

akcjami. Rząd federalny zapewnił władze stanu, miast i miasteczek, że wszelkie koszty pokryje Waszyngton. Na służbę wezwano wszystkich, którzy akurat mieli wolne: samochody z lekkimi uszkodzeniami wróciły z warsztatów do patrolowania ulic, a prywatne, należące do policjantów auta wyposażono w magnetyczne lampy na dachu i posłano do patrolowania ciemnych wiejskich dróg. Wszędzie zatrzymywano pojazdy i przechodniów.

Każdego, kto choćby z lekka podobny był do poszukiwanego mężczyzny, proszono o zdjęcie kapelusza, jeśli go nosił, i w świetle latarki sprawdzano twarz i włosy, w poszukiwaniu szybko i niedbale ufarbowanego pasma włosów. Sprawdzano księgi meldunkowe w hotelach, motelach i wiejskich zajazdach. Wypytywano recepcjonistów, ostrzegając ich przed konsekwencjami wykrętów i oszustw. Wchodzono, grzecznie, rzecz jasna, do domów, w których paliły się jeszcze światła, licząc się z tym, że ich mieszkańcy mogą być zakładnikami, że żona czy dziecko, których nie widać, mogą być gdzieś z tyłu przetrzymywani przez ściganego osobnika. Szukano w domach, w stajniach i w silosach, nie zaniebując niczego podejrzanego. Nadszedł ranek i tysiące ludzi zmęczonych, rozłoszczonych, sfrustrowanych i zdumionych kiepskimi metodami działania agend rządowych, odmeldowało się w punktach, skąd wyruszyli do akcji. Nie pokazano im żadnej fotografii, nie podano żadnego opisu, ani nazwiska, poza wykrętnym „panem Smithem”. Alarmu wprowadzicie jeszcze nie odwołano, lecz poszukiwania nalotowe zasadniczo się skończyły i zawodowcy zdawali sobie z tego sprawę.

Człowiek z pasmem białych włosów prześliznął się przez oka sieci. Teraz mógł już być albo łysy, albo o włosach siwych czy blond. A może inwalidą, kuśtykającym o lasce lub przy pomocy kul, ubranym w stare łachmany oberwańcem lub mężczyzną w mundurze policyjnym czy wojskowym, bez śladu poprzedniego wyglądu. Gazety, które w porannych wydaniach zamieściły opowieści o dziwnym polowaniu na szeroką skalę, odwołały swych reporterów.

Właściciele i wydawców odwiedzili powszechnie szanowani ludzie ze sfer rządzących, twierdząc że nie mają pojęcia, o co chodzi, ale głęboko ufają tym postawionym wyżej, którzy się do nich zwrócili. Należy wyciszyć całą historię, pozwolić jej umrzeć śmiercią naturalną.

W drugim wydaniu gazet poszukiwania zajęły kilka linijek na ostatnich stronach, a w gazetach mających trzecie wydanie, nie było już żadnej wzmianki na ten temat. Dziwna rzecz natomiast wydarzyła się w centrali telefonicznej, której numer zaczynał się od cyfr 0-7742...

Centrala przestała działać od północy, natomiast o ósmej rano, kiedy nagle i w nie wyjaśniony sposób telefony same się naprawiły, ekipa techników telefonicznych, znajdowała się w pawilonie Voyagers Emporium. Otrzymali oni wyraźne rozkazy: wszystkie telefony do tej instytucji miały być nagrywane, wszystkie rozmowy, trwające krócej niż piętnaście sekund, przekazywane natychmiast telefonicznie do Czyśca Piątego. Ograniczenie czasowe spowodowało, iż telefonów takich było bardzo mało. Na międzynarodowych lotniskach działali agenci federalni, którzy skomplikowanym urządzeniem rentgenowskim, prześwietlali teczki i bagaż ręczny w poszukiwaniu metalowej kasetki pięciocentymetrowej grubości, z szyfrowym zamknięciem z boku. Przyjęto dwa założenia: pierwsze, że osoba posiadająca niszczycielskie akta nie odda ich na bagaż, a drugie, że pozostaną one w oryginalnej rządowej kasecie, aby zachować dowód autentyczności. Gdyby jednak zostały z kasety

wyjęte, wykrycie podobnego do nich kształtu stanowiłoby dostateczny powód dokładniejszego przeszukania bagażu. Do pół do dwunastej przed południem otwarto i przejrano ponad dwa tysiące siedemset dyplomatek, od lotniska Kennedy'ego przez Atlantę do Miami.

- Dziękuję bardzo - powiedział Havelock do telefonu, zmuszając się, by głos brzmiał

energicznie, choć odczuwał skutki bezsennej nocy. - Nie mogą zrozumieć, a ja nie mogę im wytłumaczyć, że Pierce nie zadzwoniłby do Orphan Dziewięć Sześć, jeśli nie byłby pewien, że uda mu się przekazać wiadomość kilkoma, prędko wypowiedzianymi słowami. Wie, że teraz już tam działa podsłuch i agenci.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś - powiedziała Jenna, przynosząc mu kawę na biurko. -

Wszystkie lotniska są pod kontrolą...

- Nie chodzi o niego - przerwał jej Michael. - Nie ryzykowałby, a poza tym nie chce wyjeżdżać. Chce tego samego, co ja! Parsifala... Tu idzie o akta! Wystarczy mały jednosilnikowy samolocik, przekraczający granicę z Meksykiem czy rybacka łódka, spotykająca się z drugą, gdzieś między Stanami a Kubą, lub płynąca z Galveston w kierunku Matamoros, i już akta są w drodze do Moskwy. Już trafiają do rąk specjalistów-morderców w Wojennej. A ja nic nie mogę zrobić!

- Spokojnie! Po pierwsze: granica z Meksykiem jest kontrolowana, podwojono liczbę agentów. Po drugie: i tu, i nad Zatoką Meksykańską obserwuje się przystanie i miejsca cumowania łodzi. A po trzecie: wszystkie jednostki, jeśli tylko kierunek ich podróży budzi wątpliwości, są zatrzymywane. Nalegałeś na zastosowanie wszelkich środków ostrożności i prezydent wydał odpowiednie zalecenia.

- Granica jest długa, a woda szeroka.

- Musisz odpocząć, Michaił. Nie możesz dobrze funkcjonować, kiedy jesteś wykończony. To przecież jedna z twoich własnych zasad.

- Jedna z zasad...? - Havelock przyłożył dłonie do głowy i zaczął masować skronie palcami. - Tak, to jedna z zasad, część zasad.

- Połóż się na kanapie i zamknij oczy. Ja mogę odbierać telefony, przekazywać ci informacje. Trochę spałam, ty wcale.

- Kiedy spałaś? - spytał Michael, spoglądając na nią z powątpiewaniem.

- Odpoczęłam jeszcze przed wschodem słońca. Rozmawiałeś ze swoją policją przybrzeżną.

- To nie jest moja policja - powiedział Havelock zmęczonym głosem. - Może się położyć, ale tylko na parę minut. To też jedna z zasad. Boże, jak ja nie cierpię tego pokoju! -

zawołał, rozglądając się po gabinecie zarzuconym papierami, notesami i teczkami z aktami. -

Dziękuję za kawę, ale nie będę pił. Zadzwoił telefon i Michael zeszywniał, zastanawiając się, czy aparat odezwie się tylko raz, czy też będzie dzwonił dalej co oznaczałoby alarm.

Telefon zamilkł i znów zadzwonił. Havelock położył się na kanapie, słysząc opanowany głos Jenny:

- Słucham, Czyściec Piąty. Kto mówi? - Słuchała, a potem zasłoniła mikrofon słuchawki i spojrzała na Michaela: - Departament Stanu z Nowego Jorku, Wydział

Bezpieczeństwa. Przyszedł ten twój człowiek z konsulatu radzieckiego.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedział Havelock i niepewnie stanął na nogi, z trudem utrzymując równowagę. - Myślałem, że jest tam od dawna! Gdzie się pan, do diabła, podziewał? Michael wrzasnął do słuchawki.

- Okazuje się, że u was można przejść na drugą stronę tylko w godzinach urzędowania

- zaczął Rosjanin zmęczonym, śpiewnym głosem. - Dotarłem tutaj o czwartej rano, po tym jak udało mi się uniknąć śmierci w kolejce podziemnej, i dowiedziałem się od jednego z nocnych strażników, że niczego nie da się zrobić, dopóki nie otworzą biura! Wyjaśniłem swoje trudne położenie i wtedy ten uprzejmy, tępy idiota zaproponował, że mi zafunduje filiżankę kawy w publicznej restauracji. Udało mi się jednak dostać do budynku własnym przemysłem, bo prawdę powiedziawszy, zabezpieczenie macie absurdalne, i w ciemnym, pełnym przeciągów korytarzu doczekałem do dziewiątej rano, kiedy przyszła wasza milicja.

Ujawniłem się, a wtedy ci głupcy chcieli wezwać policję państwową! Żeby mnie aresztowała za wtargnięcie do budynku stanowiącego własność rządową i za możliwe uszkodzenie tej własności!

- Dobrze, jest tam pan...

- Jeszcze nie skończyłem! - wrzasnął Rosjanin. - Od tamtego fantastycznego początku do tej pory, wypełniałem nieskończone ilości formularzy, zawierających między innymi rosyjskie rymowanki dla dzieci, i wielokrotnie podawałem pański numer, prosząc, aby mnie z panem skontaktowano. Co z wami jest? Macie limity rozmów międzymiastowych, czy co?

- Jesteśmy teraz w kontakcie...

- Nie skończyłem! Przez ostatnią godzinę siedziałem sam w pokoju z tak beznadziejnym podsłuchem, że miałem ochotę zdjąć spodnie i puścić bąka do mikrofonu. O, teraz właśnie dostałem do wypełnienia dodatkowe formularze, łącznie z takim, gdzie są pytania o moje hobby i ulubione zajęcia w wolnym czasie. Może mnie wysyłacie do jakiegoś obozu?

- Wysyłamy tam, gdzie będzie pan bezpieczny - odparł Michael i uśmiechnął się, niesłychanie wdzięczny za chwilową ulgę w napięciu. - Niech pan rozważy źródło. Jesteśmy głupcami, a nie

szakalami. Dokonał pan właściwego wyboru.

- Po co się tak denerwuję? - Rosjanin głośno westchnął. Głowacze na Dzierżyńskiego nie są lepsi... mogę to przyznać. Są gorsi. Gdyby wasz Albert Einstein się tam zgłosił, byłby już w drodze na Sybir, gdzie musiałby poganiać muły w gułagu. Jaki jest w tym wszystkim sens?

- Niewielki - powiedział cicho Havelock. - Abyśmy tylko przeżyli. Wszyscy.

- Podpisuję się pod tym życzeniem całkowicie.

- Rostow też się podpisywał.

- Pamiętam jego przesłanie do pana. „On nie jest już moim wrogiem, lecz są inni, którzy także mogą być”. To złowieszcze słowa, Havelock.

- Wojennaja.

- Szaleńcy! We własnej wyobraźni maszerują razem z Trzecią Rzeszą.

- Czy są bardzo operatywni?

- Kto wie? Mają własne zarządy, własne metody werbunku. Dotykają zbyt wielu rzeczy, których nie widać. - Na przykład pomieniatczików? Ich nie widać...

- Niech mi pan wierzy, byłem człowiekiem zaufanym, ale nie aż do tego stopnia.

Jednakże... można spekulować na podstawie plotek. Plotki są zawsze, prawda? No więc można powiedzieć, że tego rodzaju przemyślenia doprowadziły mnie do obecnej sytuacji. -

Rosjanin przerwał, po czym dodał: - Ale czy na pewno będę traktowany jak cenny nabytek?

- Oczywiście! Strzeżony i traktowany jak skarb. Jakie to spekulacje?

- W ostatnich miesiącach pewni ludzie opuścili nasze szeregi: nieoczekiwanie przechodzili na zasłużoną emeryturę do dachy, poważnie chorowali lub znikali. Nie tak brutalnie jak Rostow, lecz może w jego przypadku nie było czasu na subtelności. Tym niemniej, u tych odchodzących, zdaje się występować niepokojące podobieństwo. Na ogół

określano ich jako spokojnych realistów, którzy poszukiwali rozwiązań i wiedzieli, kiedy się wycofać z konfrontacji. Piotr Rostow należał do typowych przedstawicieli takiej grupy: w gruncie rzeczy on był ich rzecznikiem prasowym. Na pewno był pan jego wrogiem, na pewno on gardził waszym systemem, gdzie nieliczni mają za dużo, a wielu ma za mało. Rozumiał

jednak, że przychodzi taka chwila, gdy wrogowie nie mogą wciąż się ścigać, bo nic nie zostanie. Wiedział, że czas, nie bomby, jest po naszej stronie.

- Chce pan powiedzieć, że ci, którzy zastąpili Rostowa, myślą inaczej.

- Takie są plotki.

- Wojennaja?

- Prawdopodobnie. Jeśli oni przejęli władzę w KGB, to czy przywódcy Kremla mogą spać spokojnie? To się nie może stać! Gdyby się zdarzyło... - Rosjanin nie dokończył

zdania.

- Nic nie zostanie? - dokończył za niego Havelock.

- Tak się powszechnie uważa. Widzi pan, oni myślą, że wy nic nie zrobicie. Myślą, że można was zjeść, najpierw w jednej dziedzinie, potem w następnej.

- To nic nowego.

- Stosując taktyczną broń nuklearną...

- A, to już coś bardzo nowego.

- To szaleństwo - stwierdził człowiek z KGB. - Będziecie musieli zareagować, cały świat tego zażąda.

- Jak możemy powstrzymać WKR?

- Blokując im amunicję.

- Jaką amunicję?

- Wiadomości o prowokacyjnych lub podżegających działaniach, które mogą być przez nich wykorzystane do postraszania zmęczonych dziadków w Prezydium. Tam jest tak samo jak i tu: wy też przecież macie swoich szakali, obwieszonych medalami generałów, pułkowników z błędnym wzrokiem, którzy spiskują z grubymi, starymi senatorami i członkami Kongresu, i straszą nieszczęściem, jeśli nie uderzycie pierwsi. Nie wszędzie mądrzy ludzie decydują! U was zresztą i tak jest lepiej, niż u nas, bo macie lepszą kontrolę.

- Mam nadzieję - powiedział Michael, myśląc przelotnie o ludziach w rodzaju komandora porucznika Thomasa Deckera. Mówi pan jednak, że Wojennaja ma swoje wtyczki w waszych szeregach, w KGB?

- Podobno.

- Znaczy to, że mogłoby być ich sporo tutaj, w ambasadzie, albo w konsulacie w Nowym Jorku.

- Nie jestem pewien nawet mojego bezpośredniego przełożonego.

- Ale pomieniatczik z zewnątrz znalazł ich, potrafił do nich dotrzeć?

- Zakłada pan, że ja coś wiem. Co miałbym podać?

- Przypuśćmy, że powiedziałbym panu, iż taką amunicję, jaką pan opisał, ukradł

wczoraj w nocy „śpioch” tak głęboko schowany, że miał dojście do informacji udostępnianej wyłącznie dekretami prezydenta. Ten człowiek znikł.

- Rezygnując ze swojej zakamuflowanej pozycji? - Został zdemaskowany. Dzięki panu, pan mi powiedział o śmierci Rostowa i o WKR. On jest z Wojennej. Jest wrogiem.

- Zwracajcie wobec tego uwagę na niespodziewany wyjazd jakiegoś niskiego rangą attach , żołnierza pilnującego budynku czy oficera komunikacyjnego. Pośród takich ludzi trzeba szukać rekrutów Wojennej. Zatrzymajcie go, jeżeli potraficie, zatrzymajcie samolot, jeżeli będzie trzeba. Krzyczcie o kradzieży, szpiegostwie, co się da. Nie pozwólcie, aby dostali tę informację.

- A jeśli jest już za późno?

- Cóż mogę przewidzieć, skoro nie znam zawartości przesyłki? - Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć.

- Czy możecie dementować?

- To wykracza poza możliwości dementowania. Część, ta najgorsza, jest fałszywa, ale zostanie przyjęta jako prawdziwa... przez obwieszonych medalami generałów i pułkowników o błędnym wzroku.

- Musi pan się porozumieć z innymi ludźmi, mądrzejszymi, na dużo wyższych stanowiskach. - Rosjanin odezwał się cicho. - U nas w takich sprawach stosujemy zasady praktyczne. Niech się pan skontaktuje ze znaczącymi ludźmi w partii, w wieku od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat, którzy przeszli przez operację Barbarossa i obronę Stalingradu. Mają dobrą pamięć, mogą panu pomóc. Obawiam się, że ja tu nie jestem w stanie nic zrobić.

- Już nam pan pomógł. Wiemy, co obserwować w ambasadzie i w konsulacie...

Przywiozą pana tutaj na przesłuchanie, związane z pańską działalnością, rozumie pan to prawda?

- Rozumiem. Czy dalej będę mógł oglądać amerykańskie filmy w telewizji?

Oczywiście, po przesłuchaniach?

- Jestem pewien, że coś się da zrobić.

- Uwielbiam westerny... Havelock, niech pan wstrzyma dostawę tej przesyłki do Moskwy. Pan nie zna Wojennej.

- Obawiam się, że znam - powiedział Michael, okrążając biurko i znów zagłębiając się w fotelu. - I dlatego się obawiam dodał, odkładając słuchawkę. Przez następne trzy godziny nie było mowy o jakimkolwiek odpoczynku. Kawa, aspiryna i okłady z zimnej wody utrzymywały go na nogach i łagodziły przenikliwy ból, rozsadzający czaszkę. Skontaktowano się z każdym departamentem w każdej agencji wywiadowczej i badawczej, który mógłby mieć informacje o ambasadzie radzieckiej i o konsulacie w Nowym Jorku lub dostęp do nich, i kazano przekazać wszystko, czego życzył sobie Czyściec Piąty. Przystudiowano rozkłady lotów Aeroflotu, LOT-u, czechosłowackich linii lotniczych CSA i wszystkich przewoźników, latających do krajów Europy Wschodniej. Sprawdzone listy pasażerów dyplomatycznych, podwojono ilość kamer obserwujących radzieckie budynki w Waszyngtonie i w Nowym Jorku, śledzono personel, z zaleceniem takiego pilnowania, które nawet mogłoby stać się widoczne. Nadrzędnym celem tej akcji było uniemożliwienie kontaktu i zatrzymanie przesyłki, a nic nie działało skuteczniej niż fakt, że agent WKR wiedział, iż udając się na spotkanie, zaprowadzi do uciekiniera, albo że Pierce zrozumie, że mogą go złapać. Nad granicą z Meksykiem krążyły liczne helikoptery, latające za małymi samolotami. Stale sprawdzano je drogą radiową i jeśli odpowiedzi z tych samolotów wydawały się niezadowolające, kazano im lądować w celu przeszukania. Przy brzegach Florydy, Georgii i obu Karolin, odrzutowce marynarki latały nisko nad wodą, śledząc łodzie, które zbyt skręcały na południowy wschód. I tutaj również używano radia. Inne samoloty i patrole straży przybrzeżnej obserwowały łodzie rybackie i jachty wypływające z portu Corpus Christi w kierunku wód meksykańskich. Na szczęście brzydka pogoda w zachodniej części Zatoki Meksykańskiej znacznie zmniejszyła ich liczbę. Żadna z łodzi nie nawiązała kontaktu z inną, żadna nie wypłynęła poza port Isabel lub Brazos Island.

- Panujemy nad sytuacją - powiedział za piętnaście czwarta, kompletnie wykończony Havelock. - Jeśli coś nam nie umknęło, jeszcze panujemy. Być może jednak... - Opadł na kanapę. - Muszę wrócić do nazwisk. On tam jest! Parsifal tam jest, i ja go muszę znaleźć!

Berquist mówi, że nie możemy wyjść poza dzisiejszy wieczór, bo nie może ryzykować. Świat nie może ryzykować.

- Przecież Pierce nie dostał się do tamtego pokoju zaprotestowała Jenna. - Nie widział umów.

- Ale psychiatryczne diagnozy Matthiasa wyraźnie je pokazują, w całym ich szaleństwie. Pod pewnymi względami, to jeszcze gorzej. Wyobrażasz sobie? Zdeklarowany szaleniec, kierujący polityką zagraniczną najpotężniejszego, najgroźniejszego kraju na świecie? Jesteśmy trędowaci... Berquist powiedział, że staniemy się trędowaci. Jeśli przeżyjemy. Zadzwoił telefon, Michael wypuścił powietrze i zakrył sobie głowę. Mgły znów się zbierały, otaczały go, dusiły.

- Tak, dziękuję bardzo - powiedziała Jenna do słuchawki. - O co chodzi? - zapytał

Havelock, otwierając oczy i wpatrując się w podłogę.

- CIA odnalazła następne pięć fotografii. Zostaje więc tylko jedna, przy czym są pewni, że akurat ten człowiek nie żyje. Oczywiście, inni też już może nie żyją.

- Fotografie? Czego, kogo?

- Starych ludzi z mojej listy.

- Co? - Michael odwrócił się, a jego oczy, wpatrzone w sufit, powoli się zamykały. -

Starych ludzi - szepnął. Dlaczego?

- Śpij, Michaił. Musisz spać. Teraz nie nadajesz się do niczego i nikomu nie pomożesz. - Jenna podeszła do kanapy i uklękła przy nim. Lekko przycisnęła wargi do jego policzka. Śpij kochanie. Teraz ona siedziała za biurkiem i za każdym razem, kiedy telefon zaczynał dzwonić, rzucała się na niego, niczym blond kocica, broniąca gniazda przed napastnikami. Telefonowano zewsząd, podając sprawozdania od ludzi, którzy ślepo wykonywali rozkazy. Panowali nad sytuacją.

Przystojna para w bryczesach do jazdy konnej, w długich butach i w czerwonych, ozdobionych herbem żakietach, galopowała przez pole. Po prawej stronie, sztachetowe ogrodzenie oddzielało sąsiednią posiadłość, a dopiero za nim rozciągało się następne pole, ginące za ścianą olbrzymich klonów i dębów. Mężczyzna gestem wskazał na ogrodzenie, śmiejąc się i kiwając głową. Kobieta z początku udawała zaskoczenie i dziewicze certowanie się, po czym nagle zacięła konia z prawej strony i ruszyła przodem, unosząc się wysoko w siodle przed samym ogrodzeniem. Przeskoczyła na drugą stronę, mężczyzna tuż za nią i razem już pokłusowali na skraj lasu, gdzie zatrzymali konie.

- Do diabła! - kobieta skrzywiła się. Naciągnęłam sobie mięsień w łydce. Ależ mnie boli!

- Zejdź z konia i przejdź się trochę. Nie siedź nieruchomo! Kobieta zsunęła się na ziemię, a mężczyzna sięgnął po jej lejce. Spacerowała chwilę w kółko, wyraźnie utykając i klnąc pod nosem.

- Dobry Boże, gdzie my właściwie jesteśmy? - zawołała.

- To chyba majątek Heffernanów. Jak twoja noga?

- Fatalnie, po prostu strasznie. O Jezus!

- Nie możesz jechać konno.

- Ja ledwie mogę na niej stanąć, idioto.

- Ale humorek. Chodź, poszukamy jakiegoś telefonu. Weszli między drzewa, mężczyzna prowadził oba konie, okrążając liczne grube pnie.

- Tutaj - odezwał się, sięgając do niskiej gałęzi gęstego krzewu. - Przywiążę je tutaj, a później po nie wrócę. Nigdzie stąd nie odejdą.

- Będziesz musiał mnie podtrzymywać. Ten ból jest nie do zniesienia! Zdążyli ujść zaledwie kawałek drogi, gdy między drzewami ujrzeli szeroki półkolisty podjazd do frontowych drzwi dużego domu.

Zobaczyli także jakiegoś mężczyznę, który pojawił się nie wiadomo skąd. Miał na sobie gabardynowy płaszcz, a obie ręce trzymał w kieszeniach.

- Czy mogę w czymś pomóc? To prywatna własność - odezwał się człowiek w płaszczu, kiedy podeszli bliżej. - Ufam, iż wszyscy posiadamy własność prywatną, mój panie odparł dżokej, podtrzymując kobietę. - Przy ostatnim skoku moja żona naciągnęła sobie mięsień.

- Co?

- Jeździmy konno, dla sportu. Chcieliśmy trochę potrenować przed sobotnim polowaniem i, obawiam się, że jak to mówią, przeholowaliśmy. Proszę nas zaprowadzić do telefonu.

- No, ja...

- To przecież jest dom Heffernanów, prawda? - dopytywał się mężczyzna.

- Tak jest, proszę pana, ale państwa nie ma w domu. Nie wolno nam nikogo wpuszczać do środka.

- Do jasnej cholery! - wybuchnęła żona. - Co za bzdury! Boli mnie noga, głupcze.

Muszę wrócić do klubu samochodem.

- Jeden z naszych ludzi chętnie panią odwiezie, proszę pani. - Równie dobrze może po mnie przyjechać mój szofer. Doprawdy, kimże są ci Heffernanowie? Czy należą do klubu, kochanie?

- Chyba nie, Buff. Słuchaj, temu człowiekowi wydano polecenia i choć są one bzdurne, to przecież nie jego wina! Ty jedź do klubu, a ja zabiorę konie.

- Niech się nawet nie starają o przyjęcie do naszego grona powiedziała kobieta, kiedy dwóch ludzi pomagało jej wsiąść do samochodu. Mężczyzna wrócił do koni, odwiązał je i poprowadził przez pole. Zdjął z ogrodzenia kilka desek, przeszedł, położył deski z powrotem, wsiadł na swego konia i, trzymając za lejce konia żony, pojechał truchtem wzdłuż trasy sobotniego polowania. Po chwili sięgnął pod siodło i wyciągnął radio o dużej mocy. Nacisnął

przycisk i podniósł aparat do ust.

- Są dwa samochody. Czarny lincoln, rejestracja siedem cztery zero MRL i ciemnozielony buick, jeden trzy siedem GMJ. Miejsce jest otoczone strażą i nie ma żadnych tylnych dróg. W oknach są grube szyby, żeby je stłuc, trzeba by armaty. Wykryli nas podczerwinią.

- Rozumiem - padła odpowiedź z małego głośniczka. Interesują nas głównie pojazdy...

Ale, ale, właśnie widzę tego buicka. Mężczyzna z różnymi piłami, przypiętymi i zwisającymi z szerokiego skórzanego pasa, siedział wysoko na ogromnej, rosnącej na skraju drogi sośnie. Schował radio do futerału i przyłożył do oczu lornetkę, spoglądając przez gałęzie w dół, i koncentrując się na samochodzie, wyjeżdżającym z wysadzanego drzewami podjazdu. Widok był klarowny ze wszystkich stron. Żaden samochód nie mógł wjechać na teren Czyścica Piątego, ani stamtąd wyjechać

niepostrzeżenie, nawet w nocy. Promienie podczerwone działały zarówno w lornetce, jak i w reflektorach polowych. Mężczyzna na drzewie gwizdnął, drzwi stojącej pod sosną ciężarówki, na których widniał napis: „Fachowa pielęgnacja drzew”, otworzyły się. Wysiadł z niej drugi mężczyzna i spojrzał w górę.

- Jedź - powiedział ten na gałęzi, na tyle głośno, aby go było słychać na dole. -

Zmienisz mnie za dwie godziny.

Kierowca ciężarówki jechał na północ przez jakieś trzy kilometry do pierwszego skrzyżowania. Po prawej stronie był warsztat samochodowy z otwartymi drzwiami. W

środku, przodem do drzwi, stał samochód na hydraulicznym podnośniku. Kierowca sięgnął do przełącznika i zamrugał światłami. Natychmiast w ten sam sposób odpowiedziały światła samochodu w garażu. Sygnał został przyjęty, pojazd znajdował się na miejscu. Właściciel warsztatu był przekonany, że współpracuje po cichu z wydziałem narkotyków policji państwowej. Przynajmniej tyle może zrobić zwykły obywatel... Kierowca skręcił w prawo i zaraz potem w lewo. Trzy minuty później przejechał obok sosny, której gałęzie skrywały jego towarzysza. W innych okolicznościach może nacisnąłby na klakson, teraz jednak nie mógł.

Żaden znak, żaden dźwięk nie mógł w jakikolwiek sposób wskazywać na ten kawałek drogi.

Zamiast tego przyśpieszył, i po niespełna minucie znalazł się przy innym skrzyżowaniu, pierwszym od Czyścica Piątego w kierunku południowym. Na ukos, po lewej stronie, stała niewielka wiejska gospoda, zbudowana w południowym stylu, niby wielki dom dla lalek, postawiony przez pamięć dla starej plantacji. Z tyłu był asfaltowy plac, gdzie parkowało kilkanaście samochodów, ustawionych rzędami jak duże kolorowe zabawki. Tylko jeden z nich, czwarty od końca, miał dobry widok na skrzyżowanie i możliwość szybkiego wyjazdu z parkingu. Samochód był ciemny i pokryty warstwą kurzu: ot, ubogi krewny w towarzystwie błyszczących, drogich kuzynów. Kierowca znów pochylił się do przodu i zamrugał światłami.

Brudny, zniszczony samochód, z silnikiem potężniejszym od wszystkich stojących obok pojazdów, zrobił to samo. Potwierdzono kolejny sygnał. Każdy samochód wyjeżdżający z Czyścica Piątego, zostałby zauważony przez posterunki rozmieszczone w obu kierunkach.

W podupadłym motelu na przedmieściach Falls Church w stanie Wirginia, Arthur Pierce przyglądał się sobie w lustrze. Był zadowolony ze swego wyglądu. Wianuszek siwych włosów, otaczający wygoloną łysinę, pasował do szkieł bez oprawki i zniszczonego brązowego swetra na brudnej białej koszuli, z wytartym kołnierzykiem. Wyglądał jak człowiek przegrany, którego mierne talenty i brak złudzeń utrzymywały tuż nad poprzeczką biedy. Podejmowanie jakiegokolwiek ryzyka było bezużyteczne. Po co? Na ulicy nikt na takich ludzi nie zwracał uwagi, poruszali się za wolno, nie liczyli się dla nikogo. Pierce odwrócił się od lustra i przeszedł przez pokój do mapy drogowej, rozłożonej pod światłem plastikowej lampy, stojącej na tandetnym poplamionym biurku. Po prawej stronie, w charakterze przycisku, leżała szara metalowa kasetka z emblematem Marynarki Stanów Zjednoczonych na wierzchu, z medycznymi insygniami pod spodem i mosiężnym szyfrowym zamkiem, wbudowanym z boku. W środku zaś znajdował się śmiernicjonośny dokument: psychiatryczna diagnoza

męża stanu, którego czcił cały świat. Diagnoza stwierdzająca, iż człowiek, zajmujący pozycję szefa polityki zagranicznej jednego z dwóch najpotężniejszych państw na świecie jest chory na umyśle. Wobec tego państwo, które dopuściło do takiej sytuacji, nie mogło nadal występować jako przywódca sprawy, której było orędownikiem.

Wariat zdradził nie tylko swój własny rząd, lecz także cały świat, oszukując, kłamiąc, wprowadzając w błąd, udając sojusze z wrogami, spiskując przeciwko uznawanym sojusznikom. To, że był chory psychicznie, nie miało teraz znaczenia. Stało się! W aktach było wszystko. Zawartość szarej metalowej kasetki stanowiła niewiarygodnie potężną broń, jednakże wykorzystanie jej z właściwymi skutkami, wymagało przekazania jej do odpowiednich rąk w Moskwie. Nie do starych, zmęczonych zwolenników kompromisów, lecz do sępów, wizjonierów, obdarzonych siłą i wolą szybkiego działania, obliczonego na rzucenie skorumpowanego, nieudolnego olbrzyma na kolana. Nie do przyjęcia była możliwość, że akta Matthiasa mogłyby wpaść w Moskwie w jakieś miękkie, pomarszczone dłonie, bo wówczas stałyby się przedmiotem pertraktacji i handlu, aż wreszcie zostałyby odrzucone przez ludzi słabych, bojących się tych, których mieli kontrolować. Nie, myślał Arthur Pierce, metalowa kasetka należy do WKR, tylko do Wojennej. Liczne rozmowy telefoniczne przekonały go, że przy próbie przekazania kasetki przez te parę osób, którym mógł zaufać, istniało spore ryzyko. Jak można się było spodziewać, personel ambasady i konsulatu był skrupulatnie pilnowany: kontrolowano wszystkie międzynarodowe loty i prześwietlano wszystkie bagaże.

A więc sam to wywiezie, razem z ostateczną bronią, bronią śmiertelną: dokumentami, mówiącymi o planowanych kolejnych uderzeniach nuklearnych w Związek Radziecki i w Chiny, a podpisanymi przez wielkiego amerykańskiego sekretarza stanu. Były to atomowe fantazje, zrodzone w umyśle chorego geniusza, współpracującego z jednym z najbardziej genialnych umysłów w Związku Radzieckim. Fantazje tak realne, że zmęczeni, starzy ludzie z Kremla uciekną do swych dacz i do swojej wódki, pozostawiając podjęcie decyzji tym, którzy potrafią sobie z takimi sprawami poradzić. Ludziom z Wojennej. Gdzie jest teraz ten wspomniały umysł, który to wszystko umożliwił? Człowiek, który odwrócił się od swej ojczyzny, tylko po to, aby poznać prawdę, że się pomylił. I to bardzo się pomylił! Gdzie jest Parsifal? Gdzie jest Aleksy Kaliazin? Z tymi myślami Pierce ponownie obrócił się do mapy.

Ten głupi, choć nie we wszystkim, Havelock wspominał o Shenandoah, i o tym, że człowiek, którego nazywali Parsifalem, znajdował się gdzieś w tej okolicy, czyli w stosunkowo rozsądnej odległości od wiejskiej posiadłości Matthiasa. Jednakże pojęcie stosunkowo rozsądnej odległości nie było pojęciem stałym. Dolina Shenandoah miała ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości i prawie czterdzieści kilometrów szerokości. Co w takiej sytuacji można uważać za odległość rozsądną? Nie miał jednoznacznej odpowiedzi, a więc rozwiązanie należało znaleźć z drugiej strony, czyli w pracowitym umyśle Michaela Havelocka vel Michaiła Havliczka, syna Vaclava, nazwanego tak na cześć dziadka Rosjanina z Równego: człowieka wytrwałego i obdarzonego pewną dozą wyobraźni, bo na pewno nie geniuszu. Havelock zredukuje łuk, zatrudni setkę komputerów i odnajdzie jeden telefon, wykonany w określonym czasie do określonego miejsca. Havelock wykona pracę, a pomieniatczik zbierze żniwo. Komandora porucznika Deckera zostawią w spokoju, on był

kluczem do otwarcia pewnych drzwi. Pierce pochylił się nad mapą, jadąc wskazującym palcem od jednej linii, do drugiej. Tu, w tym łuku, półkołu odgradzającym Shenandoah od Czyścica Piątego,

roilo się od ludzi i pojazdów na wyznaczonych pozycjach. Od Harper's Ferry do Valley Pike, autostrady 11 i 66 oraz drogi 7, 50, 15, 17, 29 i 33, były obsadzone ludźmi czekającymi na wiadomość, że określony samochód zbliża się w określonym czasie, zmierzając do określonego miejsca. Od ludzi w pojazdach nie oczekiwano niczego więcej, prócz ustalenia i podania nazwy tego miejsca. Oni byli jedynie najemnikami, nie uczestnikami, a ich czas był opłacony pieniędzmi, nie zaś celem lub przeznaczeniem. Arthur Pierce, urodzony jako Mikołaj Pietrowicz Malekow w wiosce Ramenskoje, w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, nagle pomyślał o przeznaczeniu i tych wszystkich latach, które prowadziły do jego fascynującej roli w tym przeznaczeniu. Nigdy się nie wahał, nigdy nie zapominał, kim jest, i dlaczego ma tę najwyższą możliwość służenia jedynej sprawie. Sprawie tak znaczącej i tak potrzebnej światu, gdzie niewielka garstka tyranizowała masy, gdzie miliony żyły na krawędzi rozpacz i w beznadziejnym ubóstwie po to, aby bezwzględni manipulatorzy mogli cieszyć się ze swych bogactw. W tym samym czasie kapitalistyczne wojska mordowały gdzieś daleko niewinne dzieci. I nie były to krzykliwe, prowokacyjne wnioski banalnych propagandzistów, to była szczerza prawda. Widział

wszystko na własne oczy: od podpalanych wiosek w południowo wschodniej Azji, przez eleganckie jadalnie, gdzie ofertom zatrudnienia towarzyszyły uśmiechy, mrugnięcia i obietnice finansowe, będące pierwszym krokiem do bogactwa, do wewnętrznych korytarzy władzy rządowej, gdzie hipokryci i ludzie nieudolni zachęcali do dalszej hipokryzji i nieudolności. Jakże tego wszystkiego nienawidził! Nienawidził korupcji, chciwości i świętoszkowatych kłamców, oszukujących masy. Ludzi, nadużywających danej im władzy, napychających kabzy sobie i swoim sojusznikom... Dla Pierce'a istniał lepszy świat. Istniało prawdziwe zaangażowanie. Istniała Wojennaja.

Kiedy miał trzynaście lat, ludzie, których nazywał matką i ojcem, przeprowadzili z nim poważną rozmowę. Tłumaczyli mu całą sytuację, trzymając go w ramionach i patrząc mu w oczy, aby widział, jak go kochają. Należał do nich, powiedzieli mu, ale nie tylko do nich.

Urodził się bowiem w wybranej rodzinie, oddalonej o tysiące kilometrów, która kochała go tak bardzo, że ofiarowała go państwu i sprawie. Sprawie, mającej stworzyć lepszy świat dla przyszłych pokoleń. W miarę, jak Arthur Pierce słuchał „matki” i „ojca”, wiele rzeczy zapamiętanych z dzieciństwa nabierało nowego znaczenia. Wszystkie te dyskusje, nie tylko z

„rodzicami”, lecz także z licznymi gośćmi, często odwiedzającymi farmę, traktowały o cierpieniu i prześladowaniu, o despotycznej formie rządzenia, którą należy zastąpić przez rząd oddany ludziom, wszystkim ludziom. I to on miał być jego częścią. Ludzie, którzy tu przyjeżdżali, przywozili mu gry, układanki, ćwiczenia i testy, sprawdzające jego uzdolnienia.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy skończył trzynaście lat, dowiedział się, że jest chłopcem o nadzwyczajnym umyśle. Tego samego dnia poznał też swoje prawdziwe nazwisko. Był gotów przyłączyć się do sprawy. „Ojciec” i „matka” ostrzegali, że to nie będzie łatwe, lecz w przypadku jakichś wielkich trudności miał pamiętać, że oni są, że są zawsze. A gdyby im się coś stało, ich miejsce zajmą inni, aby mu nadal pomagać, kierować nim, zachęcać go. Miał

być najlepszy we wszystkim, miał być Amerykaninem: grzecznym, szczodrym, a przede wszystkim pozornie sprawiedliwym. Miał wykorzystać swoje zdolności, aby zająć tak wysoko, jak tylko się da. Jednakże nigdy nie wolno mu było zapomnieć kim i czym jest, ani jakiej sprawie zawdzięcza dar

życia i szansę uczynienia świata lepszym. Od tamtego pamiętnego dnia, jego życie wcale nie stało się tak trudne, jak to przewidywali „ojciec” i

„matka”. Podczas nauki w szkole i na uniwersytecie, jego tajemnica służyła mu jako ostroga, ponieważ to była jego tajemnica, a on był nadzwyczajny. Były to lata niesłychanie radosne: każda nowa nagroda i wyróżnienie stawały się dowodem jego nieprzeciętności. Łatwo dawał

się lubić i zawsze był bardzo popularny. Miał wielu znajomych, ale żadnych prawdziwych przyjaciół i żadnych głębszych znajomości. Mężczyźni go lubili i akceptowali utrzymywany przez niego dystans, przypisując ten fakt zazwyczaj temu, że aby zarobić na naukę musiał

ciężko pracować. Natomiast znajomości z kobietami nawiązywał jedynie w celach seksualnych, do żadnej się nie przywiązywał. Podczas studiów magisterskich w Michigan, Moskwa nawiązała z nim kontakt i poinformowała, że niedługo zacznie nowe życie.

Spotkanie było zaaranżowane dość zabawnie: zwerbowany urzędnik z dużej konserwatywnej korporacji przeglądał podobno akta studentów i chciał poznać niejakiego Arthura Pierce'a. W

przekazanych informacjach nie było jednak nic zabawnego, brzmiały śmiertelnie poważnie i...

fantastycznie. Pierce miał wstąpić do wojska, gdzie pewne okoliczności spowodowałyby jego awans, a potem dalsze sukcesy i kontakty z władzami cywilnymi i wojskowymi. Następnie miał wrócić nie na środkowy zachód, lecz do Waszyngtonu, gdzie już wcześniej rozejdą się wiadomości o jego wybitnych osiągnięciach i talentach. Różne firmy ustawiały się więc w kolejce, aby go zatrudnić, ale wtedy wtrącił się rząd, i on ma tę propozycję przyjąć. Najpierw jednak wojsko: miał dać z siebie wszystko, miał być nadal najlepszy. „Ojciec” i „matka” wydali na farmie pożegnalne przyjęcie, zapraszając wszystkich jego przyjaciół, również z jego starego zastępu skautowego. I rzeczywiście, pod wieloma względami było to pożegnanie. Bo kiedy się skończyło, „ojciec” i „matka” powiedzieli mu, że się nigdy więcej nie zobaczą. Zestarzeli się, no i wykonali swoje zadanie: stworzyli jego. A on przyniesie im zaszczyt. Poza tym, ich talentów potrzebowano gdzie indziej. I Pierce to zrozumiał, bo sprawa liczyła się przede wszystkim... Wtedy też, po raz pierwszy od chwili, gdy skończył trzynaście lat, rozplakał się tej nocy. Mógł sobie jednak tym razem na to pozwolić, i zapłakać z radości.

Wszystkie te fakty przypomniał sobie Arthur Pierce teraz, gdy w tanim motelu zerkał do lustra, patrząc na siwą grzywkę i wytarty kołnierzyk. To nie były stracone lata, a dowód na to znajdzie się w ciągu następnych godzin. Zaczęło się oczekiwanie. Nagrodą będzie miejsce w historii.

Kiedy Michael otworzył oczy, zobaczył dużą powierzchnię brązowej skóry, poczuł

wilgoć i natrętny upał. Przewrócił się na plecy i podniósł głowę. W tym momencie zrozumiał, że jasność w pokoju nie pochodzi od słońca, lecz ze stojącej dalej lampy. Był zlany potem.

Była noc, a on nie był na to przygotowany. Co się stało?

- Dobry dzień. - Usłyszał na powitanie.

- Która godzina? - spytał, siadając na kanapie.
- Dziesięć po siódmej - odparła Jenna od biurka.
- Spałeś niewiele ponad trzy godziny. Jak się czujesz?
- Nie wiem. Jestem jakiś taki opuszczony. Co się dzieje? - Niewiele. Jak mówiłeś, panujemy nad sytuacją. Czy wiedziałeś, że światelko w tych guzikach zapala się, zanim zadzwoni telefon? Ułamek sekundy wcześniej, ale jednak.
- Mało pocieszające. Kto dzwonił?
- Bardzo poważni, zdeprymowani ludzie, nie mający nic do przekazania, prócz tego aby powiedzieć, że nie mają nic do przekazania. Wielu z nich pytało, jak długo jeszcze mają wykonywać ten swój, jak go nazwali „rekonesans”. Powiedziałam, że do odwołania.
- No, tak.
- Przyszły zdjęcia.
- Co? A, prawda, twoja lista.
- Leżą na stoliku do kawy. Obejrzyj je. Havelock skoncentrował wzrok na szeregu pięciu ziarnistych twarzy. Przetarł oczy i otarł pot z czoła, nerwowo usiłując się skupić.

Zaczął od twarzy z lewej strony, nie mówiła mu nic. Potem następna, i następna, i... następna.

- Ten - powiedział, nie wiedząc dlaczego tak mówi.
- Który?
- Czwarty od lewej. Kto to jest?
- To bardzo stare zdjęcie, zrobione w roku 1948. - Jenna spojrzała na kawałek papieru przed sobą. - Jedyne jakie mogli znaleźć. Zrobione ponad trzydzieści lat temu.
- Kto to jest? Kto to był?
- Nazywał się Kaliazin. Aleksy Kaliazin. Poznajesz go? -

Jenna wstała zza biurka.

- Tak... Nie. Nie wiem.
- To bardzo stare zdjęcie, Michaił. Spójrz na nie. Przyjrzyj się dokładnie. Oczy, broda, kształt ust. Gdzie? Kto?

- Nie wiem. To jest tam... i nie ma. Kim był?
- Psychoterapeutą klinicznym - powiedziała Jenna, czytając z kartki. - Pisał prace oceniające skutki stresu, wynikającego z walki lub przedłużonych okresów przebywania w nienaturalnych warunkach. KGB korzystało z jego ekspertyz, stał się tym, co tutaj się określa mianem stratega, lecz z pewną istotną różnicą. Badał bowiem informacje, nadsyłane przez agentów do KGB, pod kątem szukania dewiacji, które mogłyby wskazywać na podwójną robotę albo na to, że ktoś nie nadaje się już do tej pracy.
- Weryfikator. Oszust ze skłonnością do pomijania rzeczy oczywistych.
- Nie rozumiem.
- Rewolwerowcy. Nigdy nie zauważają rewolwerowców.
- Nadal nie rozumiem, o czym ty mówisz.
- Nie znam go. Ta twarz wygląda jak wiele innych twarzy z różnych akt. Boże, te wszystkie twarze!
- Ale w tej coś jest!

- Może. Nie jestem pewien.
- Patrz na nią. Skoncentruj się!
- Kawa. Dlaczego nie ma kawy?
- Zapomniałam - powiedziała Jenna i podeszła do stolika koło kanapy, gdzie przewidujący strażnik ustawił elektryczny czajnik. - Kawa po obudzeniu się, to pierwsza zasada. Dużo czarnej i bardzo mocnej kawy. Prawdziwy z ciebie Czech, Michaił.
- Pierwsza zasada - powtórzył Havelock, nagle zaniepokojony. - Pierwsza zasada?
- Co?
- Gdzie są twoje notatki na temat tego telefonu do Deckera?
- Ty je wzięłaś.
- Gdzie są.
- Tam. Na stole.
- Gdzie?!
- Pod ostatnim zdjęciem. Z prawej strony. „Zrób sobie coś do picia. Znasz zasady.”

- Och, mój Boże! Zasady, cholerne zasady!

- Michael zrzucił zdjęcie nieznannej twarzy ze stołu i złapał dwie strony z notatnika.

Przyglądał się im z zastanowieniem.

- Co się dzieje? - spytała zaalarmowana Jenna, z filiżanką kawy w dłoni.

- Decker! - krzyknął Michael. - Gdzie są notatki o Deckerze? - Tam. Z lewej strony w notesie. Havelock przerzucał kartki, błędzącymi oczyma szukał potrzebnych słów. I znalazł

je!

- „Dziwny akcent” - szepnął. - „Dziwny akcent”, ale właściwie jaki akcent? - Złapał za słuchawkę telefonu, z trudem panując nad palcami przy wybieraniu numeru. - Z komandorem porucznikiem Deckerem, macie jego numer w spisie.

- Michał, opanuj się.

- Zamknij się! - warknął w napięciu. Przedłużony dźwięk oznaczał dzwonienie, czekanie było nie do zniesienia.

- Halo - odezwał się kobiecy głos.

- Proszę z komandorem Deckerem.

- Bardzo mi przykro, ale go nie ma.

- Dla mnie jest! Mówi Cross. Niech Decker podejdzie do telefonu.

- O co chodzi? - zapytał Decker po dwudziestu sekundach. - Powiedział pan „dziwny akcent”. Co to znaczy?

- Słucham?

- Ta rozmowa. Telefon od Matthiasa, od tego człowieka, co powiedział, że dzwoni w imieniu Matthiasa! Kiedy powiedział pan, że on miał dziwny akcent, czy to miało znaczyć, że obcy, rosyjski?

- Ależ skąd! To był bardzo wysoki głos, z akcentem bardzo zbliżonym do brytyjskiego.

- Dobranoc panu, komandorze - powiedział Michael i odłożył słuchawkę. „Proszę sobie nalać coś do picia... Zna pan tutejsze zasady... Obaj mamy puste szklanki. Niech pan naleje sobie, a przy okazji i mnie. To również część zasad, pamięta pan?” Havelock znów wziął słuchawkę, kładąc przed sobą spis numerów. Wybrał jeden. Czekanie było niemal przyjemnością, choć trwało zbyt krótko: potrzebował bowiem czasu, żeby się przestawić.

Poole's Island!

- Mówi Cross. Poproszę z Wydziałem Bezpieczeństwa. - Tu punkt kontrolny -

powiedział oficer dyżurny. - Mówi Cross. Z rozkazu prezydenta, priorytet zero. Proszę potwierdzić.

- Niech pan zacznie liczyć.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

- W porządku. Parametry się zgadzają. Słucham pana? - Kim był ten oficer, który wyjątkowo otrzymał przepustkę jakieś sześć tygodni temu?

- Pana informacje są błędne. Nikt nie występował o specjalną przepustkę. Nikt nie opuścił wyspy. - W słuchawce zabrzmiały rzeczowe słowa człowieka, który wie, co mówi.

- Dziękuję. Aleksander Wielki! Raymond Alexander! Fox Hollow.

38

- To on - powiedział Havelock, pochylając się nad biurkiem, ciągle ze słuchawką w dłoni. - On jest Parsifalem. Raymond Alexander.

- Alexander? - Jenna odeszła od stołu i gapiła się na Michaela, potrząsając wolno głową.

- To musi być on. Te jego słowa: „zasady”. „Jedna z zasad, część zasad.” Zawsze zasady! Jego życie to seria niewzruszonych zasad! Dziwny akcent nie był obcy, rosyjski. To akcent z Harvardu lat trzydziestych, z pretensjonalną przesadą Alexandra. Mówił w ten sposób w tysiącu salach wykładowych, na setkach różnych debat. Szybkie punktowanie, nieoczekiwane riposty, pchnięcie i obrona. Cały Alexander.

- Dokładnie taki, jak go opisałeś - stwierdziła Jenna spokojnym i zdecydowanym głosem. - Jednakże istnieje tutaj ogromna sprzeczność, której chyba nie potrafisz wyjaśnić.

Czy chcesz go oskarżyć o to, że znał sowieckiego „śpiocha” i nic nie zrobił? Mimo, iż ten człowiek zajmował stanowisko podsekretarza stanu?

- Ja tego nie potrafię wyjaśnić, lecz on powinien jak najbardziej... Posłał mnie na Poole's Island, opowiadając bajeczkę o jakimś oficerze na specjalnej przepustce, który wygadał się przed żoną. Taka osoba nie istnieje, nikt nie dostał żadnej przepustki!

- Może chronił inne źródło?

- Po cóż więc takie skomplikowane kłamstwo? Dlaczego zwyczajnie mi nie odmówił?

Bo chciał, abym mu uwierzył, abym dał słowo, że będę go chronił, wiedząc, że na pewno słowa dotrzymam.

- W jakim celu to zrobił? - spytała Jenna, podchodząc do biurka. - Dlaczego w ogóle ci powiedział? Żeby cię zabili?

- Niech on mi na to odpowie... - Havelock podniósł słuchawkę i nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. Proszę o samochód dla mnie, i drugi dla ochrony za mną. To jakaś godzina drogi stąd. Natychmiast. Odłożył słuchawkę, przez chwilę spoglądał na telefon, potem potrząsnął głową. - Nie - powiedział.

- Prezydent?

- Nie będę do niego dzwonił. Nie teraz. Jest w takim stanie, że mógłby wysłać batalion komandosów. W ten sposób nie poznamy prawdy. Osaczony Alexander mógłby strzelić sobie w łeb.

- Jeśli masz rację, to czego jeszcze moglibyśmy się od niego dowiedzieć?

- Dlaczego to robił! - odparł z furią Michael wyciągając górną szufladę i wyjmując z niej swoją llamę. - I jak - dodał, sprawdzając magazynek i wsuwając go z powrotem na miejsce.

- Ta ogromna sprzeczność, o której wspomniałaś. Jego ukochana republika.

- Jadę z tobą.

- Nie.

- Tak! Tym razem nie masz prawa mi odmówić. Moje życie i śmierć są w tamtym pokoju. Mam prawo tam być.

- Prawo może masz, ale nie pojedziesz. Ten skurwysyn cię podstawił, przeznaczył do likwidacji. - Muszę się dowiedzieć, dlaczego to zrobił.

- Powiem ci. - Michael ruszył do wyjścia.

- A jeżeli nie będziesz mógł? - zawołała Jenna, zagradzając mu przejście. - Tak, Michaił. Spójrz na mnie! Przypuśćmy, że nie wrócisz. Wiesz przecież że to możliwe! Czy chciałbyś na koniec doprowadzić mnie do szaleństwa?

- Byliśmy tam przecież, pamiętasz? Nie ma w domu żadnych urządzeń alarmowych, żadnych psów czy straży. A poza tym, nie spodziewa się mnie. Zobaczysz, niedługo wrócę razem z nim. O jakim ty mówisz szaleństwie?

- Już raz cię straciłam - kochałam cię i straciłam! Czy sądzisz, że zgodzę się ryzykować, że znów cię utracę, i w dodatku nigdy się nie dowiem dlaczego? Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś żyła.

- Nie mogę żyć, nie będę żyć, jeśli ciebie przy mnie nie będzie. Próbowałam, ale nic z tego. Cokolwiek się zdarzy, pisane jest nam obojgu, nie tobie samemu. To niesprawiedliwie, Michał, wiesz o tym dobrze.

- Do diabła ze sprawiedliwością! - Wyciągnął ręce i zamknął ją w ramionach, a trzymając w dłoni pistolet marzył o tym, by znaleźć się gdzieś indziej. Gdzie nie byłoby żadnych pistoletów.

- Zależy mi tylko na tobie. Wiem przez co przeszłaś, wiem, co ci zrobiłem. Chcę, żebyś została tutaj, bo będę wiedział, że nic ci złego nie grozi. Nie mogę ryzykować twojego życia, rozumiesz?

- Dlatego, że mnie kochasz?

- Bardzo... Tak bardzo.

- Więc mnie szanuj! - zawołała Jenna, odrzucając do tyłu głowę. Jasne włosy zawirowały na ramionach. Do jasnej cholery, Michał, szanuj mnie!

- No, dobra - powiedział Havelock. - Bierzmy płaszcze i chodźmy.

- W porządku - zgodziła się Jenna, podeszła do stolika przy kanapie i wzięła zdjęcia, łącznie z tym, które spadło na podłogę.

- Dlaczego? - spytał Michael, wskazując na fotografie.

- A dlaczego nie? - odparła.

Człowiek ukryty w górnej części wysokiej sosny wbił głębiej kolce w pień drzewa, poprawiając zabezpieczające pasy tak, aby nie wrzynały mu się w ciało. Nagle zobaczył

światła samochodowe, wynurzające się zza drzew, otaczających podjazd przy, Czyścicu Piątym. Prawą ręką podniósł do oczu lornetkę z promieniami podczerwieni, lewą wyciągnął z futerału radio. Zbliżył je do ust i nacisnął przełącznik.

- Coś się chyba dzieje - powiedział. - Potwierdźcie gotowość.

- Północ gotowa - padła pierwsza odpowiedź.

- Południe też. Mężczyzna schował radio do skózanego futerału i nastawił lornetkę na samochód ruszający z podjazdu. Był to buick. Poprawił ostrość i wyraźniej zobaczył ludzi w środku.

- To nasz mężczyzna i kobieta - powiedział. Skręcają na północ. Teraz należą do ciebie, Północ.

- Jesteśmy gotowi.

- Południe, udaj się na kolejną pozycję.

- Jadę. Północ niech będzie w kontakcie i powie, kiedy potrzebne będą posiłki.

- Zrobi się.

- Uwaga! Jest drugi samochód. Lincoln, z przodu siedzi dwóch agentów federalnych.

Nie widzę, jak jest z tyłu... Teraz widzę, nie ma nikogo.

- Ochrona - powiedział jeden z dwóch ludzi siedzących w samochodzie trzy kilometry na północ. Poczekamy, aż przejedzie.

- Dajcie mu sporo czasu - rozkazał człowiek na drzewie. - Ci ludzie bywają bardzo ciekawi.

- Nie ma sprawy - poczekamy.

Buick dojechał do skrzyżowania i skręcił w lewo, jadący kilkaset metrów za nim lincoln continental zrobił to samo, niczym wielki zwierz, ochraniający swoje małe. Oba pojazdy jechały na zachód. W środku ciemnego warsztatu przy stacji benzynowej, syczący dźwięk towarzyszył obniżaniu się hydraulicznego podnośnika. Włączono silnik opuszczanego samochodu. Kierowca uniósł radio i powiedział:

- Południe, tu Północ. Jadą trasą B. Jedźcie na zachód równoległą drogą i spotkamy się na dziesiątym kilometrze.

- Jedziemy na zachód równolegle - brzmiała odpowiedź.

- Pośpieszcie się - powiedziała Północ. - Oni jadą szybko.

Białe ogrodzenie, które otaczało posiadłość Alexandra błyszczało w świetle reflektorów. Chwilę później, światła padające na licznie rosnące na terenie drzewa przesunęły się na lewo, oświetlając dom zbudowany z kamienia i drewnianych bali. Havelock zobaczył

to, czego się spodziewał: na kolistym podjeździe nie było żadnych samochodów, świeciło się tylko w paru oknach. Zwolnił i wyciągnął ze schowka przy kierownicy mikrofon.

- Uwaga ochrona, to tutaj - powiedział, naciskając przełącznik. - Zostańcie na drodze.

Nie ma nikogo obcego i chciałbym, aby człowiek, którego odwiedzimy myślał, że jesteśmy sami.

- A gdybyśmy byli panu potrzebni?

- Nie będziecie.

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale nam to nie wystarcza.
- Dobrze. W razie czego usłyszycie mnie. Wystrzelę parę razy.
- W porządku, pod warunkiem, że będziemy obok domu.
- Chcę, żebyście zostali na drodze.
- Bardzo mi przykro, ale nie możemy tego zrobić. Zostawimy tu naszego abrahama i przejdziemy piechotą pod dom. Michael wzruszył ramionami i odłożył mikrofon, dłużej nie było sensu się spierać. Wyłączył światła, skręcił na podjazd, zwolnił obroty silnika i pozwolił

buickowi podjechać prawie pod samo wejście. Samochód zatrzymał się, a Havelock spojrział na Jennę.

- Gotowa?

- Chyba bardziej niż moje życie. Czy śmierć. Chciał jednego i drugiego. - Schowała zdjęcia pod płaszczem. Gotowa. Wyszli, cicho zamknęli drzwi i weszli po szerokich schodach, prowadzących do wielkich dębowych drzwi. Havelock zadzwonił, czekanie znów było nie do zniesienia. Po chwili otworzyła im zaskoczona pokojówka.

- Dobry wieczór. Pani ma na imię Enid, prawda?

- Tak, proszę pana. Dobry wieczór. Nie wiedziałam, że pan Alexander spodziewa się gości.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wyjaśnił Michael. Wziął Jennę pod ramię i oboje weszli do środka. - Zaproszenia w naszym przypadku są zbędne. To jedna z zasad.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Jest dość nowa. Czy pan Alexander jest tam, gdzie zwykle o tej porze? W bibliotece?

- Tak, proszę pana. Powiem mu, że państwo przyszli. Kogo mam zapowiedzieć?

- Nie trzeba, Enid. - Nagłe płytkie echo poprzedziło głos, który wypełnił wielki hall.

Był to wysoki, połykający końcówki słów głos Raymonda Alexandra, wydobywający się z niewidzialnego głośnika. - Poza tym akurat oczekiwałem pana Havelocka.

- Czy to nowa zasada, Raymondzie? - Michael obrzucił szybkim spojrzeniem ściany, mocniej ściskając ramię Jenny. Upewnić się, że gość jest tym, za kogo się podaje?

- Dość nowa - przyznał głos. Havelock poprowadził Jennę przez elegancki salon, zastawiony antykami z najodleglejszych zakątków ziemi, do ręcznie rzeźbionych drzwi do biblioteki. Przesunął ją na swoją lewą stronę, za framugę i sięgnął pod marynarkę, po automatyczny pistolet. Trzymał go u

boku, przekręcając ciężką mosiężną gałkę. Po czym otworzył szeroko drzwi i plecami przywarł do ściany z bronią gotową do strzału. - Czy to naprawdę konieczne, Michael? Havelock powoli wszedł w otwór drzwi, szybko przystosowując wzrok do przyćmionego oświetlenia wnętrza. Palły się dwie lampy: jedna z abażurem z frędzlami, stojąca na dużym biurku w przeciwległym końcu pokoju, i druga na podłodze obok miękkiego, skózanego fotela. Właśnie jej światło padało na rozczochraną głowę Raymonda Alexandra. Stary wojownik siedział bez ruchu w aksamitnej ciemnoczerwonej bonzurce, a w tłustych białych dłoniach trzymał kieliszek brandy.

- Wejdźcie - powiedział, odwracając się do małego urządzenia w kształcie pudełka na bocznym stoliku. Nacisnął guzik i gdzieś w górze, na ścianie ponad drzwiami, zgasł

przyćmiony blask telewizyjnego monitora.

- Panna Karas jest bardzo ładną kobietą. Doprawdy śliczną...Proszę wejść, moja droga.

- Jest pan potworem - powiedziała Jenna i stanęła w drzwiach obok Michaela.

- Kimś znacznie gorszym!

- Chciał pan zabić nas oboje - mówiła dalej. - Dlaczego? - Jego nie! Michaela nie! -

Alexander podniósł kieliszek i wypił łyk. - Nigdy nie rozważaliśmy tego, czy masz żyć czy zginąć. To było poza nami.

- Mógłbym cię za to zabić - powiedział Havelock.

- Powtarzam: to było poza nami. Prawdę mówiąc, myśleliśmy, że ona zostanie odwołana, odesłana do Pragi i w końcu oczyszczona. Czy nie rozumiesz, Michael, że ona nie była ważna? Tylko ty się liczyłeś! Musiałeś złożyć rezygnację, chociaż wiedzieliśmy, że nigdy jej nie przyjmą, bo byłeś zbyt cenny. Musiałeś sam to zrobić, sam na to nalegać. Twój wstręt i rozczarowanie musiały być tak głębokie, tak bolesne, że nie miałybyś innego wyjścia.

Udało się! Odszedłeś.

- Dlatego, że znałem ciebie - powiedział Havelock.

- Znałem człowieka, który prowadził chorego, złamanego przyjaciela drogą szaleństwa, zmieniając go w jakąś ponurą groteskową postać z palcem na guziku atomowym.

Znałem człowieka, który zrobił to Anthonowi Matthiasowi! Znałem Parsifala!

- Tak mnie nazwali? Parsifal? Cóż to za znakomita ironia! Ten facet nie będzie leczył

ran, on je będzie rozjątrzał. Wszędzie.

- Dlatego zrobiłeś to, co zrobiłeś, prawda? Bo ja wiedziałem, kim jesteś. Alexander potrząsnął głową, jego włosy zmieniły się w tysiące ruchomych sprężynek, zielone oczy pod krzaczastymi

uniesionymi brwiami na chwilę się przymknęły.

- Ja też się nie liczyłem. Anthon nalegał, stałeś się dla niego obsesją. Stałeś się resztką jego zanikającej uczciwości, jego niszczonego sumienia.

- Ale ty wiedziałeś, jak to zrobić. Znałeś podwójnego agenta sowieckiego tak wysoko w rządzie, że mógłby zostać sekretarzem stanu. I zostałby nim, gdyby wtedy nie było go na plaży w Costa Brava. Wiedziałeś, gdzie był, znałeś jego nazwisko, skontaktowałeś się z nim.

- W Costa Brava nie mieliśmy żadnego udziału! Dowiedziałem się o wszystkim, dopiero wtedy, kiedy pytałem o ciebie. Nie mogliśmy tego zrozumieć, doznaliśmy szoku.

- Matthias na pewno nie. Jego już nic nie mogło zaszokować. - Wtedy właśnie zrozumieliśmy, że straciliśmy kontrolę.

- Nie my! Ty!

- Tak. Ja. Ja wiedziałem - przyznał stary dziennikarz i znów znieruchomiał, ściskając w dłoniach kieliszek.

- I dlatego posłałeś mnie na Poole's Island, licząc na to, że mnie tam zabiją. Jako martwy byłbym winien, i nie mógłbym się bronić.

- Nie! - Alexander potrząsnął głową, tym razem gwałtownie. Nigdy bym nie przypuszczał, że tam pojedziesz, do głowy mi nie przyszło, że pozwolą ci pojechać.

- A ta bardzo przekonująca opowiadka o żonie wojskowego, którą spotkałeś na przyjęciu, i o tym, co ci powiedziała? To wszystko kłamstwo. Nie było żadnej specjalnej przepustki, nikt nie opuścił wyspy. Ale ja ci uwierzyłem, dałem ci słowo, że będę chronił

źródło informacji, chronił ciebie. I nigdy nic nie powiedziałem, nawet Bradfordowi.

- Tak, tak, chciałem cię przekonać, ale nie w ten sposób. Chciałem, żebyś szedł w górę, po szczeblach drabiny, wykorzystując swoje regularne kontakty, konfrontując je, zmuszając do mówienia prawdy... A jak byś raz poznał prawdę, całą prawdę, wtedy może byś się przekonał, może byś zrozumiał. Może potrafiłbyś to zatrzymać... Beze mnie.

- Jak? Na litość boską, jak?

- Ja chyba wiem, Michaił - powiedziała Jenna, dotykając ramienia Havelocka i przyglądając się Alexandrowi. - On naprawdę miał na myśli „my”, nie „ja”. Ten człowiek nie jest Parsifalem. Może jest jego służącym, ale nie Parsifalem.

- Czy to prawda? - spytał Havelock.

- Michael, nalej sobie i pannie Karas coś do picia. Znasz zasady. Muszę wam coś opowiedzieć.

- Żadnych drinków. Twoje zasady już się nie liczą.

- No to przynajmniej usiądź i odłóż ten pistolet. Mnie się już nie musisz obawiać.

Havelock spojrział na Jenę, kiwnął głową i obydwójce podeszli do stojących obok siebie krzeseł. Usiedli naprzeciwko Alexandra, Jenna wyjęła zdjęcia spod płaszcza, Michael wepchnął pistolet do kieszeni.

- No, mów - powiedział krótko.

- Wiele lat temu - zaczął dziennikarz, wpatrując się w swój kieliszek - Anthon i ja popełniliśmy przestępstwo. W naszym przekonaniu przestępstwo to było bardzo poważne i kara, gdyby nam ją wymierzono, musiałyby być szalenie surowa. Daliśmy się podejść,

„wystrychnąć na dudka” co brzmi nieszkodliwie, choć słowo „oszukać” bardziej tu pasuje, a jeszcze bardziej - „zdradzić”. Jednakże fakt, iż zdarzyło się to nam, dwóm pragmatycznym intelektualistom, za jakich się przecież zawsze uważaliśmy, był dla nas nie do zniesienia. Cóż, stało się! Alexander dopił resztę płynu z kieliszka i odstawił go na stolik obok fotela. Splótł

swe pulchne delikatne dłonie i kontynuował.

- Czy to z powodu mojej przyjaźni z Matthiasem, czy też z racji pozycji, jaką zajmowałem w tym mieście, pewnego razu zadzwonił do mnie z Toronto jakiś człowiek i powiedział, że uzyskał fałszywy paszport i że przyleci do Waszyngtonu. Był to obywatel radziecki, wykształcony człowiek w wieku jakichś sześćdziesięciu paru lat, zatrudniony na stosunkowo wysokim stanowisku w radzieckim rządzie. Zamierzał przejść na naszą stronę i chciał, żebym go skontaktował z Anthonem Matthiasem. Dziennikarz przerwał i pochylił się do przodu, zaciskając ręce na poręczach fotela. - W tamtych czasach wszyscy już wiedzieli, że Anthon przeznaczony jest do wyższych celów jego wpływy rosły wraz z każdym nowym artykułem, z każdą podróżą do Waszyngtonu. Zaaranżowałem jednak to spotkanie, miało miejsce w tym pokoju. Alexander oparł się wygodniej i spuścił wzrok.

- Ten człowiek proponował nam niesłychane informacje, wiedział bardzo dużo o wewnętrznych sprawach radzieckich. Miesiąc później pracował dla Departamentu Stanu. Trzy lata później Matthias był specjalnym doradcą prezydenta, a po upływie następnych dwóch lat, sekretarzem stanu. Człowiek z Rosji, a bezpośrednio z Toronto, wciąż pracował w Departamencie Stanu, jego talenty zaś oceniano tak wysoko, że zajmował się sortowaniem nadzwyczaj poufnych informacji jako dyrektor działu sprawozdań i raportów Bloku Wschodniego.

- Kiedy się zorientowałeś? - spytał Havelock.

- Cztery lata temu - powiedział cicho dziennikarz i podniósł wzrok. - Znów w tym pokoju. Ten człowiek chciał się spotkać z nami obydwoma. Powiedział, że to, co ma do powiedzenia jest bardzo pilne, chciał żebyśmy odwołali wszystkie nasze zobowiązania na ten wieczór i mogli się z nim

spotkać bez chwili zwłoki. Przyszedł, usiadł tam, gdzie teraz siedzi panna Karas i powiedział nam, że jest radzieckim szpiegiem, i od sześciu lat przesyła do Moskwy bardzo ważne informacje. Coś się jednak przydarzyło i nie może już dłużej funkcjonować w tej roli. Czuje się stary i zmęczony, więc chciałby zniknąć.

- A ponieważ ty i Anthon byliście odpowiedzialni za sześć lat jego roboty, miał was w garści. Michael wtrącił ostro, oburzony głupotą i moralną degrengoladą pragmatycznych intelektualistów. - Niech Bóg broni, aby wielcy ludzie mieli sobie zaszargać reputację.

- To z pewnością miało swoje znaczenie, istniało jednak pewne usprawiedliwienie.

Anthon Matthias, przekształcając politykę światową, osiągając bezpieczne kompromisy i d tente, czyniąc świat bezpieczniejszym niż był dotąd, był u szczytu powodzenia. Tego rodzaju rewelacja byłaby polityczną katastrofą, zniszczyłaby i jego, i to dobro, które czynił. Sam mocno podkreślałem ten argument.

- Jestem pewien, że przekonanie go nie trwało długo stwierdził Havelock.

- Dłużej niż ci się zdaje - odparł Alexander, a w jego głosie zabrzmiała nutka gniewu.

- Zapominasz chyba, jaki to był człowiek.

- Może nigdy naprawdę nie wiedziałem.

- Mówi pan, że sprawa reputacji miała pewne znaczenie przerwała Jenna. - Co jeszcze miało znaczenie? Dziennikarz, nim się odezwał, spoglądał na Jennę przez chwilę.

- Ten człowiek otrzymał rozkaz, którego nie mógł, nie chciał wykonać. Kazano mu przygotować się na serię szokujących sprawozdań z Bloku Wschodniego, które potem miał w taki sposób spreparować, by Anthon musiał zażądać morskiej blokady Kuby i ogłoszenia czerwonego alertu prezydenckiego.

- Nuklearnego?

- Tak, proszę pani. Powtórzenie kryzysu z sześćdziesiątego drugiego, tylko znacznie bardziej prowokacyjnego. Te zaskakujące sprawozdania miałyby potwierdzać „dowody” fotograficzne, ukazujące lasy i rejony południowych wybrzeży Kuby, pełne zaczepnej broni nuklearnej, widomego znaku bliskiego ataku.

- Ale po co? W jakim celu? - spytała Jenna.

- Pułapka geopolityczna - wyjaśnił Havelock. - Anthon daje się nabrać i jest skończony politycznie.

- No, właśnie - zgodził się Alexander. - Anthon szykuje całą potęgę militarną Stanów Zjednoczonych do wojny, aż tu nagle bramy Kuby otwierają się i zaprasza się grupy kontrolne z całego świata.

Oczywiście niczego nie znajdują, a Anthon zostaje poniżony, ośmieszony i przedstawiony jako rozhisteryzowany panikarz, którym akurat nigdy nie był.

Zaś wszystkie jego wspaniałe negocjacje lądują na śmietniku. Razem z odprężeniem!

- No, ale ten sowiecki agent - przerwała zdumiona Jenna który, przez sześć lat karmił

Moskwę informacjami, był przecież zawodowcem. Więc dlaczego nagle odmówił?

- Z bardzo wzruszającego powodu. Powiedział, że Anthon Matthias jest zbyt cennym człowiekiem, aby go poświęcić dla kilku szaleńców w Moskwie.

- Wojenną - stwierdził Havelock.

- Nadeszły szokujące sprawozdania i zignorowano je. Nie było żadnego kryzysu.

- Czy Matthias uwierzyłby w nie, gdyby nie został uprzedzony? - zapytał Michael.

- Ktoś by go do tego zmusił. Sumienni pracownicy jego wydziału zwróciliby na nie uwagę i przypuszczalnie udaliby się do kogoś takiego jak ja, gdyby im zawczasu nie powiedziano czego się mają spodziewać i jaki jest sens całej tej operacji. Anthon odbył długą poufną rozmowę z ambasadorem radzieckim. Pewni ludzie w Moskwie musieli odejść.

- Wrócili - powiedział Havelock.

- Człowiek, który oszukał nas, choć nie potrafił, jak się okazało, oszukać swego wewnętrznego głosu, zniknął. Dostał nową tożsamość i nowe życie, będące poza zasięgiem tych, którzy chcieliby go zabić. Anthon mu to umożliwił.

- Ten człowiek też wrócił - wtrącił Michael.

- On nigdy naprawdę nie odszedł. Ale zgadza się, wrócił. Ponad rok temu, bez uprzedzenia, bez telefonu, przyjechał do mnie i stwierdził, że musimy porozmawiać. Nie w tym pokoju, tutaj nie chciał niczego mówić. Za dobrze pamiętałem tamten wieczór, kiedy nam powiedział, co właściwie robi. To było późne popołudnie, spacerowaliśmy wzdłuż krawędzi wąwozu: dwóch starych ludzi, poruszających się wolno i ostrożnie. Jeden z nich był

śmiertelnie przerażony, drugi, dziwnie spięty, jakby nawiedzony. - Aleksander przerwał. -

Muszę się jeszcze napić, nie przychodzi mi to wszystko łatwo.

- To mnie nie interesuje - powiedział Michael.

- Gdzie jest brandy? - spytała Jenna, podchodząc do stołu i sięgając po kieliszek.

- W czerwonym barku - powiedział Alexander. - Pod ścianą, moja droga.
- Mów dalej - ponaglił go niecierpliwie Michael. Ona cię słyszy, oboje cię słyszymy.
- Nie chciałem zyskać na czasie, naprawdę muszę się napić... Kiepsko wyglądasz, Michael. Jesteś zmęczony, nie ogolony i masz sińce pod oczami. Powinieneś bardziej o siebie dbać.
- Zapiszę sobie twoje dobre rady.
- Proszę. - Jenna podeszła do nich z powrotem, podała Alexandrowi kieliszek i wróciła na swoje krzesło. Wtedy dopiero Michael zauważył, że Raymondowi drżą ręce. Dlatego tak mocno zaciskał obie dłonie na kieliszku.
- „Jakby nawiedzony”, na tym skończyłeś.
- Tak, pamiętam. - Alexander napił się i spojrzał na Jennę. - Dziękuję.
- Proszę, niech pan mówi dalej.
- Tak, tak, oczywiście... Szliśmy więc brzegiem wąwozu, dwaj starzy mężczyźni, kiedy on nagle się zatrzymał i powiedział: „Musisz zrobić to, co ci powiem, ponieważ stoimy w obliczu szansy, jaka się już nigdy świata nie przydarzy.” Odparłem, że nie mam zwyczaju zgadzać się na takie prośby, kiedy nie wiem, o co chodzi. On mi na to, że to nie jest prośba, lecz żądanie i że jak odmówię, to on wyjawia jakie role Matthias i ja odegraliśmy w jego działalności szpiegowskiej. Wyda nas obu, obu zniszczy. Tego się właśnie najbardziej obawiałem, dla nas obu, chociaż oczywiście bardziej dla Anthona, niż dla mnie.
- Co chciał, żebyś zrobił? - spytał Michael.
- Miałem zostać drugim Boswellem, moje dzienniki miały opisywać rozkład i upadek człowieka obdarzonego taką potęgą, że mógł popchnąć świat do szaleństwa, do którego sam zresztą zmierzał. Moim Samuelem Johnsonem miał być oczywiście Anthon Matthias, a przesłanie do ludzkości miało ostrzegać: „Na coś takiego nie możemy nigdy więcej pozwolić, żaden człowiek nie powinien już nigdy mieć takiej władzy.”
- „Zrobiliśmy z niego Boga” - powiedział Michael, cytując słowa Berquista - „choć nie byliśmy władcami niebios”.
- Trafne powiedzenie. - Dziennikarz pokiwał głową.
- Szkoda, że nie ja je wymyśliłem. Choć pewnie to zrobię, mówiąc słowami Wilde'a, „jeśli będę miał okazję.”
- Czy ten człowiek, ten Rosjanin, powiedział wtedy panu, co się działo z Matthiasem?

- zapytała Jenna.

- Tak. Widział się z nim, przebywał z nim, obserwował wszystkie oznaki choroby. Te nagłe tyrady, po których następowały ataki płaczu, to stałe usprawiedliwianie się, fałszywa skromność służąca jedynie do chwalenia się osiągnięciami. Ta rosnąca podejrzliwość wobec wszystkich otaczających go ludzi, a jednocześnie fasada normalności przy wystąpieniach publicznych. Potem przyszły zaniki pamięci, dotyczące głównie nieudanych przedsięwzięć, wreszcie przerzucanie odpowiedzialności za niepowodzenia na innych. Bywałem tam, aby to wszystko zobaczyć i opisać. Jeździłem do Shenandoah prawie co tydzień.

- W niedzielę? - przerwał Michael.

- Tak, w niedzielę.

- A Decker?

- Ach tak, komandor Decker. Widzisz, już wtedy człowiek, którego nazywasz Parsifalem, przekonał szalonego Anthona, że tylko totalna potęga stanowić będzie usprawiedliwienie całej mocy. Nazwali to „planem mistrzowskim” i znaleźli człowieka, który mógł im dostarczyć to, czego potrzebowali.

- Do ostatecznej rozgrywki - wtrącił Michael.

- Tak. Decker wchodził zawsze od tyłu i spotykał się z Matthiasem w jego wiejskiej posiadłości.

- Myśliwski domek - powiedział Havelock. - Z systemem podsłuchowym włączającym się na dźwięk ludzkiego głosu.

- Który nigdy nie zawiódł - potwierdził Alexander, głosem niewiele głośniejszym od szeptu. Nigdy. Nawet później, kiedy Matthias i... Parsifal grali w swą straszną grę, tym straszniejszą, że Matthias był jednym z graczy. Straszną jeszcze pod jednym względem, ponieważ Anthon stawał się wielkim dygnitarzem, mężem stanu, wspaniałym negocjatorem, który nie widział człowieka nazwanego przez ciebie Parsifalem, lecz widział innych, zwracał

się do innych. Do generałów i naukowców w Rosji, których tam nie było, do komisarzy i dowódców wojskowych w Chinach. W takich chwilach on naprawdę ich widział! Taki był

normalny przebieg wywoływanych przez niego samego seansów, tej najbardziej niszczycielskiej terapii. I za każdym razem, kiedy taki seans się kończył, Matthias był w trochę gorszym stanie, a jego wzrok, za okularami w szylkretowej oprawie, stawał się trochę bardziej nieprzytomny. Zachowywał się jak człowiek, który wrócił z narkotycznego odlotu i jego umysł z tego powodu pracował trochę gorzej. Ale ciągle jeszcze mógł funkcjonować na obydwóch płaszczyznach... Wszystko to widziałem, wszystko opisałem.

- W którym momencie ja się pojawiłem? - spytał Havelock. - I dlaczego właśnie ja?

- Byłeś przez cały czas, twoje zdjęcia stały u niego na biurku. I album ze zdjęciami z waszej wyprawy na kanadyjski Dzik Zachód.

- Zupełnie o tym zapomniałem. To było tak dawno temu. Byłem wtedy studentem, a Anthon moim doradcą.

- Nie tylko. Byłeś dla niego synem, którego nigdy nie miał, rozmawiałeś z nim w jego ojczystym języku, przypominałeś mu inne miejsca, inne czasy. - Alexander uniósł głowę, opartą dotychczas na piersi i utkwiał wzrok w Havelocku. - Ale przede wszystkim stałeś się synem, który przestał wierzyć, iż jego wizje i rozwiązania problemów światowych są słuszne.

Nie potrafił cię przekonać. Twój głos mówił mu, że nie ma racji i on nie mógł tego znieść.

Nie mógł znieść, kiedy mu się mówiło, że nie ma racji, zwłaszcza jeśli to mówiłeś ty.

- Nie miał racji. I wiedział, że mu to powiem.

- Jego oczy szukały twego zdjęcia i nagle widział ciebie, i z tobą rozmawiał, dręczony twoimi argumentami, twoim gniewem. Naprawdę się ciebie bał i nie mógł przez to pracować.

- Więc trzeba było mnie usunąć.

- Wysłać tam skąd nie mógłbyś go już krytykować. Byłeś częścią jego codziennej rzeczywistości, częścią Departamentu Stanu. Dlatego musiałeś zostać z tej rzeczywistości wycofany. Ta myśl go nieustannie zżerała, nie był w stanie dłużej tolerować twojego wtrącania się. Musiałeś odejść, dla niego nic innego nie wchodziło już w grę.

- A Parsifal wiedział, jak to rozegrać stwierdził gorzko Michael. - Znał „śpiocha” w Departamencie Stanu. Skontaktował się z nim i powiedział, co ma robić.

- Ja nie brałem w tym udziału. Wiedziałem, co się dzieje, choć nie wiedziałem jakimi metodami. Ty sam mówiłeś Anthonowi o pannie Karas. O twoim dla niej uczuciu i o tym, że dzięki niej, po długich latach wewnętrznej walki z samym sobą, i powrotów do czasów dzieciństwa, byłeś gotów skończyć z tym wszystkim. Dla niej. I że już podjąłeś decyzję.

- Myślałeś, że odejdę bez niej? Dlaczego?

- Dlatego, że Parsifal miał w tych sprawach doświadczenie powiedziała Jenna.

Wybrała jedno zdjęcie i podała je Michaelowi. - Popatrz, psycholog kliniczny związany z KGB. Aleksy Kaliazin, twarz, która ci się z czymś kojarzyła.

- Nie znam go! - krzyknął Havelock, podnosząc się z krzesła i zwracając do Raymonda Alexandra. - Kto to jest?! - Nie pytaj mnie o nazwisko - szepnął dziennikarz, potrząsając głową, i wtulając się w fotel. - Nie pytaj mnie. Nie mogę być w to zamieszany.

- Ale jesteś, do diabła! - wrzasnął Michael, rzucając zdjęcie na kolana Alexandra. -

Jesteś Boswellem!... Chwileczkę! Michael spojrział na Jennę. Był uciekinierem stamtąd.

Zapomnij o tym, że był wtyką. Musi być na liście!

- Wszystkie wzmianki o przejściu Aleksego Kaliazina na drugą stronę zostały usunięte

- powiedział cicho Alexander. - Akta zabrane. Mężczyzna o innym nazwisku po prostu przepadł.

- Naturalnie. Żeby wielki człowiek się nie splamił! Havelock podszedł do Alexandra, schylił się i złapał go za kłapy bonżurki, unosząc dziennikarza do góry. - Kto to jest? Powiedz mi!

- Spójrz na fotografię. - Alexander cały drżał. - Przyjrzyj się jej uważnie. Usuń sporo włosów i brwi. Dodaj zmarszczki, zwłaszcza wokół oczu... I niewielką białą brodę.

- Żeleński... Leon Żeleński!

- Myślałem, że sam się domyślisz, że zrozumiesz. Bez mojej pomocy. Ostateczna rozgrywka szachowa... Najlepszy szachista, jakiego Anthon znał.

- On nie jest Rosjaninem, jest Polakiem! Emerytowanym profesorem historii z Berkeley... Sprowadzonym tutaj wiele lat temu z Uniwersytetu Warszawskiego!

- Nowa tożsamość, nowe życie, papiery dobrze pochowane, no i mieszkanie na wsi, niecałe trzy kilometry od Matthiasa. Anthon zawsze wiedział, gdzie go znaleźć. - Ty... Ty i Żeleński. Dwaj sklerotyczni starcy! Czy wiesz, co zrobiliście? - Havelock przyłożył dłonie do skroni, starając się powstrzymać rozsadzający mu głowę ból.

- To jest poza kontrolą. Wszystko jest poza kontrolą.

- Nigdy nad tym nie panowaliście. Przegraliście w chwili, gdy Żeleński skontaktował

się ze „špiochem”. Wszyscy przegraliśmy! Nie widziałeś, co się dzieje? Myślałeś, że się wszystko zakończy na tym cholernym przesłaniu? Nie mogłeś go powstrzymać? Wiedziałeś, że Matthias jest na Poole's Island... Skąd wiedziałeś?

- Ze źródła. Jeden z lekarzy... Boi się.

- A więc wiedziałeś, że zwariował? Jak mogłeś pozwolić, żeby to trwało dłużej?

- Sam przed chwilą powiedziałeś. Nie mogłem go powstrzymać. Nie posłuchałby mnie, nie posłucha mnie. Nie mogę go powstrzymać! Jest teraz takim samym szaleńcem, jak Anthon. Ma kompleks Chrystusa: jego światło i jego droga są jedynie słuszne.

- A ty wytargowałeś w zamian swoje święte dziennikarskie nazwisko! Człowieku, kim ty jesteś?!

- Nie katuj mnie, Michael. Żeleński miał mnie w garści. Zagroził, że jeśli komuś powiem, jeśli w związku z tym ktoś do niego przyjdzie, to on nie wykona telefonu, który wykonuje codziennie z różnych aparatów, i te tak zwane umowy nuklearne, podpisane przez Anthona Matthiasa, znajdą się w drodze do Moskwy i do Pekinu. Havelock obserwował

niespokojne zielone oczy starego dziennikarza i tłuste dłonie zaciśnięte na poręczach fotela.

- Nie, Raymondzie, to tylko część prawdy. Nie mógłbyś znieść, gdyby cię zdekonspirowano, gdyby ludzie się dowiedzieli, co zrobiłeś. Ty też, podobnie jak Anthon, jesteś przerażony błędami, które popełniłeś. Ociemniały, ale wszechmocny Tejrezjasz, widzący rzeczy, których inni nie mogą zobaczyć! Tak, ten mit należało utrzymać za wszelką cenę.

- Spójrz na mnie! - krzyknął nagle Alexander. Całe jego ciało drżało. - Żyję z tym wszystkim, w tym wszystkim od prawie roku! Co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Mogę tylko mieć nadzieję, że zachowałbym się lepiej niż ty. Nalej sobie dużo brandy, Raymondzie. Podtrzymuj swój mit, powtarzaj sobie w kółko, że jesteś nieomylny. Może ci to pomoże, a może też nie robi już żadnej różnicy. Zachowaj uśmiech na tej swojej nadętej twarzy. I idź do diabła!

- Chodźmy stąd, Jenna. Mamy przed sobą długą drogę...

- Południe do Północy, over.

- Tu Północ. Co jest?

- Zadzwoń do Wiktora. Zaczął się ruch. Nasi ludzie wyszli w pośpiechu i zamienili parę słów z ochroniarzami, którzy byli na zewnątrz. Oba samochody odjechały przed chwilą bardzo szybko, na zachód.

- Nie zgub ich.

- Nie mają szans. Ochrona zostawiła lincolna na drodze, a my umieściliśmy im w podwoziu specjalny nadajnik. Nawet trzęsienie ziemi nie zrzuci go stamtąd. Mamy ich namierzonych, i już nam nie zginą.

39

Nocne niebo było dziwnie podzielone: z tyłu widniało jasne światło księżyca, z przodu, czarny sufit. Dwa samochody pędziły bocznymi drogami. Ochrona w lincolnie niczego nie rozumiała, Michael i Jenna, przerażeni, rozumieli aż za dobrze.

- Teraz nie ma już żadnych zasad - powiedział Michael. Nigdy nie zostały spisane.

- On potrafi się zmieniać, to wszystko, co naprawdę wiesz. Był tu przysłany w jednym celu, a

przeszedł na drugą stronę.

- A może zablądził? Alexander powiedział, że Żeleński Kaliazin, powiedział mu, że czuł się stary i zmęczony, że naciski były za wielkie. Może zrezygnował i skorzystał z azylu.

- Dopóki nie znalazł innego zajęcia i nie przyjął zupełnie innego zespołu bodźców -

odparła Jenna. Wyobrażam sobie, że musiały to być bardzo przyjemne bodźce dla człowieka w jego wieku. Jest już po siedemdziesiątce, co?

- Chyba tak.

- Sam pomyśl. Koniec życia jest już w zasięgu, choć może jeszcze trochę pożyjesz. I nagle okazuje się, że odkryłeś nadzwyczajne rozwiązanie, którego, twoim zdaniem, rozpaczliwie poszukuje cały świat. Co robisz?

- To właśnie mnie przeraża. - Havelock spojrział na nią. - Dlaczego on nagle miałby się wycofać z centrum spraw? Jak mam go do tego zmusić?

- Niestety, nie potrafię na to odpowiedzieć. - Jenna patrzyła na mnóstwo maleńkich kropelek wody, formujących się na przedniej szybie. - Wjeżdżamy w deszcz - powiedziała.

- Chyba że istnieje inne rozwiązanie powiedział cicho Michael, włączając wycieraczki. Wymiana jednej lekcji, na drugą.

- Co?

- Nie jestem pewien, nie wiem. Nie ma reguł. Havelock wyciągnął mikrofon i przysunął do ust. Ochrona, jesteście tam?

- Jakies sto metrów za wami, Czyściec Piąty.

- Zwolnijcie i zwiększcie odległość przynajmniej do trzech kilometrów. Wjeżdżamy na teren zabudowany, wielu ludzi może was tu rozpoznać. Nie chcę żadnego powiązania między nami a czymś zdziwionym wzrokiem. Jeśli człowiek, z którym mam się skontaktować poczuje choćby cień zagrożenia, wolę nie myśleć o skutkach.

- Nam się taka odległość nie podoba - powiedział jeden z oficerów.

- Bardzo mi przykro, ale to mój rozkaz. Zostańcie z tyłu. Wiecie dokąd jedziemy, znajdziecie tę górską drogę, którą wam opisałem, Seneka coś tam. Pojedziecie nią kilkaset metrów. Tam nas znajdziecie.

- Czy mógłby pan powtórzyć rozkaz? Michael spełnił ich prośbę.

- Wszystko jasne?

- Tak, Czyściec Piąty. I nagrane na taśmę.

Brudny samochód jechał rozpryskując w deszczu kurz i błoto. Kierowca brał właśnie długi zakręt, kiedy nagle zamigotała czerwona sygnalna lampka mocnego wzmacniacza radiowego.

- Mamy inną częstotliwość - zauważył mężczyzna obok kierowcy, sięgając po mikrofon i naciskając wybierak dla złapania kontaktu. - Tak?

- Południe?

- To my.

- Tu Wiktor. Zbliżam się do Warrenton drogą 66. Gdzie jesteście? Mężczyzna z mikrofonem maleńką latarką oświetlił mapę, którą trzymał na kolanach.

- Droga 17 na północy, w kierunku Marshall. Możesz ich złapać w Warrenton.

- Pozycja?

- Normalna. Kiedy miną Marshall, prawdopodobnie pojedą dalej na północ siedemnastką, albo na zachód Front Royal Road. Zakręty robią się nieprzyjemne, wjeżdżamy w góry.

- Obydwie drogi mamy kryte. Chcę wiedzieć, którędy pojedą i jaka jest odległość między Czyścem Piątym a ochroną. Nadawaj na tym kanale. Dojadę do was za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

- Jaki plan lotów?

- Mój własny.

Mężczyzna z jasnymi włosami siedział rozparty w brązowej limuzynie przed zajazdem

„Błękitne Góry”, z mikrofonem w dłoni i z wzrokiem utkwionym w drogę. Kiedy buick przemknął obok niego w deszczu, nacisnął guzik i zameldował:

- Tu Front Royal Road. Bardzo punktualnie i w wielkim pośpiechu.

- W jakiej odległości jest lincoln? - zapytał głos z głośnika.

- Jeszcze go nie widać.

- Jesteś pewien?

- Ani śladu reflektorów, a jak już ktoś jest na tyle głupi, żeby ładować się tu w takich warunkach, to na pewno nie będzie jechał bez świateł.

- Coś tu nie klapuje. Zgłoszę się za chwilę.

- Okay. Ty tu rządzisz. Blondyn odłożył mikrofon i sięgnął po papierosy leżące na siedzeniu obok. Wytrząsnął jednego z paczki, włożył do ust i zapalił gazową zapalniczką.

Minęło trzydzieści sekund, a lincolna nadal nie było widać, nic nie było widać, oprócz deszczu. Czterdzieści pięć sekund. Minuta. Nagle razem z trzaskiem z głośnika zabrzmiał

głos:

- Front Royal, gdzie jesteś?

- Czekam tu. Powiedziałaś, że się zaraz zgłosisz, pamiętasz? - Co z tą ochroną.

Przejechała już?

- Nie. Jakby przejechała, tobym do ciebie przekręcił, kumpel... Czekaj. Chwila moment, może to oni. Zza zakrętu wylała się struga światła, a po paru sekundach przejechał w ulewnym deszczu długi ciemny samochód.

- Właśnie przejechali, stary. Ja się zbieram. - Blondyn wyprostował się i wyprowadził

wóz na drogę. Zgłoszę się za chwilę - powiedział głos.

- Powtarzasz się, kumpel. - Blondyn nacisnął na gaz. Nabierał szybkości i uważnie wpatrywał się w zalaną strugami deszczu drogę, aż dostrzegł czerwone tylne światła lincolna.

Odetchnął z ulgą.

- Front Royal - rozległo się z głośnika.

- Jestem skarbie.

- Przerzuć się na częstotliwość 72 megaherców po następne instrukcje.

- Już się przerzucam. - Blondyn nacisnął metalowy guzik, na wąskim poziomym pasku nad podziałką radiową, pojawiły się cyfrowe odczyty.

- Front Royal na pozycji - zgłosił się.

- Nie znasz mnie, Front Royal.

- Miło mi, że cię nie znam, stary.

- Ile dostałeś za dzisiejszy wieczór? - spytał nowy głos.

- Ponieważ cię nie znam, to chyba sam powinieneś to wiedzieć.

- Dobry jesteś?

- Mowa. A twój szmal jest dobry?

- Dostałeś forszę.

- Nie za to, co chcesz teraz.

- Sprytny jesteś.

- Dopiero teraz się zorientowałeś?

- Ten duży samochód przed tobą chyba wie, dokąd pędzi ten mały przed nim, co?

- Na pewno. Między nimi jest duża odległość, zwłaszcza jak na dzisiejszą pogodę.

- Mógłbyś się znaleźć między nimi?

- Mogę. Ale po co?

- Premia.

- Za co?

- Ten mały musi się gdzieś zatrzymać. I chciałbym, żeby wtedy ten duży już się tam nie kręcił.

- Mówisz pan o wielkiej premii, panie bez nazwiska. Ten duży to abraham.

- Sześć cyfr - powiedział głos. - Lekkomysłny kierowca. Bardzo lekkomyślny i bardzo dokładny.

- Umowa stoi, skarbie.

Arthur Pierce kiwnął głową przez szybę i przez deszcz, kiedy mijał stary samochód sześć kilometrów dalej, na Front Royal Road. Podniósł do ust mikrofon i włączył się na częstotliwości 1720.

- W porządku, Południe, posłuchaj co dalej. Zostajesz ze mną i zwalniasz całą resztę.

Podziękuj i powiedz, że będziemy w kontakcie.

- A co z Północą? Są w drodze.

- Chcę, żeby wrócili do swego morskiego towaru. Jest teraz ich, mogą się zmieniać.

Prędzej czy później, dziś wieczorem, jutro, pojutrze, wypuszczą go. Kiedy to się stanie, kończcie robotę. Nie chcemy więcej słyszeć jego głosu.

Havelock zatrzymał samochód, opuścił szybę, wyteżył wzrok i poprzez deszcz dostrzegł tabliczkę przybitą do drzewa, czując, że to ta, której szuka. Faktycznie: „Przełącz Seneki”. Nie ma przejazdu. Michael dwa razy odwoził Leona Żeleńskiego do domu. Raz, po południu, kiedy jego samochód nie chciał zapalić, i wiele lat później, w wieczór taki jak ten, kiedy Matthias martwił się, że Leon utknie w błocie. Leon nie utknął, lecz Michael zabłądził i dopiero po długim marszu w deszczu wrócił do domu Anthona. Dobrze więc zapamiętał te drogi. Kiedyś odwoził Leona Żeleńskiego do domu, teraz przyjechał po Aleksego Kaliazina.

Po Parsifala.

- Oto nasza droga - powiedział Havelock, skręcając na skalisty szlak z resztkami zużytego asfaltu na powierzchni. Jeśli będziemy trzymać się środka, może uda się nam dojechać. Podskakiwali i ślizgali się na niej w całkowitej ciemności. Koła buksowały, obrzucając metalowe błotniki kamieniami. Wstrząsowa jazda nie wpływała dodatnio na stan ich nerwów, ani też nie nastrojała spokojnie do oczekujących ich negocjacji. Michael w stosunku do Raymonda Alexandra zachował się brutalnie, wiedząc, iż ma rację, choć nie do końca. Powoli jednak zaczynał rozumieć inny aspekt głębokiego strachu dziennikarza, strachu, który doprowadzał go niemal do hysterii. Groźba Żeleńskiego była wyraźna i przerażająca. Jeśli Alexander zdradzi Rosjanina, albo w jakiś sposób mu przeszkodzi, codzienny telefon nie zostanie wykonany. Cisza będzie sygnałem oznaczającym, że umowy nuklearne mają być wysłane do Moskwy i do Pekinu. Aby zmusić Żeleńskiego do podania numeru telefonu, pod który dzwoni, nie można też było użyć środków farmakologicznych. W

jego wieku wiązało się to z poważnym ryzykiem. Jeden centymetr sześciennego za dużo, serce mu wysiądzie, a informacja na zawsze pozostanie tajemnicą. W tej sytuacji zostawały jedynie słowa. Tylko jakich słów należy używać, żeby dotrzeć do człowieka, który wyobraża sobie, że uratuje świat przy pomocy dokumentu grożącego kompletną zagładą? Taki ktoś nie myśli racjonalnie, jego umysł opanowany jest przez własną wykrzywioną wizję świata. Po prawej stronie u góry ukazał się mały domek, kwadratowy, zbudowany z dużych kamieni. Stromy kamienny podjazd kończył się zadaszonym miejscem na samochód, gdzie zresztą stał jakiś nieokreślony pojazd, zasłonięty od deszczu. Jedyne światło padało z okna we wnęce, która wyglądała dziwnie nie na miejscu w takim małym budynku.

- Tu się wszystko zaczęło - powiedział Havelock, wyłączył reflektory i odwrócił się do Jenny. - W głowie człowieka z tego domu. Wszystko. Od Costa Brava do Poole's Island, od Col des Moulinets do Czyścica Piątego. Tu się to zaczęło.

- Czy uda nam się tu zakończyć, Michaił?

- Spróbujemy. Wysiedli z samochodu i ruszyli przez deszcz po mokrym, miękkim błocie podjazdu, wśród strumyków wody spływających z góry. Do wejścia pośrodku budynku prowadził kamienny stopień. Havelock podszedł do drzwi, rzucił okiem na Jennę i zapukał.

Chwilę później otworzył im szczupły, przygarbiony mężczyzna z kilkoma kosmykami włosów i małą siwą bródką. Gdy zobaczył Havelocka, oczy mu się rozszerzyły, a drżące wargi rozchyliły.

- Michaił - szepnął.

- Cześć, Leonie. Przywożę ci pozdrowienia od Anthona.

Blondyn zauważył znak przybity do drzewa i uwagę jego zwróciły jedynie słowa:

„Nie ma przejazdu”. Tyle mu było trzeba.

Z wciąż wyłączonymi światłami manewrował tyłem brązową limuzyną kilkaset metrów po gładkiej mokrej drodze, po czym stanął z prawej strony z silnikiem na jałowym biegu. Zapalił z powrotem światła i sięgnął pod płaszcz, skąd wyciągnął duży pistolet automatyczny z nałożonym tłumikiem. Zrozumiał instrukcje „pana bez-nazwiska”. Lincoln miał się pojawić lada chwila. Nadjeżdżał! Był oddalony o dwieście metrów od drogi odchodzącej od głównej szosy. Blondyn zwolnił hamulec i zaczął zjeżdżać z góry z wyłączonym silnikiem, kręcąc kierownicą na wszystkie strony, jadąc od brzegu do brzegu, w sposób typowy dla pijanego nieostrożnego kierowcy. Lincoln ostrożnie zwolnił, zjeżdżając jak najbardziej na prawą stronę. Blondyn przyspieszył i jego meandry stały się jeszcze gwałtowniejsze. Kiedy Lincoln, którego kierowca tymczasem ostrzegawczo naciskał klakson, znalazł się w odległości stu metrów, blondyn nagle dodał gazu i skręcił w prawo, a zaraz potem zrobił ostry skręt w lewo. Nastąpiło zderzenie, obudowa chłodnicy limuzyny rąbnęła w lewe tylne drzwi lincolna. Samochód wpadł w poślizg i uderzył w drugi samochód, blokując drzwi od strony kierowcy.

- Przeklęte skurwysyny! - wrzasnął blondyn przez otwarte okno. Bełkotał, a głowa leciała mu to w przód, to w tył. - Rany boskie! Krew! Mam cały brzuch zakrwawiony! Dwaj mężczyźni wyskoczyli z samochodu z drugiej strony. Kiedy znaleźli się w jasnych światłach limuzyny, blondyn wychylił się przez okno i strzelił dwa razy. Dokładnie.

- Mam do ciebie mówić Leon czy Aleksy?

- Nie wierzę ci! - zawołał stary Rosjanin. Siedział przed kominkiem i wpatrywał się w Havelocka kaprawymi, mrugającymi oczyma. - To było skończone, nieodwracalne.

Beznadziejne!

- Niewiele jest takich umysłów, takich ludzi jak Anthon. Dziś nie można jeszcze przewidzieć, czy odzyska kiedyś swoje dawne możliwości, ale przy pomocy lekarstw i elektroterapii zrobił wielkie postępy. Ma pełną świadomość... I jest przerażony tym, co zrobił.

Havelock usiadł na krześle naprzeciwko Żeleńskiego Kaliazina. Jenna nadal stała w drzwiach prowadzących do małej kuchenki.

- To niemożliwe!

- Matthias jest wyjątkowym człowiekiem. Posłano mnie do niego na Poole's Island i wszystko mi opowiedział. Tylko mnie. Prosił, żebym tu przyjechał.

- Poole's Island?

- Tam przebywa na leczeniu. No, więc Leon czy Aleksy, stary przyjacielu?

- Nie Leon, nigdy nie byłem Leonem. - Kaliazin potrząsnął głową. - Zawsze Aleksym.

- Nieźle sobie pożyłeś jako Leon Żeleński.

- To był wymuszony azyl, Michaił. Jestem Rosjaninem, i nikim innym.

- Przyjechałeś do nas... Aleksy.

- Nie przyjechałem do was. Uciekłem przed innymi. Przed ludźmi, którzy chcieli zniszczyć duszę mojego narodu, którzy przekroczyli granice naszych przekonań, zabijali niepotrzebnie, bez celu, dążąc do władzy za wszelką cenę. Wierzę w nasz system, Michaił, nie w wasz. Ale ci ludzie nie wierzyli. Chcieli zamienić słowa na broń i wtedy już nikt nie miałby racji. Wszyscy przestalibyśmy istnieć.

- Szakale - powiedział Havelock, powtarzając wyraz, który usłyszał przed kilkoma godzinami. Fanatycy, którzy we własnej wyobraźni maszerowali z Trzecią Rzeszą, którzy wierzyli, że po waszej stronie są bomby, a nie czas.

- Wystarczy.

- Wojennaja.

- Tego nigdy nie mówiłem Matthiasowi. - Kaliazin gwałtownie uniósł głowę.

- Ja też nie. Siedzę w tej robocie od szesnastu lat. Myślisz, że nie wiem, co to jest WKR?

- Oni nie pracują dla Rosji, nie dla naszej Rosji... Anthon i ja kłóciliśmy się nieraz aż do rana. On nie był w stanie mnie zrozumieć, on wywodził się z elity intelektualnej, powszechnie szanowanej, z warstwy bogatej i zawsze najedzonej. Tutaj nikt z was nie jest w stanie tego zrozumieć, może tylko czarni. Nie mieliśmy nic i mówiono nam, żebyśmy się niczego nie spodziewali na tym świecie. Książki, szkoły, zwyczajne czytanie, to wszystko nie było dla nas, choć były nas miliony. Znaleźliśmy się na tej ziemi jako ziemskie bydło, hodowane i likwidowane przez naszych „lepszych”, wyznaczonych przez Boga... Mojego ojca powieszono na rozkaz księcia Woroszyina za kradzież zwierzyny z lasu. Kradzież zwierzyny! Ale wszystko to się zmieniło! Myśmy zmienili, prowadzeni przez proroków, którzy nie wierzyli w żadnych boskich pasterzy ludzkiego stada. Nazywają nas ateistycznymi komunistami. - Na wąskich białych wargach Kaliazina pojawił się uśmiech. - A kim mielibyśmy być? Wiedzieliśmy jak to jest pod panowaniem Świętego Kościoła. Bóg, który grozi wiecznym ogniem za buntowanie się przeciwko piekłu na ziemi, nie może być Bogiem dla dziewięciu dziesiątych rodzaju ludzkiego. Może, a nawet powinien być zastąpiony, wyrzucony za nieudolność i nie usprawiedliwioną stronniczość.

- Ten argument trudno ograniczyć wyłącznie do przedrewolucyjnej Rosji - powiedział

Michael.

- Oczywiście, lecz jest symptomatyczny... Myśmy tam byli! Dlatego wy pewnego dnia przegracie! Jeszcze nie w tym dziesięcioleciu, nie w następnym, może jeszcze nie przez wiele, wiele lat, ale w końcu przegracie. Za wiele jest tu pustych stołów, za wiele wyдутych z głodu brzuchów, a wy za mało się o to troszczyście.

- Jeśli to prawda, to słusznie przegramy. Jednakże nie sądzę, aby tak było. - Havelock pochylił się do przodu, z łokciami opartymi na kolanach i spojrzał w oczy starego Rosjanina.

- Czy chcesz powiedzieć, że przyjąłeś nasz azyl i nigdy nie dałeś nic w zamian?

- Nie zdradziłem żadnej tajemnicy mojego kraju, zresztą Anthon nigdy mnie po raz drugi nie spytał. On uważał moją pracę, i twoją też dopóki pracowałeś, za całkowicie bezsensowną. Nasze decyzje nie miały większego znaczenia, nasze osiągnięcia nie liczyły się na spotkaniach na szczycie. Dałem wam jednak prezent, który służył obu naszym krajom, służył całemu światu. Dałem wam Anthona Matthiasa. Uchroniłem go przed zasadzką kubańską, która doprowadziłaby do jego ustąpienia. Zrobiłem to, ponieważ wierzyłem w niego, a nie w szaleńców, którzy czasowo zdobyli zbyt dużą kontrolę nad moim rządem.

- Tak, mówił mi. Byłby zniszczony, jego wpływy by się skończyły... Właśnie na tej podstawie... twojej w niego wiary poprosił, abym się z tobą zobaczył. Musisz przestać, Leon przepraszam Aleksy. Anthon wie, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, lecz teraz musisz przestać.

- A gdzie nienawiść w pani oczach, młoda damo? Kaliazin przeniósł wzrok na Jennę. -

Przecież gdzieś istnieje na pewno.

- Nie będę kłamać, jestem bliska nienawiści, ale staram się też zrozumieć.

- To się musiało stać, nie było innego wyjścia. Anthona trzeba było uwolnić od widma Michaiła. Musiał być pewien, że Michaił jest daleko od rządu, że ma inne zainteresowania, inne zajęcia. Tak bardzo się bał, że jego... jego syn dowie się o jego posunięciach i przyjedzie, aby go powstrzymać. - Kaliazin zwrócił się do Havelocka. - Nie mógł się od ciebie wyzwolić.

- Pochwalał to, co zrobiłeś?

- Nie zajmował stanowiska i był, chyba po części zniesmaczony swoją własną postawą, po części oczekujący jakiegoś korzystnego dla siebie rozwiązania. Jego stan bardzo szybko się wówczas pogarszał, więc za wszelką cenę chciał uchronić resztkę rozsądku. Panna Karas stała się tą ceną.

- I nigdy nie zapytał, jak to zrobiłeś? Jak się skontaktowałeś z ludźmi w Moskwie, żeby dostać to, czego potrzebowałeś?

- Nigdy. To także była część ceny. Pamiętaj, że świat, w którym ty i ja żyliśmy, nie miał dla niego znaczenia. Później oczywiście zapanował chaos...

- Utrata kontroli? - podsunęła Jenna.

- Tak, młoda damo. Dowiedzieliśmy się o rzeczach niewiarygodnych, straszliwych.

Kobieta zabita na plaży...

- A czego się spodziewałeś? - spytał Havelock, starając się opanować, choć przychodziło mu to z trudem. Dwaj... Trzej sklerotycy.

- Nie tego. Nie byliśmy mordercami. Anthon wydał rozkazy, żeby ją odesłać do Pragi, obserwować jej kontakty, i w końcu oczyścić ją z podejrzeń.

- Ale rozkazy przechwycono i zmieniono.

- Wtedy już nic nie mógł zrobić. Ty zniknąłeś, a on kompletnie i całkowicie zwariował.

- Zniknąłem? Ja zniknąłem?

- Tak go poinformowano. Kiedy się o tym dowiedział, załamał się i zupełnie stracił rozum. Myślał, że ciebie też zabił. Tego już nie był w stanie znieść.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Był jeszcze ktoś, kto miał swoje dojścia do jednego z lekarzy i dowiedział się.

- Raymond Alexander - powiedział Havelock.

- Anthon ci powiedział?

- Boswell.

- Tak, nasz Boswell.

- Wspomniałeś o nim, kiedy dzwoniłem do ciebie z Europy. - Bałem się. Pomyślałem, że może będziesz rozmawiał z kimś, kto go widział u Anthona w domu. Często tam przychodził. Chciałem ci podać rozsądną przyczynę jego wizyt, aby cię zniechęcić do kontaktów z nim.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Aleksander Wielki został Aleksandrem Chorym. Nie było cię, to nie wiesz. Przestał prawie pisać. Pije całymi dniami i nocami. Nie może znieść napięcia. Na szczęście przed ludźmi można to tłumaczyć śmiercią jego żony.

- Matthias mówił mi, że i ty miałaś żonę - zaczął Michael, który usłyszał jakąś nową nutkę w głosie Kaliazina. - W Kalifornii. Kiedy umarła, Matthias namówił cię na przeprowadzkę tutaj, do Shenandoah.

- Miałem żonę, Michaił. W Moskwie. Zabili ją ludzie Stalina. Człowieka, którego pomogłem zniszczyć, człowieka, który był w Wojennej.

- Przykro mi. Jakiś łoskot wewnątrz domku zagłuszył na chwilę szum deszczu na zewnątrz. Jenna pytająco spojrzała na Havelocka.

- Nic takiego - wyjaśnił Kaliazin. - Zazwyczaj przy wietrznej pogodzie wtykam w drzwi kawałek drewna, żeby tak nie skrzypiały. Dziś na wasz widok zupełnie mi to wyleciało z głowy. - Stary człowiek oparł się wygodniej i objął brodę chudymi, żyłastymi dłońmi. -

Musisz mówić wszystko bardzo wyraźnie, Michaił, i musisz mi dać trochę czasu do namysłu.

Dlatego nie opowiedziałem ci parę minut temu.

- O Anthonie?

- Tak. Czy on naprawdę wie, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem? Dlaczego musiał

przeżywać te straszne noce? Przy pomocy sugestii z zewnątrz i autosugestii, które sprawiały, że jego prawdziwie genialny umysł znów dochodził do głosu w debatach z ludźmi, których tam nie było. Czy on to naprawdę rozumie?

- Tak, rozumie - odparł Havelock, czując na barkach ogromny ciężar. Był bardzo blisko, ale nieprawidłowa odpowiedź odesłałaby Parsifala z powrotem w narzucone sobie milczenie, którego nie można byłoby już przełamać. Alexander miał rację. Kaliazin cierpiał

na kompleks Chrystusa. Za łagodnymi słowami starego Rosjanina kryło się niezłomne przekonanie, pewność, że ma rację.

- Żaden pojedynczy człowiek - zaczął Michael - nie powinien już nigdy więcej mieć tak ogromnej władzy, ani doświadczać napięć, jakie się z taką władzą wiążą. Anthon cię usilnie prosi, błaga przez wzgląd na wszystkie rozmowy jakie toczyliście przed jego chorobą, abys mi dał te niewiarygodne umowy, które razem stworzyliście i ich istniejące kopie.

Pozwól mi je spalić.

- Czyli on to rozumie, ale czy to wystarczy? A inni? Czy też zrozumieli?

- Kto? Jacy inni?

- Ci, którzy nadają taką władzę, którzy pozwalają na kanonizację przyszłych świętych, a potem się

przekonują, że ich bohaterowie są zwykłymi śmiertelnikami, załamany przez własne spotworniałe „ja” i tym, czego się od nich żąda.

- Są przerażeni. Czego jeszcze chcesz?

- Chcę, żeby wiedzieli, co zrobili. Okazało się, że można podpalić cały świat przy pomocy jednego genialnego umysłu, złapanego w wir napięć nie do wytrzymania. Szaleństwo jest zaraźliwe, nie zatrzymuje się na jednym pokonanym świętym!

- Oni to rozumieją. A przede wszystkim rozumie to człowiek, uważany przez większość ludzi za najpotężniejszego na ziemi. Powiedział mi, że stworzyli imperatora, Boga, a nie mieli prawa tego robić. Wynieśli go za wysoko, a on został oślepiiony.

- I Ikar wpadł w morze - powiedział Kaliazin. - Berquist to przyzwoity człowiek, twardy, ale przyzwoity. Zajmuje fatalne stanowisko, choć radzi sobie na nim lepiej niż inni.

- Nie widzę nikogo sensowniejszego na tym miejscu.

- Zgadzam się.

- Aleksy, ty go zabijasz. Puść go, uwolnij. Dostał nauczkę i na pewno jej nie zapomni.

Niech się znów zajmie swoim fatalnym stanowiskiem, i niech mu się wiedzie.

- Dwadzieścia siedem stron, każdy dokument, każda umowa. Kaliazin spojrział na rozpalone węgle w kominku. - Sam je przepisywałem na maszynie, wykorzystując formę zastosowaną przez Bismarcka w traktatach ze Szlezwik-Holsztynu. Anthonowi bardzo się podobała... Pieniądze nigdy mnie nie interesowały, oni o tym wiedzą, prawda?

- Wiedzą. On też wie.

- Tylko nauczka...

- Tak, tak.

- Nie ma żadnych kopii oprócz tej, którą posłałem prezydentowi Berquistowi w kopercie z nadrukiem Departamentu Stanu, z biura Matthiasa, z pieczętką „Zastrzeżone”.

Oczywiście była oznaczona adnotacją „Do rąk własnych”. Havelock zeszytniał, wyraźnie pamiętając zdanie Raymonda Alexandra o tym, że „Kaliazin go osaczył”, że jeśli nie będzie telefonu, to umowy zostaną wysłane do Moskwy i do Pekinu. To dawało w sumie cztery egzemplarze, a nie dwa.

- Nie ma żadnych innych kopii, Aleksy?

- Żadnych.

- Można by przypuszczać - odezwała się nieoczekiwanie Jenna, podchodząc z wahaniem do starego Rosjanina - że Raymond Alexander, wasz Boswell, chciał mieć jedną kopię. To w końcu jądro tego, o czym pisze.

- To jądro jego strachu, młoda damo. Kontroluję go twierdząc, że jeśli coś komuś powie, wasi wrogowie otrzymają kopię umów. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, wprost przeciwnie, uważałem to za niedopuszczalne. Spowodowałoby, to katastrofę, o której uniknięcie tak bardzo się modłę.

- Modlisz się, Aleksy?

- Do żadnego z bogów, których znasz, Michaił, ale do zbiorowego sumienia. Nie do Świętego Kościoła ze stronnictwem Wszechmocnym.

- Czy mogę dostać te dokumenty?

- Tak - powiedział Kaliazin przeciągając samogłoskę. - Ale nie w taki sposób, jak myślisz. Razem je spalimy.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego! Obaj zajmowaliśmy się tą samą robotą. Ludzie, którzy pozwalają Matthiasom tego świata szybować tak wysoko, że oślepią ich słońce, nigdy się już nie dowiedzą. Czy stary człowiek kłamał? Już wcześniej ich oszukiwałem. Czy znów ich oszukuję? Czy istnieją jakieś kopie?

- A istnieją?

- Nie, lecz oni nie będą tego wiedzieli.

- Chodź ze mną, Michaił. - Kaliazin z trudem podniósł się z fotela i głęboko odetchnął.

- Są schowane w lesie, przy ścieżce do przełęczy. Codziennie koło nich przechodzę, siedemdziesiąt trzy stopnie do drzewa dereniowego, jedyne na cmentarzu Seneki. Często się zastanawiam, skąd się tam wzięło... Chodź, skończmy już z tym na zawsze. Będziemy kopać w deszczu, okropnie zmokniemy i powrócimy z bronią Armageddona. Może panna Karas zrobi nam herbaty. I przygotuje kieliszki z wódką... Z trawką żubra, koniecznie z trawką. A potem spalimy dowody i na nowo rozpalimy ogień. Wtem drzwi od kuchni otworzyły się z hukiem przypominającym gwałtowne uderzenie pioruna. Stał w nich wysoki mężczyzna z wianuszkami siwych włosów wokół łysiny i z pistoletem w dłoni.

- Kłamią, Aleksy. Kłamią w żywe oczy, jak zwykle, a ty nigdy tego nie widzisz. Nie ruszaj się, Havelock! Arthur Pierce wyciągnął rękę, złapał Jennę za łokieć i przyciągnął ją do siebie, otaczając jej szyję lewym ramieniem i przykładając do głowy pistolet.

- Policzę do pięciu - powiedział Michaelowi. - W tym czasie wyjmiesz swój pistolet dwoma palcami i rzucisz na podłogę albo mózg tej kobiety znajdzie się na ścianie. Raz, dwa, trzy... Havelock rozpiął płaszcz, rozpostarł poły i dwoma palcami, jak pincetą, wyjął łąkę z kabury. Upuścił pistolet na podłogę.

- Kopnij go tu! - krzyknął pomieniatczik.

- Nie wiem, jak się tu dostałeś - powiedział Michael spokojnie - ale nie wyjdiesz stąd żywy.

- Naprawdę? - Pierce zwolnił uścisk wokół Jenny i pchnął ją w stronę starego Rosjanina. - Więc ci powiem, że wasz abraham został ścięty przez niewdzięcznika Ismaela.

To wy stąd nie wyjdziecie.

- Są jeszcze inni, którzy wiedzą, gdzie jesteśmy.

- Wątpię. Gdyby tak było, drogi pilnowałoby ukryte wojsko. Nie, nie, ty działasz na własną rękę!

- To ty? - zawołał Kaliazin, trzęsąc się i kiwając drżącą głową. - To ty!

- Cieszę się, że jesteś w miarę przytomny, Aleksy. Starzejesz się. Kłamią ci jak najęci, a ty tego nie słyszysz.

- Kto kłamie? Co? Jak mnie tu znalazłeś?

- Podążając za wytrwałym człowiekiem. Pomówmy o kłamstwach.

- Jakich kłamstwach?

- O wyzdrowieniu Matthiasa. To największe łgarstwo ze wszystkich. W moim samochodzie znajduje się metalowa kasetka, której zawartość stanie się interesującą lekturą na całym świecie. Ona pokazuje kim jest naprawdę Anthon Matthias. To pusta powłoka, maniak, paranoiczny szaleniec, nieodwołalnie oderwany od rzeczywistości. To starzec, który buduje iluzje z wyobraźni, tworzy fantazje z abstrakcji. Człowiek, którego można zaprogramować, jak zepsutego robota, do odtwarzania własnych zbrodni i przestępstw. Jest obłąkany, a jego stan wciąż się pogarsza!

- To nieprawda! - Kaliazin spojrział na Michaela. Te fakty, o których mi mówił...

Tylko Anthon o nich wiedział, pamiętał.

- Kolejne kłamstwo. Twój przekonujący przyjaciel zapomniał ci powiedzieć, że właśnie jedzie z miejscowości Fox Hollow, z rezydencji znanego komentatora, niejakiego Raymonda Alexandra... Jak to go przed chwilą nazwała panna Karas? Chyba „wasz Boswell”.

Odwiedzę go, na pewno coś doda do naszej kolekcji.

- Michaił? Dlaczego? Dlaczego mówiłeś to wszystko? Dlaczego mnie oszukałeś? -

Kaliazin opuścił głowę.

- Musiałem. Bałem się, że mnie nie posłuchasz. I dlatego, bo wierzyłem, że Anthon, taki, jakim go kiedyś obaj znaliśmy, chciałby, abym tak właśnie postąpił.

- Następne kłamstwo - powiedział Pierce, schylając się ostrożnie z wyciągniętym pistoletem, aby podnieść lłamę z podłogi. Wepchnął broń za pasek.

- Chcą tylko zdobyć te dokumenty, żeby wszystko szło po dawnemu. Żeby ich komisje nuklearne nadal mogły planować nowe sposoby zagłady bezbożników. Tak nas nazywają, Aleksy. Bezbożnicy. Być może następnym sekretarzem stanu zostanie komandor Decker. Jego typ jest teraz w modzie, ambitni gorliwcy są dziś na porządku dziennym.

- Nic takiego nie może nastąpić i ty, pomieniatcziku, doskonale o tym wiesz.

- Tak, jestem pomieniatczikiem. - Pierce z uwagą przyjrzał się Havelockowi. - Skąd to wiesz? Jak mnie odkryłeś?

- Tego nigdy się nie dowiesz. Ani tego, jak głęboko rozpracowaliśmy całą operację

„Pomieniatczik”. Tak, właśnie rozpracowaliśmy.

- Nie wierzę ci - Pierce wpatrywał się w Michaela.

- Możesz sobie nie wierzyć...

- To niczego zresztą nie zmienia. Będziemy mieli te dokumenty. Nasze będą wszystkie opcje, a wam nic nie zostanie. Nic. Oprócz spalonych miast, jeśli wykonacie zły ruch, jeśli niewłaściwie ocenicie sytuację. Świat nie będzie was dłużej tolerował. Pierce przeszył

powietrze pistoletem. - Wychodzimy, wszyscy. Wykopiesz je dla mnie, Havelock.

„Siedemdziesiąt trzy stopnie do drzewa dereniowego.”

- Do przełęczu jest wiele ścieżek - powiedział szybko Michael. - Nie wiesz, o którą chodzi. - Aleksy mi pokaże. W takiej sytuacji zawsze wybierze nas, nie was. Was nigdy. On mi powie.

- Nie rób tego, Kaliazin.

- Oszukałeś mnie, Michaił. Jeżeli musi istnieć broń ostateczna, choćby tylko na papierze, to nie może należeć do was.

- Powiedziałem ci, dlaczego kłamałem, ale jest jeszcze jedna, ta najważniejsza przyczyna. On.

Przeszedłeś na naszą stronę nie dlatego, że w nas wierzyłeś, lecz dlatego, że nie mogłeś wierzyć im. Oni wrócili. On jest człowiekiem z Costa Brava i to on zabił na Costa Brava.

- Zrobiłem jedynie to, co wy udawaliście. Potraficie tylko udawać. Śmierć musiała być prawdziwa, nie sztuczna.

- Nie musiała. Ale tam gdzie istnieje wybór, ty zabijasz. Zabiłeś człowieka, który zorganizował całą operację. Operację, w której nikt nie musiał zginąć.

- Zrobiłem dokładnie to, co wy, ale z większą przebiegłością i pomysłowością. Jego śmierć musiała być wiarygodna, przyjęta za naturalną. MacKenzie był jedynym człowiekiem, który mógł odtworzyć wydarzenia tamtej nocy, który znał swoich pracowników.

- Został zabity!

- Nie było wyjścia.

- A Bradford? Też nie było wyjścia?

- Oczywiście. Przejrzał mnie.

- Sam widzisz, Kaliazin! - krzyknął Havelock, nie spuszczać Pierce'a z oka. - Zabić, zabić, zabić! Pamiętasz Rostowa, Aleksy?

- Tak, pamiętam.

- Był moim wrogiem, ale był przyzwoitym człowiekiem. Jego też zabili, zaledwie parę godzin temu. Wrócili i zwyciężają.

- Kto? - spytał z wahaniem stary Rosjanin, w którym zaczynały odzywać stare wspomnienia.

- Wojennaja! Maniacy z WKR!

- Nie maniacy - powiedział cicho, choć stanowczo Pierce. Ludzie zaangażowani, którzy rozumieją istotę waszej nienawiści, waszego zakłamania. Ludzie, którzy nie skompromitują pryncypiów Związku Radzieckiego po to, aby patrzeć, jak rozprowadzacie swoje świętoszkowate kłamstwa, obracając świat przeciw nam... Posłuchaj Aleksy, nasz czas nadszedł, będziesz z nami.

- Nie... Nie, nigdy nie będę częścią was Kaliazin potrząsnął głową, wpatrując się w Arthura Pierce'a zażawionymi oczami.

- Co?

- Nie mówisz w imieniu Rosji. Za łatwo zabijacie... Zabiliście kogoś bardzo mi drogiego. Twoje słowa są umiarkowane i jest w nich trochę prawdy... Lecz nie w tym, co robicie, i jak to robicie. -

Głos Kaliazina rósł, aż wypełnił pokój. - Jesteście zwierzętami!

- Michaił, uciekaj! Uciekaj, Michaił! - Kaliazin runął na Pierce'a, rzucając swe wątłe ciało na pomieniatczika i chwytając chudymi rękami za pistolet. Rozległ się przytłumiony dźwięk, pistolet wystrzelił w brzuch Rosjanina. Kaliazin nie ruszył się z miejsca.

- Uciekaj! - Szept był krzykiem i ostatnim rozkazem. Havelock zakręcił się i popchnął

Jennę w stronę otwartych drzwi kuchennych. Odwrócił się, aby rzucić się na Pierce'a, ale zatrzymał się, bowiem to, co ujrzał wpłynęło na natychmiastową zmianę decyzji. Umierający Kaliazin trzymał go mocno, Pierce jednak powoli uwalniał pistolet. Lada chwila, a wymierzyłby w niego, strzeliłby mu w głowę. Wpadł do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi, zderzając się z Jenną, która trzymała w ręku dwa kuchenne noże. Michaił złapał za krótszy i wybiegli na zewnątrz.

- Las! - krzyknął. - Kaliazin długo go nie utrzyma. Pośpiesz się! Leć na prawo, ja pobiegnę na lewo.

- Spotkamy się jakieś dwieście metrów stąd!

- Gdzie jest ta ścieżka? Która to jest?

- Nie wiem.

- Będzie jej szukał!

- Wiem. Po chwili rozległo się pięć wystrzałów, ale nie z jednego pistoletu. Michael pobiegł zygzakami w kierunku ciemnych drzew po lewej stronie, rzucając za siebie szybkie spojrzenie. Zobaczył trzech mężczyzn. Pierce wykrzykiwał rozkazy do dwóch pozostałych, biegnących po zabłoconym podjeździe. Rozbiegli się wachlarzem, z zapalonymi latarkami i pistoletami gotowymi do strzału.

Dobiegł do skraju wysokich traw i rzucił się pod gałęzie drzew, zdjął płaszcz i na czworakach przelazł na prawo, znajdując kryjówkę w najgęstszych zaroślach. Podczołgał się do przodu, aby sprawdzić pozycję środkowej latarki na polu, potem znów wrócił na swoje miejsce. Był cały mokry, utyłany w błocie i mokrych liściach. Granica traw stanowiła linię jego walki: szum deszczu dostatecznie zagłuszy odgłosy szybkich ruchów. Ścigający mężczyzn nadejdzie szybko, ale później zatrzyma się ze względów ostrożności i z powodu gęstych zarośli. Kiedy promień światła zbliżył się na niewielką odległość, Havelock przesunął

się w stronę ostatniej kępy splątanych krzaków i czekał przykucnięty. Mężczyzna istotnie zwolnił kroku, omiótł latarką teren, a potem szybko wszedł w las. Światło poruszało się w górę i w dół, razem z ręką, która rozgarniała przed sobą krzaki. Teraz! Michael wyturlał się z trawy i rzucił do przodu, był tuż za pomieniatczikiem. Skoczył z nożem w uniesionej dłoni.

Gdy prawą ręką wbijał w plecy nóż, lewą odchylił głowę i dłonią zatkał mu usta. Upadli w błotniste poszycie. Michael brutalnie dźgał nożem aż tamten przestał się ruszać. Wyciągając nieżywemu człowiekowi pistolet z ręki, zajrzał mu w twarz. Nie był to Arthur Pierce!

Havelock podniósł latarkę i zgasił ją. Jenna biegła ciemną, wąską ścieżką między drzewami.

Zastanawiała się, czy to właśnie ta ścieżka prowadziła do przełęczy Seneki... „Siedemdziesiąt trzy stopnie do drzewa dereniowego.” Jeśliby tak było, ponosiła odpowiedzialność za to, żeby nikt tamtędy nie przeszedł. Najpewniejszy sposób wykonania takiego zadania był zarazem obrzydliwy i przerażający. A przecież robiła to już wcześniej, zawsze przerażona perspektywą i zdjęta obrzydzeniem na widok skutków. Nie było jednak czasu na myślenie o tym. Obejrzała się, światło latarki skręcało na lewo, w kierunku ścieżki. Wydała krótki okrzyk, na tyle głośny, aby go było słycać przez szum deszczu. Światło zatrzymało się, a po chwili przesunęło, koncentrując się na ścieżce. Mężczyzna wpadł między drzewa. Jenna zaszyła się w splątanych krzakach przy ścieżce i czekała, trzymając mocno długi nóż. Drgający promień światła przybliżał się, człowiek biegł szybko, ślizgając się po błocie, skoncentrowany na kierunku, skąd dobiegł go krzyk nie uzbrojonej kobiety. Trzy metry, dwa... teraz? Rzuciła się przez krzaki, z oczyma i ostrzem noża skierowanymi na ciało, tuż za źródłem światła.

Zderzenie przyprawiło ją o mdłości, z nadbiegającego człowieka trysnął strumień krwi.

Mężczyzna krzyknął i jego przeraźliwy głos na długą chwilę zagłuszył szum deszczu. Jenna leżała obok martwego mężczyzny, ciężko dysząc i wycierając w błoto zakrwawioną dłoń.

Złapała latarkę i zgasila.

Potem przetoczyła się na skraj ścieżki i zwymiotowała.

Havelock usłyszał krzyk i zamknął oczy, otwierając je po chwili z uczuciem ogromnej ulgi, kiedy zdał sobie sprawę, iż był to krzyk mężczyzny. A więc Jennie udało się. Usunęła człowieka, który miał ją zabić. Człowiekiem tym nie był jednak Arthur Pierce. Startując do pościgu, Pierce znajdował się po lewej stronie. Teraz musiał się znajdować gdzieś między środkowym pasem terenu, a drogą za domem Kaliazina, w mokrym lesie o powierzchni pół

hektara, zalany deszczem, przed którym nie chroniły korony drzew. Gdzie się podział błysk ostatniej latarki? Nie ma go, oczywiście wcale go nie ma! Światło stanowi dobry cel, a Pierce nie jest głupcem. Byli teraz jak zwierzęta, dwóch drapieżników podchodzących się wzajemnie pośród zalanej wodą ciemności. Jeden z nich miał jednak przewagę i Michael intuicyjnie o tym wiedział. Las zawsze był dobry dla Michaiła Havliczka, był jego przyjacielem i obrońcą.

Michael nie obawiał się ciemności, jakże często ratowały mu kiedyś życie, chroniły przed myśliwymi w mundurach, którzy za winy ojca gotowi byli zastrzelić dziecko. Zręcznie czołgał się przez poszycie, wysilając wzrok i słuch, starając się uchwycić dźwięk, który nie byłby częścią deszczu, ani trzaskiem gałązek pod pełznącym przemoczonym ciałem. Zatoczył

półkole, podświadomie spostrzegając, wśród tysiąca innych zauważonych szczegółów, że w części lasu prowadzącej do przełęczy Seneki nie ma żadnych ścieżek. Przedtem w domu powiedział, że jest wiele takich ścieżek, aby zmylić Pierce'a, choć sam nie wiedział, jak jest naprawdę, bo nigdy tam nie był. Jeszcze raz przeczesał łuk, zamykając koło, przeciskając się jak wąż pod krzakami. Nagle wyczuł jakiś ruch! Dźwięk ssania, a nie ciężaru. Stopy lub kolana wciskające się i odrywające z

blota. Światło stanowiło cel... Światło stanowiło cel.

Wyczołgał się z linii łuku, pięć, sześć, dziewięć, dwanaście metrów za obwód, w poszukiwaniu odpowiedniej gałęzi. Znalazł. Młode drzewko, mocne, giętkie, mniej więcej metrowe, z korzeniami głęboko tkwiącymi w ziemi. Havelock wyciągnął zza paska latarkę, którą zabrał zabitemu, zdjął koszulę, rozłożył przed sobą i położył na środku latarkę.

Trzydzieści sekund później latarka była zapakowana w koszulę, bezpiecznie obwiązana, z zapasem rękawów do ostatecznego zamocowania. Michael uklęknął przy drzewku, ułożył

pakunek z boku cienkiego pnia, skrzyżował rękawy koszuli i owinął je wokół drzewka.

Sprawdził giętkość pnia, przyciągając je do siebie i puszczając. Włączył latarkę i po raz ostatni przygiął drzewko, a potem szybko wbiegł do lasu po swojej prawej stronie. Schował

się i czekał obserwując promień światła, który w niesamowity sposób poruszał się tam i z powrotem nad ziemią. Znowu usłyszał odgłos ssania i kroki nadchodzące w deszczu. Po chwili z płataniny gałęzi wyłoniła się cała postać. Pierce starając się skryć przed światłem ukucnął i wystrzelił. Przerażliwa eksplozja odbiła się echem po mokrym lesie.

- Przegrałeś - powiedział Michael, naciskając spust i patrząc, jak zabójca z Costa Brava pada z krzykiem w tył. Wystrzelił jeszcze raz i człowiek z Wojennej upadł na ziemię, cichy i nieruchomy. Martwy.

- Nie znałeś lasu - poinformował go Michael. - A ja się go nauczyłem, od takich jak ty.

- Jenna! Jenna! - wołał, przedzierając się przez drzewa w kierunku otwartej przestrzeni. - To już koniec! Pole, pole!

- Michaił? Michaił! Zobaczył ją z daleka, idącą powolnym, niepewnym krokiem w strugach deszczu. Na jego widok przyśpieszyła, a potem zaczęła biec. On także ruszył pędem przez mokrą trawę, chcąc, potrzebując, aby odległość między nimi znikła natychmiast. Padli sobie w objęcia, na kilka krótkich chwil świat przestał dla nich istnieć. Zimne krople deszczu na jego nagich plecach były tylko chłodną wodą, ogrzaną jej uściskiem, jej twarzą przy jego twarzy.

- Znalazłeś jakieś ścieżki? - spytała bez tchu.

- Żadnych.

- A ja znalazłam. Chodź, Michaił. Pośpieszmy się.

Stali w domu Kaliazina. Ciało starego Rosjanina i jego umęczona twarz, przykryte były kocem.

- Już czas - powiedział Havelock, podchodząc do telefonu i wykręcając numer.

- Co się stało? - zapytał prezydent Stanów Zjednoczonych spiętym głosem. - Usiłuję pana złapać od wielu godzin!
- To już koniec - powiedział Michael. - Parsifal nie żyje. Mamy dokumenty. Napiszę sprawozdanie, a w nim to, co moim zdaniem powinien pan wiedzieć.
- Wiem, że pan nie kłamie - wyszeptał Berquist.
- Owszem, kłamię, ale nie w tej sprawie.
- To co, pana zdaniem, powinienem wiedzieć?
- Nie pominę niczego, co jest istotne dla pana na tym niewdzięcznym stanowisku, jakie pan zajmuje.
- Gdzie pan jest? Wyślę po pana wojsko, niech mi pan tylko dostarczy te papiery.
- Nie, panie prezydencie. Musimy jeszcze wpaść do człowieka, którego nazywali Boswellem. Nim jednak stąd wyjdziemy, spalę te dokumenty. Są tylko w jednym egzemplarzu. Diagnozy psychiatryczne również.
- Pan...?
- Będzie to w sprawozdaniu... Istnieje praktyczny powód, dla którego robię to, co robię. Nie wiem, jak jest tam, to znaczy chyba wiem, lecz nie jestem pewien. Zaczęło się to tutaj i tutaj się skończy.
- Rozumiem... Nie zmienię pana postanowienia i nie mogę pana powstrzymać.
- Zgadza się.
- Bardzo dobrze, niech tak będzie. Lubię uważać, że umiem oceniać ludzi. Na moim stołku trzeba posiadać tę umiejętność. A przynajmniej powinno się ją posiadać... Cóż może zrobić dla pana wdzięczny naród i bardzo wdzięczny prezydent?
- Zostawić mnie w spokoju, proszę pana. Zostawić nas w spokoju.
- Havelock?
- Słucham.
- Jak mogę mieć pewność? Z tym spaleniem?
- Parsifal chciał, żeby pan nie miał pewności. Widzi pan, on nie chciał, aby to się kiedyś jeszcze powtórzyło. Żadnych nowych Matthiasów. Koniec supergwiazd. Nie chciał, żeby miał pan całkowitą pewność.

- Muszę to sobie przemyśleć, prawda?

- Niezły pomysł.

- Matthias umarł dziś wieczorem. Dlatego usiłowałem pana złapać.

- On umarł dawno temu, panie prezydencie.

EPILOG

Jesień. W New Hampshire zimne arktyczne wiatry wywoływały stan szarej beznadziejności, ale zaraz po nich przychodziło ciepło wibrujących jesiennych kolorów i uparte słońce dodawało polom otuchy, opierając się nadchodzącej powoli zimie. Havelock odłożył słuchawkę telefonu w swoim gabinecie, który pod naciskiem Jenny, został

przerobiony z oszklonego ganku. Patrzyła na niego, obserwowała jego oczy, kiedy wszedł

przez drzwi salonu starego domu i zatrzymał się, zahipnotyzowany ilością szkła i widokiem za oknem. Biurko, półki na książki przy wewnętrznej ścianie z cegły i trochę przypadkowo dobranych mebli, przemieniło pusty ganek w duży pokój z przezroczystymi ścianami, przez które widać było pola i lasy, tak ważne dla niego. Jenna wszystko rozumiała i on ją za to kochał. To, co widział z tego niezwykłego miejsca, nie było tym, co widzieli inni. Nie było tylko wysoką trawą i znacznie wyższymi drzewami w oddali, lecz wiecznie zmieniającym się krajobrazem azyłu. Pamięć o napięciu i przetrwaniu też tam była, czasem nagle wypływała na wierzch, aż musiał reagować fizycznie, żeby ją pokonać... Odepchnąć. Wiedział, że to musi potrwać: normalności nie odzyskiwało się w ciągu tygodni czy nawet miesięcy. „W środku miał gorączkę, ponieważ sporządziliście dlań dietę składającą się z napięcia, podniecenia, a nawet szaleństwa. Potrzebował swojej działki!” Nie żyjący już dr Matthew Randolph mówił

tak o innym, nie żyjącym człowieku... I o wielu następnych. Razem z Jenną przedyskutowali i zdefiniowali gorączkę, która chwytala go od czasu do czasu. Jenna była jedynym lekarzem, który potrafił mu pomóc. Chodzili na długie spacery, często zrywał się wtedy do gwałtownego biegu, aż do utraty tchu i złania potem. Wiedział jednak, że gorączka przejdzie, a wybuchy w jego głowie ustaną. Ostatnio łatwiej zasypiał, w przypadkach niepokoju zwracał

się do Jenny, nie myślał o broni. W domu nie było zresztą żadnej broni. I nigdy nie będzie jej w żadnym domu, w którym mieliby mieszkać.

- Michaił? - wesołemu okrzykowi towarzyszyło otwieranie i zamykanie drzwi za salonem.

- Tutaj! - Odwrócił się na skórzanym obrotowym krześle, jej najnowszym nabytku do gabinetu. Jenna weszła do zalanego słońcem pokoju, światło zapaliło się na jej długich jasnych włosach, wyłaniających się spod ciemnej wełnianej czapki. Odstawiła płócienną torbę na podłogę i pocałowała go lekko w usta.

- Tu są te książki, które chciałeś mieć. Nikt nie dzwonił? Wybrali mnie do komitetu studenckiej wymiany zagranicznej i coś mi się zdaje, że dziś wieczorem mam zebranie.

- Masz. O ósmej u dziekana Crane'a.
- Świetnie.
- Lubisz to zajęcie, prawda?
- Mogę coś zrobić, pomóc. Znam obce języki, ale przede wszystkim orientuję się w tych rządowych papierach. Fałszowanie dokumentów przez tyle lat, daje człowiekowi pewną przewagę. Czasami jest mi okropnie trudno wypełnić to wszystko uczciwie. Czuję się, jakbym robiła coś złego.
- Dzwonił ktoś jeszcze. - Havelock wziął Jennę za rękę.
- Kto?
- Brequist.
- Nie kontaktował się z tobą odkąd oddałeś sprawozdanie...
- Bo uszanował moją prośbę. Chciałem, żeby zostawił nas w spokoju.
- To po co teraz dzwonił? Co chciał?
- Nic nie chciał. Pomyślał, że powinienem być na bieżąco.
- W czym?
- Loring ma się dobrze, ale nie wróci już do pracy terenowej.
- Cieszę się. Z jednego i z drugiego.
- Mam nadzieję, że da sobie jakoś radę.
- Na pewno. Zrobią go strategiem.
- Wiedziałam, że tak zrobisz.
- Deckerowi się nie udało. - Michael puścił jej rękę.

- Co?
- To się stało kilka miesięcy temu, ale zatuszowali sprawę. Najlepsza rzecz, jaką mogli dla niego zrobić. Wyszedł ze swojego domu następnego dnia po wydarzeniach na przełęczu Seneki i dostał się pod ostrzał. Straż rzuciła się w kierunku samochodu z mordercą, naślanego przez Pierce'a, i Decker też. Szedł prosto pod kule, śpiewając, słowo dając, „Hymn walczącej republiki”. Chciał umrzeć.

- Śmiercią gorliwca.
- Zrozumiał daremność tego wszystkiego. Na swój pokrętny sposób dużo miał do zaofiarowania.
- To już historia, Michał.
- Historia - zgodził się Michael.
- Byłam dziś na kawie z Harry Lewisem. - Jenna podeszła do płóciennej torby i wyjęła książki. - On się chyba niedługo zdecyduje, żeby ci się przyznać.
- Brzoza? - Michael uśmiechnął się. - Będzie miał co opowiadać wnukom. Profesor Harry Lewis, tajny agent z własnym pseudonimem.
- Nie sądzę, aby był z tego bardzo dumny.
- Czemuż by nie? Nie zrobił nic złego i udało mu się to lepiej niż innym. Poza tym załatwił mi pracę, którą bardzo lubię... Zaprosimy Harry'ego z żoną na obiad, a kiedy zadzwoni telefon, a zadzwoni na pewno, ja powiem, że to do Brzozy.
- Jesteś okropny - powiedziała Jenna ze śmiechem.
- Jestem niespokojny - powiedział Havelock i przestał się uśmiechać.
- To przez ten telefon.
- Czasem robię się tak cholernie... niespokojny. Michael spojrzał na Jennę.
- Chodźmy na spacer.

Weszli na strome wzgórze, kilka kilometrów na zachód od domu. Wysokie trawy kładły się pod naporem wiatru, ziemia spękana była od słońca, a intensywny błękit nieba zdobiły białe resztki rozwiewanych chmur. Niżej, na północy, przepływał kręty strumyk, którego wody obmywały łagodne brzegi, flirtując z nisko zwisającymi gałęziami drzew i kierując się na południe, do celu po drugiej stronie wzgórza.

- Pamiętasz piknik w Pradze? - spytał Michael, spoglądając w dół. - Nad Wełtawą.
- Teraz też zrobimy sobie piknik - odparła Jenna, uważnie mu się przyglądając. -

Mamy schłodzone wino, sałatę, i te twoje ulubione, okropne kanapki...

- Z szynką i z serem, z dodatkiem selera, cebuli i musztardy.
- Zgadza się - przyznała z uśmiechem. - Niestety, dobrze pamiętam, co ci smakuje.

- Gdybym był sławny, nazwaliby je moim nazwiskiem. Te kanapki byłyby znane w całym kraju i figurowałyby w każdym menu.

- Musisz się postarać, kochanie.

- Jesteś silniejsza ode mnie, Jenno.

- Jeśli chcesz tak sądzić, to dobrze, ale naprawdę tak nie jest.

- Wciąż mi wraca... niepokój.

- To depresja, Michaił. Ale przychodzi coraz rzadziej, oboje to wiemy.

- Jednak wraca i wtedy jesteś mi potrzebna. A ja nie muszę być ci potrzebny...

- Ale jesteś.

- Nie w ten sposób.

- Nigdy nie przeszłam przez to, co przeżyłeś ty, przez tak długi okres. I jeszcze coś. To zawsze ty byłeś odpowiedzialny, nie ja. Każda decyzja, jaką podejmowałeś, musiała cię kosztować kawałek ciebie. Ty tam byłeś. Ja mogłam się schować za ciebie. Nigdy nie byłabym w stanie zrobić tego, co ty zrobiłeś, bo całkiem po prostu, nie mam tyle siły.

- Nieprawda.

- No to wytrzymałości. I to jest prawda. Przez wszystkie te tygodnie, kiedy uciekałam, co pewien czas musiałam się zatrzymać, zostać na trochę w jednym miejscu, nic nie robić, o niczym nie myśleć. Dłużej nie mogłam. A ty mogłeś. Jako chłopiec, i jako mężczyzna. I za to trzeba teraz zapłacić... Za to, co zrobiłeś, za to, co tobie zrobili. To minie, już mija.

- Chłopiec - powiedział Havelock, spoglądając na strumień w dole. - Widzę go, czuję go, ale naprawdę go nie znam. Choć pamiętam. Kiedy się bał, albo był strasznie głodny czy zmęczony, a bał się pójść spać, wspinał się o świcie na drzewo i patrzył, czy są patrole. Jeśli nie było, schodził na dół i biegł przez pola, najszybciej jak umiał, coraz szybciej i szybciej. Po takim biegu czuł się znów dobrze, tak jakoś pewnie. Potem znajdował jakiś rów w wąwozie albo opuszczoną stodołę i szedł spać. Dla sześciolatka taki haust powietrza do płuc był jak kieliszek whisky. Pomagał, i tylko to się liczyło. Gorączka spadała.

- Pobiegnij teraz, Michaił. Zbiegnij na dół i zaczekaj na mnie, ale biegnij sam. No, już, leniuchu! Leć!
- Jenna dotknęła jego ramienia, przyjrzała się mu i zaczęła się uśmiechać.

Pobiegł, nogi krzyżowały się w powietrzu, stopy uderzały o ziemię, wiatr uderzał go w twarz i chłodził mu ciało, zabierał oddech i zastępował go nowym. Zbiegł na sam dół, z piersią rozszerzającą się przy każdym oddechu, z cichym bulgotem śmiechu w gardle. Gorączka spadała, wkrótce jej nie będzie. Spojrzał w górę na Jennę, słońce za nią, niebieskie niebo nad nią.

- No, chodź, leniuchu! Ścigamy się z powrotem do domu. Do naszego domu! -

zawołał między jednym haustem powietrza a drugim.

- W ostatniej chwili cię podetnę - odkrzyknęła mu Jenna, szybko, choć nie biegiem, schodząc z góry. -

Wiesz, że potrafię. - Nic ci to nieda! - Michael wyciągnął z kieszeni błyszczący metalowy przedmiot.

- Ja mam klucz Do naszych drzwi. - Wariat! - zawołała Jenna, ruszając biegiem. - Wcale ich nie zamknąłeś! W ogóle ich nie zamknęliśmy! Podbiegła do niego i przytulili się do siebie.

- Nie musimy - powiedział. - Już nie musimy, i nigdy nie będziemy musieli.

*

KONIEC